Biblioteka Sejmu Śląskiego
4620
1930 | 4

TOM CCLXVIII. 221 ROK 67.

SERYA 9. ZESZYT 802.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1907.

TOM IV.—ZESZYT 1.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1907.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
Śląska Biblioteka

TREŚĆ ZESZYTU.

		Str.
1.	ŁUNA, — przez *Kazimierza Zdziechowskiego*	1
2.	KONTROLA KONSULACKA, — przez *Szymona Askenazego*	33
3.	O WINCENTYM POLU, — przez *Józefa Kallenbacha*	67
4.	ANGLIA I ROSYA, — przez *Kazimierza Puffkego*	92
5.	OSKAR WILDE, JAKO LIRYK, — przez *Andrzeja Tretiaka*	108
6.	CHRONICZNY PRZEŁOM W TEATRZE, — przez *W. Bogusławskiego* .	124
7.	RUCH LITERACKI WE FRANCYI, — przez *Antoniego Potockiego* . .	144
8.	PIŚMIENNICTWO:	
	Henryk Struve: Filozofia polska w ostatniem dziesięcioleciu 1894—1904 r., — przez *F. P.*	158
	Dr. Emmanuel Świeykowski: Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa, — przez *F. P.*	162
	Bolesław Koskowski: Polityka gminna, — przez *Z. D.*	165
	Siedem lat katorgi. Pamiętniki Szymona Tokarzewskiego 1846—1857 r., — przez *Z. D.*	167
	Ptaszycki Stanisław: Wielkiego Księstwa Litewskiego i Żmudzkiego kronika. Kodeks Olszewski Chomińskich, — przez *Józefa Jodkowskiego*	170
9.	KRONIKA MIESIĘCZNA:	
	Przed III Izbą.—Ze stosunków łódzkich.—Odezwa Towarzystwa wpisów szkolnych.—Okólnik generał-gubernatora warszawskiego do biskupów rz.-katol. w Król. Polskiem . . .	173
10.	WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	188

221.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

Ogólnego zbioru Tom 268.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE.

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1907. — Tom IV.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1907.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
Biblioteka Śląska

4620.1907.4

II

30.000,-

X-14369
4620/II 4.
/1907

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

ŁUNA.

Kiedy pewnego dnia służąca przyniosła bilet wizytowy Rzyźniewskiego, Hanka kazała go prosić. Ten człowiek obchodził ją o tyle, że była ciekawą jego miny i wrażenia własnego. Obojętnie czekała, dziwiąc się niepokojowi matki, która bardzo oficyalnie zajęła miejsce na kanapie. Rzyźniewski wszedł bez stukania do drzwi i spojrzenie jego, jak pocisk nieochybny, zdawna przygotowany i dobrze wymierzony, uderzyło w nią. Wytrzymała jego natarczywość, odparła umiejętnie, sama zaczepiła wzrokiem i badała chłodno. Już w pierwszem mgnieniu powiedziała Rzyźniewskiemu wszystko. Ale on, jak gdyby nie rozumiał. W jego zgaszonych oczach była miękkość i niepewna pieszczota. Próbował dawnych sposobów, dawnego czaru, szukał drogi, znanej furtki, która otwierała się niegdyś za lada dotknięciem, chciał wejść i nanowo zawładnąć. Jednocześnie bał się trochę...

— Oddawna miałem ciebie odwiedzić...—rzekł cicho.

Nie zauważył matki, a spostrzegłszy ją, zmieszał się. Złożył wahający się ukłon.

— Moja matka — spokojnie wytłómaczyła Hanka.

Wówczas pisarz ukłonił się ponownie, przesadnie nizko, i ucałował rękę.

— Trudno mi było panią odszukać—zwrócił się do Hanki.

— Dziwię się, że pan szukał...

— Pani zdążyła przyjechać przed wybuchem...

Nie odpowiedziała nic, zato wciąż naigrawała się z niego wzrokiem, którego zimna ciekawość była urągliwą.

Rzyźniewski, nadzwyczajnie zmieszany, obracał kapelusz w ręku, kręcił się na krześle i, unikając jej spojrzenia, przyglądał się

Biblioteka Śląska
Biblioteka Śląska

to własnym bucikom, to oleodrukowi króla. Rozumiał całą śmieszność roli winowajcy, z której nie udawało mu się wyjść, najbardziej onieśmielała go obecność matki, damy wiejskiej, staroświeckiej, uroczyście poważnej a zarazem przerażonej jego widokiem. Znowu zadał jakieś pytanie, żeby zagaić rozmowę, żeby przerwać nieznośne, tak nieznośnie głupie milczenie. Na bladą twarz wystąpiły mu rumieńce i szeptał do siebie w myśli ze wściekłą irytacyą: „dyabli nadali! poco ja tu wdepnąłem.“ Dostrzegłszy swoją powieść na stole, rzekł:

— Pani czyta „Czerwie?“ Nie warto... Sam wstydzę się tej ramoty... Nastały takie czasy, że zmieniamy się nieraz do niepoznania... Ja ze zgorszeniem myślę dziś o swojem wałęsaniu się...

Urwał, czując, że słowa jego padają bez echa, że gasną w grobowem milczeniu, ale postanowił mówić dalej, żeby zabić ciszę, zakończyć swoją rolę winowajcy, wystawionego na pokutę, przerwać niedorzeczną scenę.

— Ta wielka chwila dziejowa wydobywa z ludzi drzemiące siły, krzesze iskry, wskrzesza martwe duchy... Szedłem przez życie z przyłożonem do serca uchem, wsłuchiwałem się w marne szelesty, badałem nikłe odcienia... Trzeba było huku piorunów...

— Uczstowaliśmy, my twórcy—ciągnął dalej, ożywiając się— gadaliśmy metafizyczne bajki o nieświadomej wiedzy, założyliśmy jakiś klub smakoszów, żeby gardzić tymi, którzy nie mieli wykwintnych podniebień, którzy żyli o czarnym chlebie... poprostu aberacya! Troszczono się o koronki, gdy potrzebny był kożuch, hodowano sztuczne krzewy w rozkosznym ogrodzie i nie wyjrzano ani razu poza sztachety. Zapomnieliśmy o ludzie...

— I pani także grzeszyła!—zwrócił się z uśmiechem do Hanki. Mistyczny „Żagiel“ pani dobry był dla zagrobowych cieni, które tęsknią na gwiazdach... Ale minął szał i znaleźliśmy wszyscy uzdrowienie... Odezwała się w nas dusza ludu, krzepka i twórcza, zagrały hasła życia i czynów... Nieświadoma łączność istniała zawsze, i krzyk bólu, który brzmiał w pismach naszych, był bezwiednym wyrazem świętych cierpień ludu, ale błąkaliśmy się, jak sierota, która szuka matki... Od dziś, od wczoraj mamy drogę wyraźną... Kto zboczy, zginie... Olśnieni patrzymy w oblicze nowej prawdy... Jedno jest serce i jeden cel... Zemsta i miłość, gniew i ogromna nadzieja... Lud, który jęczał, powstał z pięścią, lud buduje...

Zapalił się naprawdę i mówił z ogniem. Z początku wikłały mu się okresy, zacinał i wahał się, ale coraz śmielszą i pięk-

niejszą stawała się jego mowa. Odzyskał panowanie nad sobą. Hanka, która nie spuszczała go z oka, czuła, iż on pełen jest wiary.

— Czynię tu spowiedź przed panią—rzekł na końcu—bo pani w przeszłości znała mnie innym, bo przypuszczam, że i pani także... Wicher czasu przeleciał nad nami, jak nad łanem zboża... Pochyliliśmy się wszyscy w jedną stronę... Jesteśmy jak bracia, ruszyliśmy pochodem, wołamy na tych, którzy ociągają się, którzy dumają w samotnej, w samolubnej celi smutku... W tem wielkiem uczuciu niby strumyki w morzu...

— Nie każdy umie wznosić się na takie wyżyny—przerwała mu Hanka.

Pisarz ukłonił się z banalną galanteryą.

— To nie są wyżyny, pani — odpowiedział — to wymarsz, to wyprawa, to pospolite ruszenie i szturm... Idą wszyscy... Przyniosłem pani dobrą nowinę...

— Tego pan przyszedł do mnie?—szorstko spytała.

Rzyźniewski mrugnął niespokojnie powiekami.

— Tego pan przyszedł? — powtórzyła i roześmiała się.

Była zła i złośliwe szyderstwa, niby pieprz, piekły jej usta. Nadarzyła się doskonała sposobność odemszczenia... Siedział onieśmielony, zmieszany, trochę jak winowajca, bał się jej oczu, stał się banalnym, nadrabiał galanteryą i swadą, wpadł w deklamacyę, mówił słodkim głosem, był śmieszny i cała ta scena była śmieszną... I można było unicestwić go ironią, zmiażdżyć jednem krótkiem słowem prawdy, wykpić jego rolę, jego okresy, jego gesty... Śmiała się. Ale naraz zobojętniało jej wszystko. Ptak cierpienia przemknął przez pokój, od skrzydeł padł czarny cień i zgasła w ogromnym smutku złość, marną wydała się chwila obecna ze swoim jątrzącym miłość własną ostrzem, znikł sam Rzyźniewski... Po krótkiem ocknieniu, serce, które przebolało, które zbyt długo bolało i umarło, zapadło w letarg, w stan jak gdyby zagrobowego istnienia, gdy nic już nie dolega, chyba uporczywa pamięć bólów życia niezmiernie dalekich... Wlecze się takie istnienie...

Rzyźniewski spuścił głowę i dawnym zwyczajem targał swój obwisły wąs. Z podełba spojrzał raz i drugi ku Hance—i uspokoił się. Nie groziło mu już nic od niej. Śród martwej twarzy szeroko otwarte, nieruchome, niezmiernie smutne oczy patrzały kędyś, w odległe kraje, zapomniały o nim... Trwało milczenie.

— Prędko też, proszę pana, skończy się rewolucya? pan może wie? chciałabym wrócić do domu—nieśmiało odezwała się pani Krystyna.

Powieściopisarz odpowiedział w kilku słowach, potem wstał, złożył ukłon i wyszedł. Gdy drzwi zamknęły się za nim, Hanka zapomniała, że on wogóle był dnia tego. Przesunął się koło niej, jak pierwszy lepszy pan z chodnika, który zarysowuje się przed wzrokiem taką albo inną sylwetką, ubraniem w kratkę, paltem koloru electrie, i znika na zawsze. Nie pamiętała już ani słów jego, ani swoich uczuć, z któremi przywitała go i słuchała... Na pożegnanie wyciągnęła do niego rękę z uściskiem zupełnie zwyczajnym, pozbawionym wszelkiej ukrytej myśli, gotowa była nawet podziękować mu za uprzejmość jego odwiedzin... Ten mały, nieciekawy, przeciętny człowiek w marynarce w kratkę, dla którego niegdyś za życia serce wybuchało nienawiścią, był tak absolutnie obojętny... Z za grobu darowuje mu wszystko... oddawna, oddawna skończyły się jej cierpienia i rachunki ziemskie... Cóż suchemu drzewu po wiośnie, która była niegdyś, po burzach, które minęły... chwieją się na wietrze sztywne konary, robak toczy martwe korzenie...

Nie myślała w tej chwili o niczem. Leniwem spojrzeniem liczyła leniwe krople jesiennego deszczu, które ściekały z dachu. Przywykła tak siedzieć i patrzeć. Upływały w ten sposób godziny, dnie... Albo piekło bólu, albo bezmoc. Życia nie było... Z bezczynności, z osłabienia, z braku wrażeń i doznawań straciła odczucie rzeczywistości. Czasami wydawało się jej, iż wszystko jest sennem majaczeniem: jej choroba i cała przeszłość, przyjazd matki, obcowanie z Andrzejem, ten szereg nieskończony dni i czekała przebudzenia. Albo dotykała szyby, krzesła, sukni, żeby przekonać się namacalnie o istnieniu świata zewnętrznego. Zupełnie poważnie myślała także, że życie jej minęło już dawno, a to, co jest, nie skończy się nigdy, że ona na wieki zostanie w tym pokoju o jednem oknie, z żółtemi tapetami, z widokiem na podwórze, z zapachem tchliny, że takiem jest jej pośmiertne bytowanie, i poddawała się z rezygnacyą... Wolałaby tylko módz zasnąć i zapomnieć... Odwracała się do ściany, przez całe godziny wodziła palcem po obiciu, cieszyła się, że nic nie dolega... Ale rychło mijał ten stan i bez żadnej przyczyny zaczynała znowu cierpieć i szarpać na sobie więzy bólu i tęsknić za Andrzejem, za życiem i słońcem, za radością i kochaniem... Budziły się natychmiast najdroższe wspomnienia, które nieznacznie stawały się marzeniem o tem, co będzie, o tem, że będzie, które urywały się nagle... Godził w nią cios, zawsze ten sam, zdruzgotana wracała do grobu i w lochu rozpaczy, gdzie jak dożywotni skazaniec, rozstawała się ze wszelką nadzieją, było chyba lepiej...

Za oknem zapadał słotny zmierzch. Nudnie gadały nudne krople deszczu. Jednostajny szmer ich ściekań drażnił nerwy, jak pełzanie po ciele tysiąca przebiegłych owadów. Spływały wolno, szemrały bez przerwy, pracując nad czemś cierpliwie, spełniając wytrwale swoje zadanie, grożąc temu, który wsłuchiwał się w ich cichą robotę. Stawało się zrozumiałem, iż one przemogą wszystko. I Hankę chwycił strach. Rozejrzała się po pokoju i dopiero teraz zauważyła, iż niema w nim matki, której obecność dodałaby jej otuchy, czyniło się coraz ciemniej, niepokój wzrastał i wciąż znęcały się nad nią krople deszczu. Nie chcąc słyszeć, słuchała, a gdy zdarzało się krótkie mgnienie ciszy, czekała, że wnet odezwą się, zabębnią, zagrają. Słaby odgłos dla natężonych uszu brzmiał coraz donośniej, coraz mocniejszy, coraz bardziej dręczący. Krzyk bezmyślnej trwogi i zniecierpliwienia: dosyć! rwał się jej z piersi. Chciałaby nakazać kroplom, żeby umilkły. Zdawało się jej, iż jest ze wszystkich stron osaczoną przez złe, malutkie istoty, które postanowiły zamęczyć ją na śmierć... Jęła szybko przebiegać pokój, szukała ucieczki, krokami próbowała zagłuszyć. Potem w pewnej chwili pchnęła okno, wskoczyła na podmurek we framudze, stanęła na samym skraju, spojrzała w dół. I nagle zabłysła w niej, niby czarowne odkrycie, niby promień zbawczego spostrzeżenia, myśl najprostsza, a obca dotychczas, że zaraz wszystko może się skończyć, że dość jest pochylić się trochę... Palcami wpiła się mocno w ramy okienne... Rzeźwił ją powiew świeżego powietrza i szelest słoty, tak nieznośny w pokoju, tu na dworze wydał się niewinnym i zwyczajnym. Wątłe gadanie deszczu uspakajało, kołysało, nasuwało jakieś odległe wspomnienia wsi, dróg zabłoconych, dobrych wieczorów jesiennych w zacisznym domu... Znowu spojrzała w dół z odrazą w asfaltowe dno podwórza oślizgłe i brudne. Popadła w zadumę. Krótkie, niezmiernie jasne, dokładne i rozumne myśli przelatywały jej pod czaszką. Po raz pierwszy zdawała sobie rozsądnie sprawę, patrzała trzeźwo i bezstronnie, zastanawiała się poważnie. Nazywała każdą rzecz po imieniu, wydawała szybkie sądy, robiła porządek w duszy, niby w skarbcu oddawna zamkniętym, którego klucz był zgubiony, pracowała bez roztkliwienia i zbywając niczem niektóre myśli, przetrząsała dalej. I trwała doniosła zaduma, ważyły się uczucia...

Gdy otwierała okno, nie miała żadnego zamiaru, potem doznała pokusy. Ale w owym momencie, gdy znęciła ją zabójcza łatwość skoku z trzeciego piętra, kiedy oczami zmierzyła niebezpieczną wysokość i rozkoszną zgrozę zawrotnego spadania,

w owym krótszym niż uderzenie serca momencie ujrzała lichotę, zło i brud własnego życia, marność i tchórzliwą brzydotę samobójczej śmierci. Ogarnął ją wstręt do siebie samej i do własnego życia, obrzydzenie przemogło żądzę śmierci. Nie chciała umierać taką, jaką była dziś, szpetnym wydał się jej ten koniec po szpetnych latach nikczemnego istnienia... Zapłakało w sercu wspomnienie marzeń wyniosłych, wysokiego lotu pragnień, dumnych płomieni woli, zakochanej w wielkich czynach—zbadała bezcenną wartość życia... Dość było tego mgnienia... Szpetna pokusa odeszła od niej, został tylko wstręt tem większy... A dokonawszy na sobie śmiałego cięcia, jak gdyby w tej chwili cudownie uzdrowiona, pojęła, że należy zmienić to życie, które przejmuje ją obrzydzeniem, życie nieudolne, ospałe, daremne, pełne bólu i ukazał się jej zadumie gościniec daleki, otulony w mgłę przedranną, majaczył zasłonięty tajemnicą... Zagrała w niej ochota... Więc szperała w duszy, żeby zaczerpnąć z niej moc, żeby znaleźć zasadę — kamień węgielny nowej budowy, żeby przypomnieć wyraz czarodziejski, słowa zaklęcia, któreby dopomogło zwalczyć cierpienie, któreby odrodziło i odparło wstręt... Wiedziała niegdyś, było takie słowo... Teraz szukała bez skutku. Ze smutkiem myślała o szczęściu, o królewskiej koronie, której nie zdobyła, o złotym puharze, z którego piła gorycz, zaprawioną łzami, o zamku wyniosłym, który był pusty, o uczcie weselnej, której przygrywało cierpienie, ze smutkiem patrzała w upiory, które wstawały z mogił, gdzie legły złudzenia, z bolesnym uśmiechem witała kościotrupy nadziei, bielejące na pobojowisku, zatrzymała spojrzenie na zwaliskach gmachu dawnej wiary życiowej... Miała w tej chwili odwagę, przyznawała się do klęski, do bankructwa i błędu, gotowa była bić się w piersi i korzyć się, byleby ktoś podźwignął... Potem, pełna smutku, wróciła do pokoju. W tej przewlekłej zadumie zbadała nędzę swego życia i próżnię, która uczyniła się w duszy — i nie znalazła nic, nie doszukała się słowa wskrzeszenia... Ale tak, jak płuca zaczerpnęły świeżego powietrza, dusza orzeźwiła się w powiewie prawdy. Zbudziło się w niej rzetelne pragnienie...

Hanka zamknęła okno, zawiesiła firanki, zaświeciła lampę. Czekała na matkę. Zauważywszy, iż wiatr roztrząsł jej włosy, wzięła lustro i uczesała się starannie. Układała włosy gładko, z przedziałem pośrodku, jak niegdyś na wsi. Sprawiało jej przyjemność to przypomnienie...

*

* *

Pani Krystyna wróciła dosyć późno, zmoczona do nitki.

— Zabłądziłam i długo nie umiałam trafić — odpowiedziała na zapytanie córki.

— Ale dokądże mama chodziła w taki deszcz?

Matka milczała zakłopotana.

— Dokąd mama chodziła?... przecież mama boi się wieczorem...

Naraz Hanka domyśliła się.

— Mama pewno... mama poszła z nim, z Rzyźniewskim—zawołała z trwogą.

Pani Krystyna, która nie kłamała nigdy, spuściła oczy. Hanka rzuciła się ku niej, chwyciła jej ręce, trzęsła niemi.

— Mama chodziła z nim, mama rozmawiała, mama skorzystała z okazyi, żeby wylać skargi—wybuchła.

— Dla twego dobra, Hanuś... myślałam, że dla twego dobra.

— Dla mego dobra?!

Hanka patrzała w twarz matki oszołomiona. Odgadła treść tamtej rozmowy, odgadła wynik... Nieśmiałe oczy matki przepraszały ją. I uczyniło się jej żal tego najpokorniejszego serca.

— Niech mama opowie—powiedziała spokojnie.

— Hanuś, doprawdy nic... jedna chwila... dopędziłam go, rozmawialiśmy...—urwała.

— To trwało krótko... odeszłam natychmiast... Hanuś, nie gniewaj się na mnie... to jest zły człowiek...—urwała znowu, żeby zataić niektóre szczegóły.

— Tak, mamo, to jest zły człowiek — dobitnie powtórzyła Hanka — to jest marny, malutki, plugawy człowiek z pozorami, które kłamią, z wielkiemi słowami, które zwodzą...

Pani Krystyna spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Gdybyś ty wiedziała, mamo!... opowiem ci kiedyś, opowiem, opowiem — sennym głosem, jakgdyby tonąc we wspomnieniach, mówiła.

I zamyśliła się.

— Ale i ja, mamo, jestem zła i marna—rzekła po chwili—ja i o sobie opowiem, opowiem ci...

— Chcesz teraz?—spytała.

— Hanuś...

Dumała.

— Słuchaj tedy...—zaczęła—słuchaj od początku. Ja nie kochałam go nigdy, a jednak ja z nim... Przetrzyj oczy, mamo, nastaw uszu, usłyszysz... za twoich czasów nie działo się tak...—głos jej był twardy, szyderczy i chłodny.

Pani Krystyna usiadła na brzeżku jakiegoś krzesła, stała się jeszcze mniejszą, jeszcze bardziej zwiędłą i zmiętą... Nie mogła ogarnąć zmiany, która zaszła w córce, nie mogła ogarnąć znaczenia jej słów. Domagała się niegdyś prawdy, a teraz znosiła mękę. W żywą ranę zanurzały się szorstkie ręce i szarpały, wyrazy jak ostre noże kaleczyły... Na starość lat swoich pochylała głowę ze wstydu za córkę... przeszywała ją straszliwa myśl o grzechu... I z przyzwyczajenia szeptała cichutko wargami jękliwe błaganie o miłosierdzie: Boże mój, Boże mój...

— Przed godziną, mamo—odważnie wyznawała Hanka — chciałam z tego okna skoczyć. Nie byłoby mnie już... pożałowałam ciebie, najbardziej zaś wstydziłam się... Nie byłam nigdy tchórzem... Uciekać od życia nie warto, a jeśli to życie jest brzydkie, nędzne, brudne... I samobójstwo wydało mi się nikczemnością... Spojrzałam w siebie i za siebie .. odchodzić w marnej chwili, zmarnowawszy lata... Uczułam wstyd, ty nazwiesz to skruchą... mniejsza o to... Nie mam żadnej nadziei, szczęścia nie spodziewam się, ale pójdę do końca. Są dobre cele, w każdej duszy mieszka pragnienie... Będę szukała... I jakoś tam miną dnie moje. Jestem rozbitkiem, wiarą, którą żyłam... ale długoby o tem, i żal mi ciebie, że żadnej ze mnie pociechy... Niema dla mnie miejsca śród szczęśliwych, ani śród was...—przerwała.

Ukryła oblicze w dłoniach, upłynęła długa chwila milczenia.

— Widzisz, mamo — odezwała się — uczesałam się inaczej, uczesałam się, jak za dawnych lat...

Ze smutnym uśmiechem patrzała na matkę i znowu popadła w zamyślenie.

— Powiedziałam ci wszystko — zaczęła — a jedno zataiłam... Zataiłam, że kocham, że pokochałam, że jest ktoś, za którym... który tu był w chorobie mojej — łamały się coraz cichsze wyrazy — który wiele dobroci... odjechał...

Łkanie tłumiło słowa, z oczu polały się łzy... chwilę walczyła z sobą...

— Płaczę, ale to nic...

Pochyliła się ku matce, chwyciła ją w ramiona, garnęła do siebie, jakgdyby to ona potrzebowała opieki...

— Odjechał, ja wiem dla czego i nie mogę... nie mogę jeszcze... postanowiłam... takie to moje życie... kto tu jest winien — wyrywało się śród szlochania — dlaczego dla mnie tylko niedola?... przecierpiałam tyle, sama mówisz, że spływają pociechy... a gdzie pociecha, jaka pociecha?...

Płakała cicho rzęsistemi łzami.

— Pod złą gwiazdą my wszyscy... ród nieszczęścia... Ja już wyrzekłam się, stłumiłam, postanowiłam zapomnieć... tylko niekiedy, tylko czasami... taki żal... gdy przyjechałaś tu, jego już nie było... pewnego dnia pożegnał mnie... to sławny człowiek... I jaki był dobry dla mnie w chorobie, w tej mojej nędzy... codziennie całe wieczory w tym pokoju, przy łóżku... opiekował się, leczył, zabawiał...

— Więc może wróci, Hanuś—szepnęła matka.

— Nie wróci, mamo, a gdyby i wrócił, nic z tego... ja już to wiem... i niema nadziei.

— Może i on ciebie pokochał.

— Myślisz tak, mamo?

— Myślę... bo jeśli czuwał w chorobie... któż zgadnie... może właśnie Bóg przeznaczył...

Hanka pilnie przypatrywała się matce.

— Myślisz tak... myślisz... alboż bywa tak? — pytała niespokojnie i twarz jej, mimo zapewnień beznadziejnych stała się jasną.

— Co Bóg da, Hanuś, co Bóg da...

X.

Rzyźniewski nie grał komedyi przed Hanką. Tydzień pobytu w kraju, nad którym przeciągała burza, odcisnął na nim swoje gorące piętno i zmusił go poniekąd do zastąpienia jedwabnych szat biesiadnika przez szary mundur szeregowca armii czynnej, do przedzierzgnięcia się w „żołnierza czynu.“ W ogniu powszechnego uniesienia dusza pisarza, jak legendowy feniks, odrodziła się z popiołów znużenia i zakochała się w gwarze bojowym, w „szczęku orężnym,“ oczy upajały się obrazami wypadków, które tworzyła i malowała na kolor płomienia poetycka wyobraźnia, pod piórem powstały odezwy i wiersze, skąpane we krwi, które sprzedawano potajemnie na rogach ulic, które „podobały się“ tłumowi. Proletaryat zyskał niespodzianie zapalonego sojusznika, i Hanka, która wiedziała o Rzyźniewskim więcej niż proletaryat, miała prawo zaśmiać się zjadliwie. Śmieli się zapewne i inni, ale sam Rzyźniewski traktował i metamorfozę i misyę swoją poważnie. Zerwał z przeszłością, popłynął z prądem, bez wątpliwości i bez zastrzeżeń przyjął nowy kierunek, gorliwie wyszydzał tych, z którymi trzymał niegdyś, którym wytykał dziś niemęską słabość woli, zasłuchanie w szmery wystygłego serca, nikłe nastroje

więdnących dusz, bezczynne wałęsanie się po gościńcach świata, zburzył kaplicę, którą sam był zbudował, radosną kaplicę czystego piękna, modlił się do ludu i całował „bolesne jego rany“ i śpiewał chwałę nieśmiertelnego jego dzieła i głosił zmartwychwstanie... Giętkie i świetne pióro pisało posłusznie, i popularność autora rosła. Ostatnia powieść pod tytułem: „Czerwie,“ której wstydził się, jak śmiesznego anachronizmu, spoczywała nietknięta na półkach księgarskich, za to najnowsze rzeczy szły i tytuł pisarza młodych, stanowisko zwiastuna, były uratowane. A przewrót odbył się łatwo. Przez długie lata, od chwili wstąpienia w szranki piśmiennicze, Rzyźniewski prowadził gwałtownie zaczepną wojnę ze społeczeństwem — zaciekłą walką była i obecna jego działalność. Wówczas występował w imię nieśmiertelnej prawdy piękna, praw sztuki, nieodpowiedzialności i przywilejów monarszych, przynależnych twórcom i deptał, miażdżył, gromił i pastwił się nad bezmyślnym filistrem, który ośmielał się nie rozumieć, który zapytywał o użyteczność, który, przecierając senne oczy, szukał ideału, dziś rzucał pozew i klątwę tym, którzy nie szli z ludem, którzy nie byli ludem, którzy lud oszukiwali w „przebiegłej grze o przodownictwo.“ Stosunek pogardliwej nienawiści został tedy ten sam, zmieniło się tylko hasło. Przemawiał z wyżyn, ogół miał słuchać i milczeć. Głos krytyki nie mógł go dosięgnąć, bo ten, któryby zaprzeczał mu, zdradzał świętą sprawę ludu dziś, a niegdyś grzeszył przeciw majestatowi Sztuki. Rzyźniewski był sędzią surowym dla innych. Siebie rozgrzeszał w każdem zdarzeniu, zresztą on nie spowiadał się sobie nigdy. Subtelny pisarz, niepospolity znawca nastrojów, półcieniów i odcieni, który wędrował przez życie, według własnego wyrażenia, z uchem przyłożonem do serca, nie umiał obcować z sobą szczerze, nie znał trudów sumienia, nie doświadczał męki wewnętrznej, nie stawał przed sobą w roli oskarżonego. Badał siebie pracowicie i czujnie, ale tak bezstronnie, jak uczony, który pochyla się z ciekawością nad skrzydłem motyla, zajęty delikatnym wzorem, dyskretną harmonią barw. Było to wygodne stanowisko „fotografa świata duszy,“ to też wygodnie, pogodnie, przyjemnie układało się życie, poświęcone na początku karyery ideałowi artystycznemu, a obecnie walce „czerwonej.“ Brakowało w nim ideału moralnego, który jest mocą i dążeniem, cierpieniem i rozkwitem, ukochaniem i tęsknotą duszy, brakowało sumienia, władzy śledczej, przymusu, oceny, pragnień dobra i udręczeń grzechu. Wyzwolony autor wydrwił oddawna upiorne przesądy i szukał szczęścia... Książki, pisane krwią, były niemilknącym jękiem bólu,

okrzykiem buntu, obrazem piekła rzeczywistości i jakkolwiek któryś z krytyków — może Prosper Kanalle—zwrócił nieśmiało uwagę na pewną sztuczność patosu, na brak szczerości i prostoty, na pewną przesadę, o Rzyźniewskim w młodych kołach utarła się opinia, iż on jedyny ze swego pokolenia zdarł odważnie z życia maskę obłudy, że sięgnął aż do trzew duszy, że zajrzał najgłębiej i poznał grozę, zbratał się z prawdą cierpienia. Rozchwytywano jego powieści, młodziutkie panienki mdlały z rozkoszy, pojawiło się grono naśladowców, obozy skrajne uważały go za swego sprzymierzeńca. Potem znużony gehenną nędzy, Rzyźniewski schronił się na wysoki szczyt i zaśpiewał tam pieśń o woli radosnej, o mocy silnych, o panowaniu wyzwolonych, którzy gardzą cierpieniem, chlebem pokornych i słabych. Śród piekła świata, na Golgocie współczesności znalazł się zakątek, doskonale oszańcowany, twierdza niedostępna — dusza twórcy. I twórca uczynił z niej ołtarz, poświęcony szczęściu. Teorya pojednała się z praktyką, życie odpowiadało wyznawanej filozofii. Po nocy pesymizmu nastąpiło słoneczne południe dla tych, którzy przemogli władzę ciemności, pokochali ziemię i duszę samotnych wyżyn i szczęście... Do takich zaliczał siebie autor „Czerwi.“

Rzyźniewski nietylko bał się, ale miał także głęboką odrazę do cierpienia. Pisząc, maczał pióro w krwi cudzej — w życiu zamykał oczy, odwracał się od widoku bólu, uciekał, omijał. Wszelkie cierpienie wydawało mu się szpetnem i budziło w nim wstręt nieprzezwyciężony. Dlatego opuścił niegdyś na zawsze matkę i siostrę ułomną, gdy one wpadły w nędzę po śmierci ojca — z odrazy do trosk, do bezsilności, do brzydoty niedoli, do kalectwa i starości, z tej samej przyczyny deptał gniewnie każdą miłość, gdy opadały z niej płomienne szaty szału, z tej to przyczyny odepchnął i Hankę. Ucieczka jej sprawiła mu ulgę. Przymus mieszkania i opiekowania się osobą, której nie kochał już, której zmieniona figura i wyraz twarzy miały nieznośną mowę, podniecały w nim nienawiść, tem silniejszą, im prawdziwszemi były wyrzuty, któremi zasypywała go Hanka — i miał już sam wyjechać... Ale w oddaleniu, po kilku tygodniach rozłąki, zagadała pamięć wspomnieniem zalęknionych oczu, drobnych dłoni, pieszczących nieśmiało, cichych ust, kapryśnie pochmurnych—zatęsknił do serca, którego był miłościwym panem, do hołdu, do pokornego kochania i dowiedziawszy się, że dziecko umarło, przyszedł z jałmużną dobroci, przyszedł, żeby uszczęśliwić i łaskawie zabawić się radością, którą sprawi swojem przybyciem. Zawiódł się. W twarzy Hanki, bladej, zesturzałej po chorobie i martwej wyczytał obo-

jętność i lekceważenie, zastał matkę, która wyglądała na ilustrację do „gorzkich żalów,“ znalazł szkaradną nędzę w szkaradnym pokoju o żółtych obiciach, posępnym, jak cela więzienna... Onieśmielony zachowywał się, jak skruszony winowajcą... Piętnowały go spojrzenia „mamy,“ wiejskiej matrony, po wiejsku zwijającej wargi, zuchwałym był chłód Hanki... Nie wiedział, co robić z sobą, przeklinał swój pomysł... Każda chwila milczenia pogarszała sytuacyę... Z pomocą przyszły mu płomienne słowa, któremi oszołomił siebie i ich, któremi zagłuszał własne myśli, a gdy wyczerpał się ich zapas, zemknął, powtarzając w duchu, iż nie wróci tu za żadne skarby... Na ulicy obejrzał szczegółowo dom, jakgdyby pragnął zapamiętać jego wygląd, żeby omijać zdaleka i poszedł raźnie. Odgłos kroków budził echo na pustym chodniku. Cisza była i milczenie ogromnego miasta, pogrążonego w mroku, wydawało się Rzyźniewskiemu wielkiem i złowrogiem. Wsłuchiwał się... W uszach miał nutę śpiewu. Wtem ktoś dotknął go zlekka, skubnął za rękaw. Rzyźniewski nie poznał zrazu. W ciemności wpatrywał się w tę postać czarną, w oblicze.

— Ach, to pani... — odezwał się niechętnie i wbił oczy w chodnik. Czekał.

Pani Skibowska zmęczona czy zmieszana milczała także.

— Czem mogę pani służyć? — niecierpliwie spytał pisarz.

— Przepraszam pana... Wyszłam za panem... Szłam, żeby dopędzić — cicho i nieśmiało mówiła pani Skibowska, łapiąc oddech — chciałabym kilka słów...

— Słucham panią...

Pani Skibowska rozejrzała się lękliwie. Ulica była bezludna.

— Wobec córki nie mogłam — zaczęła — dlatego aż tu...

Rzyźniewski nie widział, ale domyślił się, że boleśnie kurczą się jej usta. Pamiętał tę zmiętą twarz, tę postać nikłą, smutną, zdeptaną. Czuł, że ona przenikliwie wpatruje się w niego, że wzrokiem dopowiada to, co zwiędło na zwiędłych, bojaźliwych wargach i wydało mu się, iż te znużone i stare oczy nabrały dziwnego połysku. Odwrócił spojrzenie, zmierzył wysokość kamienic, przebiegł po szeregach okien.

— Ja domyśliłam się, gdy pan wszedł... córka moja nie wymieniła nigdy nazwiska... milczy... zamknęła przedemną serce... ale ja zgaduję...

Oczy powieściopisarza błądziły po dachach. Radby był jak kot wdrapać się tam i uciec na krańce miasta... A trzeba było stać i z całem uszanowaniem słuchać... Mżył deszcz i chłodna jego wilgoć przenikała skrycie za kołnierz...

— Takie przejście... pan wie... łamie kobietę — szeptała pani Krystyna — ona złamana... Ja nie poznaję jej... Rwała się w świat, nie chciała być z nami, ciasno jej było... a tu niedola, cierpienia, choroba... Dlaczego tak jest, jak się to stało, nie wiem... dziś wszystko inaczej... ale pan... pan może... pan zapewne nie chciał... ta krzywda...

Rzyźniewskiego ogarnęła złość.

— Pani o krzywdzie? — mruknął.

— I o ślubie także — dodał po chwili, a śmiech zachwiał temi słowami.

Pani Skibowska podniosła na niego zdumione spojrzenie. Upłynęła minuta milczenia, która obojgu wydała się długą.

— Mówię tu z panem — rzekła pani Krystyna — bez wiedzy mojej córki i pomimo jej woli... ona by nigdy... i ja żałuję...

Z pod bezradności, beznadziejnego zgnębienia i zbiedzenia wydobyło się brzmienie dumy. W powieściopisarzu odezwała się litość, pomieszana z odrazą, uczucie, którego doświadczał wobec matki, gdy ta zaczynała wywodzić skargi. Miał już uczynić to, czem zwykle kładł kres podobnym scenom: sięgnąć do kieszeni, ale w tej chwili pani Skibowska cofnęła się, zawróciła na miejscu i odeszła szybko. Skręciła w pierwszą ulicę na prawo, która nie prowadziła do domu, biegła przed siebie... Rzyźniewski ruszył także. Trapił go niesmak. Nie mógł nad tem spotkaniem przejść do porządku tak łatwo, jak w innych podobnych zdarzeniach, gdy jakaś błagalna ręka chwytała go za brzeg królewskiego płaszcza. Wlókł się za nim posępny cień, wlokło się wspomnienie nieznośne... Gdyby pani Skibowska była napadła na niego z krzykiem, gdyby nie poskąpiła mu obelg i klątw, gdyby straszyła go piekłem i grzechem — śmiałby się teraz i miałby w głowie pełno „konceptów“ i opowiadałby innym z upodobaniem o „rozkosznym,“ przedpotopowym typie, o wiejskich poglądach i przeżytkach. Tymczasem cichość niedopowiedzianych skarg, bezradne spojrzenia żalu, nieśmiały szmer niezgrabnych słów i nikły szelest słoty, i pustka ulicy, i milczenie miasta, i ciemność — to wszystko złożyło się na wytworzenie nastroju, który gnębił, nurzył, niepokoił — i trwał... Daremnie Rzyźniewski starał się rozproszyć go myślą o doniosłych wypadkach, które, jak chmura, zawisły nad krajem. Przeciwstawiał całe przejście z Hanką burzy dziejowej — alboż on miał czas roztkliwiać się nad tem, że gdzieś tam, w jakimś zakamarku, jakaś kobieta, przytulona do ściany, kryje łzy osobistego cierpienia? Rozpatrywał badawczo swoje postępowanie i nie znajdował winy, dochodził do wniosku, iż on w danej chwili nie

może niczemu zaradzić, a mimo to, nie mijał przykry stan, trudny do określenia i mało mu znany, zbliżony do smutku, pełen niepokoju, graniczący z trwogą... Powieściopisarz doświadczał uczucia, iż jakaś ręka obca, szorstka, nieprzychylna i mocna trzyma go za kołnierz i że ta ręka prowadzi go kędyś, do jakichś drzwi, za któremi jest mrok i niebezpieczeństwo; to znowu zdawało mu się, że w nim samym są te drzwi i że myśl dotarła do nich i posłuszna czyjemuś rozkazowi, musi je pchnąć i wejść do niezbadanego przybytku i zostać tam, i cierpieć, i poznawać... W każdym razie coś niedobrego pełzało w duszy... Rzyźniewski przyśpieszył kroku, spróbował zanucić, ale natychmiast stłumił śpiew, dziwnie niewczesny śród głuchego milczenia, śród domów, które przyglądały mu się posępnie szeregami czarnych okien. Bezludna ulica martwego miasta była niby mroczna nawa niezmiernej świątyni, która przeraża pustką, która budzi strach obecnością niewidzialnego bóstwa. Cicho pluchotała woda, ściekająca z rynien. Niesmak, który nękał pisarza, powoli ustępował miejsca innemu uczuciu. Na jakimś placu Rzyźniewski zatrzymał się, ogarnął spojrzeniem pustą przestrzeń, przyglądał się długo, żeby wyryć w pamięci niezwykły widok, żeby zapamiętać do końca życia to wrażenie. Po bruku, przez sam środek placu, pędziła co tchu dziewczynka bez kapelusza i okrycia, w jednej sukni; w zaułku zamajaczyły dwie sylwetki i znikły... Zaległa cisza. W ciszy czaiła się groźba... Powieściopisarz stał, rzekłbyś, w oczekiwaniu. Oczy z wytężeniem badały noc, wpatrywały się w dal, z której coś się nasuwało. Płynęły chwile, a każda rzucała na niego przerażenie, z którego rodził się dreszcz, rozkoszny i jednocześnie złowrogi. Nasłuchiwał, czy już się zbliża to, co ma przyjść... W uszach brzmiała od czasu do czasu nuta pieśni... Czuć tu było, jak w świątyni, obecność bóstwa, które mieszka niewidzialnie i niewidzialnie objawia swoją moc, obecność jakowejś wielkiej potęgi; przed wzrokiem zarysował się w oddaleniu niezmierny kształt, może olbrzymiej wieży, ruchomej, idącej wolno, strasznej. Myśl, przejęta bojaźnią, rozumiała bezsilną małość człowieka, ale w sercu budziło się pragnienie, by zawładnąć oną potęgą i z onej wysokości zapanować nad światem... Śnił się Rzyźniewskiemu przez chwilę sen ogromny... Wreszcie poszedł dalej. Odzyskał już spokój, zapomniał już o tem, co go trapiło. Cofnął się w porę od drzwi, za któremi sumienie miało zapoznać go z cierpieniem i prawdą... Bywało tak zwykle... Myśli brały lot szczytny, brały górną ucieczkę i przestawały spostrzegać złe, które cuchnęło gdzieś tam w zaułku życia, jak kupa brudu, hasło idei, niby

laska Mojżesza, wydobywała ze skały rozumu zdrój słów, które zmywały krew, które szumem zagłuszały jęki...

Powieściopisarz zadzwonił do mieszkania mecenasa Różyckiego, gdzie tego wieczora miała odbyć się narada. Nie było jeszcze nikogo. W salonie paliło się niewesoło kilka świec, które nie rozświetlały dostatecznie dużego pokoju. Obrazy tonęły w ciemności i tylko złote ramy tu i owdzie połyskiwały pozłotą. Od wysokiej rośliny wazonowej kładł się ogromny, dziwaczny w rysunku cień i chwiał się czasami na suficie — zdawało się, że to są ręce o rozczepierzonych palcach, ręce olbrzyma. Przez niezasłonięte okna zaglądała noc, a z nią jakgdyby oblicze owej władzy, która dzierżyła wartę nad miastem... Ale niepoczesny adwokat Różycki nie zwracał na nią uwagi. Najprzyjaźniej, najweselej przywitał Rzyźniewskiego, wziął go w swoje objęcia, potrzymał chwilę, jak brata, potem wesoło rozpoczął rozmowę. Opowiadał szczegóły dnia, nowiny ze stolicy państwa, które Rzyźniewski słyszał przynajmniej piętnaście razy, przesadzał, obarwiał je dowcipem i wyobraźnią, gadał tonem zadowolenia i chełpliwości, jakgdyby on tego wszystkiego dokonał. Powieściopisarz ożywił się i także wpadł w zapał.

„Szalone rzeczy, nie słyszane rzeczy!“ powtarzali obaj co chwilę. I obalali rządy a na gruzach państw zatknęli kwitnący purpurą sztandar... Potem wywiązała się sprzeczka. Rzyźniewski, któremu marzyły się boje, gwar ogromnych zdarzeń, rycerskie obrazy, był za czynnem wystąpieniem. Mecenas wierzył w postęp stopniowy, w pokojowe zdobycze... parę razy szczęknęły szyderstwa.

— Wy przy biurku, z nad biurka i z biurka—mówił pisarz— i nie bierzecie w rachubę sił żywiołowych... zresztą wy nie do walki — Rzyźniewski złośliwie zmierzył od stóp do głowy adwokata - tymczasem tradycye narodowe...

— Tradycye szlacheckie...—zjadliwie odciął się Różycki.

— Chociażby szlacheckie... Walka o wolność była naszem zadaniem, celem naszego istnienia, historyczną misyą... Robić narodowy geschcft kosztem tamtych, nie uchodzi...

Mecenas, który po matce miał krew żydowską i był drażliwy na punkcie pochodzenia i wszędzie dopatrywał się aluzyi, błysnął złowrogo oczami, ale pohamował się. Wstał tylko i zaczął chodzić. W tej chwili wszedł Śniałowski. Rzyźniewski zaciął się, nie dokończył zdania... Przywitali się w milczeniu, i Śniałowski usiadł przy oknie, w cieniu. Zaległa cisza. Oni dwaj czekali, żeby odezwał się przybyły, ale tamten zwiesił głowę i popadł w zadu-

mę, jak gdyby był sam w pokoju. Jego milcząca obecność krępowała... Opowiadano przecież w mieście o Śniałowskim, że w obecnych czasach ma ogromne znaczenie, że odegrywa rolę tajemniczą i bardzo doniosłą, że jest poniekąd kierownikiem, że niedawno jeździł kędyś i bawił długo poza krajem, że o celach i wyniku podróży nie mówił nikomu... Rzyźniewski widział go poraz pierwszy, był ciekawy i rad z poznania. Zwrócił się z jakąś pochwałą, z jakiemś pytaniem—nie otrzymał odpowiedzi. Śniałowski tonął w zamyśleniu. Cisza była dziwną, stawała się przykrą. Mecenas, trochę zakłopotany, przesuwał krzesła, powieściopisarz przechadzał się, kierując kroki ku ścianie, z portretem kobiety cudownej piękności... poddawał się czarowi, poił oczy radością...

— Przyjdą?—spytał naraz Śniałowski.

— A jakże... zapraszałem... powinniby już być — skwapliwie podchwycił gospodarz — w tem mieście nie było jeszcze zebrania, któreby rozpoczęło się w porę...

Śniałowski spojrzał na zegarek, i znowu zapadło milczenie. Była chwila, iż Rzyźniewskiego wzięła ochota opuszczenia posępnego pokoju i ponurego towarzystwa, że padł na niego strach może od niezasłoniętych okien, przez które zaglądała noc, może od dziwacznego cieniu rośliny na suficie, może od Śniałowskiego, który wciąż siedział ze zwieszoną głową. W zdenerwowaniu wydawało mu się, iż przez szyby patrzą ku niemu liczne twarze ludzkie, że portyera u drzwi się rusza, że za nią ktoś się kryje i słucha... Szukał pociechy w portrecie kobiety niezwykłej piękności...

Niebawem zaczęli napływać zaproszeni na naradę. Stawili się: „Dyabeł," wysoki mężczyzna z bielmem na oku, Ryszard, oboje Orkiszowie, Paweł z panną Malinowską, Klemens Pius Drzazga, który w przeciągu tygodnia zmienił radykalnie przekonania i zapisał się do partyi, tak zwany Samarczyk, pewien niemłody pan, którego obrażano przydomkiem „Stary słoń," albo w skróceniu „Stary" i inni.

Zapanował gwar. „Dyabeł" był dowcipny, Klemens Pius Drzazga — gaduła, w pokoju brzmiały ich donośne głosy, cienki śmiech Józki Orkiszowej, namiętny dyszkant Różyckiego, który wszczął z kimś spór, a w sporze nie umiał zachować granic spokoju i wybuchał. I znowu przy okazyi powtarzano sobie najświeższe wiadomości, które, wędrując z ust do ust, rosły, mnożyły się, zabarwiały się. Wierzono wszystkiemu. Ktoś opowiadał o wybuchu rewolucyi w państwach ościennych, wyrywano sobie jakiś poszarpany numer gazety zagranicznej, co chwila ktoś szedł do okna, wychylał się, słuchał, badał ciemności... Rozeszła się

pogłoska, iż tej nocy wyruszy pociąg z delegatami i że ma być zdobytą twierdza... Klemens Pius Drzazga wskoczył na krzesło i palnął mowę, w której witał rzeczpospolitę ludową, wzniesioną na gruzach „szlachecko-klerykalnego kryminału.“ Mowa nie wywołała echa... Panna Malinowska, jaskrawie strojna, szeptała na kanapie z jakimś młodzieńcem... Rzyźniewski omijał ją z dala, unikał Pawła, który zapytał go niezgrabnie o Hankę, krążył dokoła gospodyni, która była tą przecudnie piękną panią z portretu... Śniałowski w swoim ciemnym kącie milczał w dalszym ciągu, opuszczony, zapomniany... Pierwszą osobą w tym pokoju, w tem zgromadzeniu był Ryszard i on to zagaił posiedzenie. W krótkich, dokładnych słowach, tonem urzędowym zdawał sprawę z przebiegu wypadków, których jakoby był twórcą i kierownikiem. Wyglądało, że on jest wodzem głównym, który doskonale wie o każdym ruchu, który wszystko przewidział, bez którego woli nie staje się nic. Powtarzał nieustannie: my, akcentem wzbudzającym zaufanie. Był spokojny, ale parę razy niepewne spojrzenie jego pobiegło w stronę Śniałowskiego, którego nazwisko wymieniał, którego brał na świadka. Potem omawiano kwestyę zdobycia głównej linii kolejowej, która znajdowała się dotychczas w ręku przeciwników politycznych, kwestyę przeszkodzenia wyruszeniu owej delegacyi, złożonej także z przeciwników, sprawę zawładnięcia drukarnią i wypuszczenia odezwy, sprawę rozdawnictwa chleba. Odbyło się jedno głosowanie i drugie wobec rozbieżności zdań. Ryszard przewodniczył wytrawnie, hamując zapędy krasomówcze Klemensa Piusa Drzazgi i zapał Rzyźniewskiego, który, przesadziwszy jednym skokiem porządek dnia, przeszedł do zasad ogólnych.

— Ja proszę o głos—odezwał się w pewnej chwili ze swego kąta Śniałowski.

— Towarzysz Śniałowski...

Natychmiast uciszyło się. Śniałowski ociężale dźwignął się z krzesła.

— Przedewszystkiem—zaczął—to, co wy robicie tu... to jest śmieszne... porządek dnia, wotowanie, protokół... W takim dniu i w takich czasach... Naśladujemy biurokracyę...

Rzyźniewski rzucił kilka słów śmiałych i żywych i zaraz mu przerwano... Co to znaczy?! Mamy grać komedyę?! Spojrzał po obecnych.

— Ale właściwie ja nie o tem miałem mówić... to na potem... Trzeba zacząć od tego, by parę osób opuściło to zgromadzenie...— i znowu spojrzał po sali.

Była cisza. Śniałowski nie miał żadnej władzy, Śniałowski był najmłodszy, ale zebranych ogarnęła trwoga. Posądzenie o szpiegowstwo przemknęło przez myśl każdego, a takie posądzenie było wyrokiem śmierci. Oczy przelękły się oczu i spuszczone utkwiły w ziemi, by nie widzieć, by nie spotkać się z niczyim wzrokiem... A Śniałowski, jak gdyby chciał utrzymać ich w dreszczu przerażenia, zwlekał.

— Pani wyjdzie stąd—rzekł potem spokojnie, wskazując pannę Malinowską.

Panna Malinowska zerwała się i krzyknęła gminnie, brzydko, piskliwie, jak ktoś, którego duszą za gardło. Podbiegła do Śniałowskiego z pięściami, z burzą. On zaś odepchnął ją lekceważąco i mówił dobitnie:

— Wyłączam z grona naszego rozpustę, brud, cynizm, fałsz... Dziwię się, że wy tolerowaliście tak długo... Ta pani życiem swojem, swojem imieniem, które cieszy się sławą, rzucała na nas cień i hańbę. Od dnia dzisiejszego chyba dość... Ja nie mam władzy żadnej, ale chcę tego — inaczej wyjdę...

Obowiązkiem przewodniczącego było rozstrzygnąć. Ale Ryszard pochylił się nad stołem i milczał. Nie lubił występować przeciw Śniałowskiemu. Śród zgromadzonych był odruch zadowolenia, że to nie oni, nie każdy z nich postawiony pod pręgierzem, zastąpił tamtę, pierwsze uczucie strachu. Jednych zabawiła ta niespodziewana scena, która urozmaicała w sposób szczególny tok obrad, innym wobec milczenia, które trwało, zabrakło odwagi, by zaprotestować. Panna Malinowska ucichła także. Śmieszna w swoim olbrzymim kapeluszu i jaskrawej sukni, stała pośrodku pokoju i wzrokiem zaczepiała to tego, to owego, pytając, zali nikt nie weźmie jej w obronę.

Była blada, i Rzyźniewski, który nie spuszczał jej z oka, pomyślał, iż ona jest dziwnie piękna, że nie starzeje mimo lat, które biegną, że trzeba być niezwykle niewrażliwym na wdzięki, by ośmielić się targnąć się na taką potęgę. To samo zapewne myśleli inni. Jak przed laty bił od niej blask i szła od niej groźna siła. Jej piękno przypominało płomień i kwiat, który palił się na czarnym jej kapeluszu, był trafnym jego symbolem. Tym, którzy wpatrywali się w jej drgającą, zbielałą twarz, mogło się zdawać, iż ona rzuci się na wszystkich zgromadzonych, że zmiażdży ich, że zaśmieje się zwycięsko, że każe klęknąć u swoich stóp i przepraszać... Byłoby to w jej typie, a oni byliby może posłuszni... Ale panna Malinowska pokorniała. W pewnej chwili uczy-

niła Pawłowi jakiś znak—i wyszli oboje. W przedpokoju zaszeleścił jedwab jej sukni, stuknęły drzwi...

XI.

Na ulicy panna Malinowska wsparła się na ramieniu Pawła, przytuliła się do niego i szła milcząc. On także tymczasem nie miał jej nic do powiedzenia. Tam, na posiedzeniu oszołomiony odezwaniem się Śniałowskiego, nie opamiętał się aż do końca. Jak szable zapaśników na pojedynku ścierały się w nim sprzeczne uczucia. Chwila była ciężka, trudna, niespodziewana, uderzyła jak obuch. Ze wstydu spuścił oczy, ze wstydu nie sięgnął po gotowe zdanie, które leżało w zanadrzu, które przeważyłoby zapewne szalę. Rumieniec powlókł mu czoło. Czuł piekącą urągliwość skierowanych ku niemu spojrzeń. Dawniej lubił występować sam przeciw wszystkim z uporem, w duchu przekory, odważnie i, nie dbając o nic, liczył się tylko z własnem przekonaniem, teraz schował swoją śmiałość do kieszeni. Obok niego zacny Orkisz, który nudził go dziś nieśmiertelnym dowcipem o „dobrym merze“ (le bon maire), skubał z zakłopotaniem swoje trzy włosy na brodzie, ktoś szeptał i uśmiechał się, dalej — surowa i wroga postać Śniałowskiego, i ona, strojna i wspaniała, piękna, złamana. Uczyniło mu się żal jej. Gdy skinęła nań wzrokiem, wstał i przyłączył się do niej. Nie myślał wówczas, jakie będą tego postępku skutki, że zerwanie z partyą należało do następstw, najmniej w danym czasie pożądanych, że nie warto było dla panny Malinowskiej, która zaczynała mu ciężyć, zdobywać się na krok stanowczy i ryzykowny. Uniosła go może rycerskość, może był tylko posłuszny...

Szli wolno pustym chodnikiem, pod deszczem, który wzmógł się. Chwilami zrywał się i wiatr i uderzał w nich zimnym powiewem, siekł kroplami ich twarze, jak gradem. Gęsta chmura niepogody zawisła nad miastem. Przechodząc koło wysokiej kamienicy, Paweł poznał, że to jest dom teścia, i spojrzał w okna. Przez zapuszczone firanki przemykały się smugi obfitego światła, i nawet można było dostrzedz, że w salonach znajduje się dużo osób. W tej chwili wyminął ich jakiś pan, a wyminąwszy, zatrzymał się i odwrócił. Był to Obroński. Uchylił kapelusz i wciąż przyglądał się, może zdumiony, iż widzi Pawła w tem miejscu, z tą panią... Postąpił ku nim parę kroków, a wówczas Paweł, odtrąciwszy pannę Malinowską, która przytrzymywała go, podszedł bliżej.

— Odbywa się tu zebranie? — spytał, nie mając co rzec.

Obroński przyjrzał mu się uważnie.

— Pan nie wie? Prawda w tych czasach trudno jest wiedzieć cośkolwiek... Pani Aga umarła, i właśnie mają wynieść zwłoki...

— Umarła — powtórzył Paweł zupełnie obojętnie i, popatrzawszy Obrońskiemu w twarz, nie dodał nic więcej.

Podniósł oczy ku oknom, ku onemu światłu, przez mgnienie rozważał coś, następnie szybko skierował się ku bramie. Obroński podążył za nim.

— Z krótkiej choroby... onegdaj... podobno nikt się nie spodziewał — informował Pawła po drodze.

Na schodach stało oparte o ścianę wieko od trumny, ze złotym krzyżem, i czekali jacyś ludzie, zapewne „karawaniarze," którzy skracali sobie czas głośną rozmową. Drzwi do mieszkania były otwarte, i wionął przez nie okropny, gęsty, duszący zapach, przeraźliwy zapach pokoju, w którym śród swędu świec i woni kwiatów rozkłada się trup... Paweł zawahał się, nagle onieśmielony i zastraszony, ale Obroński pchnął go lekko i razem weszli wprost do salonu. Oczy pobiegły, pełne odrazy i lęku, wnet odnalazły, zatrzymały się i wpatrzyły, nie widząc już nic innego. Dotknęły z niedowierzaniem powiek, żądając, żeby się dźwignęły, przemknęły po czole, chłodnym i surowym pod gładko zaczesanemi włosami, zaczepiły o ręce, niezgrabnie splecione z krzyżem, sztucznie wsuniętym między wydłużone, cienkie, niedołężne palce, spoczęły na ustach, zaciśniętych w obcy, niewidziany nigdy za życia wyraz, ogarnęły całą postać, jedwab jasno-szarej sukni, fałdy poduszki, która ugięła się głęboko pod ciężarem głowy, srebrne blachy trumny, płomyki świec, zielone krzewy roślin... I zdjęte bojaźnią starały się unikać twarzy, która w wesołem migotaniu świateł śniła swój sen daleki i niepojęty, straszny przez to, że na wieki niewyjawiony, która pod skierowanym na nią wzrokiem była martwą, a gdy tylko wzrok przestawał pilnie szpiegować, zdawała się spoglądać... Paweł badał spiczaste końce bucików, rysunek dywanu na katafalku, wysokie lichtarze — i natychmiast wydawało mu się, że tamte, że jej oczy spozierają ku niemu, że ona patrzy przenikliwie i czegoś wymaga od niego... Więc ze strachem podnosił spojrzenie, śledził ukradkiem, trwożnie szpiegował... Przekonywał się, że niezmącony sen bezwładnych powiek, niemy sen oblicza trwa, że zagasły na zawsze źrenice i nigdy nie przemówią do niego, że ona martwa jest, oddalona niezmiernie, obojętna niezmiernie — odwracał się, a zaledwie odwrócił, znowu czuł utkwione wejrzenie trupa... Była groza w tem przerażającem złudzeniu...

Nie chciał jej widzieć—i wciąż oglądał, ciągle badał.. W pamięci ugrzęzła wiadomość, że ów kształt, owa rzecz, odziana w jedwab szarego koloru, złożona do srebrnej trumny, otoczona świecami, że to jest żona jego, ta sama, którą kochał przed ślubem, którą prowadził do ołtarza, którą trzymał nieraz w objęciach, którą potem w nienawiści porzucił, która niecierpliwiła go swoim głosem chrypliwym, swoją ziewającą w obecności jego nudą i śmiechem, ale wiedzy świadomej, oczywistej pewności nie było. Poznawał rysy pięknego oblicza, włosy, linię rąk, a nie mógł tego, co spoczywało pośrodku pokoju na dziwacznem wzniesieniu, tych zwłok cuchnących, wystawionych na pokaz, nazwać imieniem Agi, imieniem żyjącem. Rozumiał, że imię to przestało istnieć na wieki, że nie zawołają nim nigdy niczyje usta, że wyraz, pozbawiony treści, którą zawierał, umarł, ogarniał okropność gwałtu zadanego człowiekowi żyjącemu, człowiekowi, który był a niema go, który rozmawiał a zamilkł, który ubierał się w ładne suknie a leży nieruchomy,—i wzdrygał buntowniczo, odruchowo odpychał od siebie prawdę. Pocieszało go niewątpliwie poczucie obcości, wyraźnie doznawane w stosunku do niej, do żony, owa przestrzeń tak niezmierna, że nieprzebyta, która legła między niemi, owa nieskończona dalekość, w której przebywa śmierć, przepastny przedział...

Oto tu stoi on, Paweł, żyjący śród żywych i odejdzie stąd, gdy tylko zechce i wróci do swego mieszkania pod № 37, do swego łóżka, do książki „O upośledzeniu moralnem ludu," do poniedziałku, który się skończy za kilka godzin, po którym następuje wtorek, a tam jest w trumnie martwe, niepotrzebne ciało, niepotrzebnie z okazałością prezentowane tłumowi ludzi, szepcących po kątach, ciało o kształcie i podobieństwie człowieczem — i nic między niemi niema wspólnego. Przedmiot, który leży na podwyższeniu w jaskrawem świetle, pomiędzy zielenią krzewów, któremu on tak długo przygląda się, nosił niegdyś imię Agi — tak, zapewne, ale dziś nieposiada żadnej nad nim, nad Pawłem, który żyje, władzy, nie może mu w niczem zaszkodzić, nie może odebrać mu życia... Trumnę z rzeczą martwą, z ową głową, wciśniętą w poduszkę, z ową, pogrążoną w spanie kamienne, białą twarzą, którą szpeci wązki strumyk wyciekłej z nosa niedostatecznie zatamowanej watą ropy, zaniosą za chwilę na swoich barkach oni, ci, którzy głośno gadają na schodach, wprzód do kościoła, gdzie odbędzie się pompa, potem do ziemi, do chłodnej, jesiennej, wilgotnej, przysypanej liściami ziemi, która pochłonie, przykryje, zagarnie na zawsze, która jest końcem — on zostanie i żyć będzie i budzić się będzie co rana w tem mieście, pełnem gwaru, ruchu,

śpieszących ludzi i witać będzie słońce, smutne deszcze, błękitne niebo...

Z tego przeciwstawienia wynikała rozkosz, pomieszana z przerażeniem. Ohydna prawda przemawiała smrodem rozkładającego się trupa, tkwiła przed oczami, narzucała się okropnością widoku — i dusza bała się w głębinach. W sercu Pawła, który od szeregu lat, od dnia, gdy dzieckiem będąc, chował matkę, nie widział śmierci osoby, zblizka znanej, uczyniła się próżnia. Rozproszone myśli śmigały po powierzchni zjawiska, kruszyły się, zmykały, kryły się, nie chcąc dociekać, i milkły bezsilne, sztywniały w lodowatem osłupieniu. Paweł stał się tak obojętnym, jak owe zwłoki na marach. Nieroztropnie patrzał przed siebie i zbierał nieroztropne, pozbawione wszelkiej wartości, spostrzeżenia. Dziwiło go, iż niektórzy zbliżają się do trumny i pochylają się nad ciałem i całują owe niekształtne, bezwładne, niedołężne ręce, dziwił się, że ktoś płacze w drugim pokoju, że inni rozmawiają półgłosem, przypominały mu się drobne szczegóły z życia zmarłej, jej gusta, powiedzenia, przyzwyczajenia: namiętność do cukierków i wstręt do cytryny, niezmiernie twardy sen, z którego budziła się nieprzytomna, po którym wstawała z twarzą obrzękłą, częste fotografowanie się, wyraz „execrable,“ którego używała co parę słów, pudełko z kości słoniowej, w którem ukrywała coś, policzek, który wymierzyła pannie służącej za przypalenie czoła przy fryzowaniu włosów... Zadawał sam sobie jakieś pytania i nie odpowiadał na nie... Przeliczył lichtarze, przeczytał napisy na wstęgach od wieńców... Zauważył, iż publiczność, zebrana w salonie, przygląda mu się z zajęciem, że jakaś pani przyłożyła do oczu lornetkę „face à main“ i jego obrała za cel, że weszła uroczyście hrabina Skomoroch, że panna Malinowska stoi na progu, dziwaczna w swojej ceglastej sukni... Zresztą to wszystko nie obchodziło go zgoła. Tak samo nie obchodziła go już teraz śmierć. Nie widział jej, nie ogarniał, nie zgłębiał... Straszliwa tajemnica straciła grozę i była tylko widowiskiem, niezwykłym obrazem, przed którym stał zmuszony, który radby co prędzej zapomnieć. Z paskudnem zadowoleniem myślał, że ostatecznie to wszystko rychło się skończy, że zabiorą tę trumnę, zaniosą, zakopią, że on nigdy więcej nie zobaczy tego oblicza, że to przeminie... Ale w głębinach dusza bała się — i otwarła się w niej otchłań i z samego dna otchłani coś wołało... Do świadomości nie dochodziło tymczasem słowo tego wołania... Było niejasne przeczucie, które przerabiało się na okrutną złość do trupa, na niemniej okrutną radość... Nieznośnie nużył Pawła obrzydliwy zapach, złożony ze

swądu świec, z woni wieńców, z cuchnięcia ciała... nieznośnem mu było jaskrawe oświetlenie... nużyły uroczysta cisza i trwoga szeptów... W pewnej chwili ktoś wziął go za rękę — panna Maryńcia. Jej miłe, rozumne, przenikliwe, przedzielone zmarszczką oczy, które tak lubił dawniej, oczy żyjącego człowieka, sprawiły mu przyjemność.

— Pawle — szeptała panna Maryńcia — mama prosi ciebie... w małym saloniku...

— Dobrze — odparł głośno w pik ciszy, w pik im wszystkim milczącym i sam przeraził się swego głosu. Mimo woli spojrzał na nią, na tamtą, pogrążoną w spaniu...

Bez namysłu poszedł, obojętny na ciekawy wzrok tłumu, bez szczególnego wrażenia przywitał swoją teściową.

Pani Kamieniecka pocałowała go w same czoło.

— Wobec tego nieszczęścia, Pawle — zaczęła po francusku — zapomnijmy, przebaczmy sobie... ona przebaczyła już nam...

— Zaniosła się od płaczu, płakała długą chwilę...

— To przyszło nagle, niespodzianie — mówiła szybko dalej, wciąż ocierając sobie oczy — przed tygodniem była zdrową, we środę poczuła ból głowy... ktoby mógł przypuszczać... doktor nazwał to influenzą, ale zażądał konsylium... ukrywali przedemną...

Paweł słuchał ze zwieszoną głową. Szczegóły choroby zajmowały go mało, ale było mu żal teściowej, która płakała, nietyle może jej samej, ile jej twarzy, brzydkiej w cierpieniu i we łzach, znużonej, pospolitej, z gminnem wykrzywieniem bólu...

— W sobotę z rana — kończyła swoją bezładną opowieść pani Henryetta — uczesała się jeszcze sama... przymierzyła jakiś kapelusz... spytała o obiad... a było już źle... przedemną ukrywali... na szczęście ciocia Hubertowa w porę pomyślała o księdzu... ona, biedaczka nie chciała za nic, ale potem duch mojej matki natchnął ją i zgodziła się. Mówiliśmy jej, iż po ostatniem namaszczeniu ludzie najczęściej zdrowieją... była wesoła i powtarzała: „ale ja nie umrę... napewno nie umrę...“ bała się bardzo... chciała, żebyśmy byli wszyscy przy łóżku... musieliśmy twarzą pogodną udawać, wymyślać rzeczy zabawne... o zmroku krzyknęła okropnie i już ten krzyk trwał... — pani Henryetta zasłoniła oblicze.

— Modlimy się za nią — odezwała się — prosiłam o msze gregoryańskie, ciocia Hubertowa pisała... ale jej dobrze jest tam, dokąd poszła... Bóg zabrał dojrzałą duszę i zapewne tak lepiej jest... tylko nam — ta śmierć... trzeba poddać się, Pawle, cierpieć bez szemrania, przyjąć ten krzyż...

Pani Kamieniecka splotła ręce na kolanach i przybrała pozę skamieniałej rezygnacyi. Paweł lubił ją mimo okrągłych frazesów, mimo konwencyonalnych kłamstw, które plotła w każdej okazyi z wiarą czy bez wiary, i znowu uczyniło mu się jej żal. Wzruszał go wyraz jej twarzy niemłodej, którą gminnie skurczył, zeszpecił i postarzył ból i szukał w myśli jakiegoś zdania, jakiejś odpowiedzi, któraby nie zabrzmiała fałszywie.

— Wiedziałam, że przyjdziesz, Pawle — mówiła za niego — zgadłam, że skoro dojdzie ta wieść... nie posłano ci zawiadomienia, a mimo to przyszedłeś... to jej duch... ona opiekuje się tobą i przyprowadzi ciebie do kościoła, obudzi w tobie wiarę... już dziś modliłeś się... jaka ona piękna, jaka anielska w trumnie...

Pani Henryetta zaczęła chlipać, potem ruchem dobrym i serdecznym z prostotą wyciągnęła do Pawła rękę. Miało to znaczyć, że audyencya jest skończona. Ale Paweł nie odchodził... Ruchliwe oczy pani Kamienieckiej przebiegły pokój, przemknęły po tłumie. Przywitała kogoś zdaleka smutnem kiwnięciem głowy, skinęła na pannę Maryńcię i kazała sobie przynieść wody kolońskiej, którą wytarła skronie, kapelusz z krepą, jakiś obrazek, który darowała Pawłowi, znowu smutnie kiwnęła komuś głową... Naraz szybko podniosła się z krzesła... To hrabina Skomoroch, która dotychczas klęczała przy zwłokach, ukazała się we drzwiach i szła uroczyście... Odbyła się ceremonia kondolencyi. Bez słów, bolesnem spojrzeniem, bolesnym wyrazem oblicza, uściśnięciem ręki hrabina okazała swoje współczucie... Panie usiadły obok siebie w milczeniu, obie zbolałe, obie w pozie skamieniałej rezygnacyi... Pani Henryetta płakała... potem jęła opowiadać po francusku te same szczegóły, temi samemi słowy.

... w sobotę rano uczesała się sama, przymierzyła nowy kapelusz, zapytała o obiad — słyszał Paweł, który cofnął się, ale nie wiedząc co robić z sobą, został w pokoju.

Było tu dużo osób: Maryńcia, Klara, Obroński, panna Pelisia, księżniczka, sami krewni albo dobrze znajomi. Rozmawiano półgłosem, jedni o zmarłej, inni o rzeczach obojętnych i jakkolwiek śmierć z za drzwi rzucała groźny cień, życie wstępowało tu w swoje prawa, lekkomyślnie przechodziło do porządku, z lekceważeniem odwracało się... pod głazem strachu, który przygniatał, radośnie biły serca zebranych... Obroński z radcą w okularach prowadził szeptem spór polityczny, pani Klara, która nie umiała mówić cicho, oburzała się donośnie. Ktoś przyniósł z miasta wiadomość, iż socyaliści mają urządzić demonstracyę i przeszkodzić pogrzebowi i powtarzano ją sobie z ust do ust, a także zdanie

hrabiny Skomoroch, że ci, którzy nie uznają kościoła i Boga, nie uszanują i śmierci...

Pani Klara zbliżyła się do Pawła i spytała go wręcz:

— Czy to prawda, że pan zapisał się do socyalistów? Jeżeli tak, to pan powinien, pana obowiązkiem jest pójść tam do nich i zabronić im... bo to okropne... opowiadają tu, że ci obrzydliwcy chcą strzelać do konduktu...

Paweł zmieszał się i dał odpowiedź wymijającą. Zostawiono go w spokoju, a pogłoska z dodatkiem komentarza hrabiny Skomoroch kursowała dalej i szedł popłoch, rosło oburzenie. Księża naradzali się... Paweł rozumiał, że niechęć świetnego towarzystwa zwraca się w pewnej mierze przeciw niemu, że patrzą na niego, jak na wyrzutka i wyklętego, i ogarniała go nieśmiałość. Wstydził się roli swojej, a także swego przemokniętego do nitki, zachlapanego błotem palta, wydawało mu się, iż wygląda śmiesznie i że Obroński kpi z niego, że księżniczka odwraca wzrok... Niegdyś on był jednym z tego grona i miał tu swoje prawa, swoją pozycyę i znał ich wszystkich, równy śród równych i nawet zabiegano o jego względy i nikt nie pogardzał... — myślał z pewnego rodzaju żalem, który zajął miejsce gniewu, nienawiści i pogardy... Struchlałe serce nie zdobyło się na chełpliwą dumę... Dawniej z pychą przeciwstawiał siebie im, z radością podkreślał swoją odrębność — dziś stał ze spuszczoną głową jakby pobity... W pewnej chwili niedbałe spojrzenie hrabiny Skomoroch spoczęło na nim i wpadł mu w uszy szept teściowej, informujący, iż on jest mężem zmarłej, że między nim a nieboszczką zaszło nieporozumienie — une petite brouille — spowodowane jego bezwyznaniowością, że dlatego nie zawiadomiono go o śmierci... i dowiedział się dalej nie bez zdumienia o cudzie, spełnionym przez zmarłą już po śmierci, który polegał na tem, iż on, Paweł, przyszedł tu wiedziony przeczuciem i modlił się przy trumnie pierwszy raz w życiu...

Paweł odsunął się jeszcze o parę kroków, stanął we framudze... W tym dalekim kącie ktoś krył się, ktoś, który tak samo, jak on, nie brał udziału w rozmowie, nie należał do towarzystwa i chciał być jak najmniej na widoku. Był to Hilary Kamieniecki. Ale Paweł nie poznał odrazu swego wykwintnego teścia w tym starym, dziwnie ubranym, nieuczesanym i nieogolonym panu, który wrósł w swoje krzesło, znieruchomiał w postawie niedołężnej i znękanej czy znużonej... Bezwładna głowa oparła się o ścianę, ręce zwisły apatycznie, oczy patrzały niespostrzegając, oczy osłupiałe. Można było myśleć, iż ten człowiek umarł,

gdyby nie gors koszuli, który podnosił się i opadał równomiernie w wolnym oddechu i nie strój światowy, modny smoking, w który nie odziewają nieboszczyków... Hilary Kamieniecki wrócił w tym smokingu przed kilku dniami z jakiegoś posiedzenia na godzinę przed skonaniem córki — i odtąd nie mógł ani spać, ani jeść, ani nawet przebrać się... Włóczył się po domu, omijając zdala salon, gdzie stały zwłoki, chował się w swoim gabinecie, szedł do kuchni i tam w rezultacie spędzał całe dnie śród służby, zdziwionej jego obecnością. Pracowite uwijanie się tych spokojnych, trzeźwych, wesołych ludzi sprawiało mu ulgę i kuchnia była jedynem miejscem, do którego nie zaglądała śmierć... Tak samo siekano kotlety, tak samo w rondlu perkotała zupa, tak samo palił się gorący i radosny ogień... Lubił patrzeć i zdawało mu się, że zapomina... Przesiedział z kucharzami, którzy nie mieli bolesnych min i nie gadali mu kondolencyj, całą noc... przed godziną wyciągnięto go z kuchni na eksportacyę i zjawił się brudny, w zgniecionej koszuli, w zmiętem ubraniu, z twarzą okropną, zaszył się w kąt najciemniejszy, nie witał się ze znajomymi, nie poznawał członków rodziny... Pani Henryetta powtarzała wszystkim, żeby usprawiedliwić zachowanie się męża: „mon pauvre mari est abimé de douleur... il adorait Aga“ — i nie zwracano na niego uwagi. On zaś, pozornie obojętny na wszystko, znosił mękę bez miary i nie widział jej kresu. Przez wszystkie te dnie od chwili, gdy w oczach jego zaczęło drgać i prężyć się i charczeć ciało córki, wsłuchiwał się i słyszał ciągle bicie własnego serca, szybkie, przerywane, nierówne i bał się, że ustanie, że pęknie, że nie wytrzymają kruche ścianki tętnicy i czekał, że już za mgnienie... Wstrzymywał oddech, słuchał... Książki lekarskie, które wertował niegdyś troskliwie, nauczyły go rozumieć, poznawać, przewidywać, i on wiedział z pewnością mimo niedomówień doktora, że tak zwane zwapnienie, arteria sclerosa, trawi jego organizm. Żył w trwodze, każdego wieczoru zasypiał ze strachem i lubił budzić się jak najczęściej w nocy, żeby odzyskiwać świadomość życia, błogą świadomość, iż on jeszcze jest tu na ziemi, żeby czuć rozkosz istnienia, co rana cieszył się i myślał zarazem, że to może ostatni jego dzień... A w chwili, gdy córka zaczęła w konwulsyach przedzgonnych bić powietrze rękami i chwytać rzężącemi płucami oddech i rzucać się na posłaniu w beznadziejnej walce, gdy oczy jej zaszły mgłą konania, dopiero w owej straszliwej chwili poznał, zrozumiał, wchłonął ohydną treść śmierci... Strach końca nocy i nicości, z którym chodził oddawna po świecie, strach rozumowy, strach przewidującej my-

śli stał się trwogą rzeczywistą, fizyczną odrazą, rozpaczliwem przerażeniem ciała, które przekonało się o tem, co je czeka... Hilary Kamieniecki widział nieustannie ów salon, pełen smrodu, zieleni i świateł, pełen żałobnych, spłoszonych i szepcących ludzi, i katafalk, i trumnę, a w trumnie siebie samego, trup w tużurku, w nowych bucikach, i pogrzeb, i dół wymurowany... Dlatego obłąkanemi oczami patrzał przed siebie, wciąż w jednym kierunku... Nie spostrzegł Pawła, który stał obok, a gdy panna Maryńcia zbliżyła się do niego, nie słyszał jej słów.

— Ksiądz kanonik chciałby odłożyć eksportacyę na jutro rano, jeśli papa nic niema przeciwko temu—powtórzyła córka.

— Ja nie wiem — odparł pokornie i cicho.

— Podobno socyaliści będą strzelali...

— Nie wiem.

I nie mówił nic więcej. Panna Maryńcia przyglądała mu się z litością i cofnęła się ku drzwiom, gdzie stały kupą panny.

Spojrzenie Pawła przebywało tam oddawna. Odszukał księżniczkę i nie chciał z nią rozstawać się. W zmartwiałem sercu budziło się coś, jak gdyby przypomnienie dalekiego snu, dalekich lat, odzywało się echo przebrzmiałej radości, majaczyła błękitna smuga nadziei... Przed wzrokiem wstawały obrazy na podobieństwo tych, które ukazują się człowiekowi, gdy powiew przyniesie mu do celi więziennej wonie wiosenne, gdy czyjeś usta zanucą za kratą pieśń swobody i młodości, obrazy, nad któremi płacze żal, o których marzy tęsknota... Szeptało w duszy za progiem świadomości jakieś przeczucie, roiło się coś nieprawdopodobnego, snuła się żałosna skarga a jednocześnie zakradał się niezbadanemi drogami jakowyś promień... i w ukrytych przybytkach czynił się jasny dzień, otwierała się furtka, zamknięta od niepamiętnych czasów, jakoby furtka ogrodu, przez który biegnie cudna ścieżka, gdzie rosną najcudniejsze drzewa, gdzie pewna krynica... pochylało się nad nią wstydliwe pragnienie... Ale Paweł nie wiedział, co się odbywa w tajnem pomieszkaniu,—i tylko cieszyły się jego oczy... cieszyły się z rumieńca, który oblał tamte dziewicze oblicze, cieszyły się z niespodzianych spotkań spojrzenia, z jej młodości, z tego, że ona tu jest.. Pod spuszczonemi rzęsami księżniczki Marylki krył się figlarny blask jej wzroku, kryło się szczęście młodości, którem nie chciała obrażać śmierci i gorszyć obecnych... dwa trzy razy na mgnienie wyjrzało ku Pawłowi to szczęście, niby dobra obietnica, i znowu schowało się za prześliczną zasłonę rzęs... A on nie przestawał jej dziękować...

W pewnej chwili księża ubrali się w czarne szyte srebrem kapy i poszli do katafalku. Za niemi w tłumie ruszył i Paweł. Rozpoczęły się żałobne nieszpory. Ksiądz kanonik, przykleił czoło do płaskiej książki i szukał w niej oczami krótkowidza wersetów, które intonował — odpowiadała mu asysta. Przedziwna melodya łacińskich psalmów napełniła pokój. Poważny śpiew, w którego uroczystej jednostajności, nie było nic z modlitwy, z prośby, z żalu, rozlegał się nad zwłokami niby wyrok. Bojaźń ściskała serce obecnych... Zdawało się, że w mowie niezrozumiałej, w mowie minionych stuleci brzmi groźba, że to przemawia sam Bóg, że może stać się cud i zmarła powstanie, by słyszeć sąd i potępienie... W migotaniu świateł uśmiechało się kamienne oblicze... Nieboszczka śniła swój martwy, swój daleki sen, i ona to z oddali, gdzie przebywała, z niepojętej krainy, dokąd poszła, z wyżyn tajemniczej wiedzy, którą posiadła, sądziła tu wszystkich... Obojętne oblicze nie chciało nic wyjawić... I przychodziło na myśl, że surowe śpiewy giną bez echa, że nikt ich nie słyszy, że są niepotrzebne...

Traf zrządził, iż Paweł znalazł się koło księżniczki. Radość wionęła mu skroś serca jak kłąb pachnącego dymu... Widział jej ręce w czarnych rękawiczkach, splecione do modlitwy, skórzany pasek, który obciskał jej dziewiczą, szczupłą figurę, podniósł oczy ku twarzy, skupionej i bladej, chwycił spojrzeniem pasemko włosów, wykwitłe z pod kapelusza i całował je spojrzeniem. Niedaleko była i panna Malinowska w swojej ceglastej sukni, nieznośna, jaskrawa, rażąca plama śród czarnego tłumu... Odwrócił się, przeklinał ją w duchu... Ale groźne psalmy stłumiły wnet i tamtą radość i ten drugi gniew... Jak stado czarnych ptaków nocy, niby korowód żałobnych upiorów płynęły surowe dźwięki... myśl leciała za niemi posłusznie w kraj ciemności i śmierci, do miejsca przeznaczenia i korzyła się struchlała... Duszę ogarniało przerażenie...

Paweł przywitał żonę swoją. Zdawało mu się, iż od chwili, gdy opuścił ten pokój, minęło ogromnie dużo czasu, że on zapomniał a ona straciła swoją nad nim moc. Ale zaledwie spojrzał, uległ ponownie... Pogrążona w spaniu wieknistem, cicha, niezmiernie odległa, nieskończenie obca, mimo to mściła się na nim, trwożyła go, i naigrawała się się z niego, strasząc mu duszę prawdą śmierci... Migotliwe światło kładło na śniące oblicze powierzchowne uśmiechy, które łudziły, i zdawało się, że za mgnienie podniosą się ciężkie powieki i wyjrzą zbudzone, okropnie zdziwione źrenice... Przysłuchując się modlitwom, Paweł myślał,

że ona gdzieś jest, że te głosy gonią za nią i szukają ją w przestworach świata śród pustki bezmiernej i ciemności, że ona potępiona i błąka się samotna — i przenikał go dreszcz... W pamięci odżyły wierzenia dzieciństwa, młodzieńcza ciekawość zagrobowej tajemnicy, przesądny strach gniewu Bożego i mąk piekielnych... „Gdzie ona jest? w której krainie? czy ona patrzy, pamięta i widzi? kiedyż tym mękom nastanie kres?“

— Przemykały straszliwe pytania... I bał się księży, którzy otoczyli ją i, rzekłbyś, czynili nad nią niezrozumiałe a groźne zaklęcia... Oni tu mieli władzę i byli sędziami... brzmiał beznadziejny śpiew, na czarnych kapach połyskiwały szyte srebrem trupie czaszki i skrzyżowane piszczele...

A ona w niezmąconym spokoju, obojętna, martwa spała głęboko. I szedł od niej majestat, przed którym zbytecznemi stawały się i modły i płacz najbliższych i trwoga przerażonych...

Gdy skończyły się nieszpory, na czyjś rozkaz zamknięto i zaśrubowano trumnę... Pani Henryetta szlochała głośno... Pod srebrnem wiekiem znikł ostatni ślad człowieka, ostatnie przypomnienie... zmarła przestała istnieć. Na wzniesieniu stało metalowe pudło dziwnego kształtu i wyglądu, i ludziom, zebranym w tym pokoju, chodziło już tylko o to, by prędzej spełnić to wszystko, co zwykle się robi w takich razach. Służba rozsuwała wazony i lichtarze, kilku panów wzięło trumnę na barki.. Na ulicy kondukt ruszył szybkim krokiem, ponieważ obawiano się strzałów — i pogrzeb czynił wrażenie ucieczki. Ale ciemne ulice miasta milczały, było pusto i huczał tylko chłodny wiatr, który rozpędzał słotne chmury na niebie. W orszaku szeptano trwożnie. Całe towarzystwo objęte było jednem uczuciem: by coprędzej dobiedz do kościoła. I księża wciąż przyśpieszali kroku... Gdy z jakiejś bramy wynurzyło się kilku gapiów, taki niepokój przeleciał po tłumie, że wszyscy stanęli Wówczas zabrzmiał donośny, rozkazujący głos Obrońskiego. On jeden był mężny i nawet pragnął spotkania, jakkolwiek nie wierzył w możliwość demonstracyi. Ściskając rewolwer w kieszeni, patrzał czujnie... Uśmiechała mu się myśl walki z „hołotą,“ podobało się niebezpieczeństwo, cieszyła go własna odwaga. Wierzył, iż potrafi stanąć sam przeciw wielu, że mocą woli, gniewu, wzroku i dumą rozkazu złamie zuchwałość ciżby, że oni pierzchną podle... Hilary Kamieniecki, który wlókł się ostatni, także nie lękał się niczego. Nieruchomym wzrokiem śledził trumnę i oddalający się wóz i mówił coś do siebie. Lokajowi, który prowadził go, wydawało się, że on się modli bezustanku... a panna Malinowska przyglądała

mu się z szacunkiem, zgadując, iż to jest ojciec, ojciec zbolały bez miary... Cały pogrzeb zajmował ją bardzo. Badała stroje i twarze, przysłuchiwała się, snuła domysły i wnioski, dziwiła się, że ludzie ci, o których miała niedorzeczne wyobrażenie, tak są zwyczajni i prości, tak podobni do wszystkich. A mimo to odczuwała rodzaj bojaźni i onieśmielona szła zdala. Paweł, jej Paweł zmieszany z wykwintnem towarzystwem, stał się także obcym i nie zbliżała się do niego... Zauważyła księżniczkę i pełne zachwytu spojrzenia Pawła, poznała Obrońskiego, który rozmawiał z nią raz na wyścigach, traktował ją z cynicznem lekceważeniem, zaimponował jej... Był czas, że marzyła o nim. Dziś jego oczy, gdy tkwiła we drzwiach, uderzyły w nią i wypchnęły ją pogardliwie za próg pokoju. Patrzali i inni, na krótki moment zatrzymując na niej wzrok, i panna Malinowska rozumiała, iż wszyscy wiedzą, kim i czem ona jest... Została wszakże do końca... W kościele uklękła i sumiennie zmówiła trzy pacierze, powtarzając za innemi wyrazy, pozbawione dla niej wszelkiego sensu i treści... Potem czekała na Pawła, który zapomniał o niej, który jej poprostu nie widział... Wyszedł z Obrońskim, naradzał się z nim, witał się z paniami, wrócił do kościoła, gdzie gaszono już świece—i nie pokazał się więcej... Wówczas przeczekawszy napróżno, podążyła śpiesznie do domu w nadziei, że on ją wyprzedził. Ale i tam nie było Pawła... Panna Malinowska usiadła w sieniach, żeby być najbliżej schodów, na jakimś stołku, zapaliła jedyną, ostatnią z zapasu świecę i nasłuchiwała. Upływały długie godziny, mijał wieczór... ogromne mieszkanie tonęło w mroku, służba uciekła, była cisza... W każdym pokoju, w ciemności i pustce siedział strach—i milczał... Czasami wydawało się, że ktoś tam chodzi, że coś się porusza... Panna Malinowska bała się duchów i nie znosiła samotności. Przyszło jej na myśl, że to nieboszczka wróciła do swojej siedziby i czyha na nią w mroku, żeby udusić ją i odebrać Pawła, swego męża... Przeżegnała się raz i drugi, nakreśliła znak krzyża w powietrzu...

Na dworze huczał wicher jesienny, a mimo to z sąsiednich pokojów dochodził wyraźny odgłos czyichś cichych, ostrożnych stąpań.. Skrzypnęła podłoga, zaszeleściły na ścianie obicia, dotknięte ręką, która szuka poomacku... Nie pomagały modlitwy... Z każdą chwilą wzrastała pewność, że tam, za drzwiami, w ciemności ktoś jest, że to jest ona, żona Pawła, że idzie tu powoli, sennym krokiem... Pannie Malinowskiej przypomniały się historye o duchach, wyczytane w lichych książkach, znane z opowiadań historye, w których zmarli przychodzili mścić się, karać i stra-

szyć — i ogarnęła ją nieopisana trwoga. Bała się spojrzeć, chłodne dreszcze zatrzęsły nią, nie śmiała poruszyć się... Rozumiała, że uciekać za późno, że tamta rzuci się na nią, dogoni i złapie... czekała... I uczyniła ślub, przysięgą obiecała tamtej, że odejdzie stąd sama, że odda jej Pawła.. Na zegarach wybiła dziesiąta, dźwięki przebrzmiały, i znowu zaległo milczenie . Śród ciszy ktoś chodził, coraz bliżej szeleściła długa szata, za drzwiami, tuż obok coś stanęło... Panna Malinowska krzyknęła okropnie... Nie pamiętała, nie zdawała sobie sprawy, co było potem. Przytuliła się do ściany, zamknęła ze zgrozy oczy, zmartwiała w nieprzytomnem przerażeniu.. Zdawało się jej, że to już śmierć... słyszała dokoła chichot i szepty... obrzydliwe ręce targały ją za włosy, był chłód, była męka...

Wreszcie odezwały się na dole szarpnięte drzwi i poznała kroki Pawła na schodach. Szczęknął zatrzask — otwarła mu. Ale w tej chwili powiew zdmuchnął świecę.

— Kto to? ty, Pawle? — spytała szeptem, bojąc się znowu.

— Ja — zabrzmiał w ciemności oschły jego głos.

Skoczyła ku niemu. On zaś, myśląc, że to jest zwykły napad czułości, odepchnął ją niecierpliwie. Szukał zapałek, zapalił świecę.

— Nie idź tam, Pawle!—szepnęła błagalnie, chwytając go za ręce.

— Dlaczego? co znowu... puść...

— Nie idź tam, nie idź... — powtarzała tajemniczo z trwogą w głosie.

Zmierzył ją gniewnem spojrzeniem.

— Puść mnie—krzyknął—dlaczego nie mam iść? stało się co?

— Nie idź... nie można... czekam tu oddawna... słyszałam... — trzęsła się cała, patrzała mu w oczy nieprzytomnym wzrokiem.

— Tam jest ona — wyznała z przerażeniem.

— Ona tam jest... żona twoja... ja wiem... słyszałam...

— Żona twoja przyszła tu i chodzi po pokojach—mówiła dziwnym głosem, cicho, jakgdyby we śnie, twierdząc z przekonaniem.

I tyle było strachu a zarazem taka pewność w jej słowach, że Paweł drgnął i cofnął się.

— Co ty wygadujesz? — mruknął.

I wahał się chwilę. Potem wyrwał jej ręce, za które trzymała go, nie chcąc puścić, i poszedł śmiało naprzód ze świecą. Minął szereg salonów, w których na mgnienie tajemniczo zalśniły lustra, kierując się do swego gabinetu. W pokojach rozlegało się hałaśliwe echo kroków. Ona biegła za nim...

— Może jej niema jeszcze tu — szepnęła na progu gabinetu i pośpiesznie pozamykała wszystkie drzwi.

— Wróciłam z pogrzebu, usiadłam w przedpokoju — gadała dalej do ucha Pawłowi — służba poszła gdzieś... I było cicho... Naraz ktoś zaczął chodzić... to ona, ja wiem, że to ona... zmarli wracają często... szukała tu czegoś, szukała długo... chciała zadusić mnie...

Paweł słuchał poważnie, jak gdyby i on wierzył temu.

— Wróciła tu do mnie i po ciebie... ona chce ciebie... i ja ze strachu obiecałam jej... uciekajmy stąd. Pawle... nie opuszczaj mnie... bo ja bez ciebie nie mogę — badała go zaniepokojonem spojrzeniem.

Nastała cisza. Panna Malinowska wsłuchiwała się.

— Odeszła... niema już jej — odezwała się znowu — ja obiecałam ze strachu... trzeba nam uciec stąd, a ona zapomni... ja wiem, że ty nie zechcesz opuścić mnie... Pawle, pociesz mnie, powiedz cokolwiek—prosiła, ochłonąwszy z trwogi, niespokojna o los swój, trapiona złem przeczuciem.

Ale on milczał. Zatonął w zadumie, która jak nurt rzeki niosła go w dal, pogrążała w głębię. Był smutny... Oczy patrzały kędyś, nie widząc, nie spostrzegając. Rozważał doniosłe myśli, oglądał prawdy, które człowiekowi ukazują się w rzadkich chwilach i na krótko... Panna Malinowska napastowała go dalej. Mówiła, może pierwszy raz w życiu szczerze, bez frazesów, z prostotą smutku o złej doli i złej naturze własnej, o znużeniu, które zaczyna odczuwać, i poprawie, którą obiecywała tamtej, którą obiecuje jemu, o błędach przeszłości, o ciężarze brudnych lat, który ją gniecie, o nędzy... Pokornie i cicho skarżyła się, bojaźliwie żebrała, skruszona korzyła się, serdecznemi słowy zaklinała...

...Żymirskiego kochałam, potem żyłam z nim dla jego bogactw... byli inni... Rzyźniewski, Ryszard... może oni są winni, może i ja... oszukiwałam Śniałowskiego, oszukiwałam siebie... umiałam kłamać tak, że wierzyłam sama... I ciebie wzięłam dla bogactw... ale teraz już nigdy... pokochałam, służyć będę wiernie, zrobię, co każesz... przekonasz się...

Pozostał obojętny. A w pewnej chwili, znudzony jej gadulstwem, które przeszkadzało mu dumać, rzekł twardo i oschle:

— Odejdziesz stąd jutro... dam pieniędzy, ile trzeba... chcę być sam.

Był to rozkaz nieodwołalny i wyrok.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

KONTROLA KONSULACKA

w Warszawie Kongresowej.

I.

O przedstawicielstwie mocarstw obcych w Warszawie, w pełnem reprezentacyjnem znaczeniu słowa, może być mowa jedynie aż do czasów ostatniego króla polskiego, do intronizacyi Stanisława Augusta. Jeszcze jego poprzednicy, obadwaj Sasowie August II i III, cokolwiekby zresztą o nich sądzić, mieli bądźcobądź żywe poczucie swej udzielności, majestatu, czuli się monarchami równouprawnionymi obok najpierwszych głów koronowanych w Europie. To też bacznie przestrzegali, aby reprezentacya zagraniczna przy ich boku stała zawsze mniej więcej na poziomie wzajemności i równości, odpowiednio do norm ustalonych prawa i obyczajów międzynarodowych, aby tedy wykonywaną była z reguły przez ambasadorów i posłów pełnomocnych, urzędujących w Warszawie przy królu i Rzpltej; a jeśli nawet zachodziły w tym względzie wyjątki, to jedynie w granicach dopuszczanych przez ową regułę. Zmieniło się to radykalnie wraz z elekcyą Stanisława Augusta. W tym królu osobliwym była zgoła nieobecną świadomość własnego majestatu, górowało poczucie prywatnego człowieka, Poniatowskiego chudopachołka, wyniesionego trafunkiem na tron. Odtąd też przedstawicielstwo zagraniczne w Warszawie kurczy się sposobem znamiennym: wypełnia je niemal w zupełności jedna dominująca postać posła rosyjskiego, *Kingsmakera*, protektora, prokonsula. Pod jego skrzydłami lokuje się natychmiast usłużny rezydent i pomocnik pruski; inne natomiast poselstwa zagraniczne, poczynając od tak możnego niegdyś nad Wisłą fran-

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie

cuskiego, zostają stopniowo wykurzone z Warszawy, zastępowane tu odtąd przez agentów drugo- i trzeciorzędnych. Takich już tylko agentów-obserwatorów, bez pełnej mocy prawnej i wpływu politycznego, zastaje w Warszawie, po wygnaniu ostatniego rosyjskiego wielkorządcy, powstanie kościuszkowskie; po upadku insurekcyi i ostatecznym podziale Rzpltej i oni znikają z widowni w pruskiej odtąd Warszawie.

Za Księstwa Warszawskiego, wraz z przywróceniem połowicznej udzielności, zjawiło się ponownie przedstawicielstwo zagraniczne w naszej stolicy. Wytworzyła się tu jednak sytuacya podobna poniekąd jak w dobie Stanisławowskiej, z tą tylko-różnicą, że rolę Rosyi objęła Francya a z większą jeszcze wyłącznością formalną. Przedstawiciele dyplomatyczni Napoleona, Vincent, Serra, Bignon, Pradt, wyobrażali jedyną w tym okresie obcą reprezentacyę urzędową w Warszawie. Obok nich zaledwo ukradkiem działać mogli pokątni agenci sąsiedzcy, jak rosyjski Anstett, żonaty z Polką, albo austryacki Baum, syn naturalny ks. Sułkowskiego, kręcący się na warszawskim bruku pod osłoną swoich stosunków prywatnych. Prócz tego tenże radca dworu i starosta bocheński Antoni Baum, oraz jego pomocnicy, starostowie Lipowski i Samuel Karol Schmidt, z Podgórza pod Krakowem posyłali do Wiednia tajne relacye o stosunkach Księstwa. Co się tycze Prus, to odbierały one w tym okresie częste lecz dorywcze informacye poufne od byłych urzędników pruskich, pozostałych na terytoryum Księstwa i w Warszawie.

Nareszcie z chwilą utworzenia Królestwa Polskiego, wynikło pod tym względem szczególniejsze położenie pośrednie. Z jednej strony, skutkiem uświęconego na Kongresie Wiedeńskim stosunku unii Królestwa z Cesarstwem w osobie Aleksandra I i jego następców, w związku z uświęconą w konstytucyi Królestwa zasadą, iż sprawy zagraniczne polsko-rosyjskie podlegają wyłącznie jednolitemu kierownictwu petersburskiego ministeryum spraw zewnętrznych, — nie mogło oczywiście być mowy o pełnomocnem przedstawicielstwie mocarstw obcych w Warszawie ówczesnej. Z drugiej natomiast strony, zawarowana traktatowo i konstytucyjnie odrębność prawno-państwowa Królestwa oraz zapewnione, łącznie z pozostałemi dzielnicami dawnej Rzpltej polskiej, gwarancye handlowo-celne czyniły jego ewolucyę polityczną i ekonomiczną przedmiotem wagi niemałej dla państw zachodnich, a zwłaszcza dla bezpośrednio zainteresowanych dwóch ościennych, Prus i Austryi, powodując je do umieszczenia swoich organów urzędowych w Warszawie. Rzecz ostatecznie znalazła rozwiązanie w ten

sposób, że ustanowiono tu stałych konsulów, z kompetencyą, dotyczącą formalnie właściwych interesów handlowych, w rzeczywistości zaś dla pełnienia pewnych mniej lub więcej rozległych funkcyj wywiadowczych, wkraczających w dziedzinę dyplomacyi czynnej.

Tak powstały konsulaty zagraniczne w Warszawie. W epoce Królestwa Kongresowego było ich tutaj trzy: najsampierw umocowany konsul pruski, następnie austryacki, wreszcie francuski. Anglia, od czasu ostatnich swych rezydentów przy dworze Stanisława Augusta, życzliwych Polsce świadków końcowego przesilenia i katastrofy Rzpltej, dzielnych i sympatycznych dyplomatów, Hailesa i Gardinera, później już tylko przygodnie odbierała stąd wiadomości półurzędowe przez przyjaciela ks. Adama Czartoryskiego, generała Roberta Wilsona, za jego pobytu w Warszawie w 1807 i 1813 r. Następnie, przez cały czas trwania Królestwa Kongresowego, londyński *Foreign Office* ograniczał się w rzeczach polskich do informacyj otrzymywanych ubocznie od swego posła w Petersburgu i agenta handlowego w Gdańsku, obywając się całkowicie bez oficyalnego przedstawiciela w Warszawie. Nawet podczas rewolucyi listopadowej gabinet angielski, w osobie lorda Palmerstona, kategorycznie odmówił nadania charakteru konsulackiego ofiarującym się z własnej woli Anglikom, śród nas zamieszkałym i dobrze nam życzącym, jak White i Evans. Podobnież i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, pociągane wtedy przez Aleksandra I do zbliżenia z Rosyą i związane z nią traktatem handlowym (1824 r.), pomimo sympatyj żywionych dla Królestwa, wstrzymywały się od utworzenia w niem własnego konsulatu. Wprawdzie podczas rewolucyi listopadowej rząd Stanów Zjednoczonych, poczuwając się do obowiązku wdzięczności względem Polski przez pamięć na Pułaskiego i Kościuszkę, po porozumieniu się z generałem Kniaziewiczem, wyprawił umyślnego komisarza pełnomocnego przy Rządzie Narodowym do Warszawy, lecz agent ten, Hove, przybył zapóźno, po upadku stolicy, i mógł już tylko w Elblągu przy generale Rybińskim asystować emigrującemu wojsku polskiemu. Stolica Apostolska, która w tym okresie próżne czyniła starania względem ustanowienia nuncyatury w Petersburgu, szczególnie była zainteresowaną, w niniejszej dobie Królestwa Kongresowego, doniosłemi sprawami kościelno-politycznemi, bądź w dziedzinie organizacyi duchowieństwa rzymsko-katolickiego, bądź w zakresie prawa małżeńskiego, ważącemi się na sejmach warszawskich; szczegółowe raporty w tej mierze odbierał Watykan za pośrednictwem nuncyatury wiedeńskiej, na

podstawie relacyj poufnych, posyłanych nuncyuszowi tamtejszemu przez biskupów polskich. Co się tycze Francyi, tak ściśle skojarzonej z Warszawą w poprzednim okresie napoleońskim, to obecnie, w dobie Restauracyi, gabinet paryski okazywał ostentacyjną obojętność dla rzeczy polskich: dopiero pod koniec rządów Karola X odbierano tu pewne urywkowe informacye o Królestwie przez urzędującego w Petersburgu (od 1828 r.) francuskiego *charde d'affaires* Bourgoinga, który znał i polubił Polskę jeszcze z czasów swego pobytu w Warszawie pod Napoleonem (w 1808—9 r.): wtedy też, jak się rzekło, został również przysłany do Warszawy konsul francuski, na sam ostatek, nietylo dla istotnej potrzeby, ile przez rywalizacyę, za przykładem Prus i Austryi. Konsul ten, Durand, legitymistyczny urzędniczyna, nieobeznany ze stosunkami naszemi, nieposiadający ani kwalifikacyj ani chęci do wznowienia w Warszawie tradycyj takich swoich, jak Bignon, ruchliwych poprzedników, ograniczał się do czynności czysto biurowych i był informatorem lichym i obojętnym.

W ten sposób, koniec końcem, jak zresztą wynikało z samej natury rzeczy, główna wartość źródłowa korespondencyi konsulackiej z Warszawy w dobie Królestwa Kongresowego spoczywała w spółczesnych doniesieniabh tutejszych konsulatów generalnych pruskiego i austryackiego.[1])

II.

We wrześniu 1817 r. Namiestnik ks. Zajączek otrzymał z Carskiego Sioła od ministra sekretarza stanu Ignacego Sobolewskiego „wolę Najjaśniejszego Pana wypisaną jak następuje: minister sekretarz stanu odbiera polecenie oznajmić Namiestnikowi, iż JPan Schmidt, były sekretarz legacyi Najj. króla Jmci pruskiego, mianowanym został konsulem generalnym rzeczonego monarchy w Królestwie Polskiem, z przeznaczeniem rezydowania w Warszawie, oraz oświadczyć Mu, iż Najjaśniejszy Cesarz i Król Jm zezwolenie swe na rzeczoną nominacyę wydał. Mieć zatem chce Najja-

[1]) Archiwum Sekretaryatu Stanu Królestwa Pol., w Arch. Rady Państwa, oraz Arch. minist. spr. zagr., Petersburg; Arch. Akt Dawnych oraz General-Gubernatorskie—Warszawa; Arch. Czartoryskich—Kraków; Haus-Hof-u. St. Arch.—Wiedeń; Geh. St.-Arch.—Berlin.

śniejszy Pan, iżby Namiestnik takową obwieścić kazał i wydał potrzebne rozkazy, aby JP. Schmidt mógł wolno wykonywać obowiązki, do jakich go Najj. monarcha jego powołał; stosownie do patentu, przesłanego ministrowi sekretarzowi stanu przez hr. Nesselrodego a tu się mającego dołączyć.“ [1])

Osobistość, polecona rządowi Królestwa mocą *exequatur* zawartego w powyższej odezwie ministra sekretarza stanu, ten pierwszy konsul generalny pruski w Warszawie, a jedyny reprezentant tutejszy gabinetu berlińskiego przez cały przeciąg niniejszej doby dziejowej, przez blizko dwudziestolecie bez przerwy naoczny świadek spraw i klęsk naszych, a więcej niż bierny świadek, bo zarazem działacz czynny i wpływowy,—zasługuje ze wszech miar na bliższe poznanie. Juliusz Schmidt pochodził z rodziny żydowskiej, zamieszkałej w dzielnicy rozbiorowej pruskiej; za młodu przyjął chrzest, wstąpił do służby rządowej, wrychle odznaczył się gorliwością i sprytem. Dobrze obeznany z językiem i stosunkami polskiemi, wcześnie też wyspecyalizował się jako szacowny agent i informator w sprawach polskich. Dostał się on mianowicie pod protekcyę wybitnego tych właśnie spraw rzeczoznawcy, niepospolitego administratora pruskiego, Józefa Zerboniego. Zerboni di Sposetti, rodem z Wrocławia, niegdyś justycyaryusz przy kamerze pruskiej w Piotrkowie, potem właściciel ziemski w t. zw. Prusach Południowych, zbliżony z ówczesnem społeczeństwem polskiem przez swój charakter liberalny, a także przynależność do wolnomularstwa i związków tajnych, używany przez rząd pruski do negocyacyi w sprawie sum bajońskich z rządem Księstwa Warszawskiego w Dreźnie i Warszawie, później w 1815 r. mianowany nadprezydentem W. Księstwa Poznańskiego, pozostawał na tem stanowisku do 1824 r., poczem, na skutek zatargu z władzami centralnemi berlińskiemi, dość brutalnie usunięty, wycofał się do życia prywatnego i w dobrach swoich Rabczyn w Poznańskiem zmarł w 1831 r. Zerboni posiadał niewątpliwie rysy nader sympatyczne, wyobrażał on najcelniejsze cechy dodatnie wzorowego, sumiennego urzędnika pruskiego wyższej miary, a był też szczerym zwolennikiem polityki ustępstw narodowościowych i nawet prawno-państwowych dla Polaków i zasłużył sobie w społeczeństwie i historyografii polskiej na jaknajlepszą opinię. Jednakowoż ta dotychczasowa, wyłącznie dodatnia opinia będzie musiała uledz pewnej zasadniczej modyfikacyi z wyższego polity-

[1]) Ign. Sobolewski do Zajączka, Carskie Siolo, 2 wrześ. 1817 r. (odebr. 12 wrześ).

cznego punktu widzenia. W rzeczy samej kierunek ugodowy względem Prus, wyobrażany i szczepiony przez tego osobiście nieskazitelnego człowieka, lecz bądźcobądź świadomego przedstawiciela pruskiej racyi stanu, przenikając do szerszych kół polskich za pośrednictwem zaprzyjaźnionych z nim wpływowych domów ks. Antoniego Radziwiłła i innych, a nawet, jak się zdaje, za pośrednictwem pewnych, zbaczających z właściwej drogi tajnych inicyatyw organizacyjnych, niejednokrotnie w ważnych momentach oddziaływał paraliżująco na ducha publicznego Księstwa Warszawskiego a następnie Królestwa Kongresowego. Schmidt w szkole Zerboniego wiele mógł się nauczyć w interesach polskich, lecz nie mając w sobie ani krzty jego uczciwości i powagi moralnej, w innym, wręcz już wrogim i szkodliwym duchu miał wyzyskać nabytą zdatność i doświadczenie. Z polecenia Zerboniego posłany został w 1813 r. do Warszawy w charakterze radcy legacyjnego dla uczestniczenia w rokowaniach finansowo-handlowych wszczętych pomiędzy rządem berlińskim a Radą Najwyższą Tymczasową Księstwa. Odtąd już nie ruszył się z Warszawy przez lat przeszło 18, aż do samej rewolucyi listopadowej. Zaraz też, niezawiśle od swoich właściwych funkcyj negocyatorskich, zaczął posyłać z Warszawy relacye poufne o ogólnych stosunkach politycznych Księstwa w dobie przejściowej i Królestwa w organizacyjnej. Relacye te posyłał bądź na ręce Zerboniego do Poznania, bądź też na ręce tajnego radcy legacyjnego Jordana wprost do Berlina. Jan Ludwik Jordan, prawa ręka kanclerza pruskiego Hardenberga i jego towarzysz podczas wielkich negocyacyj we Wrocławiu, Paryżu, Wiedniu w okresie 1813—15 r., piastował od 1814 r. ważny urząd szefa II i III Sekcyi berlińskiego ministeryum spraw zagranicznych, ze sprawami polskiemi i ze Schmidtem zetknął się bezpośrednio w czasie misyi nadzwyczajnej w materyach skarbowo-handlowych, z jaką był wyprawiony do Warszawy w 1816 r. Tym sposobem, jak się okazuje, Juliusz Schmidt, kiedy w 1817 r. posunięty został na konsula generalnego w Warszawie, nie był bynajmniej *homo novus* ani na tutejszym terenie, ani dla swoich mocodawców, lecz owszem posiadał w obu kierunkach dostateczne kwalifikacye do odegrania roli, wybiegającej po za skromne obowiązki zawodowe konsula, a wchodzącej raczej w zakres szerszej akcyi dyplomatycznej i politycznej.

Konsulowie zagraniczni w Warszawie wedle ducha konstytucyi Królestwa umocowani być musieli przy właściwym rządzie krajowym, t. j. przy Namiestniku w Radzie Administracyjnej. Tak też postąpiono sobie pierwotnie ze Schmidtem, jak wynika z po-

wyższej instalacyjnej odezwy ministra sekretarza stanu. W następstwie jednak zaszła w tym względzie zmiana. Istniała mianowicie przy osobie W. Ks. Konstantego w Warszawie oddzielna Kancelarya dyplomatyczna, będąca w styczności bezpośredniej z jednej strony z ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu, z drugiej—z ambasadami i poselstwami rosyjskiemi zagranicą. Otóż za bytności Aleksandra I w Warszawie w sierpniu 1822 r.— (obok innych zmian uskutecznionych wtedy w związku ze współczesnemi komplikacyami polityczno-śledczemi z powodu wykrycia stowarzyszeń tajnych, komunikujących się z zagranicą) — W. Ks. Konstanty uzyskał od monarchy przekazanie sobie osobiście i swojej Kancelaryi dyplomatycznej również i bezpośrednich stosunków z konsulatami zagranicznemi w Warszawie, ponad głową Namiestnika i Rady Administracyjnej. Odpowiednia część Archiwów Rady, tycząca się materyj zagranicznych, została wtedy oddaną do dyspozycyi W. Księcia. Zarazem W. Ks. Konstanty, do komunikowania się w jego imieniu z tutejszemi konsulatami, wyznaczył urzędnika do szczególnych poruczeń swej Kancelaryi, barona Mohrenheima.[1])

Rzeczywisty radca stanu baron Mohrenheim, poza ówczesnemi salonami warszawskiemi i zakulisowym światem politycznym dość mało znany, miał przecie rękę w wielu najdonioślejszych a najdrażliwszych sprawach publicznych Królestwa Kongresowego. Z tego już powodu, a niemniej też z uwagi na szczególniejszy jego stosunek do konsulatu generalnego pruskiego, należy się tutaj temu dygnitarzowi choć parę słów wzmianki. Ojciec jego, Niemiec, doktor Mohrenheim, skromny, nieutytułowany jeszcze lekarz-akuszer wiedeński, podczas podróży zagranicznej W. Ks. Pawła (w 1782 r.), umiał trafić do niego w Wiedniu, a następnie, dzięki jego wstawiennictwu u cesarzowej Katarzyny, dostał się do Petersburga, gdzie wyrobił sobie praktykę i wzięcie w kołach dworskich. W następstwie, już w początkach panowania Aleksandra I, wdowa po tym lekarzu Mohrenheimie pełniła nad Newą

[1]) W. Ks. Konstanty do Aleksandra, Varsovie, 5 sept.; Nesselrode do Konstantego, Vienne, 16 sept.; do Nowosilcowa, 21 sept.; Konstanty do Nowosilcowa, 23 sept.: „... Autorisé de plus à désigner un fonctionnaire pour entrer en rapport avec les agents et consuls étrangers résidant à Varsovie et de se concerter avec le Conseil d'Administration dans tous les cas où les autorités polonaises auraient des voeux à former, des droits à soutenir, des réclamations à satisfaire ou des griefs à repousser, j'ai fait choix et désigne dans cette vue le conseiller d'état actuel baron de Mohrenheim;“ Nowosilcow do Zajączka, 1 oct. 1822 r.

pewne, niekoniecznie zaszczytne funkcye pośredniczące na usługach młodego wtedy, lubiącego zabawić się swobodnie, W. Ks. Konstantego Pawłowicza. Między innemi wypadło jej odegrać nieco ślizką rolę w fatalnej przygodzie owej nieszczęśliwej „Angielki," o której jest mowa w *Kordyanie*, niejakiej pani Ararousch, zmarłej nagle w Petersburgu w czerwcu 1802 r.; sprawę tę mocno wzięła do serca cesarzowa-matka Marya Teodorówna, uznając, że wybryki syna wykroczyły w tym wypadku poza dozwolone granice; wszczęte zostało śledztwo, które wykazało udział w tej sprawie Mohrenheimowej i jej syna i spowodowało dla nich obojga pewne nieprzyjemności, stosunkowo zresztą dość łagodne wobec charakteru całego tego epizodu. Co więcej, dla młodego Mohrenheima wyniknąć stąd miały skutki nadzwyczaj pomyślne; dyskretnem zachowaniem się swojem w niniejszej aferze zaskarbił on sobie dozgonną wdzięczność W. Ks. Konstantego, został jednym z najzaufańszych jego ulubieńców i powierników. Pan baron, ustaliwszy się w Warszawie jako urzędnik dyplomatyczny W. Księcia, aczkolwiek karyera jego w takich, conajmniej dwuznacznych, gubiła się początkach, zajął przecież stanowisko w towarzystwie tutejszem, przyjmowano go, liczono się z nim. Świato wiec, chcący i umiejący żyć, ciągle w potrzebach pieniężnych, nie był wybrednym w poszukiwaniu źródeł dochodu, i takie źródło podobno znalazł niebawem w kasie konsula generalnego pruskiego. W istocie, Schmidt bez straty czasu wszedł z Mohrenheimem w stosunki jaknajzażylsze, zacieśnione zwłaszcza od 1822 r. do tego stopnia, że poprostu miał w nim swego agenta, dostarczającego mu stale najpoufniejszych informacyj i to nietylko ustnych, lecz oraz i dokumentów, pochodzących z sekretnej ekspedycyi Kancelaryi wielkoksiążęcej. W czasie chwilowej nieobecności Mohrenheima w Warszawie, co się wydarzyło kilkakrotnie skutkiem jego misyj do Petersburga i Berlina, Schmidt obsługiwany był również dobrze przez równie usłużnego zastępcę Mohrenheima w Kancelaryi dyplomatycznej warszawskiej, radcę stanu v. Bützowa. Wszystko to oczywiście działo się poza plecami W. Księcia Konstantego, który ani się domyślał, że przez własnych jego ludzi najzaufańszych systematycznie były otwierane konsulowi generalnemu pruskiemu najnieprzystępniejsze tajniki strzeżonych zazdrośnie biur brühlowskich i belwederskich. Okazuje się w rzeczy samej, że Schmidt całkiem swobodnie wydostawał stąd zarówno sekretne papiery dotyczące miejscowych stosunków polskich, jakoteż i doniosłe akty w sprawach rosyjskich, korespondencyę osobistą W. Ks. Konstantego z monarchą i t. d. Na szczególne

zaznaczenie zasługuje tu następująca okoliczność. W. Księciu posyłane były do Warszawy, bądź przez ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu, bądź też wprost od właściwych ambasad, duplikaty ważniejszych doniesień rosyjskich ambasadorów i posłów z rozlicznych stolic europejskich; otóż z kolei dosłowne odpisy tych duplikatów, wydobywane potajemnie przez Schmidta i dołączane do jego raportów, wędrowały do Berlina, dostarczając gabinetowi tamecznemu niejednokroć — zwłaszcza w czasie przesilenia tureckiego — nieoszacowanych wskazówek względem istotnych intencyj i widoków rządu petersburskiego w dziedzinie ogólnej polityki europejskiej. [1])

Jednakowoż na powyższych, niezawodnie nader użytecznych, lecz bądźcobądź podrzędnych „kanałach“ nie ograniczały się stosunki przemyślnego konsula pruskiego. Posiadał on inne, daleko cenniejsze źródło informacyjne, nierównie dostojniejszy „kanał,“ w osobie Jego Ekscelencyi pełnomocnego komisarza cesarskiego, senatora Nowosilcowa. Przyjacielska między nimi zażyłość datowała się jeszcze z pierwszych chwil zjawienia się Schmidta w Warszawie, gdy przybył tu dla prowadzenia prusko-polskich rokowań skarbowych, w których Nowosilcow, jako członek Rady Najwyższej Tymczasowej, miał udział przeważny. Zdaje się, że pierwszym pomiędzy nimi łącznikiem był wtedy Prusak ekspatryowany, radca Colomb, w którego nieuczciwe ręce oddaną była pierwotnie, po okupacyi rosyjskiej Księstwa, administracya finansowa warszawska, i w którego grubych malwersacyach rachunkowych obficie maczał ręce Nowosilcow. Dla Schmidta była to akwizycya niezmiernie szacowna: Nowosilcow nietylko był źródłem informacyi największej wagi i z pierwszej ręki, niekiedy w takich najtajniejszych materyach, jak projektowana konstytucya rosyjska, powierzona mu do opracowania przez Aleksandra, z którą ukrywano się nawet przed Konstantym, a którą pan senator nieomieszkał w te pędy zakomunikować panu konsulowi generalnemu pruskiemu, — lecz zarazem był możnym i wymownym obrońcą interesów pruskich przeciw Królestwu Polskiemu w rozlicznych kwestyach spornych natury delimitacyjnej, finansowej, handlowo-celnej, gdzie z reguły, czy to w memoryałach i raportach dla monarchy i W. Księcia, czy to

[1]) Sbornik, XLII, №№ 39, 97; Traczewski, Stosunki dyplomatyczne, LXX, 732; depeszę Hédouvilla do Talleyranda, 28 prairial an X (17 czerwca 1802) o „Angielce“ ogłosiliśmy w notatce „Na margin. Kordyana,“ w Kwart. histor.

w rozprawach Rady Administracyjnej, występował energicznie *pour le roi de Prusse*, adwokatując wszelkiego gatunku dezyderatom sąsiedzkim, zazwyczaj godzącym dotkliwie w interesa ekonomiczne i finansowe Królestwa, i trzymając się stale w budującej zgodzie z oficyalnemi przełożeniami i wywodami, jakie gabinet berliński za pośrednictwem swego konsulatu generalnego doręczał władzom warszawskim. Budującą też była ścisła przyjaźń osobista, łącząca tych obu, tak nierównych rangą dygnitarzy, skromnego konsula pruskiego i Ekscelencyę senatora rosyjskiego przyjaźń, osnuta tyleż na wspólnym interesie, ile na wspólnych im obu zaletach moralnych, powinowactwie charakterów i upodobań, na jednakowej niewybredności w sprawach pieniężnych, nie cofającej się przed poszkodowaniem własnego swego rządu, a nawet na jednakowych gustach epikurejskich, amatorstwie do wina, kart i reszty. Nie brakowało też grzecznego pana konsula na osławionych hulankach uczynnego pana senatora w jego mieszkaniu kawalerskiem we Frascati, bratali się obadwaj równie bezceremonialnie i w polityce i w zabawie. Co gorsza, konsul-*viveur* pośledniego gatunku, dostawszy się dzięki swym stosunkom do uczciwych domów polskich, potrafił aż tam wnosić deprawacyę i gorszącą po sobie zostawić pamięć.[1])

Istnieją wskazówki, że wszechstronny i wszędobylski Schmidt, niezawiśle od wymienionych swych „kanałów“ urzędowych rosyjskich, posiadał w Warszawie inne jeszcze, czysto lokalne drogi informacyjne. Między innemi, będąc w stałych stosunkach z najpierwszym podówczas domem bankowym, korzystał z usłużności wspólnika firmy, młodego L... Przez L... niekiedy posyłał nawet Schmidt do pruskiego ministra spraw zagranicznych, hr. Bernstorffa, poufniejsze swoje relacye, których nie chciał powierzać poczcie. Nie omieszkał też przy tej sposobności gorąco polecać swemu ministrowi młodego finansisty warszawskiego jako człowieka „całkowicie zasługującego na zaufanie, który rozkazy Waszej Ekscelencyi dla mnie załatwi punktualnie i bezpiecznie.“[2])

[1]) W niewydanych Pamiętnikach gen. Prądzyńskiego jest mowa o nieszczęśliwej młodej i ślicznej pani G., żonie jednego z podsądnych w sprawie Sądu Sejmowego, którą „Żydek konsul pruski Schmidt,“ korzystając z długiego uwięzienia jej męża, uwiódł, i która stosunek ten przypłaciła życiem.

[2]) Schmidt do Bernstorffa, Warschau, 17 Octob. 1820: „... Hr. L..., hat die Ehre, Ew. Hochgräflichen Excellenz diesen unterthänigen Bericht zu

Wreszcie, ruchliwy i przedsiębiorczy konsul generalny pruski prowadził w Warszawie swoją specyalną policyę tajną na własną rękę. Dostarczała mu ona nietylko potrzebnych wiadomości, które on sam dla siebie mógł uważać za użyteczne, lecz ponadto służyła mu także, albo raczej przedewszystkiem, dla tem lepszego ugruntowania się w łaskach W. Ks. Konstantego, któremu wprawdzie sam pokryjomu eskamotował z pod nosa jego sekrety polityczne przy pomocy Mohrenheimów i Nowosilcowów, któremu jednak zarazem starał się dawać dowody swojej czujnej troskliwości, odsłaniając przed nim wykrywane przez swoich własnych agentów sekrety „spiskowe“ polskie. Z podobnemi przysługami występował Schmidt najgorliwiej w czasie wielkich śledztw politycznych warszawskich 1822—27 r., kiedy W. Ks. Konstanty był opanowany wprost chorobliwą podejrzliwością i istną gorączką tropienia spisków już nietylko polskich lecz międzynarodowych, i kiedy też denuncyacye wszelkiego gatunku, z którejkolwiek strony przychodzące, skwapliwie były przez niego przyjmowane. O tym interesującym szczególe różnostronnej działalności konsula generalnego pruskiego w Warszawie posiadamy świadectwo najkompetentniejsze, pochodzące mianowicie od jednego z naczelników tajnej policyi wielkoksiążęcej, Mateusza Szleya. Szley, aresztowany natychmiast po wybuchu rewolucyi listopadowej, zdążył jeszcze, przed zakończeniem swej karyery na szubienicy, poczynić przed wysadzoną w tym celu urzędową Komisyą indagacyjną szereg wcale nauczających zeznań, które zachowały się w oryginałach, poświadczonych własnoręcznym jego podpisem. Otóż śród tych autentycznych jego zeznań mieści się ciekawa rewelacya o oddzielnych agentach tajnych, utrzymywanych w Warszawie przez Schmidta: „Czynił on — zeznaje Szley — doniesienia W. Księciu, które ja (z rozkazu Konstantego) sprawdzać musiałem.“ [1])

Cała ta, tak rozmaita i ożywiona działalność konsula generalnego pruskiego w Warszawie pociągała oczywiście za sobą konieczność znacznych nakładów pieniężnych, znakomicie przekraczających zwykle skromne wymiary pospolitych budżetów konsulac-

überreichen. Sein Vater, ein geborner Berliner, hat bedeutende Fonds daselbst und ist gut gesinnt. Sein Sohn ist in Berlin erzogen und ganz zuverlässig. Er wird Ew. Excellenz etwaige Befehle an mich pünktlich und sicher besorgen.“

[1]) Zeznanie Mateusza Szleya przed Komisyą Rozpoznawczą, w Ratuszu Głównym, 27 grud. 1830 r.

kich. Nie ulega też wątpliwości, że Schmidt, obok zwykłych wydatków, miał sobie wyznaczone od swego rządu dość hojne fundusze dyspozycyjne dla powyższych celów specyalnych. Wprawdzie w dostępnych aktach, zawierających jego korespondencyę konsulacką, a poddanych, jak się zdaje, starannej epuracyi, niepodobna znaleźć w tym względzie danych pozytywnych. Lecz i tam niektóre zwroty doniesień Schmidta, gdzie on wzmiankuje dyskretnie o niedostateczności „metalu," dosyć są znaczące.[1]) Nadomiar w spółczesnych relacyach konsulatu austryackiego w Warszawie spotykają się raz po razie całkiem wyraźne wskazówki o znacznych przekazach pieniężnych, otrzymywanych z Berlina przez Schmidta dla celów specyalnych. Biedni konsulowie austryaccy tutejsi, trzymani zazwyczaj przez swoje ministeryum na nader skąpym wikcie, zgodnie z uświęconemi tradycyami oszczędności rządowej wiedeńskiej, z żałością donosili ks. Metternichowi o sutych kwotach, przychodzących do Warszawy, do ich szczęśliwszego pruskiego kolegi.[2])

Niestety możność rozrządzania większą obfitością „metalu" miała tę słabą stronę, że narażała Schmidta na pokusy, wobec których on nie okazał się dostatecznie odpornym. Innemi słowy, na swojem stanowisku konsulackiem dopuścił się grubych nadużyć, obracając na osobisty swój użytek część powierzonych sobie funduszów pruskich; a chodziło tu o kwoty tem poważniejsze, że przez jego ręce przechodziła w tym czasie likwidacya najrozmaitszych interesów skarbowych polsko-pruskich, jak w sprawie biletów kasowych i t. p. Póki jeszcze siedział w Warszawie na urzędzie, udawało mu się ukrywać te nadużycia przed władzami berlińskiemi. Ale kiedy po wybuchu rewolucyi listopadowej został odwołany w początku 1831 r. do Berlina i musiał wyrachować się ze swej gospodarki konsulackiej, niebawem wydały się popełnione przez niego defraudacye, co oczywiście spowodowało koniec jego karyery. Nie wynikło stąd zresztą żadnych innych dotkliwszych dla

[1]) Schmidt do Berustorffa, Warschau. 1 Mai 1820: „...Was mit meinen an Metall höchst beschränkten Mitteln möglich ist, geschieht redlich, um unterrichtet zu werden."

[2]) Oechsner do Metternicha, Varsovie, 23 mars 1829 (chiffre): „La cour de Prusse paraît attacher une haute importance au séjour de l'Empereur de Russie à Varsovie et avoir des motifs pour désirer être très exactement informée de tout ce qui alors pourra se passer ici [chodziło o koronacyę Mikołaja]. Je tiens de fort bonne source, qu'on vient d'assigner au consul général prussien 4000 écus pour des frais extraordinaires à cette occasion."

niego skutków, żadnego śledztwa i kary, poprostu ulotnił się, jak kamfora. Jest to tem ciekawsze, że stało się w czasie pobytu jego w Berlinie, gdzie, jak przekonaliśmy się z akt, już po odwołaniu z Warszawy dostarczał on sprawozdań o przebiegu kampanii polsko-rosyjskiej i politycznem przeobrażeniu Królestwa, a więc pozostawał w ciągłej styczności bezpośredniej z władzami berlińskiemi i pod ich okiem. Mogłoby się przeto nasunąć przypuszczenie, że po wykryciu jego malwersacyi uznano za właściwsze pozwolić dać mu nurka, niż rozmazywać brzydką aferę urzędnika, używanego od tak dawna do spraw dość drażliwych, którego milczenie było więc w każdym razie najpożądańszem dla miłego spokoju. W wyjaśnieniu oficyalnem, jakie na pytanie nasze w tej mierze zostało nam uprzejmie udzielone, tyle tylko powiedziano, że po wykryciu „finansowych niedokładności," popełnionych na stanowisku konsula generalnego w Warszawie, Schmidt „zniknął w czerwcu 1832 r., przyczem o losie jego nic wiarogodnego nie stało się wiadomem." [1])

Jeżeli wypadło nam zatrzymać się nieco przydłużej na dość zajmującej postaci konsula generalnego pruskiego, to natomiast jaknajkrócej załatwić się można ze spółczesnymi, daleko mniej godnymi uwagi, konsulami austryackimi w Warszawie. Zmieniło się ich tu w dobie Królestwa Kongresowego aż czterech, co, rzecz prosta, nie mogło wpłynąć dodatnio nalepszą ich oryentacyę śród nieznanych im warunków miejscowych. Pierwszy zjawił się w Warszawie, jako konsul generalny austryacki, radca gubernialny Du Chet, człowiek chorowity, mało czynny i w depeszach swych małomówny. W grudniu 1825 r. z powodu ciężkiej jego choroby objął po nim następstwo sekretarz gubernialny Lorenz, mianowany następnie stałym wicekonsulem *(Consulats-Verweser)* po zaszłej w styczniu 1826 r. śmierci Du Cheta, a również w doniesieniach swych suchy i rzadko interesujący. Latem tegoż 1826 r. wyprawiony z Wiednia, jako reprezentant cesarza Franciszka I na koronacyę Mikołaja I do Moskwy, ks. Hessen-Homburski, bawiąc przejazdem w Warszawie, posłał stąd ks. Metternichowi kilka ciekawych re-

[1]) „...Er liess sich in dieser Stellung (als Generalkonsul in Warschau) finanzielle Unregelmässigkeiten zu Schulden kommen, nach deren Aufdeckung im Juni 1832 er verschwand, ohne dass über seinen Ausgang Etwas Zuverlässiges bekannt geworden wäre." Por. jeszcze nasze Dwa stulecia, 402 sq., „Dyplomacya polsko-europejska," 221 sq.; Barzykowski I, 345, II, 70 sq.; Pamiętniki spółcz. i t. d.

lacyj o stosunkach polsko-rosyjskich. W marcu 1827 r. na miejsce Lorenza mianowany został konsulem generalnym kawaler Provost, komiczna, nadęta i zupełnie niezdatna figura; już po roku, w połowie marca 1828 r., odwołany i zastąpiony przez barona Oechsnera, dotychczasowego rezydenta w Krakowie, pozostał on jednak aż do końca t. r., gdyż Oechsner, skutkiem opóźnienia *exequatur*, oraz powikłań krakowskich, przybył do Warszawy dopiero w grudniu t. r. Ten ostatni, stosunkowo przynajmniej najpokaźniejszy z nich wszystkich, choć jeszcze zdeklarowana miernota, wysiedział w Warszawie aż do rewolucyi listopadowej i dopiero po jej wybuchu odwołany stąd został. Wszyscy ci konsulowie austryaccy w stolicy Królestwa Kongresowego to byli z reguły *gute Leute und schlechte Musikanten*, przyzwoici osobiście ludzie, bez żadnego zmysłu i inicyatywy politycznej, ani nawet umywali się do sprytnego pruskiego kolegi, byli zresztą w ciągłym dotkliwym niedodostatku pieniężnym i już z tego powodu, nie mówiąc o jakimkolwiek wpływie, mieli dla braku *nervi rerum* duże trudności w należytem informowaniu się o rozgrywających się tutaj wcale skomplikowanych i niemałoważnych wypadkach politycznych doby ówczesnej.

Z tem wszystkiem, zarówno głębiej sięgające, przenikające aż do ukrytych sprężyn i widoków, depesze konsulackie pruskie, jakoteż raczej sytuacyjne i nastrojowe doniesienia austryackie z Warszawy, jak okaże się z ofiarowanych poniżej wyjątków, zawierają sporo zajmującego materyału, a nawet niejednokrotnie rzucają nowe światło na niektóre wybitniejsze momenty i zagadnienia dziejów Królestwa Kongresowego.

III.

Przez pierwsze lata po swej instalacyi w charakterze konsula generalnego, Schmidt ograniczał się do posyłania do Berlina skromnych doniesień w zwykłych konsulackich czynnościach bieżących oraz materyach celno-handlowych. Wreszcie, w lutym 1819 r. z własnej inicyatywy wystosował, bezpieczną drogą na Poznań przez Zerbo niego, pierwszą poufną depeszę czysto polityczną na ręce ministra spraw zagranicznych hr. Bernstorffa. Podawał tu zwięźle szereg ze wszechmiar interesujących nowin. Dotyczyły one nadzwyczaj ważnej i aktualnej sprawy rozszerzenia Królestwa od strony Litwy, będącej na porządku dziennym na skutek doniosłych ukazów Aleksandra I

o utworzeniu Oddzielnego Korpusu Litewskiego z 1817 (i 1819) r., oraz słynnej jego mowy sejmowej warszawskiej 1818 r. Schmidt wprost donosił o zamierzanem przez monarchę ogłoszeniu inkorporacyi gubernij litewskich do Królestwa na przyszłym sejmie 1820 r. Niemniej ciekawą była komunikowana przez niego pogłoska, iż na wypadek oczekiwanego podówczas zejścia sędziwego króla saskiego, Fryderyka Augusta, miałaby zostać urzeczywistnioną zamienna koncepcya terytoryalna, podniesiona jeszcze lecz zwichnięta na Kongresie Wiedeńskim, a polegająca na zajęciu Saksonii przez Prusy, wzamian za odstąpienie Rosyi W. Ks. Poznańskiego, które zostałoby wcielonem do Królestwa. Zarazem stwierdzał Schmidt, że Aleksander z osobliwą uwagą śledzi administracyę austryacką w Galicyi i żywo interesuje się wszelkiemi objawami rosnącego tam niezadowolenia z uciążliwych rządów austryackich. W tem wszystkiem, obok pewnej przesady, były szczegóły, jak na ową właśnie chwilę, całkiem wiarogodne i znajdujące skądinąd potwierdzenie źródłowe w najnowszych świadectwach rosyjskich i polskich. W każdym razie wiadomości powyższe, zasięgnięte przez konsula pruskiego w kołach najbliższych W. Ks. Konstantego i samego cesarza, są symptomatycznie nader znamienne dla tego nastroju odnowicielskiego, w jakim wtedy jeszcze znajdował się Aleksander, i dla tych dalekosiężnych a nietrwałych zamierzeń, z jakiemi w owym momencie przejściowym 1818—19 r., kulminacyjnym okresie swego liberalizmu, nosił się on w dziedzinie sprawy polskiej. Nie ulega też wątpliwości, że niniejsze tak lapidarne i może nie bez rozmysłu przesadne, doniesienie ostrzegawcze Schmidta, dostawszy się do Berlina, a stąd i do Wiednia, wywołać musiało żywy niepokój obu rządów spółdzielczych i przyczynić się do podjętej natychmiast z obu stron akcyi zapobiegawczej, dzięki której koniec końcem sparaliżowane zostały w zupełności rzeczone piękne, lecz zawsze bardzo kruche intencye liberalne polskie Aleksandra I.[1])

[1]) Schmidt do Bernstorffa, Warschau, 9 Febr. 1819: „Des Kaisers von Russland Majestät werden sich im Monat September d. J. bestimmt nach Warschau begeben. Der nächste Reichstag wird jedoch höchst wahrscheinlich erst im J. 1820 gehalten und dann die Vereinigung der russisch-polnischen Provinzen mit dem Königreich Polen ausgesprochen werden. Die Constitution des Königreichs soll mit einigen Modificationen in jenen Provinzen eingeführt und aus ihnen zwei Statthalterschaften gebildet werden. Die Mehrzahl der Nation wünscht diese Vereinigung sehnlichst, sowie sie überhaupt die Hoffnung nicht aufgibt, das ganze ehemalige Polen einst wieder erstehen zu sehen. Etwas frappirt sind die hiesigen faiseurs indess davon geworden, dass in Aachen [i. j.

Wistocie ta pierwsza czysto polityczna depesza konsulacka wywołała sensacyę w Berlinie. Minister Bernstorff uznał ją za wysoce „interesującą“ i w poufnym reskrypcie, posłanym również bezpieczną drogą przez Zerboniego, zachęcił Schmidta, aby nie krępując się bynajmniej „przepisaną sobie pierwotnie dziedziną urzędową,“ nie omieszkiwał i nadal „kontynuować w tym samym sposobie i zdwojoną zasługiwać się pilnością.“ [1]) Takiej tylko zachęty czekał Schmidt i odtąd, równolegle do zwyczajnych doniesień konsulackich, wyprawiał on z Warszawy do swego ministeryum osobną seryę depesz czysto politycznych pod nazwą „doniesień o sprawach publicznych“ *(Berichte über öffentliche Angelegenheiten)*.

Już następna tego rodzaju depesza warszawska z maja t. r. mieściła znowuż sporo zajmujących postrzeżeń. Tym razem Schmidt starał się dać charakterystykę społeczeństwa polskiego, jego nastrojów i dążeń. Wyprzedzając ks. Bismarcka, który, jak wiadomo oświadczył kiedyś z trybuny parlamentarnej, że dałby sobie radę z Polakami lecz nie z Polkami, warszawski konsul twierdzi całkiem poważnie, że główną sprężyną polityczną w Królestwie są „kobiety polskie, znacznie przewyższające mężczyzn pod względem umy-

na kongresie akwizgrańskim 1818 r.] über die politische Lage Polens durchaus nichts verhandelt worden ist. Sie halten sich nun einmal für das auserwählte Volk und suchen Europa in Polen. Mit unausgesetzter Sorgfalt schmeichelt der Kaiser ihrer Eigenliebe; auch ist er wirklich sehr von ihnen geliebt; die Russen indess dagegen durchaus nicht und die aufrichtige Annäherung beider Nationen scheint noch immer sehr ferne... An öffentlichen Orten wird laut und bestimmt versichert, dass Preussen bei Ableben des Königs von Sachsen sein Land in Besitz nehmen und dagegen das Grossherzogthum Posen an Russland abtreten werde... Auffallend ist die seit kurzer Zeit ausgesprochene Zuneigung der Russen, namentlich des Grossfürsten Constantin, für den König von Sachsen. Seine Kaiserliche Hoheit haben sogar das Bild dieses Monarchen en bronze in Ihrem Cabinet aufgestellt... Das hiesige Gouvernement ist von Allem, was in Galizien vorgeht, von dem Benehmen der kaiserlich-oesterreichischen Beamten daselbst, sowie von der herrschenden grossen Unzufriedenheit, bis ins kleinste Detail unterrichtet. Die Correspondenz zwischen hier und Oestreich unterliegt einer strengen Controle.“

[1]) Bernstorff do Schmidta, Berlin, 27 Febr. 1820: „Ist es zum erstenmal, dass Sie den Ihnen ursprünglich angewiesenen Geschäftskreis überschritten und sich auf öffentliche Angelegenheiten einlassen; dieser erste Versuch ist aber so genügend ausgefallen, dass ich nicht umhin kann, Euch aufzumuntern, in eben der Art fortzufahren und sich durch Verdoppelung Ihres Fleisses ein neues Verdienst zu erwerben.“

słu i wykształcenia, lepiej obeznane z kartą geograficzną swego kraju, niż z własnem gospodarstwem domowem.“ Silnie podkreśla różnicę zasadniczą w stosunku opinii publicznej polskiej do osoby cesarza i króla Aleksandra I, cieszącego się powszechną sympatyą, a do Rosyan w ogólności, traktowanych podawnemu jako zdobywców, z nieufnością i niechęcią. Zarazem twierdzi ze szczególnym naciskiem, że tembardziej jeszcze ze strony rosyjskiej żywione są uczucia nawskroś wrogie względem wszystkiego, co polskie. Niechęć opinii publicznej rosyjskiej do Królestwa i Polski tak jest głęboko zakorzenioną i bezwzględną, że spada ona nawet na samych Rosyan, służących w Królestwie: „Gdy przybywają oni stąd do Petersburga, są przyjmowani tam, z wyjątkiem dworu, jaknajgorzej, traktowani jako odstępcy i nazywani renegatami, adwokatami polskimi. Generał Arakczejew należy do najzaciętszych ich wrogów i zwalcza najsilniej myśl zjednoczenia wszystkich prowincyj rosyjsko-polskich, która jednak, po wykończeniu niezbędnych robót przygotowawczych, niezawodnie będzie urzeczywistnioną w roku przyszłym i wywoła w Rosyi wielkie niezadowolenie.“ Równocześnie Schmidt miał już możność podania pewnych szczegółów o układanym wtedy przez Nowosilcowa w największej tajemnicy, na rozkaz cesarski, projekcie konstytucyi powszechno-rosyjskiej; miał nawet, jak się okazuje, sam w ręku odpowiednie dokumenty, o których mówi na podstawie „tego, co sam czytałem,“ przyczem wyraża „nadzieję, że będę tak szczęśliwym, wydostać kopię.“ Podobnej sztuki nie mógł oczywiście dokazać inaczej, jak przy osobistej pomocy Nowosilcowa.[1])

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 14 Mai 1819: „...Des Kaisers Alexander Vorliebe für die Polen ist gross und entschieden. Er schmeichelt ihnen bei jeder Gelegenheit und scheut keine Mühe, sich bei ihnen populär zu machen. Die hohe Liebenswürdigkeit dieses Monarchen, sein Äusseres, unterstützen dies Bestreben sehr und wirklich lieben und verehren die Polen ihren König aufrichtig. Sehr sorgfältig jedoch ist dies Gefühl von dem zu unterscheiden, was die Polen für die Russen im Allgemeinen empfinden und was ihnen von Diesen im vollen Maasse vergolten wird. Der Zeitpunkt, wo beide Nationen sich aufrichtig die Hände bieten werden, scheint noch sehr entfernt und die hiesigen Damen besonders sprechen Dies ohne Scheu aus. Den Männern an Geist und Bildung weit überlegen, mit der Landkarte weit besser bekannt als mit ihrem Hauswesen, ist ihnen die sogenannte Vorstellung ihres Vaterlandes keineswegs genügend. Die russische Herrschaft sagt ihnen trotz der gefälligen Form nicht zu... Die Männer sind hier mehr als irgendwo das Echo der Frauen und auf jede Weise von ihnen abhängig. Zudem macht sie das System

Rzeczywiście, to *tour de force*, dostarczenie gabinetowi berlińskiemu dokładnej kopii zarysu słynnego projektu konstytucyi rosyjskiej, będącego wtedy sekretem jeszcze nawet dla W. Ks. Konstantego, uskutecznił Schmidt w październiku t. r., kiedy projekt ów był roztrząsany bliżej podczas bytności Aleksandra w Warszawie. Przy tej okazyi z widoczną ulgą donosił konsul pruski w swych depeszach poufnych o pierwszych objawach dostrzeganej zmiany na gorsze w stosunku monarchy do Królestwa. „Cesarz, który już cztery razy odwiedzał Warszawę, nigdy nie był tak poważnym, tak mało uprzedzającym, jak obecnie.“ Zaczynają odczuwać tę zmianę Polacy; prezes Senatu, Stanisław Potocki, ze wzruszenia aż zemdlał na sesyi, — a był on już wtedy w przededniu niełaski

---

des Kaisers—alle alten und schönen Namen aus den Geschäften zu entfernen— höchst unzufrieden... Die erschreckende Wildheit des Grossfürsten Constantin, sein unbeschreibliches Misstrauen (ein Hauptzug in dem Charakter dieses Prinzen), seine Ideen von Disciplin und Subordination wie kein Zeitalter sie aufzuweisen hat, seine Abneigung gegen repräsentative Verfassung erfüllt Alles mit Furcht und Schrecken... Es lassen sich besonders seit seiner Rückkehr von Aachen die Ausbrüche kaum mehr zählen. Dabei hat dieser unerklärliche Prinz Augenblicke von hinreissend guter Laune, höchster Liebenswürdigkeit und Güte. Man könnte denken, ein gutes und böses Prinzip stiege abwechselnd in ihm auf und ab... [Następują zwięzłe charakterystyki członków rządu] Zajączek... seine Abneigung gegen Preussen und Oestreich ist entschieden... Węgliński [minister skarbu] ein sehr kluger und leise auftretender Mann... Sobolewski [minister sprawiedliwości] sehr kränklich und alt und sich nach Ruhe sehnend... Hauke... braver, ordnungsliebender Mann ohne Kabale und ohne Einfluss... Der Minister Staats-Sekretär Graf Sobolewski zu Petersburg hält sich mit grosser Gewandheit auf seinem Posten, trotz des Neides der Russen, welcher dadurch noch erhöht wird, dass des Kaisers Majestät wöchentlich einmal bestimmt und zuweilen noch öfter mit ihm arbeiten, während in der Regel die russischen Minister nicht direct mit dem Monarchen, sondern mit dem General Araktschejew communiciren... Der Hass und Neid der Russen ist sehr gross in Beziehung auf Polen. Russen, welche von hier nach Petersburg kommen, werden, mit Ausnahme des Hofes, sehr schlecht aufgenommen und wie Abtrünnige behandelt. Man nennt dort die hiesigen Russen: *les révégats, les avocats polonais*. Der General Araktschejew ist einer ihrer entschiedensten Gegner und bekämpft nach Kräften die Idee der Vereinigung aller russisch-polnischen Provinzen, welche indess, nach Beendigung der so nöthigen Vorarbeiten, im nächsten Jahre ohne Zweifel statthaben und in Russland grosse Unzufriedenheit erzeugen wird. Die russische Constitution ist hier bei Herrn Novossiltzoff von einem bei ihm angestellten Franzosen [Deschamp] schon längst beendigt und vom Kaiser kürzlich grösstentheils genehmigt worden...“

i dymisyi. „W. Książe zachwycony jest zachowaniem się cesarza i odtąd zapewne będzie się jeszcze mniej krępował niż kiedykolwiek.“ O czujności Schmidta pochlebne daje pojęcie ten fakt, iż on tak wcześnie wyczuł początki wstecznego przesilenia w polityce polskiej Aleksandra, które miało uwydatnić się namacalnie dopiero w roku następnym na drugim Sejmie warszawskim.[1])

O przebiegu tego Sejmu i równoległem zaostrzeniu tamtego zasadniczego przesilenia sporo szczegółów charakterystycznych podaje z upodobaniem korespondencya Schmidta z r. 1820. Relacye jego w tym względzie są tem ciekawsze, że w części opierają się bezpośrednio na słowach własnych samego W. Ks. Konstantego. „Jego Cesarzewiczowska Mość zaszczyca mnie ciągle swojem zaufaniem i przy każdej sposobności udziela mi wynurzeń z powodu liberałów tego kraju a zwłaszcza kobiet tutejszych. Wynurzenia te zwykle zamyka on słowami: Rózgi, rózgi, oto czego im potrzeba.“ Kiedyindziej, już podczas Sejmu, zapisuje konsul następujące orzeczenie, słyszane z ust W. Księcia: „Do dyabła z liberałami, doktrynerami i filantropami! jedynie tylko bat może rządzić światem!“ Niepomyślny obrót Sejmu, energiczne wystąpienie opozycyi, surowe królewskie orędzie zamknięcia, wszystko to napawa konsula generalnego pruskiego szczerem ukontentowaniem, tembardziej, że z rozmów swoich z bawiącymi wtedy w Warszawie Rosyanami, nie wyłączając adjutantów przybocznych monarchy, przekonywa się z pociechą, iż oni również są uradowani „z dekonfitury Królestwa Polskiego.“ Jeden tylko minister spraw zagranicznych, hr. Capo d'Istria starał się umiarkować zbyt gwałtowny zwrot reakcyjny Aleksandra względem Królestwa, lecz nie tyle z sympatyi dla Polski, ile ze względu na politykę zagraniczną, a zwłaszcza grecką, cesarza, która z takim zwrotem nie dałaby się pogodzić wobec opinii europejskiej. Przenikliwy Schmidt, doskonale zdając sobie sprawę z tych komplikacyj i przeciwieństw polityki zagranicznej a wewnętrznej cesarza Aleksandra, udziela w tej mierze wyjaśnień

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 4, 7, 17 Octob.: „Der Kaiser, der Warschau nun vier mal besucht hat, ist noch nie so ernst, so wenig zuvorkommend gewesen als jetzt. Er hat sich ausschliesslich mit der Armee beschäftigt... Der Grossfürst ist über das Benehmen des Kaisers entzückt und wird sich nun wohl weniger als je geniren,“ 18 Octob. 1819. Depesza Schmidta, 27 Octob. 1819, z dołączonem Précis konstytucyi rosyjskiej, ogł. przez prof. Schiemanna w Hist. Ztschr., LXX, znajduje się oddzielnie śród akt poselskich petersburskich, dokąd widocznie zostały przeniesione niektóre ważniejsze i drażliwsze ustępy korespondencyi warszawskiej.

bardzo trafnych, które niewątpliwie przydały się gabinetom berlińskiemu i wiedeńskiemu dla tem łatwiejszego opanowania dotychczasowej dyrektywy politycznej rosyjskiej na naradach kongresowych w Opawie i Lublanie w najbliższej zaraz przyszłości.[1])

Rok 1821 przyniósł dalsze, coraz wyraźniejsze oznaki wycofywania się Aleksandra z pierwotnych zamysłów reformatorskich względem Rosyi i restytucyjnych względem Polski. Jaknajpilniej wszelkie podobne symptomaty śledził i komunikował swemu rządowi bystry obserwator pruski w Warszawie. Z pociechą dono-

[1]) Schmidt do Bernstorffa, (sicher zur Grenze), 15 Jan., 1820: „...S. K. H. beehren mich fortdauernd mit Ihrem Vertrauen und lassen sich bei jeder Gelegenheit über die Liberalen dieses Landes und ganz besonders über die Damen aus. Seine desfallsigen Äusserungen schliessen gewöhnlich mit den Worten: *des verges, voilà ce qu'il leur faut.*" 1 Mai: „...(Die Polen) dürften sich gröblich irren. Der Kaiser ist durch die letzten grossen Begebenheiten sowie durch die gegen Russland herrschende Stimmung schüchtern geworden und die so oft verheissene *innere* Vergrösserung des Königreichs Polen scheint sogar aufgegeben, obwohl man hier noch immer mit Bestimmtheit darauf rechnet." [w tej depeszy znajduje się również już pierwsza wzmianka o ewentualnej zmianie następstwa tronu w Rosyi, — szczegół dobitnie świadczący o doskonałych informacyach Schmidta], 28 Mai, 29 Juli [o zamiarze mianowania W. Ks. Konstantego Namiestnikiem, na miejsce Zajączka, z przydaniem mu Comité Suprême, złożonego z Ad. Czartoryskiego, Ign. Sobolewskiego i Stan. Potockiego], 11 Aug. [dołączone obszerne wyciągi z depesz posłów rosyjskich Stackelberga z Neapolu i Italińskiego z Rzymu; Bernstorff do Schmidta, 23 Aug., z wyjątkową serdecznością dziękuje konsulowi za wydobycie tych doniosłych dokumentów], 28 Aug., 13 Septemb.: „...Der Grossfürst Constantin ist ergrimmt über die Lauheit des Publikums und frappirt von dem Ernste der Deputirten. S. K. H. sagen: *au diable les libéraux, les doctrinaires et les philantropes, il n'y a que le fouet qui puisse faire marcher le monde,*" 7 Octob.: „...Mit dem Gange, welchen die Reichstagsverhandlungen genommen haben, ist der Kaiser *sehr* unzufrieden. Ich glaube, S. M. sind gesonnen, die Polen fortan weniger zu begünstigen. Cela s'acheminait vers Wilna et Grodno; on sera bien content en Russie de la déconfiture du Royaume de Pologne, sagen die russischen Generaladjutanten," 15 Octob.: „...*Que dirons-nous a Troppau*, fragte der Graf [Capo d'Istria, w rozmowie z cesarzem], *comment professer des idées libérales après un éclat de cette nature?* Dies wirkte, und Ew. Hochgräfliche Exc. werden bald von Hrn. Capo d'Istria hören: que l'esprit des Polonais est excellent, qu'ils sont en possession de tous les éléments nécessaires pour former une bonne réprésentation nationale, mais que l'Empereur s'est vu obligé de réprimer les abus de quelques têtes chaudes qui visaient à des effets de tribune. Das Wahre an der Sache ist, dass die Administration schlecht, die Freiheit beschränkt und die Unzufriedenheit gross ist."

sił, że monarcha w maju t. r. jeden dzień tylko zabawił przejazdem w Warszawie i że nadto, podczas tak krótkiego pobytu, doszło do groźnych ostrzeżeń i dotkliwych środków represyjnych dla Królestwa Polskiego. Mowa tu o wydanej wtedy właśnie w Warszawie słynnej odezwie ministra sekretarza stanu Grabowskiego imieniem królewskiem (25 maja 1821), — której proweniencya zazwyczaj mylnie bywa podawaną,—gdzie z powodu deficytu skarbowego została zakwestyonowaną sama egzystencya ustawodawcza Królestwa. Mowa również o specyalnych pełnomocnictwach policyjnych nadanych wówczas dodatkowo W. Księciu Konstantemu oraz o reorganizacyi, na nowych rozszerzonych zasadach, Wyższej Tajnej Policyi warszawskiej, — co znowuż stanowiło przegrywkę do wielkich śledztw i uwięzień lat następnych i sprawy Łubasińskiego, a tem samem do całego szeregu najsmutniejszych powikłań wewnętrznych, których drobnostkową relacyą zapełnione są odtąd coraz gęściej spółczesne depesze konsulackie Schmidta z 1822—26 r.[1]) Z lubością zaznacza on głębokie rozgoryczenie, szerzące się skutkiem tych wypadków w społeczeństwie polskiem, i powtarza wyrazy słyszane od wybitnych Polaków: „jesteśmy przy początku końca; niebawem znajdziemy się w tem samem położeniu co i inne prowincye rosyjskie.“ Obok licznych informacyj o przebiegu śledztwa i sądu w sprawie Wolnomularstwa Narodowego, zakończonej skazaniem Łukasińskiego i towarzyszy przez wyrok wojenny 1824 r., Schmidt z osobliwą pilnością przesyłał do Berlina szczegółowe wiadomości o wszczętych równocześnie na Litwie prześladowaniach młodzieży szkolnej Uni-

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 29 Mai, 7 Juni 1821: „...Der Kaiser hat mit dem Grossfürsten lange Unterredungen über die jetzige so bewegte Zeit gehabt und seine *grosse* Unzufriedenheit mit der Stimmung der russischen Garde ausgesprochen. Der Kaiser hat auch von strengen polizeilichen Maassregeln für Russland als von einer traurigen Nothwendigkeit gesprochen. Der Grossfürst ist von S. M. authorisirt worden: 1. Jeden Russen, welcher sich hier unziemliche Handlungen oder auch nur unpassende Ausserungen erlaubt, sogleich mit einem Feldjäger in die Heimath zu senden; 2. jeden verdächtigen Fremden über die Grenze zu schieben; 3. jede beliebige Ausgabe für die höhere (geheime) Polizei zu machen. Es existirt nun schon eine so wohl organisirte police militaire, police des spectacles, des auberges, et *des salons*, dass die Luft jetzt äusserst drückend und jede Geselligkeit ganz verschwunden ist. Die vornehmen Polen sind sehr betreten und sagen: nous sommes au commencement de la fin; bientôt nous jouirons des mêmes bienfaits que les autres provinces russes.“

wersytetu wileńskiego i tamecznych średnich zakładów naukowych. Niektóre z tych jego doniesień, np. z powodu trzymanych w ścisłej tajemnicy zajść w szkole kieydańskiej, były natury tak poufnej, że widocznie pochodzić mogły jedynie od samego naczelnego prześladowcy młodzieży litewskiej, senatora Nowosilcowa we własnej osobie. [1])

Miał tedy dosyć powodów do zadowolenia konsul generalny pruski z opłakanego obrotu stosunków polsko-rosyjskich w ostatnich latach panowania Aleksandra I. Ale miał też nieprzyjemność i kłopot ze strony całkiem niespodzianej: poczynał mianowicie dostrzegać w łaskawym dotychczas na siebie W. Księciu Konstantym nieoczekiwaną zmianę na gorsze w stosunku do Prus. W. Książę Cesarzewicz nagle zaczął akcentować bardzo wyraźnie przychylność szczególną dla dworu wiedeńskiego a niedwuznaczną antypatyę dla dworu berlińskiego. „Nieprzyjazne usposobienie W. Księcia dla Prus — donosił Schmidt w początku 1824 r.—które Jego Cesarzewiczowska Mość codziennie uwydatnia w mojej obecności, naraża mnie tygodniami całemi na przykrości.“ [2]) Przyczyna tego dziwnego zwrotu leżała daleko głębiej, niż możnaby napozór przypuszczać, znając kapryśne usposobienie Konstantego. Tkwiła ona mianowicie w jego dziwnym, coraz pogarszającym się stosunku do młodszego brata Mikołaja, który, jako zięć króla pru-

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 22 Juli, 29 Aug. 1822, 16 Jan., 20 Febr., 20 März, 28 Sept., 6 Oct. 1823, 14 März 1824: „...Es wurde ihm [Nowosilcowowi] die Anzeige gemacht, dass mehrere junge Leute, welche zu Kieydany... auf dem dortigen Lyceo studiren, die Absicht hätten, den Grossfürsten Constantin auf der Durchreise nach St. Petersburg anzufallen und zu ermorden. Hr. v. Novossilzoff traf mit der grössten Behutsamkeit die nöthigen Maassregeln; 4 junge Leute wurden verhaftet und einer derselben, Namens Mollison, der neunzehnjährige Sohn des Rectors des Lyceum von Kieydany, dem Grossfürsten selbst, welcher einige Stunden später daselbst eintraf, durch Hrn. v. Novossilzoff vorgeführt. S. K. H. fragen ihn: „ob er ihn kenne, ob er ihn oder seine Familie je gekränkt, verfolgt habe?“ Der junge Mensch verneinte all diese Fragen, gestand aber frei die Absicht, den Grossfürsten ermorden zu wollen, „weil er das Unglück seines Vaterlandes mache.“ Das Schicksal der jungen Leute ist noch nicht entschieden. Durch einen kaiserlichen Beschluss ist das Lyceum zu Kieydany aufgelöst. Für die Wahrheit dieses Vorfalls kann ich bürgen. Er wird überaus geheim gehalten.“

[2]) Schmidt do Bernstorffa, 29 Febr. 1824: „...Die ungünstige Stimmung des Grossfürsten gegen Preussen, welche S. K. H. täglich gegen mich aussprechen, hat mich mehrere Wochen lang viel leiden machen.“

skiego, był wszak jaknajściślej związany z Berlinem, a który zarazem, z woli Aleksandra, wedle tajnego układu dokonanego w rodzinie cesarskiej, był predestynowanym następcą tronu, rzeczywistym dziedzicem praw, już tylko pozornie przysługujących Cesarzewiczowi Konstantemu.

O owych arcyważnych postanowieniach rodzinnych, powziętych w Petersburgu w sprawie sukcesyjnej, choć były trzymane w największej tajemnicy, oddawna posiadano dokładną wiadomość w Berlinie, bezpośrednio z najlepszego źródła, bo od W. Księcia Mikołaja; a i w relacyach warszawskich sprytnego Schmidta napotykają się ostrożne wprawdzie, lecz dość wyraźne, skazówki w tej mierze. Berlin był pod tym względem daleko lepiej informowany od Wiednia, gdzie liczono napewno na objęcie rządów po Aleksandrze przez Konstantego, a obiecywano sobie najpomyślniejsze skutki polityczne ze znanej powszechnie sympatyi W. Księcia Cesarzewicza dla domu austryackiego. Śmierć Aleksandra I w grudniu 1825 r., zamach Dekabrystów, trzytygodniowe bezkrólewie w Rosyi i Królestwie Polskiem, długie niebezpieczne przesilenie, ostateczne utrzymanie się Mikołaja I przy koronie,— wszystkie te wypadki nadzwyczajne musiały też odbić się silnem echem w relacyach konsulackich z Warszawy. Co do samego przebiegu wydarzeń ówczesnych posiadamy obecnie przyczynki nowe i decydujące z najpierwszego źródła petersburskiego, obalające doszczętnie dotychczasową urzędowo-legendową wykładnię, i stwierdzające niezbicie, że nie chodziło tu bynajmniej o wyścig szlachetności pomiędzy dwoma braćmi, bezinteresownie ofiarującymi sobie nawzajem koronę, lecz że, przeciwnie, odbywał się podówczas między Petersburgiem a Warszawą, między Mikołajem a Konstantym zatarg bardzo ukryty i zamaskowany, lecz naprawdę bardzo zawzięty i ostry, i że, koniec końcem, W. Książę Cesarzewicz wbrew swej woli został odsadzony od tronu. Doniesienia konsulackie z Warszawy, z tej właśnie doby krytycznej, są głównie z tego względu ciekawe, że rzucają światło na ówczesne usposobienie Konstantego, świadczą o jego przygnębieniu i zawodzie. „W. Książę Konstanty — donosił ks. Metternichowi wicekonsul austryacki Lorenz w początku stycznia 1826 r.—z powodu (przysięgi na rzecz Mikołaja I), po raz pierwszy od nadejścia wieści o zgonie cesarza, opuścił Belweder. Jego Cesarzewiczowska Mość znacznie ucierpiał w wyglądzie i uderzająco schudł. Odebrał on osobiście przysięgę od rosyjskich pułków grenadyerskich. Gwardya polska składała przysięgę na ręce generała Krasińskiego, inne pułki — pod przewodem odpowiednich generałów dywizyi... Wszystko odbyło się

bez jakiejkolwiek uroczystości szczególnej, bez przemówień i t. p., całkiem pocichu, bez wszelkich oznak radości lub niechęci.“ Trudność położenia W. Księcia Konstantego jeszcze bardziej wzrosła, gdy skutkiem wykrycia w Petersburgu związku aresztowanych Dekabrystów rosyjskich z polskiem Towarzystwem Patryotycznem zaczęła się w Warszawie doba większych niż kiedykolwiek śledztw i aresztów politycznych. Dziś niezbicie wiadomo, że cała ta nowa afera śledcza, będąca punktem wyjścia Sądu Sejmowego, narzuconą została W. Księciu Konstantemu, wbrew stanowczej jego opozycyi, przez Mikołaja I, który swoją surową represyę śledczo-sądową w Petersburgu pragnął uzupełnić i zrównoważyć przez analogiczną, conajmniej równie ostrą represyę w Warszawie, a zarazem miał na widoku przeszkodzić wytworzeniu się odmiennych, lepszych niż dotychczas, stosunków pomiędzy wyzutym z tronu rosyjskiego Cesarzewiczem a pozostającem faktycznie pod jego rządami Królestwem Polskiem. Ale podówczas dla osób, niewtajemniczonych w te sprężyny zakulisowe, główne *odium* spadało wyłącznie na Konstantego, co też właśnie najdokładniej odpowiadało intencyom petersburskim. Odbicie tego osobliwego stanu rzeczy odnajduje się w spółczesnych relacyach austryackich z Warszawy, zarówno pochodzących z tutejszego konsulatu, jakoteż od ks. Hessen-Homburskiego, jadącego tędy na koronacyę moskiewską.[1])

[1]) Lorenz do Metternicha, Warschau, 1 Jan. 1826, 8 Uhr morgens: „Vor 3 Stunden ist endlich der Courier mit der Entwicklung der bisher in Zweifel gelegenen Frage über die Thronfolge in Russland angelangt... Der Grossfürst Constantin liess sogleich seinen Hofstaat berufen und las in Gegenwart der Fürstin Lowicz seiner Frau und mehrerer Generäle die Ukase des neuen Kaisers laut vor und endete mit dem Ausrufe: Hurrah, es lebe mein geliebter Bruder, Nikolaus I, mein Allergnädigster Kaiser und Herr!“ 3 Jan.: „Die Eidesleistung der hiesigen Garnison, dann sämmtlicher Civilautoritäten für Kaiser Nikolaus I fand wirklich am gestrigen Tage statt. Der Grossfürst Constantin hat aus diesem Anlass seit der Nachricht von des Kaisers Tode das erste mal das Belvedère verlassen. S. K. H. hat in seinem Aussehen bedeutend gelitten und ist auffallend mager geworden. Er hat in Person die russischen Grenadierregimenter vereidet. Die polnische Garde schwur in die Hände des Generals Krasiński, die übrigen Regimenter unter Anführung der betreffenden Divisionsgeneräle. Der Senat versammelte sich zur Eidesleistung im Schlosse, die übrigen Autoritäten in ihren Bureaux. Alles Dieses wurde ohne irgendeine besondere Feierlichkeit und ohne Abhaltung von Anreden und dgl., ganz im Stillen und ohne Äusserung von Freude oder Unmuth vorgenommen.“ 14 Jan.: „...Der Prinz [Wilhelm pruski, wtedy przejazdem w Warszawie w drodze do Petersburga] war im königlichen Schlosse abgestiegen, wo ihn bald

W nienaturalnej, dwuznacznej sytuacyi, jaka odtąd stała się udziałem W. Księcia Konstantego, podawnemu wielkorządcy Królestwa Polskiego, poczęści nawet Litwy, a niedoszłego cesarza, w stosunku do rzeczywistego monarchy a samodzierżcy wszechrosyjskiego *par excellence*, Mikołaja I, były pewne strony szczególnie drażliwe a nadzwyczaj doniosłe, które daleko wcześniej i lepiej od obserwatorów austryackich uchwycił bystrzejszy postrzegacz pruski w Warszawie. Już w styczniu 1826 r. donosił Schmidt o obiegających Warszawę pogłoskach, będących w gruncie rzeczy niczem innem, jak odbiciem ukrytych dezyderatów samego Konstantego i jego najbliższego otoczenia, a wedle których nowy cesarz miałby jakoby „pozostawić Królestwo Polskie

---

der Grossfürst Constantin besuchte. Letzterer hat seit des Kaisers Tode das Schloss zum erstenmale wieder betreten und war durch die Erinnerungen des Ortes lebhaft ergriffen; nach dem Besuche trat er in die Schlosscapelle, wo er mit tiefer Rührung und thränenden Augen einige Augenblicke der Andacht weihte... Es ist ein einziges Sappeur-Regiment in der Gegend von Wilna, welches die Eidesleistung für Kaiser Nikolaus beanstandete, ...doch auch dieses Corps hat bereits den Eid geleistet;“ 15 März: „Wenn schon durch die mannichfaltigen Beschränkungen der dem Königreich Polen gegebenen Constitution, durch die Fürgänge des Grossfürsten Constantin, welcher diese Urkunde bei jeder Gelegenheit lächerlich zu machen sucht, sich die Nation höchst gekränkt glaubt, und die stufenweise oft schonungslos vorgenommenen Verletzungen derselben die vermeintlichen Nationalvorrechte beinahe gänzlich aufgehoben haben, so sind es noch mehr die soeben fortschreitenden politischen Ereignisse gewesen, welche wesentlich beigetragen haben, das allgemeine Missvergnügen zu steigern. ...vor Allem die Aufstellung des soeben... beorderten ausserordentlichen Comité [Komisyi Śledczej]...“ 26 Juli. Ks. Hessen-Homburg do Metternicha, Warschau, 22 Juli 1826 [przyjechał 19, wyjechał 22 na Brześć wprost do Moskwy]: „...In Warschau find ich die Sachen ziemlich wie ich sie vor Jahren gesehen, nämlich ganz die damalige gleiche Scission der Russen und Polen... Der Prince Lieutenant [Zajączek] wird dieser Tage sterben; über den Ersatz ist man nicht ohne Besorgniss und einseitige Wünsche. Der Grossfürst soll den alten General Hauke vorschlagen; der Wunsch vieler dagegen nennt den früher bei dem Kaiser Alexander gewesenen Staatssecrétaire Grafen Sobolewski... Novossilzoff ist ergriffen und beschäftigt mit dem Gedanken einer Krönung als König von Polen; er schien sogar meine Meinung desshalb vernehmen zu wollen und forderte mich auf, sie mitzutheilen. Anfangs gab er die ehemalige Analogie der Könige von Ungarn und Polen, die ich angab, zu, dann aber kam er auf die grossen religiösen Hindernisse zurück, die sich darboten, welche Z. B. dem Oberhaupt der griechischen Kirche nicht erlaubten, sich vor einem lateinischen Bischof zu beugen,

oraz inne prowincye polsko-rosyjskie pod *nieograniczoną* władzę Jego Cesarzewiczowskiej Mości, a nawet, że władza W. Księcia pod tym względem powinna jeszcze bardziej zostać zwiększoną.“ Nie ulega wątpliwości, że tego właśnie podówczas, z chwilą zmiany panującego, życzył sobie najgoręcej Konstanty, że upatrywał w tem jedyne stosowne odszkodowanie za ustępstwo, albo raczej utratę, korony polsko-rosyjskiej, że chciał być gospodarzem w Polsce. Ale również niewątpliwą jest rzeczą, że Mikołaj I od pierwszej godziny objęcia rządów powziął postanowienie niewzruszone utrzymania przy sobie całej pełni udzielności cesarsko-królewskiej, że Konstantemu nietylko nie myślał ustępować w Polsce i sprawach polskich, lecz przeciwnie założył sobie z góry ścieśniać stopniowo jego kompetencyę w Królestwie i na Litwie, w końcu może całkiem go stąd wyparować, w każdym razie poprowadzić politykę polską wbrew jego intencyom i pierwotnym tradycyom Aleksandra, wbrew wyodrębniającym państwowość polską porękom i zapowiedziom, a w myśl wprost odwrotnych dążeń unifikacyjnych czysto rosyjskich. To też zasadnicza różnica poglądów w tej właśnie materyi, odrazu występująca na jaw i odtąd coraz pogłębiająca się, miała stanowić kamień obrazy w stosunku napozór serdecznym, w istocie nawskroś nieprzyjaznym, obu braci, obu tak różnych a jednakowo bezwzględnych indywidualności ludzkich i politycznych, Konstantego a Mikołaja. W relacyach pruskich z Warszawy starannie są zaznaczane kolejne postępy tego znamiennego zatargu. Schmidt, poczynając od 1826 r., donosi o ponurym, gniewnym nastroju W. Księcia, o jego stanowczej odmowie udania się do Petersburga, dokąd wzywany był naglące przez Mikołaja dla udzielenia swoją obecnością należytej sankcyi moralnej młodemu cesarzowi o jego nagłej lecz nadzwyczaj krótkiej podróży na koronacyę do Moskwy (wyjechał z Warszawy 20 sierpnia, powrócił już 10 września 1826 r.) i t. d. Przez

indem, wenn selbst der Kaiser sich darüber hinaussetzen wollte der Effect auf die Zeloten unter den Moscowitern zu gross sein würde, ein Umstand, den dann vielleicht abermals die *Partei* [W. Ks. Konstantego?] benutzen dürfte... Ein Mittagessen bei der immer kränkelnden Fürstin von Lowicz: wir waren vier Personen, die Fürstin, General Kuruta, der natürliche Sohn des Grossfürsten [Pawel Aleksandrow] und ich. Die Fürstin sprach durchaus nur von dem höchstseligen Kaiser, hatte beständig Thränen in den Augen und schien überhaupt auf eine Art mit dem Andenken des Kaisers beschäftigt, wie man nur selten sehen mag; mir wenigstens war Ähnliches noch nie zu Gesichte gekommen.“

cały następny 1827 r., pod wpływem narzuconych sobie kłopotów śledczych warszawskich, W. Książę okazywał rosnące ciągle rozgoryczenie. „Jego Cesarzewiczowska Mość nie zgadza się z większością zarządzeń cesarza a nawet, wedle wiadomości z najlepszego źródła, miał podobno gorzko uskarżać się przed cesarzową matką“ — główną, jak wiadomo, sprawczynią dokonanej zmiany następstwa tronu. W lutym t. r. Konstanty bawił w Petersburgu, głównie dla rozmówienia się w sprawach polsko-litewskich. „W. Książę Cesarzewicz — pisał po jego powrocie do Warszawy Schmidt — zgoła nie jest zadowolony ze swego ostatniego pobytu petersburskiego i znajduje się znowuż w usposobieniu bardzo podrażnionem. Jego Cesarzewiczowska Mość miał kilka nader ostrych rozmów z cesarzem,... (który) w sprawach polskich stale upierał się przy swojem zdaniu. W. Książę całe swoje oburzenie w bardzo silnych wyrazach wynurzył polskiemu ministrowi sekretarzowi stanu w Petersburgu, generałowi hr. Grabowskiemu. Kiedy doniesiono o tem cesarzowi, Jego Cesarska Mość odezwał się: „generał Grabowski jest na służbie u mnie a nie u mego brata.“ [1])

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 14 Jan. 1826: „...Man hat hier übrigens die, wie ich glaube, auch ganz gegründete Überzeugung, dass der Grossfürst Constantin fortdauernd den grössten Einfluss auf alle dieses Land betreffende politische und administrative Angelegenheiten behalten, und S. K. M. das Königreich Polen sowie die anderen russisch-polnischen Provinzen der *uneingeschränkten* Leitung S. K. H. nach wie vor überlassen werden, ja, dass sich die Macht des Grossfürsten in dieser Beziehung noch vergrössern dürfte;“ 21 Juni, 11 Juli [o próżnych nagleniach gen. Opoczynina i hr. Ożarowskiego, przysłanych do Warszawy, względem podróży W. Księcia do Petersburga]: „...Leider ist es nur zu wahr, dass der Grossfürst in der Regel alle Maassregeln des Kaisers Majestät missfällig aufnimmt und fast immer in einer sehr gereizten Stimmung sich befindet;“ 20 Aug., 11 Septemb. 1826; 9 Febr. 1827: „Die Stimmung S. K. H. war in der letzten Zeit, besonders bei jedesmaligem Eingange von Depeschen und Nachrichten aus S. Petersburg, nicht günstig. Höchstdieselben sind mit den meisten Maassregeln des Kaisers nicht einverstanden und sollen sich sogar, nach Mittheilungen aus erster Quelle, gegen der Kaiserin Frau Mutter Maj. über Manches bitter ausgesprochen haben;“ 12 Febr., 5, 20 März: „...dass der Grossfürst Césarevitch mit seinem letzten Aufenthalt in S. Petersburg keineswegs zufrieden ist und sich wiederum in einer sehr gereizten Stimmung befindet. S. K. H. haben mehrere lebhafte Unterredungen mit dem Kaiser gehabt und S. M. nicht für die Ansichten des Grossfürsten in Bezug auf die Bildung des Gerichtshofes zur Verurtheilung der hier verhafteten Individuen gewinnen können. Auch in einigen anderen polnischen

Obok sprawy Sądu Sejmowego była inna jeszcze, daleko mniej głośna, prawie niedostrzegalna dla ówczesnej opinii publicznej, a przecież posiadająca w istocie wagę pierwszorzędną i będąca też jednym z najgłówniejszych powodów nieprzejednanego zatargu pomiędzy Konstantym a Mikołajem: sprawa rekrutacyi Oddzielnego Korpusu Litewskiego. Korpus ten dotychczas składał się i był kompletowany wyłącznie z rekrutów gubernij litewskich i stanowił poniekąd, pod komendą W. Księcia Konstantego, jedną całość z armią Królestwa Polskiego: owóż obecnie Mikołaj, wbrew gwałtownej opozycyi W. Księcia, zaczął tych rekrutów zabierać do korpusów rosyjskich, a natomiast zapełniać pułki litewskie poborem czysto rosyjskim. Doniosłość tej zmiany odrazu zwąchał przenikliwy Schmidt; „to zarządzenie — donosił on do Berlina — wydaje mi się niezawodną oznaką, że J. C. M. cesarz Mikołaj bezwarunkowo nie podziela zamiaru, wyrażonego w latach 1815—18 przez ś. p. cesarza Aleksandra, względem zjednoczenia między sobą wspólnym węzłem administracyjnym i politycznym wszystkich, podwładnych berłu rosyjskiemu, ziem polskich... Zarządzenie powyższe wywołało tu u wielu osób bardzo silny niepokój.“ [1])

Rok 1828 w dalszym ciągu przyczynił się do znacznego obostrzenia stosunków pomiędzy Warszawą a Petersburgiem, na skutek wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej. W. Ks. Konstanty jaknajmocniej był przeciwny tej wojnie i całej związanej z nią oryentacyi politycznej, skierowanej ostrzem swem przeciw Austryi. „Nastrój W. Ks. Cesarzewicza — pisał Schmidt w maju t. r. — jest ciągle niezmiernie podrażniony; Jego Wysokość z największą na-

Angelegenheiten ist der Kaiser stets auf seiner Meinung beharrt. Der Grossfürst hat seinen ganzen Groll in sehr heftigen Ausdrücken gegen den polnischen Minister Staatssecrétaire zu S. Petersburg General Grafen Grabowski ausgelassen. Als der Kaiser diesen Umstand erfuhr, äusserte S. M.: „le général Grabowski est à mon service et non à celui de mon frère.“ Ciekawą jest depesza Schmidta 1 Dezemb. 1827; załącza on tu w dokładnej kopii dwa tajne raporty, dd. 23 i 27 novembre 1827, dostarczone Konstantemu o przebiegu ostatniego Sejmu w Poznaniu i wogóle o nastroju umysłów w W. Księstwie Poznańskiem: jestto zabawny przykład wzajemnego szpiegowania się a zarazem nowy dowód, jak dobrze obsługiwany był Schmidt, skoro tego rodzaju raporty szpiegów, używanych przez Konstantego przeciw Prusom, były natychmiast dostarczane z kancelaryi wielkoksiążęcej... konsulowi pruskiemu.

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 10 Dezemb. 1827.

miętnością oświadcza się przeciw obecnej wojnie, którą uznaje za równie niesprawiedliwą, jak niebezpieczną. W ciągu lat czternastu, odkąd miałem sposobność obserwować W. Księcia, nie było jeszcze ani razu tak długiego okresu takiej w nim goryczy i gniewu. Wyrazy, jakich on używa o J. C. M. cesarzu, o generale Dybiczu i t. d., są poprostu przerażające.“ [1]) Ze współczesnych doniesień austryackiego konsula generalnego w Warszawie, Provosta, widać, że w Petersburgu liczono się wtedy bardzo z możliwością interwencyi austryackiej w wojnie tureckiej i że na taki wypadek gotowano się do uderzenia na Galicyę. Wzmogła się nadzwyczajnie działalność wywiadowcza Wyższej Tajnej policyi wojskowej pod generałem Rożnieckim od strony galicyjskiej. Wówczas to Rożniecki wydobył skądciś, a najprawdopodobniej sam polecił sfabrykować litografowane portrety ks. Reichstadtu, więzionego w Schönbrunnie syna Napoleona a wnuka cesarza Franciszka, w stroju narodowym polskim, jako rzekomo predestynowanego przez Austryę, na wypadek wojny z Rosyą, kandydata na króla polskiego. Agenci rosyjscy rozpoczęli żywą działalność w Rzeczypospolitej Krakowskiej i w Galicyi, docierali do Wiednia, na Węgry i aż do Chorwacyi i Dalmacyi. Cała zaś ta akcya odbywała się z osobistej inicyatywy cesarza Mikołaja, bez względu na najwyraźniejszą opozycyę W. Ks. Konstantego. [2])

---

[1]) Schmidt do Bernstorffa, 2, 25 Febr., 26 Mai 1828: „Die Stimmung des Grossfürsten Césarevitch ist fortdauernd äusserst gereizt, und S. K. H. sprechen sich mit höchster Leidenschaft gegen den jetzigen Krieg aus, den Höchstsie für ebenso ungerecht als gefahrbringend halten. Während der vierzehn Jahre, in welchen ich den Grossfürsten zu beobachten Gelegenheit hatte, ist keine Epoche eines so langen, bittern Grimmes eingetreten. Die Äusserungen über S. M. den Kaiser, den General v. Diebitsch ect. sind wahrhaft erschreckend.“ Interesującą wiadomość mieści depesza, 24 Juni 1828, o deputacyi Czarnogórców, przybyłej do Warszawy do W. Ks. Konstantego, „um ... Anzeige von dem Wunsche dieses Stammes zu machen, sich unter russischen Schutz und Hoheit zu begeben und zugleich um Unterstützung bei einem zu machenden Aufstande zu bitten.“

[2]) Provost do Metternicha, Varsovie, 2 févr. 1828: „Le général de cavalerie Rożniecki... a été chargé d'organiser un système d'espionnage sur toutes les frontières du Royaume de Pologne, mais principalement sur celles de la Galicie, où il a fait lui-même une tournée et d'où il a rapporté quelques exemplaires litographiés de portraits du duc de Reichstadt en costume polonais, qu'on s'est empressé d'envoyer de suite à Pétersbourg; ce général a reçu 6000 ducats pour faire face aux frais de son opération...;“ 9, 23 févr.: „Un jeu-

W Listopadzie 1828 r., z powodu śmierci cesarzowej matki, wypadło Konstantemu znowuż udać się do Petersburga,—jak sam z góry zapowiadał, „po raz ostatni“ w życiu; a miał on w zamiarze tym razem osłatecznie doprowadzić z Mikołajem do wyjaśnienia stanowczego „względem wszelkich spraw, dotyczących prowincyj polsko-rosyjskich i Królestwa Polskiego.“ Do wyjaśnienia takiego wedle myśli Cesarzewicza jednakowoż dojść nie mogło. Tymczasem nowe przyszły kłopoty i różnice zdań w sprawie zawieszonego wyroku Sądu Sejmowego, aż nareszcie po wielu trudnościach doszła sankcya tego wyroku. Wkrótce potem, po dalszych skomplikowanych rokowaniach między Konstantym a cesarzem, nastąpiło przybycie Mikołaja do Warszawy na Sejm koronacyjny 1829 r. Relacye austryackie i pruskie z Warszawy dostarczają w tym okresie sporo charakterystycznych przyczynków, rzucających zwłaszcza światło na zachowanie się monarchy i nastrój ludności w czasie tej pierwszej i jedynej koronacyi cesarza rosyjskiego na króla polskiego w stolicy Polski [1]).

Sejm warszawski 1830 r., pierwszy i ostatni Sejm Mikołajowski, z baczną uwagą śledzony był przez konsulów zagranicznych w stolicy Królestwa, których korespondencya współczesna mieści też dość interesujących szczegółów, względem wielu okoliczności zakulisowych, towarzyszących tym doniosłym rozprawom sejmowym. Ciekawą już jest wiadomość o redakcyi wstępnego orędzia królewskiego: Mikołaj kazał przedstawić sobie mowy, wygłaszane przez Aleksandra przy otwarciu poprzednich Sejmów warszawskich, i po przeczytaniu słynnego orędzia 1818 r. odezwał się z oburzeniem: „Oto jedna z głównych przyczyn petersburskiego zamachu grudniowego!“ Szczególniejszo było zachowanie się W. Ks. Konstantego, który tym razem stawiał się poniekąd w pewnem przeciwień-

ne homme, le cte. Poniński, attaché ici au bureau de mr. Novossilzoff, très adroit pour les affaires d'espionnage... doit, après avoir rempli (une) mission (à Cracovie) se rendre dans nos Etats et nommément à Vienne“; por. wskazówki nasze w Dyplomacyi polsko-europejskiej 1831 r.

[1]) Oechsner do Metternicha, Warschau, 16, 23, 26 Mai, 3, 23 Juni 1829; Schmidt do Bernstorffa, 29 Mai: „...Dagegen [t. j. wobec świetności koronacyjnych warszawskich] ist der Schmerz und der Neid der hier anwesenden Einwohner der sogenannten russisch-polnischen Provinzen nicht zu verkennen, und dies um so mehr als die Administration derselben nicht schlechter sein kann. Geschieht dort nichts, so möchte die hier erreichte Zufriedenheit von 4 Millionen Einwohnern [Królestwa] durch das erhöhte Missbehagen von 8 Millionen [Litwy] schlecht regierter Polen doch zu theuer erkauft worden sein,“ 13 Juni 1829: „Der Enthusiasmus hier hat sich beträchtlich abgekühlt.“

stwie do Mikołaja. Między innemi, jako deputowany na Sejm od przedmieścia Pragi, W. Książe zaprosił do siebie niektórych posłów, przyjął ich bardzo serdecznie i zakończył swoje do nich przemówienie temi słowy: „Przedewszystkiem bądźmy dobrymi Polakami; ja również nim jestem.“ Jak wiadomo, punkt ciężkości Sejmu 1830 r. spoczywał w zatargu pomiędzy większością sejmową a rządem i duchowieństwem w sprawie rządowego projektu nowego prawa małżeńskiego. Odrzucenie projektu bardzo źle było przyjęte przez monarchę i wpłynęło niepomału na pogorszenie stosunku jego do kraju. W doniesieniach konsulackich warszawskich znajdują się liczne i cenne pojaśnienia w tym względzie, do których nadto dochodzą nadzwyczaj ciekawe uzupełnienia, oświetlające stanowisko i akcyę duchowieństwa polskiego a zawarte w korespondencyi Watykanu z nuncyuszem apostolskim w Wiedniu, odbierającym poufne relacye wprost od biskupów-senatorów z Warszawy [1]).

Tymczasem szybkiemi krokami już zbliżał się początek końca Królestwa Kongresowego: wybuch rewolucyi listopadowej. Jeszcze w sierpniu 1830 r., skoro tylko nadeszły do Warszawy pierwsze wieści o zwycięskiej rewolucyi lipcowej paryskiej, w tu-

[1]) Occhsner do Metternicha, 26, 30 Juni 1830; Schmidt do Bernstorffa, 2 Mai 1830: „... Für Polen ist der Monarch, namentlich in der letzten Zeit, nicht günstig gestimmt gewesen. S. M. haben sich sämmtliche von dem Höchstseligen Kaiser Alexander hier gehaltenen Eröffnungen der Reichstagsversammlungen vorlegen lassen und nach Lesung der ersten im Jahre 1818 gehaltenen Rede ausgerufen: „voilà une des premières causes des événements du 14 décembre...“, 20, 23, 29 Mai: „...Der Grossfürst Césarevitch hat in seiner Eigenschaft als Deputirter der Vorstadt Praga mehrere Seiner Collegen bei sich geschen, und sie freundschaftlich und lebhaft ersucht, durch Einigkeit und gemässigtes Benehmen das Zutrauen und die Liebe des Monarchen zu verdienen. S. K. H. schlossen mit den Worten: „avant tout soyons bons Polonais, je le suis aussi“ [o tej ciekawej rozmowie posiadamy inną, szczegółową a nader charakterystyczną relacyę polską], 29 Juni; nuncyusz wiedeński do sekretarza stanu kardynała Albaniego, Vienna 1 luglio, 1830 [w tej obszernej depeszy, podającej drobnostkowo cały przebieg sprawy projektu prawa małżeńskiego, znajduje się opis audyencyi biskupów u Mikołaja, z takim dziwnym dodatkiem: „L'udienza non potè avere un gran effetto, perchè S. M. non intende la lingua polacca ed i vescovi non parlano nè il francese (!) nè il russo. Il solo vescovo di Plocko (Prażmowski) potè in qualche modo parlare il francese e quelli di Cracovia e di Podlachia non poterono dire che assai per la differenza della lingua“]; dołączony protest 6 biskupów 22 maja, oraz pisma biskupów krakowskiego i podlaskiego do ministra sekretarza stanu Stefana Grabowskiego, 24 mai 1830.

tejszych relacyach konsulackich austryackich i pruskich występują znamienne odgłosy tego głuchego niepokoju, jaki pod świeżem wrażeniem wypadków francuskich poczynał nurtować stolicę Królestwa Polskiego a odczuwany też był najżywiej przez rząd krajowy, a w szczególności przez W. Ks. Konstantego. W. Książe zaniepokojony był podwójnie i potrójnie: obawiał się poczęści — choć daleko mniej i inaczej, niż możnaby przypuszczać—jakiegoś raptownego odruchu rewolucyjnego w Królestwie; trwożony był przez własną swoją policyę tajną, do której nie miał zaufania i która z rozmysłu pomnażała strachy a nawet je prowokowała; wreszcie liczyć się musiał z wojennemi zamiarami Mikołaja, zmierzającemi do interwencyi zbrojnej przeciw Francyi, z armią polską w awangardzie rosyjskiej, z projektami wielkiej wyprawy na Zachód, układanemi już w Berlinie przez Dybicza, co wszystko było jaknajbardziej przeciwne poglądom i intencyom W. Ks. Cesarzewicza. Nikt lepiej o tych rzeczach drażliwych nie był informowany od Schmidta, który w ówczesnych depeszach swoich do Berlina mógł nawet dołączać wypisy z najpoufniejszych raportów, posyłanych z Berlina przez Dybicza W. Ks. Konstantemu, gdzie mieściły się bardzo ostre zwroty o dworze, generalicyi i polityce pruskiej. Podobnież mógł on dostarczać gabinetowi berlińskiemu najszczegółowszych informacyj o najpierwszych, odkrytych w Warszawie w październiku i listopadzie 1830 r. śladach gotującego się spisku rewolucyjnego oraz o podziemnych robotach policyjnych, związanych z tą sprawą. Nareszcie nastąpił wybuch 29 listopada. Schmidt najpierwszy, tegoż dnia, późną godziną wieczorną, lecz jeszcze przed zamknięciem rogatek i przecięciem komunikacyi, zdążył pchnąć kuryera do Berlina z kartką, mieszczącą kilka wyrazów nakreślonych ołówkiem o wybuchłej rewolucyi. Nazajutrz, z Królikarni pod Warszawą, gdzie usadowił się przy boku obozującego tu z wojskiem rosyjskiem W. Księcia, posłał gorączkową, dorywczą a wcale charakterystyczną relacyę o dokonanym przewrocie [1]).

[1]) Oechsner do Metternicha, 16 Septemb., 26 Novemb.; jego pierwsze depesze o rewolucyi, 30 Novemb. i 1 Dezemb. zaginęły; zachowała się w aktach dopiero następna z 5 Dezemb. 1830. Schmidt do Bernstorffa, 9, 25 Aug., 24 Septem. [z wyciągami z raportu Dybicza], 4, 26 Octob.: „...Die früheren, an S. K. H. gerichteten Anzeigen von hier zu erwartenden Unruhen haben seit einigen Tagen aufgehört. Dagegen empfängt der Grossfürst unaufhörlich anonyme Briefe, worin sein Leben bedroht wird. Meiner Meinung nach sind diese

Na dniu rewolucyi listopadowej skończyła się właściwa rola oficyalna konsulatów zagranicznych w Warszawie, jako instytucyj, umocowanych przy dotychczasowym rządzie Królestwa Kongresowego. Konsulowie lub ich zastępcy pozostali wprawdzie i nadal krócej lub dłużej w Warszawie w czasie trwania rewolucyi i wojny polsko-rosyjskiej, a nawet w formie półurzędowej na-

Anzeigen und Briefe lediglich das Werk der geheimen Polizeiagenten, damit ihre so ergiebige Erwerbsquelle nicht versiege," 18 Novemb. [pierwsza wiadomość o spisku podchorążych]: „...S. K. H. der Grossfürst behandeln die ganze Angelegenheit mit ungemeiner Würde, Ruhe und Unparteilichkeit," 20 Novem.; [kartki ołówkowej Schmidta, 29 Novemb., nie znaleźliśmy w aktach konsulackich; zapewne przeszła do innego fascykułu], 30 Novemb.: „Bei S. K. H. im Schloss Królikarnia eine halbe Stunde von Warschau. Ew. Excellenz muss ich ganz gehorsamst Bericht von den fürchterlichen, hier stattgehabten Scenen erstatten. Gestern Abend 7 Uhr wurde das Schloss des Grossfürsten, unweit dem kaiserlichen Lustschlosse Łazienki belegen, von 20 Unteroffizieren aus der Unteroffizierschule angegriffen. Im Vorzimmer wurde der kais. russische Generallieutenant Gendre und der Polizeipräsident durch Bajonettstiche ermordet. S. K. H. hatte *kaum* noch Zeit, sich durch eine innere Treppe zur Frau Fürstin Łowicz zu retten. Die Cavallerie kam auf den ersten Ruf aus Łazienki und so war der Grossfürst und die Fürstin gerettet. Die obigen Unteroffiziere und die ganze aus etwa 400 Mann bestehende Schule liefen sofort zu den Waffen und in die Stadt und reizten das Volk auf. Die Regimenter begaben sich auf ihre Alarmplätze, aber bald war nur zu gewiss, dass die ganze polnische Garnison zum Complott gehöre. Einzelne Soldaten schossen die sich einzeln zu ihren Regimentern begebenden Generale, als den Kriegsminister Hauke, den General Siemiątkowski, Oberst Sass, General Blumer und viele Andere nieder. Das Arsenal wurde gestürmt, das Volk bewaffnet, die Läden geplündert ect. und fast alle gegen die Insurgenten gehende polnischen Truppen gingen über. Der Grossfürst begab sich zur Cavallerie, ein polnisches und 3 russische Regimenter, vor seinem Schlosse aufgestellt, und da fand ich S. K. H. um 8 Uhr, würdig, ruhig, gelassen, und den Grundsatz festhaltend, *keine* russischen Truppen gegen die Polen anzuwenden, sondern dieselben durch ihre eignen Landsleute bekämpfen zu lassen. So brachten wir die Nacht auf der Strasse zu. Um 5 Uhr morgens erschienen die Fürsten Lubecki und Czartoryski und schlugen, um dem Unglück Einhalt zu thun, vor, dem Gouvernement einige populäre Namen, als den genannten letzten Fürsten, den Fürsten Michael Radziwill, ect., hinzuzufügen. Der Grossfürst wies Alles zurück. Das Gouvernement bildete sich demnoch und erliess eine Proklamation, welche aber ohne Erfolg blieb. Den ganzen Tag plänkelte das Militär, während das Volk plünderte... Seit 24 Stunden habe ich weder geschlafen, noch auch nur gesessen... Verzeihen Ew Excellenz hochgeneigt diesen flüchtigen Bericht." 3, 5 Dezemb. 1830.

wiązali mniej lub więcej ścisłe stosunki i rokowania z Rządem rewolucyjnym warszawskim. Pod tym względem, obok konsulów austryackiego i francuskiego, osobliwie godną uwagi była cała nader ożywiona w ciągu 1830—1 r., a w najwyższym stopniu ślizka i dwulicowa działalność reprezentanta pruskiego, niezrównanego Schmidta, który z asystenta W. Ks. Konstantego potrafił w mgnieniu oka uczynić się rzekomym przyjacielem i doradzcą Rządu Narodowego polskiego [1]). Jednakowoż te sprawy, odbywające się już w zgoła odmiennych, wyjątkowych warunkach politycznych, a poprzednio już na tem miejscu przez nas poruszane, wypadnie nam szczegółowo rozwinąć w wykładni odrębnej, na tle dziejów właściwych Dyplomacyi polsko-europejskiej w czasie rewolucyi listopadowej.

Szymon Askenazy.

[1]) Szczegół dość dziwny: w aktach warszawskich zachował się fascykuł z napisem: „Korespondencya z konsulem pruskim Schmidtem z epoki rewolucyi," mieszczący na czele adnotacyę ręką Gustawa Małachowskiego, kierownika wydziału spraw zagranicznych podczas rewolucyi: „Pisma niniejsze, złożone w kancelaryi Senatu, tyczące się korespondencyi Wydziału dyplomatycznego z konsulem pruskim, do wolnego członkom obu izb przejrzenia; kopie zaś nikomu wydawane być nie mają; w Warszawie d. 9 lutego 1831 r." owóż w fascykule tym nie zachowało się ani jednego dokumentu, wszystko zostało wyjęte, zaginęło bez śladu. Była to najprawdopodobniej uprzejmość późniejsza Paskiewicza dla Berlina. Na szczęście o robotach Schmidta 1830—1831 r. dochowały się świadectwa źródłowe w znajdujących się w Krakowie aktach Rządu Narodowego oraz we własnej jego korespondencyi w Berlinie.

O Wincentym Polu

(Z powodu setnej rocznicy urodzin).

Setna rocznica urodzin W. Pola minęła bardzo cicho, prawie niepostrzeżenie. Tylko w rodzinnym Lublinie obchodzono ją uroczyście, wśród tłumu rodaków; w innych miastach obchody były bardzo skromne, jakby dla przyzwoitości tylko. Dziwnie obojętnie zachował się np. Lwów, w którym lat tyle spędził poeta, gdzie był w r. 1846 więziony, potem niesłusznie szkalowany, wreszcie rehabilitowany; ten sam Lwów, z którym związały Pola wspomnienia lat szkolnych, dworku na Halickiem, studyów uniwersyteckich i t. d. Żadnego obchodu publicznego, poświęconego Polowi, we Lwowie nie było; zaledwie Związek naukowo-literacki jeden z swych wieczorów tygodniowych pamięci Janusza poświęcił.

Dziwnemi drogami chodziła u nas i chodzi popularność; wszakże żaden może z poetów naszych nie przebywał tak gwałtownych skoków na termometrze narodowego uznania, jak W. Pol; mało komu tak się dała we znaki polityka.

Po latach największych hołdów, które wyniosły Pola na same szczyty sławy narodowej, a nazwisko jego uczyniły rozgłośnem od Warty po Niemen i Dniepr, ze czcią powtarzanem po dworach i dworkach, w suterenach, warsztatach i chatach — nastały lata niezasłużonego zapomnienia, potem grobowej ciszy, wreszcie lodowatej obojętności. Doszło do tego, że wiersze powszechnie znane, z zapałem śpiewane, krążą dziś znowu, jak w r. 1835 anonimowo; nie trudno spotkać (a mówię to z osobistego, kilkakrotnego doświadczenia) ludzi ze stopniem naukowym, którzy umieją śpiewać: *Grzmią pod Stoczkiem armaty; Niemasz pana nad ułana; Bracia rocznica...; Leci liście z drzewa* — ale na skro-

mne zapytanie, kto też jest autorem tych narodowych pieśni, nie umieją dać odpowiedzi!...

Dzisiejsze zapomnienie ma różne powody, o których niebawem pomówimy; powody zaś nie są dzisiejsze, sięgają lat dawnych. Składał się na nie cały szereg nieporozumień między poetą, a t. zw. opinią publiczną, już przed półwiekiem. W lat trzydzieści pięć po śmierci Pola można chyba spokojnie zastanowić się nad duchową jego spuścizną. Pora ustalić sąd o jego twórczości i znaczeniu w dziejach naszej poezyi: między uniesieniami i bezkrytycznymi zachwytami z lat 1835 — 1845, a nielitościwem ćwiartowaniem poezyj jego przez Ujejskiego, Spasowicza i innych, nie powinna trwać wieczna przepaść: prawda może się wyłonić tylko z nieuprzedzonego, niezabarwionego sympatyami lub antypatyami rozejrzenia się w tem, co w spuściźnie Pola zachowało siłę żywotną i po dziś dzień przetrwało nie na półkach bibliotecznych, ale w duszach obecnego pokolenia.

Nie zamierzamy bynajmniej wyczerpać przedmiotu, tak rozległego i nastręczającego tyle spornych kwestyj; na razie wystarczyć nam może poruszenie tylko najważniejszych zagadnień. Sprobujemy spojrzeć na nie z innego, niż dotychczas, stanowiska.

Przedewszystkiem sięgnijmy do samego gruntu sławy Pola i spytajmy, odkąd-to stał się on głośnym i powszechnie u nas umiłowanym? Od czasu, kiedy w r. 1835 *Pieśni* jego obiegły całą Polskę i były w sercach i na ustach wszystkich; sprawił to zbiorek na oko niepokaźny, mała, w Paryżu wydana bez nazwiska autora, książka, p. t. *Pieśni Janusza*. Znaczenie tej książki najlepiej określił świadek współczesny wrażenia, jakie sprawiła, Z. Kaczkowski:

„Te *Pieśni*, które nie mają równych ani w naszej, ani w żadnej innej literaturze, które kraj cały umiał na pamięć, a które, czego sam byłem świadkiem, śpiewano zarówno we dworach szlacheckich, w rzemieślniczych warsztatach miejskich i w chatach włościańskich postawiły Pola odrazu na piedestale tak wysokim, na jakim wtedy nie stał żaden z naszych poetów. Te *Pieśni* oczarowały całe społeczeństwo, weszły w jego krew, napełniły sobą powietrze i dały Polowi taką popularność, o jakiej, kto wtedy nie żył, nie może sobie zrobić wyobrażenia. Pol stał się człowiekiem świętym, jak prorok z nieba zesłany, i wyrocznią dla wszystkich: kto go zdaleka zobaczył, ten sobie dzień ten zapamiętał, jak wielkie święto; kto jego szaty się dotknął, ten z głębi piersi odetchnął i wiarę w sobie obudził — a za szczęśliwych byli uważani ci, do których Pol zjechał na wesele lub chrzciny, albo gdzie podjął

się zrobić dział majątkowy. Poznałem Pola razem z Goszczyńskim w domu moich rodziców, będąc dzieckiem, widywałem go później we dworach szlacheckich, po miastach, pomiędzy akademicką młodzieżą... Wpływ Pola na całą opinię publiczną kraju był ogromny; ale wywarł on także wpływ wielki na ówczesną literaturę, która bez niego byłaby jeszcze przez kilkanaście lat kisła w tym galicyjskim kociołku, w którym ją dotąd Jaszowscy, Chłędowscy i J. N. Kamiński kwasili. To wszystko miał Pol do zawdzięczenia tej małej książeczce *Pieśni*."

Zaznaczył tu Kaczkowski *fakt* niesłychanej popularności *Pieśni Janusza*, ale go nie wytłumaczył. *Powody* zaś tej popularności były znamienne i ważne nietylko dla poezyi polskiej, ale dla rozwoju dalszej twórczości Pola. Dlatego muszę teraz nieco dłużej zatrzymać się przy *Pieśniach Janusza*, a przedewszystkiem przypomnieć, wśród jakich okoliczności powstały.

*

* *

Nie wchodzimy w genealogiczne szczegóły i nie wdajemy się w jałową kwestyę, czy przodkowie Pola z Anglii ród swój wiedli, jak sam Pol utrzymywał, czy tylko z Warmii, jak wykazał najnowszy biograf, p. Maurycy Mann. Faktem jest, że Pol stanowczo wypierał się pochodzenia niemieckiego, chociaż nie przeczył, że już dziad jego w ziemi Warmińskiej życie spędził.

Ojciec Wincentego, Franciszek Pohl, z czasem Poll się piszący, był urzędnikiem austryackim. Spotykamy go w r. 1800 w Lublinie na stanowisku „Fiscalamtsvorsteher." Był to człowiek wykształcony, muzykalny, władający kilku językami, lubiany dla prawości charakteru nietylko wśród sfer urzędniczych, ale i miejscowych, polskich. Poznawszy w Lublinie pannę Eleonorę Lonchamps, z rodziny niegdyś francuskiej, zdawna we Lwowie osiadłej i całkiem już spolszczonej, zaślubił ją w r. 1800. Pohlowie nabyli „Firlejowszczyznę," folwark pod Lublinem i kamienicę w Lublinie przy ul. Grodzkiej № 111, gdzie przyszedł na świat Wincenty d. 20 kwietnia 1807 r. Przyszły poeta wzrastał w atmosferze domu inteligentnego, muzykalnego i przez matkę polskiego nawskroś. Matka umiała na pamięć wiele wierszy Krasickiego

i Karpińskiego; malec, obdarzony niezwykłą pamięcią, powtarzał je i przyswajał sobie.

Od r. 1810 przenieśli się Pohlowie do Lwowa i zamieszkali na Halickiem w domu z ogrodem, który potem stał się długoletnią sadybą Aleksandra Fredry. Po ukończeniu gimnazyum rozpoczął W. Pol w r. 1822 studya uniwersyteckie, narażone niebawem na szwank przez śmierć ojca w r. 1823. Ważniejsze i bardziej doniosłe w skutki były wpływy otoczenia i różnych znajomości ze starcami, pamiętającymi swobodną Rzeczpospolitę i umiejącymi o niej prawić językiem jędrnym i malowniczym; pierwsze nasiona późniejszych gawęd i tradycyj wtedy już padają w duszę młodziana: to przyjaciel rodziców, Benedykt Winnicki, nieznużony bajarz anegdot staroszlacheckich, to życie staroświeckie w Mostkach, to wachmistrz Białkowski, żołnierz kościuszkowski, legionista, wreszcie napoleoński żołnierz, to pasiecznik Zachara, to sędziwy proboszcz szczerzecki ks. Strzeszkowski z opowieściami o kościuszkowskich czasach, to wrażenia zamku złoczowskiego, stawianego przez króla Jana, ze starym kozakiem, ukraińcem Sokołem i śpiewem dum ruskich.

Ze wszech stron, z tylu typowych głów, na przełomie dwu epok: Polski wolnej i porozbiorowej, szła do tęsknego po śmierci ojca młodziana przeszłość niedawna, bujna, zamaszysta i zawadyacka, wnęcając się mu do samej głębi duszy i oplatając go tysiącznemi zwojami na całe już życie. Polski duch i obyczaj kształcił go i urabiał lepiej i trwalej, niż uniwersytet niemiecki we Lwowie, którego wydział filozoficzny ukończył zaledwie w r. 1827. Pisał potem rozprawy, których sam tytuł był już dla przyszłego Janusza znamienny: *O źródłach narodowej poezyi polskiej* i *O Epopei*, a w niej najciekawszym jest rozdział pierwszy: *O pieśni gminnej*.

Równocześnie z teoryą idzie praktyka: powstają pierwsze wierszyki, do których popęd miały nadać, wedle zeznań samego Pola, pieśni Padury i niedrukowane, w rękopisach krążące poezye Aleks. Fredry z przed r. 1830. Poezyom Wincentego bróździła proza życia: należało pomyśleć o stanowisku i sposobie utrzymania się. Z porady Jochera, bibliografa, umyślił Pol starać się o posadę lektora niemieckiego języka w Uniwersytecie Wileńskim. W początku listopada 1830 r. stanął w Wilnie, gdzie musiał przygotowywać się najpierw do egzaminu na stopień „aktualnego“ ...Studenta. Złożył go świetnie, ale zbytecznie o tyle, że niebawem nadeszły inne, ważniejsze, narodowe egzamina i niedoszły lektor niemczyzny w Uniwersytecie Wileńskim zaawansował

na podchorążego w 10-ym pułku ułanów w korpusie Generała Chłapowskiego. Przebył chrzest z krwi i ognia w niezapomnianej kampanii, podzielił jej wszystkie losy, w nagrodę rany w boju i trudów wielkich obdarzony na pruskiej już ziemi stopniem porucznika i krzyżem *Virtuti militari*. Kilkomiesięczne obozowe życie w ciągłem podnieceniu i oczekiwaniu najdonioślejszych, narodowych zdarzeń, dokonało ostatecznej przemiany duchowej w 24-letnim młodzieńcu. Nietylko geograficznie okrążył ziemie nasze od Kamieńca na Kijów, Wilno do Poznania, ale gorącem swem sercem objął je wtedy już w posiadanie, jako „umiłowane odtąd i na wieki...“

Na wielkopolskiej ziemi, w Łukowie, niedaleko Poznania, przypadkowo poznał Pol Mickiewicza. Pierwsze wrażenia nie były miłe dla nich obu. Mickiewicz był wtedy z różnych powodów nie swój, znękany niewzięciem udziału w wojnie narodowej, zaniepokojony o los brata swego, Franciszka, wzburzony do głębi niepowodzeniem naszem orężnem. Jak na to, staje przed nim młodziutki oficer ułanów, ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*, prosto niemal z Wilna przybywający, z tego Wilna, z którego, jak z raju, wygnano autora „Grażyny“ przed laty ośmiu. Może jakiem niewczesnem pytaniem poruszył Pol bolesną strunę wspomnień filareckich? nie wiemy i nie dowiemy się; to pewna, że Polowi wydał się wtedy Mickiewicz „dumnym, cierpkim,“ ba, grymaśnym, „narzucającym swoje zdanie.“ Głośny twórca „Wallenroda“ nie mógł wiedzieć, że ma przed sobą niedalekiego już śpiewaka Januszowych pieśni...

Pol oddał wtedy ważne usługi szczątkom wojska polskiego, emigrującego do Francyi, a dzięki wybornej znajomości języka niemieckiego, doskonałym był pośrednikiem starszyzny wojskowej polskiej z władzami pruskiemi i saskiemi. Broń złożyć musiano z przekroczeniem granic, ale Pol bezczynnym być nie umiał: ułańską lancę zmienił na pióro i już w lutym 1832 r. oddał w Lipsku do druku cienką, emigracyjną książeczkę p. t. *Volkslieder der Polen*. Była tam najpierw rozprawka o tańcach, muzyce i duchu polskich ludowych pieśni, następnie przekład nierymowany, bardzo swobodny, trzydziestu piosnek ludowych polskich i ruskich. Książeczka przygodna spełniła zadanie chwili i doczekała się swego czasu życzliwego w Niemczech przyjęcia. Podziwiać można wtedy ruchliwość i swobodę Pola na obcej ziemi. Niedawny ułan zawiera bardzo prędko stosunki literacko-naukowe z Niemcami w Królewcu, Lipsku i Dreźnie. Czas jakiś waha się, czy nie podzielić losów emigracyi i czy nie udać się do legionów, jakie

chciał tworzyć gen. Bem we Francyi. Ale wzgląd na rodzinę i narzeczoną przeważył; zresztą nie miał, jak tyle tysięcy rodaków, zamkniętej drogi powrotnej do kraju... Posłuchał rady generała Bema: „Radzę ci, wracaj do kraju. Jak tu będziesz potrzebny, wezwę cię.“ Ostatnie miesiące na obczyźnie spędził w Dreznie i tu nastąpiło powtórne, o wiele ważniejsze od pierwszego, zbliżenie się do Mickiewicza w Dreźnie na wiosnę 1832 r. Pamiętna była to wiosna dla poezyi polskiej: Mickiewicz pisał gorączkowo trzecią część „Dziadów“ i myślał o księgach rozpoczynającego się Pielgrzymstwa, Garczyński swego *Wacława* snuł dalej, Odyniec Byronowskiego *Korsarza* tłómaczył: jakaś cudowna atmosfera uniesień poetyckich owiała zgromadzonych w Dreźnie poetów naszych; w Mickiewicza wspomnieniach żyła potem ta wiosna długo jeszcze: „Zdaje mi się — pisał do Odyńca — że jak magnetyzowany z oczu towarzyszów ciągnie siłę, tak ja z Was nabierałem ognia i ochoty.“

Pol nie należał do grona przyjaciół Adama i skądinąd czerpać musiał siłę i natchnienie. Już podczas kampanii wojskowej rzucał na papier dorywczo piosnki obozowe, śpiewane chórem przy ogniskach. Teraz, w przymusowej bezczynności, gdy zajęcia wojskowe ustały, energia młodzieńcza szukała ujścia w odtwarzaniu niedawnych przejść powstańczych. Obowiązki służbowe pośrednika z komitetami niemieckiemi *der Polenfreunde* zbliżyły go do Klaudyny Potockiej, kierowniczki biura korespondencyjnego w sprawach wychodźtwa, tego Anioła emigracyi, przed którym wszyscy nasi pielgrzymi uginali czoła. Na Pola wywarła Klaudyna Potocka wrażenie wstrząsające, niezapomniane. Po wielu latach, jeszcze w r. 1841 tak o niej pisał:

„Postać Klaudyny unosiła się przed moją duszą jak ulotny ustęp wielkiego poematu, jak nuta bolesnej pieśni. Nie wiedząc o tem, czułem to wówczas, że *tym poematem była ziemia polska, tą pieśnią ciężki nasz żywot*.

„Nie to, co mówiła, obudziło we mnie to uczucie, ale to, co z całej jej postaci wyczytałem, świat jakiś tajemniczy... Potęga jakaś ducha, która ją wiodła i wspierała. Postać jej była wątła i podobna do cienia, a przecież pełna siły i powagi... Kiedy się umysł ożywił jakąś słodką nadzieją, grały jej oczy demonicznem światłem natchnienia. O, dobrze jest, że od owej chwili do dnia dzisiejszego dziesięć prawie lat upłynęło, bo by mię może kto o przesadę obwinił; ale jak się nie starzeje w człowieku cześć dla Boga, tak i najpiękniejsze obrazy po Bogu stoją przed duszą, ręką czasu nie zatarte. Gdyby to wrażenie było na żołnierza pa-

dło, zrobiłoby może z niego bohatera. Ja zacząłem pisać od owego czasu.“

Rzecz jasna, nie należy tego brać dosłownie. Pisywał Pol już dawniej, ale pobudki dawniejszego pisania były sentymentalne i raczej literackie; dopiero od poznania Klaudyny Potockiej zrozumiał, co to szczere natchnienie i poczuł się poetą. Zbiorek ówczesny drezdeński poniósł cichaczem, opatrzywszy pseudonimem Janusza Nowiny, do generalnego konfidenta poetów polskich, Odyńca, przed którym także niedawno Zygmunt Krasiński z pierwszemi próbkami nieśmiało się zwierzał. Odyniec poznał się na prawdziwych klejnotach i zaniósł „Pieśni Janusza“ Mickiewiczowi. Pochwały Mickiewicza ośmieliły Pola do wyjawienia autora Pieśni. Odtąd Pol wkupił się niejako „Pieśniami Janusza“ do grona najbliższych Mickiewiczowi, poznał go bliżej i sam mu się dał lepiej ocenić. Niedaleki twórca „Pana Tadeusza“ polubił Pola nietylko za dziarskie pieśni, ale także za niezliczone anegdoty staroszlacheckie, w których opowiadaniu Pol był mistrzem, nieustępującym ani H. Rzewuskiemu, ani Domejce.

Z rozmów z Mickiewiczem zapamiętał i przekazał nam Pol kilka zdań znamiennych, dowodzących, jak bystro przeniknął piewca „Dziadów“ naturę i rodzaj talentu Pola. Polowi nie zbyt może do smaku przypadły rady Mickiewicza; ironicznie zauważył we wspomnieniach, że były to rady, „za któremi sam Mickiewicz nigdy nie poszedł;“ ale z całości przemówienia arcy-mistrza pieśni naszej widać dobrze (z czego sam Pol nie mógł sobie wtedy zdać sprawy), że owe rady szły z głębi duszy, przepełnionej wówczas pokorą ks. Piotra z III cz. Dziadów i przejętej rozczytywaniem się we wskazówkach Saint-Martin'a:

„Czytałem — mówił wtedy Mickiewicz Polowi — coś napisał; daję ci patent na pisanie piosenek. Bądź synem wiernym Kościoła; religia jest najwyższem uczuciem. *Zejdź do chaty i małego dworku i mów tym językiem, jakim zacząłeś.* Nie radź się nikogo i nim napiszesz, nie mów z nikim, o czem masz pisać. Puszczaj *bezimiennie* w świat swoje piosenki i nie drukuj, a jeżeli wrócą do ciebie, wtenczas dopiero poznasz, że się przyjęły...

„Jeżeli poezye twoje obejdą w odpisach ziemie polskie i powrócą do ciebie, jeżeli je będą przepisywać i podawać sobie, nie pytając nawet o to, skąd się wzięły i kto je napisał; jeżeli jako wędrowne ptaki powrócą do ciebie nie tym szlakiem, jakim w świat odleciały — wówczas możesz poezye twoje drukować śmiało, bo staną się one nie twoją, ale *cząstką własności narodu...*“

Przebyły tę ogniową próbę istotnie *Pieśni Janusza*. Wzięły jakby bierzmowanie z arcykapłańskiej ręki Mickiewicza; chrzest z krwi i ducha przeszły już przedtem na polach bitew narodowych.

Z taką Pieśnią, z sercem drżącem od wzruszenia powitał w końcu lata 1832 r. Pol ukochane Mostki pod Lwowem, a w nich najdroższe rodzinne głowy. Rok tylko przebył zdala od swoich, ale jakiż to rok brzemienny w następstwa na całe jego życie: krzyż *Virtuti Militari* na piersi, pałającej żądzą ofiary dla narodu, a w nagrodę: wiosna drezdeńska z Klaudyną Potocką i Mickiewiczem! Na lat kilka przed śmiercią, w prelekcyach lwowskich o literaturze polskiej, wyrywa się jeszcze Polowi westchnienie: „Były to piękne czasy; niejeden młody człowiek brał tam natchnienie i *może jeszcze zapasem owej chwili żyje aż dotąd.*“

Jakoż tak było z nim samym.

*

* *

Pieśni Janusza wyszły z druku dopiero w r. 1835, bez nazwiska poety, ktory taką osłonił się tajemnicą, że wydawca Aleks. Jełowicki jeszcze w r. 1838 nie wiedział, kto jest ich autorem [1]).

[1]) Pierwsze wydanie ma tytuł: „Pieśni Janusza.“ Tom I. Wydał Aleksander Jełowicki. Paryż, 1833. Trudno przypuścić, aby na samym tytule tkwił błąd drukarski w roku; faktycznie zaś *Pieśni* wyszły dopiero w ciągu r. 1835, jak o tem doniósł dwukrotnie *Tygodnik Emigracyi Polskiej* w Paryżu (6-go maja 1835 r. i 14-go października 1835 r.). Rękopis anonimowy odebrał Jełowicki w ciągu r. 1833; może zaraz kazał drukować, ale ponieważ na tytule miał: *Tom I.* więc oczekiwał nadejścia rękopisu tomu drugiego, którego się nie doczekał i puścił wreszcie tom I w r. 1835. Tak objaśniam dziwną *pomyłkę* roku 1833 na tytule. Rękopis *Pieśni Janusza* mógł nadejść z Galicyi w ciągu roku 1833; w każdym razie nie *przed* tym rokiem. W *Objaśnieniach* bowiem przytacza Pol obficie wyjątki z Pamiętnika Pułku Jazdy Wołyńskiej Różyckiego, który ma datę: *Bourges 1832* i ukazał się w jesieni tego roku, jak wnoszę z recenzyi Mickiewicza (№ 1 *Pielgrzyma* z dn. 4 listopada 1832 roku). W Galicyi mógł się znaleść Pamiętnik Różyckiego w końcu r. 1832. Nadto i Trzecią Część „Dziadów“ miał Pol w ręku, pisząc *Pieśni Janusza*; ta zaś nie prędzej jak w styczniu 1833 r. mogła się przedostać do Galicyi. Jak mało

Spełniły się życzenia Mickiewicza: *Pieśni Janusza* krążyły częściowo w odpisach już w jesieni 1832 r., a zatem na lat kilka przed drukiem paryskim; dorabiano do niektórych muzykę, śpiewano, uczono się ich z zapałem na pamięć. Grała w nich dalej pobudka r. 1831-go, żył duch, który uszedł cało z pogromu.

Pol, jak wiemy, próbował i dawniej rymów, za czasów studenckich, ale były to próbki pozbawione życia i siły. W sobie miał on wprawdzie spory zasób książkowego oczytania, ale był to materyał nieruchomy. Iskrą z nieba, która wznieciła w nim pożar uczuć, była wojna r. 1831. Życie jego ówczesne, kilkumiesięczna wyprawa z Wilna pod Chłapowskim do granic pruskich, to był jakby szereg narodowych objawień. Poznał wtedy kraj nieznany przedtem, a bratni, poznał ludzi cichego poświęcenia i niespożytej energii; obcował z wiarusami z pod Kościuszki i Dąbrowskiego, a przy nich widział młodzież filareckim ożywioną duchem. Przeżył wtedy miesiące ekstazy patryotycznej i jej ogniem rozgorzał. Bitwy, przeprawy i potyczki były dla niego żywem źródłem natchnienia. Huk dział go podniecał, nie narkotyk żaden. Sine dymy ognisk obozowych, wojskowe pobudki: oto piastuny rodzącej się pieśni Janusza. Poezya czynu wyzywała do uwiecznienia się w słowie, zapalnem jak proch, a melodyjnem jak tentent kawaleryi pędzącej do ataku. Wezbrało uczucie, tłumione przez lata i rozlało się potokiem pieśni niezrównanych: większych nie miał już utworzyć przez całe życie. Była to przebujna, błogosławiona wiosna jego twórczości: cała niwa natchnień pokryła mu się wtedy najrozmaitszem kwieciem polskiem wszelkich barw i woni. Cały przyszły Wincenty Pol objawił się już w zarodczej sile Januszowych Pieśni. On sam przez resztę życia snuć będzie z przebogatej przędzy natchnień roku 1831-go.

---

dbał o powodzenie materyalne swych *Pieśni* Pol, widać z tego, że zaledwie w r. 1838, może przyciśnięty potrzebą, zgłosił się do wydawcy. Podaję tu nieznany dotychczas wyjątek z listu Januszkiewicza do panny Eug. Lariss, z Paryża d. 22 lipca 1838 r.: „Wypisuję odpowiedź Aleksandra (Jełowickiego) na moje zapytania: „Zadziwia mnie pretensya Janusza jakże on chce, żebym w jego interesie jemu donosił, kiedym do tej chwili nie wiedział i nie wiem, na pewne, kto on jest; kiedy on osobiście do mnie się nie zgłaszał... uprzedź osobę, która Cię zagadnęła o Janusza, aby mu dała wiedzieć: 1-o, że się spodziewałem za moją dla niego usługę dobrego słowa, a tymczasem dowiaduję się, że mi go odmawia, nad czem boleję mocno. 2-o że za sprzedaż *Pieśni* należy się mu odemnie około 700 frank., że kiedy chce, może temi pieniędzmi dysponować...“

Pieśni Janusza były niezwykłem zjawiskiem w poezyi naszej. Różniły się one stanowczo od wszystkiego, z czem dotychczas romantyzm polski wystąpił. Nastrój i ton były odmienne. Pol jest tu sobą od początku do końca. Nie naśladuje nikogo, nie potrzebuje wprost żadnego *wzoru* literackiego. On czerpie wprost ze źródła, które trysnęło tak hojnie w r. 1831. Bezpośredniość wrażeń, przelew natychmiastowy życia w poezye dokonał się tu w sposób niezrównany, powiedzmy niesłychany w dziejach poezyi polskiej. Jak widział i słyszał, tak zapisał—a że to, na co wówczas patrzał, było istotnie działaniem twórczem (ποίησις) narodowego ducha — więc też poznał się naród cały i ukochał w Pieśniach Janusza. Pol ogarnął bowiem całą skalę narodowego życia; nie uronił ani jednego zasadniczego tonu. Podobien wędrowcowi, co niespodzianie zaszedłszy w kraj nieznany a pełen uroku, zachwyca się malowniczością jego, podziwia niwy i łąki, lasy i wzgórza, wody jezior i rzek—ten potomek obcych przybyszów miał w sobie całą świeżość uczucia, dziewiczą wrażliwość na piękno przyrody i duszy polskiej; a to, co szło mimo oczu i uszu innych pieśniarzy, Polaków z dziada, pradziada, to jemu, synowi austryackiego urzędnika, grało w duszy cudowną melodyą. Stopami swemi przemierzył całą Rzeczpospolitę (Od Beskidów do Pomorza, z Litwy aż do Zaporoża całą Polskę znam...) i rzekłbyś, że z każdym krokiem wędrowca wchodziła weń polskość do szpiku kości, do samej głębi duszy.

Proste są jego piosenki, niewymyślne słowa; dziwna gibkość wiersza, czerstwość i zdrowie biją z każdej niemal zwrotki. Rytmiczność *Pieśni Janusza* jest niezrównana, z przewagą rytmu tanecznego: mazura lub krakowiaka; pieśni te prawie proszą się same o muzykę, deklamować ich zwykłym głosem niesposób. Trafne użycie rymu męskiego, doskonałe zastosowanie jednozgłoskowych wyrazów i strof trocheicznych, nadało *Pieśniom Janusza* żołnierski ton obozowej pobudki: (Grzmią pod Stoczkiem armaty— O ojczyźnie i o sławie nuci młodzież po Warszawie — Hałas, tartas po Poznaniu — i w. in.).

Charakterystycznem znamieniem jego stylu poetyckiego jest przewaga wrażeń słuchu nad wrażeniami wzroku. Styl jego nie maluje, nawet nie rysuje, nie daje obrazów barwnych; natomiast nurza się cały w tonach, w melodyi, w assonancyach: nawskroś jest dźwięczny. Stąd płyną wielkie zalety śpiewności wiersza; ujemnych jego stron możnaby się dopatrzyć w pewnem zaniedbaniu barwności. Może przyczyną był wzrok od dzieciństwa słaby:

na jedno oko prawie nic nie widział, wiadomo zaś, że na starość ociemniał.

W długie opisy Janusz niema czasu się wdawać. Jego pieśni, to jakby szkice na żołnierskim bębnie kreślone przez dziarskiego wojaka. „Sonetów wojennych“ on nie napisze, jak Garczyński, bo czuje *contradictio in adjecto;* ale poświstując obozową nutę, wyśpiewa wieczorem przy ognisku, na co w dzień patrzał, powtórzy, co zasłyszał wśród huku dział i trzasku karabinów na polu bitwy (*Podjazd. — Patrol. — Pobojowisko pod Wawrem*). Uczucia proste wyrażają się tam poprostu, szczerze, bez upiększeń, tak, jak istotnie mogła wtedy mówić „dusa krakowska“ między rannymi i pomiędzy trupy...

Stało się, jak przepowiedział i życzył Mickiewicz: niejedna z Pieśni Janusza weszła w naród, jakby jego własność; śpiewano je po przedmieściach i dworkach. Roznosiły one wszędzie zapał do wolności, krzepiły nadzieję, prostotą i wdziękiem wnęcały się tam, dokąd ważniejsze, głębsze utwory nigdy trafić nie mogły. Pol bowiem umiał do każdego przemówić jego językiem: „Ja pieśń z ludu mam dla ludzi.“ Jego chłopi przemawiają bez afektacyi i maniery, z odcieniem gwarowym, stosownie do tego, czy mówi Mazur, czy Kaszub, czy Krakus. Język to czysty, nie podrabiany i oddaje wiernie sposób myślenia i uczucia ludu, prostego żołnierza. A z jakim dopiero mistrzostwem, z jakim rozmachem odtworzył Pol mowę i niemal ruchy konfederatów i szlachty drobnej z ostatnich lat Stanisława Augusta. Tu czerpał z własnych, studenckich czasów, kiedy wsłuchiwał się w opowiadania starców. Z upodobaniem kreślił już w „Pieśniach Janusza“ sceny z życia szlacheckiego, tworzył pierwsze w literaturze naszej gawędy, przed „Panem Tadeuszem,“ przed „Pamiątkami Soplicy.“ Przyszły autor „Przygód Benedykta Winnickiego“ już jest w gawędzie Janusza p. t. *Wieczór przy kominie*, a późniejszy nastrój Mohorta ma już „Szabla Hetmańska.“ „Proklamacya Chorążego“ jest jakby żywcem wydarta ze starych raptularzy; w sukmanie zaś krakowskiej Kasztelanica *(Szabla Hetm.)* widać kościuszkowskie tendencye i z całego wiersza wieje duch powszechnego zbratania...

Pol pochwycił żywą nić tradycyj szlacheckich i snuł ją dalej z łatwością niesłychaną. Nikt przed nim takim wierszem, takim rytmem, takimi obrotami i zwrotami nie władał:

Stanisław był królem — kiep, odpuść mu Panie!
I takie to było jego panowanie;

Bo ani do tańca, ani do różańca,
Nie miał też afektu u szlachty, bo z pruska
Miał czuby strojone, a westy z francuzka.
Pokaźny to niby na oko, a tchórzył,
Łaskawy to niby, a naród oburzył.

. . . . . .

Ja byłem już wówczas na mojej zagrodzie
I żyłem z somsiedztwem w szczerości i zgodzie;
A była tam, panie, szlachcianka uczciwa,
Ba, dziewka by rzepka, figlarna i żywa!
Więc miałem się żenić; lecz coś mnie ubodło:
Ej! milsza ojczyzna! Wskoczyłem na siodło —
Przyjeżdżam: Bądź zdrowa! — ha, darmo się smucić...
Żal było, lecz umiał człek jakoś to rzucić;
I dalej, na czyste, na tany sierdziste!
Co komu się godzi? Kto kogo podchodzi?
Ha, różnie bywało, jak zwykle w obozie:
Był człowiek pod wozem, lecz częściej na wozie...
Na ostro kochano Ojczyznę, nie płazem.
Broń tylko składano z żywotem zarazem!...

. . . . . .

(*Pieśni Janusza:* Wieczór przy kominie).

W świecie pojęć, sympatyj i antypatyj drobnej szlachty obraca się Pol, jakby w nim wiek przeżył. I czy nie jest to znamiennem i pouczającem, że równocześnie prawie powstające, o rok zaledwie wcześniejsze *Pieśni Janusza*, czerpią swe soki żywotne z tych samych ostoi polskości, z tych samych zaścianków i dworków, wśród których wzrasta *Pan Tadeusz?* Typy i sytuacye są i tu i tam łudząco podobne rodzinnych rysów podobieństwem, tym samym duchem, co wydał oba arcydzieła. Ks. Robak agituje wśród szlachty okolicznej i toruje drogi wojskom napoleońskim; ale i w *Pieśniach Janusza*

Nad brzegiem Niemna jest puszcza ciemna
A pośród puszczy klasztorek mały;
W nim co nocy Zakonnicy
Leją kule przy gromnicy
Już miesiąc cały.

„Pewnie coś będzie" — mówi lud wszędzie
Kiedy się krzątą sam ksiądz Ambrozy,

Kiedy gniewem Bożym grozi,
A co nocy gdzieś wywozi
Ładowne wozy.

Nie darmo woził, nie darmo groził...

(*Pożajście*).

Możnaby dalej snuć analogie i wykazywać, jak *Dziad z Korony* u Janusza podobnie sprytnie w karczmie pobudza młódź litewską do czynu, jak ks. Robak w IV księdze *Pana Tadeusza* i podobnych używa argumentów; możnaby zestawić takim samym złotym humorem owiane typy szlachty z zaścianku Dobrzyńskiego z tą niedaleką stroną, kędy „Oszmiana z naszą Lidą Zawsze razem idą“ i kędy to:

Matuszewicz z Owsianiszek
I Tur z pod Olity
I Seńkowski z Górnych Szyszek
Wpadli na trakt bity: —

można wreszcie przypomnieć sobie, że jak *Pan Tadeusz* wykpi przerażonych po klęsce Jenajskiej landratów, hofratów, psubratów, — tak *Pieśni Janusza* dadzą szkicowo rzucony obrazek:

Hałas, tartas po Poznaniu
Każda chwila wieści sieje,
Wszyscy mówią o powstaniu,
A Prusak truchleje...

Wszystko razem świadczy, że obaj poeci czujnem uchem wyczuwali tętno ówczesnego życia narodu i czerpali z tych samych głębin, z tych samych nieprzebranych pokładów i warstw.

Artyzm wykonania był oczywiście odmienny. Urok *Pieśni Janusza* tkwi głównie w uczuciu męskiem, żołnierskiem; to uczucie dobrało sobie formę jedynie odpowiednią, niezrównaną w prostocie i śpiewności. Były to bowiem w najpierwotniejszem znaczeniu *pieśni*, których zwykłym głosem deklamować nie można prawie, bez zatarcia cech istotnych.

Boć nie myślami imponują te *Pieśni*, tylko uczuciem. Zakres myśli w nich ubogi, jak ubogie były strzechy zaścianków, których jedynem bogactwem był niewyczerpany zapas poświęcenia dla sprawy narodowej.

Filozofia *Pieśni* całkiem prosta, barska: kropić, kropić i kwita! Wszystko w *Pieśniach* proste i jasne: dla wielu dzisiaj za proste i za jasne. Janusz z własnemi nie rozwodził się żalami:

„Ja pieśń z ludu mam dla ludzi, Żale toną w głąb“ — ani wątpił jeszcze o sile i skutkach pieśni i nie pytał w niepewności, jak dzisiejsi:

O, pieśni, czyli ty nie będziesz daremną?
O, pieśni, co się z tobą stanie?
Będziesz li ulgą siostrze, bratu?

ani też żaden reżyser nie ośmieliłby się wówczas kpić z niego:

Widocznie brak ci tematu!!

Pieśni Janusza wsiąkły w naród spragniony otuchy, jak spiekła ziemia dżdżu. Żadna pieśń Mickiewicza lub Słowackiego nie dotrzymała wówczas kroku *Pieśniom Janusza* w ich tryumfalnym obiegu po całym obszarze Polski, żaden z mniejszych poetów nie wydobył w r. 1831 takiego dźwięcznego, zachwycającego tonu: ani Goszczyński, ani Garczyński, ani Witwicki lub Gosławski nie napisali bodaj jednej takiej strofy, jakich tyle rzucił Pol w *Pieśniach* na lot sokoli od Warty po Niemen.

I lat wiele, bardzo wiele już przeszło nam bez takich *Pieśni*. Próbowano sztucznie wznowić ton Janusza. Jak zwykle, podrabiano to, co najbardziej w ucho wpada: rytm, assonancye, odrębność zwrotki; ale chociażby podrobienie z mistrzowskiej płynęło dłoni, przecie naśladownictwo poznać od razu... Nic nam *Pieśni Janusza* nie zastąpi, nic ich nie przewyższy. Pol sam miał tylko jedną taką natchnienia wiosnę w życiu, jeden jedyny rok wojny i nadziei i wolności. Skądże dzisiejszym zaczerpnąć tchu do takiej ogromnej pieśni, roznośnej od stepów do morza?...

Dziś lepiej rozumiemy i oceniamy zasługę Pola. Rewolucya roku 1831-go nie zdobyła się na własną pieśń bojową. *Warszawianka* była surogatem obcym — Delavigne nie mógł przecie stworzyć nam polskiej Marsylianki; ale co boleśniejsza: żaden z poetów, patrzących na dni promienne po nocy listopadowej nie wydobył z lutni swej tak przejmującego dźwięku, iżby mu naród cały dreszczem uniesienia odwtórzył. Wszak Suchodolskiego i innych śpiewki nie dorastały wysokości i grozy chwili przełomowej... I trwała bohaterska walka bez bohaterskiej pieśni; a przecież świetne chwile wojny narodowej zasługiwały na to, aby z pobojowisk Grochowa i Wawru na skrzydłach wielkiego natchnienia ulecieć ku potomności.

Otóż jeden, jedyny Pol uratował wtedy honor poezyi narodowej *Pieśniami Janusza*. To jego wielka, niezaprzeczona, niepożyta zasługa; z całej spuścizny poetyckiej ta *Pieśń* o roku 1831-m

wyszła nietknięta, czysta, nieskalana żadnym uwłaczającym sądem. Wojna narodowa owiała ją swem wielkiem, rzeźwiącem tchnieniem: z pogromu dziejowego ta pieśń uszła cało, tłum ludzi obiegła, by krzepić wiarę i budzić nadzieję.

*

* *

Nastały zaś po *Pieśniach Janusza* dla narodu lata szare, obumarłe, bezwładne po wysiłku krwawym.

Była chwila po pogromie,
Gdzie stać mogła na wyłomie
Tylko pieśń, jak Duch!
Pieśń, jak upiór i jak mara:
Aż znów miłość, aż znów wiara
Pchnęła dusze w ruch!

Pol nie przestawał tworzyć i przygotowywał drugi tom *Pieśni Janusza*. Snuł dalej wątek świeżych wspomnień: czas jakiś nad gawędą staroszlachecką wzięła górę nuta ludowa i mieszczańska: Wachmistrz Dorosz na Litwie, Historya szewca Kilińskiego, Obrazy życia górali (Z Podróży); wreszcie synteza niejako idei zbiorowej, promieniejącej już z pierwszych *Pieśni Janusza*, ale tu świadomie streszczona: *Pieśń o ziemi naszej*, gotowa już w r. 1835. Łączył w pieśni, co było pozornie rozerwane kordonami. Sławił siły świeże, niezużyte, do życia się rwące: wieśniaka, górala, rzemieślnika. Dał bardzo wyraźne dowody szczerego demokratyzmu i z głębi serca wzdychał ku przyszłości, którą chciał widzieć zdrową a potężną „jak lud kmiecy, co ją dźwignie swemi plecy.“ Szlachcie nie schlebiał zaiste, kiedy „znarowionej“ życzył, by jej Bóg dał „rozum kmiecy.“ A o czystość i świętość tego ludu dbał jak o skarb najdroższy, kiedy dawał smutną i przestrogę i przepowiednię zarazem, na góralach naszych sprawdzoną:

„Żal mi, żem góry i ten lud pochwalił,
I sam na siebie prawiebym się żalił.
Bo jako biją szkodnicy jastrzębie,
Tak uderzycie na stado gołębie!“

Zepsute dzieci lubią cacka psować:
A żal się, Boże, co piękne, marnować.
Was nie uleczy ten lud swą prostotą,
Nie dla was mają polskie Tatry złoto.

Was nie rozjaśni ten świat swym uśmiechem,
Ani was natchną góry swym oddechem,
Ani was górskie wody nie obmyją,
Ani w was prawdy ludu nie ożyją!

Bo na to, byście stąd wracali krzepsi
Na duszy waszej i ciele wzmocnieni,
Potrzeba, byście tu przybyli lepsi,
A ludzie po was nie byli zgorszeni!"

Pol, złożywszy hołd przekonaniom demokratycznym swych czasów, objąwszy całą duszą i jakby przytuliwszy do piersi całą ziemię naszą, wyśpiewawszy jej uroki i pożytki, spełnił poniekąd co mu obowiązek obywatelski nakazywał. Z rzeczywistości, z dni płynących, wziął co mógł najlepszego i roztoczył przed społeczeństwem; ale w rzeczywistości tej z każdym rokiem coraz mniej widział ponęt i poetyckiej podniety. Były to ciężkie czasy reakcyi i represyi, „zaniosło się na długo" wedle wyrażenia Z. Krasińskiego i znękany umysł odwracał się z bólem od szarzyzny i pomroki dżdżystej, która mżyła po świecie. W myśli mknął ku przeżytym promiennym dniom młodości lub dzieciństwa.

Iluż to wtedy poetów z arcymistrzem mówiło sobie:

Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał,
Kraje dzieciństwa...

Pol wracał zwolna do wspomnień najwcześniejszych, a gdy bieg życia niósł z sobą, że raz po razu spotykał typowe postacie starców, będących żywą kroniką lat ostatnich wolnej Rzpltej, poeta lgnął ku nim sercem, przykładał ucho do piersi, bijących dawnem tętnem gorącem, niejedną chwilę przeżywał górnie, jako przodkowie niegdyś całe życie.

Rodzaj umysłu jego był nie tyle twórczy co odtwórczy, zależny bardzo od otoczenia, z ludzi czerpiący. Im dalej w lata po r. 1831, tem mniej mogła mu dać jałowa i beznadziejnie smutna rzeczywistość. Natomiast przeszłość wnęcała się do duszy jego głosem zrozumiałym i wabiącym do czynu: głosem konfederacyi barskiej, legionów, ruchawek narodowych. Od dziecka słuchał do zapamiętania się starców, przyswajał sobie ich mowę pro-

stą, czasem rubaszną, niezawsze okrągłą i ogładzoną, ale jędrną, kipiącą życiem, jak fala górskiego potoku.

Wraz z tą mową wsiąkał weń cały świat wyobrażeń starodawnych, sympatyj i antypatyj, świat myśli ubogi, ciasny, ale własny. Literackich wpływów tak jakby nie zaznał: byronizm ledwie go musnął swem czarnem skrzydłem („Belwederczyk"), żadnej gorączki naśladownictwa nie przebył, odrazu, za przewodem starców wszedł na twardy grunt narodowych szlaków, do których inni poeci dopiero po latach z obłędnych dróg nawracali. Kto mu zarzuca, że z czasem jednostronnie i niekrytycznie rozmiłował się w schyłku XVIII wieku, ten chyba nie pamięta, że naród cały krzepił się wtedy bliższą i dalszą przeszłością. Poeci nasi i powieściopisarze wyczuwali wtedy instynktem to łaknienie ogółu i karmili go, każdy po swojemu: to Panem Tadeuszem, to Pamiątkami Soplicy, to Beniowskim lub Wernyhorą, to kontuszowymi Pogadankami lub pseudo-pamiętnikami Rogowskiego i t. d. i t. d.

Powszechnie odczuwano w latach 1830—1840, że ma się pod koniec szlachetczyźnie i zanim do grobu zstąpić miała, łowiono chciwie, bądź z patryotycznych, bądź z estetycznych tylko, lub wreszcie antykwarycznych pobudek, łowiono tęsknym wzrokiem: stroje, miny, gesta, mowę znikających z każdym rokiem *ostatnich* wojskich, podkomorzych, cześników, konfederatów, legionistów. Ową powszechną tęsknotę za przeszłością barwną, rojną, hucznią, burzliwą, pełną winy i wina, ale pełną też animuszu rycerskiego, a nie tak znowu całkiem z cnót obraną, jakby się zacietrzewionej krytyce wydawało — oddał niezrównanie, genialnie, właśnie — Słowacki:

„A choćby i znów powstał lud z rozpaczy,
Któż Polskę taką jak była, zobaczy?
Czy jaki rycerz, ścięty od zawoja,
Na zmartwychwstałą powie: *Matka moja!*
Czy jaki z grobu wywołany miecznik
Pozna ten blady, dzisiejszy słonecznik,
Co za nowości gwiazdą się obraca?
A gdzież są dzisiaj te pany w żupanie,
U których w sercu cnót na króla stanie?
A gdzież niewiasty, co synowskie ciało
I zgon nie nadto, ani też za mało
Umiały płakać, gdy legł za ojczyznę?
O, dajcie mi krwi ojcowskiej, niech bryznę
I zwalam twarze dziś białe i ciała!

Bo krew w nich płynie jak w gadzinach biała,
A nie tak ważną, jak ojcowie głowę,
Ni takie serca mają bursztynowe,
Lecz wszystko jakoś popsuło się, zgniło..."

Pol, z natury uczuciowy, zatęsknił do przeszłości i w niej szukał uzdrawiającego kordyału. Los zdarzył, że poznał starców, rozmiłowanych w ostatnich latach wolnej Rzptej a umiejących silnem i pięknem słowem mówić o przeszłości poprostu, bez mędrkowania i bez żółci. Było między nimi a Polem wielkie powinowactwo duchowe; tylko w takich gawędach z Winnickim, Krasickim, Morelowskim i tylu innymi czuł się Pol dobrze. Rozumem ich nie przewyższał; sam o rozumie swym niewiele trzymał, twierdząc, że dopiero Józef Kremer, „jaki taki ład w głowie jego zaprowadził;" wyobraźni też tęczowej, olśniewającej nie posiadał: ale miał pamięć olbrzymią, w której gromadził światy całe opowiadań i gawęd staropolskich i miał silne, gorące uczucie, którem ogrzewał drugich. Nieprzeparty miał być urok jego osoby i rozmowy. Otóż to uczucie jego nie mogąc czerpać li tylko z świata własnych udręczeń duchowych, lub z świata rojeń fantastycznych, szukało pobudek nie w sobie samym, bo wielka prostota i większa jeszcze skromność nie pozwalały mu drugich zaprzątać swoją osobą—ani też pobudek twórczych nie szukało na księżycu i gwiazdach, ale na ukochanej ziemi rodzinnej, w jej życiu, w jej przeszłości.

Świeżość pochodzenia polskiego sprawiła, że szczep przyswojony przyjął się na starym pniu tradycyj polskich i z nich przedewszystkiem, a potem nawet z nich wyłącznie, ciągnął soki ożywcze. Była w tem—rzekłbym—poniekąd konieczność psychiczna. Organizacya jego umysłowa i duchowa żyła poprostu tradycyą od lat najmłodszych. Chcieć go z niej wyzuć, lub od niej odciąć, znaczyłoby to chcieć zrobić z Pola artystę-estetę, którym on nigdy nie był i być nie mógł. Czuł on wybornie, że w tej przeszłości tkwią pierwiastki jego siły twórczej. Nie miał filozoficznego ani uzdolnienia, ani wykształcenia, aby z przesłanek przeszłości i teraźniejszości snuć wnioski, jaką będzie przyszłość. Głowy Krasińskiego niemiał, ale uczuciem chyba mu dorównał. Uczucie zwiodło go na turnie, z których zapatrzył się chciwie i miłośnie w świat ginący i ani się spostrzegł, jak się tam zadomowił na resztę życia.

Wspomniałem, że nie był Pol filozoficznym umysłem, ale nie znaczy to, jakoby nie zdawał sobie sprawy z zagadnień ży-

cia, jakoby nie czuł, i nie rozumiał ku czemu świat idzie. Owszem, jasno widział, na co się zanosi — ale i to wiedział, że z zamętu nieprędko wyjdzie nowy jakiś trwały porządek! Widział,

jak bez nadziei, miłości i wiary
Na dwie połowy gawiedź się rozdarła
I staje niby pod dwoma sztandary.
I jedni pragną woli swojej znamię
Wypiec na duszy okutego świata;
A drudzy rwą się uzbroić swe ramię
I całą ludzkość zmienić w topór kata.

Gdy w jednych nie widział cnoty, a w drugich rozumu, poeta trzymał się na uboczu, źle wróżąc wiekowi, gdzie karły bez siły biorą się z dumą do wielkiej roboty; wierzył jednak w ludzkość, wierzył w zaranie lepszej przyszłości:

Rodzące bóle i trwogi skonania,
Które dziś ludzkość i trapią i palą,
Są tą jutrzenką owego zarania,
I one przyszłość szczęśliwszą ustalą.

Wyczekujące stanowisko, jakie zajął Pol wobec stronnictw politycznych, widoczny zwrot ku przeszłości w Przygodach Benedykta Winnickiego, nie mogły się podobać gorętszym głowom pokolenia z lat 40-ych. Zaczęto go podejrzewać i oczerniać. Świadek wiarygodny lat i ludzi onych, Zygmunt Kaczkowski, tak pisze: „Niczem niezamącona, wszechwładna popularność Pola trwała do r. 1843; dopiero w roku następnym, kiedy się zabrano do agitacyj politycznych, zaczęto i jego sławę zaćmiewać — a to z pobudek politycznych, a nie z powodów patryotycznych. Jest w tem ważna różnica, przez którą nie można się lekko prześlizgnąć.

„Patryotyzm, będący w gruncie rzeczy uczuciem, wzięty jako przekonanie, jest zasadą bezwzględną i mogącą trwać niewzruszenie we wszystkich okolicznościach: ale jego obowiązki mogą czasowo rozmaicie być pojmowane, bo patryotyzmu można źle użyć i można go także nadużyć. Niekoniecznie przestaje być patryotą ten, kto nie dzieli złudzeń chwilowych; a że patryotyzm miewa złudzenia, o tem my coś możemy powiedzieć. Bywa czasem nawet i gorzej, bo dzisiaj chyba już nie jest zbrodnią zapytać: „na co się zdał taki patryotyzm, który kraj rzuci w bezdenne nieszczęście i cofnie jego naturalny rozwój o lat kilkadziesiąt.“ Pol

zawczasu przewidział skutki tych agitacyj, które miały na celu rok 1846 i nie chciał brać w nich udziału; za to zaczęto agitować przeciw niemu i podkopywać jego popularność wszelkiemi możliwemi środkami. Czytałem te listy bezimienne, jakiemi go wtenczas zasypywano, słyszałem na własne uszy agitatorów, którzy na zgromadzeniach ówczesnych stentorowym głosem piorunowali przeciw niemu — a na dwa miesiące przed katastrofą widziałem go tarzającego się w takim okropnym bólu nad nieszczęściami, które swojem kochającem sercem przeczuwał, że jego twarz konwulsyjnie storturowana, jaką miał w owej chwili, nie wyjdzie mi nigdy z pamięci!

„Jakoż mogę powiedzieć, że mimo tysiąca podobnych obrazów, które się później przesunęły przed mojemi oczyma, nie widziałem nigdy człowieka przejętego głębszą i rzewniejszą miłością kraju od niego. Ale agitacya wzięła go na cel — i odtąd wszystko, co powiedział, napisał, lub zrobił, było niepatryotyczne, występne, aż nareszcie zbrodnicze.“

Jak rok 1831 miał podnieść do najwyższego uniesienia zapał patryotyczny Pola i wywołać skrzydlaty rój piosnek Janusza, tak rok 1846 stał się dla niego przełomowym i decydującym na resztę życia. Kto go lekko o wstecznictwo pomawia, o brak zapału dla sprawy ludowej, niech wprzód całą siłą wyobraźni uprzytomni sobie, jak po tych mękach moralnych, na które Zygmunt Kaczkowski patrzał, nastąpiło niebawem tragiczne i krwawe dla niego samego spełnienie przeczuć: dzień 23 lutego r. 1846 w Polance u Tytusa Trzecieskiego pod Krosnem. Przybył tam Pol w drodze do Lwowa, gdzie zamierzał przeczekać zawieruchę polityczną i dokąd wybrał się z mnóstwem rękopisów dotyczących geografii Polski, map, ksiąg i t. d. Najniespodzianiej tu go miała zaskoczyć burza, przed którą się do Lwowa chciał schronić. Szczegóły tak opisuje najnowszy biograf poety, p. M. Mann (tom II, str. 7—9):

„Dzień cały zeszedł spokojnie, groźne wieści nie doszły jeszcze do Polanki; ale nocą ujrzeli mieszkańcy dworu dalekie łuny na widnokręgu. Wczesnym rankiem rozjuszone tłumy, zbrojne w cepy, widły, kosy i siekiery nadciągnęły od strony Odrzykonia i otoczyły dwór. Mężczyźni nie tracąc odwagi, sądzili że zdołają uśmierzyć burzę spokojnem i rozważnem słowem; wyszli więc wszyscy trzej na ganek i zaczęli przemawiać do tłumu. Ale krótko trwała ta chwila. Chłopi przerzucili przez ganek sznury, zwalili ich w ten sposób z nóg i rzucili się na bezbronnych, tłukąc cepami i kosami kalecząc... Trzecieskiego bronili miejscowi

kmiecie, bo był panem sprawiedliwym i łagodnym. Najgorzej pono skatowany został Pol, który zaciął się i milczał; chłopstwo znieść nie mogło tego milczenia, widząc w niem dowód pogardy i dumy. Kornelię (żonę W. Pola), która rzuciwszy się na męża, pragnęła zasłonić go swem ciałem, zraniono w głowę i odrzucono na bok nieprzytomną...

Morderczy tłum, nasyciwszy się krwi widokiem, rzucił się teraz do rabunku; całe urządzenie dworu zniszczono ze szczętem. Na dziedzińcu rozpalono ognisko i rzucano w nie kosztowniejsze sprzęty, książki, papiery, rękopisy. Tak spłonęła geografia, owoc długoletniej pracy Pola, tak zgorzały paki notat źródłowych z wycieczek w góry, tak poszły z dymem mapy, kreślone z wielkim nakładem pracy i wysiłkiem chorych oczu. Pięć godzin trwał rabunek dworu... a w czasie orgii skatowani przyjaciele w otoczeniu zrozpaczonych żon i dzieci odmawiając błagalne modlitwy czekali zmiłowania Bożego. Po południu dopiero wpadł na dziedziniec oddział huzarów... Wojsko rozbiegło się po wsi, poszukując spiskowców; pijane chłopstwo dopomogło wyszukać wszystkich, winnych i niewinnych. Wincentego Pola, jego brata i Trzecieskiego, skrępowawszy sznurami, rzucono na wóz drabiniasty. Uformował się kondukt otoczony wojskiem. Już mieli ruszyć, gdy podbiegł jeszcze jakiś zawzięty odrzykoniec i ciął Wincentego kosą w głowę, a był to już czwarty cios, dnia tego kosą zadany... Ruszyły wozy. Na dziedzińcu przed spustoszonym dworem, na śniegu zróżowionym krwią niewinnych została Kornelia z dziećmi drobnemi. A mąż i ojciec ich w koszuli krwawej szedł pokutować za winy niepopełnione...“

Właśnie on, który przed kilku laty Pieśń o ziemi naszej zamykał modlitwą:

O, z tym ludem, ojców Boże,
Nim w spoczynku głowę złożę,
Dozwól jeszcze siać i zbierać!
Lub gdy nie dasz przy nim pożyć,
Dozwól przy nim choć umierać
I strudzone kości złożyć!

Nigdy brutalniej ohydna rzeczywistość nie splugawiła wzniosłego ołtarza poezyi...

*

* *

Trzeba było niezwykłej mocy ducha, aby nie zwątpić po roku 1846 o przyszłości narodu wogóle, a ludu polskiego w szczególności. Pol nie zwątpił, przebolał, przetrwał inne jeszcze strapienia, oszczerstwa, podejrzliwości; borykał się z ciężkim losem — ale od tego wszystkiego rzeźkości, mocy, fantazyi przybyć mu chyba nie mogło. Snuł dawniej poczęte wątki poetyckie, które mu los przeciwny motał i rwał; uczył potem geografii w uniwersytecie krakowskim, tak jak Mickiewicz uczył łaciny w akademii lozańskiej, bo żonę i dzieci wyżywić trzeba było. Ale co się nieraz działo w głębi duszy, gdy rojeniom poety w poprzek stawały okrutne harpie codziennej rzeczywistości, chłodnej i głodnej, (gdy reakcya austryacka pozbawiła go profesury), o tem wiedzieli tylko najbliżsi, a i ci nie wszystko wiedzieli. Wśród pośmiertnych papierów znalazł się wiersz z lat owych, przesiąkły łzami, wzruszający siłą prawdy i bólu. (Mann, II, 190):

I rano wstałem i błagałem nieba
O jedną iskrę Bożego natchnienia,
I iskra spadła, — lecz nie było chleba,
Nie było nawet nory do schronienia.
I rano wstałem i mówiłem sobie:
Ach, byle pracy, pracy dla narodu,
Toć jeszcze może i na chleb zarobię.
I Bóg dał pracę, a jam mdlał od głodu.
I rano wstałem, a gdym duszą łzawą
Szukał ratunku u ziemi i nieba,
Dał mi świat imię, a razem ze sławą
Dał nieprzyjaciół, ale nie dał chleba.
I rano wstałem, ale coraz ciężej
Było pług ciągnąć na odłogu węży;
I tak mię ciasnym wróg opasał kołem,
Że już nie łzami, lecz krwią opłynąłem.
I rano wstałem, a wszystko daremno,
Bo choć dzień świta, to już dla mnie ciemno,
Boś mnie pod jesień moją już pobiedził,
Boś dom mój, Panie, ubóstwem nawiedził.

Niebawem śmierć ukochanej żony dopełniła miary smutku i żałoby — nie rozpaczy, bo tej nie szukać w religijnej, głęboko wierzącej duszy Pola.

* * *

Nie będziemy szczegółowo przechodzić dalszych objawów jego twórczości; nie zamierzaliśmy tu dawać pełnej charakterystyki całej postaci. Chodziło nam tylko o wydobycie na jaw zasadniczych, głównych pierwiastków natury duchowej Pola, któremi łatwo już objaśnić i zalety i ujemne strony jego poezyi.

Nadzwyczajna obfitość słowa była jej błogosławieństwem, ale była też niebezpieczeństwem. Łatwość niesłychana wiersza dodawała skrzydeł uczuciu, kiedy szło o wylew patryotyczny w *Pieśniach Janusza*, ale taż sama łatwość folgowała rozwlekłości i gadatliwości niewyczerpanych anegdot szlacheckich w *Senatorskiej Zgodzie* lub w *Stryjance*. Potoczystość opowiadania wzbierała nieraz potokami słów bez głębszej treści. Za to prostota, jasność i ludzkość jego poezyi wynagradza niejeden brak. Docierał Pol do tłumów, do tych sfer szerokich, które nie mogły jeszcze zrozumieć i ocenić Krasińskiego lub Słowackiego. Na ogół biorąc, poematy jego większe, źle zbudowane, bez artyzmu i stopniowania, bez urozmaicenia treści, nie wytrzymały próby czasu i zaszkodziły utworom drobnym, dziś zapomnianym, a zawierającym szczere perły natchnienia, (*Leśne jezioro*, *Pierwsza noc we dworze*, *Ranek w puszczy* i tyle innych). Sam Pol wyżej je stawiał od swych większych poematów, nawet od *Mohorta* wyżej. Tam kryła się skromna i wrażliwa dusza poety.

Tendencyjność większych poematów, ich jednostronność i wyłączność zaszkodziła dawniejszej popularności Janusza, przyćmiła blask jego *Pieśni*, które dzisiejszemu pokoleniu nie mówią już tyle, co dziadom i ojcom naszym. Ale poezya Pola, przeszedłszy pod koniec zeszłego wieku czyściec niezasłużonej obojętności — ostanie się w najistotniejszej swej treści jako szlachetny, rodzimy kruszec trwałego blasku i mocy. Kto zechce kiedyś, po wielu, wielu latach wiedzieć, co czuły, myślały, co kochały i czciły, a czego nienawidziły pokolenia najbliższe rozbiorom Polski, sięgające w młodości Barskich i legionowych czasów — ten najwierniejsze, najprawdziwsze echo odnajdzie w poezyi Pola.

Surowy sędzia całej jego spuścizny poetyczno-społecznej, Spasowicz, w końcowych uwagach zmuszony był przecie hołd mu złożyć i tak mówił:

„Był to mistrz wielkiej ręki, talent oryginalny, silny, niezbyt bogaty w pomysły... Widnokrąg jego pojęć nie przekraczał nigdy granic jego narodowości i wiary, którą on nierozłącznie wiązał z narodowością, miłując je z pewnym szowinizmem i z upośledzeniem wszystkiego, co leżało po za ich obrębem. Stąd pochodzi, że był on wyłącznie polskim poetą... Pozostanie wielką

jego zasługą, że był poważnym stróżem wielkich grobów, drogich pamiątek, że krzepił wiarę, bo sam mocno wierzył."

Tak jest istotnie. Dodam jeszcze, że był to ostatni u nas piewca rycerskiej przeszłości, istny Mohort staroszlacheckiej poezyi. Z nim ona poszła do grobu. Czyżby jednak naprawdę poezya Pola miała być tylko relikwią przeszłości, bez ziarn plennych na przyszłość? Czyżby na dzisiejsze, ciężkie, ponure czasy poezya ta nie miała już mocy ożywczej i krzepiącej? Nie sądzę. Uważam przeciwnie, że Pol, nie obdarzony ani filozoficznym umysłem, ani dbający o artyzm kompozycyi, miał przecie wielki *instynkt* narodowy, *czuł* burze idące wieku swego i jak przeczuwał rok 1846, tak przewidywał smutki pokoleń po r. 1863 i wielką troskę dni dzisiejszych. Wcześnie zrozumiał, że możemy niejedno utracić z tego, co wysławiał w Pieśni o *Ziemi* naszej; ale przyszłość narodu opierał na ostatniej, niezdobytej twierdzy, na *Domu* naszym, tej ostoi życia i ducha polskiego.

I w Pieśni o tym Domu złożył niejako arkę przymierza między dawnemi i młodszemi laty, owoc rozmyślań długoletnich i przestróg czujnego serca. Uczył, że wszystko zdobyć trzeba pracą i zasługą własną, spłacić dług żywota, „co świat dawa na zaranie, każdy uścisk wiernej ręki, poświęcenie i kochanie..." Uczył, że na tej naszej, polskiej drodze życia stąpać trzeba będzie nieraz po gadach i po zdradach:

„Gdy brać będą to za siłę, co *gorączki* jest znamieniem; gdy opaszą cię pierścieniem świetne mózgi, serca zgniłe, co się niby rwą do czynów, a *słowami* tylko płacą; co z krzywd tylko się bogacą i przez *hańbę* do wawrzynów idą drogą *świętokradzką!*"

Uczył dalej, że „nic tak bardzo już nie boli jak niecnota własnej braci, która piekłu haracz płaci."

A w końcu uczył *wytrwania* najtrudniejszej sztuki: „Wytrwać, wytrwać! to zadanie, kto poczciwej sprawie służy: choć ci wszystko w poprzek stanie, w burzy serca, w życia burzy. Chociaż *swoi* się sprzysięgą przeciw tobie w zdradnej radzie, chociaż piekło swą potęgą tysiąc zapór ci pokładzie — wytrwaj synu! w Bożej próbie, w wielkiej chwili przesilenia!" Ufał zawsze, że „kraj się *pracą* i *ofiarą* z tej otchłani wydobędzie i odmierzy *własną miarą*, gdy zasiędą ziemi sędzie."

Do tej pieśni o Domu naszym szły mocne otuchy wiary w to, co najlepsze w narodzie; jawiło się miłości „rajskie lice i nadziei święte nuty;" wiązały się z tą Pieśnią uroczyste echa *Psalmów*, złociły ją różowe, drżące promienie *Przedświtu;* „a kto serce ma

i ducha i tej pieśni się przysłucha," przyzna, że są w niej zawsze jeszcze pierwiastki rodzimej siły na dalsze życie.

W pośmiertnych papierach Pola znalazła się ostatnia pieśń Januszowa, ostatni dźwięk lutni, która wiernie do mogiły służyła polskiemu duchowi. Miał w niej prawo Janusz żegnać z za grobu naród krótką sprawą żywota swego: „w walce stałem, i z miłością ziemi dałem, com od Boga wziął."

Józef Kallenbach.

Anglia i Rosya.

(Traktat Angielsko-rosyjski).

Przed kilku laty ukazał się w jednej z najpoważniejszych angielskich publikacyj peryodycznych, w *Fortnightly Review*, szereg artykułów o polityce angielskiej. Autor, kryjący się pod pseudonimem „Calchas," a uważany przez jednych za wybitnego angielskiego, przez innych za rosyjskiego męża stanu, dowodził, że sprzeczność interesów Anglii i Rosyi ani na bliskim, ani na dalekim Wschodzie nie jest tak wielka, aby wyłączała możliwość porozumienia się pomiędzy temi dwoma mocarstwami. Artykuły te obudziły swojego czasu pewne zainteresowanie i wywołały nawet dość ożywioną polemikę dziennikarską. Odzywały się zdania *pro* i *contra*. Na szczególną zaś uwagę zasługuje, że już wówczas myśl rzucona przez „Calchasa" powitana została przychylnie przez znaczną część prasy rosyjskiej.

Oczywiście, traktowano całą tę sprawę wyłącznie z dziennikarskiego punktu widzenia, jako temat do mniej lub więcej interesującej i sensacyjnej, lecz czysto akademickiej dyskusyi. Na seryo bowiem nikt nie przypuszczał, aby projekt angielsko-rosyjskiego porozumienia mógł się tak prędko przybrać w szaty rzeczywistości. Antagonizm pomiędzy Anglią i Rosyą stanowił przecież jeden z najgłówniejszych dogmatów politycznych, w który wierzyła ślepo dyplomacya europejska. Jeszcze Bismarck opierał niejednokrotnie swoje kombinacye polityczne na rzekomym pewniku, że interesy angielskie i rosyjskie nigdy nie dadzą się pogodzić.

W rzeczy też samej od pół wieku z górą antagonizm ten nie schodzi prawie ani na chwilę z widowni politycznego życia.

Widzimy go na bliskim Wschodzie w Konstantynopolu, gdzie bezustannie walczą z sobą o przewagę wpływy angielskie i rosyjskie. Głównem jednak jego ogniskiem jest z natury rzeczy Azya, gdzie znajduje się najważniejsze źródło, ale i pięta Achillesowa potęgi angielskiej — Indye. Antagonizm ten wyrastał naturalnie w miarę, jak Rosya posuwała coraz dalej w głąb azyatyckiego kontygentu swoje zabory, jak zbliżała się coraz bardziej do hindostańskiego półwyspu, wzmacniając jednocześnie swój wpływ polityczny w niezależnych dotychczas jeszcze państwach azyatyckich: Persyi, Afganistanie, Chinach i uznających nominalnie zwierzchnictwo Chin Tybecie.

Zwycięskiemu posuwaniu się Rosyi we wschodniej Azyi położyła na razie kres stanowczy wojna japońska. Tam, na dalekim Wschodzie decydującą rolę odgrywa obecnie „państwo wschodzącego słońca," wsławione zwycięstwami pod Mugdenem i Cuszymą, a wzmocnione świeżemi zdobyczami na stałym lądzie azyatyckim. Rzecz prosta, że zwycięstwo Japonii przyniosło i jej sprzymierzeńcowi, Anglii, poważne bardzo korzyści, z jednej strony osłabiło na czas dość długi siłę zaczepną głównego jej współzawodnika, Rosyi, a z drugiej strony zapewniło jej na wypadek wojennych komplikacyj w Azyi pomoc licznego i wyćwiczonego w boju wojska japońskiego.

Ale Rosya, pobita i do pewnego stopnia obezwładniona nawet na dalekim Wschodzie, nie zaniechała jednak swych planów azyatyckich, zagrażających, a przynajmniej mających zagrażać interesom Anglii. Wstrzymana w swych zapędach zaborczych w Azyi wschodniej, szukać sobie zaczęła równoważnika w bliższych okolicach tej części świata i przedewszystkiem w Persyi rozwijała w ostatnich czasach ze zdwojoną siłą swoją akcyę polityczną i ekonomiczną. Jednocześnie wyrastał wpływ rosyjski w Afganistanie i Tybecie, dwóch krajach sąsiadujących bezpośrednio z Indyami i stanowiących tem samem dogodny bardzo w danym razie punkt oparcia dla armii nieprzyjacielskiej, przygotowującej się do najazdu na tę kolonię angielską.

Zważyć przytem należy, że tak pokorni do niedawna i potulni Hindusi, od pewnego czasu z coraz większą niechęcią przyjmują dobrodziejstwa, świadczone im jakoby przez angielską metropolię, że ruch nacyonalistyczny podnosi coraz śmielej głowę w tym olbrzymim kraju i coraz głośniej rozlega się w nim hasło: Indye dla Hindusów! Nie ulega też kwestyi, że armia nieprzyjacielska, którąby wtargnęła do Indyj, znalazłaby odrazu wśród miejscowej ludności licznych bardzo sprzymierzeńców.

Niebezpieczeństwo to jest jednak dość jeszcze dalekie. W każdym razie obawa o indyjskie swe posiadłości nie stanowi ani wyłącznej, ani nawet głównej przyczyny, która skłoniła Anglię do szukania porozumienia z dotychczasowym swym, niejako tradycyjnym współzawodnikiem i przeciwnikiem. Na krok ten dyplomacya angielska zdecydowała się prawdopodobnie pod wpływem ogólniejszych czynników natury politycznej.

Tradycyjna polityka angielska polega na osaczaniu tego mocarstwa na stałym lądzie Europy, które doszedłszy do największej potęgi, zagraża tem samem największem niebezpieczeństwem interesom angielskim, a pośrednio i pokojowi powszechnemu. Tem mocarstwem była w początkach zeszłego wieku Francya, przeciwko której Anglia uruchomiła całą Europę. Tem mocarstwem są obecnie Niemcy, które swą „pięścią opancerzoną“ wygrażają całemu światu, a które dyplomacya angielska okrąża powoli, lecz systematycznie całym łańcuchem umów i przymierz, zawieranych po kolei z wszystkiemi prawie mocarstwami i państwami. Nie znaczy to bynajmniej, że Anglia nosi się z zamiarami wojowniczemi przeciwko Niemcom. Nie, polityka angielska jest w zasadzie pokojowa, już z tej prostej przyczyny, że jedynie w czasie pokoju rozwijać się mogą pomyślnie przemysł i handel, główne podstawy potęgi i bogactwa Anglii. Jedynie więc w celu zabezpieczenia pokoju, odebrania Niemcom chęci i możności skorzystania ze swej potęgi militarnej, dyplomacya angielska rozwija w ostatnich czasach tak ożywioną i tak szczęśliwą w swych skutkach działalność, polegającą na przeciwstawieniu tej największej w obecnej chwili potędze wojskowej całego systemu przymierzy lub umów pomiędzy mocarstwami, zainteresowanemi w utrzymaniu pokoju.

Ostatniem i poniekąd najważniejszem ogniwem tego łańcucha jest traktat, zawarty świeżo z Rosyą.

Dzieło nie łatwe, które dojść mogło do skutku jedynie po zwalczeniu licznych przeciwieństw i uprzedzeń. Z natury rzeczy liberalna opinia angielska nie łatwo pogodziła się z myślą szukania porozumienia z rządem reakcyjnym, tłumiącym tak bezwzględnie ruch wolnościowy w swoim kraju. Z drugiej znów strony decydujące koła petersburskie z uprzedzeniem łatwo zrozumiałem spoglądać musiały na rząd, którego kierownik przed niedawnym jeszcze czasem wsławił się sensacyjnym okrzykiem: *la Douma est morte, vive la Douma*, który przytem udziela tak chętnie gościnności rewolucyonistom rosyjskim.

Jeśli nie mylą rozmaite oznaki, to usunęła te trudności, utorowała drogę do porozumienia dyplomacya francuska, która w tej sprawie odegrała rolę „uczciwego pośrednika."

Francyę, zahypnotyzowaną słuszną czy niesłuszną obawą inwazyi niemieckiej, napełnił niemałym niepokojem przebieg wojny japońsko-rosyjskiej. Sprzymierzeniec, pobity na lądzie i na morzu, nie mógł już jej, przynajmniej na razie, zapewnić zbyt wielkiej pomocy w razie wojennego zatargu z potęgą germańską. Trzeba było zwrócić się do innych bogów, szukać gdzieingziej oparcia. W ten sposób doszła do skutku zawarta w roku zeszłym umowa francusko-angielska.

„Przeniewierstwo" to aliantki wywołało, zwłaszcza w nacyonalistycznej prasie rosyjskiej, dość silne oburzenie. „Nowoje Wremia," zbliżone w swych zapatrywaniach do decydujących kół petersburskich, wystąpiło z szeregiem artykułów, poddających wewnętrzne stosunki Francyi bardzo nieprzychylnej krytyce, a, co ważniejsza, wyraziło swe przekonanie, że Rosya odpowiedzieć winna na umowę francusko-angielską zbliżeniem się do Niemiec.

Oczywiście dyplomacyi francuskiej chodziło o zatarcie niekorzystnego wrażenia, jakie wywołało w rosyjskiej opinii publicznej jej porozumienie się z Anglią. Jednocześnie zamykać ona nie mogła oczu na olbrzymie korzyści polityczne, jakie przedstawiało dla Francyi zbliżenie się Anglii do Rosyi, zamieniające, przynajmniej do pewnego stopnia dotychczasowe dwuprzymierze w przymierze trzech mocarstw.

W każdym razie czy z udziałem lub bez udziału Francyi traktat pomiędzy Anglią i Rosyą doszedł do skutku.

Rozpada się on właściwie na trzy osobne umowy, obejmujące trzy kraje azyatyckie: Persyę, Afganistan i Tybet. Najważniejsza oczywiście jest ta część traktatu, która dotyczy Persyi. Najważniejsza i z tego powodu, że w kraju tym zaangażowane są w dość poważnym stopniu, obok rosyjskich i angielskich, także interesy gospodarcze innych mocarstw, zwłaszcza Niemiec.

Traktat zaznacza na wstępie, że obydwa rządy, zawierając umowę, postanowiły szanować nietykalność i niezależność Persyi, pragnąc przy tem szczerze, aby porządek i spokój zabezpieczone były w tym kraju. Co prawda, dalsza osnowa traktatu rzuca dość ciekawe światło na rzekomą tę troskliwość o całość i niezależność Persyi.

Prawdopodobnie więc bez poprzedniego porozumienia się z szachem, a może i bez jego wiedzy, dwa rządy, zawierające traktat, rozdzielają Persyę na „trzy sfery wpływów gospodar-

czych.“ Rosyjska—północna, zaczyna się na zachód od Kasr-i-Szirin nad granicą turecko-perską, niedaleko od Bagdadu, biegnie następnie ku południo-wschodowi, obejmuje Ispahan i Jezd, zwraca się tutaj ku północno-wschodowi i ciągnie się ku temu punktowi, gdzie stykają się Afganistan i Persya z rosyjskim Turkiestanem. Sfera interesów angielskich zaczyna się od Bender-Abber nad zatoką Perską, biegnie najpierw ku północy aż do Kermanu, a następnie ku północno-wschodowi aż do granicy Afganistanu. Pomiędzy dwiema temi sferami leży pas neutralny, mający za podstawę wybrzeże zatoki Perskiej. Anglia gwarantuje Rosyi, że w rosyjskiej sferze interesów szukać nie będzie ani dla swoich poddanych, ani dla poddanych innego mocarstwa jakichkolwiek koncesyj politycznych lub gospodarczych. Tę samą gwarancyę obejmuje Rosya co do sfery interesów angielskich. W innych słowach: w swej sferze interesów każde z dwóch mocarstw rządzić będzie samowładnie. W końcu traktat zaznacza, że w razie nieopłacania przez Persyę procentów od pożyczki państwowej, finanse perskie poddane będą kontroli Anglii i Rosyi bez mieszania się jednak tych dwóch mocarstw do wewnętrznych spraw Persyi.

Nie ulega kwestyi, że traktat, o ile on dotyczy samej Persyi, zapewnia lwią część korzyści Rosyi. Jej sfera interesów obejmuje najbogatsze prowincye perskie ze stolicą Teheranem, gdy angielską sferę interesów stanowi w znacznej części piaszczysta pustynia.

Ustępstwa, poczynione w Persyi na rzecz Rosyi, Anglia wynagradza sobie korzyściami, osiągniętemi w Afganistanie. Rosya zrzeka się więc wszelkiego wpływu politycznego w tym kraju i zobowiązuje się załatwiać wszelkie swe sprawy z rządem afganistańskim za pośrednictwem Anglii, a zastrzega sobie jedynie równouprawnienie handlowe. Anglia obowiązuje się wprawdzie nie naruszać terytoryum Afganistanu, ale jedynie wtedy, jeśli emir afganistański spełniać będzie sumiennie wszelkie swe zobowiązania wobec Indyj, nałożone na niego swojego czasu przez Anglię. Faktycznie władca Afganistanu, pozbawiony pomocy Rosyi, stanie się prędzej czy później wasalem angielskiej korony.

Ręką jako tako obronną wyszedł z tego podziału jedynie Tybet. Główna ta siedziba buddyzmu pozostaje na wewnątrz niezależna, na zewnątrz pod zwierzchnictwem Chin. Obadwa mocarstwa, zawierające traktat, zrzekają się nietylko politycznego, ale i gospodarczego wpływu w tym kraju, wysyłać nie będą swych

przedstawicieli dyplomatycznych do Lhassy i nawet zobowiązują się nie pozwalać w przeciągu trzech lat na żadne wyprawy naukowe do Tybetu.

*

* *

Tak się przedstawia w głównych zarysach traktat zawarty świeżo pomiędzy Anglią i Rosyą. Na pierwszy rzut oka stanowi on jedynie uregulowanie sprzecznych do niedawna interesów angielskich i rosyjskich w trzech krajach azyatyckich. W gruncie jednak rzeczy umowa ta, najważniejsza może, jaką zawarto w ciągu ubiegłych lat kilkudziesięciu, zmienia do pewnego stopnia całą prawie dotychczasową konstelacyę polityczną i wychodzi daleko po za zakres spraw i interesów czysto azyatyckich.

Przedewszystkiem więc Anglia zyskuje olbrzymio na wpływie politycznym. Zabezpieczywszy swe posiadłości azyatyckie od wschodu sojuszem z Japonią, od zachodu i północy traktatem, zawartym świeżo z Rosyą, zdobywa sobie swobodę ruchu we wszystkich innych częściach świata i całą swą potęgę rzucić może obecnie na szalę polityki europejskiej.

Zyskuje także Rosya, przedewszystkiem Rosya urzędowa. Nie ulega bowiem kwestyi, że obecny rząd rosyjski wzmocnił swą powagę moralną tym traktatem, który mu prawdopodobnie i na innem polu poważne przyniesie korzyści. Jak bowiem wieść niesie, rokowania o zaciągnięcie angielsko-francuskiej pożyczki uwieńczone będą pomyślnym skutkiem. Wreszcie i dążenia do przekształcenia Rosyi w państwo prawdziwie konstytucyjne zyskać jedynie mogą na tem zbliżeniu się do mocarstwa, będącego kolebką i główną ojczyzną konstytucyonalizmu.

Jeśli po za tem spoglądać będziemy na traktat angielsko-rosyjski w związku na zawarte już poprzednio umowy pomiędzy Anglią i Japonią, Francyą i Japonią, Rosyą i Japonią, to przekonamy się, że jest on jednym tylko z ogniw olbrzymiego planu, zmierzającego w ostatnich swych wynikach do podziału azyatyckiego kontynentu pomiędzy Anglię, Rosyę, Japonię i Francyę.

W podziale tym nie uczestniczą Niemcy, które wogóle wbrew oświadczeniu cesarza Wilhelma, że nic się dziać nie może na świecie bez udziału Niemiec, dzięki konsekwentnej, okrążającej je po-

lityce angielskiej, pomimo wrzawy, jaką napełniają świat cały, faktycznie coraz mniejszą odgrywają rolę w polityce wszechświatowej.

Niewątpliwe swe fiasko polityka niemiecka zawdzięcza jeśli nie wyłącznie, to przeważnie swemu kierownikowi. Odpowiednio do jego charakteru i temperamentu jest ona samochwalcza, jątrząca i alarmująca świat cały, to zaczepna, to znów cofająca się, a przedewszystkiem pozbawiona celu z góry określonego, przerzucająca się bezustannie z jednej krańcowości w drugą. Na odwrót znów polityka angielska kroczy w ostatnich czasach od zwycięstwa do zwycięstwa, bo kieruje nią prawdziwy mąż stanu, polityk w wielkim stylu.

Król Edward, jako następca tronu, nie cieszył się opinią zbyt pochlebną. Zarzucano mu, słusznie czy niesłusznie, że zbyt gorliwie gonił za wszelkiego rodzaju rozrywkami, zbyt chętnie przebywał w „świecie, w którym się nie nudzą.“ Objąwszy jednak władzę, zerwał stanowczo z dawnym trybem życia i wszelkie siły niepospolitego swego umysłu, całą zdumiewającą zręczność w traktowaniu spraw i ludzi, oddał na usługi swego kraju.

Konstytucya angielska zakreśla osobistej inicyatywie monarchy ciasne bardzo ramy. Podług utartej z dawien dawna doktryny, król angielski jest jedynie dekoracyą, a cała władza spoczywa w parlamencie, który ją wykonywa przez rząd, wychodzący z jego łona. Ale i w tym wypadku okazało się, że silna indywidualność potrafi przełamać krępujące ją szranki, zmienić nawet zwyczaj, zakorzeniony od wieków. Obecna więc polityka angielska jest osobistem dziełem i osobistą zasługą króla Edwarda. Naturalnie polityka ta nie ma nic wspólnego ze zmieniającymi co chwila swoje cele osobistymi rządami w rodzaju tych, które uprawia cesarz Wilhelm II. Dąży ona świadomie i konsekwentnie do jednego wielkiego celu, do zapewnienia, a w danym razie i narzucenia światu powszechnego pokoju. Rozumie się, że polityka ta w państwie, rządzonem parlamentarnie odpowiadać musi interesom, potrzebom, wymaganiom i zapatrywaniom większości narodu. Jeśli bowiem gdzie, to w Anglii, dumna maksyma: *sic volo, sic jubeo!* należy już stanowczo do przeszłości.

Pax britannica, t. j. pokój zapewniony światu przez Anglię, zdaje się, dzięki niestrudzonej działalności króla Edwarda, zbliżać coraz bardziej ku swemu urzeczywistnieniu. Wskutek całego szeregu traktatów, zawartych w ostatnich czasach przez Anglię, zażegnane zostało mnóstwo nieporozumień i przeciwieństw, które w danym razie wywołaćby mogły zbrojne zatargi. Traktaty te

zabezpieczają oczywiście przedewszystkiem Anglię, ale pośrednio stanowią także potężną rękojmię powszechnego pokoju. Nie ulega więc kwestyi, że jedynie obawa interwencyi angielskiej powstrzymała w roku zeszłym Niemcy od skorzystania z zatargu marokańskiego i wypowiedzenia wojny Francyi.

*

Prasa rosyjska i to zarówno liberalna jak i nacyonalistyczna powitała na ogół bardzo przychylnie świeżo zawarty traktat, który stanowi, podług jej zdania, akt pierwszorzędnej wagi dla życia handlowego i politycznego Rosyi, nie tylko przybliża ostateczne rozwiązanie kwestyi perskiej, afgańskiej i tybetańskiej, ale, co ważniejsza, stać się może początkiem nowej ery przyjaźni angielsko-rosyjskiej.

„Nowoje Wremia“ upatruje punkt ciężkości traktatu w korzyściach, osiągniętych przez Rosyę w Persyi. Co się zaś tyczy ustępstw Rosyi w dwóch innych sprawach — w tybetańskiej i afgańskiej, to wzmiankowany dziennik nie nadaje im zbyt poważnego znaczenia, przynajmniej z handlowego punktu widzenia, ponieważ kupcy rosyjscy nie usiłowali i nie usiłują uzyskać jakichkolwiek koncesyj na niegościnnych szczytach gór Himalajskich.

I zdaniem liberalnej „Rieczy“ źródło ugody tkwi w Persyi, a raczej w tym stosunku do spraw perskich, który zapewnia jeśli nie zupełną jednolitość działań obu rządów, to, przynajmniej, wzajemną skłonność do nieprzeszkadzania sobie. Ale i tutaj znowu Rosya zrzeka się fikcyjnych tylko korzyści, nie mając naturalnych interesów w Persyi południowej, zwłaszcza gdy okazały się bezowocnemi próby nawiązania bezpośrednich stosunków handlowych morzem. „Riecz“ zaznacza, że naturalne interesy Rosyi spoczywają w północnej Persyi i z tego powodu rzeczą jest wielkiej wagi, że akcya rosyjska w północnych prowincyach perskich liczyć odtąd będzie mogła, jeśli nie na poparcie, to w każdym razie na neutralność Anglii.

Włączenie Ispahanu do sfery wpływu rosyjskiego w Persyi i zrzeczenie się przez Anglię niektórych przywilejów, pozyskanych w traktacie z Tybetem, są to, zdaniem „Słowa“ petersbur-

skiego, ustępstwa, poczynione przez Anglię dzięki jej szczerej chęci usunięcia wszelkich nieporozumień. Odpowiedzią na to ze strony Rosyi jest uznanie Afganistanu za kraj, leżący po za sferą wpływu rosyjskiego, co „powinno przekonać Anglików o zupełnej szczerości Rosyi w jej dążeniu do nienaruszania rdzennych interesów angielskich.“

I większość organów angielskiej opinii publicznej ocenia traktat, zawarty z Rosyą dość przychylnie.

Zdaniem „Timesa“ wątpić nie należy, że rząd rosyjski zdecydowany jest spełnić nową umowę, zarówno co do jej brzmienia, jak i co do jej ducha. Rosya kosztem smutnych doświadczeń, nabytych w ostatnich czasach, doszła niewątpliwie do świadomości, że w Azyi obudziły się nowe siły, z któremi w przyszłości liczyć się będą musieli coraz poważniej ci wszyscy, co mają jakiekolwiek interesy na tym olbrzymim kontynencie. Dla Anglii zaś to przedewszystkiem stanowi niemałą korzyść, że stanowisko Rosyi w środkowej Azyi ściśle zostało określone. Usunięcie antagonizmu w Azyi wytworzy serdeczniejsze stosunki na całym świecie, posłuży do przywrócenia równowagi pomiędzy europejskiemi mocarstwami, zachwianej zawikłaniami Rosyi w Azyi i wzmocni w ten sposób gwarancye pokoju powszechnego.

Radykalny „Morning Leader“ stwierdza przedewszystkiem z zadowoleniem, że traktat nie zawiera niczego, coby krępować mogło naród rosyjski w jego walce z reakcyjnym rządem. Co się tyczy samego traktatu, to wzmiankowany dziennik upatruje największą jego korzyść w umowie w sprawie Tybetu, która kładzie kres stanowczy fatalnej polityce bezustannych zaborów w Azyi środkowej. Uznanie Anglii, jako państwa posiadającego zwierzchnictwo nad Afganistanem, zmusi wreszcie do milczenia niepokojące wieści o położeniu na północno-zachodniem pograniczu Indyi. Najtrudniejszą do rozwiązania jest kwestya perska. Rosya odcięta wskutek zwycięstw japońskich od mórz, wolnych przez rok cały od lodu, szukała ujścia dla swego handlu nad zatoką perską. Traktat ustanawia jednak neutralność tego wybrzeża. Natomiast na północ i południe tego wybrzeża utworzono sfery wpływów. Anglia, usuwając się z północnej i wschodniej części terytoryum, położonego nad wybrzeżem, unika bezpośredniego niebezpieczeństwa zatargu z Niemcami w sprawie kolei żelaznej przez Mezopotamię. W sprawie drogi lądowej Berlin i Petersburg będą się musiały porozumieć z sułtanem. W końcu jednak swych wywodów dziennik radykalny wyraża pewne wątpliwości, czy właśnie obecna chwila nadawała się do zawierania traktatu z Rosyą.

Ze stanowczem potępieniem całego traktatu wystąpiła śród wpływowych dzienników angielskich, jedna tylko liberalna „Daily News," która oświadcza, że daremnie szukanoby wyjaśnienia, mogącego pogodzić traktat z zasadami liberalnej polityki zagranicznej. Ogłasza się niezależność Persyi, a jednocześnie rozczłonkowywa się ją na trzy sfery wpływu. Traktat mówi o równouprawnieniu handlowem wszystkich państw, a ustanawia monopol rosyjski w dwóch trzecich częściach Persyi. Mówi o pokojowym rozwoju Persyi, a równocześnie przewiduje nadzór Rosyi i Anglii nad perskimi dochodami państwowymi. Gdy w sprawie Afganistanu wyraźnie jest zastrzeżone, że Anglii nie wolno się mieszać do wewnętrznego zarządu tego kraju, zastrzeżenia takiego nie ma ani co do Rosyi ani co do Anglii w umowie, dotyczącej Persyi. Otwiera to narozcież wrota wszelkiej interwencyi. Gdyby nawet traktat był korzystny dla interesów angielskich, a takim nie jest on bynajmniej, to przyznanie Rosyi całej prawie Persyi, jako sfery jej wpływu, ściągnąć musi na liberalne stronnictwo angielskie zarzut, że sprzeniewierzyło się swym sympatyom do narodu, dobijającego się wolności. Anglia obrała chwilę, w której w Persyi tryumfuje ruch liberalny i narodowy, aby wydać ten kraj w ręce najbardziej reakcyjnej potęgi europejskiej. Trudno też dopatrzyć się korzyści, jakie osiągnęła Anglia. Skrawek terytoryum perskiego, uznany jako sfera wpływu angielskiego, jest piaszczysty i mało zaludniony. W Afganistanie nie osiągnięto nawet angielskiego monopolu handlowego, w Tybecie zaś rosyjscy budyści w dalszym ciągu udawać się mogą do Lhassy i wzmacniać tam wpływ rosyjski. „Pomimo to wszystko—pisze w dalszym toku swych wywodów „Daily News"—spotykamy się z twierdzeniem, że zyskał pokój świata. Słuszność tego twierdzenia zależy od tego, co rozumiemy pod wyrazem „świat." Gdy armie rosyjskie wtargną do Persyi i gospodarzyć w niej będą ogniem i mieczem, jak to Francuzi czynią dzisiaj w Maroku, wówczas o pokoju nie będzie już mowy. Podejrzewamy też, że ci, którzy pod tym względem mówią o pokoju, mają całkiem co innego na oku. Sądzą oni, że przywróciliśmy wpływ Rosyi w koncercie mocarstw europejskich. W innych słowach: za pomocą najpierw francuskiego, a następnie rosyjskiego traktatu, wytworzyliśmy w tym koncercie kombinacyę polityczną, wymierzoną przeciw innemu mocarstwu, które często spotykamy na naszej drodze. Aby cel ten osiągnąć, zapłaciliśmy wysoką bardzo cenę w Azyi. Kwestyą jest jednak całkiem inną, czy wpływ ten, który przywróciliśmy, będzie wpływem liberalnym. Wątpimy bardzo, czy wzmo-

cnić możemy rząd rosyjski wobec zagranicy, nie popierając przytem bezwiednie reakcyi we wnętrzu kraju."

Tyle „Daily News." Sformułowane przez ten dziennik zarzuty i wyrażenie obawy, są po części słuszne. Zważyć jednak należy, że każdy traktat jest wynikiem kompromisów i wzajemnych ustępstw. Dziennik liberalny widzi jedynie ustępstwa Anglii, a zamyka oczy na poważne bardzo korzyści, przez nią osiągnięte. Zresztą krytyka „Daily News," jest w liberalnej prasie angielskiej głosem odosobnionym. Większość tej prasy, chociaż naturalnie nie żywi zbyt gorącego zapału do „reakcyjnego rządu," upatruje jednak w traktacie, świeżo z nim zawartym, nowy tryumf dyplomacyi angielskiej, a tem samem i obecnego liberalnego rządu angielskiego. Zapewne, że pewnemi obawami napełnia ją dalszy los Persyi, który to kraj wkracza obecnie w erę urządzeń i swobód konstytucyjnych. Ale polityka angielska nie rządziła się nigdy nadmiernym sentymentalizmem. Górował w niej zawsze zmysł praktyczny, wzgląd na interes własnego kraju, przestrzegany w Anglii tak samo przez liberalne jak i przez zachowawcze stronnictwa.

Z niemałem zadowoleniem wita oczywiście traktat angielsko-rosyjski ogromna większość francuskiej opinii publicznej. „Jest to wypadkiem nadzwyczaj pomyślnym dla Francyi—pisze najpoważniejszy w sprawach politycznych organ francuski, „Temps,"— że jej porozumienie z Anglią, uważane przez wielu jako niedające się pogodzić z sobą, otrzymuje obecnie swe zatwierdzenie przez bezpośrednie porozumienie pomiędzy Londynem a Petersburgiem. Dzięki temu porozumieniu wzmocni się nasza powaga przy obronie praw naszych i interesów, których poświęcić nie możemy bez zrzeczenia się naszej godności, bez osłabienia naszego bezpieczeństwa."

Zwrot o obronie praw i interesów francuskich jest dość enigmatyczny. Niewiadomo, czy chodzi tutaj wyłącznie o interesy francuskie w Maroku, lub wchodzi także w grę Alzacya i Lotaryngia. W każdym jednak razie traktat ten zawarty pomiędzy jej sprzymierzeńcami i jej przyjacielem wzmacnia znacznie pozycyę, a tem samem i bezpieczeństwo Francyi.

Wyjątek stanowią jedynie pisma nacyonalistyczne, rządzące się tradycyjną niechęcią do Anglii, jako „dziedzicznego wroga" Francyi. Polemizując z niemi „Temps" pisze co następuje:

„Współzawodnictwo Anglii i Rosyi od pół wieku było stale wyzyskiwane przez Niemcy i stale przeciwko Francyi. Od wojny krymskiej do wojny r. 1870 śledzić można dyplomacyę bismar-

kowską w pracy subtelnej, której padliśmy ofiarą. Jeżeli usiłowania Thiersa w celu zainteresowania Europy naszym losem spełzły na niczem, to jedynie z tego powodu, że pod wpływem Bismarcka Rosya i Anglia nie przestawały dążyć do przeciwnych celów. Trzeba było olbrzymiego wzrostu potęgi niemieckiej, aby podczas zatargu w r. 1875 zjednoczyć dwóch tych dziedzicznych wrogów po naszej stronie. Ale i to zjednoczenie było przejściowe tylko. Francya, oparta jednocześnie na sprzymierzonej Rosyi i na zaprzyjaźnionej Anglii, których dawne zatargi zostały wyrównane, będzie posiadała w Europie moralną powagę, która uczyni z niej centrum przyciągające i wybawi ją od wielu zawikłań. Po za tem uprzytomnić sobie należy, że odkąd zawarcie umowy angielskiej nie ulegało już wątpliwości, postawa mocarstw, na które w innych czasach musieliśmy się uskarżać, zmieniła się na naszą korzyść. I twierdzić można z całą stanowczością, że nowe ogniwo w łańcuchu porozumień europejskich nie jest dla nas bezużyteczne. Wiemy dobrze, ile nas kosztowała polityka awantur, której wyrzeka się obecnie Rosya. I nie wiemy komu ona przyniosła korzyść, prócz Niemcom. Wystarcza to, aby nasz patryotyzm bez wszelkich zastrzeżeń potwierdził w stosunku do nas i do naszych sprzymierzeńców tę oryentacyę, jaką p. Izwolskij nadał dyplomacyi rosyjskiej.“

*

* *

Nie ulega kwestyi, że traktat angielsko-rosyjski zwraca się w ostatecznych swych wynikach przeciw Niemcom. Naturalnie przypuszczać można, że ani Anglia ani Rosya, nie miały, zawierając swą umowę, jakichkolwiek nieprzyjacielskich zamiarów wobec niemieckiego państwa. Owszem, pierwszym i głównym celem tej umowy jest wzmocnienie gwarancyi pokoju powszechnego przez wyrównanie przeciwieństw i nieporozumień azyatyckich. Niemcom więc, dopóki trzymać się będą polityki pokojowej, traktat angielsko-rosyjski nie zagraża najmniejszem niebezpieczeństwem. Niebezpieczną stać się może dla nich ta konwencya dopiero wtedy, gdy olbrzymia, a zwiększająca się pomimo to bezustannie ich potęga militarna wyładować się będzie chciała w odpowiednich czynach, zagrażać zacznie bezpośrednio pokojowi po-

wszechniemu. Do pewnego więc stopnia traktat angielsko-rosyjski stanowi hamulec, albo wyrażając się ściślej, jeden z hamulców dla wojowniczych zapędów Niemiec.

Czują to dobrze Niemcy i dla tego też spadkobierca tradycyj bismarkowskich „Hamburger Nachrichten," omawiając swojego czasu spotkanie Cesarza Rosyjskiego z Wilhelmem II w Swinemünde, oświadczyły, że wtedy jedynie spotkanie to napełniłoby Niemców pełną radością, gdyby przy tej sposobności powiodło się dyplomacyi niemieckiej zapobiedz porozumieniu pomiędzy Rosyą i Anglią.

Porozumienie to nastąpiło jednak i niemiecka opinia publiczna, stojąc wobec faktu dokonanego, czyni to, co czynić musi, nie chcąc się narazić na śmieszność i na szyderstwo swych przeciwników politycznych: *bonne mine à mauvais jeu*. Do tego stopnia naiwną nie jest, aby nie zdawała sobie dokładnie sprawy, przeciw komu zwraca się swem ostrzem, przynajmniej pośrednio, nowa ta umowa, pociesza się jednak przypuszczeniem, że traktat angielsko-rosyjski zawarty został z wiedzą rządu niemieckiego.

Swoją drogą prasa niemiecka ukryć nie umie niepokoju, jakim ją napełnia ta część traktatu, która dotyczy Persyi. Zrozumieć to łatwo. W Persyi zaangażowane są bardzo poważnie niemieckie interesy handlowe i wogóle niemieckie stosunki gospodarcze z tym krajem rozwijają się od pewnego czasu coraz pomyślniej. Rzecz prosta, że temu rozwojowi zagraża niemałem niebezpieczeństwem świeży podział Persyi na rosyjską i angielską sferę wpływu gospodarczego. Niebezpieczeństwo będzie oczywiście jeszcze większe, jeśli podział ekonomiczny zamieni się w podział polityczny.

Przewidując tę możliwość, pisze uchodząca za półurzędowy organ hr. Bülowa „Frankfurter Zeitung:"

„Gdyby rzeczywisty podział Persyi miał być następstwem nowej konwencyi i gdyby chciano podciąć nasze stosunki gospodarcze w tym kraju, to, co prawda, na razie zapobiedzbyśmy temu nie mogli., taki jednak rozwój wypadków z biedą przyczyniłby się do wzmocnienia pokoju wszechświatowego, który to pokój polityka angielska głosi z takim zapałem, jako cel swój wyłączny."

W podobnym duchu, jak „Frankfurter Ztg," omawia traktat angielsko-rysyjski cała prawie prasa niemiecka. Wszędzie prawie odzywają się obawy o interesy niemieckie w Persyi, zagrożone jakoby bardzo poważnie nową konwencyą. Tu i owdzie tyl-

ko, zwłaszcza w dziennikach półurzędowych, spotkać się można ze zdaniem, prawdopodobnie niezbyt szczerem, że traktat pomiędzy Anglią i Rosyą przyczyni się do wzmocnienia pokoju powszechnego.

*

* *

Zawarcie traktatu angielsko-rosyjskiego, zbliżenie się dwóch największych mocarstw, współzawodniczących z sobą tak energicznie i tak długo, jest samo w sobie wypadkiem politycznym pierwszorzędnej wagi. Kwestyą jednak jest najważniejszą, jakie będą dalsze jego następstwa. Pod tym zaś względem skazani jesteśmy wyłącznie na przypuszczenia, mniej lub więcej prawdopodobne. Jak ludzie, tak i traktaty nie są wieczne. Trwać mogą długie lata, ale z drugiej znów strony zmniejszyć może lub nawet unicestwić całe ich znaczenie każdej chwili wypadek nieprzewidziany i nie dający się przewidzieć, nowa konstelacya polityczna lub zatarg wojenny. Chodzi przedewszystkiem o to, czy traktat zawarty pomiędzy Anglią i Rosyą będzie pozbawionym poważniejszych następstw, epizodem tylko w polityce zagranicznej dwóch tych mocarstw, lub też zamieni się z czasem w pełne porozumienie obydwóch państw i obydwóch narodów.

Porozumienie takie wpłynąćby mogło niewątpliwie przynajmniej do pewnego stopnia i na ukształtowanie się wewnętrznych stosunków Rosyi, przyczynić się do wzmocnienia idei konstytucyonalizmu w tem państwie. Przykład demokratycznej i republikańskiej Francyi, która zawarła nietylko umowę ale i przymierze z państwem, rządzonem absolutnie, i trwa w tem przymierzu bez zmiany do dnia dzisiejszego, zdawałby się wprawdzie przemawiać za tem, że w stosunkach międzynarodowych ustrój danego państwa nie odgrywa żadnej zgoła roli, że mogą żyć z sobą w zgodzie a nawet w przyjaźni narody, rządzące się najodmienniejszymi, a nawet najsprzeczniejszymi systemami. Ale jest to dowód niezupełnie przekonywający. Francya znajdowała się w położeniu wyjątkowem. Pożerana chęcią odwetu za sromotne klęski, poniesione w ostatniej swej wojnie z Niemcami, a jednocześnie dręczona obawą, że wróg wzrastający z dniem niemal każdym na siłach, korzystając z pierwszej nadarzającej się sposobności

zadławić ją może do reszty, wybierać nie mogła pomiędzy sojusznikami, chwytać musiała skwapliwie każdą podaną sobie rękę. Później zaś umieściwszy olbrzymią część swego bogactwa narodowego w kraju swego sprzymierzeńca, związana z nim była więzami silniejszemi niż wszelkie względy natury czysto politycznej.

Inne całkiem jest położenie „królowej mórz," bronionej potężną swą flotą od wszelkiego nieprzyjacielskiego najazdu i zabezpieczonej nawet w azyatyckich swych posiadłościach nietylko własną swą armią ale i sojuszem, zawartym przed kilku laty z Japonią. Anglii nie zmuszała do traktatu z Rosyą żadna konieczność polityczna ani gospodarcza. Skłoniła ją do wyrzeczenia się dotychczasowej rywalizacyi z tem państwem przedewszystkiem dbałość o zabezpieczenie powszechnego pokoju.

Co się zaś tyczo Rosyi, to na razie traktat, zawarty z Anglią, wzmocnił jedynie moralnie i, jeśli się uwzględni pożyczkę, materyalnie pozycyę obecnego rządu, a tem samem osłabia, przynajmniej pośrednio, działalność i szanse opozycyi. Nie wyłącza to jednak możliwości a nawet prawdopodobieństwa, że z czasem bliższe stosunki z państwem, będącem klasyczną ojczyzną swobód politycznych i obywatelskich i rozwijającem się pomimo tych swobód czyli właśnie dzięki tym swobodom tak pomyślnie, wpłyną i na odpowiednią zmianę rosyjskich stosunków. Naturalnie nie może być mowy o bezpośrednim mieszaniu się Anglii do wewnętrznych spraw obcego państwa. Ale i bez wszelkiej interwencyi sam przykład moralny zdziałać może bardzo wiele.

Tem zdaje się też tłómaczyć fakt, na pierwszy rzut oka mało zrozumiały, że nawet liberalna prasa rosyjska powitała bardzo przychylnie ten traktat, oznaczający niewątpliwy sukces reakcyjnego rządu i wzmacniający tak bardzo jego pozycyę nietylko wobec zagranicy, ale i w stosunkach wewnętrznych.

*

* *

Tradycyjna walka „niedźwiedzia" z „wielorybem" uległa przerwie. „Niedźwiedź" i „wieloryb" postanowiły odtąd żyć w zgodzie, być może, nawet w przyjaźni. Przyszłość okaże, czy zgoda ta będzie trwałą, czy dwaj rywale zawarli jedynie zawie-

szenie broni, lub pokój na daleką metę. Pesymiści twierdzą, że traktat, zawarty pomiędzy Anglią i Rosyą odracza jedynie zbrojne rozstrzygnięcie zatargu pomiędzy temi dwoma mocarstwami, które nastąpić musi prędzej czy później z koniecznością nieuniknioną. Nie brak jednak głosów przeciwnych, polityków, upatrujących w nowej konwencyi rękojmię trwałego pokoju pomiędzy dwoma współzawodnikami, których antagonizm uchodził do niedawna za niewzruszony aksiomat polityczny.

Kazimierz Puffke.

OSKAR WILDE,

jako liryk.

Wilde był w sztuce większym moralistą niż artystą, a w życiu większym artystą, niż zwolennikiem i wykonawcą etycznych zasad, może nawet tak dalece artystą, że na etykę w jego pojęciu życia nie zostało miejsca, choć taki sąd, wobec panujących o nim opinij, może się wydać paradoksalnym. Wilde'a znamy przeważnie z powieści i ze sceny—i tam, bawieni jego paradoksalnym sposobem przedstawienia rzeczy najprawdziwszych, zapominamy zupełnie, że poza Wildem, prowadzącym dowcipną rozmowę w salonie, niema właściwie nic więcej, że artyzmu w nim darmo szukać. [1]) Nie widzimy, że sztuki jego są przeważnie farsami, opartemi na bardzo nieprawdopodobnych podstawach i założeniach, że akcya składa się jedynie z zewnętrznych, znów często niemożliwych realnie, konfliktów,—nie spostrzegamy, że powieści przytykają często aż nadto blizko do t. zw. kryminalnego romansu—a tym niemiłym przysmakiem trąci nawet i najlepsza Wilde'owska powieść: „Portret Doryana Gray'a.“ Równocześnie zaś nie widzimy, że Wilde prawie wszędzie daje nam naukę moralną—i to nie wyszukaną, nie paradoksalną, ale najprostszą, ewangeliczną niemal, jak: że krzywdy zadane drugim mszczą się, lub że pozory łudzą. Ale wszystko to przesłania gaza mieniącego się barwami pustej bańki mydlanej Wilde'owskiego stylu,—a że lekki, dowcipny styl (cóż dopiero paradoksy,

[1]) Wyjątek pod tym względem stanowi może jedynie sławna „Salome,“ ale i tej sztuce jego przeciwnicy zarzucają nadużywanie efektów scenicznych na niekorzyść prawdziwego estetycznego smaku.

w których się można łatwo wyćwiczyć i produkować dalej) jest zawsze chętnie widziany, Wilde wszedł w europejską modę i to, jako artysta.

Niemało przyczyniło się do tego sukcesu literackiego „skandaliczne życie“ poety. Zapiski stenograficzne z jego procesu sprzedają się po niebywałych cenach, jak i wogóle jego dzieła, zrobiono z niego ofiarę towarzystwa londyńskiego i t. d. A przecież to życie, jeżeli było nawet złem, jest jedynem prawem Wilde'a do pozostania w pamięci — życie, nie w znaczeniu kryminalnych przestępstw, których się podobno dopuszczał, ale życie, jako obraz zewnętrzny wewnętrznych przejść, pragnień i pożądań, tęsknot i cierpień. Aby zrozumieć i poznać Wilde'a naprawdę, trzeba zaglądnąć do jego poezyi lirycznej. Stosować się to może do wszystkich poetów, do Wilde'a stosuje się to tem więcej, że on rzeczy tych do druku, zdaje się, nie przeznaczał.

Zdarza się nieraz przy takiem zwróceniu się do poezyi lirycznej, jako do źródła poznania duszy autora, że postać jego okazuje się o wiele sympatyczniejszą, niż się wydawała na zewnątrz. O Wilde'zie powiedzieć tego nie można—jego duchowa postać nie mogła być sympatyczną, głębia duszy nie była piękna spokojem. Wilde jest wykwitem przerafinowania kultury europejskiej—wszystko w nim chore i zepsute; wszelkie piękno, które istnieje, nie wystarcza mu, on chce jeszcze więcej, czegoś nadzwyczajnego, czegoś nieprzeżytego nigdy, wiecznie nowego; a ponieważ dostać tego nie może, więc wszystko, co go otacza, przemienia, przekręca, psuje i to go dopiero potrafi zająć, może zabawić, nigdy zachwycić. Jest to dzisiejsza dążność „Umwestung der Werte,“ z gruntu Nietzsche'ańskiej filozofii przeniesiona w życie, bez żadnego poprzedniego rozmysłu,—a wynikła z chorej, przerafinowanej, nie znającej miary nigdzie i nigdy duszy.

Już paradoksy w powieściach i sztukach są dowodem tej chorobliwości natury Wilde'a, one doskonale odźwierciadlają nastrój duszy, która każdą t. zw. prawdę potrafi odrazu przekręcić i w ten sposób stworzyć drugą prawdę, zabawną swoją niezwykłością w porównaniu do pierwszej. W lirykach mamy to znacznie prościej oddane, jakby mimowoli. Zarazem wiersze te są dowodem, że Wilde właściwie artystą nie był. Pisanie i tworzenie było dla niego tylko jedną z przyjemności, pisał, jak mu przyszło „od ręki,“ na opracowanie nie wysilał się, stąd wszystko to, co pisał, jest raczej nieskończone i niewykończone. Form, w tym rozkwicie literackiej formy, bardzo niewiele, — obrazy tłoczą się, jedne za drugiemi, chaotycznie, tak jak mu je podsuwała rozognio-

na fantazya, sonetom brakuje zaokrąglenia, skupienia myśli; wszystko to wygląda na rzucane od niechcenia ołówkiem improwizacye, czasem nawet notatki.

Ale od formy przejdźmy do treści. W amerykańskiem wydaniu jego utworów, które mam przed sobą, umieszczono na początku i końcu dwa wiersze, które zawierają w sobie całego Wilde'a: pierwszy człowieka, drugi artystę. „Helas! — woła poeta w tytule.—Niestety!“ To skarga na życie, na los, na samego siebie. „Zdaje mi się, że życie moje jest dwa razy zapisanym skrawkiem, na którym nabazgrano w jakieś młodzieńcze święto głupie piosnki na fujarkę i virelaye, i te zakrywają i plamią tajemną treść całości.“ Czyż to nie znakomita autodefinicya? Czyż tej „tajemnej treści“ owego skrawka, tej „starożytnej wiedzy i surowej powagi,“ jak ją określił w poprzedniej zwrotce, nie można dostrzedz zupełnie wyraźnie w owym głębszym moralizatorskim podkładzie Wilde'owskich utworów, czyż jej nie można odczuć we wspomnieniach o twarzy Chrystusowej w innych wierszach? Ale ukarany został utratą tego „dziedzictwa duszy“ za to, że „ledwie dotknął ustami miodowej słodyczy miłości.“ A jednak zmniejsza on tu swoją winę, jeżeli to za winę może być poczytane. W owym drugim wierszu: „ΓΑΥΚΥΠΙΚΡΟΣ ΕΡΟΣ“ spowiada się przecież tak szczerze: „Dokonałem wyboru, przeżywałem własne poematа— i chociaż młodość zeszła na marnych dniach, uznałem wieniec mirtowy kochanka za lepszy od laurowego wieńca poety.“ I w tem leży urok Wilde'a: on chciał z życia stworzyć poemat lub raczej poemat zamienić w życie — i często jego liryki można uważać raczej za sny, za marzenia, które rzucał dla pamięci na papier, jako plany, według których miał budować życie.

Bo też do życia przywiązany był, jak tylko mógł być przywiązany Grek z czasów Homera lub „sceptyk do kwadratu“ z XX wieku. Przed śmiercią doznaje nie uczucia lęku, ale wstrętu: „W grobie niema rozkoszy, bo robaki tam się żywią na korzeniach — i Pożądanie rozpada się w popioły, a drzewo Namiętności nie wydaje żadnych owoców.“ I z radością ogromną, z okrzykiem, w którym przebija się cała jego instynktowa nienawiść do tej śmierci, która w najlepszym razie przedstawia mu się, jako bezkwietne pola Disa, chwyta się panteizmu i woła w jakąś noc upojenia do kochanki, że: „nic w naturze nie ginie, wszystko żyje na przekór śmierci“ — i w swojej chorobliwej fantazyi snuje obrazy, że: „ten gorący płomień, którym palą się nasze ciała, kiedyś każe łąkom mienić się asfodelami, a Twoje srebrne piersi zamienią się w lilie wodne,“ że: „Twoje karminowe usta wyrosną w różę, a Twoje ła-

godne oczy wykwitną niebieskimi dzwonkami, przymglonymi rosą.“ I ta wiara w owo „wspaniałe życie po śmierci w zwierzęciu i ptaku i kwiecie“ powoli staje się jakąś metafizyką miłości: piękno w przyrodzie — to nie jest odbicie piękna w życiu czyli miłości, ale jest niejako wynikiem, kontynuacyą tej miłości w przyrodzie, jak cała przyroda jest tylko dalszą formą człowieka, (który, jakto panteistycznie Wilde wcześniej zaznacza, wyszedł z niej również). „Ach! gdybyśmy się nie kochali wcale, kto wie, czy ten asfódel wabiłby w swój złocony kielich pszczoły lub czyby róża obwieszała swoje drzewko karminowemi lampkami? Zdaje mi się, że nawet pączka liścia nie byłoby na wiosnę, gdyby nie było warg kochanka, które całują, warg poety, które śpiewają“ („Panthea“).

To fantasmagoryczne połączenie i zlanie w jedność miłości i piękna w przyrodzie, ze stanowczą supremacyą miłości indywidualnej, zmysłowej, która jest spiritus movens wszystkiego, istotą wszechrzeczy, — doskonale charakteryzuje Wilde'a, dla którego wogóle sztuka wytwarza piękno w naturze, jak to on tłómaczy w „Dyalogu o zaniku kłamstwa.“ To połączenie wskazuje zarazem środki, którymi poeta chciał uczynić życie swoje pięknem. A środki te są jakby zaczerpnięte z głębi dawnej duszy greckiej, środki, które muszą przynieść taką pełnię życia, jaką oddychał Parys lub Helena, bogi i półbogi greckie. I innego życia nie rozumiał, a dzisiejsze męczyło go boleśnie i kazało szukać wyzwolenia. W poemaciku „Athanasia,“ opowiadając legendę o roślince, znalezionej w dłoni dziewczęcej mumii egipskiej, która wykwitła jasno i ma kwitnąć wieczyście, poeta z zazdrością mówi, że „nie czuła nigdy zanikania, ale zbierała życie z czystego światła słońca i przepysznego powietrza“ i że „nie znała nigdy pragnienia śmierci,“ gdy tymczasem my, ludzie, żyjący pod „niszczącą władzą Czasu...“ „idziemy ku śmierci z tańcem i muzyką fujarek i nie wrócilibyśmy za nic za bramę z kości słoniowej, podobni do jakiejś posępnej rzeki, która znużona swoim biegiem przez nudne równiny, pośród mieszkań zwykłych ludzi, skacze jak kochanek w straszne morze! i nawet za szczęście poczytujemy umierać tak chwalebnie.“ O tem uczuciu żalu nad życiem nędznem, bo stworzonem dla śmiertelnych, uczuciu, w którem niema nic z prawdziwego Weltschmerzu, gdyż płynie ono z czysto egoistycznych pragnień, o tem uczuciu, które każe mu się zwracać do wstrętnej śmierci, stara się on zapomnieć w oddaniu się miłości i przyrodzie.

Ale, jak pierwsza prowadziła podobno do karygodnych wybryków erotycznych, tak druga nie jest tą szczerą, prawdziwą przyrodą, w której szukali ukojenia romantycy, Byron czy Sło-

wacki—jest sztuczną, stylizowaną. Obrazy jego nie mają plastyki, są to raczej barwne plamy, natłoczone mnóstwo kwiatów, zawsze jednych i tych samych, kwiatów, w których Wilde dopatruje się czegoś mistycznego lub niezwykłego: więc złote asfodele i białe narcyzy, i karminowe róże, i dzwonki błękitne, i lilie wodne, i krokusy, jak „drżący ognisty księżyc, opasany kręgiem ametystowego pierścienia," a na to tło bezładnie sypanych kwiatów— rzuca Wilde „tęczowo mieniącą się szyję i srebrną pierś gołębią" lub słowika o drgającem falistą linią gardziołku. Mimowoli przypominają się obrazy prerafaelickie ze swoimi fryzami i ornamentami z lilii i róż — niedarmo wczytywał i wpatrywał się Wilde w tego, co „nosił imię od Dantego i Serafa Gabryela wzięte" („Ogród Erosa"). Czasem w przyrodzie szuka Boga i nawet zupełnie szczerze, bo najwyższe bóstwo pojmował on jako piękno, czasem znowu prawie przedrwiwa tę swoją chęć znalezienia świętości w naturze, porównywając jakiś krajobraz, jakąś leśną polankę w noc księżycową, przesyconą szumem wiatru, z papieską mszą w Rzymie, i przeprowadzając to porównanie przez kilkanaście szczegółów (w początkowych zwrotkach „Pieśni Itysa").

A na każdy ze swoich krajobrazów rzuca Wilde jakąś scenę z podań i mytów greckich, w których jest zakochany. Poprostu wżywa się w tę fantastyczną historyę greckiego Olimpu, bogiń, nimf, dryad. Bo też na życie patrzy jak Grek, raczej jak grecki półbóg i ma te same ideały, co miał ten świat radości zmysłów: tylko „przyszedł już zapóźno"—skarży się w „Panthea." W „Humanitad" streszcza swój życiowy pogląd bardzo jasno: „Uczynić Ciało i Ducha jednością z wszystkiem pięknem i dobrem na świecie, bo nic napróżno nie żyje od poranku do południa," a dusza niech patrzy spokojnie na walkę rzeczy, wiedząc, że „przez łańcuch przyczynowości wszystkie osobne byty wiążą się w jedną wyższą całość..." „taki byłby rząd życia w najszczęśliwszym wszechbycie, przez który rozumowy intellekt mógłby znaleźć swój wyraz w namiętności, a zmysł, sam w sobie podły, mógłby użyczyć ognia duszy i łącząc się w harmonii, więcej mistycznej niż ta, która więzi planety i gwiazdy, tworzyć ze swoich różnych tonów jeden skończony akkord." Tak, ale to było możliwe tylko wtedy, „gdy świat był młody," „gdy dusza i ciało zdawały się stapiać w mistycznych symfoniach."

I Wilde zapragnął żyć tak, jak żył ten „młody świat." Ale była to nieziszczalna mrzonka, więc by się jaknajwięcej zbliżyć do swego ideału, przejmował się tem, co pozostało z greckiego życia: historyą jego, a jeszcze więcej sztuką i mitologią. Widać

z jego wspomnień z podróży do Grecyi, jak drogą była mu ta ziemia. W „Impression du voyage“[1]) cały sonet zmierza do ostatniego wiersza: „Stanąłem na ziemi greckiej — nareszcie!“ jest to może jedyne tak silne zakończenie sonetu, — a na „Santa Decca“ marzy mu się, że może przecież wśród poruszających się liści krzewów ukaże się jakiś dawny bóg. Trzej wielcy tragicy greccy ukazują mu się, jak „wizya“ („A Vision“). Właściwie sonet ten wypełnia postać Euripidesa, który tak umiał malować silne namiętności, a w którym Wilde zdawał się widzieć najbliżej pokrewnego sobie ducha; jest to postać rysowana z miłością, z głębią bólu w oczach i ustach. A wreszcie ten świat fantazyi greckiej stał mu się tak blizki, że pisząc np. serenadę, wyobraża ją sobie, jako pieśń Parysa przy uprowadzaniu Heleny, że ku uczczeniu kochanki nie może znaleźć nic godniejszego jak nazwanie jej „nową Heleną,“ że pragnie mieć za kochankę Venus „z tej małej melijskiej wioski.“ „O! — woła w „Pieśni Itysa“ — żeby jakiś starożytny posąg obudzić się mógł na jedną godzinę dla namiętności“ lub żeby przynajmniej florencką „Noc“ Michała Anioła można było odczarować „z jej głuchej rozpaczy i tę potężną pierś uczynić własnem łożem.“ A najdłuższy z jego poematów w tym zbiorku: „Charmides“ jest napisany wprost pod przymusem fantazyi poety, która stara się urzeczywistnić swoje sny, a nie mogąc w inny sposób, przynajmniej obleka je w słowa. Jestto historya młodego pachołęcia, które rozkochane w Atenie, w noc zakrada się do świątyni i tam zdarłszy szaty z posągu, pieści i całuje go całą noc, a rankiem uciekłszy w sitowie, leży tam kilka dni, uważane przez pasterzy za boga i rzuca się potem z łódki w morze, gdy mu się ukazało widmo Ateny. Nereidy wynoszą jego ciało na brzeg, gdzie jedna z dryad, zakochana w nim, próżno go chce obudzić ku rozkoszy. Zabita przez czystą Dyanę łączy się z Charmidesem w podziemiu na wieczne szczęście. Sens tej opowieści niejasny i zdaje mi się, że jej inaczej, jak bezładnego opracowania marzeń rozbujałej fantazyi na tle bujnego życia greckiego, traktować nie można.

Aż wreszcie te myty stały się tak treścią jego duszy, że łączył je nawet z tem, co było ich zupełnem zaprzeczeniem, tak, że już samo to połączenie u kogo innego, niż u Wilde'a, mogłoby się wydać profanacyą; łączył je, jeżeli nie z kultem, to z zachwytem i podziwem dla Matki Boskiej. Jak dziwacznie wygląda zestawie-

[1]) Tytuły wierszy są często w języku francuskim.

nie Zwiastowania z mytami greckimi! Stojąc przed jakimś obrazem włoskim w sonecie: „Ave Maria plena gratia“ spowiada się ze zdziwieniem, że spełnienie największej tajemnicy miłości wyobrażał sobie nie jako:

„Dziewczę z beznamiętną twarzą,
Obok niej Anioł z kwieciem lilii białem,
Nad nimi drżąca zwisła gołębica,“

(*Przekład Kasprowicza.*)

ale raczej jako złocisty deszcz Zeusa na łoże Danai lub ogień, który spalił „białe członki Semeli.“ „I to było przyjście Jego!“ woła zdumiony. Ale z tego zestawienia, które mogłoby być przykrem, gdyby nie płynęło z najgłębszych warstw duszy Wilde'a, widać doskonale, że to jego t. zw. zepsucie moralne miało swoje źródło jedynie w przerafinowaniu, w chorobliwej pogoni za pięknem w życiu. On tak samo lgnął do Matki Bożej, do duchowego ideału piękna, jak marzył o cielesnem pięknie Afrodyty i stawiał je zupełnie na równi: „Ach! — mówi do kochanki w „Glykypikros Eros“ — cóż innego miałem czynić, jak tylko kochać cię? Sama Matka Boża była mi mniej drogą i mniej drogą była mi Cytherea, powstająca jak srebrna lilia z morza.“ A nie jest to żadna ironia. Ku Matce Boskiej pociągało go mistyczne piękno czystości. Malując w „Madonna mia,“ obraz Jej z „bladymi policzkami, na których miłość nie zostawiła żadnej plamy,“ woła, że „nie odważy się nawet całować Jej stóp,“ — a w „San Miniato,“ stojąc przed obrazem Fra Angelo, przejęty przerażeniem z powodu swoich grzechów, przerażeniem, budzącem się na widok Matki Bożej „ukoronowanej cierniami i męką,“ wyrzeka się swego życia, które mu przyniosło przesyt i oddaje się Jej w opiekę, zanim „piekące słońce — prosi jakby w przeczuciu przyszłych losów — pokaże światu moją winę i wstyd.“ I znów zupełnie szczerze oświadcza, że „gdyby mógł zobaczyć tylko Jej twarz, śmierć nie mogłaby przyjść za wcześnie.“ I ten wielki mistyczny ból matki Chrystusowej, który go przerażał, a zarazem dodawał otuchy, że Ona go zrozumie i przyjmie, — będzie długo tkwić w jego duszy i kiedy przesyt zacznie być coraz większym, wspomnienie tych zachwytów, do których już stał się niezdolny, tak go będzie bolało, że odwróci się od Niej, od „Tej, która z miłości nie zyskała radosnej rozkoszy, lecz tylko miłości nieznośną mękę, tylko miecz, co przeszył serce, tylko gorzki ból rodzenia.“ Ale i w tych słowach niema ironii: one są tylko odruchem myśli i uczucia, które w chwili największe-

go upojenia zmysłów („The new Helen“—wiersz ku wymarzonéj, cudownie pięknej kochance) przywiodły mu na pamięć bolesną głowę z San Miniato, odruchem, który świadczy o wrażliwości poety na wszelkie wielkie piękno.

*

* *

Te zachwyty nad czystością Matki Bożej są częścią jego wrażeń z podróży włoskiej. Wogóle sonety z tego okresu są może najciekawszymi utworami Wilde'a. Inaczej, niż na grecką, patrzy na włoską ziemię, tak samo klasyczną i piękną—zbliża się do niej z myślą, skierowaną w jednym jedynym kierunku: religii. To też przez wszystkie utwory przewija się ciągle nić refleksyi nad swoim stosunkiem do Chrystusa i do Kościoła. Chrystus przemawia do niego silnie swoją męką, bólem i nędzą — a to na mocy tego samego prawa kontrastu, jakim zachwycała go czystość Najśw. Panny i tego samego prawa o wielkiem pięknie. Zresztą sam o tem mówi zupełnie wyraźnie w „Sonecie, pisanym w Wielkim tygodniu w Genui.“ Na tło wiosennego, włoskiego krajobrazu, osypanego białemi kwiatami, obramowanego błękitno-złotą falą, rzuca Wilde postać młodego kleryka, śpiewającego pieśń o pasyi. „O Boże, Boże! — woła wtedy — te drogie *helleńskie* godziny zamazały wszelką pamięć Twojej gorzkiej męki, Krzyża, Korony, Żołnierzy i Włóczni.“ To jest najszczersze mimowolne ujęcie treści swego życia. A w innym sonecie: „W dzień Wielkiejnocy,“ znów na widok przepysznej, watykańskiej procesyi przypomina sobie tak przeciwne temu widokowi słowa: „Lisy mają jaskinie i każdy ptak swe gniazdo — tylko Ja muszę się błąkać znużony“ —, a przez to wspomnienie przemawia prawdziwy żal nad nędzą Chrystusa, ale żal w którym niema wcale mistycznego pierwiastku, a jest tylko współczucie dla cierpień Chrystusa, jako człowieka. Do niego, który chciał być człowiekiem w najpełniejszem znaczeniu tego słowa, Bóg musiał przemawiać więcej swoją stroną ludzką, niż boską. Najwyraźniej widać to w sonecie: „Po wysłuchaniu Dies irae w kaplicy sykstyńskiej.“ Nie! — woła on tam — nie potęgi Bożej obraz, „nie pioruny i czerwony płomień mówią mi o Tobie.“ On woli go szukać w przyrodzie. „Białe lilie, ciemne sady oliwne i białe gołąbki więcej mi mówią o Twojej miłości i życiu...“

„Purpurowe wina przypominają mi Ciebie, a ptak, co wieczorem leci do gniazda, mówi o Tym, co nie miał gdzie głowy złożyć.“

A kończy się ten sonet dziwnie: jakiemś wezwaniem do Chrystusa, by przyszedł dokonać zbioru, na który „czekaliśmy tak długo.“ Nastroje religijne, w których żył przez cały czas podróży, albo raczej które w nim wtedy górowały, wydały swój owoc. Wilde zaczyna się powoli przejmować myślą pokuty. W ostatniej części: „Rome unvisited,“ utworu, zdaje się, pisanego na drodze do Rzymu, zapowiada, że nim nadejdzie jesień, „będzie mógł rozpocząć drogę chwalebną i chwycić pochodnię jeszcze płonącą i wołać ku świętemu imieniu Tego, który teraz kryje swoją twarz“— w „San Miniato“ oddaje się w opiekę Matce Boskiej, ale najsilniej ten pokutny nastrój przebija się w sonecie: „E Tenebris.“ Skrucha w tym wierszu tak szczera i naiwna, że aż dziwno spotkać ją w człowieku z końca XIX wieku. Temu uczuciu odpowiada takaż wiara silna, że jeszcze przed wieczorem ujrzy Chrystusa — a charakterystycznem jest, że Wilde'owi nie przedstawia się sama postać Zbawiciela, jak ją malują Ewangelie, ale zdjęta z kart Apokalipsy („zobaczę nogi z mosiądzu i szaty bielsze nad ogień“), chociaż zarazem widzi w niej i to, co do niego przemawiało najsilniej: „zranione ręce i *zmęczoną ludzką* twarz.“

To wspomnienie twarzy zostanie mu długo. W „Pieśni Itysa“ prosi słowika, by śpiewał głośniej, bo „wciąż jeszcze musi widzieć nędzną, bladą twarz opuszczonego Chrystusa... który teraz w marmurowej, niemej nędzy siedzi w swym oddalonym, zbezczeszczonym Domu i płacze, może z powodu mnie.“ Ale potem, gdy przesyt każe mu jeszcze więcej pragnąć radości życia, Wilde całe nieszczęście ujrzy w Chrystusowej etyce. „Tyś dla nas - mówi do Niego w „Humanitad,“ wypowiedziawszy swoje życiowe credo—Tyś dla nas, którzyśmy ciebie nie kochali, znosił mękę nieskończonych wieków, a my byliśmy tyle nieświadomi i głupi, żeśmy nie widzieli, iż przebijając Twoje serce, zabijaliśmy nasze własne serca.“ Lecz z tej refleksyi, że ludzkość umęczyła się sama w Chrystusie, że przez ukrzyżowanie Jego ugruntowała etykę cierpienia, Wilde przeskakuje do innej swojej ulubionej myśli, połączonej jednak tylko pozornie z poprzednią, że ludzkość jest Bogiem. I myśl ta jest dla niego ostatnią deską ratunku: „Tak, tak— kończy on ten najważniejszy utwór — my jesteśmy ukrzyżowani i chociaż krwawy pot spływa nam, jak krople deszczu, z czoła, gwoździe się osuwają, wiem o tem, że zstąpimy na dół, krwawe rany zasklepimy, będziemy znów całością i nie potrzebujemy

różdżki z hyzopem, bo to, co jest czysto ludzkiem, jest podobnem Bogu, jest Bogiem.“

Aby zrozumieć, dlaczego klasyczna Italia przemawiała do niego raczej mową Ziemi Świętej, trzeba zwrócić uwagę na drugi pierwiastek w tych utworach, na stosunek do Kościoła katolickiego. Aż wprost nie chce się wierzyć, że Anglik i protestant może z taką sympatyą mówić o papiestwie. Takiego oburzenia na Włochy, że wydarły papieżom państwo, oburzenia, które przed jego oczyma cały kraj przesłania mgłą smutku, jakgdyby do samego piękna ziemi czuł żal za tę krzywdę, trudno spotkać gdzieindziej. Może nawet nie znajdą się nigdzie takie słowa, żeby te jedne tylko zacytować: „O, piękna i silna! o, silna i piękna daremnie! Patrz ku południu, gdzie sprofanowane miasto Romy leży w żałobie nad jej Bożym pomazańcem-królem! Patrz ku niebu! Czyż Bóg ma na to pozwolić? O! jakiś Rafael opasany płomieniem zstąpi i wygna łupieżcę mieczem kary“ („Italia“ — sonet pisany w Wenecyi). A wzmianek takich jest kilka, zacząwszy od „sonetu, pisanego w czasie zbliżania się do Włoch“ (w Turynie), gdyż Wilde, jadąc ku Włochom, myśli ciągle o Rzymie i o uwięzionym tam następcy Piotrowym. Nic dziwnego, że to pojęcie Włoch, jako jakiegoś świętego kraju, należącego się prawnie namiestnikowi Chrystusowemu, wywołuje w nim owe religijno-pokutne nastroje. Pojęcie zaś to Włoch i swoją „nienawiść ku fladze czerwonej i białej i zielonej“ zawdzięcza Wilde chyba tylko z jednej strony tradycyom katolickim, w jakich wzrósł, będąc z pochodzenia Irlandczykiem, tradycyom, które go przed samą śmiercią skłoniły do przejścia na katolicyzm, z drugiej strony, może nawet więcej, swojej niechęci ku demagogii, a tem samem ku głównemu twórcy państwa włoskiego, którego musiał uważać za demagoga.

*

* *

Z tem wchodzimy w sferę polityczno-społecznych poglądów poety. Wierszy w tym zakresie kilka zaledwie. Owa niechęć do demagogii odrazu ciśnie się przed oczy, jako pierwszy charakterystyczny rys. W „Libertatis sacra fames“ przechyla się na stronę absolutyzmu, protestując przeciwko tym, którzy „zatykają czerwoną chorągiew na zamkniętej kupami kamieni ulicy, nie w imię

jakiejś słusznej sprawy," pod których „nieświadomem panowaniem giną Sztuki, Kultura, Cześć i Honor," — zostaje tylko „Zdrada ze sztyletem i Mord o cichych, krwawych stopach." W innym utworze, w „Sonecie do Wolności" woła, że wolność lubi on tylko dla „ryku jej Demokracyi, jej rządów Teroru, jej wielkich Anarchij, które odzwierciedlają moje namiętności, jak morze," ale dodaje w końcu: „A przecież, przecież ci Chrystusi, co umierają na barykadach... Bóg wie, że nieraz jestem z nimi." Jakby z pewnem zdziwieniem nad sobą i pewnem niedowierzaniem przyznaje się do tego, że przecież, przecież w głębi duszy jest on republikaninem. Ale czy ta wolność, za której wyznawcę chciał się uważać, była tą prawdziwą wolnością ludzką, do której my wciąż dążymy? Czyż to nie była raczej wolność „nadczłowieka," jeżeli tego wyrazu wolno użyć w tem jego banalnem, dzisiejszem znaczeniu, lub wolność członka „dziesięciu tysięcy?" Marzy mu się jakaś republikańska wolność Miltona, którego sobie obrał za mistrza i skarży się, patrząc na dzisiejszy stan Anglii w sonetach: „Do Miltona" i „Quantum mutata," że „Anglia, ten morski lew oceanów, jest wydzierżawiona przez głupich demagogów, którzy jej nie kochają" i że „przestaliśmy być dziedzicami Miltona."

To też nie mogąc się pogodzić ze stanem rzeczy, usuwa się od mieszania się w sferę polityczną, usuwa się (w sonecie: „Theoretikos") bardzo egoistycznie „w sny o sztuce i wyższej, szlachetniejszej kulturze, gdzie będzie stać zupełnie osobno, ni z Bogiem, ni z jego wrogami." I to stanowisko zajmował rzeczywiście, to była jego wolność — on nie mógł jej inaczej pojmować, jak tylko, jako bezwzględną swobodę i spokój zewnętrzny, jedynie z punktu czysto egoistycznego. Świat cały poza nim mało go obchodzi, — czasem tylko pobudzi go wieść o rzezi chrześcijan w Bułgaryi do gwałtownego wezwania Chrystusa na pomoc, jako „syna Boga i syna człowieka" lub podniesie się z protestem przeciw zaborczym wojnom Anglii, rozlewającym tyle krwi ludzkiej, niszczącym tyle szczęść domowych i w „Ave Imperatrix" kończy groźbą czy przepowiednią: „A gdy płomienna tkanina zostanie uprzędzona, jej strażnicy będą zdala wołać, że młoda Republika, jako słońce, powstaje z tych purpurowych mórz wojny." Ale sam wiersz niema siły, za dużo w nim sztucznych obrazów fantazyi i patosu niezbyt szczerego, aby oburzenie zdawało się płynąć naprawdę z głębin Wilde'owskiej duszy, aby zdawało się być jej stałym elementem. Niewątpliwie nędza umiała czasem do niego przemawiać, ale bodaj czy nie tylko w chwilach własnego przygnębienia. W „Impression du matin" na tle mglistego poranku, widzianego gdzieś

nad Tamizą, po wędrówkach całonocnych, może po tych zaułkach, tak opisywanych w „Portrecie Doryana Gray'a," maluje postać „bladej kobiety," która „sama jedna w blasku dnia, całującym jej wypłowiałe włosy, stała bezradnie pod płomykiem gazowej latarni, z płonącemi wargami i kamiennem sercem." Umieszczenie tej postaci w utworze, który miał być tylko obrazkiem, „wrażeniem," świadczy przecież, co ściągało na siebie uwagę Wilde'a. Rys to wyjątkowy, nie spotykany w innych utworach—wspomnieć o nim jednak trzeba dla całokształtu duchowego Wilde'a, o ile on się zaznacza w jego liryce.

Liryki Wilde'a mają przeważnie charakter osobisty — to też w zbiorku zostało tylko kilka wierszy, w których nic albo prawie nic niema tego osobistego pierwiastku. Jest tam „Chanson," delikatne ujęcie nastroju rozpaczy przez bardzo silne kontrasty symbolów i szczęścia kochanki i samobójczej śmierci kochanka, są przesadzone porównania i zachwyty nad pięknością ukochanej w „La bella donna della mia mente," jest wiersz z wyrazami szczerej sympatyi dla biednego księcia Lulu („Louis Napoleon"), na którego „niekoronowaną głowę" Francya włożyła „lepsze wawrzyny żołnierskiego wieńca," są dwa sonety nad grobami: Shelley'a, gdzie Wilde życzy sobie takiego grobu, jaki miał mieć Shelley, „rozbrzmiewających echem głębin" oceanu, gdzie „wysmukłe statki rozbijają się w mroku o rafy, wstrząsane falą" i Keatsa, ukochanego swego mistrza. Są wreszcie dwie ballady, normandzka i bretońska, tak doskonale oddające swoim mistycznym charakterem zamiłowanie Wilde'a ku nieświadomemu i potężnemu, i wiersz „W złotym pokoju. Harmonia" (A Harmony), gdzie poeta maluje tylko złotem, czerwienią i bielą i stara się z tych barw stworzyć wrażenie przepychu i upojenia nadziemskiego.

*

* *

Ale nadszedł czas, w którym Wilde miał pisać balladę o zupełnie innym nastroju i malować wręcz przeciwnymi kolorami. Jedynym utworem poetycznym, jaki wyszedł z pod jego pióra po opuszczeniu więzienia, jest „Ballada o więzieniu w Reading" („The Ballad of Reading gaol"). Poemat ten, najpiękniejszy z całej literackiej spuścizny Wilde'a, wykwitł na gruncie tego samego cha-

rakteru poety, który widzieliśmy w jego lirykach przedwięziennych. A był to, jeżeli mówić o charakterze, charakter bardzo słaby. Wyrok, który go skazywał na dwa lata życia, tak pod każdym najmniejszym względem odmiennego od całego jego światopoglądu, przyjąć musiał, jako krzywdę (może słusznie, jak chcą jego obrońcy), ale nie umiał tego znieść, jako kary niesłusznej, i w proteście, który zanosi w imieniu wszystkich męczonych w więzieniach, jakkolwiek przyznaje się do grzechów w obliczu Boga, ku ludzkiemu prawu, które go za te winy karało, żywi śmiertelną nienawiść. Dziwnie wyglądają obok silnych aktów skruchy takie strofy, jak: „Hej! świat daleki, lecz w kajdanach moc ruchu z nóg uchodzi. Kto kielich z kośćmi brał ostrożnie, temu gra nic nie szkodzi; ten tylko traci, kogo w tajny dom wstydu grzech uwodzi!“ I czuć z tych ponurych zwrotek, jak cierpiał, jak jego ból moralny stawał się niemal fizycznym. Czuć to z jego szczegółowych opisów pracy więziennej, pracy pod przymusem, bezcelowej, czuć z tych skarg na bezsenne noce, na tęsknotę za „tą, co więzień niebem zowie, niebieską w górze szmacimą,“ za światłem jasnem słońca i bladym księżycem, jak uciskał go ten „przymus ciężki—win zapłata,“ co go „w żelazne okuł pęta,“ jego, zakochanego w bezwzględnej wolności, — jak bolał go brak wszelkiego piękna, brak kwiatów, np białych i purpurowych róż, bez których nie pojmował życia.

I dopiero tutaj, w więzieniu, na tle swoich własnych cierpień, doszedł do możności odczucia cudzych bólów. Wrażenie tej świadomości było tak silne, że musiał je wypowiedzieć, a zarazem szukał przyczyn, czemu się tak stało? „Ból cudzy—mówi—palił żarem mózgi, ból cudzy kurczył twarze“ i zaraz dodaje: „O! jak to boli cudze grzechy własną wyczuwać winą! bo grzech w krwawiące serce pryska trującą, brudną śliną.“ Rozmyślania nad swoim obecnym stanem, wyrzuty sumienia i porównywanie się ze współwięźniami, to wszystko nauczyło go, że na świecie jest więcej bólu, niż się zdaje, że za kratami więzień jest bardzo wiele cierpienia, którego na zewnątrz nie widać Ale z całej ballady widać, że nie nauczył się szukać tego cierpienia poza murami celi, bo tylko więzienia znał, a do odczucia cudzych bólów mógł tylko dojść przez ból własny. Tę nutę osobistą słychać nieraz bardzo silnie i to może osłabia wrażenie poematu, który miejscami tak potężnie przemawia przeciw bezwzględności ludzkiego prawa. Jest ono dla Wilde'a prawem silnego, kroczy naprzód zimne i obojętne, chwyta mocnych i słabych zarówno; początek swój ma w mordzie Kaina i od tego czasu: „miece precz ziarno dobre, plewy szalo-

ne — sieje w pole.“ Bo oto jest owoc owego prawa, wypielęgnowany w więzieniu:

„Dzieci mrą z głodu i tęsknoty,
płaczą tam dniem i nocą,
szydzą tam z starców, biją słabych,
głupich, co się szamocą;
kto nie szaleje, złym się staje,
korząc się przed przemocą.“

Jak te ostatnie słowa charakterystyczne dla przeindywidualizowanej duszy poety! Ale gdy ludzie, obojętna straż więzienna, w ten sposób postępuje ze swoimi braćmi, gdy księża, którzy mają nieść Chrystusową miłość ku grzesznikom, nie święcą grobu skazańca i nie przynoszą tem ulgi jego cierpieniom, sam Chrystus inaczej czyni:

„Krwawo rdzewieje łańcuch życia
w haniebnej poniewierce:
a jedni milczą, drudzy płaczą,
rozpacznie kłną bluźnierce,
lecz prawo Boże łaski pełne,
kamienne kruszy serce.“

I serce Wilde'a powoli się kruszyło w więzieniu; z początku budzi się w nim tylko uczucie wstydu: „nie w świętą noc — mówi o swem spotkaniu ze skazańcem — w dzień się zeszliśmy, bezwstydnie jasny taki“ — i ta jasność dnia piecze go w duszy; potem na grzechy swoje patrzy coraz smutniej i surowiej: „Bo kto dwa razy grzeszy, woła zmarłą duszę w żal długi, z krwawego płótna wstaje, brocząc z ran licznych w krwawe strugi; krew jej napróżno znów przelewa, napróżno po raz drugi.“ Aż wreszcie serce ogarnęła skrucha zupełna i rzuca się na kolana i z zachwytem woła:

„Nie palą serca skruszonego
rany sumienia ogniste,
a szaty duszy od win wszelkich
nad śnieg się stają czyste;
tylko w skruszone serce ludzkie
zstępujesz Ty, o Chryste!“

Stąd już tylko jeden krok do myśli, która jest dalszym ciągiem zakończenia „Humanitad,“ a która tkwi najgłębiej w Wilde'a naturze, myśli o utożsamieniu człowieka z bóstwem: przez skruchę dochodzi człowiek do tego, że „krwawe znamię Kaina staje się

znakiem niewinności Chrystusa.“ Jak odmiennie wygląda ta sama refleksya tutaj, gdzie celem męki jest osiągnięcie szczęścia nie przez boską potęgę i boskie użycie życia, ale przez boską niewinność. Tutaj jest on bogiem, który sam swoją męką się odkupił; tam w „Humanitad“ tym samym sposobem doszedł mocy najwyższej.

Aby tendencyę swoją, przeciwstawienie surowego i nieubłaganego prawa ludzkiego miłościwej litości Bożej, która nawet przez kwiaty głosi, że „wszystko jest odkupione,“ silniej zaznaczyć i wydobyć, Wilde używa w swoim obrazie tylko kolorów szarych i czerwieni krwi. Za epiczną osnowę ballady bierze fakt powieszenia jednego ze współwięźniów, którego pamięci też poemat swój poświęca, kawalerzysty, który zabił swoją kochankę. Z opisami ponurego życia więziennego łączy się ciągle pamięć o tym nieszczęśliwym, który wiedział, że musi umrzeć i od chwili wyroku właściwie powoli konał. Do Wilde'a, który życie kochał ponad wszystko, a w oczy śmierci nie mógł patrzeć, przemawiało to może więcej, niż do drugich — stąd te u: tępy, jak rozmyślania nad uczuciami i agonią skazańca, noc przed egzekucyą, wypełniona widzeniami więźniów, wrażenia na widok żółtego grobu, mają największą siłę, choć czasem aż dławią w gardle swoim okropnym realizmem. Po egzekucyi zostaje ciągle wspomnienie skazańca i głęboki żal, może nienawiść do ludzi, że wciąż jeszcze znęcają się nad ciałem i duszą, bo o duszy sądzi Wilde podług siebie, że musi być tak przywiązana i złączona z ciałem, iż zniewagi, które temu się wyrządza i ją bolą. Więc boli ją to, że grób nieświęcony i to, że na nogach wiszą kajdany, i to, że na grobie nie kwitną kwiaty i że całunem jest wapno, które niszczy zupełnie ciało. I bardzo pięknie mówi to jedna zwrotka, która znów w tak odmienny sposób powtarza ową myśl o harmonii duszy i ciała:

„Kości i ciało gryzie wapno,
niesyty wciąż pożerca:
w dzień w kruche kości, a w noc ciemną
w blade się ciało wwierca;
gryzie naprzemian kości, ciało —
gryźć nie przestaje serca.“

Lecz najpiękniejsze ustępy to te, gdzie przez usta wyrywa mu się krzyk boleści prawdziwej, skarga nad straconem marnie życiem, a zarazem tęsknota za niem, bo było tak bujnem, jak kilka żywotów innych ludzi razem. „Ale nikt tak, jak ja, nie wiedział woła, usłyszawszy krzyk skazańca na szafocie —

„nikt tak, jak ja, nie wiedział,
co w sobie krzyk ten zawiera,
jakie tam krwawe łzy i pot,
i strach, i skrucha szczera;
kto więcej żył, niż jednem życiem,
więcej niż raz umiera."

Na dnie wszystkiego leży oryginalna myśl, że „każdy zabija to, co kocha." Jak w całej balladzie niema żadnej konsekwencyi między poszczególnymi refleksyami lub ideami, jak niema jej wogóle w światopoglądzie Wilde'a, który nie był zdolny do zbudowania sobie stałego systemu moralnego, nie będąc silnym charakterem, tak i ta myśl, stosownie do nastroju całego poematu, z jednej strony mówi nam o własnej winie człowieka — i Wilde podaje w kilku strofach szereg przewinień, któremi ludzie zabijają swoją miłość — z drugiej strony przecież każe nam drżeć przed okrutnem przeznaczeniem. Tem więcej, że na Wilde'zie spełniły się te słowa. On kochał najwięcej życie i właśnie tą miłością je zabił—on sam wywołał proces, który w dalszym swym toku zwalił się na niego ciężką karą więzienną, a więzienie dla jego ukochania życia było śmiercią. I dlatego najsilniej mówi do nas ta myśl, płynąca z głębi bolesnego doświadczenia poety, myśl, którą on się przejął więcej, niż tendencyą samą utworu, bo nią zakończył ten swój ostatni poemat. Jest to niejako synteza jego życia, na pół paradoks, a na pół prawda, na pół nauka moralna i napół pogański protest przeciw ograniczeniu życia: przyznanie się do winy i zarazem wiara w przeznaczenie; wyznanie, że jedyną wartość w życiu ma ukochanie czegoś i skarga, że wcielanie marzeń w życie jest dla nich śmiercią.

Andrzej Tretiak.

Chroniczny przełom w teatrze.

I.

Najgorszy z przełomów. Niby wszędzie coś się chwieje; niby tu i owdzie pęka to jedno to drugie; ale naprawdę nic się nie łamie i właściwie wszystko jak stało tak stoi. A jednak to chwianie coś przecie znaczy; to pękanie coś zapowiada. I to jest właśnie najgorsze... bo ciągle czegoś się oczekuje, co istotnie jest nieuniknionem, i koniecznie — prędzej czy później — nadejść musi... a nie nadchodzi.

Przełom w stanie chronicznym; najgorszy z przełomów. Przebywa go całe państwo, zmagając się ze starym biurokratycznym ustrojem; przebywa go kraj nasz, walcząc o prawo do własnej kultury; odczuwa go wreszcie, *si parva magnis*,... i teatr warszawski pod nieustającą groźbą bankructwa finansowego i artystycznego.

Wobec tej sytuacyi występują oczywiście wszędzie, jako typowe panacea na wszelkie niedomagania — komisye i podkomisye, obradujące, rozpatrujące i powstrzymujące się przezornie od ostatecznej, zasadniczej decyzyi, „aż do czasu zgromadzenia odpowiednich materyałów.“ Coś podobnego dzieje się i w sprawach teatralnych. Rozpoznawane dotąd w komisyi Warszawskiej przeniosły się do komisyi Petersburskiej, która naturalnie „z łona swego wysadziła“ podkomisyę, opracowującą warunki przejścia teatrów pod zawiadywanie municypalności, opracowane dwukrotnie w ciągu dwóch lat w Warszawie przez dwie komisye: obywatelską i urzędową. Po wydzierżawieniu opery polskiej zarządowi Filharmonii (co niedawno oficyalnie stwierdzone zostało w odezwie, przesłanej do pism przez wice-prezesa dyrekcyi teatrów

rządowych, p. Karaffę-Korbuta), zdumiewającym mógłby się każdemu wydać ten skomplikowany aparat komisyjno-podkomisyjny, zastosowany wyłącznie do lekceważonego i upośledzonego dotychczas dramatu polskiego, gdyby tu nie chodziło o zupełnie co innego. Rzecz prosta że nikogo w całej tej sprawie nie interesują losy ani opery, ani dramatu polskiego. Ale trzeba zapłacić długi; że zaś nie chce tego uczynić ten, czyim to jest bezpośrednio obowiązkiem, trzeba zatem wynaleźć kogoś, ktoby się dał skłonić do mniej więcej dobrowolnego przyjęcia na siebie tego obowiązku. I miał być takim wolontaryuszem mimo chęci magistrat warszawski. Tak zwane zatem „umiastowienie," czyli jak się ktoś dowcipnie w jednej z komisyj czy podkomisyj wyraził „umagistratowienie," byłoby poprostu „sfinansowaniem" zaszarganych interesów teatrów warszawskich.

Używam trybu warunkowego, najprzód dla tego, że w tym trybie zamknęło się dziś całe nasze życie; a powtóre, że do chwili, kiedy to piszę (takie zastrzeżenie jest w obecnych warunkach nieodzowne), nic pewnego jeszcze o owem „sfinansowaniu" nie wiemy. Dzienniki tylko, pływające w niepewnościach tak swobodnie, jak ryby w wodzie, prześcigają się w „autentycznych" informacyach warszawsko-petersburskich. Więc „jeżeli minister skarbu zgodzi się na wypłacenie teatrom warszawskim półtora miliona rubli na zaspokojenie długów i na dalsze utrzymanie, teatry zostaną przy rządzie, w przeciwnym razie będą umiastowione." A później: „minister finansów zgadza się na zapłacenie półtora miliona — wszystko zostaje po dawnemu." Potem znowu: „minister nie chce słyszeć o wyasygnowaniu tak wielkiej sumy; teatry obejmuje magistrat." I kiedy się to wszystko czyta, kiedy się wieści drukowane kombinuje z ustnemi, obficie krążącemi wersyami, sytuacya nabiera stopniowo plastycznych kształtów. Komisye i podkomisye wyglądają jak grający w wolanta, „umiastowienie" jest rakietą, którą sobie te organa wzajemnie odrzucają, z boku zaś po jednej i po drugiej stronie grających stoją panowie z dyrekcyi warszawskiej i od czasu do czasu podbijają lekkopiórą zabawkę w najdogodniejszym dla siebie kierunku. Jednym z takich zręcznych manewrów była niedawno nowina, że znaleziono źródło zaspokojenia długów teatralnych z funduszu kuratoryum trzeźwości, że zatem rząd niema potrzeby pozbywania się ani teatrów, ani (co najważniejsza) administratorów, którzy je tak świetnie dotychczas prowadzili. Wprawdzie ten rzut, eskamotujący rakietę umiastowienia wywołał podobno nieprzyjemny zatarg w „łonie wysadzonej" podkomisyi — ale to właśnie dobrze; rzecz pój

dzie w odwłokę, a oczekiwany ustawicznie „przełom“ zredukuje się do nieszkodliwego na razie trzeszczenia spróchniałych „porządków.“ I taki jest rzeczywiście obecny stan kwestyi (zastrzegam znowu, że mowa tu o chwili, kiedy kreślę niniejsze słowa).

Nie należy jednak stąd wnosić, że ocalał całkowicie *status quo ante*. Nie. Stał się fakt istotnie od lat trzydziestu w dziejach sceny warszawskiej niebywały: kierunek dramatu i komedyi powierzono literatowi, panu Kazimierzowi Zalewskiemu. Czy w tym fakcie miałby się rzeczywiście wyrazić spodziewany oddawna, zasadniczy przełom w losach naszych teatrów i czy zwiastuje on naprawdę koniec nieznośnego stanu chronicznej gorączki a początek ostatecznego uzdrowienia? Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, należałoby najprzód zbadać: skąd się przełom rozpoczął, czy od strony dyrekcyi, odstępującej od swojego biurokratycznego *non possumus* na korzyść literackiego, niezależnego kierunku, czy od strony nowomianowanego dyrektora, wdającego się z urzędową dyrekcyą w pakta i kompromisy? W pierwszym wypadku, byłby to istotnie przełom fundamentalny; w drugim — jeden więcej fortel administracyi, usiłującej ratować swoją zagrożoną pozycyę bodajby sojuszem ze znienawidzonym przeciwnikiem. Jaka się rzeczywiście wytworzyła sytuacya — niewiadomo. Pewne światło na nominacyę p. Zalewskiego mogłyby wprawdzie rzucić okoliczności, które ją poprzedziły: odmowa dana na propozycyę dyrekcyi przez jednego z literatów i zerwanie układów, prowadzonych z drugim. Tamten nie wierzył w możność pracowania w zależności od biurokratycznych fantazyj, ten postawił warunki, gwarantujące mu swobodę inicyatywy i niezawisłość kierunku, które odrzucono. Sądzę jednak, że należy być ostrożnym przy ocenianiu stosunku p. Zalewskiego do dyrekcyi w tem, bądź co bądź, nie dość wyraźnem oświetleniu, dopóki owoce jego działalności nie ujawnią natury tego stosunku; niemniej też rozważnie wypada stawiać horoskopy, dodatnie czy ujemne, co do tej przyszłej działalności.

Poglądy pod tym względem są oczywiście podzielone; ale zdaje mi się, że źródłem takiej rozbieżności jest poprostu pewne nieporozumienie przy samej definicyi kierunku literackiego. Określenie wytworzyło się z negatywnych raczej niż z pozytywnych pierwiastków i akcentuje silniej to, czego nie chciano, niż to, czego żądano w zwierzchniej nad sceną dyrektywie. Literat zatem wystąpił w sporze o kierunek, przedewszystkiem jako przeciwstawienie aktora, kiedy w walce o hegemonię zasadniczą potykać się mogą tylko aktorstwo i literatura, jako idee kierownicze, zgoła

niezależne od takiego lub innego „zawodowego“ ich wcielenia. Ani Jerzy II, książe Meiningeński, w Niemczech, ani Koźmian lub Pawlikowski w Polsce nie byli literatami z zawodu, a przecież stali się odnowicielami swoich teatrów; z drugiej strony aktorowie: Antoine we Francyi, Irving w Anglii dźwignęli niewątpliwie scenę na wyżyny artystyczne; tamci *chociaż* nie uprawiali literatury profesyonalnie—ci, *mimo* że za mistrzynię swoją uznawali sztukę dramatyczną. Ale aspiracye jednych i drugich podnosiła do godności ideowej — kultura, która o wartości obu kierunków ostatecznie rozstrzyga. I tu właśnie tkwi przyczyna takich ostrych u nas przeciwstawień. Nie posiadając aktorów kulturalnych, musieliśmy przez dziesiątki lat patrzeć na marniejące w ich rękach teatry; cóż więc dziwnego że kontrast był decydującym bodźcem, pod którego działaniem zwróciliśmy się bez zastrzeżeń w stronę zawodowców literackich, jako domniemanych przedstawicieli kultury.

Nie cofam wyrażenia „domniemanych,“ nakazuje ono bowiem zbawienną przezorność w kojarzeniu pojęć, częściej luzem chodzących, aniżeliby to się zdawało. Są talenty, są nawet geniusze niekulturalne, a zdarzają się małe zdolności, nawskroś przepojone kulturą; profesya zatem literacka, jako wyłączny tytuł, bywa zawodnym tej kultury miernikiem. Istnieje poza nią coś, co może niema w sobie właściwych bodźców twórczych, co jako stan ciągłej asymilacyi, nieustannego wchłaniania, jako proces wszechodczuwania, wszechrozumienia, zwalnia może poniekąd tempa tworzenia, ale stanowi dla wielkiej sztuki i dla wielkiej literatury konieczną atmosferę. Taką atmosferą kultury otoczyć ma scenę artystyczny jej kierownik i, o ile posiada ku temu dane, obojętnem jest prawie czy i co kiedykolwiek napisał; ważniejszem natomiast będzie pod jakim kątem twórczość innych załamuje się w jego myśli, w jego sercu, jak dusza jego reaguje na wielką literaturę, na wielką sztukę?

Ważniejszem, zwłaszcza u nas, w dobie ogólnego przytępienia zmysłu krytycznego, w dobie zamętu i anarchii, która się „przeszacowaniem wartości“ nazywa, i która ogarnęła przedewszystkiem samo pojęcie kultury. Wszędzie ten wytworny kwiat wyrasta na podłożu przeszłości, kwitnie w słońcu teraźniejszości, owoce chowa dla przyszłości, a w woni jego unosi się ponad granice przestrzeni i czasu—dusza narodu. Nam, odciętym od pnia dziejowego, odgrodzonym od nadchodzących czasów więzieniem współczesności, inaczej ten kwiat pachniał i wyglądał. Jak storczyk, zawieszony w powietrzu na nikłej nici chwili bieżącej, brał w sie-

bie płynące po niej drgania dnia dzisiejszego, wchłaniał nurtujące od dalekich cieplarni obce soki i egzotycznemi wyziewami wprawiał w istny dur umysły i serca, odbierając im wrażliwość na to wszystko, co fizyognomię wydziedziczonego narodu znaczyło piętnem polskiej kultury. Powtarzany echowo za tak zwaną „Europą“ *le dernier cri* stał się jedynym wyrazem naszego krytycyzmu, który rozumiał i odczuwał „dreszcze“ pierwszego lepszego grafomańskiego impotensa i z lubością zagłębiał się w jego nowożytną, „skomplikowaną“ duszę, a przestał odczuwać i pojmować wielkość „niezłożonej,“ prostej duszy Mickiewicza, twórczość zjawiskowego rozumu Krasińskiego; Słowackiego zaś, gwiazdę płomienną i rozmigotaną barwami wszystkich klejnotów, umiał tylko obserwować przez szkła zadymione. Snobizm, jako surogat kultury, głosił w jej imieniu podrabiane hasła i trzeba było aż nawałnicy dziejowej, żeby zmieść tę sztuczną roślinkę z powierzchni naszej umysłowości. Tu i owdzie pozostały może po niej jakieś ślady; idzie o to, żeby teatr był od nich wolny; idzie o to, żeby scena była jedną z manifestacyj szerokiej kultury, która swą duszę w sztuce polskiej objawi.

Czy pan Kazimierz Zalewski daje rękojmię takiej kultury? Okaże się to zapewne wkrótce; nim zaś to nastąpi, zdaje mi się, że wszelkie argumenty *pro* i *contra*, oparte na jego komedyopisarstwie, nie mogą mieć istotnego znaczenia. Zapewne, że jest trochę racyi po stronie tych, którzy traktują jako plusy zręczność sceniczną autora „Małżeństwa Apfel,“ przydatną niewątpliwie kierownikowi przy realizacyi teatralnej utworów dramatycznych. Nie bez słuszności znowu lękają się inni wprowadzenia do kierownictwa jednostronności technika, znałogowanego szablonami Wiktoryna Sardou, a nawet Eugeniusza Scribego. Trudno wreszcie stanowczo zaprzeczyć tym, którzy twierdzą, że p. Zalewski, jako literacki wytwór szkoły już zlikwidowanej, jest do pewnego stopnia człowiekiem „wczorajszym,“ że zatem niełatwo przyjdzie mu oryentować się w dobie literacko-artystycznej, która aspiracyami ku dniom jutrzejszym wybiega. Wszystko to mogłoby mieć swoje uzasadnienie, gdybyśmy przy bilansowaniu kwalifikacyj p. Zalewskiego mieli koniecznie wciągać do rachunku komedyopisarza. Co do mnie, nie widzę tej konieczności. Rachunki komedyopisarza są skończone, zamknięte, zdaje się raz na zawsze. Dawniejszy twórca ma się przekształcić na odtwórcę, a taka metamorfoza musi za sobą pociągnąć zmianę w psychologii tworzenia. Na miejsce syntezy, którą pisarz operuje, kształtując wydobywany ze swej duszy materyał, występuje zmysł analizy, gatunkujący ze-

wnątrz siebie cudzy materyał, zapuszczający się w cudze dusze. A tych dusz tyle i o tak różnym nastroju, a każda tak wymownie dopomina się całkowitych praw do życia na scenie, że pod naporem tego mnóstwa wcieleń jednej nieśmiertelnej Psychy, prysnąć powinien wszelki szablon, otwierając przed kierownikiem rozległe widnokręgi, ku którym dążenie wytworzy w nim właśnie ów stan ciągłej asymilacyi, nieustannego wchłaniania; ów proces wszechodczucia, wszechrozumienia, stanowiący, w teatrze zwłaszcza, o wysokości kultury. Jestto specyficzny krytycyzm, obcujący jednocześnie z duszą dzieła i szukający dla niej ciała; nie każdy włada nim jednakowo w tych obu sferach psychologii i plastyki; z zadowoleniem też przyjęto wiadomość, że pan Kazimierz Zalewski będzie miał towarzyszów w pracy.

Pierwotnie nowy organ kierowniczy miał być wcielony w trzy osoby. Panu Romanowi Żelazowskiemu przypadłaby czysta technika reżyserska, p. Józef Kotarbiński objąłby obowiązki instruktora, p. Kazimierz Zalewski czuwałby nad repertuarem i nad ostatecznem jego na scenie zrealizowaniem. Kombinacya ta jednak w ostatniej chwili uległa zmianie; p. Żelazowski zawarł kontrakt reżysersko-aktorski ze sceną lwowską, w skutku czego dla Warszawy pozostał tylko *duumvirat*, w którym p. Józef Kotarbiński powinienby ważną odegrać rolę.

Ma ku temu liczne i poważne tytuły. Na stanowisku dyrektora teatru krakowskiego, dźwignął w ciągu szeregu lat repertuar na tak wysoki poziom literacko-artystyczny, że mu pod tym względem żadna ze scen polskich dorównać nie potrafiła. Przy rozległej kulturze literackiej, przy wrażliwości na piękno w sztuce i przy czujności na wszelkie w niej ewolucyjne objawy wyrobił w sobie Kotarbiński, dzięki praktyce aktorskiej, zmysł optyki i akustyki teatralnej, nieodzowny do wydobywania nastrojów z rzeczy martwych, do tworzenia z żywego słowa—światów uczuć, myśli, idei. Będzie więc praca Kotarbińskiego najpożądańszym dla teatru nabytkiem—bo artystyczną syntezą literatury i aktorstwa, a przy takiem współdziałaniu można się spodziewać, że dyrekcya p. Zalewskiego zapoczątkuje jakiś zwrot w życiu naszych teatrów.

II.

Na posterunku dyrektorskim znalazł się p. Zalewski u schyłku rządów aktorskich, które, ustępując, chciały widocznie na obie strony dobre po sobie zostawić wspomnienie, bo i aktorstwu i literaturze świeczki zapaliły, wystawiwszy „Rodzinę Malefilâtre“ Porto-Riche'a i „Barbarę Radziwiłłównę“ Felińskiego. Stało się to pod egidą p. Wincentego Rapackiego i mogło mieć swoje uzasadnienie w podwójnym charakterze chwilowego kierownika-aktora, uprawiającego literaturę. Nie wiem czy tak zrządził traf tylko; ale wyglądało to, wobec równogatunkowej kandydatury Józefa Kotarbińskiego, jakby ostatni atut zadany przez kierunek aktorski w tej grze o wymykającą się władzę. Gdyby nie „Barbara,“ możnaby o tej grze powiedzieć, że „nie warta świeczki“— bo ta, którą postawiono przed aktorstwem, zgasła szybko.

Trudno się temu dziwić. Chwila, kiedy „Rodzina Malefilâtre“ ukazała się na scenie, była może najkrytyczniejszą w ciągu całego wakacyjnego sezonu. Czego nie dokonał krach finansowy, to sprawiły fantastycznie rozdawane lub poprostu samowolnie brane urlopy—i teatr, nie liczący się już z administracyą, zdyskredytowaną ostatecznie przewlekłą niewypłacalnością, nietylko znalazł się pewnego poranku bez reżyserów, wypuszczających z rąk kolejno ster, który przestał już działać, ale ocknął się pewnego wieczoru bez aktorów, wypoczywających, lub grających wszędzie, tylko nie tu, gdzie byli potrzebni. W takich warunkach trzeba było uciec się do... debiutantów — i sprobowano tym starym sposobem ratować sytuacyę, o tyle nową, że niepokojącym czynnikiem była w nim niepewność: kiedy powrócą, a nawet czy powrócą ci, których zabrakło.

Przy zestawieniu dość znanego, przynajmniej w Paryżu, nazwiska Jerzego Porto-Riche'a z zupełnie nieznanemi nazwiskami na warszawskim afiszu, eksperyment mógł na pierwszy rzut oka wydać się ryzykownym. Jak będą wyglądać p. Zawierski i panna Tworkowska w atmosferze wyrafinowanego „paryzyanizmu,“ w której lubuje się autor „Kochanki,“ w świecie, gdzie zmysłowe igraszki, przezwane miłością, są jedynym celem życia, a sytuacye wodewilowe nastrajają się tragicznie w rozprożniaczonej wyobraźni bohaterów? Jak sobie dadzą rady debiutanci z wymaganiami środowiska, przeniknionego zewnętrzną wytwornością słowa i gestu, ujmującego w formy wykwintne nawet odruchy bardzo pospolitych żądz, nawet rozpędy bardzo zwyczajnych namiętności?

Otóż tym dwojgu debiutantom Porto-Riche nietylko nie zaszkodził, ale im do pewnego stopnia dopomógł, wprowadziwszy ich w otoczenie zgoła inne, zupełnie odrębne, w którem natury proste, nieskomplikowane, dusze szczere, nie szukające dla siebie wymówek w podrobionych subtelnościach, i rysy, wydatnie charakterystyczne miejscowych obyczajów, wielce grającym ułatwiły zadanie. Temat został oczywiście niezmiennym: miłość-instynkt, miłość-żywioł, miłość-fatalność, obezwładniająca wolę mężczyzny czy kobiety, druzgocąca naokoło siebie wszystko, co się władzy jej oprzeć probuje. I rytmy a tempa akcyi te same: zawsze duet namiętny, wzmagający się co scena, co akt w sile i natężeniu, aż do rozwiązania jakimś mniej więcej minorowym akordem. Tylko tym razem nie w salonie słyszymy taką muzykę, która też odzywa się nie w mieszczańskiem *milieu*, jak w „Kochance," ani w artystycznym światku, jak w „Przeszłości," ale wśród ludności nadmorskiego miasteczka. Na sile oczywiście nic nie traci, że ją autor przeniósł do Bargeville i dał miłosnej melodyi akompaniament wzburzonych fal oceanu. Owszem, umiłowany motyw:

„C'est Venus tout entière à sa proie attachée"

rozlega się jeszcze donośniej niepokojącą nutą natury rozedrganej życiem w duecie Jakóbiny, która mimochodem, sama nie wiedząc dla czego, oszukała ukochanego męża Filipa, temu zaś świadomość o zdradzie żony staje się jednem więcej zarzewiem, podsycającem straszną, płomienną pamięć zmysłów. Ta pamięć spali w nim wszystko inne, uczyni głuchym na protesty rodziny, domagającej się w imię czci Malefilâtrów wygnania niewiernej z domowego ogniska i ostatecznie popchnie go w jej objęcia nie odruchem przebaczającej miłości, gotowej zapomnieć, lecz rozpędem jątrzącej żądzy, która zapomnieć nie chce.

— Ha! jeżeli tam jest jego szczęście... mówi matka Filipa przed zapadnięciem zasłony.

Jest że to tylko filozofia starej kobiety, pamiętającej że była młodą kobietą? Zdaje mi się, że szczęście w tym gatunku — to potrochu filozofia Francuzów — przynajmniej w literaturze. Zastanawiać się nad nią z powodu „Rodziny Malefilâtre" niema powodu, chyba dla zakończenia uwagą, że na zmianie dekoracyj, na przestrojeniu bohaterów w inne kostiumy dobrze wyszli nietylko debiutanci, ośmieleni swobodniejszą grą namiętności; skorzystał z tej egzotycznej nieco inscenizacyi i sam autor, ażeby cierpką zaprawą morskiego powietrza podnieść smaczek lekkiej deprawacyi, która kobietę zdradzającą czyni pożądańszą dla zdradzone-

go. Może ten motyw fizyologiczny niezupełnie odpowiada psychologii środowiska, gdzie został wprowadzony. Ale cóż stąd? Albo się jest paryżaninem, albo się nim nie jest; a trzeba przecież zaakcentować swój paryzyanizm, odnajdując z zamiłowaniem smakosza *haut goût* w nadpsutej zwierzynie nawet na zapadłem rybackiem wybrzeżu!

Stworzywszy, jako aktor, świetną sylwetkę ojca Malefilâtre w sztuce Porto-Riche'a, pan Rapacki wystąpił, jako prowizoryczny reżyser, z „Barbarą Radziwiłłówną“ Felińskiego. Miał szczęśliwą rękę. „Barbara“ cieszy się powodzeniem nadspodziewanem. Używając takiego określenia, mam na myśli oczywiście nie wartość dzieła, lecz nieobliczalność widza dzisiejszego. Wszakże niedobitki romantyków mogli wnieść do oceny utworu tradycyjne uprzedzenia przeciw klasykom; dla pokolenia naturalistów za mało mogło być realnej prawdy w charakterach, uczuciach, sytuacyach; najmłodsi wreszcie, mogli natrząsać się z „łatwego“ w dramacie tragizmu, który nie sięga do mistycznych źródeł „prabytu“ narodowego. Nic z tego nie wyszło na jaw: wszyscy doznali przyjemnych wrażeń i publiczność dotychczas śpieszy po nie do teatru.

Jak to wytłomaczyć? Bo nie można zaprzeczyć, że gatunek doznawanej przyjemności różni się od wzruszeń, odczuwanych przez tych samych zapewne widzów na przedstawieniach „Obrony Częstochowy,“ albo „Odsieczy Wiednia;“ że oddźwięk u nich znajduje nietylko jedna potrącana tam struna, ale coś jeszcze, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, co różnobrzmiącemi dolatuje do nas echami. Muzyka wiersza nie może być wystarczającem wyjaśnieniem. Wiersz jest potoczysty, z najszlachetniejszych źródeł polszczyzny płynący, często piękny, chwilami silny; jednak na wyżyny artystyczne dzieła dźwignąć nie zdołał. Czemże więc oddziaływa ta tragedya, daleka od doskonałości, a przecież bardziej ku naszym sympatyom zbliżona, aniżeliby się wydawało? Czem i na kogo? To drugie pytanie ułatwia do pewnego stopnia odpowiedź na pierwsze.

Rozmaite kategorye widzów różnie reagują na utwór Felińskiego. Do jednych przemawia historya, nietyle może ta daleka, sięgająca do epizodycznego faktu z panowania Zygmunta Augusta, ile ta bliższa, uprzytomniająca moment dziejowy literatury, moment stawania się tragedyi polskiej, którą stworzyć usiłują Wężyk, Kropiński, Feliński. Wszelki proces stawania się pociąga zawsze nierównie silniej, niż skrystalizowane formy rzeczy dokonanych; wszelka aspiracya działa z najdalszej nawet odległości czasu, jak potrącenie fali twórczej, której drgania aż do nas do-

chodząc, wysyłają ku przyszłym pokoleniom nowe fale, a ten nieustanny dreszcz twórczości jest może największą ponętą dziejów literatury. Ma nadto moment stawania się tragedyi polskiej swoją głębszą psychologię historyczną. Przypada na początek Polski Kongresowej, kiedy całe życie narodu, wchodząc w okres „stawania się," znalazło nareszcie jakiś stały punkt oparcia dla swoich aspiracyj. Te aspiracye mogły sięgać wysoko, ale rade czuły pod sobą grunt prasy porządnej, spokojnej, choć silnie we wszystkich kierunkach wytężonej. Jest w tem jakby pewne rozdwojenie ducha wdzierające się i do literatury: można je odczuć i w tragedyi. Spokój, ład i solidność reprezentują w niej aleksandryny i trzy arystotelesowe jedności; aspiracye mimowiednie może gdzieindziej szukają sobie ujścia. Fragmenty „Barbary" przesłał przecież Feliński do czytania poważnemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk; ale do tego Towarzystwa dostał się już był „młody pułkownik Morawski, który tłómaczy *Andromachę*, a w ukryciu czyta i podziwia Byrona." Żadne dane nie upoważniają zapewne do przypuszczenia, że Felińskiego owionęła „heretycka" atmosfera, w której Wężyk swobodnie już oddychał; coś jednak romantycznego zdaje się budzić w tym jego rozkochanym królu, którego miłość tak mało dba o klasycyzm w ekspresyi! Oczywiście, że odczuwający to wszystko odłam publiczności nie zamyka oczów na różne licencye poetyckie w tragedyi; wie, że dzieje dużo głębszych rysów wyryły na fizyognomii ostatniego Jagiellończyka; że historyczna Barbara inaczej nieco wyglądała; że Bona, jako teatralny „czarny charakter," nie zupełnie podobna jest do współczesnego wizerunku. Nie chodzi jednak tej publiczności o to, co i jak czują bohaterowie tragedyi; interesuje ją więcej co i jak czuli ci, którzy tych bohaterów tworzyli i ci, co się niemi wówczas entuzyazmowali. Bije w tem tętno czasu i przyśpiesza według tego rytmu uderzenia serca dzisiejszego widza. Może to nie środek XVI stulecia, mówiono sobie; ale za to jaki początek XIX wieku z jego przepięknemi ideałami!

Jest inny zastęp widzów, dosłuchujący się w „Barbarze" nowoczesnych odgłosów. Wiadomo że nic łatwiejszego, jak usłyszeć wszędzie to, co nam samym ustawicznie w uchu dzwoni. Więc miłość Zygmunta Augusta dla Barbary Radziwiłłówny dźwięczy tym widzom osobliwszym tonem. Nie głębokiem uczuciem serc rozmiłowanych—to zbyt mieszczańskie; nie motywem romantycznym—to za bardzo literackie. Gra tam dla nich pobudka „demokratyzacyi tronów" — to już zupełnie *moderne*. Król ożeniony z „poddanką;" nie jest-że to przed czterema wiekami zapowiedź

tragedyj Witelsbachów i Habsburgów, których wszyscy jesteśmy świadkami i w których tkwi najżywszy właśnie rdzeń społeczny? Inaczej szeroka publiczność.

Ta oklaskuje z zapałem końcową scenę III aktu, odprawę daną posłom, domagającym się od króla żeby zerwał śluby zawarte z Barbarą. Bo ta scena łączy w sobie naprawdę wszystkie pierwiastki tragizmu, przenikającego zasadniczą sytuacyę sztuki. Występuje w niej król, strzegący monarszego majestatu przed uroszczeniami wielmożów; przemawia mąż, wzdrygający się na myśl złamania wiary, zaprzysiężonej żonie, którą miłuje; odzywa się wreszcie człowiek, stający w obronie osobistego szczęścia, jakie daje najsłodsze z ludzkich uczuć—a we wszystkiem, co mówi ten król, ten mąż, ten człowiek, odzywa się Polak, uznający w państwie, w narodzie, w społeczeństwie, w rodzinie i w duszy a w sercu jednostki jedno tylko prawo — prawo moralne. I dla tego ma słuszność oklaskująca publiczność; dla tego do „Barbary Radziwiłłówny“ Felińskiego dadzą się zastosować słowa, wypowiedziane przez Stanisława Tarnowskiego o „Śpiewach historycznych“ Niemcewicza. „Jako rzecz poczęta w myśli może artystycznie nieurzeczywistnionej, ale patryotycznie pięknej; jako rzecz przyjęta z radością, pozostanie „Barbara“ w literaturze nie tragedyą wprawdzie, ale relikwią, której się należy uszanowanie i której na niem nigdy nie zabraknie.“ Tak widocznie usposobiło dzieło Felińskiego i wykonawców, skoro mimo niezupełnie do stylu utworu dostrojoną obsadę, czuć było w grze artystów chęć uczczenia wedle sił każdego literatury polskiej. Może pani Siennicka w roli tytułowej zbyt się sama własnemi słowy roztkliwiała; może pan Nowicki, jako król, za mało zaakcentował w zewnętrznej charakterystyce i w liniach gestykulacyi renesansowe rysy wytwornej, włoskiej kultury; może zdałoby się ująć postaci Bony, granej przez panią Majchrzycką, trochę tej jakiejś hieratycznej sztywności, na której oparta została cała królewskość matki Zygmunta Augusta. Na ogół jednak, przy dzielnej pomocy p. Rapackiego, całość wypadła udatniej, aniżeli to z afisza wnosić było można.

III.

Sezon rozpoczęto po literacku od „Odprawy posłów greckich“ Kochanowskiego i komedyi Piotra Baryki „Z chłopa król.“ Nazwane to zostało „przedstawieniem inauguracyjnem,“ z czego wol-

no wnosić, że to był moment, zapowiadający rozpoczęcie u nas nowej doby teatru polskiego: zamiar zaś powtarzania przy ważniejszych okazyach tego widowiska zdaje się mieć znaczenie hasła, pod którem scena polska na inną wstępuje drogę. Szczerze pragniemy, aby to był istotnie początek „przełomu“ i żeby hasło nie stało się z czasem poprostu etykietą. Bo jednak „Odprawę posłów“ poprzedziła „Zaproszona“ Curela, a kiedy po paru wiewieczorach zamilkną przestrogi Antenora i wróżby Kasandry, znów jedna z niklejszych sztuk utalentowanego zresztą dramaturga francuskiego będzie drogowskazem nowego kierunku. Czy to tylko przypadek, lub symbol kończącego się okresu kierowniczego, dla którego busolą przy oryentowaniu się w obcym repertuarze była zawsze wydatna rola aktorska: czy też nową erę datować wypadnie od ukazania się na scenie Kochanowskiego, a w takim razie jakie dzieła ma później osłaniać opiekuńczemi skrzydły duch Jana z Czarnolasu? Miejmy nadzieję, że to blizka przyszłość wyjaśni i zobaczmy, jak wyglądała inauguracya.

Był to oczywiście eksperyment, niewątpliwie w najlepszej chęci podjęty. Czy praktyczny—o to możnaby spierać się z nowym dyrektorem dramatu i komedyi, bo w warunkach, w jakich wyrosła dzisiejsza publiczność, stosunek do niej kierownictwa na praktyczności przedewszystkiem oprzeć się musi. Są wszędzie w Europie szczęśliwe teatry, gdzie można na takie względy nie zwracać uwagi; ale tam przedstawienie w rodzaju owej „inauguracyi“ przemawia do kulturalnego widza, który od dziecka obcował ze swymi klasykami, lub do smakosza literackiego, szukającego w zabytkach piśmienniczych z przeszłości, jak w starem, wytrawnem winie, orzeźwiającego „bukietu“ odległych czasów. Inaczej z naszą publicznością teatralną, wychowaną przez p. Ludwika Śliwińskiego i kształconą przez szeregi lat w „Nowościach.“ W tę publiczność, której najstarsze generacye studyowały wojnę Trojańską w „Pięknej Helenie“ Offenbacha, a najmłodsze pokolenia najgłębiej są przekonane, że Wyspiański lepiej od samego Homera odtwarza świat grecki: w tę publiczność wmawiać wypadnie piękności „Odprawy posłów;“ wmawianie zaś na nic się nie przyda, jeżeli się przekonać nie zdoła. A jak tu przekonać niczem do tego nieprzygotowanych widzów: jak ich uwrażliwić na te echa najbujniejszego humanizmu polskiego, dolatujące do nas z oddali trzystu z górą lat spiżowemi dźwiękami wiersza Kochanowskiego; jak im wykazać, że utwór „niesceniczny,“ „wadliwie zbudowany,“ utwór, w którym się „nic nie dzieje,“ może być tragicznym mocą groźnego patosu, przenikającego luźne sceny

dramatu i dusze jego bohaterów: że ten tragizm, ten patos w tonie zasadniczym prawdziwie grecki, drga utajoną polską nutą, potrącaną przez obywatela, którego myśl i uczucie ulatuje ustawicznie z niepokojem i trwogą z nad brzegów morza Egejskiego ku Wiśle na skrzydłach słów Ulissesowych:

„O nierządne królestwo i zginienia blizkie!“

że to zatem nietylko ciekawy okaz literatury, ale dzieło piękne, którem każde piśmiennictwo poszczycićby się mogło?

Sam fakt przedstawienia nie wystarcza, jeżeli widz nie zobaczy go w świetle własnej, dojrzałej myśli. Przedewszystkiem więc o tę dojrzałość postarać się trzeba—i dla tego eksperymenty w tym rodzaju muszą mieć z konieczności cechę pedagogiczną. Z taką myślą niezawodnie uczyniono u nas próbę; tylko nie wiem czy właściwa ku temu obrana została droga, czy nie należało wprost przeciwnego sprobować kierunku, cofając się wstecz etapami literatury od współczesnej, ku coraz dawniejszej, ale z takiem stopniowaniem, żeby widz nie stanął nigdy przerażony dalekością czasów, dzielącą go od wskrzeszonego na scenie zabytku. W przedstawieniu inauguracyjnem odwrotnie złączono ogniwa ciągłości historycznej. Po XVI stuleciu z typowym jego wyrazicielem, Kochanowskim, nastąpiło XVII stulecie, uosobione w Piotrze Baryce; skończyło się zaś widowisko żywym obrazem z XVIII wieku, w którym literatura zamilkła, zachowawszy tylko gest wytworny. Może ten ostatni symbol był dobrze pomyślany; publiczność jednak najbliższą się znalazła Piotra Baryki i najswobodniej odetchnęła w XVII stuleciu. Nic dziwnego — rozśmiała się do niej krotochwila, a widz uszczęśliwiony odpowiedział jej szerokim śmiechem z grubych konceptów tej bufonady. Satyra obyczajowa? Zdaje mi się, że machnął na nią ręką, podobnie jak na polityczne alluzye w „Odprawie,“ nie odczuwając ani jednej, ani drugich. Jędrność i tężyzna współczesnego języka? Nie sądzę, by na to był wrażliwy namiętny czytelnik telegramów, „ostatnich wiadomości,“ propagator reporterskiej i kabotyńskiej gwary. Przyglądał się temu, jak maskaradzie w „Jowialskim,“ jak przygodzie „Błażka opętanego,“ jakby się przyglądał parafrazie Hauptmanna, gdyby kiedykolwiek „Schluck i Jau“ ukazali się na scenie — i wystarczała mu farsa. A kiedy jeszcze chłopstwo wyskoczyło mazura, zakręciło obertasa, wywinęło krakowiaka (wszystko to w XVII wieku!), uciecha dosięgła zenitu, zagrzmiała burza oklasków. I to był jedyny szczery oklask w ciągu owej „inauguracyi“ i kto wie, czy on nie zdecydował, zupełnie po warszawsku, o powodzeniu uroczystego przedstawienia.

Pragnąc zaakcentować w tem powodzeniu udział naszych artystów, zmuszony jestem zaznaczyć, że może jedną z przyczyn, dla których „Z chłopa król“ najlepiej się podobał, było właśnie to, że go najlepiej grano. Taki wynik eksperymentu jest zresztą zupełnie naturalny: będzie zaś innym wtedy dopiero, kiedy i do aktorów zastosuje się metodę pedagogiczną. Trudno od wyjałowionych na płytkim repertuarze wymagać, żeby stanęli odrazu na wysokości dzieł w szerokim stylu; do czasu więc musimy słuchać klasycznych wierszy, wypowiadanych w tonie gospodarskiego realizmu, lub wyśpiewywanych z fałszywą podniosłością; patrzeć na wyskakujące z pod chitonu tużurkowe gesty i tęsknić za interwencyą malarza w dekoracyjnej sceneryi.

Do czasu — póki kierunek artystyczno-literacki nie zaprowadzi w tem wszystkiem gruntownych reform.

A przecież od tego jest nowy dyrektor dramatu i komedyi.

Gdyby w przedstawieniu „Odprawy posłów“ działać miał istotnie czynnik pedagogiczny, to osobliwie doprawdy przy tej pedagogii wygląda „Zaproszona“ Curela. Ten Menelaj paryzki, siedzący na wsi z kochanką i wyprawiający przyjaciela z misyą do Wiednia, gdzie od 20 lat mieszka jego żona po swej ucieczce z domu, spowodowanej mężowską zdradą; ta Helena, obywająca się wprawdzie bez Parysa, ale też nie ciekawa zobaczyć, jak wyglądają córki, o które przedewszystkiem chodzi ojcu, bo mu w jego romansie przeszkadzają; ta „odprawa posła,“ rozpoczęta a niedokonana jedynie dzięki innej zgoła ciekawości kobiety, spieszącej obejrzeć podrobione ognisko domowe, jakie sobie „bez niej“ małżonek urządził; ten skok obiema nogami z pośród „tragedyi, powagi i ciszy greckiej“ w mikroskopijny światek psycho-fizyologicznych drobnoustrojów filistra, — wszystko to było ryzykowne. I ryzyko ciśnięto na jedną szalę, na drugą talent pisarza. Czy talent przeważy? Zobaczymy. Tymczasem warto rzucić okiem na jego fizyognomię.

Jest w niej trochę pokrewieństwa z fizycznym wizerunkiem Curela. Czterdziestokilkoletni mężczyzna, przysadzisty, kanciasto zbudowany, o wyglądzie wieśniaka, z twarzą spaloną od słońca i wysmaganą wichrami, wydaje się autor „Zaproszonej“ w pierwszem zetknięciu oschłym, szyderczym sceptykiem. To poza. Pod chłodem, „zrobionym“ pod rozśmianą nerwowo obojętnością, kryje się bardzo żywa wrażliwość, maskuje się nieśmiały, tkliwy samotnik. Bo Franciszek Curel przepada za samotnością. Wyrosłszy w zamku, ukrytym wśród lasów, pod opieką babki i starego proboszcza, zostawił tam najlepszą część duszy, za którą

tęskni, do której wraca, spędzając chętnie czas wśród chłopstwa, wyładowując w zapamiętałych łowach nadmiar fizycznej energii. Umysłowa i moralna znajduje ujście w tworzeniu, noszącem na sobie piętno tego namiętnego odosobnienia. Paryżanin zapomina wtedy o Paryżu, a „oderwanie się od życia“ traci cechy przenośni, staje się faktem realnym, odbitym, jak w zwierciedle, w twórczości Curela, obcującej wyłącznie z fikcyjnemi postaciami, którym talent dawnego ulubieńca „sceny niezależnej“ Antoine'a użycza złudnie żywych, naturalistycznych gestów. Ten wpływ natury i samotności, tak widoczny w pierwszym akcie „Kopalnych,“ przeniknionym szerokiem tchnieniem i odurzającą wonią borów, przyczynił się także, przy pomocy Schopenhauera, Sterne'a i Stendhala, do ukształtowania w pewnym kierunku umysłu Curela. Tu źródło tej cierpkości, tego wyniosłego charakteru, niedopuszczającego żadnych ustępstw, kompromisów ani półśrodków; tu uzasadnienie pesymizmu życiowego, ironii, specyficznym zabarwionej humorem i upodobań w subtelnej psychologii. W takiej atmosferze twórczości rodzić się zwykły kreacye myślowe, którym zarówno środowisko natury, jak filozoficzne zapędy usuwają z pod nóg grunt normalnych stosunków społecznych, przenosząc je albo w sferę teoretycznych, ideowych kombinacyj, jak w „Ostatniem bożyszczu,“ albo w świat osobliwszego egzotyzmu, jak w „Dzikiem dziewczęciu.“ I rzecz dziwna! takiemi tworami myślowemi są u Curela najczęściej... kobiety. „Autor „Zaproszonej“ ma przeciwko sobie wszystkie kobiety, co może jest najlepszym sposobem mieć je wszystkie za sobą.“ Tak dowcipnie mówi o Curelu René Doumic. Jestto oczywiście koncept; ale w tym koncepcie tkwi odrobina prawdy. Stroniąc od tego, co Francuz „światem“ nazywa, Curel szukał jednak towarzystwa niezwykłych kobiet i one może popchnęły go na drogę, na której spotykał się z rozgłosem. Nikt też nie uwierzy w głoszoną przezeń pogardę dla kobiety, „jako dla ślicznego i nieobliczalnego zwierzątka.“ To znów poza, której przeczy cały repertuar Curela, wypełniony kobietami; przeczy zaś tembardziej decydująco, że „obliczalność“ jest właśnie panującą cechą tych istot, żyjących przedewszystkiem natężonem życiem myślowem. Kobiety Curela zastanawiały się dużo, żyły nietylko sercem lecz inteligencyą i nietylko marzyły, ale z marzenia swego wytworzyły ideę, do której chciały dostosować życie. Stąd błędy i opłakane ich w życiu następstwa; stąd mózgowy przeważnie charakter tych niewieścich postaci; stąd anomalia wytwarzanych przez takie charaktery sytuacyj, które

wyglądają, jak światy egzotyczne, odkrywane w psychologii. Przypatrzmy się temu odkryciu w „Zaproszonej."

Pani Anna de Grécourt, opuściwszy przed kilkunastu laty męża w przystępie oburzenia na jego zdradę i zostawiwszy mu, jak Medea, dwoje dzieci, o których losie nic nie wie (co jej widocznie *nie zakłóca snu ani psuje apetytu*), rozprawia w naszej obecności nad propozycyą p. Bagadais, przybyłego umyślnie do Wiednia w celu nakłonienia matki, aby przecież zajęła się trochę dorosłemi już córkami. Obecność sympatycznego pośrednika powinnaby podwójnie wzruszyć panią de Grécourt: wspomnieniem cichej, wiernej miłości p. Bagadais, którą odrzuciła, dawszy pierwszeństwo panu de Grécourt: i szlachetnością misyi, podjętej przez dawnego, wyprobowanego przyjaciela. Pani de Grécourt dyskutuje. Więc to poprostu egoistka? Nie. Niegdyś, przed podniesieniem zasłony, kiedy nas w teatrze nie było, cierpiała podobno, cierpiała wytrwale, nie ruszając się na krok z Wiednia. Potem „zastanawiała się dużo," a teraz dzieli się z nami wynikami tych refleksyj nad spopielonem sercem, nie bijącem już na myśl o rozkoszach macierzyństwa. I może z kwitkiem odszedłby p. Bagadais, gdyby mu się nie była wymknęła wzmianka, że pod dachem p. de Grécourt mieszka jego metresa, pani de Raon. Krew uderzyła do głowy separatce i serce, którego bicia nie przyśpieszyła tęsknota do opuszczonych dzieci, tętni mocniej pod przypływem podejrzanej ciekawości.

Ciekawość ma się czem karmić w drugim akcie. Mąż, przedstawiony w „dzikiem stadle" z kochanką, z którą pozwala, a nawet nakazuje obcować własnym córkom, otwierając im oczy na brzydoty życia; żona, zjawiająca się wśród tego czułego *home* na wyraźne wezwanie męża i zachowująca wobec córek *incognito*, ażeby łatwiej ogarnąć sytuacyę i swobodniej stanąć oko w oko ze swoją przemycaną następczynią; wreszcie, spoglądający na to wszystko okiem zrezygnowanego filozofa przyjaciel, któremu nie starzejące uczucie zdaje się ciągle szeptać... „oto jak jest, a jakby mogło być!" — cóż to za materyał dla osóbki tak rozkochanej... w analizie, jak pani de Grécourt!

Łatwo też domyśleć się, jakim trybem pójdzie ten drugi akt. Nie chodzi tu oczywiście o niespodzianki sytuacyjne. *Incognito* skończy się odrazu; stosunek podrobionej rodziny do prawdziwej stanie się dla wszystkich jasnym od pierwszych zaraz scen: w dalszych zaś, nie kierowanych właściwie ku jakiemuś wytkniętemu punktowi kulminacyjnemu, idzie już tylko o to, co kto komu powie, znalazłszy się w najdrażliwszej, jaką można wykombinować

pozycyi: jak dziewczęta będą mówić z panią de Grécourt, dowiedziawszy się, że mają przed sobą matkę; jak rozprawią się mąż z żoną przy pierwszem spotkaniu; co usłyszy ojciec od córek, uświadomionych o wszystkiem z chwilą przybycia matki; jak się zmierzą na słowa dwie kobiety, które nigdy pod tym dachem nie powinny się były spotkać? Dyalog występuje oczywiście na pierwszy plan, wchłaniając w siebie wszystkie inne czynniki sceniczne. Ale jest w nim coś więcej prócz francuskiego *esprit:* są rzuty charakterystyczne, pod któremi drgają życiem śliczne sylwetki panien Grécourt, porusza się ociężale figura zakonserwowanego w pospolitym cynizmie pana de Grécourt, a nawet daje znać o sobie „przyjaciółka domu“ pani de Raon... Jedna tylko „zaproszona“ ma widocznie chwilami kłopot ze swoją zawikłaną psychologią. Na szczęście dano do rozplątania tę zagadkę pani Lüdowej, która się z tego wywiązała ze zwykłą subtelnością i finezyą. Rolę męża utrzymał pan Wolski w tonie dyskretnego komizmu. Pełną serdecznej szczerości była pani Tekla Trapszo, grająca jedną z córek; drugą przedstawiła, probując sił poraz pierwszy na naszej scenie, pani Pawińska, której uzdolnienie mieliśmy już sposobność śledzić gdzieindziej.

IV.

Nazwisko pani Pawińskiej służy mi za ogniwo, łączące uwagi nad zwrotem kierowniczym w tutejszych teatrach rządowych ze wzmianką o objawach żywotności na scenie „Teatru Małego w Filharmonii.“ Nie pierwsze to ogniwo w tym rodzaju, nie pierwszy raz artyści emigrują od p. Gawalewicza na plac Teatralny, lub nawet za kordon i nigdzie wstydu „Teatrowi Małemu“ nie przynoszą,—co jeżeli niewieleby znaczyło na rządowych scenach, przy obecnym ich stanie, jest w Krakowie, w teatrze dobrze prowadzonym, wymownem świadectwem o artystycznym poziomie sceny w Filharmonii. Dramat warszawski zabrał p. Gawalewiczowi p. Brydzyńskiego, artystę bardzo zdolnego, odznaczającego się w dyskretnej dykcyi, w powściągliwej gestykulacyi, w inteligentnem ujmowaniu roli niezwykłem poczuciem miary estetycznej; krakowski teatr pozyskał p. Kosińskiego, który zdobył sobie na tamtejszej scenie poważne stanowisko i rzetelne uznanie; niedawno zaś nowy dyrektor teatru Rozmaitości zjednał do swego personelu panią Pawińską, której pierwszy występ w „Za-

proszonej“ dowiódł, że aktorka, z natury zdolna, dobrze była w Filharmonii do tego debiutu przygotowana. Jest zatem „Teatr Mały“ rodzajem seminaryum, gdzie przerabia się w praktyce teatralnej pożyteczny, często cenny materyał aktorski, z którego korzystają najpoważniejsze teatry. Mógł zaś stać się taką pepinierą dzięki urozmaiceniu i żywotności repertuaru, nie pozwalającej rozwielmożnić się na scenie aktorskiemu wirtuozostwu. Nie przewodzi też w reprodukcyi dzieł w teatrze Małym despotyzm talentów, choćby się tam i znalazły: natomiast w całości panuje ton, wydobywający z utworu nastrojowe efekty. Rozdźwięk rzadko się trafia; wywołała go, niestety, w wybornej sztuce Bernarnarda Shawa „Profesya pani Warren“ niewłaściwa obsada roli tytułowej. Ale po za takiemi wyjątkowemi wydarzeniami, jakże często sam tylko zespół stanowi o sile dodatnich wśród publiczności wrażeń!

W typowy sposób oddziaływa taki zespół w wystawionym niedawno przez p. Gawalewicza dramacie Hermana Heijermansa „Dzień zaduszny.“ Dramat bardzo cichy, bardzo *intime;* ale w tych czterech ścianach skromnej plebanii w małej nadmorskiej mieścinie rozgrywają się wielkie ideowe zapasy. I wobec sceneryi, zbliżonej do środowiska, gdzie rozwinął się w naszych oczach dramat „Rodziny Malefilâtre,“ trudno doprawdy odepchnąć nastręczające się naturczywie zestawienie dwóch koncepcyj życia u Francuza i u Holendra: tam gonitwa za ciałem, tu walka o duszę: tam szamotanie się zmysłowych instynktów, tu odwieczny tragizm sporu między formą a treścią ideałów religijnych. Nie potrzeba chyba rozwodzić się nad tem, co trudniej zagrać. Artyści „Teatru Małego zwycięzko wyszli ze wszystkich trudności, co za tem większą zasługę policzyć im wypadnie, że nie brakuje w „Dniu zadusznym“ sposobności do popisu „pierwszych skrzypców.“ Nie nadużyli ich jednak ani panna Duninówna ani p. Weychert. Przedstawione przez nich postacie wystąpiły naturalnie w grze pełnej wyrazu na pierwszy plan, bo je tam idea dramatu wysuwa; lecz nie padł od nich cień nawet na najbardziej epizodyczne figury i całość wzruszyła do głębi najoporniejszych widzów.

O „Marszu weselnym“ Bataille'a wspominam dla dokładności. Ta historya „wolnej miłości,“ traktowana po francusku, dostarczyła wprawdzie tej samej parze artystów jeszcze jednej okazyi do uwydatnienia rozwijających się talentów, sama przez się jednak nie wykracza po za francuski szablon. Natomiast z przyjemnością notuję, że „Teatr Mały“ chce być ostoją dla młodych dramatopisarzów. Widzieliśmy tam „Chimerę“ p. Stefana

Kiedrzyńskiego, „smutną komedyę,“ rozsnuwającą trochę retorycznie, nieco deklamacyjnie, choć z niewątpliwym temperamentem dramatycznym, odżywający w każdem nowem pokoleniu antagonizm między „starymi“ i „młodymi.“ Chimerą jest tu szczęście, na które oczywiście inaczej zapatrywać się muszą „ci, którzy odchodzą“ i „ci, którzy przychodzą.“ Stąd bolesna kolizya w małżeństwie, skojarzonem przez rodziców-filistrów i zwycięstwo szablonu życiowego, przygniatającego szczęście „nienormalne.“ Trio wykonawców, złożone z p. Lipczyńskiego i pań Pytlińskiej i Jarszewskiej, dzielnie poparło ten początkowy występ młodego autora.

Pokazano nam i „Podczłowieka,“ którego twórcą jest p. Tadeusz Jaroszyński. Typ tak nazwany zawdzięcza oczywiście jeżeli nie życie, to przynajmniej miano swoje Nietzschemu. Gdyby nie wymyślono „nadczłowieka,“ nie byłoby mowy o „podczłowieku,“ zwłaszcza, że nowa jest tylko nomenklatura, gatunek istniał zawsze i zwał się poprostu „szubrawcem.“ Ale *der Name thut nichts zur Sache;* więc mniejsza o nazwę, kiedy postać żyje i skupia w sobie, może nieco karykaturalnie, rysy, rozproszone wśród tłumu „podludzi.“ Jaroszyński nietylko patrzy uważnie, ale i widzi dobrze. Jego malarskiemu oku nic nie ujdzie, wszystko układa się w syntezę dotykalnej, wypukłej plastyki, która na scenie żywemi pulsuje tętnami. Mimo zatem pewną odrazę, której się doznaje na widok kanalii nazwiskiem Moderno (zastanawiające nazwisko!); mimo odruch oburzonej niewiary, powątpiewającej o istnieniu takiej mamy, jak pani Matylda, która pomaga synowi do frymarczenia dla karyery wdziękami własnej żony (inna znowu parafraza tematu „starzy“ i „młodzi“)—jest się pod wrażeniem wytężonej obserwacyi bystrego spostrzegacza. Obserwacya działa często środkami wydoskonalonemi w praktyce powieściopisarskiej, przeładowując charakterystykę osób i napięcie sytuacyj drobiazgami epickiej natury, co w kombinacyi z malarskiemi nawyknieniami autora, zatrzymuje niekiedy ruch w jakimś przedłużonym uczuciowym geście w jakiejś zakrzepniętej psychologicznej pozie; ale prawda, bez względu na to kto ją poda, powieściopisarz, malarz, czy dramaturg, zostaje wymownie przedstawioną prawdą, zwłaszcza, gdy ją popiera ożywiona gra pp. Weycherta, Siemaszki, Staszkowskiego i Różyckiego, oraz pań Pawłowskiej i Bartoszewskiej.

Życie, jak widzimy, wzmaga się w „Teatrze Małym,“ wzmożenie zaś rozpoczęło się naprawdę z chwilą wyjazdu p. Kazimierza Kamińskiego, który swemi „koncertowemi“ rolami unieruchomiał repertuar w Filharmonii. Cenimy wysoko talent p. Kamiń-

skiego, niedościgniony w osiąganiu aktorską sztuką charakterystyki zewnętrznego człowieka i chętnie przyznamy, że artysta-plastyk niełatwo znalazłby równego sobie w takiej roli, jak generał w komedyi rosyjskiej Kryłowa: „Pierwsza mucha;“ ale pamiętamy przytem, jak w tejże samej Filharmonii muzycy wirtuozowie odwrócili uwagę słuchaczów od dzieł symfonicznych. A tylko symfoniczny zestrój powinien być ideałem sceny Maryana Gawalewicza. Niechże więc i „Teatr Mały“ ma swój pomyślny „przełom.“

W. Bogusławski.

Ruch literacki we Francyi.

Paweł Bourget: *L'Emigré.* — Marceli Prevost: *Femmes.* — Z powodu śmierci Sully Prudhomme'a.

„*L'automobile contournait le chevet de Saint-François-Xavier...*“ Tak zaczyna najnowszą swą powieść Paweł Bourget. W ten sposób od pierwszego zdania książki wiemy gdzie i w jakiej epoce rzecz się dzieje! W istocie: kościół św. Franciszka-Ksawerego należy do uprzywilejowanej kategoryi świątyń arystokratycznego przedmieścia St. Germain; zaś wzmianka o automobilu — stawia nas odrazu w toku chwili bieżącej, chwili sporządzania inwentarzów po kościołach trzeciej respubliki, a szalonego rozpędu sportu samochodowego. Zresztą jedno i drugie ma przywilej zaprzątania w dobie obecnej salonów najwyższych sfer Paryża...

Paweł Bourget był zawsze „w tonie.“ Nie mogliśmy się też mniej po nim spodziewać. On sam również uczęszcza na salony z okolic św. Franciszka-Ksawerego i zna niedostępną dla innych autorów rozkosz samochodu. Paweł Bourget zawsze jest w tonie: czyż nie on w swoim czasie poinformował wyższą cząstkę trzeciej rzeczypospolitej o zamorskich obyczajach „Piątej Avenue“ — naturalnie był zaproszony tam przez któregoś Gould'a czy Vanderbilta, co się także nie każdemu zdarza. Jeśli zaś mówię, że Paweł Bourget odkrył Amerykę, a raczej *Piątą Avenue* w swoim czasie, to bynajmniej nie znaczy to, że uprzedził w tem np. Kolumba, a bodaj nawet reportera Huveta. Broń Boże, Paweł Bourget wogóle nigdy nikogo i nic nie wyprzedza. Co robi — robi zawsze w swoim czasie, to znaczy w czasie, kiedy na salonach St. Germain rzecz staje się modną. I to jest jeszcze jeden dowód wielkiego rozsądku tego akademika: skoro nie można salonom na-

rzucać mody, jak to czynił np. pan de Chateaubriand, to najlepiej iść za ich modą, jak to czyni pan Bourget.

Tak więc wiemy już, gdzie i kiedy rzecz się zaczyna — teraz idźmy dalej: każdy frazes tego *entrée en matière* jest tu godną zastanowienia rewelacyą:

„*D'un geste instructif Laudri de Claviers-Grandchamp saisit le porte voix. Il cria au chauffeur d'arrêter devant une des entrées latérales. La puissante limousine roulait encore, qu'il s'était élancé sur le trottoir et il disparaissait dans l'église pour en ressortir, quelques secondes plus tard, par le grand portail, sur le boulevard des Invalides...*“

Bądźmy tylko uważni w wieku powodzenia Scherlock Holmesa, zechciejmy na chwilę skupić się nad tym urywkiem prozy akademickiej i wyciągnąć z niej co się da. Upewniam, że wyciągniemy założenie romansu. Więc najsamprzód to imię: Laudri de Claviers-Grandchamps—każdy rozumie, że to jedno z „największych nazwisk Francyi.“ I nie mylimy się, tak, jestto jedno z największych nazwisk Francyi. Rodzina Claviers de Grandchamps spokrewnioną jest nawet z arystokracyą angielską i z hr. Gorka—tym samym Gorka, który w *Cosmopolis* reprezentuje znów „jedno z największych nazwisk“ Polski.

Że Laudri jest młody, nie potrzebujemy dowodzić: wszakże wyskakuje z samochodu, nie czekając aż się zatrzyma! Że Laudri jest bogaty, to również wiemy: na *limousine* lada kto sobie pozwolić nie może, a że ten powóz jest jego, a nie wynajęty, to znów wynika z faktu, że zatrzymuje się i wyskakuje przed kościołem, nie płacąc. Wreszcie jasną jest rzeczą, że Laudri wchodzi a raczej przechodzi przez kościół, by udać się na schadzkę. Tak jest: podczas gdy ordynarniejsza cząstka trzeciej rzeczypospolitej używa w tym celu magazynów, jak Bon Marché, Louvre — tamta, wyrafinowańsza, z St. Germain, używa kościołów (naturalnie arystokratycznych). Nic prostszego: powóz (przepraszam: samochód) zatrzymuje się przed François-Xavier, a pani (czy pan) o „jednym z największych nazwisk Francyi“ wchodzi jednemi i wychodzi drugiemi drzwiami, śpiesząc na schadzkę. Tymczasem zaś stangret (przepraszam: *chauffeur*) czeka melancholijnie przed kościołem. To bardzo nawet socyologiczne w rozumieniu przedmieścia St. Germain: cóż, że pan czy pani idą na grzeszną schadzkę? Ale za to pospólstwo, patrząc na godzinami stojący herbowy wehikuł przed kościołem, ufa, że arystokracya jest dobrze, bardzo dobrze z Panem Bogiem...

Więc już teraz wiemy tyle o najnowszej powieści Pawła Bourget'a, że prawdziwie moglibyśmy się nie kusić o zgłębianie dalszych perypetyj romansu Laudri de Claviers-Grandchamps... Gdyby nie jedna okoliczność. Oto Paweł Bourget, jak zwykle, tak i tym razem, w kruchej a stereotypowej łupinie swego romansu przemyca — zagadnienie. Tym razem nie jest to zagadnienie psychologiczne. *Il faut varier ses plaisirs*... Autor tylu „zagadek“ mniej lub więcej psychologicznych — tym razem znowu stawia zagadnienie społeczne. Ostatecznie: monokl światowca może być nie mniej dobrem narzędziem obserwacyi, jak złote okulary profesora. Paweł Bourget umie operować monoklem. Jako spowiednik dam z towarzystwa, powieściopisarz na salonach dzisiejszych nie jest że czemś w rodzaju *labusiów* owych z XVIII w. w jedwabnych pończoszkach? Umiał ustawiać monokl w samo sedno ich „zagadek.“ Jako towarzysz sportowy panów z tejże sfery, umie znowu z monoklu uczynić lunetę obserwacyjną i z wysokości samochodu przejrzeć w lot splątane węzły społecznych powikłań.

Monokl, limuzyna, niewątpliwie „największe imię Francyi,“ przejście przez kościół Franciszka-Ksawerego, własny *schauffeur*— wszystko to zatem tylko sztafaż, na którym teraz zostanie postawiony problemat socyologiczny. Naturalnie, że w tych warunkach, na tak misternem rusztowaniu taką ciężką kolubrynę, jak problemat socyologiczny, ustawić może nie lada kto. Paweł Bourget uczynić to potrafi tak zgrabnie, że „świat“ (ten prawdziwy, z przedmieścia St. Germain) nic a nic się nie obrazi, zaś książka rozejdzie się po świecie całym (w znaczeniu geograficznem) w przepisanej dla szanujących się autorów liczbie czterdziestu wydań.

Laudri de Claviers-Grandchamps, choć młody i piękny, nie jest właściwie bohaterem romansu. Bohaterem jest margrabia-ojciec, żywy portret, ucieleśnienie Rasy, pan z panów, wywodzący się gdzieś od Merowingów, coś z Franciszka I-go, coś ze splendoru Ludwików.

W chwili, gdy Bourget uchyla pierwszych rąbków nad problematem społecznym, który nam postanowił oświetlić, wielki pan jest właśnie w głębi swych lasów, na czele świetnego orszaku myśliwskiego. Róg wygrywa *hallali*, tłum strojnych pań i panów w malowniczej grupie otacza powalonego zwierza—w oddali sfory psów, czerwone fraki dojeżdżaczy, aksamitne berety panów, trójgraniaste kapelusze pań—jeszcze dalej tłok pojazdów i samochodów na rozstaju leśnem, a wszystko razem w obramieniu majestatycznych buków i dębów, jakoby jeden z owych przecudow-

nych gobelinów z Fontainebleau ożył i rozwinął się w przepyszną scenę rodzajową.

Margrabia-ojciec jest tu w swoim żywiole. To jego państwo, to jego samowładza dziedziczna, gdzie mimo wszystko pozostał tem, czem był jego pra-pradziad—patryarchalnym wielkim panem. Tak mu się przynajmniej zdaje...

Potem ujrzymy go w innem znowu otoczeniu—na tle przepysznej, rasowej stadniny, dosiadającego znamienitej krwi rumaków, dumnego z ich rasy i chowu, jak bywał dumny pra-praszczur rodu...

Potem wreszcie, pod sklepieniami zamku, gdy całe towarzystwo zaproszone na polowanie zasiądzie do uczty, margrabia-ojciec powiedzie wzrokiem po tej czeladzi klientów rodu i biesiadników, a nie brak tam i uboższych szlachciców z okolicy, i znowu uczuje w sercu radość i dumę, że jest na stanowisku — na stanowisku przywódcy klanu, przełożonego nad tą niby wielką rodziną współrodowców.

I znowu będzie mu się zdawało, że nie uszczuplił w niczem dziedzictwa Rasy, że jest jej godnym przedstawicielem, jako ongi w mroku wieków gubiące się postaci praszczurów Rodu... Tak mu się zdaje za każdym razem: na łowach, w stajni, przy stole... My jednak wiemy, że tak nie jest, że margrabia-ojciec jest właściwie po kolei Wielkim Łowczym, Wielkim Koniuszym i Wielkim Podczaszym własnego rodu — nie zaś jego na modłę starodawną—Naczelnikiem. Tożby wyczerpywało rodowe posłannictwo: polowanie, stadnina i uczty?!

Stary, „żyjący portret,“ ostatni potomek wielkiego rodu zapomina fatalnie o jednem: o tem, że wielkość rodów stanowiła wielkość zasług, a wielkie fortuny były jeno tych zasług bujnie wzrastających — nieodzowną miarą. A gdy zasługi plenić się przestały, ród na samej li fortunie osiadły, osiadł na mierzwie i więcej nic.

Tymczasem ani margrabia, ani syn jego nie mogą sprostać nowym zadaniom życia w nowej społeczności, zasług służbą pospolitą przymnożyć Rasie nie mogą. Syn jeszcze rozpaczliwie probuje wżyć się w tok spraw trzeciej rzeczypospolitej, ale on, przedstawiciel Rasy, zrezygnował i oto jest w swojej społeczności własnej—emigrantem. Emigrantem jest, wychodźcą z innego świata, z *ancien regime* — z uporem trwającym na tem, co uważa za posterunek, za stanowisko rodowe... I nie czuje niepoprawny, wielki pan, że jest tylko koniuszym, tylko łowczym swego rodu— i przytem złym łowczym i złym koniuszym, bo nie umie nawet

obrachować kosztu swych stadnin i polowań na miarę nowych stosunków i rozprasza magnacką fortunę, gdy dawni rodowcy jej przymnażali.

Widzieliśmy już nieraz ten problemat społeczny w mniej lub więcej uwodzicielski sposób przez poetów lub powieściopisarzy wyrażony. Doznawaliśmy już nieraz niebezpiecznych sympatyj dla takich starych „żyjących portretów," odrobiną własnych, „rasowych" pretensyj (któż ich niema!) solidaryzujących z ich niepoprawnym błędem, nieraz już ułudny powab rodowości przysłaniał nam brzydotę tego bytu w mierzwie, tego rozpraszania fortun i zasług historycznie prawych — dla nieprawych sofizmatów pychy i sobkostwa!...

Tu Paweł Bourget wyczerpuje do dna niemal wszelkie powaby typu, roztacza przed nami rycerskość jego charakteru, szeroką, wielkopańską dobroć, animusz, dobroduszność — by potem tem niezawodniej, tembardziej nieodwołalnie ukazać bankructwo takiej wśród społeczności popasającej emigracyi.

Bo oto bezlitośny socyolog w monoklu ukaże nam po kolei wszystkie podstawy bytu wielkiego pana w stanie zupełnego zbutwienia. Prawdziwie, jakby kto wykradł ten relikwiarz rodowy i na miejsce relikwij nasypał—gorzej niż próchna.

Więc stary margrabia wierzy w świętą sprawę utrzymania rodowego dziedzictwa — tymczasem, dziecinnie nie rachunkowy, trwoni je i jest w przededniu ruiny. Te prastare lasy, te pola i błonia rodzime, to gniazdo rodowe, pełne bezcennych pamiątek i klejnotów wielkiej przeszłości—wszystko to zakupi jakieś mniej lub więcej amerykańskie konsorcyum... Wszystko to stanie się zdobyczą mniej lub więcej anonimowych szczęśliwców giełdy, handlu lub przemysłu.

Ale dla czegoż margrabia trwoni i wydaje nad miarę? Oto dla tego, że zdaniem „emigranta," jednym z obowiązków wielkich rodów jest utrzymywać opiekuńczo małe rody: Claviers de Grandchamps muszą więc trzymać armię gajowych, psiarzy, dojeżdżaczy, masztalerzy, stajennych, rządców, burgrabiów — bo to jest jakby jedna solidarna rodzina. I otóż ludzie tej właśnie sfery, ludzie zaufani—przyśpieszają bankructwo margrabiego, gdyż okradają go i konszachtują z wrogami. Więc i tu bankructwo!

Ale nie tu koniec klęsk, godzących w nowoczesnego Hioba. Oto pozostaje mu jeszcze jedno palladium: Rasa. Ta więc jest jego ostatnią ucieczką—czystość rasy, czystość szlachetnej i uszlachetnianej od tylu pokoleń krwi! To jednak inna krew, niż ta, co ciecze w żyłach przeciętnego burżuja! Dość spojrzeć na syna,

na Laudri! Ale on sam jest właśnie dzieckiem grzechu ze stosunku żony margrabiego z kimże?—no, naturalnie nawet nie z herbownym, lecz ze zwykłym, wcale nieurodzonym gachem!... Otóż więc i bankructwo rasy!

Tak osaczywszy biednego Emigranta, czuł się niewątpliwie powieściopisarz tryumfatorem, przynajmniej na polu socyologii! Że zaś przytem rozwinął rzadki „takt“ w dotykaniu rzeczy drażliwych (Inwentarze!), że potrafił tu i owdzie być nieprzyjemnym dla legalnych przedstawicieli trzeciej rzeczypospolitej (cóż to za chamy!), że wreszcie tu i owdzie zręcznie podmalował dekoracyę polowania lub przyjęcia (*genre epique*)—więc mógł się spodziewać nawet pewnego uznania ze sfery St. Germain.

Ale majstersztyk socyologii w monoklu, pędzącej z szybkością 40 wydań na rok na motorze *Plon-Nourrit, Editeurs*, podziwiać mamy dopiero przy końcu.

Otóż Emigrant (problemat socyologiczny) powalony. Ale ileż delikatności uczuć jawi wobec ex-ojca czuły Laudri: ni mniej, ni więcej tylko sam również skazuje się na emigracyę, tym razem prawdziwą, by niczem nie zadrasnąć splendoru „wielkiego nazwiska!“ Dla honoru „wielkiego nazwiska“ Claviers de Grandchamps z żoną i dzieckiem opuszcza Francyę (a to przecież jeszcze większe nazwisko)!

To nawet jest ostateczny tryumf i pogłębienie Rasy: bo to przecież mieszczański batard zdobywa się na ten gest „rycerski“ wobec starca!

Mimo to mniemam, że w tym właśnie miejscu czytelnik zaczyna mieć pewne wątpliwości i co do socyologicznej kompetencyi Bourget'a i co do rycerskiej młodego Laudri. No, no! Czy jednak tak właśnie stoi socyologiczny problemat rasy i wielkich rodów i czy z drugiej strony ten szlachetny młodzieniec nie przesadza nieco w „rycerskości,“ wskutek czego wygląda trochę na... przebranego w ten heraldyczny rynsztunek poczciwca, któremu na imię po prostu—Paweł Bourget?

Śpieszmy jednak do zakończenia. Na tyle poświęceń ex-syna, jakże reaguje ex-ojciec? Oto tak: nie wstrzymuje syna, który rzuca z rodziną ojczyznę, nie; nie towarzyszy mu także w wygnaniu, nie—gdzieżby zaś porzucił klub i polowanie (wynajęte)?... Ale za to, zawinąwszy się romantycznie w płaszcz, staje na wybrzeżu morskiem, gdy odbija statek ekspatryacyjny, i tak, w zapadającym mroku, pozwalając wiatrom igrać z fałdami płaszcza, samotny—co robi? Pozuje panu Pawłowi Bourget do finału *genre Empire!*...

Nie, nie—tu coś nie tak, zarówno w problemacie socyologicznym Rasy, jak i w jej odczuciu przez psychologa w monoklu, który bywa na salonach St. Germain...

*

* *

Powieść nie jest traktatem socyologicznym. Nawet wówczas, gdy stawia sobie jakieś *zagadnienie*, powieść jest tylko jego przykładem, nie zaś rozwiązaniem. Tak stoją rzeczy z punktu widzenia logiki. Z punktu widzenia jednak autorów i publiczności, jest inaczej. Wielu autorów, piszących powieści na tezy filozoficzne lub społeczne, uważa przykład, który opisują, za dowód, wypadek szczególny—za syntezę. Publiczność zaś jaknajchętniej uogólnia zawartość takiej powieści z bajeczki po dziecinnemu wyciągając morał. Dla tego to, choć logicznie rzecz biorąc Emigrant Bourget'a jest tylko emigrantem Bourgeta i niczem więcej—to w rzeczywistości, zarówno autor, jak publiczność, rościć doń będą pretensye daleko obszerniejsze. Już autor chce w nim widzieć „żywy portret“ rasy, doskonały okaz rodowca — publiczność niewątpliwie podniesie go do rangi t. zw. *typu*, zaś w wymianie opinii posługiwać się nim będzie, jako *symbolem*.

Dla tego, nie zaprzeczając zgoła margrabiemu Claviers de Grandchamps prawa do istnienia indywidualnego, musimy tu porobić jeszcze zastrzeżenia co do jego typowości i symboliczności w stosunku do pojęć Rodu i Rasy. Wielki pan, pan z panów, z dziada pradziada, marnotrawiący fortunę rodową na polowania i przyjęcia, dziecinnie dający się oszukiwać dookoła, nie robiący nigdy rachunków—jest że to typ czy symbol Rodu? Wolne żarty: gdyby na takich opierały się Rody, nie urosłyby i nie utrwaliły się nigdy ich fortuny, zgoła nie powstałyby Rody same! Że tam są utracyusze, trwoniący zarówno skarb tradycyi, jak bogactwo Rodu równie bezmyślnie, jak lada synek kupiecki, to pewna. Ale że cechą charakterystyczną Rodów jest właśnie raczej sępia zabiegliwość o dziedzictwo, to chyba aż nadto zrozumiałe.

Nie, stary utracyusz, mimo swych przewspaniałych gestów, nie jest typem Rodowca — ot, jest raczej okazem zdziecinnienia, jakich nie brak w każdej sferze, a jakich pono nie mało wśród łatwo dorabiających się i łatwiej jeszcze bankrutujących milione-

rów. Tam szaleje przecież istna zamieć chorobliwych zbytków, półpańskich (nie wielkopańskich) fantazyj, nienasyconych apetytów — zamieć, która setkami zmiata z powierzchni zbytku owe wyzłocone efemerydy królów i królików użycia!

Nie zdaje mi się również, by stary „żyjący portret“ był typem lub symbolem Rasy i to mimo podobieństwa do Franciszka I-go. Rasa jest pojęciem potężniejszem od tych czy innych konjunktur społecznych chwili bieżącej. Rasa, w znaczeniu wyborowej hodowli typu ludzkiego w pewnej kulturze i tradycyi, potwierdzenie swe ma nietylko wśród arystokracyi, ale może nawet stokroć tęższe i wśród chłopów, i wśród starych rodzin mieszczańskich.

Rasa tryumfuje nad potopem zmian i rozkładem stosunków, dając społecznościom wyborowe jednostki, dziedzice cnót i energii licznych pokoleń. Jeden batard pojęcia Rasy nie wywraca, i owszem, jest jego potwierdzeniem, gdyż sam często, jak ów Laudri, nasiąka tak cechami Rasy, że prawie jest jej przedstawicielem. A dzieje się tak dla tego, że Rasa w społeczności nie jest pojęciem fizyologicznem, jak w stadninie końskiej, lecz pojęciem przedewszystkiem kulturalnem. Nie krew, krążąca w żyłach, tworzy Rasę, tworzy ją przedewszystkiem tradycya, krążąca w sumieniach.

Ani Rasy, ani Rodu swego nie jest spadkobiercą ostatni koniuszy, czy ostatni łowczy rodziny Claviers de Grandchamps i próżno staje w pomnikowej pozie na morskiem wybrzeżu: nie on jest swego rodu pomnikiem, nie z nim się kończy i łamie tradycya. Oto batard Laudri, jeśli ocali z fałszywej dumy tę piękną i silną duszę, która go wiodła ku służbie publicznej w pierwszych tej służby szeregach, na miarę potrzeb epoki—choć batard będzie jednak prawym Rodu i Rasy spadkobiercą.

Francya współczesna roi się wreszcie takimi przykładami żywotnych przeobrażeń Rasy i Rodu. „Największe nazwiska Francyi“—ale te prawdziwe—takie, jak Broglie, d'Uzès, d'Aumale, Chambrun - świecą i dziś, jak świeciły przez wieki, na polu zasług krajowych. Bezcennego skarbu prastarej siedziby królewskiej w Chantilly nie zakupiło żadne konsorcyum amerykańskie, lecz po dawnemu stary zamek jest ogniskiem sztuki i wiedzy, jest klejnotem w skarbcu narodowym.

Tędy idą Rody, które nie zatraciły swej Rasy — tędy, lub drogą walki o byt w pierwszych szeregach krajowej pracy i twórczości. Reszta - to koniuchy i masztalerze własnych nazwisk, nie zaś ich Symbole...

Paweł Bourget napisał doskonałą rzecz p. t. *Emigrant*. Wszelako trzeba dobrze zrozumieć, którędy to wyemigrował „żywy portret“ starego utracyusza? Mnie się widzi, że wyemigrował z dziedziny Rasy i Rodu, których to chciał był w myśl autora być Typem i Symbolem. Stało się więc z margrabią Clavier de Grandchamp coś takiego, jak tu na polskim gruncie z „Panem Podfilipskim,“ który także wierzył, że jest Typem i Symbolem kultury, gdy tymczasem był z jej dziedzin... emigrantem.

Taki sobie rodzaj emigracyi, znany również bankierom, wyjeżdżającym bez pozostawienia adresu...

*

* *

„Miłość!... Jako doktor i filozof nazbyt Pan jesteś przeświadczony o jej doniosłości zarówno fizycznej, jak i moralnej, by się nie uśmiechnąć, słysząc, jak kilku naiwnych augurów usiłuje odciągnąć romansopisarzy współczesnych od tego podstawowego tematu!“

Temi słowami, zwróconemi w przedmowie do przyjaciela-doktora, lecz które, rzecz prosta, stanowią przedewszystkiem *avis au lecteur*, rozpoczyna ostatnią swą książkę Marceli Prévost. Jest że to usprawiedliwienie starego opiekuna półdziewic, że do innych funkcyj nie czuje się powołanym? Jest że to danina, złożona współczesnej potrzebie ideologii, od której nie są wolni nawet zawodowi zmysłowcy?

Mniejsza z tem: Marceli Prévost czuł potrzebę napisania tych kilku wierszy, które tak oto kończy:

„Niech wszakże pamięta każdy powieściopisarz, że wiekuistym typem powieści pozostanie zawsze *Dafnis i Chloe* lub *Manon Lescaut*.“

Żaden aforyzm nie zawarł całkowitej prawdy. Lecz ten oto aforyzm krytyczno-literacki podoba mi się wielce w chwili, w której hipokryzya i ubóstwo talentu starają się nas przekonać, że miłość jest już tematem zwietrzałym dla powieści, że starzy wydobyli z niego wszystko, co zawierał!

Nie jest mi również niemiłą francuska szczerość w traktowaniu wszystkich zboczeń i perypetyi odwiecznej fantasmagoryi

miłości. Stokroć ją przekładam nad angielskie podłechtywanie zmysłów w owych „przyzwoitych“ romansidłach, w których przez stron 300 z okładem zakochany mąż stara się „rozbudzić“ obojętną Galateę zmysłów w żonie... Wolę ją również od szablonu naszych powieści, w których przy tchórzostwie pędzla kwitną często niespodziewane kwiatki sadyzmu lub szału krwiożerczo-erotycznego.

Tak — ale wszystko to pod jednym warunkiem: że mianowicie autor, wolny w wyborze i traktowaniu tematu, nie poskąpi nam nietylko jego stron drastycznych, lecz także i własnego — geniuszu.

Niestety, jakże jednak rzadko wśród autorów francuskich, traktujących z całą odwagą nieśmiertelny temat miłości, objawia się dzisiaj ów boski pierwiastek twórczości! Jakże często powieści ich, wyzute z ducha i zrozumienia, a przepełnione drastycznem aranżerstwem szczegółów — obnażają bezwstydnie nagość i jak daleko odbiegają od nieśmiertelnego zuchwalstwa *Manon Lescaut* lub *Dafnis i Chloe*, budząc wstręt zuchwalstwem, godnem wyrostków!

Zarzut, którybym postawił ostatniej książce Prévosta jest ten, że treść jej kłamie tytułowi. Nie dość jest być spowiednikiem półdziewic i napisać na okładce wyraz: *Femmes*—by stanęła książka, godna służyć za argument wyż ze wstępu przytoczonego aforyzmu.

Stary sportsmen flirtu snać znużył się cokolwiek ponętnym sportem. Werwa nie dopisuje, choć zamiar trwa. Szukając „kobiety“ w tym tomiku—można częściej znaleźć... notaryusza, a to nie to samo!

Koniec końcem tomik zawiera jedno dość interesujące studyum p. t. *Un Voluptueux*, nad którem warto chwilę się zatrzymać, niezależnie od gromkiej fanfary wstępnego aforyzmu.

Hrabia Jan de Guercelles, posiadający wszystkie warunki światowca-Francuza, a więc urodzenie, fortunę, apetyt na użycie, urodę i spryt, jest typem zmysłowca. Czyż potrzebuję dodawać, że Prévost chce go mieć przytem zmysłowcem „wyrafinowanym,“ pełnym smaku, zaprawiającym swe godziny rozkoszy podniosłemi chwilami „poezyi?!“ To się samo przez się rozumie: generacya autorów francuskich, do których należy Prévost, Hervieu, Bourget — acz, poczęści i Ohnet—o dwie rzeczy dba nienagannie w stosunku do swych bohaterów: o ich tarczę herbową i o ich wytworność. Szlifują też, szlifują w oczach czytelnika jedno i drugie, jakby to były błyszczące guziki na ich własnej liberyi... Lecz wracajmy do rzeczy. Hrabia de Guercelles przekracza już czterdziestkę. Broń Boże, żeby zmniejszyła się jego wena donżuańska, by go gdzieś

jakiś komandor przytłumił—nie, nic na pozór nie mąci czaru rozkoszy, z której pić nie ustał dotąd... Ale... Ale przytrafia mu się dziwna przygoda. W chwili, kiedy trzy panie w Paryżu zdobywają doświadczone wdzięki Don Żuana, nagły wypadek powołuje go w głąb prowincyi, do własnych dóbr. Tam, w warunkach dość dramatycznych, poznaje dziewczynę (nieco na wzór angielskich *self-made women*)—rzecz prosta uroczą, jak polny kwiat, nietkniętą, jak dojrzewająca w wolnem słońcu brzoskwinia.

Dziewczyna rozkochuje się w zawodowym uwodzicielu, który ma dla niej—co najmniej świeżo rozbudzony apetyt. Już niemal chwilę oddania się, sama z prostotą, jak te ofiarne córy starożytności, kroczące ku Nieuniknionemu, piękna dziewczyna naznacza Pogromcy.

Tymczasem nowy zbieg okoliczności powołuje go na chwilę do Paryża. Tam, z dobroci serca, ot, mimochodem, stary satyr sam oddaje się jednej z owych trzech szturmujących Paryżanek—lecz natychmiast wraca do leśnej swej boginki.

Tymczasem ona dowiaduje się trafem o epizodzie paryskim i zebrawszy, co młode serce miało dumy, zrywa swój nienawiązany romans z Don Żuanem.

On, błądząc po zważonych jesienią lasach, zwolna przytomnieje i szuka *prawdziwej* przyczyny tego zerwania. Nie, to nie dla tego po raz pierwszy wzgardzono nim—Nieuniknionym—że tam jakaś przelotna paryska miłostka stanęła w poprzek! Czyż w tylu takichże wypadkach nie było to właśnie podnietą, ostatnią kroplą, przechylającą czarę? Nie: odepchnięto go, gdyż on już nie promieniuje z siebie tą apollińską potęgą młodości, która miłość jego czyniła ongi nieodpartą! Odepchnięto go, gdyż roztrwonił przedwcześnie może ów wielki skarb miłości—na miłostki. Dlatego to dziś błąka się smętny wśród uschłych gałęzi i tysiącom swych łatwych zdobyczy przeciwstawiając tę jedną niezdobytą dziewczynę, zapytuje siebie, czy jednak nie zmarnował życia?...

Kto wie, kto wie czy hrabia Jan de Guercelles nie słusznie czyni sobie takie zapytanie na rubieży starokawalerstwa? Ach, co innego być apollińsko jasnym bogiem miłości, co innego zaś czuć się doświadczonym w jej sprawach—starym satyrem!

Przy tem, że nowelę swoją opowiada Marceli Prévost z dużem przejęciem się, o głębokich akcentach prawdy, pomimo woli nasuwa się taka oto myśl po jej przeczytaniu:

A on sam, Marceli Prévost, opiekun półdziewic, spowiednik niecierpliwych oblubienic buduarowych—on sam, znawca doświad-

czony tylu odmian żeńskiej zmysłowości, tylu pań ze świata i półświatka—czy oto teraz, na schyłku tej karyery, nie trapi się również niekiedy jesienną refleksyą, że w pogoni zwycięskiej za fizyologią tylu samic — nie zdobył nigdy w swych romansach — psychologii kobiety?...

O tak: *Dafnis i Chloe*, a i *Manon Lescaut* pozostaną na zawsze nieśmiertelnym wzorem powieści — dla anegdot — wzorem niedoścignym.

* * *

Śmierć Sully-Prudhomme'a nie jest już dzisiaj stratą dla poezyi francuskiej. Zeszedł do grobu człowiek wielkiej prawości, umysł szlachetny i otwarty, przerwał swą niestrudzoną od lat wielu pracę, usunął się jeszcze dalej samotnik, który jednak jak ze swego pełnego cierpień odosobnienia, tak i nadal z poza grobu nie przestanie serdeczną pomoc nieść biednej braci w Apollinie. Ale poety w zmarłym Francya dzisiaj nie straciła—straciła go od wielu lat już, od chwili, w której autor *Vase brisé*, *Missel* począł popełniać długie filozoficzno-naukowe rymowane traktaty...

Czegoś w duszy tej brakowało, by z Parnasu ongi wziąwszy lot—doleciała takiej mety, jak pokrewny mu tyle umysłem a tyle odeń wyższy natchnieniem — nasz polski Asnyk. Verlaine żądał, by w poezyi poeta dawał „de la musique avant toute chose.“ Asnyk tego żądania był skrzydlatem ucieleśnieniem — rozwiązał mocą własnego geniuszu to, czego Sully-Prudhomme nie rozwiązał całem życiem mądrych refleksyj nad istotą poezyi. Był przedewszystkiem poetą, t. j. pracownikiem eurytmii słowa, zaślubiającego duszę. Sully-Prudhomme nie mógł, sił nie miał przez całe życie uczynić sądu i wyboru nad własnymi skłonnościami. Dla poezyi był filozofem, dla filozofii stawał się poetą, a rzekłbyś, że nad piękną duszą zaciążyła ta sama zmora, która tylu duszom współczesnym podcina skrzydła — oportunizm. Sully-Prudhomme był oportunistą w sprawach twórczości.

Śmierć Sully-Prudhomme'a (rzecz ciekawa, że nawet w nazwisku niósł poeta owo oportunistyczne rozdwojenie: nazywał się praktycznie i poprostu *Prudhommee*, *Sully* zaś dodał sobie dla poetyczności...) — wprawi w niemały kłopot Akademię.

Czy ma następcę nieśmiertelnego wybierać znowu z pośród kilku członków byłego Parnasu? Wszakże żyje jeszcze Catulle Mendès, ongi poeta plejady, dziś dziennikarz błyskotliwie jałowy; żyje Leon Dierx—również parnasista, zdawna zresztą cieszący się lodowatem uznaniem potomnych.

Czy znów wybierać w pośród „młodszych“ tych młodszych, którym siwizna już przypruszyła włosy, nim oficyalny laur uwieńczył skronie? Nie brak i takich: oto np. najstarszy z „młodych“ znamienity bojownik symbolizmu Jan Moréas, Grek sfrancuziały, autor bezwątpienia najpowszechniej czczony przez literacką Francyę. Oto znowu Gustaw Kahn, rówieśnik Laforgue'a, Rimbaud'a, Mallarme'go, twórca „wolnego wiersza,“ t. j. formy, którą potem symbolizm poetycki posługiwał się tak obficie. Czy wreszcie szukać należy wpośród poetów poprostu nienagannych, niezbyt wyraźnie należących do tej czy innej szkoły, lecz za to o wysokiej kulturze literackiej i o niepoślednim talencie? Ten typ ponad inne przekłada zazwyczaj Akademia. Lecz tym razem poeta francuski, który najbardziej może odpowiada takiemu ideałowi, autor *Medailles d'argil*, rymopis również wytworny, jak znakomity prozaik — Henryk de Regner — jest podobno za młody na stanowisko nieśmiertelnego. Tem mniej, rzecz prosta, może być mowy o powołaniu do Akademii któregoś z poetów bojujących, dla Akademii Goncourt'ów nazbyt zuchwałego, cóż dopiero dla Nieśmiertelnych, jak taki niewątpliwie świetny i z młodej Francyi najzuchwalej utalentowany Paweł Fort.

A kiedy tak w myśli akademików przesuwają się kandydatury byłych parnasistów, byłych libristów, byłych symbolistów (koniecznie byłych, bo aktualności Akademia nie uznaje) to musi im również na myśl przyjść i to, że losy francuskiej poezyi w tem właśnie pokoleniu nie w samej tylko Francyi się rozstrzygały i że znaczna cząstka „nieśmiertelności“ przypadałaby w dziale szkole belgijskiej, gdzie Maeterlinck i Verhaeren nieśli odnowienie duszom współczesnym.

Dla nas jednak śmierć Sully-Prudhomme'a niech nie będzie źródłem kłopotów, z któremi już Akademia sama jakoś poradzi. Niech będzie raczej przypomnieniem, że poezya francuska żywie i to żywie potężnie, niecąc w koło blaski i ich odbicia. Nie mając tych trudności, co Akademia, w uznaniu a raczej poznaniu tych pięknych i bujnych indywidualności—skorzystajmy z przypomnienia, by się nimi wzbogacić. Gustaw Kahn i Jan Moréas, Henryk de Regnier i Paweł Fort, nie mówiąc już o Verhaerenie i Maeterlincku—to w pełni sił jeszcze kwitnące szczepy tej Lilii, w której

koronie jaśnieją imiona Mallarme'go, Verlaine'a, Rimbaud'a, Laforgue'a. To jeszcze żywe tchnienie tej niespodziewanej epoki rozkwitu liryki francuskiej w końcu wieku XIX.

Sądzę, że należałoby, abyśmy korzystali z okazyi, że poezya francuska staje się „aktualną“ z powodu śmierci Sully-Prudhomme'a i nie czekając, jak Akademia, aż żyjący staną się „byłymi,“ zechcieli bliżej ich poznać i ocenić ku większemu własnych sądów pożytkowi.

Antoni Potocki.

PIŚMIENNICTWO.

HENRYK STRUVE. *Filozofia polska w ostatniem dziesięcioleciu 1894—1904.* Przełożył z niemieckiego Kazimierz Król. Warszawa, 1907. 8-o, str. 116.

Rozprawa niniejsza odczytaną była przez autora na międzynarodowym zjeździe filozoficznym, odbytym w Genewie w r. 1904, następnie pomieszczoną była w „Archiv für Geschichte der Philosophie," a obecnie staje się dostępną szerszym warstwom społeczeństwa polskiego, dzięki p. Kazimierzowi Królowi, który ją na język polski przełożył. Na wstępie autor zaznacza znaczne ożywienie w dziedzinie filozofii w Polsce w ostatnich dziesięciu latach. Streszczając w swojej rozprawie wyniki badań filozoficznych, dzieli on ruch filozoficzny w Polsce na trzy części, względnie do trzech głównych ognisk: Krakowa, Warszawy i Lwowa. Poznania nie rozpatruje oddzielnie, gdyż większość uczonych z powodu braku uniwersytetu emigruje z Poznania, wspomina więc tylko z wielkiem uznaniem o ogłoszeniu drukiem w ostatnich czasach drugiego tomu „Ojcze Nasz" Cieszkowskiego.

Szereg filozofów krakowskich rozpoczyna od S. Pawlickiego i Maur. Straszewskiego, jako od urzędowych przedstawicieli filozofii w uniwersytecie krakowskim. Główny nacisk kładzie autor na znakomite dzieło Pawlickiego p. t.: „Historya greckiej filozofii od Talesa do śmierci Arystotelesa," rozpatruje podział filozofii greckiej na epoki, wskazuje na gruntowność badań, bystrość krytyki, objęcie materyału literackiego, a przytem wyjątkową jasność, niemal polot wykładu. O książce p. t. „Żywot i dzieła Ernesta Renana" wyraża się przychylnie, zaznaczając wysoką podmiotowość filozoficzną, pomimo jasno zdeklarowanego teologicznego stanowiska autora.

Mówiąc o Straszewskim, autor wylicza prace jego dawniejsze i rozpatruje szczegółowo dzieło p. t.: „Wstęp ogólny i dzieje filozofii na Wschodzie,“ któremu ważne przydaje znaczenie i zalicza je do najlepszych utworów już nie tylko literatury naszej, ale literatury wszecheuropejskiej filozoficznej. Zobrazowanie filozofii indyjskiej, chińskiej, egipskiej i ludów zachodnio-azyatyckich jest doskonałe, oparte na wielkiej znajomości i przetrawieniu literatury przedmiotu. Ma tę jeszcze właściwość, że uwzględnia w wysokim stopniu czynniki religijne i pierwociny nauk specyalnych, z któremi spotykamy się u tych ludów. Swoje własne stanowisko religijne wypowiedział Straszewski w rozprawach: „O religijnych ideałach naszych czasów“ i „Religia przyszłości,“ gdzie dowodził, że wobec rozkładowego działania odśrodkowych pierwiastków w nowoczesnem społeczeństwie jedynie religia chrześcijańska, a ściślej biorąc, jedynie katolicyzm, może utrzymać ludzkość na drodze postępu i udoskonalenia—przy większem jednakże uwzględnieniu wolności osobistej w troskach o dobro ducha, przy poszanowaniu różnic indywidualnych i narodowych i wreszcie przy pewnem uwzględnieniu „ducha nowoczesnego.“

Po owych dwu filozofach krakowskich przychodzi kolej na Lutosławskiego. Cały szereg rozpraw, przeważnie w językach obcych, dowodzi wielkiej płodności autora i umysłu niezwykle ruchliwego. Najwięcej miejsca poświęca autor streszczeniu poglądu Lutosławskiego na świat, wypowiedzianego w dziele: „Z dziedziny myśli. Studya filozoficzne,“ i w rozprawach: „Ueber die Grundvoraussetzung und Konsequenzen der individualistischen Weltauschlauung“ i „Seelen macht, Abriss einer zeitgemässen Weltanauschauung.“ Lutosławski w tych pracach jest rzecznikiem absolutnego niemal indywidualizmu, świat cały przedstawia mu się jako niezliczone mnóstwo samodzielnych istot duchowych bez początku i końca. Łączność jedynie stanowią sugestya, telepatya i miłość, które tworzą z chaosu dusz uporządkowaną hierarchię, w której wyższe dusze kierują niższemi i stanowią ich rząd. Idąc dalej w tem dowodzeniu przychodzi do wniosku, że postęp w procesie świata i w ludzkości polega na tem, że wolne dusze wszechświata odnajdują się coraz bardziej w sobie, tworzą coraz pełniejsze hierarchie i stają się wreszcie jednolitą całością. W tem twierdzeniu szukać należy genezy „Eleuteryi.“

Wł. M. Kozłowski, niegdyś wydawca czasopisma filozoficznego „Pogląd na świat,“ docent filozofii w Genewie, profesor uniwersytetu Nowego w Brukseli, autor całego szeregu dzieł i rozpraw filozoficznych, należy do nowokantystów, szczególną wagę

przykłada do wykształcenia teoryi poznania przyrodniczej, zarazem uwzględnia w należytej mierze rozwój estetyczny i etyczny człowieka i stara się pogodzić pozorne sprzeczności mechanicznego przyrodoznawstwa i etyki ideału. W rozumowaniu tem dochodzi do wniosku, że jest nie tylko prawda naukowa, lecz także prawda poetyczna i etyczna.

O Wł. Heinrichu, Z. Balickim, St. Grabskim, L. Gumplowiczu, Fr. Gabrylu, Żuławskim—Struve podaje krótkie charakterystyki ich stanowisk filozoficznych i socyologicznych i wylicza ważniejsze ich prace z ostatniego lat dziesiątka.

Przechodząc z kolei do drugiego centrum umysłowości polskiej, do Lwowa, autor mówi na wstępie o Al. Skórskim i Al. Raciborskim, b. profesorach wszechnicy lwowskiej, poczem przechodzi do omówienia działalności naukowej Kaz. Twardowskiego. Za pracę najlepiej charakteryzującą stanowisko filozoficzne autora, uważa jego dzieło niemieckie o wyobrażeniach, a także rozprawę polską „Wyobrażenia i pojęcia.“ Twardowski uznaje psychologię za podstawę nauki filozoficznej i kwestye zawartości i przedmiotu wyobrażeń i pojęć, zasadniczą kwestyą wszelkiej filozofii. Dociekania swoje prowadzi z wielką bystrością, analiza jego dochodzi do doskonałości w rozprawie o względnych prawdach. Drugi profesor filozofii na uniwersytecie Lwowskim, M. Wartenberg, znany w świecie naukowym przeważnie z prac ogłoszonych w niemieckim języku, wydał po polsku w czasie sprawozdawczym: „Obronę metafizyki i krytyczny wstęp do metafizyki.“ Dowodzi on w tych pracach potrzeby metafizyki, krytykuje pozytywistów, Kanta i nowokantystów. Bada przyczynowość zjawisk i dochodząc do wewnętrznej natury działania, wkracza w dziedzinę metafizyki. Wojciech hr. Dzieduszycki, historyk sztuki, estetą, zajmuje także zaszczytne stanowisko w nauce filozoficznej. W sprawozdawczem dziesięcioleciu wydał pracę p. t.: „O wiedzy ludzkiej,“ jako dalszy ciąg swoich „Roztrząsań filozoficznych o podstawach pewności ludzkiej.“ Jest on rzecznikiem teoryi, że jedyną podstawą pewności jest uczucie moralne, sumienie, jako świadomość przeznaczenia i ideału naszego życia. Stąd filozofię nazywa nauką, mającą za przedmiot zjawiska naszego ducha, a względnie do trzech głównych czynników ducha: rozumu, woli i uczucia, dzieli filozofię na trzy główne nauki: teoryę poznania, estetykę i etykę. Jako ich rozgałęzienie i uzupełnienie uważać należy: psychologię, filozofię dziejów, historyę filozofii. W. Rubczyński odznacza się badaniem w zakresie filozofii średniowiecznej, z całego szeregu rozpraw w tym kierunku rozpatruje autor jego „Stu-

dya neapolitańskie," które pochlebnie wyróżnia. W zakresie socyologii we Lwowie pracują obecnie: L. Kulczycki, W. Pilat i W. Lassota. Pierwszy z nich jest przedstawicielem radykalnego socyalizmu, z samej więc natury rzeczy badanie swoje prowadzi z niedostatecznym objektywizmem naukowym, dwaj drudzy usiłują oprzeć socyologię na podstawach nie tyle materyalistycznych i psychologicznych, jak w znacznej mierze na podstawach dążeń idealnych, zwłaszcza etycznych. Szereg filozofów lwowskich zamyka prof. Nusbaum, który stara się badania swoje przyrodnicze połączyć z filozofią. Do prac w tym kierunku należą: „Szkice i odczyty z dziedziny biologii," „Szlakami wiedzy" i „Z zagadnień biologii i filozofii przyrody." W końcu, mówiąc o Lwowie, wspomina autor o zawiązanem tam przez prof. Twardowskiego towarzystwie filozoficznem polskiem.

Przechodząc do Warszawy, autor wspomina o założonym tu przez dr. Wł. Weryho „Przeglądzie filozoficznym," który wobec braku Akademii i Uniwersytetu polskiego stanowi centrum nauki filozoficznej Warszawy i całego Królestwa. Z całego szeregu prac, ogłoszonych w tem czasopiśmie, wylicza prace S. Dicksteina (o Kochańskim i Leibnitzu), W. M. Kozłowskiego, Radziszewskiego, Straszewskiego, Kodisowej, Heinricha i Struvego. Przechodzi wreszcze do streszczenia własnego stanowiska w filozofii. Podaje treść pracy swojej zasadniczej p. t. „Wstęp krytyczny do filozofii." Wstęp do filozofii traktuje on jako samodzielną zasadniczą naukę, a nie jako uwagi pedagogiczne, poprzedzające wykład filozofii. Dzieło rozpada się na 4 części. Część pierwsza traktuje o istocie filozofii, część druga o stosunku filozofii do reszty objawów życia umysłowego, trzecia o metodzie filozofii, część czwarta zawiera studyum o umyśle filozoficznym. Autor na wstępie uzasadnia przekonanie, że istota filozofii tkwi 1) w krytycyzmie zarówno względem wierzeń, jako też danych empirycznych, 2) w dążności do ogólnego światopoglądu. Żadna inna nauka całkowitego poglądu na świat nie daje, nie wyłączając nauk przyrodniczych, które, badając tylko zjawiska fizyczne, pomija czynniki duchowe. W drugiej części autor bada stosunek filozofii do 1) poezyi i sztuki, 2) do nauki, 3) do życia praktycznego. Mówiąc o metodach filozofii, wyraża przekonanie, że właściwie specyalnej metody filozofia nie posiada, posiłkuje się zarówno analizą, jak i syntezą, chodzi tylko o to, żeby każde badanie filozoficzne miało na względzie te czynniki metodyczne i stosowało je konsekwentnie. W końcu zastanawia się nad umysłem filozoficznym i różnemi typami uzdolnienia filozoficznego, śród których rozróżnia: dyalektyczne, kry-

tyczne i konstrukcyjne, które są właściwe nietylko oddzielnym indywiduom, ale także narodom i epokom. Oprócz powyższej pracy, której dla szczupłości miejsca streszczać tu nie możemy, tak jakby należało, ze względu na jej wartość, wydał zasłużony autor cały szereg prac w sprawozdawczem dziesięcioleciu oraz redagował wydawnictwo specyalne p. t. „Biblioteka filozoficzna."

W zakresie empiryokrytycyzmu pracują w Warszawie dr. J. Kodisowa i E. T. Erdmann. Przedstawicielem materyalizmu historycznego jest Ed. Abramowski, socyologii Kaz. Kelles-Krauza, wreszcie St. Brzozowski, który usiłował połączyć nowokantyzm z indywidualizmem Nietzchego.

W ostatnim rozdziale swego sprawozdania prof. Struve streszcza zapatrywania na filozofię i stanowisko wobec niej zajęte przez znakomitszych przyrodników, matematyków, pracujących w Warszawie. Obszerniejsze ustępy poświęca H. Hoyerowi, Biegańskiemu, Biernackiemu, Dicksteinowi i W. Gosiewskiemu.

Książka nie wielka, a tak obfita w treść, zasługuje na specyalne wyróżnienie i jest rzadką osobliwością śród powodzi małowartościowych publikacyj, zalewających półki księgarskie, ma także to znaczenie, że reasumując prace filozofów naszych za jeden tylko dziesiątek lat, wykazuje wcale pokaźną produkcyę naukową, o której, wobec naszego wybujałego samokrytycyzmu, nie każdy sobie zdaje sprawę.

F. P.

DR. EMMANUEL ŚWIEYKOWSKI. *Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa*, objaśniony zabytkami Muzeum Narodowego w Krakowie, z XXV tablicami. Kraków. Wydawnictwo Muzeum Narodowego. 1907. 8-o, str. XVI+300+2.

Publikacye Muzeum Narodowego coraz wybitniejsze miejsce zajmować poczynają w naszej literaturze naukowej. Świetnie wydawane katalogi zbiorów, przy znakomitej administracyi Muzeum, coraz to się rozszerzających, mają już same przez się niepoślednie znaczenie naukowe, jako materyał inwentaryzacyjny. Obecnie z tej kategoryi publikacyi ukazało się dziełko o świeżym zakresie, mające na celu danie obrazu rozwoju tkactwa i haftarstwa w Polsce, oparte na materyale rzeczowym, zaczerpniętym ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie. Już sam fakt opracowania zarysu historyi jakiegokolwiek działu sztuki na podstawie zbiorów Muzeum

Narodowego jest dowodem, że zbiory te są już dość poważne, a co ważniejsza umiejętnie gromadzone i ze znajomością rzeczy ułożone. Poza tem wydawnictwo powyższe ma znaczenie już nie tylko jako inwentarz zabytków tkactwa i haftarstwa, znajdujących się w Muzeum Narodowem, ale także ma wartość monografii, bardzo w literaturze naszej pożądanej. Bo gdy narody obce mają cały szereg monograficznych opracowań, niejednokrotnie wyczerpujących przedmiot, u nas, jak dotąd, istniało tylko jedno specyalne dzieło o haftarstwie i to kościelnem tylko, napisane przez ks. Żarnowieckiego. Nawiasem mówiąc, dzieło to nie odpowiadało dzisiejszym wymaganiom naukowym, a oparte przeważnie na wiadomościach i przykładach, zaczerpniętych z wydawnictw zagranicznych, nie uwzględniało w należytej mierze zabytków, znajdujących się w kraju zarówno po muzeach, jako też kościołach i zbiorach prywatnych. Druga praca, która pośrednio tylko dotyczyła haftarstwa, to Kołaczkowskiego „Przemysł artystyczny," uwzględniająca także tkactwo i haftarstwo. Praca ta do dziś dnia ma ważne znaczenie, ale z powodu obszerności tematu nie może być w każdym dziale wyczerpująca, a haftarstwo i tkactwo traktuje dość pobieżnie. Poza tem w literaturze naszej tylko fragmentaryczne wzmianki o tym dziale sztuki znajdujemy. To też należy się prawdziwa wdzięczność p. dr. Em. Świeykowskiemu za jego przedsięwzięcie, no i powiedzmy śmiało doskonałe wykonanie. Książka dzieli się na dwie części — w pierwszej mamy rys historyczny tkactwa i haftarstwa, w drugiej rozumowany opis zabytków tego działu sztuki, znajdujących się w Muzeum Narodowem w Krakowie. Na wstępie zaznajamia nas autor z elementarnemi pojęciami technicznemi, koniecznemi dla rozróżniania gatunków tkanin, o różnych rodzajach splotów, właściwych nazw materyi, następnie przechodzi do opisu główniejszych rodzajów haftu, wyjaśnia ich technikę i podaje nazwy dla każdego rodzaju haftu właściwe, w języku polskim i francuskim. Następnie przechodzi do historyi kobiernictwa i wykazuje, jakie są główne rodzaje dywanów. Ten pierwszy rozdział swej książki zakończa wielce interesującym ustępem o produkcyi jedwabiu na całym świecie. Daje statystyczne wyliczenia o rozwoju jedwabnictwa, wykazujące oczywiście najwyższy stopień tego rozwoju w Chinach, gdzie produkcya roczna w końcu XIX w. wynosiła około 11,500,000 klgr. Dla nas wysoce interesująca jest wzmianka (szkoda, że tak pobieżna) o jedwabnictwie w Polsce. Dowiadujemy się tutaj, że za Zygmunta III w Tarnowie wyrabiano jedwab. W XVIII w. w Kurniku i Mohylowie. W XIX w. w Brzeżanach wyrabiano 200 łutów, a we

Lwowie 15,465 łutów rocznie. W opinogórskich dobrach Ordynacyi hr. Krasińskich założono plantacye morwowe, mające od 5—10 tysięcy drzew i t. d.

Z kolei następuje rys historyi tkactwa i haftarstwa, poczynając od najodleglejszej starożytności. Cytuje autor wzmianki z pisarzów starożytnych o Egipcie, Chinach, Asyryi, Babilonii i Grecyi — przechodzi następnie do wieków średnich, obszerniej traktuje tkactwo bizantyńskie, następnie południowe i północne, włoskie i hiszpańskie, pozostające pod bezpośrednim wpływem wschodnio-azyatyckiego. Następnie wykazuje motywy właściwe epoce gotycyzmu i początkom renesansu. W XV w. Wenecya bierze przewagę nad innemi miastami i słynną się staje ze swoich bogatych tkanin, we Flandryi już w XIV w. rozwija się sztuka kobiernicza i dochodzi niebawem do zdumiewającej doskonałości (Arras). W Polsce przemysł tkacki był jednym z ważniejszych źródeł bogactwa narodowego. Autor wylicza nazwy miejscowości, których brzmienie dowodzi istnienia zakładów tkackich w odległej starożytności, a następnie podaje cały szereg wiadomości historycznych ze średniowiecza o tkactwie w Polsce. O wiele obszerniej traktuje późniejsze epoki i rozwój tego przemysłu w XVI, XVII i XVIII w. W zajmującym toku rozprawy znajdujemy tu wiele cennych wiadomości, odnoszących się do historyi tego przemysłu w Polsce, wzmianki o znakomitszych zabytkach tkactwa i haftarstwa, które się znajdują lub się znajdowały niegdyś w Polsce. Szczupłość miejsca nie pozwala nam na krótkie chociażby streszczenia zajmujących wywodów autora, wskazujemy więc tylko na część tę jego pracy, jako na wcale udatną pierwszą próbę skreślenia historyi tego przemysłu w Polsce, co wobec szczupłego dotąd materyału nie było rzeczą łatwą. Część druga książki obejmuje opis 413 zabytków, znajdujących się w Muzeum Narodowem, oraz 25 tablic, przedstawiających ciekawsze okazy. Opisy są rzeczowe, bardzo ścisłe, służyć mogą za wzór do opisywania haftów i tkanin. W końcu podaną jest bibliografia przedmiotu.

F. P.

BOLESŁAW KOSKOWSKI. *Polityka gminna.* Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Bardzo pocieszającem zjawiskiem chwili jest pewne ożywienie w dziedzinie literatury prawa publicznego.

Podczas kiedy jeszcze przed laty pięciu rzadkością była książka, traktująca o zagadnieniach prawno-politycznych, dziś — coraz częściej spotykamy na półkach księgarskich broszury i poważne rozprawy, dotykające kwestyi pierwszorzędnego znaczenia dla kraju i społeczeństwa. Oczywiście, daleko jeszcze tym plonom do tego, co jest gdzieindziej. Piśmiennictwa obce są pod tym względem bardzo bogate—nasze, po długiej przerwie zaczyna dopiero stawiać pierwsze kroki na polu, które z konieczności przez szereg lat leżało odłogiem. Tem bardziej jednak te „pierwsze kroki“ zasługują na uwagę, zwłaszcza, jeżeli liczą się z pilnemi potrzebami ogółu i są dla tego ogółu *dostępne* przez sposób swojego wykładu.

Podkreślam wyraz *dostępne*, bo sądzę, że jednem z wymagań, jakie w chwili obecnej należy postawić literaturze politycznej, jest popularny poniekąd jej charakter.

Specyaliści w danym przedmiocie i badacze samodzielni mają dostęp do kapitalnych dzieł obcych, mogą z nich korzystać i mogą je studyować dla pogłębienia własnych sądów. Szerszy tymczasem ogół nie uczyni tego. Potrzebuje on krótkich i zwięzłych podręczników w języku polskim, podręczników, któreby w formie jasnej, przejrzystej i zrozumiałej podawały nie subtelną essencyę rozważań teoretycznych, ale szereg wskazówek praktycznych.

Takim właśnie podręcznikiem w zakresie „Polityki gminnej“ jest świeżo wydana książka B. Koskowskiego.

Wypełnia ona bardzo ważną lukę w literaturze ustroju samorządnego, co wobec bliskiej chwili zaprowadzenia w Królestwie Polskiem samorządu miejscowego, zmusi niemal każdego obywatela, myślącego o sprawach ogólnych, do zapoznania się z jej treścią. P. Koskowski, jako publicysta, wyczuł ten moment i z wyraźną myślą pouczenia jaknajszerszych kół inteligencyi krajowej o tem, co to jest polityka gminna i jakiemi iść powinna drogami — napisał swoją książkę.

Nie zawiera ta książka rzeczy bezwzględnie nowych, ale też i celem jej nie było tworzenie nowych koncepcyj naukowych i spór o poglądy już utarte, bądź zdobywające sobie obecnie w nauce powagę.

Autor, zdawał sobie przedewszystkiem sprawę z tego, że „gdy tradycye nowoczesnej pracy samorządnej są u nas zupełnie wątłe i gdy praktycznie nie są one w stanie dostarczyć nam wzorów, dostosowanych do potrzeb obecnych — obraz tego, co się gdzieindziej robi, co się gdzieindziej udaje lub nie udaje, co tam kwitnie lub więdnie, wzrasta lub upada, nietylko może ale musi być dla nas obowiązującym i pouczającym.“ Z tego też względu zwrócił baczną uwagę na stronę funkcyonalną gospodarstwa samorządnego w krajach, gdzie działalność gminy najobfitsze wydała owoce i traktował swoją rzecz tak, aby w wykładzie swoim zawrzeć jaknajwięcej wskazówek, mających się przyczynić do ustalenia metod postępowania w naszych gminach, o ile ich działalność wejdzie w przyszłości na nowe tory.

W rozprawie swojej p. Koskowski zwrócił główną, prawie wyłączną, uwagę na działalność samorządu miejskiego. Uczynił to zaś z dwóch względów. Naprzód dla tego, że jak mówi — ta działalność jest tak wielka i żywa, że obraz jej, aby był choć w konturach nakreślonym, musi zapełnić treść jednej większej rozprawy, powtóre, że sądzi, iż pierwsza faza życia samorządnego w Królestwie wypełni się głównie pracą w miastach i miasteczkach, bo tam więcej, niż na wsi, znajdzie się ludzi, mogących wziąć czynny i umiejętny udział w pracy publicznej gminy. Jakkolwiek więc autor nie lekceważy zadań gminy wiejskiej, lecz przeciwnie, kładzie na nie szczegółowy nacisk w niektórych swoich wywodach, to jednak sądzi, że ich wykonanie „pozostanie wątłe dopóty, dopóki miasta nie rozwiną należycie swej działalności samorządnej, nie wyrobią metod i ludzi, nie dadzą przykładu i bodźca.“

Książkę rozpoczynają dwa wykłady wstępne: jeden, traktujący o współczesnym rozwoju gminy, a więc mający na celu przekonanie czytelnika o wszechświatowem uznaniu wagi działalności samorządnej; drugi — o terytoryum gminy, t. j. o warunkach, które dają życiu gminnemu dostateczną siłę ludzką i finansową, aby ono mogło rozwijać się należycie. To ostatnie zagadnienie stało się w ostatnich czasach żywotnem w Galicyi i we Francyi. Także i u nas wobec ostatniego projektu rządowego, wobec zresztą ogólnych skłonności rządu rosyjskiego do osłabienia komórki gminnej, kwestya obszaru terytoryalnego gminy nabrała charakteru aktualności.

W rozdziale III-im poruszył autor bardzo gruntownie sprawę szkolną i jej stosunek do gminy. Następnie rozpatrzył sprawę robotniczą (rozdz. IV); politykę gruntową (V); kwestyę mieszka-

niową, która w tej chwili może najbardziej interesuje szeroki ogół i wskazał na środki zaradcze, zapobiegające dalszej drożyźnie mieszkań (VI); dalej omówił podatki gminne, z uwzględnieniem polityki podatkowej w Warszawie (VII); ochronę stanu średniego, wskazując na potrzeby stanu kupieckiego i rzemieślniczego (VIII); komunikacyę (IX); przedsiębiorstwa gminne (X); ulepszanie stosunków zdrowotnych (XI); zakłady kredytowe (XII) i t. zw. komisye socyalne, za których zaprowadzeniem u nas przemawia przekonywająco (XIII).

Wykład prowadzony jest tak umiejętnie i jasno, że książkę czyta się z rosnącem ciągle zajęciem, a poruszone w niej kwestye są tak żywotne i aktuale, że każdy umysł poważniejszy musi się nad niemi zastanowić, a myśl, raz trącona z miejsca i pchnięta w danym kierunku, niewątpliwie będzie szukała dalej samodzielnie rozwiązania nasuwających się jej zagadnień.

W ten sposób cel zasadniczy książki został osiągnięty z łatwością, która była możliwa tylko dla prawdziwego talentu publicystycznego. Talentem tym p. Koskowski rozporządza w stopniu i w skali, które w połączeniu z widocznem zamiłowaniem do przedmiotu, powinny z niego uczynić wybitnego pisarza w dziedzinie, tak mało u nas uprawianej.

Z. D.

Siedem lat katorgi. Pamiętniki Szymona Tokarzewskiego 1846–1857 r. Z 3-ma portretami autora. Nakład drukarni L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza. Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Patrzę na portret Szymona Tokarzewskiego „po powrocie do kraju z pierwszej katorgi.“ Łagodna, smutna twarz człowieka, zmęczonego życiem, mówi do mnie. Niema w niej nic bohaterskiego, nic, coby tchnęło „buntem.“ W oczach nie tlą się żadne iskry, nie bije z nich żaden zapał. Przygasło wszystko. Zostało tylko ofiarne poddanie się cierpieniu, została jakby wiara w konieczność i celowość tego cierpienia.

Takim musiał być Tokarzewski w chwili powrotu do kraju z długoletniego wygnania, zanim dusza jego nie odrodziła się, ciało nie odżyło i zanim nie poszedł po raz drugi dalekim szlakiem, przy którym tyle stoi bezimiennych krzyżów polskich.

Autor, zdawał sobie przedewszystkiem sprawę z tego, że „gdy tradycye nowoczesnej pracy samorządnej są u nas zupełnie wątłe i gdy praktycznie nie są one w stanie dostarczyć nam wzorów, dostosowanych do potrzeb obecnych — obraz tego, co się gdzieindziej robi, co się gdzieindziej udaje lub nie udaje, co tam kwitnie lub więdnie, wzrasta lub upada, nietylko może ale musi być dla nas obowiązującym i pouczającym.“ Z tego też względu zwrócił baczną uwagę na stronę funkcyonalną gospodarstwa samorządnego w krajach, gdzie działalność gminy najobfitsze wydała owoce i traktował swoją rzecz tak, aby w wykładzie swoim zawrzeć jaknajwięcej wskazówek, mających się przyczynić do ustalenia metod postępowania w naszych gminach, o ile ich działalność wejdzie w przyszłości na nowe tory.

W rozprawie swojej p. Koskowski zwrócił główną, prawie wyłączną, uwagę na działalność samorządu miejskiego. Uczynił to zaś z dwóch względów. Naprzód dla tego, że jak mówi — ta działalność jest tak wielka i żywa, że obraz jej, aby był choć w konturach nakreślonym, musi zapełnić treść jednej większej rozprawy, powtóre, że sądzi, iż pierwsza faza życia samorządnego w Królestwie wypełni się głównie pracą w miastach i miasteczkach, bo tam więcej, niż na wsi, znajdzie się ludzi, mogących wziąć czynny i umiejętny udział w pracy publicznej gminy. Jakkolwiek więc autor nie lekceważy zadań gminy wiejskiej, lecz przeciwnie, kładzie na nie szczegółowy nacisk w niektórych swoich wywodach, to jednak sądzi, że ich wykonanie „pozostanie wątłe dopóty, dopóki miasta nie rozwiną należycie swej działalności samorządnej, nie wyrobią metod i ludzi, nie dadzą przykładu i bodźca.“

Książkę rozpoczynają dwa wykłady wstępne: jeden, traktujący o współczesnym rozwoju gminy, a więc mający na celu przekonanie czytelnika o wszechświatowem uznaniu wagi działalności samorządnej; drugi — o terytoryum gminy, t. j. o warunkach, które dają życiu gminnemu dostateczną siłę ludzką i finansową, aby ono mogło rozwijać się należycie. To ostatnie zagadnienie stało się w ostatnich czasach żywotnem w Galicyi i we Francyi. Także i u nas wobec ostatniego projektu rządowego, wobec zresztą ogólnych skłonności rządu rosyjskiego do osłabienia komórki gminnej, kwestya obszaru terytoryalnego gminy nabrała charakteru aktualności.

W rozdziale III-im poruszył autor bardzo gruntownie sprawę szkolną i jej stosunek do gminy. Następnie rozpatrzył sprawę robotniczą (rozdz. IV); politykę gruntową (V); kwestyę mieszka-

niową, która w tej chwili może najbardziej interesuje szeroki ogół i wskazał na środki zaradcze, zapobiegające dalszej drożyźnie mieszkań (VI); dalej omówił podatki gminne, z uwzględnieniem polityki podatkowej w Warszawie (VII); ochronę stanu średniego, wskazując na potrzeby stanu kupieckiego i rzemieślniczego (VIII); komunikacyę (IX); przedsiębiorstwa gminne (X); ulepszanie stosunków zdrowotnych (XI); zakłady kredytowe (XII) i t. zw. komisye socyalne, za których zaprowadzeniem u nas przemawia przekonywająco (XIII).

Wykład prowadzony jest tak umiejętnie i jasno, że książkę czyta się z rosnącem ciągle zajęciem, a poruszone w niej kwestye są tak żywotne i aktuale, że każdy umysł poważniejszy musi się nad niemi zastanowić, a myśl, raz trącona z miejsca i pchnięta w danym kierunku, niewątpliwie będzie szukała dalej samodzielnie rozwiązania nasuwających się jej zagadnień.

W ten sposób cel zasadniczy książki został osiągnięty z łatwością, która była możliwa tylko dla prawdziwego talentu publicystycznego. Talentem tym p. Koskowski rozporządza w stopniu i w skali, które w połączeniu z widocznem zamiłowaniem do przedmiotu, powinny z niego uczynić wybitnego pisarza w dziedzinie, tak mało u nas uprawianej.

Z. D.

Siedem lat katorgi. Pamiętniki Szymona Tokarzewskiego 1846–1857 r. Z 3-ma portretami autora. Nakład drukarni L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza. Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Patrzę na portret Szymona Tokarzewskiego „po powrocie do kraju z pierwszej katorgi.“ Łagodna, smutna twarz człowieka, zmęczonego życiem, mówi do mnie. Niema w niej nic bohaterskiego, nic, coby tchnęło „buntem.“ W oczach nie tlą się żadne iskry, nie bije z nich żaden zapał. Przygasło wszystko. Zostało tylko ofiarne poddanie się cierpieniu, została jakby wiara w konieczność i celowość tego cierpienia.

Takim musiał być Tokarzewski w chwili powrotu do kraju z długoletniego wygnania, zanim dusza jego nie odrodziła się, ciało nie odżyło i zanim nie poszedł po raz drugi dalekim szlakiem, przy którym tyle stoi bezimiennych krzyżów polskich.

na Syberyi latom po powstaniu 63 roku. W okresie tym na Syberyi znajdowała się ogromna ilość wygnańców polskich. Tokarzewski, który umiał obserwować i dobrze pamiętał rzeczy widziane i przeżyte, niewątpliwie zanotował niejeden szczegół, posiadający wartość trwalszą dla dzisiejszego i przyszłego czytelnika. Z tego względu byłoby pożądane, aby i część II *Pamiętników* rychło znalazła nakładcę.

Z. D.

PTASZYCKI STANISŁAW. *Wielkiego Księstwa Litewskiego i Żmudzkiego kronika. Kodeks Olszewski Chomińskich.* Podług rękopisu wydał... Wilno, 1907. 8-o, str. VIII + 40 + 17.

Z powodu przedsięwziętego przez Petersburską Komisyę Archeograficzną wydania kronik litewsko-ruskich, prof. Ptaszycki miał w ręku wszystkie znane dotychczas odpisy tych kronik. Pozatem natrafił na rękopis dotąd nieznany, znajdujący się obecnie na Litwie, w posiadaniu p. Aleksandra Chomińskiego w Olszewie w powiecie święciańskim, a pochodzący z biblioteki Krzysztofa Dobkiewicza, Łowczego Województwa Wileńskiego. Rękopis ten, t. zw. Olszewski, ma niepoślednie znaczenie chociażby z tego względu, że pochodzi z r. 1550, czyli jest jednym z dawniejszych tekstów kroniki.

Wydawca we wstępie podaje dokładny rzeczowy opis rękopisu Olszewskiego, kronika bowiem stanowi tylko część jego. Całość obejmuje szereg innych pozycyj i rękopis mógłby nosić tytuł Miscellaneów prawno-historycznych XVI i XVII w. Albowiem część pierwsza zawiera: prawa ziemskie pisane y dane wielkiemu xięstwu litewskiemu, ruskiemu..., articuli dane wielkiemu xięstwu litewskiemu przes naiaśnieyszego króla polskiego Zigmunta, statut litewski, króla i wielkiego xsiędza litewskiego Zigmunta przivilei dan wszitkim zidom, kronikę i kroniczkę. Przy końcu statutu dopisek łaciński: finis huius operis atque iuris anno milesimo quincentesimo 50. Data ta określa czas przepisania pierwszej części rękopisu, obejmującej właśnie kronikę.

Część druga, nieco późniejsza, zawiera: spisanie powiatów i granic w r. 1624, o indyktach od r. 1498—1557 i o krewności przyrodzonej, z łacińskiego na polski przełożona przez Jana Cervusa Tucholczyka—1542.

Część trzecia zawiera: sprawa wielkiego kniazia Moskiewskiego roku 1571, następnie zapiski familijne Beniasza Krzywca

Zdanowicza: „Urodziłem się marca 11 roku 1548... zostałem podwojewodzim 1615.“ Ostatnia jego zapiska z r. 1620: „Tego roku fewralia 16 dnia Helena szła zamąż za Olbrichta Mlodeczkiego.“

Przystępując do wydawnictwa, prof. Ptaszycki, jak wspomniałem wyżej, zebrał wszystkie istniejące dotąd rękopisy kroniki litewskiej i dał ich rzeczowe i ścisłe zestawienie. Wylicza ich 20 egzemplarzy i rozbija je na trzy grupy. Przedstawicielem pierwszej grupy jest kodeks dawny supraślski, wydany przez Daniłowicza, dziś znajdujący się w Petersburskiej Komisyi Archeograficznej. Przedstawicielem grupy drugiej — kodeks Raczyńskich, opisany przez Szaraniewicza i wreszcie typowym dla grupy trzeciej jest kodeks Bychowca, wydany przez Narbutta.

Przedruk tekstu kodeksu Olszewskiego prof. Ptaszycki dokonuje z całą sumiennością, z zachowaniem wszystkich „szykan“ wydawniczych, łożąc w tym kierunku ogromną ilość pracy. Zawdzięczając tej wzorowej sumienności zasłużonego uczonego, mamy przedruk, odtwarzający wiernie oryginał co do pisowni, jakoteż układu wierszy i stron rękopisu. Cały szereg odsyłaczy (aż 403) na 42 strony tekstu (!) wykazuje wszelkie warianty w zestawieniu z innymi egzemplarzami kroniki. Nie koniec na tem, wydawca podaje jeszcze ważniejsze różnice w dosłownym przedruku z *ruskich* rękopisów, mianowicie: świadectwa z latopisców o przyjściu Włochów (kodeksy: bibl. hr. Krasińskich, Raczyńskich, hr. Rumiancewa, ks. Jewreinowa, Supraślski, Poczynok,[1]) Origo[2]) i Towarzystwa Archeologicznego) oraz koniec kroniki podług kodeksu Rumiancewskiego.

Tu jeszcze słowo o użytem wyżej wyrażeniu „ruskie“ rękopisy. Profesor Ptaszycki używa termin „ruski“ dla określenia języka ogólnie nazywanego białoruskim. Powołuje się tu na Stryjkowskiego: „Latopisce wszystkie litewskie, których Litwa z starodawna za kronikę używa, po rusku pisane“ (Kronika wyd. 1846 r. I, 356) i powiada: „Pisząc swą kronikę, Stryjkowski nie znał przekładu polskiego i łacińskiego, a korzystał z oryginałów *ruskich*. Język ruski tych latopisców był to język miejscowy, odrębny od języka moskiewskiego i dzisiejszego rosyjskiego. W tym języku była obszerna (stosunkowo) literatura, wyrobił się

[1]) „Litovskomu rodu Poczynok“ — dwa odpisy: 1) znajdują się w bibliotece publ. w Petersburgu, a 2) w Archiwum spraw zagr. w Moskwie.

[2]) „Origo regis Jaggelo et Wytholdi ducum Lithuania“ — kodeks jest przechowany w Archiwum spraw zagr. w Moskwie.

on z języka białoruskiego i był językiem nietylko literackim, ale i urzędowym na Litwie prawie do końca wieku XVII. Ten język o tyle się różnił od używanego podówczas w Moskwie, że tam nazywano go litewskim i tłómaczono z tego języka litewskiego na ruski.

„W polskiej terminologii można nazywać go, jak nazywał Stryjkowski, ruskim, gdyż dla innych języków mamy inne nazwy, jak: rosyjski, ukraiński, moskiewski.“ W tem znaczeniu prof. Ptaszycki używa terminu „ruski“ w swojem wydawnictwie.

JÓZEF JODKOWSKI.

Kronika miesięczna.

Przed III Izbą. — Ze stosunków łódzkich. — Odezwa Towarzystwa wpisów szkolnych. — Okólnik generał-gubernatora warszawskiego do biskupów rz.-katol. w Król. Polskiem.

Wybory do 3-ej Izby odbyły się w Warszawie i w całym kraju bez żywego zainteresowania ze strony społeczeństwa, a jeżeli porównać nastrój, towarzyszący pierwszym i drugim wyborom, z nastrojem tegorocznych dni październikowych, to należy stwierdzić, że tym razem mieliśmy do czynienia z widocznem zniechęceniem ogółu do tego aktu życia obywatelskiego, jaki stanowi powołanie mieszkańców kraju do urny.

Dość powiedzieć, że podczas gdy na 104,000 uprawnionych do głosowania przy wyborach do 1-ej Izby złożyło swoje głosy z górą 67,000 obywateli, zaś przy wyborach do 2-ej Izby na 80,000 uprawnionych głosowało 68,000, to przy wyborach obecnych na 69,924 uprawnionych odebrało swoje legitymacye wyborcze tylko 21,820, a oddało głosy zaledwie 17,995.

Nie mogło jednak być inaczej i zjawisko to bynajmniej nie jest tak znamienne, jak to niektórzy sądzą.

Przedewszystkiem nie można zapominać o tem, że po 16 czerwca r. b. rozwiało się wiele nadziei i prysło wiele złudzeń, a to, co zdawało się już bliskie, zostało odsunięte w przyszłość może nawet daleką. W opinii publicznej nastąpić musiał zwrot. Liczebne zmniejszenie reprezentacyi polskiej, a co zatem idzie, zredukowanie Koła polskiego w Izbie do skromnej delegacyi, pogrążyło wiele umysłów mniej doświadczonych w pesymizm i zrodziło tę apatyę, którą podkreślaliśmy na tem miejscu przed miesiącem.

Rozwiązanie dwóch Izb poprzednich po krótkotrwałem ich istnieniu, które nie zaznaczyło się żadną pracą twórczą, żadnemi

zdobyczami pozytywnemi, podkopało z góry wszelką wiarę w jakąkolwiek zdolność do życia Izby 3-ej. Jeżeli będzie ona opozycyjna—mówiono sobie—to spotka ją los poprzedniczek po 2—3 miesiącach, jeżeli zaś wezmą w niej górę żywioły prawicowe, to działalność jej będzie bez żadnego znaczenia i ani na krok nie posunie naprzód sprawy reform zasadniczych i przebudowy państwa. Zwłaszcza sprawa polska żadną miarą nie może liczyć na właściwe postawienie i rozwiązanie w tej Izbie. Niema więc społeczeństwo polskie żadnych powodów do zbytniego przejmowania się wyborami.

Takie rozumowanie bezwątpienia niejednego obywatela skłoniło do cichego i biernego zachowania się w dn. 15 października.

Ale były też i inne powody i te są o wiele charakterystyczniejsze.

Tak np. przy wyborach obecnych nie było żadnej walki. Przedewszystkiem Żydzi i demokraci postępowi wybrali tym razem drogę zupełnej abstynencyi, z góry wiedząc, że przeprowadzenie własnych kandydatów niema dla nich żadnych widoków, gdyż niepodobną wprost rzeczą byłby podział 12 mandatów z Królestwa pomiędzy społeczeństwem polskiem a żywiołami, które dotąd nie chciały i nie potrafiły stanąć na gruncie narodowym.

Następnie koncentracya stronnictw, ta koncentracya, której przed wyborami do 2-ej Izby całe społeczeństwo wyglądało z upragnieniem, a potem, gdy doszła do skutku—powitało z ogromnem uznaniem—obecnie uległa rozbiciu. Stało się źle, gdyż to rozbicie osłabiło powagę wyborów naszych na wewnątrz i na zewnątrz. Chcemy jednak wierzyć, że było ono konieczne, skoro stronnictwa, z których żadnego nie można posądzić o intencye warcholskie, nie mogły znaleźć platformy, umożliwiającej działanie wspólne.

Po rozbiciu koncentracyi na placu wyborczym zostało więc jedyne tylko stronnictwo Demokratyczno-narodowe, które mając już za sobą dwa zwycięstwa, a nadto nie mając tym razem zgoła żadnych współzawodników, nie potrzebowało ani staczać walki jakiejkolwiek, ani wytężać sił w kierunku agitowania na swoją rzecz.

Wiedziało ono, że tak czy inaczej pewna część obywateli odda mu swoje głosy i że ilość tych głosów będzie zupełnie wystarczająca do prawomocności wyborów.

Manifestacyjny udział w wyborach socyalistów, którzy podobno „dla obliczenia swoich sił“ postanowili stanąć do głosowania—nie wchodził w rachubę. Głosowali oni rzeczywiście, ale jeżeli naprawdę miało to być „obliczenie sił“ — to wypadło ono gorzej, niż mogli przypuszczać najwięksi ich nieprzyjaciele.

W podobnem do warszawskiego usposobieniu i nastroju odbyły się prawybory w całym kraju. W jednej tylko Łodzi panowała atmosfera większego ożywienia i toczyła się walka, uwieńczona zwycięstwem obozu narodowego. Kandydaci tego obozu zwyciężyli zresztą bez trudu wszędzie, gdzie wybory już się odbyły i zwyciężą niewątpliwie w tych okręgach, które w najbliższej dopiero przyszłości staną do urn wyborczych.

Nie jest więc już dla nikogo tajemnicą fizyognomia polityczna „Delegacyi“ polskiej w 3-ej Izbie.

Jaką rolę Delegacya ta odegra — przewidzieć niepodobna, w każdym razie jednak będzie ona głosem narodu polskiego wobec społeczeństwa i rządu rosyjskiego.

Taki głos, aby należycie był słuchany i miał powagę za sobą, musi mieć sankcyę opinii publicznej w kraju. To nieodzowny warunek jego siły i znaczenia.

W jaki jednak sposób nadać mu sankcyę?

Tu musimy jeszcze raz wystąpić przeciw apatyi i powtórzyć bez mała to, co już mówiliśmy kiedyindziej.

Jeżeli pewna wstrzemięźliwość co do wyborów jest zrozumiała i daje się wytłómaczyć, to natomiast brak zainteresowania się społeczeństwa hasłami politycznemi chwili nie jest ani zrozumiały, ani pożądany.

Niestety jednak, z tem właśnie mamy do czynienia. Prasa nasza, która po rozwiązaniu 2-ej Izby dyskutowała dość gorąco nad przyczynami, które spowodowały to rozwiązanie i ostrej nawet krytyce poddawała działalność Koła polskiego, nie szczędząc mu zarzutów—obecnie, gdy wobec zmiany warunków powinnaby się wypowiedzieć szeroko w imieniu społeczeństwa co do kierunku polityki polskiej w 3-ej Izbie—milczy dość uparcie i zaledwie od czasu do czasu zjawia się na jej łamach głos, który zlekka tylko dotyka tych najważniejszych kwestyj.

W ten sposób posłowie otrzymają od społeczeństwa niejako zupełne *carte-blanche*. Będzie to w pewnej mierze dowodem zaufania dla nich, ale dowodem takim, który przyjmą oni najmniej może chętnie.

Postawmy się bowiem w położeniu posłów. Każdy ich krok pociąga za sobą skutki, których konsekwencye spadają nie na posła osobiście, ale na całe społeczeństwo. Każdy taki krok powinien zatem mieć za sobą, jako gwarancyę, zgodę społeczeństwa.

Reprezentacya, która posiada wytyczne w dziedzinie swej polityki ogólnej (taktyka w wypadkach poszczególnych należy oczywiście do niej samej) i wie, że te wytyczne nie są jej wyłą-

czną własnością, ale mają za sobą opinię społeczeństwa—jest we wszelkich swoich krokach zasadniczych pewna i śmiała. Przeciwnie—reprezentacya, która nie będzie posiadała takich wytycznych (a nie zastąpi ich *mandat impératif* jednego stronnictwa, choćby najgłębiej i najtrzeźwiej pomyślany) z konieczności będzie miała chwile wahań, niepewności, może nawet niedomówień. Linia jej polityki złamie się przy lada jakiej sposobności i pójdzie zygzakiem. W chwilach, kiedy będzie potrzebna decyzya szybka i stanowcza, nie będzie ona miała odwagi na jej powzięcie, bo narzucą się jej wątpliwości co do tego, jak dany krok zostanie przyjęty w kraju i czy opinia tego kraju gotowa jest przyjąć wszelkie następstwa tego kroku.

Poprzednie dwa Koła polskie nie poinformowały nas dostatecznie o swojem życiu wewnętrznem, o starciach opinij, jakie w ich łonie zachodziły, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że starcia takie były i że nie brakło momentów, w których na porządku dziennym zjawiało się pytanie, czy można w danym wypadku liczyć na całkowitą zgodę narodu?

Sytuacya polityczna była jednak o wiele jaśniejsza wówczas, niż jest teraz. Żądania narodu były sformułowane wyraźnie, program autonomiczny stał twardo i miał za sobą sankcyę ogółu bez żadnych zastrzeżeń.

W trzeciej Izbie będzie jednak inaczej. Dziś nie ulega już żadnej wątpliwości, że zmiana warunków politycznych, spowodowana aktem państwowym z d. 16 czerwca i wytworzona w *spatium* pomiędzy 2-gą a 3-ią Dumą, wytworzyła sytuacyę polityczną, która wymagać będzie zupełnie nowych środków i sposobów działania.

Nad temi środkami i sposobami powinniśmy się zastanowić i omówić je szeroko i głośno, nie w gabinecie tego lub innego męża, zajmującego się polityką, nie w gronie ludzi jednomyślnych, ale otwarcie na łamach dzienników wszystkich obozów tak, aby opinia całego narodu w dyskusyi tej wzięła udział. Z tej dyskusyi zaś wyłonią się prawdopodobnie wskazówki bardzo cenne dla posłów naszych.

Oczywiście, nie idzie nam o układanie żadnego katechizmu politycznego dla nich, nie mamy na myśli klatki z prętami tak gęstemi, żeby poza nie nikt już wyjść nie mógł, ale o nakreślenie tej linii zasadniczej, która byłaby busolą w postępowaniu naszej reprezentacyi.

Jest cały szereg pytań, na które powinniśmy odpowiedzieć głośno i na które odpowiedź będzie niewątpliwie bardzo pożądaną dla całego społeczeństwa.

Wiemy, że kwestya autonomii, kwestya szybkiego rozwiązania i określenia wyraźnego stosunku naszego kraju do państwa, stoi dziś zupełnie inaczej, niż stała przed rokiem, że na doraźne jej załatwienie nie można liczyć, natomiast są widoki częściowego, stopniowego zdobywania w drodze konstytucyjnej praw i reform, gwarantujących krajowi rozwój zdrowszy i normalniejszy, niż dotychczas. Jak się wobec tego zachować, co przyjmować chętnie, a przeciw czemu protestować, jak naszą odrębność kulturalną i narodową bronić wobec ewentualnych zamachów na nią — oto kwestye, z których nie zdajemy sobie jeszcze sprawy dość jasno.

A dalej, jaki ma być nasz udział w pracach ogólno-państwowych, zmierzających do uregulowania stosunków, chorobliwie obecnie spaczonych, jakie zająć stanowisko wobec projektowanych instytucyj samorządnych, jakie wobec projektów prawodawczych i ustaw, wnoszonych przez opozycyę i t. d.

Szczególnie ważne jest określenie naszego stosunku do opozycyi. Mówiono o tem dość dużo i odpowiednie ustępy w tym przedmiocie znajdują się nawet w mowie programowej posła Dmowskiego. Popieranie opozycyi musi być jednak określone jaśniej i wyraźniej, a linia demarkacyjna pomiędzy opozycyą a demonstracyą opozycyjną musi być przeprowadzona ściśle. Co do nas— jesteśmy przeciwnikami opozycyi bezwzględnej, słyszeliśmy tymczasem głosy, które oświadczały się właśnie za taką opozycyą bez względu na to, czy przyniesie ona, czy nie jakieś realne korzyści dla narodu.

Te i tym podobne kwestye należy wyjaśnić stanowczo, a nie wątpimy, że wyjaśnienia takie będą przyjęte i przez ogół polski i przez posłów, dla których ważne są nietylko opinie, górujące w stronnictwie, ale i to, co myślą ludzie wręcz nawet przeciwnych obozów.

Kierowanie się wyłącznie wskazaniami stronnictwa dobre jest na arenie ciaśniejszej, w kraju i w kadrach stronnictwa. Poseł jednak, choć go stronnictwo przeprowadza i choć z jego ręki otrzymuje mandat, nie jest posłem stronnictwa. Z chwilą, gdy znajdzie się w Izbie, reprezentuje on opinię ogólną i z tą opinią powinien się liczyć.

Prasa, której obowiązkiem jest czuwać nad tem, aby w społeczeństwie budzić myśl polityczną i zmuszać ją do zastanawiania się nad zagadnieniami czasu i chwili, powinnaby niezwłocznie dyskusyę taką podnieść, rozwinąć i podtrzymać, dopóki najważniejsze przynajmniej pytania nie zostaną omówione.

Jesteśmy narodem, który w nienormalnych warunkach swego istnienia tak daleko odbił myśl swoją od gościńców politycznych, że dziś z trudem wielkim na nie powraca.

Po chwilach ożywienia i rozgorączkowania, kiedy przy podniesionej temperaturze dnia niepodobna było stać na boku i biernie obserwować—obecnie nastąpił okres bezwładu. Wówczas zbiorowa nasza myśl polityczna szybowała za wysoko i za daleko, nie licząc się w swoich lotach z rzeczywistością, dziś rzeczywistość podcięła jej zanadto skrzydła i zanadto przytłoczyła ją do ziemi.

To przytłoczenie jest bardzo widoczne i niewątpliwie bardzo szkodliwe. Uważamy też za obowiązek publicystyczny walczyć z niem i protestować przeciw wszelkiej obojętności i apatyi, przeciw wszelkiemu „machaniu ręką“ na wypadki, których doniosłość bynajmniej się nie zmniejszyła.

Chwila dziejowa, chociaż w wielu oczach zbladła i w niejednej duszy obudziła gorycz rozczarowania, nie przestała być jednak chwilą bardzo poważną.

Państwo rosyjskie było i jest na przełomie i od form, w jakich ten przełom się dokona, zależy w znacznej mierze nasza przyszłość.

Sytuacya polityczna jest mniej jasna, stosunki uległy powikłaniom, horyzont się zaciemnił, tem większy jednak wobec tego jest nasz obowiązek wytężania myśli w kierunku rozwiązywania nastręczających się zagadnień.

Dla narodów, które są w takiem położeniu, jak nasze, rzeczą pierwszorzędnej wagi jest dobra oryentacya polityczna ogółu, gdyż tylko przy takiej oryentacyi możliwe jest wytworzenie jednolitej akcyi politycznej na dalszą metę.

Tej oryentacyi dotąd nie mamy i dla tego zbiorowość nasza rozbiła się tak łatwo na partye, stronnictwa i koterye, które nie potrafiły i nie potrafią iść zgodnie tam nawet, gdzie mają wspólne cele.

Ale oryentacyę taką można wytworzyć, trzeba tylko dźwigać z bezwładu myślowego coraz szersze koła i zaprawiać je do samodzielnego sądu o zjawiskach i faktach życia politycznego. Sąd ten nie polega jedynie — jak to u nas jest we zwyczaju — na doraźnem wypowiedzeniu swego zadowolenia lub niezadowolenia, na wybuchu entuzyazmu lub potępienia, ale na wniknięciu we wszystkie przyczyny, na ocenę wszystkich czynników, które złożyły się na dany moment.

Szerokiemu ogółowi bardzo łatwo było wołać przed 1-ą i 2-ą Izbą o autonomię, w myśl hasła, wywieszonego na sztandarach

wyborczych, równie łatwo było mu potępić 2-ą Izbę za „pogrzebanie autonomii“ i postawić Kołu Polskiemu ciężki zarzut przyczynienia się do tej sprawy przez niewłaściwe postawienie kwestyi — było to jednak tak łatwe dla tego, że wśród szerokiego ogółu nie wielu było ludzi, którzy zdawali sobie jasno sprawę z tego, co to jest walka o autonomię.

Podobnie w chwili obecnej nasz ogół, nie wyłączając nawet warstw inteligentnych, niedostatecznie przemyślał sprawy zmiany stosunków, a stąd 3-ia Izba i zachowanie się w niej *Delegacyi polskiej*, zachowanie się, które będzie z konieczności zupełnie inne, niż było, może mu przynieść pewne niespodzianki i nieoczekiwane posypią się wówczas zarzuty na tych, którzy przyjęli na siebie odpowiedzialność za kierunek polityki polskiej.

Aby uniknąć tego, trzeba pomiędzy reprezentacyą a społeczeństwem wytworzyć porozumienie zawczasu—przy pomocy wyczerpującej dyskusyi na temat kwestyi, którą staraliśmy się wskazać powyżej.

*

* *

Ohydna zbrodnia, której ofiarą padł w Łodzi właściciel fabryki, Mieczysław Silberstein, rzuciła ponure światło na zwyrodnienie mas robotniczych w tem mieście. Szczegóły są tak potworne, że myśl wzdryga się na samo ich przypomnienie. W obecności 600 ludzi dokonano morderstwa na osobie bezbronnej jednostki za to, że nie uległa przemocy i przeciwstawiła hart swojej woli wymaganiom roznamiętnionego tłumu.

Najbardziej winni tej zbrodni ponieśli karę śmierci. Mniej winni uledz mają deportacyi. Fakt jednak pozostaje faktem, z którym społeczeństwo liczyć się musi bardzo poważnie i o którym nie prędko będzie mu wolno zapomnieć.

Stosunki w Łodzi doszły do zupełnego wypaczenia. Rozpasanie złych instynktów w człowieku osiągnęło swój punkt kulminacyjny. Nic gorszego nad to, co dzieje się w ostatnich czasach w stolicy naszego przemysłu, dziać się już chyba nie może. Trzyletnia anarchia doprowadziła nie już jednostki, ale całe masy do zwyrodnienia. Człowiek zamienił się w szakala. Życie straciło wszelką cenę. Krew plami ręce młodych i starych, zabijają męż-

czyźni i zabijają kobiety. Wśród zbrodniarzy nie brak nawet dzieci, a wyrostki znaczny stanowią odsetek pośród zabójców i zabijanych. Jednocześnie wzmaga się nędza i wszelkiego rodzaju związane z nią klęski. Demoralizacya panuje straszna, rozprzężenie zupełne.

Po tej drodze dalej iść nie można, bo Łódź stoi już na krawędzi przepaści, która otwiera się przed nią i w którą runie bezpowrotnie, jeżeli zbiorowy wysiłek ludzi lepszych nie powstrzyma jej i nie wyleczy z ciężkiego *delirium*.

Kwestya ta jest może w tej chwili najbardziej palącą kwestyą u nas, mimo, że nie wszyscy należycie ją oceniają. Warszawa i kraj cały za mało zajmują się stosunkami łódzkiemi, za mało wiedzą o nich. Prasa nie spełnia w tym względzie swojego obowiązku dość energicznie. Za mało pisze o Łodzi, za rzadko wysyła tam swoich korespondentów, którzy na miejscu przyjrzeliby się piekielnej orgii i oświetlili zjawiska życia łódzkiego w sposób należyty. A jestto i konieczne i potrzebne. Bardzo potrzebne.

O pożytku, jaki z takich wycieczek publicystycznych płynie, przekonywa wymownie ankieta, przeprowadzona przez p. W. Prawdzica, publicystę, który w *Głosie Polskim* zdał niedawno wyczerpującą sprawę ze swoich smutnych spostrzeżeń, poczynionych na miejscu.

Ankieta ta zasługiwałaby w zupełności na to, żeby ją przytoczyć całkowicie, gdyż daje ona materyał bogaty do oceny zła, jakie od lat kilku stałym jest gościem w Łodzi i jak rak toczy jej organizm.

Nie możemy jednak przedrukować na tem miejscu całego obszernego artykułu, poprzestaniemy więc na przytoczeniu kilku tylko najcharakterystyczniejszych, a obchodzących nas w tej chwili bliżej, jego momentów.

Tak np. między innemi ankieta stwierdza, że karność w fabrykach jest zupełnie rozluźniona, a wydajność pracy określają znawcy, jako o 40% mniejszą w stosunku do okresu przedrewolucyjnego, podczas gdy płace wzrosły przeciętnie o 30%, czasem o 50—60%, a w najdelikatniejszych gałęziach pracy, przeważnie t. zw. akordowej, nawet o 100%. Za przeciętne zarobki uważać dziś można 7—9 rb. tygodniowo dla mężczyzn niefachowych i 5 rb. 60 kop. dla kobiet; 8 — 14 rb. i wyżej dla tkaczy, wreszcie 25 — do 30 rb. dla najbardziej wykwalifikowanych. Wszyscy jednak, nawet ostatni, pracują źle, poczęści z lenistwa, ale też i w obawie terroru ze strony współtowarzyszów pracy, którzy grożą wykonywującym zbyt sumiennie swoją robotę. Podwyżka płacy, po-

zyskana w ciągu ostatnich dwóch lat, nie odbiła się korzystnie na dobrobycie robotnika z powodu podrożenia wszystkiego; do innych podwyżek przybywa jeszcze w tym roku drogie zboże i drogi węgiel.

O ile jednak są pieniądze zbywające—idą na trunki. Alkoholizm to plaga, na którą uskarżają się w Łodzi wszyscy i przeciw której walczą bezskutecznie wszystkie stronnictwa i grupy. Bywają wypadki upijania się przy pracy, bywają wypadki, że w poniedziałki fabryki stoją pustkami, bo większość robotników jest pijana; piją wódkę za wolą i wiedzą rodziców także dzieci.

Przez 7 miesięcy r. b. Łódź i okolice z Tomaszowem i Zgierzem wypiły samej wódki za 602868 rb., *więcej*, niż roku zeszłego, a ogólna suma za wypitą wódkę wynosi blizko 3½ miliona rubli za czas siedmiomiesięczny; piwo, wino i wódki słodkie nie wchodzą tu w rachubę.

Pamiętamy wszyscy dni styczniowe 1905 r. i pamiętne rozbijanie monopolów, pamiętamy entuzyazm ludzi słabej głowy, widzących w tem rozbijaniu początek nowej ery, rewolucyi moralnej, antyalkoholicznej. Rozbite monopole zastąpiły tymczasem inne, nowe, a przed okienkami panuje większy ścisk, niż dawniej.

Spożycie wódki wzrasta, obok nędzy i rozpaczy, wytwarzając koło bez wyjścia. Cała masa robotnicza jest niesłychanie zdenerwowana, podniecona, gotowa iść za każdem wezwaniem, rzucać robotę wobec najzłudniejszej nadziei polepszenia warunków życia, nie zdająca sobie w najmniejszej mierze sprawy z grozy położenia ekonomicznego. Zaślepienie nie pozwala jej zoryentować się w stosunkach i warunkach ekonomicznych, ani dostrzedz granicy, poza którą struna może już być przeciągnięta.

Dając następnie obraz ogólny stosunków łódzkich, widoków przemysłu i deprawacyi robotników, p. Prawdzic zapytuje, jaka przyszłość czeka to miasto nieszczęśliwe i tych mieszkańców, równie nieszczęśliwych, bez względu na to, do jakiej warstwy czy narodowości należą, równie zmęczonych i zdenerwowanych?

Tego nikt przewidzieć nie zdoła. Można tylko zanotować dwa prądy opinii. Optymiści, rekrutujący się przeważnie z pośród inteligencyi zawodowej, widzą w dzisiejszem przesileniu przejściową chorobę przemysłu i powołują się na przykład Anglii z przed trzech ćwierci wieku, Anglii, która wyrobiła potem najlepszego robotnika na świecie: w rozwoju związków zawodowych upatrują jedyny środek ratunku: nie wierzą w upadek przemysłu, w emigracyę wielkich i bankructwa małych fabrykantów, bo w mu-

rach łódzkich tkwi zbyt wiele kapitału i pracy, aby bezprodukcyjnie zmarnieć miały.

Natomiast koła przemysłowców zapatrują się na położenie niezmiernie pesymistycznie. W razie dalszego trwania stanu obecnego przemysłowcy przewidują rychłe, matematyczne bankructwo małych fabryk i porzucenie Łodzi przez większe firmy, poprostu dla tego, że wytrzymać tu nie chcą i nie mogą. Zwracają uwagę na to, że dziś wszystkie fabryki są bardzo tanio do sprzedania, tylko kupców niema. Marzeniem fabrykanta jest też jaknajrychlej Łódź opuścić.

Któremu z tych dwóch poglądów większą przypisać racyę— niedaleka okaże przyszłość. Dzisiaj przesądzać tego niepodobna.

Tymczasem jednak pragnęłoby się zaradzenia złemu, szukania środków zapobieżenia owemu zdziczeniu moralnemu, o którem mówiliśmy wyżej.

Wszystkie te środki nie są doraźne, ale muszą być obliczone na dalszą metę.

Znane są ogólnie związki zawodowe, rozwój stowarzyszeń współdzielczych, oświatowych i kulturalnych, podniesienie oświaty, propaganda etyczna. Żaden z nich jednak nie przyniesie rezultatów natychmiastowych. A innych środków niema.

Największą uwagę autor ankiety zwraca na propagandę etyczną i stwierdza, co jest dla nas zupełną niespodzianką, że *w tym kierunku robi się w Łodzi wiele*, ale robi się jeszcze za mało, może dla tego, że niema ludzi, specyalnie tej propagandzie poświęconych, że traktują ją jedynie, jako gałąź innych działalności.

Oczywiście, „Armii zbawienia“ Łódź nie posiada, ale posiada liczny zastęp inteligencyi, która, przy dobrej woli, mogłaby stanąć do pracy etycznej i poprowadzić ją szerzej, niż dotychczas. Niestety jednak inteligencya współczesna wogóle, a więc i łódzka, dotknięta jest niemocą czynu. Na każdem polu brak nam talentów organizacyjnych, brak zapału i bezwzględnej wiary w to, że to, co się czyni, jest dobre.

Ale zło jest tak wielkie i tak z dniem każdym jaskrawiej zagląda w oczy wszystkim, że musi ono obudzić energię w społeczeństwie i na okrwawione ulice Łodzi powołać apostołów, głoszących pokój i pojednanie.

Czasu do stracenia niema.

Robotnik łódzki tak stępiał już na wyraz „śmierć“ i „zbrodnia,“ iż zupełnie niema w jego duszy elementów, umożliwiających mu ocenę zabójstwa.

Prawie bez względu na stronnictwa, do których należą — mówi p. Prawdzic — żywią wszyscy milczące, lub głośno wyrażane przekonanie, że *kto został zabity, ten na to zasłużył.* O ile chodzi o zabójstwa fabrykantów lub kierowników technicznych, czynnikiem decydującym jest tu ślepa nienawiść; w innych wypadkach uczucie zemsty za zdradę (cały szereg zabójstw popełniono np. na kilkudziesięciu „byłych towarzyszach," którzy z łatwością przerzucili się z szeregów rewolucyi do szeregów policyi tajnej i nieraz z patrolami obchodzili fabryki), — wreszcie wystarczy byle jaki powód inny, nie wyłączając najbłahszych, bo ogólnie ustaliło się wśród robotników łódzkich przekonanie, „że wszystko można zdobyć przy pomocy wszechwładnego *browninga.*" Jest to oręż potężniejszy i bardziej zrozumiały dla ciemnych, podniecanych nienawiścią umysłów, niż nawet strajk.

Przeciw temu przekonaniu trzeba walczyć przedewszystkiem.

„W okrwawionem mieście najważniejszym, najpilniejszym, najskuteczniejszym środkiem będzie wbicie, wrażenie w serca ludzkie najprostszego, jednak dziś zapomnianego przykazania: *„nie zabijaj."*

Taki jest ostateczny wniosek publicysty, który przedsięwziął ankietę — wniosek, który powinien przemówić głośno do całego ogółu polskiego i zmusić lepszą jego część do stanowczej walki z nieszczęściem i zbrodnią.

Człowiek etyczny nie powinien w takiej chwili przypatrywać się biernie krwawym zapasom.

Ubolewanie nad tem, co się dzieje, nie pomoże, jak nie pomoże dzisiaj powoływanie przed trybunał opinii publicznej rozwydrzonych agitatorów, którzy pierwsi pchnęli ciemny tłum na drogę występku.

Trzeba zebrać wszystkie siły ducha i stanąć do pracy w imię lepszego jutra.

*

* *

Kwestya płacenia wpisów szkolnych za dzieci rodziców niezamożnych oddawna była u nas na porządku dziennym, obecnie jednak przybrała charakter jeszcze poważniejszy, niż dawniej, wobec tego, że z jednej strony norma wpisowego w prywatnej szko-

le polskiej jest z konieczności wysoka, z drugiej — szeroko otwarte drzwi tej szkoły uczyniły ją dostępną dla wszystkich, a stąd garną się do niej coraz szersze, a co za tem idzie i coraz uboższe warstwy społeczeństwa. To też mimo najlepszej woli przełożonych, mimo licznych ulg, czynionych w granicach możności — ogromny odsetek uczniów nie jest w stanie wnieść w terminie właściwym opłaty szkolnej, co naraża szkołę na nieprzewidziane kłopoty i odbija się niekorzystnie na prawidłowem jej funkcyonowaniu.

Społeczeństwo, a przynajmniej jego część, doszło jeszcze w roku zeszłym do przekonania, że jedną z najpilniejszych potrzeb jest uregulowanie pomocy materyalnej dla młodzieży, a przez to samo i dla szkoły polskiej. W tym celu zawiązane zostało *Towarzystwo wpisów szkolnych*.

Powstanie tej instytucyi było niezbędne, gdyż tylko taka instytucya może sprowadzić w jedno łożysko rozproszoną ofiarność publiczną na ten cel i czuwając nad rozdziałem zdobytych środków, dawać jednocześnie gwarancyę, że zasiłki udzielone zostaną rzeczywiście najbardziej potrzebującym i najbardziej zasługującym na to.

Powitano też jej narodziny z uznaniem i zdawało się, że odtąd przynajmniej część zasadnicza kwestyi jest rozwiązana i wszystko pójdzie o wiele łatwiej.

Tymczasem, jak zwykle u nas bywa, dość szybko zapomniano o Towarzystwie wpisów szkolnych, składki podawnemu zaczęły rozbieżnie napływać do redakcyj czasopism, a instytucya, zasypywana podaniami, znalazła się bez środków na zaspokojenie potrzeb swoich młodocianych petentów. Zmusiło ją to do głośnego przemówienia i przypomnienia się szerszemu ogółowi.

W miesiącu bieżącym wydana została przez Towarzystwo odezwa w tym celu.

Zanim nastąpi upragnione spolszczenie całego szkolnictwa publicznego — czytamy na wstępie — musimy zastąpić je szkołą prywatną, której osiągnięcie kosztowało naród tyle trudów i poświęceń.

Szkolnictwo prywatne musi być jednak i jest kosztowne, dla tego, że brak mu pokrywającego niedobory subwencyonaryusza, którym z natury rzeczy w szkołach publicznych jest państwo lub instytucye samorządne. W pewnej mierze usiłują pokrywać te niedobory towarzystwa i instytucye społeczne, utrzymujące różne szkoły, ale to nie wystarcza. Fakt pozostaje faktem: szkoła prywatna polska nie opłaca się, a pomimo to jest kosztowna.

Przed biednemi, nawet średniozamożnemi rodzinami—a imię ich jest legion — staje więc tragiczne zagadnienie: albo sprzeniewierzyć się zasadom wychowania polskiego, albo rzucić dzieci swe na fale losu bez wykształcenia średniego.

Jest jednak—mówi odezwa Towarzystwa dalej—i droga trzecia — droga samopomocy i solidarności społecznej. „Na tę drogę wzywamy społeczeństwo polskie. Wyrazem tej solidarności, tej samopomocy jest Towarzystwo wpisów szkolnych. Rozpoczęło ono działalność swoją w warunkach trudnych, przejęło bowiem zobowiązania „Koła zapomóg“ polskiej Macierzy Szkolnej wobec uczniów, którym zapomogi zostały przyznane, a z powodu braku funduszów nie wypłacone. W ciągu roku z zobowiązań tych, wynoszących razem sumę 13.408 rb. Towarzystwo wywiązało się w zupełności, ale dzięki temu wszystkie jego dochody zostały pochłonięte i rozpoczyna nowy rok szkolny całkowicie ogołocone z funduszów.“ Aby te fundusze zdobyć — Komitet Towarzystwa zamierza zaprosić do współdziałania swej pracy liczne grono osób, zwłaszcza pań, które dobrej sprawie zechciałyby swój wolny czas poświęcić, zamierza powierzyć im opiekę nad rewirami, obejmującemi po kilka domów i upoważnić do zbierania w danym rewirze ofiar na wpisy od właścicieli domów, biur, sklepów i t. d. oraz od lokatorów. Nadto Komitet przypomina, że sam *nie rozdaje wcale* wpisów szkolnych, lecz działa wyłącznie za pośrednictwem *Kół szkolnych* (istnieje ich przy różnych szkołach średnich około czterdziestu, które dysponują samodzielnie funduszami, jakie zbiorą, a prócz tego otrzymują od Komitetu zapomogi, o ile ten udzielić ich może).

Wpisy opłacane są wyłącznie pod warunkiem złożenia zobowiązania, zaświadczonego przez rodziców lub opiekunów ucznia, że *zwróci* otrzymaną zapomogę po dojściu do lat 30, chyba, żeby do tego czasu nie posiadł ani stanowiska zarobkowego, ani majątku. Więc każdy grosz, ofiarowany Towarzystwu, nie przepada i owszem — z czasem przyczyni się do nienaruszalnego kapitału, z którego będą korzystały przyszłe pokolenia.

Jest to dla społeczeństwa rękojmia, o którą publicystyka nasza upominała się już oddawna, a nadto forma ta z zasiłków wpisowych nie czyni jałmużny, ale nadaje im charakter długoterminowych pożyczek, co niewątpliwie bardzo dodatnio wpłynie na wyrobienie w młodzieży poczucia swych obowiązków wobec społeczeństwa, które obdarza ją ufnością i staje się jej wierzycielem przez dopomożenie do ukończenia szkoły.

Wobec tej rękojmi Towarzystwo powinno znaleźć tembardziej poparcie ze strony wszystkich, którzy rozumieją ciężkie położenie szkoły polskiej i jeszcze cięższe położenie młodzieży, która w tej szkole szuka nauki.

W społeczeństwach szczęśliwych, żyjących w warunkach normalnych, tego rodzaju kwestye, jak nasza kwestya wpisów — są zupełnie nieznane. Anglik, Francuz, Niemiec, nawet ubogi Włoch, zadziwiłby się bardzo, gdyby pewnego dnia wręczono mu odezwę, wzywającą do składania ofiar na zapomogi wpisowe.

My jednak jesteśmy ciągle jeszcze w warunkach odrębnych, specyficznych, które nie mają sobie pokrewnych nigdzie. To też nie zadziwi u nas nikogo odezwa Towarzystwa. Każdy natomiast weźmie ją niewątpliwie do serca i w miarę możności przyczyni się do zwiększenia zasobów instytucyi.

Nie wolno nam zapominać o tem, że te dzieci, które dziś zapełniają szkołę i walczą z niedostatkiem—to przyszli obywatele kraju, to może ci właśnie, którym wypadnie odbudowywać z gruzów to wszystko, na czego zniszczenie i upadek patrzały oczy nasze i oczy naszych ojców.

Jeżeli tak będzie istotnie — to tem większego światła, tem większej nauki pokoleniu temu potrzeba. W interesie więc *narodu* leży, aby żadna jednostka nie zmarnowała się, nie wykoleiła, nie padła bez sił w pół drogi.

Społeczeństwo zaś, które tak sobie postawi kwestyę—potrafi niewątpliwie spełnić swój obowiązek wobec teraźniejszości i przyszłości.

*

* *

P. Generał-gubernator warszawski wydał następujący okólnik, rozesłany do wszystkich biskupów w Królestwie Polskiem:

„Doszło do mojej wiadomości, że na odbytem w sierpniu r. b. w Warszawie Zjeździe księży prefektów, w liczbie uchwał, podjęto między innemi rezolucyę w sprawie zastąpienia w zakładach naukowych modlitw, odmawianych obecnie przed rozpoczęciem lekcyj i po ich ukończeniu, przez modlitwy, ustanowione przez b. Komisyę edukacyjną.

„Ponieważ w modlitwach, zredagowanych przez rzeczoną Komisyę w odróżnieniu od odmawianych obecnie w zakładach

naukowych, nic nie jest wspomniane o Monarsze, uznaję projekt, zalecony przez Zjazd prefektów za demonstracyę polityczną, przytem bezwarunkowo niedopuszczalną. Zarazem nie mogę się zgodzić na to, ażeby zastąpienie jednych modlitw przez inne mogło być przeprowadzone przez duchowieństwo wbrew woli zwierzchności dyecezyalnej. Wobec tego proszę Waszą Ekscelencyę o wywarcie odpowiedniego wpływu na księży prefektów podwładnej dyecezyi i o zawiadomienie mnie o środkach, przez Waszą Ekscelencyę przedsięwziętych. Ze swej strony uznaję za niezbędne uprzedzić Waszą Ekscelencyę, iż, jeżeli dojdzie do mojej wiadomości, że w którymkolwiek z zakładów naukowych, zamiast ustanowionych obecnie modlitw przed i po lekcyach, odmawiane będą modlitwy b. Komisyi Edukacyjnej, to względem prefektów tych zakładów naukowych przedsięwzięte będą przeze mnie jaknajsurowsze środki, przysługujące mej władzy na zasadzie obowiązujących w guberniach Królestwa Polskiego przepisów stanu wojennego.“

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Z wielkich Bibliotek polskich jedna Biblioteka Ossolińskich we Lwowie wydaje coroczne sprawozdanie, pozwalające śledzić rozwój tej wielkiej instytucyi, założonej przez niezapomnianego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Biblioteka wraz z muzeum i galeryą obrazów rozwijają się stale, otaczane zarówno gorliwością zarządu, jak i ofiarnością ogółu polskiego, który stale popiera tę placówkę nauki polskiej. Wzmagający się wzrost czytelników w pracowni naukowej spowodował jej rozszerzenie w r. 1906 przez dodanie jednej sali przeznaczonej dla użytku profesorów i badaczy rękopisów. Dbając o wygodę studyujących zbiory biblioteczne, Zarząd prowadził w dalszym ciągu pracę nad katalogiem realnym i nad IV tomem katalogu rękopisów, najobszerniejszego i najdokładniejszego w naszej literaturze.

W nierozdzielnym związku z Biblioteką Ossolińskich jest Muzeum im. XX. Lubomirskich, w którem, w roku ubiegłym, najgłówniejszą czynność stanowiła inwentaryzacya zbiorów tego Muzeum. Po ułożeniu i skatalogowaniu biblioteki muzealnej kustosz dr. Bronisław Gubrynowicz przystąpił do katalogowania działu archeologicznego i historycznego, tudzież zbrojowni a prócz tego zajął się w galeryi naukowem sklasyfikowaniem obrazów.

Uporządkowanie i skatalogowanie nader cennego daru, pochodzącego z zapisu ś. p. Józefa Skarbek-Borowskiego, było jedną z ważniejszych czynności Zarządu muzealnego. Dar ten przekazała Zakładowi żona ś. p. Józefa Skarbek-Borowskiego, która miała prawo dożywocia. Składa się nań kilkadziesiąt akwarel i rysunków Juliusza Kossaka, wśród których są nader cenne i ciekawe obrazy przedstawiające bitwę pod Ostrołęką, jenerała Chłopickiego, rannego w bitwie pod Grochowem, jenerała Skrzyneckiego ze swoim sztabem. Oprócz prac Kossaka znajdują się w tym darze dzieła pędzla A. Piotrowskiego, E. Wadowskiego, J. Włodkowskiego i innych, prócz tego 75 sztuk starej

a cennej broni. Z innych darów wymienić należy dar p. Heleny z Dąbczańskich Budzynowskiej, która ofiarowała wspaniałą dalmatykę z XVI w., daną niegdyś przez Jana III do kościoła farnego w Żółkwi, tudzież ofiary pp. Kazimierza Przyborowskiego, Władysława Bełzy, Jadwigi Kwiecińskiej i Kazimierza Pepłowskiego. Biblioteka sama wykazuje 352 instytucye i osoby, które złożyły w ciągu r. 1906 dary w książkach i rękopisach zakładowi, nadto 269 redakcyj i czasopism przysyłało bezpłatnie swe wydawnictwa do zbiorów bibliotecznych.

To też zbiory biblioteczne i muzealne Zakładu nar. im. Ossolińskich rosną szybko. W ciągu r. 1906 inwentarz druków wykazał przyrost 2500 dzieł, tak, że dzieł unikatów posiada Zakład 122850, atlasów i map 2105, (przyrost 33 numerów), rękopisów 4603 (przyrost 23 numerów), autografów 3094 (przyrost 39 numerów), dyplomatów 1514 (przyrost 22 numerów). Zbiór obrazów wynosi 969 sztuk, rycin 27954, zbrojownia posiada 716 przedmiotów, inwentarz zbiorów archeologicznych i historyczno-muzealnych 2591 przedmiotów. Zakład posiada także bardzo znaczny zbiór numizmatyczny obejmujący 17170 numerów, w czem monet polskich uporządkowanych i na widok publiczny w osobnej sali wystawionych jest 5437 numerów. Inwentarz medali obejmuje 4332 numerów, między któremi jest 1310 medali polskich, a w dziale medali obcych cały szereg pierwszorzędnych rzadkości.

Pracownia naukowa Biblioteki była w roku 1906 otwarta przez 212 dni, służyła 7592 osobom i wydała na ich użytek 2083 rękopisów, 16713 dzieł w 27763 tomach. Przeciętnie na jeden dzień wypada 36 osób, 5 rękopisów, 79 dzieł w 131 tomach.

W r. 1906 zwiedziło Muzeum osób 4536, a 389 czyniło studya. W porównaniu z 1905 r. wzrosła liczba zwiedzających o 684, a studyujących o 279.

Zakład nar. im. Ossolińskich popierany przez całe społeczeństwo polskie, które dobrze rozumie znaczenie kulturalne tej instytucyi, rozporządza niewielkiemi bynajmniej środkami materyalnymi. Suma dochodów wynosiła w r. 1906, 82604 koron 67 hal., rozchodów 81412 kor. 71 hal. W dochodach najważniejszymi pozycyami były: prestacya kuratoryi ekonomicznej (12600 kor.), dochód z kapitałów (21326 kor. 15 hal.), stała roczna opłata od wydawnictwa książek szkolnych (25000 kor.) i dochód z dóbr i nieruchomości (12166 kor. 10 hal.). Z wydatków najpoważniejsze były płace urzędników i personelu (33740 koron), zakupna biblioteczne (12000 kor.) i wydatki na utrzymanie gmachu, które w r. 1906 pochłonęły bardzo znaczną sumę 16553 koron.

Oprócz gmachu bibliotecznego z ogrodem, wsi Rakowca z przynależną doń częścią lasu Ponory, drukarni własnej, zbiorów bibliotecznych i muzealnych, tudzież stałej prestacyi od Kuratoryi ekonomicznej, a to w kwocie corocznej 12600 koron, stanowiły majątek Zakładu z końcem r. 1906 kapitały i legaty w łącznej kwocie 790076 kor. 86 hal. Suma to bynajmniej niewielka, to też staraniem zarządu być powinno zarówno powiększenie kapitału, jak i dochodów, przez co rozwinie Zakład skrzydła do szerokiego lotu, do którego jest przeznaczony.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Biblioteka nowa uniwersalna, r. XXI, zesz. 410–413. Hello Ernest: Człowiek. Życie—Wiedza—Sztuka; Rapacki W.: Kostka Napierski, opowiadania Imci Pana Krzysztofa Scipiona, dworzanina Jego Król. Mości; Krawczyński S. M.: W Rosyi w ósmem dziesięcioleciu XIX wieku, (Andrzej Kożuchow); F. Hoesik: Jan Kochanowski w świetle dotychczasowych wyników krytyki historyczno-literackiej; Jan Ogiński Kontrymowicz: Tragedya w Glinianach, legenda historyczna z XIV wieku, na starych szpargałach oparta.

Bulletin Polonais, 39 année, 15 Juin, 1907. Victor Hugo et la Pologne (lettres inédites). — De Cracovie à Vienne par la Bukovine et la Transylvanie, par Edme Vielliard (suite). — Le Père Marc, poème dramatique de Jules Słowacki, trad. par V. Gasztowtt (suite); — Les Salons du Grand Palais, par E. Pożerski; — Variétés littéraires; — Memento politique: La question des écoles du Royaume de Pologne devant la Douma. Elecions en Galicie; — Petite chronique scientifique; — Nouvelles diverses; — Nécrologie (Docteur Eltchaninoff, Marian Zaleski, Emile Kochanowski).

— 15 Juillet, 1907. Réponse de H. Sienkiewicz à l'article de Björnson sur les Polonais, à propos de la question ruthène; — De Cracovie à Vienne par la Bukovine et la Transylvanie, par Edme Vielliard (suite); Le Père Marc, poème dramatique de Jules Słowacki, trad. par V. Gasztowtt (suite); — Variétés literaires; — Petite chronique scientifique; — Variétés politiques; — Nouvelles diverses; — Nécrologie (Mme Vivier, née Podwyszyńska, Mme Krzyżanowska).

— Kwartalnik historyczny. Rok XXI. 1907. Zesz. 2 i 3. Oswald Balzer: Państwo Polskie w pierwszym siedmdziesięcioleciu XIV i XV w.; A. Prohaska, Konferencya ziemian przeciw duchowieństwu w r. 1407; tenże: Napad Husytów na Częstochowę w r. 1430; Wł. Konopczyński: Sejm grodzieński w r. 1752 (dok.); Tadeusz Smoleński: Wykopaliska egipskie 1901—1906; Miscellanea; dr. Br. Łoziński: Z czasów nowicyatu administracyjnego Galicyi; Recenzye i sprawozdania przez A. Brücknera, L. Finkla, St. Zakrzewskiego, F. Koperę, L. Lepszego, A. Winiarza, Fr. Bujaka, St. Kutrzebę, Przem. Dąbkowskiego, M. Łodyńskiego, Ab. Kłodzińskiego, T. Grabowskiego, L. Janowskiego, G. Manteuffla, A. Prochaskę, Macieja Loreta, E. Kipę, J. Gollenhofera, Br. Lozińskiego i M. Schorra; Bibliografia historyi powszechnej przez E. Barwińskiego; Bibliografia historyi polskiej przez tegoż; Kronika przez tegoż; Sprawozdanie z posiedzeń Tow. historycznego; Polemika (Kutrzeba-Balzer).

— Miesięcznik pedagogiczny. Rok XVI, Nr. 7, lipiec, 1907. Germanizacya naszego szkolnictwa ludowego; Petycya „P. T. P.“ w sprawie kursów wydziałowych; Galicya w budżecie Minist. wyznań i oświaty w r. 1907; Działalność naszych rad szkolnych miejscowych; Z Pol. Tow. Pedagog.; Kronika; Ogłoszenia.

— Poradnik językowy. Rok VII, Nr. 6 i 7, 1907. I. K. Nitsch: Z badań nad językiem polskiem; II. Roman Zawiliński: Wyniki ankiety w sprawie nazwisk żeńskich; III. Pokłosie przez J. Szczerbowskiego, O. N. Golichowskiego i B. D.; IV. Zapytania i odpowiedzi przez J. Steina; V. Nowotwory przez X. Kanieckiego; VI. W sprawie pisowni przez W. Kagana i J. Steina; VII. Wyjaśnienia do „Flisa“ przez A. Kleczkowskiego; VIII. Rozmaitości; IX. Korespondencya Redakcyi; Ogłoszenia.

— Przegląd Filozoficzny. Rok X, zeszyt III, Benedykt Bornstein: Preformowana harmonia transcendentalna, jako podstawa teoryi poznania Kanta; Romuald Minkiewicz: Próba analizy instynktu metodą objektywną; Krytyka i sprawozdania przez dr. Jana Łukasiewicza, J. Lewkowicza, Bogumiła Jasinowskiego i J. Segała; Notatki o nowych książkach; Autoreferaty dr. Jakóba Segała, I. Cembrowicza, A. Szycówny i dr. Wł. Sterlinga; Z czasopism; Wiadomości bieżące; Bibliografia; Dodatek; Biuro pośrednictwa między specyalistami.

— Przegląd polski. R. XLII, sierpień, 1907. Trylogia Dubrownicka przez hr. Iwona Vojnovića, przekład z chorwackiego Heleny d'Abancourt de Franqueville (c. d.); Cz. II, „Zmierzch,“ dramat; Ignotus: Synteza rewolucyi w państwie rosyjskiem; III. Anarchia, autokracya, czy rewolucya? (c. d.); Konrad Ostrowski: Listy z Francyi; Sprawy krajowe; L. Jerzy Michalski: Uwagi w sprawie reformy finansów krajowych; Kronika literacka; Dr. Zdzisław Jachimecki: Muzyka w Krakowie, „Stara Baśń“ opera w 4 aktach Wł. Żeleńskiego; Przegląd polityczny przez *_*.

— Przegląd powszechny, zesz. 8, sierpień, 1907. Ks. St. Adamski T. J.: Wobec ruchu rozwodowego. Refleksye o istocie małżeństwa; Ks. M. Czermiński T. J.: Na górze Athos; Fr. Klimke T. J.: Spółczesne światopoglądy (dok.); M. Paciorkiewicz: Twórczość Bossueta i Fenelona; Adolf Chybiński: Bogarodzica pod względem historyczno-muzycznym; Przegląd piśmiennictwa przez dr. St. Dobrzyckiego, dr. A. Bieleckiego, Leonarda Lepszego, ks. W. Wieckiego T. J., Ks. J. Urbana T. J., ks. E. Matzla T. J., M. Harsdorfa, T. Wodzicką, B. E., L. C., I. K., A. R., A. B., A. Ch.; Sprawozdanie z ruchu relig., nauk. i społecznego przez ks. W. Wieckiego T. J., Teodora Jeske-Choińskiego i Aski.

— Przegląd prawa i administracyi. R. XXXII, zeszyt 7, lipiec, 1907. Dr. Roman Longchamps: Zaufanie w zewnętrzny stan rzeczy; dr. Włodzimierz Kozubski: O odpowiedzialności kolei za pakunek podróżny wogóle, a w szczególności za kosztowności; dr. Ernest Till: Z dziedziny materyalnego prawa konkursowego; Prof. dr. Piotr Stebelski: Rewizya nadzwyczajna w procesie karnym austryackim; Dr. Maryan Rosenberg: Początki górnictwa w Polsce za Bolesława Chrobrego; Wstęp do historyi prawa górniczego; Zapiski literackie przez H. Chodynieckiego; Praktyka cywilno-sądowa przez T. i dr. M. Bribrauna; Praktyka karno-sądowa przez T. i Ryszarda Leżańskiego; Dodatek, *Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych Nr. 7.*

— Przewodnik naukowy i literacki. T. XXXV, zesz. VII, lipiec, 1907. Dr. St. Turowski: Wespazyan Kochowski na tle współczesnem, jako poeta;

Adolf Chybiński: Fryderyk Chopin i Eugeniusz Delacroix, (Przyczynek do biografii naszego mistrza); Tad. Stan. Grabowski: Z współczesnej poezyi chorwackiej; Prof. Antoni Rehman: W jaki sposób powstał olej skalny? Antoni Karbowiak: Pedagogika Komisyi edukacyi narodowej w świetle systemów pedagogicznych XVIII w.; Do dziejów Kamieńca Podolskiego (z papierów pozostałych po ś. p. d-rze A. J. Rolle); A. Prochaska: Rady Kalimacha; Dr. Maryan Szyjkowski: Génie du christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej.

— Rodzina i szkoła. R. XII, lipiec i sierpień 1907. Nr. 13 i 16. Tomasz Markowski: Kara cielesna u teoretyków pedagogicznych; M. H.: Dziecko a książki; Wincenty Seko: Jak dzieci nie należy wychowywać; A. Śniegocki: Ochronki wiejskie; Franciszek Szczepański: Rady sieroce; Wojciech Mączka: Jak szkoła ludowa może oddziałać na ekonomiczne podniesienie kraju; Mikołaj Haraszkiewicz: Wystawa przyrodniczo-lekarska i hygieniczna X Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich; Piśmiennictwo; Wspomnienie pośmiertne; Odezwa; Rozmaitości i ogłoszenia. W dodatku: „Wiedza i Praca;“ Zygmunt Morawski: Perły i ich powstanie; Aleksander Kielland: Sztuka i jej zrozumienie; Władysław Tyniecki: O kilku szkodnikach roślin; A. K.: Noc świętojańska; Zygmunt Morawski: Tatarzy idą; ***: Z dziedziny aerologii; ***: Telefotografia; Rozmaitości; Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Biblioteka Nowa . . . kaznodziejska. R. I, zesz. 9, 1907. Kazania ks. ks. Tadeusza Styczyńskiego, prob. z Wytomyślu, Jana Koterbskiego, prob. w Kamionce Wielkiej, Antoniego Wiśniewskiego, prob. w Mchach, G. S. Ż., S. F., Wł. Karpińskiego w Wielowieżu, Edmunda Gryglewicza, prob. w Ślesinie i X.

Bobrzyński Karol: Filozofia i filozofowanie (Uwagi z życia i szkoły). Kraków, 1907. Księg. Piwarskiego i Sp. 8-o, str. 49.

Kajsiewicz Hieronim, ks. C. R.: Rozmyślania o męce Chrystusa Pana, ułożone podług Pisma św., ojców i pisarzy kościelnych, z dodaniem kazania o siedmiu boleściach Matki Boskiej i drogi krzyżowej. Wyd. piąte. Kraków, 1907. Nakł. ks. ks. Zmartwychwstańców. 8-o, str. 417 + VII.

Okoniewski Stanisław, ks., redaktor „Przeglądu Kościelnego:“ Zniekształcenie myśli polskiej. Odbitka z „Przeglądu Kościelnego.“ Poznań, 1907. 8-o, str. 15.

HISTORYA. — GEOGRAFIA. — NAUKI POMOCNICZE.

Caro Leopold: Statystyka emigracyi polskiej i austro-węgierskiej do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Kraków. 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 68.

Europa i Polska do końca XVIII w. Rzut oka na główne momenta dziejów europejsko-polskich. Jako księga IV rzeczy: „Czem byliśmy, czem jesteśmy, czem być możemy.“ Autora „Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa.“ Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. Nakład W. L. Anczyca i Sp. 8-o, str. 97.

Gasztowtt Thadée: La Pologne et l'Islam (Notes historiques). Paris, 1907. Société Francaise d'Imprimerie et de Librairie. 8-o, str. 355.

Handelsman Marceli: Przywilej piotrkowski 1388 r. Szkic historyczno-prawny. Odbitka z „Przeglądu historycznego“ t. IV, zeszyt 1, 2, 3. Warszawa, 1907. Skł. gł. E. Wende i Sp.

Jaworski Franciszek: Przewodnik po Lwowie i okolicy z Żółkwią i Podhorcami. Z planem miasta i teatru. Lwów, 1907. Nakład księgar. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. XXXIV + 180 + + IV + 80.

Konopczyński Wł.: Sejm Grodzieński 1752 r. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp.

Lepszy Leonard: Krakau. Mit 120 Abbildungen. Leipzig, 1907. Verlag von E. A. Seemann. 8-o, str. 142.

Majerski Stanisław: Ziemie dawnej Polski (skala 1 : 850,000). Lwów, 1907. Nakł. Tow. Pedagogicznego.

Mars Leopold: O żołnierzu-tułaczu, który borem, lasem idzie, z biedy i głodu przymierając czasem. Pamiętniki... żołnierza i wygnańca 1848—1853. Wydał i przedmową opatrzył Ludwik Stasiak. Kraków, 1907. G. Gebethner i S. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 157.

Monumenta historica dioeceseos Wladislaviensis XXIII. Wladislaviae, typis officinae dioecesanae, 1907. 8-o, str. 144.

Orawski zamek: Kilka słów o... Kraków, 1907. Nakł. Tow. Tatrzańskiego. 8-o, str. 14.

Pikulski G., ks., teolog konwentu O.O. Bernardynów: Sąd żydowski we lwowskim kościele Archikatedralnym 1750 r. Wydanie czwarte. 1906 r. 8-o, str. 31.

Ptaśnik Jan: Kollektorzy Kamery apostolskiej w Polsce Piastowskiej. Kraków, 1907. Nakł. Akad. Um. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 80.

Rakowski Kazimierz: Wewnętrzne dzieje Polski (Zarys rozwoju społecznego i ekonomicznego). Warszawa, 1908. Skł. gł. E. Wende i Sp.

Rogala A.: Tadeusz Kościuszko. Opowiadanie dla młodzieży. Wyd. III. Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp. 4-o, str. 32.

Sprawozdanie (r. XXVII) z zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu za r. 1906. Paryż, 1907. 8-o, str. 98.

Zakrzewski Z., dr.: O brakteacie pamiątkowym Bolesława Krzywoustego. Odbitka z „Wiadomości num.-arch." № 64 z r. 1905.

Załęski Stanisław, ks. T. J.: Jezuici w Polsce. Z powodu wyczerpania dwóch pierwszych tomów. Tom I w skróceniu: Walka z różnowierstwem. Tom II w skróceniu: Praca nad spotęgowaniem ducha wiary i pobożności 1608—1648. Kraków. 1907. Nakł. L. Anczyca i Sp. 8-o, str. 95.

Zeitschrift der Historischen Geselschaft für die Provinz Posen, XX Jahrg. I. Halband. Posen, 1907. 8-o, str. 161.

HISTORYA LITERATURY. — BIBLIOGRAFIA.

Bernacki Ludwik, dr.: Źródła niektórych komedyj Franciszka Zabłockiego I. Lwów, 1907. Nakł. Tow. lit. im. A. Mickiewicza, księg. H. Altenberga. 8-o, str. 79.

Bruchnalski Wilhelm: Polskie listy miłosne. Ustęp z historyi kultury polskiej. I. Listy miłosne średniowiecza polskiego. Lwów, 1907. Nakład autora. 8-o, str. 20.

Tenże: Studya nad literaturą polską w epoce odrodzenia. I. Rozwój twórczości pisarskiej Mikołaja Reja. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. Spółka wyd. Polska. 8-o, str. 85.

Estreicher Karol: Bibliografia polska XIX stulecia. Lata 1881—1900. Tom II. G. — K. Kraków, 1907. Nakł. Spółki księgarzy polsk. 8-o, str. 403.

Grabowski T., dr.: Metodyka historyka literatury ze szczególnem uwzględnieniem historyi literatury polskiej. Kraków, 1907. 8-o, str. 39.

Gumowski Maryan: Św. pam. prof. dr. Franciszek Piekosiński. Rys życia i prac. Kraków, 1907. Nakł. Tow. numizmatycznego. 8-o, str. 16.

Janik Michał, dr.: Charakterystyki literackie pisarzów polskich XVII. Literatura polska syberyjska, przez... Lwów-Złoczów, 1907. Nakł. Wilhelma Zukerkandla. 16-o, str. 83.

Katalog literatury naukowej polskiej, wydawany przez Komisyę bibliograficzną wydz. mat.-przyrodn. Ak. Um. w Krakowie. T. VI, R. 1906. Kraków, 1907. 8-o, str. 85.

Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa. Z rękopisu grecko-katol. Kapituły przemyskiej. Wydał Aleksander Brückner. Kraków, 1907. Nakł. Akad. Umiej. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 484.

Śliwiński Artur: Mickiewicz, jako polityk. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 254.

Żelaziński, dr.: Pan Tadeusz. Rozbiór krytyczny i dokładna treść ogólna i poszczególnych ksiąg dla użytku szkolnego. Stanisławów, 1907. Nakład N. Eisensteina. 8-o, str. 84.

Tenże: Henryk Sienkiewicz, jego życie i dzieła. Szkic biograficzno-krytyczny. Treść wszystkich dzieł, opracowana dla użytku młodzieży szkolnej. Stanisławów, 1907. Nakł. Eisensteina. 8-o, str. 44.

FILOLOGIA.

Konarski Fr. i Inlender Adolf: Słownik dokładny języka polskiego i niemieckiego. Opracowali ze współudziałem dr. Alberta Zippera. Wiedeń, 1907. Nakład Maurycego Perlesa w Wiedniu i G. Centnerszwera w Warszawie. 8-o, str. 577—608.

Łukaszewski F. Xaw. A. E. u. Aug. Mosbach: Deutsch-polnisches und polnisch-deutsches Wörterbuch zum Schul- und Handgebrauch 2 Teile in 1 Bde 55—60 Aufl. Vollständig neu bearb. u. der neuen Ortographie angepasst v. Dr. Ludomil German. Der Neubearbeitg. 1 — 5 Aufl. Berlin, 1906. 8-o, str. IV + szp. 886 i IV + szp. 1126.

Królíński Kazimierz: Gramatyka języka polskiego podług X wydania gramatyki prof. Małeckiego, z uwidocznieniem ważniejszych różnic gramatyki prof. Kryńskiego i uchwał zjazdu Rejowskiego. Lwów, 1907. Nakł. księgar. Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 59.

Tenże: Pisownia polska ze słownikiem podług gramatyki prof. Kryńskiego i uchwał Kom. Językowej Akademii Umiejętności, tudzież Zjazdu Rejowskiego. Wydanie trzecie. Przerobione i uzupełnione na podstawie „Słownika języka polskiego,“ nagrodzonego na konkursie Akad. Umiejęt. i zalecanego przez C. K. Radę Szkolną krajową do użytku szkolnego. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp.

ETNOGRAFIA.

Kolberg Oskar: Wołyń. Obrzędy, melodye, pieśni. Z brulionów pośmiertnych, przy współudziale St. Fischera i F. Szopskiego, wydał Józef Tretiak. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Umiej., Spółka wyd. Polska. 8-o, str. XI + 450.

Pieśni gminne i przysłowia ludu polskiego w Prusach Zachodnich. Zebrane przez Ignacego Łyskowskiego. Wydanie drugie pomnożone przez Józefa Chociszewskiego. Gniezno, 1907. Nakł. J. Chociszewskiego. 8-o, str. 64.

SZKOLNICTWO. — PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI.

Dziwiński Placyd, dr.: Podręcznik arytmetyki i algiebry dla wyższych klas szkół średnich. Trzecie przerobione wydanie „Zasady algiebry,“

zatwierdzone rozporządzeniem Wysokiej Rady Szkolnej krajowej z d. 15 grudnia 1906 r. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp.

Heck Kornela, prof. dr.: O konieczności utworzenia nowego typu szkoły średniej. (Kwestya filologii starożytnej). Kraków, 1907. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 40.

Kowalski Antoni: Wychowanie młodzieży w wieku przedszkolnym. Lwów, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 48.

Niemiec Jan, dr.: Mundurki uczniów szkół średnich pod względem hygienicznym i pedagogicznym. Lwów, 1907. 8-o, str. 84.

Program przyrodoznawstwa dla dorosłych analfabetów. 8-o, str. 7.

Trzcińska Ludwika: Szkolnictwo ludowe w Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815—1846). Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um., Sp. wyd. Polska. 8-o, str. 111.

Wernic Leon, dr.: Znużenie ucznia i wczasy z punktu hygieny wychowawczej, odczyt przeznaczony na X Zjazd Przyrodników i Lekarzy. Warszawa. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp.

Zieliński Antoni: Wykład popularny o wychowaniu na tle religijno-moralnem i o hygienie domowej. Gródek Jagielloński, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 56.

NAUKI SPOŁECZNE. — PRAWO. — EKONOMIA.

Biederlack, ks. T. J. prof. uniwersytetu gregoryańskiego w Rzymie. Kwestya społeczna. Przyczynek do zrozumienia jej istoty i rozwiązania jej. Z siódmego wydania niemieckiego przełożył za zezwoleniem autora dr. T. Rzymski. Poznań, 1908. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. XIV + 335.

Czerkawski Włodzimierz, dr. prof.: Pierwsze powszechne głosowanie w Austryi. Kraków, 1907. Nakł. red. „Przegl. Powszech." 8-o, str. 35.

Gide Karol, prof. wydz. prawa w Paryżu. Zasady ekonomii społecznej. Trzecie polskie wydanie według dziesiątego wydania francuskiego, ponownie opracowane i rozszerzone przez dr. Włodzimierza Czerkawskiego, prof. Uniw. Jag. Warszawa, 1907. Nakł. Kasy Przezorności i Pomocy warsz. pomocników księg. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 718.

Kautsky Karol: Parlamentaryzm prawodawstwa ludowego a socyalna demokracya, z dodatkiem M. Mazowieckiego: Federalizm a polityka socyalna. Tłómaczył z upoważnienia autora K. Dąbrowski. Kraków, 1907. Bibl. „Proletaryatu" № 13. 8-o, str. VIII + 164.

Limanowski Bolesław: Naród i państwo. Studyum socyologiczne. Kraków, 1907. Skł. gł. w księg. Centnerszwera. 8-o, str. 99.

Maslow P.: Krytyka programów agrarnych, oraz projekt programu. Lwów, 1907. Polskie Tow. Nakł. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. XVII + 40.

Riesser, prof. dr. uniw. berlińskiego, b. dyrektor banku Darmsztadzkiego. Historya rozwoju wielkich banków niemieckich ze szczególnem uwzględnieniem dążności koncentracyjnych. Z drugiego wyd. niemieckiego (1906 r.) z upoważnienia autora przełożył na język polski Stanisław Karpiński. Warszawa, 1907. E. Wende i Sp. Petersburg, księg. Polska. 8-o, str. XII + 235.

Sąd nad wyborami w parlamencie austryackim. (Stenograficzne sprawozdanie z 7 i 8 posiedzenia izby poselskiej z dn. 3 i 4 lipca 1907 r.). Kraków, 1907. Nakł. „Naprzodu“ w Krakowie, „Głosu“ we Lwowie i „Robotnika Śląskiego“ w Cieszynie. 8-o, str. 80.

Sombart Werner: Socyalizm i ruch społeczny. Przekład z piątego, nanowo opracowanego wydania. Lwów, 1907. Polskie Towarzystwo Nakładowe. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. 8-o, str. 384.

Starzyński Stanisław: Studya konstytucyjne. Tom I. Różne projekty reformy prawa wyborczego. Odbitka z „Gazety Narodowej.“ Lwów, 1907. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. VII + 270.

MEDYCYNA.

Bujwid O., prof.: Pięć odczytów o bakteryach (tytuł dłuższy). Z tablicą zdjęć mikro-fotograficznych własnych. Wyd. trzecie, znacznie przerobione. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. Nakł. autora. 8-o, str. 46.

Hypnotyzm i suggestya. Krótkie, popularne wskazówki dla hypnotyzowania, jako też do udzielania poddawek (suggestyi) w celach leczniczych i wychowawczych. Z licznemi rycinami. Berlin, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp. Lwów, Maniszewski i Meinhart. Nakł. „Przewodn. Zdrowia“ 8-o, str. 46.

Łazarewicz Stanisław, dr.: Dwa wykłady popularne. I. O czystości życia płciowego w przyrodzie. II. Czy rozsądne uświadamianie dzieci w kwestyi płciowej jest czynnikiem umoralniającym? Odbitka z „Nowin Lekarskich.“ Poznań, 1906. 8-o, str. 22.

Markstein Wilhelm, dr.: O słabościach infekcyjnych. Lwów, 1907. Nakł. wyd. czasopisma „Rodzina i Szkoła.“ 8-o. str. 46.

Schottelius M., prof. dr.: Bakterye i choroby zakaźne. Przełożyła Marya Felauer. Z 33 rycinami i 7 kolorowemi tablicami. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp.

Wyrobek Emil, prof.: Śmiertelność i choroby, jako skutek rozwiązłego życia. Kraków, 1907. Nakł. Tow. „Ethos.“ Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 85.

Zakład Zimowy ... hydropatyczny na Lido pod Wenecyą dr. Henryka Ebersa z Krynicy. Kraków, 1907. Nakł. Zakładu. 8-o, str. 8.

SZTUKA.

Dienstl Maryan: Ryszard Wagner a Polska. Lwów-Warszawa, 1907. H. Altenberg, E. Wende i Sp. 8-o, str. XLVI.

Dublety rycin w Muzeum Narodowem w Krakowie do nabycia. Odbitka „Wiadomości numizm.-archeol." z r. 1903. Kraków, 1907. Nakład Tow. numizmatycznego. 8-o, str. 24.

Jachimecki Zdzisław, dr.: Muzyka w Polsce. Osobne odbicie z dzieła „Polska, obrazy i opisy." Lwów, 1907. Nakł. Macierzy Polskiej. 4-o, str. 57.

Malczewski Jacek: Dzieła. Z przedmową Stanisława Witkiewicza i tekstem Lycyana Rydla. Serya II. Kraków, 1907. Nakł. „Salonu malarzy pols." Lwów, księgar. H. Altenberga. Warszawa, księgar. G. Centnerszwera i Sp. 8-o.

Mycielski Jerzy, dr.: Inwentarz skarbca Konrada i Janusza książąt mazowieckich z r. 1494. Napisał i wydał ... prof. Uniw. Jag. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. 8-o, str. 15.

— Stosunki hetmana Zamojskiego ze sztuką i artystami. Napisał ... prof. Uniw. Jag. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. 8-o, str. 16.

Olszewski Maryan: Quousque tandem. W sprawie miejskiej galeryi obrazów we Lwowie. Komentarz do dzisiejszej kultury artystycznej Lwowa. Lwów, 1907. Nakł. dr. Witolda Olszewskiego. 8-o, str. 31.

Tomkowicz Stanisław: Malarstwo w Polsce. Osobne odbicie z dzieła „Polska, obrazy i opisy." Lwów, 1907. Nakł. Macierzy Polskiej. 4-o, str. 81.

Wagner Ryszard: Opera i dramat. Przełożył z niemieckiego i zaopatrzył wstępem Maryan Dienstl. Cz. I. Opera a istota muzyki. Lwów-Warszawa, 1907. H. Altenberg. E. Wende i Sp. 8-o, str. XLVI + 196.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Arystofanes: Chmury, komedya. Z greckiego oryg. przetłomaczył Edmund Żegota Cięglewicz. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. Spóła wyd. Polska. 8-o, str. 159.

Flaubert Gustaw: Kuszenie św. Antoniego. Przełożył z francuskiego A. Lange. Lwów, 1907. Pol. Tow. Nakładowe. Księg. B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 4-o, str. 156.

Jasiński Stanisław: Drogami. Poezye. Wyd. drugie, powiększone. Lwów-Warszawa, 1907. Nakładem autora, księg. Powszechna. 8-o, str. 113.

Junosza Klemens: Frołm — Zając. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 36.

Karwat z Bardzkich Anna: Pośród skał i jarów. Dramat w 5 aktach z czasów panowania Bolesława Krzywoustego. Kraków, 1907. 8-o, str. 130.

Kasprowicz Jan: *Próby angielskiej poezyi dramatycznej w przekładzie...* Robert Brownik. Na balkonie. Wiliam Bulter Yeast. Księżniczka Kasia. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp.

Kornel Piotr: Cyd. Tragedya w 5 aktach wierszem. Przekład L. Osińskiego. Opracował prof. Jan Piątek. Brody, 1907. Nakł. Feliksa Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 72.

Mendes Catulle: Nowelle. Przełożył Z. Niedźwiedzki. Lwów-Złoczów, Nakł. Wilhelma Zukerkandla. 16-o, str. 51.

Missona Kazimierz: Wesele, dramat Stanisł. Wyspiańskiego. Rozprawka. Wydanie drugie. Brody, 1907. Nakł. księg. Feliksa Westa. 8-o, str. 31.

Orzeszkowa E.: A... B... C... Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 38.

— Marta. Powieść. Lwów-Złoczów, 1907. Nakład W. Zukerkandla. 16-o, str. 359.

— Panna Antonina. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 46.

Przyborowski Walery: Namioty Wezyra. Powieść historyczna z czasów Jana III. Z 9 ilustracyami Juliusza Kossaka i Kaz. Puławskiego. Wyd. drugie. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 204.

Przybyszewski Stanisław: Dzieci szatana. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 267.

Quasimodo: O. Gapon. Dramat sensacyjny w ośmiu odsłonach. Kraków, 1907. Ignacego Lempickiego. 8-o, str. 129.

Rapacki Wincenty (syn): Kostka Napierski. Opowiadanie Inci pana Krzysztofa Scipiona, dworzanina Jego Królewskiej Mości. Tom I i II. Kraków, 1907. Spółka wyd. Polska. 8-o, str. 176 i 287.

Rejmont Władysław St.: Pewnego dnia... Kraków, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 40.

— W porębie. Przy robocie. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

— Sąd. Kraków, 1907. G. Gebeth. i Sp. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. 23.

Sclavus Wiesław: Anarchiści. Wydanie II. Lwów, 1907. Nakł. księg. B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 265.

Sienkiewicz Henryk: Die Familie Polaniecki. Deutsch von Teo Kroczek. Berlin, 1907. 8-o, str. 470.

— Pisma T. XVI—XVIII. Pan Wołodyjowski T. I—III. Wyd. siódme. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 285, 255 i 279.

Tolstoj Lew, hr.: Sonata Kreuzerowska. Lwów, 1908. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 197.

Urbański Eugeniusz: Za podszeptem szału. Fantazya sceniczna w pięciu aktach z epilogiem. Lwów, 1907. Maniszewski i Meinhart. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 103.

Zola Emil: Nantas. Nowela. Tłómaczył Z. Niedźwiecki. Lwów-Złoczów, 1907. Nakł. W. Zukerkandla. 16-o, str. 56.

— Radykał. Nowela. Tłómacz. Z. Niedźwiecki. Lwów-Złoczów, 1907. Nakł. W. Zukerkandla. 16-o, str. 63.

Zwilkoński Franciszek: Strajk. Komedya w jednym akcie. Lwów, 1907. Nakł. Tow. wydawniczego H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 81.

Żuławski Jerzy: Dyktator. Prolog i cztery akty z krwawych dni 1863 r. Wyd. drugie. Trzeci i czwarty tysiąc. Lwów, 1907. Nakł. księgar. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 311.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

221.

MAURYCY MOCHNACKI.

Krótkie życie Maurycego Mochnackiego upłynęło w okresie najważniejszym, jaki Polska przeżywała po rozbiorach — podczas Królestwa Kongresowego, listopadowego powstania i Emigracyi, a jego pisma i działalność tak były doniosłe, rozwijane przezeń idee tak silnie zaważyły w rozwoju polskiej myśli politycznej, że historyk tych czasów musi dłużej uwagę nad Maurycym Mochnackim zatrzymać i świadectwa o nim chłodno rozważyć, wiedząc, że około potężnych indywidualności, gdy te w życiu publicznem brały udział, zawsze z jednej strony znajdzie się zbyt wiele uwielbienia, z drugiej zbyt wiele niechęci.

Maurycy Mochnacki urodził się 4-go września 1804 r. w Galicyi, gdzie rodzice jego mieli wieś Bojaniec i w Bojańcu spędził pierwsze lata swego dzieciństwa. Od jedenastego roku życia wraz z rodzicami mieszkał we Lwowie i otoczony wyborem nauczycieli, kształcił się pod kierunkiem swego ojca, Bazylego Mochnackiego. Bazyli Mochnacki był zdolnym i wykształconym prawnikiem. Zajęcia wiejskie wkrótce porzucił zupełnie, a postarał się o urząd w Warszawie i od 1820 r. przebywał w niej stale wraz z całą rodziną, jako asesor w Prokuratoryi królewskiej, a następnie radca prawny w Komisyi oświecenia. W roku poprzednim jeszcze Mochnaccy przenieśli się z Galicyi do Królestwa Kongresowego i od tego czasu, t. j. od 1819 do 1820 r. mieszkali pod Warszawą w niewielkim swym majątku Czersku, gdzie Maurycy, przygotowując się do egzaminów, kończył edukacyę domową. Zdał egzamin do szóstej klasy licealnej i ukończywszy liceum w r. 1820 zapisał się na wydział prawny. W Królestwie Kongresowem naówczas tak w szkołach średnich, jak w uniwersytecie, jak w wojsku — było

mnóstwo towarzystw tajnych, z których wiele powstało za inicyatywą członków sławnego Towarzystwa Patryotycznego, przez co znajdowało się pośrednio pod wpływem i kierunkiem tego towarzystwa. Już w liceum należał Mochnacki do młodzieńczego kółka spiskowców, w uniwersytecie zaś do akademickiej gminy Towarzystwa Patryotycznego.[1]) Pobyt jego w uniwersytecie trwał tylko rok. Z powodu ulicznego zajścia z policyantem został uwięziony, skazany na robotę przy taczkach przez czterdzieści dni w ogrodzie belwederskim, a potem z rozkazu W. Ks. raz na zawsze z uniwersytetu wydalony. Po wyjściu z uniwersytetu określonego zajęcia nie miał, kształcił się jednak sam, dużo czytał, pisał i grał na fortepianie. Miał podobno bardzo duże zdolności muzyczne. Serdecznym jego przyjacielem był wtedy późniejszy dziennikarz i redaktor „Pamiętnika Emigracyi Polskiej," Michał Podczaszyński. W r. 1823 Mochnackiego aresztowano powtórnie, z powodu zeznań uwięzionego na Litwie jakiegoś członka Towarzystwa Patryotycznego i oskarżonego o zbrodnię stanu, osadzono w więzieniu karmelickiem, wraz z innymi młodymi ludźmi w ten sposób skompromitowanymi. Po dziesięciu miesiącach uwolniono go wskutek okazania skruchy i przyrzeczenia, że, gdy więzienie opuści, dla zupełnego nawrócenia i wydoskonalenia moralnego będzie pracował w cenzurze pod kierunkiem Szaniawskiego, a następnie poświęci się zawodowi duchownemu. W rękach Komisyi śledczej został materyalny dowód poprawy Mochnackiego. Był to „Projekt wychowania publicznego w Polsce," jakoby przezeń napisany. Jakkolwiekbądź, na piśmie tem znajdował się jego podpis własnoręczny. Podczas insurrekcyi Komitet, przeznaczony dla przejrzenia papierów rządowych pod prezydencyą referendarza Hubego, znalazł fatalne pismo, które posłużyło za oręż w rękach przeciwników politycznych Mochnackiego. Komitet rozpoznawczy z powodu tego pisma uznał go niezdolnym do sprawowania urzędów publicznych w Polsce. Projekt wychowania, o którym naturalnie mówiono wiele, a o którym Mochnacki pisał paradoksalnie, że zawarta w nim doza politycznego nierozumu zabiłaby każdy rząd, któryby go zastosował—nie był znany publicznie nigdy i nie jest znany dotąd. W 1906 r. wprawdzie Aleksander Kraushar uzyskał z rządowego archiwum rosyjskie tłómaczenie nieistniejącego już podobno oryginału i w tłómaczeniu polskiem je ogłosił. Tłómaczenia tego, nie możemy uważać za dokument historyczny

[1]) Michał Podczaszyński: Wiadomość o życiu M. Mochnackiego.

w odniesieniu do studyów nad Mochnackim, nie mniej przeto możemy go uważać za poważne źródło dla studyów nad wychowawczym systemem Nowosilcowa.

Pomimo więc trudów Aleksandra Kraushara, o „Projekcie wychowania publicznego w Polsce," napisanym czy podpisanym przez Mochnackiego, nie wiemy nic więcej teraz, niż wiedzieliśmy przedtem. Z tego, co pisał o nim Hube, co Mochnacki pisał w liście do Hubego i z decyzyi Komitetu rozpoznawczego, należy wnosić, że projekt miał wszystkie dane, aby zdobyć sobie uznanie W. Księcia i Nowosilcowa. Całe życie Maurycego Mochnackiego aż nadto wyraźnie świadczy, że w więzieniu karmelickim nie upadł moralnie w ten sposób, jak go o to oskarżali nieprzyjaciele, list do Michała Hubego nosi na sobie znamiona prawdy i szczerości, według niego też tylko sprawę całą możemy przedstawić.[1])

Gdy po trzech tygodniach więzienia wezwano Mochnackiego przed Komisyę śledczą, inni więźniowie byli już przesłuchani i rezultatem śledztwa było zeznanie, że istniało tajne towarzystwo Wolnych Braci Polaków, o należenie do którego byli wraz z Mochnackim oskarżeni: wyliczenie z nazwiska prawie wszystkich członków towarzystwa; względem Mochnackiego zaś specyalne zeznanie, że do towarzystwa został przyjęty na zasadzie pogłoski, jakoby należał do innych tajnych związków, istniejących poza obrębem towarzystwa i że jednego takiego związku sam był twórcą w liceum. Protokół nosił podpisy przyjaciół Mochnackiego i kolegów. Osłabić oczywistości zeznań nie mógł, ale postanowił sprawy nie pogorszyć, nie wprowadzić sędziów dalej w labirynt spisków, niż to uczynili współwięźniowie. Po to właśnie był wezwany — Komisya śledcza pragnęła mieć wiadomości o owych innych związkach, o związku licealnym i znać ich członków. Nie chcąc ich wydać, i nie chcąc także przedłużać więzienia, Mochnacki użył podstępu. Zagrał komedyę skruszonego i żałującego tak zręcznie, że członkowie Komisyi śledczej dali mu wiarę zupełną i zaufali zeznaniom, zacierającym sprawę, którą chcieli mieć wyjaśnioną. Stankiewicz poufnie, jak z przyjacielem, rozmawiał z 18-stoletnim więźniem stanu i informował się u niego o stan umysłów w Polsce, o przyczyny tajnych towarzystw, o środki, zapobiegające szerzeniu się ducha rewolucyjnego. Rezultatem tych szczególnych rozmów i dyskusyj była konkluzya, że przyczyną wszystkie-

[1]) List M. Mochnackiego do Michała Hubego, referendarza stanu. Paryż, 18 sierpnia 1832 r. Ogłoszony w I tomie dziel. Poznań, 1863 r.

go złego w Polsce jest wadliwe wychowanie publiczne, że je przedewszystkiem zreformować należy — stąd „Projekt wychowania publicznego.“ Jeśli Mochnacki w projekcie tym napisał coś, co nie zgadzało się z poglądami na wychowanie Stankiewicza, Hankiewicza i innych tego rodzaju pedagogów, to kazano mu ponownie pisać rzecz całą—tak, że miał rolę nie autora, ale redaktora cudzych pomysłów. Dlatego to pisze do Hubego: *„aktu, który pan nazywasz projektem, a Spazier planem, ja autorem nie jestem“* Dlaczego jednak członkowie Komisyi śledczej żądali tak stanowczo, aby Mochnacki podpisał owo „pismo karmelickie,“ że czynili to warunkiem uwolnienia? Innem tłómaczeniem, niż tłómaczenie Mochnackiego, nie rozporządzamy. „Hankiewicz miał manię prozelityzmu politycznego, chciał przekonać W. Księcia, że w jego szkole, za jego staraniem więźniowie stanu nabywają prawdziwego wyobrażenia o rzeczach. Przykładem tego miało być wyznanie mojej wiary politycznej. Ileż to razy on powtarzał, że z przytrzymania u karmelitów najzbawienniejsze skutki wynikają dla prawdziwej moralności, dla tronu i ołtarza.“ [1])

Po wyjściu z więzienia Mochnacki nie miał zamiaru dotrzymać umowy, jaką zawarł z sędziami. Ponieważ wszystkie drogi, prócz cenzury i tajnej policyi, były dlań zamknięte, postanowił zostać adwokatem, sądząc, że ten zawód dostarczy mu środków na studyowanie filozofii i literatury, które to nauki uważał naówczas za jedynie odpowiadające swoim zdolnościom. Trzeba bowiem dodać, że stosunki materyalne Mochnackich bardzo się popsuły i musiano myśleć o pracy zarobkowej. Kiedy jednak Mochnacki chciał zdać egzamina, konieczne dla otworzenia kancelaryi adwokackiej—W. Książe egzaminów tych zdawać mu nie pozwolił. Zakaz W. Księcia mówił wyraźnie, że władze nie uważają więziennej umowy za rozwiązaną i wskazywał, jaka pozostała droga dla młodego „oszusta.“ „Oszust“ nie chciał się jeszcze poddać. Wtedy zagrożono mu ponownem uwięzieniem i prześladowaniem ojca. Pani Mochnacka, osoba, dbająca przedewszystkiem o spokój rodzinny, drżąca o los dzieci i męża, poszła po radę do radcy Szaniawskiego. Pan cenzor przekonał ją, że Maurycy dopóty będzie prześladowany, dopóki nie wstąpi do biura Nowosilcowa, albo do cenzury. Rzecz cała skończyła się ostatecznie w ten sposób, że Maurycy uległ i został urzędnikiem w cenzurze. Po dwóch miesiącach Szaniawski przekonał się, że nie będzie miał pożytku

[1]) List do Hubego.

ze swego podwładnego i dał mu dymisyę. Nie mając o co się oprzeć, Mochnacki, aby zarabiać na życie, wstąpił do redakcyi „Izydy Polskiej," pisma poświęconego przemysłowi i rolnictwu i tam, jako tłómacz, przez cztery lata pracował (1826—1830). Artykuły swoje z dziedziny literatury i filozofii ogłaszał w „Dzienniku Warszawskim," „Gazecie Polskiej" i „Kuryerze Polskim." Weszły później w skład jego książki „O literaturze polskiej." Należał do redakcyi wszystkich trzech wymienionych pism. „Dziennik Warszawski" założył nawet wraz z Michałem Podczaszyńskim w 1825 r., ale współredaktorem jego był tylko pół roku, potem założył z Ksawerym Bronikowskim „Gazetę Polską," którą redadował od 1 grudnia 1827 r. do 1 grudnia 1829 r., później zaraz „Kuryera Polskiego" i w nim aż do wybuchu insurrekcyi artykuły pisywał. W 1825 r. więc zaczyna Mochnacki zawód literata i dziennikarza, gdyż artykuły, które ogłaszał w „Astrei" w r. 1823 są zbyt drobne i nieznaczne, abyśmy je jako początek zawodu tego uważać mogli. Na rok 1828 przypada jedno z najcelniejszych pism pióra Mochnackiego p. t. „Głos obywatela z Poznańskiego do senatu Królestwa Polskiego z okazyi sądu sejmowego." Bezimiennie rozrzucane było w Warszawie, gdy toczył się sąd nad ośmiu członkami Towarzystwa Patryotycznego. Treści pisma tego podawać teraz nie sposób. Będzie ono zresztą wkrótce znane całej czytającej publiczności polskiej, gdy w Warszawie wyjdą wszystkie dzieła Maurycego Mochnackiego. „Biblioteka Dzieł Wyborowych" zapowiedziała już, że wydaje najważniejsze, bo „Historyę powstania listopadowego" i gorąco należy pragnąć chwili, w której wydanie tego arcydzieła uskutecznionem zostanie. W „Głosie obywatela z Poznańskiego" występują w całej pełni świetne zalety pióra, później jednego z najznakomitszych w najwyższym rozkwicie literatury polskiej. Utwór nie tylko uczuciowy, ale i polityczny, miał swoje polityczne znaczenie. Autora znała tylko rodzina i jeden z sędziów, zacny biskup Woronicz. Zasada, według której kazał sędziom sądzić oskarżonych „obywatel z Poznańskiego," musiała bardzo przypaść do serca staremu kapłanowi, gdyż go ściskał i błogosławił.

Z „Głosu obywatela z Poznańskiego" już widać, że związek Wysockiego zyskał w Mochnackim wysoką inteligencyę polityczną. Kiedy do niego wstąpił Mochnacki, trudno określić. Podczaszyński pisze, że od r. 1828 Mochnacki należał do wszystkich spisków wojskowych. Wysocki w „Wiadomości o tajemnem towarzystwie," jako czas poznania Mochnackiego podaje lipiec 1830, Goszczyński

pisze [1]), że przed koronacyą cesarza Mikołaja w Warszawie, podchorąży, Kamil Mochnacki, wprowadził brata do związku. Z tego można wnosić, że Maurycy brał pewien udział w konspiracyach, gdyż wiedział o nich od brata, wpływać jednak na postanowienia, przyjmować udział poważny zaczął znacznie później, t. j. wtedy, gdy spisek wojskowy rozszerzył się pomiędzy cywilnymi. Do tego czasu wyłącznie był zajęty publicystyką i pisaniem dzieła „O literaturze polskiej."

Jest to praca zupełnie młodzieńcza. Duży materyał, otrzymany przy czytaniu w licznych i różnych kierunkach, a należycie nieopanowany, tworzy chaos i zawiłość stylu, z których trudno poznać tak niedługo później piszącego i myślącego pisarza. Swoje wywody o artyzmie, wyznaczenie przed „Wallenrodem" pierwszeństwa „Grażynie" i „Dziadom," entuzyastyczną ocenę „Maryi" i „Zamku Kaniowskiego," uważał za zdolne do poruszenia społeczeństwa, do wyprowadzenia na arenę zwycięskiej, młodej myśli romantyków.

Należąc do związku Wysockiego, Mochnacki żądał, aby przed wybuchem był ustanowiony rząd rewolucyjny, któryby natychmiast kierunek ruchu ujął i wskazywał na straszne niebezpieczeństwo, jeśli tak się nie stanie. Wysocki w rozmowie z Gillerem na Syberyi przeczy temu, ale w sposób nie zmieniający istoty rzeczy. Wysocki bowiem powiedział, że rozmawiał z Mochnackim o ustanowieniu rządu rewolucyjnego, że pytał go czy w tym wypadku nie wziąłby w nim udziału i otrzymał odpowiedź przeczącą, nie dał jednak świadectwa, aby w planie spiskowych jako konieczny i nieodzowny tkwił punkt ustanowienia rządu rewolucyjnego. Znaną nam jest zresztą postać rzeczy z przebiegu insurrekcyi. Leżało w charakterze spisku wojskowego, że ograniczał się do dania hasła, do użycia bagnetu, kierunek ruchu przekazując pierwszym mężom w narodzie. Jeden z nich wprawdzie, Joachim Lelewel, spotkawszy się z przedstawicielami spisku, niedługo przed wybuchem, w krużgankach biblioteki, powinien byłby osłabić wiarę w swoją mądrość polityczną—i osłabiłby ją we wszystkich, tylko nie w poruczniku. Zachowanie się jednak uczonego profesora, jedno z najbardziej biorących na siebie odpowiedzialność, jakie zdarzyło mu się mieć w rewolucyjnym zawodzie, natchnęło młodych entuzyastów silniejszą jeszcze wiarą i nadzieją, zamiast dać im bodźca do zastanowienia się nad swym systemem i posłuchania Mochnac-

[1]) Goszczyński: Noc belwederska.

kiego. Argumenty Mochnackiego były potężne, rozbijały wszystkie skrupuły i wszystkie wahania, ale do ludzi, którzy udział w rządzie rewolucyjnym mieli za zaszczyt, a nie za ciężki obowiązek, trafić nie mogły, jak nie trafiłoby do nich żadne chłodne rozumowanie. Myśląc gorąco i mówiąc gorąco, dawali raczej posłuch gorącemu słowu, nie rozróżniając, że inny ma ono walor w ustach bohatera, a inny w ustach sentymentalisty. Mochnacki, człowiek o chłodnej głowie i przenikliwym umyśle, śmiały i silny tem, że z rzeczy każdej ostateczne wyprowadzał konsekwencye, nie drżąc i nie wahając się przed żadną, nie mógł mieć zaufania do ludzi „o odwadze mężów, lecz rozwadze dzieci“ i unikał ich, przepowiadając, że sprawa, idąc tym torem, skończy się uliczną burdą. Sprawa uliczną burdą by się nie skończyła, ale ulicznym rozruchem skończyłaby się noc listopadowa, gdyby nie W. Ks. Konstanty. Któżby jednak myślał, że śmiały rycerz i ostry wódz, siejący postrach wśród żołnierzy na Saskim Placu i wśród mieszkańców Warszawy, gdy przez jej ulice przelatywał, dzwoniąc końskiemi kopytami, okaże tyle miękkości charakteru i tyle dyskrecyi, że nawet mięszać nie będzie się chciał w sprawę Polaków. Pomimo przekonania, że wszystko poszło jaknajgorzej, wieczorem 29 listopada Mochnacki znalazł się na Starem Mieście, aby tam wraz z siedmiu innymi spiskowymi poruszyć lud. O świcie 30 listopada rozrzucono po Warszawie odezwę Rady Administracyjnej, która jasno oświeciła stosunek do insurrekcyi tych, których spiskowi chcieli widzieć na czele powstania. Pani Mochnacka pisze, że przeciw odezwie Rady Administracyjnej Maurycy wydał drugą „do mieszkańców Warszawy“ i przytacza ją w całości.[1]) Z odezwą tą, cechującą miejscami sposób pisania Mochnackiego, nie spotkałem się gdzieindziej. Stoi ona w sprzeczności z tem wszystkiem, co Mochnacki pisał i czynił. O tem, co uważał za cel powstania, niema ani słowa, nacisk cały położony na gwałcenie konstytucyi. Odezwa ta mówiła bądź co bądź co innego, niż odezwa Rady Administracyjnej, wzywając do czynów, byłaby przeciw pierwszej wydaną i tak ją też pani Mochnacka rozumie. Mochnacki jednak nie tylko, że o niej nic w swej „Historyi“ nie wspomina, ale pisze: „rewolucya stawiała widok tylko szerokiego zbiegowiska, które nie objawiało dalszych zamiarów swoich, które nie miało nikogo na swem czele, *które nie ogłaszało przeciw rządowi żadnej odezwy*.“ Na świadectwie pani Mochnackiej nie zawsze pole-

[1]) M. Mochnacki: Dzieła, Poznań, 1863.

gać można, w tym wypadku tembardziej, że na odezwie kładzie datę 2-go grudnia, t. j. dnia, gdy było już drugie zebranie klubu, najście Rady Administracyjnej, a więc chwila, w której odezwy tej nie mógł napisać Mochnacki. Może, że uległ namowom napisania podobnej odezwy, podobnym intencyom, jak te, które skłoniły Wysockiego do napisania w „Sprawozdaniu z przygotowań spisku," że plan powstania obejmował zabezpieczenie osoby cesarzewicza—odezwy jednak nie ogłosił, a świstek papieru wpadł w ręce matki i w jego dziełach wydrukowanym został.

Kiedy było już wiadome ogólnie stanowisko Rady Administracyjnej, Mochnacki postanowił za pomocą rewolucyjnego ludu przeprowadzić swą myśl, której w sprzysiężeniu przeprowadzić nie mógł: wyprowadzenia władzy insurrekcyjnej z insurrekcyi. Żeby to uczynić, trzeba było wpierw obalić istniejący rząd. W tym celu Mochnacki wraz ze spiskowymi cywilnymi urządził wieczorem 1-go grudnia wielkie zebranie ludowe na Ratuszu i po naradach tam odbytych uchwalono utworzenie zbrojnego, rewolucyjnego klubu, aby wywrócić Radę Administracyjną, a gdyby się to nie udało, przymusić ją, choćby siłą, do przybrania wyraźnego charakteru rewolucyjnego. Prezesem klubu wybrano nieobecnego Lelewela. Ten sam błąd, jaki uczynił Wysocki, radząc o Chłopickim bez Chłopickiego, uczynił teraz Mochnacki, radząc o Lelewelu bez Lelewela, który już przez księcia Lubeckiego był wciągniętym do Rady Administracyjnej i jako jej delegat jeździł porozumiewać się z W. Księciem do Wierzbna. Lelewel został i prezesem klubu i członkiem Rady Administracyjnej; pozbawiony zupełnie taktu politycznego, od początku do końca wystawiał na ciągły szwank sprawę, którą kazano mu i którą podjął się reprezentować. W nocy z 1 na 2 grudnia agitowali klubiści wśród wojska i ludu, aby pomoc sobie zapewnić. 2 grudnia, wieczorem, tysiąc kilkaset osób napełniło sale redutowe. Już się była rozeszła wieść o deputacyi do Wierzbna i wywołała powszechne niezadowolenie i oburzenie. Przed wzburzonym tłumem Mochnacki rozwinął plan działań, jaki podług niego, Rada Administracyjna w interesie powstania powinna była przyjąć. Wywodów słuchano z uznaniem. Zgromadzenie nazwało się Niestającą Reprezentacyą Ludu Warszawskiego i wysłało deputacyę do Rady Administracyjnej ze swemi żądaniami. W deputacyi, złożonej z dwunastu osób, znajdowali się także Bazyli i Maurycy Mochnaccy. Powstańcze żądania nie zyskały aprobaty pragnącego pokoju rządu, a ostra postawa Maurycego Mochnackiego tak obraziła rząd, że Małachowski i Radziwiłł podali się do dymisyi. Książe Lubecki jednak by-

strą swoją inteligencyą poznał, z kim ma do czynienia, i nie chcąc narażać swoich planów, mając takiego przeciwnika, jak Mochnacki, przeprowadził w Radzie Administracyjnej wezwanie go do jej składu, aby w ten sposób sparaliżować jego siłę rewolucyjną. Ale trafił swój na swego. Mochnacki oświadczył, że nie wejdzie do rządu, dopóki w nim zasiadają ministrowie cesarza, że Rada Administracyjna koniecznie rozwiązać się musi, że rewolucya swojego rządu potrzebuje. Wobec tego oświadczenia Lubecki i Mostowski podali się do dymisyi. Przytem Mochnacki nie wierzył, aby mógł długo w Radzie Administracyjnej zasiadać, aby tam mógł uzyskać władzę, o jakiej myślał. „Biegłem nagle — nadto nagle i dla tego bez skutku do władzy“ — napisał w Historyi listopadowego powstania. Gdy został postanowiony Rząd Tymczasowy, Mochnacki, nie widząc przez to zmiany w położeniu rzeczy i zrażony postępowaniem Chłopickiego w stosunku do jego osoby, w dalszym ciągu akcyę swoją postanowił prowadzić. W tym celu idzie na pamiętne zebranie klubu i ufny wpływom, jakie w nim miał, namiętnie oskarża rząd i Chłopickiego. Skład klubu, do którego wpuszczano wszystkich bez żadnej kontroli, był inny niż dni poprzednich. Nadto Chłopicki był bożyszczem chwili. Kiedy więc Mochnacki, nie licząc się z niczem, zawołał, że Chłopicki zdradza rewolucyę, powstał straszny zgiełk i oburzenie, tak że Mochnacki tylko przyjaciołom zawdzięczał ocalenie swego życia. Chcących przedłużać zgromadzenie, większość rozpędziła bagnetami. Klub upadł. Na drugi dzień przeciwnicy polityczni Mochnackiego rozrzucili po mieście pismo, p. t. „Polak Sumienny,“ gdzie były przeciw niemu podniesione zarzuty, oprócz tego krążyły paszkwile. Popularność Chłopickiego zabiła rodzącą się dopiero popularność Mochnackiego. Mochnacki nadziei jednak nie stracił, przytem posunął się był już zbyt daleko, aby się mógł cofnąć. Klub nie istniał — ale wśród młodych oficerów i żołnierzy zaczęła rosnąć niechęć przeciw Lubeckiemu i postępowaniu Chłopickiego. Na nich liczył Mochnacki. Dosiadłszy konia, przebiegał ulice Warszawy i tłómaczył młodszym wojskowym położenie rzeczy. Że trzeba dopędzić W. Księcia, wziąć gwardyę w niewolę i usunąć od władzy obecny rząd—trafiało do ich przekonania. Zapewniwszy sobie moralnie przyzwolenie wojska na to, co chciał uczynić, udał się do szkoły podchorążych i przekładał im, że Chłopicki zawodzi nadzieje narodu, że Lubecki przeciw powstaniu zwraca powagę Czartoryskiego i Niemcewicza, że ich obowiązkiem jest dokończyć dzieła, które zaczęli, i uratować sprawę. Co więc należy czynić? pytają podchorążowie. — Pozbawić kontrrewolucyę

najtęższej głowy, rzucić strach na innych członków rządu i tem ich przywieść do upamiętania: — zabić Lubeckiego. Podchorążowie nabili karabiny i poszli za Mochnackim. Rozumiał on dobrze, że to, co zrobi Szkoła Podchorążych, otoczona już miłością całej Warszawy, bez apelacyi zostanie uznane. Zbrojny orszak spotkał Piotr Wysocki i dowiedziawszy się, o co rzecz idzie, zmusił do powrotu. („Po moim chyba trupie pójdziecie do banku.“)

Mochnackiemu przestało się powodzić. Do reszty pogrążają go okoliczności drobne i śmieszne. Chłopicki po kłótni z Krukowieckim dostał ataku apopleksyi. Rozgłoszono, że Mochnacki do niego wtargnął, nazwał go zdrajcą i omal o śmierć nie przyprawił generała. Tłum w kilku miejscach zaczął stawiać szubienice, aby przykładnie ukarać szaleńca, żołnierze chcieli go rozsiekać, a profesor Lach Szyrma—rozstrzelać. Był on komendantem gwardyi honorowej, złożonej z młodzieży uniwersyteckiej, do której to gwardyi należał i Mochnacki. Szyrma ze swymi akademikami złożył sąd na niego, otoczył strażą dom i zabrał z mieszkania papiery. Gwardya honorowa wykreśliła go ze swej listy i zawiadomiła o tem publiczność specyalną odezwą. Mochnackiemu ukrywającemu się przed zemstą rozjątrzonego tłumu, rząd ofiarował schronienie i Mochnacki ukrył się u księcia Lubeckiego. Z rozmów, jakie ze sobą prowadzili, Lubecki nabrał wysokiego przekonania o rozumie Mochnackiego, Mochnacki zaś napisał o nim: „był to minister i tylko minister, człowiek niepospolity, ale nie Polak.“

Nastała władza dyktatorska. Myśl władzy dyktatorskiej nazywał Mochnacki najświętszą ideą w powstaniu, bolał, że Chłopicki pojęcie jej zepsuł swojem postępowaniem, że naród osobę dyktatora z dyktaturą pomięszał i że do niej wrócić już nie można było. Podczas rządów Chłopickiego pierwszych i drugich nie był Mochnacki w Warszawie. Jeździł w interesach powstania na Wołyń. W sierpniu spotykamy jego artykuły w „Nowej Polsce.“ Pierwszy nosi datę 26 stycznia 1831 r., a więc pisany jest na drugi dzień po pamiętnej sesyi sejmowej.

Polityczne artykuły Mochnackiego w pismach rewolucyjnych, ogłaszane od 26 stycznia do 14 lutego i od 17 sierpnia do 29 sierpnia 1831 r. są jedynym materyałem, ale materyałem wystarczającym dla dokładnego poznania jego poglądów politycznych, rzucenia istotnego światła na jego działalność i rozchwianie opinii, którą mieli o nim współcześni przeciwnicy polityczni, a którą utrwalił Barzykowski — opinii doktrynera.

Nikt mniej, jak Mochnacki, nie był doktrynerem.

Pomiędzy jego postępowaniem w czasie powstania listopadowego i postępowaniem w czasie Emigracyi panuje doskonała zgoda, gdyż jedno i drugie z tych samych wypływało poglądów, służyło tej samej przewodniej w jego działalności myśli politycznej. Przekonania polityczne i społeczne Mochnackiego na Emigracyi nie uległy zmianie, przeciwnie utrwaliły się jeszcze i wzmocniły — stronnikiem Czartoryskiego został z tych samych powodów, z jakich podczas powstania był jego przeciwnikiem.

Powyższe twierdzenia obalają opinię, panującą w historyi o Mochnackim — trzeba je więc udowodnić, a raczej przekonać, że są jedynie słuszne.

Znalazłszy pozorne podobieństwo pomiędzy kierunkiem, jaki chciał nadać polskiemu powstaniu Mochnacki, a kierunkiem, w jakim rozwijała się rewolucya francuska, przeciwnicy polityczni zarzucali mu, że postępuje nie według wskazań, jakie niosło podówczas życie w Królestwie Kongresowem, ale według teoryi, jaką zbudował sobie, studyując rewolucyę francuską, nie bacząc na to, czy ona odpowiada naszym potrzebom, czy nie — a więc według zawsze zgubnej doktryny. Najnaiwniej, ale najszczerzej całą argumentacyę przeciwników Mochnackiego ujął Barzykowski w słowach: „w rewolucyi francuskiej był klub, a więc i u nas musiał być klub.“ Czego jednak „u nas“ chciał klub? Chciał rozprzestrzenienia powstania na Litwę i gubernie zachodnie, atakowania gwardyi, zatrzymania W. Księcia — rozpoczęcia natychmiastowych kroków wojennych. Chciał więc tego, czego chcieli twórcy nocy listopadowej, bronił ich myśli, chciał ją zaszczepić w kierowników ruchu tak samo myślących i tak samo działających. Cóż mieli innego uczynić ludzie, którzy przygotowali powstanie w nadziei, że najstarsi w narodzie nadadzą mu pożądany i zgodny z ich myślami kierunek, gdy ci wydali odezwę, nakłaniającą do spokoju, namawiali W. Księcia aby uderzył na zbuntowaną Warszawę, potem błagali go w Wierzbnie, aby wstawił się do cesarza, a potem wraz z wojskiem i ciągniętym na powrozie Łukasińskim wypuścili go z granic Królestwa?

Cel, dla którego podchorążowie wzięli za broń 29 listopada był jedynym celem dążeń i działań Mochnackiego, wszystkie środki, które radził rządowi i sejmowi, których się chwytał, do niczego innego nie zmierzały. Z tych najbardziej irytującym sejm i stronnictwo dyplomatyczne była rewolucya socyalna, za pomocą której chciał ocalić insurrekcyę. Przez rewolucyę socyalną rozumiał zniesienie pańszczyzny, nadanie na własność ziemi włościanom, aby tym sposobem przywiązać ich do powstania, dać im ich

własny interes do obrony, a przez to kraj cały rzucić na wroga. Przy wojnie regularnej, prowadzonej przez regularnego żołnierza, stworzyć wojnę podjazdową, prowadzoną przez wszystkich wieśniaków. „Zdrowy rozsądek tę myśl nasuwa, że tylko powstanie mas ten kraj uratować zdoła; że żołnierz wtedy jest niezwyciężony, kiedy go ze wszech stron owe masy otaczają, kiedy go otaczają z własnej ochoty.“ (Czemu masy nie powstają? „Nowa Polska“ 14 lutego 1831 r.). Stronnictwo dyplomatyczne walczyło z ideą rewolucyi socyalnej, tłómacząc, że ona zniechęciłaby do sprawy polskiej gabinety europejskie. Wiadomo, jak gabinety europejskie sprawie polskiej pomogły. Trzeba jednak wyznać, że użycie określenia rewolucyi socyalnej dla swojej myśli było niezręczne, gdyż dawało sposobność stronnictwu przeciwnemu do intensywnej agitacyi, porównywania idei Mochnackiego do idei, przeprowadzanych w rewolucyi francuskiej—niepopularnej w Polsce. On sam uwłaszczenie włościan uważał za następstwo reform, które miała przeprowadzić konstytucya 3-go maja, a konstytucyę 3-go maja uważał za jedyną podstawę normalnego rozwoju narodowego. Nowej nie budujemy ojczyzny, mówił, ale z gruzów podnosimy starą — aby ją podnieść, wszystkie środki są dobre. Te słowa wyjaśniają stosunek Mochnackiego do rewolucyi socyalnej.

Nie był on socyalnym rewolucyonistą, chcącym przeprowadzić swoje idee społeczne, tylko był gorącym patryotą, gorąco pragnącym wyzwolenia swego kraju i dla jego wybawienia chciał wywołać rewolucyę socyalną, nie przez wzniecenie nienawiści ludu przeciw szlachcie, ale przez dobrowolne zrzeczenie się na korzyść ludu części praw i przywilejów szlacheckich. Nie o środek mu chodziło, ale o rzecz — a rzeczą była dla niego wolność polityczna. Dla niej chwyciłby się środka, na zupełnie innym krańcu leżącego.

„Jeśli republikanizm co pomoże, to bądź republikaninem, jeśli monarchia konstytucyjna, to miej monarchię konstytucyjną we czci i poważaniu. Nie masz w niebie, na ziemi, pod ziemią żadnej mocy, żadnej dzielności, żadnego środka, któregoby spróbować nie godziło się.“ („Dziennik narodowy,“ 4 września 1831 r.).

O idei takiej wiele dałoby się powiedzieć, mnie jednak chodzi teraz jedynie o wydobycie prawdy historycznej.

Na Emigracyi rozeszły się drogi dawnych członków Towarzystwa Patryotycznego i Mochnackiego, który w czasie powstania do Towarzystwa Patryotycznego należał. Ich stosunek do rewolucyi socyalnej był inny, demokratyzm ich był szczerszy, w rozwoju więc swoim poszli w inną stronę. Mochnacki, który To-

warzystwa Patryotycznego nie lubił za brak energii i impetu rewolucyjnego, stronił od jego członków na Emigracyi, a gdy ci ogłosili Akt założenia Towarzystwa Demokratycznego, rzucił się na nich z całą właściwą sobie bezwzględnością. Akt ten, daleki od późniejszych, pełnych jasności i precyzyi, manifestów Towarzystwa Demokratycznego, zbawienie Polski opierał na zwycięstwie w Europie idei demokratycznych i na pomocy ludów, gdy Mochnacki zbawienie jej widział tylko w jej własnych siłach. On pierwszy na Emigracyi powiedział: „niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy.“ Stan Polski po powstaniu przedstawiał mu się w ten sposób, że jedynie szlachta zdolna była przechować polskość w sobie i czynić dla niej ofiary. Nie zniechęcać więc ją należało do powstania teoryami, rozwijanymi przez Towarzystwo Demokratyczne, ale do idei powstania przywiązać. Stosunek jego do szlachty był na Emigracyi taki, jaki był do włościan podczas powstania — t. j., że uważał ją za jedynie zdolną wybawić Polskę.

Czartoryski miał w Polsce wśród szlachty wielką popularność; po wyroku, skazującym go na śmierć, był wraz ze swem stronnictwem, według Mochnackiego, realną siłą, mogącą coś dla Polski zrobić i to naturalnie zdecydowało, że Mochnacki przystąpił do jego stronnictwa. W tem świetle w jego postępku nie było odstępstwa, jak chcieli demokraci, ale przeciwnie, byłoby odstępstwo, gdyby został członkiem Towarzystwa Demokratycznego.

Musieliśmy sięgnąć aż do Emigracyi, aby rzecz należycie przedstawić, tymczasem zatrzymaliśmy się na powrocie Mochnackiego z Wołynia. Już wtedy sejm rozpoczął swoje obrady. Nie wierząc, aby stu kilkudziesięciu posłów mogło rządzić powstaniem i nie wierząc w rząd pięciogłowy, Mochnacki raz jeszcze powraca do swej myśli ustanowienia rządu rewolucyjnego. Chcąc osłabić powagę sejmu, dyskredytuje go w opinii publicznej silnymi i zjadliwymi artykułami, które sprowadzają w sejmie wniosek ograniczenia wolności druku, ściągają w tymże sejmie na publicystów z Nowej Polski obelgę, że piszą za rosyjskie pieniądze, a chwiejnego i słabego Lelewela powodują do wystąpienia z jej redakcyi. Wreszcie Towarzystwo Patryotyczne, jak niegdyś klub przeciw Radzie Administracyjnej, ma być użyte przeciw sejmowi. Mochnacki przewidywał odepchnięcie adresu Towarzystwa, zawiadamiającego o swem zawiązaniu się przez sejm i z tego wnosił, że Towarzystwo Patryotyczne przybierze groźną postawę. I rzeczywiście, gdy Sołtyk u laski marszałkowskiej rzeczony adres składał, podniosły się w Izbie okrzyki—„precz z adresem! nie potrze-

bujemy żadnego Towarzystwa!“ Towarzystwo jednak nie uczyniło nic, czego oczekiwał i żądał Mochnacki. Zniechęcony, gdy nieprzyjaciel wtargnął do kraju, porzucił Warszawę i jako szeregowiec zaciągnął się do wojska. Patentu oficerskiego, który mu przysłał naczelny wódz Radziwiłł, nie przyjął, ale po bitwie Grochowskiej, gdzie był ranny, został porucznikiem. Po wyleczeniu się z rany w Warszawie, bił się znowu pod Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą, wreszcie Ostrołęką, skąd czterokrotnie ranny, przy obronie armat, wraz z bratem Kamilem, znalazł się w szpitalu w Warszawie i w Warszawie aż do jej wzięcia pozostał. Ozdobiony krzyżem złotym *virtuti militari*, zamknął raz na zawsze usta tym przeciwnikom, którzy go o dwuznaczny posądzali patryotyzm.

Wypadki rozwijały się z przerażającą szybkością. Już odebrano dowództwo Skrzyneckiemu, już stracono nadzieję w Dembińskiego. Nieprzyjaciel był pod murami stolicy. Nadeszła noc 15 sierpnia. Ani Mochnacki, ani Lelewel, jak o tem mówiono, w przygotowaniu jej nie brali udziału. Mochnacki, nie dlatego, aby był przeciwnym terroryzmowi, ale dla tego, że nie pojmował sensu w wieszaniu mizernych szpiegów. Jego zdaniem, członkowie rządu i generałowie, którzy gubili sprawę, powinni byli zająć ich miejsce na latarniach. W wypadkach tych brali jednak udział inni członkowie Towarzystwa Patryotycznego, między tymi ksiądz Puławski, który też Mochnackiego na powieszenie przeznaczał, posądzając go o podejrzane stosunki z arystokratami i generałem Skrzyneckim. W rzeczy samej Mochnacki namawiał Skrzyneckiego, aby Izbę rozpędził i ujął władzę dyktatorską. Skrzynecki godził się na zbawienność środka, ale wykonać go nie umiał, wymawiał się, że już było zapóźno. Mochnacki pisał, że był to dobry żołnierz, ale nie miał żadnej politycznej edukacyi.

Jakkolwiek noc 15 sierpnia nie wynikła z żadnego politycznego planu, Mochnacki widział w czynie pospólstwa poważny atut dla obrony Warszawy. Przed zemstą ludu powinni byli zadrżeć ci wszyscy, którzy wołaliby o poddanie się po pierwszych granatach, pękniętych na ulicach, lud sam dał dowód, że bronić się będzie do ostatka i tę jego rozpacz należało wziąć w rachubę. To też gwałtownie i gorąco za ludem warszawskim ujął się Mochnacki, gdy generał Dembiński rozgłaszać począł, że ręka nieprzyjaciela wypadkami nocy 15 sierpnia kierowała.

Niestety w rządzie nie było ani jednego człowieka o żelaznej ręce i wielkiej głowie—byli tam tylko poczciwi ludzie, którzy w życiu społecznem mają pożyteczną rolę, lecz zgoła inną,

niż kierowanie wielkimi wypadkami historyi. Po nocy 15-go sierpnia rząd się rozleciał z samego przestrachu, stronnictwo rewolucyjne zwyciężało, ale stronnictwo rewolucyjne też nie miało człowieka. Do władzy dzięki zabiegom osobistym piął się generał Krukowiecki, człowiek, który przez zazdrość zgubił bitwę grochowską i jak powszechna była opinia zasłużył na rozstrzelanie. Ale generał Krukowiecki każdemu żołnierzowi, każdemu człowiekowi spotkanemu na ulicy po bitwie Ostrołęckiej, prawił, że gdyby władzę ujął do ręki, to Skrzyneckiego by rozstrzelał, a Izbę rozpędził, wszystkich środków użył, a ojczyznę wyratował — i generał Krukowiecki zyskał wielką popularność wśród ludu. Kiedy więc lud się wzburzył, rząd myślał, że tylko człowiek popularny władzę sprawować może — i mianował prezesem rządu Krukowieckiego. Rewolucyoniści wchodzili też z nim w układ pod warunkami, że znaczą część władzy ujmą w swoje ręce, że generał Krukowiecki uzbroi lud, umocni barykady i podłoży prochy, aby w razie gdyby nieprzyjaciel wtargnął do miasta, wraz z brukiem wyleciał w powietrze. Myślano o obronie bohaterskiej i rozpaczliwej. Krukowiecki na wszystko się zgodził, ale gdy władzę objął, otoczył się Kaliszanami, których się nie bał i żadnego warunku nie dotrzymał.

Mochnacki czekał niecierpliwie rozwinięcia swego planu, widząc, że nic z niego się nie dzieje, napisał list pełen wyrzutów do Krukowieckiego, czem zasłużył sobie na jego zemstę. W domu pani Chłędowskiej pod prezydencyą Zwierkowskiego zawiązało się towarzystwo tajne, namawiano patryotów, aby porozumieli się ze sobą, nic już jednak Warszawy ocalić nie zdołało. Z powodu kłótni z generałem Chrzanowskim Mochnacki został przez niego wysłany pod eskortą żołnierzy, na Wolskie rogatki, aby tam zginął od kartaczy nieprzyjacielskich. W ostatniej chwili Chrzanowski z obawy przed zemstą rozkaz cofnął, i z porady Krukowieckiego uwięzić go kazał, aby wraz z Warszawą oddać w ręce zwycięzców. Już wszyscy przechodzili na Pragę, już tam jechał generał Krukowiecki i tylko cofnął się przed groźnym protestem generała Umińskiego, który zapowiedział, że bez sądu rozstrzelać go każe — gdy jakimś cudem Mochnacki wydostał się z ratusza i ocalał. Na drugi dzień na Pradze ze łzami zaklinał marszałka sejmu Władysława Ostrowskiego, aby ostatniej nadziei upaść nie pozwolił, błagał generałów, aby połączyli się z Ramorino i wtargnęli do opuszczonej Litwy, albo przeszli Wisłę i połączyli się z Różyckim. Generałowie jednak już bić się nie chcieli—upadek ducha był zupełny. Gdy wejście do Prus było postanowione ge-

nerał Rybiński wezwał braci Mochnackich do siebie, dał im po 20 dukatów, pasporty pod cudzem nazwiskiem, Kamilowi awans z kapitana na majora i wręczywszy dymisye radził, aby udali się do Paryża, gdyż tylko tam bezpiecznie będą mogli odetchnąć. Do Paryża też udali się obydwaj. Przybyli tam jako jedni z najpierwszych emigrantów (2 listop. 1831). Polaków w Paryżu była zaledwie garstka, między innymi Bonawentura Niemojowski z Kaliszanami. Niemojowski, jako ostatni prezes rządu chciał stanąć na czele Emigracyi i w tym celu zabiegi czynił, aby utworzyć Komitet, koło którego kupiliby się przybywający, o innej organizacyi nie myśląc, ale przeszkodził mu w tem Maurycy Mochnacki, domagając się, żeby Komitet Niemojowskiego, przybrał miano Tymczasowego, dopóki większa ilość polaków nie przybędzie, która albo go uzna, albo innych za przedstawicieli swoich wybierze. A gdy to się stało, wraz z Adamem Gurowskim napisał broszurę o czynnościach i systemie Niemojowskiego, która podkopała znaczenie i popularność prezesa wśród emigrantów tak dalece, że na zebraniu (8 XII 31) zwołanem w celu ustanowienia stałego Komitetu, Komitet Niemojowskiego żadnych szans już nie miał i ustąpił miejsca Komitetowi Narodowemu Polskiemu pod prezydencyą Joachima Lelewela. Na zebraniu tem, z którego przebiegiem zapoznajemy się z protokółu pisanego ręką sekretarza Maurycego Mochnackiego [1]), Mochnacki polemizował z Czyńskim i Krępowieckim, którzy chcieli ukrywać istotne polityczne cele Komitetu, — zalecając jawność, gdyż i bez niej dążenia emigrantów wszystkim są wiadome i nikt im przeszkadzać nie może.

Czynnościami emigracyjnymi zajmował się Mochnacki niewiele, gdyż zaraz w początkach zaczął był pisać historyę powstania, a gdy w Paryżu ustawicznie mu w pracy bezczynni goście przeszkadzali wyjechał do Metz wraz z Michałem Podczaszyńskim, wysłanym tam w interesach Komitetu narodowego. Michał Podczaszyński przed powstaniem jeszcze wyjechał z Warszawy do Paryża i stał się tam obu Mochnackim wielką pomocą. Był to szczery i prawdziwy przyjaciel. Na jego małych funduszach oparli początkowo swoją egzystencyę obaj Mochnaccy, potem żyli z zasiłków Komitetu Centralnego i pensyi rządowej, ale wszystkie razem dochody były małe i bieda dolegała nawet wtedy, gdy Maurycy piórem zaczął sporo zarabiać, pisując do „Pamiętnika Emigracyi Polskiej,“ wydawanego przez Podczaszyńskiego. Przy-

[1]) Rkp. w Raperswilu.

czyną bied, była choroba Kamila. Z Warszawy przywiózł początki suchot, które w Paryżu rozwinęły się zupełnie.

Oprócz historyi, chciał Mochnacki w Metz napisać jeszcze Rys ogólny literatury polskiej dla użytku cudzoziemców, którą to pracę powierzyło mu świeżo założone w Paryżu Towarzystwo Naukowe Tułaczów polskich. Prezesem Towarzystwa Naukowego był Lelewel, a Mochnacki — wice prezesem. Niedługo jednak 22 stycznia 1832 napisał do Lelewela, [1]) że pracy tej kończyć nie może, że nie ma żadnych ku temu zdolności, że zbyt go trapią rewolucyjne nieszczęścia, których opisywaniem się zajmuje. Dzieło swoje pisał Mochnacki z zadziwiającą szybkością, w połowie lutego skończył już ogólny zarys powstania. [2])

Opracować szczegółowo historyę mógł tylko w Paryżu, gdzie znajdowało się wiele osób, biorących udział w wypadkach, u których mógł się był informować. Wracać zaś do Paryża było trudno z powodu braku pieniędzy. Komitet Centralny, mając coraz to mniej, wykreślił go z liczby osób biorących zapomogę, narzeka na to Mochnacki w listach do Lelewela, molestuje Leonarda Chodźkę, aby swego wpływu użył w Komitecie. „Sam teraz nic zarobić sobie nie mogę, dopóki nie wydam swego pisma, potem dam radę sobie wszędzie, ale dzisiaj — dzisiaj, jak wyjechać z Metz, jak zapłacić, com winien w hotelu? [3])

Miał nadzieję Mochnacki, że to, co dostanie za swoje pismo, wyrwie go z kłopotów i dostarczy ojcu pieniędzy na przybycie do Francyi, czego obydwaj synowie domagali się koniecznie, wystawiając, że rząd austryacki może wydać go Rosyi, że łatwiej utrzymać się we Francyi i dostać w niej zajęcie. Starzy Mochnaccy byli już wtedy bez żadnych środków i mieszkali u swoich krewnych w Galicyi. Majątek w Królestwie oczywiście uległ konfiskacie.

Oprócz biedy zaczęły dokuczać i władze francuskie. W marcu zmusiły Kamila, który chciał razem z bratem przebywać, aby opuścił Paryż i jako wojskowy udał się do depôt do Avignonu, gdzie się już było 870 oficerów zebrało. Pobyt jego jednak nie trwał tam długo, gdyż został przez kolegów wysłany, jako delegat Rady Avignońskiej do Komitetu Narodowego i w końcu marca zjechał się z Maurycym w Paryżu. Powtórnie kazano mu

[1]) Rkp. w Raperswilu.

[2]) Do Joachima Lelewela. Metz, 14 luty, 1832. Rkp. w Raperswilu.

[3]) Do Leon. Chodźki. Metz, 1832. Rkp. w Raperswilu.

wyjechać, ale zapadł silniej na piersi i świadectwem lekarskiem się zasłonił. Krwotoki powtarzały się coraz częściej i lekarze choremu kazali udać się do Baden, gdzie wraz z Maurycym w sierpniu wyjechał. Przez Szampanię jednak Kamil drogi odbyć nie mógł i powrócił do Paryża, skąd pojechał do Montmorency i tam do października przebywał, odwiedzany często przez Maurycego. W październiku powrócił do Paryża i razem z Maurycym zamieszkał. Zaczęło się ciche życie w trójkę, bo i Podczaszyński z nimi wciąż przebywał, redagując swoje pismo i kaszląc, mniej jak Kamil, ale z tego samego powodu. Maurycy też nie był zdrów, serce mu dolegało. Zajęty pisaniem historyi nie dbał bardzo o to, ale ciężki i smutny nastrój, jaki się koło niego tworzył, odbijał się w listach do rodziców. W lutym kazano Kamilowi wyjechać na południe Francyi. Nie była to łatwa rzecz do uskutecznienia, ze względu na pieniądze, tembardziej, że Maurycy musiał z Kamilem jechać, gdyż ten w drodze opieki potrzebował. Pomógł Lafayette, pomógł trochę generał Dwernicki, tak, że było na drogę i pierwszy pobyt, ale nie ustąpiły obawy jak później utrzymać chorego.

Prenumerata na mające się ogłosić dzieło o powstaniu, którą w Galicyi się zajęto, szła bardzo źle. W połowie kwietnia przyjechał Kamil z bratem do Hyères. Gdy się Maurycy gotował z powrotem do odjazdu, błagał go ze łzami, aby pozostał, gdyż przewidywał śmierć i nie chciał się z najbliższym sobie człowiekiem rozstawać! Kiedy jednak obliczono zasoby, okazało się to niemożliwością.

Kamil zaczął straszną wegetacyę suchotnika, a nie mogąc regularnie otrzymywać pomocy, cierpiał nieraz poprostu głód. Nie można spokojnie czytać listów, pisanych do Maurycego z tego czasu. W ostatnich chwilach, nie cierpiał już niedostatku. Maurycy, posyłał mu co zebrał za prenumeratę swego dzieła, zajął się też nim mer miasta, bogaty pan Denis—ale chwile te były niewysłowienie ciężkie, ze względu na samotność, dla człowieka bardzo przywiązanego do swoich. Umarł 17 sierpnia 1833 r.

Na wiadomość o śmierci brata, choć ją przewidywał, Maurycy wpadł w zupełną rozpacz, rozchorował się i od tego czasu, sam zaczął się chylić do upadku.

Artykuły Maurycego Mochnackiego, ogłaszane w Pamiętniku Emigracyi Polskiej, pozwalają nam poznać kształtowanie się ostateczne, uformowanie jego poglądów politycznych. Materyałem dla nich było powstanie listopadowe. Zastanawiając się nad słabością stronnictw i nad słabością rządu, buduje teorye absoluty-

zmu w rewolucyi—teoryę później tak przez swoich przeciwników zwalczaną.

Uważając rewolucyę jako niszczenie przeżytków społecznych, politycznych i umysłowych, chciał, aby miała mądry, konsekwentny kierunek, aby była systematem. Horyzont jego myśli, sposobem bardzo częstym u działaczy społecznych, zacieśnił się bardzo: wszystkie objawy życia zaczął rozważać w odniesieniu do rzeczy najbardziej go zajmującej, t. j. do rewolucyi. Znamiennym pod tym względem jest artykuł „O rewolucyi w Niemczech.“ Dawny zwolennik filozofii niemieckiej zarzuca jej teraz, że „sforsowała“ ducha niemieckiego i uczyniła Niemców niezdolnymi do rewolucyi. Wywody swoje rozciąga na sztukę i literaturę—uznaje tylko *les sciences positives*. „Literatura denerwuje, zabija nas: z tego względu jest jednym z wielkich środków restauracyi, jednym z filarów rojalizmu. Poezya rewolucyjną być nie może.“

Osobno stoi artykuł „O charakterze polskiej Emigracyi“ (1 lipiec 1832). Emigracyi nie lubił i nie wierzył w nią. Ludzie, których podczas powstaniania cenił, stracili dla niego wszelką wartość, członków Tow. Demokratycznego nazywał błaznami, a w listach do domu narzekał na wielkie głupstwo emigrantów. Z tego wynikało, że przekonywał Emigracyę w tonie, niemogącym jej obrazić, aby nie mieszała się do żadnych wypadków we Francyi i w Europie, cierpliwie czekała chwili, gdy będzie mogła i powinna do kraju powrócić, a tymczasem oddawała się zatrudnieniom umysłowym „przyzwoitym wielkiej niedoli.“

Artykuł ten dosyć wymownie świadczy, że Mochnacki nie miał w sobie ducha, który w każdym czasie i miejscu tworzy rewolucyonistę. Był nim—bo w rewolucyi widział dla Polski jedyną racyę stanu.

Gdy wyszły dwa pierwsze tomy Dziejów powstania Mochnacki zwrócił na siebie powszechną uwagę i zjednał sobie sławę znakomitego pisarza.

Miał wyjść niedługo tom III i IV. W listach zachowały się ślady, wyraźne nawet wiadomości, że tom III był napisany, a ponieważ nie wyszedł, urosło w Polsce przekonanie, że zginął tak, jak ginie wiele rękopisów i dokumentów historycznych. Według mnie przekonanie to jest błędne. Tom III, a bardziej jeszcze IV są legendą.

Mochnacki powrócił z Metz z całkowitym szkicem swojego dzieła, które potem powoli opracowywał i przygotowywał do druku.

Z Marly le Roi 28 listopada 1833 r. pisze do Wojciecha Grzymały z prośbą, aby mu dostarczył materyałów do Historyi

Towarzystwa Patryotycznego, która zamyka tom I.[1]) W tym samym liście pisze, że trzy tomy mają składać całe dzieło, a w liście do ojca z 25 lipca 1834 r. mówi, że w trzecim tomie historyi nie skończy — będzie więc i tom IV. W listopadzie więc 33 r. nie było jeszcze tomu III, bo gdyby był, toby autor wiedział, że trzeba napisać jeszcze i IV i nie upewniałby Grzymały, że całość z 3 tomów składać się będzie. To, że pisał do ojca o tomie IV może znaczyć, nie—że III był gotowym, ale że miał już tyle materyału, którego nie mógł w jednym tomie zamknąć, o czem, pisząc do Grzymały — nie wiedział.

24 września 1834 r. pisze do ojca: „słabość moja wstrzymała postęp tomu III-go, ledwo za 20 dni będę mógł pracować.“ 6 listopada pisze z Auxerres do rodziców: „tom III-ci mojego dzieła już jest gotowy, lecz jeszcze nie wydrukowany. Słabość moja, trwająca ciągle przez pięć miesięcy jest tego opóźnienia przyczyną — teraz nawet rzecz idzie bardzo powoli, ponieważ sedenteryi jakiejś wymaga. Tak ogromne dzieło zabiłoby mnie niewątpliwie.“ A więc w listopadzie tomu IV nie było napewno, a skoro III nie dawał do druku, gdyż jeszcze nad nim pracował, więc ten ukończonym nie był. Słów „tom III jest gotowy“ zupełnie na wiarę przyjmować nie możemy. Ojciec ustawicznie naglił o dokończenie dzieła, czynili to i inni, Mochnacki, mając zebrany materyał i znając swoją szybkość pióra, upewniał, że tom III jest gotowy. Tymczasem 23 listopada zachorował, a 20 grudnia 1834 r. umarł— i major Dębowski w papierach jego znalazł tylko kilka arkuszy wstępu do tomu III i szereg luźnych uwag. Ten stan rzeczy, według mnie, jako zupełnie istotny, przyjąć możemy.

Zbierając materyały do historyi powstania, Mochnacki zbliżył się do swoich dawnych przeciwników politycznych i wiele przyczyn natury psychologicznej sprawiło, że lgnął do ich towarzystwa. Ci ze swej strony czynili wszystko, aby zjednać sobie znakomitego pisarza i dziwneby było, gdyby było inaczej. Różnice ideowe, pomiędzy Mochnackim a nimi, zmniejszyły się, jeśli nie zatarły zupełnie. Walka o środki ustała, a wspólne uczucie patryotyzmu, jednakowe pojmowanie przeszłości polskiej — pozostały. Różnice ideowe daleko głębsze istniały pomiędzy Mochnackim a demokratami.

Demokraci służyli ideom społecznym, powstanie i przyszłość Polski tylko w duchu zasad przez siebie wyznawanych przyjmo-

[1]) Rkp. w Raperswilu.

wali — dla Mochnackiego same przez się były one obojętne, miały dlań tylko wartość środka rewolucyjnego, jak już wykazałem, dla odzyskania wolności. Że im służyć nie będzie, że je rzuci, gdy w nie, jako w środek, wierzyć przestanie, człowiek bystry mógł spostrzedz już w najgorętszych jego pismach, jakie ogłaszał w Nowej Polsce. Teraz ta chwila nastała.

W październiku 1834 r. przybył Mochnacki z Paryża do Auxerres i czuł się doskonale w towarzystwie oficerów polskich w tamtejszym zakładzie przebywających. W Auxerres napisał dwa ważne pisma, podpisane przez oficerów i żołnierzy z zakładu. 1) Pismo okólne oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu Auxerres do rodaków w Emigracyi (23 paźdz. 1834). 2) List do generała Dwernickiego.

Pierwsze nawołuje do utworzenia władzy centralnej dla Emigracyi, któraby ją całą połączyła i nawiązała stosunki z krajem w duchu insurrekcyi. W piśmie tem Mochnacki krytykuje wiarę Polaków w pomoc zewnętrzną, w pomoc tak ludów, jak rządów, a wszystkie działania i rachuby oprzeć radzi na sile dwudziestomilionowego narodu.

List do generała Dwernickiego, napisany z powodu przystąpienia Dwernickiego do aktu przeciw Czartoryskiemu, jest pismem bardzo przykrem. Obrona Czartoryskiego słaba, nie odznacza się precyzyą i doskonałością argumentów, właściwą Mochnackiemu, a nienawiść do Towarzystwa Patryotycznego wielka. Samo zwrócenie się do generała Dwernickiego, choć nacechowane pozorami wysokiego szacunku, nie jest pozbawione ani jednej przykrości, którą mógł mu osobiście uczynić. Nie zapomniał wyrzucić generałowi, że pierwszy złożył broń w Galicyi i dał zgubny przykład, choć doskonale wiedział, że nie było to winą dzielnego generała i że nie można było postępku jego porównywać z postępkiem Giełguda.

Są to ostatnie pisma Mochnackiego. Od listopada 1834 r. był już ciągle chory i wpadał w dziwny u niego mistycyzm. Zmarł w Auxerres na zapalenie mózgu.

Stanisław Szpotański.

Międzynarodowy kongres socyalistyczny

w Stuttgarcie.

I.

Odbytemu w połowie sierpnia r. b. międzynarodowemu kongresowi socyalistycznemu w Stuttgarcie warto i należy przyjrzeć się bliżej. Są po temu względy różnorakie.

Najpierw na kongresach socyalistycznych międzynarodowych stanowisko panujące zajmuje niemiecka demokracya socyalna. A to wpływy niemieckiej S. D. ciążą wyraźnie i wyłącznie na ruchu socyalistycznym w Polsce, więc to niejako *de nos fabula narratur*.

Następnie prądy i dążenia socyalistyczne w całym świecie znalazły się obecnie w fazie przełomowej. Niewątpliwie socyalizm jest obecnie pod wielu względami w położeniu wyjątkowo kłopotliwem. Oddziaływają nań osobliwie silnie: idee narodowościowe; rewizyonizm teoretyczny; praktyczny zawodowy ruch robotniczy.

Rewizyonizm zadał socyalizmowi daleko większy cios, niż się to pospolicie mniema. Podważył teoryę walki klas; wysunął kierunek, zwany przez Sombarta realistyczno-ewolucyjnym, jako przeciwstawienie determinizmowi rewolucyjnemu Marksa; wykazał, że teorye koncentracyi bogactw, płacy zarobkowej, przesileń ekonomicznych, międzynarodowej jedności proletaryatu, są niedoskonałe lub nawet wskróś błędne; ustalił, że taktyka parlamentarna z jednej strony i ruch współdzielczy z drugiej mają przynieść klasie robotniczej wielkie korzyści i że są właściwym środkiem postępu i regulowania kwestyi socyalnej. Słowem poddał faktycznej a głębokiej rewizyi wszystkie podstawy teoretyczne i motory działalności socyalizmu, na których opierał się nowożytny ruch socya-

listyczny. Nie dotykając ideologii socyalistycznej, która, mimo prób w rodzaju Mengera, pozostaje wciąż raczej sprawą wiary, niż racyonalnych koncepcyj, rewizyonizm udowodnił, że cały praktyczny ruch socyalistyczny wychodził z błędnych przesłanek, które też—jeżeli chce wpływać na sprawę robotniczą zmienić musi.

Otóż w takich okolicznościach odbyty kongres międzynarodowy socyalistów nabiera szczególnej wagi i może stać się w pewnej mierze wskazówką, po jakiej drodze dalszy rozwój socyalizmu pójdzie. Wprawdzie kongresy międzynarodowe socyalistów są nie od dziś już w pewnym stopniu maskaradą, mającą na celu wywołanie efektu jedności i siły socyalistycznej; wprawdzie udział w nich delegatów tych narodowości, które u siebie nie mają prawie zgoła ruchu socyalistycznego, nadaje uchwałom kongresu charakter wypadkowy, często nieobowiązujący; wprawdzie, aby uratować symbol jedności, uchwały te zbyt gorliwie trzymają się złotego środka i przemawiają językiem aż nadto pityjskim;—w każdym jednak razie rzucają one światło na rzecz samą i mają się przyczynić do zrozumienia dynamiki socyalizmu. Tak więc z tych i innych względów kongres stuttgarcki zasługuje na uwagę.

Ustalmy naprzód fakty.

Poprzednie kongresy odbywały się: w Paryżu r. 1889, w Brukselli r. 1891, w Zürichu r. 1893, w Londynie r. 1896, w Peszcie r. 1900 i w Amsterdamie r. 1904. Widzimy więc, że na ziemi niemieckiej zebrali się socyaliści wszech krajów po raz pierwszy. Jest to ciekawe, że pomimo, iż w Niemczech padło przy ostatniem głosowaniu do parlamentu na kandydatów socyalistycznych 3,200,000 głosów, iż reprezentacya socyalistyczna w parlamencie jest tak silna, a ruch socyalistyczny w kraju tak szeroki, nie było dotąd uznane za praktyczne i bezpieczne urządzenie kongresu w państwie Hohenzollernów. Przezorność ta okazała się zresztą zupełnie usprawiedliwioną, bo i w roku obecnym wydalono ze Stuttgartu delegata angielskiego za to, iż się niezbyt serdecznie wyraził o konferencyi haskiej. W Peszcie tedy mają socyaliści większe rękojmie swobody słowa, niż pod skrzydłem Wilhelma II.

W kongresie wzięli udział co najwybitniejsi socyaliści różnych krajów, jak Bebel, Singer, Kautsky, Mehring, Bernstein, Vollmar, Dawid, Jaurès, Hyndman, Vandervelde, Axelrod, Plechanow i inni. Delegatów było 886, mianowicie: z Niemiec 300, z Anglii 123, z Francyi 78, z Austryi 75, z Czech 41, z Rosyi 37, z Belgii 27, z Węgier 25, ze Szwajcaryi 19, z Danii 17, z Włoch 13, z Polski 12, z Norwegii 9, z Hiszpanii 6, z Bułgaryi 5, z Rumunii 4, z Serbii 1, ze Stanów Zjednoczonych 20, z Argentyny 3,

z Japonii, Afryki Południowej i Australii po 1. Przytaczamy te cyfry, ponieważ nam one lepiej od wszelkich rozumowań wyjaśnią w następstwie humorystykę niektórych uchwał.

Na pierwszem posiedzeniu rozwinęła się zaraz dłuższa dyskusya nad kwestyą dopuszczenia do obrad *Labour Party*, angielskiej partyi robotniczej, będącej polityczną ekspozyturą związków zawodowych, t. zw. trade-unionów. Prawowierni socyaliści utrzymywali, że *Labour Party* przybywa pod fałszywą flagą. Gdy powróci—mówiono—do domu, powie znów, że jest partyą robotniczą, ale nie socyalno-demokratyczną i że nie zgadza się na postulaty socyalistyczne. *Labour Party* bywała niejednokrotnie wzywana do ogłoszenia swego programu, ale zawsze odmawiała; wzywano ją, aby walkę klas postawiła jako żądanie zasadnicze; odmówiła i tego. Odrzuciła nawet wezwanie do przyjęcia żądań przejściowych socyalizmu. Partya robotnicza jest partyą bardzo piękną i doskonałą, ale „niema żadnych zasad.“ Dla tego też nie posiada prawa do uczestniczenia w kongresie.

Tak prawiono o udziale potężnej partyi robotniczej, której olbrzymich zasług dla rozwoju interesów robotniczych nikt nie śmiałby w wątpliwość podawać...

Zrozumieć sens takiej dyskusyi w rzeczy samej nietrudno. Trzeba tylko pamiętać o jednem, o czem się, u nas zwłaszcza, wcale nie pamięta, że ruch socyalistyczny a ruch robotniczy to wcale nie jedno. Ruch socyalistyczny może się objawiać w formach, wrogich interesowi robotniczemu, jak to możemy obserwować, choćby na naszych własnych śmieciach, na obłędnej akcyi rodzimych socyalistów, a właściwie anarchistów łódzkich i innych. Ruch robotniczy znów może się emancypować z pod przewagi socyalistycznej, a nawet nigdy nie znajdować się pod jej jarzmem, jak *trade-union'y* angielskie; lub występować wprost samodzielnie, a nawet z hasłami bezpośrednio wrogiemi socyalizmowi, jak kierunek „żółty“ we Francyi, albo stowarzyszenia Hirsch-Dunckerowskie, chrześcijańskie i inne w Niemczech. Nie chodzi więc socyalistom tyle o sprawę robotniczą, ile o sprawę socyalistyczną. Dla tego *Labour Party* natrafiła na zakwestyonowanie.

Niedawno jedno z pism polskich, bezwarunkowo hołdujące kierunkowi społecznie radykalnemu, zarzuciło socyalizmowi łódzkiemu, że znalazł się pod panowaniem „miszuresów,“ t. j. różnych subjektów handlowych, drobnych inżynierów, kantorowiczów, którzy „w dobie kryzysu narzucili się robotnikom na dyktatorów.“ Jest to bardzo trafna charakterystyka stosunków, stosująca się tak samo do wielu stron ruchu socyalistycznego za granicą. Tam

tak samo robotnikom narzucają się na opiekunów różnego rodzaju samozwańcy z obozu burżuazyjnego, którym chodzi bądź o doktrynę, ślepo i płytko pojmowaną, bądź o awanturnictwo polityczne i społeczne. Otóż zobaczymy w dalszym ciągu, jak tego rodzaju hałastra agitatorska ciąży na ruchu socyalistycznym, jak paczy sprawę robotniczą i wreszcie jakich ta ostatnia używa wysiłków, aby wyzwolić się z pod dyktatury nieodpowiedzialnego żywiołu.

Przejdźmy teraz do samych obrad zjazdu.

Na porządku dziennym kongresu stanęły sprawy następujące: kwestya militaryzmu i konfliktów międzynarodowych; stosunek partyj politycznych do ruchu robotniczego zawodowego; sprawa kolonij i polityki kolonialnej; sprawa emigracyi i imigracyi robotników; wreszcie sprawy kobiece.

Nie wszystkie te sprawy mają dla nas tę wartość, aby zasługiwały na równomierne rozpatrzenie. Sprawy kobiece np. rozważane były w sposób raczej teoretyczny, a uchwały w tym względzie nosiły raczej charakter platoniczny. Kwestya kolonij i polityki kolonialnej poruszona została i uchwalona w takiej formie i treści, że oskarżanie kongresów międzynarodowych o poszukiwanie złotego środka pozyskało nowy silny argument. Natomiast inne punkty porządku dziennego dotykały spraw zasadniczych, dla socyalizmu niezmiernie drażliwych; wielce w jego łonie spornych i mogących wywołać kontrowersye bardzo znaczne. I tu jednak na ogół stało się to, czego wymagał główny cel kongresu. Symbol jedności został uratowany, bo znaleziono środek pogodzenia najsprzeczniejszych dążności, przystosowania doktryny do faktów, co nieraz wyglądać może na próbę godzenia wody z ogniem.

Zanim przejdziemy do przyjrzenia się poszczególnym uchwałom kongresu, zanotujmy jeden drobny, ale ciekawy epizod z ostatniego posiedzenia kongresu. Oto delegat austryacki, Kroemer, wystąpił z przepowiedniami. Zapewniał, że jest od lat ośmiu jasnowidzącym i może przepowiedzieć, iż w roku 1910 przyjdzie do wojny europejskiej, w której Anglia będzie zupełnie pobita. W tym samym roku ogłoszona zostanie w Adelaidzie, w Australii południowej, komuna socyalistyczna, która niebawem obejmie całą Australię. W r. 1912 będzie w Ameryce bunt wojskowy, który również zakończy się komuną socyalistyczną. W r. 1914 przyjdzie pogrom w całej Europie, lecz do republiki socyalistycznej nie dojdzie, tylko towarzysze europejscy wywędrują do swoich towarzyszów amerykańskich.

W ten sposób bajał *delegat* socyalistyczny, biorący udział w najpoważniejszych obradach partyjnych. Daje to próbkę, jacy

to ludzie, jakie psychiki zdolne są posiąść władzę nad tłumami i kierować niemi, gdy warunki materyalne, a więc nędza robotników i niski stan oświaty złoży się pomyślnie ku temu.

II.

Historya związków zawodowych jest może najciekawszą kartą w dziejach socyalizmu, a rozdźwięk, że nie powiemy więcej, ujawniany coraz silniej pomiędzy pierwszemi a drugim, zdaje się zapowiadać osłabienie wpływów socyalistycznych na masy robotnicze.

Związki zawodowe, jak wiadomo, mają na celu poprawienie materyalnego i moralnego bytu robotników nie drogą rewolucyi, gwałtów i zaostrzania stosunków politycznych i socyalnych, lecz drogą oddziaływania na warunki pracy *w obecnym ustroju społecznym*. W tym celu z jednej strony starają się o polepszenie warunków pracy fizycznej, z drugiej o krzewienie w masach robotniczych oświaty, spójności, ducha organizacyi i przezorności. Działalność ich rozwinęła się znakomicie i przyniosła już robotnikom niemałe korzyści bez względu na to, że związki w krajach, w których prosperują najlepiej, *polityką się nie zajmują*. Utopie socyalistyczne są sprawą osobistej wiary pojedyńczych członków; związki, jako takie, zwracają uwagę jedynie na bezpośrednie, doraźne korzyści.

Tam, gdzie rozwojowi związków, jako organizacyi ekonomicznej i kulturalnej, nie przeszkadzały specyalne prawa i zakazy, wzrosły one w siłę i znaczenie. Równolegle z tem szła emancypacya związków z pod wpływu doktryn utopijnych. W miarę, jak robotnicy widzieli na własne oczy korzyści zrzeszenia się i zdobywania spokojnego, ale systematycznego, lepszych warunków pracy, w miarę, jak rosły zasoby finansowe związków i ich zdolności materyalne do wspierania robotników, stawały się one coraz przezorniejsze, rozważniejsze, dalsze od akcyi nieobmyślanej i nierealnej. To zaś pociągnęło za sobą coraz wyraźniejsze oddzielenie się ruchu zawodowego od ruchu partyjno-socyalistycznego, dochodząc niekiedy aż do wyraźnego rozłamu.

Niepodobna zaprzeczyć, że w większości krajów na Zachodzie ruch zawodowy wyszedł ze źródeł socyalistycznych, a więc był z niemi w ścisłej zależności. Zależność ta powstała tam, gdzie robotnik stoi nisko pod względem oświatowym i pozwala

kierować się różnym surdutowym agitatorom socyalistycznym, oraz tam, gdzie rząd i burżuazya stawiały zbyt silne przeszkody organizacyom robotniczym. We Francyi znów syndykalizm przerodził się do pewnego stopnia w organizacyę anarchistyczną, stojącą w wyraźnej sprzeczności—jak to zobaczymy później — z dążeniami najwybitniejszych i najrozumniejszych grup socyalistycznych. Tak czy owak jednak, ruch zawodowy dzisiaj wyłamuje się niemal wszędzie z pod opieki socyalistycznej. Cytowałem wyżej, jak w Stuttgarcie potraktowano *Labour Party*, przedstawicielkę słynnych trade-union'ów, za to, że „nie zgadza się na postulaty socyalistyczne.“ W Niemczech istnieje cały szereg związków zawodowych, które wyszły z inicyatywy kół, wrogich dążeniom socyalistycznym, i które mimo to rozwijają się znakomicie. Ale i związki, w których socyaliści rej wodzą, t. zw. centralne, nie chcą już iść pod komendę socyalistów. „Jeśli członkowie związków centralnych—oświadczał często Legien, cytowany przez Thomasa—należą do partyi socyalno-demokratycznej, to dla tego, że jedynie ta partya usilnie podtrzymuje ich żądania.“ Proszę uważać: należą do partyi socyalno-demokratycznej nie dla tego, że wyznają poglądy socyalistyczne, lecz że znajdują tam poparcie swych dążeń do podniesienia warunków pracy. To też zrozumiałem jest, że Legien *musiał* we Frankfurcie dodać: „Jeśli zjawi się inna partya, to *chętnie wejdziemy z nią w stosunki*.“ Jest to jednem słowem uznanie, że socyalizm nie jest już tak bardzo naturalnym opiekunem robotników, że opiekę tę można znaleźć w innych stronnictwach, nie hołdujących teoryi walki klas i rewolucyi socyalnej. Inaczej mówiąc, związki wyrzekają się ortodoksyi socyalistycznej, a wyrzekają się dla tego, że zetknąwszy się z życiem, poprowadziwszy robotę praktyczną, poznawszy trudności i właściwości rozwoju społecznego, zmieniły swój światopogląd w kierunku realnym, odpowiadającym faktycznej statyce i dynamice stosunków.

Zwrot taki, pochodzący nie ze sztucznych źródeł, lecz właśnie z naturalnych, z głębokiego, praktycznego poznania dróg i środków poprawy doli robotników, jest ogromnej doniosłości dla rozwoju ruchu robotniczego. Co się tyczy stosunku tego ostatniego do ruchu socyalistycznego, to wskażemy choćby takie objawy, jak ten, że związki nie chcą popierać akcyi święcenia 1-go maja, uważając ją za nazbyt kosztowną i bezcelową. Ale to tylko jeden przykład: setki innych znamionują głęboki rozbrat między polityką socyalistyczną a ruchem zawodowym. To też dla socyalistów nie byłoby nic prostszego pozornie, jak zerwać

ze związkami i przystąpić do tworzenia nowych, ściśle już poddanych dyrektywie partyjnej. Nie jest to jednak możliwe, bo w związkach socyaliści czerpią główną siłę i bez nich zredukowałyby się ich wyływy niemal do nicości. Głosowania na kandydatów socyalistycznych do parlamentu berlińskiego wykazały, że większość głosów pochodziła od związkowców, którzy wotują na socyalistów dla tego, że istotnie żadna inna partya niemiecka nie jest dość szczerze demokratyczna i liberalna i nie zasługuje na pełne zaufanie robotnika. Ale to są tylko t. zw. u nas w ostatnich czasach „sympatycy," żywioł bądź co bądź ruchomy i niepewny.

Tak więc widzimy, że socyaliści w stosunku swym do ruchu zawodowego znajdują się w położeniu kłopotliwem. Zerwać ze związkami nie mogą, bo pozbyliby się potężnego sojusznika, zaś nakłonić je do poddania się kierownictwu partyjnemu staje się pracą coraz widoczniej bezowocną. Przeciwnie nawet, związki coraz silniej ciężą swym wpływem na ortodoksyjny socyalizm, nietylko podważając jego teoretyczne podstawy i stwarzając tem samem ruch rewizyonistyczny, ale nadto zmuszają do praktycznych względem siebie ustępstw, jak naprzykład do cofnięcia głośnej uchwały co do strajku generalnego, powziętej przez kongres w Jenie na wniosek Bebla. To też kongresy miejscowe i międzynarodowe wysilają się, aby znaleźć formułę, godzącą ruch socyalistyczny z ruchem zawodowym w ten sposób, żeby i wilk był syty i owca cała. Przemawiają zwykle uchwały kongresowe językiem pityjskim, „z jednej strony" uznając coś, a „z drugiej" nie zaprzeczając czemuś, tak, że można je sobie tłómaczyć, jak się komu podoba. W każdym razie jedna nuta dźwięczy silnie: potrzeba jedności.

I w Stuttgarcie powtórzyła się ta sama historya.

Tu nadmienimy, że jednocześnie z kongresem socyalistycznym odbywał się w tem mieście kongres związków zawodowych. Na ten ostatni przybyli, rozumie się, tylko delegaci tych związków, które uważają się poniekąd za socyalistyczne, brak zaś było przedstawicieli bardzo potężnych związków bezpartyjnych angielskich, niemieckich, francuskich i innych. Pomimo jednak tej wspólności barwy, obrady kongresu związków toczyły się pod wielu względami po innych torach i z trudem tylko dało się tuszować znamiona rozdwojenia.

Ostatecznie międzynarodowy kongres socyalistyczny przyjął następującą uchwałę, cytowaną przez nas według polskiego przekładu, podanego w *Wiedzy*, urzędowe bowiem sprawozdanie z kon-

gresu dotąd z druku nie wyszło. Kongres w sprawie związków zawodowych uchwalił:

I. Dla zupełnego wyzwolenia proletaryatu z więzów duchowej, politycznej i ekonomicznej niewoli jest w równej mierze niezbędną polityczna, jak i ekonomiczna walka klasy robotniczej. Zadaniem socyalistycznych organizacyj partyjnych jest przedewszystkiem organizowanie walki politycznej proletaryatu, zadaniem organizacyj zawodowych jest przedewszystkiem organizowanie ekonomicznej walki klasy robotniczej. Z tego wypływa, że partya i związki zawodowe mają do wypełnienia w walce o wyzwolenie proletaryatu zadania równej wartości.

Każda z tych dwóch organizacyj posiada właściwą sobie, z jej istoty wypływającą dziedzinę, w której akcyę swoją określa *najzupełniej niezależnie*. Prócz tego istnieje jednak jeszcze inna wciąż wzrastająca dziedzina walki klasowej proletaryatu; dziedzina, w której dojść można do zadawalających wyników jedynie przez zgodne współdziałanie partyj i związków zawodowych.

A zatem walka proletaryatu będzie tem bogatszą w wyniki i tem pomyślniejszą, im ściślejsze będą stosunki pomiędzy partyą a związkami zawodowemi, przyczem należy mieć na uwadze jednolitość organizacyj zawodowych.

Kongres oświadcza, że robotnicy winni dopiąć tego, aby we wszystkich krajach zostały nawiązane ścisłe stosunki pomiędzy partyą a związkami zawodowemi i aby te stosunki były stale utrzymywane.

Partya i związki zawodowe winny się w swej akcyi moralnie popierać i wspomagać, a w walce swej posiłkować się tylko takimi środkami, które sprzyjają walce proletaryatu o wyzwolenie. Winny się one porozumieć, jeśli istnieje różnica zdań co do celowości metody, jaka ma być zastosowana.

Związki zawodowe będą mogły tylko wtedy wypełnić swe obowiązki w walce o wyzwolenie robotników, jeśli w swej akcyi będą się kierowały duchem socyalizmu. Partya ma obowiązek popierać związki zawodowe w ich dążeniu do podniesienia i polepszenia społecznego położenia robotników.

Kongres oświadcza, że postęp kapitalistycznego sposobu produkcyi, wzrastająca koncentracya sił produkcyjnych, wzrastające zrzeszanie się przedsiębiorców, rosnąca wciąż zależność poszczególnych przedsiębiorstw od całości burżuazyjnego społeczeństwa — że to wszystko musi skazać działalność związków zawodowych na bezsilność, jeśli będzie ona poświęcona wyłącznie obronie in-

teresów organizacyi danego zawodu, a zbudowana na cechowym egoizmie i na teoryi zgodności interesów kapitału i pracy.

Kongres jest zdania, że związki zawodowe będą mogły prowadzić tem skuteczniejseą walkę przeciw wyzyskowi i uciskowi, im jednolitszą będzie ich organizacya, im większemi ich funduszeniezbędne w walce ekonomicznej — im głębiej będą rozumieli ich członkowie całokształt warunków życia ekonomicznego i im większą będzie ich ofiarność i zapał, które najsilniej wypływają z ideałów socyalistycznych.

II. Zgodnie z uchwałą Konferencyi brukselskiej z roku 1899, zatwierdzonej przez Kongres Paryski r. 1900, zwraca się Kongres do wszystkich związków zawodowych z wezwaniem, aby przysyłały swoich przedstawicieli na kongresy międzynarodowe i aby utrzymywały ścisły związek z Biurem Międzynarodowem w Brukseli. Kongres poleca temu ostatniemu, aby się porozumiało z Międzynarodowym Sekretaryatem Związków Zawodowych w Berlinie w celu wzajemnego informowania się co do stanu organizacyi i agitacyi.

III. Kongres poleca tejże instytucyi w Brukseli, aby gromadziła wszelkie dokumenty, jakie mogą ułatwić studya nad stosunkami pomiędzy związkami zawodowemi i socyalistycznemi partyami wszystkich krajów, oraz aby zdała z tego sprawozdanie na następnym Kongresie.

Uchwała ta przyjęta została wbrew głosom przedstawicieli Francyi, Włoch i po części Ameryki. Francya z góry oświadczyła, że „ze względów taktycznych“ nie będzie mogła wprowadzić jej w życie.

Uchwała uznaje, bo uznać nie mogła, że akcya związków zawodowych powinna być *najzupełniej niezależna*, i to jest najważniejsze. Reszta — to dekoracye, które robotnicy mogą przyjąć lub odrzucić, lecz które na istotę rzeczy wpływu nie mają. W kwestyi źródeł swej „bezsilności“ związki najlepiej się same zoryentują, tak samo w kwestyi pobudek do „ofiarności i zapału,“ które mogą się znaleść właśnie daleko potężniejsze po za obrębem „ideałów socyalistycznych.“ Faktem pozostaje jedno: że kongres nie umiał ukryć znamion rozdwojenia i że uczynił ponowną próbę poddania związków pod dyktaturę socyalizmu. To są prawdziwie interesujące rezultaty zjazdu.

III.

Bardzo ożywione rozprawy wywołała na kongresie sprawa kolonij i polityki kolonialnej.

Kolonie są faktem. Można się temu faktowi przypatrywać z różnych stron, można rozmaite sądy wygłaszać o polityce kolonialnej, ale załatwić się z tą doniosłą sprawą przez wyrzucenie potoku słów potępieńczych, to znaczy zamykać oczy na samo życie. To też rewizyoniści niemieccy oraz socyaliści angielscy i holenderscy rozumieli to dobrze i dla tego dążyli do tego, aby raczej mówić na kongresie o polityce kolonialnej, o sposobach uczynienia jej bardziej humanitarną i zgodną z tendencyami socyalistycznemi, niż o samym fakcie istnienia kolonij, który uważali za niezaprzeczony, a więc nakładający pewne obowiązki na te państwa, które kolonie posiadają. Jakże bowiem można przyjść do wniosku, że np. Anglia winna wyrzec się swych kolonij? Cóż się wówczas z niemi stanie? I czy nie staną się one łupem zaborczych państw, bardziej bezceremonialnie traktujących politykę kolonialną, nieuwzględniających, tak jak Anglia np. w Transwalu, demokratycznych i narodowych postulatów, lecz poddających je pod bezwzględną administracyę różnych Wissmanów i Puttkamerów? Co ma np. Francya uczynić z Marokkiem? Czy wyrzec się wszelkich przewidywanych i faktycznych tam wpływów, aby miast demokracyi mieszczańskiej położył na nie swą ciężką rękę absolutyzm Wilhelma II-go?

Z drugiej strony niepodobna zaprzeczyć, że metropolie żyją dziś w większej lub mniejszej mierze ze swych kolonij i że przemysł w znacznym stopniu uzależnił się od eksportu do kolonij. Jakże wyglądałby proletaryat wówczas, gdyby mu odjęto możność pracy dla handlu wywozowego i narażono wytwórczość na ciężkie przesilenie?

Te i tym podobne względy zaprzątały myśl wielu delegatów kongresowych, liczących się z realnemi warunkami życia.

Dla nich problemat przedstawiał się w ten sposób, że fakt istnienia kolonij należy uznać i że rola socyalistów sprowadza się do tego, aby kontrolować politykę kolonialną i dążyć do jej ulepszenia. Inni, jak nadmieniliśmy wyżej, trzymali się punktu zasadniczego: nie powinno być kolonij, a więc i żadnej polityki kolonialnej.

Sprawę tę przekazano przedewszystkiem komisyi, która wypracowała dwie uchwały. Uchwała większości, kierującej się duchem rewizyonistycznym, brzmiała następująco:

„Kongres stwierdza, że przesadzoną jest korzyść lub konieczność kolonij wogóle, a dla klasy robotniczej w szczególności. Nie odrzuca jednak zasadniczo i na zawsze wszelkiej polityki kolonialnej, która w ustroju socyalistycznym będzie działała cywilizacyjnie. Kongres powtórnie zatwierdza uchwały kongresu paryskiego (1900) i amsterdamskiego (1904) w sprawie kolonialnej i raz jeszcze odrzuca dzisiejszą metodę kolonizacyjną, która, będąc w swej istocie kapitalistyczną, ma na celu jedynie zdobywanie obcych krajów i ujarzmianie obcych ludów, ażeby je bezwzględnie wyzyskiwać na korzyść znikomej mniejszości, gdy tymczasem równocześnie we własnym kraju wzrastają ciężary proletaryatu.

„Jako wróg wszelkiego wyzyskiwania człowieka przez człowieka i jako obrońca wszystkich uciśnionych bez różnicy rasy, kongres potępia tę politykę rozboju i zaborów, która jest tylko bezwstydnem stosowaniem prawa silniejszego i depcze prawa narodów zwyciężonych. Polityka kolonialna powiększa niebezpieczeństwo powikłań wojennych między państwami, uprawiającemi politykę kolonialną, i powiększa ich obciążenie przez wojsko i flotę. Z finansowego punktu widzenia wydatki na kolonie, zarówno wynikające z dążności imperyalistycznych, jak mające na celu ekonomiczny rozwój kolonij, powinni ponosić tylko ci, którzy wyłącznie ciągną korzyści z łupienia obcych krajów i czyje majątki pochodzą z tego źródła.

„Kongres wreszcie uznaje, że obowiązkiem posłów socyalistycznych jest bezwzględne zwalczanie we wszystkich parlamentach tej metody niszczycielskiego wyzysku i ujarzmiania, jaka panuje we wszystkich obecnie istniejących koloniach. W tym celu posłowie winni popierać reformy, zmierzające do poprawy losu tubylców, winni przeszkadzać wszelkiemu naruszaniu praw tubylców, ich wyzyskowi i ich ujarzmianiu, oraz używać wszystkich rozporządzalnych środków dla przygotowania ich do niezależnego bytu. Dla tego posłowie socyalistyczni winni zaproponować swoim rządom zawarcie traktatu międzynarodowego, celem stworzenia prawa kolonialnego, które będzie broniło praw tubylców i będzie zagwarantowane przez narody, zawierające ten traktat.“

Uchwała powyższa, jak widzimy, zawierała to wszystko, co powinno było zadowolić sumienie socyalistyczne. Są w niej naogół rzeczy słuszne i tendencye sprawiedliwe, których stopniowe

wcielenie w życie mgłoby zaspokoić najdalej idące pragnienie humanitarne i polityczne. Lecz mniejszość komisyjna nie chciała ustąpić. Zaproponowała ona, aby zamiast ustępu pierwszego uchwały, umieścić rezolucyę treści następującej:

„Kongres jest tego zdania, że kapitalistyczna polityka kolonialna, zgodnie ze swą najwewnętrzniejszą istotą, prowadzi do ujarzmienia, do pracy przymusowej i wyniszczenia miejscowej ludności na terytoryach kolonialnych. Misya cywilizacyjna, na którą powołuje się społeczeństwo kapitalistyczne, służy mu jedynie za osłonę pożądań zaborczych i dążeń do wyzysku. Dopiero społeczeństwo socyalistyczne da wszystkim narodom możność rozwijania się aż do zdobycia pełni kultury. Kapitalistyczna polityka kolonialna, zamiast rozwijać siły wytwórcze, niszczy naturalne bogactwa krajów, dokąd przeniosła swe metody, przez nędzę i niewolę tubylców, oraz przez mordercze, niszczycielskie wojny. Przez to staje się ona przyczyną opóźnienia lub nawet zahamowania rozwoju handlu i zbytu produktów przemysłowych państw cywilizowanych. Kongres potępia barbarzyńskie metody kolonizacyi kapitalistycznej i w interesie rozwoju sił wytwórczych domaga się polityki, któraby zapewniała pokojowy rozwój kulturalny i oddała naturalne bogactwa ziemi sprawie postępu całej ludzkości.“

Oprócz zamiany pierwszego ustępu uchwały większości komisyjnej na ustęp powyższy, mniejszość zaproponowała jeszcze wykreślenie ustępu ostatniego.

Zanim obie te uchwały komisyi oddane zostały pod decyzyę kongresu, rozwinęła się nad tym przedmiotem ciekawa dyskusya. W obronie radykalnego poglądu na sprawę kolonialną wystąpił osiwiały ortodoksa marksizmu, Kautsky. Zaznaczył on na początku, że kolonizacya socyalistyczna jest sprzecznością sama w sobie. Zadania socyalistyczne wobec kolonij są te same, co wobec kraju ojczystego: obrona mas ludowych przed wyzyskiem kapitalistycznym. Polityka kolonialna oznacza zdobywczość i panowanie obcych. Z tem socyalizm nie może mieć nic wspólnego. To też polityka kolonialna hamuje rozwój cywilizacyjny i sprzeciwia się prawu wolności. Bernstein nie ma słuszności, gdy powołuje się na Marksa. Marks powiedział: „świat należy do ludzkości,“ a nie: „świat należy do kapitalistów.“ Przeciw socyalistycznej polityce kolonizacyjnej mówca stanowczo się oświadcza.

Bardzo dzielnie bronił poglądów większości komisyjnej delegat holenderski, Van Kol. Dowodził on, że Holendrzy złożyli świadectwo, iż można reformować kolonie w duchu zgodnym z postulatami wolności i sprawiedliwości. Wyrzekać się socyalizmu

w koloniach, znaczyłoby uciekać się do utopii. Gdy się posyła do kolonij maszyny, to trzeba z niemi wysłać i europejczyków. Kautsky dowiódł, że jest zarazem utopistą, rewizyonistą i imperyalistą. Na zakończenie Van Kol dodał, że socyaliści niemieccy najmniej zdziałali dla kolonij. Gdy Holendrzy wypracowali już swój plan liberalnej polityki kolonialnej i stopniowo wcielany on jest w życie, to Niemcy, po za protestami i wyrazami współczucia, nic nie wiedzą i praktycznie do niczego nie dążą.

Przemawiało jeszcze wielu innych mówców, między innymi Bernstein i Dawid, poczem uchwały większości i mniejszości komisyi poddano pod głosowanie. Wbrew oczekiwaniu, pierwsza została odrzucona, czyli przeważył kierunek radykalny. Przeciw niej głosowali, między innymi: Włosi austryaccy, Bułgarzy, Hiszpanie, Finlandczycy, Węgrzy, Polacy, Rumuni, Serbowie i Norwegowie, t. j. delegaci tych narodów, które—nie mają kolonij. Ten fakt wyraża dostatecznie całą humorystykę uchwały, a jednocześnie całą nieprzyzwoitość postępowania delegatów, narzucających swą nieodpowiedzialną opinię tym, którzy mogliby ewentualnie za nią odpowiadać. Na szczęście, zapewne nie dojdzie do tego, bo co innego wygadać się szumnie na kongresie, a co innego nierozważne uchwały wcielać w życie.

Nie możemy przy tej okazyi pominąć znamiennego faktu, że kongres, rozprawiający tak długo i gorąco o nadużyciach i zbrodniach polityki kolonialnej w Afryce, nie dotknął ani jednem słowem (prócz Polaka Karskiego) gwałtów, dokonywanych daleko bliżej, bo na ziemi europejskiej, a nawet na tej samej ziemi niemieckiej, deptanej przez radykalnych kongresowiczów. Jeżeli już sprawa poznańska nie kwalifikowała się do tego działu obrad, to można było dotknąć nadużyć, popełnianych na robotnikach polskich, choćby w Westfalii. Ale sprawa polska, rozumie się, nie istnieje nigdy dla regulatorów życia wszechludzkiego według norm postępu i sprawiedliwości.

Bardzo też niedbale i licho, lubo „burzliwie,“ była potraktowana ważna sprawa przychodźtwa i wychodźtwa sił roboczych. Nie starczyło czasu entuzyastom „zasadniczych“ rozpraw do rozejrzenia się poważnego w tej dolegliwej kwestyi. Uchwała komisyi, jaka została w tej mierze kongresowi przedstawiona, głosi, że kongres uważa przychodźtwo i wychodźtwo robotników za objawy od kapitalizmu nieodłączne; wzywa robotników zorganizowanych, aby się bronili przeciw napływowi robotników „niezorganizowanych,“ nadto oświadcza, iż obowiązkiem robotników zorganizowanych jest bronić się przeciw łamistrajkom. Zawie-

rała wreszcie rezolucya cały szereg mających tym celom skutecznie służyć przepisów, ale o politycznej stronie kwestyi przemilczała. Nawet rewizyoniści nie znaleźli w tej materyi nic ciekawego do powiedzenia.

IV.

Kwestya militaryzmu i agitacyi antimilitarnej jest jedną z tych, które mają specyalność rozpalania socyalistów, zgromadzonych na kongresach. Francuzi rozprawiają o niej stale i coraz więcej dochodzą pod tym względem do jedności poglądów, Niemcy zajmowali się nią ostatnio dosyć obszernie w Mannheimie. Ale że różnice poglądów między jednymi a drugimi są znaczne, więc gdy się zbiorą na wiecu międzynarodowym, kłócą się bez upamiętania. Kończy się zresztą wszystko zwykle *à l'amiable:* i tu rezolucya ma na celu pogodzenie interesów wilka i owcy.

W sprawie militaryzmu opinia demokratyczna ma wiele do zrobienia. Niewątpliwie też na Zachodzie oddziaływa ona na kwestyę, przynajmniej w tym sensie, że armie nie są w tym stopniu, co dawniej, organem do zwalczania „nieprzyjaciela wewnętrznego.“ To wszakże, czego żądają socyaliści, zwłaszcza francuscy, nietylko jest nierealne, ale ma cechy wprost zbrodniczej akcyi przeciw własnej ojczyźnie.

Socyalizm francuski, który naogół niewiele ma w sobie socyalistycznego, w agitacyi antiwojskowej wkracza w granice czystego anarchizmu. Przypominamy, że w roku zeszłym dwa wielkie francuskie związki socyalistyczne, *Fédération de la Seine i Fédération des Bouches-du-Rhône* przyjęły wnioski, nawołujące, w razie wojny narodowej, do rewolucyi wewnętrznej. Na kongresie pierwszego z nich deputowany Vaillant złożył wniosek, w którym żądał, aby „w razie zatargów międzynarodowych uczyniono wszystko, celem uniemożliwienia wojny, poczynając od interwencyi parlamentarnej, agitacyi publicznej, manifestacyj ludowych, *aż do strajku powszechnego robotniczego i powstania.*“ Drugi związek zadowolił się uchwaleniem jednogłośnem następującej rezolucyi: „Zważywszy, że niema interesów narodowych, lecz istnieją tylko interesy klasowe, kongres uchwala, *że w razie wypowiedzenia wojny obowiązkiem socyalistów jest ogłosić strajk powszechny i powstanie.*“

Tak więc socyaliści z Paryża i z Marsylii stanęli na jednem stanowisku. Zaraz zobaczymy, że to jeszcze nie wszystko. W koń-

cu tegoż roku ubiegłego odbyło się posiedzenie związku socyalistycznego z Creuse'y, na którem zapadła uchwała treści następującej: „Kongres, co się tyczy zasady, oznajmia, że nie można być jednocześnie socyalistą i patryotą; co się tyczy propagandy, że partya ma obowiązek organizować i przygotowywać masy robotnicze i wiejskie do powstania na wypadek wojny.“ Jeszcze wyraźniej wypowiedział się w tym przedmiocie znany przywódca propagandy przeciwwojskowej we Francyi, Hervé. Z interwiewu, umieszczonego we włoskim *Avanti* z tym socyalistą, wyjmujemy następujący ustęp: „W razie wybuchu wojny powiedzielibyśmy swym kolegom: korzystajcie z poruszenia ogólnego i zamiast narażać swą skórę na rzecz waszych panów, zaryzykujcie ją na rzecz ruchu rewolucyjnego, który usiłuje w tej ważnej godzinie uwolnić człowieka z jarzma niewolnictwa.“

Sprawiedliwość każe przyznać, że poglądy takie, szerzone przez grupę Hervé'go i bardzo rozpowszechnione w Giełdach Pracy, nie były przez wszystkich socyalistów we Francyi dzielone. Ale oto we wrześniu bieżącego roku 1907, już po kongresie Stuttgarckim, Jaurès, niedawny popłecznik radykalnego rządu p. Combes'a, wygłosił mowę, w której stanął w kwestyi militaryzmu obok Hervé'go. „Jest elementarnym obowiązkiem — mówił — pracowników wszystkich krajów wziąć za słowo wszystkie rządy, rozprawiające o międzynarodowym pokoju. Trzeba im powiedzieć, że na takie dzieło są za słabe. Gdy powstaje spór, wy, dyplomaci, starajcie się przyjść do zgody. Jeżeli nie zdołacie, to odwołajcie się do arbitrażu — a jeśli tego nie uczynicie, to jesteście rządem nikczemników, rządem bandytów, rządem zbójców; prawem wtedy i obowiązkiem proletaryatu jest powstać przeciw wam, przeciw wam skierować karabiny, które im daliście do rąk. Z tym apelem do międzynarodowego arbitrażu wszystkie się sprawy uproszczą. Nie będzie już potrzeby badać, który rząd jest stroną zaczepiającą. Będzie nią ten rząd, który odrzuci arbitracyę. *W tych razach użyjemy naszych karabinów — nie, ażeby przejść z niemi granicę, ale ażeby przez rewolucyę zwalić rząd zbrodniczy.*“

To *profession de foi* głośnego przywódcy socyalistów zrobiło we Francyi kolosalne wrażenie i uczyniło widocznem, że propaganda antiwojskowa nie jest tak drobną sprawą, jak się to wielu dotąd wydawało.

Z takiemi poglądami przyjechali delegaci francuscy na kongres stuttgarcki. Zobaczmy, na co tam mogli natrafić. Przypomnijmy, że w r. 1904, na kongresie w Amsterdamie, Bebel powiedział: „Gdyby kiedykolwiek Niemcy zostały zaatakowane, gdyby

weszło w grę istnienie Niemiec, wówczas, daję wam na to moje słowo, wszyscy, od najmłodszego do najstarszego, bylibyśmy gotowi wziąć karabin na plecy i ruszyć na nieprzyjaciela... Bronilibyśmy ojczyzny do ostatniego tchnienia, daję wam na to moje słowo.“ We wrześniu r. z., ten sam Bebel, w odpowiedzi na wnioski antimilitarystyczne młodego Liebknechta, odpowiedział z niezwykłą nawet u niego gwałtownością: „Jeżeli przyjmiecie wniosek Liebknechta, to wybierzcie zarazem organy specyalne do jego wykonania; albowiem my, my się nie przyłączymy do tej propagandy“ *(wir tun da nicht mit)*. Słowa te przyjęte były burzą oklasków.

Wobec tak olbrzymiej różnicy zdań można było się domyślać, że w kwestyi militaryzmu na kongresie nie znajdą się punkty styczne i że „międzynarodowa jedność proletaryatu“ nietęgo na tym punkcie przejdzie próbę ogniową. Stało się jednak nieco inaczej. Rozbieżność zdań ujawniła się niewątpliwie w całej pełni, ale ostrożność socyalistów i ich chęć niezdradzania przed „światem mieszczańskim“ braku jedności wzięła górę, doprowadzając do rezolucyi pośredniej, w której powtórzono wszystkie komunały socyalistyczne i banalności postulatowe, ale do „powstania ludowego“ w razie wojny nie wezwano. Z dyskusyi należy wyróżnić kilka przemówień.

Głośny socyalista belgijski, wykształcony Vandervelde wystąpił wprawdzie przeciw Hervé'mu, ale przyznał mu zasługę wywołania w kraju „tak nacyonalistycznym, jak Francya,“ kwestyi antimilitaryzmu. Zresztą mówca potępił zalecany przez Hervé'go bunt i rokosz na wypadek wojny. Adler z Wiednia wywodził, że socyaliści nie mają potrzeby czekać na wypowiadanie wojny, aby przeciw niej działać. Wszystkie czyny i cała działalność socyalnej demokracyi „niejednokrotnie posłużyły do zapobieżenia wojnie“ i są prawdziwemi czynami antimilitarnemi. Znana i u nas p. Róża Luksemburg, jak zawsze sroga, przemawiała za strajkiem powszechnym w razie wojny, który „już w innych wypadkach dał pomyślne wyniki.“ Ciekawem było, co powiedział delegat Kuffle w imieniu socyalistów angielskich. Partya w żadnym wypadku, w razie wybuchu wojny, nie wykroczy po za pokojową akcyę w parlamencie, na ulicy i na zebraniach, i nie ośmieszy się aktami gwałtu. Wolność angielska pozwala na rozprawy o antimilitaryzmie bez żadnego niebezpieczeństwa.

Zanotujmy jeszcze ustępy z parokrotnych przemówień Bebla. Hervé utrzymuje — mówił Bebel — że ojczyzna jest tylko ojczyzną klas pracujących i stąd proletaryat nie ma z nią nic wspólnego.

Wielka to jeszcze kwestya, do kogo należy ojczyzna. Życie kulturalne narodów może się rozwijać tylko na podłożu mowy ojczystej i na gruncie narodowym. W Austryi walczą Polacy o przywrócenie bytu narodowego, a jakże broniły się Alzacya i Lotaryngia przeciw oderwaniu od Francyi, z którą, pomimo języka niemieckiego, zespoliły się kulturalnie od wielkiej rewolucyi. Twierdzenie Hervé'go, że dla proletaryatu wszystko jest jedno, czy Francya należy do Niemiec, czy też Niemcy do Francyi, jest niedorzeczne. Ojczyzny Europy są niezbitym faktem historycznym. Niemiecka demokracya socyalna odrzuca propagandę Hervé'go. Pomimo to zwalczać będzie w dalszym ciągu, jak najenergiczniej militaryzm. Ale po za tem nie da się nakłonić do kroków, które mogą być w najwyższym stopniu groźne dla całego istnienia stronnictwa.

Chociaż Bebel tym razem mówił ostrożnie i wszelkiemi siłami starał się unikać „zaostrzenia tonu," jednak gwałtowność herveistów, wskutek interwencyi niespodziewanej Jaurès'a, przemogła i porwała kongresowiczów. Uchwalono tedy rezolucyę, która usprawiedliwi obawy delegata angielskiego i ośmieszy socyalistów. Niema w niej wprawdzie groźnych zapowiedzi „strajku generalnego" w razie wojny, jakby chciała pani Luksemburg, ani tem bardziej „powstania ludowego," ale są wszystkie stare i zleżałe uwagi o kapitalizmie i beztreściwe recepty na „zażegnywanie wojen," jakoby już dawniej praktycznie wypróbowane przez socyalizm. Taka rezolucya ratuje oczywiście honor „międzynarodowej jedności," ale nie przyczyni się do wzmocnienia powagi międzynarodowych zjazdów socyalistycznych.

*

* *

Takie są rezultaty zjazdu Stuttgarckiego. Rozumie się, że zgromadzonym towarzyszom podobały się one bardzo. Cały przebieg kongresu — mówił na pożegnanie Singer — wykazuje, że zorganizowany proletaryat międzynarodowy postępuje. Demokracya socyalna jest potęgą, z którą „świat mieszczański uporać się nie zdoła." Kongres dowiódł, że socyalizm kroczy dalej po drodze, na którą wszedł. Żadne środki na świecie nie przeszkodzą mu do osiągnięcia celu, jaki sobie zakreślił. Będzie szedł dalej po-

mimo rządów, pomimo kapitalizmu, pomimo społeczeństwa mieszczańskiego. Walki, jakie stacza, są wprawdzie ciężkie, ale z posiewu rewolucyjnego powstają coraz nowi sprzymierzeńcy socyalizmu międzynarodowego, tak, że armia jego jest niepokonaną i usunie społeczeństwo mieszczańskie.

Tak prawił p. Singer, a kongresowicze oklaskiwali go gorąco, poczem odśpiewali pieśni socyalistyczne i rozjechali się do domów.

Co zaś dla nas z tych „dni radosnych“ zostanie?

Dla nas, niewtajemniczonych w czarnoksięstwa socyalistyczne, pozostanie przeświadczenie, że z tych rozdźwięków, które rozlegają się w rzekomo monolitowym gmachu socyalistycznym, wypływają dla demokracyj narodowych wszech krajów poważne nauki, z których one winny czujnie i umiejętnie skorzystać, jeśli im jest dane wyprowadzić swe ojczyzny i narody na drogę wszechstronnego dobrobytu.

Bolesław Koskowski.

SZKOLNICTWO SREDNIE

w Anglii.

De te fabula narratur.

I.

W ostatniem trzechleciu przeżyliśmy okres poważnych wstrząśnień politycznych i fermentu rewolucyjnego, który w związku z ogólnemi dotychczasowemi warunkami naszego bytu nie mógł pozostać bez wpływu na ogólne ukształtowanie się pojęć szerszego ogółu w dobie przejściowej.

Odsunięcie społeczeństwa od wykonywania zadań zarządu i administracyi wewnętrznej we własnym kraju, pociągając za sobą długoletnią przymusową bezczynność w dziedzinie pracy kulturalnej, sprowadziło z konieczności myśl naszą na błędne manowce, z których powoli pod wpływem ciężkich doświadczeń zejść musi. Anormalne ukształtowanie się stosunków wewnętrznych, wroga dążeniom społeczeństwa polityka rządu i głęboki rozdźwięk pomiędzy naszemi aspiracyami i kierunkiem, w którym usiłowano nas prowadzić przez lat tyle — to wszystko musiało doprowadzić i w rzeczywistości doprowadziło w końcu do zupełnego przeważenia się opinii publicznej na stronę złudnej teoryi, jakoby tak zwana samopomoc społeczna mogła zastąpić celową i świadomą swego zadania działalność władzy publicznej we wszystkich, a przynajmniej w najważniejszych dla nas w danej chwili dziedzinach pracy kulturalnej.

Uprzytomnienie sobie genezy powstania i rozwoju tej teoryi, mającej na celu nie współrzędne istnienie wielu funkcyj społecznych z funkcyami rządowemi, ale — na czem właśnie cały zasadni-

czy błąd polega — zastąpienie wszystkich funkcyj rządowych funkcyami społecznemi, daje nam klucz do zrozumienia szeregu objawów i zjawisk w naszem życiu w ostatnim trzyletnim okresie czasu, począwszy od układania teoretycznych projektów zastąpienia sądów państwowych sądami obywatelskiemi, a kończąc na ślepem i bezkrytycznem poddawaniu się każdemu terrorowi i bojkotowi, dążącym do zupełnego zdezorganizowania społeczeństwa pod pozorem dobra ojczyzny.

Da się to powiedzieć wogóle przy układaniu bilansu jakiejkolwiekbądź sprawy społeczno-kulturalnej za ostatni trzyletni okres czasu, ale być może w żadnej innej dziedzinie naszego życia działanie przytoczonych powyżej czynników nie wystąpiło w tak wyraźnych konturach i jaskrawych barwach, jak w najważniejszej i w najbardziej palącej dla społeczeństwa naszego sprawie szkolnej. W tej właśnie sprawie popełniliśmy ów błąd zasadniczy, opierając cały plan naszego postępowania na przypuszczeniu, że funkcye rządowe, które państwo powinno wykonywać w dziedzinie szkolnictwa, dadzą się zastąpić skutecznie przez inicyatywę prywatną, nie mówiąc już o tem, że przy wprowadzaniu w życie tej błędnej zasady zawiniliśmy nietylko przecenieniem własnych sił i środków, lecz i lekkomyślnem lekceważeniem sił i środków działania naszego przeciwnika.

Przysłowie francuskie powiada, że wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć, a nie sięgając w rdzeń samej kwestyi pod względem etycznym, wystarczy powiedzieć, że skoro strat wyrządzonych powrócić nic już nie jest w stanie, należy obecnie skierować uwagę na wytknięcie błędów popełnionych tylko w tym celu, aby módz uniknąć ich w przyszłości.

Po wybuchu bezrobocia szkolnego w państwie i rozpędzeniu szkół w pamiętnym dniu 28 stycznia 1905 r., stanowiącym na bruku warszawskim odgłos wielkiej manifestacyi petersburskiej, i po uświęceniu tegoż bezrobocia przez t. zw. wiec rodzicielski, zwołany w dniu 10 lutego t. r. do wielkiej sali muzeum przemysłu i handlu przez ówczesnego kuratora okręgu Szwarca, usiłowano w charakterze tymczasowego środka, ratującego młodzież szkolną od rozprózniaczenia się i zdziczenia, zorganizować dla niej jakie takie wykłady w postaci t. zw. kompletów prywatnych. Organizacya takich kompletów, w których nawet pewien odłam opinii publicznej gotów był upatrywać ostateczne rozwiązanie kwestyi szkolnej, zawiodła najzupełniej. Koło wychowawców opracowało wprawdzie dla nich szczegółową instrukcyę z tem zastrzeżeniem, aby wynagrodzenie nauczycieli nie wynosiło

mniej, jak pięć rubli za godzinę, ale już w kilka miesięcy po wybuchu bezrobocia, podczas feryj letnich sami organizatorowie kompletów musieli stwierdzić (11 lipca), że organizacya kompletów prywatnych, która miała zastąpić dotychczasową naukę w szkołach publicznych, objęła nie więcej, jak jedną szóstą część uczącej się młodzieży i to tylko w Warszawie, że na prowincyi w wielu miastach komplety takie udało się zorganizować tylko dla uczniów szkół niższych, że z pedagogicznego punktu widzenia komplety wogóle okazały się lichymi, że funkcyonowały dobrze tylko niektóre komplety, urządzone przez rodziców dla swoich dzieci z dobraniem 2—3 kolegów — te jednak były bardzo drogie i dostępne jedynie tylko dla dzieci rodzin zamożnych.

Zupełne bankructwo kompletów prywatnych i ogłoszenie w tym czasie znanej uchwały komitetu ministrów z dnia 14 czerwca, dozwalającej na wprowadzenie polskiego języka wykładowego w szkołach prywatnych bez praw (w myśl art. 3747 i 3748 cz. I, t. IX Zbioru Praw nowe szkoły takie mogły być wówczas zresztą najwyżej cztero- lub trzyklasowe), skłoniły związek unarodowienia szkół i koło wychowawców do wypracowania szczegółowego projektu organizacyi szkolnictwa prywatnego w Królestwie Polskiem przez pokrycie kraju siecią prywatnych szkół polskich w ilości, równającej się conajmniej dotychczasowej liczbie szkół rządowych, tudzież organizacyi prywatnego uniwersytetu polskiego (na początek bez wydziału medycznego), tudzież zapewnienie odpowiedniego ekwiwalentu materyalnego tym nauczycielom Polakom szkół rządowych, których usunięcie się ze szkoły dotychczasowej zostało uznanem w zasadzie za pożądane. Środków materyalnych do wykonania tego rozległego planu miała dostarczyć ofiarność społeczeństwa.[1]) Innemi słowy, postanowiono dążyć nie do spolszczenia szkoły publicznej z prawami, których istnienie zostało wogóle uznane za niepożądane z pedagogicznego punktu widzenia, lecz do stworzenia równoległej szkoły prywatnej polskiej obok szkoły rosyjskiej, to jest popełniono ów błąd zasadniczy, a brzemienny w nieobliczalne dla społeczeństwa naszego następstwa, o którym wspomnieliśmy na początku.

Zadziwiającym zbiegiem okoliczności program powyższy spotkał się z gorącem uznaniem ze strony rządowych kierowników wydziału oświaty w Królestwie Polskiem, tudzież pewnego odła-

[1]) Zob. „Gazeta Narodowa“ z dn. 29 lipca 1905 r. № 171.

mu prasy rosyjskiej z polakożerczem „Nowem Wremieniem“ na czele. Interviewowany przez kierownika ówczesnego „Kuryera Narodowego“ kurator warszawskiego okręgu naukowego rz. r. st. Szwarc „wyraził się o szkołach prywatnych życzliwie i oświadczył, iż pragnąłby, aby je jaknajprędzej w czyn wprowadzono, tak dalece, że w krótkim czasie nawet wybiera się do Petersburga, aby wedle możności sprawę przyśpieszyć.“ [1]) W rozmowie z przedstawicielem lubelskiej szkoły handlowej p. Fr. Głowackim wiceminister skarbu Tiemiriazjew (zarządzający podległemi ministeryum finansów szkołami handlowemi) oświadczył, iż „życzenia polskie w sprawie szkolnej ministeryum uważa za słuszne i że uwzględniać je będzie, o ile reprezentacye szkół zdecydują się zrzec praw zakładów szkolnych rządowych.“ [2]) Memoryał jednego z założycieli szkół prywatnych, wyłuszczający powyżej przytoczone poglądy, został, jak doniosło o tem jedno z pism zakordonowych w korespondencyi z Warszawy, „najgoręcej przez kuratora Szwarca zaaprobowany.“ [3]) Jednocześnie projekt zorganizowania szkoły polskiej bez praw na gruncie inicyatywy prywatnej zyskał nie mniej gorący poklask polakożerczego „Nowoho Wremieni.“ Wychodząc z założenia, że Polacy są tak rozdrażnieni i zdenerwowani, że najlepszem dla nich lekarstwem będzie „spokój i niewtrącanie się,“ anonimowy korespondent warszawski znajduje, iż jedyną drogę wyjścia znaleźć można w pozostawieniu Polakom zupełnej swobody i inicyatywy prywatnej co do szkół prywatnych bez praw z polskim językiem wykładowym. Jednocześnie należy przenieść z Królestwa wszystkie szkoły rządowe „w głąb naszej rozległej, a ubogiej w oświatę ojczyzny,“ nieposiadającej gimnazyów. „Niechaj wszystkie prawa z tytułu wykształcenia zdobywają Polacy własną pracą i własnemi środkami i niechaj nie mają powodu nienawidzieć nas za to, że za pomocą szkół ułatwialiśmy im dotychczas zdobywanie tych praw.“ [4])

[1]) „Goniec Wieczorny“ 2 sierpnia 1905 r. № 330.

[2]) „Kuryer Warszawski“ 7 sierpnia 1905 r. № 216.

[3]) „Słowo Polskie“ 21 sierpnia 1905 r. № 387.

[4]) „Nowoje Wremia“ 1905 r. № 10586. Dając należną odprawę polakożerczemu organowi Suworina ojca, pisaliśmy wówczas („Gazeta Polska“ z 8 września 1905 r. № 234): „Sądzimy, że anonimowy korespondent „Nowego Wremieni,“ twierdząc, że społeczeństwu naszemu potrzebna jest tylko szkoła prywatna bez praw, wypowiedział zdanie, przeciw któremu ogół nasz najusilniej powinien zaprotestować i na które zgodziłby się mógł tylko przedsiębiorca pedagogiczny i właściciel takiej właśnie szkoły prywatnej bez praw.“

Podjęta na początku roku szkolnego 1905/6 z inicyatywy grona osób, zgrupowanych koło „Biblioteki Warszawskiej," próba zakończenia strajku szkolnego nie powiodła się, a ukaz 1 października 1905 r. usankcyonował ostatecznie podział szkół w Królestwie Polskiem na szkoły publiczne z prawami i wykładem w języku rosyjskim i szkoły prywatne bez praw z językiem wykładowym polskim. Na mocy tego ukazu wszystkie szkoły z prawami, z wyjątkiem szkół: realnej Skrzynnikowa i handlowej Murawlowa w Warszawie, zrzekły się praw i zaprowadziły wykład wszystkich przedmiotów w języku polskim: jednocześnie przedsięwzięto starania o otrzymanie całego szeregu nowych koncesyj na szkoły prywatne.

Ogłoszenie tego ukazu powitał „Kuryer Warszawski" znamiennem zaznaczeniem zdania znakomitej większości opinii publicznej w kraju, że *„paląca kwestya szkolna została nareszcie po długiem oczekiwaniu załatwiona w myśl życzeń naszego społeczeństwa"* [1]).

Wprawdzie władze miejscowe stawiały z początku pewne trudności przy wydawaniu koncesyj na zakładanie nowych szkół prywatnych, ale po wizycie wydelegowanego przez ministeryum oświaty t. r. Mamontowa dla zaznajomienia się ze sprawą szkolną w Królestwie, szykany ustały i władze naukowe zaczęły udzielać koncesyj na otwieranie prywatnych szkół polskich bez praw każdemu, kto tylko posiadał odpowiednie świadectwo nauczycielskie.

Tym sposobem podział szkolnictwa średniego w Królestwie Polskiem na szkołę publiczną rosyjską z prawami i szkołę prywatną polską bez praw, jako na dwie oddzielne, niezależne i równolegle względem siebie stojące instytucye, stał się faktem dokonanym w myśl błędnej zasady, że inicyatywa prywatna i samopomoc społeczna może zastąpić w tej dziedzinie działanie władzy publicznej. Społeczeństwo powiedziało sobie: rząd sobie, a my sobie, wówczas gdy trzeba było mówić: my sobie, ale przez rząd w naszych rękach.

W wieku XVI, w dobie naszego rozkwitu zarówno politycznego, jak i cywilizacyjnego, i następnie podczas naszego powtórnego odrodzenia za czasów Komisyi Edukacyjnej, uniwersytetu wileńskiego i liceum Czackiego, trzymaliśmy wzrok utkwiony we wzory Zachodu, badając je pilnie, przenosząc je do siebie i przystosowując do naszych wymogów i potrzeb. W zaraniu

[1]) „Kuryer Warszawski" 3 października 1905 r., № 276.

XX stulecia, jako wspomnienie czasów dawnych, pozostała nam wprawdzie chęć naśladowania wzorów zachodnich, ale zabrakło widocznie chęci, a przedewszystkiem pilności, badania ich i poznawania. Naklejając etykietę obcą na wyroby własnego pomysłu dla zareklamowania ich w oczach ogółu, zbyt pochopnie wierzymy w doskonałość każdego stempla zagranicznego, nie zadając sobie nawet trudu sprawdzenia jego autentyczności. Tak się też do pewnego stopnia stało i ze sprawą szkolną. Pragnąc uzasadnić potrzebę i korzyści zrzeczenia się praw i oparcia całego nowopowstającego szkolnictwa polskiego wyłącznie tylko na zasadzie samopomocy i inicyatywy prywatnej, starano się dojrzeć w instytucyach kulturalnych Zachodu to, co mogłoby uzasadnić tę apriorystycznie i z oczywistą szkodą dla kraju stworzoną teoryę. I jak jednym z motywów bezrobocia szkolnego było powołanie się na przykład Węgier, które zapomocą bojkotu szkół niemieckich miały otrzymać język wykładowy węgierski w szkolnictwie, tak i rozwiązanie kwestyi szkolnej w naszym kraju starano się uzasadnić... przykładem Anglii, gdzie jakoby mają istnieć tylko szkoły prywatne, na które rząd nie łoży ani grosza, a t. zw. prawa rządowe są najzupełniej nieznane. Niepotrzeba dodawać, że na Węgrzech bojkotu szkół niemieckich nie było i być nie mogło z tego prostego powodu, że język niemiecki nigdy nie był na Węgrzech językiem wykładowym. Tak samo przedstawiana nam organizacya szkolnictwa angielskiego, oparta jedynie na inicyatywie prywatnej i zasadzie samopomocy społecznej, istnieje tylko w wyobraźni pewnej kategoryi osób, którym brak znajomości stosunków angielskich, a nawet języka angielskiego, stanął na przeszkodzie ku poznaniu i zrozumieniu rzeczywistego urządzenia i stanu szkolnictwa średniego w kraju, o którego instytucyach kulturalnych pragną pouczać szerszą publiczność.

II.

Badając dzisiejszą organizacyę angielskiego szkolnictwa średniego — a mówimy tu wyłącznie o szkołach dla chłopców, gdyż tylko te szkoły mieliśmy sposobność poznać osobiście — należy przedewszystkiem pamiętać o tem, że mamy do czynienia ze społeczeństwem, przesiąkniętem do szpiku kości doktryną teoryi manczesterskiej, szkoły wolnego handlu, pozostawiającej ukształtowanie się stosunków przyrodzonemu biegowi rzeczy na ogólnych za-

sadach niczem nieskrępowanej inicyatywy prywatnej, energii osobistej i wolnej konkurencyi. A chociaż pod wielu względami samo życie musiało z biegiem czasu w doktrynie tej uczynić niejedną łukę i niejeden wyłom, to jednak do dzisiejszego dnia jeszcze musimy w Anglii doktrynę tę uważać za regułę, a coraz częstsze zresztą odstąpienia od niej za wyjątki, usprawiedliwione jedynie wymogami żelaznej konieczności.

Nic bardziej nie może sprzeciwiać się zasadniczym podstawom liberalnej teoryi manczesterskiej, jak zaprowadzenie przymusu szkolnego i ujęcie *całej* oświaty ludowej przez państwo w swoje ręce, a jednak Anglia ujrzała się wreszcie zmuszoną zreorganizować na tych zasadach swoje szkolnictwo ludowe, oparte przed rokiem 1870 na inicyatywie gmin wyznaniowych, cieszących się w tym kierunku bardzo szeroką autonomią wewnętrzną. I w sprawie szkolnictwa średniego daje się spostrzedz zupełnie to samo zjawisko: Anglia coraz wyraźniej dąży obecnie do zupełnego upaństwowienia szkoły średniej nietylko przez poddanie jej pod ścisłą kontrolę i nadzór państwa, ale też przez zaprowadzenie, na wzór Stanów Zjednoczonych, t. zw. „systemu uwierzytelniającego“ (*accrediting system*), to jest, innemi słowy, do nadania uznanym przez państwo szkołom średnim t. zw. praw rządowych.

„Doświadczenie—pisze jeden z wybornych znawców szkolnictwa angielskiego [1])—nauczyło Anglików, że inicyatywa prywatna, pomimo swych niezaprzeczonych korzyści, nie jest w stanie zapewnić znośnej organizacyi szkolnictwa średniego. Płynie stąd konieczność interwencyi państwowej. Organizowanie szkół średnich i nadzór nad niemi jest taką samą niezbędną i naturalną funkcyą współczesnego państwa, jak np. czuwanie nad hygieną lub kontrola dobroczynności publicznej. Ale pomiędzy zupełną abstynencyą państwa i nieznośną jego tyranią jest jeszcze miejsce na nową koncepcyę państwa, regulującego bieg szkolnictwa średniego przez przychodzenie mu z pomocą i skierowywanie go na właściwe tory.“ [1])

Nic więc dziwnego, że opinia publiczna w Anglii, pomimo istnienia szeregu wzorowych szkół publicznych (*public schools*) i tak zwanych właścicielskich (*proprietary schools*), to jest utrzymywanych przez korporacye i towarzystwa akcyjne, nie wypowiada się zasadniczo przeciw istnieniu szkół prywatnych (*private*

[1]) *M. Leclerc. L'éducation en Angleterre*, 1901 r., str. 365.

schools, *private venture schools*), upatrując w nich zwykły objaw wolnej konkurencyi w szkolnictwie, która nawet w pewnych wypadkach może stanowić rękojmię postępu w pedagogii.

Podług mniej lub więcej dokładnych obliczeń z przed laty kilkunastu w szkołach prywatnych w Anglii, kształciła się prawie trzecia część chłopców w wieku szkolnym (około 24 tysięcy), przyczem szkół takich, rozsianych po całym kraju, było mniej więcej czterysta.[1]) Od tego czasu stosunki zmieniły się o tyle, że wiele szkół prywatnych zbankrutowało doszczętnie; w każdym razie i dziś jeszcze pewna część młodzieży angielskiej uczy się nie we wzorowych szkołach publicznych lub korporacyjnych, ale w szkołach prywatnych, pozostawiających bardzo dużo do życzenia pod względem zarówno naukowym, jak i wychowawczym. Stosunek pomiędzy ilością szkół prywatnych i cyfrą uczącej się w nich młodzieży sam przez się dowodzi, że większość takich szkół musi stać na niezbyt wysokim poziomie. Przeciętnie biorąc, na jedną szkołę przypada nie więcej, jak sześćdziesięciu uczniów, a że większość szkół prywatnych, jak można sądzić z szumnych ogłoszeń i reklam ich właścicieli, przyjmuje młodzież od lat 8 do 19, należałoby przypuszczać, że posiadają one odpowiednią liczbę klas, a więc muszą też posiadać odpowiedni personel nauczycielski.

W rzeczywistości rzecz się ma jednak inaczej. W szkole prywatnej angielskiej wykłada zazwyczaj sam przełożony, mając do pomocy dwóch-trzech nauczycieli stałych i przychodzącego nauczyciela rysunków lub języków obcych. Są wprawdzie szkoły prywatne, stojące na wysokości współczesnych wymagań pedagogicznych, te jednak stanowią rodzaj klas przygotowawczych do szkół publicznych, przyjmują chłopców tylko do lat 14 i pozostają w bezpośredniej zależności od dyrektorów tych wielkich szkół publicznych, dla których służą za rodzaj pepinjery. Takich „klas“ przygotowawczych posiada np. Eton 26, Harrow 24, Clifton 7, Hailebury 12 i t. p.[2]) Szkoły takie są jednak bardzo drogie, droższe od niejednej szkoły publicznej (chodzi bowiem o zajęcie wakansu, na który rodzice zapisują często swe dzieci niemal że od kolebki); wpisowe w wię-

[1]) *J. J. Findlay. Zur Entwickelung des höheren Schulwesens Englands*, 1894, str. 24—26. Krótka dysertacya Findlay'a zawiera bogaty materyał faktyczny i szereg trafnych uwag, opartych na długoletniej pracy autora w szkołach angielskich.

[2]) *Röttgers. Englisches Schul- und Erziehungswesen*, 1906 r., str. 24.

kszości z nich wynosi około *tysiąca* rubli, co zresztą należy uważać za objaw zupełnie naturalny. Dobra szkoła musi z konieczności posiadać środki materyalne dla zapewnienia sobie odpowiedniego doboru sił nauczycielskich, gdzie zaś jedynie źródło dochodu stanowią wpisy, tam opłata za naukę nie może być nizką, nawet przy stosunkowo znacznej frekwencyi szkolnej.

Natomiast dzisiejsze prywatne szkoły angielskie „z umiarkowanem wpisowem“ (*moderate fee*) przypominają zbyt jaskrawo owe haniebne karykatury szkół średnich z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, w których kształcili się Dawid Copperfield i Nicholas Nickleby, bohaterowie powieści wielkiego poety niedoli dziecięcej Karola Dickensa. I pod tym względem należy zaznaczyć, jako wyraz opinii publicznej, słowa jednego z poważnych nauczycieli angielskich: „zrozumiejmy nareszcie, że pedagog powinien być pedagogiem, a nie spekulantem, który nie mając innych środków utrzymania, otwiera szkołę w celu okradania rodziców z pieniędzy i zabijania zdolności w dzieciach.“ [1])

We współczesnej literaturze pedagogicznej posiadamy opisy takich szkół spekulacyjnych, wyszłe z pod pióra nauczycieli-cudzoziemców, których złe losy zawiodły w progi angielskich szkół prywatnych z umiarkowanem wpisowem. [2]) Gdybyśmy nawet wiele z ich wad i braków włożyli na karb przesady i uprzedzenia, wywołanego względami osobistemi, to z drugiej strony posiadamy świadectwa poważnych badaczy szkolnictwa angielskiego, których opinia w ogólnych zarysach odpowiada najzupełniej tym opisom.

W roku 1899 na skutek konkursu, ogłoszonego przez wolną szkołę nauk politycznych w Paryżu, wydelegowany został do Anglii dla zbadania tamtejszych systemów nauczania i wychowania pedagog francuski p. Max Leclerc, który po kilkoletnim pobycie w Anglii ogłosił, po powrocie do Francyi swoje spostrzeżenia w cennem dziele p. t. „*L'éducation des classes moyennes et dirigeantes en Angleterre*,“ (4-e wydanie 1901 r.), z przedmową znanego uczonego francuskiego Emila Boutmy, członka Instytutu.

---

[1]) „We must ensure that the teacher is a teacher, and not an individual who, having no means of support, opens a school in which to rob parents of their fees, and children of their opportunities.“ (Zob. *Acland and Smith. Studies in Secondary Education*, 1892 r., str. 316).

[2]) Por. *Fr. Hummel w Jahrbücher für Philologie und Pädagogik*, 1877 r., t. CXVI, str. 545—560, lub *Ernst Weber w Zeitschrift f. d. Gymnasialwesen*, 1890, t. XXXIV, str. 502—510.

„Nauczanie w szkołach prywatnych — pisze p. Leclerc — nie zdaje się być postawionem na wysokości zadania. Programy szkolne, na ogół zbyt pretensyonalne, zawierają całą masę przedmiotów, wskazanych zresztą w bardzo nieokreślonych zarysach. Rodzice uważają zazwyczaj płacenie wpisów za ciężką ofiarę, od której jaknajrychlej pragnęliby się uwolnić, a przełożony z osobistego punktu widzenia stara się zrealizować jaknajśpieszniej materyalne korzyści, jakie mu może dać jego klijentela. Szkoły posiadają zbyt mało nauczycieli, w dodatku licho płatnych. W klasach daje się spostrzegać uderzający brak zainteresowania i niewysoki poziom wykładu, nie mówiąc już o mechanicznych i grubijańskich sposobach tresury.“ [1])

W roku 1890 z inicyatywy ówczesnego profesora prawa rzymskiego w uniwersytecie oxfordzkim Jamesa Bryce'a (dzisiejszego posła Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie) i późniejszego ministra oświaty w liberalnym gabinecie Gladstone'a sir Arthura H. Aclanda grono poważnych pedagogów angielskich przeprowadziło prywatną ankietę, co do organizacyi szkolnictwa w większych środowiskach życia społecznego w Anglii. Rezultaty tej ankiety zostały ogłoszone w dwa lata później w zbiorowem dziele p. t. *Studies in Secondary Education* pod redakcyą prof. Llewellyna Smitha i Arthura Aclanda, jedynem—o ile wiem—dziele w literaturze angielskiej, przedstawiającem treściwy opis faktycznego stanu rzeczy w szkołach średnich wogóle. W dziele tem na szczególną uwagę zasługuje rozdział o szkołach prywatnych w Liverpoolu wraz z tablicą, w której autor zgrupował główne dane faktyczne.

„Należy zaznaczyć i podkreślić fakt, że z dyrektorów ośmiu szkół prywatnych *tylko dwaj* posiadają wyższe wykształcenie uniwersyteckie i świadectwa nauczycielskie, a z nauczycieli, wykładających w tych szkołach, zaledwie *jeden* jest wykwalifikowanym nauczycielem. Programy mają rozmaitą wartość, ale posiadają jedną wspólną cechę: zawierają one niesłychaną ilość wykładanych przedmiotów (religia, łacina, grecki, francuski, niemiecki, arytmetyka, algebra, geometrya, buchalterya, filozofia, chemia, historya, geografia, rysunki, kreślenie, malarstwo, literatura, stylistyka, krasomówstwo i t. p.). Istnieją też takie przedmioty, jak np. „nauka,“ a malowanie farbami olejnemi zdaje się być ulubionym przedmiotem wykładowym szkół prywatnych w Liverpoolu.

[1]) Leclerc l. c. str. 124—126.

Najprostszy rachunek wykazuje, że ogłaszany w prospektach „liczny sztab nauczycieli różnych przedmiotów“ (*large staff of assistant and resident masters*) istnieje tylko na papierze i w wyobraźni samego przełożonego, bo jeżeli szkoły te liczą zaledwo po trzydziestu uczniów eksternów (przeciętnie), płacących przeciętnie po sto rubli (Ł. 10) wpisowego, to dochód szkoły nie jest w stanie opłacić utrzymania samych nauczycieli. Musimy więc dojść do przekonania, że w większości wypadków sam przełożony szkoły jest specyalistą od wykładania wszystkich przedmiotów. Większość programów szkolnych zawiera szczegóły wprost humorystyczne, są zaś pomiędzy nimi i takie, które nie przyniosłyby zaszczytu nawet reklamom sklepikarzy. W ostatnich czasach wiele takich szkół prywatnych przestało istnieć, co dowodzi, że albo popyt na nie już się nie zwiększa, albo że szkoły prywatne nie należą do instytucyj długotrwałych.“[1])

Jakże żywo przypomina nam ten obraz spekulacyjnych szkół prywatnych w Anglii, skreślony na podstawie drobiazgowej ankiety, przeprowadzonej przez wybitnych fachowców, niektóre nasze dzisiejsze szkoły prywatne bez praw, prowadzone na rachunek i ryzyko ich założycieli, owe szumne reklamy, wtykane przechodniom na ulicy lub rozwożone na specyalnych platformach, owe komplety nauczycieli bez wyższego wykształcenia, owe programy, układane z dekoracyjnego punktu widzenia, „poglądowa“ nauka ekonomii politycznej dla malców ośmioletnich i teoretyczny jej wykład dla jedenastoletnich bębnów,[2]) dalej „nauka o formach,“ „nauka o zjawiskach,“ geografia historyczna ziem słowiańskich lub prawoznawstwo, wykładane w klasie IV-ej, i inne tego rodzaju dziwolągi z równoległem zaniedbaniem przedmiotów zasadniczych, wreszcie, jako korona wszystkiego, wykłady „propedeutyki nauk społecznych“ (?) tudzież „biologii i historyi ziemi“ razem wziętych jako jeden przedmiot (!).[3]) Jedyna różnica polega chyba na tem, że w kalejdoskopie przedmiotów, które swej klijenteli ofiarowuje angielski przedsiębiorca pedagogiczny, przeważa bądź co bądź element praktyczny, gdyż przeciętny ojciec angielski, zanim zacznie uczyć swoje dziecko, zadaje sobie zawsze pytanie: *„does it pay?“*—czy to się opłaci?—podczas gdy w progra-

[1]) *A. P. Laurie. Secondary Education in Liverpool (Boys) w Acland's and Smith's Studies in Secondary Education.* 1892, str. 236—240.

[2]) „Gazeta Polska,“ 27 lipca 1905 № 192.

[3]) „Tygodnik Illustrowany“ № 27 z r. 1907.

mach naszych szkół tego typu mieści się już wprost skarbnica wszechwiedzy ludzkiej, począwszy od ogólnie kształcącej historyi filozofii, a kończąc na specyalnych naukach, jak np. antropologia, paleontologia lub fizyologia roślin.

Genezy powstania takich programów i ich wprowadzenia do wielu naszych szkół prywatnych należy szukać nietylko w chęci zaimponowania rodzicom lub przypodobania się samym uczniom, lecz także w owem pomięszaniu pojęć, jakie zapanowało u nas trzy lata temu w każdej dziedzinie, specyalnie zaś w tak zaniedbanej z konieczności od dłuższego czasu dziedzinie nauczania i wychowania młodzieży. Niezapominajmy bowiem, że w przełomowej chwili naszego szkolnictwa postawiono u nas zasadę, że „szkoła społeczna, wytworzywszy sobie jasno cele, winna wyszukiwać środki najlepiej do nich prowadzące, nie licząc się ani z dotychczasowymi programami, ani z wymaganiami egzaminów, ustanowionych dla uzyskania praw państwowych,“ [1]) a z drugiej strony zaznaczono, iż „młodzieniec powinien odczuć splot wpływów, które nawiązują atomy materyi i dają im życie.“ [2]) Nic więc dziwnego, że przy układaniu programów starano się tylko o to, aby jaknajmniej przypominały wymagania egzaminów, ustanowionych dla zdobycia praw rządowych, a do „odczuwania splotu wpływów, które nawiązują atomy materyi i dają im życie,“ zdawał nadawać się najwłaściwiej wykład „propedeutyki nauk społecznych“ i biologii razem z historyą ziemi. Więc gdy w angielskich szkołach prywatnych owe różnorodne przedmioty, wyszczególnione w szumnych prospektach, są wykładane źle i niedbale, u nas wykład przeróżnych działów mądrości ludzkiej pozostaje najczęściej tylko na papierze.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że ilość szkół prywatnych zmniejsza się w Anglii z każdym rokiem, a fakt efemerycznego istnienia większości z nich dowodzi ich czasowego i spekulacyjnego charakteru. Da się to szczególniej powiedzieć o tak zw. szkołach postępowych (*new education*), zakładanych pod szczytnemi hasłami reformy wychowania młodzieży, a które, po bliższem zbadaniu, okazują się najczęściej sprytnym humbugiem, obliczonym na wyławianie pieniędzy z kieszeni łatwowiernej publiczności, a szczególniej klienteli cudzoziemskiej. Takie szkoły zyskały w Anglii nazwę „szkół na opak“ (*schools vice versa*) i pod tą nazwą powszechnie są znane.

[1]) „Kuryer Warszawski“ 30 lipca 1905 r. № 208.

[2]) „Goniec Wieczorny“ 6 października 1905 r. № 442.

Dyrektorowie takich szkół odbywają nawet specyalne wyprawy po złote runo do innych krajów na kontynencie i do Stanów Zjednoczonych, występując wszędzie w charakterze apostołów „zreformowanej szkoły średniej“ i reklamując przy tej sposobności swoje zakłady naukowe. Istnieją też szkoły prywatne, wchodzące już w zakres patologii społecznej, takie, w których naukę zastępuje chodzenie boso, tytułowanie się braćmi i wnikanie w samego siebie, i takie, z których programu nauka zupełnie została wykreśloną i zastąpiona arcynudnemi zresztą kazaniami z dziedziny moralności. Jest to chorobliwy objaw tak rozwiniętego w społeczeństwie angielskiem sekciarstwa, które bardzo często, pod pozorem głoszenia nowych zasad, ukrywa bądź instynktowny popęd do zwyrodniałej ekscentryczności, bądź też zwykłą spekulacyę na wrodzonem ludzkości dążeniu do szukania nowych dróg i haseł.

Szkoły tego typu, w którym niektórzy nasi reformatorzy pedagogiczni upatrują „typ szkoły angielskiej“ i starają się przenieść je na nasz grunt, w samej Anglii zostały ochrzczone specyalnem mianem „pomyślnego terenu myśliwskiego dla szarlatanów“ (*happy hunting ground of the charlatan*) i nie mają oczywiście nic wspólnego z poważnem angielskiem szkolnictwem średniem, opartem na rozgałęzionej sieci szkół publicznych i korporacyjnych. Są to niezdrowe narośle na ciele społecznem, tolerowane z konieczności w kraju, który zasadę nieinterwencyi państwa podniósł niemal do wysokości dogmatu politycznego — i tylko zupełna nieznajomość stosunków szkolnych w Anglii i absolutne niezrozumienie systemu angielskiego szkolnictwa średniego mogło nadać im u nas miano „szkoły angielskiej,“ jako przeważającego typu szkoły średniej po tamtej stronie kanału.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że do stosunków angielskich w dziedzinie szkolnictwa, zarówno jak i do stosunków angielskich w każdej innej dziedzinie, niepodobna stosować naszych wyrosłych na kontynencie pojęć i wyobrażeń. Kraj, w którym cyrkulacyę uliczną reguluje zwyczaj trzymania się lewej strony zamiast prawej, kraj, rozciągający swoje panowanie na pięć części świata za pomocą najemnej siły zbrojnej, kraj, otwierający szeroko wrota dla obcych towarów, a pozwalający własnym koloniom ustanawiać cła na towary angielskie, musiał i w dziedzinie szkolnictwa stworzyć swój własny, oryginalny system, oparty na samoistnym rozwoju instytucyj kulturalnych, powstałych w zamierzchłej przeszłości dziejowej.

Dzisiejsze angielskie szkoły publiczne (*public schools*) i uznane za równorzędne z niemi szkoły korporacyjne (*proprietary schools*) zawdzięczają swoje powstanie szczodrym nadaniom królów, biskupów, opactw, klasztorów, magnatów i korporacyj, a daty założenia wielu z nich należy szukać w wieku XIV, XV lub XVI. Najstarszą szkołą angielską jest *Winchester* (1387), potem idą kolejno *Eton* (1440), *S-t. Paul's School* w Londynie (1509), *Shrewsbury* (1551), *Merchant Taylors* (dzisiejsza *Charterhouse*) *School* (1561), *Christ's College* w Horsham (1553), *Westminster* w Londynie (1560), *Rugby* (1567) i *Harrow* (1571). Bogate ich uposażenie, które z biegiem wieków doszło do olbrzymiej sumy przeszło siedemdziesięciu milionów rubli rocznego dochodu w gotówce, nie licząc procentów od wartości gmachów i przywiązanych do nich obszarów ziemskich, gwarantowały specyalne akty nadawcze, określające jednocześnie zarówno sposoby zarządzania majątkiem szkolnym, jak i cele, którym dana szkoła służyć powinna. Wiele takich ustaw szkół poszczególnych zyskały nawet aprobatę i zatwierdzenie parlamentu, a na straży prawidłowego ich wykonywania stał specyalny trybunał sądowy (*Court of Chancery*), rozciągający swoją kompetencyę na wszelkie wogóle fundacye użyteczności publicznej. Z biegiem czasu kontrola tego trybunału okazała się niewystarczającą, a procedura zbyt skomplikowaną i kosztowną, ale częściowe reformy, dokonane w tej dziedzinie pomiędzy rokiem 1812 i 1847, nie polepszyły wadliwego stanu rzeczy. Dopiero zwołana w roku 1849 komisya królewska pod przewodnictwem lorda Chichestera wystąpiła poraz pierwszy z wnioskiem, urzeczywistnionym dopiero w pięćdziesiąt lat później i zaproponowała utworzenie specyalnej władzy centralnej, rodzaj ministeryum oświaty dla zarządzania sprawami szkolnictwa średniego. W roku 1853 zarząd uposażeniami szkolnemi oddany został w ręce specyalnej komisyi (*Charity Commission*), powołanej do zarządu majątkiem fundacyj użyteczności publicznej, a w siedem lat później atrybucye tej komisyi zostały znacznie rozszerzone.[1]) W kilka lat później nowa komisya królewska pod przewodnictwem lorda Tauntona, powołana do zbadania stanu szkolnictwa średniego w Anglii, znów wystąpiła z wnioskiem utworzenia centralnej władzy, koncentrującej w swoich rękach zarząd sprawami oświaty, dodając do tego dwa dezyderaty: 1.) powierzenia obowiązku czuwania nad prawi-

[1]) *Charitable Trusts Act 1853, 16 i 17 Vict. c. 137*, por. także *23 i 24 Vict. c. 136.*

dłowym biegiem nauczania w szkołach średnich specyalnym organom samorządu miejscowego i 2) zaprowadzenia zcentralizowanego systemu egzaminów i oparcia na nim całej organizacyi szkolnictwa średniego. Ostatnie dwa wnioski zostały uznane przez parlament za przedwczesne, natomiast w roku 1869 powołaną została do życia specyalna komisya szkół uposażonych (*Endowed Schools Commission*), [1]) ale działalność jej nie rozciągała się na najstarsze, najbogatsze i najlepsze szkoły publiczne, gdyż ich statuty i nadania nie dały się w żaden sposób pogodzić z nową ustawą. Pewien wpływ na sprawy szkolne uzyskały też założone mniej więcej w tym czasie departament wychowawczy i departament nauk i sztuki (*Department of Education* i *Department of Science and Arts*), ale dopiero w r. 1899 parlament angielski, przychylając się do wniosku nowej komisyi królewskiej pod przewodnictwem James'a Bryce'a uchwalił utworzenie centralnego ministeryum oświaty (*Board of Education*,)[2]) jako centralnego urzędu do spraw szkolnych, a w trzy lata później radom hrabstw i radom miejskim w hrabstwach (*County Councils*, *County Borough Councils*) przyznany został charakter organów lokalnych w sprawach, dotyczących szkolnictwa powyżej zakresu szkoły elementarnej.

Powyższy zarys zewnętrznej organizacyi szkolnictwa średniego w Anglii nie daje nam jednak właściwego pojęcia o rzeczywistem znaczeniu angielskiej szkoły publicznej w porównaniu ze szkołami prywatnemi. Klucz do zrozumienia jej istoty daje nam dopiero poznanie dzisiejszego nader skomplikowanego mechanizmu egzaminacyjnego, który, zapewniając zdolniejszym uczniom daleko idące prawa i przywileje, stanowi w Anglii podstawę publicznej szkoły średniej.

Nie należy zapominać, że w Anglii organizacya siły zbrojnej zarówno lądowej, jak i morskiej, opiera się nie na obowiązkowej służbie wojskowej, jak w innych państwach na kontynencie, ale na kompletowaniu kadrów armii i floty drogo opłacanymi ochotnikami. Dla tego też istnienie w tym kraju specyalnych świadectw szkolnych, dających prawo wstąpienia do wyższych zakładów naukowych, stanowi najlepszy dowód, jak zasadniczo błędnem było postawienie u nas kwestyi t. zw. „praw," które w okresie trzyletniej histeryi politycznej uznane zostały u nas powszechnie za niepotrzebne i zbyteczne, jeżeli nie wprost za

[1]) *Endowed Schools Act 1869, 32 i 33 Vict. c. 56.*

[2]) *Board of Education Act 1899, 62 i 63 Vict. c. 33 i 1902, 2 Edw. VII. c. 42.*

szkodliwe. Dyskontując przedwcześnie zaprowadzenie przymusu szkolnego w całem państwie, wypowiedziano u nas nadzieję, że „z wprowadzeniem skróconej służby wojskowej, obowiązującej wszystkich obywateli bez różnicy, przywileje szkolne przejdą w zasłużony stan spoczynku, a same szkoły, *pozbawione szkodliwego monopolu*, staną się uczelniami nowożytnemi,“ [1]) zapominając zupełnie o tem, że nawet w kraju, nieznającym zupełnie powszechnej powinności wojskowej, jakim jest Anglia, przywileje te zdobywają dla siebie coraz większą racyę bytu tak dalece, że idąc za przykładem Stanów Zjednoczonych, kraj ten coraz bardziej przechodzi do t. zw. „systemu uwierzytelniającego“ (*accrediting system*), o którym będzie mowa poniżej. [2])

Do połowy ubiegłego stulecia system egzaminów przejściowych i ostatecznych w szkołach angielskich nie był zupełnie zorganizowany. Każda szkoła, dbająca o swoją reputacyę, zapraszała osoby, cieszące się powszechnem poważaniem i uznaniem w danej okolicy, jak np. przedstawicieli wyższego duchowieństwa, do asystowania przy egzaminach uczniów, opuszczających szkołę, dla stwierdzenia rzeczywistego stanu ich wiadomości, dojrzałości umysłowej oraz przygotowania do słuchania wykładów w szkole wyższej. Naturalnie, egzaminy takie posiadały tylko znaczenie moralne, gdyż pragnący wstąpić do Oxfordu lub Cambridge musieli wobec zwierzchności uniwersyteckiej ponownie udowodnić stopień swego przygotowania naukowego, o ile wysokie uznanie, jakiem cieszyła się dana szkoła w szeregu lat, nie otwierało im bezpośrednio wstępu do uniwersytetu. Na takim właśnie zachwycająco nieokreślonym gruncie wyrósł i rozwinął się wzorem wielu innych angielskich urządzeń prawno-państwowych dzisiejszy zorganizowany system egzaminacyjny w szkolnictwie angielskiem.

Jeden z poważnych badaczów angielskich stosunków szkolnych zrobił słuszną uwagę, że w kraju, który wytworzył w polityce manczesterską teoryę wolnego handlu, trudno było się spo-

[1]) „Kuryer Warszawski“ 8 sierpnia 1905 r. № 217.

[2]) Por. *Graham Balfour. The educational systems of Great Britain and Ireland*, 1903, str. 176. „It is probable that, in the future, inspection in its best sense will play a very much greater, and examination a very much less, part in secondary education; but neither process exactly or entirely fills the part of the other, and it is probable that the requirements of schools and of the responsible authorities will best be met by a nice adjustment of inspection coupled with examination.“

dziewać, żeby państwo zrobiło dużo dla szkolnictwa.[1]) I co rzeczywiście zasługuje na szczególne podkreślenie, to fakt, że dzisiejszy system egzaminacyjny w Anglii zawdzięcza swoje powstanie nie bezpośredniej inicyatywie państwa, ale odczuciu i zrozumieniu przez same społeczeństwo konieczności ustanowienia pewnych norm, określających przywileje szkolne.

Od r. 1853, kiedy przeprowadzono z inicyatywy stowarzyszenia przełożonych wielu szkół średnich (*College of Preceptors*) tytułem próby rodzaj egzaminu dla przekonania się o ogólnym poziomie wykładu, datuje w Anglii początek zwrotu opinii publicznej w kierunku ujednostajnienia kontroli egzaminacyjnej w szkołach średnich. Wyrazicielem głosu opinii publicznej w tym kierunku został znakomity historyk angielski Macaulay, który pierwszy wystąpił w Izbie Gmin z wnioskiem zaprowadzenia egzaminów konkursowych przy obsadzaniu posad w służbie państwowej w Indyach.

W r. 1854 londyńskie towarzystwo sztuk pięknych (*London Society of Arts*), pod którego patronatem znajdowała się wówczas pewna liczba szkół technicznych, poszło za przykładem stowarzyszenia przełożonych i również tytułem próby urządziło w nich szereg egzaminów podług pewnego typu. Pomyślny wynik tych egzaminów zachęcił ich organizatorów—a byli pomiędzy nimi ludzie tej miary, jak późniejszy kierownik szkoły w Rugby, dzisiejszy biskup londyński D-r Temple lub sir Th. Acland—do urządzenia takich samych egzaminów dla wszystkich szkół średnich w Exeter w hrabstwie Devonshire. Chociaż przykład Exeteru zachęcił inne miasta i hrabstwa do poczynienia prób w tym kierunku, to jednak egzaminy takie nosiły z konieczności charakter przygodny i nieusystematyzowany. Opinia publiczna zwróciła się wówczas do dwóch starożytnych ognisk wiedzy, do uniwersytetów w Oxford i Cambridge z żądaniem, aby one ujęły całą sprawę w swoje ręce dla zapewnienia jednolitości w wykonaniu i osłonięcia egzaminów wiekową powagą autorytetu naukowego.

Po krótkiem wahaniu się najpierw Oxford (1857) a w pół roku później i Cambridge podjęły to zadanie i opracowały szemat egzaminów dla uczniów szkół średnich, zarówno kończących nauki (do lat 18—*senior boys*), jak i dla przechodzących ze szkoły przy-

[1]) *J. J. Findlay l. c.* str. 21. „Von dem Zeitalter, das die Manchester School der Politik und Nationaloekonomie erzeugt hat, konnte man kaum erwarten, dass es viel im Dienste des Erziehungswesens thun würde."

gotowawczej do właściwej szkoły średniej (do lat 15 — *junior boys*). Pierwsze egzaminy przed komisyami uniwersyteckiemi odbyły się w Oxfordzie w lipcu 1858 r., a w Cambridge w grudniu tegoż roku: od tego też czasu datuje dzisiejszy system t. zw. egzaminów miejscowych (*local examinations*).

Już w r. 1864 komisya lorda Tauntona zaproponowała oprzeć *całą* organizacyę szkolnictwa średniego na systemie egzaminów pod głównem kierownictwem uniwersytetów [1]), a w pięć lat później został w tym duchu złożony do Izby Gmin t. zw. „bill Forstera," niebawem jednak cofnięty. Pomimo tego „egzaminy miejscowe" stały się z czasem obowiązującemi dla wszystkich szkół publicznych z tego względu, że t. zw. *Charity Commission*, zarządzająca ich funduszami, wprowadziła przymus egzaminacyjny do statutów większości szkół uposażonych, inne zaś, jak np. Eton lub Rugby same dobrowolnie poddały się pod ten rygor. Szkoły korporacyjne i lepsze prywatne prosiły też o komisye egzaminacyjne i z biegiem czasu uzyskały je także. Zaznaczyć jednak należy, że wyniki egzaminów dla uczniów szkół prywatnych nie zawsze są miarodajnemi, gdyż szkoły takie wysyłają na egzamin tylko swoich najlepszych uczniów, chcąc pochwalić się nimi przed całym światem dla zdobycia odpowiedniej marki w społeczeństwie, a ukrywają starannie uczniów złych i niewiele umiejących.[2])

Ogólna dyrektywa spoczywa w rękach specyalnych komisyj uniwersyteckich, złożonych z członków senatu uniwersyteckiego, wybranych na lat cztery: komisye takie noszą nazwę „delegacyj" w Oxfordzie i „syndykatów" w Cambridge. Zadanie ich polega na opracowaniu programów egzaminacyjnych, ułożeniu tematów ćwiczeń piśmiennych oraz szczegółowego regulaminu, ustanowieniu wysokości opłat, wreszcie wybraniu przewodniczących poszczególnych komisyj, tudzież wyznaczeniu członków tych komisyj z pomiędzy zamieszkałych w mieście, gdzie ma się odbywać egzamin, t. zw. *graduates*, to jest osób, posiadających odpowiednie stopnie naukowe. Nauczyciele, wykładający w szkole średniej, pod

[1]) *C. R. Benson. The report of the Schools Inquiry Commission* (*Acland and Smith l. c.* str. 65—66): „The whole of every school to be examined in subjects choosen by schools authorities. This examination to be conducted by examiners appointed by, and under rules drawn up by an Educational Council, six members to be appointed by universities and six by the Crown."

[2]) *Leclerc l. c.* str. 284: „Il arrive que les maîtres préparent spécialement un petit nombre de sujets, dont les succès à l'examen serviront de réclame et négligent le commun de leurs élèves."

żadnym warunkiem w skład komisyj egzaminacyjnych wchodzić nie mogą.

Egzaminy są tylko piśmienne. W dniu wyznaczonym (jednym dniu dla wszystkich szkół publicznych w całej Anglii) przewodniczący w komisyi otwiera w obecności egzaminatorów i uczniów zapieczętowaną kopertę z tematami, przywiezioną przez specyalnego kuryera z Oxford lub Cambridge, poczem odbywa się egzamin piśmienny pod najściślejszą klauzurą i nieinaczej jak w ciągłej obecności przewodniczącego. Po ukończeniu egzaminów przewodniczący osobiście odbiera ćwiczenia uczniów, wkłada je do ogólnej koperty, pieczętuje ją w obecności członków komisyi i odsyła do właściwego uniwersytetu. Komisya uniwersytecka układa i segreguje odpowiedzi uczniów, opatrując je odpowiedniemi numerami po obcięciu talonu z imieniem i nazwiskiem kandydata, poczem z zachowaniem wszelkich ostrożności rozsyła je poszczególnym egzaminatorom. Tym sposobem uczeń nie wie zupełnie, kto ocenia jego pracę, a egzaminator nie zna nawet nazwiska egzaminowanego, co zdaje się z góry usuwać wszelkie podejrzenia stronniczości w ocenianiu robót egzaminacyjnych.

Delegacye oxfordzkie egzaminują w lipcu, syndykaty uniwersytetu w Cambridge w grudniu. Od uczniów pobierana jest specyalna opłata egzaminacyjna w wysokości jednego funta, do czego dochodzi 5—10 szylingów na koszta administracyi.

Po ukończeniu egzaminów komisye uniwersyteckie ogłaszają szczegółowe sprawozdanie wraz z listą uczniów, którzy zdali egzamina i wskazaniem szkół, z których pochodzą. W opinii publicznej procent kandydatów, którzy pomyślnie zdali „egzamina miejscowe," decyduje o rzeczywistej wartości szkoły. W zależności od rezultatu egzaminów komisye uniwersyteckie wydają świadectwa z ukończenia całkowitego lub częściowego kursu szkolnego. Egzaminy są zazwyczaj dość trudne: procent uczniów, którzy w r. 1902 otrzymali takie świadectwa, wynosi dla Oxfordu 68,3%, a dla Cambridge 72,4% [1]), co znaczy, że czwarta z górą część kandydatów przepada na egzaminach.

Uczniowie, którzy zdali ostateczny egzamin z odznaczeniem, otrzymują od Oxfordu honorowy stopień *associate of arts*, a od Cambridge specyalne świadectwa (*high certificate*), dające prawo wstępu do uniwersytetu bez egzaminu.

[1]) „The Times" Sept. 7, 1902, Febr. 16, 1903.

„Egzaminy miejscowe“ dzielą się na trzy kategorye: początkowe (*preliminary*) dla chłopców do lat 14, półkursowe (*junior*) dla chłopców do lat 16 i ostateczne (*senior*) dla chłopców do lat 19. Uczeń, który przed ukończeniem lat 19 nie zda ostatecznego egzaminu, musi wystąpić ze szkoły i dla uzyskania wstępu do uniwersytetu musi poddać się specyalnemu egzaminowi jako extern.

Na tych samych zasadach zorganizowały własny system egzaminów miejscowych młodsze uniwersytety angielskie w Durham, Manchester (*Victoria University*) i Birmingham.

W r. 1873 na wniosek, uchwalony przez drugi zjazd przełożonych szkół publicznych [1]), uniwersytety w Oxford i Cambridge utworzyły za wspólnem porozumieniem się t. zw. „połączoną komisyę“ (*Joint Board*) pod urzędową nazwą: „Oxford and Cambridge Schools Examinations Board.“ Komisya ta składa się z wicekanclerzy obu uniwersytetów i 24 członków, wybieranych przez senaty akademickie obu uczelni w równej liczbie i rozciąga swoją działalność na „szkoły, posiadające zorganizowane ciało zarządzające lub wysyłające stale część swoich uczniów do uniwersytetów.“ [2]) Niezależnie od czynności, związanych z właściwą inspekcyą i peryodyczną wizytacyą szkół, komisya posyła do nich swoich egzaminatorów, którzy przeglądają wypracowania egzaminacyjne, już poprawione przez nauczycieli miejscowych i składają o nich szczegółowe sprawozdania; na zasadzie takich sprawozdań Joint Board przyznaje abituryentom specyalne świadectwa wyższego lub niższego stopnia (*higher and lower certificates*), z których pierwsze dają prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych bez egzaminu. Wymagania egzaminacyjne są jeszcze ostrzejsze niż przy egzaminach miejscowych: w r. 1902 świadectwa takie otrzymała zaledwie połowa kandydatów, którzy stanęli do egzaminu.

Na tych samych zasadach zorganizował uniwersytet londyński w r. 1902 swój własny system egzaminacyjny dla tych szkół

[1]) *Balfour l. c.* str. 181: „The Head Masters of the Public Schools passed a resolution to urge the universities to institute a Matriculation Examination and directed their Committee to confer with Oxford and Cambridge as to the best form of it. The Committee was also instructed to press upon Government, the importance of instituting a system of leaving examinations.“

[2]) Zob. *Articles of Agreement*, Nov. 8, 1873: „schools with a regularly constituted governing body or which send a fair proportion of pupils to the Universities“ (por. *Sonnenschein's Cyclopaedia of Education ed. Fletcher*, 1906, str. 245).

średnich, które poddały się jego zwierzchniemu kierownictwu w sprawach nauczania i wychowania.

W obec poważnych wymagań, stawianych na egzaminach w komisyach uniwersyteckich i w Joint Board'zie angielskie szkoły średnie muszą dbać o utrzymanie wysokiego poziomu naukowego przez ciągłe sprawdzanie postępów swoich wychowańców za pomocą ciągłych egzaminów w szkole.

Wbrew rozpowszechnionemu u nas przekonaniu o szkodliwości egzaminów z pedagogicznego punktu widzenia — co tłómaczy się niezadawalniającem ich postawieniem przez niewprawnych i nieumiejętnych nauczycieli — angielskie publiczne szkoły średnie zawdzięczają wysoki swój poziom naukowy ściśle i systematycznie stosowanemu systemowi nieustannych egzaminów ze wszystkich przedmiotów przy każdej nadarzającej się sposobności. Tylko zupełną nieznajomością organizacyi szkoły średniej w Anglii można tłómaczyć wypadki powoływania się na szkolnictwo angielskie w kampanii przeciwegzaminowej, jaką u nas ostatniemi czasy prowadzono. Wprawdzie niektóre szkoły prywatne w Anglii rzeczywiście zniosły u siebie egzaminy, ale właśnie te szkoły należą do rzędu szkół, w których zdrowa opinia publiczna upatruje „pomyślny teren myśliwski dla szarlatanów pedagogicznych," robiących niezłe interesy na bałamuceniu łatwowiernej publiczności quasi-postępowemi hasłami pedagogicznemi.

Promowanie uczniów odbywa się w Anglii zasadniczo trzy razy do roku [1]) w końcu każdego tercyału, to jest na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i około 1 sierpnia przed rozpoczęciem feryj sześciotygodniowych, w rzeczywistości jednak najpilniejsi i najpracowitsi chłopcy w wyjątkowych tylko wypadkach są w stanie przejść zadawalniająco kurs, w każdym tercyale wykładany i bywają zazwyczaj promowani tylko dwa razy do roku. Promowanie odbywa się nie inaczej jak na podstawie egzami-

[1]) Liczba i rozkład klas w angielskich szkołach publicznych przedstawia się w ogólnych zarysach w sposób następujący: Oddział przygotowawczy (od 8 do 11 lat) liczy trzy klasy, III-ą, II-ą i I-ą; oddział młodszy (od 11 do 14 lat) również trzy, zwane *junior*, *middle* i *upper*, często też czwartą przejściową, zwaną *remove* albo *streli*. Średni oddział liczy cztery klasy: *IV junior*, *IV senior*, *V junior* i *V senior*, tudzież czasami klasę przejściową, zwaną „*The Twenty*." Wreszcie oddział starszy posiada dwie klasy *VI junior* i *VI senior*, zwane też *lower* i *upper bench*. Oprócz wydziałów klasycznego (*classical side*) i realnego (*modern side*) niektóre szkoły angielskie posiadają jeszcze specyalny wydział wojskowy (*military side*).

nów piśmiennych, czasami i na podstawie egzaminów ustnych *(viva voce)*, a że wszystkie szkoły publiczne i korporacyjne ze względów zarówno dydaktycznych, jak i pedagogicznych, zaprowadziły u siebie t. zw. *superannuation*, określający maksymalny wiek uczniów dla każdej klasy, chłopiec angielski nie może liczyć na dłuższe pozostawanie w tej samej klasie bez promocyi i musi koniecznie śpieszyć się z nauką, jeżeli nie chce narazić się na wydalenie ze szkoły z powodu przekroczenia określonego wieku.

Przeciętny uczeń angielskiej szkoły średniej zdaje egzamin mniej więcej dwa razy do roku, a oprócz tego dbały o rozwój szkoły przełożony zwykł urządzać jeszcze i w ciągu roku szkolnego próbne sprawdzanie postępów w naukach swoich uczniów przez specyalnie zaproszone komisye egzaminacyjne, złożone z ludzi, stojących poza szkołą, co ma na celu również skontrolowanie miejscowego ciała pedagogicznego. W dodatku, przy rozwiniętym systemie stypendyów, otwartych z zasady dla każdego ucznia bez względu na stan jego zamożności, ze względu na rozpowszechnione w społeczeństwie angielskiem przekonanie, że uczeń od najmłodszego wieku powinien starać się o wyciągnięcie bezpośredniej korzyści z pobieranej nauki,[1]) chłopiec angielski bardzo często nie może oprzeć się pokusie stanięcia i do wyścigu egzaminacyjnego w celu zdobycia stypendyum (*scholarship*). Dodajmy do tego zdawanie egzaminów w komisyach egzaminacyjnych lub przed *Joint Board*'em, a śmiało powiedzieć będziem mogli, że pobyt młodego Anglika w szkole średniej jest właściwie jednem nieprzerwanem pasmem egzaminów.

Nic więc dziwnego, że w angielskich kołach naukowych zaczęto zastanawiać się poważnie nad pytaniem, czy niewątpliwe korzyści systemu egzaminacyjnego opłacają jego nieuniknione wady i braki. Wprowadzenie egzaminów rządowych zmusiło szkoły średnie do ujednostajnienia programów i poddania się pod wymagania uniwersytetów, które dzięki temu zaczęły wywierać wpływ bardzo poważny na cały system szkolnictwa średniego.[2]) Z dru-

[1]) *J. J. Findlay l. c.* str. 20: „Die Eltern eines begabten Schülers denken, sie werden um ihr Recht betrogen, wenn der Sohn nicht von Anfang bis zur Erlangung eines „degree" an einer Universität einige hundert L. verdient."

[2]) Por. *Ereul* w *Baumeister's Handbuch der Erziehungs- und Unterrichtslehre für höhere Schulen*, 1897, t. I, cz. 2, str. 827. To samo dla szkolnictwa średniego w Stanach Zjednoczonych stwierdza *Brown* w *Butler's Education in the United*

giej strony szkoła średnia stała się wprost zależną od szkoły wyższej, ograniczając się tylko do przygotowania swoich wychowańców do wyższych zakładów naukowych. System egzaminacyjny zrobił ze szkół średnich wyłącznie tylko pepiniery uniwersyteckie, i szkoła średnia straciła możność poszukiwania nowych dróg w zakresie nauczania i wychowania; egzaminowanie uczniów stało się głównem zadaniem szkoły średniej.

Nic więc dziwnego, że w samej Anglii dają się czasem słyszeć głosy, zarzucające szkołom średnim zaniedbanie wychowania i nauczania i poświęcenie właściwych zadań szkolnictwa na ołtarzu bezwzględnego systemu egzaminacyjnego. Zaznaczyć jednak należy, że zarzuty te dotyczą nie samej zasady, ale sposobów jej wykonywania i dążą do wprowadzenia egzaminów ustnych obok dotychczasowych wyłącznych egzaminów piśmiennych; zarzuty te nie mają nic wspólnego z żądaniem zniesienia egzaminów a nawet nauki wogóle, jakie w ostatnich czasach od naszych „znawców szkoły angielskiej“ słyszeliśmy w Warszawie.

System egzaminacyjny w tej formie, w jakiej został zaprowadzony w angielskiej szkole średniej, wpłynął niewątpliwie dodatnio na ogólny poziom szkolnictwa w tym kraju i po dziś dzień jeszcze, zdaniem poważnej opinii angielskiej, przynosi korzyść namacalną. Dzięki staranmemu wyborowi egzaminatorów, powoływanych nie z pośród nauczycieli, a jednak stojących ze szkołą w bezpośredniej styczności, jakimi są t. zw. *university fellows* [1]), układane przez nich tematy egzaminacyjne służą nietylko do sprawdzenia stanu wiedzy u uczniów, lecz i do wskazywania nauczycielom najważniejszych kwestyj samego wykładu, a wyczerpujące sprawozdania o wynikach egzaminów, ogłaszane przez delegacye i syndykaty tudzież *Joint Board*, dają możność zarówno pedago-

States, 1900, t. I, str. 164: „the most powerful single agency affecting the course and method of instruction in the better higher schools as in the academies, was for many years the entrance examination of the several colleges.“

[1]) W Oxford i Cambridge „fellow“ oznacza członka uniwersytetu, który otrzymał wyższe stopnie naukowe lub też zdał specyalny egzamin i bierze udział w zarządzie i dochodach tego College, do którego został zapisany. „Fellows“ otrzymują mieszkanie w gmachu uniwersyteckim i pensyę roczną od L. 200 do L. 250, przyznawaną im na lat siedem, podczas których obowiązani są przygotować się do zajęcia katedry uniwersyteckiej. Są to więc niejako asystenci przy profesorach, po części nawet coś w rodzaju „privat-docentów“ na uniwersytetach niemieckich.

gom, jak i szerszej publiczności dokładnego oryentowania się w zasadniczych kwestyach. Pociąga to niewątpliwie żywe zainteresowanie się ogółu sprawami szkolnictwa i prowadzi do umiejętnej i fachowej kontroli społeczeństwa nad szkołą.

Ale zbyt wielka ilość egzaminów w angielskiej szkole średniej, i co najważniejsza, brak jednolitości w wymaganiach poszczególnych komisyj egzaminacyjnych pociąga za sobą trudność opracowania konsekwetnie obmyślanego planu wykładów i nieuniknione zrywanie ciągłości zajęć w szkole przez coraz to nowe egzaminy, pociągające za sobą konieczność specyalnego przygotowywania do nich uczniów szkół średnich.

Z tego więc względu w społeczeństwie angielskiem coraz bardziej przeważać zaczyna przekonanie o konieczności zastąpienia dzisiejszego systemu komisyj egzaminacyjnych systemem bezpośredniego stwierdzania stopnia zdatności uczniów szkół średnich do przyszłej pracy w szkole wyższej. Ograniczenie ilości egzaminów *extra muros* do najważniejszych tylko przedmiotów, wymaganie od uczniów znajomości raczej metody niż faktów, przedewszystkiem zaś żądanie od egzaminatorów zdolności oryentowania się co do rzeczywistej zdatności kandydatów do pracy w ich dalszem życiu — oto są postulaty dzisiejszej poważnej opinii angielskiej w dziedzinie szkolnictwa średniego.

Pomijając szczegóły techniczne, ściśle związane z dzisiejszym ustrojem angielskich szkół publicznych, podkreślić należy fakt, że opinia ta wypowiedziała się już stanowczo za nadaniem pewnym egzaminom mocy bezwzględnie obowiązującej, to jest przyznania wychowańcom szkół średnich, którzy je złożą, prawa wstępu do wszystkich wyższych zakładów naukowych bez wyjątku, kiedy dziś prawo wstępu do tego lub innego wyższego zakładu naukowego zależy od zdania egzaminu w tej czy innej komisyi. Innemi słowy chodzi tu o nic innego, jak tylko o nadanie uczniom kończącym szkoły publiczne „praw rządowych“ w całej ich pełni, tych samych przywilejów szkolnych, w których kilka lat temu zupełnie na seryo upatrywano u nas największe zło, jakie w szkolnictwie spotkać się może.[1])

[1]) Z zabierających głos w sprawie szkolnej przed dwoma laty zbyteczność przywilejów szkolnych, nawet w dziedzinie powszechnej powinności wojskowej, najoryginalniej uzasadniano w „Kuryerze Warszawskim“ z d. 8 sierpnia 1905 r. № 217. „Wojna rosyjsko-japońska — pisał autor artykułu — wykazała dowodnie, że każdy bez wyjątku szeregowiec, jeżeli ma być na-

Początek w tym kierunku został już zrobiony przez zaprowadzenie t. zw. „wyższych świadectw“ *higher certificates)*, wydawanych przez komisye *Joint Board*'u, a idąc po tej drodze, Anglia dąży wprost do zaprowadzenia u siebie w całej rozciągłości t. zw. „systemu uwierzytelniającego“ *(accrediting system)*, zaprowadzonego w większości stanów Ameryki Północnej z inicyatywy władz uniwersyteckich w Michigan.[1])

Istota systemu uwierzytelniającego w Stanach Zjednoczonych polega na tem, że wyższe zakłady naukowe rozmaitego typu, począwszy od uniwersytetów, a kończąc na specyalnych wyższych szkołach technicznych, za wspólnem porozumieniem się pomiędzy sobą, uznają świadectwa ukończenia pewnej szkoły średniej za równoznaczne ze zdaniem egzaminu wstępnego, wzamian za poddanie się danej szkoły pod kontrolę i inspekcyę specyalnej władzy szkolnej. Innemi słowy, i mówiąc językiem bardziej dla nas zrozumiałym, przy systemie uwierzytelniającym „świadectwo dojrzałości szkoły średniej z prawami“ otwiera wrota do wszystkich zakładów naukowych.

W r. 1896 system ten objął na terytoryum Stanów Zjednoczonych kilkadziesiąt uniwersytetów i instytutów politechnicznych i przeszło 150 innych wyższych zakładów naukowych technicznych, handlowych i rolniczych [2]); system ten zbliżył znacznie amerykańską szkołę średnią ze szkołą wyższą, zwalniając zarówno nauczy-

---

prawdę użyteczny w boju, musi posiadać pewną ilość wiadomości ogólnych i fachowych, że ma być potrosze i strategikiem, i statystą (?), pontonierem (?), topografem, a nawet elektrotechnikiem... Uznało ten fakt niezbity ministeryum wojny, i za jego inicyatywą ma być zaprowadzone w państwie powszechne nauczanie obowiązkowe. „A skoro projekt ministeryum stanie się faktem dokonanym, wówczas okres służby wojskowej znakomicie będzie skrócony. *Wówczas też przywileje szkolne w stosunku do służby wojskowej stracą oczywiście wszelką rację bytu.*“ Przykład Anglii i Stanów Zjednoczonych jest najlepszym dowodem, jak błędnem i zasadniczo niezgodnem z rzeczywistym stanem rzeczy jest całe to dowodzenie.

[1]) Należy zwrócić uwagę, że kolonie angielskie (Australazya, Nowa Zelandya i Kanada) i na tem polu już dawno wyprzedziły prawodawstwo metropolii, wprowadzając do swoich szkół amerykański system uwierzytelniający w całym jego zakresie.

[2]) *Ellmer Ellsworth Brown* w *Butler's Education in the United States*, 1900, t. I, str. 165. Por. także *Charles Herbert Thurber* w *Baumeister's Einrichtung und Verwaltung der höheren Schulwesens in den Kulturländern von Europa und in Amerika*, 1897, str. 592.

cieli, jak i uczniów od nieustającej myśli o wymaganiach egzaminacyjnych i dał możność szkole średniej zwrócenia większej, niż dotychczas uwagi na jej właściwe zadania, to jest na sprawy nauczania i wychowania.

Ale w danym wypadku szkoła wyższa, obdarzając bezwzględnem zaufaniem szkołę średnią, musi mieć przeświadczenie, że nauka stoi w niej dzisiaj i stać będzie w przyszłości na odpowiednim poziomie, a przeświadczenia takiego może nabrać tylko z biegiem czasu przez poddanie szkół średnich nieustającej kontroli i inspekcyi w najszerszem znaczeniu tego słowa, począwszy od przeglądania robót piśmiennych lub zadawania pytań ustnych, a kończąc na dokładnem zbadaniu organizacyi, metod nauczania i jego wyników, wreszcie stosunków finansowych i hygienicznych w danej szkole. Przy tego rodzaju inspekcyi można powiedzieć, że egzaminowi podlega szkoła *in corpore*, nie zaś poszczególni jej uczniowie: egzamin ten polega na zbadaniu żywotności, energii i ogólnej skuteczności wykładów, przyczem doskonałość jednego działu nie stanowi jeszcze dostatecznego tytułu do „upaństwowienia“ świadectwa dojrzałości, jeżeli w innych działach inspekcya szkolna wykaże pewne zaniedbania albo braki.

System uwierzytelniający rozwinął się w Stanach Zjednoczonych głównie dla tego, że dążenie do ujednostajnienia szkolnictwa wypływa z ducha demokratycznego, którym w wysokim stopniu ożywieni są Yankesi.[1]) Tymczasem arystokratyczny indywidualizm angielski, uznając potrzebę takiego ujednostajnienia, daleko trudniej godzi się z niwelującemi dążnościami w organizacyi szkolnictwa. Wprowadzenie systemu uwierzytelniającego do wszystkich angielskich szkół jest wszakże już tylko kwestyą czasu. Na mocy praw 1870 i 1902 r. inspekcya została zaprowadzoną we wszystkich szkołach ludowych, pozostających dotychczas pod wyłącznym wpływem gmin wyznaniowych[2]), dzisiejszy zaś *Joint Board* (to jest połączona komisya Oxfordu i Cambridge) nie tylko egzaminuje uczniów szkół średnich i wydaje im odpowiednie świadectwa, ale też, oprócz tego, przez swoich inspektorów, mianowanych z pomiędzy docentów i asystentów uniwersyteckich (t. zw. *University fellows*) sprawuje zwierzchnią kontrolę i nadzór nad temi szkołami, które dobrowolnie poddały się takiej kontroli.

[1]) Por. *Leobel. Die Grundzüge des Unterrichts- und Erziehungswesens in den Vereinigten Staaten von Nordamerika.* 1906, str. 33.

[2]) *Elementary Education Act* 1870 (33 i 34 Vict. c. 75) i *Education Act* 1902 (2 Edw. VII c. 42).

BIBLIOTEKA CZYTELNI KATOLICKIEJ we Lwowie.

Zadanie inspektorów *Joint Board*'u polega: 1) na zaznajamianiu się z warunkami i potrzebami szkół średnich, z programem wykładanych przedmiotów i z ich podziałem na klasy, a także z rozkładem lekcyj w poszczególnych klasach, 2) na badaniu urządzeń szkolnych i pomocy naukowych, w tej liczbie internatów, placów do gry, warsztatów, sal gimnastycznych i t. p. i 3) na wglądaniu w działalność szkoły i w jej życie, asystowaniu przy lekcyach i czynieniu uwag w przedmiocie nauczania i regulaminu szkolnego.[1])

Wreszcie w r. 1900 nowoutworzonemu ministeryum oświaty *(Board of Education)* nadane zostało prawo inspekcyi rządowej względem wszystkich szkół średnich, pragnących otrzymać tytuł „szkół, uznanych przez państwo“ *(recognised schools);* inspekcya ta ma na celu „stwierdzenie charakteru nauczania w szkole, tudzież istoty zarządzeń, dotyczących nauczania i hygieny szkolnej,“ [2]) w terminach, ustanowionych za wspólnem porozumieniem się z ministeryum skarbu. Ministeryum oświaty prawa swoje, dotyczące kontroli i inspekcyi szkolnictwa średniego z powodu braku odpowiednich organów, przelewa na *Joint Board* z tem wszakże zastrzeżeniem, że wydział administracyjny inspekcyi znajdować się będzie w rękach ministeryum. Już w 1901 r. 52 szkoły średnie, w tej liczbie kilka prywatnych, poddały się pod inspekcyę Joint Boardu, i liczba takich szkół wzrasta z każdym rokiem.

Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że we współczesnem szkolnictwie angielskiem zasada „praw rządowych“ wzięła już stanowczo górę nad dawniejszym systemem egzaminacyjnym, a reforma tego rodzaju wniosła niewątpliwie do angielskich szkół publicznych to ujednostajnienie programów i celów wychowawczych,

[1]) Por. *Articles of Agreement between the Schools Examination Delegacy and Syndicate of Oxford and Cambridge respectively.* Nov. 8, 1873: „1) to acquaint it self through its inspectors, with the circumstances and aims of the school, and to consider its arrangements in relation to these, especially in regard to the grading and size of the classes, and the distribution of subjects in the time table, 2) to examine the school buildings and apparatus of all kind, including boarding houses, playgrounds, workshops, gymnasium etc., 3) to look into the actual working of the school, hear lessons given by the staff and criticise the order of the classes“ (por. *Sonnenschein's Cyclopaedia of Education*, 1906, str. 248).

[2]) *Board of Education Act* 1900 (62 i 63 Vict. c. 15): „for the purpose of ascertaining the character of the teaching in the school and the nature of the provisions made for the teaching and health of the scholars.“

na którego brak uskarżali się tak często uczeni i pedagogowie angielscy. Dlatego też powoływanie się naszych „znawców szkoły angielskiej“ na przykład Anglii, która wysoki stan swego szkolnictwa zawdzięcza jakoby temu, że przywileje szkolne są w niej zupełnie nieznane, dowodzi tylko—zarówno w tym, jak i w wielu innych wypadkach, zupełnej nieznajomości angielskich stosunków szkolnych i niezrozumienia zasadniczych podstaw organizacyi tamtejszego szkolnictwa.[1])

III.

Nie ograniczając się na uznaniu przywilejów szkolnych za niepotrzebne i zbyteczne, starano się w dodatku przekonać społeczeństwo nasze o ich szkodliwości dla prawidłowego rozwoju szkolnictwa, zarówno z pedagogicznego, jak i z ogólnego etycznego punktu widzenia, albowiem „uczeń powinien uczyć się dla nauki, nie zaś dla korzyści, jaką z niej w przyszłości będzie mógł wyciągnąć.“ I w tym wypadku powoływano się również na przykład szkolnictwa angielskiego, nieznającego jakoby zupełnie przywilejów szkolnych; i w tym wypadku stwierdzano również z niemniejszą, niż w poprzedniej kwestyi, nieznajomością rzeczy, że społeczeństwo angielskie całą organizacyę swojego szkolnictwa oparło wyłącznie tylko na idealnych motywach z zupełnem pominięciem wszelkich względów praktyczno-utylitarnych.

Jak dalece pogląd powyższy na szkolnictwo angielskie jest zasadniczo sprzeczny z rzeczywistością, o tem przekonać nas mo-

[1]) Za koniecznością takiej reformy wypowiadali się od dawna najznakomitsi uczeni i pedagogowie angielscy. Już piętnaście lat temu pisał w tej kwestyi dzisiejszy przełożony znanej w całym świecie cywilizowanym i jednej z najstarszych szkół publicznych szkoły w Eton, d-r Llewellyn Smith: „organised science schools must cease to mean schools organised for the earning of grants, and individual examination, as a method of assessing grants, must give way to efficient inspection (*Acland and Smith* l. c. str. 304). W tym samym kierunku pisał w r. 1897 profesor uniwersytetu oxfordzkiego, Breul: „im ganzen hält man dafür, dass das Prüfungswesen auch in Zukunft vorwiegend den Universitäten zu überlassen, dass Vereinfachung, aber nicht Einförmigkeit anzustreben sei, und die verschiedenen Prüfungskörper möglichst ihre Zeugnisse unter einander anerkennen möchten (w *Paumeisters Handbuch der Erziehungs- und Unterrichtslehre*, t. I cz. 2, str. 827).

że pobieżne bodaj zapoznanie się z angielskim systemem stypendyalnym *(scholarschips system)*, nazwanym słusznie przez jednego z wybitnych pedagogów angielskich *(J. J. Findlay)* „osią, około której obraca się w Anglii całe szkolnictwo średnie.“ Co więcej, dzięki konsekwentnemu stosowaniu tego systemu, opartego na zasadach najczystszego utylitaryzmu, Anglia zmierza powolnemi krokami do urzeczywistnienia tak pożądanej w teoryi, ale tak trudnej do przeprowadzenia w praktyce zasady powszechnego bezpłatnego nauczania w zakresie szkoły średniej, przynajmniej dla najzdolniejszej i najpracowitszej młodzieży w wieku szkolnym.[1])

W przeciwstawieniu do naszych zapisów na cele stypendyalne, mających na celu ułatwienie uboższym uczniom możności kształcenia się przy pomocy materyalnej społeczeństwa, system angielskich *scholarships* niema nic wspólnego z filantropią czy dobroczynnością publiczną[2]), lecz stoi w ścisłym związku z ogólnemi zasadami prawidłowego systemu wychowawczego, uwzględniającego w życiu szkolnem potrzebę i konieczność zarówno kar jak i nagród.

Praktyczny umysł rasy anglo-saksońskiej zrozumiał bardzo dobrze, że z zasadniczego punktu widzenia etyki nauka, jak każda praca w ogóle, powinna być wynagradzaną, a, biorąc rzeczy praktycznie, naród, który zapomniałby o tej zasadzie, naraża się na niebezpieczeństwo cofnięcia swojej kultury na długie lata. Idealne motywy uczenia się dla samej nauki, nie zaś ze względu na korzyść, jaką z niej osiągnąć można, należą do rzędu tych szlachetnych porywów, które dla znakomitej większości przeciętnych umysłów nie będą miały żadnego praktycznego znaczenia. Przedewszystkiem zaś motywy takie nie mogą nigdy grać roli decydującego impulsu w młodym wieku, gdyż wiek ten szuka właśnie bezpośredniego związku przyczyny ze skutkiem w najbliższej teraźniejszości, nie zaś w dalekiej przyszłości.

[1]) Już w wieku XVI znakomity pedagog angielski, *Richard Mulcaster*, przełożony dziś jeszcze istniejących Merchant Taylors a potem S-t Pauls School znajdował, że szkoły nie mogą być zakładami dobroczynnemi, a stypendya winny stanowić zachętę do nauki i do cnoty, dla zamożnych uczniów w postaci nagrody, dla ubogich zaś, jako środek utrzymania (Por. *Parmentier Histoire de l'éducation en Angleterre*, 1897, str. 64).

[2]) *Llewellyn Smith Secondary Education in London (Boys)* w *Acland and Smith* l. c. str. 179—185.

Uczeń ma prawo żądać, aby jego praca, jego wysiłek umysłowy przyniosły mu ekwiwalent w postaci nagrody, uwarunkowanej stopniem napięcia energii, zużytej na wykonanie pewnej pracy, i doniosłością otrzymanych wyników. Niesłusznem więc byłoby pozbawiać go tego, do czego ma bezwarunkowo prawo nabyte, pozostawiając mu jedynie poczucie spełnionego obowiązku. Zadowolenie takie dziecko jest zdolne odczuć zaledwo w bardzo słabym stopniu; zresztą jeżeli uczucie to nie stanowi decydującego impulsu postępowania nawet w wieku późniejszym, to nie można tembardziej liczyć nań dużo w tym wieku, w którym dopiero zaczynają tworzyć się i kształtować rozmaite kategorye uczuć moralnych.

Niezależnie od tych względów, czysto teoretycznych, nie należy też zapominać o tem, że życie jest ciągłą walką o byt, w której zwycięża osobista energia, praca i dzielność charakteru, przezwyciężająca napotykane po drodze trudności. Trzeba więc dążyć do popierania i zachęcania tych jednostek, które są zdolne do życia i do walki, trzeba więc im—ale tylko im—dopomagać, w miarę sił i możności, do wybicia się ponad zwykły poziom szarego tłumu, aby podtrzymać w społeczeństwie hart ducha i woli.

Na tych właśnie zasadach opiera się angielski system stypendyów zarówno w szkołach średnich, jak i w szkole wyższej. Angielskie *scholarship* jest niczem innem, jak zwykłą nagrodą pieniężną, mającą na celu zachęcenie obiecującego chłopca do zostania wzorowym uczniem przez zapewnienie mu pewnej realnej bezpośredniej korzyści [1]). Przyznać też trzeba, że społeczeństwo angielskie w zupełności zdaje sobie sprawę z ciążącego na niem obowiązku względem młodzieży, rokującej nadzieje na przyszłość, i od młodzieży takiej nie żąda żadnych innych kwalifikacyj, oprócz zdolności, pracowitości i prawości charakteru i nie zwraca zupełnie uwagi na stan majątkowy ucznia, stającego do konkursu na otrzymanie stypendyum.[2])

[1]) Por. raport komisyi lorda Tauntona (*Schools Inquiry Commission* 1864): „One great service which was rendered to this country by the grammar schools was that so many boys of more than ordinary capacity found in them the means of rising to eminence in all professions. Our history is full of names of men, who have risen by their learning, and not a few from comparative obscurity“ (Zob. *Acland and Smith* l. c. str. 31).

[2]) „An inquisition on the part of school authorities into the means of a scholar's parents would be intolerable.“ (*G. R. Benson. Recent Progress in England.* Tamże, str. 83, por. *Röttgers* l. c. str. 28.)

Stypendya angielskie—z wyjątkiem stypendyów, tworzonych w ostatnich czasach na mocy ustawy z dnia 16 czerwca 1904 r.— zawdzięczają swoje powstanie ofiarności prywatnej i ta pomoc społeczna, dzięki której co najmniej czwarta część studentów w Oxford i Cambridge pobiera stałe stypendya od 20 do 100 funtów sterlingów rocznie,[1]) przypomina wspaniałe tradycye dawnych magnatów i książąt kościoła w wiekach średnich, z tą tylko różnicą, że społeczeństwo rozwinęło dziś swoją ofiarność jeszcze na znaczniejszą skalę.

Jeżeli w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w jednym r. 1899 zapisy prywatne na cele szkolnictwa wyniosły mniej więcej siedemdziesiąt milionów dolarów,[2]) to nie trzeba zapominać, że w Anglii, niezależnie od niezliczonego szeregu zapisów stypendyalnych, powstały w ostatnich latach dwie milionowe fundacye, a mianowicie: trust A. Carnegi'ego (1901) w wysokości 40,000 funtów ster. rocznie i trust Cecila Rhodes'a (1902), który niezależnie od stu tysięcy funtów, zapisanych jednorazowo Oriel College, zabezpieczył roczny dochód 35 tysięcy funtów na stypendya dla wychowańców uniwersytetu Oxfordzkiego. Zapisy te zawierają wyraźne zastrzeżenie, że przy przyznawaniu stypendyów należy brać pod uwagę „sprawność umysłową i fizyczną, a także względy na charakter i nadzieje, jakie dany kandydat rokuje w przyszłości,“ [3]) a „kwestye, dotyczące stanu majątkowego współubiegających się kandydatów, nie mogą być wcale podnoszone.“ [4])

Każda publiczna szkoła średnia rozporządza mniejszą lub większą ilością stypendyów, przeznaczonych dla najzdolniejszych i najpracowitszych wychowańców, nietylko podczas pobytu ich w szkole, ale i na czas studyów uniwersyteckich. Tak np. Eton

[1]) „One probably out of every four undergraduates actually in residence at either University is receiving more or less financial assistance (*Balfour* l. c. str. 238).

[2]) „An unofficial estimate of the amount given by individuals during the year 1899 for universities, colleges, schools and libraries is over 70,000,000.“ (Zob. *Butler Education in the United States*, 1900, t. I, Introduction p. XVII.)

[3]) Zob. „The Times,“ April 5, 1902: „these scholarships are to be awarded not only for intellectual and athletic capacity but also for character and promise.“

[4]) Zob. „The Standard,“ June 27, 1901: „in accordance with the expressed desire of M-r Carnegie no questions are to be raised as to the circumstances of the applicants.“

rozporządza pewną ilością stypendyów w King's College w Cambridge, a Winchester i Merchant Taylors w Londynie stypendyami w New College i S-t John's College w Oxfordzie.[1]) Nie tylko wszystkie poważniejsze korporacye uważają za swój święty obowiązek tworzenie stypendyów przy poszczególnych szkołach, ale w niektórych miastach istnieją nawet specyalne stowarzyszenia, mające wyłącznie na celu tworzenie stypendyów dla szkół średnich; takiem stowarzyszeniem jest np. *Council of Education* w Liverpoolu. Zdarzają się też wypadki, że na uroczystym akcie zamknięcia roku szkolnego bogaci przemysłowcy lub kupcy wręczają przełożonemu czeki na znaczniejsze sumy na utworzenie jednego lub kilku „scholarship'ów" w danej szkole.[2]) Stypendya takie stanowią nie doraźne wsparcia lub zapomogi, ale stały dochód roczny, przyznawany na rok, dwa, trzy, pięć lub siedem lat, a wysokość niektórych stypendyów uniwersyteckich, które zdobywać można już na ławie szkolnej, dochodzi czasami do poważnej sumy kilku tysięcy rubli rocznie (300 funt. ster. w zapisie Cecila Rhodes'a).

Stypendya w angielskich szkołach średnich są przyznawane wyłącznie w drodze piśmiennych egzaminów konkursowych (*competive examination by writing*). Z początkiem każdego kwartału kancelarya szkolna wywiesza spis wakujących stypendyów ze wskazaniem przedmiotu i warunków konkursu, tudzież maksymalnego wieku uczniów: tym sposobem o każde stypendyum mogą ubiegać się uczniowie różnych klas i różnego wieku, o ile są odpowiednio przygotowani do egzaminu. Zdobycie jednego stypendyum nie wyklucza bowiem możności ubiegania się o inne stypendyum, wolno też ubiegać się o kilka stypendyów w jednym kwartale, chociaż wobec poważnych wymagań egzaminacyjnych wypadki tego rodzaju zdarzają się bardzo rzadko. Egzamin odby-

---

[1]) Bliższe szczegóły zob. w *Cassell's Educational Year Book* 1906 i *Bisson's. Our Schools and Colleges* 1902. Dokładny spis wszystkich stypendyów zawiera rocznik p. t. *Year Book of Scholarships and Examinations at Schools, Colleges and Universities* (ed. Whittaker and Co. w Londynie).

[2]) Fakty takie przytacza *Max Leclerc* l. c. str. 165: „M-r Henry Brown en 1873 et sir Titus Salt on remis à Bradford Grammar School, chacun pour sa part, un capital de 6,000 livres dont les revenus sont employés à entretenir des boursiers aux universités. En 1899 le jour de la distribution des prix un riche marchand de Bradford a tiré de sa poche un chèque de 5.000 livres et l'a remis an headmaster pour créer de bourses..."

wa się w szkole w ściśle ograniczonym terminie, zazwyczaj w jednej klasie, w której na oddzielnych ławkach zasiadają kandydaci do poszczególnych egzaminów. Po uroczystem przemówieniu, wyjaśniającem cel i znaczenie konkursu, przełożony wywołuje kandydatów na środek klasy (*„boys for the N. scholarship come forward!“*) i wręcza każdemu z nich osobiście drukowany temat do odpowiedzi piśmiennej. Egzamin odbywa się w głębokiem milczeniu i pod najściślejszą klauzurą, nieinaczej jak w ciągłej obecności samego przełożonego. Po odebraniu wypracowań od uczniów, przełożony stawia na każdem z nich swoją cyfrę i numer kontroli, pieczętuje i odsyła do komisyi egzaminacyjnej, złożonej zazwyczaj z zamieszkałych w danem mieście specyalistów, posiadających uczony stopień uniwersytecki. Rezultat konkursu określa się, jak przy egzaminach ostatecznych i przejściowych, ilością punktów *(marks)*, uzyskanych przez kandydatów, przyczem zaznaczyć należy, że w angielskich szkołach publicznych—ku zgorszeniu naszych samobytnych reformatorów pedagogicznych, żądających wogóle zniesienia stopni—przyjęty jest powszechnie system stustopniowy, i rezultat zarówno piśmiennego egzaminu, jak i ustnej odpowiedzi w ciągu roku, wyraża się za pomocą ułamków dziesiętnych (np. 0.35, 0.64, 0.73, 0.86 i t. p.).

System powyższy, około którego obraca się właściwie całe szkolnictwo angielskie, posiada zapewne i swoje ujemne strony, na które już dawno zwrócili uwagę w samej Anglii uczeni tej miary jak Freeman lub Max Müller i pedagogowie jak Findlay lub Breul. Zapewne, że tylko dzięki systemowi *scholarship'ów* podwoje średniej i wyższej szkoły stanęły otworem dla wielu takich, którzy nie byliby nigdy w stanie przekroczyć ich o własnych siłach, i nie jedno z pierwszorzędnych nazwisk w literaturze lub nauce angielskiej zawdzięcza swój blask dzisiejszy wynikom konkursu egzaminacyjnego dla zdobycia nagrody pieniężnej, umożliwiającej dalsze kształcenie się. Ale z drugiej strony—niezależnie od nieuniknionego w takich wypadkach silnego zdenerwowania uczniów[1])—system ten pociąga za sobą niepożądany pośpiech w robocie, wyścig o zdobycie nagrody, tak dalece, że słowo *scholarship-hunting* zdobyło sobie prawo obywatelstwa w języku angielskim i stanowi do pewnego stopnia synonim słowa *scholarship-*

[1]) Por. np. opis egzaminu konkursowego w wybornej powieści szkolnej *Talbot Baines Reed'a* p. t. *The Fifth Form at S-t Dominic's*, str. 215.

cramming, t. j. obkuwania do egzaminów.[1]) Nie da się jednak zaprzeczyć, że system ten posiada przedewszystkiem znaczenie poważnego sprawdzianu wiadomości, nabytych przez uczniów w samej szkole, i że wysoki poziom nauki zawdzięczają angielskie szkoły publiczne bezwzględności i surowości wymagań, stawianych na egzaminie, tudzież specyalnej podniecie ambicyi, miłości własnej i zmysłu utylitarnego zapomocą scholarshipów.

Dodać należy, że dzięki iście królewskiej ofiarności społeczeństwa angielskiego publiczne szkoły średnie rozporządzają również licznemi stypendyami, przyznawanemi w drodze egzaminów konkursowych wychowańcom, kończącym szkoły ludowe w celu „wyławiania“ z tych szkół najlepszego materyału w uczniach i tworzenia z niego kadrów dobrej szkoły średniej. Dotyczasowa praktyka owego systemu, noszącego specyalną nazwę *„capacity catching,“* stwierdza, że znaczna większość takich stypendystów pochodzi ze względnie lepszych i zamożniejszych sfer towarzyskich, gdyż w tym wieku wpływ atmosfery domowej zdołał już zaznaczyć się o tyle, że chłopcy z rodzin ubogich i małokulturalnych, w których warunki do pracy umysłowej są nieodpowiednie, nie mogą wytrzymać współzawodnictwa ze szczęśliwszymi pod tym względem rywalami.

Angielski system stypendyalny, oparty na podstawach najczystszego utylitaryzmu, stanowi najdosadniejsze zaprzeczenie tej zasady, na której nasi niepraktyczni ideologowie pragnęliby oprzeć organizacyę szkolnictwa w naszym kraju, a której dalszem rozwinięciem są błąkające się tu i owdzie od pewnego czasu mrzonki o możliwości stworzenia u nas bezpłatnej szkoły średniej. Nie wchodząc bynajmniej w zasadnicze rozpatrywanie tej kwestyi, zaznaczyć musimy na przykładzie Stanów Zjednoczonych i Anglii, że kraje te, przodujące innym na polu cywilizacyi i kultury, dążą do tego celu wręcz odmiennemi drogami. Rozumiejąc dobrze, że poczucie spełnionego obowiązku nie może zastąpić bezpośrednich wyników, do których ma prawo każdy, kto pracę w jakiejkolwiekbądź postaci wykonywa, duch rasy anglo-saksońskiej przenosi to zrozumienie natury ludzkiej i do dziedziny szkolnictwa i opiera na niej całą jego organizacyę, zarówno, jak i cele tudzież środki działania. Nic więc dziwnego, że na akcie uroczystym

1) Por. ciekawą polemikę w tej kwestyi w artykule p. t. *The Sacrifice of Education to Examination* w *Nineteenth Century* 1888 November, str. 617 i nast. a także u *Findlay'a* l. c. str. 20 i u *Bremla* l. c. str. 284 i nast.

z powodu zamknięcia roku szkolnego w prywatnych szkołach angielskich rozdawane są najlepszym uczniom nagrody nietylko w książkach (podług wyboru ucznia), lecz i w banknotach i czekach od jednego do pięciu funtów, a „does it pay?“—czy się to opłaci?—stanowi pierwsze pytanie, które zadaje sobie przeciętny chłopiec angielski już na ławie szkolnej, pytanie, które jest dla niego drogowskazem i na dalszej drodze jego żywota.

System ten niewątpliwie grzeszy przesadą i jednostronnością i jak każde dzieło rąk ludzkich, posiada i posiadać musi swoje wady i braki, w każdym razie jednak angielski ultra-utylitarny pogląd na cele i zadania szkolnictwa, jako wypływający z dokładnego zrozumienia i odczucia psychologii ogólno ludzkiej, bardziej zbliżonym jest do bezwzględnej prawdy, niż podjęte u nas usiłowania zorganizowania szkolnictwa na zasadzie nauki dla nauki, a nie dla bezpośrednich korzyści, jaką z nauki wyciągnąć można i trzeba.

A w każdym razie zasada, głoszona przez naszych ideologów i marzycieli pedagogicznych stoi w rażącej sprzeczności z zasadą ultra-utylitaryzmu, przenikającą całe współczesne szkolnictwo angielskie, zasadą, która znajduje swój wyraz zarówno w systemie stypendyalnym, jak i w metodach nauczania.

Uznając rezultat pracy za jedyne kryteryum, jedyny sprawdzian rzeczywistej wartości ucznia pod względem naukowym, publiczna szkoła angielska nietylko stawia poważne wymagania egzaminacyjne, lecz i w dziedzinie metody nauczania wychodzi z tego punktu widzenia, że zbyteczne, poza koniecznemi granicami ułatwianie uczniom nauki, a tembardziej traktowanie jej jako zabawki czy rozrywki, nie może stanowić odpowiedniego przygotowania do walki o byt, oczekującej chłopców po opuszczeniu szkoły.

Wiadomo, że ze wszystkich krajów europejskich metoda froeblowska znalazła najszersze zastosowanie na gruncie angielskim, ale też w żadnym kraju nie istnieje tak wyraźna, jak w Anglii, linia demarkacyjna pomiędzy systemami nauczania w wieku przedszkolnym i w wieku szkolnym. Z chwilą wstąpienia do szkoły publicznej zaczyna się w życiu angielskiego dziecka nowy okres, mający na celu wdrożenie go do systematycznej pracy, traktowanej jako poważny wysiłek umysłowy.

Stąd też metody nauczania w angielskiej szkole średniej tchną do pewnego stopnia surową bezwzględnością. Szkoła ta stawia każdy przedmiot odrazu na poważnej stopie i wymaga od ucznia poważnego natężenia sił umysłowych, wykreślając stanowczo z na-

uki wszelki czynnik zabawy. Dla tego też w publicznej szkole angielskiej, szczególniej w klasach niższych, tak wielką rolę odgrywają podręczniki (*text-books*), nawiasem mówiąc, pod każdym względem wzorowe, począwszy od treści, a kończąc na zewnętrznej szacie typograficznej. Nie za pomocą luźnych pogadanek lub mniej czy więcej usystematyzowanego wykładu, ale przez bezpośrednie zasadzenie ucznia do książki dąży publiczna szkoła angielska do wyrobienia w młodzieży samodzielności w pracy,— i w niższych klasach rola nauczyciela ogranicza się przeważnie do wysłuchiwania lekcyj, zadanych na dzień następny, przy niezbędnem prostowaniu wiadomości źle nabytych lub nieprawidłowo pojętych.

System taki wymaga naturalnie odpowiedniego przygotowania i wyszkolenia personelu nauczycielskiego, tembardziej, że ocenianie wiadomości uczniów odbywa się na zasadzie systemu stustopniowego, ale też w dziedzinie rolnictwa, wojskowości lub szkolnictwa Anglia — jak zresztą każdy kraj cywilizowany — trzyma się wręcz odmiennych poglądów od tych, na jakich zupełnie na seryo proponowano oprzeć u nas organizacyę szkół prywatnych, a których treść polega na tem, że „jak każdy Czech jest kupcem lub muzykantem, tak każdy Polak zdaje się być urodzonym żołnierzem, rolnikiem albo bakałarzem.“ [1])

Nie wdając się bynajmniej w krytyczny rozbiór przyjętej w angielskiej szkole publicznej metody nauczania, opartej prawie wyłącznie na uczeniu się z podręczników, zaznaczyć w każdym razie należy, że cechującą młodzież angielską samodzielność zarówno w pracy naukowej, jak i w życiu praktycznem, przypisuje opinia publiczna po tamtej stronie kanału przyzwyczajeniu dzieci od ławy szkolnej do wyszukiwania na własną rękę potrzebnych wiadomości zamiast — jak się to u nas dzieje — przeżuwania gotowego materyału, podanego bardzo często w lekkiej formie pogadanki nienaukowej lub w najlepszym razie małonaukowej i przyzwyczajeniu się do wierzenia *in verba magistri*. Niebywały rozwój czytelnictwa i zamiłowanie do czytania, tak silnie rozwinięte w krajach rasy anglo-saksońskiej stoi w ścisłym związku z metodą nauczania, która na pierwszym planie stawia konieczność „zgryzienia“ najtrudniejszej bodaj książki o własnych siłach, bez cudzej pomocy.

Nieda się zaprzeczyć, że system ten z łatwością zamieniłby się na szereg mechanicznych środków bezdusznej i bezmyślnej

[1]) „Kuryer Warszawski“ z d. 3 września 1905 r. № 243.

tresury, gdyby nie szły z nim w parze właściwe rasie anglo-saksońskiej zamiłowanie do sportów tudzież podniosły duch etyczny i narodowy, przenikający szkołę angielską od dołu do góry. Z rzeczywistem znaczeniem tych dwóch czynników w ogólnej organizacyi szkolnictwa średniego w Anglii spotkamy się w następnym dziale, poświęconym rozpatrzeniu zasadniczych podstaw karności w publicznej szkole angielskiej.

Bronisław Bouffałł.

Sztuka we Francyi.

(Znaczenie nowych kierunków malarskich i ich pochodzenie).

Gdy rzucimy okiem na produkcyę sztuki francuskiej lat ostatnich, zauważymy z łatwością, że cechą jej główną jest zupełny brak jednolitości, brak linii przewodniej, która, skupiając w sobie właściwości zasadnicze rozmaitych prądów i kierunków, mogłaby dać jej wyraz ogólny i przyczynić się do wytworzenia znamiennego charakteru twórczości artystycznej nowożytnego okresu.

Wszystkie kierunki, wszystkie maniery, począwszy od najwięcej przestarzałych do jeszcze nieuznanych, mają swoich adeptów i przedstawicieli wśród współczesnych artystów francuskich.

Przyjrzawszy się bliżej ich dziełom, przekonamy się jednak, iż, pomimo tych różnic, często krańcowych, wszystkie one uległy pewnym wspólnym wpływom, których charakter i pochodzenie postaramy się tutaj zbadać.

U tych z pośród artystów dzisiejszych, którzy nie zamknęli się w ciasnych granicach formułki, najwyraźniejszym jest przedewszystkiem wpływ naturalizmu i impresyonizmu, tych dwu kierunków, które w ciągu ubiegłego stulecia wniosły w sferę sztuki malarskiej nowe pojęcia, wzbogaciły ją nowym zasobem nieznanych dotąd środków wyrażenia się. Tak naturalizm (lub realizm), jak i impresyonizm, pomimo swych licznych i entuzyastycznych zwolenników, jako kierunki odrębne, zaczynają się przeżywać. Jeden i drugi zdobył sobie prawo bytu zaciętą walką przeciw rutynie szkolnej, przeciw duchowi naśladownictwa i konwencyonalizmu, oraz niewzruszonym zasadom, któremi źle zrozumiana tradycya krępowała swobodny polot talentów.

Impresyonizm — wynik i konsekwencya naturalizmu — stał się jednocześnie, obok symbolizmu i neo-romantyzmu, reakcyą

przeciw jego nadużyciom, ale, ulegając nieuniknionemu prawu, popadł też sam wkrótce w przesadę i wyłączność.

Dla lepszego zrozumienia sztuki ostatniej doby i uzupełnienia jej charakterystyki, wypadnie nam tedy cofnąć się nieco wstecz do chwili powstania tych kierunków, wśród których znajdziemy najwybitniejszych przedstawicieli nowożytnego malarstwa, tak zresztą nam bliskich, że wielu z nich, dziś jeszcze żyjących, lub zaledwie zgasłych, zaliczyć należy do współczesnych.

Stan obecny sztuki malarskiej, pomimo głośnych konfliktów, gwałtownych walk, nie jest wynikiem rewolucyi, lecz ewolucyi ściśle konsekwentnej, która, nie zrywając bynajmniej z wysoką tradycyą minionych wielkich epok, nie odrzucając ich potężnego dorobku i doświadczenia, posunęła tę sztukę o wiele naprzód, przez rozszerzenie widnokręgu pojęć i zastosowaniu nowych technicznych udoskonaleń, do których przyczyniły się nie mało ostatnie odkrycia naukowe. Ewolucya ta znalazła sobie drogę najpierw w pejzażu, który, jako rodzaj odrębny, jest prawdziwym wytworem XIX wieku. Tu różnice są najwyraźniejsze, postępy tak wielkie, że ich najzawziętszy przeciwnik nowoczesności zaprzeczyć nie może. Według pojęć dawniejszych pejzaż służyć mógł tylko, jako akcesoryum, gdy takowego wymagał temat obrazu. Traktowany sam dla siebie, był on uważanym za rodzaj pośledni, ale i wtedy jeszcze musiał służyć mitologii, lub historyi, aby mieć prawo zaliczenia do rzędu utworów sztuki. Uprawiano go też sztucznie, starając się upiększyć naturę, przez usunięcie z malowanych widoków wszystkiego, co mogłoby się wydawać zbyt pospolitem — zmieniano naturalny układ linij, poprawiano kształty drzew; chłopów i żebraków ubierano w teatralne stroje, kształty i ruchy zwierząt nawet dostrajano do obowiązującego pojęcia o pięknie, którego w przyrodzie nie umiano się dopatrzeć.

To też pejzaż w tem sposób „uszlachetniony,“ mając tak mało wspólności z prawdziwą przyrodą, którą miał przedstawiać, stał się zimnym, konwencyonalnym, sztucznym. Malowano go wedle z góry ustanowionych szablonów w pracowni, nie patrząc nawet po większej części na naturę. Pierwsi Holendrzy i Flamandczycy, dzięki swej umysłowości realnej, wprowadzili do pejzażu pierwiastki prawdy i, jak wiadomo, w scenach z życia ludu, do których takowy służył im za tło, posunęli naturalizm do jego ostatecznych granic. Ale obserwacya natury i jej efektów była i u nich jeszcze bardzo powierzchowną, swobodna gra barw w pełnem świetle, powietrzność, jest im nieznaną; pejzaże ich są ciemne, rysunek i układ, pomimo poszukiwania prawdy, nie jest wol-

nym od konwenencyonalności, chociaż jej charakter jest inny, bardziej do natury zbliżony.

We Francyi Poussin (1594 — 1665) i Claude Lorrain (1600 — 1682) okazali w swych pejzażach „historycznych," względnie do ówczesnych pojęć, najwięcej poczucia natury, u Watteau i Lancreta również znajdujemy takie poczucie, podniesione poetycznym sentymentem. Wpływ ich, może niezupełnie świadomy, widzimy u pierwszego prawdziwego pejzażysty w stylu nowożytnym — *Corota*. W chwili, gdy romantycy, poparci potęgu geniuszu Delacroix, borykali się z panującym jeszcze pseudo-klasycyzmem szkoły Davida i Ingres'a, Corot, nie dla opozycyi i walki, lecz ulegając własnym skłonnościom, stopniowo uwolnił pejzaż od narzuconych mu więzów i formułek. Nie wyrzekł się on całkowicie pewnych form, których wymagały kanony akademickie, w pejzażach jego spotykamy jeszcze satyrów, nimfy i bohaterów, ale wobec efektów prawdziwych, szczerego uczucia, nieuchwytnego czaru poezyi jego obrazów, te pozostałości minionych pojęć nietylko niczem nie przypominają rutyny, nie rażą, ale przeciwnie, łącząc się z harmonią całości, podnoszą jej wyraz lekkiej i zwiewnej melancholii.

Zamiast swawolnych korowodów bajecznych pasterek, lub dryad, pląsających w cieniu rozkosznych gajów, nad brzegiem opalowych wód jeziora, które wysnuła poetyczna wyobraźnia Corota, *Millet* do swych poważnych, surowych, często tragicznych nastrojów wprowadza już człowieka zwyczajnego, chłopa w prawdziwym jego charakterze, przy pracy na roli, ciężkiej i znojnej, w nieustannej trosce o chleb powszedni, który z takim trudem zdobywa. Zamiast ruin świątyni Sybilli na klasycznym pagórku, widnieją u niego biedne strzechy chłopskich chałup. Tu już wszelki związek z klasycznym pejzażem zupełnie zerwany.

Prócz tych dwóch wielkich artystów, prawdziwych twórców niezależnego pejzażu, na rozwój tego nowo-wyzwolonego rodzaju i wogóle na postęp nowożytnego malarstwa we Francyi pierwszorzędny wpływ wywarło dwóch wielce uzdolnionych malarzy angielskich z początku ubiegłego wieku — *Constable* i *Bonnington* (muzeum Luwru). Oni to pierwsi odczuli i potrafili oddać w swych obrazach powietrzność, zrozumieli wpływ atmosfery na modyfikacye odcieni barw, na kształty przedmiotów, jej znaczenie dla dalszych planów; odtworzyli naturę szczerze, szukając w niej rysów głównych i charakterystycznych.

Od nich też wywodzi się późniejszy plein-airyzm i impresyonizm.

Tymczasem naokoło Corota i Milleta zebrała się cała grupa artystów, pragnących się uwolnić od form przestarzałych. *Huet*, *Teodor Rousseau*, *Dupré*, *Diaz*, *Daubigny* pracowali w tym kierunku, a nowy rewolucyonista, *Courbet*, na tejże podstawie powstał w imię naturalizmu przeciwko romantykom. Realizm zainaugurowany przez Courbeta, zasadzał się na ścisłej obserwacyi natury i to nietylko w jej rysach i efektach, głównych i zasadniczych, ale i w szczegółach nawet drobnych; odrzucił wszelką kompozycyę, odwrócił dotychczasowe pojęcia o tem, co piękne i brzydkie — to, co w pojęciu romantyków i ogółu było brzydkiem, stało się dla realistów pięknem i prawie, że wyłącznie godnem sztuki. Za zasadę przyjęli oni sobie maksymę: „le laid est le beau," wynikłą z doprowadzonego do przesady i absurdu słusznego pojęcia, że niema nic tak brzydkiego w naturze, aby w dziele sztuki nie mogło się stać pięknem. O ile większość romantyków w przeciwieństwie do sztywnej surowości klasyków, poszukując wdzięku w ruchach i pozach, doszła w tym kierunku do sztuczności i afektacyi, o tyle Courbet i jego wyznawcy-realiści oddalili się od prawdy w kierunku przeciwnym. W chęci wyrażenia prawdy życiowej bez żadnych obsłonek, posunęli się oni aż do płaskiej pospolitości i karykatury. Umiarkowańsi, postawiwszy sobie za ideał jaknajdokładniejsze naśladownictwo natury, poświęcili najlepsze swe siły i zdolności nieracyonalnemu, drobiazgowemu jej kopiowaniu. Ale realizm, pomimo swych zasadniczych usterek, oddał nowoczesnemu malarstwu wielkie usługi przez usunięcie ze sfery sztuki filozoficzno-estetycznych pojęć o pięknie absolutnem i odrzucenie wynikających stąd apriorystycznych teoryj, które zastąpił bezpośredniem studyowaniem natury. W samem technicznem traktowaniu przez pozbycie się sposobów laserunkowych i zagładzeń, które odbierały świeżość barwom i energię kształtom, wskazał on sztuce malarskiej nowe środki doskonalszego wypowiedzenia się. Ale niema nic trwałego na świecie, i na realizm, który, mając pewniejsze podstawy, niż kierunki poprzednie, mógł przetrwać dłużej i trwa zresztą po dziś dzień, choć w nieco odmiennej postaci, nadeszła chwila ustąpienia na stronę przed nowym, równie jak i on gwałtownym i wyłącznym, a niespodzianie powstałym prądem, który, zerwawszy wkrótce stawiane mu tamy, jeżeli nie wszystkich unieść, to przynajmniej u wielu nawet opornych niezatarte pozostawić miał ślady. Nowy ten kierunek, to *impresyonizm*. Nazwa jego pochodzi od obrazu Claude Moneta: „Impression" (wrażenie) i słusznie została tu zastosowana, bo chociaż wszelkie malowanie polega na wrażeniu, to przecież impresyoniści

nadali wrażeniu „impresyi“ szczególne i pierwszorzędne znaczenie. Impresyonizm wypływa wprost z realizmu, uznaje bowiem, jak i on, jedynie naturę, jako mistrzynię sztuki i więcej jeszcze od niego wyłamuje się z pod władzy tradycyjnych reguł, pomimo, iż nabytków i doświadczenia minionych pokoleń bynajmniej nie odrzuca, jak to jest mniemaniem ogółu.

Jak wiadomo każdemu, kto zwrócił choć czasem uwagę na otaczający go świat, widoki natury na otwartem powietrzu są nadzwyczaj zmienne. Jeden i ten sam widok, jakże różny przybiera wygląd w każdej porze roku, w pełnem słońcu letniego dnia, wieczorem, każdej chwili, pod wpływem tysiącznych zjawisk atmosferycznych, ulega on nieustannym zmianom. Te to nieuchwytne efekty, a właściwie wrażenia, które one sprawiają na zmysł wzroku, postanowili notować impresyoniści. Efekty te zależą całkowicie od gry światła, a więc barw w powietrzu, stąd też odtworzenie przy pomocy środków malarskich wrażenia świetlnego i barwnego stało się głównem zadaniem impresyonizmu. Podobnie jak realiści, adepci impresyonizmu odrzucają kompozycyę pejzażu, zadawalniając się ścisłem wystudyowaniem obranego motywu, ale różnią się od nich tem, że nie starają się natury wynaśladować, skopiować, ale pragną tylko oddać doznane od niej wrażenia własne.

O ile światło i barwa stanowiły dla realistów rzecz drugorzędną, były przez nich traktowane dość słabo, o tyle też światło i barwa tryumfują w impresyonizmie; formy i kształty poświęca on tym efektom, jako od nich zależne. Pochodzenie impresyonizmu jest pierwiastkowo wspólnem z początkami nowożytnego pejzażu francuskiego. I on wywodzi się od Claude Lorrain i Watteau, ale uboczną drogą — za pośrednictwem słynnego pejzażysty angielskiego *Turnera*, którego pewne notatki efektów świetlnych naprowadziły późniejszych twórców nowego kierunku, *Klaudyusza Monet* i *Kamila Pissarro*, na pomysł oddania się podobnym studyom. Z drugiej strony pełna subtelności, harmonijna sztuka japońska, z którą się wówczas zapoznano i w której z podziwem spostrzeżono niepospolite zalety w ciekawym charakterze ruchów, w rytmiczności linij, w przezroczystości tonów, w głębokiem poczuciu ich stosunków i kontrastów—wywarła też wpływ nie mały. Zrozumiano, że w ciasnem pojęciu realistów nie mieści się cała natura, że zjawiska jej przedstawiają nieskończoną rozmaitość efektów, po większej części dotychczas w sztuce malarskiej nie zużytkowanych.

Ale uchwycenie i oddanie tych efektów, jako niesłychanie ruchomych, jest niezmiernie trudnem, przy technice realistów, wymagającej dokładności wykończenia, nawet niemożliwem, tembardziej, że zwykłemi środkami, przy nader ograniczonej skali tonów, jaką przedstawiają farby, któremi rozporządza malarz, nie można się było kusić o wydobycie, choćby w przybliżeniu, tej siły światła, tego natężenia barw, jak to widzimy w przyrodzie.

Wobec nowych potrzeb, trzeba było znaleźć nowe środki. Zadania tego dokonali: Klaudyusz (Claude) *Monet*, Kamil *Pissarro* i Piotr-August *Renoir*. Są oni, a głównie pierwszy, prawdziwymi wynalazcami techniki impresyonistycznej. Intuicyjnie doszli oni do rezultatów, które stwierdzają doświadczenia naukowe w zjawiskach barwnych. Przez zestawienie obok siebie tonów mało złożonych, lub barw czystych o rozmaitem natężeniu, wzajemnie na się oddziaływających wprost na płótnie, unikając mieszania ich na palecie, by nie odbierać im już i tak niewielkiego ich blasku, uzyskali impresyoniści bez porównania większą skalę barwnego światła, która nareszcie pozwoliła im notować nieuchwytne dotąd efekty. Neo-impresyoniści poszli w tym kierunku dalej jeszcze, zastosowawszy się ściśle do metody naukowej według teoryi Chevreula, Younga i Helmholtza o barwach dopełniających, ale, rzecz prosta, rezultaty osiągnięte przez nich nie odpowiedziały oczekiwaniu. Zamiast efektów naturalnych, otrzymali oni pstrokaciznę, która może mieć wartość doświadczenia fizyczno-optycznego, ale ze sztuką nie ma już wspólności.

Bo też błędem jest chcieć uczynić naukę ścisłą z malarstwa, które, jako sztuka powierzchowna, polegająca na złudzeniu, zależy w zupełności od czucia i wrażliwości osobistej artysty. Gdyby to było możliwem, tworzonoby obrazy mechanicznie z efektem z góry i ściśle obliczonym — malarstwo przestałoby być sztuką.

Zadaniem impresyonizmu wogóle jest dojście do syntezy przez analizę; poszukuje on tego, co stanowi fenomen, co ukazuje rzeczy w pewnych warunkach atmosferycznych i stara się dać ich syntezę w zjawisku chwili; całość efektu świetlnego chce on wywołać przez kombinacyę pojedyńczych refleksów. Ale impresyonizm nie polega jedynie na poszukiwaniu efektów świetlnych i barwnych, jest jeszcze inny rodzaj impresyonizmu, który określić można przez stan absolutnej szczerości wobec natury. Do tego ostatniego rodzaju impresyonistów zaliczają się ci, u których światło i barwa gra mniejszą, lub podrzędną rolę. Ostatecznie impresyonizm jest formą przejściową od malarstwa tradycyjnego

do tego, które pod wpływem tak różnorodnych, a jeszcze niedostatecznie zamalgamowanych nabytków ostatnich kierunków, z czasem się wytworzy.

Dorobek jego ma pierwszorzędną wartość dla postępu sztuki malarskiej, co uwidocznia się więcej jeszcze w jego wpływie na artystów, którzy, nie będąc impresyonistami, skorzystali świadomie ze zdobyczy tego kierunku, lub bezwiednie mu ulegli, aniżeli nawet na samych impresyonistach, nadto wyłącznie zaabsorbowanych w swych nieco jednostronnych poszukiwaniach.

Prócz trzech wyżej wymienionych inicyatorów, lub, jak ich nazwać można, wynalazców impresyonizmu, do impresyonistów właściwych, t. j. poszukujących wyrazu światła i barwy, z pierwszego okresu, należą jeszcze: *Sisley*, *Berta Morisot*, *Mary Cossat*. Do tych, których z innych względów włączyć tu trzeba, zaliczają się: *Edward Manet*, *Raffaelli*, *Degas*, *Forain*, *Boudin*, *Caillebatte*, *Cézanne*, *Guillaumin*, *Gauguin*, *Odilon Redon*, *Rops*, *de Toulouse-Lautrec* — daje im do tego prawo oryginalność odczuwania w poszukiwaniu rysunku i form; zmienny charakter zaobserwowanych sylwet, prawda w całości chwilowego wyrazu życia.

Wśród tych artystów, zwłaszcza w pierwszej grupie, Klaudyusz *Monet*, jako inicyator i twórca nowej techniki, zajmuje miejsce naczelne. Za jego to przykładem poszli inni zdobywać dla sztuki światło i atmosferę. Jak pionier w lasy dziewicze, albo jak drugi Kolumb, puścił się on w niezbadane dotąd sfery, przekonany, iż znajdzie tam nowe drogi, o których marzył, zbrojny jedynie w własną energię, zdolności i wytrwałość. Usiłowania jego zostały sowicie nagrodzone, Monet wynalazł świat nowy i ułatwił doń dostęp innym. On też sam osiągnął największe rezultaty w oddaniu wrażenia atmosfery, w analizie zjawisk świetlnych. Rysunek jego jest sumaryczny, unikający linij, wyrażony w sposób jaknajprostszy, jaknajmniej złożony; za to, jako malarz, wchodzi on we wszystkie szczegóły barwnych tonów i refleksów świetlnych. Odrzuca dawne sposoby wydobycia światła przez kontrast z cieniem, usuwa ze swej palety wszelkie asfalty i t. p. ciężkie nieprzejrzyste tony; w obrazach jego światło jest wszędzie, jak w naturze, nawet w cieniu, a powstaje wskutek wzajemnego działania refleksów barw czystych. Powietrze, atmosfera, w której wszystko jest skąpane, daje się tu odczuć inaczej, niż u romantyków i realistów. Corot, aby dać jakie takie wrażenie powietrzności, musiał uciekać się do swych efektów mglistych, Courbet mniej jeszcze ma tego poczucia. Manet jest przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, pejzażystą.

Szczególniej charakteryzuje jego dążenia szereg świetlnokolorystycznych studyów nazwanych „Les Meules“ (stogi) i „Les Peupliers“ (topole). Wszystkie jego obrazy odznaczają się podobnym charakterem; motywy ich mają zresztą znaczenie podrzędne: gdyż służą jedynie jako pretekst do osiągnięcia celu głównego, którym jest światło. Dla tego też powtarzają się one po wielekroć razy, jak np. w „Stogach,“ które przedstawia w rozmaitych warunkach atmosferycznych. Stąd tytuły obrazów Moneta pochodzą najczęściej od efektów, które przedstawiają ich przedmiot główny: „Impression — lever de soleil sur l'eau,“ „Effet de brouillard ou bord de la mer,“ „Effet de neige à Argenteuil“ i t. p.

Równie jak powietrza, jest Monet subtelnym malarzem wody, którą oddaje ze wszystkiemi nieuchwytnemi, nieustannie zmieniającemi się refleksami, zależnie od stanu nieba i natury dna.

Wybornie odczuł on morze, które wystudyował we wszystkich jego fazach i efektach. Studyom morskim oddawał się przeważnie na skalistych wybrzeżach Belle-Isle i doszedł w nich do nadzwyczajnych rezultatów. Maniera, technika, wirtuozostwo nie zajmują go wcale, są dla niego tylko środkiem do osiągnięcia zamierzonego celu. Nie maluje on na pokaz, aby popisywać się zręcznością, lub nadzwyczajnością swej techniki, jak go o to posądzano, widzi się to w prostocie, w pewnej naiwności traktowania jego obrazów, w niewątpliwym braku stosowania jakiejkolwiek apriorystycznej metody. W ten sposób Monet malował wszystko, co istnieje w naturze: niebo i wodę, pole, kwiaty, wrażenie tłumów w ulicach (Boulevard des Capucines), na dworcu kolejowym (Locomotive en gare), wnętrza (Un coin d'appartement), martwą naturę, pejzaże z różnych krajów i w różnych porach roku, z Normandyi, Bretanii, Riviery francuskiej i włoskiej, holenderskie pola kwiatowe i nawet dekoracyę (salon p. Durand-Ruel).

Kamil *Pissarro* oddał się temu samemu rodzajowi studyów; pola, ogrody owocowe i warzywne, owoce, kwiaty stanowią przedmiot jego obrazów, w których, równie jak Monet, poszukiwał przedewszystkiem najwyższego wyrazu światła. Staraniem jego jest zaznaczyć charakter każdej rzeczy i otrzymać harmonię świetlną całości bez łączenia szczegółów.

Przejąwszy się metodą naukową rozkładu tonów, wraz z Jerzym Seurat, stanął na czele szkoły neo-impresyonistycznej, ale po pewnym czasie, widząc błędy tej maniery, powrócił do dawnego sposobu, zachowawszy w każdym razie nabyte doświadczenie, o ile dało się ono częściowo zastosować do jego udoskonalenia. Pissarro jest malarzem życia wiejskiego — postać ludzką, zwierzę

traktuje on w ogólnej harmonii pejzażu, jako część nierozdzielną natury. Obrazy jego: „La sieste," „Les Faneuses," „La Femme ou fichu vert," „Femme au pied du noyer" i t. p. taki też noszą charakter. Malował również z zamiłowaniem parki angielskie, efekty śnieżne w słońcu, opary wodne, masy drzew i kwiatów, szukając w nich zawsze wyrazu światła w zmiennych i przejściowych zjawiskach.

August *Renoir* jest malarzem pejzażów i kobiet. Jego studya z Guernsey, z południa Francyi, z Algieryi są to nader subtelne harmonie tonów niebieskich i złotych, które u niego przeważają. Ma on szczególną predylekcyę do efektów kontrastowych plam świetlnych w cieniu, których grę lubi przedstawiać na nagiem ciele kobiecem. Są to nadzwyczaj barwne studya, w których jednak artysta nie mógł uniknąć wyglądu pstrokacizny plamistej.

Takiemi są „Les Baigneuses" i liczne inne studya nagości, w których znać nieustanne usiłowanie dojścia przez analizę do syntezy w założonym efekcie barwnym. W podobny sposób, choć z większą trzeźwością, traktowane są jego portrety i Moneta (Le liseur), Ryszarda Wagnera, portrety kobiece i dziecinne; sceny z życia, jak „La loge," „Jeunes filles au piano." Efektów plam świetlnych, w rodzaju tych, o których mówiliśmy powyżej, poszukiwał Renoir w scenach rodzajowych, przedstawiających zabawy ludowe, tańce na otwartem powietrzu i t. p. Do tych należą między innemi „La balançaire" i „Moulin de la Galette" (muzeum Luksemburskie).

Pani Berta *Morisot* i Alfred *Sisley* są już kontynuatorami poprzednich, korzystającymi z ich doświadczenia i wynalazków technicznych, choć nie pozbawionymi indywidualności i znacznych zalet własnych. Sztuka pani Morisot, przy prawdziwej obserwacyi życia i natury, posiada dużo kobiecego wdzięku; p. Sisley jest nader subtelnym kolorystą, umie wydobyć dużą siłę światła i przezroczystości atmosfery w swych widokach z nad Sekwany i rzeki Loing, z lasu w Fontainebleau i z nad Tamizy.

Początki impresyonizmu były nadzwyczaj trudne—opinia publiczna przyjęła go nieprzyjaźnie, krytyka z szyderstwem, artyści z oburzeniem. Dziełom impresyonistów dostęp do urzędowych wystaw był zamknięty, porozumiawszy się więc między sobą, przez lat kilka, począwszy od roku 1874, urządzali wystawy własne, gdzie, między innymi, brał udział artysta, który z czasem miał wywrzeć bardzo poważny wpływ na rozwój współczesnej sztuki francuskiej. Nazwisko jego Edward *Manet*. Długi

czas namiętnie zwalczany przez przedstawicieli sztuki urzędowej, wprost nawet prześladowany, za życia, pomimo chwilowego powodzenia, które było skutkiem tylko ustępstwa swych przeciwników, nigdy całkowicie uznanym nie był. Uznanie to przyszło dopiero po jego śmierci, i to nie odrazu, gdy muzeum Luksemburskie, po długich trudnościach, przyjęło wkońcu zapis Caillebotte'a zbioru złożonego z dzieł impresyonistów; wśród nich znajdowało się kilka obrazów Maneta — słynna „Olympia“ [1]), której jury salonu nigdy przyjąć nie chciało, i „Le balcon.“

Manet impresyonistą w specyalnem znaczeniu tego określenia nie był nigdy, a z początku zwłaszcza nie był nim wcale. W pierwszym okresie swej twórczości uległ zupełnie wpływom dawnych mistrzów, ale takich, których dzieła mają cechy szczególnie oryginalnego geniuszu, których nazwać można impresyonistami swego czasu, a więc z jednej strony uczuł się pociągniętym energiczną manierą Franza Halsa, jego nadzwyczajnem poczuciem życia i charakteru, z drugiej, przez mistrzów hiszpańskich Velasqueza i Il Greco (Teotocapuli), a wkrótce świeżością malowideł Goyi (Goya).

Pierwsze obrazy Maneta noszą wyraźne ślady tych wpływów, przy jednoczesnem zachowaniu indywidualizmu artysty. Prócz tych mistrzów dawniejszych w wielkim stylu, Couture, którego był uczniem, i Courbet także przyczynili się do nadania pierwszego kierunku jego talentowi.

Manet od początku objawia doskonałe posiadanie techniczne swej sztuki, która, przy wyżej wymienionych wpływach, ma u niego w pierwszym okresie najzupełniej tradycyjny charakter, ale z dodatkiem czegoś oryginalnego, szczególnego, właściwego jemu samemu. Jego „L'Enfant aux cerises,“ „Nymphe surprise,“ „Le Buveur d'absinthe,“ portret ojca i matki, „Guitarrero,“ „L'Espada mort,“ „L'Enfant à l'epée“ — takim odznaczają się charakterem, toż samo „Les Anges au Tombeau,“ „Jésus insulté par les soldats,“ „Le déjeuner sur l'herbe,“ w których te cechy szczególnie akcentują się, aż się zamieniają w widoczne poszukiwanie stylu w „Le Fifre de la garde,“ w „L'acteur tragique,“ a najbardziej w „Olympia.“ Obrazy te jury Salonu mu odrzuca, Manet wystawia je w „Salon des Refusés,“ a następnie na wystawach prywatnych, urządzanych przez grupę impresyonistów, z którymi wchodzi w stosunek przyjaźni. Od nich to przyswaja sobie Manet sposób

[1]) Obecnie w muzeum Luwru.

oddania światła i atmosfery (plein air) i wprowadza go do następnych prac swoich: „Manet dans son bateau," „Argenteuil," „En bateau," „Dans la serre," „Le Boc aux Folies Bergères," „La servante de bocks."

Za przykładem Courbeta i pod wpływem ówczesnego kierunku w literaturze, zapoczątkowanego przez Balzac'a, Flauberta i Goncourtów, dążeniem tego niepospolitego artysty było ściślejsze zbliżenie sztuki do środowiska, w którem ona powstaje; chciał, aby sztuka była odbiciem życia współczesnego. To nie przeszkadza, że widzenie jego nie jest widzeniem realisty, dzieła jego nie są kopią natury, lecz jej „impresyą," wrażeniem, i to czysto osobistem, indywidualnem, nacechowanem pewną niezwykłością w sposobie jego oddania. Manet należy do rzędu tych nielicznych artystów współczesnych, którzy w swem dziele osiągnęli styl własny i to właściwie, a nie inspirowanie się życiem współczesnem, lub szczerość obserwacyi natury, jak chcą jego chwalcy, wynosi go po nad poziom ogólny, stanowi o ogromnym jego wpływie na dzisiejsze malarstwo. Kierunki tradycyjne łączą się w nim z najnowszemi. Prócz wymienionych poprzednio związków jego ze sztuką czasów minionych, znajdujemy u niego subtelność linij Ingres'a (Olympia), poczucie stosunków i kontrastów Delacroix. Przyjąwszy nowe nabytki od impresyonistów, nie poddaje się im całkowicie za ich przykładem, lecz je stosuje w miarę uznania i potrzeby — nie podporządkowuje nigdy celu obrazu sposobom jego wykonania. W pierwszej manierze nadużył nieco gwałtownych kontrastów w tonach białych i czarnych, rażących w niektórych jego pracach brakiem spojenia; toż samo da się powiedzieć o czarnych liniach konturów, ale te usterki, przeważnie świadome, nie umniejszają zasadniczej wartości jego dzieła.

Dla Maneta różnice w rodzajach dzieł sztuki nie istnieją, temat obrazu ma znaczenie podrzędne, gdyż każdy objaw życia, każdy wyraz, choćby najwięcej krótkotrwały i przejściowy, może mu służyć za przedmiot, byle tylko uchwycić i zaznaczyć to, co ten chwilowy wyraz najlepiej charakteryzuje.

W życiu współczesnem czerpie też natchnienie Jan Franciszek *Raffaëlli*, ukazując ze szczególną predylekcyą sylwety żebraków, włóczęgów, robotników, drobnych mieszczan, mieszkańców przedmieść Paryża w ich właściwem otoczeniu, charakterystycznych ruchach. Daje on dobrze zaobserwowany wyraz nędzy, niechlujstwa, prostactwa, rubasznej dobroduszności, lub występnych instynktów jednych, ciasnej ograniczoności pojęć, drobnego wyrachowania, śmiesznej próżności drugich. Niema w tem ani upię-

kszenia, ani karykatury, lecz życie takie, jakiem jest, uderzające prawdą, widziane może ze zbyt bliska, czasem z przesadną drobiazgowością.

Raffaëlli widzi naturę więcej w liniach i masach, obrazy jego są raczej kolorowemi rysunkami, zwłaszcza w tych drobnych scenach, w widokach ulic Paryża, w pejzażach. Rysunek jego nerwowy, pokręcony, składający się z kresek i zygzaków, nadaje jego obrazkom cechę szczególnie oryginalną, po której najmniej wprawne oko go poznaje. Ale Raffaëlli nie trzyma się niewolniczo jednego sposobu, ani jednego tylko rodzaju objawów życia; maluje on także charakterystyczne sceny eleganckich lub dyskretnych uciech stolicy z równie prawdziwem odczuciem, portrety (Edmunda de Goncourt, „Jeunes filles au bal“), szczególniej kobiece, młodych panienek, którym potrafi nadać wiele delikatnego wdzięku w lekkich, białych harmoniach. Traktowanie ich jest też niepodobne do poprzedniego, portrety maluje on wielkiemi płaszczyznami tonów, kładąc więcej nacisku na wyraz, niż na modelacyę. Również wielkiemi płaszczyznami malowany, ale inaczej pojęty, jest większych nieco rozmiarów obraz jego „Zebranie wyborców,“ przedstawiający p. Clémenceau (z czasów, gdy należał do opozycyi), przemawiającego z trybuny do otaczających go słuchaczy. Znać w tym obrazie bezpośredni wpływ Maneta w nadużyciu tonów czarnych, sylwet ostrych. Widzenie jego jest w tej scenie również dokładne i ścisłe w wyrazie typów i w całym układzie, rzecz przedstawia się ze strony szpetnej i nudnej. W ostatnich pracach Raffaelli bardziej jeszcze akcentuje tę ostrość sylwet—figury jego nie łączą się z tłem, brak im powietrza i jedności z otoczeniem.

Dalej od innych w wyzbyciu się nie tylko rutyny i tradycyi, ale i wszelkiej wiedzy artystycznej, wszelkich znanych środków wyrażenia się, wszelkich reguł zasadniczych przy wykonaniu dzieła sztuki, posunął się Paweł *Cézanne*. To też pejzaże jego, malowane z naiwnością, bądź co bądź wymuszoną, ale szczerą w jego przekonaniu, czynią wrażenie tworów sztuki dzikich ludów. Ciekawsze są i więcej mają wartości artystycznej jego owoce, jabłka i gruszki, w swym rysunku brutalnym, barwach surowych, rażących oko brakiem złączenia, a jednak pociągających wyrazem natury. Można sobie wyobrazić, iż tak malowałby Bartek, lub Wojtek, obdarzony naturalnemi zdolnościami, ale pozbawiony wszelkiej kultury umysłowej i artystycznej. Cézanne jest inicyatorem, zdaje się mimowolnym, t. zw. szkoły symbolistów, do któ-

rej zaliczają się Emil Bernard, Wincenty Van Goyh, a szczególniej Paweł Ganguin.

Po zagrzebaniu się w bretońskiej wiosce Pont-Aven dla studyów bezpośrednich nad naturą, bez pomocy jakichkolwiek środków uznanych, Ganguin, nie czując się dostatecznie uwolnionym od nabytków szkolnych, wyniósł się aż na jedną z wysp Oceanii, do Taiti, aby tam, w obcowaniu z pierwotną przyrodą, z rasą ludzi nienaruszonych żadną kulturą, odkryć tajemnicę wielkiej sztuki.

Tajemnicy tej oczywiście Ganguin w Taiti znaleźć nie mógł, gdy jej sam w sobie odkryć nie potrafił, dzieło też jego odznacza się dziwactwem form, surowością barw, znać w niem poszukiwania wytrwałe, ale daremne, dążenia, których cel nie został osiągniętym. Rodzaj jego talentu, przeważnie dekoracyjny, byłby się lepiej wypowiedział w tkaninach, a bardziej jeszcze w witrażach, w których zresztą średniowiecznych wzorach, znajdujących się po starych bretońskich kościołach, szukał typu do swych symplifikacyj form, któremi wyrazić pragnął syntezę życia. Stąd to pochodzą grube, czarne linie, któremi obwodzi kontury swych figur i przedmiotów. Jestto twarde, dla oka nieprzyjemne, dla umysłu rażące, dla uczucia — nieprzemawiające. Pomimo to dla pewnej nielicznej grupy, złożonej z artystów i krytyków radykalnych, pragnących bądź co bądź i „par force“ reformować sztukę, Ganguin jest rodzajem proroka, czy fetysza.

Dać najwięcej wyrazu za pośrednictwem jaknajbardziej uproszczonego rysunku starał się też *Edgar Degas*. Konie wyścigowe, żokeje, kobiety z różnych środowisk, przeważnie z półświatka, tancerki i kokoty, w otoczeniu, ruchach i pozach charakterystycznych: to na scenie wśród malowanej flory, w aureoli sztucznych blasków, z twarzą ubieloną i umalowaną, to w sypialni, alkowie, umywalni, lub łazience, przy załatwianiu najdyskretniejszych szczegółów toaletowych — oto motywy, które obrał sobie ten wyjątkowo oryginalny artysta. Rysunek jego jest chropowaty i kanciasty. W jego typach kobiecych próżno szukać wdzięku, kokieteryi, szyku, jakich możnaby się spodziewać po Paryżance tej kategoryi. Znać w nich raczej zbliżenie do karykatury. Właściwie ani jedno, ani drugie nie stanowi celu jego dążeń. Degas chciał dać syntezę ruchu, który zawieralby w sobie wyraz i charakter figury, nawet ze strony moralnej. Ruch, składający się z nieustannych zmian, jest pojęciem nieskończonem, stąd i rysunek Degasa nie przedstawia form skończonych, ale je tylko zaznacza, zwłaszcza te, które szczególniej ten ruch wyrażają. Dla tego więc

dziełom jego, które są wogóle niewielkich rozmiarów, nie trzeba przypatrywać się przez lupę, ani też szukać w nich tego, czego artysta dać nie myślał, lecz należy raczej starać się poznać, co sobie on zamierzył i czy to osiągnął. W swym świecie kobiecym daje Degas najczęściej typ pospolity, trywialny, wyrażający niskie instynkty, brak aspiracyj szlachetniejszych. Kobieta jego jest nieraz tylko samicą, pozbawioną nawet instynktownej kokieteryi w chwilach, gdy, niewidziana przez nikogo, spełnia podpatrzone przezeń funkcye. Pastel i akwarella są materyałem, którym się przeważnie posługiwał.

Armand *Guillaumin* i Gustaw *Caillebotte* reasumują w swej produkcyi wpływy przeważnie Cézanne'a i Degasa.

Caillebotte, prócz dość skromnego dorobku, zasłużył się wielce sztuce przez ofiarowanie muzeum Luksemburskiemu swego zbioru, złożonego z dzieł malarzy impressyonistów, którzy się tam dzięki niemu jedynie dostali.

Już w dziele Degasa znać wyraźne wpływy Honoryusza Daumier, który jeszcze w epoce Delacroix dał początek rozwiniętemu później rodzajowi tragicznej karykatury. Tym samym wpływom uległ też talent Henryka *de Toulouse-Lautrec*. Podobnie jak Degas, obserwuje de Toulouse-Lautrec rozmaite strony życia podejrzanych uciech, przedstawia świat podobny, ale schodzi bodaj jeszcze niżej. W swych typach kobiecych wyszukuje on i akcentuje, czasem do przesady, te ich rysy, które szczególniej wyrażają ich nędzę moralną, a czyni to z nadzwyczajną pewnością rysunku bardzo szeroko pojętego, którym potrafi wydobyć z całą siłą nagiej prawdy smutny tragizm ludzkiego znieprawienia i upadku. Akwarela, litografia, rysunek sanginą służyły mu przeważnie, jako środek wyrażenia się.

Podobne dążenia, choć wypowiedziane w innym stylu, ujawnił *Felicyan Rops*, z pochodzenia wprawdzie Belgijczyk, ale którego talent sformował się po większej części na wzorach francuskich. I on także odtwarza typ kobiety-samicy, a raczej gorzej jeszcze—kobiety-wampira, mającego żyć w kobiecie współczesnej, której, według własnego określenia, stara się wyrazić „okrucieństwo powierzchowności, spojrzenie zimne, jak stal; jej niechęć do mężczyzny, już nie ukrytą, lecz ostentacyjnie ukazującą się w całej jej postaci. Ale erotyczne dzieło Ropsa nie jest już karykaturą; w przerażająco-sprośnych i krwiożerczych jego kompozycyach tkwi jakiś symbol śmiertelnej walki płci, jakaś chorobliwa poezya mistycznej nekromancyi. Rysy kobiet jego przybierają niejednokrotnie wyraz twarzy trupiej czaszki, bo w niej,

w tem narzędziu jałowych uciech widzi on symbol śmierci i zagłady ludzkości. Prócz dziedzicznych zapewne skłonności flamandzkich do zmysłowego rozpasania, podziałały nań wpływy literackie: Baudelaire, Barbey d'Aurévilly, Goncourtowie nie są obcy jego artystycznym koncepcyom, znajdującym wyraz główny w ilustracyach do dzieła Barbey d'Aurévilly „Les Diaboliques," w „Tentation de Saint Antoine," w okładce do „Le Vice suprême" Péladana. Rops posługiwał się akwafortą, rysunkiem, litografią i potrafił wydobyć przy pomocy tych sposobów nadzwyczajne efekty.

Jeżeli Rops z jednej strony bliskim jest grupy, której ognisko stanowią Degas i de Toulouse-Lautrec, to z drugiej zbliża się on przez swe tendencye symbolistyczne do grupy symbolistów, którzy, wywodząc się pierwotnie od Cézanne'a i Gauguin'a, ulegli wpływom prerafaelitów angielskich i ich głównego przedstawiciela Burne-Jones'a. Prócz artystów mniej lub więcej oryginalnych i interesujących, jak Emil Bernard, Paweł Séruzier, Ludwik Anquetin, Aleksander Séon, Henryk de Groux, Odilon Redon, Leon Frédéric wypadnie zaliczyć tu z pewnych względów Edmunda Franciszka *Aman-Jean*, który zresztą wyrobił sobie zbyt odrębną indywidualność, aby mu narzucić jakąś ściśle określoną etykietę. Wpływ Burne-Jones'a widać u niego w nieco chorobliwej, choć pojętej inaczej, oryginalniej, więcej uproszczonej finezyi linii, ograniczającej wiotkie sylwety jego postaci kobiecych, w ich nieco manierowanych profilach. W wyrazach dziwnych i tajemniczych ich oczu, w delikatnym wdzięku ruchów i nadzwyczaj subtelnych harmoniach tonów szarych, które urozmaicają zwykle dyskretne barwy niebieskie i czerwone, umie on wywołać pewien melancholijny nastrój, marzenia, czy zamyślenia, pociągnąć nieuchwytną poezyą swych kompozycyj, znamionujących nadto wielki zmysł dekoracyjny. Wytworny ten artysta dał dowód w swem niepospolitem dziele, że dla oddania wdzięku, poezyi i wogóle tego wszystkiego, co zwie się idealizmem w sztuce, nie trzeba bynajmniej uciekać się do przestarzałej maniery wypieszczania, zagładzania, użycia tonów cukierkowych, mdłych, którą za przykładem Williama Bouguereau uprawiają po dziś dzień jego naśladowcy, wywołując tem obrzydzenie do pseudo-idealistycznego kierunku, którego są przedstawicielami.

Z powyżej wymienionemi grupami impresyonistów wiążą się mniej lub więcej bezpośrednio ci wszyscy artyści dzisiejsi, którzy, łącząc w swych produkcyach wpływy rozmaite, zbaczają z utartych gościńców, aby torować sztuce drogi nowe, często poprzez

dzikie knieje, chwasty i bagniska, w których niestety wielu zabłądzi, zaplącze się, lub ugrzęźnie. Artyści ci, oznaczeni ogólnem mianem *modernistów*, w większej części, jak ich poprzednicy, wyłączeni z udziału w manifestacyach sztuki oficyalnej, znaleźli schronisko w założonym w r. 1884 Salonie Niezawisłych (Salon des Indépendants), nie posiadającym ani jury, ani nie udzielającym żadnych nagród, lub odznaczeń, by, nie krępując niczem wolności artystów, pozostawić im pełną możność wyrażenia się wedle własnego ich temperamentu. Ale oryginalność modernistów jest bardzo względna, ściśle mówiąc nie są oni wcale oryginalni, gdy ich porównamy do rzeczywistych twórców impresyonizmu, od których przejęli ryczałtowo wszystko, począwszy od zasadniczego pojęcia o sztuce i jej zadaniu, a skończywszy na każdym szczególe wynalezionej przez nich techniki. Co najwyżej, zadawalniają się oni kombinowaniem właściwości różnych odcieni kierunku, którego są kontynuatorami, i otrzymują najczęściej wątpliwe rezultaty.

Wśród modernistów znajdują się wszakże jednostki niezaprzeczenie utalentowane, które z czasem potrafią odróżnić plewę od dobrego ziarna, skorzystają zeń i okażą swą wartość. Już wyróżniają się tu Maurycy Denis i Karol Guérin, za nimi idą Vuillard, Bonnard, Bussy, Laprade, d'Espagnat, Lebasque, Henryk Matisse. Do tejże kategoryi modernistów należą też właściwie symboliści, o których wspomnieliśmy wyżej. Tutaj zaliczają się także *neo-impresyoniści* (pointillistes, chromo-luminaristes, confettistes), którzy, zastosowawszy się ściśle do metody naukowej rozkładu barw, uczynili ze swych obrazów rodzaj pstrych łamigłówek. Takimi są, prócz niedawno zmarłego Jerzego Seurat, który wraz z Pissarrem, był inicyatorem tego kierunku,—Paweł Signac, Edmund Cross, Maksymilian Luce, Théo van Rysselberghe, Augrand, Petitjean i w części Bernard Boutet de Monvel. Szczęściem nowe środki techniczne, wynalezione przez impresyonistów, nie stały się dla wszystkich powodem błądzenia lub nadużycia. Są artyści, którzy lepiej zrozumiawszy ich znaczenie, przez dobrze pojęte ich zastosowanie, potrafili dać nową siłę swej sztuce, wprowadzić do swych obrazów więcej powietrza, światła i koloru.

W tych liczbie do wysokich rezultatów doszli zwłaszcza *Le Sidaner* i *Henryk Martin*. Pierwszy w przepięknych harmoniach, do których za pretekst posłużyły mu zupełnie oryginalnie pojęte widoki pałaców, kanałów i zaułków Wenecyi o różnych porach dnia i nocy; drugi — w wielkich, dekoracyjnych kompozycyach, w których główną rolę gra pejzaż, to płonący od gorących

różnobarwnych blasków południa, to w przyćmionych tonach szaro-fioletowych przedstawiający cudne nastroje letniego wieczora. Tu maniera przestaje razić, nie widzi się jej, gdyż niknie ona, zlewając się w harmonię całości, i pozostawia tylko czyste wrażenie i sentyment.

Henryk i Marya *Duhem*, stosując oględnie zasady impresyonizmu, umieją też wydobyć wiele uczucia ze spokojnych nastrojów natury.

Wogóle wpływ impresyonizmu u wielu z tych artystów, których skądinąd do tego kierunku zaliczyć nie można, objawia się w tem, że starają się oni uchwycić jeden głównie rys, lub efekt charakterystyczny w naturze, który ich szczególniej uderza, czy pociąga i, temu jednemu, z pominięciem tysiąca innych, dając całą siłę wyrazu i skupiając na nim całą uwagę patrzącego, są w możności wywołać o wiele potężniejsze wrażenie.

Z prawdziwem mistrzowstwem wywiązuje się z tego zadania *René Ménard* — w promieniejących złotem i purpurą, lub w spowitych w przezroczyste mroki swych pejzażach, w których wywołuje wspomnienia świata starożytnego, umie on, niemniej jak wielki Puvis de Chavannes, odkryć przed zdumionem i zachwyconem okiem wiekuiste piękno przyrody, nieuchwytną, niewysłowioną jej poezyę—źródło i natchnienie wszelkiej sztuki ludzkiej. Nadzwyczajna rytmiczność w wielkich liniach, ograniczających sylwety i plany, przy świetnem sharmonizowaniu całości jego obrazów, sprawia wrażenie niemal muzykalne. Jest w tem, obok rzeczywistego zrozumienia natury, i symbolizm i idealizm prawdziwy, bo wypływający z głębokiego poczucia poezyi.

Cały zastęp pejzażystów, hołdujących przeważnie zasadom realizmu, lub nawet romantyzmu, wobec rezultatów, które otrzymali impresyoniści, ujrzał się zmuszonym do pewnych zmian i modyfikacyj w dotychczasowem traktowaniu i samem pojmowaniu onej sztuki. Jedni zastosowali częściowo nowe nabytki bez wielkiego przekonania aby nie pozostać w tyle, inni skorzystali z nich skwapliwie i ze zrozumieniem, inni wreszcie ulegli nowym prądom bezwiednie. Ostatecznie wynikło stąd, iż krajobraz zyskał wiele na powietrzności, kolorze i wyrazie, stając się jednocześnie co raz mniej kopią natury. Fotograficznie dokładny portret jakiejś określonej miejscowości, zamienił się, podobnie jak u impresyonistów, we wrażenie pewnego naturalnego efektu, zanotowane przez artystę, do czego sam widok posłużył tylko za pozór. W ostatnich latach zarówno w pejzażu, jak i w t. zw. scenie rodzajowej, ujawnił się znowu, zapewne jako reakcya przeciw prze-

sadnej jaskrawości impresyonizmu, zwrot ku efektom spokojniejszym — mglistym, wieczornym, nocnym, albo do scen z życia zacisznego, domowego, zaściankowego. Nastroje w rodzaju Cazin, Pointelin zaczęły się mnożyć. Przedstawicieli tej, że tak się wyrazimy, skłonności nazwano *intimistami* (intimistes), wśród pejzażystów wyróżniają się tu: Legout-Gérard, Henryk Marret, Gonyn de Lurieux, Doigneau, Desportes, Moreau-Nélaton, Damoy, Lebourg, Dupré, Billatte, Iwill, Saint-Germier, Bompard, Allegre, Franc-Lamy, Roullet, Quost, Lhermitte. W scenach wnętrza celują: R. X. Prinet, Abel Truchet, Lobre, Lunois, Józef Bail.

Życie rybaków i wieśniaków bretońskich pociąga swym wyłącznym i malowniczym charakterem liczne rzesze malarzy, ale dwaj szczególniej, Karol *Cottet* i Lucyan *Simon*, których talent stawia w pierwszym rzędzie, zasługują na baczniejszą uwagę. Obaj oni, każdy na swój sposób, głęboko odczuli ducha tego ludu i tej ziemi, ujawniającego się w jego obyczajach, strojach, ruchach, rodzaju pracy, rozrywkach. Cottet odczuwa go ze strony tragicznej, widzi Bretonię ciemną, smutną, ponurą, twarze zamyślone, poważne, sceny rozstania rybaków, opuszczających rodzinę na całe miesiące, aby groźnemu żywiołowi, który ich żywi, ale i pochłania, wydrzeć wśród nieustannego narażenia życia niezbędną zdobycz. Innym razem znowu ukazuje na skałach wybrzeża kobiety z wytężonym w dal morską wzrokiem, wyczekujące z niepokojem i tęsknotą powrotu synów, mężów, ojców, narzeczonych — czy powrócą wszyscy? Przypomina się mimowolnie „Rybak Islandzki." Ale w dziele p. Cottet nie ma melancholijnej poezyi Lotiego, lecz tylko rzeczywistość, która w swej nieubłaganej konieczności zgotowała mieszkańcom nadmorskim los taki, tragiczny prawda, ale który stał się dla nich chlebem powszednim.

Cottet traktuje swe kompozycye realistycznie z widocznemi śladami wpływu Maneta i Whistlera. Obrazom swoim daje on często formę tryptyku. Zarzucić mu można nadużycie tonów czarnych, posuwane do tego stopnia, że obrazy jego nadmorskie przybierają wygląd widoków z okolic kopalń węgla, pokrytych mialem węglowym, a jego rybacy przypominają węglarzy, lub kominiarzy. Nastrój tragiczny na tem nic nie zyskuje, a na traktowaniu więcej kolorowem z pewnościąby nie stracił. W pomniejszych pejzażach dowodzi zresztą Cottet, iż umie wydobyć z nich bardzo kolorowe efekty. U Lucyana Simon widzimy te same wpływy, technika jego jest nader energiczna, nawet brutalna, ale beznadziejny tragizm zastępuje u niego inna strona bytu Bretończyków, poważna także, ale weselsza, jaśniejsza, pokrzepiająca.

Simon odtwarza ceremonie religijne, tak ważną odgrywające rolę w ich życiu, a raczej lud biorący w nich udział. Zamiast czarnych tonów, daje on pełno światła i koloru, wybornie scharakteryzowane typy w poważnej rezygnacyi religijnego nastroju. Technika jego jest bardzo szeroka, charakter zaznacza on wielkiemi płaszczyznami, nie łącząc ich inaczej, jak tylko ścisłością stosunków i wartości. Rysy główne lubi zaznaczać czarną łamaną linią. Razem wziąwszy Simon wydobywa w obranych przez się scenach ogromnie dużo wyrazu i życia za pomocą środków prostych, niezłożonych, które w zastosowaniu są bardzo trudne, wymagają doskonałego posiadania techniki, wielkiej pewności i śmiałości. Tę pewność i śmiałość posuwa ten artysta prawie do zuchwalstwa.

Już to niepodobna nie zauważyć, iż we francuskiem malarstwie dzisiejszem, gdzie nie trafimy na wpływ impresyonizmu Moneta, tam musimy znaleźć ślady Maneta, lub Whistlera, a czasem mniej lub więcej szczęśliwe kombinacye tych wszystkich wpływów. Albert *Besnard* łączy je w sobie z powodzeniem, choć niezawsze występują one u niego jednocześnie. Należy on do tych artystów inteligentnych, którzy, zrozumiawszy potrzebę i korzyść wyzyskania nowych środków, potrafili zaszczepić je na podstawach szkolnych i rutynicznych. Nie wyzbywając się solidnego, masywnego rysunku, w kolorze posuwa się czasem aż do impresyonizmu, nie obawia się kontrastów gwałtownych, lub poszukuje ciekawych kombinacyj nieco wyszukanych refleksów kolorowych w delikatnych karnacyach ciał kobiecych. Maluje on portrety, które też czasem przypominają subtelne szarzyzny Fantin-Latour'a, to znowu bez ogródki stosuje do nich manierę impresyonistyczną (portret ambasadora francuskiego w Rzymie, p. Barrère — salon 1906 r.), co też czyni w wielkich malowidłach dekoracyjnych, albo też budzi w nich wspomnienia Carriera, jak to widzimy w jednym z ostatnich jego obrazów tego rodzaju, symbolizującym „Myśl“ („l'Idée“ — Salon 1907).

Nader wybitne stanowisko zajmuje wśród malarzy współczesnych ostatniej doby *Alfred Roll*. W wyborze tematów jest on nadzwyczaj wszechstronnym, traktuje zarówno wielkie kompozycye dekoracyjne, obrazy batalistyczne, pejzaż, studya w plenairze, akt kobiecy, portret i t. p. Podstawą jego techniki jest ścisły realizm, nie wyłączający poszukiwań efektów kolorystycznych, a szczególniej świetlnych.

Nad swemi środkami technicznemi panuje on w zupełności, rysunek jego jest bardzo energiczny, szeroki i pewny, to też nie waha się on przed ruchami gwałtownemi, lubi ukazywać skróce-

nia ryzykowne, czasem do przesady. Maluje równie szeroko i energicznie, grubemi warstwami farby, których nie zagładza ani lakieruje, pozostawiając malowidłu naturalną matowość. Niekiedy daje swym obrazom ogólny ton szary, w którym dość subtelnie harmonizuje poszczególne barwy. Takim jest jego obraz, znajdujący się w muzeum Luwru i nazwany „Manda Lamétrie, fermière“ — kobieta niosąca kubeł świeżo wydojonego mleka, na łące krowa siwa, w głębi budynki zagrody. Jestto w swoim rodzaju arcydzieło w sportretowaniu natury, ale wykonane inteligentnie, z dobrem odczuciem charakteru całej sceny i otoczenia, z oddaniem jej powietrzności. Rzecz ta ma w sobie coś z Bastien-Lepage'a.

W innych pracach poszukuje efektów światło-cieniowych w rodzaju Rembrandta, np. w obrazie „Etude des Troyens“ (muzeum Luksemburskie), w którym stara się wydobyć maximum natężenia światła, skupionego na głowie jednej z kobiet siedzących przy fortepianie.

Zbliża się do poprzedniego w scenach batalistycznych, *Hoffbauer*, ale jest odeń surowszy w kolorze, mniej plastyczny w modelacyi, lecz poszukujący linii zewnętrznej w rodzaju Maneta.

Po za tem stara się on również o wydobycie efektów światła przy pomocy kontrastów, jak w wielkim dekoracyjnym obrazie: „Triomphe d'un condottière“ (salon 1906) i w drobniejszych scenach charakterystycznych, jak „Restaurant de nuit à Londres“ (salon 1907). Caro-Delvaille z poczuciem dekoracyjnej malowniczości w całym układzie wywołuje sceny życia familijnego, lub ukazuje zanadto plastyczne nagości. Bergès i de Beaumont otaczają piękne kobiety bogatemi staroświeckiemi, lub egzotycznemi akcesoryami. Du Gardier, więcej aktualny, maluje ciągle ten sam typ kobiety nad morzem, na jachcie, w powozie na „Avenue du Bois,“ w Wenecyi. Gaston La Touche w swych fantastycznych kompozycyach o pewnym nieokreślonym charakterze XVIII wieku, na tle rdzawo-złotem jesiennych parków łączy życie rzeczywiste z urojeniem. Za nim Rafael Collin, Maxence, Grasset, Rochegrosse, Maiguan, Foreau, Albert Laurens, panna Klementyna Dufau prowadzą nas w zaczarowany świat legend, cudów, mytów, gdzie powiewne muzy pławią się w powietrzu, gdzie marzą tęskne królewny, rycerze zdobywają złote runo; gdzie nagie dziewice nad brzegiem marmurowej fontanny przyjmują od pięknych efebów niebieskie winogrona, podczas, gdy lekkie nimfy w zdumiewających gajach dosiadają chyżonogich hippocentaurów.

J. J. *Henner*, idąc śladem mistrzów włoskich, ale obdarzony talentem głębszym od ogółu pseudo-idealistów rutynicznych, doszedł na tej drodze do wyższych rezultatów. Jego „Chaste Suzanne“ i „Lévite d'Ephraïm“ (muzeum Luksemburskie) mogą stanąć obok dzieł epoki wielkiego odrodzenia. W „Saint Sébastien“ (toż muzeum) wydobywa dość uczucia przez użycie, wielkich kontrastów świateł i cieni. W nagościach kobiecych uzyskuje nader delikatne tony perłowej masy w prześwietlonych karnacyach, w przeciwstawieniu do ciemno-brunatnych głębin tła, lub pałających rudym mahoniem włosów. Podobnych efektów poszukuje w małych najadach śpiących w trawie na tle urojonych pejzażów. Portrety jego z początku pociągają pozyskanym w ten sam sposób wdziękiem, ale ich sztuczność wkrótce się przykrzy. W niezliczonych manierowanych główkach, malowanych dla handlarzy, doszedł Henner do szablonu.

W wielkim rodzaju historycznym celują Jean-Paul Laurens, Luc-Olivier Mersan, Tattegrain, Tony Robert-Fleury, trzymając się mniej, lub więcej tradycyjnych reguł. Benjamin-Constans maluje z wysokiem poczuciem dekoracyjności w teatralnym układzie wielkie kompozycye oryentalne, jak krwawa scena w seraju (muzeum Luksemburskie), której efekt stara się podnieść kontrastem złotawego światła z czerwieniejącym, brunatnym tonem udrapowanego kobiercami wnętrza. W tym samym duchu, z temże staraniem o dekoracyjne wrażenie całości, o takież kontrastowe efekty świetlne, maluje on swe portrety w wielkim stylu, których wzorem jest portret królowej Wiktoryi angielskiej.

W portrecie, Bonnat daje znakomite w swym realizmie podobizny, okazujące obserwacyę zbyt bliską, zbyt dokładną, ale li tylko powierzchowną, bez odczucia strony duchowej modelu. Za wiele suchej plastyki, brak łączącej atmosfery. Banalne w odczuciu przy zręczności technicznej są portrety Carolusa-Duran; bez porównania więcej wyrazu i charakteru daje Jakób Blanche, u którego znać dobre wpływy angielskie i amerykańskie; Ferdynand Humbert ma styl szlachetny, zbliża się do niego Henryk Royer; Chartron jest wirtuozem w oddaniu bogactwa strojów i akcesoryj w portretach monarchów, papieży, indyjskich potentatów, wielkich dam. Flameng porzuca maskaradowych pierotów i pierotki (dekoracya foyer Opery komicznej), powraca z zwycięskiej bitwy pod Eylau (muzeum Luksemburskie), aby zginąć w fatałaszkach i popaść w cukierki modnych portretów. Dagnan-Bouveret od sztucznych, ale nie bez wartości, prześwietlonych kompozycyj religijnych, zwrócił się w ostatnich portretach i sym-

boliczno-alegorycznych postaciach do fałszowania Rafaela przez okulary Bouguereau. Lefebvre robi lakiery bez życia, Gabryel Ferrier przypomina Bonnata, ale go nie dorasta. Boschet, Schamer, Benner dają niekiedy więcej charakteru.

Wreszcie przez de Toulouse-Lantreca i Degasa, wskutek pewnej analogii w pojmowaniu i wyrażaniu charakteru współczesnej ludzkości, do drugiej grupy impresyonistów nawiązują się karykaturzyści, lub *humoryści*, inaczej zwani *charakterystami* (caracteristes). Pierwsze miejsce zajmuje tu cięty satyryk *Forain*, który w energicznie szkicowanych rysunkach charakteryzuje typy i sceny z życia hulaszczego i prostytucyi wszelkich odcieni, które podaje bez obsłonek. Wywodzi się on po części od Degasa i Gavarniego i należy do najzdolniejszych rysowników tego rodzaju.

Willette w rysunku nerwowym oddaje się ośmieszaniu wszelkich powag, albo komponuje w karykaturze fantastyczne sceny na tle życia cyganeryi. *Léandre* traktuje również podobne tematy, lub wyśmiewa panujących, przedstawicieli rządów, czasem nawet kolegów-artystów niepokoi na Parnasie, jak np. w karykaturze posągu Rodina „Le Penseur“ (w *Le Rire*). *Jan Veber* w nader kolorowych obrazkach ilustruje w karykaturze romantyczne bajki i legendy.

Guillaume opowiada słabostki, śmieszności i tragi-komiczne pomyłki doktorów medycyny. *Hermann-Paul Valaton*, *Jossot*, *Ibels*, dają satyry, posunięte do zjadliwości współczesnych stosunków społecznych. *Steinlen* charakteryzuje nędzę moralną i materyalną mieszkańców przedmieść. Prawie wszyscy komponują oni afisze, ale pod tym względem wyróżnia się przed innymi *Chéret* w swych pełnych fantazyi, werwy i ruchu, nadzwyczaj kolorowych sylwetach kobiecych, które mu służą do wyrażenia treści afisza.

* * *

W szkicu niniejszym [1]) postanowiliśmy sobie przedewszystkiem wykazać znaczenie i wpływ dwu głównych kierunków, które, ujawniając się w współczesnem malarstwie francuskiem, wpro-

[1]) Jako źródła pomocnicze posłużyły mi prace pp. G. Geffroy, A. Fontaines i A. Michel.

wadziły doń, a za nim do sztuki innych narodów, nowe pojęcia i formy.

Dla tego też staraliśmy się mówić tu prawie wyłącznie o tych tylko malarzach w przeszłości i teraźniejszości, którzy kierunkami tymi w bliższym lub dalszym pozostają związku. To jest tedy powodem opuszczenia wielu zasługujących na uwagę artystów ostatniego okresu, a w tej liczbie trzech największych, jakich wydała sztuka francuska od czasu Delacroix, mianowicie Puvisa de Chavannes, Gustawa Moreau i Carriera. Stało się to przecież nie przez zapoznanie ich wartości, ale dla tego, że stoją oni prawie zupełnie po za sferą wyżej wymienionych wpływów, a przynajmniej związek ich z niemi jest bardzo luźny i oddalony, zaś wpływ ich samych, jako wyższych organizacyj artystycznych, jest dotychczas stosunkowo nieznaczny, lub żaden. Pochodzi to zapewne stąd, iż wszyscy trzej mimowolnie, lub z rozmysłem oddalili się nieco od dość ograniczonych dążeń i upodobań swego czasu, pierwszy, aby wznieść się na zbyt wyniosłe dla współczesnych szczyty, skąd poprzez teraźniejszość objąć można jednym rzutem oka wielkie horyzonty przeszłości i przyszłości; drugi, aby, schroniwszy się przed pospolitym zgiełkiem nowoczesności do tajemniczej krainy chimery, wsłuchiwać się w dźwięki liry Orfeusza, lub w olśniewających pałacach podziwiać taniec Salomei; trzeci wreszcie, aby sięgnąć wzrokiem w niedostępne dla innych sfery ducha. Ci trzej artyści bez względu na wszelkie prądy i dążenia współczesne, w których nie brali udziału, przynoszą największy zaszczyt swej epoce.

Konrad Ostrowski.

Napoleon w poezyi.

Aleksander Wielki z zazdrością mówił o szczęściu Achillesa, który w Homerze znalazł piewcę swego męstwa. Było w tych słowach może przeczucie, że jego samego poezya tak wielbić nie będzie. I rzeczywiście: pominąwszy Greka Kallisthenesa i kilku nowszych poetów, tylko w wiekach średnich zna się poetyczne mity i epopeje o nieśmiertelnym pogromcy Dareiosa.

Szczęśliwszym od syna Filipa macedońskiego był Napoleon I, bo jeśli i on nie znalazł dotąd swego Homera, to jednak w zamian za tego jednego, lecz największego poetę, natchnął wielu wielkich i mniejszych, i jak Achilles, żyć będzie na wieki, nie w dziejach tylko, lecz i w poezyi. Ale też związek pomiędzy Napoleonem a poezyą polega na wzajemności: ona o nim pamięta, lecz także bierze z niego wiele więcej, niż z historyi Aleksandra, bodaj czy nie więcej, niż z podania o Achillesie.

Gdy Aleksander sławą swych wojennych czynów budził strach i podziw od Grecyi do Indyj, poezya starożytnego świata pędziła jałowy żywot: do przeszłości należała już wielka grecka tragedya, do przyszłości jeszcze wymowna rzymska epika. Gdy nad Europą szumiały orły napoleońskie, na poetyckim firmamencie gwiazd było tyle, że oślepnąć było można od ich widoku. A nie była to poezya umierająca, w starczej trwożliwości uciekająca daleko od huku dział. Nie, to była poezya młoda, burzliwa, spragniona silnych wrażeń, nawet w swej słabości rwąca się do wielkości: rodząca się poezya Byrona, Wiktora Hugo, Mickiewicza. Po martwym wieku ośmnastym, podniecona namiętnem jego zakończeniem ludzkość, a z nią i jej poezya, pragnęła siły, grozy, wspaniałości, dramatyczności. „Bóg wojny“ przez lat dziesiątki utrzymywał ją w tem napięciu: więc najprzód szalony pochód

zwycięstw, łomot walących się tronów, pokora zwyciężonych, tryumf zwycięzców — potem straszna katastrofa północna, lipski pogrom, paryskie złożenie z tronu, na Elbie wygnanie—i znowu prawie mityczny powrót, sto dni, Waterloo i św. Helena. Jeśli dzieje Aleksandra były świetnym dramatem jednoaktowym, z jednolitym nastrojem, przerwanym dopiero końcowem rozwiązaniem, to historya Napoleona jest wielką trylogią o ciągle zmiennym charakterze, przez te przeskoki tonu, widza w tem silniejszem napięciu utrzymującą. Czyż więc dziwić się można, że poezya w ogólności, a zwłaszcza romantyczna, tak się w nią zapatrzyła?

I nie za życia Napoleona tylko. Może żadna z nowszych dziejowych postaci tak długo nie panowała nad umysłami, chociaż zeszedł z widowni politycznej mając lat czterdzieści sześć, a ze świata w sześć lat potem. Książę Reichstadt póki żył, a bardziej jeszcze, gdy przedwcześnie zgasł, kultowi swego ojca nie dał zginąć; sprowadzenie zwłok wielkiego wygnańca do Paryża i pochowanie ich w tumie inwalidów pamięć tę, jeśli osłabła, odnowiło; drugie cesarstwo ją spotęgowało, a chociaż się skończyło Sedanem, to właśnie ta klęska wywołała żądzę odwetu, pragnienie nowej Jeny; a czyż i dzisiaj nie istnieje jeszcze nawet w czysto republikańskiej Francyi kult Napoleona, a w całym świecie serdeczniejsza o nim niż o jakimkolwiek innym wojowniku pamięć? i czyż według ludzkiego prawdopodobieństwa i przyszłe pokolenia nie potwierdzą prawdziwości wyrażenia: *toujours Lui?*

Znamy już siłę, rozległość i trwanie napoleońskich ech w poezyi, ale nie ich zabarwienie. A w rozpatrywaniu tego może właśnie momentu tkwi największy urok całej sprawy. Wobec wielkich wojowników i zdobywców sąd jest zazwyczaj albo uwielbiający albo potępiający. Tutaj istnieją oczywiście te dwie proste kategorye, lecz obok nich i inne, bardziej złożone, przez to ciekawsze. Jak historya do dziś dnia waha się pomiędzy bohaterem a kuglarzem, tak i poezya śpiewając o czynach jego szarpała się niejednokrotnie sama w wewnętrznej rozterce. Bonaparte jest najprzód i dzieckiem i pogromcą rewolucyi, z niej wyszedł, lecz przerósł ją, co więcej wyparł się jej, zdusił ją. Poeci, zwłaszcza współcześni, romantyczni, rwący się do wielkości, tu mieli jej szczyt, wspaniałego „nadczłowieka," o jakim marzył później filozof. Więc kornie przed nim zginają kolana i kadzidła mu palą. Ale oni przecież namiętnie kochają wolność, a ten bohater ją gnębił — więc plwają na niego i złorzeczą mu. Czasem każdy z tych tonów ma osobnego wykonawcę, czasem jednego, lecz w różnych okresach, po kolei, ale czasem—i to jest najciekawsze—je-

den i ten sam poeta i uwielbia i potępia, potępiając tyrana, wielbi „nadczłowieka,“ nie wie sam, czy złorzeczyć ma, czy potępiać. I ta rozterka trwa długo: wznawia się wobec haniebnej niewoli angielskiej i w czasie reakcyjnego „świętego przymierza,“ i za dni awanturniczego cezaryzmu Napoleona III i w współczesnej dobie radykalno-materyalistycznej rzeczypospolitej. Nie koniec na tem. Napoleon wprowadza w tę wszechświatową muzykę szereg akordów narodowych. Wszak rozwój jego losów dotykał najżywotniejszych zagadnień tylu narodów, to zagrożonych w swojej niezależności, to stęsknionych do wolności. Polska jest klasycznym przykładem tych stosunków, jej nadzieje i jej rozczarowania dowodem nowej rozterki i dwoistości nastroju.

Oto tło, na którem przedstawić zamierzamy szczegóły. Trzeba je było z grubsza podmalować, by ułatwić rozeznanie się w różnorodnym materyale; a można je było skreślić bez uszczerbku dla ciekawości dalszych ustępów, bo nawet po oznaczeniu głównych barw, poszczególne odcienia swą rozmaitością zdolne są w wysokim stopniu zająć czytelnika.

*

* *

Rozpoczynając od poezyi francuskiej, należy uczynić zastrzeżenie, które do niej wprawdzie przedewszystkiem ma zastosowanie, lecz i do innych w znacznej mierze. Oto stawiamy zupełnie po za nawias poezyę oficyalną niejako, poezyę, z urzędu wielbiącą cesarza: może ona być ciekawym dokumentem historycznym, lecz dla badacza, pragnącego poznać wyrazy szczerego i swobodnego uczucia, nie posiada żadnego znaczenia. Tem samem pozostawiamy na uboczu całą niemal poezyę francuską, ogłoszoną za panowania Napoleona jeszcze, bo nosi ona wtedy charakter przymusu. Wolną staje się dopiero wtedy, gdy potężna jego ręka, przynajmniej bezpośrednio, nad nią nie ciężyła, chociaż i wtedy krępowaną jest poniekąd, zależnie od tego, czy każdoczesny rząd francuski sprzyjał kultowi wielkiego Korsykańczyka, zwalczał go, lub też obojętnie się względem niego zachowywał.

Trudno sobie np. zaraz przy Bérangerze (1780—1857) wytłómaczyć dobrze fazy jego poezyi napoleońskiej bez uwzględnienia tego tła historycznego. On, tak wielki w małym rodzaju literac-

kim, *chanson*, on, uważany powszechnie za twórcę gloryi Napoleońskiej w poezyi, bynajmniej nie czuł zrazu podziwu i czci dla zdobywcy. Łagodną, prawie niewinną jest jego satyra z r. 1813 *Le roi d'Yvetot*, lecz o ileż silniejszą byłaby, o ileż więcej miałaby towarzyszów, gdyby nie strach przed absolutnym monarchą. Wszak inny poeta, Karol Nodier, za satyryczną odę *La Napoléone* (1802), dostał się do więzienia, a potem poszedł na wygnanie. Ale w chwili, gdy Bonaparte przestał być groźnym, piosenkarz bynajmniej nie rzucił się z wściekłością na rannego, a później martwego lwa. Przeciwnie, w Bérangerze dokonywa się wtedy zmiana w przekonaniach, typowa dla wielu innych współczesnych. Podczas aktu abdykacyi w Fontainebleau, w r. 1814, dwaj grenadyerzy (*Les deux Grenadiers*, naśladowani później przez Heinego) mają dla pobitego wodza współczucie, przedewszystkiem zaś wypowiadają dwa spostrzeżenia, powtarzające się potem nieraz w poezyi napoleońskiej: cóż zyskała wolność na powaleniu tytana, kiedy na jego miejsce dano Francyi za pana innego króla, tylko marniejszego — i jacy podli są ci, którzy niedawno schlebiali cesarzowi, a dzisiaj

„Vont au nouveau chef de l'Etat
De l'aigle mort vendre les plumes,"

idą do nowego władcy sprzedawać mu pióra martwego orła. W *Waterloo* poeta ponowi te skargi z bólem jeszcze większym, bo z każdym rokiem wzrastał ucisk reakcyi i odstępstwo dawnych bonapartystów: monarchowie podburzyli ludy, obiecując im wolność, byle tylko obaliły olbrzyma: i ludy omamione spełniły wezwanie — a gdzież ta wolność? w nowych, twardszych kajdanach. I odtąd Béranger pocznie coraz wyraźniej tworzyć aureolę koło głowy nienazwanego — dla ostrożności, lecz i dla tem silniejszego efektu — Wielkiego. Na wieść o jego śmierci piątego maja 1821 r. w poemacie *Le cinq Mai* otoczy zmarłego nimbem romantyzmu i tyle włoży w te wiersze i dramatyczności i uczucia, że pozostaną one na zawsze perłą napoleońskiej poezyi. Stary żołnierz cesarza po klęsce pod Waterloo walczył dalej, w Indyach, przeciw pogromcom Napoleona. Wracając do ojczyzny, pod wyspą św. Heleny zarzuca kotwicę. I wysyła tęskny wzrok ku siedzibie więźnia, który nawet w kajdanach wzbudzał postrach wśród ciemiężców: aż wzrok jego dostrzega czarnego sztandaru i żołnierz wie, że to zmarł On: smutny odpływa dalej z jedną pociechą w sercu, że zobaczy Francyę, gdzie „ręka syna zamknie mu oczy," rzucając i w tych słowach potępienie na tych, którzy nie dozwolili,

by i Napoleonowi syn zamknął oczy. Lecz rozpacz nie jest ostatnim słowem Bérangera. W wierszu *Il n'est pas mort* z r. 1829 czyta się mistyczną wiarę w wieczne życie Napoleona, w powrót jego:

„Des nations chacune a sa souffrance;
Il manque un homme en qui le monde ait foi
C'est lui qu'on veut: rends le vite à la France,
Mon Dieu, sans lui je ne peux croire en Toi."

(Wszystkie narody cierpią; niema człowieka, w którego świat by uwierzył; Jego wszyscy pragną: wróć go Francyi, o Boże! bez niego nie mogę wierzyć w Ciebie).

A jeśli on rzeczywiście umarł, kończy poeta, „niechaj moja krew odkupi przynajmniej jego szczątki." Za lat jedenaście miały te drogie zwłoki wrócić do ojczyzny, a że się to stać mogło, sprawił w znacznej mierze i sam Béranger. Nie krew, ale piosenki jego rozniosły kult Napoleona po całej Francyi, jak to sam przewidział w wierszu *Les Souvenirs du peuple* (z r. 1827), gdzie pod wiejską strzechą, koło starej kobiety, co pamięta jeszcze wielkiego cesarza, gromadzi się liczna rzesza i prosi:

„Mówcie, babunia, mówcie nam o Nim,
Mówcie nam o Nim."

Więcej jeszcze strun niż u Bérangera posiada napoleońska lira Wiktora Hugo (1802—1885). Skutek to i szerszej skali jego poetyckiego talentu i w znacznej mierze niezwykłej ruchliwości, ściślej mówiąc, burzliwości jego temperamentu, dzięki której w ciągu długiego swego życia zmieniał przekonania polityczne, a zawsze wypowiadał je z siłą i namiętnością. Syn generała wojsk napoleońskich i matki z legitymistycznej wandejskiej rodziny, przeznaczony był od natury niejako na to, by wahał się ciągle pomiędzy potępianiem a uwielbianiem tego, który wyrósł na barkach rewolucyi, ścinającej głowę Ludwikowi XVI. Sam z przekonania zrazu, za Restauracyi, rojalista, poświęca pierwiosnki swej politycznej muzy Burbonom, a w rok po śmierci Napoleona pisze pompatyczną odę, gdzie w samym tytule *Buonaparte* wobec zmarłego wrogie zajmuje stanowisko. I rzeczywiście, nie brak w tym poemacie silnych oskarżeń: despota, cesarz obozowy, tyran — oto przydomki, jakie młody poeta nadaje Napoleonowi, wytykając mu przedewszystkiem „krew królewską" (księcia Enghien, skazanego przez cesarza na śmierć), która „obryzgała jego uzurpatorską purpurę." Lecz zbyt pospiesznem byłoby mniemać, że Wiktor Hugo

tylko poniża Napoleona. Nawet tutaj, gdzie go nienawidzi, ma podziw dla jego męstwa i tak dobrze zdaje sobie sprawę z magicznego uroku tej postaci, że musząc uznać w nim „boga," usiłuje przynajmniej przedstawić go jako „fałszywego boga":

„Peuples, qui poursuivez d'hommages
Les victimes et les bourreaux,
Laissez le fuir seul dans les âges;
Ce ne sont point là les héros!
Ces *faux dieux*, que leur siècle encense
Dont l'avenir hait la puissance,
Vous trompent dans votre sommeil;
Tels que ces nocturnes aurores,
Où passent de grands météores,
Mais que ne suit pas le soleil."

(Ludy, które składacie hołdy ofiarom, jak i katom; zapomnijcie o nim: tacy, jak on, nie są bohaterami. Tacy fałszywi bogowie, ubóstwiani przez swój czas, znienawidzeni przez potomność, łudzą was śpiących, podobni do owych nocnych jutrzenek, przez które przechodzą wielkie meteory, za któremi jednak nie idzie słońce).

Najniższy pokłon oddał jednak Hugo Napoleonowi, widząc w nim wcielenie Złego, straszny bicz Boży:

„Parfois, élus maudits de la fureur suprême,
Entre les nations des hommes sont passés,
Triomphateurs longtemps armés de l'anathème,
Par l'anathème renversés!
De l'ésprit de Nemrod héritiers formidables,
Ils ont sur les peuples coupables
Régné par la flamme et le fer:
Et dans leur gloire impie, en désastres féconde
Ces envoyés du ciel sont apparus au monde,
Comme s'ils venaient de l'enfer!"

(Niekiedy przechodzą przez narody ludzie, przeklęci wybrańcy najwyższego gniewu, tryumfatorzy, zbrojni w przekleństwo i przez nie obaleni. Straszliwi dziedzice ducha Nemroda panują ogniem i mieczem, a w swej zbrodniczej chwale, płodnej w klęski, ci wysłańcy nieba zdają się światu być posłańcami piekła).

W tych warunkach nie będzie zupełną niespodzianką odmienne w rychłym czasie stanowisko poety, który zresztą sam wyda-

jąc w r. 1853 swoje poezye w Przedmowie zaznaczył, że jego rojalistyczne ody są tylko śladem naturalnego etapu ewolucyi przekonań. A tak trzy lata po *Buonapartem* w wierszu *Les deux Iles* (Dwie wyspy) już się mówi o Bonapartem, a jeśli jeszcze autor zajmuje miejsce pośrednie, przedmiotowo zestawiając głosy uwielbienia i przekleństwa, to stwierdza, że do Korsyki, jak do św. Heleny, pielgrzymować będą ludzie z całego świata, przejęci podziwem. Lecz zdeklarowanym wielbicielem Napoleona jest Wiktor Hugo dopiero w odzie *Lui* (On) z r. 1828. I tu wprawdzie wymawia mu rewolucyjne, antirojalistyczne pochodzenie („massacrant le peuple au nom des régicides"—w imieniu królobójców rzeź szerząc wśród ludu: alluzya do krwawego stłumienia rojalistycznej kontrrewolucyi paryskiej z d. 5 października 1795 r.), ale wielbi jego chwałę wojenną, kornie ze czcią pochyla czoło przed „biednym więźniem" umierającym i woła:

„Qu'il est grand à cette heure où, prêt à voir Dieu même,
Son oeil qui s'éteint roule une larme suprême!
Il évoque à sa mort vieille armée en deuil,
Se plaint à ses guerriers d'expirer solitaire,
Et, prenant pour linceul son manteau militaire,
Du lit de camp passe au cercueil!"

(Jakżeż wielkim jest On w tej chwili, kiedy oko Jego, gotowe ujrzeć Boga samego, gasnąc, pokrywa się wzniosłą łzą! Umierając przyzywa swą starą armię w żałobie, przed swymi wojownikami skarży się, że umiera samotny; i płaszczem wojskowym okrywszy się, jako śmiertelną koszulą, z polowego łóżka zstępuje do trumny).

Poeta zawiera wieczny ślub z cieniami zmarłego, bo nie może poruszyć nic wielkiego, by nie dotknąć jego imienia:

„Napoléon! soleil dont je suis le Memnon!"

podobnie, jak posąg Memnona przy wschodzie słońca wydawał drżące dźwięki.

Dźwięki te spotężniały jeszcze, gdy kult Napoleona natrafił na opór. W roku 1830 proklamowano Ludwika Filipa królem, a w dwa miesiące potem grupa bonapartystów w parlamencie paryskim postawiła wniosek, by szczątki cesarza przeniesiono do stolicy i pochowano pod kolumną Vendôme, wzniesioną przez niego na pamiątkę zwycięstw r. 1805, z użyciem spiżu armat, zdobytych pod Austerlitz. Parlament nad tym wnioskiem przeszedł do

porządku dziennego. Wiktor Hugo oburzył się na takie postępowanie i przelał to uczucie w pompatyczną, pełną retorycznego patosu odę *A la Colonne*. Brzmi w niej hucznie sława nieśmiertelnych tryumfów, padają wyniosłe słowa pogardy dla „trzechset adwokatów," którzy śmieli „chicaner ce tombeau," odmówić „sześciu stóp ziemi pod armatami, które On zdobył," idą jeszcze raz wyrazy hołdu ku samotnej mogile na wyspie św. Heleny, a wszystko kończy pewność, że mimo te zniewagi, Napoleon żyje i żyć nie przestanie w sercach Francuzów: „Dors, nous t'irons chercher! ce jour viendra peut être!" (Śpij, my pójdziemy po ciebie, ten dzień może nadejdzie!). I napróżno inny poeta, August Barbier, (1805—1882) w odpowiedzi ogłosił satyryczny wiersz *L'Idole* (Bożyszcze), w którym zwalczał i „Korsykańczyka," „tyrana," i jego wielbicieli, entuzyazm Wiktora Hugo opanował wszystkie umysły, zajął zwłaszcza teatry paryskie, grywające ciągle epizody z życia wielkiego cesarza, aż drogocenne zwłoki wróciły na ojczyzny łono.

Przedtem jednak zmarł książe Reichstadt. Śmierć smutnego dziedzica wielkiej chwały wstrząsnęła sercem całej Europy, a Wiktor Hugo znowu był tłómaczem tej boleści: w poemacie o *Napoleonie II* z charakterystyczną siłą maluje radość ojca i Francyi po narodzinach syna, straszliwe rozwianie się marzeń, gdy „Anglia zabrała orła, Austrya—orlątko," boleść wygnańca, tęskniącego do śmierci za synkiem, ciemność nocy, która nad światem zapanowała, gdy zgasły te dwie świetne gwiazdy.

Odbieglibyśmy od tematu, przedstawiając, jak Hugo z bonapartysty i członka prawicy przeobraził się w radykalnego liberała, jak po zamachu z r. 1851 proskrybowany, pędził życie na wygnaniu na wyspie Jersey, skąd w tryumfie wrócił do Paryża po upadku drugiego cesarstwa. Również nie należą tu jego namiętne, zjadliwe pamflety przeciw „Napoleonowi Małemu," a tylko jedna długa oda *L'Expiation* (1852) tutaj musi być omówioną. W niej bowiem poeta nietylko ściślej łączy z sobą obu Bonapartych, ale i sąd swój o pierwszym odmienniej niż poprzednio wypowiada. Treścią poematu są tym razem obrazy nie tryumfów, lecz pogromów: więc Moskwa, Waterloo, św. Helena. Po każdym ciosie cesarz pyta się Boga: czy to jest kara za grzechy, a głos tajemny odpowiada mu zawsze: nie. Zdaje się nawet, że tej kary nie będzie, bo zmarły patrzy z za grobu na świetne odnowienie swej chwały. I śpi spokojnie, aż nagle budzi go ów głos i każe mu patrzeć na ohydne widowisko. Rozbójnicy, szarlatani, siepacze nadużywają jego imienia, mienią się jego synowcami, jego spadkobiercami: „Umarłeś, jak gwiazda spada, Napoleonie, Wiel-

ki, cesarzu; odżywasz, jako Bonaparte, stajenny cyrku Beauharnais.“ „Lew umarł, małpa zajęła jego miejsce.“ Napoleon patrzy na to z przerażeniem i obrzydzeniem i pyta się widma, czem jest. A ono mu odpowiada: 18-ty Brumaire'a! Za zamach stanu pierwszego konsula (1799), obalający dyrektoryat i pierwotną republikańską konstytucyę, Napoleon I, w trzydzieści lat po śmierci, ponosi karę, zmuszony patrzeć z za grobu na komedyanta Napoleona III. Wiktor Hugo niegdyś, jako rojalista, przeklinał Bonapartego za przelanie krwi królewskiej, teraz, jako skrajny liberał, przebacza mu wszystko, tylko nie obalenie rzeczypospolitej.

Około napoleońskiej poezyi tych dwóch jej mistrzów, Bérangera i Wiktora Hugo, snadnie dadzą się ugrupować głosy i innych współczesnych francuskich pieśniarzy. Powtarzają się u nich znane już sądy, te same motywy, nawet niekiedy podobne obrazy. Bliskim jest mu np. Kazimierz Delavigne (1793—1843) — pamiętny i u nas twórca hymnu *La Varsovienne* („Dziś Francya piosnkę nam przysyła,“ mówi z goryczą Chłopicki u Wyspiańskiego). W zbiorze „Les sept Messéniennes nouvelles“ znajduje się wiersz z r. 1818 *Le départ* (Odjazd), pełen współczucia dla więzionego olbrzyma, lecz kończy się jeszcze silniejszem wezwaniem do Francyi, by nad wszystko inne kochała wolność. W jedenastej zaś części cyklu *Messéniennes sur les malheurs de la France* w wierszu do *Napoleona* tok myśli i obrazów jest ten sam, co w *Ekspiacyi* Wiktora Hugo z waryantem: *vanitas vanitatum*... Alfons Lamartine zaś (1790 — 1869), jak Hugo, za młodych lat rojalista, przypomni znowu jego odę *Buonaparte*. Nie powtarza wprawdzie w tytule włoskiej tendencyjnie użytej formy nazwiska cesarza, lecz za główny grzech, za jedyną nieprzebaczalną winę poczytuje mu stracenie Kondeusza. Obiecując we wstępie, że nie będzie „znieważać cichego majestatu“ śmierci i powie tylko prawdę, daje potem fantastyczny obraz Napoleona, który na wygnaniu daremnie usiłuje z czoła zmyć palącą go krew ks. Enghiena — fantastyczny, bo Napoleon nawet w testamencie oświadczył, że w tych samych warunkach jeszcze raz skazałby Kondeusza na śmierć — a kończy szablonowym morałem: „Ludy, wiedzcie, że marną jest wartość geniusza, nie opartego na cnocie!“

Tworzy się wogóle zwolna typ napoleońskiej poezyi ze zmieniającemi się, w miarę przekonań autora, sądami, motywami i obrazami, tak, że tutaj, gdzie nie o bibliograficzną ścisłość, ale o scharakteryzowanie kierunków nam chodzi, zwolnieni jesteśmy od szczegółowego sprawozdania o dalszych jej losach. Płynie jej strumień trzema korytami. Pierwsze, najmniej obfite, to liryka

napoleońska, rozporządzająca i w nowszych czasach jednak znamienitemi nazwiskami, jak Teofila Gautier w dobie wczorajszej, Bourgeta i Coppée'go za dni naszych. Pierwszy w wierszu *Les Vieux de la Vieille* (Weterani starej Gwardyi) z r. 1850, a więc po sprowadzeniu zwłok cesarza do ojczyzny i po pierwszych tomach Thiersa *Dziejów cesarstwa*, które były nowym dla niego tryumfem, zdejmuje z szacunkiem kapelusz i przed wodzem i przed żołnierzami, „Achillesami Illiady, której sam Homer nie wymyśliłby.“ Bourget zaś w sonecie *En Russie* cofa się do strasznych dni odwrotu z Moskwy: stary żołnierz z Egiptu czy Włoch, umierając z głodu woła osłabionym głosem do cesarza: „Chleba! ojcze, chleba!“ A On nie odpowiada:

„Un étrange frisson errait sur sa figure;
Et le vieux compagnon de ses premiers combats
Disait: „Père, pardon!“ et baisait la fourrure.“

(Dziwny dreszcz przeszedł przez jego postać. A stary towarzysz jego pierwszych walk wyrzekł: „Przebacz, ojcze!“ i ucałował futrzany płaszcz wodza).

Ta drobna poezya to jedno z owych trzech koryt. Drugiem są eposy i romanse, bardziej liczne, niż piękne, z wyjątkiem chyba pierwszych epopei napoleońskich, jak Barthélemy'ego i Méry'ego *Napoleon w Egipcie* i Edgara Quineta *Napoleon* lub wspaniałego opisu bitwy pod Waterloo w Henryka Beyle'a (Stendhala) powieści *La Chartreuse de Parme* z roku 1839. [1]). Wreszcie najhuczniej płynie rwący potok dramatów napoleońskich, zalewający literaturę francuską od pierwszych wodewilów, współczesnych Bonapartemu, aż do naszych czasów, do Wiktoryna Sardou *Madame Sans Gêne* (1893), Edmunda Rostanda *L'aiglon* (Orlątko 1900 r.), Piotra Bertona *La belle Marseillaise* (1905 r.). Pisać o nich tutaj ani nie można, ani nie trzeba, bo liczba ich olbrzymia, a charakter czysto widowiskowy (z małem zastrzeżeniem chyba co do Rostanda, który miał zapewne zamiar przyczynienia się do rozgrzania obudzonego na nowo około r. 1900 kultu Napoleona).

*

* *

[1]) Bodaj na tem miejscu należy wspomnieć znakomitego romantyka, który, aczkolwiek poezyj o Napoleonie nie pisał, więcej, niż inni, łączy się z epoką napoleońską. To Châteaubriand (1768 — 1848), z katolickiego i rojalistycznego stanowiska zacięty przeciwnik cesarza, autor namiętnego przeciwniemu pamfletu *De Buonaparte, des Bourbons*, ogłoszonego w r. 1814, po upadku cesarza. (*Przyp. autora*).

Z wyjątkiem Francuzów i Polaków, o których osobno będzie mowa, żaden naród nie miał z Napoleonem tyle kontaktu, co Niemcy. Wystarczy przelotnie wspomnieć ich dzieje z początku poprzedniego wieku, ich straszne pognębienie, a potem walkę o niepodległość. I poezya ich, jako wierne zwierciadło politycznego i narodowego życia, musiała więc w niezwykłej mierze zająć się tą postacią, tembardziej, że w naturze jej leży żywsze niż gdzieindziej interesowanie się historycznemi problemami. Stąd tutaj echa napoleońskie są tak niesłychanie liczne, że znowu tylko o najwybitniejszych z nich możemy mówić. I są one bardzo wczesne, nieledwie wcześniejsze, niż we własnej bohatera ojczyźnie. Wszak już w osiemnastem stuleciu przeczuwa Bonapartego Gleim, Klopstock w jednej z ód wspomina „młodego Korsykańczyka," ba, jakiś wiedeński Anonymus pisze o jego egipskiej wyprawie duże epos, zaś znany fabrykant dramatyczny Kotzebue na gorąco wprowadza na scenę epizody wojen napoleońskich. Daremnie natomiast szuka się tutaj nazwisk największych poetów niemieckich, Goethego i Schillera. Postawiwszy sobie za zadanie dać przegląd kierunków poezyi napoleońskiej, a nie sądu poetów o cesarzu, możemy oczywiście tylko pokrótce przypomnieć, że Goethe patrzał na Napoleona nie z ograniczonego niemieckiego, lecz z wyższego, ogólniejszego stanowiska. Widział w nim wspaniały twór przyrody, „nadczłowieka," jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, i podziwiał go bezgranicznie, bez względu na jego etyczną wartość, bo— jak się wyraził w rozmowie z Riemerem— „nadzwyczajni ludzie, jak Napoleon, stoją poza moralnością. Oni działają ostatecznie jak fizyczne przyczyny, jak ogień i woda." A w tragicznem rozwiązaniu dziejowego dramatu, widział tylko— w rozmowie z Eckermannem w r. 1830 — stwierdzenie faktu, że „niebezpiecznem jest wznieść się do Absolutu i wszystko poświęcić przeprowadzeniu jednej idei." Być może, że wobec tej przedmiotowości, nie było tu miejsca na subjektywną, uczuciową odę o Bonapartem, lecz mógł snadnie powstać wielki o nim poemat lub dramat. To też żałować trzeba, że udział Goethego w poezyi napoleońskiej ogranicza się jedynie do przekładu wiersza Manzoniego, o którym poniżej będzie mowa (bo epigramu: „Dzięki Bogu, że tak się nam stało! Tyran siedzi na św. Helenie! Niestety, tylko ten jeden dał się schwytać, a mamy za to teraz stu tyranów," nie można tutaj zaliczyć, jako zwróconego przeciw przesadnym purystom językowym). A może Goethe milczał z powodów, które w krótkim wierszu *Bonaparte* wyraził jeden z pierwszych romantyków nie-

mieckich, Fryderyk Hölderlin (1770—1843), wtedy już melancholią dotknięty:

„Heilige Gefässe sind die Dichter,
Worin der Wein des Lebens, der Geist
Der Helden sich aufbewahrt.
Aber der Geist dieses Jünglings
Müsste der nicht zerstampfen das Gefäss
Der Schnelle, wo es ihn fassen wollte?
Der Dichter lass ihn unberührt,
Wie den Geist der Natur.
An solchen Stoffen wird zum Knaben der Meister.
Er soll im Gedicht leben und bleiben?
Er lebt und bleibt in der Welt!"

(Świętemi naczyniami są poeci, w których się przechowywa wino życia, duch ludzkości. Ale czyż szybki duch tego młodzieńca nie musiałby rozbić naczynia, któreby go chciało ująć? Niechaj poeta zostawi go w spokoju, jak ducha przyrody. Wobec takich przedmiotów nawet mistrz staje się chłopięciem. On miałby w pieśni żyć i pozostać? On żyje i pozostanie w świecie!).

Milczał i Schiller, który jednak, gdyby był żył dłużej i opiewał Napoleona, różniłby się w tonie zasadniczo od obu swych przyjaciół, Goethego i Hölderlina. Bo on, niegdyś kosmopolita, piewca wolności, wielbiciel tytanizmu, około r. 1800 przeszedł do obozu patryotycznego i legitymistyczno-konserwatywnego i jak w *Pieśni o dzwonie* bezpośrednio potępił francuską rewolucyę, tak w *Dziewicy orleańskiej* i w *Wilhelmie Tellu* w pośrednich alluzyach zwraca się przeciw obcym tyranom.

Wśród milczenia największych wymownie odzywają się mniejsi. Komuż z nich oddać pierwszeństwo, jeśli nie Wojciechowi Chamisso (1781—1838), który z francuskiej pochodząc rodziny, w Niemczech naturalizowany, do tego przyjaciel pani de Staël, był najbardziej powołanym do związania poezyi niemieckiej z Napoleonem? Ciekawość w tem tylko leży, co w nim zwyciężyło: krew francuska czy niemieckie obywatelstwo, nienawiść, jaką pani Staël żywiła do cesarza, czy romantyczny podziw dla wielkości człowieka? Zwyciężyć nie zwyciężyło stanowczo żadne z tych uczuć, lecz przewaga jest przecież po stronie francuskich tradycyj i romantycznego temperamentu. Chamisso tłómaczy Bérangera pieśni ku czci cesarza, a w swym dramolecie o *Śmierci Napoleona* (1827), wzorowanym na Manzonim, korzy się sam przed jego wielkością, a tylko przez usta allegorycznej postaci Europy skarży się:

„O hättest Freiheit du geschafft nach deiner Macht,
Noch ständen aufrecht deine Bilder, unentweiht
Von Händen, die zu heben unvermögend sind
Das dir entsunkne, dein gewicht'ges Herrscherschwert."

(O, gdybyś był wolność ustanowił, jak to w twej mocy leżało, stałyby jeszcze dzisiaj wyniośle twoje posągi, niezbezczeszczone przez ręce, niezdolne podnieść wypadły z twych rąk potężny miecz władcy).

Na Chamissa ton nastrojona jest niemal cała napoleońska lutnia niemiecka. Nienawiści do sprawcy sromotnej klęski pod Jeną jest mniej, niżby się oczekiwało, może nawet i wymagało, bacząc, że to przecież są Niemcy. Nawet poeci walk wolnościowych z r. 1813, nie pienią się patryotycznem oburzeniem. Taki Teodor Körner np. (1791—1813), sam żołnierz, wzywa gorąco do boju przeciw zaborcy, posyła wyrazy uznania Moskwie, lecz w jego wierszach znać, że więcej mu chodzi o wolność ojczyzny, niż o zohydzenie wroga. I rzec można, że jeden tylko z wybitnych poetów Henryk Kleist (1777—1811) nienawidzi go serdecznie, chociaż on właśnie Lipska nie dożył. Nienawidzi Napoleona tak żywiołowo, jak i Goethego, bo obaj byli tragedyą jego krótkiego a tragicznego życia: jeden, że mu dorównać nie zdołał, drugi, że walczyć przeciw niemu nie mógł, bo ostrożne Prusy wolały pokój. Więc Kleist przynajmniej w poezyi daje upust wściekłej nienawiści do Napoleona. Nie dość, że w dramacie pod formą przedstawienia walki Hermana, wodza Teutonów, z Rzymianami w Lesie Teutoburskim wzywa rodaków do broni przeciw Napoleonowi, nie dość, że w lirycznych wierszach zwie go potworem, synem piekła, ale jego *Germania do swoich dzieci* tak się odzywa:

„Schlagt ihn tot! Das Weltgericht
Fragt euch nach den Gründen nicht!"

(Ubijcie go! Sąd świata nie zapyta was o powody).

Najnowszy zaś biograf poety, p. Servaes powiada przy tej cytacie, że „Kleist nie był człowiekiem pustych słów..." A przecież i on, jak Goethego nienawidził i podziwiał zarazem, tak i Napoleona wielkość, sam rwąc się do ogromu, odczuwał, a tylko tem namiętniej go nienawidził. Germański Herman znacząco mówi:

„Ich will die höhnische Dämonenbrut nicht lieben!
Solange sie in Germanien trotzt,
Ist Hass mein Amt und meine Tugend Rache."

(Nie chcę kochać chytrego plemienia demonów! Dopóki urąga nam w Germanii, nienawiść jest mojem powołaniem, zemsta moją cnotą).

Wyjątkowy to głos w poezyi niemieckiej! Bo wszak w niej zrodziły się dwa poematy napoleońskie, które obok liryków Bérangera, Wiktora Hugo i Manzoniego są najcenniejszemi poetyckiemi dokumentami napoleońskiego kultu: Zedlitza *Nocny przegląd wojska* i Heinego *Grenadyerzy*.

Józef Zedlitz (1790—1862), mimo że austryacki szlachcic, żołnierz przeciw Napoleonowi, sekretarz księcia Metternicha, miał dla Bonapartego podziw i miłość, co szowinistyczny historyk pruski Treitzsche jemu, jak i Heinemu, ostro wytyka. W r. 1827 w Wieńcach żałobnych (Totenkränze), w pięknych kanzonach bierze w obronę cienie zmarłego przed marnem ujadaniem tchórzów, którzy za jego chwały ani słówka przeciw niemu nie odważyli się pisnąć. W r. 1832 w balladzie *Okręt-widmo* (Das Geisterschiff) z całym aparatem romantycznej fantastyki pokazuje cesarza, błądzącego w tajemniczym okręcie, jak bajeczny holenderski tułacz. Ale sławniejszym od tych utworów jest wspomniany już *Nocny przegląd wojska* (Die nächtliche Heerschau), sławny i w poezyi francuskiej, do której wprowadził go przekład Barthélemy'ego, sławny i w sztuce, bo illustrował go głośny rysownik, a gorący wielbiciel Napoleona, Raffet. Oto, gdy nadchodzi północ, na polach elizejskich „zmarły cezar" odbywa przegląd swej armii. Wzywa go trębacz, a na te dźwięki wstają zmarli żołnierze: i ci, co zginęli w rosyjskich śniegach, i ci, których kryje piasek Egiptu i Arabii, i ci, co polegli na ziemi włoskiej. Wstają wszyscy, chwytają za broń i ustawiają się w szeregi. I zjawia się wódz

„Der Mond mit gelbem Lichte
Erhellt den weiten Plan;
Der Mann im kleinen Hütchen
Sieht sich die Truppen an.

Die Reihen präsentieren
Und schultern das Gewehr
Dann zieht mit klingendem Spiele
Vorüber das ganze Heer.

Die Marschäll' und Generale
Ziehn um ihn einen Kreis;
Der Feldherr sagt dem nächsten
Ins Ohr ein Wörtchen leis!

Das Wort geht in die Runde
Klingt wieder fern und nah:
„Frankreich“ heisst die Parole,
Die Losung „Sankt Helena.“

(Księżyc żółtem światłem oświeca szeroką równinę; mąż w małym kapeluszu ogląda wojsko. Szeregi prezentują broń, a potem przechodzą przy dźwiękach muzyki. Marszałkowie i generałowie otaczają go kołem, a wódz najbliższemu cicho do ucha mówi słówko. Słówko to idzie wokoło, brzmi zbliska i zdala: „Francya“ — oto pobudka, „Święta Helena“—oto hasło!)

Zedlitza poemat wszedł do poezyi francuskiej, z Francyi, naodwrót, z Bérangera zaczerpnął Henryk Heine (1797—1856) wątku do swoich *Grenadyerów*. Jego stosunek do Napoleona nie da się wyobrazić prostą linią. Wychowany w zostającem pod dobroczynnemi francuskiemi rządami księstwie Berg, ujęty osobistą grzecznością i uprzejmością Francuzów, nienawidząc za to Prusaków, bogaty we wspomnienia naocznego oglądania cesarza w roku 1811 Heine żywi dla niego kult, który w r. 1819 przepięknie wyraża w przerobionych z Bérangera *Die Grenadiere*. Dwóch żołnierzy napoleońskich wraca z rosyjskiej niewoli do Francyi i po drodze dowiaduje się, że

„Dass Frankreich verloren gegangen,
Besiegt und zerschlagen das grosse Heer —
Und der Kaiser, der Kaiser gefangen.“

(Francya zgubiona, wielka armia pokonana i rozbita, a cesarz, cesarz pojmany).

Obaj płaczą, a gdy pierwszy nie chce umrzeć, bo ma przecież żonę i dzieci, których utrzymywać musi, drugi pragnie tylko, by towarzysz, gdy on tu zginie, zaniósł jego ciało do Francyi, pochował je we francuskiej ziemi, z krzyżem legii honorowej na piersiach, z karabinem w ręku, z szablą u boku:

„So will ich liegen und horchen still
Wie eine Schildwach' im Grabe,
Bis einst ich höre Kanonengebrüll
Und wiehernder Rosse Getrabe.
Dann reitet mein Kaiser wohl über mein Grab,
Viel Schwerter klirren und blitzen;
Dann steig' ich gewaffnet hervor aus dem Grab —
Den Kaiser, den Kaiser zu schützen!“

(Tak chcę leżeć i nadsłuchiwać cicho w grobie, jak szyldwach, aż usłyszę raz ryk dział i tętent rżących koni. Wtedy mój cesarz przejedzie ponad moją mogiłą, miecze zadźwięczą i zabłysną, a ja wstanę zbrojny z grobu, by bronić cesarza, mego cesarza).

Powtarza się jeszcze ten napoleoński entuzyazm u Heinego w osiem lat potem w księgach *Le Grand*, ale nie trwa daleko po za rok 1827. Pobyt we Francyi, rewolucya lipcowa, publicystyczna działalność w służbie idei liberalnych sprawiają, że Heine odwraca się od cesarza, jako od gnębiciela wolności. Rychło następuje nowa zmiana: wyśmiawszy prezydenta Ludwika Napoleona Bonapartego, godzi się jednak z cesarzem Napoleonem III i zostaje pod urokiem świetności jego panowania i równocześnie nawraca się do dawnej czci dla pierwszego cesarza: „Napoleon nie był z drzewa, z którego się robi królów — był z marmuru, z którego się robi bogów."

Do tych najgłośniejszych ech napoleońskich w poezyi niemieckiej, przyłącza się długi szereg innych, z których bodaj najwybitniejsze trzeba tutaj wspomnieć. Są wśród nich głosy podziwu i uwielbienia, jak np. w Hauffa *Obrazie cesarza* lub Gaudy'ego *Spiewach o cesarzu;* są niekiedy nowe motywy, jak np. w Immermanna *Grobie na św. Helenie:* skazanie Napoleona na wieczną tułaczkę śladem Ahaswera, dopóki ludzkość nie odczyta znaków, napisanych na jego czole przez przeznaczenie; są wreszcie wahania się pomiędzy potępieniem a czcią. Z tych najciekawszemi przykładami są poezye Augusta Platena (1796—1835) i Franciszka Grillparzera (1791—1872). Pierwszy gromi Napoleona za to, że „będąc synem wolności, wyparł się swego szlachetnego pochodzenia" (wiersz *Acqua Paolina* z r. 1826); drugi, zamknięty w sobie i trwożliwy Austryak, gani w Napoleonie to właśnie, co inni podziwiali: „nadczłowieczeństwo." Jak w dramacie o *Szczęściu i końcu króla Ottokara* w osobie gwałtownego władcy czeskiego wyobraził właściwie Napoleona, przeciwstawiając mu spokojnego, skromnego Rudolfa habsburskiego, tak w roku 1815, za życia zatem cesarza jeszcze, mówi o pokusach szatana pychy i kończy zupełnie à la mdły Lamartine: „Jest Bóg, który każe zbrodnie." Sprawiedliwszym jest w r. 1821 wobec zmarłego już: zwie go wtedy „febrą chorego czasu," kozłem ofiarnym win współczesnych, biczem Bożym i kto wie, czy nie trafnie w ostatnim wierszu powiada:

„Er war zu gross, weil seine Zeit zu klein."

(Był za wielkim, bo jego czas był za małym).

A chociaż „kochać go nie może,“ to pyta się, okazując tem niezwykłą u siebie i wogóle w metternichowskiej Austryi odwagę: „Czy tyrania została usunięta razem z tyranem?“

Lecz punkt ciężkości, podobnie jak we Francyi, przenosi się w Niemczech wnet po śmierci Napoleona z poezyi lirycznej do dramatu, o którym tutaj oczywiście tylko o tyle może być mowa, o ile zaliczyć go warto do poezyi. A pierwszem artystycznem i zarazem do dziś dnia najgłośniejszem scenicznem opracowaniem tragedyi napoleońskiej jest Chr. D. Grabbego *Napoleon, czyli sto dni* z r. 1831. Autor, epigon „stürmerów i drangerów,“ włożył w to dzieło całą chaotyczną siłę swego nieokiełznanego talentu i dał raczej udramatyzowaną historyę, niż tragedyę, przydatną do teatralnego przedstawienia. Ma dla swego bohatera podziw i w duchu „Młodych Niemiec“ jego wielkości przeciwstawia małość jego zwycięzców. Żałować trzeba, że genialny Fryderyk Hebbel nie napisał napoleońskiego dramatu. Byłby był bowiem niewątpliwie stworzył rzecz wspaniałą, chociaż w teoryi twierdzi, że przedmiot ten wogóle do poezyi się nie nadaje. To też poświęcił mu tylko epigram, w którym jego wielkość z Szekspirem zestawia: tym, którzy lekceważą Napoleona, utrzymując, że całą jego sztuką była umiejętność stawiania ludzi na właściwem miejscu, oddawania im stosownych zadań, tym odpowiedzieć można: tak, i Szekspira wielkość jest taką: „stawiał literę przy literze, na właściwem miejscu przecinek, średnik i kropkę, mieszał alfabet, jak inni, tylko trochę zręczniej, aż powstał Macbeth, Lear albo Hamlet.“ Czego Hebbel się nie podjął, nie dokonali inni, chociaż się o to przedsięwzięcie pokusili; ani Bleibtreu, podobnie jak Grabbe wybujały, autor napoleońskich epopei, powieści, dramatów, ani tem mniej współczesny nam Hermann Bahr, który w *Józefinie* (r. 1899) drwi z czytelnika drwiąc z Napoleona, sprowadzając tytana do drobnych rozmiarów czułego trubadura. Dzisiejsza literatura niemiecka produkuje do codziennego użytku wiele utworów o Napoleonie, lecz żaden z nich na miano poezyi nie zasługuje.

*

* *

Załatwiwszy się z poezyą francuską i niemiecką, polską zaś odłożywszy do osobnego rozdziału, nie mamy już przed sobą narodowych grup, tylko poszczególne indywidua. Ani Anglicy bowiem, ani Włosi, a tem mniej inne ludy, do swego stosunku do Napoleona nie wnosiły w tym stopniu apryorystycznych uczuć, od których zależnym był czy Francuz, czy Niemiec. Co Anglik lub Włoch sądził o Bonapartem, sądził jako indywiduum, bo narody jego zajmowały wprawdzie pewne stanowisko wobec kwestyi napoleońskiej (szczególnie Anglia), nie dotykało jednak ono tak głęboko rdzeni uczucia, jak we Francyi, w Niemczech lub w Polsce.

Z tych indywidualnych głosów poezyi o Napoleonie bez zaprzeczenia najindywidualniejszym był głos Byrona (1784—1824). Zbliża się on niewątpliwie do znanych nam już pojęć Goethego, przedstawia jednak na tem wspólnem tle odcień osobisty, zajmuje zaś więcej niż niemiecki poeta, bo częściej i wyraźniej od niego dawał swemu zapatrywaniu upust. Jak Goethe podziwia Byron Napoleona, podziwia w nim „nadczłowieka:“ cesarz jest jego „małą pagodą.“ Ale w sądzie Goethego było więcej przedmiotowego, przyrodniczego niejako poglądu rozumowego, w Byronie dominowało uczucie, temperament. On zapala się do wielkiego olbrzyma, lecz równocześnie nienawidzi w nim tyrana, ujarzmiciela wolności, którą kocha jeszcze bardziej niż wielkość. Stąd np. w pierwszej pieśni *Childe Harolda* (1812) z równą grozą odtworzony jest i wojenny pochód Napoleona i bohaterska obrona Hiszpanów. Lecz Byron w swem ukochaniu wielkości i grozy jest nieubłaganie konsekwentnym, od swego bohatera domaga się, by do końca był wielkim, tragicznym, nie zniżał się do bierności, pospolitości, kompromisu. Więc kiedy jeszcze w styczniu 1814 r. oburza się na tryumfujących z klęsk cesarza, „którego nazwisko bielszymi ich czyniło od śniegu, jakiemu zawdzięczają swe tryumfy,“ to abdykacya w kwietniu tego roku gotuje mu najboleśniejsze rozczarowanie. W pamiętniku zapisuje, że „cesarski dyament dostał plamę i ledwo przyda się teraz szklarzowi,“ w listach zżyma się, że jego bohater „zaczął jak Tamerlan, skończył jak Bajazet,“ jako poeta zaś pisze bezlitosną, okrutną *Odę na Napoleona Bonapartego*. „'Tis done—but yesterday a king;“ minęło wszystko! wczoraj jeszcze wielki król a dzisiaj? Dzisiaj pozbawiony czci—a jednak przy życiu! Więc taki koniec bohatera? więc na to ludy Europy przelewały krew za niego, ażeby on swojej szczędził? Gdyby był padł na polu chwały, widmo jego straszyłoby wszystkich małych i tchórzów. Ale on sam okazał się małym i tchó-

rzem, i jedną tylko światu pozostawia naukę: by nigdy odtąd nie korzył się przed posągami bożyszcz, bo czoło ich miedziane a nogi z gliny. Nie można sobie wyobrazić okrutniejszego szyderstwa nad te słowa Byrona. Może on sam odczuł ich wielką niesprawiedliwość, może powrót Napoleona z Elby, sto dni i Waterloo znowu przebłagały jego duszę żądną tragizmu, dość, że w wydanej w r. 1816 trzeciej pieśni *Childe Harolda* wraz ze swym wędrowcem odwiedza belgijskie pobojowisko w spokojniejszym nastroju, w łagodniejszem uczuciu. „Tu padł największy, ale nienajgorszy człowiek," człowiek pełen sprzeczności w charakterze i w losach, w wielkich i małych sprawach większy i mniejszy od innych ludzi, a największy w nieszczęściu i najmędrszy w niedoli. Wobec śmierci Napoleona Byron zrazu zachował milczenie, bo jak mówi w liście do przyjaciela Moore'a nie był usposobiony do napisania czegokolwiek.[1]) Dopiero w r. 1823 w zjadliwej satyrze *The age of bronze* (zawierającej m. i. hołd dla Washingtona, Franklina, Kościuszki), ogromnie skutecznie chłoszcze angielskich dozorców dostojnego więźnia, jemu samemu jednak nie oszczędzając zarzutu, że rzuciwszy w proch książąt ukuł ledwo wybawionemu światu nowe kajdany. I to był ostatni śpiew Byrona o Napoleonie.

Angielska poezya napoleońska poza Byronem nie wydała już żadnego równie charakterystycznego. Prawda, poświęcił wielkiemu cesarzowi Percy Bysshe Shelley (1792—1822) piękne strofy *Lines witten on Hearing the News of the Death of Napoleon* („Gdy otrzymałem wiadomość o śmierci Napoleona"), ale powtarza tu znane już wyrazy podziwu dla tego żywiołowego zjawiska, i potępienia dla gnębiciela wolności. Tak samo zaś głos Waltera Scotta (1771—1832), autora siedmiotomowego *Life of Napoleon Buonaparte*, głos niegdyś bardzo doniosły, dzisiaj już nie budzi echa, bo poeta ustępuje tu miejsca Anglikowi i torysowi. I rozgłośnego dzisiejszej doby dramatopisarza Bernarda Shaw'a *The man of Destiny* (Mąż przeznaczenia), przedstawiający epizod z r. 1796 jest zapewne miejscami dowcipną satyrą na kult herosów, w ojczyźnie Carlyle'a dość często uprawiany, lecz jako dramat napoleoński podobnym jest do wspomnianej już *Józefiny* Bahra, z tą odrębnością, że zjadliwie znęca się nad parweniuszostwem Bonapartego.

[1]) Ogłoszony w francuskiej broszurze współczesnej wiersz: *„La Mort de Napoléon, dithyrambe traduit de l'anglais de lord Byron,"* jest falsyfikatem spowodowanym księgarską spekulacyą. (*Przyp. aut.*).

Inne obce literatury, których przegląd tutaj musi być bardzo pobieżnym—chlubią się jednym zaledwie godnym trwałej pamięci poematem, wymienioną już przy Goethem, jej niemieckim tłómaczu, odą Aleksandra Manzoni'ego (1785—1873), autora przepięknych „Oblubieńców.“ W tej odzie na śmierć Napoleona, zatytułowanej stąd *Il cinque Maggio* (Piąty maja), po wiernym katoliku, jeśli nie wprost klerykale, można było oczekiwać surowego oskarżenia monarchy, który nieraz i kościołem i zwłaszcza papieżem poniewierał. Niespodzianką, bardzo miłą, jest brak tej jednostronności, brak wogóle wszelkiego partyjnego zabarwienia. Od pierwszych lapidarnych słów *Ei fu*: On był, wionie z tego poematu pogodny, wyrównany spokój, pełen godności i sprawiedliwości.

„Był — i ostatnie wydał tchnienie —
I oto ziemia pozbawiona
Zasobnych drgnień jednego łona,
Stanęła — zda się, sama kona,
Wsłuchana w taką wieść.“ [1])

Poeta korzy się przed jego wielkością, sądu osobistego wcale nie wydając:

„Błyskawic złotych splot...
Czy chwała to? Potomność może
W należnym sądzie orzec zdoła;
Nam pozostaje schylić czoła,
I wielbić w gońcu dzieło boże:
Iż zaklął w tego z chmur anioła
Swych potęg twórczych grot.“

A jeśli w zakończeniu ukazuje się i tutaj Wiara i Bóg, to nie jako źródła moralizatorstwa, lecz jako najdobitniejsze pieczęci wielkości zmarłego. Wobec tej wspaniałej ody Manzoniego bledną słowa Ugona Foscolo (1778—1827), który w *Orazione a Buonaparte* dał przynajmniej uczciwy osobisty sąd, podczas gdy Vincenzo Monti (1754—1828), za dni potęgi cesarza wielbił go w szumnych odach a po upadku znęcał się nad nim i śpiewał zwycięzcom.

I rosyjska literatura, poezya tego narodu, który w przesileniu losów Napoleona tyle waży, ma swój napoleoński dział. Najbardziej narodowo-rosyjskim jest Aleksander Puszkin (1799—1837).

[1]) Przekład Józefa Jankowskiego, drukowany w II t. „Obrazu literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach“—Chmielowskiego i E. Grabowskiego. (*Przyp. aut.*).

W odzie do *Napoleona*, w *Wspomnieniach w Carskim Siole* brzmi patryotyczna fanfara, wezwanie do murów Moskwy, by zdławiły najezdcę, przekleństwo tyrana, a dopiero na widok trumny bezsilnego już na zawsze cesarza odzyskuje swe prawa ludzkie współczucie tak, jak w dyalogu *Bohater* z 1830 poeta chwali go za odwiedziny szpitala zadżumionych w Jaffie w r. 1799. Inaczej śpiewa o Napoleonie Michał Lermontow (1814—1841), wychowanek byłego oficera gwardyi cesarskiej, rosyjskiego więźnia. I on w *Borodinie* składa świadectwo żywych uczuć narodowych, lecz zarówno w *Św. Helenie* jak w wierszach *Na śmierć Napoleona* i *Prochy Napoleona w Paryżu* wielbi wielkiego wodza, większego jeszcze na tle tych, którzy go obalili. Plastycznego obrazu Napoleona w wirze walki i w codziennem życiu dostarczył wreszcie Lew Tołstoj w znakomitej powieści *Wojna i pokój* (1865—69), osnutej na tle napoleońskiej epoki w Rosyi. I tu kieruje pendzlem ręka rosyjskiego patryoty, niechętnie uznającego wielkość przeciwnika. Przytaczając pamiętniki więźnia z wyspy św. Heleny Tołstoj w tych słowach sąd swój wyraża: „On, którego opatrzność przeznaczyła do smutnej, narzuconej roli kata narodów, wmawiał w siebie, że celem jego czynów było dobro ludów i że zdołał kierować losem milionów i dzięki swej potędze dobrodziejstwa im wyświadczać.“

Wymieńmy jeszcze, jako piewcę Napoleona, Jezajasza Tegnera, szwedzkiego poetę, a zakończymy krótki w stosunku do wielkiego materyału zagranicznej poezyi napoleońskiej, przegląd, pomijający zapewne niejednego poetę i niejeden utwór, lecz charakteryzujący najgłówniejsze kierunki i najświetniejszych ich przedstawicieli.

*

* *

Napoleon i Polska! Związane są te dwa pojęcia po wszystkie czasy nierozerwalnem, mistycznem spojeniem. Jedno drugie przypomina, jedno bez drugiego nie jest zupełnem. Nie tutaj jest oczywiście miejsce na roztrząsanie, czy związek ten obu wspólnikom w ogólnym rezultacie korzyść czy szkodę przyniósł: krytyka historyczna, zwłaszcza ostatnich czasów, rzuciła już niejedno światło na ten zawiły problem. Z naszego, literackiego stanowiska, trzeba przyznać słuszność Brandesowi, który twierdzi, że udział Polski w wojnach napoleońskich wyrwał ją z narodowego odoso-

bnienia: jak za wojen krzyżowych zmieszały się z sobą rozmaite narody, rozmaite kultury, tak Polacy, wziąwszy udział w napoleońskim eposie przebiegali pół świata, pół świata u siebie gościli, poznawali i dawali się poznać. Skutki tego, a skutki dobroczynne, widać w poezyi polskiej. Stroni ona zazwyczaj od międzynarodowych, wszechludzkich tematów i w tem jedna z wielu przyczyn, że nasza literatura nie jest dostatecznie ludzkości znaną. Teraz i ona wmieszała się do wszechświatowego chóru napoleońskiej poezyi, a dzięki temu, że rozporządzała wtedy najznakomitszymi swymi poetami, w tym międzynarodowym popisie wstydzić się nie potrzebuje, owszem idzie tuż po Francuzach, obok Niemców, jeśli nie przed nimi.

Przedsionek świątyni napoleońskiej poezyi w Polsce nie zapowiada wspaniałej piękności wnętrza. Prawda, że jesteśmy w okresie chłodnego a napuszonego klasycyzmu, który poprzedził chronologicznie, lecz i zwalczał uczuciowy romantyzm, źródło naszych późniejszych uniesień. Dmochowski w przedmowie do zbiorowego wydania dzieł Ludwika Osińskiego (1775—1838) mówi, że jego poezye wywoływały zachwyt; nam współczesnym ludziom, trudno jakoś rozgrzać się przy czytaniu krótkich na szczęście wierszy ku czci Napoleona.

Na Imieniny Napoleona I poeta wypowiada w czterech zwrotkach kilka zdawkowych pochlebstw:

„Jakiż to mąż przeznaczenia,
Świat napełnia swemi cudy,
Życie daje, losy zmienia
I zawistne łączy ludy!“

z których ostatnie zwłaszcza wydać się musi fałszem, bo żadna rola nie była cesarzowi tak obcą, jak rola anioła pokoju, polubownego rozjemcy zwalczających się narodów. Ogłoszenie Napoleona narzędziem Boga, który go posłał, „by złe niszczył, dobre stwarzał,“ oraz końcowy frazes:

„Chciał, i oto już szczęśliwa
Przyszłość dla świata jaśnieje.“

mają tyle łatwowierności czy bizantynizmu, że wahać się trzeba, czy wykluczywszy w założeniu poezyę oficyalną, wolno mimo to Osińskiego wspominać. Wątpliwość nie ustępuje, lecz owszem wzmaga się, gdy czytamy drugi jego wiersz *Na zaślubienie Napoleona Ces. Francuzów Kr. Włoskiego i Maryi Ludwiki, Arc. Austr.*,

w którym poza szablonową pochwałą „Achillesa“ i złudną nadzieją wiecznego pokoju, jedna jest tylko myśl, myśl przez dzieje tak okrutnie zaprzeczona:

„Widziano razem z niebios zstępujące plemię,
Co w ślad ojca ma rządzić posłuszną mu ziemię.“

A przecież Osiński dożył i Waterloo, i św. Heleny, i piątego maja, i śmierci ks. Reichstadt. Tylko nowych ód wtedy nie pisał, może nawet o dawnych nie pamiętał...

Wobec niego Kajetan Koźmian (1771—1856), zyskuje bardzo i na ciekawości i na wartości. Najprzód dlatego, że z pieśnią nietylko towarzyszy zwycięstwom cesarza, lecz i jego klęskom, że więc jest w nim rozmaitość tonów, której daremnie szukałoby się u Osińskiego. Powtóre zaś w każdym z tych wierszów jest i siła i uczucie narodowe, więc znowu dwie cechy u tamtego pisarza niewidziane. Prawda, ta siła objawia się w charakterystyczny dla autora, a dla nas już daleki sposób w ciężkim patosie, ale właśnie ten jej archaizm wybornie odtwarza nastrój napoleońskiej epoki. Zatem w *Odzie na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie* w r. 1809 „drży ród Ulissa nowy,“ „płaszczą się Pireneje,“ „dumny Wiedeń gnie kolana,“ bo „co za szalone zamysły, chcieć walczyć z Napoleonem,“ tym „największym z ludzi.“ Lecz nie o ułudzie wieczystego pokoju wszystkich narodów Europy tu mowa, ale o tem, że Napoleon, to „nasz Zbawiciel,“ że legiony polskie złączywszy się z Napoleonem za Polskę bić się winny:

„Okaż mu ich chlubne blizny
Niech za krew, która się leje,
Ulści nasze nadzieje
Powrotem lubej ojczyzny.“

Ta patryotyczna nuta brzmi jeszcze o wiele potężniej w *Odzie na pokój w r. 1809*. I tu „stawiają się ołtarze“ zwycięzcy, którego wszechmoc poeta w pierwszych zwrotkach zaprawdę wspaniale przedstawia, lecz zawsze dlatego, że z jego pochodem zwycięskim łączą się nadzieje Polaków, po utworzeniu Księstwa warszawskiego w drobnej przynajmniej mierze urzeczywistnione:

„O Ty, co ojczyzną lubą
Raczysz plemię nasze darzyć,
Życie za Ciebie odważyć
Pierwszą naszą będzie chlubą.“

Pomyłka to oczywiście, jak o tem dzisiaj, w sto lat po rozczarowaniu, rezonuje każdy studencik, lecz w tej pomyłce jest u Koźmiana gorące serce polskie, nie pochlebstwa bizantynizmu. Mniej zrozumiałą jest pomyłka Koźmiana w r. 1812, kiedy pożar Moskwy wziął za nowy dowód tryumfu Napoleona. A jednak w nowej *Odzie*, na to zdarzenie napisanej są słowa, dowodzące, że Koźmian zdawał sobie niejasno sprawę z przesilenia się potęgi cesarza:

„Władco świata, czas miecz schować,
Bo nie twojem przeznaczeniem
Śniegom i lodom panować."

I zaprasza Napoleona, by zwrócił swe kroki ku wdzięcznej Polsce, wobec której dokonał boskiego niemal cudu:

„Bóg sam, słuchaj, głoszą wieszcze,
Stwarzał, co nie było jeszcze.
Napoleon, co już nie było."

Jeszcze raz Koźmian zaśpiewa *Kantatę na rocznicę koronacyi Napoleona*, wielbiąc „wielkiego naszego wskrzesiciela," a potem nastąpi w jego napoleońskiej poezyi przerwa, aż ciszę zakończy *Oda na upadek dumnego w r. 1815*. Jak sobie ten nagły zwrot wytłómaczyć bez uszczerbku dla charakteru człowieka, który niezawsze będąc dla nas sympatycznym, zdaje się mieć prawo do naszego szacunku? Profesor Tarnowski też pyta w przedmowie do wydania *Różnych wierszy* Koźmiana: „Czy to zmienność taka? albo pospolite upodobanie w deptaniu powalonego? albo zwrot do wschodzącego słońca i pokłon jemu oddany?" i odpowiada: „Nie, to wszystkie niepewności, wszystkie wątpliwości, wszystkie niedowierzania i obawy, jakie postępowanie Napoleona w sercach polskich budzić musiało, tłumione i zmuszane do milczenia przez długie lata, zagłuszane wmawianą w siebie i w drugich wiarą i nadzieją, wybuchły teraz i wzięły odwet." Zapewne, ale jeśli uznajemy, że Koźmian, mając niepewności, nie mógł ich za panowania Napoleona publicznie wyrażać, to czemu nie milczał, czemu wyrażał pewność niewzruszoną, cienia wątpliwości nie wywołującą? Wydawca powiada: „Poeta wyrzuca sobie, że tak ufał, ale i to się tłómaczy:

„Bóg to! Bóg, mój głos powtarzał,
Bóg z wieczną władzą i chwałą.
Ach! Kto mi ojczyznę stwarzał,
Jakież mu imię przystało?"

Lecz w takim razie, nauczony raz, że nie trzeba własnej ułudy uważać za głos Boga, Koźmian powinien był być i teraz ostrożniejszym i w „upadku dumnego“ nie widzieć zaraz ręki Bożej. Wogóle, jeśli dawniejsza łatwowierność ma być mu usprawiedliwieniem, ją powinien poeta teraz opłakiwać, a nie znęcać się nad padłym lwem, który już przed Waterloo wiele zdziałał, co ową łatwowierność poety winno było rozwiać. Tak, jak ta Oda brzmi, stanowi ona pomimo wszystkiego rys ujemny, a własne słowa poety przeciw niemu samemu się zwracają:

„Póki z nimi (pysznymi) Jego (Boga) ręka
Świat im służy, gmin przyklęka,
Niech się cofnie, a w tej chwili
Czem są te ziemskie półbogi?
Padają jak proch pod nogi
Tym, co im wprzód czołem bili.“

Jedno tylko za Koźmianem przemawia, że we zwrocie od Napoleona do Aleksandra nie był w poezyi polskiej, jak i w narodzie polskim, sam. Imię Bonapartego, jak dźwięczy w Mazurku Dąbrowskiego, tak świeci gwiazdą jasną w całej poezyi Księstwa warszawskiego i legionów, o której jednak tutaj nie można obszerniej mówić, bo Napoleon jest w niej tylko epizodyczną figurą. I tak lat kilka wielbi poezya polska „nowe słońce,“ jak mówi Franciszek Morawski w *Dworku mego dziadka*, aż nastaje czas, kiedy z Kantorberym Tymowskim powtarza się:

„Upadł gmach, co go sami stawili bogowie,
Dźwigał go Alcyd Franków, lecz runął na nowo!
A jedno Aleksandra podniosło go słowo.“

(Elegia z powodu wprowadzenia zwłok ks. Józefa Poniatowskiego).

Prysła i ta złuda, a wtedy postać Napoleona ukazała się poezyi polskiej ponownie w świetlanej aureoli. Nastała poezya romantyczna. Jej herold i jej mistrz, Adam Mickiewicz, kocha Napoleona nie za nadzieje, które z tem imieniem łączono, bo wolny już był—przynajmniej w młodości—od tych złudzeń, ale kocha go, jako romantyk wielbiący wielkość i wspaniałość. W pierwszej już młodości wchłaniał w siebie ten kult napoleoński. Brat poety opowiada, że ojciec ich pan Mikołaj pilnie słuchał, jak Adam czytał mu gazety. „Na odczytane słowa: pobili, zwyciężyli, w niewolę zabrali, pan Mikołaj giestem wyrażał oznakę radości; na wyrazy: cofnęli się, w czas nie nadeszli, albo: placu nie dotrzy-

mali, zżymał się niecierpliwie.“ W czasie zaś zagranicznej podróży Mickiewicz za pośrednictwem Garczyńskiego zaznajomił się z profesorem berlińskiego uniwersytetu, Gansem, który wykładał właśnie historyę rewolucyi francuskiej; mówiąc o Napoleonie, o stu dniach, o jego walce z Europą, wyraził zdanie, że w dziejach cesarza mieści się znakomity temat do współczesnej epopei: co więcej, miał podobno wyraźnie wskazać na Mickiewicza, jako najgodniejszego tego motywu poetę. Nic więc dziwnego, że w pierwszej wzmiance o cesarzu, w przedmowie do tłómaczenia *Giaura*, pisanej w Dreznie 1832 zestawia go z Byronem. „Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem poetów, również Napoleona uznano za jedynego poetę Francyi. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, któraby jedno z tych bereł dźwignąć mogła.“ Więc widocznem jest tutaj, że Mickiewicz wobec Napoleona zajmuje to samo stanowisko, jak Goethe, podziwiający w nim wspaniały twór natury, jak częściowo Wiktor Hugo i lord Byron. Dzięki temu zdolny był w *Panu Tadeuszu* do stworzenia tego nieśmiertelnego obrazu pochodu wojsk napoleońskich, kiedy to

„...ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz...“

Mickiewicz, jako epik, piszący o r. 1812, nie był zapewne obowiązanym do kreślenia zawodu zgotowanego Polakom przez Napoleona, bo dopiero później przyszła świadomość tego rozczarowania. Niemniej jednak w tym fakcie, że powątpiewania w cesarza są w *Panu Tadeuszu* tak słabo zaznaczone, widzieć trzeba nietylko przedmiotowość epika, lecz niewątpliwie i subjektywne usposobienie poety, który aureoli Napoleona nie chciał przyćmiewać. Nadejdzie czas, kiedy Mickiewicz nie oszczędzi mu zarzutów, lecz i wtedy więcej zaważy na szali wyparcie się zasad rewolucyjnych, niż omamienie Polaków. Ale te czasy, czasy, kiedy poeta pod wpływem Towiańskiego, wyznaczy Napoleonowi ważne stanowisko w swej mistycznej historyozofii, te czasy nie należą tutaj, gdzie zajmujemy się jedynie poetyckiemi echami napoleońskiemi (równie, jak nie należy tutaj np. Goszczyńskiego mistyczny kult Napoleona i pielgrzymka do Waterloo w r. 1843). A tych u Mickiewicza niestety już nie ma, nawet nie ma pod wrażeniem sprowadzenia zwłok Napoleona do Paryża 10 grudnia 1840 r.,

a więc w czasie, kiedy nasz poeta z jednej strony był przygnębiony złym stanem zdrowia żony, z drugiej zajęty był przygotowywaniem swych wykładów w Collège de France, z końcem tego samego miesiąca rozpoczętych. Dopiero wznowienie dynastyi napoleońskiej pobudziło go do napisania łacińskiej ody do Napoleona III, w której wspomina w ostatniej zwrotce „ramię stryja jego, Romulusowej siły, łamiące zuchwalcze zamachy“ i wracające „nieszczęśliwym dni lepsze.“ Ułuda nie trwała długo: daleko prędzej, niż co do Napoleona I, poeta rozczarował się i co do jego synowca.

Gdy Mickiewicz milczał, przemówił Słowacki. Jak Adama opis zwycięski pochodu wojsk napoleońskich nawet w wszechświatowym turnieju poezyi odniósłby zwycięstwo, jako najwspanialszy obraz żywego Napoleona, tak Juliusza wiersz *Na sprowadzenie prochów Napoleona* wybija się na czoło wszystkich poezyj, poświęconych tej pamiętnej chwili. Nie brzmi on nutą radości:

„I wydarto go z ziemi, popiołem;
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał, ze sławy Aniołem,
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej;
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.“

I kto jego zwłoki prowadzi, kto jest „dowódcą korabli,“ płynących z drogiemi szczątkami? Czy syn jego, o którym marzył, że go z grobowca podźwignie? Nie: królewicz, obce twarze zajrzały do lochu, poczęli prochowi urągać i zabrali go do ojczyzny. I płynie ta „flota z popiołami Cezara“ a skrwawione orły siedzą na trumnie posępne. Bo nie na wojnę jedzie Cezar, ale na lament i pacierze:

„Raz ostatni hetmanisz ty roty
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty,
Ale nigdy — o! nigdy — choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą:
Nigdy — nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś wielki! gdy wracasz tu niczem.“

Poezya polska ma prawo szczycić się temi ośmioma zwrotkami: mają siłę uczucia Wiktora Hugo bez jego ciężkiego patosu, a szlachetną wzniosłością równają się odzie Manzoniego, żywszem,

serdeczniejszem od niej bijąc tętnem. Prawda, osobnej nuty narodowo-polskiej Słowacki tutaj nie porusza, za to jednak pośrednio, lecz niemniej silnie, potrąca o tę strunę, która w napoleońskiej poezyi polskiej zresztą zupełnie nie dźwięczy: o Napoleona ojcowską tragedyę, o króla rzymskiego złamane życie. Dodajmy, że nie ten jeden raz Słowacki muzę swą Napoleonowi poświęcił: jak tutaj prochom jego oddaje cześć, tak w naśladowaniu *Pana Tadeusza* wskrzesza żywą postać cesarza, który ukazuje się Zosi:

„Człowiek niewielki wzrostem, w podróżnego stroju,
Sądziłbyś, że cywilny, gdyby nie miał szpady
Pod pachą; dosyć piękny na twarzy, i blady,
Mimo zimna. Twarz była, jak marmur niezmienna,
Owszem, rzekłbyś, że bielsza od mrozu, promienna,
Jak miesiąc złota."

Jak Wiktor Hugo, tak i Zygmunt Krasiński był synem generała wojsk napoleońskich, równie więc, jak Mickiewicz a nawet bezpośredniej od niego, żył w sferze gloryi cesarza od pierwszej młodości. Lecz wcześnie także począł na niego patrzeć, z punktu widzenia swych religijnych, społecznych i narodowych przekonań. I dlatego w napisanej w r. 1830 „Spowiedzi Napoleona" (oryginał francuski p. t. *„La confession de Napoléon"*) nie oskarża wprawdzie zmarłego, lecz wkłada mu w usta obronę przeciw domniemanym zarzutom, które sam niewątpliwie mu czynił. Więc przedewszystkiem zapewnia, że był chrześcijaninem, chociaż przyznaje, iż były czasy, kiedy „jego gwiazda przyćmiewała światło słoneczne," więc porusza, chociaż nie wyjaśnia, najdrażliwszą dla legitymisty sprawę stracenia ks. d'Enghien: „jeśli tę krew przelałem, ty, księże, nie możesz jej zmazać. Jeżeli nie, nie jestem winny. Sąd Boży niedaleki... niebawem wszystko się wyjaśni," więc wreszcie wyznaje, że w życiu „dwa razy był niewdzięczny: względem jednostki i wobec narodu. Odtrąciłem od mego serca tę, którą wybrała pierwsza moja miłość... Był lud waleczny i wierny. Rozproszony skupił się w koło mnie. Dałem mu tylko sławę, kiedy on oddawał mi wszystką krew swoją. W piaskach pustyni, ani wśród lodów północy nie opuścił mnie nigdy. Zasiałem Europę ich mogiłami, a nie wskrzesiłem im ojczyzny. Ich jęki przedśmiertne ciążą mi na duszy." Zestawienie na jednej linii krzywdy Józefiny i krzywdy Polaków jest wyrazem osobistych przekonań poety, bo bezwzględnie biorąc, nie są to przecież dwie równorzędne pozycye, nie tylko dlatego, że w jednym wypadku o jednostkę, w drugim o cały naród chodzi.

W *Spowiedzi Napoleona* otacza nas romantyczno-uczuciowa atmosfera młodego Krasińskiego, w wierszu na pochowanie zwłok cesarza w tumie inwalidów jest gorzka skarga dojrzałego a tak smutnego poety. Zrazu zdaje się, że wielka ta chwila służy mu jedynie jako sposobność wyrażenia pogardy współczesnej ludzkości, oddanej służbie złotego cielca. Dopiero w połowie wiersza w ten dzień sądu wychyla się wspaniałe słońce Napoleona i oto poeta szerokiem pociągnięciem pendzla maluje, jak

„...w dzień pogrzebu ponad głów milionem,
Gdy szła ta trumna, cała, zachowana,
W srebrnej kadzideł palących się chmurze,
Z mieczem zwycięstwa — w cesarskiej purpurze —
Koroną świata ukoronowana,
Taka z jej głębi zmartwychwstania siła
W skrzeplą pierś ludu nagle uderzyła,
Że ta pierś ludu na chwilę ożyła,
I wszystkie razem wzniosły się ramiona
W stronę tej trumny, co szła ponad niemi,
Jakby z niej wstawał duch Napoleona!
I głos tysięcy, jak piorun, gdy bije,
Grzmiał umarłemu: Niechaj Cesarz żyje!“

Lecz ten świetny moment, słoneczniej tu przedstawiony niż u Słowackiego, trwa krótko, gaśnie, jak „zdmuchnięta pogrzebu gromnica,“ a świat wraca do dawnej podłej marności, wobec której wielkość Napoleona jest tak olbrzymią, że poeta tutaj cieni jego już o nic nie oskarża.

A tak poezya romantyczna w swoich trzech najznakomitszych przedstawicielach nie powtarza złorzeczeń, rzucanych przez K. Koźmiana na powalonego „dumnego,“ lecz przeciwnie czci jego pamięć i w ostatecznym rozrachunku wybacza mu jego grzechy, choćby wielkie. Późniejsi romantycy już bardziej wsłuchują się w głosy krytyki historycznej. Lenartowicz np. widzi już nie mało skaz na tym posągu. Z trzech jego napoleońskich poezyj, *Cesarz* pisany w r. 1856, zakrojony na szerszą skalę i pisany sposobem epickim, pośrednio jest tylko wyrazem osobistych sądów poety, który opowiadanie o „Napoljonie“ wkłada w usta starego wiarusa. Natomiast w wierszu *Na kolumnę Vandomską w Paryżu* z r. 1851, gdzie przemawia poeta sam od siebie, wyrzuca mu, że „Wielki wpadł w małą pychę,“ że „wiodła go chwała, ta marna żądza dziejowego blasku:“

„Lecz i ty w dumie wyszedłeś na boga,
Wieczność za chwałę oddałeś widzialną,
I wystawionoć bramę tryumfalną,
Przez którą, wodzu, nie do nieba droga.“

I dopiero w trzecim wierszu, w urywku z poematu *Napoleon*, Lenartowicz ratuje w swych oczach wielkość bohatera z pomocą dwóch, znanych nam już z poprzednich wywodów, nieco sztucznych sposobów. Najprzód zestawiając zwyciężonego ze zwycięzcami:

„Znam błędy moje i o te się skarżę,
Lecz nie przed wami, bezwstydni zbrodniarze,
Których imiona, jak liść zwiędły z drzewa,
Z ust moich wzgarda nieskończona zwiewa.
Z win moich jedna, ta największa w świecie,
Żem was nie wymiótł, podłe złote śmiecie,
Ja, co was miałem leżących pod nogą.“

Powtóre zaś, Napoleon wyjawia, co byłby zrobił, gdyby był jeszcze raz przyszedł do władzy:

„Gdyby w tej chwili gwiazda dobroczynna
Na Austerlitz powiodła mnie pola,
Jakżeby postać świata była inna!
Z Grecyi, Włoch, Polski spadłaby niewola,
Gwiazda by moja na chwilę nie zbladła,
Tylko korona i purpur by spadła!“

Dalej w krytyce idzie Ujejski. On już nie dopuszcza skruchy u Napoleona i nie usprawiedliwia go ani zrządzeniami losu, ani zbrodniami otoczenia, ale całą winą i niepodzielną obciąża samego Bonapartego, a oskarża go nie w imię wszechludzkich rozwiewnych ideałów, lecz wyraźnie, jako Polak. W *Sądzie matek* (z r. 1855) „od cesarza Francuzów“ idą do Polski „słowa zdradne,“ że jeśli mu da „trzydzieści tysięcy żołnierzy,“ ale tylko wtedy „kraj wskrzesi.“ Idzie ochoczo rycerska młódź, wzorem ojców rwąca się do oręża, ale matki płaczą:

„Ślepi, głusi wołają o tobie: tyś wielki!
Ale my się radziły Panny Rodzicielki,
Matki o jasnem oku; wołamy: tyś krwawy!“

Szuka tylko dumy i sławy, dla niej marnuje drogą krew innych. Oszukuje wszystkich, tylko nie oszuka matek, które odchodzących na daleką wojenkę synów gorzkiemi słowy żegnają:

„...bądźcie, bądźcie zdrowi—
Pozdrówcie starszych braci pod Trebią, pod Novi,
W San-Domingo!...“

Ale w miarę, jak postać Napoleona cofała się w dal historyczną, pozostając ostatniem świetnem zjawiskiem sławy wojennej, polska poezya napoleońska uboższą się staje, lecz także i inną, niż dawniej. Jeśli już romantycy, z nielicznymi wyjątkami, mniej surowo, niż do tego zaiste mieli prawo, wypominają cesarzowi jego grzechy względem Polaków, to pisarze, później zrodzeni, tembardziej jednają się z jego cieniami. Stąd ich poezya staje się teraz skarbnicą legendy napoleońskiej, wolnej od krytyki, przesiąkniętej tylko czcią dla bohatera; zarzuty i oskarżenia, jeśli są, dodają tej poezyi tylko rodzinnego, polskiego charakteru, lecz nie ubliżają pamięci olbrzyma.

Przedstawicielami tego wczorajszego niejako kierunku, są: Or-Ot (Artur Oppman) w poezyi, Marya Konopnicka w prozie artystycznej. Pierwszy porusza się w świecie mody, mów i form Bérangera, druga i tutaj bliżej jest prostej duszy polskiego wieśniaka. Or-Ot wybiera zwykle jakiś efektowny moment np. *Berezynę* i koło niego grupuje wrażenia, uczucia i sądy. I on pamięta, że Napoleon „w pyle, w śniegu i krwi pogrążył młodych istnień krocie, milion duchów w żałobie, milion serc w tęsknocie,“ lecz korzy się i przed wielkością, i przed nieszczęściem „orła walk tysiąca.“ Konopnickiej *Wojciech Zapała* (z *Czterech nowel*) jest jeszcze mniej skomplikowanym. U niego w okrzyku: „Wiw, limperer! Hurra!“ streszcza się całe pojęcie Napoleona. Jak Lenartowicza *Cesarz* ma „sposób, żeby śród kul gradu tak sobie chodzić,“ tak i w wierzeniu starego wiarusa, żadna kula Napoleona tknąć nie śmie. Słowem, cesarz jest tu wcieleniem całej gloryi dawniejszych bohaterskich wieków.

Gdy we Francyi około r. 1890 uśpiony nieco kult napoleoński obudził się na nowo, odzwierciadliło się to i w naszej literaturze. Gdyby pod temi wpływami były powstały tylko powieści p. Gąsiorowskiego, możnaby przejść nad tym faktem do porządku dziennego, wspomniane romanse bowiem, posiadając istotne znaczenie symptomatu, do „poezyi napoleońskiej“ zaliczone być nie mogą. Ale są inne owoce odrodzenia napoleońskiego, której i polskiej i wszechświatowej poezyi chluby dodają.

W r. 1898 Stanisław Wyspiański ogłosił w krakowskiem *Życiu* najpiękniejszy może ze swoich utworów, *Warszawiankę*. Zapewne treścią jej są nie czasy napoleońskie, lecz późniejsze, r. 1831. Mimo to jednak nie darmo na scenie stoi przez cały czas „między oknami na wysokim postumencie popiersie cesarza Napoleona, jako Augusta Imperatora, z opaską liści laurowych:“ panując zewnętrznie nad sceną, Napoleon duchem unosi się i nad poe-

matem dramatycznym. W ważnej i brzemiennej w doniosłość chwili, Chłopicki, wzywany usilnie, by objął dowództwo, zwraca się do marmurowego posągu:

„O, cesarzu,
myśmy dla ciebie w oczach Europy
działali cuda dla gloryi a sławy,
myśmy dla ciebie szli i zwyciężali,
a dziś nam niemoc serca rwie i dusze łamie,
że całą ziemię kir żałobny słoni
i śmierci młodzież woła, miasto życia.

O, cesarzu,
myśmy dla ciebie za szczęściem w pogoni
całe legiony stawiali żołnierza,
chwytali wawrzyn z twych rąk, z ust pochwały;
dziś z naszej wielkiej europejskiej dumy
rozbitki tylko i strzępy zostały;
kraj nasz, ojczyzna w upadek się kłoni.

O, cesarzu,
nikt obcy nie poda nam dłoni;
tę rękę, choćby moją, nieraz w dłoń twą brałeś
i prawicą na Grodno, Wilno wskazywałeś,
rozumiałem, że państwo nasze chcesz wskrzeszone
pokazać światu,
o, cesarzu, dziś Francya piosnkę nam przysela,
harmonią dźwięków wyrazy kraszone."

W tych słowach jest synteza tego wszystkiego, co polska poezya ma o Napoleonie do powiedzenia: więc glorya jego i magiczny urok; więc duma Polaków, że jego zwycięstw byli *magna*, zaprawdę *magna pars;* więc polskie nadzieje, przez Napoleona tajemniczo a suggestywnie podsycane; więc bolesne rozwianie się tych nadziei; więc mroki w Polsce i w Europie, gdy Jego gwiazda zagasła; więc w rezultacie bolesna cześć dla sprawcy tych świetności i tych zawodów...

Co Wyspiański ześrodkował w jednej odezwie, to Stefan Żeromski, z użyciem silniejszych i brutalniejszych akcentów, wypowiedział obszerniej w trzech tomach *Popiołów* (1904). Przed kilkoma laty p. Henryk Galle dał na tem miejscu malowniczy obraz *Epoki napoleońskiej w powieści Żeromskiego* (*Bibl. warsz.*, 1904, III, str. 475 i n.), do niego po szczegóły odsyłamy czytelnika. Powieściopisarz młodej Polski wprowadził do jej poezyi napoleońskiej dwa momenty, z których jeden pojawił się już dawniej w literaturze zagranicznej, drugi jest rodzimy polski. Oto Że-

romski patrzy na Napoleona, jako na straszną żywiołową potęgę, która spowodowała wiele zniszczenia, ale była konieczną, jeśli świat nie miał do reszty zmarnieć i spodlić się w kramarskiem życiu codziennem; jako Polak zaś, Żeromski odbiegając daleko od swych poprzedników, którzy, jak np. romantycy w broniących swej wolności Hiszpanach z pod Saragosy, widzieli tylko „dumę," podkreśla dziejowy fatalizm, który Polakom, nad wszystko wolność miłującym, nakazywał nieraz z ramienia cesarza walczyć z tymi, co także jedynie wolności pragnęli. Dwa razy pokazując Napoleona osobiście, Żeromski łączy go z polskiemi marzeniami węzłem harmonii. Jak Mickiewicz, tak i Żeromski nie przedstawiają rozpacznego rozczarowania...

A tak—jeśli pominiemy pseudoklasyków—zamknęło się świetne koło polskiej poezyi napoleońskiej, *Pan Tadeusz* i *Popioły* łączą się napoleońską ideą. [1])

*

* *

[1]) Już po napisaniu niniejszej rozprawy, ukazał się p. Adolfa Nowaczyńskiego *Bóg wojny*. Epizod Napoleoński z zimy roku 1812-go (Kraków 1908, Gebethner i Spółka). Rzecz osnuta na tle krótkiego pobytu cesarza w Warszawie po rosyjskim pogromie i obejmuje szereg rozmów bez dramatycznego wątku. Więc najprzód kuzynka oberżysty, Rozalka, nie poznając cesarza, oskarża przed nim Napoleona, głównie z polskiego stanowiska, a cesarz to broni się, to—w braku argumentów—żżyma; potem rozmawiają z sobą, Napoleon z prałatem Pradtem, ministrem francuskim w Warszawie, a rozmawiają przeważnie o Polsce: ksiądz broni Polaków i popiera ich patryotyczne pragnienia, cesarz ich oskarża, nieoszczędzając nawet ani księcia Józefa, ani wojen, ani dobrej sławy wojsk polskich; wreszcie cesarz rozmawia ze Stanisławem Potockim, domagając się od Polaków sformowania nowej armii „kozackiej" z polskich chłopów, a na wszelkie interpelacye Potockiego, odpowiadając to wymijająco, to drwiąco. Nie mogąc już obszerniej omówić tego utworu p. Nowaczyńskiego, zaznaczamy tylko dwa spostrzeżenia. Oto autor łączy w przedstawieniu „boga wojny" dzisiejszą, ironizującą metodę Shaw'a i Bahr'a z dawniejszą tragiczną Grabbego; w przedstawieniu zaś stosunku Napoleona do Polski, niewątpliwie anachronistycznem: latarnią z r. 1907 oświetla dusze ludzi z r. 1812, dając im jasność i przejrzystość, którą wówczas w rzeczywistości kryli jeszcze i przed drugimi i—przed sobą nawet.

(*Przyp. aut.*).

Tu jest kres napoleońskiej poezyi w ogólności. Można tak śmiało twierdzić bez obawy, że przyszłość tym słowom kłam zada. Ze szczególną pewnością można zaś twierdzić o liryce. Zdegenerowany ród Napoleonidów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie da już nigdy Europie renesansu napoleońskiej idei. Nie zmieni się już zatem ani uczuciowy punkt widzenia, ani nie podniesie temperatura. Trwać może będzie, powtarzać się sporadycznie dawny stan umysłów, a tego wyrazem dostatecznym jest dotychczasowa liryka napoleońska; poeci, jeśli nowi przyjdą, powtarzać będą z pewnemi odmianami dawną lirykę. Ale, co w życiu zaginęło, mogłoby żyć w poezyi, zwłaszcza w epicznej, gdzie chronologiczna odległość nie zawadą lecz, owszem, pomocą jest. Tylko, że w odrodzenie eposu w szerszych rozmiarach wogóle nie bardzo się wierzy. Jego miejsce zajęła powieść. Ona niewątpliwie o Napoleonie pamiętać będzie, i w niższych, do praktycznego użytku przeznaczonych rodzajach i w wyższych, z poezyą zbratanych: tu może powstanie oczekiwany Homer Napoleona, jak znalazł go Achilles, nie znalazł Aleksander Wielki. Tak samo do przyszłości należy jeszcze jakiś Szekspir Napoleona. Będzie miał zadanie nad wyraz trudne, bo dramatycznemu opracowaniu napoleońskiego eposu dwie jego właściwości przeszkadzają: rozległość miejsca i rozciągłość czasu, oraz brak, choćby w przybliżeniu, równorzędnego przeciwnika. Czy są to przeszkody nie do pokonania? Sądzimy, że nie. Dla dramatu realistycznego są takiemi, nie dla dramatu symbolicznego (nie symbolistycznego). Jak symboliczna rzeźba współczesna dała zmysłowy kształt demonizmowi Beethovena (Klinger), głębi Myśliciela (Rodin), tak może i symboliczny dramat przyszłości zdoła uzmysłowić wielkość Napoleona[1]).

D-r Józef Flach.

[1]) Pomocnemi były mi w niniejszej pracy głównie następujące książki i rozprawy: *Napoléon I-er, sa vie, son histoire depuis sa mort, ses poètes* — prof. F. J. Wershovena (1907), *Napoleons Tod im Spiegel der zeitgenössischen Presse und Dichtung* — Pawła Holzhausena (1902), *Napoleon I im deutschen Drama* — Hermanna Goethgensa (1903), wreszcie *Napoleonizm i romantyzm* — Ign. Matuszewskiego w *Tygodniku illustrowanym* z r. 1907.

(*Przyp. aut.*)

Edward Wittig.

Edward Wittig pierwszą zbiorową wystawę swoją oddaje pod sąd Warszawy. Początkowo kształcił się on na medaliera. Młodym jeszcze chłopcem będąc, pociągnął na Zachód do akademii sztuk pięknych w Wiedniu. Tam lat kilka przestudyował i zdobywszy nagrodę najwyższą, jaką cudzoziemiec może otrzymać, do Paryża podążył. Przez czas pewien pracował u Charpentier'a, lecz wkrótce pojął, że ten rutynowany, wytrawny, ale bez najmniejszego polotu artysta, nic mu dać nie jest w stanie i jął tworzyć samodzielnie. Odtąd dzieła jego znaczą etapy drogi, idącej prosto, bez zbaczań na manowce, w górę, ku spokojowi i harmonii. Szereg medalionów, powstałych w tych czasach, posiada już w zarodku zalety, które później rzeźby Wittiga cechować będą. Są one szczere, niewymuszone, proste w liniach i prawdziwe w wyrazie.

Pierwsze poważne dzieło Wittiga, którego zresztą niema na wystawie, to „Ciężar.“ Człowieka, wpół tylko wyrosłego z ziemi, przygniata ogromny głaz ledwie podtrzymywany szalonym wysiłkiem rąk i krzyża. Rzecz ta w koncepcyi prosta i silna, grzeszy ma się rozumieć przesadą w traktowaniu muskulatury wskutek niezupełnego opanowania środków technicznych. Dużo jest w niej deklamacyjności, dosyć też prymitywnego naturalizmu. Ale maska tego męczennika, maska przerażona z rozwartemi ustami, jest już niepospolitem świadectwem wielkiego talentu i zadatkiem świetnej przyszłości. Następne dzieło bardziej jest sharmonizowane.

To pomnik na grobowiec o liniach falujących rytmem bałwanów morskich. Przedstawia on młodego człowieka klęczącego przed płytą kamienną, na której wykuto nieubłaganą twarz Meduzy. I tu w traktowaniu pleców młodzieńca czuć już mistrza, który później igrać będzie ciałem ludzkiem, wydobywając z niego dziwne, pełne harmonie linij i mas. Grobowiec ten z jego umyślnie prostą kompozycyą, mimo symbolizmu Meduzy, tchnie spokojem, który cechować będzie również późniejsze dzieła. Nie będą one znały krzyku namiętności czy rozpaczy, rąk, nerwowym ruchem w przestrzeń rzuconych, obłędnych skrętów, ni dzikich skurczów, które cechują całą prawie młodą rzeźbę słowiańską, lecz będą zdobywały spokój greckich czy egipskich marmurów i granitów.

Oto „Nostalgia," nagi, staczający się po pochyłej powierzchni, skulony, z bolesnem obliczem człowiek. Oto „Sfinks," kobieta klęcząca, rękami w tył wsparta, o boskiem wklęśnięciu bioder; „Bożyszcze"—siedzące, nieme, ze ściśniętemi kolanami, nieruchomemi ramiony, o kamiennej twarzy, a plecach harmonijnie przedzielonych głęboką bróżdą, jak hemistychy Homerowskie cezurą; „Spleen"—przedstawiony przez kobietę o korpusie w tył przegiętym, drgający cały nerwowością. A oto dwa arcydzieła—kobieta stojąca z rękami splecionemi nad głową i mąż ze spuszczoną głową i załamanemi rękami. Kompozycya tu osiągnęła maximum prostoty — dwa jedynie są plany, synteza jest tak ostateczną, jak u mistrzów z przed wieków wielu, których dzieła mówią do nas dziś jeszcze o tem, że piękno jest jedno, wieczne, nieśmiertelne. Mimo to dzieła wymienione wyżej, są nawskroś współczesnemi. Dziewczyna ta nie szła w chorowodzie dziewic egipskich czcić bożka Apisa i nie była ona Kanefórą w złocistej Helladzie. Spojrzcie jeno—szczupła figura przy obfitości bioder, wzrost niewielki, twarz wreszcie o zadartym nosku, wyraźnie wskazują, że ta, którą widzimy, nie jest sennem widziadłem, jakie się nam rojà, gdy z murów wyjdziemy na światło dzienne, lecz była kobietą żywą, kobietą wieku XX, której krew krążyła gorącą czerwienią po żyłach, której pierś podnosiła się miarowym oddechem, a biodra falowały rytmicznie przy chodzie. I teraz przypomnimy sobie, że „Bożyszcze" ma ramiona śpiczaste nieco, że muskulatura tego, co „Nostalgię" wyobraża, jest muskulaturą zdrowego robotnika. I większą będzie miłość, jaką dla tych postaci żywimy, bo będą one za nas świadczyły przed przyszłemi pokoleniami, że i z naszych, choć tak okrzyczanych czasów, wydobyć można było posągowe piękno. Bo kto głęboko wsłucha się w takt życia, ten

spostrzeże, że rytm jego jest wiecznie jednaki; że pod bluzą fabryczną i bluzką za kilkadziesiąt groszy kryją się takież same przecudne kształty, jak te, które oczarowywały Praksytelesów i Fidyaszów, że pod zmiennemi maskami ubiorów i szat, zwyczajów i form, moralności i religij tętni wiecznie toż samo, wiecznie boskie, wiecznie piękne życie.

Ten mąż zaś, egipski w swej skamieniałej rozpaczy, choć „La Détresse," „Rozpacz" jedynie się nazywa—w myśli Wittiga, jak projekt pomnika obok stojący zaświadcza, jest Piotrem Skargą. Nie jest to, co prawda, ów piorunowy mówca, który posły i senatory gromił. Dał go już Matejko, więc nie było po co powtarzać. Ale jest to prorok nieszczęść kraju, nieszczęść, które się spełniły, Jeremiasz, biadający nad losem swego narodu. I mimowoli myślą się miarkuje tego męża z załamanemi rękami, w fałdzistej sukni duchownej, okrywającej nagość aktu, rzuconego het wysoko, na prostym cokóle, na którymś z naszych placów publicznych. Bo choć w zasadzie wielka pomysłem rzeźba w najmniejsze nawet rozmiary zakląć się daje, jednak są dzieła, które się o wielki format proszą, które wymagają nie ściemnionego i zimnego zawsze światła pokoju, czy nawet muzeum—lecz pełnego, szczerego światła, padającego na otwarty zewsząd plac; dzieła, z których słońce dopiero wydobędzie całą ich magię i monumentalność. Sonet Dantego jest również wielkiem arcydziełem, jak Boska Komedya, ale inne rzeczy wyraża. W najmniejszych zaś nawet dziełach Wittiga inspiracya nie liryczną bywa, lecz epicką. Wielki kunszt pozwala mu zakląć ją w niewielkie rozmiary, jak to ongi czynił Barye; lecz kto zna kartony Wittiga, kto wie, że kryją się w nich projekty pomników Szopena, Słowackiego i Krasińskiego, chciałby wkrótce je widzieć ustawione w pełnym ich majestacie.

Szereg głów również stanowi artystyczny dorobek Wittiga. I tu, po krótkiem szukaniu, osiągnął artysta należną harmonię. Biust kobiecy, z twarzą na dłoni opartą, tchnie wielkim, szczerym sentymentem i jest jedną z niewielu liryk Wittiga. Jest w tej rzeźbie może niejakie formalne pokrewieństwo z rzeźbą Rodin'a, ale jest duża, prawdziwa oryginalność. Dalsze zaś dzieła i z tego nawet się wyzwoliły. Jest tam głowa starca poorana zmarszczkami—głowa o rzymskim iście spokoju, jest portret panny X, surowy a harmonijny, jest, dawne medale przypominający, portret w płaskorzeźbie braci P.

Portretem również jest ów królewski marmur, przedstawiający kobietę wpół leżącą, wspartą niedbale o szezlong. Mała, rasowa główka, pięknie osadzona na okrągłej szyi, biust pełny uwię-

ziony w bluzce. Suknia szerokiemi fałdami spływa, plany proste, a nieliczne, harmonizują się i dają rzecz o niesłychanym uroku.

Gdybyśmy chcieli teraz niektóre ostateczne wnioski wyprowadzać, do których upoważnia nas jednolitość danych dzieł, musielibyśmy przedewszystkiem uwzględnić niezwykłą kompozycyę. Nieliczne są zawsze plany, bo mnogość ich rozprasza uwagę i zmniejsza efekt monumentalnością. Temu właśnie rzeźba Wittiga zawdzięcza swą prostotę i harmonię, temu zawdzięcza swą klasyczność. Musielibyśmy też wskazać na jej syntetyczność w usunięciu niepotrzebnych szczegółów, przez co zdobywa się więcej spokoju. Ale musielibyśmy przedewszystkiem powiedzieć, że zalety te nie są osiągnięte kosztem bezpośredniości. Bo byli zawsze i są jeszcze artyści, którzy pomimo, iż patrzą na modele, tworzą według jakiegoś stałego kanonu klasycznego i dzieła ich pozostają zawsze martwe. Wittiga uchroniło od tego wielkie umiłowanie życia, co zaznaczyliśmy już dawniej.

Jak każdy miłośnik życia, ukochał Wittig to, w czem najmocniej się może piękno jego przejawia — ciało ludzkie. Z miłością modelowana jest falistość kobiecych bioder, okrągłość ich piersi i szlachetna linia nóg; z miłością modelowana prosta linia męskich pleców, silne a harmonijne muskuły ramion. Młoda kobieta leżąca na skale, pogańska swą wiośnianą nagością, najdobitniej charakteryzuje rzeźbiarskie dążenia artysty.

Technicznie zaś rzeźba Wittiga nosi na sobie wyraźne piętno wieku XX. Skorzystał on z wyswobodzenia ze szkolarskich formułek XIX w., które wywalczyli Rude'owie, Barye'owie, Rodin. Blizkim jest on owej świetnej plejady, która dziś tworzy chlubę rzeźby francuskiej, braciom Schnegg'om, Bourdelle'owi, Marque'owi, Despiaux. Odrzucił on wraz z nimi wszelkie dziury, wszelkie czarności w rzeźbie, by wrócić jej dawny splendor. Bo tylko, gdy gładką powierzchnię ma przed sobą, słońce, ów wielki czarodziej, ożywić ją potrafi. Wiele się teraz mówi o kolorze rzeźby i Wittig do grona tych należy, co owego koloru najusilniej szukają. Cóż mamy przez to rozumieć? To, że patyna bronzu, że białość marmuru tak licznemi mają się mienić tonami, by dawać wrażenie kolorowości. Dla tych, którym herezyąby to pachniało, przypomnę, że mówi się o kolorowości akwafort Rembrandt'a. Otóż w bronzie te przejścia, te różnolitości tonów wydobywa się płaszczyznami, w marmurze zaś grą światłocieni. I zaiste, gdy na marmury Wittiga się patrzy, zdaje się, że ciało ich różowieje, nozdrza się rozdymają, pierś podnosi oddechem. Nie kłamią one

życia bezdusznemi sztuczkami, jak u wielu wirtuozów współczesnych, ale samem są życiem.

Jedna jeszcze uwaga. Niektóre z dzieł jedynie w gipsie są na tej wystawie ukazane. Te, z powodu niedostateczności materyału, zupełnego wrażenia dać nie są w stanie i można je jedynie traktować, jako studya.

Gdy zaś z sali znów wyjdziemy w zgiełk i rozgwar ulicy, patrzmy się pilnie, a może ujrzymy sami toż piękno, które magik-artysta w wieczny kamień zaklął.

Cz. Znański.

ROZMAITOŚCI.

I.

Przyczynki do życiorysu poety Karola Balińskiego.

Już 43 lat ubiega od chwili zgonu naszego poety, Karola Balińskiego, który tułacze i męczeńskie swoje życie zakończył we Lwowie w dniu 10 stycznia 1864 r. Nie posiadamy dotąd ani zupełnego wydania pism jego, ani nawet dokładnych wiadomości o życiu poety, w celu więc ustalenia faktów żywota tego pisarza, opierając się na źródłach autentycznych, postanowiłem zdać sprawę ze swych poszukiwań przed ogółem naszego społeczeństwa.

O ile wiemy od Lucyana Siemieńskiego („Portrety literackie“ w artykule o dwóch Balińskich, dzieła tom 3, str. 266) przy końcu 1863 r. Karol Baliński, wtedy przebywający w Paryżu, otrzymawszy wiadomość, że ukochany brat jego, Tomasz Baliński, ciężko ranny w powstaniu, znajduje się na kuracyi w jednym ze szpitali krakowskich, przybył do Krakowa, tam brata otoczył najczulszą opieką, a po jego wyleczeniu się, sam udał się do Lwowa, z zamiarem dłuższego tamże pobytu, lecz wkrótce, przeziębiwszy się, zachorował na tyfus i umarł we Lwowie. Pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. Prawdopodobnie przyjaciele i ziomkowie znakomitego człowieka nie zaniedbali wznieść mu, choćby skromnego grobowca w miejscu, gdzie złożono na wieczny spoczynek śmiertelne jego szczątki. Człowiek ten przez całe swoje życie był męczennikiem i śpiewakiem wielkiej idei wolności, której służył wiernie aż do grobowej deski, lecz nie spełniło się dotąd życzenie Siemieńskiego, aby naród uwił mu wieniec z pośmiertnego kompletnego wydania jego dzieł — co mu pod każ-

dym należało się względem. Był to bowiem poeta narodowy, liryk pierwszorzędny, co mu zgodnie przyznają wszyscy historycy naszego piśmiennictwa, a obok wielkiego talentu poetyckiego, kochał i cierpiał za miliony. Więc też miliony mają obowiązek wywdzięczyć się swemu śpiewakowi. Pragnąc, choć skromną cegiełką przyczynić się do budowy gmachu, wzniesionego ku czci Karola Balińskiego, podajemy do wiadomości ogółu niektóre fakty z jego życia, jakie nam się udało odkryć na miejscu jego urodzenia, to jest w lubelskiem. Przedewszystkiem przypomnijmy sobie postać zapomnianego poety z jego życiorysu, podanego przez Piotra Chmielowskiego w jego źródłowej „Historyi Literatury Polskiej“ (tom V, str. 152).

Podług Chmielowskiego, Karol Baliński urodził się w 1817 r. w osadzie Uchanie, w hrubieszowskiem, od kolebki do grobu doznawał prześladowania od zawistnych losów, osierociał w dzieciństwie, potem kończył nauki w ówczesnem Liceum warszawskiem, skąd dziwnym zbiegiem okoliczności już w szesnastym roku życia dostał się do więzienia, a chociaż niedługo uwolniony, lecz w parę lat później, w 1838 r., w dwudziestu latach życia, powtórnie uwięziony, zesłany został na osiedlenie na Syberyę, gdzie przebył ciężkich lat cztery. Gdy zaś w 1843 r. uwolniony, lecz srodze oszpecony od ospy, powrócił do Warszawy, gdzie pozostawił ukochaną z całej duszy swoją narzeczonę, doznał strasznego zawodu, gdyż namiętnie ukochana istota pogardziła jego miłością i z lekkiem sercem oddała swoją rękę innemu. Ciosy te jednak nie złamały hartu jego ducha i pomimo przeszkód i niebezpieczeństw, wytrwał dalej w służbie narodowej, której się poświęcił od dzieciństwa. Unikając dalszych prześladowań, w 1848 r. wyjechał najpierw do Galicyi, a następnie udał się na tułactwo do Francyi, gdzie z małemi przerwami przebywał do 1863 r. Tak samo smutne dzieje żywota naszego znakomitego liryka opowiadają też inni historycy literatury.

Lecz, jak w całem swem życiu, Baliński był ciągle prześladowany od losu, tak i pamięć jego jest otoczona jakąś mgłą nierozjaśnioną — a nawet miejsce jego urodzenia i stosunki rodzinne nie są nikomu znane dokładnie, a stąd na każdym kroku w dziejach naszej literatury spotykamy wątpliwości i niedokładności. I tak, wbrew twierdzeniu Chmielowskiego, źródłowy podług naszego zdania, gdyż osobiście znający Karola Balińskiego ze Lwowa, Adam Kuliczkowski w swoim „Zarysie dziejów literatury polskiej“ (Lwów, wyd. 3, 1884) twierdzi, że Baliński urodził się we wsi Dzierzkowicach, w lubelskiem, w r. 1817, ale dnia urodzin

nie podaje. Mało krytyczny, lecz pracowity i zasłużony na innych polach literackich, Leon Rogalski, w swej „Historyi literatury polskiej“ (1871 r., tom II, str. 475) powtarza o urodzeniu się poety w Dzierzkowicach i nawet wymienia dzień urodzin: 27 maja 1817 roku. Za temi źródłami poszedł wydawca pośmiertny dzieł Juliana Bartoszewicza, syn jego Kazimierz, który w przypisach do ojca swego „Historyi literatury polskiej“ (Dzieła, 1877 r., tom II, str. 279) twierdzi, że Karol Baliński urodził się w Dzierzkowicach dnia 27 maja 1817 r.

Lecz inni pisarze idą zgodnie z Chmielowskim i podają Uchanie, jako miejsce urodzenia Karola Balińskiego, jako to: Fr. Maks. Sobieszczański w Encyklopedyi Powszechnej Orgelbranda (tom II, str. 752), Leonard Sowiński („Rys dziejów literatury polskiej,“ 1876 r., Wilno, tom III, str. 728) i inni. Wszyscy ci autorowie poszli w tym szczególe, za powagą Kaz. Wóycickiego, który chronologicznie najpierwszy, bo jeszcze w 1861 r. (więc za życia poety) w swojem drugiem wydaniu „Historyi literatury polskiej w zarysach“ (1861 r., tom IV, str. 656), mówiąc o Karolu Balińskim, jako autorze Farysa wieszcza i innych poetyckich utworów, wprowadził do dziejów naszego piśmiennictwa mylną, jak się okazuje teraz, wiadomość o urodzeniu się poety w Uchaniach.

Wreszcie tak pomnikowe wydawnictwo, jak Wielka Encyklopedya Powszechna Illustrowana, w artykule Piotra Chmielowskiego o Karolu Balińskim (tom V, str. 791) ostatecznie podaje, że nasz poeta urodził się w Uchaniach, w hrubieszowskiem.

Jednem słowem, w kwestyi miejsca urodzenia się i daty przyjścia na świat poety Balińskiego, wytworzył się w naszej literaturze chaos prawdziwy. Że jednak fakt urodzenia znakomitego człowieka powinien być stanowczo wyświetlony, przeto piszący te notatki, korzystając z blizkości swego zamieszkania od kościelnej wsi Dzierzkowice, położonej pod Urzędowem, w dzisiejszym powiecie janowskim, gub. lubelskiej, postanowił dotrzeć na miejsce w celu zebrania autentycznych danych o urodzeniu Balińskiego w miejscowych księgach kościelnych.

Otóż, przejrzawszy osobiście w Dzierzkowicach akty urodzeń od 1809 r. do dni późniejszych, znaleźliśmy spisany oryginalny akt urodzenia Karola Balińskiego z r. 1817, który w dosłownem brzmieniu przytaczamy in extenso:

„Rok 1817. № aktu 21. Działo się roku 1817, dnia 26 maja, o godzinie 10 z rana — przed nami, Komendarzem pa-

rafii Dzierzkowickiej, sprawującym obowiązki Urzędnika Stanu cywilnego gminy Dzierzkowickiej, powiatu Kraśnickiego, Obwodu Zamojskiego w Województwie Lubelskiem, stawił się szlachetnie urodzony WPan *Tomasz Baliński*, posesor dóbr narodowych starostwa Urzędowskiego, Doktor Medycyny, Kawaler Orderu Świętego Włodzimierza, rodem z Galicyi Wschodniej, Cyrkułu Lwowskiego, z miasta Lwowa, mający lat 36, w Dzierzkowicach zamieszkały i okazał nam dziecię płci męskiej, które urodziło się w domu jego pod № 1 na dniu dwudziestym pierwszym miesiąca Maja roku bieżącego o godzinie 12 w południe, oświadczając, jako jest spłodzone z niego i szlachetnie urodzonej WPani Maryanny Anny z domu Orian, rodem z Hiszpanii, z królewskiego miasta stołecznego Madrytu, 32 lat mającej, jego małżonki i że życzeniem jego jest nadać mu imię *Karol*. Po uczynieniu powyższego oświadczenia i okazaniu dziecięcia w przytomności Floryana Rakowskiego, kamerdynera, liczącego lat 26, tudzież Bartłomieja Opasały, zakrystyana, liczącego lat 60, w Dzierzkowicach obydwóch zamieszkałych, ojciec i jeden ze świadków, to jest Floryan Rakowski, z nami akt niniejszy podpisał, drugi zaś świadek pisać nie umie.

(podpisano) Ksiądz *Józef Kaźmierski*, komendarz parafii Dzierzkowickiej, Urzędnik Stanu Cywilnego.

(podpisali) *Tomasz Baliński*, — *Floryan Rakowski*, jako świadek.“

Przejrzawszy następnie wszystkie księgi kościelne parafii Dzierzkowice, znaleźliśmy tamże jeszcze w następnym 1818 r. spisany akt urodzenia № 17 dwojga bliźniąt Tomasza i Karoliny Balińskich, urodzonych w Dzierzkowicach, z tegoż ojca, Tomasza Balińskiego i żony jego Hiszpanki Maryi Anny z domu Orian, młodszego rodzeństwa naszego poety. Więcej śladów o Balińskich w miejscowych księgach kościelnych nie odkryłem.

Następnie przeprowadziłem korespondencyę z księdzem Żółtowskim, proboszczem parafii Uchanie w hrubieszowskiem, z której okazuje się, że tamże w Uchaniach, około 1817 r., niema wcale spisanej metryki urodzenia Karola Balińskiego, lecz tenże ks. Żółtowski w miejscowych księgach cywilnych odnalazł akt śmierci Antoniego Balińskiego, z r. 1846, który był także synem Tomasza i Maryi Anny z domu Orian, małżonków Balińskich i zakończył życie w parafii uchańskiej, jako częściowy posiadacz wsi Jarosła-

wiec i radny hrubieszowskiego Towarzystwa rolniczego, a więc był starszym bratem naszego poety, Karola.

Zebrane wiadomości ze źródeł autentycznych, stanowczo rozjaśniają rodowód Karola Balińskiego. Urodził się więc nie w Uchaniach, lecz we wsi Dzierzkowice, pod Urzędowem, w dniu 21 maja 1817 r. Był synem Tomasza, lekarza ówczesnych legionów polskich, walczących w Hiszpanii, który w Madrycie poznawszy Hiszpankę, Maryę Annę Orian, ożenił się z nią i z Hiszpanii wywiózł pod nasze niebo północne, gdzie, powiwszy mężowi kilkoro dziatek, zakończyła młodo życie. Aktu jej śmierci, jak również śmierci ojca Tomasza, nie udało się nam odszukać, lecz zebrane przez Chmielowskiego wiadomości o wczesnem osieroceniu poety zgadzają się z rzeczywistością, gdyż, jak się okazuje, Balińscy, po wyjściu z dzierżawy dóbr rządowych Dzierzkowice, zamieszkiwali we własnej posiadłości we wsi Jarosławcu pod Uchaniami, gdzie nasz poeta wychowywał się i dlatego wieś Jarosławiec uważał za swoje miejsce rodzinne, gdyż nawet pod najwcześniejszymi swymi utworami podpisywał się kryptonimem „Karol z Jarosławca.“ Prawdziwe miejsce urodzenia się poety, wieś Dzierzkowice w lubelskiem, z powodu krótkiego tamże pobytu jego rodziców, wyszło mu z pamięci, a we wsi Jarosławcu nasz Karol przebywał zwykle w wolnych chwilach swego żywota, przy bracie Antonim, który odziedziczył tę posiadłość po rodzicach i tamże umarł w 1846 r.

Z odnalezionego szczęśliwie aktu urodzenia Karola Balińskiego dowiadujemy się szczegółów o jego stosunkach rodzinnych. Ojciec, Tomasz, był lekarzem wpierw legionów polskich, który następnie jakąś koleją losów dostał się do służby w wojskach rosyjskich i tamże, odznaczywszy się w zawodzie lekarskim, został ozdobiony wysokiej rangi orderem Świętego Włodzimierza i zapewne, jako wysłużony lekarz wojskowy, otrzymał na początku swego zawodu gospodarczego dzierżawę dóbr narodowych, Dzierzkowice, gdzie przebywał w latach 1817 i 1818.

Ale daleko ważniejszem odkryciem jest pewnik, iż matką poety była Hiszpanka, Marya Anna Orian. Fakt ten rozjaśnia nam wiele ciemnych dotąd szczegółów z życia poety. Mianowicie, pojmujemy teraz dobrze, odziedziczony po matce Hiszpance, charakter poety, jego namiętność w uczuciach miłosnych nawet ku niegodnej jego miłości narzeczonej; jego niekiedy chorobliwą sentymentalność w utworach, zwłaszcza religijnej treści; jego wreszcie zamiłowanie w tłómaczeniu z Kalderona i dobrą znajomość języka hiszpańskiego. Z życiorysu bowiem poety wiemy, że tłómaczył

znakomicie Kalderona dramat mityczny „Kochankowie Nieba“ — wiernie oddający piękności oryginału i przygotował, a nawet w części wydał, trylogię religijną z hiszpańskiego, z cyklu Autos Sacramentales, pod tytułami: „Męczeństwo Zbawiciela,“ „Zaprzaniec“ i „Droga krzyżowa“ (Lwów, 1863 r.).

Oto jest skromna wiązka autentycznych faktów, dotyczących urodzenia i młodości Karola Balińskiego, służyć mająca w przyszłości ku ustaleniu życiorysu naszego poety, z którą rad dzielę się z czytającym naszym ogółem.

Na zakończenie, pozwolimy sobie streścić działalność poetycką Karola Balińskiego i stanowisko jego na parnasie narodowym, podług wiadomości, poczerpniętych z najznakomitszych naszych pisarzów dziejów literatury.

Chmielowski w swoim życiorysie poety w Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Illustrowanej tak się wyraża o Karolu Balińskim:

„Jako człowiek, Baliński był wielce szlachetną, podniosłą postacią, wierną ukochanym ideałom; jako poeta był nawskroś uczuciowym lirykiem, czy wówczas, gdy wcielał w piękne słowa to, co przepełniało serca entuzyastycznej młodzieży, czy też, gdy w duchu religijnym starał się w śpiewach swoich prostotę z powagą połączyć. Nie był mistrzem słowa i wiersza, lecz władał niemi dzielnie.“

Tenże Chmielowski, oceniając poemat Balińskiego „Farys wieszcz,“ drukowany najpierw w „Bibliotece Warszawskiej“ za r. 1844, znajduje w tym poemacie wiele pierwszorzędnych piękności i wzniosłości uczuć, gdyż Farys opiewa szlachetne porywy młodej duszy, co nie pragnie sławy ni oklasków, lecz uroczej ciszy,

...z której odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie!

Zaś charakteryzując stanowisko poety w społeczeństwie, mówi:

Nagrodą piewcy, to te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem;
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia,
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem
I owa chmura, cieniąca czoła,
Z której połyska miecz Archanioła!

Lucyan Siemieński w swych „Portretach literackich“ wyraża się nader sympatycznie o Karolu Balińskim, jako o najszlachetniejszym z ludzi, śpiewaku wielkiej idei i niezmordowanym w pracy dla swego społeczeństwa i tak się poetycznie o nim wyraża:

„Baliński swoje poezye snuł z bólów i zawodów, pragnień i wierzeń swego żywota, podobny w tem do niektórych liści, co zmięte i starte wydają woń, jakiejby bez tego zniszczenia może nie wydały.“ (Dzieła tom III, str. 271—273.)

Adam Kuliczkowski w swym „Zarysie“ twierdzi, że Baliński „poezyę pojmował, jako najdzielniejszą dźwignię ducha narodowego. Podnosił zatem głos, ilekroć mniemał nim służyć powszechnej sprawie. Pieśń jego nie wzlatała wprawdzie wysoko i nie weszła w zawody z orlimi wieszczów lotami, przychodziła zawsze jednak w porę i spełniała swoje zadanie.“

Wreszcie Aleksander Brückner w swem znakomitem dziele: „Dzieje literatury polskiej w zarysie“ (Warszawa, 1903 r., tom II, str. 251) pisze tak o Balińskim:

„Łagodnością i rezygnacyą chrześcijańską odbijał od innych namiętnych postaci twardem życiem cierpień i zawodów uczony. Nie tracił on nigdy pod nogami gruntu chrześcijańskiego.“

Do koła warszawskiego literatów ówczesnych zbliżała go nieukojona tęsknota za ideałem, wysokie cele, jakie wieszczowi wytykał.

Musi, jak ogień, sam siebie strawić,
Rozkosze ziemskie w jeden stos zwalić
I własną ręką ten stos podpalić!

Szczególniej w wierszu-alegoryi „Farys-wieszcz“ duch tęsknotą nieba trawiony, zesłany tutaj na ciągłe boje, na ciągłych pragnień żar niezgaszony; farysów-gońców ideału zmiótł huragan, głucho na stepach, a w stepie życia, ach! smutniej jeszcze — wiatr wszystko wywiał, lecz wymodli wieszcz u Stwórcy, że jeszcze z ziemi

Okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy.

Jeden tylko znakomity nasz krytyk literacki, Stanisław hr. Tarnowski, w swej „Historyi literatury polskiej“ (2 wyd. 1904 r., tom V, str. 420) zarzuca Karolowi Balińskiemu zarozumiałość, mglistość i pesymistyczną sentymentalność w jego utworach, nie wyłączając nawet znakomitego wiersza „Farys-wieszcz,“ lecz Tar-

nowski zakończył swe studya na 1850 r., gdy Baliński nie był jeszcze znanym szerszej publiczności ze swych dzieł późniejszych. Co do „Farysa“ Balińskiego, wspomnieć się godzi, że gdy ten utwór ukazał się w r. 1844, najpierw w „Bibliotece Warszawskiej,“ wywołał ogromny entuzyazm u ówczesnej młodzieży i długo zachwycał ówczesnych czytelników, a i dziś jeszcze nosi w sobie wiele pierwszorzędnych piękności myśli i stylu.

Jaką jest ogólna poetycka działalność Karola Balińskiego, opowiada to w swych różnych życiorysach poety — D-r Piotr Chmielowski. Zebranie z wydań oddzielnych i rozrzuconych w ówczesnych pismach zbiorowych, pojedyńczych utworów Karola Balińskiego, w zbiorowem wydaniu dzieł jego, przyniosłoby zasłużony wieniec na grobie znakomitego poety, jak o tem marzył szlachetny Lucyan Siemieński.

Wiele przepięknych utworów Balińskiego kryje się w zapomnianych pismach literackich, jak np. w „Dzwonie literackim,“ wychodzącym około 1843 r. pod redakcyą Augusta Wilkońskiego. Jest tam prześliczna odezwa do braci lekarzy, w której poeta ich wzywa, by walcząc ze straszną chorobą społeczną, zwaną zwątpieniem, starali się roztlić i rozdmuchać iskrę miłości wielkiej dla swego społeczeństwa:

Bijcie w to serce, jak w łom krzemienia,
Wszechmocnym czarem przyjaźni, miłości;
Nieście im szczytne naszych wieszczów pienia.
Mówcie o ojców cnocie i wielkości,
Wskażcie mu drogę, co do nieba zbliża,
Drogę najświętszą Golgoty i Krzyża!

W zakończeniu tych notatek o Karolu Balińskim, ośmielam się jeszcze przytoczyć parę własnych spostrzeżeń w tym przedmiocie, pragnąc, w miarę sił swoich, przyczynić się do przyszłego dokładnego życiorysu tego poety i jego działalności.

Oto, w „Przeglądzie naukowym,“ redagowanym przez Hipolita Skimborowicza za 1844 r., jest zamieszczony wiersz pod tytułem „Obrazek,“ podpisany przez Karola z Jarosławca, a więc niewątpliwie pióra Karola Balińskiego. Jest to opowiadanie z dziejów serca naszego poety, o niewiernej kochance, do której tęsknił podczas wygnania, a gdy tylko stanął wolną nogą w Warszawie, zaraz pobiegł do mieszkania swej bohdanki, lecz przez okno ujrzał ją w towarzystwie innego młodzieńca, uszczęśliwioną i śmiejącą się. Wtedy, odszedłszy od okna, poeta rzucił się w ramiona inne-

go samotnika, zapewne kolegi z wygnania, i opowiadanie swoje tak kończy:

O, święta i najczystsza braterska miłości,
W tobie nadzieja, w tobie pociecha ludzkości,
Bądź dla mnie nadzieją! Wspieraj moje siły,
By znieść, co srogie losy dla mnie przeznaczyły!

Obrazek ten nosi datę „Grudzień 1841 r.," lecz jest to widocznie omyłka druku. Jak wiemy bowiem, Baliński od 1838 r. do 1843 r. przebywał na Syberyi, skąd powrócił dopiero w końcu 1843 r. i wtedy, doznawszy zawodu w miłości, mógł pisać swe wspomnienia w owym obrazku, nigdy zaś w grudniu 1841 r. Wtedy jeszcze łudził się na wygnaniu nadzieją, że za powrotem zastanie ukochane tak gorąco serce, wiernem mu i nie zmienionem w uczuciach.

Dla udowodnienia zaś, że Karol Baliński nie był wcale zarozumiałym o swej wielkości, jak mu to poważna krytyka zarzuca, lecz, przeciwnie, skromnym i nieśmiałym, a wtedy już władał prostą i nader wdzięczną formą wiersza, niech posłuży przytoczenie wstępu do jego pieśni, ogłoszonych najpierw w „Bibliotece Warszawskiej" z 1857 r.

Wiem, że śpiew mój przeminie,
Jak głos fletu w dolinie,
Jak młodzieńcze marzenie,
Jak serdeczne westchnienie.
Wiem, że zabrzmi i skona,
Jak ma młodość stracona,
Jak dzisiejsze tęsknoty,
Jak łzy rzewne sieroty.
Jednak śpiewać ja muszę,
Póki piersi nie skruszę,
Póki deska grobowa
Przed ludźmi mnie nie schowa.
Bo od dni mych pierwiosnka
Łzami była mi piosnka.
Gdy ból serce rozrywa,
To mi w duszy coś śpiewa.
Smutnaż piosnka, jak dola,
Oj! nie moja w tem wola!
Śpiewam ci ja w tej dobie,
Jeno Bogu i sobie
I tym braciom kochanym,
Tak jak i ja stroskanym.

O, mój Boże! mój Panie!
Przyjm to moje śpiewanie,
Jak przyjmujesz w kościele
Polne kwiatki i ziele;
Jak przyjmujesz z krzewiny
Świergot biednej ptaszyny!

Otóż mamy nadzieję i pewność tego, że śpiewy naszego lirnika mazowieckiego nie przeminą, „jak głos fletu w dolinie“ i nie ustaną w niepamięci fali, lecz zebrane razem w zbiorze utworów Karola Balińskiego, krytycznie wydanym i uporządkowanym, staną się jednym więcej ze skarbów naszej poezyi narodowej. Oby tylko długo na ziszczenie się tej nadziei zawistne losy, zawsze prześladujące naszego wdzięcznego śpiewaka, oczekiwać nie kazały.

Robert Przegaliński.

II.

Działalność naukowa D-ra Augusta Bielensteina.

(ur. 1828 r. † 1907 r.)

W chwili, gdy najpoważniejsze pisma krajowe i zagraniczne zajmują się działalnością naukową uczonego tej miary, co D-r August Bielenstein, sądzę, że i dla czytelników „Biblioteki“ nie będzie obojętną charakterystyka tej działalności.

August Bielenstein ujrzał światło dzienne 20 lutego 1826 r. w Mitawie, dawnej stolicy lenniczego państewka Rzpltej polskiej i był synem pastora Andrzeja Bielensteina, kaznodziei przy mitawskim zborze łotewskim. Studya uniwersyteckie odbywał w Dorpacie w latach 1846—1850 na fakultecie teologicznym, a w r. 1849

uzyskał tamże medal złoty za pracę konkursową. Bardziej atoli, aniżeli teologia, zajmowały już wtedy młodego uczonego filozofia i lingwistyka, czego niebawem świetne dał dowody. Po powrocie do rodzinnej Kurlandyi, zostawszy pastorem w małej wiejskiej parafii, której duszpasterstwo nie pochłaniało wszystkich jego chwil wolnych, wziął on żywy udział w Towarzystwie łotewsko-literackiem, mającem w owym czasie charakter praktyczno-popularny. Tam wpłynął niebawem na utworzenie pewnej podstawy naukowej w pożytecznem stowarzyszeniu. Uproszony bowiem o opracowanie nowego wydania krótkiej gramatyki łotewskiej pastora Hesselberga, mającej na widoku same tylko cele praktyczne, przekonał wkrótce członków „Towarzystwa“ o nieodzownej potrzebie naukowego zbadania całej łotewskiej skarbnicy językowej, bo tylko wtenczas można będzie przystąpić do przedstawienia pełnego obrazu mowy łotewskiej podług pewnych zasad nowszej lingwistyki porównawczej.

W czasie następnych lat pięciu zagłębiał się Bielenstein w studyach nad językiem łotewskim we wszelkich kierunkach. Owocem tych studyów było obszerne dzieło p. t. *Die lettische Sprache nach ihren Lauten und Formen*, 2 tomy, (Berlin 1863 i 1864 r.). W pracy tej po raz pierwszy przedstawiony został język łotewski, jako cząstka aryjskiego czyli indo-europejskiego pnia językowego i otrzymał w tej dziedzinie językoznawstwa należne mu miejsce.

To też owe dzieło wsławiło odrazu imię autora w świecie naukowym i został on niebawem zaliczony do pierwszorzędnych lingwistów europejskich.

Akademia Petersburska Umiejętności przyznała mu za tę wybitną pracę t. zw. *premium Demidowskie* i ofiarowała środki do ogłaszania dalszych dzieł tegoż uczonego. Najsłynniejsi językoznawcy europejscy wyrażali mu uznanie i cześć, zarówno prywatnie, jak i publicznie. Nietylko *August Schleicher* (który właśnie w owym czasie zagłębiał się w studyach nad mową Litwinów) wszedł w bliższe stosunki naukowe z Bielensteinem, ale i *Franciszek Bopp*, wydawca gramatyki języków indo-europejskich, oraz *A. Pott*, władający nieskończoną liczbą języków tak dobrze, jak swoim własnym, uczcili go naukową korespondencyą. Lecz najbardziej ucieszyły równie uczonego jak skromnego autora dowody uznania dane mu przez znanego powszechnie mistrza lingwistów niemieckich, *Jakóba Grimma*.

Obrany na prezesa Towarzystwa łotewsko-literackiego w roku 1864, kierował niem Bielenstein bez przerwy przez lat 30

i tchnął w nie owego poważnego ducha nauki, który je za jego prezydentury stale ożywiał. On to dał inicyatywę do zbiorów pieśni ludowych łotewskich, jakich aż 9,000 w latach 1874 i 1875 w Lipsku ogłosił, wydawszy już przedtem w tomie XIV dzieła *Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft* długi szereg piosnek ludowych polsko-inflanckich z okolic Krasławia, Berzygału i Drycan [1]). O Łotwie polsko-inflanckiej nie zapominał, zwiedzał ją chętnie w podróżach swoich naukowych, a w r. 1885 przybył tam w towarzystwie królewieckiego znanego lingwisty, prof. A. Bezzenbergera, i ówczesnego antropologa dorpackiego, prof. Stiedy, zajmującego obecnie katedrę w uniwersytecie berlińskim. Owocem tej wspólnej wycieczki trzech znanych badaczy był cały szereg ciekawych publikacyj. Opis owej podróży naukowej ogłosił niebawem Bielenstein p. t. *Reiseskizzen aus dem Oberlande und Polnisch-Livland* a prof. Bezzenberger w tymże roku wydał swoje *Lettische Dialektstudien*, odnoszące się przeważnie do Inflant polskich. Bielenstein bowiem nietylko sam pilnie zwykł pracować, ale drugich umiał skutecznie do pracy pobudzać i zachęcać. Obok dzieł jego, iście pomnikowych, ukazywały się częstokroć w poważniejszych pismach krajowych całe szeregi prac jego pomniejszych, ale nie mniej wybitnych, i to nietylko w zakresie językoznawstwa, lecz i etnografii, archeologii i t. d. z dziedziny dziejów pierwotnych ludu łotewskiego i jego geografii historycznej. On to pierwszy zaznajomił świat naukowy z tak zwanemi *obronnemi górami Łotyszów* (lettische Burgberge), znanych i przed tem, ale przez nikogo tak poważnie nie zbadanych i wszechstronnie nie opisanych, jak przez niego. Już w r. 1886, na wystawie historycznej kurlandzkiej, zastanowiły widzów wykonane po mistrzowsku podobizny najrozmaitszych *gór obronnych*, któremi przepełnione są wszystkie części Kurlandyi i Inflant polskich. Dokonał tych różnorodnych modeli niestrudzony badacz starożytności łotewskich, D-r Bielenstein, a rozprawą swą *Ueber lettische Burgberge* założył podwaliny tej gałęzi studyów krajowych, jakie następnie na podstawie lingwistyki porównawczej wspaniale rozwinął w słynnem dziele p. t.: *Die Grenzen des lettischen Volksstammes und der lettischen Sprache in der Gegenwart u. im XIII Jahrhundert*, o którem w swoim czasie ogłosił wyczerpujący referat lwow-

[1]) W czasie, gdy Bielenstein przewodniczył w Towarzystwie *Lettisch-literarische Gesellschaft*, wydano pieśni ludowych łotewskich nie mniej, jak 60,000,

ski *Kwartalnik historyczny*, IX, 434 — 445, do niego więc ciekawszych czytelników odsyłamy. Tu zaś tylko zaznaczymy, że do czasów Bielensteina wszelkie badania nad dziejami pierwotnymi nie cieszyły się w kraju zbytecznem uznaniem. Co prawda, wychodziły one zazwyczaj od nieco *dyletanckich* uczonych, którzy wyłącznie z samych tylko wykopalisk miejscowych zwykli byli wysnuwać wnioski już to o rozdziale siedzib pierwotnych krajowców w XIII stuleciu, już to o ich narodowości.

Skutkiem tego wydarzyło się niejednokrotnie, iż z biegiem czasu zuchwałe często przypuszczenia owych panów zamieniały się w twierdzenia całkiem pewne, a dowcipnisie miejscowi archeologię tutejszą przezwali niebezzasadnie *la science des imbéciles*. Tkwi w tym objawie humoru nieco prawdy, gdyż i tutaj, jak wszędzie, każdy, kto pragnął uchodzić za uczonego, a był wprost nieukiem — uciekał się skwapliwie pod obszerne skrzydła dawnej archeologii.

Jeśli z owemi studyami archeologicznemi porównamy obecną metodę i wyniki poważnych badań dzisiejszej lingwistyki porównawczej, każdy z niezaślepionych badaczy przyznać zechce zapewne, iż w tym razie położenie filologa pod względem naukowym wyróżnia się korzystnie od pozycyi zajmowanej dotąd przez archeologów, poświęcających się wyłącznie badaniom wykopalisk.

Bo i komuż z ludzi myślących nie miałby przemówić do przekonania fakt, że jeżeli np. w mowie Finów da się odnaleźć pewna liczba słów języka Gotów, plemiona fińskie i gockie musiały w swoim czasie miewać ze sobą stosunki ściślejsze, i że ilekroć wyrażenia gockie wykażą formę dawniejszą, niźli język Ulfili — to zbliżenie się obu plemion musiało chyba nastąpić przed połową IV stulecia ery naszej.

Doniosłość, jaką posiadają w danej okolicy nazwy rozmaitych miejscowości przy określaniu stosunków ludności w dziejach pierwotnych, uznaną jest oddawna w Europie zachodniej. Tu zaś, nad Bałtykiem, po raz pierwszy przystosowaną została ta metoda w pracy D-ra Bielensteina.

Opór, jaki autor w licznych kółkach archeologów tutejszych tu i owdzie napotykał, rozchwiał się ostatecznie, gdy żmudna praca jego w ciągu lat 30-tu skrzętnie uzupełniana i udoskonalana, ujrzała nakoniec światło dzienne, a tem samem dla archeologów *wszelkich odcieni* stała się ogólnie przystępną. Pierwsza część jej poświęcona dzisiejszym granicom łotewskiego plemienia i mowy łotewskiej, druga zaś ma za przedmiot granice Łotwy w XIII

stuleciu i stanowi najważniejszą część tej pracy iście pomnikowej [1]).

Na podstawie licznych kronik i dokumentów oznacza tu autor ówczesne granice siedzib Liwów i Łotyszów, czyli Letgalów, Semigalów, Zelonów i Kuronów.

Wielką ilość materyałów zniewolony był przetrawić niestrudzony badacz, aby módz należycie rozstrzygnąć odwieczny spór o to: czy dawni *Kuronowie* należeli do szczepu fińskiego, czy też do litewsko-łotewskiego?

I w tej kwestyi, nie łatwej do roztrzygnienia, doszedł autor do całkiem pewnych, naukowo uzasadnionych wyników, które tą pracą swoją ostatecznie ustalił.

Nazwę Kuronów nosił, według Bielensteina, pierwotnie naród szczepu fińskiego, na półwyspie kurońskim niegdyś osiedlony. Nazwa ta jego przeszła już bardzo wcześnie na ziemię, przez to fińskie plemię zamieszkiwaną, skutkiem czego i Łotysze następnie tamże osiedleni, Kuronami również przezwani zostali. To też w Prusiech Łotysze, osiedleni na tak zwanej *kurońskiej mierzei*, i dzisiaj nawet Kuronami stale bywają nazywani.

Z kwestyą powyższą łączy się jeszcze kilka innych, niemniej trafnie przez Bielensteina rozstrzygniętych. Nie tu wszakże miejsce wyliczać wszystkie wyniki badań lingwistycznych uczonego autora z zakresu językoznawstwa łotewskiego, a tem mniej postępować za nim w zagłębianiu się w rozmaite narzecza i gwary Łotwy tegoczesnej dla wysnuwania stąd wniosków o *„granicach pojedyńczych idyomów“* (*einzelne Sprachgebiete*), za pomocą których z kolei dałyby się poznać i określić pierwotne stosunki plemienne dawnych krajów nadbałtyckich. Wystarczy zaznaczyć, że autor znacznie posunął naprzód naukę geografii etnologicznej i historyi krajowej, a tą pracą swoją zdołał zachęcić ziomków do dalszego rozwijania tejże gałęzi wiedzy, wyłaniającej się zaledwie z ciemnej pomroki przeszłości.

Większą wartość, niźli wszelkie wyrazy hołdu i uznania licznych, a prawdziwie uczonych referentów, miała dla Bielensteina recenzya znanego z surowości swych krytyk prof. uniwersyte-

[1]) Tytuł jej kompletny brzmi: *Bielenstein August D-r.*: „Die Grenzen des lettischen Volksstammes und der lettischen Sprache in der Gegenwart und im XIII. Jahrhundert, ein Beitrag zur ethnologischen Geographie und Geschichte.“ (Petersburg, 1892 r., str. XVI i 548 in 4-to majori, z dodaniem siedmiu map fol., stanowiących zeszyt oddzielny).

ckiego w Kilonii, D-ra Karola Schirrena, zajmującego niegdyś katedrę historyi w byłym Dorpacie. Prof. Schirren, lubo w jednem miejscu uczynił mu zarzut, że, idąc za impulsem Kunika i innych uczonych nadnewskich, przedzierzgnął słowiańskie plemię Wendów w najzwyczajniejszych Łotyszów, — o całem tem dziele wydał sąd nadzwyczaj pochlebny. [1])

Bo też wyznać należy, że dzieło to zachowa zawsze trwałą wartość, a świetny pomnik wystawiony przez autora nauce nadbałtyckiej, ostoi się i chlubnie świadczyć będzie o swoim twórcy. I to dzieło wydane zostało kosztem petersburskiej Akademii umiejętności, a niebawem po opuszczeniu prasy drukarskiej zostało uwieńczone t. zw. *nagrodą Heimburską* przez fakultet historyczno-filozoficzny uniwersytetu dorpackiego, gdzie w owym czasie, przed ostateczną jego rusyfikacyą, funkcyonował jeszcze znakomity uczony polski, zajmujący następnie przez czas niejaki katedrę w wszechnicy Jagiellońskiej, prof. Baudouin de Courtenay, znany przedstawiciel słowiańskiej filologii porównawczej, który wraz z ówczesnym dorpackim profesorem historyi Ryszardem Hausmanem, najpiękniejsze o tej pomnikowej pracy fakultetowi wydał świadectwo.

Obok treściwie tu scharakteryzowanego głównego dzieła, które mu, jak się rzekło, aż 30 lat pracy zajęło, wydawał Bielenstein całe szeregi artykułów i rozpraw uczonych już to krótszych, już dłuższych, a o każdej z nich da się bez przesady powiedzieć, że naukę posunęła naprzód.

Żmudne prace archiwalne nie krępowały zgoła w tym wybitnym przedstawicielu nauki nadbałtyckiej, polotu i wyobraźni. Nieraz wydobył on z martwych i milczących rękopisów tyle życia i powabu, z takiem artystycznem zacięciem przedstawiał dzieje przedhistoryczne, że najlepsza powieść nie zdoła obudzić w czytelniku takiego zajęcia, jak te obrazki, zawierające prawdę otrząśniętą z pyłu archiwalnego. To też nie brakło mu zgoła na uznaniu tak w kraju, jak i zagranicą. Zasługi Bielensteina uznał cały świat naukowy. Wszystkie krajowe Towarzystwa Naukowe przysyłały mu z kolei dyplomy na członka honorowego, uniwersytet królewiecki uznał go w r. 1883 swoim doktorem honorowym, a w jego ślady poszedł niebawem uniwersytet dorpacki.

[1]) Obacz. *K. Schirren* w „Goettinger gelehrte Anzeigen“ № 5 z d. 1 marca 1893 r., str. 185—200.

Co do petersburskiej Akademii umiejętności, ta już oddawna mianowała go swoim członkiem.

Ale usilna praca osłabiła ostatecznie wzrok autora, a w ostatnim dziesiątku zeszłego stulecia stracił go niemal całkowicie.

Cios ten dla uczonego podwójnie bolesny, znosił Bielenstein z podziwu godną rezygnacyą i pogodnym spokojem. Miał przy sobie bratankę, którą sam był wychował, a dziewczyna ta zacna służyła mu teraz i za ramię i za oko, pracowała z nim wciąż, czytywała mu głośno wskazywane przez niego dzieła, rękopisy i dokumenty, a wszystko co zbadał, w co wniknął głęboko i starannie rozważył ociemniały badacz, wszystko to przelewała bratanka na papier. Tak pracował z nią pomimo swej ślepoty niezmordowany badacz bez wypoczynku, a zaprawdę podziwiać należy owoce nowej, olbrzymiej pracy z ostatnich lat jego życia.

Zajmowały go przedewszystkiem w tej epoce badania, poszukiwania i zastanawianie się nad tem, w jaki sposób korzystała Łotwa przedhistoryczna z materyału drzewnego, w czasie gdy żelazo zgoła jej nie było znane. Zastanawiał się wciąż nad tem, jak też sporządzali sobie dawni Łotysze sprzęty i narzędzia drewniane; przytem od teraźniejszości sięgał on zawsze wstecz aż do czasów najdawniejszych, a doszedł ostatecznie do nader interesujących wyników z dziedziny historyi kultury, przyczem niemałe mu oddawały usługi jego znajomości językoznawcze.

W taki to sposób urosło olbrzymie jego dzieło ostatnie p. t. „*Das Holzzeitalter der Letten*,“ drukujące się od dwóch lat w petersburskiej Akademii umiejętności. Pierwsze arkusze druku przeglądał piszący osobiście w roku 1906 u sędziwego autora i na jego wyraźne a naglące żądanie, korygował pisownię nazw niektórych miejscowości w owych arkuszach dosyć często powtarzanych. Druk pierwszej części tej ostatniej pracy jego olbrzymiej ukończony został kiedy autor już był złożony chorobą śmiertelną na łoże boleści, ogłoszenia zaś drugiej części już nie dożył.

Nie ulega wątpliwości, że i to dzieło będzie stanowiło znakomity przyczynek do dziejów kultury w krainach pierwotnie przez plemię łotewskie zamieszkanych i zostanie pomnikiem niewyczerpanej pracowitości pozbawionego wzroku starca gienialnego, którego dopiero następne pokolenia należycie ocenić zdołają. Dzieło to jest opatrzone kilkuset rycinami, oddającymi najwierniej drewniane narzędzia i sprzęty Łotyszów ze wszelkich epok. Rysunki piórkiem wykonane, a w znacznej części w odbiciu autotypowem wiernie w druku oddane, oglądał piszący już przed rokiem u autora. Nie brakło tam i zamków wykonanych jedynie z drzewa,

bez użycia jakiegobądź metalu. Dostarczono ich autorowi, na niepomierną jego radość, z okolic zapadłych nad-Łubańskich, gdzie obecnie mają być używane jedynie do zamykania chlewów. Interesował się bowiem wszystkiem, co dotyczyło jakiejkolwiek gałęzi plemienia łotewskiego, bo jego badaniom wszechstronnym całe życie był poświęcił.

Pomimo, iż w swoim czasie wydał Bielenstein dla przyjaciół i rodziny swój życiorys p. t. *„Żywot szczęśliwy“* (*Ein glücklich s Leben*), ostatnie dziesiątki lat długiego jego żywota nie pozostały niezamącone. Cierpiał sędziwy uczony nad systematyczną rusyfikacyą kraju, cierpiał zwłaszcza nad systematycznem niszczeniem dawnych, znakomitych stosunków szkolnych tutejszych, na których miejsce urządzono (na modłę wielkorosyjską) rozsadniki nihilizmu i socyalizmu, co starca wielkiego nabawiło niepokojem o przyszłość, gdyż wietrzył w tem rewolucyę socyalną.

Ta ostatnia dosięgła go istotnie niespełna dwa lata przed jego zgonem.

W r. 1905 dzikie bandy Łotyszów—a więc należące właśnie do tego ludu, który był przedmiotem ukochanym jego pieczołowitości ojcowskiej, dla którego przez całe życie pracował, usiłując podnieść poziom jego duchowy—bandy rodowitych Łotyszów wpadły do mieszkania sędziwego pracownika w Doblenie, zniszczyły bogatą bibliotekę, zbiory rękopiśmienne oraz wieloletnią korespondencyę jego z uczonymi całego świata, poczem poczęły grozić jego życiu!

Takiej niewdzięczności, tak niegodziwego obejścia się doznać musiał od wyrodnych członków społeczeństwa łotewskiego, największy przyjaciel i dobrodziej Łotwy, niezmordowany badacz mowy łotewskiej, który pierwszy z nią zaznajomił świat naukowy Europy! Odczuł też silnie niesłychaną zniewagę czcigodny starzec, lubo żal swój głęboki zamknął w sobie.

Doblenę, gdzie przemieszkał lat około 40-tu, opuścił niezwłocznie, podał się do emerytury, przeniósłszy resztki swego uratowanego mienia do Mitawy, skąd w tych słowach do mnie się odezwał: „Doblen gehört für mich zur Vergangenheit. Wir wohnen jetzt in Mitau, Grünhofsche Strasse, 13. Die 40 Jahre in Doblen haben nach reichem Glück mit einer schmerzlichen Tragödie geendigt. Von meiner wertvollen historischen und philologischen Bibliothek ist das meiste zu Grunde gegangen. Kann ich einmal nach Riga kommen, erzähle ich Ihnen mehr.“

Ale nie mógł już opuścić Mitawy, gdziem go niebawem odwiedził, a zastałem go tak silnym i rzeźwym pomimo rozpoczę-

tego 9-go krzyżyka, tłómaczącym mi z niezrównanem ożywieniem illustracye do dzieła „*Holzalter der Letten*," że trudno było przypuścić, iż ów krzepki starzec już za kilka miesięcy pożyteczny swój żywot zakończy. Pomimo żalu, jaki czuł do byłej siedziby, kazał się pogrzebać na cmentarzu w Doblenie, a nie w Mitawie.

Liczne dzieła Augusta Bielensteina pozostaną przykładem i zachętą do pracy nietylko dla tych, co go znali i cenili, ale także dla przyszłych pokoleń.

Gustaw Manteuffel.

PIŚMIENNICTWO.

JOSEPH ALEXANDER FREIHERR von HELFERT: *Geschichte der oestereichischen Revolution im Zusammenhange mit der mitteleuropäischen Bewegung der Jahre 1848—1849.* Erster Band. Bis zu oesterreichischen Verfassung vom 25 April 1848. Freiburg 1907.

Rok 1848, rok zawichrzenia rewolucyjnego w całej środkowej Europie, rok powszechnych przewrotów politycznych i społecznych—krótko mówiąc, rok kataklizmu dziejowego, był przytem niejako prologiem do tych wielkich wstrząśnień i przekształceń państwowych, jakie wypełniają historyę drugiej połowy XIX stulecia. Idea zjednoczonych Włoch, jako nowego mocarstwa w Europie, już w r. 1848 wychyliła się z podziemia spiskowego na arenę walk orężnych, a marzeniu Niemców o zjednoczeniu narodowem w postaci państwa związkowego, nadał r. 1848 w aspiracyach prusko-cesarskich pęd, który tylko chwilowo dawał się powstrzymać, ale w rozbudzonem poczuciu narodowem posiadł już siłę nieprzezwyciężoną. Można także powiedzieć, że już w r. 1848 znikła dawna Austrya, bo chociaż, dzięki armii i reformom polityczno-społecznym, zdołała jeszcze podźwignąć się na całe dziesięciolecie, to jednak za pierwszym naporem klęsk wojennych musiała już nieodwołalnie wziąć rozbrat z przeszłością i jej aspiracyami, przekształcając się na konstytucyjną monarchię austro-węgierską.

Ale historyczny proces przebudowy państwowej w tej monarchii, zwłaszcza w węgierskiej połowie, nie jest jeszcze ostatecznie zamknięty, a od kilku lat wysunął się w Budapeszcie r. 1848 z historycznej perspektywy bliżej ku aktualności. Ówczesny bowiem program polityczny Węgier, program formalnej emancypacyi państwowej wobec Austryi, z którą miałby je łączyć tylko

wątły węzeł unii personalnej ze wspólną dynastyą, zyskał w społeczeństwie węgierskiem przewagę i wyniósł do steru rządowego syna tego samego Ludwika Kossuta, który w r. 1848 podniósł hasło samodzielności państwowej Węgier i w krwawej walce o to hasło nie cofnął się nawet przed ostatecznością, przed uroczystą detronizacyą Habsburgów. Dzisiejszy zwrot Węgier ku aspiracyom kossutowskim, chociażby zwrot tak pokojowy, że nie zamknął Franciszkowi Kossutowi drogi ani do fotelu ministeryalnego, ani do godności tajnego radcy, wygląda, jak stłumiony w głębi pomruk wulkanu, który wprawdzie już ogniem nie zionie, ale nie może być uważany za zupełnie wygasły.

Rzecz więc naturalna, że literatura historyczna o r. 1848, literatura pamiętnikowa i opisowa, jest nadzwyczaj bujna i wzrasta w Austryi ciągle więcej, niż gdziekolwiek. Wiele jej przybyło także i u nas w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu rewolucyi, a przybędzie niejedno w zbliżającą się sześćdziesiątą rocznicę wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa I, któremu dziwnem zrządzeniem losu przypadło objąć rządy w młodzieńczym, niemal chłopięcym wieku, w chwili wstrząśnienia państwa w najgłębszych posadach, przebyć potem długi okres ciężkich złudzeń politycznych, smutnych rozczarowań wojennych i bolesnych ciosów familijnych, dotrzeć w końcu do portu uspokojenia, do koronacyi na apostolskiego króla Węgier i uszczęśliwienia innych ludów dobrodziejstwami konstytucyjnemi, a wreszcie znaleźć się znowu wobec przesileń, których, dotąd przynajmniej, sama powaga sędziwego władcy zażegnać nie zdołała, a ktorych uśmierzanie wymaga ciągłej abnegacyi i rodzi ciągłe obawy o przyszłość.

Może zbliżająca się właśnie rocznica sześćdziesięcioletnich rządów cesarza Franciszka Józefa I nasunęła jednemu z epigonów rewolucyjnego r. 1848, Józefowi Aleksandrowi baronowi Helfertowi myśl napisania historycznego dzieła, którego tom pierwszy, właśnie wydany, obejmuje pierwszy okres wypadków rewolucyjnych.

Baron Helfert, dziś starzec 87-letni, mógł w r. 1848 patrzeć na bieg wypadków i na ich konsekwencye już z dojrzałą inteligencyą; zajmował później w służbie państwowej, a i dotąd jeszcze zajmuje, stanowisko, z którego łatwo mógł uzyskać dostęp do wiedeńskich akt i zbiorów archiwalnych, niezupełnie dostępnych, albo nawet zupełnie zamkniętych dla badaczy pozbawionych powagi urzędowej. Z bogatej skarbnicy wspomnień osobistych i materyałów urzędowych czerpał już dotąd br. Helfert obficie i wzbogacił literaturę historyczną całym szeregiem prac monograficznych, z któremi każdy historyk tej doby liczyć się musi.

Obecne dzieło br. Helferta jest tedy niejako syntezą poprzednich prac monograficznych o r. 1848, ma stanowić całość jednolitą w układzie, uzupełnioną świeżym rezultatem badań archiwalnych, a przytem w ujęciu rzeczy pogłębione historyozoficznie. Odróżnia bowiem autor na wstępie, za przykładem Buckle'a, wybuchy wzburzonych namiętności mas od rewolucyi w wielkim stylu, uważając pierwsze za objawy lokalnego i chwilowego rozgoryczenia, a drugie za manifestacyę powszechnego prądu politycznego. Pierwsze wynikają z bezpośrednio doznanych pokrzywdzeń lub przeciążeń, drugie obejmują do głębi rozpowszechniony nastrój w ogólnym stanie i w ogólnych stosunkach. Pierwsze są zawsze złem i sprowadzają złe następstwa, drugie przynieść mogą doniosłe korzyści, jeżeli zostały trafnie ocenione i jeżeli stosownie wobec nich postąpiono. Z tego powodu „każdy przyjaciel ludzkości może tylko ubolewać nad wybuchami pierwszego rodzaju, kiedy tymczasem wybuchy drugiego rodzaju będą zawsze dla myślącego badacza losów źródłem nauki, a dla mądrych sterowników powinny być szkołą dojrzałych rozważań i doniosłych postanowień."

Zbyt ciężkie zadanie wziął baron Helfert na swoje barki, zbyt ciężkie, nie z powodu zgrzybiałego wieku, bo w niemieckim świecie uczonym równie zgrzybiali starcy nierównie większe podejmowali prace (Ranke, Mommsen i in.), lecz na miarę talentu i — że tak powiemy — całej kwalifikacyi historycznej. Sam autor w przedmowie przyznaje, że jako współczesny świadek wypadków rewolucyjnych r. 1848, zbyt silnie przejął się wtedy osobistemi wrażeniami, żeby się mógł zupełnie z nich otrząść. Gorsza rzecz, że refleks tych wrażeń zbyt ściśle łączy się jeszcze z jednostronnymi poglądami, do czego sam autor już się nie przyznaje, co jednak widocznem jest w toku całego opowiadania. Jako jednemu z ostatnich Mohikanów staroaustryackich, trudno mu pogodzić się z myślą, że dawna Austrya, ten różnoplemienny konglomerat państwowy, sprzągnięty w całość obręczą centralistyczną i węzłem supremacyi niemieckiego żywiołu, należy już do pogrzebanych na wieki utopij, że co więcej, samo przypominanie takiej Austryi jest dziś niejako wywoływaniem upiora z pod rzuconych nań przez historyę zaklęć i przeklęć.

Jako jeden z ostatnich Mohikanów staroaustryackich, br. Helfert zdaje się mniemać, a nawet we wstępnym rozdziale wyraźnie to daje do zrozumienia, że taka Austrya centralistyczno-niemiecka była przed r. 1848 możliwa do istnienia, gdyby na czele rządów stali byli rozumni mężowie stanu. Metternicha i jego systemu politycznego br. Helfert wcale nie obwinia o skrzywienie

wrzekomego posłannictwa państwowego Austryi, co więcej, zachowuje dla tego systemu nie samą tylko pobłażliwość, lecz nawet słabo maskowane sympatyczne wspomnienie. Raz nawet nadmieniając o chętnem zgłaszaniu się w r. 1848 rekrutów ze wsi do szeregów, które miały wyruszyć do walki z rewolucyą, dodaje z żałosnem westchnieniem, że jestto „dowód, iż rządy upadłego systemu nazwać można było prawdziwie ojcowskiemi.“

Ale z tem wszystkiem, jak i z innemi ujemnemi stronami, np. z brakiem plastyki w opowiadaniu z powodu zbytniego przeciążenia szczegółami, z usterkami, pochodzącemi z polegania na zawodnej pamięci starczej, z niezupełnem wyzyskaniem materyałów archiwalnych i t. d., rozprawi się krytyka po wyjściu całości z druku. O ile chodzi o omówione przez br. Helferta sprawy polskie wogóle, a o Galicyę w szczególności, głos krytyki już dziś nie wydaje się nam przedwczesnym, a poniekąd nawet jest on potrzebny.

*

* *

Chcąc dobitnie scharakteryzować zmianę, jaka za życia jego zaszła w Europie, br. Helfert powiada w przedmowie do swego dzieła: „Czy można dziś jeszcze mówić o Rosyi, jako o straszydle, które w swojej olbrzymiej mocy i kolosalnym rozmiarze zagraża wolności zachodniej Europy? Czy i dziś jeszcze Polacy są wszechświatowymi sprawcami rewolucyi, jakimi wtedy dawali się poznać po tej stronie Alp w każdym kraju, objętym przez ruch rewolucyjny?“ Na nasze szczęście zapomniał autor o Sycylii i Mierosławskim, gdyż w takim razie nie byłby poprzestał na jednej stronie Alp. Ale za to na innem miejscu, pisząc o walce na barykadach berlińskich i uważając, wbrew świadectwu współczesnych zapisków pamiętnikarskich, Polaków za kierowników ruchu, nazywa ich nietylko „wszechświatowymi spiskowcami,“ lecz nadto jeszcze „nałogowymi rewolucyonistami, występującymi wszędzie, gdzieby, jak się spodziewali, można było łowić ryby w mętnej wodzie.“

Lepiej niż sytuacyę scharakteryzował br. Helfert powyższemi uwagami siebie samego, jako historyka. Najpierw bowiem okazał, że nawet w dziele, zakrojonem bardzo poważnie z inwo-

kacyą Buckle'a i Macaulaya, jako wzorów, nie pozbył się swojego już w innych pracach objawionego uprzedzenia do Polaków i Węgrów, jako żywiołów narodowych, niepodatnych z powodu swojej wybitnej historycznej indywidualności dla takiego konglomeratu niemiecko centralistycznego, jakim chciał widzieć Austryę, a powtóre w sposób płytki, niegodny historyka, tak rzecz przedstawił, jak gdyby społeczeństwo polskie było już z woli Opatrzności nacechowane nałogiem wszechświatowej spiskowości i rewolucyjności, a pozbyło się tego nałogu w Austryi nie w twardej szkole życia, za wpływem zmiany całej konstelacyi stosunków i idącej z nią w parze ewolucyi politycznej, lecz niespodziewanie, niejako z fantazyi, więc bez żadnej gwarancyi, że lada chwila nie nastąpi równie niespodziewanie recydywa do „wszechświatowej spiskowości i nałogu rewolucyjnego.“

Zarzut płytkości odnosi się głównie do spraw polskich wogóle a galicyjskich w szczególności, i musi tem więcej zaważyć na szali krytycznej, że płytkość ta pochodzi z tendencyi nieprzyjaznej Polakom. Wysumąwszy naprzód wszechświatową spiskowość i nałogową rewolucyjność Polaków zbywa już potem „szalone powstanie szlachty“ i jej rzeź w r. 1846 przez „chłopstwo całe wieki srogo uciskane, i jedynie przez rząd poniekąd ochraniane“ w taki sposób, jakiby dziś ujść mógł płazem wobec krytyki chyba tylko w którym z tuzinkowych artykułów polakożerczego dziennika, jaki jednak ujść nie może w dziele, choćby do pewnej tendencyi dostrojonem, ale zawsze posiadającem pretensyę do poważnej pracy historycznej. Ostatecznie jednak więcej niż gorszyć, dziwić może takie pobieżne traktowanie r. 1846 w Galicyi przy równoczesnem aż nadto rozwlekłem omawianiu współczesnych drobnych wydarzeń i symptomów w innych prowincyach austryackich. Rzeź galicyjską bowiem uważa ostatecznie sam br. Helfert za pierwszą złowrogą chmurę na pogodnym dotąd horyzoncie Metternichowskiego systemu, bo mówiąc o fatalnem dla Austryi wrażeniu, jakie rzeź ta sprawiła w całej Europie, przyznaje wyraźnie, że rząd austryacki nieprędko mógł „zażegnać moralne następstwa w publicznej opinii Europy,“ zwłaszcza wobec faktu, że opinię tę wzburzyć musiało wcielenie Rzeczypospolitej Krakowskiej do Austryi z jawnem naruszeniem traktatu wiedeńskiego.

Skoro tedy br. Helfert tak poważnie pojmował wypadki galicyjskie r. 1846 i skoro, jak to widać z książki jego na każdym kroku, miał w ręku archiwalne dokumenta ministeryum spraw wewnętrznych z tych czasów, więc posiadał autentyczny komentarz do ciemnej dotąd historyi tych wypadków, to owo pobieżne trak-

towanie rzeczy trzeba chyba uważać za rozmyślne i pewnymi względami podyktowane. A względy te nie były chyba odmienne od tych, jakie skłoniły rząd austryacki do zaniechania powziętego już przy końcu r. 1846 i cesarskiem postanowieniem zatwierdzonego planu wydania, dla rehabilitacyi wobec Europy, urzędowego przedstawienia historycznego genezy i przebiegu rzezi galicyjskiej.

Z tajników archiwalnych, które dla br. Helferta pewnie były dostępne, musiał on dobrze przekonać się, że opracowując obszerniej i krytycznie rozdział o Galicyi w r. 1846, musiałby, ze względu na swoją przeszłość urzędową i teraźniejszość dygnitarską, pójść śladem poprzednich półurzędowych historyków r. 1846 (Sali i Sacher-Masocha) i pasować bandytów z r. 1846 à la Szela na siermiężnych patryotów austryackich. Ale kiedy dzieła swoje pisali Sala i Sacher-Masoch, można było jeszcze upiększać rzecz motywami patryotycznemi, bo jeszcze wtedy chłop polski w Galicyi nie stał na widowni politycznej i nie zabrał był głosu w sprawach publicznych. Dziś jednak wprost śmieszne byłoby takie upiększanie rzeczy. Między motywami krwawych bohaterów z roku 1846, patryotyzm austryacki żadnej nie odgrywał roli, więc nawet słabem echem nie odezwał się on już w następnem pokoleniu tych bohaterów. Pokolenie to zamanifestowało się owszem w duchu przeciwnym, wysyłając dziękczynne adresy do Kornela Ujejskiego za Chorał, rozgrzeszający tych, którzy byli ślepym mieczem w ręku szatana. Została wprawdzie dotąd smutna spuścizna po tym „szatanie," po staro-austryackiej biurokracyi; została pewna nieufność do szlachty, odzywająca się czasem w życiu publicznem Galicyi zgrzytem niemiłym, ale w tem tylko leży dowód, że biurokracya ta przed r. 1846, opiekując się chłopem z urzędu, podbechtywała go jako narzędzie przeciw spiskującej szlachcie, budząc w nim wszystkie złe instynkty, a przedewszystkiem chciwość drapieżną wobec dworów. Chciwość, rozbudzona i pielęgnowana przed r. 1846 obietnicami rozdania gruntów przez rząd, nie zgasła w duszy chłopskiej; ale chociaż na tej strunie umieją i dziś w Galicyi wygrywać różne piosnki zawodowi agitatorowie, zapowiadając blizki upadek wielkich obszarów, powszechną parcelacyę i t. p., taki dziki wybuch, jak przed laty 60, jest dziś niemożliwy już ze względu na stopień oświaty.

Br. Helfert nie uchylił zasłony urzędowej, która dotąd pokrywa r. 1846 w Galicyi. Może kierował się maksymą *quieta non movere?* Tej maksymy politycznej przestrzegają dziś nawet Węgrzy. Niedawno bowiem i Tisza wystąpił tam przeciw pomysłowi, aby dorocznymi obchodami utrzymywany był w pamięci

pokoleń 6 października, t. j. dzień, w którym w r. 1848 powieszono w Aradzie 13 rewolucyjnych generałów węgierskich. Niezawodnie rozum polityczny każe nierozogniać ran zabliźnionych przez wywoływanie wspomnień o faktach bolesnych. Ale co do r. 1846 w Galicyi chodzi jeszcze zawsze o wyjawienie całej prawdy historycznej, której ukrywanie dotąd daje wrogom polskości pretekst do przewrotnych uwag, a której odsłonięcie w sposób autentyczny, jak to mógł hr. Helfert uczynić, stanowiłoby dopiero stanowcze zabliźnienie rany, ostateczne przekreślenie rachunku, w zawieszeniu pozostawionego.

Rozumielibyśmy skrupuły historyków z urzędową marką *à la* hr. Helfert pod tym względem, gdyby prawda historyczna dała się ukryć na zawsze. Ale ona dobywa się co chwila na wierzch. Świeżo np. przybył zakładowi Ossolińskich we Lwowie akt (c. k. 4643), odsłaniający z przerażającą otwartością błędy i zbrodnie biurokracyi w r. 1846. Jestto brulion relacyi uczciwego biurokraty niemieckiej narodowości, który się tem szczyci tak samo, jak swoim tkliwym patryotyzmem austryackim. Biurokrata ten, urzędnik cyrkularny niższej kategoryi, z niewyraźnie wypisanem nazwiskiem, miał w lutym r. 1846 w Sanoku do spełnienia misyę pacyfikacyjną na czele kilkunastu żołnierzy, z którymi po kolei ocalał dwory okoliczne przez bandy chłopskie zagrożone. Autor relacyi mówi, że w tych czasach małym oddziałem wojska można było wszędzie rozpędzić bandy chłopskie, gdyby urzędnicy i komendanci wojskowi, przejęci niepojętym strachem wobec groźnego niebezpieczeństwa, nie byli wprost głów potracili.

Ten uczciwy Niemiec-biurokrata pisał rzecz swoją dla wyższych władz, więc nie ograniczył się do opisania swojej szczęśliwej akcyi ratunkowej z kilku żołnierzami, lecz nadto szeroko rozpisał się o przyczynach wypadków i o ogólnem położeniu Galicyi w r. 1846. Są tam uwagi i spostrzeżenia, na które polski historyk, badający owe czasy, z pewnemi tylko zastrzeżeniami podpisać się może. Szczerze przywiązany do dynastyi i swojego rządu, ubolewa nad sprowadzonym przez nieudolną biurokracyę stanem rzeczy i ostrzega przed takiem pojmowaniem krwawych wypadków, jakoby w nich odgrywał główną rolę nie instynkt zbrodniczy, przedewszystkiem chęć rabunku wśród okoliczności gwarantujących bezkarność, lecz patryotyzm austryacki, do którego chłop ówczesny wogóle wznieść się nie mógł. Ostrzega także przed poleganiem na zdaniu, że chłop porwał się do zbrodni pod wpływem ucisku pańszczyźnianego. Uczciwy Niemiec-biurokrata wystawia szlachcie polskiej świadectwo, że ucisku pańszczyźnianego dopusz-

czano się tylko wyjątkowo, a gdzie się to stało, tam wina główna spadała nie na właścicieli dóbr, lecz oficyalistów, działających bez ich wiedzy. Wymienione są przytem dwory w Sanockiem, które znane były dokoła z ludzkiego traktowania poddanych, a mimo to pierwsze padły ofiarą tłuszczy rozbójniczej.

Może ta relacya, po niemiecku pisana i zapewne znajdująca się w Wiedniu w zbiorze wszystkich tych relacyj i memoryałów, jakie rząd centralny zbierał w r. 1847 w celach informacyjnych, dostanie się kiedy w ręce jakiego sumiennego historyka niemieckiego, a powtórzona przezeń, sprawiłaby pewnie wrażenie sensacyjnej rewelacyi. Ale czy znajdzie się kiedy między historykami niemieckimi taki kruk biały, któryby o sprawach polskich chciał szukać prawdziwych informacyj? Dlaczegoż mielibyśmy zrezygnować z takiej nadziei, skoro w tych czasach np. wychodzi wielkie dzieło historyczne Dr. Alfreda Sterna (dotąd cztery grube tomy po r. 1830) o historyi Europy od traktatu wiedeńskiego do pokoju frankfurckiego (1815—1871). Tam rzeczy polskie traktowane są pragmatycznie, a Polacy nie są przedstawieni, jako wszechświatowi spiskowcy i nałogowi rewolucyoniści, lecz jako naród, który dobija się nieustannie tego, co mu odebrano i nie pomija żadnej sposobności, przy której zarówno z innymi narodami upominać się może o swoje prawo do samodzielnego bytu, z bronią w ręku, gdy do tego otwierało się pole, w spiskowych przygotowaniach, gdy także inne narody, zawiedzione po epopei napoleońskiej w swoich wolnościowych oczekiwaniach i marzeniach, na tę drogę wstąpiły. Ale dr. A. Stern nie poprzestał na powtarzaniu obcych zdań, lecz szukał materyałów wszędzie, gdzie tylko spodziewał się znaleźć wskazówki rzecz rozjaśniające, więc szukał ich także w polskich źródłowych informacyach, w pamiętnikach i w zbiorach rękopiśmiennych (jak np. w Muzeum rapperswylskiem).

*

* *

W podobnie płytki sposób, jak r. 1846, ten właściwy prolog do wybuchu w r. 1848, omawia br. Helfert w tomie pierwszym swojego dzieła sam wybuch rewolucyjny. Płytkość wypływa i tutaj z tendencyi, ale nie z tej, jaka go skłoniła do przemknięcia

się chyłkiem przez wypadki r. 1846, lecz z tego urojenia, że Austrya mogła była pod systemem Metternichowskim ostać się, jako potęga, gdyby była umiała różne garnące się do życia politycznego wówczas jeszcze embryonalne narodowości spoić silnie obręczą centralistyczno-germanizacyjną w jedną całość państwową z absolutnym systemem rządowym.

To też w dziele br. Helferta, co do Galicyi, nacisk główny pada nie na słynny adres lwowski, w którym Smolka i Ziemiałkowski zawarli liberalno-konstytucyjne postulaty r. 1848, lecz na sojusz polityczny ówczesnego gubernatora galicyjskiego Franciszka hr. Stadiona z Rusinami, których autor nazywa zarazem Rusniakami i Małorussami. Byli oni według br. Helferta od wieków uciskani przez Polaków, ignorowani co do swej odrębnej narodowości i upośledzani co do obrządku. Dopiero Franciszek hr. Stadion „genialnym poglądem“ prawdziwego męża stanu spostrzegł, że interes Austryi leży w popieraniu Rusinów wobec Polaków.

Za jednym zamachem br. Helfert skrzywdził tutaj prawdę historyczną Rusinów i hr. Stadiona. Jak bowiem mówić można o uciemiężeniu Rusinów przez Polaków przed wybuchem rewolucyjnym, który dopiero złamał system, tamujący dotąd wszelkie życie polityczne i wszelki ruch narodowy? W całym okresie wszechwładztwa tego systemu, zwłaszcza do roku 1831, nie było w Galicyi nawet śladu życia politycznego, bo tem przecież nie można nazwać sesyi sejmu stanowego, pozbawionego wszelkiej kompetencyi ustawodawczej lub administracyjnej, zwoływanego corocznie na kilka dni, jakby tylko dla parady urzędowej i dla potulnego wysłuchania cierpkiej lekcyi rządowej o swojej niemocy wobec wszechwładnego gubernium.

Dopiero po powstaniu listopadowem obudził się w Galicyi ruch, ale nie jawny, lecz niejako podziemny, spiskowy. W tym ruchu Rusini początkowo brali udział, łącząc się z Polakami, a seminaryum ruskie we Lwowie było tak samo, jak seminaryum łacińskie, siedliskiem tajnych rot karbonarskich, a później gmin stowarzyszenia ludu polskiego i innych tajnych związków, organizowanych przez emigracyjną „Młodą Polskę.“ Dopiero wśród tych organizacyj spiskowych zaczęła się budzić u Rusinów dążność do odłączenia się od Polaków, a główny impuls do tego wychodził z Wiednia, zkąd ruska młodzież tamtejszego seminaryum, rozentuzyazmowana dla cesarza Mikołaja I, podczas jego przyjazdu do Wiednia, nadto przez ówczesnego kapelana ambasady rosyjskiej utwierdzona w tym entuzyazmie i w kiełkującej równocześnie także w innych prowincyach austryackich idei panslawistycznego zje-

dnoczenia pod protektoratem kierowniczym Rosyi, zaczęła wydawać Rusinom galicyjskim nowe hasła i dyrektywy. Z tej szkoły wyszli późniejsi matadorowie ruskiego ruchu politycznego w Galicyi.

Ciekawy ten okres spisków lwowskich, w którym zaczął się dopiero wyłaniać najpierw językowy, a później polityczny separatyzm ruski, zasłużył na szczegółowe opracowanie, a ktoby się tego podjął, znajdzie materyał autentyczny w oddanych przez rząd do naukowych poszukiwań aktach dawnego lwowskiego sądu kryminalnego, mianowicie w aktach tego wielkiego procesu o zdradę stanu, który w r. 1845 skończył się ostatecznie formalnie wydanym, ale w drodze łaski cesarskiej uchylonym, wyrokiem śmierci na Franciszka Smolkę i Floryana Ziemiałkowskiego. W stosie aktów kryminalnych z tej doby najwięcej szczegółów o ruchu ruskim zawierają protokóły spisane z Dymitrem Mochnackim, który jako kleryk ruski należał do wszystkich związków tajnych, szedł zawsze łącznie z Polakami, a był wystawiony na propagandę powyżej wskazaną i oparł się jej do końca. W tych protokółach badacz znajdzie wiele szczegółów do akcyi politycznej koryfeuszy całego ruchu ruskiego, jak biskupa Jachimowicza, metropolity Litwinowicza, kanonika Malinowskiego i innych duchownych, poety Marcyana Szaszkiewicza, historyka Dyonizego Zubrzyckiego i t. d.

Gdy Franciszek hr. Stadion objął stanowisko gubernatora Galicyi w jesieni r. 1847, żywioły politycznego ruchu ruskiego nie miały jeszcze ani organizacyi, ani programu działania. A nowemu gubernatorowi ani się nie śniło o tej genialnej misyi, jaką mu br. Helfert, jako protektorowi Rusinów, przypisuje. Hr. Stadion był istotnie mężem stanu niezwykłej, ponad całą ówczesną biurokracyę austryacką wyrastającej, miary. To też główne zadanie, jakie sobie wytknął na wstępie do pałacu namiestnikowskiego we Lwowie, była pacyfikacya kraju, mianowicie trzymanie w karbach tak rozbestwionych w r. 1846 mas wiejskiej ludności, jak i biurokracyi, i takie postępowanie wobec szlachty, aby ona powoli zapomniała o rzezi i dała się zjednać dla rządu.

Pierwsze kroki hr. Stadiona skierowane były istotnie ku temu podwójnemu celowi. Wobec organów administracyjnych na prowincyi wystąpił bardzo energicznie, a jego ówczesne okólniki tchnęły troską o spokój, bezpieczeństwo i przywrócenie zachwianej powagi obywatelstwa, która w ówczesnym ustroju patrymonialnym stanowiła ważny czynnik porządku publicznego. Obiegał wtedy po kraju w odpisach i znajdował się w ręku gubernatora świetny memoryał Aleksandra hr. Fredry o potrzebach i postula-

tach Galicyi. Napisany pod wrażeniem wypadków r. 1846, memoryał ten zawierał jeden ustęp, który hr. Stadion w tem pierwszem wystąpieniu widocznie wziął sobie do serca. „Wszystko — pisał hr. Fredro — co tylko drażliwszego, dotkliwszego ma w sobie władza wykonawcza administracyi (dominia, pierwsze narzędzie rządu władzy wykonawczej), wszystko to dziedzic naprzeciw gromady połączał w swą osobę, a dobrodziejstwa, które z dawien dawna wypływały z jego woli i ciągle czuwającej opieki, przeszły w obowiązujące go prawo, nie wzniecały już wdzięczności, ale otwierały pole do nieograniczonych żądań i nieukontentowania... Dotąd biurokracya zajmowała stanowisko protekcyonalne, a szlachta była naprzód wysunięta, jako iglice ściągające pioruny. Iglice znikają, ale nie pioruny; lecz w kogo odtąd bić będą — wielkie pytanie.“

Takie same myśli i szczere intencye poprawienia doli kraju i pogodzenia jego losów z interesami państwa, przebijają także z wielkiego, wprost do tronu skierowanego przedstawienia, w którem kreśląc obraz stosunków, zaciemniony niedawnym pogromem powstańczym, ale nie bez winy biurokracyi i jej systemu administracyjnego, hr. Stadion zaproponował amnestyę w szerokich ramach, przedewszystkiem zdjęcie sekwestru z dóbr ks. Czartoryskich i darowanie prawnych następstw kondemnaty, zapadłej przed dwoma laty na Smolkę i niektórych wybitnych towarzyszy jego.

Krótko mówiąc, stosunek nowego gubernatora do kraju, a przedewszystkiem do tak bardzo znękanej szlachty, przybierał charakter wzajemnego zaufania, życzliwości z jednej, a uznania z drugiej strony. Stosunek ten pozostał niezamącony nawet w pierwszej fazie wybuchu wolnościowych aspiracyj w r. 1848, a pierwsze zarządzenia konstytucyjne, z Wiednia otrzymane, znalazły w hr. Stadionie chętnego i skorego wykonawcę. Dopiero od końca kwietnia zaczęły się niesnaski, które wreszcie, gdy hr. Stadion powołany na dwór, zbiegły do Insbruka, Lwów na zawsze opuszczał, postawiły go w otwartym antagonizmie do tych sfer społeczeństwa polskiego, które opanowawszy sytuacyę, wytykały jej dalszy kierunek.

Na tę zmianę złożyło się kilka przyczyn, z których ani jednej hr. Helfert nietylko nie objaśnia, lecz nawet nie dotyka, polegając na tem, że z góry zaznaczona „wszechświatowa spiskowość i nałogowa rewolucyjność“ Polaków wszystko tłómaczy. Tymczasem tylko w jednej części spada wina na te skrajne w dążnościach i w sposobie postępowania żywioły polskie, które wtedy na wierzch wypłynęły. Umiarkowanym żywiołom byłoby się

może powiodło skutecznie stanąć w poprzek radykałom, gdyby nie chwiejność i zmienność wiedeńskich sfer centralnych, które hr. Stadiona, proszącego o wskazówki, jak daleko posunąć się może w folgowaniu aspiracyom wolnościowym, milczeniem doprowadzały do prawdziwej rozpaczy. W Wiedniu wtedy ustępstwa zmieniały się co chwila pod naporem tłumów, terroryzujących rząd i dwór cały, a zanim jedno rozporządzenie wejść mogło w życie, już następowało inne. Do odległego Lwowa te zmienne dyspozycye dochodziły za późno, a odpowiedzi na niektóre pytania wcale nie dano. Hr. Franciszek Stadion formalnie drżał o to, aby wskutek impetycznego postępowania polskich kół radykalnych, propagujących dorywczo darowanie pańszczyzny bez oglądania się na ekonomiczną ruinę kraju stąd wypływającą, nie powstało po wsiach wrzenie, z którego za reminiscencyą r. 1846 łatwo wywiązać się mógł ruch podobny do ówczesnego. Po r. 1846 bowiem umysły chłopskie nie otrząsły się z urojenia, że już wtedy pańszczyzna została zniesiona, faktycznie zaś trwa tylko, jako nadużycie szlachty lub urzędników. Nie brakło w kraju złych duchów podsycających to urojenie.

Drżąc, jak powiedzieliśmy, na samą myśl, że za jego rządów przyjść może do powtórzenia się krwawych wybryków z r. 1846, hr. Stadion polecał władzom na prowincyi, aby zapobiegały dorywczemu ogłaszaniu darowizny pańszczyźnianej w sposób agitacyjny i bez przestrzegania formalności prawnych. Zarazem z tych samych pobudek hr. Stadion nie spieszył się wcale z organizacyą gwardyi narodowej na prowincyi, uważając w danej chwili uzbrojenie mas za szaleństwo, za prowokacyę do excesów.

Wszystko to pojęły górujące koła radykalne, jako odejmowanie swobód konstytucyjnych, a nawet nie wahały się posądzić hr. Stadiona wprost o zamiar wywołania ruchu mas chłopskich przeciw konstytucyi. Niezręczna, lub może nawet przewrotna stylizacya niektórych okólników cyrkularnych do gmin wiejskich, przytem gotowość niektórych starostów do kontynuacyi polityki dawnej biurokracyi, dostarczyły powodów do podobnego oskarżenia, którego deputacya polska, wówczas z adresem w Wiedniu przebywająca, a gorączką rewolucyjną Wiednia do najwyższego stopnia podniecona, nie wahała się wytoczyć przed forum rewolucyjnem stolicy państwa i przed rządem sterroryzowanym przez to forum. Ministeryum wezwało hr. Stadiona do usprawiedliwienia się, a on do żywego rozgoryczony i oburzony, odpowiedział na to ostrem oskarżeniem przeciwnej strony i odpowiedź swoją wydrukował w gazecie urzędowej. Było to formalne zerwanie tych

węzłów, które początkowo w tak wiele obiecujący sposób zadzierżgnęły się między skołatanym krajem a jego gubernatorem. Wiele wpłynęła na taki zwrot fatalny i ta okoliczność, że hr. Stadion, jak się później pokazało, już we Lwowie z trudem opanowywał początki strasznej choroby nerwowej, która w kilkanaście miesięcy później zupełnie ubezwładniła jego umysł, a wkrótce potem i śmierć sprowadziła.

Wśród ogólnego zawichrzenia, w chwili gdy hr. Stadion, przejęty największą trwogą, donosił bezradnemu ministeryum, że za sprawą radykalnych żywiołów polskich, mianowicie z emigracyi, lada chwila przyjść może do jawnego wybuchu powstania i w dalszem następstwie do powtórzenia się ruchu chłopskiego, a w takim razie słaba siła zbrojna, wzięta we dwa ognie, nie podoła swojemu zadaniu—wysunęli się na widownię menerzy ruscy pod znakiem separatyzmu, przystrojonego w lojalizm austryacki takiego rodzaju, jaki hr. Helfert w wstępnym rozdziale swojej książki idealizuje. W programie tych menerów, nie zakrojonym na dalszą metę, ani nie obejmującym postulatów narodowo-wolnościowych, przeważała negatywa, odmawianie polskości w Galicyi prawa do takich aspiracyj, z jakiemi w adresach i przez deputacye w Wiedniu wystąpiła. Taka manifestacya w owej chwili była niejako narzuceniem się rządowi do roli zawady w rozwoju ruchu polskiego. Hr. Stadion skorzystał z tego, niestety, już we Lwowie, a jeszcze więcej, później w Wiedniu, gdy zasiadł w sejmie konstytucyjnym, otoczony falangą wybranych w Galicyi włościan ruskich. Jako gubernator cesarski i dobry patryota austryacki, drogę tę uważał za jedynie w danej chwili wskazaną względami politycznemi. Wstąpiły na nią w całem państwie sfery dworskie, forytując z ukrycia w Insbruku, tak w Austryi jak i na Węgrzech, wszelkie podobne separatyzmy narodowe dla szachowania żywiołów liberalnych.

Ale hr. Stadion nie zapoznawał ani historycznego tytułu, ani aktualnego uprawnienia polskości do panującej roli w Galicyi. Sam hr. Helfert mówi na innem miejscu: „Stadion myślał o ustąpieniu w mniemaniu, że wśród danych warunków „krajowiec musi być postawiony na czele rządu narodowego,“ mianowicie „mąż zaznajomiony z administracyą, prawego charakteru, który jako uczciwy i rozumny człowiek posiadałby zaufanie wszystkich dobrze myślących.“ Wymienił Stadion radcę gubernialnego hr. Agenora Gołuchowskiego, który jak mniemał już teraz powinien być mianowany wiceprezydentem gubernium.“

Tyle ważnych relacyj hr. Stadiona, leżących w archiwum ministeryalnem, pominął br. Helfert zupełnie albo przynajmniej nie wyzyskał ich należycie, a i te dwie cytaty nie świadczą o wielkiej ścisłości historycznej. Ów wniosek bowiem o rządzie narodowym nie był, jakbyto z formy cytaty wnosić można było, jakimś desperackim lub szyderczym konceptem, lecz wyrazem poważnej myśli politycznej, która później stała się programem rządu centralnego. Hr. Stadion stawiając taki wniosek, uzasadniał go w ten sposób, że Austrya chcąc się utrzymać w posiadaniu Galicyi, musi albo wstąpić na drogę takiej surowej represyi, jaka wówczas za czasów cesarza Mikołaja I panowała w Królestwie Polskiem, albo uznać polityczne aspiracye polskiego społeczeństwa i na niem oprzeć autonomiczną administracyę kraju. O Rusinach w tej relacyi niema mowy. Hr. Gołuchowskiego zaś przedstawił hr. Stadion w innej późniejszej relacyi, jako kandydata na opróżnione przez powołanie Filipa br. Krausa do Wiednia na ministra skarbu, stanowisko wiceprezydenta gubernium czyli zastępcy gubernatora, więc nie na szefa „rządu narodowego," lecz na wiceszefa rządu austryackiego w Galicyi. Hr. Gołuchowski był wtedy jednym z najmłodszych radców gubernialnych, więc hr. Stadion musiał tę propozycyę dobrze uzasadnić. Uczynił to w ten sposób, że oddając należne uznanie wszystkim starszym kandydatom, wskazał polityczną stronę nominacyi, kładąc nacisk na interes rządu, polegający na tem, aby reprezentował go w Galicyi Polak, zaliczający się do szlachty, a przytem znakomity i lojalny urzędnik. Nominacyą tą zostawił hr. Stadion Galicyi najlepszą spuściznę, a rządowi austryackiemu wyświadczył historyczną przysługę, wynosząc męża stanu, co miał się stać pionierem kierunku politycznego, który położył tamę „wszechświatowej spiskowości" i „nałogowej rewolucyjności" Polaków, przysparzając w przyszłości państwu z grona dawnych spiskowców szereg znakomitych mężów stanu i ministrów (jak Smolka, Ziemiałkowski, Grocholski i t. d.).

A jakiż rezultat historyczny wydał ów zdaniem br. Helferta „genialny" pogląd hr. Stadiona na stanowisko i rolę Rusinów? W chwili gdy książka br. Helferta znajdowała się już w handlu księgarskim, fakta dały odpowiedź na to pytanie. W austryackim parlamencie, pierwszym z powszechnego głosowania, klub ruski podzielił się na dwie frakcye, z których mniej liczna, ale reprezentująca w prostej linii polityczną progeniturę menerów ruskich z r. 1848, oświadczyła przez usta swojego mówcy (Markowa) w najczystszym rosyjskim języku, że Rusini galicyjscy, jako odłam wiel-

korosyjskiego narodu, nie przyznają się dziś do austryackiego „rutenizmu.“ Druga liczniejsza frakcya klubu ruskiego także wypiera się tego rutenizmu na rzecz nowej „ukraińskiej“ kreacyi narodowej, sięgającej poza Kijów. Tylko w metodzie walczenia z Polakami obie frakcye nie zapomniały o tradycyach r. 1848, a nawet zaostrzyły tę metodę, bo nie poprzestając już na samem stawaniu w poprzek polskim aspiracyom politycznym, posuwają się do zamachów na polski dorobek kulturalny i historyczny stan posiadania. Ostatni taki zamach z ukraińską fantazyą a hajdamackim brutalizmem wykonany, głośny w swoim czasie gwałt, którego ofiarą padły dzieła sztuki w auli polskiego uniwersytetu we Lwowie, stanowi jaskrawą ilustracyę tej staroaustryackiej polityki przewrotnej, która w podniecaniu jednej narodowości przeciw drugiej szukała wśród burzy rewolucyjnej r. 1848 podpory dla zachwianego do głębi ustroju państwowego. Dziś sami sędziowie wiedeńscy, pod których skrzydła opiekuńcze zwrócili się sprawcy owego zamachu lwowskiego, musieli czynowi temu nadać kwalifikacyę kryminalną i tem złamać całą karyerę kilkunastu młodych ludzi.

Zanim br. Helfert wyda ostatni tom swojego dzieła, mogą jeszcze dalsze fakta, zwłaszcza na Węgrzech, zamącić jego czułe wspomnienia o dawnym, staroaustryackim systemie rządowym.

*

* *

Wypadki r. 1848/9 stanowią tylko tło obrazu. Na niem dopiero w następnych latach zarysowały się w Europie owe wielkie przekształcenia państwowe, do których jak powiedzieliśmy, r. 1848 tylko prolog stanowił. Sądząc z tytułu obecnego dzieła i poprzednich prac monograficznych br. Helferta, nie obejmie on tych przekształceń. Żałować wypada, że historyk rozporządzający tak obfitym materyałem, a przynajmniej mający dostęp do materyałów archiwalnych, przed okiem innych badaczy w ukryciu trzymanych, nie myśli o przedstawieniu drugiego aktu tego wstrząśnienia, które na zawsze gruzem zasypało starą Austryę, a dało początek nowym, wielkim kreacyom państwowym. Tym drugim aktem były katastrofy wojenne z r. 1859. Aż do tych katastrof bowiem Austrya oparta na sile zbrojnej i policyjno-wojskowym

systemie rządzenia, zdawała się być tak silną, że o zniszczonych przez nią nabytkach wolnościowych długo nikt nawet nie marzył. Wszystko zdawało się zapowiadać długowieczność wskrzeszonego absolutyzmu, bo reformami społecznemi starał się on ująć dla siebie masy, historyczno-narodową indywidualność Węgier zgładził administracyjnie, dzieląc kraj na osobne terytorya gubernialne z małemi, do pożycia w waśni i wzajemnem szachowaniu się rozbudzonemi narodowościami, z Galicyą postąpił podobnie, na prowincyach włoskich zaciężył żelazną stopą militarną z hasłem *vae victis*, a całość sprzęgnął pod etykietą niemiecką węzłem centralizmu, więc ukształtował państwo w sposób taki, o jakim myślał br. Helfert pisząc w wstępnym rozdziale swojego dzieła żałośnie, o „ojcowskim“ systemie Metternicha, zgubionym r. 1848, tylko wskutek popełnionych błędów i zaniedbań.

Całą tą Bachowską regeneracyą Austryi doprowadziła biurokracya w dziesięciu latach do tego, że pierwsze klęski wojenne postawiły państwo nad brzegiem przepaści militarnej i finansowej. Bankructwo polityczne było kompletne, a bankructwo finansowe, jak za czasów wojen napoleońskich, zdawało się nieuniknionem. Trzeba było przystąpić do likwidacyi politycznej, a odbyła się ona już za ministerstwa Gołuchowskiego w rok po Magencie w tak zwanej wzmocnionej Radzie państwa, w ciele doradczem, złożonem nie z posłów przez ludność wybranych, lecz z notablów lojalnych, z Wiednia do narady zaproszonych. Głosy ich z natury rzeczy, ze stanowiska zajmowanego i przez wzgląd na przewodniczącego arcyksięcia (Rainera) musiały być miarkowane, a jednak razem złożyły się na *dies irae* dla biurokracyi staroaustryackiej. W tym chórze potępienia brali udział także trzej mężowie zaufania z Galicyi, a już z tego, co jeden z nich, Maurycy Kraiński, powiedział i co zapisano w urzędowym protokóle obrad, mógł był br. Helfert dowiedzieć się, gdzie leży to źródło dawnej „wszechświatowej spiskowości“ i „nałogowej rewolucyjności“ Polaków, a nadto kiedy i dzięki jakim okolicznościom, źródło to zostało w Austryi tak gruntownie zatkane, że objaw ten został przezeń podniesiony, jako fenomen równie uwagi godny, jak pogrom wojenny Rosyi.

To tak dobitne, a w dziele niemieckiego autora znaczące podniesienie zwrotu, jaki się dokonał w społeczeństwie polskiem przez zerwanie z tradycyami spiskowemi—obudza pewną refakcyę.

Społeczeństwo polskie zamknęło ostatecznie dobę podziemnych, spiskowych usiłowań, ale nie zamknęło historycznego rachunku z tą dobą. Istnieje pod tym względem w naszej literatu-

rze historycznej luka, którą w ostatnich czasach wprawdzie wypełniać zaczęto ogłaszaniem cennych materyałów, której obraz kompletny jednak z tych materyałów nie da się jeszcze nakreślić. Tak się przytem rzeczy zbiegają, że w ostatnich czasach przybyło do tego obrazu więcej punktów ciemnych, aniżeli jasnych, że zatem i ów obrachunek historyczny z dobą spiskową może więcej został obciążony zestawieniem ujemnych pozycyj materyalnych, aniżeli podniesiony dodatniemi stronami moralnemi, których przecież w tym okresie nie braknie tak samo, jak we wszystkich heroicznych wysiłkach porozbiorowych, a które mają również swe źródło w najpodnioślejszych aspiracyach i intencyach.

Takimi spiskowymi kondotierami, szukającymi w całym świecie popisu dla anarchicznych instynktów, takimi „wszechświatowymi sprawcami rewolucyi," jak ich br. Helfert nazywa, nie byli Polacy nawet w okresie najlekkomyślniejszych przedsięwzięć i porywów. W tych czasach, które stanowią wstępne tło w obrazie historycznym br. Helferta, w dobie wszechwładztwa systemu Metternichowskiego, Polacy istotnie byli wszędzie, gdzie pracowano nad podkopaniem tego systemu, więc we Włoszech, objętych siecią związków karbonarskich, i w Niemczech podminowanych tajnym związkiem studenckim, ale nie w roli inicyatorów, lecz uczestników w dziele zakrojonem na metę nie lokalną, lecz europejską.

Jak zawsze w takich usiłowaniach bywa, skutek rozstrzygał o sankcyi historycznej. Dopisał on Włochom i Niemcom, więc historya ich robót spiskowych dostała się do rozdziału heroicznych wysileń i bohaterskich porywów, chociaż nie braknie tam takich do śmieszności chybionych awantur, jak np. zamach frankfurcki z r. 1833. Polskim robotom spiskowym szczęście stale nie sprzyjało, więc z ponurych katastrof r. 1833 (wyprawy Zaliwskiego) i r. 1846 (rzezi galicyjskiej), mrok pada nawet na epizody, które w historycznym porachunku z doby spiskowej na lepsze traktowanie zasługują.

Takim epizodem są mianowicie lata 1835—40, kiedy Galicya po powstaniu listopadowem stała się najpierw jawnym przytułkiem dla emigrantów, a później główną widownią ich tajnych robót spiskowych. Z tego okresu podaje br. Helfert wiele szczegółów o ukrytych pracach Słowaków, Kroatów i innych szczepów słowiańskich około narodowego podźwignięcia się, mimo ucisku systemu Metternichowskiego, a o polskich usiłowaniach niema wzmianki, chociaż wtedy w różnych zjazdach brali udział także delegaci polscy.

Br. Helfert posiadał cały archiwalny materyał o tych czasach. W naszej literaturze historycznej znane są one tylko fragmentarycznie z pamiętników i życiorysów ówczesnych działaczy (głównie życiorysu Franciszka Smolki, napisanego przez Karola Widmana z dobrych, ale jednostronnie rzecz objaśniających materyałów). Z oddanych przed dwoma laty do naukowego użytku aktów lwowskiego sądu kryminalnego, który w r. 1845 skończył się wyrokiem śmierci wydanym na Smolkę i Ziemiałkowskiego oraz kondemnatą więzienną na kilkunastu innych (między tymi i późniejszego księcia-biskupa krakowskiego kardynała Albina Dunajewskiego), można sobie wytworzyć obraz dokładniejszy tych czasów.

Główną działalność spiskową rozwijało wtedy Stowarzyszenie ludu polskiego zawiązane przez delegatów „Młodej Polski," zorganizowanej w Szwajcaryi jako oddział „Młodej Europy." Rzecz naturalna, że jak we wszystkich robotach spiskowych tak i tutaj wywalczenie niepodległości Polski stanowiło cel główny, ale nie w takiej formie rychłego zbrojnego porywu, do jakiego w r. 1846 doprowadziły związki radykalne, powstałe na gruzach Stowarzyszenia ludu polskiego. Stowarzyszenie to w swoich kółkach i zebraniach, zwłaszcza w kółkach młodzieży akademickiej, nieraz przypominało czasy filareckie. Wszystkie kółka jednak wysuwały na pierwszy plan pracę nad oświeceniem i uszlachetnieniem ludu, nad poprawą jego doli i obudzeniem w nim poczucia narodowego. Traktowano to zadanie, jako misyę powolną i pokojową, jako przygotowanie do przyszłego powstania z odległym terminem. Całe ówczesne seminaryum łacińskie we Lwowie stanowiło jedną taką gminę, z której wyjść mieli apostołowie ludowej propagandy. Gminę tę odkryto, a równocześnie natrafiono na ślad innych gmin szczególnie akademickich, które miały charakter więcej kółek dla samokształcenia aniżeli związków rewolucyjnych. W tych czasach książki historyczne wogóle, szczególnie polskie, należały do wielkich rzadkości. Cenzura nie przepuszczała rzeczy wydawanych zagranicą, a policya śledziła każdy schowek książek, jak niebezpiecznych złoczyńców. W kółkach swoich młodzież posiadała i rozpożyczała zakazane książki sprowadzone z trudem i wielkim stosunkowo kosztem z zagranicy. Sprowadzano te książki głównie ze Strasburga, a największą usługę w pośrednictwie oddawał księgarz lipski Robert Blum, później członek parlamentu frankfurckiego, rozstrzelany w r. 1848 w Wiedniu z rozkazu ks. Windischgrätza.

Jaką żądzą posiadania książek pałała wtedy młodzież lwowska, najlepiej może wskazuje fakt, że u Karola Szajnochy w chwili aresztowania znaleziono bardzo niedostateczną garderobę, a w pieniądzach tylko kilka centów, ale za to cały stos zakazanych książek niemieckich i polskich. Takim zakazanym, z ciężkim trudem i wielkiem niebezpieczeństwem sprowadzanym pokarmem, zaspakajali w tych czasach głód duchowy inni pisarze nasi, których nazwiska zapisane są w powyżej wskazanych aktach kryminalnych (August Bielowski, Lucyan Siemieński, Seweryn Goszczyński, Henryk Schmitt i in.).

Franciszek Smolka już wówczas nad młody wiek swój poważny i rozważny, a do tego z natury wyposażony rzadkim spokojem, był wtedy duszą tajnych związków, a zajmując wybitne stanowisko w centralnych organach, umiał utrzymać działalność spiskową na pierwotnych torach. Powoli jednak zaczęły się burzyć skrajniejsze żywioły, wysuwając cel powstańczy w bliższą perspektywę i szukając w tym celu nawet kontaktu z kołami wojskowemi. Ster wypadł z rąk Smolki, powstawały kolejno po sobie i obok siebie związki idące za dyrektywą emigracyjnych wysłanników, a w czasie, gdy Smolka siedział w więzieniu śledczem, już się formowała ta, według br. Helferta, „pierwsza chmura na horyzoncie“ systemu Metternichowskiego, dojrzewała katastrofa r. 1846.

Br. Helfert nie starał się wcale z otwartych dlań źródeł archiwalnych poznać spiskowej doby Galicyi, chociaż ona z pewnością rzuca więcej światła na przewrotność i zabójczą dokuczliwość systemu rządowego za czasów Metternicha, aniżeli illustracya zaczerpnięta z innych prowincyj. Ale wygodny frazes o „wszechświatowej spiskowości“ i „nałogowej rewolucyjności“ Polaków, pozwolił autorowi nietylko pod tym względem nie oglądać się na ścisłość historyczną.

Dr. Bronisław Łoziński.

Kronika miesięczna.

Z chwili obecnej. — Sprawa opieki nad wychodźtwem polskiem za ocean. — Z powodu rozwiązania milicyi Polskiej Partyi Socyalistycznej. — Pierwsze sprawozdanie roczne „Macierzy.“

Posłowie nasi wyjechali do Petersburga, aby wziąć udział w obradach trzeciej Izby rosyjskiej. Fizyognomia tej Izby zaczyna się stopniowo wyjaśniać. W chwili, kiedy to piszemy, nie nastąpił wprawdzie jeszcze wyraźny układ stronnictw, nie zarysował się jeszcze program „większości,“ ale nie ulega już żadnej wątpliwości, że ta „większość“ wygląda zupełnie inaczej, niż wyglądała w dwóch Izbach poprzednich. Owiewa ją duch biurokratyczny, ten duch, który może uczynić ją „zdolną do pracy“ w tym kierunku, w jakim popchnie ją rząd, a może nawet zaprowadzi ją dalej na prawo, niż tego obecny gabinet pragnie. Jednocześnie „mniejszość“ opozycyjna, powstała na gruzach dawnej większości, poddała gruntownej rewizyi swoje programy i poczyniła znaczne ustępstwa na rzecz wymagań chwili. Przyznała się ona otwarcie lub przyznaje powoli do tego, że warunki się zmieniły i że wchodzą obecnie w grę nowe czynniki, według których normować należy swoje postępowanie. Jak ostatecznie wypadnie to „przeszacowanie“ wartości politycznych, przesądzać nie można, to pewna tylko, że nie wypadnie ono na korzyść *sprawy polskiej*.

Ta sprawa, dla której w I i II Izbie było miejsce, jeżeli nie określone, to w każdym razie dające się przewidzieć, obecnie usunęła się na plan dalszy i niema zupełnie widoków na jej postawienie. Świadomość tego jest w całym kraju i dlatego nie postawił on obecnym posłom żadnych postulatów, nie dał im żadnej dyrektywy, określonej ściśle i jasno. Ale jednocześnie ta świadomość wytwarza zgubny pesymizm wśród niektórych kół naszego społeczeństwa.

Trudna realizacya programu autonomicznego osłabiła wiarę w ten program, najzupełniej zresztą niesłusznie, gdyż jeżeli idzie o realną jego stronę, to warunki urzeczywistnienia tego programu niewielkiej uległy zmianie. Jak poprzednio, tak i teraz rząd stoi na stanowisku dla polskich żądań autonomicznych nieprzychylnem i jak poprzednio nie było, tak i teraz niema widoków na „otrzymanie“ autonomii. Różnica polega jedynie na tem, że, jak wspomnieliśmy, w tamtych Izbach można było mówić o autonomii, jako o *postulacie*, obecnie zaś ten postulat należy zachować dla siebie, aby wysunąć go naprzód dopiero wówczas, gdy zasady konstytucyjne w Państwie rosyjskiem nie już utrwalą się, ale zdobędą chociaż grunt jaki taki dla swego rozwoju. Obecnie nie mają one tego gruntu. Cała więc dyskusya o wartości programu autonomicznego, tocząca się na łamach prasy polskiej, jest do pewnego stopnia bezprzedmiotową i żadnego światła do sytuacyi nie wnosi.

Wogóle okres, w który wchodzi obecnie nasze życie, wyłamuje się zupełnie z pod władzy i uroku programów. W ciągu dwóch lat ubiegłych te programy panowały nad umysłami niepodzielnie. Budowano je i przebudowywano, pisano i uzupełniano, wszystkie jednak od najbardziej postępowych do najbardziej umiarkowanych pozostały na papierze, a jedynym pozytywnym rezultatem ich istnienia, oraz ich bogactwa i różnolitości, były niesnaski i spory partyjne. Sprzeczano się namiętnie o drobne nawet różnice, o poszczególne punkty, które mogły mieć znaczenie dla dalekiej dopiero przyszłości, ale nie miały go na dzisiaj. Używano ich, jako haseł dla obudzenia myśli politycznej, śpiącej spokojnie, i w tym kierunku, być może, spełniły one swoją rolę. Ogół nasz, pogrążony w zupełnej nieświadomości co do wielu spraw, zaczął się niemi interesować, zaczął myśleć samodzielnie i sądzić. Jest to niewątpliwa zdobycz okresu, który się skończył.

Nowy, poczynający się okres, przynosi jednak z sobą jakby milczący protest ogółu przeciw programom. Nikt już ich nie żąda, nikt nie bada ich subtelności, przekonano się bowiem, że na dobę obecną zupełnie wystarczają wskazania ogólne, te wytyczne, które mówią jedynie o kierunku zasadniczym, a pomiędzy któremi, w razie potrzeby, może się znaleźć wszystko, w danym momencie bądź potrzebne, bądź do zrealizowania możliwe.

Całe społeczeństwo, wyjąwszy może nieliczną garść fantastów, wie już dość dobrze o tem, że postulaty programowe nie mogą być zaspokojone doraźnie, że nie tylko *autonomii*, ale nawet *szkoły polskiej* naród nie otrzyma, dopóki nie przeprowadzi o to mozolnej, wytrwałej, długiej walki. Pierzchają więc złudzenia,

a budzi się natomiast pragnienie takiego zorganizowania sił społecznych, aby w zupełności były one przygotowane do tej walki, jaka je oczekuje.

Pisaliśmy już o tem, że wobec zmienionych warunków, środek ciężkości naszej sprawy przeniósł się z Petersburga do kraju, że podniesienie tego kraju pod każdym względem, a więc uleczenie go z niedomagań ekonomicznych, w jakie popadł wskutek rozstroju życia i z niedomagań moralnych, jakie sprowadziła długotrwała anarchia—jest obecnie najważniejszem zadaniem, wymagającem wszystkich naszych sił. Ważność tego zadania uważamy za konieczne podkreślić jeszcze raz w chwili, gdy delegacya nasza staje w Petersburgu i zajmuje fotele poselskie w pałacu Taurydzkim.

Poprzednio uwaga nasza całkowicie była zwrócona na ten pałac i stamtąd oczekiwaliśmy zdobyczy; obecnie z mniejszą uwagą będziemy śledzili przebieg obrad, wiedząc, że te zdobycze zależą od nas samych, że je „wypracujemy“ tutaj, w kraju, spełniając sumiennie wszystkie swoje obowiązki i dźwigając się wytrwale, z wiarą we własne siły, ku lepszej doli.

*

* *

Na porządek dzienny weszła w ostatnich czasach ponownie sprawa wychodźtwa za ocean naszego ludu. Dzienniki podniosły alarm. Z wiosną spodziewany jest odpływ nowej fali emigracyjnej. Wobec tego zarówno Wydział Krajowy w Galicyi, jak i Centralne Towarzystwo Rolnicze u nas, jako najbardziej zainteresowane tą sprawą, zwróciły baczną uwagę na jej stan obecny i ewentualną dalszą przyszłość. Centralne Towarzystwo Rolnicze zdobyło się nawet na krok bardzo realny, wyprawiając ze swego ramienia do Brazylii ruchliwego publicystę, p. Ludwika Włodka, z poleceniem, aby zbadał stosunki na miejscu i rozejrzał się w widokach, jakie tam ma osadnictwo polskie. Nie jest to pierwszy w tym kierunku krok. Byli tam już dawniejszemi laty ks. Zygmunt Chełmicki, Mikołaj Glinka, Adolf Dygasiński, dr. Stanisław Kłobukowski, dr. Józef Siemiradzki, znany geolog, p. Józef Okolowicz ze Lwowa, wreszcie dzisiejszy poseł do Izby, p. Roman

Dmowski. Z ich relacyj piśmiennych wiemy już kilka rzeczy zasadniczych, które dadzą się streścić w punktach następujących:

1. O ile wychodźtwo zarobkowe jest pożądane i pożyteczne, przysparza bowiem krajowi za powrotem ludzi zamożniejszych i kulturalniejszych, o tyle niezorganizowane i jak dotąd najczęściej rozproszone osadnictwo wyrządza Polsce krzywdę, gdyż emigranci tego rodzaju łatwo uledz mogą wynarodowieniu i w ten sposób prędzej czy później będą straceni dla kraju.

2. Ze wszystkich miejscowości w Ameryce Południowej najbardziej do kolonizacyi polskiej nadaje się stan brazylijski Parana, tak ze względu na swoje warunki klimatyczne, jak też i z uwagi na dotychczasowe liczebne skupienie się w nim żywiołu polskiego.

3. Pilną i nieodzową sprawą jest ujęcie ruchu wychodźczego w pewne określone ramy i takie nim pokierowanie, aby z jednej strony wyrwać ciemnych i ubogich ludzi, szukających chleba za morzem, z rąk wyzyskiwaczy, agentów towarzystw spekulujących i wszelkiego rodzaju szumowin zagranicznych, czyhających w miastach portowych na naiwnego wieśniaka polskiego, z drugiej — ustalić szlak wychodźczy i nie dopuścić na przyszłość do rozpraszania się emigracyi polskiej po całej Ameryce.

Co do punktu pierwszego, to uznając całkowicie jego słuszność, musimy przecież zauważyć, że emigracya osadnicza jest w naszem życiu zjawiskiem koniecznem i że niema środków, przy których pomocy moglibyśmy ją powstrzymać. Dopóki też w świecie drobnej własności ziemskiej wzrasta ciągle zastęp proletaryatu bezrolnego; dopóki warunki nie ułożą i nie ukształtują się tak, że zgodnie z naszem naturalnem i historycznem dążeniem na wschód, będziemy mogli kolonizować najbliżej nas leżące ziemie ruskie — Wołyń, Ukrainę i Podole, dokąd dawniej normalnie odpływał nadmiar ludności rolniczej polskiej, — dopóty chłop polski będzie musiał szukać szczęścia i przyszłości za oceanem i nic go nie powstrzyma od ruszenia się z miejsca. Przeciwnie, z dotychczasowych obserwacyj sądzić już można, iż nabiera on coraz większej ruchliwości, śmiałości i przedsiębiorczości i przewyższa pod tym względem znacznie ludność miejską.

Dla nas podróż do Ameryki jest czemś nadzwyczajnem, tymczasem dla Kurpia np. jest to już tylko przejażdżka, jaką uskutecznia on bardzo szybko i z wielką łatwością. Ta łatwość przenoszenia się za ocean będzie coraz większa, a im większy procent emigrantów zdobędzie dobrobyt na obcej ziemi, tem więcej znajdzie się w kraju ludzi, gotowych do ich naśladowania. Fala więc

wychodźcza, tak, jak dotychczas, co kilka lat będzie się podnosiła i nie prędko opadnie.

Zostają teraz dwa punkty dalsze. I jeden i drugi mają znaczenie pierwszorzędne. Opinia publiczna w całej Polsce doskonale już zdaje sobie sprawę z tego, iż opieka nad wychodźtwem jest nieodzowna i że czas nagli. Trzeba ją zorganizować jaknajpilniej i trzeba dołożyć jaknajwiększych starań, aby ta organizacya posiadała odpowiednią siłę żywotną i mogła dokładnie spełnić wszystkie zadania, jakie na nią spadną.

W Galicyi, jak się dowiadujemy, zawiązało się świeżo Towarzystwo opieki nad wychodźtwem polskiem. Obawiamy się jednak, że będzie to tylko Towarzystwo dobrych chęci, o ile pieczy nad niem nie roztoczy Wydział Krajowy. Inicyatorem tego Towarzystwa jest dr. Kłobukowski, który istotnie odznacza się zapałem dla sprawy i uważany być może za jednego z jej promotorów u nas, ale który posiada jednocześnie zamało energii i zamało zdolności organizacyjnych, aby mógł instytucyę pchnąć na drogę pracy żywotnej i realnego rozwoju. Swoją drogą należy mu się uznanie za jego dotychczasową pracę w tym kierunku i skwapliwość, z jaką porusza nieustannie w społeczeństwie galicyjskiem myśl zajęcia się emigracyą polską. Bądź co bądź Galicya zawdzięcza mu nawiązanie pierwszych swoich stosunków z Paraną i powstanie obecnego Towarzystwa, które, bardzo być może (tego nie przesądzamy), odegra pewną rolę w unormowaniu doli wychodźcy polskiego za oceanem.

Warszawa na tem polu stoi niżej od Galicyi. Ze względu na warunki dawniejsze, na zupełną niemożność organizowania się do pracy społecznej, dotąd nie zajmowała się ona należycie tą sprawą, a po kraju naszym snuli się niejednokrotnie bez żadnej kontroli agenci i wyzyskiwacze, tumaniący lud najrozmaitszemi obietnicami, które budziły apetyty i złudzenia, opadające, niestety, zaraz po przebyciu linii granicznej. Już w Bremie lub w Hamburgu zaczynała się zupełnie inna gra. Tam wychodźca odrazu „spadał z nieba“ i dostawał się w ręce biur, dla których był tylko „tanią siłą roboczą,“ sprzedawaną z dużym zyskiem przedsiębiorcom amerykańskim.

I dziś jest nie lepiej. Instytucyi, któraby zajęła się wychodźtwem specyalnie, nie posiadamy. Jest ona dopiero w projekcie i wątpliwo, czy powstanie tak szybko, jak tego potrzeba wymaga. A tymczasem dzieli nas zaledwie kilka miesięcy od chwili, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa masy ludu poruszą się i zaczną dążyć gromadnie poza granice Królestwa,

czy to w charakterze robotników najemnych do Niemiec (Sachsengänger'ów), czy też, jako osadnicy, do Brazylii, która wysłała już do Europy swoich przedstawicieli dla werbowania rolników, obiecując im tanią ziemię wzdłuż nowobudującej się linii kolejowej. Na zaludnienie tej połaci kraju, którą przecina nowa kolej, rządowi brazylijskiemu, z łatwo zrozumiałych względów, bardzo zależy, nie ulega też wątpliwości, że wysłannicy tego rządu dołożą wszelkich starań i zwerbują najsprytniejszych agentów, aby tylko jaknajwiększą ilość wychodźców pociągnąć.

Do przeciwdziałania tej agitacyi trzeba się zawczasu przygotować i wcześnie uświadomić lud co do tego, iż *jedynie* Parana jest odpowiedniem miejscem dla naszej kolonizacyi.

Zająć się tem powinny przedewszystkiem nasze pisma ludowe. Już dziś muszą one zacząć pisać o emigracyi i oświetlać ją z właściwych punktów widzenia, aby jaknajszerzej i jaknajdokładniej pouczyć lud o tem, co go czeka i czego trzymać się powinien.

Pewną pomoc w tym względzie powinno okazać pismom ludowym duchowieństwo wiejskie, przemawiając w odpowiedni sposób z ambon i czuwając w swoich parafiach nad tem, aby agenci emigracyjni zbyt łatwego nie mogli czynić połowu.

Nie jest to jednak jeszcze wszystko. Obok tego należy zawczasu zorganizować rzeczywistą opiekę nad wychodźcami.

Jedyną instytucyą, jaka może się tem zająć w tej chwili, jest wspomniane wyżej Centralne Towarzystwo rolnicze. Ogarniając przy pomocy swoich filij cały kraj i mając żywy związek ze wszystkiemi jego okolicami, ma ono sposobność do ujęcia ogólnego, zwierzchniego kierownictwa ruchem wychodźczym.

Nie taimy, że jest to rzecz niezmiernie trudna i wobec braku poparcia ze strony powołanych do tego czynników rządowych, w niejednym kierunku niemożliwa nawet do osiągnięcia, ale jest to jedyna droga, przy której pomocy można chociaż cośkolwiek uczynić.

Władze Towarzystwa rolniczego rozumieją to doskonale, jak rozumieją i to, że kraj cały będzie od nich oczekiwał inicyatywy w tej mierze i że dobrowolnie oddaje w ich ręce ster tej sprawy, obchodzącej nietylko właścicieli większej posiadłości ze względu na związaną z wychodźtwem kwestyę robotnika rolnego, nietylko samego chłopa-wychodźcę, który odrywa się od kraju, szukając polepszenia bytu, ale cały naród, którego przyszłość zależy także od charakteru, planowości i celowości wychodźtwa ludu.

*

* *

Tak zwana „frakcya rewolucyjna“ Polskiej Partyi Socyalistycznej wydała świeżo znamienną odezwę, świadczącą o nowym przełomie, jaki nastąpił wśród zwolenników doktryny socyalistycznej u nas.

W odezwie tej powiedziano między innemi, że „frakcya,“ przerażona zwiększającym się bandytyzmem, usiłowała ratować sytuacyę przez zmniejszenie ilości swojej „milicyi“ z 12 do 5 tysięcy, — „ale i to zawiodło.“

„Zatrważające objawy zdeprawowania ruchu — czytamy dalej—przybierały coraz straszniejsze formy. Popełniano nadużycia moralne i pieniężne, dochodzące do tysięcy rubli. Połowa pieniędzy, zbieranych na cele partyjne, ginęła. Nadużywano broni do celów osobistych. Uprawiano w formach jawnych i ukrytych terror ekonomiczny. Doszło do tego, że organizacya łódzka utrzymywała stosunek z bandytami i wprost moralnie popierała ich. Wielu wybitnych byłych towarzyszy przeszło do organizacyj bandyckich. Nastąpiło takie straszne obniżenie moralne całej organizacyi łódzkiej, że odróżnić w organizacyi bandytę od niebandyty nie było sposobu. Wreszcie doszło do tego, że kilkunastu wybitnych byłych towarzyszów, członków okręgowego i dzielnicowych komitetów, korzystając z podstępem zdobytej broni partyjnej i mieszkania partyjnego, urządziło bandycki napad na kasyera kolejowego i zrabowało 22 tysiące rubli. Wobec tego, iż organizacya łódzka, mimo 5000 członków i 1500 rb. dochodu miesięcznego, nie odpowiadała najprostszym wymaganiom moralnym, hołdowała lub tolerowała poglądy i czyny jaknajbardziej nam wrogie, a często nizkie — postanawiamy całą organizacyę łódzką z dniem dzisiejszym (data odezwy) rozwiązać. Wszystkie nasze komitety: okręgowy, dzielnicowe, podmiejskie i fabryczne, wszystkie koła organizacyjne i całą milicyę z dniem dzisiejszym rozwiązujemy...“

Tak brzmi komunikat partyjny, zredagowany z rzadką u socyalistów dozą szczerości i przyznania się do win popełnionych. Ta szczerość bynajmniej jednak nie rozbraja, bo zbyt jest spóźniona. Jeżeli bowiem w początkach ruchu wyzwoleńczego sytuacya nie przedstawiała się dość jasno, a popełniane błędy szły nie na karb złej woli, ale wypływały z istotnej niemożności zoryentowania się i z istotnej trudności opanowania odruchów, to już w ciągu pierwszego roku rewolucyi można było doskonale ocenić, gdzie zaczyna się anarchia i jakie są jej źródła.

Zwracano na to uwagę powszechnie, podkreślano zwyrodnienie i wypaczenie ruchu socyalistycznego przy każdej sposobności, i niepodobna, żeby koła, kierujące Polską Partyą Socyalistyczną, nie widziały tego narówni z innymi. Nie. To nie była ślepota.

To był rozmyślny upór. Pierwszym objawem „uzdrowienia," o ile godzi się użyć tego wyrazu, był rozłam, jaki nastąpił w partyi w roku zeszłym, a który sygnalizowaliśmy w swoim czasie na tem miejscu. Wtedy odpadła od partyi ta jej część, dla której bezmyślny rozlew krwi i zbrodniczy teror stały się wskazówką, że dalej iść po tej samej drodze nie można. Pozostała jednak „frakcya," która przybrała miano „rewolucyjnej" i brnęła dalej w obranym kierunku, pracując nad zezwierzęceniem robotnika, idącego karnie w jej szeregach. I dopiero teraz, kiedy w samych sferach robotniczych zaczął się coraz silniejszy protest przeciw zbrodni, kiedy miara przebrała się już po nad wszelką możliwość, „frakcya" ta zdobyła się na krok stanowczy.

Stało się to jednak zbyt późno, aby mogło wywrzeć wpływ uzdrawiający na stosunki, panujące w kadrach dawnej organizacyi bojowej. Ogromna większość członków owej „milicyi" nie wróci już z drogi, na którą wprowadziła ją partya. Trzy lata praktyki rozbójniczej uczyniły z nich opryszków i jeżeli potrafili oni w ramach organizacyi partyjnej, przy surowej dyscyplinie, jaka tam panowała, przedsiębrać na własną rękę wyprawy i zdobywać dla siebie „tysiące," jak mówi odezwa, to nie ulega wątpliwości, że teraz, kiedy mają ręce rozwiązane, kiedy zniknęła jedyna obawa, jaką mieć jeszcze mogli, t. j. obawa przed sądem partyjnym i doraźnym wyrokiem śmierci, jaki mógł spaść na nich z ramienia współtowarzyszy, wyższych rangą — nie zawahają się tembardziej przed uprawianiem zbrodni i przed rabunkiem. Są to przecież ludzie, którzy zdążyli już odzwyczaić się zupełnie od pracy, którzy odrzucili ją jako „przeżytek dawnego ustroju" i przywykli do wykwintnego zaspokajania swoich potrzeb bez żadnego wysiłku. Oddawna już przestali oni być robotnikami i nie ulega wątpliwości, że znaczny ich odsetek nigdy już nie powróci do fabryk. Za to niejednokrotnie jeszcze w kronice kryminalnej lat przyszłych będziemy się spotykali z ex-bojowcami, jako z herszta mi band zbójeckich, grasujących po kraju.

Taki jest rezultat trzyletniej „rewolucyjnej" działalności Polskiej Partyi Socyalistycznej. Zaiste, opłakany.

Historyk czasów przyszłych nie będzie mógł zapewne zrozumieć bierności społeczeństwa, które pozwoliło, aby ta czarna karta powstała w jego oczach i które nie miało dość siły, aby odrazu zaprotestować w formie najenergiczniejszej przeciw tej krwawej kąpieli, w jakiej utonął kraj z woli opętanych szałem agitatorów. Przeciwnie, długo zachowywało się ono wobec taktyki socyalistycznej z dziwną tolerancyą. Nawet umysły ludzi inteligentnych

doszły w tym kierunku do zupełnej niepoczytalności, do aberracyi. Nie umiano oceniać właściwą miarą zjawisk, które odrazu zasługiwały na potępienie bez zastrzeżeń. Stąd proces otrzeźwienia postępował tak powoli, a pojęcia klarowały się z takim trudem. I dopiero dzisiaj stanęliśmy na rubieży. Socyalizm utracił w społeczeństwie grunt. Odwrócili się od niego wszyscy, dla których jakąkolwiek wartość posiada dorobek cywilizacyjny ludzkości i rozwój moralny człowieka. Są sympatycy doktryny socyalistycznej i ci będą zawsze, bo doktryna ta ma racyę bytu, ma nawet swoje dobre strony, gdyż jest i będzie ostrogą w rowiązaniu niejednej kwestyi palącej, dotyczącej ekonomicznego i społecznego życia warstw robotniczych i ludowych — niema jednak zwolenników socyalizmu w tej formie, w jakiej zaznaczył on swoje istnienie w Polsce w latach ostatnich.

Odwrót jest tak szybki i tak powszechny, że nawet Żydzi, którzy dostarczyli socyalizmowi najżarliwszych wyznawców i którzy szli zawsze najgromadniej pod znakiem „czerwonego sztandaru," zaczynają się teraz cofać i opuszczają szeregi swojego „Bundu."

Oto jedno z pism żargonowych, „Fraind," zamieściło niedawno artykuł, w którym, omawiając chwilę obecną, zwraca uwagę na fakt, że „pisma socyalistyczne" nie są teraz prawie wcale czytane przez ludzi niepartyjnych, podczas gdy niedawno jeszcze czytano je wśród rozmaitych klas ludności żydowskiej. Ogół żydowski przestał interesować się temi gazetami już po wyborach do II-ej Dumy. Masa żydowska nie wybaczyła „Bundowi" tego, że podczas wyborów radził iść lepiej z socyal-demokratami, niż z innemi partyami żydowskiemi, oraz tego, że wyrzekł się popierania idei „wszechżydowskiej."

„Podział na klasy — kończy „Fraind" — jest obcy masie żydowskiej, dla niej najdroższa sprawa jest ogólno-żydowska, żąda przeto zjednoczonej pracy wszystkich."

Są to słowa, świadczące o niewątpliwem otrzeźwieniu wśród Żydów i w dodatku słowa, które mogą służyć za przykład niedostatecznie jeszcze otrzeźwionym jednostkom z szeregów proletaryatu polskiego. Sprawa ogólno-polska powinna być dla nich tak samo „sprawą najdroższą," jak żydowska jest dla Żydów.

Niestety, do tej chwili nie narzuciło się to jeszcze z dostateczną siłą świadomości zbiorowej mas robotniczych polskich, aczkolwiek nie da się zaprzeczyć, iż nastrój pokrewny już się obudził i że robotnik polski zaczyna się coraz poważniej i coraz samodzielniej zastanawiać nad sytuacyą.

Swiadczy o tem wymownie powodzenie, jakie w większych ogniskach naszego przemysłu zdobywa nieustannie Demokracya Chrześcijańska, która prawdopodobnie pozyska niebawem głos decydujący w sprawach robotniczych.

Jednocześnie z tem powoli postępuje także naprzód otrzeźwienie robotnika w dziedzinie stosunków ekonomicznych.

Lenistwo i upadek wydajności pracy, które podkreśliliśmy w kronice za miesiąc ubiegły, omawiając stosunki, panujące w Łodzi, spotykają się coraz częściej z protestem samych robotników, podobnie, jak teror ekonomiczny, którego ostatnie przykłady głęboko oburzyły na siebie wszystkich.

Oto w jednym z ostatnich numerów *Zycia robotniczego* znalazł się artykuł, pozwalający wnosić o tym krytycyzmie, z jakim warstwy robotnicze zaczynają oceniać wytworzone przez anarchię stosunki, zdobywając się jednocześnie na szczerość wobec samych siebie.

Już sam tytuł artykułu brzmi nieoczekiwanie: „Powiedzmy to sobie sami.“ Jakoż autor artykułu, robotnik, mówi bez ogródek, że ośmiogodzinny dzień roboczy zostanie osiągnięty tylko wówczas, gdy robotnik polski pod względem intensywności pracy nie będzie ustępował robotnikowi niemieckiemu, francuskiemu i angielskiemu.

— Dziś — czytamy nieco dalej — kręcimy się w kółku bez wyjścia. My, robotnicy, powiadamy: *mało nam płacą mało robimy, bo „jaka płaca, taka praca.“* Pracodawcy zaś mówią: *mało robią, mało im płacimy, bo „jaka praca, taka płaca.“* Kto tu ma rację? Oczywiście, ktoś ją mieć musi i, niestety, ma ją pryncypał. Bo jakżeż można postawić kwestyę w ten sposób: „zapłać mi więcej, a więcej będę robił.“ To jest odwrotny stosunek wartości do rzeczy: nie wartość ma rzecz, ale rzecz ma wartość. Zresztą, przecież daleko prościej jest zarobić 2 rb. i powiedzieć: należy mi się 2 rb. i tyle żądać, niżeli zarobić 1 rb., a kłócić się o 2, na tej zasadzie, że skoro dostanę już 2 rb., to wtedy dopiero postaram się zarobić więcej niż owego rubla. A u nas, niestety, wiele rzeczy w ten sposób się pojmuje. Atoli, żeby inne pojęcia trafiły do przekonań naszych robotników i weszły w życie, trzeba, ażebyśmy *przestali uważać zakłady i fabryki za miejsca, do których się idzie brać pieniądze, ale uznali je za teren, na którym wre walka pracy z kapitałem, gdzie niema miejsca na lenistwo, na synekury, na gawędy, na pijaństwo i na wiele innych rzeczy, nie mających nic wspólnego ani z przemysłem, ani z pracą, ani z kapitałem.* Trzeba, ażebyśmy zostali istotnymi sprzedawcami swej pracy i to

sprzedawcami solidnymi, sprzedającymi dobry towar, a nie spekulantami, handlującymi tandetą. Podaż pracy reguluje się jej taniością, a zatem, jeżeli chcemy mieć pracy więcej, pracujmy dobrze i dużo, by tę pracę odebrać Niemcom, Francuzom, Anglikom, Amerykanom i innym, którzy pracują za nas i dla nas, rosnąc w dobrobyt i zbogacając swoje kraje, podczas gdy u nas *kominy fabryczne pozamieniały się w jakieś niemo obeliski i jakby przystrajają malowniczo zaczynającą się u nas rozpościerać krainę umarłych...*"

Tak brzmi głos robotnika polskiego, przemawiającego do swoich towarzyszy. Jest to objaw niewątpliwego zdrowia, które zaczyna wracać naszemu organizmowi społecznemu.

Miejmy nadzieję, że procesu tego nie powstrzyma już żadna siła, gdyż największa przeszkoda w powrocie do stosunków normalnych—deprawująca masy robotnicze, rozkładowa działalność socyalizmu — została usunięta. Socyalizm ten sam się zżarł i sam się zgubił przez obłędną i zbrodniczą taktykę swoich „komandorów" w Polsce i do dawnej siły już nie powróci.

*

* *

W stanie, w jaki popadł nasz kraj w ciągu ostatniego czterdziestolecia, jedną z najpilniejszych potrzeb, które pochłonęły uwagę społeczną w chwili, gdy tylko zjawiła się możność „myślenia o sobie," było zorganizowanie na szeroką skalę działalności oświatowej. Cały naród zdawał się czekać jedynie na hasło, na którego dźwięk mogłyby się zespolić wszystkie siły i stanąć do pracy wytężonej na polu nauczania i dźwigania przez światło warstw upośledzonych na wyższe szczeble rozwoju ekonomicznego i moralnego. Hasło takie padło. Powstała instytucya „Polskiej Macierzy Szkolnej," powitana z entuzyazmem i odrazu popularna, mimo zgrzytów, któremi starały się zakłócić harmonię ogólną pewne koła, patrzące na wszystko przez pryzmat swoich interesów partyjnych. Dziś zgrzyty te należą już przeważnie do przeszłości, jeżeli jednak tu i owdzie odzywają się jeszcze, to z pewnością zamilkną niebawem. Stanie się to mianowicie w chwili, gdy wydane świeżo sprawozdanie Macierzy za pierwszy rok jej jawnej działalności rozejdzie się szerzej i gdy ogół przekona się o tem, co instytucya, walcząca jeszcze z trudnościami i narażona na nieufność władz, zdążyła zrobić w ciągu krótkiego stosunkowo czasu istnienia, jakie położyła podwaliny pod swój byt dalszy i jak zapowiada się jej rozwój na przyszłość.

Sprawozdanie to jest niezmiernie ciekawe i dużą posiada wagę dla tego właśnie, że jest sprawozdaniem *pierwszem* i jako takie może być uważane za wykładnik tego stosunku, jaki zawiązał się pomiędzy instytucyą i narodem i tych sił, jakie posiada naród na samodzielne zaspokajanie swoich potrzeb kulturalnych. Z tego względu sprobujemy przyjrzeć się chociaż pobieżnie niektórym cyfrom, zaczerpniętym z tej księgi, która powinna znaleźć się niebawem w rękach szerokiego ogółu.

Przedewszystkiem dowiadujemy się, że w roku sprawozdawczym, obejmującym okres czasu od 1 lipca 1906 do 1 lipca 1907 r. powstały w kraju 683 koła Macierzy. Po dodaniu do tej cyfry 98 kół, zawiązanych przed 1 lipca 1906 r., otrzymamy ogólną liczbę kół 781.

Z tej liczby nadesłało sprawozdania 575 kół. Pozostałe, w ilości 206, nie zdobyły się na to. Zarząd instytucyi wyjaśnia, że ten ujemny fakt „tłómaczy się nietyle opieszałością kół, ile raczej tą okolicznością, że znaczna liczba kół powstała w 2-ej połowie roku sprawozdawczego i z powodu napotykanych przeszkód nie mogła należycie rozwinąć swej działalności.“ Co zaś do sprawozdań kasowych, to z tych samych względów jedynie 382 koła nadesłały takie sprawozdania za czas do dnia 1 lipca 1907 r., kół 197 za czas do dn. 1 stycznia 1907 r., od 308 zaś kół Zarząd nie otrzymał wcale sprawozdań kasowych.

Przytaczamy to, gdyż przy dalszych zestawieniach cyfrowych należy uwzględniać tę szczerbę, jaką wywołały powyżej zaznaczone braki.

Przejdźmy jednak do innych szczegółów.

Do dnia 1 lipca r. b. Zarząd Główny *Macierzy* wystąpił do władz naukowych o pozwolenie na otwarcie 1247 szkół, uzyskano zaś pozwoleń *tylko* na 681 szkół. Na 316 podanych władzom do zatwierdzenia nauczycieli, władze te do dn. 1 lipca 1907 r. zatwierdziły tylko 159.

Szkół, dozwolonych przez władze i posiadających zatwierdzonych przez nie nauczycieli, było w roku sprawozdawczym 141, niezależnie od szkół, zatwierdzonych na imię osób trzecich, a utrzymywanych i popieranych przez Macierz.

Należy tu zwrócić uwagę na fakt, że w gub. siedleckiej na ogólną liczbę 163 podań o pozwolenie na szkoły do dnia 1 lipca r. b. nie uzyskała Macierz ani jednego pozwolenia, w gub. zaś lubelskiej na 228 szkół „podanych,“ otrzymano pozwolenie jedynie na 32 szkoły, lecz i z tych pozwoleń instytucya Macierzy skorzystać już nie mogła ze względu na dobiegający końca rok szkolny.

Również i w niektórych innych częściach kraju Macierz nie mogła otworzyć szkół, pomimo uzyskanych pozwoleń i zatwierdzonych nauczycieli. Dla czego? Wyjaśnienie Zarządu w tej mierze brzmi krótko. Oto z powodu nadmiernej opieszałości władz w załatwianiu spraw Macierzy i blizkiego upływu roku szkolnego. Idźmy jednak dalej.

W liczbie wymienionych 141 szkół *Macierzy* znajdują się szkoły średnie, założone przez koła miejscowe w Pułtusku i w Łęczycy.

Wiele kół ujawniło dążenia do zakładania *Domów ludowych*, w celu pomieszczenia oprócz biura koła, czytelni, sali zebrań, biblioteki i t. d. — ewentualnie także sklepów spożywczych, sal zajęć etc. Domy takie powstały w wielu miejscowościach.

Nadto koło płockie subwencyonowało 8-oklasowe gimnazyum w Płocku z liczbą 467 uczniów; koło siedleckie szkołę podlaską w Siedlcach, liczącą 320 uczniów; koło wieluńskie szkołę 4-o klasową w Wieluniu i koło sieradzkie szkołę 4-o klasową w Sieradzu.

W okresie sprawozdawczym założono nadto w kraju 317 ochronek, 505 bibliotek i czytelni, zorganizowano znaczną liczbę kursów dla analfabetów, oraz cały szereg odczytów i pogadanek z różnych dziedzin wiedzy.

We wszystkich instytucyach Macierzy, które nadesłały wykazy za okres sprawozdawczy, pobierało naukę 63,000 osób, korzystało z ochronek 14,401 dzieci, a z czytelni i bibliotek 400,544 osoby.

Koła liczyły ogółem 116,341 członków. W Warszawie było 6,004 członków rzeczywistych, 5,020 wspierających i 10 dożywotnich. Z okręgów prowincyonalnych najwięcej członów rzeczywistych uzyskała Macierz w gub. Piotrkowskiej — 20,009, potem w Warszawskiej 17,446, Lubelskiej 15,444, Kaliskiej 9,068, Płockiej 8,613, Kieleckiej 7,757, Radomskiej 7,505, Łomżyńskiej 6,857, Siedleckiej 6,513 i Suwalskiej 1,398.

Osobnych kół w Warszawie było 26, w gub. Warszawskiej 157, w Lubelskiej 110, w Piotrkowskiej 82, w Płockiej 81, w Kaliskiej 76, w Łomżyńskiej i Siedleckiej po 62, w Kieleckiej 60, w Radomskiej 55 i w Suwalskiej 10.

Wielka liczba kół rozwinęła bardzo poważnie i szeroko swoją pracę. Wystarczy zaznaczyć, że niektóre z nich mają rocznego obrotu od *10* do *20 tysięcy* rubli i odpowiednio do tych cyfr poszczycić się mogą rezultatami swej pracy.

Bardzo pouczającym jest dział, obejmujący w sprawozdaniu ofiarność publiczną na cele Macierzy. Czytamy tam, że na cele

Zarządu Głównego wpłynęła do dn. 1 lipca r. b. ogólna suma *rb. 387,677*, a w tem dar narodowy 3 maja *rb. 155,762*.

Ze sprawozdań kasowych 382 kół za czas do 1 lipca 1907, oraz z takich samych sprawozdań kasowych 91 kół za czas do dn. 1 stycznia 1907, wynika, że na rzecz tych kół wpłynęło *rb. 442,995*.

Ogólna suma wydatków Zarządu Głównego wyniosła rb. 72708, a koła, które nadesłały sprawozdania, wydatkowały ze swoich funduszów *325,828 rb.*

Zestawiając wpływy kasowe tak Zarządu Głównego, jako też i kół poszczególnych, otrzymamy kwotę łączną *810,673 rb.*

Cyfra ta jest wprost imponująca, zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę z jednej strony brak danych co do 308 kół i z drugiej—że wartość nieruchomości i placów, ofiarowanych pod budowę szkół poszczególnym kołom, do rachunku tego nie weszły.

Te *810,673 rb.*, które w ciągu jednego roku wpłynęły do kas Macierzy, świadczą o dwóch rzeczach: najprzód, że społeczeństwo nasze w dostatecznej mierze uświadomiło już sobie potrzebę popierania instytucyi, służącej sprawom oświaty, powtóre, że popieranie to realizuje się wcale pomyślnie.

Kraj przeszedł ciężki kryzys, życie ekonomiczne upadło, przeciętny zarobek sfer t. zw. inteligentnych zmniejszył się znacznie, a jednocześnie spadły na te sfery obowiązki bardzo rozległe. Otworzyły się nowe pola pracy, które wymagają nietylko inicyatywy, nietylko ludzi chętnych do działania, ale także i znacznych ofiar pieniężnych. Powstały więc w budżecie każdej przeciętnej rodziny nowe wydatki, przed któremi uchylać się nie może żaden obywatel. I to wydatki nie małoznaczne. A przecież pomimo to wszystko, pomimo wspierania głodnych, pogorzelców, ofiar pogromów, więźniów, młodzieży szkół średnich i młodzieży uniwersyteckiej, rozsypanej obecnie po świecie, znalazły się jeszcze środki na umożliwienie pracy Macierzy i to środki, jak na początek, wcale znaczne, które pozwoliły instytucyi odrazu stanąć na pewnych nogach i odrazu zaznaczyć swoją dobroczynną działalność w kraju.

I jeszcze jedna jest w tem rzecz pocieszająca. Oto *Macierz* zdobyła sobie w społeczeństwie polskiem odrazu popularność. Wspiera ją nietylko inteligencya, nietylko klasy oświecone poczuwają się do obowiązku łożenia na jej rozwój, ale i ci, w których budzi się dopiero pragnienie światła, coraz chętniej śpieszą ze swoimi ofiarami. Zwłaszcza do kół prowincyonalnych zapisują się dość licznie włościanie i nie wahają się bynajmniej płacić, jak na ich środki, wysokich nawet składek, byle zapewnić dzieciom swoim naukę w szkole polskiej.

Są to objawy bardzo pomyślne, pozwalające przypuszczać, iż o ile przeszkody, z jakiemi instytucya do dnia dzisiejszego walczy, przy pomyślniejszych warunkach zostaną usunięte, to Macierz w przeciągu lat kilku rozwinie się prawidłowo w wielką instytucyę oświatową polską, która będzie mogła podźwignąć cały ciężar tych obowiązków, jakie na nią spadają, a jakie nagromadza nietylko teraźniejszość, ale i przeszłość. Dzisiaj zaledwie część nieznaczna tych obowiązków wobec narodu może być spełniona. Jeżeli jednak całe społeczeństwo zrozumie, że od ich spełnienia zależy przyszłość, że najlepszem lekarstwem na wszystkie nasze niedomagania jest szkoła i tylko szkoła, prowadząca nieustanną walkę z tym olbrzymim mrokiem, który zalega jeszcze wśród naszego ludu i wśród znieprawionych przez agitacyę pseudorewolucyjną mas robotniczych, jeżeli postawimy sobie wszyscy za cel najpierwszy wytrwałe dążenie do starcia z naszej ziemi tego piętna analfabetyzmu, z którem figuruje ona zawsze obok innych krajów europejskich i dzięki któremu zajmuje wśród nich tylko nikłe miejsce, gdzieś na szarym końcu, obok nędznych kraików bałkańskich, a daleko w tyle poza małą Szwecyą, Norwegią lub nawet Finlandyą, jeżeli wreszcie potrafimy zapomnieć o dzielących nas różnicach, o swarach i niesnaskach partyjnych, a złączymy się wszyscy i wszystkie nasze siły skupimy dokoła wspólnej pracy oświatowej, to możemy śmiało wierzyć, że podołamy wszystkiemu.

Ufność w to budzi w nas poniekąd pierwsze sprawozdanie Macierzy. Kto uważnie przyjrzał się przytoczonym powyżej cyfrom i poza ich suchym wyrazem starał się dojrzeć ideę, ten z pewnością wyniósł przekonanie, że idea ta stoi mocno, że przyjęła się ona i utrwaliła w społeczeństwie nie na dzisiaj tylko, ale na zawsze, aż do spełnienia wszystkich jego obowiązków. I nie może być inaczej. W najcięższych latach naszego bytu, w dobie największego ucisku ta idea miała liczny zastęp swoich ofiarnych pracowników, którzy nie lękając się żadnej odpowiedzialności, pod grozą kar, które ich czekały za przekroczenia przepisów, krępujących bezwzględnie swobodę nauczania, nieśli „oświaty kaganiec“ pod strzechy i pod dach robotniczy, miała więc ona czas na to, żeby głęboko zapuścić korzenie. Korzenie te wydobywają się obecnie na zewnątrz. Wystrzelą one jednak szybko w górę i pokryją się bujnym, zielonym liściem, jeżeli będziemy stale pamiętali o Macierzy tak, jak pamiętaliśmy w pierwszym roku jej jawnego istnienia.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Akademia Umiejętności w Krakowie, w dniu 4 lipca r. b. ogłosiła konkurs im. Mikołaja Kopernika na następujący temat:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych ziem polskich — albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiekbądź z kolonij zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska — z klimatem rodzinnym.“

Nagroda wynosi 1000 koron. Termin konkursu 31 grudnia 1907 r. Autor pracy, uwieńczonej nagrodą, zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku, od wypłacenia mu nagrody, pracy uwieńczonej drukiem nie ogłoszono, w takim razie uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii. Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Um. bezimiennie, pod godłem obranym przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tym samym godłem.

Wszelkich wyjaśnień udziela Kancelarya Akademii (Kraków, ul. Sławkowska).

— Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswilu wydało niedawno (Paryż 1907, Drukarnia Polska A. Reiffa — Heymann) 37-e roczne Sprawozdanie swego Zarządu za rok 1906. Zbiory muzealne w roku wspomnianym stale się powiększały. Księga darów objęła 1,777 pozycyj (4,551 przedmiotów, gdy w r. 1905 było 1,736 pozycyj a 6,115 przedmiotów). Pozatem wpłynął do zbiorów, nie wpisany jeszcze do księgi darów, bogaty zbiór korespondencyi z czasów emigracyi 1846 r., obejmujący bardzo wiele dokumentów, których uporządkowania jeszcze nie dokonano. Przedmiotów muzealnych liczono w roku spra-

wozdawczym 37,002, nut 1,119, map 905, druków 56,025, rękopisów 13,227. — Muzeum zwiedziło w r. 1906-ym 3,724 osób. Sprawozdanie zawiera ponadto wykaz rachunków z funduszów, jakimi rozporządza Muzeum, oraz dział Naukowy i Literacki, w którym, jako autografy ze zbiorów muzealnych, podano 13 listów Lelewela, stanowiących rodzaj własnoręcznego „Dziennika Podróży" z wędrówki przymusowej znakomitego historyka, odbytej z Francyi do Belgii r. 1833.

— Towarzystwo Miłośników Historyi w Warszawie, dn. 15 b. m. odbyło miesięczne posiedzenie publiczne, na którem Dr. *Józef Bieliński* odczytał referat p. t. *Akademia Mohylańska w Kijowie.* Referat ten stanowi część artykułu przygotowanego przez prelegenta do projektowanej przez Akademię Krakowską „Encyklopedyi Polskiej," o której, mówiąc nawiasem, coraz to ciehsze, czasami Hiobowe, głosy dochodzą do Warszawy. Prelegent, mając zarezerwowaną w tem wydawnictwie zbyt szczupłą ilość miejsca, z konieczności streszczać się musiał, a nie chcąc pominąć żadnego ważniejszego faktu i osobistości, przedstawił słuchaczom prawdziwy ekstrakt wiadomości o Akademii Mohylańskiej, lecz ekstrakt suchy, skutkiem czego barwność odczytu i charakterystyka instytucyi pod względem jej dorobku naukowego i kulturalnego ucierpieć musiała. Te też nie krępujący się żadnemi względami i ograniczeniami, pp.: prof. Al. Jabłonowski i Tad. Korzon, zabierający głos w dyskusyi, wywiązanej na temat powyższy, obdarzyli słuchaczów przemówieniami, rozwijającemi myśli nadmienione w referacie zasłużonego badacza dziejów wyższych uczelni naszych. Szczególniej zajmującym był pogląd A. Jabłonowskiego o potędze języka polskiego w owych czasach, który to język używany był nie tylko w Kijowie, ale szedł daleko poza Dniepr, w głąb państwa Moskiewskiego, gdzie niejednokrotnie nawet przez wrogich polonizmowi autorów ruskich i rosyjskich był używany. Cywilizacyjne znaczenie Akademii Mohylańskiej było ogromne. Szerzyła ona wpływy łacińsko-polskie w kierunku wschodnim, nie dążąc bynajmniej do polonizowania Ukrainy, przeciwnie, wytwarzała miejscowe, rodzime kierunki, przyczyniała się do uświadomienia narodowego maloruskiego w przeciwieństwie do wpływów, idących od Moskwy. Za główne źródło do referatu D-ra Józ. Bielińskiego posłużyła praca Al. Jabłonowskiego, ogłoszona przed kilku laty w „Materyałach i opracowaniach, dotyczących historyi wyższych zakładów naukowych w Polsce."

Przed paru dniami ukazał się zeszyt 2 tomu V-go *Przeglądu Historycznego*, organu tegoż Tow. Miłośników Historyi, (za wrzesień i październik r. b.). Treść tego zeszytu jest wielce urozmaicona i ciekawa, odkładamy jednak obszerniejsze streszczenie i do czasu, gdy się ukaże ostatni zeszyt b. r., a to dlatego, że większość artykułów, tu pomieszczonych, jest nie skończona. Są to następujące prace: „Początki biskupstwa krakowskiego" (z teki pozgonnej *Maksymiliana Gumplowicza*); — „Pobyt króla Jana Zapolyi w Polsce, w 1528 roku," przez *Witolda Kamienieckiego;* — „Odwrócenie przymierzy w Europie 1755—1757," przez *Wł. Konopczyńskiego;* „Przymierze prusko-polskie i konstytucya majowa," przez *Ernesta Lanińskiego;* — „Z pamiętnika kapitana austryackiego Pecka" (Przyczynek do dziejów powstania polskiego w r. 1830),

przez *G. Smólskiego;* — „Prowizorowie szpitalni w dawnej Polsce“ (Przyczynek do dziejów magistratury naszej), przez *W. Męczkowskiego;* — „Wodociągi i kanalizacye miejskie“ (Z dziejów hygieny w dawnej Polsce), ciąg dalszy, przez *Fr. Giedroycia;* — „Inwentarz Zamku warszawskiego, sporządzony w roku 1769,“ podał do druku *Kazimierz Marcinkowski;* — Kronika.

Co do jednej tylko uwagi powstrzymać się nie możemy. „Przegląd“ pomieszcza od pewnego czasu cały szereg dokumentów, jako aneksy do pracy D-ra Giedroycia o wodociągach i kanałach miejskich. Szacownem jest bardzo zebranie tak licznego materyału w sprawie dotąd monograficznie nie opracowywanej, a mającej niemałe znaczenie do historyi urządzeń miejskich, ale samo wydanie, t. j. technika wydawnicza, szwankuje niepomiernie. Nie mogę zrozumieć np. jakie znaczenie mieć może zachowywanie oczywistych błędów kopistów XV, XVI lub XVII w., w dokumentach łacińskich, przepisanych najpewniej nie z oryginałów, lecz z późniejszych kopij. (Domysł ten stawiać mogę, skoro nie podane jest po każdym dokumencie źródło, a błędy o tem dowodnie mówią.) Następnie, zrozumieć nie mogę, dlaczego nie jest przeprowadzona, według wszelkich wymagań, interpunkcya, albo niema jej wcale, albo jest wadliwa, dlaczego wreszcie tak często nazwiska są pisane małą literą. Zapewne potrzebną jest ścisłość wydawnicza i bardzo, ale to już nie ścisłość, to anarchia wydawnicza, utrudniająca w najwyższym stopniu korzystanie ze źródła. Dokument bez interpunkcyi musi być kilka razy odczytany i czytelnik winien go pokryć całą siecią znaków, aby w przyszłości módz z niego korzystać. (Tak np. na str. 250 dokument o 300—400 wyrazach ma tylko dwa przecinki (oprócz punktu na początku i na końcu). Na tejże stronicy spotykamy: praeffatos przez dwa f, Jacobus przez małe j, nazwiska Golumbus, Oregala, Pygta i t. p. przez małe litery, Felix imię przez małe f, co zmienia sens; oprócz tego cały szereg wielkich liter, niczem niewytłómaczonych.

F. P.

— Biblioteka Ordynacyi hr. Krasińskich nabyła ostatniemi czasy kilka druków pierwszorzędnej rzadkości bibliograficznej. Zacytujemy tu trzy dzieła XVI wieku, wcale dotąd nieznane w naszej literaturze i nienotowane w bibliografiach. Są to:

1). *Sposoby a obyczaye nye- które, Ostrożnie y krom; zgorssenya, mowyenya, o Przedmyeyssych Krześ ćiyańskyey nauki nyey scach, dla młodych sło wa Bożego, u Kryest wic Luneburskim sług a kaznodzyei. Przez Urbana Rhegiu sa napisane. Z łacinskye[g] wyłożone*. Tytuł ten jest umieszczony w pięknym drzeworycie, przedstawiającym św. apostołów: Piotra i Pawła, nad nimi w renesansowej framudze Bóg Ojciec i Duch św., u dołu człowiek klęczący przed Chrystusem w cierniowej koronie i dający mu berło ze trzciny, z odwrotu ozdobny h. Radziwiłłów z literami *N: R.* Dedykacya Elżbiecie z Szydłowca Mikołajowej Radziwiłłowej wojewodzinie wileńskiej, datowana z Brześcia Litewskiego w 1554 r. 22 stycznia i podpisana przez *Bernata Wojewodkę*, obejmuje 10 stron druku. Tłómacz

tego dziełka Rhegiusa — znany w naszej literaturze Bernat Wojewódka, światły uczeń Erazma Roterdamczyka i zwolennik nowego ruchu religijnego, przemawia do wojewodziny wileńskiej w tonie dość stanowczym, nakłaniając ją do szczerego oddania się nauce zboru chrześcijańskiego, której powinna „miejsce u siebie dać, a jej przyzwolić i wierzyć, a jej się nie przeciwić, aby Pan Krystus nie był na upad, ale na powstanie O. M. waszej.“ Dziełko niniejsze wydał, „aby fałszywa nauka miejsca żadnego u O. M. waszej nie miała,“ poleca księżnie, aby pilnie słuchała własnego kaznodziei zboru chrześcijańskiego, dla lepszego nauki chrześcijańskiej w pamięć wpojenia „na pokoju swem czasu swego“ czytała przetłómaczone przez siebie dziełko Urbana Rhegiusa, w którem „krótciuchno ale porządnie sposoby opisał dla młodych a nie do końca jeszcze wyćwiczonych... ludzi jakoby o przedniejszych miejscach wiary... wierzyć, mówić i nauczać mieli.“ Następuje po przedmowie wykaz p. t. „Myeysca prze dnyeysse wiary a nauki krze ściyanskyey o ktorych w tych to ksyążkach rozprawya O pokucye 27 wyerze, o uczynkach, y o ich zasługach 34 mssy 43 zakonye 50 swobodney woli 56 przesłanyu List 60 wolności krze ściyanskyey 65 Zwirzchnosci 68 od Boga uczonych 71 Dosyć uczynyenyu 73 Panyenstwye 76 Spowyedzi 78 Ustawach ludzkich | y Cerymoniyach 81 Poscye 86 Modlitwie o wzywanyu swyę tych list 98 Ceyenyu swyętych y pamyątkach ich 104 Obrazyech 123 Pogrzebye umarłych 125 . Następuje tekst str. 1—134 i na luźnej końcowej karcie: Drukowano | za wolą y za roskazanyem Oswyeconego Pana Pana Mikołaya Radziwiła ksyą żęcya na Ołyce y Nyeswyeżu, Woye- wody Wilenskyego, naywyzsse⁹ Marssałka y Kanclerza Wyelkyego ksyę- stwa Litewskyego, starosty Brzeskye- go, Borusowskyego y Ssawleń- skyego etc. W Brześcyu Litewskyem przez Bernata Woyewodkę, Roku Narodzenia Panskye- go M⁹. D⁹. L⁹. 1111⁹. Myesyąca Stycznya Dnya XIX . Rozmiar: małe 8-o, druk gocki, papier gruby, prążkowany z wodnym znakiem zawsze u góry odciętym, tak, że tylko część jego jest widoczna. Zdaje się być tarczą ze strzałą w dół opuszczoną.

2). *Katechismus mnyeyszy To yest | Nauka s krotkim wykładem o | przednyeyssych cząstkach zakonu krześciańskye- go dla ludu prostego.* | *** Na następnej karcie: Do Czytacza u pominanye. | Jest to przedmowa na temat: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego.“ Następuje potem sam katechizm podzielony na cztery części: Boże przykazanye, Członki wyary krzesciyanskiey, Modlitwa Panska, Swyątosci kościelne, Kart niel. 23, poczem w dalszym ciągu kustoszy: *Katechismus Wyelssy To yest Nauka krzesciyańska o Bo- dze y o Wyerze swyętey w ktorey Oćyec z Sy- nem rozmawya- yą etc.* Cały w formie dyalogu ojca z synem, bez rozdziałów, na 19 karcie tego większego katechizmu: Pytanie potrzebne a pożyteczne... yako się ma człowyek... przez wssyeyek czas żywota swoyego we Zborze świętym zachować, rządzić y sprawować? Na k. 33 z odwrotu: Przyczyny uczynkow dobrych, dla ktorych powinnye czynione być mayą. K. 44 w końcu: Aby karta próżna nyezostała przydatek: K. 44 *v.* Napominanye ku pilnowanyu słowa Bożego s piątych ksyąg Moiżessowych w ssostey kapi. Kart w obu katechizmach 68, kustosz J8.

3). *Summaryusz Dzyesyęcyora Przykazanya Bożego, w ktorymze to yako we zwyerscyedle nayyasney- ssym oglądano a obaczono być może, yakyemi, ktoremi y yak wyelą | obyczayow człowyek w Bożych przykazanyach, chociaz nye ostroznye a nye obacz nye grzessy. Przez Krzystopha Imlera Hadamaryussa popisany. Z łacinskyego na polskye teraz nowo wy łozony Roku 1553.* 8-o, ktul. 38, kustosz G6.

Oba ostatnie druki razem oprawne i pochodzą niewątpliwie z drukarni brzeskiej, gdzie drukowane było w 1554 tłómaczenie Wojewódki Obyczajów Rhegiusa. Papier i druk ten sam. „Są to druki, mające nie małe znaczenie nie tylko pod względem bibliograficznym, ale także jako nieznane dotąd utwory literackie polskie z połowy XVI wieku, stanowiące ciekawy przyczynek do historyi reformacyi w Polsce.

Fr. P.

NOWE KSIĄŻKI.

— Brückner Aleksander. Rozmyślanie i żywot Pana Jezusa, z rękopisu Grecko-katolickiej kapituły przemyskiej (Wyd. Akad. Umiej. w Krak. Biblioteka pisarzów Polskich № 54). 8-o, str. 484.

Śród całego szeregu cennych wydawnictw, któremi obdarza nas tyle zasłużony profesor literatury polskiej na uniwersytecie Berlińskim, zasługuje na uwagę jeszcze jedna osobliwość. Ogromny utwór literatury polskiej z początku XVI w. o 465 str. bitego druku, wysoce ciekawy co do treści i właściwości językowych, rzucający wiele światła na obyczaje i wierzenia XVI w. Poprzedza go obszerna przedmowa wydawcy, opisująca sam rękopis i sposoby, użyte przy jego wydaniu. Brak tylko sądu o wartości literackiej utworu i o znaczeniu jego w literaturze; autor obiecuje zająć się tem w osobnej rozprawie. Natomiast daje tu cenne wskazówki co do sposobu wydawania utworów polskich XVI w. Prof. Brückner jest przeciwnikiem mechanicznego kopiowania starych tekstów i powtarzania w wydawnictwach błędów, nie mających żadnego językowego znaczenia. Prawidła jednak, przez niego wypowiedziane, to jest te, których w danem wydawnictwie używał, nie wydają się zbyt jednostajne. Należy oczekiwać, że na wzór wskazówek prof. Zakrzewskiego, do wydawania materyałów historycznych, opracowany będzie z czasem sposób wydawania materyałów literackich, z zachowaniem specyalnych prawideł dla każdej epoki. Inaczej trudno o jednostajność i trudno uniknąć błędów wydawniczych.

F. P.

— Starożytności Słowiańskie, przez Dr. *Lubora Niederlego* w tłómaczeniu polskiem *Ksawerego Chamca*. T. I. Zeszyt 1. Warszawa, 1907. 8-o major., str. XXII + 236 + II.

W zakresie badań nad najodleglejszą epoką dziejów Słowiańszczyzny, pierwszorzędne miejsce zajęła praca powyższa czeskiego uczonego, profesora Lubora Niederlego. Aczkolwiek nie skończona dotąd w zupełności, bo zaledwie

tylko do czwartej części doprowadzona (wyszło dotąd 3 zeszyty, czyli tom pierwszy, gdy ma być według planu autora tomów cztery), to jednak zyskała już wielki rozgłos w świecie naukowym. Pełno o niej wzmianek i roztrząsań w literaturze niemieckiej; rosyjskie tłómaczenie Bielaszewskiego idzie prawie równocześnie z drukiem oryginału, a obecnie zjawia się tyle pożądane tłómaczenie polskie, tem cenniejsze, że dokonane z wielką ścisłością i przez tłómacza doskonale oznajomionego z przedmiotem. Tom pierwszy „Starożytności Słowiańskich“ Niederlego obejmuje: wiadomości o początkach Słowian i ich pochodzeniu, o początkach ich bytu, o rodzaju i postępach ich pierwszego zróżniczkowania aż do pierwszych, niezawodnie pewnych, spraw ich dziejowych. W następnym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ ma być pomieszczona obszerniejsza recenzya wydanego w języku polskim zeszytu pierwszego. Na tem miejscu zaznaczyć tylko chcieliśmy fakt ukazania się tyle pożądanego wydawnictwa, które, napisane bardzo dostępnie, znaleźć się powinno w rękach każdego, kto się interesuje najdawniejszemi dziejami Słowiańszczyzny.

F. P.

— Józef Bieliński. Królewski Uniwersytet Warszawski (1816 — 1831). T. I-szy. Warszawa, 1907. 8-o, maj., str. VII + 767.

Jako tom X-ty „Materyałów i opracowań, dotyczących historyi wyższych zakładów naukowych w Polsce,“ wyszedł tom pierwszy historyi Uniwersytetu Warszawskiego, pióra tyle zasłużonego badacza dziejów wyższych uczelni, autora „Uniwersytetu Wileńskiego“ — dr. Józefa Bielińskiego. Tom ten zawiera następujące rozdziały: I) Prawa i przywileje. II) Statut. III) Dozór. IV) Zwierzchność. V) Stowarzyszenia stałe i zespolenia doraźne. Udział w uroczystościach świeckich i duchownych. Stosunki zewnętrzne. Zajścia i zaburzenia studenckie. Zatargi z policyą. VI) Etat. VII) Medale. Herb Uniwersytetu. Ubiory. Sztandar Uniwersytetu. VIII) Zakłady naukowe. Kliniki.

Dzieło ogromne, źródłowe, najeżone wielką ilością dokumentów, podanych w wyciągach, w streszczeniach, w całości, a jednak czyta się z nieustającem zajęciem. Przyznać należy, że autor świetnie owładnął tematem i jeszcze lepiej manipuluje materyałem archiwalnym. Niema tu przeciążenia, dokumentów zbytecznych. Czasami nawet pożądałoby się większej ilości szczegółów. Autor zapewne ulegał tejże pokusie, ale przekładał jasność wykładu i dobrze zrobił, nie dając się uwikłać w labirynt drobiazgów, których w obszernych archiwach uniwersyteckich pewnie by nie zabrakło. Dobrze także uczynił, że materyał archiwalny w przeważnej ilości wypadków usunął do przypisków, które po każdym niemal rozdziale następują. Jeden tylko brak rzuca się w oczy, może także powstały z chęci uniknięcia rozwlekłości, i utrzymania się ściśle przy obranym przedmiocie. Brak to chociażby pobieżnego naszkicowania tła dziejowego, na którem się rozgrywały losy Uniwersytetu królewskiego, tak blisko z życiem politycznem Królestwa związanego. Odnosi się wrażenie, jakgdyby autor korzystał z jednostronnego materyału. Czytamy, co mówiła władza uniwersytecka, co mówił kurator, a kuratorowi namiestnik, co i jak odpowiadali profesorowie i studenci, ale głów-

ne sprężyny, które poruszały temi wypadkami uniwersyteckiemi, są zakryte. Zapewne, są one czytelnikom w ogólnych zarysach znane, ale bez ich przypomnienia wydaje się czytelnikowi, że ma do czynienia ze sztucznie izolowanemi od życia objawami. Za to, jakże wymowna działalność kuratoryi i systemu do dzisiejszego dnia jeszcze stosowanego. „Dozór“ zaprowadzony za ministeryum Grabowskiego, wchodzi w artybuty profesorów, rektora, opiekuje się aż do przesady karnością studentów, którym coraz to nowe przepisy narzuca, a za błahe przestępstwa surowo karze, wywołuje wreszcie u studentów nienawiść do tej władzy bezwzględnej i niesprawiedliwej. A stąd rodzi się zamiłowanie do tajemnicy, i w ślad zatem idzie organizacya związków. Nadzwyczaj interesującym jest rozdział o stowarzyszeniach i związkach studenckich. Przesuwają się przed czytelnikiem obrazy żywe, przeczute, jakby z dni najbliższych. Piękne w tych sprawach jest stanowisko rektora, którego rola jest najniewdzięczniejsza, piękną obrona studentów, gdy surowo karani przez fałszywą denuncyacyę, wołają: „Moralności, gdzie twe prawa“ — i skarżą się swemu rektorowi. Pełne nowych szczegółów są rozdziały o instytucyach naukowych, więc o bibliotece, zbiorach numizmatycznych, gipsowych odlewach, laboratoryach etc. Wykazy tych zbiorów przedstawiają wielką ich zasobność, a historya ich, szczegółowo opisana, prawie zawsze jednakowo się kończy—wywiezieniem do Petersburga.

F. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Biblioteka Nowa... kaznodziejska. Kazania ks. ks.: Walentego Wcisły, katechety z Mielca (3); J. Koterbskiego, prob. z Kamionki Wielkiej; Wł. Karpińskiego, z Wielowicza; Karola Kielczewskiego, prof. z Czempinia; K. Michalskiego; Stefana Laskowskiego, prob. z Kołdrąbia; Włodarczyka z Zbąszynia; O. Krupskiego (2) i T. Styczyńskiego, prob. z Wytomyśla.

— Biblioteka Nowa... uniwersalna. Zeszyt 414 i 415. Ernest Hello: Człowiek, Życie, Wiedza, Sztuka (dok.); — Krawczyński S. M.: W Rosyi w ósmem dziesięcioleciu XIX wieku (Andrzej Kożuchow, dok.); — Jan Ogiński Kontrymowicz: Tragedya w Glinianach, legenda historyczna z XIV w., na starych szpargałach oparta.

— Chimera, tom X, zesz. 28 i 29. J. Peladan: Ostatni wykład Leonarda da Vinci; — E. Porębowicz: Ballady ludowe Europy zachodniej i południowej; — M. Komornicka: Intermezzo; — J. Rundbaken: Śladem Rosynanta; — H. von Hofmannsthal: O wierszach, dyalog; — L. Staff: Po drodze; — A. Górski: Archaniol; — Catullus (Lub. Gallus): Wenus czuwa; — A. K. Swinburne: Laus Veneris; — E. Luskina: Pokój ludziom dobrej woli; — B. Leśmian: Oddaleńcy; — W. Berent: Opaniszady Kena, Isa, oraz fragment z Wielkiej Aranyaki; — Dodatki artystyczne.

— Homiletyka i Przegląd Społeczny. Wrzesień. Ważny dokument. Przestroga katolików wobec ukrytej działalności masonów; — Czy zasady moralności głoszone przez Zbawiciela odpowiadają naszym czasom (dok.); — Nauka pedagogii (c. d.); — Wartość wiedzy teoretycznej w wychowaniu; — Dział kaznodziejski; — Homilie na niedziele; — Kazania na uroczystości; — Wiadomości teologiczno-pastoralne; — Bibliografia.

— Krytyka. Wrzesień. (f): O wyzwolenie człowieka; — St. Wyspiański: Król Zygmunt August. Fragment dramatyczny; — Jerzy Kurnatowski: Materyalizm dziejowy a solidaryzm; — Wacław Sieroszewski: Małżeństwo. Powieść; — Cypryan Norwid: Noc tysiączna druga, komedya w jednym akcie; — B. Gorczyński: O dramacie z teraźniejszości. Refleksye na dobie; — K. Bujwidowa: Stańmy się sobą; — Wł. Bukowiński: Przed rozstaniem. Sonety: Aryos; — Podstawy polityczne ruchu wolnej myśli; — Dr. W. Miklaszewski: Zagadnienia seksualne; — Przegląd prasy polskiej i obcej; — Reakcya w Rosyi; — H. O.: Z literatury pedagicznej; — Sprawozdania naukowe i literackie.

— Lud, organ Tow. Ludoznawczego, t. XIII, zesz. II. Szymon Matusiak: Sobótka (dok.); — Józef Schneider: Lud Peczeniżyński (c. d.); — Materyały i poszukiwania; — Stanisław Piotrowicz: Znachorka i wróżka Jewdokia Bojczuk; — Franciszek Gawełek: Zwyczaje świąteczne w Radłowie; — Tadeusz Smoleński: Z egipsko-arabskich opowieści ludowych o Panu Jezusie; — Dr. Franciszek Krček: Nowe przyczynki do drugiego wydania „Księgi przysłów“ S. Adalberga; — Rozmaitości; — Krytyka i Sprawozdania przez K. Hammera, M. Janika, Ślązaka i d-ra Mi. Ja.; — Sprawy Towarzystwa. — Dodatek. M. Treter: Przegląd treści dziesięciu roczników „Ludu.“

— Przegląd Historyczny: Lipiec—Sierpień. Początki biskupstwa krakowskiego (z teki pozgonnej M. Gumplowicza); — J. Jakubowski: Opis księstwa Trockiego z r. 1387. Przyczynek do badań nad ustrojem Litwy przedchrześcijańskiej; — W. Kamieniecki: Pobyt Króla Jana Zapolyi w Polsce, w 1528 r.; — Wł. Konopczyński: Odwrócenie przymierzy w Europie 1755—1757; — W. Męczkowski: Prowizorowie szpitalni w dawnej Polsce. Przyczynek do dziejów magistratury naszej; — F. Giedroyć: Wodociągi i kanalizacye miejskie (z dziejów hygieny w dawnej Polsce) c. d.; — Inwentarz Zamku warszawskiego w r. 1769, podał do druku K. Marcinkowski.

— Przewodnik naukowy i literacki. Sierpień. Dr. Stanisław Turowski: Wespazyan Kochowski na tle współczesnem, jako poeta; — Adolf Chybiński: Fryderyk Chopin i Eugeniusz Delacroix. Przyczynek do biografii naszego mistrza; — T. St. Grabowski: Z współczesnej poezyi chorwackiej; — Antoni Karbowiak: Pedagogika Komisyi edukacyi narodowej w świetle systemów pedagogicznych XVIII wieku; — Do dziejów Kamieńca Podolskiego (z papierów, pozostałych po ś. p. d-rze A. J. Rolle); — A. Prochaska: Rady Kalimacha; — Dr. Maryan Szyjkowski: Génie du Christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej.

— Przegląd Polski. Wrzesień. Al. Kraushar: Wielki Książe Konstanty i obywatele lubelscy. Epizod historyczny z czasu odwrotu wojsk rosyjskich za

Bug w r. 1830; — Kazimierz Woyczyński: Różaniec łez czyli pieśń o szczęściu. Z teki czującego chłopca; — Dr. August Sokołowski: Ze wspomnień pruskiego oficera o rewolucyi krakowskiej w r. 1846; — Konrad Ostrowski: J. K. Huysmans. 1848—1907; — Kronika literacka; — Muzyka w Krakowie przez D-ra Zdzisława Jachimeckiego;—Przegląd polityczny przez [illegible];—Stanisław Tarnowski: X. Stanisław Puszet, wspomnienie pośmiertne;—Tenże: Karol Potkański, wspomnienie pośmiertne.

— Przegląd powszechny. Wrzesień. Ks. Jan Urban T. J.: Kwestya zjednoczenia Kościołów na zjeździe welehradzkim; — Lucyan Rydel: Z podróży do Grecyi: Thalatta! Thalatta! — Ks. St. Adamski T. J.: Wobec ruchu rozwodowego. Refleksye o istocie małżeństwa (c. d.); — M. Paciorkiewicz: Twórczość Bossueta i Fenelona (c. d.); — Adolf Chybiński: Bogurodzica pod względem historyczno-muzycznym (dok.); — Przegląd piśmiennictwa przez St. Dobrzyckiego, Adolfa Chybińskiego, T. Wodzicką, ks. E. Matzla T. J., ks. G. Filausera T. J., ks. M. C. T. J., J. B., J. U., A., N., Z. A. Ch.; M.;—Sprawozdanie z ruchu relig., nauk. i społecznego przez ks. Wiktora Wieckiego T. J., ks. Kazimierza Konopkę T. J., ks. Andrzeja Kędziora, Askiego.

— Przegląd prawa i administracyi. Wrzesień. Dr. M. Allerhand: Podstęp w procesie; — Dr. Ernest Till: Z dziedziny materyalnego prawa konkursowego (c. d.); — Dr. Zygmunt Gargas: W sprawie statystyki handlu wewnętrznego w Galicyi;— Zapiski literackie przez B. Grużewskiego, D-ra Adolfa Bergera, T., R . . . r i b.; — Praktyka cywilno-sądowa przez D-ra K. S i D-ra M. Bribrama; — Dodatek: Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych № 9.

— Świat Słowiański. Sierpień—Wrzesień. Zdzisław Marycki: Polacy wśród Słowian Austryi; — Dr. Zygmunt Stefański: Stan rzeczy w królestwie Serbskiem; — Tad S. Grabowski: Izydor Kršnjav; — Dr. St. Chalubny: Próba teoretycznego określenia charakteru czeskiego; — Papież a pruska nauka religii; — Dr. E. Benešić: Chorwacki głos o stosunkach rusko-polskich; — Recenzye i sprawozdania; — Bibliografia czeska; — Przegląd prasy słowiańskiej; — Kronika.

— Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne. Dr. Bolesław Demel: Przyczynek do dziejów Mennicy Warszawskiej (1820—1855); — Maryan Gumowski: Dr. Franciszek Piekosiński (rys życia i prac) dok.; — L. Białkowski: Z przeszłości Szarogrodczyzny; — Wiktor Wittyg: Znaki pieczętne (gmerki) mieszczan w Polsce w XVI i zaraniu XVII wieku (c. d.); — Karol Bolsunowski: Minusińsk, jako centrum kultury epoki bronzu; — K. Marcinkowski: Inwentarz Wielkorządów Krakowskich za szczęśliwego panowania Nayjaśniejszego króla Augusta wtorego (c. d.); — M. Gumowski: Medal Izabelli Jagiellonki przez Padovana; — Bibliografia.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Florian O., Kapucyn: Na pamiątkę poświęcenia kościoła i przeniesienia parafii rozwadowskiej z kościoła O.O. Kapucynów d. 15 i 16 lipca. Rozwadów, 1907. Nakł. konwentu O.O. Kapucynów. 16-o, str. 16.

Jeruzalem Wilhelm, Dr. Prof.: Wstęp do filozofii. Z trzeciego wydania oryginału niemieckiego z upoważnienia autora przełożyła Julia Dickstein'owna pod redakcyą Adama Mahrburga. Warszawa, 1907. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. XVI i 330.

Key Ellen: Miłość a etyka. Przełożył Karol Schott. Warszawa, 1907. Nakł. Towarzystwa Wydawniczego „Concordia." Głosy w kwestyi reformy małżeństwa. 8-o, str. 65.

Klimke Fr. T. J.: Spółczesne światopoglądy. Kraków, 1907. Nakł. red. „Przeglądu Powszechnego." 8-o, str. 39.

Miodusziewski Ign., Ks.: Praktyczne objaśnienie zasady wiary i obowiązków moralnych. Opracował ... Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Kroniki Rodzinnej." 8-o, str. 387 + XVII.

Nietzsche Fryderyk: Narodziny Tragedyi czyli hellenizm i pessymizm. Przełożył Leopold Staff. Warszawa, 1907. Nakł. Jakóba Mortkowicza 8-o, str. 169.

Pawlicki S., Ks. Prof. Dr.: Historya nowszej filozofii od Kanta. Według wykładów. Kraków, 1907. Wyd. Koła Filoz. U. U. J. 8-o, 439.

Stańkowski Antoni, Ks. ś. p.: Kazania przygodne zbiorowe, wybrane z kazań ... ks. J. Azbiewicza i t. d. wydawnictwa ks. L. Dąbrowskiego. Lwów, 1908. Nakł. Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 244.

Struve Henryk: Logika elementarna. Podręcznik dla szkół i samouków. Z dodaniem słownika terminów logicznych. Warszawa, 1907. Nakład M. Arcta. Systematyczny kurs nauk. 8-o, str. 181.

Szlagowski Antoni, Ks.: Wstęp ogólny historyczno-krytyczny do Pisma Świętego (Introductio generalis in Scripturam Sacram), przez ... Tom I. Natchnienie. Kanon. Teksty pierwotne. Warszawa, 1907. Nakł. księg. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Dzieł Chrześcijańskich, zeszyt 80. 8-o, str. III + 64.

Teodorowicz Arcybiskup J.: Katolicyzm a cywilizacya. Warszawa, 1907. Wydawca Seweryn Saryusz Zaleski. 8-o, str. 68.

HISTORYA. NAUKI POMOCNICZE.

Boniecki Adam: Herbarz polski. Tom X. Zeszyt VIII. Warszawa, 1907. Od Kochanowscy do Kolbuszewscy. 4-o, str. 281—320.

Czerwińska A.: Od niewoli do wolności. Historya zjednoczenia Włoch. Napisała ... Warszawa, 1907. Skład głów. w „Księgarni Polskiej.“ 8-o, str. 42.

Frydrychowicz Romuald, Dr.: Geschichte der Cisterciensерabtei Pelplin und ihre Bau- und Kunstdenkmäler. Nach historischen Quellen bearb. v... Mit 109 Abbildungen u. zwei Kartenskizzen. Düsseldorf, 1907. 8-o, str. XXVI+638.

Kożmian Kajetan: Pamiętniki obejmujące wspomnienia od r. 1780 do r. 1815. Cz. III, IV, V. Warszawa, 1907. Bibl. Dzieł Wybor. № 496, 497 i 499. 8-o, str. 144.

Kraushar Aleksander: Miscellanea historyczne XXI. Pani Walewska i jej syn. Notatka historyczna. Warszawa, 1907. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 16.

Leszczyc Zbigniew: Herby szlachty polskiej. Z przedmową Wacława Gąsiorowskiego. Tom I, zesz. I.

Na ruiny. Na rzecz restauracyi pamiątkowej świątyni w Sandomierzu. Warszawa, 1907. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 178.

Niederle Lubor, Dr.: Starożytności słowiańskie. Tom I. Pochodzenie i początki Narodu Słowiańskiego. Zeszyt I. Przełożył z czeskiego i wydał Ksawery Chamiec. Warszawa, 1907. Skład głów. w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 236.

Osterloff Waldemar i Szuster Józef: Dzieje powszechne. Część II. Dzieje wieków średnich. Warszawa, 1907. Nakładem księg. Ludwika Fiszera. 8-o, str. 190.

Rakowski Kazimierz: Wewnętrzne Dzieje Polski (zarys rozwoju społecznego i ekonomicznego. Warszawa, 1908. E. Wende i Sp. 8-o, str. 472.

Rozenberg Maryan, Dr.: Początki górnictwa w Polsce za Bolesława Chrobrego. Wstęp do historyi polskiego prawa górniczego. Lwów, 1907. 8-o, str. 30.

Staszewski Dominik: Mława. Opis historyczny. Warszawa, 1907. Mława F. M. Wolski. 8-o, str. 85.

Wierzbowski Teodor: Raporty generalnych wizytatorów z lat 1774—1782. Wydał ... Z zapomogi kasy im. D-ra J. Mianowskiego. Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 94.

Wipper R., Prof.: Historya nowożytna w zarysie, z mapami historycznemi. Przełożył Michał Kreczmar. Część I i III. Warszawa, 1907. Nakładem „Biblioteki Naukowej.“ 8-o, str. 331.

GEOGRAFIA.

Album Ojcowa. 14 widoczków i 1 mapka. Kraków, 1907. Nakł. „Bazaru Ojcowskiego“ F. Sekuły.

Chmielewski Konrad: „Twoje ziemie... twoje wody...“ Szkice malownicze kraju. Warszawa, 1907. Biblioteka geograficzna, opisy malownicze i podróże. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o, str. 88.

Krynicki K.: Rys geografi Królestwa Polskiego. Skreślił... Wydanie trzecie poprawione i pomnożone, ozdobione 301 rycinami, 6 mapami i 5 planami z dodaniem Mapy Królestwa Polskiego. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 323.

HISTORYA LITERATURY.

Baumfeld Gustaw: Maksym Gorkij. (Śladami człowieczeństwa). Stanisławów, 1907. Nakł. księg. Staudachera i Sp. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 87.

Bieliński Józef: Królewski Uniwersytet Warszawski (1816 — 1831). Tom I. Warszawa, 1907. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 767.

Koniński Kazimierz: Romantyzm a Mickiewicz. Lwów, 1906. Nakł. druk. Narodowej. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 16.

Księga pamiątkowa zjazdu b. wychowańców b. Szkoły Głównej warszawskiej w 40-ą rocznicę jej założenia. Warszawa, 1907. Wydawn. Józefa Leskiego. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. LXXVII+162.

Radliński Ignacy: Na przełomie dziejowym. Początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. G. Centnerszwera i Sp. 8-o, str. 158.

Skarga Piotr: Kazania sejmowe. (Wybór). Ze wstępem i objaśnieniami Ign. Chrzanowskiego. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Wybór Pisarzów Polskich dla domu i szkoły № 6. 8-o, str. 89.

Święcicki Julian Adolf: Historya Literatury Powszechnej z ilustracyami. I. Literatura Babilońsko-Assyryjska i Egipska. Wydanie drugie. Nakładem autora. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 383.

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcyą Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Henryka Gallego, Gabryela Korbuta, Stanisława Krzemińskiego. Tom III. Wypisy № 274—462. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 526.

FILOLOGIA.

Arct Michał: Słownik wyrazów obcych. 22,000 wyrazów i wyrażeń, zwrotów i przysłów cudzoziemskich, używanych w mowie potocznej i w prasie peryodycznej polskiej. Wydanie piąte uzupełnione przez Zb. K. Warszawa, 1907. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 108.

Karłowicz Jan: Słownik gwar polskich. Tom V do druku przygotował J. Łoś. R. — T. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 462.

Królíński Kazimierz: Pisownia polska ze słowniczkiem podług gramatyki prof. Kryńskiego i uchwał Kom. Językowej Akademii Umiejętności tudzież Zjazdu Rejowskiego, zebrał... Wyd. 3. Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinhardta. Waszawa, skł. gł. E. Wende i Sp. 8-o, str. 55.

Słownik łacińsko-polski do użytku szkół średnich. Opracowali wspólnie Julian Dolnicki Aleks. Frączkiewicz, dr. Konstanty Łuczakowski, dr. Walenty Wróbel i Wł. Zagórski. Pod kierownictwem d-ra Bronisława Kruczkiewicza. Przedmowę napisał Emanuel Dworski. Kraków, 1907. Nakładem autorów. Skład. gł. w księg. G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 980.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Graetz L., dr: Elektryczność. Przełożył dr. Ludwik Bruner. Z 135 rysunkami. Warszawa, 1907. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 216.

Jentys Etienne: Sur les méthodes de dosage de l'acide phosphorique soluble dans les scories. Par... professeur à l'université. Cracovie. 1907. 8-o. str. 27.

Projekt słownictwa chemii organicznej. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. 4-o, str. 34.

Wais Kazimierz, ks. dr.: O rozwoju gatunków, referat wygłoszony na I kursie katechetycznym we Lwowie. Odbitka z „Gazety Kościelnej." Lwów. 1907. Skład główny w księg. A. Juszyńskiego w Przemyślu. 8-o, str. 30.

MEDYCYNA.

Domański Stanisław, dr: Choroby zakaźne. Lwów, 1907. Nakł. Macierzy Polskiej. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 150.

Goldfingerówna G.: O rozwoju worków limfatycznych w tylnych odnóżach żaby. Kraków, 1907. Osobne odbicie z T. XLVIII ser. B. Rozpraw Wydz. mat. przyrodn. Ak. Um. w Krakowie. Nakł. Akad. Um. 8-o, str. 16 i tabl. 1.

Komentarz do ósmego wydania farmakopei austryackiej. Tom I. Cz. ogólna. Część chemiczną opracował dr. Ignacy Lemberger. Część bakteryologiczną opracował dr. Stanisław Droba. Wydanie opatrzone 130 rycinami, 27 tabelkami, oraz 2 tablicami litograficznemi. T. II. Część szczegółowa. Tłómaczenie tekstu farmakopei wraz z objaśnieniami badań chemicznych i farmakognostycznych, napisał doc. dr. Ignacy Lemberger. Kraków, 1907. Nakł. gal. Tow. Farmac. „Unitas" w Krakowie, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. XVI + 407 i XVI + 813.

Majewski Kazimimierz Wincenty, dr: O operacyjnem leczeniu myopii. Podał... doc. pryw. okulistyki Uniw. Jag. Kraków, 1907. 8-o, str. 48.

Petrycki Stanisław: Komentarz do dzieła p. t. „O krzyczącej niedorzeczności i strasznej szkodliwości szczepienia ospy. Przyczynek do historyi kultury europejskiej," przez ks. Wincen. Piksę, spowiednika kościoła N. M. P. w Krakowie. Napisał i wydał... wysłużony nauczyciel i literat, zamieszkały na Skałce u przew. O.O. Paulinów. Kraków, 1907. 8-o, str. 24.

Skórczewski, dr. Zakład dyetetyczny dr. Skórczewskiego w Krynicy, założony w r. 1888, odnowiony w r. 1907. Willa „Witoldówka." Kraków, 1907. Nakł. własny. 8-o, str. 30.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Awdancz Mieczysław: Wizye. Opowieść sceniczna z dziejów wyzwolenia. Kraków, 1906. Nakładem autora. Skł. gł. w księg. Spółki Wydawniczej. 8-, str. 91.

Czajkowski Michał: Wernyhora. Wieszcz Ukraiński. Powieść historyczna z roku 1768. Przez... Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Dziennika Powszechnego." Skł. główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, t. I, str. 245, t. II, 211.

Gomulicki Wiktor: Ciury, powieść. Warszawa, 1907. Biblioteka Dzieł Wyborowych. № 494 i 495. 8-o, cz. II, str. 158, cz. III, 164.

— Schadzka. Poemat Staro-Warszawski. Warszawa, 1907. Nakł E. Wende. 4-o, str. 59.

Halicka Blanka: Nowele włoskie. Miłość Tytana. Król Enzio. Lwów, 1906. Nakł. W. Podwińskiego. E. Wende i Sp. 8-o, str. 152 i 1.

Jeleńska E.: Bociany. Pantofelki. Modlitwa Jadwigi. Bajka. Tryumfator. Przy lampie. Znak zapytania. Przed świtem. W dzień patrona. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 193.

Jerwicz: Baśń życia. Szkic powieściowy. Warszawa, 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 12.

Krasiński Zygmunt: Psalm miłości. Warszawa, 1907. Nakładem księgarni S. Bukowieckiego. Biblioteczka Narodowa № 21. 8-o, str. 14.

Marcinkowska Jadwiga: Piastowie. Dramat w 4 aktach. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 160.

Marjański B: Holofernes, powieść historyczna z czasów Biblijnych. Napisał... Płock, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, t. I, str. 208, t. II, str. 206.

Maryan Ksawery: Nasze niedole, powieść. Lwów, 1908. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinhardta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 247.

Orzeszkowa Eliza: Gedali. Opowiadanie. Wilno, 1907. Wydawnictwo Ludowe Zygmunta Nagrodzkiego. Skł. głów. w księg. Józefa Zawadzkiego. 8-o, str. 52.

Pismo zbiorowe wydane staraniem młodzieży akademickiej na rzecz szerzenia oświaty w Królestwie Polskiem. Lwów, 1907. 8-o, str. 16.

Pilecka Ida: Koń-Widmo. Opowieść z czasów Napoleona I. Warszawa, 1907. Księg. Jana Fiszera. 8-o, str. 157.

Przybylski Zygmunt: W porę. Komedya w jednym akcie. Warszawa, 1907. Teatr amatorski № 94. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 24.

— W zielonym gaiku. Komedya w jednym akcie, przez... Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Teatr amatorski № 95. 8-o, str. 23.

Reymont Władysław: Pewnego dnia. Warszawa, 1907. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 21. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 40.

— Sąd. Warszawa, 1907. Biblioteczka Uniwers. ludow. № 18. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 23.

— Tomek Baran. Warszawa, 1907. Bibl. Uniw. ludow. № 20. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 59.

— W porębie przy robocie. Warszawa, 1907. Bibliotecz. Uniw. ludowych. № 19. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

Rittner Tadeusz: W małym domku. Dramat w trzech aktach. Warszawa, 1907. Nakładem Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 161.

Rzewuski Henryk, hr: Tadeusz Rejtan (z pamiątek JPana Seweryna Soplicy). Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 24.

— Sawa. Pan Borowski. (Z pamiątek JPana Seweryna Soplicy). Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 51.

Salz Henryk: Kwiat bagna. Stypa. Szkic powieściowy. Wydanie drugie. Stanisławów, 1908. Nakł. księg. Albin Staudacher i Sp. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 235.

— Powrotna fala. Poezyi serya trzecia. Wyd. drugie. Stanisławów, 1908. Nakł. księg. Albin Staudacher i Sp. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 119.

Sclavus Wiesław: Finis Poloniae. Wydanie drugie uzupełnione. Lwów, 1908. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. VIII+317.

— Thalitha Kumi. Warszawa, 1907. Nakł. Kasy Przezorności i Pomocy Warszawskich Pomocników księgarskich. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 291.

Sienkiewicz Henryk: Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki). II. Warszawa, 1907. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 32. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 53.

NAUKI SPOŁECZNE. — PUBLICYSTYKA.

Bendlewicz Stanisław: Kobieta wobec zarobkowości i przemysłu (Z cyklu odczytów). Poznań, 1907. Księg. B. Chrzanowskiego. 16-o, str. 16.

Bendlewicz Stanisław: Z wycieczki wakacyjnej. (Z cyklu odczytów). Poznań, 1907. Księg. B. Chrzanowskiego. 16-o, str. 32.

Biederlack, ks. J. T., prof. uniwersytetu gregoryańskiego w Rzymie. Kwestya społeczna. Przyczynek do zrozumienia jej istoty i rozwiązania jej. Z siódmego wydania niemieckiego przełożył za zezwoleniem autora dr. T. Rzymski. Poznań, 1908. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. XIV + 335.

Bohuszewicz Józefat: Nowe poglądy na autonomię Królestwa Polskiego. Kilka uwag z powodu broszury J. Steckiego: „W sprawie autonomii Królestwa Polskiego.“ Lwów, 1907. Nakł. księgar. Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 16-o, str. 29.

Broszura, zawierająca 7 grzechów głównych w dzisiejszej Polsce, których każdy Polak wystrzegać się powinien, i — jak żyć. Wydana przez Edmunda Czarnomskiego. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 23.

Brzozowski Stanisław: Ich rewizyonizm. Warszawa, 1907. Wydaw. „Przeglądu społecznego.“ 8-o, str. 16.

Gostkowski A.: Nasz przyszły samorząd. Myśli, uwagi i projekty. Skreślił ... Warszawa, 1907. Wydawnictwo Tygodnika „Sztandar“ (dr. K. Rakowski). Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 115.

Kulczycki Ludwik: Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosyi. Warszawa, 1907. Wydawn. „Przegl. społecznego.“ 8-o, str. 81.

— Narodowa demokracya. Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Przeglądu społecznego.“ 8-o, str. 28.

Moszyński Jerzy: Bankructwo polityki narodowej demokracyi w drugiej Dumie. Kraków, 1907. Nakładem autora. Księgar. G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 139.

Grabski Władysław: Koło polskie w drugiej izbie państwowej rosyjskiej wobec potrzeb naszego ludu wiejskiego. Sprawozdanie ... Warszawa, 1907. Skł. gł. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 24.

Naudet, ks.: Nasz obowiązek społeczny. Kwestye praktyczne etyki indywidualnej i społecznej. VI. Z myśli społecznej. Warszawa, 1907. Księg. Nakładowa M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 259.

Niemirowicz Danczenko: Czujni, odważni i silni! Z dziejów ruchu wolnościowego. I. Promyczek. Warszawa, 1907. Wyd. „Dziennika Powszechnego.“ Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 106.

Smiles Samuel: Pomoc własna (Self Help). Dzieło liczące kilkadziesiąt wydań o paru milionach egzemplarzy w języku angielskim, przełożone na wszystkie języki europejskie. Wyd. nowe pomnożone. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. III + 463 + VII.

Suligowski Adolf: Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie. Napisał ... Warszawa, 1903. Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 100.

Zalewski K.: Kwestya rolna w programach partyj rosyjskich, a ruch wolnościowy w Rosyi. Wydawn. „Przeglądu społecznego.“ Warszawa, 1907. 8-o, str. 21.

Zdziarski Stanisław, dr.: Bez nadziei jutra... Dwa miesiące obrad Dumy państwowej. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 29.

— Dżingis-Chan zmartwychwstały. Kraków, 1906. 8-o, str. 16.

PEDAGOGIA — SZKOLNICTWO. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Baranowski Mieczysław: Pedagogika do użytku seminaryów nauczycielskich i nauczycieli szkół ludowych. Wyd. szóste. Kraków, 1907. Nakł. księg. D. E. Friedleina. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 144.

Gadowski W., ks.: Zarys historyi kościoła katolickiego dla szkół średnich i seminaryów nauczycielskich. Opracował ... Wyd. drugie powiększone. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 275.

Galle Henryk: Czytanki Polskie dla uniwersytetów ludowych. Ułożył ... I. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka Uniwersyt. Ludowych № 16. Warszawa, 1907. 8-o, str. 180.

German L. i Petelenz K.: Ćwiczenia niemieckie dla klasy trzeciej szkół średnich. Wyd. czwarte, zastosowane do nowego planu nauki ze słownikiem. Lwów, 1907. Nakł. K. S. Jakubowskiego. 8-o, str. 106 i 104.

Grochowski K.: Zbiór zadań arytmetycznych. Ułożył ... Część I. Pierwszy rok nauczania. Warszawa, 1907. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 118.

Klonowski Apolinary: Zadania algebraiczne. Ułożył ... Część III. Warszawa, 1907. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 81.

Kozak Jan dr.: Zarys historyi systemu peryodycznego pierwiastków chemicznych. Rozbiór wód studziennych m. Krosna. Krosno, 1907. 8-o, str. 34.

Łojko Marta i Osterloff W.: Podręcznik do nauki języka niemieckiego. Część druga. Trzeci i czwarty rok nauki. Warszawa, 1907. Systematyczny Kurs Nauk. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o, str. 320.

Močnik: Rozwiązania zadań geometrycznych Močnika. Podręcznik pomocniczy dla wyższych klas szkół średnich. Opracował J. Schulmann. Przejrzał Szymon Blader. Część II. Stereometrya (zeszyt 3). Stanisławów, 1907. Księg. A. Sudermana. 16-o, str. 65—96.

Moszczeńska Iza: Do światła. Rzecz o znaczeniu „Uniwertytetów Powszechnych.“ Napisał ... Warszawa, 1907. Nakł. „Uniwersytetu dla Wszystkich.“ 8-o, str. 29.

Muklanowicz Józef: Powstanie i stopniowy rozwój ogrodów im. W. E. Rau'a w Warszawie. Szkic historyczny. Skreślił Członek Komitetu ... Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 47.

Nałkowska Anna: Geografia szkolna (Elementarna). Według Kirchoffa, Langebecka, Nałkowskiego, Pehdego, Richtera, Schradera, Supana i innych. Napisała ... Część III. Europa. Warszawa, 1907. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 194,

Nałkowski Wacław: Geografia szkolna (Rozumowa). Część I. Geografia ogólna (Astronomiczna, Fizyczna, Antropologiczna). Wydanie drugie. Warszawa, 1907. Wydawnictwo księgarni Teodora Paprockiego i Sp. 8-o, str. 133 + VII.

Osterloff Natalia: Podręcznik do nauki języka francuskiego. Przez... Wydanie II. Warszawa, 1908. Nakład. księg. M. Borkowskiego. 8-o, str. 166.

Pawłowski Antoni: Nauka rachunków przemysłowych. Podręcznik do użytku w szkołach przemysłowych uzupełniających. T. I. dla klasy przygotowawczej. Lwów, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 52.

— T. II. dla klasy pierwszej. Lwów, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 78.

— T. III. dla klasy drugiej. Lwów, 1906. Nakł. autor. 8-o, str. 59.

Piotrowski Stanisław: Nauka zręczności, jako środek wychowawczy. Napisał ... frekwentant kursów nauki zręczności w Dreźnie i we Wiedniu, nauczyciel rysunków w szkole wydz. przemysłowej w c. k. gimnazyum i seminaryum żeńskiem w Rzeszowie. Wyd. 2 poprawione. Kraków, 1907. Nakł. Przyjaciół nauki zręczności. 8-o, str. 16.

Pióro Jan: Geometrya elementarna. Podług B. Herchera, Z. Wulicha, G. Jurewicza i innych. Opracował ... Przejrzał i przedmową opatrzył Romuald Cieślewski. Z 183 rysunkami. Część I. Planimetrya. Warszawa 1908. Nakł. i własność Tow. „Wydawnictwo Podr. Szkol.“ 8-o, str. 144.

Plany szczegółowe dla szkół ludowych, fundacyi bar. Hirscha, w Galicyi. Tarnów, 1907. Nakł. Kuratoryi fund. bar. Hirscha. 8-o, str. 74 + II.

Remsen Iza: Wykład Chemii. Z 68 rysunkami, tablicą widmową i 197 doświadczeniami. Z siódmego wydania angielskiego przełożyli A. Grabowski i W. Hunnicki. Warszawa, 1907. Nakład M. Arcta. 8-o, str. 464.

Rosenfeld J.: Zbiór zadań algebraicznych. Część II (Kurs klas wyższych). Warszawa, 1907. Skł. głów. w Księgarni Powszechnej. 8-o, str. 207.

Rostafiński J.: Botanika na klasy niższe. Z atlasem XVI tablic barwnych i 190 rycinami w tekście. Wyd. szóste z nowemi rycinami. Kraków i Warszawa, 1907. Nakład autora. 8-o, str. 156.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

ŁUNA.

XII.

Po wyjściu panny Malinowskiej pomruk niezadowolenia przebiegł śród zebranych. Tłum wstydził się teraz swego posłuszeństwa, swojej pokory i bierności, tłum gniewny był... protestowano. Znalazło się kilku naraz mówców, którzy rozprawiali krzykliwie, zapanowała wrzawa... po niewczasie wszyscy gorliwie brali w obronę wydalonych a pomstowali na Śniałowskiego. Nazywano go zakonnikiem, żandarmem, inkwizytorem, wydrwiwano świętoszkostwo, oburzano się na plotkarsko-szpiegowskie zajmowanie się prywatnym życiem, na „despotyzm jednostki...“ Dyabeł wrzeszczał najgłośniej, Orkiszowa piskliwie gadała o prawach kobiety i wolnej miłości, mecenas Różycki występował w roli gospodarza, którego przywilejów nie uszanowano w jego własnym domu. Zabierali głos i inni. W zapale szermierczym podniesiono pannę Malinowską do godności męczennicy i bohaterki.

— Znamy ją wszyscy — wołał ktoś — widzieliśmy ją przez szeregi lat przy pracy. Nieszczęsna ofiara ustroju, pokrzywdzona, walczyła z nami o lepszą przyszłość dla swoich sióstr... Mamyż w imię przesądów rzucać w nią kamieniem...

Śniałowski siedział w cieniu roślin i obojętnie puszczał mimo uszu zaczepki i szyderstwa. Przywykł do nich, a ludzi, którzy czynili tę wrzawę, znał dokładnie. Wiedział, co każdy z nich powie, wiedział, że mówić będą długo, do nocy, że niewyczerpany jest zapas słów, frazesów, gadulstwa, że ducha nie mają... Pogardzał nimi i nienawidził ich w tej chwili za to, że nie byli takimi, jakimi on widział ich z oddalenia... Płomienne serce jego,

nieustannie łudzące się, mściło się nienawiścią za każdy zawód, za wieczny ból swój... Niósł im miłość, a że nie chcieli jej brać, że nie byli godni, deptał, a potem żałował, bił się w piersi i znowu marzył w samotni i wracał, żeby raz jeszcze sprobować...

Gładząc jakiś liść palmy, bawiąc się, pieszcząc roślinę, zastanawiał się, czy nie lepiej odejść... W pewnej chwili dźwignął się z krzesła i podniósł rękę do góry. Tamci uciszyli się natychmiast.

— Oburzacie się—zaczął cicho, jak gdyby w znużeniu—więc dobrze... ustąpię... bo ja nie narzucam się... wy sobie po dawnemu w takim dniu... ja usuwam się...

Tymczasem nie myślał odchodzić. Stał nieruchomo, wpatrzony kędyś płonącemi oczami. Drgała mu blada twarz i groźnie burzyło się czoło, prostował i zaciskał kurczowo palce i były to niby szpony drapieżnego ptaka.

— Tam wre i czekają nas rzesze—huknął naraz, wskazując okna, a wszystkie spojrzenia pobiegły w tym kierunku—oni czekają, oni gotowi są i wzywają... A wy? Wy zostaniecie tu z protokółem tego posiedzenia, z projektem delegacyi, z odezwą, z tanim chlebem i tanim frazesem, z mdłą obietnicą, ze szmatą papieru... Dobrze, możecie... Wybiła godzina, że czynem trzeba zbawić ten lud i spełnić to, co my mu przyrzekli...

Spoglądał swoim strasznym, trującym wzrokiem i słuchaczy ogarnął dreszcz. Stawali się znowu pokorni... Wydawał się wodzem, przemawiał, jak ten, który ma moc, który w ręku trzyma władzę, który jednem skinieniem powołać tu może przed nich nieprzeliczone tłumy...

— Nie pomogą odezwy — wołał Śniałowski — łudziliście ich zbyt długo... Wybiła godzina czynu, lud przejrzał i da sobie rady sam... Zbrzydły mu wasza paplanina, wasze opiekuństwo... Lud bohaterski wystąpił do boju... chodźmy... za mną, do dzieła!

Zdawało się, że pójdzie i pociągnie za sobą wszystkich. Tłum poruszył się... Ale on stał w miejscu i tylko spojrzeniem, niby gromem, przemknął po nich.

— Wolicie zostać i bazgrać dalej protokóły, głosować, odbywać posiedzenia, gadać bez końca... Panie przewodniczący! — zwrócił się do Ryszarda—proszę przywołać mnie do porządku, bo przekroczyłem... Ustawa nie przewiduje, w programie niema wzmianki o bohaterstwie... wniosek towarzysza Śniałowskiego należy poddać wszechstronnej dyskusyi... Znam wasze wykręty... A gdy będziecie toczyć tę wszechstronną dyskusyę, zapali się gmach i sklepienie runie na wasze głowy... Macie tu do wyboru...

— Odzywam się do czystych, do tych, co nieskalane mają ręce... Czy są tacy śród nas?—zapytuję... Uderzmy się w piersi, wyznajmy winy nasze, odmieńmy się—głos jego z nadmiaru uczucia stał się płaczliwym, coś, jakby szlochanie, rwało mu się z piersi—grzeszyliśmy... Każda godzina naszego życia była kłamstwem, każdy czyn — odstępstwem... Służyliśmy tylko w słowach... Pisaliśmy o zburzeniu ustroju, a w rzeczywistości podtrzymywaliśmy go ze wszystkich sił, bo było nam wygodnie i wesoło, bośmy ugrzęzli w rozpuście... Ucztowaliśmy smakowicie, mieszkaliśmy w licznych, ciepłych, pięknych pokojach, śród dywanów, luster, obrazów — wytykał palcem sprzęty, zbytkowne urządzenie tego salonu — zażywaliśmy snu i rozkoszy, gdy oni byli głodni, gdy oni ginęli w wilgoci, w chłodzie, w stęchłym zaduchu piwnic, gdy ich przygniatał ciężar pracy nad siły... Całe pokolenia pomarły przedwcześnie... Człowiek stracił obraz i podobieństwo ludzkie... zdziczały niewolnik, zgięty przy maszynie... Z czyjej to winy? Kłamaliśmy, oszukiwaliśmy... I na naszych rękach jest krew ludu...

Rozległ się szmer oburzenia. Śniałowski nie zważał na to i mówił dalej, wpadając coraz bardziej w ton i usposobienie kaznodziei. Bywało tak z nim zwykle. Zaczynał świetnie, porywał, zdobywał władzę nad tłumem, a pod koniec przemówienia moralizował, gromił, nawracał, nawoływał do pokuty i poprawy niby z ambony kościelnej. I czynił się dokoła niego chłód. Słuchacze odsuwali się z lekceważącem szyderstwem, wzruszali ramionami, odpowiadali mu pogardą jednego zabójczego wyrazu: mnich. Płomienne słowa padały niby iskry na taflę lodu jeziora, gasły... By obezwładnić niebezpiecznego przeciwnika, narzucano na niego habit zakonny, jak kaftan waryacki, a w tem przebraniu prawda nie mogła dotrzeć do dusz...

— Powtarzałem wam zawsze—kończył Śniałowski—zaklinałem was, wzywałem... Słyszałem śmiech i drwiny... Odsyłaliście mnie do kościoła... Dziś nie jest pora na żarty... Obejdziemy się bez was... Wrócę do rzesz, które czekają tam i powiem im, że wy na papierze, papierowi rycerze i dobroczyńcy, że wy — próchno... Wymyśliliście przecudny frazes o ewolucyi, o pokojowym postępie... Mecenas Różycki dokonał tego odkrycia i jemu należy się cześć... Niech żyje pokojowy postęp, panie mecenasie! Jęk cierpienia rozdziera niebiosa, tysiące zmierają... ale nic to... my sobie z dnia na dzień!... A ja wam mówię, że dziś jest koniec i sąd, że kamień na kamieniu nie zostanie w tem mieście, że pożera was trąd, że rozpusta...

Ktoś zaśmiał się i Śniałowski urwał. Zapadła cisza. Szyderczym wzrokiem spoglądano na apostoła, którego proroctwa pobudzały do wesołości, którego kazanie zakrawało na farsę. Sumienia, zaniepokojone na chwilę, znalazły obronę w lekceważeniu i ironii; miażdżący pocisk prawdy nie dosięgnął celu i zawisł w próżni; górny ptak przecudnego uniesienia padł martwy i poniewierał się, oddany na łup drwiącemu tłumowi...

— Skończyliście kolego? — obojętnie spytał Ryszard i spojrzeniem szukał Śniałowskiego, który skrył się w swoim ciemnym kącie.

Nie było odpowiedzi.

— W takim razie... chyba — nudnie cedził przewodniczący, czekając żeby go ktoś wyręczył w przykrej ceremonii pogrzebania Śniałowskiego, z którym mimo wszystko liczył się, o którego dbał, którego wolał nie rozdrażniać.

— Ja proszę o głos! — skoczył mecenas Różycki.

I rozpoczął napaść.

— Wysłuchaliśmy, towarzysze, tak niezwykłej mowy, że ogarnia mnie nieśmiałość... Jakże ja, prosty śmiertelnik, mam mierzyć się z prorokiem, ja grzesznik z mężem świątobliwym! Wiem, że nie podołam, ale odpowiedzieć muszę na zaczepkę — zjadliwie kąsał adwokat.

— Przemilczę o tem, że radziby zamknąć nas w monasterze, że narzucają nam jakoweś bractwo religijne, że mamy uczynić spowiedź, ślubować czystość, zachowywać posty...

Zebrani wynagrodzili tani dowcip homerycznym śmiechem.

— Ale zarzucono nam, że krwawe od krwi ludu są nasze ręce, a tego ani ja, ani żaden z was nie może puścić płazem... Słyszeliście! że my kłamcy i oszuści, że my papierowi... Znalazł się śmiałek, który cisnął nam w oczy obelgę, który znieważa partyę, znieważa pamięć poległych braci naszych, cmentarze i śnieżne równiny Sybiru... Kto od stu lat bojował o wolność, kto w podziemiach, w piwnicach, w lochach, śród turkotu maszyn...

— Wy?! — przerwał Śniałowski.

— Proszę nie przeszkadzać! — zaperzył się mecenas — teraz moja kolej.

Ale zawikłał mu się wątek, więc znowu mówił o lodach Sybiru i kazamatach, o stuletniej pracy i męczeństwie, o przelanej krwi... Słuchano chętnie uświęconych tradycyą, wytartych, jak broszury, z których były zaczerpnięte, frazesów.

— Kimże jest ów oskarżyciel — namiętnie krzyczał Różycki — i jakiem ma być to dzieło zbawienia, do którego wzywa nas...

Wybuchem szaleństwa, ostatnią stawką gracza, który niema już nic do stracenia... My nie pozwolimy, ażeby dla czyichś urojeń lała się święta krew ludu... a pokojowy postęp, wyszydzony przed chwilą, dokona więcej niż fanatyzm obłąkańców... Ludu, strzeż się fałszywych wodzów... — wołał mecenas, jak gdyby w tym wykwintnym salonie audytoryum składało się z rzesz pracujących.

— I w dniu tryumfu, w dniu największego zwycięstwa, gdy cała Europa przygląda się nam z podziwem, odezwał się ten głos puszczyka, głos kraczący... Świat stanął w swoim biegu, cisza śmierci zawisła nad ziemią, poznaliśmy potęgę swoją, my twórcy życia... Cierpliwy niewolnik stał się panem i dyktuje wolę swoją... I właśnie w takim dniu — z sykiem padały namiętne słowa adwokata.

Rzyźniewski od kilku dni nasłuchał się ich dosyć, takich samych i podobnych, i zebranie, na początku niezwykłe, zaczynało go nudzić. Dla zabicia czasu przyglądał się pięknej żonie Różyckiego, która stała przez cały ciąg posiedzenia oparta o ścianę. Miała spojrzenie zamyślone i smutne. Na tle ciemno-zielonej portyery prześlicznie rysowała się jej cudna głowa. Śród pokłóconych, śród hałasujących, była spokojem, była zadumą, była tęsknotą... I chciałoby się zbliżyć do niej i pochyliwszy się, zapytać cicho: o czem ty, za czem ty? kędy przebywasz? Ku rzeczom dalekim, ku rzeczom wiekuiście smutnym patrzały te oczy przedziwnie łagodne i bezbronne śród dużej, energicznej o męskich rysach twarzy, a myśl uciekała stąd, od gadatliwych ludzi, od tego zebrania na jakieś wysokie szlaki, do jakiegoś ustronia... Miała swój własny świat, wydawała się zabłąkaną tutaj i odbijała od otoczenia, jak z pomiędzy fotografij wyróżnia się portret, który pociąga wzrok tajemnicą zawartej w nim duszy...

Rzyźniewski znał Różyckiego oddawna, ale żonę jego, o którą adwokat był nieustannie i niespokojnie zazdrośny, widział po raz pierwszy i wprawnem spojrzeniem powieściopisarza przeniknął tę postać zajmującą, niezwykłą i zagadkową o tyle, że domyślił się w niej duszy szukającej, nienasycenie głodnej, trawionej płomieniem niezaspokojonych porywów. Przypomniały mu się gawędy ludzkie o nieszczęśliwem pożyciu, o niedobranej parze, uśmiechnęła się szatańsko uwodzicielowi pokusa.

— Typ zadumany, może mistyczny... pieści się nieszczęściem i swoją tęskniącą duszą — badał, przyglądając się natrętnie — gorycz zapoznania... a zarazem dziwny kontrast... obok tego wszystkiego energia, niepodległość, wybuchowość, odwaga... nie trudno odgadnąć, że ona nie żywi zachwytu dla krzykliwego mężula...

Wyobraźnia autora wysnuła marzenie o szczęściu, które dać mogą te silne ramiona, gdy zechcą tulić, te dłonie, gdy staną się gorące, te cudne kształty niewiasty rycerkiej, te usta namiętne, złaknione, z pozoru surowe; upojona wyobraźnia układała podstępne projekty... Rzyźniewski ujrzał przed sobą na drodze życia, chwilami nudnej, często jednostajnej, cel, który wykwitł niespodzianie, jak kwiat na piaszczystym gościńcu, i napełniła go ochocza, podniecająca radość, znana mu dobrze z epok podbojów. Wielkie hasła polityczne, z któremi od paru dni włóczył się po mieście, z któremi przyszedł tu, w które, zdawało mu się, wkładał serce i zapał, ustąpiły na plan dalszy, zasłonięte rozkosznem widzeniem, i nie słuchając długich mów, które szły po sobie, dawał folgę spragnionym, zakochanym oczom. Chciał wymódz na niej choć jedno spojrzenie, postanowił zacząć jeszcze dziś, w tem miejscu... Odzywał się do niej nieustannie z dna duszy, kołatał wzrokiem, jak ten, który pewny jest, że mu otworzą... Zresztą on miał kluczów co niemiara i wytrychy wyborne.

Rzyźniewski zapisał się do głosu... Gdy przyszła kolej jego, wystąpił na środek pokoju i zwracając się do niej wyłącznie, powiedział płomienną mowę. Nie zdawał sobie sprawy z treści, czuł tylko, że błyskotliwą falą płyną mu ogniste, szczytne, najpiękniejsze słowa, że zachęca do czynu, że ukazuje jej i im wszystkim, którzy zresztą byli mu niepotrzebni, rzeczy wysokie, natchnione obrazy, gorejący na wierzchołkach bohaterstwa ideał... Opowiadał o poświęceniu, o niezmiernej miłości, która odradza, o świętem braterstwie, o górnym polocie wybranych dusz, mówił o blaskach zorzy, która już jaśnieje nad światem, o radości odkupionych, o szczęściu jutra, o wyzwoleniu i wolnej pieśni życia... Mówił do niej i dla niej, a skoro podniosła na niego przecudne, zagłębione mimo wszystko w swojem dumaniu oczy, zamilkł nagle... Badała go przez mgnienie spokojnem wejrzeniem, potem zapomniała... Nie brała udziału w szumnej owacyi, którą powieściopisarzowi urządzili zgromadzeni...

Zebranie miało się ku końcowi. Ryszard zamknął wynik jego prac w krótkiem streszczeniu, w czterech punktach, które wskazywały najbliższe zadania partyi, z których jeden potępiał wniosek towarzysza Śniałowskiego, jako „pozbawiony realnego znaczenia i nieodpowiadający istotnym wymaganiom chwili.“ Potem zbierano składki i zaśpiewano „Sztandar,“ przerwany nagłem zjawieniem się zdyszanego pana... Ten goniec przyniósł dwie najświeższe a sprzeczne wiadomości... Posypały się gorączkowe py-

tania... I naraz zdało się wszystkim, że gdzieś daleko huknął strzał... Nastała chwila ciszy. Pomimowoli spojrzenia pobiegły ku ciemnym oknom... Czarna i milcząca noc była nad miastem...

— Proszę panów — wzburzonym głosem zaczął mecenas Różycki — wobec tego, że wieści są prawdopodobne, że za godzinę być może odezwą się armaty, należy przygotować się... Moje zdanie wyda się zapewne niejednemu z was... przedwczesnem... ale przewiduję ewentualność najgorszą...

Miodopłynnemu adwokatowi brakowało w tym wypadku odpowiednich wyrazów.

— Czyniliśmy, co było w naszych siłach, trwaliśmy, a gdyby nawet spadła klęska, to eksperyment strajku powszechnego — plątał się dalej, nie chcąc, czy nie mogąc krótko wypowiedzieć swojej myśli. Słuchano go z posępną uwagą. Przewodniczący wbił wzrok w ziemię. Przed godziną, w tym samym salonie z doskonałym spokojem, z pewnością siebie, jak człowiek, mający władzę, wyłuszczał projekty, wykazywał logiczny związek wypadków, wykładał teoryę biernej rewolucyi, teraz rad był, że inni mówią za niego. I tylko od czasu do czasu wyjmował zegarek, przykładał do ucha, skrupulatnie obliczał minuty. W jakiejś chwili zbliżył się do Śniałowskiego i naradzał się z nim.

— Znam piękny frazes o złożeniu życia w ofierze... panowie, umrzeć będzie zawsze czas, a sprawy narażać nie wolno — przezornie przygotowywał sobie odwrót mecenas.

— Tfu... — fuknął tak zwany Dyabeł — co tu gadać... Zwyciężymy... więc niema co... bo my zwyciężymy... nie wierzcie tchórzom, którzy przynoszą plotki... Sami mają „pietra“ i straszą innych...

Klemens Pius Drzazga zaczął także wrzeszczeć o niezawodnem zwycięstwie, wtórowali mu inni, Orkisz wskoczył na krzesło i potrząsając pięścią, groził komuś, uczyniła się wrzawa... W zapale, który nagle ogarnął wszystkich, wzniesiono okrzyk na cześć republiki... I znowu polały się mowy...

Śniałowski opuścił zebranie. Z przedpokoju wrócił wszakże i zbliżywszy się do Rzyźniewskiego, rzekł głosem rozkazującym:

— Chodźmy!

Powieściopisarz zawahał się. Popatrzał Śniałowskiemu w twarz, zwrócił się w stronę Ryszarda, może, by zasięgnąć rady, ale spostrzegł, że ona przerwała zamyślenie, przygląda się im i może zachęca — i usłuchał rozkazu. Poszedł zaciekawiony, a poniekąd rad z zaszczytu, który spotkał go niespodzianie.

Szybko podążyli ulicą. Śniałowski nie odzywał się. Chłodny wiatr hulał w pustce i ciemnościach. Brzęczały szyldy, trącane skrzydłem nawałnicy. Za oknami domów błyszczały gdzieniegdzie słabe światełka, wszystkie bramy były zamknięte na głucho, nigdzie przechodnia... Cisza wydawała się straszną, nasuwało się porównanie do cmentarza, do nieskończonych alei cmentarnych, które biegną pomiędzy pomnikami. Kamienice były niby ogromne grobowce w tym mieście umarłych...

— Poznajecie ulice? — spytał naraz Śniałowski. Inaczej tu dziś wygląda... o tej godzinie facetki, oślepiające blaskiem szyby magazynów, weseli panowie na gumach... Jakoś ani śladu! — zaśmiał się z cicha, dziwnie...

Rzyźniewski przypomniał sobie, że tu przed rokiem mieszkała Hanka, że nieraz przechadzał się przed tym domem, oczekując na jej powrót, że pewnej nocy szpiegował, że przekupiony stróż uśmiechał się chytrze, że pokój pełen był kwiatów i szczęścia, że stąd odjeżdżali... Dziś myślał o niej z odrazą, ze złością. Ocet, w który zamieniła się miłość, miał męty, fusy, obrzydliwy osad... I trapiło autora przeczucie, że sprawa z Hanką nie jest ostatecznie załatwioną, że Hanka, że ten cień nieśmiały, wątły i cichy zacięży mu w życiu, stanie się jego utrapieniem. Widział jej chude, bezsilne ramiona, wyciągnięte za nim, jej oczy olbrzymie, patrzące z przepaści niedoli, kamienną boleść oblicza, pamiętał ową rozmowę z matką, brzydkie uczucie, którego doświadczył — i myśli jego zawarły się w pragnieniu, ażeby... ta Hanka znikła... zeszła ze sceny, żeby jakiś Deus ex machina sprzątnął ją z drogi Rzyźniewskiego... Sam przepowiedział był jej niegdyś z ręki, w dniach, gdy ta droga ręka drżała w jego dłoni, tragiczny koniec... Nie wierzył w chyromancyę, ale rozumując, „zważywszy rozsądnie," dobrnął do cynicznego wniosku, iż samobójstwo jest jedynem wyjściem, najlepszą dla niej możliwością, najbardziej logicznem rozwiązaniem fatalnego splotu, nieuniknionym epilogiem... Czyżby ona jedna miała zamącić mu pogodę? Dotychczas wszystkie kobiety nie przestawały go wielbić i wielbiąc, darowywały mu nawet niewierność, a on kochał, dopóki chciał, i odchodził nucąc i dalej szukał duszy, „przeznaczonej mu przed początkiem..." Znalazł ją dziś przed godziną w przecudnej niewieście o rycerskich kształtach, z oczami, w których dumała tęsknica, w których mieszkało oczekiwanie, i rozpoczynał się w życiu okres najsłodszy, okres obcowania z nadzieją, z marzeniem, z pragnieniem... Serce zajaśniało radością... Powieściopisarz szedł żwawo za Śniałowskim. W pewnej chwili przerznęli w poprzek jedną

z głównych arteryj miasta oświetloną o tyle, o ile otarli się o tłumy, posępne i milczące, które wolno sunęły chodnikiem, przemknęli obok oddziału żołnierzy, który pilnował jakiegoś gmachu, i znowu zanurzyli się w mroku i pustce wyludnionych ulic. Od czasu do czasu jakiś dźwięk, jakiś odgłos przerywał na mgnienie ciszę i przeważał, uwydatniając grozę milczenia, które następowało potem... Tupot przejeżdżającej w pobliżu konnicy odbił się od murów złowrogiem echem... Ktoś długo i niecierpliwie kołatał do jakiejś bramy... Stara kobieta z latarnią, która rzucała migotliwe koła, szła po bruku i klęła... gromada Żydów pierzchła na ich widok... ktoś krzyknął... odpowiedział mu płacz kobiety...

Wesoła stolica zamarła w śmiertelnej trwodze, w straszliwem oczekiwaniu, ażeby spełniło się przeznaczenie... Jakiś pan z tłomokiem zatrzymał ich gorączkowem pytaniem, czy prawdą jest, że miasto ma być bombardowanem, zakaszlał się, a potem zamierzał zawiązać z nimi poufałą rozmowę polityczną...

Oddalali się coraz bardziej od centrum i Rzyźniewski nie oryentował się zupełnie w tej ubogiej, zapewne robotniczej dzielnicy. Przypomnieli mu się nożowcy i trapił go strach filistra, zabłąkanego na przedmieściu, który naczytał się w gazetach o facetach z „majchrami.“ Najuprzejmiej schodził przechodniom z drogi, nie zaglądał im w twarze, spuszczał oczy i bezwiednie tęsknił za zacnym stójkowym, który cierpliwie tkwi na rogu ulic, który czuwa, który strzeże bezpieczeństwa publicznego... Nie było go nigdzie, zato ulice i zaułki żyły...

Snuły się gromady ludzi, zapewne podochoconych, którzy ciągnęli z sobą kobiety... Kobiety śmiały się, śpiewały, piszczały; ukazywały się plutony wyrostków, uszykowanych niby do wyprawy wojennej; na podwórzach odbywały się ponure narady; gdzieindziej przygodny mówca wrzeszczał z przygodnego wzniesienia do podnieconej ciżby; czasami szybko, jak jaskółki, przemykali się cykliści; z jakiegoś otwartego okna płynęły dźwięki skrzypiec i rozsiewały w tej dziwnej godzinie, pod ciemnym niebem jesiennej nocy, wiejską, niedzielną, letnią wesołość, która udzielała się przechodniom;... ni stąd ni z owąd czuła para rozpoczynała na ulicy ochoczy taniec;... tam kilku drabów ciągnęło ciężki wóz, naładowany skrzyniami i słychać było brzęk butelek; tu między dwu rywalami, którzy z dwu stron niby do ołtarza prowadzili dziewkę, wybuchała sprzeczka, potem bójka;... zbierał się tłum gapiów, brzmiały oklaski, potem z czyichś piersi wyrywał się kuplet sprośnej, zaimprowizowanej na prędce piosnki — i szalony śmiech widzów kładł kres walce;... dalej na chodniku

pode drzwiami i na bruku siedziały, rzekłbyś, w niezmiernem znużeniu po długiej wędrówce, szeregiem kobiety... wszystkie milczały złowrogo i nikt ich nie zaczepiał;... tam tłoczono się pod parkanem z wielu nalepionemi odezwami, które odczytywano przy świetle jakiejś ocalałej latarni... płakały i kwiliły gdzieś dzieci... obijały się o uszy strofy „Sztandaru,“ nuconego półgłosem, apatycznie, z przyzwyczajenia...

Niedaleko był ogród. Śniałowski zatrzymał się, spojrzał na zegarek, potem przesadził niewysoki parkan. Brnąc po błocie, szukali ławki. Usiedli obaj. Ogromny wiatr hulał tu i wołał, jak gdyby gdzieś w polu, za wsią, na wiejskim cmentarzu.. Z ulic miasta, niezbyt dalekich, nie dochodził żaden odgłos. Powieściopisarz doznał uczucia, które ogarnia człowieka w nocy na bezludnej drodze, gdy dom jest daleko, uczucia osamotnienia, sierocтwa i zbłąkania. Ze wszystkich stron przerażone liście, niby drżące usta bojaźliwych istot, ostrzegały przed czemś złowrogiem, przed czemś nieznanem a strasznem.. Szumiały drzewa... Bliskie niebios, nieustraszone wierzchołki borykały się z nawałnicą, z konarów spływał beznadziejny jęk, najciszej szeleściały liście... ten szelest był suchy, syczący, złowieszczy, napełniał duszę obawą... Nizkie krzewy trzęsły się, przypadały do ziemi, dygotały, szemrząc, wzdychając, trwożąc... Najdzielniejsza odwaga mogła się złamać...

Rzyźniewskiego chwycił niewytłómaczony lęk. Przyszło mu na myśl, iż ta wyprawa niekoniecznie jest bezpieczną. Postanowił rozpytać, dowiedzieć się, wycofać się, jeśli to będzie potrzebnem...

— Prześliczne było to posiedzenie!—odezwał się Śniałowski. Ja nie lubię skandalów, ale nie mogłem... I wyobrażają sobie te gaduły, że pokierują, że zapanują nad ruchem, że oni go wywołali, siedząc nad stołem obrad, wydając odezwy i świstki gazeciarskie... Widzieliście na ulicy matki, które usiadły na bruku, żeby umrzeć, matki, które nie mają co dać dzieciom, widzieliście twarze wyniszczone, posępne oczy człowieka, który cierpi głód...

— My nie uczyniliśmy tego, my przewódcy, kierownicy — mówił dalej szybko, urywanemi zdaniami, nie kończąc myśli — my uświadomieni... Bo co to jest uświadomienie?... Kilka ogólników, zapisanych w pamięci!... to niedola sama zawołała o pomstę do mnie, do was, do nas wszystkich. Jedni usłyszeli ten głos, a kto usłyszał, ten już do śmierci nie zapomni... Stulecia są niby rozdziały księgi bohaterstwa...

Nastało milczenie. Rzyźniewskiemu ugrzęzły w gardle pytania.

— Nie znam was — zwrócił się do niego bezpośrednio Śniałowski—i sądzę o was po tem przemówieniu, które zabrzmiało mi, jak krzyk... mieszka w was żywa dusza... tacy są potrzebni...

Ognistemi oczami rył swoją wolę na twarzy Rzyźniewskiego.

— Jesteście pisarzem?—spytał po chwili.

— Tak.

— Tworzyć piękno w tych czasach, to samo, co pląsać na pokładzie tonącej łodzi... odłóżcie na potem... przyjdzie i na to pora, jeśli przyjdzie... Sami uznajecie, o ile pamiętam z waszych słów...

Autor nie zaprzeczył.

— Byli ludzie i był duch, a my takie karły!...

Śniałowski urwał swoim zwyczajem, nie wyłuszczywszy myśli. Rozpiął palto, zdjął swój marny dziwnego kształtu kapelusz, chłodził na wichrze gorejącą głowę. Wsłuchiwał się w potężne szumy — bojaźni nizinnej, przerażenia liści nie słyszał. Przypomniała mu się wieś i daleka biała oficyna i kamień na skraju parku, gdzie siadywali we dwoje.

— Wierzę w zwycięstwo—rzekł cicho—bo złe przebrało miarę. Strumienie występują z brzegów... Czy ono stanie się jutro, jak mówiliście tam, na posiedzeniu, któż wie? Gdyby nas było więcej takich! Zresztą są, ukażą się, przyjdą... A jeden mąż wielki z wierzchołka czasów rozkazuje pokoleniom. „Był człowiek posłany od Boga, któremu było imię Jan...“ był drugi: nazywał się Paweł... Ani Jan Śniałowski, ani Paweł Naborowski, niestety— uśmiechnął się.

Rzyźniewski zaczął przypuszczać, że celem tajemniczej wędrówki była może jedynie ta oto dziwna rozmowa, urywana spowiedź apostoła—i nabrał otuchy.

— Możeby już pora?—szepnął.

— Zaraz, jeszcze nie — z roztargnieniem odparł Śniałowski, pogrążony w dumaniu.

— Dlaczego my nie spotkaliśmy się wcześniej?! — rzekł znowu—pism waszych nie czytałem, mówiono mi o was niekoniecznie pochlebnie, ale odezwanie się wasze daje świadectwo... Zapamiętam na zawsze słowa wasze o odkupieniu... garstka czystych, garstka podniosłych musi się znaleźć i na nich oprze się dzieło... trzeba cierpieniem odkupić, by stało się odrodzenie... pojęliście przyczynę zła... dziękuję wam, bracie...

Śniałowski wyciągnął rękę, mocno ścisnął dłoń pisarza.

— Rzesze, o których wspomniałem — mówił dalej — to niby usypane z prochu kopce... wybuchną od jednej iskry... to armia... w każdem mieście mam przygotowane załogi... gdziekolwiek sięgnąć wzrokiem, niecierpliwe pułki... trzeba uzbroić wieś... czyż jest potęga, która się ostoi?... nadszedł czas ogromnych rzeczy... oni ze swoją teoryą biernej rewolucyi prześpią, opuszczą sposobność... wymyślili sobie formułkę o pokojowym postępie... chcą czekać i zbierać pod drzewem owoce, a jakże mają spaść owoce, jeśli wicher nie zatrzęsie gałęźmi?—coraz gwałtowniej opowiadał.— Rozumiecie mnie? To wszystko już jest, to wszystko będzie...

Laską kreślił na błocie jakieś dziwaczne znaki, tem szybciej, im płomienniej mówił.

— Zwycięstwa pragną rzesze, ale po zwycięstwie my przystąpimy do dzieła, do przebudowy... Złe mogą wyplenić tylko ci, którzy przemogli je w sobie... inaczej próżnym będzie trud... inaczej runie śród bagna wzniesiony gmach... jakże chcecie... szczęście stało się hasłem, a szczęście to używanie, to radość ciała. Nie takiem będzie nowe życie... Gniewni byli, żem sięgnął do sumień... nie pierwszy to raz... Wezwałem was...

Wlepiając ogniste oczy w Rzyźniewskiego, spytał nagle:

— Gotowi jesteście na wszystko?

— Ja? no przecież!—głos autora zadrżał.

— Nie idziemy chyba na śmierć — dodał niby półżartem, a w celach wywiadowczych.

Ale Śniałowski nie odpowiedział nic. Było długie milczenie. Za plecami Rzyźniewskiego jakiś krzak, być może bzu, który w maju okrywa się liliowemi pocałunkami wiosny, który wonny jest, a dla oczu rozkoszny, drżał na wietrze, szeptał nieustannie, szeleścił suchemi liśćmi i szerzył postrach w mroku i pustce. Trwoga przejęła powieściopisarza, potem chłód. Wzmogło się bolesne poczucie sieroctwa i zbłąkania. Nasuwały się myśli straszliwe a bezimienne, jakgdyby przed śmiercią, a w sercu odbywał się jakiś niezrozumiały akt konania wszelkiej nadziei i wzbierał żal, jak w chwili ostatniej rozłąki... Przerażenie zamieniło się w pewność, że to jest godzina w życiu doniosła i niebezpieczna, że zguba jest bliska, że stopy tkwią na krawędzi i lada chwila mogą obsunąć się... Słowa, wypowiedziane przez Śniałowskiego, karmiły tę pewność... Powieściopisarz pojął, że on oddał siebie w ręce władzy surowej i bezwzględnej, że stał się narzędziem, że odebra-

no mu wolę jego, że zaszła okrutna pomyłka... Nie pora było naprawiać... Rzyźniewski bał się poprostu swego towarzysza. Subtelna, złożona, wykwintna dusza autora schowała się bojaźliwie na widok siły brutalnej, bezwzględnej, płomiennej, nie odważała się zaprzeczać, nie śmiała podnieść buntu fanatyzmowi, z którego w innych warunkach byłaby szydziła z politowaniem, nie umiała przeciwstawić własnej wiary... Sceptyczny półuśmiech nie wystarczał w tym wypadku... Należało albo iść odważnie naprzód i dalej, albo z równą tamtej odwagą cofnąć się, wyrzec się wspólnictwa, zerwać dziwny związek. Ale Rzyźniewski nie mógł zdobyć się ani na jedno, ani na drugie... Słuchając ognistych wynurzeń apostoła, potakiwał milcząco i łudził się, że na tem skończy się tajemnicza wyprawa; teraz był w położeniu człowieka, któremu się śni potworny sen, który walczy ze zmorą i radby przetrzeć oczy, a jednocześnie wierzy w prawdę zjawy i odczuwa całą jej okropność. Żelazna dłoń fanatyka zdusiła jego wolę i uniosła ją na szczyty, na których wyżynie owa wola może poraz pierwszy w struchleniu przekonała się o własnej wątłości... Traf rzucił go na grzbiet rozhukanego rumaka, który pędził w nieznaną dal, którego nie okiełznać... ironia losu chciała, ażeby on w czyny przelał swoje świetne słowa...

Rzyźniewski podniósł wzrok do góry. Wicher poszarpał ciężką pokrywę chmur i w wyrwach zabłysło złocistem mruganiem kilka gwiazd. Uczyniło się nieco jaśniej w ogrodzie... oczom, oswojonym z mrokiem, ukazały się kształty zataczających się drzew i daleki zarys zbitych w gromadę domów. Śniałowski nie przestawał kreślić kijem na błocie ścieżki i trwał w swojem dumaniu. Pisarzowi przyszło na myśl, że mógłby niepostrzeżenie odejść i zniknąć w ciemnościach, ale został na miejscu, posłuszny niezłomnej woli, milczącemu rozkazowi towarzysza.

Złe przeczucia gniotły mu duszę. W głowie plątały się jakieś niepotrzebne wspomnienia... Szybkim lotem pamięci odwiedził Hankę, słodkie dnie miłości, owe ciche, o wieczornej godzinie oświetlone lampą pokoje w hotelu nadmorskim, ujrzał przed sobą przecudną głowę adwokatowej Różyckiej, ujrzał nadzieję, marzenie, pragnienie, cofnął się daleko, do lat dzieciństwa, zaczepił o parę szczegółów, o jakieś dawne epizody... Chyżo mijały obrazy, coraz to nowe, w bezładnem stłoczeniu, w przypadkowej asocyacyi, a towarzyszył im dziwny, rzekłbyś, przedzgonny żal człowieka, który opuszcza wszystko... Rzyźniewskiemu ukazało się jego własne życie, które klął, które szponami rozpacznej analizy

rozdzierał w pismach swoich, nad którem poziewał; w pełni blasku i piękna, w kwiecie powabów, ukazała się przyszłość: rozkosz cygańskiej włóczęgi, kipiące ulice miast, błękitne niebiosa, mknące pociągi, sława, gorączka twórczej pracy, miłosne wczasy—i wzdrygnął się w nim gniew...

Miałżeby wyrzec się sztuki, wolnych lotów, czarów życia, piękna i szczęścia, zaprzedawać się w niewolę, brać jarzmo beznadziejnej służby?!... Wstanie i powie temu dzikiemu, na pół obłąkanemu brutalowi, który chwycił go za kark i chyli ku ziemi, przywalając ciężarem potwornego przymusu, że każdy z nich pójdzie swoją drogą do innego celu, że nic między nimi wspólnego, że on, twórca, syn pieśni, dla pieśni urodzon jest... odpowie czarownym wierszem Puszkina...

Odruch buntowniczy minął wnet. Rzyźniewski apatycznie zwiesił głowę. Na czyjeś szydercze skinienie napłynęły mu do pamięci słowa, które od paru dni wygłaszał po mieście, surowe przysięgi, męskie obietnice, bojowe okrzyki... Powtarzał był na zebraniach i pisał w odezwach, że ludu wołanie skróś lądy i morza dotarło do jego duszy, że wrócił do kraju, by z narodem cierpieć, walczyć i ginąć, że zjawił się pokorny, zawstydzony małością własną, pielgrzym tęskniący i pochyla się do ziemi i całuje bolesne stopy narodu, skrwawione na dziejowej Golgocie, że śnił mu się ludu wieniec męczeński, przemieniony w koronę, że zostanie do końca i „jak pies na sztandarach się położy...“ I czuł tak. W gorączce zbiegały dnie, upojenie wolnością rozsadzało pierś, serce paliły wrące pragnienia krwi, czynu, walk, w uszach huczały dziarskie dźwięki potężnej pieśni, pieśni buntu i szturmu, burzyła się krew, marzyły się jakieś zwycięskie pochody, purpurowe sztandary, wiejące nad miastem, dnie święta i zachwytu, ogromne zdarzenia, niewidziany od początku historyi przewrót... Śpiewał ludowi hymny wojenne, zachęcał, miał stanąć na czele... był jak płomień zapału, był huraganem zemsty...

Śniałowski wysnuł przed nim te same marzenia, Śniałowski przemawiał głosem tych samych uniesień, Śniałowski zabrał go z sobą do niewiadomego dzieła, które miało urzeczywistnić one sny... brat spotkał brata... podali sobie ręce i poszli...

W uszach Rzyźniewskiego zabrzmiało złowrogie pytanie: „gotowi jesteście na wszystko?“ i w mrokach nocy zamajaczyła przed nim czarna zguba, groza zajrzała mu w oczy... Uciekać!... Ale był spętany, jak człowiek śpiący, którego obezwładnia koszmar, i wszystko to było, jakoby sen... że wyruszył w tę dziwną podróż, że zabrnął aż tu, że tkwił od godziny na ławie w ogro-

dzie zamiejskim i drżał z zimna, że za chwilę wstanie i pójdzie posłusznie dalej, kędyś, ku czemuś nieznanemu, czego się boi, że za plecami lękliwie szeleściły liście niskiego krzaku... że on, sławny pisarz, którego ceni naród, którego dnie życia wyryte będą i policzone w dziejach twórczości, związał się z obłąkanym marzycielem, uległ fanatycznej woli, wziął udział w jakiemś szalonem przedsięwzięciu, że, mogąc spędzić tę noc bezpiecznie we własnem mieszkaniu, tłucze się śród nożowców i dobrowolnie stacza się może nad brzeg przepaści... To wszystko było jak sen, jak sen i straszny, i niedorzeczny zarazem... Chwilami nie wierzył... Wpatrywał się przenikliwie w ciemności, potem z ukosa, ostrożnie badał Śniałowskiego, który, zdawało się, zapomniał o jego istnieniu—i stwierdzał oczywistość... A trwoga snuła przeraźliwe wnioski, przypuszczenia, przeczucia i napełniała niemi duszę, gdzie dawno opadł zwarzony chłodnym podmuchem prawdy najpiękniejszy kwiat rycerskich porywów. Czasami ukradkiem odzywał się wstyd podniosłem słowem o poświęceniu, o męstwie, o obowiązkach, powtarzając własne jego, Rzyźniewskiego, poety, rapsody mieczowe; lecz wyganiała go bojaźń, i wciąż powracało owo niby przed ostatniem rozstaniem uczucie żalu za życiem, za szczęściem, za swobodą... Jednocześnie w pisarzu dokonał się zupełny przewrót: zdarzenia ukazały mu się z innej strony, w odmiennem oświetleniu, zjawił się szereg niespodzianych rozumowań, wynurzyły się niezbite pewniki, trafne dowody, dosadne określenia, napłynęły nieznane przedtem myśli w doskonałej szacie gotowych okresów, wytrysła nowa prawda i urodził się nowy całkiem sąd o zjawiskach... Był innym w tej chwili człowiekiem, nie kochał czynów, walk i krwi, nie pragnął ogromnej nawałnicy, zawrotnego wiru wypadków, nie pędził na „miażdżącym gnuśnych rydwanie sprawiedliwości i wolności“ ku świetlanemu jutru, nie chciał zrywać podłego łańcucha niewoli, ażeby wyzwolona nienawiść, ażeby święta pomsta spełniły dzieło swoje... Stanął z tymi, których wczoraj wyklinał wielką klątwą gniewnego ludu, których serca — wystygłe w piersiach głazy — usiłował zbudzić słowem zmartwychwstania, których piętnował jako zdrajców przedwiecznej sprawy, jako wrogów narodu, nad którymi płakał, że nie pojęli „czerwonego objawienia dziejów“— i, gdyby daną mu była możność mówienia, zdeptałby mocą przekonań i całą rewolucyę, w którą przestał wierzyć, i marzenie miasta tego, które nazywał zgubnym szałem, i niewzruszone dogmaty partyi, które wydawały mu się fikcyą obłąkanych, i brednie Śniałowskiego, który prowadził społeczeństwo, dojrzałą społeczność do zatracenia... Milczał wszakże...

— Trzeba nam już iść — cicho rzekł Śniałowski, budząc się z zadumy — chodźmy może!...

Ociągał się wszakże przez chwilę, i wymknęło mu się westchnienie, jakgdyby żałował ogrodu, ciszy i drzew szumiących, które wołały nań wspomnieniem dalekiego parku—ustronia kochania, dalekiego druha, jakgdyby chciał przedłużyć tę godzinę spoczynku, słabości i utrapienia, w której borykał się z tęsknotą, z myślami, z cieniem drogiego starca, szepcącym surowe zakazy, krępującym mu ręce przykazaniem miłości, grożącym straszną karą ducha za rzeki przelanej krwi, za czyn niecierpliwości, za hasło nienawiści...

— Słabi jesteśmy, wątpiący jesteśmy, my, ludzie dzisiejsi— mówił potem, gdy ruszyli — uwikłaliśmy się w sieciach myśli, ugrzęźliśmy w subtelnościach, zabrnęliśmy w gąszcza wiedzy i trudno nam wydostać się na pole czynu... możemy mało, umiemy zbyt wiele... Społeczeństwo podzieliło się na partye, a dusza, niby jakiś chór, na różne głosy... tłucze się w nas echo wątpienia.

— Tylko oni nie wątpią nigdy... oni spokojni są i syci, i nieomylni... kierownicy, wodze — dodał zagadkowo — gdybyśmy stanęli pod ich komendą, nie byłoby tak zwanych kwestyj...

— Jeden jest cel i jedna droga—wywnętrzał się dalej z pewnym smutkiem, cicho—i niema wyboru... wiem, widzę... wolałbym wszakże, wolałbym... siekiera przyłożona jest do korzenia i drzewo musi runąć, i muszą być ofiary... gdybyż można było inaczej!

— Błądzimy wszyscy! głucho powiedział Rzyźniewski.

— Błądzimy!—powtórzył Śniałowski—błądzimy wszyscy! i z całych sił uderzył swoim grubym kijem o jakiś słup.

Trudno było rozpoznać czy on potwierdza, czy też oburza się. Ale autorowi chwila wydała się odpowiednią.

— Tak—ciągnął dalej nieswoim, jakby schrypniętym głosem— do starych błędów przydajemy wciąż nowe... Wierzymy w cuda, w Zbawiciela... Usiłujemy po linie mistycznej, przeciągniętej nad przepaścią, przeprowadzić naród do ziemi obiecanej... uwielbiliśmy cierpienie...

— Poco wy? — spokojnie przerwał mu Śniałowski — idziemy na rzecz trudną, idziemy, gdzie tylko wiara i zapał, a wy w takiej chwili...

Jakiś czas szli w milczeniu. Śniałowski gniewnie stukał laską.

— Kto błądzi? — wybuchnął nagle — ci nad miarę umęczeni, nad miarę cierpliwi, którym w nieprzebranej łaskawości naszej obiecaliśmy opiekę? my grzeszymy? dzieje błądzą?

Opozycya, którą przeczuwał, drażniła despotyczną, namiętną, zawziętą jego wolę.

— Jeśli my błądzimy — z zaciekłością napadał — jeśli wy po tem, coście głosili tam, takie składacie wyznanie, z takiem przystępujecie sercem do czynu... Słuchajcie... ja mam rewolwer w kieszeni, pożyczę wam... bo żyć i błądzić z błądzącymi, tułać się po świecie z uśmiechem niedowierzania, patrzeć na zgubę... nie zazdroszczę wam...

Nie dokończył. Stuknęły drzwi niskiego, drewnianego domu, obok którego przechodzili i zbliżył się do nich mężczyzna, otulony w długą kaukaską czy czerkieską burkę, w wysokiej czapie futrzanej, nasuniętej na oczy. Przywitał się ze Śniałowskim, potem z powieściopisarzem, na którego nawet nie spojrzał i rzekł ze śmiechem:

— W mieszkaniu posłyszałem rozmowę i poznałem głos. Dobrze umiecie konspirować, niema co!...

— Pusto jest! — mruknął Śniałowski.

Rzeczywiście, byli już za miastem. Otoczyła ich czarna, głucha i szczera noc. Ów jednopiętrowy, drewniany dom, z którego niespodzianie wysunął się nowy towarzysz, zamykał przerzedzony szereg zabudowań; urwała się licha, niewiadomo poco w tem miejscu zasadzona aleja, skończył się bruk, i jedna jedyna latarnia z kopcącą lampą naftową, sterczająca tu niby najbardziej rozpaczliwe uosobienie beznadziejnej samotności, stanowiła słup graniczny, za którym rozpoczynała się, być może, naprawdę kraina zatracenia. Grzęźli teraz po błocie przez środek bardzo rozległego, jak zdawało się, placu. Podmuchy wichru uganiały się po nim, niby spuszczone ze sfory psy... Z jednej strony, w pewnem oddaleniu, majaczyły wzgórza dziwnego kształtu, jakieś wały. Rzyźniewski przypomniał sobie, że w tych okolicach znajdują się forty i doświadczył przykrego niepokoju na myśl o wartujących tam żołnierzach i kulach, któremi były nabite ich karabiny... Idąc, oglądał się mimowoli i przyspieszał kroku... Snuł coraz bardziej zatrważające przypuszczenia co do celów tej fantastycznej wyprawy. Był już zupełnie pewny, iż ma to być przedsięwzięcie szalone, czyn obłąkanej odwagi, krok nieobliczalny, bezprzykładny... Na posiedzeniu przebąkiwano tajemniczo o skutecznych próbach uświadomiania w koszarach... Śniałowski prowadził go właśnie, jakkolwiek krętemi drogami, w kierunku cytadeli, ten nowy towarzysz miał i ruchy i wygląd wojskowy... domysł nabierał coraz więcej cech prawdopodobieństwa... W Rzyźniewskim zaszła dziwna zmiana: dręcząca obawa, plugawe tchórzostwo opuściły go zupeł-

nie, natomiast naprężone od długiego czasu do ostateczności nerwy wytworzyły nastrój, który ogarnia może skazanego na rozstrzelanie w chwili, gdy zawiązują mu oczy. Był to nastrój podnieconej, prawie bolesnej ciekawości, niecierpliwego pragnienia, żeby prędzej, szubienicznego męstwa, które wypływa z przekonania, że niema już nic do stracenia, rozpaczliwej energii, biernej rozpaczy, skowyczącej rozterki, niezmiernego znużenia, męczącego powikłania sprzecznych uczuć, z których najgłębszem, najbardziej istotnem było głuche, ślepe na wszystko, tępe zobojętnienie... Gdyby kule, których bał się przed chwilą, zaczęły gwizdać mu koło uszu, szedłby dalej tym samym automatycznym krokiem; gdyby obaj towarzysze przyłożyli do jego skroni rewolwery, nie podniósłby zapewne ręki dla obrony... Poddawał się konieczności, ulegał przeznaczeniu swemu...

W niebiosach, pomiędzy mknącemi chmurami, świeciło kilka gwiazd. Przypomniał mu się pewien wieczór zimowy, pewien spacer saniami we dwoje, wesoły śmiech, rzeźwość mroźnego powietrza, uciecha i radość młodości... Tak samo w jasnej dolinie śród ponurych wzgórz zachmurzonego nieba paliły się gwiazdy... brzęczały janczary, koń leciał, chybotały się sanie...

Chwilami Rzyźniewski przysłuchiwał się pilnie i czujnie szybkiej, bezładnej, poufnej rozmowie, którą prowadzili dwaj towarzysze. Nie wiele mógł z niej wywnioskować. Śniałowski zadawał wciąż pytania, tamten w burce odpowiadał i opowiadał, śmiał się często, klął gęsto. Mówił złą polszczyzną, głos miał rubaszny, wyrażeń używał dosadnych, był w wybornym humorze...

Zbliżali się do rzeki. Pod stopami miękko uginała się murawa. Powiało chłodem nadrzecznym, zapachem fal wodnych, w którym jest coś z wiosennej, wiekuiście młodej i odmładzającej świeżości, powiało tęsknotą, którą budzi w duszy rzeka-wędrownica, w dal przestrzeni i czasów płynąca, tęsknotą za czemś dalekiem, nieznanem i nienazwanem, wspomnieniem przeszłości, nadzieją... Z wyniosłości, na której stanęli — nad piaszczystym urwiskiem — Rzyźniewski objął wzrokiem mroczną roztocz rzeki, tajemnicze, posępne, niezbadane łany wodne, połyskujące gdzieniegdzie nikłemi smugami jasności, odbitej od niebios — pełnemi grozy były te nocne spojrzenia wody—bielejącą łachę, most kolejowy, ciemny, pusty, ponurym, bezużytecznym ciężarem zawieszony nad nurtami, wątły sznur ogni na drugim dalekim moście, światełka domów, lesiste zarośla tamtego brzegu — i pomknął myślami, pomknęły myśli jego... Zatęsknił do obrazu, który zajaśniał mu nagle w pamięci, do obrazu ulicy, zalanej elektrycznością, tętniącej, hucznej,

hałaśliwej, gwarnej, rojnej, wesołej, bezpiecznej; do owych bulwarów, którymi włóczył się, które kochał; do godzin bezcennych, które przeżywał tam, nie ceniąc ich skarbu: tęskniły oczy za rozkoszą patrzenia, za blaskiem, za ruchem, tęskniły zduszone okropnością nerwy... Zapragnął skrzydeł, które uniosłyby go daleko stąd od tego miasta, które było jak grób, z kraju niedoli, od ludzi, trawionych obłędnem marzeniem, przerażonych i nieszczęśliwych, daleko od walk, sporów i partyi, daleko od tego piekła, od domu, który się pali, daleko od nocy tej, od pustki i przerażenia... I zaniósł się od wewnętrznego łkania... czuł na gardle dławiącą obrożę... znikło jaśniejące widzenie... Cisza była i mrok... tam w dole tajemnicze przestwory ciemnych wód...

— Muszę uprzedzić was — zaczepił go Śniałowski — idziemy do najbiedniejszych, do najbardziej spętanych z braci naszych, do tych, których uczyniono narzędziem...

— Wiem... rozumiem — sarknął powieściopisarz.

— Zabrałem was, żeby było nas więcej... słowa płoną wam w ustach... potraficie zapalić, porwać, otworzyć im oczy...

— Niemam ubrania — posępnie zauważył Rzyźniewski.

— Znajdzie się na to rada... jest, bracie, na wszystko sposób — dobrodusznie i familiarnie wmieszał się tamten — narzucicie mój płaszcz.

— Działać trzeba śmiało — gorączkowo tłómaczył jeszcze Śniałowski — przystępować odrazu do rzeczy... czas jest drogi, poprowadzimy ich, wytrącimy broń z ręki wroga... idziemy do jaskini...

Wolno spuścili się ku rzece po stromej ścianie wiszaru. Teraz towarzysz w burce gwizdnął przeciągle... Śniałowski mówił wciąż, kreśląc ogromne plany, wtajemniczając Rzyźniewskiego, spowiadając się z marzeń... Na rzece ktoś odpowiedział gwizdnięciem... Po chwili plusnęły wiosła, zamajaczyła łódź... Czekali. Z cicha u filarów i skarp mostu pluchotała woda. Łódź z jednym przewoźnikiem przybiła do brzegu. Śniałowski poszedł pierwszy, teraz była kolej Rzyźniewskiego. Towarzysz w burce trącił go...

— Idźcież!—zachęcał.

Powieściopisarz wahał się jeszcze, potem cofnął się i, rzekłbyś, dla zachowania form uprzejmości, jak gdyby u drzwi salonu, ustąpił miejsca nieznajomemu. Ale ten nie zgadzał się.

— Co wy!—niecierpliwił się—idźcież.. ja odepchnę...

Nie było rady. Autor skoczył, za nim tamten. Łódź chybnęła się, zabełkotała pod dnem fala, skrobnęły wiosła o burty... Wówczas Rzyźniewski przesadził ławkę i jednym susem wydostał się na dziób łodzi, żeby skoczyć... był ostatni czas... w tej samej

chwili pochwyciły go mocne ręce, szamotali się z sobą, zdumiony przewoźnik przestał robić wiosłami... Rzyźniewski czuł, że nie podoła...

— Proszę mnie puścić—wymamrotał—zostanę już...

— Puść go—krzyknął Śniałowski.

Towarzysz w burce odstąpił natychmiast... Powieściopisarz, który borykając się, odchylił się był zanadto w tył, stracił równowagę i runął na wznak do wody... Rzeka u brzegu nie była głęboką i tamci nie kwapili mu się z pomocą... Łódź oddaliła się i pomknęła szybko... Brzmiały na wodzie ich głosy...

— Życzę powodzenia—zawołał z ciemności Śniałowski.

Rzyźniewski patrzał za niemi, ścigał niknącą w mrokach sylwetkę, bezradny, znękany, przytłoczony uczuciem najpodlejszego, najbardziej obrzydliwego wstydu. Rozumiał rozpaczliwą śmieszność roli, którą odegrał, śmieszność ucieczki, walki na łódce, kąpieli... Jak gdyby odbita w lustrze, przesunęła się przed nim historya całego wieczoru: bohaterskie przemówienie, zbratanie się ze Śniałowskim, tchórzliwa uległość, godziny trwogi, w których zdawało mu się, że idzie na śmierć, w których żegnał się z nadzieją, ze szczęściem, z życiem i wreszcie finał iście wodewilowy... Całe miasto będzie nazajutrz wiedziało, że on, który wrócił do kraju, żeby działać, który przez wszystkie te dnie głosił hasła bojowe, potrząsał orężem, zachęcał do walki i ofiar, — stchórzył, drapnął, wykąpał się paskudnie, że Śniałowski... W sercu pisarza buchnął płomień piekielnej nienawiści do Śniałowskiego... On był głównym sprawcą, obłąkany fanatyk, młodzik, chory na manię wielkości, mistyfikator, gaduła... Śniałowski swymi tajemniczymi gestami, tragiczną miną, swoim waryackim projektem...

Nienawiść pochłonęła tamto, pierwsze uczucie wstydu. Rzyźniewski w porę odwrócił od siebie wzrok, zasłonił szyderczo widzenie, zdmuchnął światełko, którem nieproszony widz, wewnętrzny lokator, oświetlał skryte zakamarki... I począł z politycznego stanowiska roztrząsać postępek Śniałowskiego, który zgrzeszył niesfornością, tworzył odszczepieństwo, tak szkodliwe, nie uznawał partyi, wnosił zamęt...

Było mu marnie na duszy, w głowie polatywały osy urągliwych myśli i kąsały, ale on umiejętnie chował się od nich, chował się przed sobą samym... Udawało mu się to coraz lepiej...

A gdy po parogodzinnem błądzeniu, po wielce uciążliwej przechadzce w przesiąkniętem wodą ubraniu, w zmoczonem obuwiu, bez kapelusza, który uniosły nurty, szczęśliwie, t. j. nie zaczepiony przez nożowców, nie spostrzeżony przez nikogo ze zna-

jomych, dotarł do domu i znalazł się we własnem, ciepłem mieszkaniu, doznał radości, wobec której zblakły i niefortunne przejście, i wstyd, i sama nawet rewolucya... Należały mu się spoczynek w łóżku i sen... Ale, rozbierając się, przypomniał sobie, że przyrzekł był Ryszardowi napisać odezwę... Zawahał się... błysk owej wewnętrznej latarni czujnego lokatora wewnętrznego... dziwny uśmiech w głębiach, tajne poruszenie...

Poszedł do biurka, żeby spełnić obietnicę.

„Towarzysze i obywatele! — pisał.—W tak doniosłej, w tak ogromnej chwili nie wolno nam gnuśnieć w martwej pokorze... Niech świadomy lud pracujący dobędzie z swych piersi, wezbranych oburzeniem i żądzą zemsty, potężny, zwiastujący wolność a straszny wrogom okrzyk... Stańmy wszyscy, jak jeden mąż...“

Kazimierz Zdziechowski.

Wyprawa generała Dwernickiego

NA WOŁYŃ.

Po wybuchu 29 listopada wystąpiła, obok spraw właściwych Królestwa, także kwestya t. zw. prowincyj zabranych. Rozwój jej zależał w przeważnej mierze od poparcia ze strony czynników, kierujących wypadkami w Warszawie. Tymczasem te właśnie czynniki, Rada Administracyjna i Chłopicki, traktując rzecz całą ze stanowiska pokojowego, nie chciały łączyć tych dwu kwestyj razem, mimo strategicznych korzyści, wykazywanych dyktatorowi przez Chrzanowskiego i Chłapowskiego, a nawet politycznych konsyderacyj, podnoszonych przez Lubeckiego. [1])

Skłonniejszym okazał się Sejm, który w swym manifeście z 20 grudnia 1830 r. zamieścił jeden ustęp, dotykający tamtych prowincyj, a głoszący, że naród polski nie złoży oręża i nie spocznie, „póki nie połączy się z braćmi ujarzmionymi przez dwór petersburski, z tego jarzma ich nie wyzwoli i swobód *swoich wolności* i niepodległości uczestnikami nie uczyni.“ [2])

Słowa te jednak zostały na razie pięknym frazesem, ponieważ Chłopicki, objąwszy poraz wtóry władzę, dalej też prowadził swą politykę, a w niczem nie zmieniając swego stosunku do Litwy i ziem sąsiednich, zachowywał się względem nich, jak i przedtem, biernie, a nawet wprost odstręczająco. Wiele zwłaszcza kwasów

[1]) Smitt: „Feldherrn Stimmen“ (Chrzanowski), Lipsk, 1858, str. 8. Chłapowski: „Pamiętniki,“ Poznań, 1899, II, str. 8.

[2]) „Kuryer Polski,“ 1831, z 5/I, № 381.

wywołało jego postąpienie z Deniską, który wysłany przez szlachtę podolską i wołyńską do Warszawy z oświadczeniem gotowości tych prowincyj do powstania i z prośbą o instrukcyę, broń i amunicyę, miał otrzymać od dyktatora tę znaną odpowiedź, „że dla tych prowincyj niema ani jednej skałki.“ [1])

Sprawa w ten sposób z góry przesądzona i ku zagładzie wiedziona przez Chłopickiego, ożywiła się dopiero wtedy, gdy naczelne dowództwo objął Radziwiłł, a nastąpiło to tem łatwiej, że te prowincye same się przypomniały, wnosząc do Sejmu adres na uroczystej sesyi 24 stycznia 1831 r.

Akt ten, zgłaszający akces tych prowincyj do sprawy, został przychylnie przyjęty przez Sejm, który w odpowiedzi na to wydał odezwę do mieszkańców tych prowincyj, powołującą ich już wprost do powstania i do dzielenia konstytucyi, jako też wspólnego władcy. [2])

Co więcej, dla poparcia słów tego manifestu, naczelny wódz polecił 2 lutego generałowi brygady, Józefowi Dwernickiemu, udać się w tamte strony na czele oddzielnego korpusu, składającego się z batalionu piechoty, 4 dział 3 funtowych i dwu szwadronów Krakusów, by poprzeć tamtejsze powstanie. W tym celu wydana tajna instrukcya zalecała temu generałowi po przejściu Bugu wzmocnić się tamtejszymi powstańcami, prowadzić „małą wojnę“ i szkodzić nieprzyjacielowi wszelkiemi sposobami. Przekazywała dalej, iż „niekoniecznie uważać należy na zachowanie swoich komunikacyj, niekoniecznie obawiać się należy odcięcia siebie. I owszem, uważać należy siebie i swój korpus, jako samoistny; rachować najwięcej na szybkość swoich poruszeń i na wykonywanie niespodziewanych rzeczy.“ Słowem, zalecano generałowi prowadzenie partyzantki, z tem jednak wyraźnem zastrzeżeniem, że są to „początki wielkich sił wielkiego powstania, które się w tamtym kraju uformować powinno.“ [3])

Cały więc zamiar był zakrojony na wielką skalę. Przyczem zdaje się nie ulegać wątpliwości, że myślą przewodnią, jaka przyświecała decyzyi tej wogóle, a instrukcyi, danej Dwernickiemu,

[1]) Wrotnowski: „Powstanie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie,“ Lipsk, 1875, str. 80 sq. i 105. Barzykowski: „Historya powstania listopadowego,“ Poznań, 1884, II, str. 35 sq.

[2]) D'Angeberg: „Recueil des traités,“ Paris, 1862, str. 788. Barzykowski, II, str. 151 i 189. Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego,“ Paryż, 1834, II, str. 632. „Polak sumienny,“ 4/II 1831, № 39.

[3]) Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 5300.

w szczególności, był świetny precedens analogicznej akcyi w Wielkopolsce Dąbrowskiego w r. 1794.[1]) Lecz w sytuacyi tego rodzaju sprawa nie tyle zależy na samej idei, ile na człowieku. Różnica człowieka w tym wypadku była ogromna między Henrykiem Dąbrowskim a Józefem Dwernickim. Bo i jakżeż inaczej zapatrywał się na ten plan, proponowany tej wyprawy dowódca. Otóż Dwernicki z góry uznał go za nic więcej, jak za awanturniczą wyprawę. Takie zaś w skutkach swoich doniosłe, acz smutne zapatrywanie wyrosło u niego, głównie z powodu zbyt osobistego traktowania tej sprawy. Grał tu bowiem wielką rolę i żal za starą kawaleryą, której mu wiele nie dano i zawiedziona ambicya, która nie mogła znieść tego, że kilku pułkowników z pod jego rozkazów już dywizye w komendy podostawało a jego potraktowano takim małym oddziałkiem, byleby tylko go się pozbyć.[2])

Szczęściem, że wyprawę tę już zaraz siódmego lutego odwołano, z powodu wkroczenia w tych dniach właśnie wojska rosyjskiego do Królestwa. A że armia polska ograniczała się do defenzywy i skupiała się dookoła Warszawy, więc i Dwernicki, zamianowany dowódcą oddzielnego korpusu, musiał zaniechać projektowanej wyprawy i „działać szczególnie przeciw korpusowi Geismara,“ [3]) a po 11 lutego, przydzielony do korpusu Żymirskiego, miał zasłaniać stolicę. Wtedy to, ucierając się nietylko z Geismarem, ale i z Kreutzem, stoczył zwycięską bitwę pod Stoczkiem i posunął się aż do Puław.[4])

Tymczasem na północnym terenie wojny rozegrały się potyczki pod Dobrem i Wawrem, i stoczoną została wielka bitwa pod Grochowem, która w rezultacie przyniosła parę ważnych zmian, bo i zmianę w naczelnem dowództwie i, co najważniejsza, przewrót w osądzeniu stosunku obu sił walczących, a następstwem tego było nowe przyjście na stół dawnego projektu, wyprawy w prowincye południowe z zamiarem zrobienia dywersyi na tyłach nieprzyjaciół i wywołania, ewentualnie wsparcia, tam powstania.

To też w ostatnich dniach lutego odbyła się nad tym projektem narada Rządu, opisana szczegółowo przez jej uczestnika, Barzykowskiego.[5])

[1]) Skałkowski: „Jan Henryk Dąbrowski,“ Kraków, 1904, cz. I, 97 sq. i 206.

[2]) Dwernicki: „Pamiętniki,“ Lwów, 1870, str. 13.

[3]) Mroziński do Dwernickiego 7/II 1831 r., Arch. ks. Czartoryskich, 5300.

[4]) Rozkazy z 16/II № 152, 17/II № 163, 18/II № 309. Arch. ks. Czartoryskich, 5300.

[5]) Barzykowski, III, 73 sq.

Na owej to naradzie Rząd wskazał obecnemu na niej naczelnemu wodzowi, Skrzyneckiemu, tylko dyrektywę takiej wyprawy, opracowanie szczegółów pozostawiając sztabowi głównemu, a względnie radzie wojennej, która się rzeczywiście nazajutrz w tym celu zebrała i odpowiedni plan uchwaliła.

Jedną z najważniejszych kwestyj, poruszanych przez radę wojenną, była kwestya dowódcy tej wyprawy. Co do tego, nie było zgody, jedni wymieniali generała Łubieńskiego, drudzy proponowali pułkownika Błędowskiego, aż wreszcie zgodzono się na dawniej proponowanego, a nawet już mianowanego dowódcę takiej wyprawy, Dwernickiego.[1])

Świeżo mianowany za bitwę pod Stoczkiem generałem dywizyi, Józef Dwernicki, wówczas pięćdziesięcioletni mężczyzna, otyły, nizki, lecz nader wytrwały na wszelkie trudy obozowe, które znosił razem z prostymi żołnierzami, przez co sobie zjednał u nich wielką miłość i zaufanie, wychowanek warszawskiej szkoły kadetów, rozpoczął swój zawód wojenny w r. 1809. Odtąd bierze udział we wszystkich niemal przeprawach napoleońskich, z których też wyszedł ze stopniem pułkownika.[2])

Był on przedewszystkiem oficerem kawaleryi, tej broni przez siebie szczególniej ukochanej, w której całą swoją służbę odbył, to też Prądzyński doradzał, by mu oddano dowództwo całej konnicy w głównej armii, ponieważ „przepysznie prowadził do ataku.“ [3])

Jednakże pozatem, że z wielką brawurą napadał, szczególnie na armaty nieprzyjacielskie, w czem zresztą szedł w myśl instrukcyi, przepisanej dla kawaleryi polskiej,[4]) „nie miano o jego talencie, zwłaszcza w sztabie, zbyt wysokiego mniemania, co więcej, żywiono nawet poważne wątpliwości, co do jego zdolności

[1]) Barzykowski, III, 77. Prądzyński: „Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej r. 1831,“ Kraków, 1894, str. 68.

[2]) 20/IV 1810 r. został szefem szwadronu XV pułku ułanów, uformowanego w r. 1809 na Podolu galicyjskiem, kosztem Trzecieskiego i mieszkańców Podola austryackiego i rosyjskiego; 18/I 1813 r. mianowany był majorem VIII pułku ułanów, utworzonego również na Podolu; wreszcie 20/I 1815 r., a więc przy nowej formacyi, pułkownikiem II pułku ułanów, na którem stanowisku przetrwał prawie aż do rewolucyi, bo dopiero w r. 1830 został przydzielony, jako generał brygady, do dywizyi Klickiego. Gembarzewski: „Wojsko Księstwa,“ str. 147 i 153,—„Wojsko Królestwa,“ str. 101 i 104.

[3]) Prądzyński, str. 68.

[4]) Puzyrewski: „Wojna polsko-rosyjska“ (tłóm. polskie), Warszawa, 1890, str. 40.

militarnych i organizatorskich, a jego dotąd odniesione zwycięstwa uważano raczej, jako szczęśliwy zbieg okoliczności, aniżeli wypływ osobistych zdolności generała. Co gorsza, że i on sam nie przeszkadzał, by mniemanie tego rodzaju dalej się rozchodziło, kto wie, czy nie pomagał mimowoli rozkrzewianiu się takich pogłosek, przez okazywanie swej próżności, bo jakkolwiek dla żołnierzy był prawdziwym ojcem, wzamian przez nich gorąco kochany, to jednak dla władz wyższych od czasu swych pierwszych zwycięstw i od chwili, kiedy otrzymał za te zwycięstwa adres dziękczynny od Towarzystwa Patryotycznego, nie okazywał zbytniego, a należącego się mu całkiem słusznie, posłuchu.[1])

Mimo to miał dziwne szczęście, bo wszak gdy na innych, może nawet nie tyle winnych, co on, padła infamia, on zdołał wynieść, mimo końcowej katastrofy, imie swe nieskalane, a nawet otoczone pewnego rodzaju nimbem bohaterstwa.

Że tak się stało, to powinien zawdzięczać głównie członkom Klubu Patryotycznego, którzy wówczas nadawali ton całej opinii publicznej, a którzy zaraz na początku kampanii, znając liberalne przekonanie generała, swą sympatyę dla niego posunęli aż do tego stopnia, że w liczbie dwudziestu kilku, między którymi byli znani koryfeusze tego Klubu, jak Ksawery Bronikowski, ks. Kazimierz Pułaski, ks. Ignacy Szyndlarski, Seweryn Goszczyński, Leonard Rettel, Tadeusz Krępowiecki, obaj Bielawscy — przybyli, jako ochotnicy, do jego obozu.[2]) A to dla Dwernickiego nie było bez znaczenia, bo, zjednawszy ich głosy, miał tem samem przychylnie dla siebie usposobioną przeważną część ludności Królestwa. Dwernicki był pod tym względem jednym z typów, niekoniecznie sympatycznych, a pod niejednym względem szkodliwych, generała, chociażby osobiście zdolnego, lecz przedewszystkiem spekulującego na popularność i wybijającego się tą drogą na stanowisko, przechodzące jego istotne uzdolnienie, jak np. Umiński, a potem Mierosławski.

Wyprawa ta, jak i jej wódz, znalazła też żywe odbicie w ówczesnej poezyi. Do popularniejszych zaliczyć należy pieśń Goszczyńskiego: „Uderzcie w bębny," będącą odbiciem tego parcia za

[1]) Zawadzki: „Wstęp do pamiętników Dwernickiego." Barzykowski, III, str. 77. Lewiński: „Pamiętniki," Poznań, 1895, str. 19. Morawski Teodor: „Dzieje narodu polskiego," Drezno, 1872, t. VI, str. 367.

[2]) Lista ochotników z Warszawy przesłana Dwernickiemu przez Klickiego. Arch. ks. Czartoryskich № 5300.

Bug; Wincentego Pola: „Grzmią pod Stoczkiem armaty," pokrewną jej treścią pieśń Maciejowskiego: „Pod Stoczkiem, z za lasu." Najpłodniejszym może jednak twórcą obozowych piosenek był Franciszek Kowalski, autor mazurka p. t. „Dwernicki" z muzyką Dobrzyńskiego, i wielu innych śpiewek, jak: „Legionu litewsko-wołyńskiego" i sławnego „Ułana na widecie," które zjednały w obozie znaczne wzięcie, dla tego poprawnego tłómacza Molièra.[1])

Wodzem więc tak wybornym, za jakiego go później okrzyczano, on nie był, a przecież odpowiedzialność na nim ciężyła bardzo wielka, bo z powodu odległości terenu, na którym miał działać, zdanym był na własne zdolności już nie tylko w sprawach czysto militarnych, lecz także i cywilnych, a chociaż otrzymał co do obu kierunków instrukcye, to one nie mogły być tak dokładne, by każdym krokiem generała pokierować i z konieczności musiały zostawiać mu bądź co bądź dość znaczną swobodę działania.

Jedna z tych instrukcyj, składająca się z 14 punktów,[2]) zalecała mu zaraz na wstępie w trzech początkowych paragrafach sposób obchodzenia się z mieszkańcami. Odnosiła się ona mianowicie do trzech głównie czynników, t. j. włościaństwa, duchowieństwa i drobnej szlachty. Przedewszystkiem chodziło o pozyskanie sobie ludu, a to obiecując mu rozmaite ulgi w robociznach, a nawet zniesienie pańszczyzny. W dalszym ciągu, ponieważ duchowieństwo miało znaczny wpływ na lud, potrzeba było i tę warstwę sobie pozyskać; w końcu miał Dwernicki zwrócić swe usiłowania dla skaptowania dla sprawy licznej drobnej szlachty czynszowej, którą można było z wielu względów najłatwiej poruszyć, a dla której podnietą czysto materyalną miała być obietnica przywrócenia swobód, zapewnienia własności ziemskiej i t. d. O szlachcie bogatszej tu nie mówiono, wiedziano bowiem o jej patryotyzmie i gotowości do broni i wszelkiego rodzaju ofiar, to też tylko w paragrafie VIII rzeczonej instrukcyi dawano listę osób, na które z całą pewnością generał mógł liczyć. O pieniądze powinien postarać się, według IV punktu, u zakonu Poczajowskiego i u Branickiej w Białejcerkwi. (Tu trzeba zauważyć, że o kilka lat wcześniej Dekabryści, gotując powstanie na południu, również mieli zamiar zaopatrzenia się w gotowiznę u Branickiej.) Inne paragrafy tej instrukcyi mieściły w sobie wskazówki, odnoszące się do postępowania z nieprzyjacielem, a więc generał ma prowadzić

[1]) Rękop. Ossolineum № 1028 i № 2267.

[2]) Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 3939.

walkę podjazdową, magazyny nieprzyjacielskie niszczyć, nawet wysłać agitatorów do osad wojskowych, t. zw. „wojennych pasielenij," gdzie, jak wiadomo, niejednokrotnie już przedtem gnębieni żołnierze i lud włościański rosyjski byli próbowali zbrojnych rozruchów, by tam szerzyć bunt. Punkt dziewiąty nakazywał mu wszędzie organizować powstanie, ustanowić rząd tymczasowy z ramienia Rządu Narodowego w Warszawie, cały kraj ogłosić w stanie wojny i zaprowadzić sądy wojenne. Zalecano mu nawet § 14 założyć drukarnię, któraby co parę dni drukowała gazetę, nietylko w języku polskim, lecz rosyjskim i cerkiewno-ruskim, przez co obiecywano sobie pozyskać tamtejszych mieszkańców.

Jeden zaś punkt był w skutkach swych nadzwyczaj ważny, mianowicie piąty, omawiał bowiem bliskość Austryi i Turcyi i polecał Dwernickiemu stamtąd próbować przemycać przedewszystkiem broń i proch. Polecenie, które potem opacznie tłómaczone przez generała sprowadziło na niego i korpus cały katastrofę.

Druga instrukcya, wygotowana głównie przez Prądzyńskiego,[1]) zalecała mu, tak jak i poprzednia, partyzantkę. W tym celu nakazywała mu wziąć ze sobą tylko 1,500 koni, a nie brać wcale piechoty, którąby mu mogła tylko utrudnić swobodę ruchów. Nadto instrukcya ta polecała mu trzymać się w głębi kraju, nie dać się przyprzeć ani do Bugu, ani do granicy austryackiej; wrazie zaś napadu przemagających sił nieprzyjacielskich, nakazywała korpus podzielić na kilka mniejszych oddziałów i nie zaniechać swych zamiarów, lecz czynić dalej dywersyę na tyłach nieprzyjaciół. Gdyby zaś pobyt jego na Wołyniu był zupełnie niemożliwy, doradzała mu udać się do sąsiedniej Litwy i tu dalej przeszkadzać komunikacyom i dowozom żywności armii rosyjskiej. Instrukcya również bardzo ważna głównie dla ocenienia działalności generała i słuszności zarzutów na niego później miotanych, jakoteż jego na nie obrony.

Ten rozkaz marszu na Wołyń, wraz z instrukcyami, przywiózł Dwernickiemu najbliżej niego stojący i mający z nim utrzymywać komunikacye, generał Sierawski, 2 marca, a więc w przededniu bitwy pod Kurowem.[2])

[1]) Wyjątki jej cytowane są u Prądzyńskiego str. 66 i Barzykowskiego str. 81. Oryginału jej, niestety, nie mogłem dotąd odszukać.

[2]) Puzyrewski, str. 128. Brzozowski: „La guerre de Pologne," Lipsk, 1833, str. 70 sq. Dwernicki: „Pamiętniki," str. 48. A. Dunin: „Działanie korpusu gen. Dwernickiego, po bitwie pod Nową wsią" w „Pamiętniku emigracyi," Paryż, 1832.

Dwernicki jednakowoż, zamiast się do tego rozkazu zastosować, uczynił to, co jemu się podobało, dopuścił się więc niesubordynacyi i zamiast z 1,500 jazdy, jak to miał przekazane, wyruszył na czele całego swego korpusu, wynoszącego około 4,500 ludzi, [1]) i to nie prosto na Wołyń, lecz dalej ku Lublinowi w pościgu za Kreutzem, co więcej nawet, znowu zupełnie na opak instrukcyi, wezwał już z drogi generała Sierawskiego, by się z nim połączył.

Co spowodowało go do tak wyraźnego nieposłuszeństwa względem rozkazów, świeżo mu przywiezionych? Dwernicki sam tłómaczy się tem, że rozkaz naczelnego wodza był niewykonalny, bo korpus Sierawskiego, z powodu braku jazdy, nie mógłby stawiać należytego odporu Kreutzowi, posuwającemu się ku Warszawie i że taki mały korpus półtoratysięczny, jakim go na teraz obdarzano, łatwo mógł być przez Kreutza ściganym, a nawet pobitym.[2])

Racye te usprawiedliwiałyby go przynajmniej w części, choć ze względu na dyscyplinę wojskową oczywiście o usprawiedliwieniu nie może być mowy, gdyby z poza nich nie wyglądała znowu świeżo zraniona ambicya generała.

O poprzednim, analogicznym wypadku już była mowa przy projekcie pierwszej wyprawy na Wołyń. Teraz to się powtórzyło w znacznie wyższym stopniu, ponieważ generał, według swego mniemania, miał jeszcze więcej powodów do posądzania sztabu i naczelnego wodza, że mu rozmyślnie krzywdę wyrządzają. Bo oto już wśród kampanii lutowej, Dwernicki odczuwając szczupłość sił swoich, domagał się wzmocnienia swego korpusu po jeszcze jednym pułku piechoty i jazdy. Na to nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi, wobec czego postanowił jeszcze raz się o to upomnieć, a że braki te widział także współdziałający z nim generał Sierawski, więc po wspólnem porozumieniu się, podjął się tenże Sierawski osobiście w Warszawie posiłki wyjednać i w tym też celu wyjechał tam 1 marca.

Jakież tymczasem było zdziwienie Dwernickiego, gdy Sierawski, zamiast posiłków, po których wyrobienie wszak do Warszawy udał się, przysłał mu rozkaz zostawienia całego swego korpusu jego dowództwu i wyruszenia tylko z garścią jazdy na Wo-

[1]) Według dokładnego obliczenia samego Dwernickiego wynosiła liczba korpusu na 4,497 ludzi i 2,674 koni wraz z 6 trzyfuntowymi armatami. Ms. Ossolineum № 3796, str. 20.

[2]) Dwernicki: „Pamiętniki," str. 44.

łyń. Teraz Dwernicki był pewny, że to nikt inny, tylko właśnie Sierawski wyrobił tę redukcyę jego korpusu na swoją korzyść.

Nie chcąc więc dopuścić do tego, by tamten jego kosztem tak znacznie się wzmocnił, nie usłuchał tego rozkazu, wysyłającego go, jak mniemał, „na stracone imie," zabrał ze sobą cały swój korpus, a co więcej, najoczywiściej wbrew rozkazom z Warszawy, polecił Sierawskiemu, jako swemu podwładnemu, także się do jego korpusu przyłączyć,[1]) czego jednak ten nie uczynił.

Z całym swym więc korpusem Dwernicki ściga Kreutza dalej i idzie za nim na Lublin, a z Krasnegostawu wysyła 9 marca swego szefa sztabu, Osińskiego,[2]) z raportem o dotychczasowych czynnościach i z nowem żądaniem zasiłków.

Relacya ta wprawiła naczelne władze w Warszawie w niemały kłopot. Nie wiedziano, co z nim zrobić; Skrzynecki, zapytany przez Prądzyńskiego o dalsze rozkazy, miał powiedzieć, żeby Dwernickiego pozostawić jego losowi, bo on ma szczęście i „może to Bóg natchnął go tą myślą, a w takim razie jego nieposłuszeństwo skończy się rezultatem pomyślnym."[3]) Aż wreszcie, zamiast jakiej nagany dla niesfornego generała, przysłano mu pochwałę za bitwę pod Kurowem, Nową wsią i wyswobodzenie Lublina oraz 21 ozdób honorowych dla najdzielniejszych.[4]) Ten dziwny krok sztabu, pochwalający cały bieg wypadków już po otrzymaniu rozkazu dokonanych, a dowodzący bardzo wymownie o słabości naczelnego wodza i stanowiący zarazem niefortunny precedens dla innych tego rodzaju wypadków,—że wspomnę tu najważniejszy, Ramoriny,—był także milczącem placet i na dalsze swobodne działanie generała. Bo sztab już teraz żadnej nowej instrukcyi nie wysyłał, mimo, że zakrój tej wyprawy się zmienił. Barzykowski wprawdzie, stojąc w obronie Rządu, twierdzi, że wysłano rozkaz Sierawskiemu, by się natychmiast z Dwernickim połączył, i że wydano nową, a do obecnego położenia przykrojoną instrukcyę. Z obrotów jednak Sierawskiego okazuje się, że on wcale nie miał czy to rozkazu, czy też zamiaru połączyć się na teraz z Dwernickim; a nadto wątpliwość o istnieniu tego rodzaju rozkazu po-

[1]) Dwernicki dostał dowództwo nad korpusem Sierawskiego i w tym celu otrzymał tytuł generała dywizyi. Rozkaz sztabu głównego do Klickiego z 18/II № 172. Arch. ks. Czartoryskich, № 5300.

[2]) Dwernicki: „Pamiętniki," str. 51.

[3]) Prądzyński, str. 69.

[4]) Dwernicki: „Pamiętniki," str. 142.

dnosi i ta okoliczność, że o takiem proponowanem połączeniu nikt inny nawet nie wspomina. [1]) Istnienie zaś tej drugiej instrukcyi również da się zaprzeczyć wobec tego, że ona co do treści i co do wyjątków, przez Barzykowskiego podanych, niczem się od pierwszej, dawniej mu przysłanej, nie różni.[2])

Niczego więc takiego Rząd Narodowy teraz nie uczynił a Barzykowski w tym wypadku podjął się możliwie w dobrej wierze tylko roli obrończej Rządu przed zarzutami, których mnóstwo na tę najwyższą magistraturę posypało się w czasie emigracyi, Rządowi przypisując przedewszystkiem nieudanie się tej wyprawy.

Jedno, co uczynił Skrzynecki w tej sprawie, to było wysłanie Piotra Wysockiego, byłego naczelnika związku podchorążych, obecnie już godność kapitana dzierżącego, do obozu Dwernickiego, by ten naocznie przekonał się o stanie korpusu i by zdał z tego sprawę naczelnemu wodzowi.[3]) Aby zaś ta misya nikogo a w szczególności Dwernickiego nie raziła, miał Wysocki jeszcze jedno zadanie „otwarcia związków z oficerami wojsk rosyjskich," według tak charakterystycznego znowu dla Skrzyneckiego mniemania, że „na dobrowolne związki więcejby jeszcze prawie liczyć można, jak na siłę oręża." Pozorna ta misya była tylko „in partibus infidelium," która dowiodła chyba tylko braku, między innymi, także zmysłu politycznego u tego politykującego generała, bo nikt nie mógł na seryo myśleć, wśród najcięższych walk, o tego rodzaju posłannictwie i każdy widział, nawet mimowoli, w byłym naczelniku związku podchorążych tego kontrolera, który miał baczyć na każdy krok ulubionego generała, by o wszystkiem donosić do Warszawy. Z tego też powodu został on odrazu nieprzychylnie przyjęty.[4]) A że poczciwy Wysocki pewnie bronił się przed podobnemi insynuacyami i wszystko robił, byleby je tylko od siebie odsunąć, więc zupełnie naturalnie, że cała jego misya przez to w łeb wzięła, w niczem nie zmieniając planów Dwernickiego.[5])

[1]) Smitt, str. 18. Prądzyński, str. 108. Kołaczkowski: „Wspomnienia," Kraków, 1901, IV, str. 103. Brzozowski, str. 110. Puzyrewski, str. 185.

[2]) Barzykowski, III, str. 83.

[3]) Rozkaz Skrzyneckiego z 10/III, № 3816. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 5300.

[4]) Dwernicki: „Pamiętniki," str. 60 sq. Anastazy Dunin: „Działanie wojenne, pamiętnik emigr."

[5]) Wysocki, jako twórca powstania, był Skrzyneckiemu niewygodny; to też, chcąc go się z Warszawy pozbyć, wysłał go z tą niefortunną misyą.

Tymczasem generał, mimo swych obietnic ostatecznego rozprawienia się z Kreutzem a dopiero potem wymarszu na Wołyń, korzysta już z pierwszego usunięcia się jemu z drogi korpusu rosyjskiego i idzie prosto do Zamościa, mimo że nieprzyjaciela zostawił na swych tyłach.

13 marca stanął Dwernicki w Nowem Mieście pod Zamościem, gdzie postanowił zatrzymać się czas dłuższy, by dać wojsku wypocząć, by drogi rozmokłe wiosenną odwilżą podeschły i by nawiązać jakieś stosunki z ziemianami, do których się udawał, a o których stopniu przygotowań dotąd nie miał najmniejszego pojęcia. Jeszcze jedna przyczyna, która go zatrzymywała pod osłoną armat Zamościa, było pojawienie się w tych stronach znaczniejszych sił rosyjskich.[1])

Skoro bowiem tylko Dybicz dowiedział się o kierunku wyprawy Dwernickiego, domyślił się jej ostatecznego celu; ażeby zaś do jego spełnienia nie dopuścić, poczynił odpowiednie zarządzenia. Najprzód tedy wzmocnił generała Rüdygera, stojącego w tamtych prowincyach, generał ten bowiem, widząc zbliżającego się ku Bugowi Dwernickiego i czując brak sił, zaraz cofnął się w głąb kraju,[2]) dalej polecił Kreutzowi ścigać Dwernickiego i obserwować go. Lecz nie koniec na tem, Dybicz chciał się pozbyć jednym zamachem tego bądź co bądź niebezpiecznego przeciwnika, który mógł mu ustawicznie szkodzić, przerywając komunikacyę; to też pchnął na południe cały korpus Witta, wzmocniony jeszcze 13 batalionami grenadyerów i brygadą litewskiej gwardyi, a nad tą całą siłą powierzył komendę swemu najzdolniejszemu generałowi, szefowi sztabu hr. Tollowi.[3]).

Te to więc siły zbliżyły się pod Zamość i nie pozwalały Dwernickiemu dalej się posuwać. Generał starał się wyzyskać ten czas i zajął się kompletowaniem i przyprowadzeniem do porządku swego korpusu, co mu wcale dobrze udawało się, jak widać z jego raportów do naczelnego wodza,[4]) zwłaszcza, że i ochotników wiele napływało. To też Dwernicki był pełen najlepszych nadziei, tem

[1]) Dwernicki: „Pamiętniki," str. 54.

[2]) Miał według raportu Cabogi do Gyulai, 15/III (wiedeński Kriegs-Archiv), 16 bat. i 24 szwadr. huzarów a w rzeczywistości według Puzyrewskiego (str. 193) ludzi 11.000.

[3]) Dybicz do Statterheima K. A. 3/X 1831 i z 17/IV IV—49 c.

[4]) Dwernicki do Skrzyneckiego z 18/III, 22/III, 28/III. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 5300.

więcej, że jak pisał do Skrzyneckiego, codziennie odbierał pewniejsze wiadomości, że w tamtych prowincyach zastanie „wszelką gotowość i zasilenie ludźmi i końmi, już zupełnie przygotowanemi.“ [1])

Dwernicki, sam Podolanin, znał trochę tamtejsze stosunki, nie znał ich jednak do tego stopnia, by natychmiast mógł się w sytuacyi zoryentować i by mógł się dokładnie wywiedzieć o rzeczywistym stanie przygotowań. Starał się nawiązać komunikacyę i stać się tą osią wszystkich poruszeń powstańczych. Niestety, nie był szczęśliwym w doborze ludzi, wrodzona zaś poczciwość i łatwowierność nie dozwoliły mu odróżnić prawdy od zmyślonych fantazyj.

Ważnej roli pośrednika między generałem a obywatelstwem wołyńskiem i podolskiem podjął się major Chrościechowski, mylnie Chrościkowskim nazywany, osobistość licha, który przed zarzucanemi mu publicznie różnemi przekroczeniami, wśród których mieścił się i zarzut zdrady, nie mógł czy nie myślał się bronić.[2]) O ile widać z jego listów, był to pospolity fanfaron, który okropnie dużo i gładko umiał mówić, lubił poczciwej a patryotycznie wysoko nastrojonej szlachcie imponować rozmaitymi tytułami i bombastycznymi zwrotami swych enuncyacyj, lecz przed jakąkolwiek bądź przeszkodą lub niebezpieczeństwem zaraz się cofał.[3])

Taki więc człowiek otrzymał od Dwernickiego polecenie zawiadomienia Wołynia o rychłem wkroczeniu generała w te ziemie. Chrościechowski wkrótce wrócił i przywiózł jak najlepsze nowiny o duchu mieszkańców,[4]) które znalazły potwierdzenie w nadchodzących listach. Nawiasowo trzeba dodać, że ta strona kraju, Wołyń, Podole i Ukraina, odznaczała się sangwinicznymi projektami w rzeczach powstania. Bardzo pouczający w tym względzie

[1]) Dwernicki do Skrzyneckiego, 22/III. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 5300.

[2]) Porów. Leon Stempkowski: „O p. Chrościkowskim, dyplomatycznym agencie, pamiętnik emigracyi,“ t. II. str. 2. K. C. Wodziński: „O misyi p. Chrościkowskiego w Litwie,“ V, str. 5 sq. A. Dunin: „Działanie korpusu Dwernickiego,“ II, str. 4 sq. Dwernicki: „Odpowiedź na pismo pod tytułem „Uwagi Karola Różyckiego nad wyprawą generała Dwernickiego na Ruś,“ Londyn, 1837, str. 15 sq. i „Pamiętniki,“ str. 57 i 127. Wrotnowski: „Powstanie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie,“ Paryż, 1837, t. I, str. 105 sq. Różycki Karol: „Uwagi nad wyprawą generała Dwernickiego na Ruś,“ Bruksella, 1837, str. 4 sq.

[3]) Archiw. ks. Czartoryskich, Ms. 5800.

[4]) Dwernicki: „Odpowiedź na uwagi,“ str. 16.

wzór stanowi kompletny projekt powstania, ofiarowany Napoleonowi w r. 1807 przez Horodyskiego. Jednak trzeźwy umysł Napoleona przeniknął zawczasu, jak mało było w tych ofertach rzeczywistej gotowości powstańczej.[1])

Gdzie jednak lekkomyślnemu Dwernickiemu i jego doradcom było do ścisłej krytyki Napoleona! Zaręczano więc w tych listach, że „w przeciągu kilku dni Wołyń da powstańców uzbrojonych do dwudziestu tysięcy;“ wychwalano, że ruch, zwłaszcza na Podolu, miał być najlepszy, a większemu zorganizowaniu jakiejś imprezy przeszkadzał tylko brak broni, bo Rosyanie jeszcze przed kilku dniami porobili rewizye i broń, jaka była, pozabierali, tak, że ledwie mało co zdołano ukryć. Obawa przed prześladowaniami ze strony rządu rosyjskiego była wielka, wzywano więc Dwernickiego, by czemprędzej przybył, „bo duch słabnieć zaczyna tak długiem oczekiwaniem,“ a wobec tego „każdy dzień opóźniony jest do niewynagrodzenia,“ a jeżeli nie wkroczy w przeciągu trzech, czterech dni „zgubieni zostaną wszyscy obywatele dobrze myślący. Dowiedzieli się bowiem Rosyanie o związku powstania.“[2])

Wobec takich nawoływań, generał postanowił wyruszyć, zwłaszcza, że sam był pełen wiary w szczęśliwą przyszłość. Jego nadzieje zaś jeszcze bardziej powiększali przybywający z Wołynia obywatele, którzy mówili mu ustawicznie o wielkich siłach powstania, a o małej ilości wojsk rosyjskich, które pod dowództwem Rüdygera i Rotha miało wyjść ku Dunajowi.[3]) Wymarsz korpusu polskiego mógł nastąpić tem łatwiej, że przeszkody, dla których się generał pod Zamościem zatrzymał, już w większej bodaj części zostały usunięte. Przez ten bowiem czas Dwernicki korpus swój zorganizował, chorych miał wprawdzie dość, lecz wypadku śmierci do 20 marca nie miał żadnego, cholery jeszcze wtedy nie było, żywności miał tyle, że zaopatrywał w nią nawet twierdzę Zamość,[4]) oczekiwał tylko na polepszenie się dróg, by wyruszyć. Z tem też zapewnieniem wysłał po raz drugi Chrościechowskiego. A gdy ten powtórnie generałowi oświadczył, że wszystko jest w gotowości, i że „my na pierwszy za granicą wystrzał z całą siłą bez odwłoki powstaniemy,“ wtedy, nie czekając już dłużej,

[1]) Loret: „Między Jeną a Tylżą,“ Warszawa, 1902, str. 46 i 47, 118 sq. i 127.

[2]) Listy z 2 i 5 kwietnia i list z Brodów pod datą 27/III. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 3930.

[3]) Dwernicki do Skrzyneckiego 22/III. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 5300.

[4]) Dwernicki do Skrzyneckiego 28/III. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 5300.

generał postanawia 10 kwietnia przejść Bug i o tem natychmiast przez Chrościechowskiego zawiadamia Wołyń, by w tym dniu wybuchło powstanie. Nim jednak skierował swój marsz w stronę Wołynia, uczynił wcale udatny manewr w stronę wprost przeciwną ku Wiśle, chcąc zmylić śledzącego go wciąż Tolla, i odciągnąć go od Bugu, by się pozbyć i tej przeszkody. Toll rzeczywiście dał się uwieść, będąc zaś potrzebny w głównej armii, która na początku kwietnia właśnie poniosła kilka klęsk, zaniechał dalszego pościgu i wrócił do Dybicza wraz z całym swym korpusem.

Dwernicki, mając w ten sposób drogę wolną, stanął 9 kwietnia w Kryłowie, a następnego dnia rozpoczął, tak jak zapowiedział, przeprawę przez Bug, co mu tem łatwiej poszło, iż pilnujący przeprawy Rüdyger, nie czując się jeszcze na siłach, nie wzbraniał mu jej, lecz oczekiwał go dopiero nad Styrem.

Po przejściu Bugu, stały polskiemu generałowi dwie drogi otworem, jedna, prowadząca więcej środkiem kraju na Torczyn i Łuck, a druga, wiodąca prawie wzdłuż granicy austryackiej na Horochów, Drużkopol i Boremel. Nadspodziewanie wybrał tę drugą. Znowu więc nie zastosował się do danej mu instrukcyi, która mu nakazywała iść środkiem kraju, a tłómaczy on ten świeży dowód niesubordynacyi w swej „Odpowiedzi“ rzekomym rozkazem, otrzymanym w Zamościu od naczelnego wodza, polecającym mu iść na Krzemieniec do Kamieńca Podolskiego po nad granicę galicyjską. Lecz bardzo godzi się wątpić, czy taki rozkaz rzeczywiście istniał, a najwięcej osłabił wiarę w jego istnienie sam generał, pisząc o parę stronic dalej, że w bliskości granicy znalazł się „mimowolnie,“ a więc bez rozkazu [1]).

12-go stanął, rozprószywszy poprzednio pułk dragonów, w Porycku i wydał odezwę do mieszkańców, nawołującą do powstania. Najbliższym stamtąd etapem był Drużkopol, gdzie też generał, stosownie do instrukcyi, ustanowił władzę krajową Wołynia, której regimentarzem zamianował Michała Czackiego.

I teraz dopiero, po przekroczeniu Bugu, okazało się, jak Dwernicki był źle powiadomiony o stanie gotowości tych ziem

[1]) Dwernicki: Odpowiedź 32 a 39, str. 48. Czy taki rozkaz istniał, tego nie mogłem zbadać, ponieważ nigdzie go nie spotkałem, a oryginał jego miał Dwernickiemu zaginąć. Istnienie jego można niemal z całą pewnością zakwestyonować, zwłaszcza, że i półurzędowa emmcyacya w kronice emigracyi polskiej, T. II, Paryż, 1834, str. 7, nazywa ten ruch ku granicy nieszczęśliwym i błędem, popełnionym przez generała. Porów. Puzyrewski, na str. 136, przypisek 191.

do powstania i jak nie mógł liczyć na poprzednie, niczem nie poparte, szumne zapowiedzi Chróściechowskiego i przyjezdnych obywateli. Zamiast tysięcy ochotników, znalazł w Porycku i Drużkopolu garść szlachty, która go przyjęła chłodno, a choć jeszcze trochę obiecywała, to jednak trzymała się w bezpiecznej rezerwie z obawy przed represyami rządu rosyjskiego.

I wcale się temu dziwić nie można, bo w rzeczywistości można było liczyć tylko na garść szlachty i oficyalistów, reszta ludności była dla sprawy, co najmniej, obojętną. I tak, przedewszystkiem przeważna część magnateryi miejscowej, pod kierunkiem żyjącej jeszcze hetmanowej Branickiej, była przenikniona duchem rosyjskim; nie lepiej było ze szlachtą, której większa część nie sprzyjała rewolucyi, przesiąknięta pojęciami również rosyjskiemi, zwłaszcza w sprawie uwłaszczenia włościan, co wpłynęło niemało i na uchwałę Sejmu warszawskiego, dyskutującego właśnie w tym czasie nad tą sprawą, odraczającą rozprawy w tej kwestyi głównie z obawy niezrażania sobie obywateli tamtych gubernij. Rzeczy w tym kierunku jeżeli nie na gorsze, to na lepsze nie zmieniły się. Wszak już ks. Józef w swej kampanii r. 1792, prowadzonej w tamtych okolicach, uskarża się na brak poparcia ze strony mieszańców, którzy za to chętnie służyli Kachowskiemu [1]), a przecież wtedy świeżą jeszcze była pamięć rządów polskich. Nie mniejszą gorliwość okazało tamtejsze obywatelstwo w służbie Rosyi i w r. 1812, kiedy to mnóstwo żołnierza, dostarczonego z gubernij zachodnich, pierwsze zajęło Warszawę po odwrocie Napoleona z Moskwy. Mając więc takie precedensy, nie można się było łudzić, że teraz stanie się coś nadzwyczajnego i cała ludność da się poruszyć do powstania. Jeżeli zaś tamte dwie warstwy tak łatwo się zżyły z nowym porządkiem, to niema co mówić o ruskich włościanach, których rewolucya nic nie obchodziła. Dwernickiemu, co gorsza, zabrakło i umiejętności i sposobności pozyskania dla niej tych ludzi, a że rząd rosyjski chwycił się bardzo ostrych środków przeciw szlachcie, kilku goretszych wywiózł już nawet na Sybir, więc i ta warstwa znacznie ochłodła i mając się na ostrożności, grzeszyła abstynencyą [2]). Mimo takiego przyję-

[1]) Askenazy: „Książe Józef Poniatowski.“ Warszawa, 1905, str. 26.

[2]) Dwernicki kadry swoje przeważnie o tyle pomnażał włościanami, o ile ich spotkał, jako rekrutów rosyjskich, zakutych w dyby, np. w Latowiczach („Pamiętnik,“ 80), innymi sposobami nie starał się ich pozyskać, a odezwa, wydana w Porycku 12/IV, zwracała się tylko do szlachty.

cia, spodziewając się, że dalej w kraju znajdzie spełnienie tych zapowiedzi, posuwał się generał głębiej ku wschodowi i ku Styrowi, gdzie musiał się wreszcie natknąć na Rüdygera. Miejscem zetknięcia była posiadłość regimentarza Wołyńskiego, Michała Czackiego, położona na północ od Beresteczka i przeprawy nad Styrem, o którą teraz właśnie chodziło. Bój był zacięty, trwał od 18—20 kwietnia i zakończył się przeforsowaniem przez Polaków, choć ze stratami, przeprawy przez Styr. Przebywszy tę rzekę, generał znowu zwraca się na południe, ku granicy austryackiej i na Beresteczko, obok którego nastąpiła ta przeprawa, i na Chocin, idzie do Radziwiłłowa, położonego tuż na samej granicy.

To nowe przylepienie się do granicy austryackiej, od której się już odczepić nie da, wypadło z nowego planu, podjętego przez generała—planu marszu na Podole.

Dwernicki widział, że na Wołyniu, wobec ogólnej apatyi, nic niema do roboty, postanowił więc zwrócić się na Podole, o którem dotąd miał jaknajlepsze mniemanie — co do zbrojnej pomocy. W te strony więc poprowadził po bitwie boremelskiej swój marsz, kierując go głównie na Kamieniec Podolski. A że korpus jego był strudzony bitwą, nadto nie posiadał już wcale amunicyi, więc uznał, że najbezpieczniej będzie iść wzdłuż granicy austryackiej, przy której mógł liczyć na poparcie Galicyan, które było mu teraz tem potrzebniejsze, że naciskał na niego coraz bardziej Rüdyger, otrzymujący coraz więcej posiłków z południa, z Besarabii i Wołoszczyzny, mimo, że tamte prowincye od połowy marca również były objęte niepokojami, głównie buntem chłopów, którzy nie chcieli dawać rekrutów [1]). Od wschodu więc miał Dwernicki przeciw sobie 3 korpusy [2]), mianowicie: IV korpus kawaleryi Rüdygera, III korpus generała Kajzarowa, przedtem Krasowskiego, i przybyły później V korpus Rotha.

Mimo tak trudnego położenia, Dwernicki, mając oparcie o granice, nie wyzbył się nadziei zwycięstwa i pobicia „trzeciego rycerza w wojnie tureckiej“—t. j. Rüdygera [3]). Coraz jednak ciężej

[1]) Najpierwsza poszła dywizya ułanów gen. Nabla z Mołdawii, do Wołoszczyzny z początkiem marca wkroczyć miał gen. Roth z 12.000 korpusem, stojącym przedtem w Besarabii, lecz i on potem otrzymał rozkaz marszu na północ i połączenia się z Rüdygerem. Kiński do Stutterheima, Czerniowce, z 13/III, K. A. III—13 a.

[2]) Stutterheim do Gyulai, Lwów, 6/IV 1831, K. A. V—17, i podpułkownik Karacsay do Stutterheima, Tarnopol, 7/V 1831, K. A. V.—30, 1/1 a.

[3]) Dwernicki do ministra wojny. „Goniec Polski.“ Warszawa 1831, № 93.

przychodzi mu posuwać się ku Podolowi. 21-go kwietnia spędza noc na komorze celnej w Radziwiłłowie, a w dwa dni potem zatrzymuje się w Kołodnem. Tu jeszcze ostatnie wysiłki czyni, by poruszyć Wołyń do insurrekcyi, w chwili przynajmniej, gdy go opuszczał. W tym celu więc poprosił kilku obywateli tam się znajdujących, by podpisali akt powstania tej prowincyi, sporządzony przez ks. Pułaskiego [1]).

Wybrał się jednak zapóźno, bo jak sam powiada: „propozycya ta zdziwiła upadłych na duchu“ — akt został niepodpisany, a obawa skompromitowania tak się zaczęła rozszerzać między tamtejszą szlachtą, że np. właściciel Kołodna, nawet widzieć się z Dwernickim nie chciał [2]).

Wobec takiego przyjęcia, dalszy pobyt w tych stronach był dla Dwernickiego niemożliwym, postanowił więc czem prędzej stąd wydostać się na Podole, gdzie już poprzednio kazał ogłosić powstanie na 15 kwietnia [3]).

Ażeby zaś mieć w dalszym marszu ruchy szybsze, wysłał z Kołodna swego szefa sztabu, Osińskiego, do Galicyi z propozycyą przyjęcia chorych do tamtejszych lazaretów. W Galicyi zgodzono się na to, a Dwernicki, zbywszy się balastu, mógł raźniej postąpić naprzód — i nawet przyjąć bitwę. Do powtórnego bowiem starcia lada dzień mogło przyjść wobec tego, że nadchodził właśnie z Mołdawii korpus Rotha i mógł mu zamknąć drogę od Kamieńca.

Że zaś Dwernicki właśnie tam postanowił iść, więc nic innego nie wypadało mu zrobić, wobec zamknięcia drogi, jak tylko przebić się przez lewe skrzydło tego korpusu, idące po nad Zbruczem. Pozycya do przyjęcia boju i przebicia się znalazła się wkrótce po przejściu, 25 kwietnia, wsi Kośląki, obok karczem Lulinieckich. Położenie to było o tyle dobre, że pozwalało działać wszystkim trzem gatunkom broni, a więc jazda miała polanę do rozwinięcia się, piechota dębinę do tyralierki i osłony, a artylerya wzgórza, z których mogła razić nieprzyjaciela. Lepszej pozycyi już nawet nie można było wybierać, wobec tego, że dalej są źró-

[1]) Motywował on w swej pierwszej części akces tej ziemi do powstania, w swej zaś drugiej części normował swój stosunek do rządu Królestwa. Ms. Ossolineum, № 520.

[2]) Dwernicki, „Pamiętnik“ 113; Dembowski, „Moje wspomnienia.“ Petersburg, 1898, II, 238.

[3]) Sprawozdanie Ksawerego Sabbatyna z 30/V 1831. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. 3889.

dła Zbruczu, pełne błot i bagnisk, które, będąc nie do przebycia, gwałtem musiały oderwać generała od jego parawanu, granicy austryackiej.

Wogóle położenie korpusu polskiego, mimo nawet tej względnie dobrej pozycyi, było wprost rozpaczliwe, ponieważ ze wszystkich stron był otoczony, z wyjątkiem prawego skrzydła, opierającego się o granicę, do czego przyłączały się jeszcze inne mankamenty, jak znaczny ubytek z szeregów poległych i chorych, dalej niedostatek żywności i, co najważniejsza, amunicyi.

Rüdyger jednak nie atakował go, owszem, wykonywał różne obroty przez cały dzień 26 kwietnia, byleby tylko wywabić Dwernickiego z jego stanowiska. To mu się jednak nie udało.

Wśród takich to okoliczności zwołał Dwernicki po raz pierwszy w ciągu całej kampanii swą radę wojenną, której jednak przebiegu nie podaje, wiemy o niej tylko tyle, że zgromadzeni oficerowie oświadczyli swą gotowość do pełnienia rozkazów [1]) i postanowili wytrwać na pozycyi, oczekując amunicyi z Zamościa, i spodziewając się dywersyi na tyłach nieprzyjaciół, dokonanej czy to przez wojsko, wysłane mu na pomoc z Królestwa, czy też przez powstańców wołyńskich i podolskich. Nadzieje te jednak i rachuby na bardzo słabych opierały się podstawach. Rząd Narodowy wprawdzie myślał o korpusie Dwernickiego i starał się mu dopomódz, część tych usiłowań jednak się nie udała, część przyszła za późno. I tak, generał Sierawski, mający utrzymywać przynajmniej jakieś czucie z Dwernickim, poniósł porażkę 17 kwietnia pod Wronowem, wysłany zaś z Warszawy świeży korpus pod Chrzanowskim, który miał nieść Dwernickiemu pomoc, przybył za późno [2]).

Również prócz tej doraźnej pomocy starano się z Warszawy, za pomocą Galicyan, nawiązać komunikacyę z generałem, ustanawiając Brody jako punkt, przez któryby szła broń na Wołyń, dla której zakupienia wysłano nawet specyalnego agenta z pieniędzmi. Również proszono w stolicy tamtejszych obywateli o dostarczenie lekarzy, których był brak korpusowi polskiemu, jakoteż koni, których Królestwo bardzo mało miało [3]).

[1]) Dwernicki: „Pamiętnik," str. 117.

[2]) Kronika emigracyi. T. II, str. 6.

[3]) Pismo Rządu Narodowego, zdaje się, do Pietruskiego. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. № 5302.

Ustanowiono osobnego agenta dyplomatycznego, mającego utrzymywać łączność i komunikacyę z Dwernickim i na to stanowisko mianowano 16 kwietnia Referendarza stanu ministeryum spraw zagranicznych, Jelskiego. Ten zawiadomił generała o swojem posłannictwie, lecz niestety także zapóźno, bo listem wysłanym właśnie 27 kwietnia [1]). W rezultacie więc, choć były usiłowania niesienia mu pomocy, to jednak, jak już wyżej zaznaczyłem, albo wcale się nie udały, albo były spóźnione, tak, że korpus w rzeczywistości znikąd nie został wsparty. To też godziny jego istnienia były policzone.

Ranek 27 kwietnia wstawał zasnuty mgłami: pod osłoną ich nieprzyjaciel wykonywać począł ruchy, zmierzające do atakowania polskiego korpusu, który tymczasem, spodziewając się walki, do niej się szykował. Dwernicki przyjmował właśnie trzech austryackich oficerów, majora Augusta, rotmistrza huzarów ks. Schwarzburga i porucznika Horwatha, przybyłych z wyrzutami za zajęcie kawałka terytoryum austryackiego i z żądaniem opuszczenia go, gdy wśród tej rozmowy przybył adjutant Dwernickiego z raportem o napadzie Rüdygera na lewe skrzydło polskie. Dalsze wiadomości były jeszcze gorsze, bo oto Rosyanie, korzystając z mgły, przeszli w jednem miejscu granicę austryacką i poczęli zagrażać prawemu skrzydłu polskiemu. Równocześnie poczęli naciskać i centrum. Wtedy Dwernicki, nie chcąc być otoczonym i wziętym z całym korpusem do niewoli, uprzedził oskrzydlający ruch lewego skrzydła nieprzyjacielskiego i przeszedł do Galicyi. Tu ścigała go wprawdzie część kawaleryi rosyjskiej, lecz na skutek interwencyi podpułkownika huzarów austryackich, Fackha, pościgu tego wkrótce zaniechała.

Nader ciekawym jest tu fakt, kto pierwszy przekroczył granicę. W rzeczywistości pierwszy uczynił to Dwernicki jeszcze w poprzednich dniach, lecz to nie miało żadnych poważniejszych następstw, bo skończyło się na wymianie słów między generałem polskim a oficerami austryackimi. O wiele ważniejszem w następstwach było przekroczenie granicy drugie. Ważną zwłaszcza była ta okoliczność, kto wtedy pierwszy naruszył granicę austryacką.

Fakt ten jest pomijany i u Puzyrewskiego, i u Willisena, i u Kunza, jako dość drażliwej natury i jako niezbyt dokładnie

[1]) Jelski do Dwernickiego, Sandomierz 27/IV. Arch. ks. Czartoryskich Ms. № 5300.

wyjaśniony [1]). Dopiero dzięki dochodzeniom władz austryackich, w tej sprawie bezpośrednio interesowanych, wychodzi na jaw, kto pierwszy przekroczył granicę. To też tylko w źródłach austryackich znaleźć można wyjaśnienie tego faktu.

I tak, Lobkowitz w swym liście, dołączonym do pisma ks. Adama Czartoryskiego, wystosowanego 24 czerwca do ks. Metternicha w sprawie Dwernickiego — powiada wyraźnie, że Rosyanie najpierw weszli na terytoryum austryackie, przy czem nietylko zachowywali się nieprzyjaźnie względem Dwernickiego, ale dopuszczali się też nadużyć na poddanych austryackich, tak, że nawet dwu zabili [2]). Jeszcze bliższe okoliczności tego podaje wysłannik austryacki w obozie rosyjskim, podpułkownik minierów, hr. Caboga. Według niego, Rüdyger, starając się napróżno wywabić Dwernickiego z jego pozycyi, rozkazał w nocy z 26 na 27 kwietnia gen. Bergowi przejść na czele oddziałów jazdy przez granicę austryacką i zaatakować z tamtej strony wojsko polskie [3]).

[1]) Puzyrewski, 199. Willisen: „Der russisch polnische Feldzug," Leipzig, 1868, II. str. 77. Hermann Kunz: „Der russisch polnische Krieg von 1831." Berlin, 1890, str. 58.

[2]) „Die Angabe dass die Russen das österreichische Gebiet zuerst mit gewaffneter Hand überschritten u. sich Feindseligkeiten gegen Dwernicki und Excesse gegen unsere Unterthanen, wobei zwei getödtet wurden, erlaubten, ist auch durch die hierortigen, ämtlichen Erhebungen anweisen, wogegen auch dargethan ist, dass die Polen auf österr. Grund und Boden durchaus keinen Gebrauch von ihren Waffen machten." Arch. Minist. d. Innern.

[3]) „Beiträge zur polnischen Revolutions Geschichte vom Jahre 1830—31. Nach den Raporten den k.k. österreichischen Offiziere, welche unter dem Komando des Obersten Grafen Caboga ins russische Lager zur Beobachtung beordnet waren." Rękop. Ossol. № 900.

„Dieser (Rüdiger) suchte 2 Tage lang vergeblich die Polen aus Ihrer vortheilhaften Stellung zu locken und liess dann in der Nacht vom 26. zu 27. April den Generalmajor von Berg mit einem Theile der Reiterey einige Meile hinter Dwernicki rechten Flügel über die österr. Grenze gehen und in den Wald dringen an welchen sich die Polen mit ihren Rücken lehnten. Dieses bewog den polnischen General eine vortheilhafte Stellung aufzugeben und sich ebenfalls zwischen Hnielce wielkie und Liszyczyńce auf das österreichische Gebiet zu ziehen, wohin ihn die russischen Collonen lebhaft verfolgten."

To samo stwierdza Stutterheim w raporcie do Gyulaia z 10/V: „wegen des Uebertritts des Dwernickischen Corps auf das diesseitige Gebiet hat mir der Oberst Chev. Fackh nachträglich die Mittheilung gemacht, dass eigentlich die Russen zuerst unseren Boden betraten."

Fakt, że Rosyanie pierwsi przekroczyli granicę austryacką, był również najważniejszym punktem obrony Dwernickiego, zaraz w pierwszych jego i jego podwładnych raportach i sprawozdaniach i na to też zrzucono nieudanie się tej wyprawy.

Lecz czy rzeczywiście był to taki ważny powód katastrofy, czy nie było ważniejszych? Nie ulega wątpliwości, że ten krok Rüdygera zmusił ostatecznie generała do przejścia na stronę galicyjską, lecz nie on jeden sprowadził zagładę – ona gotowała się już znacznie wcześniej, niewidzialnie szła w tropy korpusu już od Zamościa. Już więc od czasu pobytu generała pod tą twierdzą, a nawet jeszcze wcześniej, trzeba szukać powodów klęski.

Zacząwszy od otrzymania rozkazu marszu na Wołyń, już to niezastosowanie się do niego, spaczyło wyprawę, którą generał w dalszym ciągu do reszty zwichnął, przechodząc niewłaściwie z ofenzywy w pozycyę bierną, wyczekującą. Za tymi błędami idą dalsze, jak zostawienie na tyłach całego korpusu Kreutza, jak brak należytego porozumienia się z powstańcami ziem, do których wkraczał, nieumiejętność wyzyskania tamtejszych elementów, mogących służyć sprawie insurrekcyi, dalsze niezrozumienie przysłanej mu instrukcyi, zwłaszcza jej punktu piątego, mówiącego o korzyściach, jakie może odnieść z bliskiego położenia Turcyi i Austryi. Bliskość pierwszej chciał wyzyskać, zapatrując się w tem na Naczelnego wodza, w sposób dyplomatyczny. Wysłał mianowicie tam dwu swoich oficerów z listem do posła francuskiego, Guilleminot, w Konstantynopolu, których jednakże, już ze Lwowa, agent polski, Pietruski, zawrócił, uznając niestosowność tego rodzaju posłannictwa [1]). Co do Austryi, zamiast użyć jej, jak mu to instrukcya wskazywała, do dostarczania broni, amunicyi, do nawiązania komunikacyi z główną armią i wogóle do spełniania wszelkich funkcyj pomocniczych: on uznał ją niemal za swoją podstawę operacyjną i znalazłszy się „mimowolnie“ w jej pobliżu, zaraz prawie od pierwszej chwili wstąpienia swego na ziemię wołyńską, raz ją tylko opuścił, by znów po paru dniach do niej się przyczepić. Ten zaś błędny kierunek wytyczny marszu stał się głównym powodem jego zguby. Najlepiej świadczą o tem rapor-

[1]) Dwernicki: „Pamiętnik,“ 87; Dembowski, II, 236. „Rząd Narodowy pragnął użyć wszelkich środków, byleby sprawę za granicą poruszyć, to też czuł żal do Pietruskiego, że nie dozwolił jechać tym oficerom do Konstantynopola, bo by to nic przynajmniej zaszkodzić nie mogło“ — koncept listu. Arch. ks. Czartoryskich, Ms. № 5302.

ty Cabogi i Stutterheima, z czasu, kiedy się jeszcze w obozie polskim nie śniło o katastrofie, bo z 15 i 20 marca, zgodnie stwierdzające, że Dwernickiemu nie pozostaje nic innego, jak porzucić swą piechotę wraz z armatami w Zamościu, z jazdą prowadzić jakiś czas partyzantkę, której ostateczny wynik jest przejście na austryacką stronę [1]). Tymczasem generał zabrał z Zamościa całą piechotę, partyzantki nie prowadził, lecz staczał regularne bitwy i trzymał się z dziwnym uporem tej austryackiej granicy, wysyłając do Galicyi rannych, wychylając toasty na cześć austryackiego cesarza, i wychodząc nawet kilkakrotnie swojem skrzydłem po za nią, co wywołało protesty ze strony austryackiej. Ciekawił go też bardzo los takich, którzyby przeszli na stronę austryacką i poddali się cesarzowi. W tej materyi prowadził nawet dwukrotnie rozmowy z oficerami austryackimi, przybyłymi do niego właśnie z pretensyami z powodu naruszenia galicyjskiego terytoryum.

I tak, pierwszą taką rozmowę miał 26 kwietnia z rotmistrzem ks. Schwarzburgiem i komisarzem cyrkularnym Bogdanyem, a otrzymawszy od nich niepomyślną odpowiedź [2]), ponowił ją następnego dnia, gdy przybył do niego major August z podobnemiż

[1]) Stutterheim do Gyulai 20/III, III—18: „...so dürfte er, gegenwärtig nur auf dem festen Punkt von Zamość beschränkt sein, Geschütz und einen Theil seiner Infanterie dorten zurücklassen, mit der Cavallerie aber, wenn sich eine Gelegenheit ergiebt, den Parteigänger Krieg fortsetzen, dessen Wechselfälle ihn leicht auch über unsere Gränze bringen können...“ Opierał się on, o ile się zdaje, na raporcie Cabogi z 15/III, który, opisując przygotowania rosyjskie przeciw Dwernickiemu, kończy, że temu generałowi wypada zostawić piechotę w Zamościu: „mit der Cavallerie aber, da er nicht leicht wieder über die Weichsel wegen dem begonnenen Eisgang kommen dürfte, entweder noch einige Zeit herumführen, oder sich nach der österreichischen Grenze zu flüchten.“

[2]) Stutterheim do Sedlnitzky'ego, 29/IV: „Am 26 d. M. hatte der H. Rittmeister Fürst Schwarzburg u. der Kreiskommissair Bogdany eine Unterredung mit dem Gl. Dwernicki wegen Besetzung eines Theiles des österr. Gebietes, welche Dw. durch den Drang der Umstände zu entschuldigen trachtete. Im Laufe des Gespräches kam auch die Frage zur Sprache, wie die polnischen Militairs behandelt werden würden, wenn sie sich auf das öst. Gebiet zurückzuziehen genöthigt sein sollten. Der H. Rittmeister erklärte, dass sie gleich Deserteuren den russischen Truppen ausgeliefert werden würden. Hierüber höchst betroffen äusserte der Gl. dass das Vertrauen der polnischen Militär bei ihrem Rückzuge in die österr. Regierung u. die Gastfreundschaft selbst, eine billigere Behandlung erheische und er bitten würde der Waffen den freien Durchzug zu gestatten.“ Arch. minist. M. d. I.

pretensyami [1]), wtedy to zapewniał generał oficerów austryackich o swych przyjaznych dla Austryi zamiarach i prosił powtórnie o obronę przeciw Rosyanom na wypadek przejścia jego na stronę austryacką i złożenia tam broni [2]).

To sprawozdanie oficerów austryackich z tych rozmów jest decydującem świadectwem, stwierdzającem, jak z gruntu fałszywe zapatrywania miał generał co do swego posłannictwa w te strony. Nie były one temi samemi, które on potem w swym „Pamiętniku“ [3]) pokazuje na widok publiczny; generał wcale nie czynił żadnych przygotowań dla przebicia się i prowadzenia dalszej wojny podjazdowej, jak się chwali, przeciwnie, czynił on przygotowania, zmierzające do tego, co ostatecznie w czyn wprowadził — inaczej by się nie trzymał tak ściśle granicy austryackiej, mimo przeciwnych rozkazów i dwukrotnie nie pytał, jaki los czeka przechodzących przez austryacką granicę [4]), pisał zaś o tych planach dalszej walki po to tylko, byleby się uchronić przed zarzutami, że cały korpus doprowadził na zgubę.

W nieudaniu tej wyprawy największy ciężar zarzutów ponosi generał; winę jego powiększa i to, że ten fakt sam przez się podziałał demoralizująco i na innych dowódców, którzy już nie próbowali walczyć do końca, lecz szukali schronienia pod obcą flagą— jak to czynił Kołyszko, Giełgud i tylu innych [5]).

Obawy sztabu głównego, przy nominacyi Dwernickiego wyrażone, były całkiem słuszne i w niedługi czas potem miały się spełnić. Choć brawury i dzielności odmówić mu niepodobna, to

[1]) A nie jak w swym „Pamiętniku“ str. 118 twierdzi, z wyrzutami, „iż oparcie się korpusu polskiego o granicę spowodowało już Moskali do przejścia takowej.“

[2]) Major August do pułkownika Fackha. Arch. Dzieduszyckich. Miscell. IV. 8. a.

[3]) Dwernicki: „Pamiętnik,“ str. 117.

[4]) Wogóle trzeba bardzo ostrożnie czytać „Pamiętniki“ generała, zwłaszcza w miejscach, które są dla niego bardziej drażliwe. Całe jego np. rozumowanie na str. 120 i nast. co do jego postępowania w czasie tej wyprawy nie może wytrzymać silniejszej krytyki.

Wiarygodniejsze są już artykuły, wydawane przez jego adjutanta A. Dunina w „Pamiętniku Emigracyi,“ a pisane przez samego Dwernickiego, ponieważ generał przedstawia tam wypadki nie w duchu apologetycznym, jakim owiany jest jego „Pamiętnik,“ a jeszcze bardziej jego „Odpowiedź,“ lecz tak mniej więcej, jak się rozwijały, unika tylko bardziej dla siebie drażliwych kwestyj.

[5]) Sierawski Napoleon: „Pamiętnik,“ Lwów, 1907, str. 205.

jednak do zadania, jakie go czekało, wcale nie dorósł. Wobec tego, trudno się pogodzić z pochwałami, jakie mu oddaje Willisen, stawiający go na Naczelnego wodza w miejsce Skrzyneckiego i porównujący go z Blücherem [1]).

Wyprawa, przez tego generała kierowana, zamiast wyrosnąć na „wielką wojnę," zmalała do nieznacznej „échauffourée" (wyrażenie Metternicha) [2]) i słusznie spotkało się z surową oceną najgenialniejszego ówczesnego strategika, Prądzyńskiego, który powiedział o niej, że była wielkim błędem [3]).

Wyprawa w gubernie zachodnie mogła mieć cel dwojaki: albo wywołania tam powstania, albo uczynienia dywersyi na tyłach armii rosyjskiej. Co do pierwszego, to wobec realnych stosunków, panujących w południowych prowincyach, było ono wprost niemożliwe. Na powstanie liczyć można było i należało tylko na Litwie, gdzie był i grunt odpowiedni i związek z Królestwem ściślejszy.

Pozostawałaby więc tylko dywersya i według wszelkiego prawdopodobieństwa, Prądzyński, układając instrukcyę dla Dwernickiego, miał ją tylko na uwadze, chciał ją wywołać w armii rosyjskiej samem postrachem powstania. W tym też celu polecił wziąć Dwernickiemu tylko mały korpusik jazdy, wysyłając go, według wyrażenia strategii, jako „enfant perdu."

Lecz do tego trzeba było, by kierownik tej wyprawy miał zdolność do partyzantki i, co więcej, trzeba było, by miał serce ofiarne, zdolne do poświęcenia siebie dla sprawy. Tego, niestety, nie było.

Bronisław Pawłowski.

[1]) Willisen: „Der russisch-polnische Feldzug," II T., 233.

[2]) Aus Metternich Nachgelassenen Papieren. Wien 1882, V, Band, str. 128.

[3]) Prądzyński: „Pamiętnik," str. 115.

Druga Konferencya Pokojowa.

Po czteromiesięcznej pracy, przerywanej licznymi bardzo bankietami, urzędowi przedstawiciele mocarstw, państw i państewek całego cywilizowanego świata, obradujący w stolicy holenderskiej nad sprawami pokoju, rozjechali się do domu. Wypadek ten opinia publiczna powitała z tą samą obojętnością, z jaką przyjęła wiadomość o zwołaniu drugiej konferencyi pokojowej i z jaką spoglądała na jej obrady. Powodując się obowiązkiem dziennikarskim, organa opinii publicznej podawały z jawnych, a po części i z tajnych posiedzeń konferencyi, mniej lub więcej obszerne sprawozdania, publiczność jednak czytająca zapatrywała się na te relacye bardzo sceptycznie. W każdym razie nie było ani śladu tego zainteresowania, jakie wywołała w całym świecie cywilizowanym pierwsza konferencya pokojowa, zwołana przed dziesięciu laty z inicyatywy Cesarza rosyjskiego. Widocznie skromny nad wyraz wynik pierwszej tej urzędowej akcyi pokojowej podziałał ochładzająco na umysły, najskłonniejsze nawet do optymizmu, obudził poważne wątpliwości w skuteczność tego rodzaju usiłowań.

Wątpliwości te były aż nadto uzasadnione. Jeśli się bowiem pominie drugorzędne kwestye, dotyczące złagodzenia okrucieństw wojny i t. p., to wynik drugiej konferencyi pokojowej zawiódł najskromniejsze nawet nadzieje i oczekiwania. Przedewszystkiem więc zakończyły się zupełnem niepowodzeniem obrady aeropagu mocarstw i państw nad dwoma najważniejszemi zagadnieniami, jakie przedstawione zostały świeżo zamkniętej konferencyi: nad sprawą rozbrojenia, czyli wyrażając się ściślej, ograniczenia uzbrojeń i nad ustanowieniem obowiązkowej czy nawet przymusowej arbitracyi.

Sprawa ograniczenia uzbrojeń od dość już dawna zaprząta umysły nie tylko prywatnych socyologów i przyjaciół pokoju, ale i praktycznych polityków. Zrozumieć to łatwo. Olbrzymie, a przytem wzrastające z rokiem każdym wydatki na cele wojskowe, obciążają do tego stopnia wszystkie prawie ucywilizowane narody, że wiele bardzo najpilniejszych zadań prawdziwie kulturalnych dla braku odpowiednich środków materyalnych leżeć musi odłogiem. Straszliwy rynsztunek wojenny tamuje dzisiejszym społeczeństwom wszelki oddech, krępuje ich swobodę ruchu, zmusza do bezustannego składania owoców wytężonej swej pracy na nieproduktywnym ołtarzu groźnego molocha—militaryzmu.

Z natury rzeczy opozycya ta przeciw zwiększającym się stale ciężarom wojskowym, nurtująca społeczeństwa, udzielić się musiała i kierującym mężom stanu. Najpierw oczywiście w Anglii, gdzie koła rządzące najczęściej liczyć się muszą z głównymi prądami opinii publicznej. Podług więc relacyj znanego apostoła pokoju Williama Steada, zawartych w jego *Chronique de la Conférence de la Haye*, *1899*, już w r. 1889 ówczesny prezes angielskiego gabinetu, lord Salisbury, polecił sporządzić poufny dokument o corocznych wydatkach Europy na cele wojskowe. W dokumencie tym stwierdzono, że Francya, Niemcy, Austro-Węgry, Anglia, Rosya, Hiszpania i Włochy od 1881 do 1887 r., czyli w okresie sześcioletnim, wydały jedynie na armie lądowe i na floty blizko 10 miliardów rubli. Lord Salisbury przesłał ten dokument cesarzowi niemieckiemu, który, przerażony olbrzymią liczbą, wyraził zamiar natychmiastowego zwołania kongresu europejskiego w „sprawie zarządzenia środków, mających na celu zabezpieczenie pokoju.“ Projekt ten rozbił się podobno o opór Francyi.

W tym samym mniej więcej czasie poseł Illingworth wystąpił w angielskiej Izbie gmin, z zapytaniem, czy rząd nie zechciałby nawiązać z mocarstwami stałego lądu rokowań w sprawie zmniejszenia wydatków na cele wojskowe. W kilka lat później (24 czerwca 1892 r.) sprawę tą poruszył w parlamencie niemieckim jeden z przywódców katolickiego centrum, poseł Reichensperger, który zwrócił się do ks. Bismarcka z zachętą, aby zwołał konferencyę w sprawie rozbrojenia. W roku następnym, po upadku Bismarcka, inny przywódca centrum, poseł Lieber, podjął na nowo sprawę rozbrojenia, przemawiając za zabezpieczeniem pokoju wszechświatowego przez stawienie go na szerokiej podstawie międzynarodowej. „Stanowiłoby to—mówił dalej poseł Lieber—piękne i wielkie zadanie „nowego kursu,“ zadanie, którego rozwiązanie wyniosłoby go wysoko ponad wszelkie dawniejsze tryumfy, gdyby znalazł w sobie

rozum i siłę do zaniechania dotychczasowej bismarkowskiej polityki przemocy i wstąpienia na nowy grunt poszanowania prawa w całej Europie.“

Nie koniec jednak na tem. Ze świeżo ogłoszonego listu zmarłego przed kilku laty włoskiego prezesa gabinetu, Crispiego, do jednego z przyjaciół wynika, że cesarz Wilhelm z okazyi swej wizyty w Watykanie, d. 23 kwietnia 1893 r., rozmawiał z papieżem o rozbrojeniu i wyraził nadzieję, że sprawa ta rozwiązana będzie na kongresie europejskim. Leon XIII pochwycił gorąco tę myśl i już w przemówieniu swem do kardynałów w święto Bożego Narodzenia r. 1893 wyraził życzenie, aby zebrała się międzynarodowa konferencya w sprawie rozbrojenia. W ogłoszonej zaś w roku następnym encyklice przeciw zbrojnemu pokojowi mieści się następujący ustęp: „Wybornym, mianowicie w naszych czasach pożądanym środkiem byłoby dalej wytworzenie jedności celem zapobieżenia straszliwemu niebezpieczeństwu wojny. Od wielu już lat pokój jest więcej pozorny, niż rzeczywisty. Pokój uzbrojony, istniejący obecnie, stał się prawie nieznośny. I to miałby być naturalny stan wspólnego pożycia ludów?“ I w latach następnych Leon XIII wyrażał się kilkakrotnie w podobnym duchu. Zdaje się to przemawiać za tem, że sprawa rozbrojenia stanowiła w rzeczy samej przedmiot jego rozmowy z niemieckim cesarzem.

Los jednak, jakiego doznał projekt rozbrojenia na świeżo zamkniętej konferencyi pokojowej, dowodzi, że w ostatnich czasach nastąpiła w zapatrywaniach cesarza Wilhelma na tę sprawę radykalna zmiana. Niemcy bowiem protestowały najenergiczniej przeciw wszelkiemu ograniczeniu uzbrojeń i głównie się przyczyniły do obezwładnienia akcyi, podjętej w tej sprawie przez Anglię.

Zaprzeczyć się zresztą nie da, że rząd angielski zabrał się nadzwyczaj niezręcznie do dzieła. Obecny kierownik polityki angielskiej, sir Henryk Campbell-Bannerman, oświadczył niezwłocznie po dojściu do władzy, że Anglia pragnie ograniczenia uzbrojeń i że z odnośnym projektem wystąpi na konferencyi pokojowej. Tymczasem okazało się w stanowczej chwili, że rząd angielski ani nie opracował takiego projektu, ani, co ważniejsza, nie zapewnił sobie poparcia państw, biorących udział w konferencyi. Wobec więc regulaminu, wymagającego jednomyślności uczestników, wystąpienie Anglii w sprawie ograniczenia uzbrojeń skazane było na niechybne fiasko z chwilą, w której jedno tylko z mocarstw oświadczyło się przeciw temu ograniczeniu.

W szczerość intencyi rządu angielskiego wątpić niema potrzeby. Sir Henryk Campbell-Bannerman jest zdawien dawna

zdeklarowanym przyjacielem pokoju. To samo powiedzieć można o całem liberalnem stronnictwie, panującem w Anglii po świetnem zwycięstwie, jakie w ostatnich wyborach do parlamentu odniosło nad zachowawcami. Nie należy więc akcyi angielskiej w sprawie rozbrojenia podsuwać egoistycznych motywów, jak to czynią Niemcy, którzy dowodzą, że Anglia z tego jedynie powodu przemawia za ograniczeniem uzbrojeń na stałym lądzie Europy, aby tem bezpieczniej korzystać z olbrzymiej przewagi swej floty.

Z drugiej jednak strony przyznać trzeba, że właśnie dla Niemiec sprawa rozbrojenia jest najdrażliwsza i najryzykowniejsza. Położone w środku kontynentu europejskiego, pozbawione na ogół naturalnych granic, znienawidzone przytem przez świat cały wskutek brutalnej swej wewnętrznej i wyzywającej zagranicznej polityki, jedynie materyalnej swej sile, armatom swym i karabinom, zawdzięczają swe bezpieczeństwo i swą międzynarodową przewagę. Pozatem duch najskrajniejszego militaryzmu do tego stopnia przeniknął cały organizm tego państwa, że wszelkie zamachy na urządzenia wojskowe spotykają się z energicznym protestem większości narodu, a przynajmniej warstw jego kierujących.

Dodać do tego należy, że ustanowieniu jakichkolwiek stałych, racyonalnych i ogólnie obowiązujących prawideł ograniczenia uzbrojeń przeciwstawiają się przeszkody, trudne do zwalczenia. Czy zacząć wypada od okrojenia budżetu wojny lub od redukcyi armii stałej, albo od zmniejszenia corocznego poboru rekruta? Czy ograniczenie uzbrojeń obejmować ma tylko armię, lub również i flotę wojenną? Jak wreszcie wyobrażać sobie należy instancyę, któraby czuwała nad wykonywaniem odnośnych uchwał konferencyi w poszczególnych państwach? Wszystkie te zasadnicze kwestye wniosek angielski, domagający się stopniowego rozbrojenia, pomijał milczeniem.

Wobec tego zrozumieć można Niemców, którzy oświadczyli z góry, że nie wezmą wogóle udziału w obradach, nie opartych na żadnych realnych podstawach. Za przykładem Niemiec podążyły Austro-Węgry, które w ostatnich czasach zdają się coraz częściej zrzekać wszelkiej samodzielnej inicyatywy w polityce międzynarodowej i zadawalać się rolą satelity potężnego swego sprzymierzeńca.

Ale opozycya odezwała się na konferencyi haskiej i ze strony, skądinąd całkiem przeciwnej interesom i celom polityki niemieckiej. Do przeciwników więc mocarstwa angielskiego przyłączyła się także Francya, obawiająca się w dalszym ciągu, słusznie czy nie słusznie, najazdu ze strony uzbrojonego od stóp do głów

wschodniego swego sąsiada i pragnąca dla odwrócenia niebezpieczeństwa dorównać mu w wyścigu na polu uzbrojeń.

Zrozumieć nie trudno, że i Rosya w obecnym swym stanie, zajęta gorączkowem wyrównywaniem szczerb, jakie wydarła w jej armii i marynarce ostatnia wojna z Japonią i przygotowywaniem się do odwetu, zamierzonego w bliższej czy dalszej przyszłości, zapalić się nie mogła nadmiernie do idei rozbrojenia, a choćby tylko częściowego ograniczenia uzbrojeń.

Tak więc zagrażało angielskiej akcyi pokojowej kompletne fiasko. Rzecz jednak prosta, że równające się prowokacyi odrzucenie wniosku, z jakim wystąpiła Anglia, nie leżało w interesie konferencyi. Zaczęto więc w sposób gorączkowy szukać jako tako przyzwoitej drogi wyjścia z nadzwyczaj trudnego położenia. Znaleziono ją w zamienieniu wniosku w proste życzenie, które, nie obowiązując w gruncie rzeczy nikogo do niczego, osłaniało jednak odwrót angielski i nie obrażało nadmiernie miłości własnej Anglików. Życzenie to (voeu) ubrane dla przyzwoitości w formę rezolucyi, brzmi jak następuje:

„La conférence confirme la résolution, adoptée par la conférence de 1899 à l'égard de la limitation des charges militaires, et vu que les charges militaires se sont considérablement accrues dans presque tous les pays depuis ladite année, la conférence déclare que la question est plus que jamais urgente et qu'il est désirable de voir les gouvernements reprendre l'étude de cette question."

(Konferencya zatwierdza rezolucyę, przyjętą przez konferencyę z roku 1899 w sprawie ograniczenia ciężarów wojskowych i wobec tego, że ciężary te wojskowe zwiększyły się znacznie we wszystkich prawie krajach od owego roku, konferencya oświadcza, że sprawa ta jest pilniejsza, niż kiedykolwiek przedtem, oraz, że rzeczą jest pożądaną, aby rządy przystąpiły do zbadania tej kwestyi.)

Ale nawet ta niewinna rezolucya doszła dopiero do skutku po długich bardzo naradach i energicznych sporach. Targowano się o pojedyńcze wyrazy i potrzeba było całej zręczności i taktu prezesa delegacyi francuskiej, p. Bourgeois, aby skłonić Niemców do zaniechania oporu i zapewnić rezolucyi przyjęcie przez wszystkich uczestników konferencyi.

Góra rodząca wydała więc mysz maleńką. Rezolucya, zachęcająca rządy do badania kwestyi ciężarów wojskowych, jest nie tylko niewinna, ale i do pewnego stopnia naiwna. I bez tej zachęty rządy badają tę kwestyę od dawna i gruntownie. Ale z ba-

dań tych nie wynika ograniczenie uzbrojeń, lecz owszem bezustanne ich zwiększanie. Bo każde mocarstwo, badając wzrost uzbrojeń u swego sąsiada, już ze względu na własne bezpieczeństwo dorównywać musi mu kroku, choćby kosztem największych ofiar. W takich warunkach rezolucya, przyjęta przez konferencyę, nie jest niczem innem, tylko nowem świadectwem bezsilności, gdy chodzi o jako tako skuteczne zapobieżenie przyszłym zatargom wojennym.

* * *

Lepsze widoki, niż wnioskowi o rozbrojeniu, zdawały się uśmiechać projektowi stałego i obowiązkowego trybunału rozjemczego oraz przymusowej arbitracyi. Tutaj budowano przynajmniej na czemś pozytywnem, stworzonem przez pierwszą konferencyę pokojową. Głównym i właściwie jedynym wynikiem tej konferencyi było ustanowienie międzynarodowego trybunału rozjemczego, który jednak zbierał się jedynie w każdym poszczególnym wypadku, i w którym każda z dwóch stron wybierała rozjemców. Trybunał ten w kilku wypadkach w rzeczy samej cenne sprawie pokojowej oddał usługi, pomiędzy innemi załatwił w sposób polubowny zatarg rosyjsko-brytański, wywołany bombardowaniem angielskich łodzi rybackich na morzu Północnem przez flotę admirała Rożestwienskiego, płynącą ku Dalekiemu Wschodowi.

Drugiej konferencyi przedstawiono projekt rozszerzenia dotychczasowej organizacyi sądów polubownych przez ustanowienie stałego wszechświatowego trybunału rozjemczego i uchwalenie przymusowej arbitracyi.

Myśl tę powitała konferencya z zapałem. Najgorliwiej zaś popierał ją prezes delegacyi niemieckiej, ten sam Marschall von Bieberstein, który tak energicznie zwalczał angielski wniosek w sprawie ograniczenia uzbrojeń. Gdy jednak zaczęto zatapiać się w szczegóły, obradować nad organizacyą stałego trybunału rozjemczego, oraz nad sprawami, mającemi podlegać lub nie podlegać przymusowej arbitracyi, okazało się, że porozumienie jest stanowczo niemożliwe. Państwa drugo i trzeciorzędne obawiały się majoryzacyi ze strony mocarstw w stałym i obowiązkowym trybunale rozjemczym. Następnie podniosły się żądania, aby z przymusowej

arbitracyi wyłączono zatargi, dotyczące honoru, niezależności i żywotności interesów danego narodu. Oczywiście pod jedną z tych kategoryj możnaby w każdym razie podciągnąć każdą wogóle sprawę i przymusowa arbitracya stałaby się fikcyą, pozbawioną wszelkiej realnej treści. Słowem wytworzył się formalny chaos sprzecznych zdań, poglądów i dążeń. Gdy więc przyszło do ostatecznych decyzyj, projekt zarówno stałego trybunału rozjemczego, jak i przymusowej arbitracyi upadł i to upadł głównie z winy tego samego p. Marschalla, który początkowo z takim zapałem występował w jego obronie.

Jeśli się teraz zważy, że Niemcy na pierwszej konferencyi pokojowej najenergiczniej opierały się przymusowej arbitracyi, że arbitracya taka właściwie i dzisiaj najmniej odpowiada charakterowi i celom polityki niemieckiej, to nie trudno zrozumieć dwuznaczną, wyrażając się najłagodniej, postawę delegata niemieckiego na świeżo zamkniętej konferencyi. Chodziło wyłącznie o ratowanie pozorów, o przedstawienie Niemiec jako mocarstwa, pragnącego szczerze pokoju, a jednocześnie o niedopuszczenie do uchwał konkretnych, mogących rzeczywiście zabezpieczyć ten pokój.

Ostatecznie w sprawie przymusowej czy obowiązkowej arbitracyi ograniczono się do rezolucyi dość platonicznej. Uznano więc jej „zasadę“ i uchwalono, że niektóre zatargi, dotyczące interpretacyi i stosowania zawartych już umów międzynarodowych, podlegać mogą przymusowej arbitracyi bez wszelkich zastrzeżeń i ograniczeń. Nie jest to oczywiście traktat w sprawie arbitracyi, lecz jedynie wyrażenie opinii, nie obowiązującej w gruncie rzeczy nikogo. Nie wielki też postęp stanowi życzenie, wyrażone na konferencyi, aby jak najwięcej mocarstw i państw zawierało traktaty rozjemcze pomiędzy sobą i w ten sposób zmniejszało możliwość wybuchu zbrojnych zatargów.

* * *

Swoją drogą zgrzeszyłby niesprawiedliwością, ktoby twierdził, że czteromiesięczna praca konferencyi pokojowej była zgoła bezpłodna. Pewien tragizm tkwi jednak w tem, że punkt ciężkości pozytywnej jej działalności nie spoczywa w organizacyi pokoju,

lecz raczej w regulowaniu wojny, w dążeniu do łagodzenia okrucieństw w dzisiejszych krwawych zapasach pomiędzy narodami. Otóż zaprzeczyć się nie da, że jest to droga dość ryzykowna. Właśnie niesprawiedliwość i nieludzkość wojny stanowi do pewnego stopnia gwarancyę pokoju, bo w wielu wypadkach powstrzymuje panujących i narody od kroków wojennych. Takim paradoksem, jakby się to zdawać mogło na pierwszy rzut oka, nie jest też twierdzenie, odzywające się tu i owdzie, zwłaszcza z kół wojskowych, że wojna wybuchnie tem łatwiej, im bardziej będzie „ludzką."

Ostatecznie wojenno-prawne wyniki konferencyi przedstawiają się, jak następuje:

Przyjętą w r. 1899 (na pierwszej konferencyi) umowę o prawach i zwyczajach wojny lądowej uzupełniono i rozszerzono w kilku punktach. Dopełnienia te obejmują szczegółowe przepisy o uzbrojeniu pospolitego ruszenia (żądanie, aby broń noszona była jawnie i by stosowano się do praw wojennych); traktowanie jeńców wojennych (zatrudnianie jeńców, zapłatę za tę pracę, przesyłanie wiadomości dla jeńców i o jeńcach, płacenie żołdu oficerom, wziętym do niewoli i t. p.); zakaz zmuszania obywateli państwa, w którym toczy się wojna, do czynów nieprzyjacielskich przeciw własnej ojczyźnie, a także zakaz uznawania słusznych żądań wynagrodzenia ze strony poddanych nieprzyjacielskiego państwa za wygasłe lub zawieszone.

Ogłoszony w r. 1899 zakaz bombardowania nieufortyfikowanych miast, miejscowości, budynków i t. p. rozszerzono dodatkiem „za pomocą jakichkolwiek środków" i na przyszłą artyleryę nadpowietrzną. Do przedmiotów, wyłączonych z ostrzeliwania, załączono także monumenty historyczne. Ustanowiono obowiązek wynagrodzenia za zajęte środki lokomocyi, będące własnością prywatną. Podmorskie druty telegraficzne, łączące państwo nieprzyjacielskie z krajem neutralnym, mogą być zniweczone jedynie w razie koniecznej potrzeby i szkoda, w ten sposób wyrządzona, winna być wynagrodzona po zawarciu pokoju. Deklaracyę z r. 1899 o zakazie wyrzucania materyałów wybuchowych z balonów, którą przyjęto wówczas na pięć lat i której termin upłynął tymczasem, odnowiono. Deklaracya ta otrzymała jednak niewielką liczbę podpisów. Natomiast Anglia zgodziła się tym razem na zakaz używania t. zw. pocisków „dum-dum" (eksplodujących kul karabinowych).

Uchwalono dalej nowy i ważny przepis, że każde państwo odpowiada za szkody, wynikające z nieprzestrzegania praw wo-

jennych. Ustanowiono, że rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich poprzedzać winno wypowiedzenie wojny, albo co najmniej ulitimatum z warunkiem wypowiedzenia wojny, oraz że o stanie wojennym winny być zawiadomione państwa neutralne. Ustalono pojęcie osób neutralnych i unormowano utratę neutralności obcych poddanych w następstwie ich udziału w czynnościach nieprzyjacielskich na korzyść jednej ze stron wojujących. Użycie materyału kolejowego, należącego do neutralnych osób prywatnych lub towarzystw jest dozwolone jedynie w wypadkach koniecznej potrzeby.

W 11 artykułach konferencya ustaliła prawa i obowiązki neutralnych na lądzie. Podług tych przepisów terytoryum neutralne jest nietykalne. Materyału wojennego ani wojsk nie wolno przewozić przez terytoryum neutralne, jak również nie wolno na tem terytoryum urządzać stacyj dla telegrafu bez drutu, ani posługiwać się istniejącemi już tam tego rodzaju urządzeniami. Nie wolno także formować wojsk na neutralnem terytoryum. Państwo neutralne jest zobowiązane nie dopuszczać do tego rodzaju czynności na swem terytoryum, a także i zabraniać osobom prywatnym przesyłania wiadomości na korzyść jednej ze stron wojujących. Jeńców wojennych, chroniących się na jego terytoryum, może uwolnić; w przeciwnym razie winien ich skoncentrować w przeznaczonej na ten cel miejscowości. Odpierając z bronią w ręku zamachy na swą neutralność, nie naraża się na odpowiedzialność, że rozpoczyna kroki nieprzyjacielskie.

W ustaleniu powyższych przepisów, dotyczących wojen lądowych, zainteresowane są w równym mniej więcej stopniu wszystkie mocarstwa i państwa. Więc też odnośne uchwały nie spotkały się na ogół z poważniejszą opozycyą, chociaż tu i owdzie zaznaczyła się różnica zdań, zwłaszcza w kwestyi wyrzucania materyałów wybuchowych z balonów. Natomiast daleko większe trudności konferencya miała do zwalczenia przy zamiarze ujęcia w jako tako ścisłe normy zwyczajów, mających obowiązywać w przyszłej wojnie morskiej. Tutaj opór wychodził głównie ze strony Anglii, która dzierżąc samowładne niemal panowanie na morzu, sprzeciwiała się dość długo wszelkiemu ograniczeniu tej swojej samowładzy. Wprawdzie delegaci angielscy podpisali po długiem wahaniu uchwałę konferencyi, wprowadzającą w życie stały trybunał łupów morskich, t. zw. *Prize-Court*, decydujący o losie zabranego przez jedną ze stron wojujących neutralnego okrętu i jego ładunku, ale opinia publiczna w Anglii powitała te uchwały bar-

dzo nieprzychylnie i kwestyą jest bardzo wielką czy uzyska ona zatwierdzenie przez parlament.

Pozatem rozszerzona już w r. 1899 na wojnę morską konwencya genewska z r. 1864 powiększona została, zgodnie z dokonanem w r. 1906 rozszerzeniem tej konwencyi odpowiedniemi dodatkami. Co się dalej tyczy używania min podwodnych, to ustalono ograniczenie, że miny pływające winny być tak urządzone, aby najwyżej po godzinie były już bezskuteczne, gdy miny utwierdzone winny utracić swą skuteczność niezwłocznie po oderwaniu się z kotwicy. Okręty handlowe, znajdujące się w chwili wypowiedzenia wojny w porcie nieprzyjacielskim, albo także okręty, które znajdują się na pełnem morzu, nie wiedząc o wybuchu wojny, otrzymują „zwłokę uprzywilejowania.“ Dla poszczególnych wypadków ustanowiono, że nie wolno konfiskować okrętów i towarów, lecz jedynie zajmować je czasowo, oraz, że po zawarciu pokoju okręty i towary winny być zwrócone, względnie ich wartość wynagrodzona.

Natomiast, pomimo energicznych usiłowań kilku mocarstw, nie doszło do porozumienia w sprawie ochrony własności prywatnej na morzu oraz w sprawie korsarstwa i kontrabandy wojennej. Tak samo nie doczekał się swego urzeczywistnienia projekt uregulowania blokady portów i wybrzeży nieprzyjacielskich.

*

* *

Tak więc pozytywny wynik prac drugiej konferencyi pokojowej przedstawia się nadzwyczaj skromnie. Wprawiono w ruch olbrzymi aparat, uruchomiono dyplomacyę całego prawie świata cywilizowanego, aby po czteromiesięcznych obradach uchwalić pięć „życzeń“ i trzynaście rezolucyj, dotyczących w gruncie rzeczy podrzędnych tylko kwestyj i, co ważniejsza, oddających sprawie pokoju dość wątpliwe usługi. Ten sam rezultat osiągnąćby można w kilku dniach za pomocą zjazdu, złożonego z kilkunastu członków, delegowanych przez poszczególne mocarstwa znawców prawa międzynarodowego.

Rzecz prosta, że w komentarzach prasy o świeżo zamkniętej konferencyi pokojowej spotkać się można ze zdaniami najrozmaitszemi często wręcz z sobą sprzecznemi W rzeczy samej

wszechświatowa ta akcya, o ile miała na celu zabezpieczyć pokój, zrobiła kompletne fiasko. Niemniej przytem nie należy jej lekceważyć. Nie ulega bowiem kwestyi, że więcej na moralnem, niż na praktycznem polu, szukać należy owoców działalności drugiej konferencyi i wogóle tego rodzaju zebrań międzynarodowych. Nie usunęły one wojny i nie ograniczyły uzbrojeń, położyły jednak pierwsze podwaliny pod gmach, który, przynajmniej zdaniem optymistów, z czasem zamienić się może w świątynię trwałego i powszechnego pokoju. Już sama bezpośrednia wymiana zdań pomiędzy najwybitniejszymi i najwpływowszymi przedstawicielami mocarstw i państw całego świata cywilizowanego przyczynić się może do usunięcia wielu uprzedzeń, wyrównania wielu pozornych więcej niż rzeczywistych przeciwieństw, zażegnania w samym zarodku wielu zatargów.

Nie koniec na tem! Aby ocenić sprawiedliwie wyniki drugiej konferencyi pokojowej, uprzytomnić sobie należy, że konferencya ta nie była czemś samodzielnem i zamkniętem w sobie, lecz jednym z okresów tylko wielkiego dzieła, nad którem dyplomacya, a po części i ludzkość cywilizowana, pracuje od dość już długiego szeregu lat. I przedewszystkiem ta ciągłość pracy, zmierzającej do zapewnienia ludzkości błogosławieństwa pokoju, do usuwania i łagodzenia zatargów pomiędzy państwami i narodami, uprawnia do niejakich nadziei, że cel ten kiedyś będzie osiągnięty. Naturalnie, z tem pogodzić się trzeba, że konferencye te nie budują dla teraźniejszości, że w najlepszym razie długie bardzo jeszcze lata upłyną, zanim idea braterstwa ludów i powszechnego pokoju wywalczy sobie zwycięstwo, zanim panosząca się dzisiaj tak bezczelnie i bezkarnie w stosunkach pomiędzy państwami i pomiędzy narodami maksyma: „siła przed prawem,“ należeć będzie do przeszłości.

W najlepszym razie długie jeszcze lata! Tymczasem szybko żyjące pokolenie ludzkie, nękane swą niedolą, nie lubi zagłębiać się w przyszłość odległą, lekceważy usiłowania, których owoce zbierać będą wnuki lub prawnuki. Porównywa, jak mało zgodne są teorye, głoszone na konferencyach pokojowych, z rzeczywistym stanem rzeczy, z wszechwładnem dzisiaj jeszcze w stosunkach międzynarodowych panowaniem brutalnej siły i na podstawie tego porównania dochodzi do wniosku, że dyplomaci, obradujący nad wieczystym pokojem, rozmyślnie czy bezwiednie budują zamki na lodzie.

W rzeczy samej dziwić się tym zapatrywaniom nie można, jeśli się widzi, jak w chwili, gdy przedstawiciele mocarstw i państw

całego cywilizowanego świata obradują nad środkami, mającymi wznowić powagę prawa i w stosunkach między narodami, potężna Japonia, opierając się jedynie na prawie mocniejszego, zagarnia pod swoje panowanie bezsilną Koreę, a Francya bombarduje w Maroku bezbronne miasta nadbrzeżne.

Przecież głównym nieledwie celem konferencyj pokojowych jest wynalezienie i ustanowienie środków, mogących zabezpieczyć słabszych przed zamachami, których ofiarą padają ze strony silniejszego, bo w ten jedynie sposób pokój powszechny oprzeć się może na jako tako trwałych podstawach.

Ale do pokoju tego bardzo jeszcze daleko, chociaż mocarstwa, zbrojąc się z gorączkowym pośpiechem, powołują się na zasadę: *si vis pacem para bellum*. Zbrojenie to doszło w ostatnich czasach do tak olbrzymich rozmiarów, że w kołach nawet dość poważnych spotkać się było można ze zdaniem, iż przy obecnem udoskonaleniu sztuki wojennej i obecnem uzbrojeniu, niebezpieczeństwo wybuchu wojny pomiędzy wielkiemi państwami należy uważać za wyłączone. Wojna, która przed kilku laty tysiącami ofiar zasłała pola Mandżuryi, jedna z najkrwawszych, jakie znają dzieje świata, dowiodła, na jak kruchych podstawach spoczywały te przewidywania.

Mylą się też rozmyślnie lub bezwiednie ci, którzy brali udział w obradach konferencyi pokojowej, jeśli przypuszczają na seryo, że zdziałali coś pozytywnego dla zabezpieczenia pokoju. Wprawdzie prezes konferencyi, p. Nelidow, oświadczył, zamykając jej obrady: „Atmosfera solidarności moralnej, stwierdzona na konferencyi, wystarcza do usprawiedliwienia jej z zarzutu, że nic nie uczyniła dla postępu w akcyi pokojowej,“ ale „atmosfera“ ta nie stanowi jako tako przekonywającej gwarancyi pokoju. Gwarancyą tą jest w dzisiejszych stosunkach jedynie siła. Na pokój liczyć mogą jedynie ci, którzy w razie wojny stanowiliby groźnych przeciwników. I ten pewnik powstrzymuje i powstrzymywać będzie bardzo jeszcze długo mocarstwa od wszelkich zapędów w kierunku rozbrojenia, a choćby tylko częściowego ograniczenia uzbrojeń, i ten pewnik, dopóki górować będzie w stosunkach między państwami i narodami, sparaliżuje wszelkie dążenia ku powszechnemu i wiecznemu pokojowi.

Więc też dziwić się nie można niepowodzeniu konferencyi pokojowej, o ile ona miała zabezpieczenie pokoju na oku. Nie wydała ona, bo w dzisiejszych warunkach wydać nie mogła, bezpośrednich praktycznych rezultatów. A jednak słusznie zaznacza, pisząc o jej wynikach, jeden z publicystów:

„Rzeczą jest istotnie godną zastanowienia, że wtedy, kiedy niezaprzeczenie myśl pokojowa góruje w uczuciach i chęciach ogółu; kiedy jest, jak była w osiemnastem stuleciu filozofia, więcej już niż modą, bo obyczajem; kiedy hołdują jej mali i wielcy, socyaliści i antimilitaryści, monarchowie oraz ministrowie, zebrania ludowe i ciała prawodawcze; kiedy stała się ideałem i zarazem komunałem dnia—zebrana dla jej przeprowadzenia wszechświatowa narada... spełzła na niczem."

*

* *

W końcu jeszcze jedno pytanie, chociaż pozostające z właściwym naszym tematem, z konferencyą pokojową, w pośrednim tylko związku.

Czy w istocie świat nasz dąży, jak twierdzą idealiści, którzy nie utracili wiary w szlachetny pierwiastek natury ludzkiej, powolnym, lecz stałym krokiem do braterstwa ludów, wiecznego pokoju i powszechnej szczęśliwości? Niejakie dane zdają się przemawiać za tem. We wszystkich krajach widzimy zdumiewający rozwój dążeń humanitarnych we wszystkich kierunkach. Niezliczona ilość towarzystw pracuje wszędzie, aby wytworzyć dla biednych, słabych, wydziedziczonych, przez los prześladowanych, pomyślniejsze warunki bytu. W wielu krajach dążenia te cieszą się gorliwem współdziałaniem władzy państwowej, w innych władza popiera je mniej lub więcej energicznie. W kilku państwach wprowadzono już w życie obowiązkowe ubezpieczenie robotników na wypadek starości lub niezdolności do pracy, w innych czynią się przygotowania do instytucyi tej nadzwyczaj ważnej i dobroczynnej w swych skutkach. Niewątpliwy postęp ujawnia się dalej i w tem, że pada coraz więcej szranek, krępujących dawniej na każdem niemal polu i w każdym kierunku osobistą wolność człowieka. Wreszcie sprawa zapewnienia ludzkości trwałego pokoju, poruszana niezbyt dawno jeszcze przez prywatnych myślicieli i marzycieli, stanowi obecnie przedmiot poważnych narad, w których rolę kierującą objęli urzędowi przedstawiciele państw i narodów.

Wszystko to zdawałoby się dowodzić, że ludzkość zrzuca z siebie dawne pęta barbarzyństwa, kroczy wytrwale po drodze, wiodącej do postępu, do światła, do czynu.

Jednocześnie jednak mnożą się w sposób zastraszający w życiu państw, narodów i społeczeństw objawy, które zdają się przyznawać słuszność pesymistom, dowodzącym, że żaden postęp cywilizacyi nie wytępi z duszy jednostki ani narodu barbarzyńskich instynktów. Widzimy więc, jak walka o byt wszędzie coraz groźniejsze przybiera rozmiary, dzieli społeczeństwa na nieprzyjacielskie obozy, mierzące się nienawistnym wzrokiem i gotowe każdej chwili do rozpoczęcia walki bratobójczej. Widzimy dalej, jak te same państwa, które na rozmaitych konferencyach międzynarodowych przez usta swych przedstawicieli głoszą najszczytniejsze zasady, a nawet rozwijają pozytywną akcyę, mającą jakoby uszczęśliwić ludzkość całą, u siebie, w domu, pomiatają najelementarniejszemi podstawami słuszności i sprawiedliwości, prześladują i gnębią swych poddanych, nie chcących zrzec się praw swych przyrodzonych do odrębności narodowej.

Zamiast obradować nad wieczystym pokojem, którego urzeczywistnienie w najlepszym razie bardzo odległa przyniesie dopiero przyszłość, należałoby raczej zastanowić się nad tem, jak zapewnić w dzisiejszych państwach cywilizowanych mniejszościom narodowym prawdziwe równouprawnienie polityczne i obywatelskie, jak zasłonić je przed straszliwym i wzmagającym się z dniem niemal każdym teroryzmem, wywieranym na nie przez władzę państwową do spółki z większością, wyzbywającą się coraz bardziej poczucia prawa.

Odbywają się obrady nad uniemożliwieniem wojen pomiędzy narodami. Żaden jednak z powołanych i decydujących czynników nie wystąpił dotąd z inicyatywą w sprawie zażegnania wojen domowych, najstraszliwszych ze wszystkich, których stałą widownię stanowią niektóre państwa, rzekomo cywilizowane i które zamieniają te państwa w krainy łez i rozpaczy. Zapewne, że są to na ogół wojny bezkrwawe, los jednak gnębionych i prześladowanych nowoczesną, „cywilizacyjną“ metodą, jest poniekąd sroższy, niż w krajach pustoszonych ogniem i mieczem przez nieprzyjaciela.

Duch światła toczy w dalszym ciągu nieubłaganą walkę z duchem ciemności. Czy wreszcie odniesie nad nim zwycięstwo?

Kazimierz Puffke.

SZKOLNICTWO ŚREDNIE

w Anglii.

IV.

Społeczeństwo, które cały swój system szkolnictwa opiera na umiejętnem wyzyskiwaniu wrodzonych impulsów duszy ludzkiej za pomocą zachęty pod postacią nagród, musi z konieczności w szerokim stopniu uwzględniać również drugi niemniej ważny czynnik psychiczny, a mianowicie strach przed odpowiedzialnością, czyli obawę kary. I pod tym względem śmiało powiedzieć można, że treść angielskiego szkolnictwa średniego z wychowawczego punktu widzenia stanowi zrównoważenie dwóch czynników, nagrody i kary, traktowanych z jednakowo utylitarnego punktu widzenia. [1]) Bo jak przeważającą formą nagrody w angielskiej szkole publicznej jest nagroda pieniężna, to jest bezpośrednia korzyść, jaką uczeń wyciąga ze swojej pracy, tak samo przeważającą formą kary jest w niej kara cielesna, czyli bezpośredni, dotkliwy dla ucznia skutek jego zaniedbania lub nieodpowiedniego zachowywania się. [2])

[1]) Już jeden z uczniów Erazma z Rotterdamu znakomity pedagog angielski XVI stulecia *Sir Thomas Ellyot*, w swem dziele p. t. „*The Book named the Governour*“ 1531 (ed. Croft 1883, str. 14), pisze, że młodzież należy wychowywać zapomocą kar i nagród: kara ma być wędzidłem, kierującem czynami i instynktami dzieci, nagroda zaś ostrogą, zmuszającą je do nauki i cnoty. Por. także *John Locke, Some Thoughts concerning Education* (ed. Quick 1887, str. 45 i nast.).

[2]) Por. pierwszą strofę pieśni drugiej „Don Juana“ Byrona: „*Oh, ye! who teach the ingenuous youth of nations — Holland, France, England, Germany or*

Wiadomo, że istota i treść kary z pedagogicznego punktu widzenia stoi w luźnym tylko związku z ogólnym systematem karnym, traktowanym z prawnego punktu widzenia, chociażby dla tego, że znany aksyomat współczesnej kryminologii „bez poczytalności niemasz winy“ nieda się zastosować do wychowania, którego głównem zadaniem jest właśnie wyrobienie poczytalności. Nie da się jednak zaprzeczyć, że pomiędzy systematem, przyjętym przez kodeks karny i systematem wychowawczym danego narodu dadzą się odnaleźć pewne ogólne cechy pokrewieństwa, co zresztą jest najzupełniej zrozumiałem, skoro — jak np. w Anglii — i jeden i drugi stanowią historyczny wytwór długoletniej, swoistej kultury, niezamąconej obcemi wpływami.

Nowsze badania historyczno-etnologiczne wykazały, że istotną podstawę pierwotnego pojęcia kary, jako bezpośredniej odpowiedzialności za wyrządzoną stratę (*damnum corpori corpore datum*), niezależnie od winy osobistej, stanowił wrodzony instynkt samozachowawczy samego społeczeństwa, [1]) a nowa t. zw. antropologiczna szkoła kryminalistów włoskich skłonna jest upatrywać we względach na bezpieczeństwo publiczne jedyne kryteryum prawidłowości stosowania wszelkiej represyi karnej. [2]) Ten sam zasadniczy punkt widzenia spotykamy i we współczesnem prawie anglo-amerykańskiem, które pod wielu względami stoi bardzo daleko od abstrakcyj metafizycznych klasycznej szkoły prawa karnego, a zbliża się natomiast do teoryi dawnego prawa rzymskiego z przed daty wydania *lex Aquilia*, jak i do nowej włoskiej szkoły antropologicznej. Nie wdając się w bliższe szczegóły, uczynimy tu uwagę, że w myśl zasadniczych pojęć anglo-amerykańskiego *common law*, które rozwinęło się na szerokim podkładzie historycznym prawa zwyczajowego, ogólna teorya odpowiedzialności przedstawia się nieco inaczej niż w prawodawstwach na kontynencie. Da się to szczególniej powiedzieć w kwestyi wynagrodzenia za szkody i stracone korzyści, które prawo angielskie przyznaje zupełnie niezależnie od winy osobistej. W wypadkach tego rodzaju istnienie t. zw. *mens rea*, czyli faktycznego napięcia złej woli, jest całkiem zbyteczne; wystarcza skonstatowanie faktu, że okoliczności, stojące w związku

Spain — I pray ye, flog them upon all occasions — it mends their moral, nevermind the pain.“

[1]) *Steinmetz Ethnologische Studien zur ersten Entwickelung der Strafe 1894.*

[2]) *Garofalo. La Criminologie 1905. Ferri. La Sociologie criminelle 1905.*

z tendencyą czynu sprawcy, były mu znane, a nawet czasami i to wymaganie odpada. [1]) Najlepszą illustracyę tej teoryi stanowią liczne wyroki sądów angielskich i amerykańskich, przyznające odszkodowanie pannom za całusa, skradzionego im bez ich zgody.

Zapewne, że i w teoryi angielskiego prawa karnego zła wola stanowi często jeden ze składowych czynników przestępstwa; lecz podstawy odpowiedzialności szukać należy w tych wypadkach nietylko w skonstatowaniu złej woli samego sprawcy, lecz i w stwierdzeniu faktu, iż czyn rozmyślny pociągnął lub mógł pociągnąć za sobą szkodę, która nie nastąpiłaby, gdyby nie było osobistej złej woli w postępowaniu. W każdym zaś razie stopień odpowiedzialności mierzy się zawsze stopniem niebezpieczeństwa, jakiem czyn występny zagraża społeczeństwu.

Z tego więc punktu widzenia każdy niesie całkowitą odpowiedzialność za wszelkie skutki swego postępowania, zupełnie niezależnie od stanu własnego sumienia w danej sprawie, a kara jest niczem innem, tylko bezpośrednim, lecz i niezbędnym skutkiem wykroczenia przeciw prawu. [2]) A chociaż dzisiejsza teorya angielskiego prawa karnego pod wpływem doktryny sentymentalnego Beccaria i cnotliwego Howarda w wielu wypadkach odstępuje od surowej prostoty dawnych anglo-saksońskich konstrukcyj prawnych, to jednak zasady te utrzymały się dotychczas w niezmienionej postaci zarówno w teoryi odpowiedzialności cywilnej (*theory of torts*), jak i w praktyce pedagogiki angielskiej w dziedzinie karności szkolnej.

Ten czysto angielski pogląd na istotę i znaczenie kary, jako bezpośredniego skutku wykroczenia, sformurował i uzasadnił w za-

[1]) *O. W. Holmes. The Common Law 1882*, str. 75. „In such cases the mens rea, or actual wickedness of the party, is wholly unnecessary, and all reference to the state of his conciousness is misleading, if it means anything more than that the circumstances in connection with which the tendency of his act is judged are the circumstances known to him. Even the requirement of knowledge is subject to certain limitation."

[2]) *O. W. Holmes l. c.*, str. 79—80. „The law of torts abounds in moral phraseology. It has much to say of wrongs, of malice, fraud, intent and negligence. Hence it may naturally be supposed that the risk of a man's conduct is thrown upon him as the result of some moral short-coming. But while this notion has been entertained, the extreme opposite will be found to have been a far more popular opinion; — I mean the notion that a man is answerable for all the consequences of his acts, or, in other words, that he acts at his peril always, and wholly irrespective of his state of his conciousness upon the matter."

stosowaniu do wymagań karności szkolnej zasłużony reformator angielskiego szkolnictwa w pierwszej połowie XIX stulecia, długoletni kierownik szkoły w Rugby, Dr. Thomas Arnold w swojej klasycznej pracy o karności w szkołach publicznych. [1])

Dr. Arnold wychodzi z tego założenia, że nie należy traktować dzieci jako dorosłych, dopóki nie są w stanie postępować tak, jakby na ich miejscu w danych okolicznościach postąpili ludzie dorośli i dojrzali. Z tego też względu wykroczenia dzieci noszą zupełnie inny charakter niż wykroczenia dorosłych, a przedewszystkiem w olbrzymiej większości wypadków brak im zupełnie złej woli. Dla tego też przedewszystkiem kara szkolna, niezależnie od rodzaju i formy, w jakiej będzie wymierzoną, nie zawiera i nie może zawierać pierwiastku hańbiącego lub poniżającego. Z drugiej strony, wobec zupełnego braku napięcia świadomej złej woli, w znakomitej większości wykroczeń szkolnych najczęściej chodzi o nic innego, jak tylko o zaznaczenie i podkreślenie zależności ucznia od nauczyciela, który zresztą jest nietylko nauczycielem (*teacher*), ale i zwierzchnikiem (*master*); o poddanie woli dziecka pod wolę osoby starszej, a funkcye te w zastosowaniu do chłopców poniżej lat piętnastu spełnia najlepiej, najskuteczniej i najwłaściwiej kara cielesna. Tam zaś, gdzie uczeń pomimo chłosty nieda się ugiąć pod autorytet szkoły, albo gdzie mamy do czynienia z objawem świadomej złej woli, nie pozostaje nic innego, jak tylko wydalić go ze szkoły, przeznaczonej dla chłopców normalnych i oddać go do specyalnego zakładu poprawczego.

Jeżeli więc zła wola nie jest niezbędnym czynnikiem wykroczenia, przeto i kara nie może stać z nią w jakimkolwiekbądź związku, lecz jest tylko naturalnym i koniecznym skutkiem wykroczenia. Natomiast wydalenie ze szkoły nie jest karą, lecz środkiem, mającym na celu usunięcie szkodliwych pierwiastków ze społeczeństwa szkolnego dla jego własnego dobra, zupełnie tak samo, jak szkoła antropologiczna żąda kary śmierci dla urodzonych przestępców ze względu na interes społeczny, w celu uczynienia ich nieszkodliwymi.

W związku z powyżej przytoczoną teoryą stoi teorya Herberta Spencera, który bardzo wymownie broni zasady, że dzieci zamiast karać, należy pozostawić skutkom ich postępowania. Punkt

[1]) Zob. artykuł p. t. *On the discipline of Public Schools* w *Dr. Th. Arnold's Miscellaneous Works London 1874.*

wyjścia, jak widzimy, jest u Spencera ten sam, co u d-ra Arnolda, i oba systemy różnią się tylko praktycznemi środkami wykonania; nie należy jednak zapominać, że Spencer stawiał kwestyę na gruncie czysto teoretycznym, podczas gdy dr. Arnoldowi, jako pedagogowi-praktykowi, chodziło przedewszystkiem o zastosowanie teoryi do wymagań życia.

Jeżeli więc w dzisiejszej szkole polskiej—pod wpływem smutnej konieczności—trzymamy się przeważnie zasady, wygłoszonej przez najnieszczęśliwszego z królów polskich Jana Kazimierza, że „kto w tym kraju nosi koronę na głowie, musi mieć niewyczerpaną ku przebaczaniu gotowość," to publiczna szkoła angielska, wychodząc z założenia, że kara, stanowiąc niezbędny skutek wykroczenia, nie stoi w żadnym związku ze złą wolą, nie zna przebaczenia, [1]) co więcej zasadę bezwzględnej odpowiedzialności stawia jako jeden z naczelnych postulatów w organizacyi szkolnictwa średniego.

I pod tym względem szkolnictwo angielskie można określić jako system umiejętnego zrównoważenia kar i nagród. Jak każda rzeczywista zasługa ucznia spotyka się w niej zawsze z uznaniem i zachętą szkoły w formie nagrody, i to w dodatku przeważnie nagrody pieniężnej, tak każde jego wykroczenie, nawet mimowolne lub nieostrożne, pociąga za sobą odpowiednią represyę w zależności od stopnia niebezpieczeństwa, jakiem grozi prawidłowemu biegowi życia szkolnego, poczynając od zadań przymusowych lub ograniczenia swobody ruchów, a kończąc na karze cielesnej, stosowanej w bardzo szerokim zakresie.

Zadania przymusowe polegają bądź na nauczeniu się na pamięć lub przepisaniu pewnej ilości wierszy z podręcznika (t. zw. *lines*), bądź też na streszczeniu kawałka prozy w ściśle określonej liczbie wierszy, zbudowanych prawidłowo podług zasad wersyfikacyi (t. zw. *volgus* albo *gradus ad Parnasum*). Przepisywanie z książki za karę wychodzi powoli z użycia, gdyż praktyczni Anglicy zauważyli, że uczeń odrabia takie zadania pośpiesznie i niedbale, przez co psuje sobie charakter pisma; to samo da się powiedzieć o *volgus*, które również stosowanem jest coraz rzadziej. Natomiast ćwiczenia pamięciowe za karę kwitną w szkołach angielskich po dawnemu. Ograniczenia swobody ruchów polegają bądź na kazaniu uczniowi stać podczas lekcyi na ławce

[1]) Por. u Shakespeare'a: *„Mercy but murders pardoning those that kill"* (łaska zabija, przebaczając tym, którzy zabijają).

(*standing on the form*), co odpowiada naszemu stawianiu do kąta i bywa stosowanem tylko w niższych klasach, bądź na t. zw. *drill*, czyli obowiązkowemu wykonaniu za karę szeregu ruchów z zakresu gimnastyki szwedzkiej pod nadzorem jednego z uczniów klas wyższych; wreszcie na stosowanem najczęściej zamknięciu w klasie podczas rekreacyj, czyli mówiąc innemi słowy, na wsadzeniu do kozy (*detention*) na czas od jednej do trzech godzin.

Stosowanie kary cielesnej w szkołach angielskich wypływa z ogólnego poglądu rasy anglo-saksońskiej na istotę i znaczenie kary wogóle, jako bezpośredniego skutku wykroczenia; pozatem chłosta stanowi zazdrośnie strzeżony zabytek dawnego systemu wychowawczego, kiedy w myśl starego przysłowia, cytowanego przez Mulcaster'a w wieku XVI, rózga była w ręku nauczyciela tem, czem miecz w ręku rycerza. Pogląd ten ma za sobą powagę nietylko dawnych pedagogów angielskich, jak Asham lub Brinsley, lecz i umysłów filozoficznych tej miary, co Milton i Locke, a że specyficzną cechą szczepu anglo-saskiego jest umiłowanie tradycyi, nie trzeba się dziwić, że i dziś jeszcze w publicznych szkołach średnich chłosta stosowaną jest bardzo często, podobnież jak w angielskiem wychowaniu domowem poważną rolę odgrywa pieszczotliwie zwana „*lady birchely*“ (rózeczka). Ta nieprzerwana nić tradycyi, nawiązującej dzisiejszy porządek rzeczy do dawnego, rzuca się w oczy każdemu, kto miał sposobność zwiedzać Eton College, jedną z najstarszych publicznych szkół angielskich, której początek sięga roku 1440. W najstarszej klasie (t. zw. *First Hundred*), w której wykładał sam *headmaster* (przełożony), tuż obok katedry stoi t. zw. *flogging block*, rodzaj stołka do wymierzania kary cielesnej, a w szafie obok leżą zawsze pęki świeżych rózg. Jednocześnie oprowadzający nauczyciel opowie z pewnością anegdotę o królowej Elżbiecie, która, zwiedzając Eton, na zapytanie, skierowane do jednego z wychowańców, jak mu się powodzi w szkole, usłyszała w odpowiedzi cytatę z II-ej pieśni Eneidy Wirgiliusza: „*infandum, regina, iubes renovare dolorem.*“

W angielskich szkołach publicznych chłosta nie jest unormowaną żadnemi przepisami, albowiem do szkół średnich nie stosują się przepisy prawa z roku 1870 o nauczaniu początkowem, określające zakres władzy dyscyplinarnej nauczycieli przy wymierzaniu kary cielesnej oraz ich odpowiedzialność za przekroczenie tej władzy. Regulaminy szkół poszczególnych nie zawierają również bliższych wskazówek w tym względzie, gdyż podług pojęć angielskich rodzice, oddając swe dzieci do szkoły, przelewają na jej kierownika władzę rodzicielską w całkowitym zakresie.

I jeśli w XVI stuleciu Richard Mulcaster pragnął widzieć u siebie na stole „krótki spis przewinień uczniowskich z określeniem liczby uderzeń za każde z nich,“[1]) jeżeli pierwotna instrukcya dla Harrow College (1576) określa szczegółowo wymiary narzędzia kary, używanego przy nauce, [2]) to dziś rodzaj kary cielesnej i wypadki, w których może być stosowaną, szkoła pozostawia w zupełności taktowi i uznaniu samego przełożonego; nic więc dziwnego, że pod tym względem w szkołach angielskich panuje zupełna dowolność.

Godnym niewątpliwie uwagi faktem jest zaznaczona jeszcze przez Aleksandra Bain'a okoliczność, że najczęściej kara cielesna jest stosowaną w szkołach arystokratycznych, gdzie kształci się najbogatsza, najlepiej wychowana i najkulturalniejsza młodzież, z pomiędzy której rekrutują się przyszli mężowie stanu, począwszy od Peel'ów i Palmerston'ów, a kończąc na Gladstone'ach i Chamberlain'ach. Dziś np. chłosta najbardziej kwitnie w Eton, szkole, w której wpis wynosi z górą 1500 rubli rocznie i do której wobec ograniczonej liczby wakansów (około tysiąca) rodzice zapisują swe dzieci na kandydatów niemal że jeszcze w kolebce. W myśl przysłowia szkolnego Etończyk, który nie zna smaku rózeg, spotyka się również rzadko, jak żołnierz J.K.M., który nigdy w życiu nie siedział na odwachu. W drugiej wielkiej szkole publicznej, w Harrow College, przy sześciuset uczniach rózgi stosowane są mniej więcej raz na tydzień, w Dulwich i Marlborough College, które wyrobiły sobie stanowisko pierwszorzędne w szkolnictwie angielskiem, kara cielesna nie może być stosowaną częściej, jak sześć razy na jednym i tym samym uczniu w ciągu jednego roku, poczem uczeń musi być wydalony ze szkoły, a w Clifton College stosują rózgi tylko raz jeden, jako karę, poprzedzającą wydalenie ze szkoły.

Sposób wymierzania kary cielesnej jest dwojaki: bądź za pomocą giętkiej trzcinki hiszpańskiej (*spanish rod*, *cane*), bądź też za pomocą brzozowych rózg (*birch rod*); ten ostatni rodzaj kary, jako ostrzejszy, może być jednak stosowany tylko przez samego przełożonego w jego gabinecie i sam na sam z uczniem (*inter parietes*), przyczem przełożony wkłada togę i biret doktorski dla podniesienia uroczystości chwili. Kara rózeg stosowaną jest zazwyczaj za ważniejsze wykroczenia, jak np. kłamstwo, znęcanie

[1]) *Parmentier Histoire de l'éducation en Angleterre*, 1896, str. 174.

[2]) *Leclerc l. c.*, str. 77.

się nad młodszymi kolegami, odwiedzanie restauracyj lub barów, zuchwalstwo względem nauczycieli, palenie tytoniu, systematyczne opuszczanie lekcyj bez usprawiedliwionego powodu i „brykanie“ z lekcyj. Ilość cięć waha się od 5 do 10, dochodzi jednak w ważniejszych wypadkach lub w razie recydywy do 14 i nawet do 21 w zależności od wieku, rozwoju fizycznego lub wytrzymałości na ból danego osobnika.[1]) Od kary cielesnej uwolnieni są uczniowie ostatnich dwóch klas (*sixth form boys*), co się tłómaczy chęcią podniesienia ich powagi w oczach młodszych kolegów.

Lżejszą formę kary cielesnej stanowi t. zw. „*caning*,“ to jest chłosta, wymierzana trzcinką hiszpańską na ubranie lub po rękach; w Dulwich College trzcinkę zastępuje dyscyplina. Prawo karania trzcinką przysługuje oprócz przełożonego każdemu nauczycielowi względem każdego ucznia do lat 15, tudzież „monitorom“ czyli „praeposterom,“ to jest najlepszym uczniom najstarszej klasy względem uczniów klas niższych, wreszcie każdemu uczniowi dwóch starszych klas względem swego „*fag'a*“ (fuksa). W Rugby, Eton i Harrow uczniowie najstarszej klasy mają prawo przetrzepać skórę każdemu młodszemu koledze, lecz tylko za nieposłuszeństwo, zuchwałość lub niewłaściwe zachowanie się przy grze w cricket lub foot ball.

„Caning“ jest karą stosunkowo dość ostrą; sam widziałem, jak po trzykrotnem uderzeniu po ręku, na dłoni ukaranego chłopca wystąpiły trzy krwawe pręgi: chłopiec pomimo to nawet nie pisnął, tylko w oczach stanęły mu łzy. Angielscy hygieniści szkolni przeważnie nie mają nic przeciw karze rózeg; zwracają jednak uwagę, że pozwolenie karania trzcinką niedoświadczonym lub brutalnym uczniom klas starszych może pociągnąć za sobą skaleczenie dziecka.[2]) Nadużycia jednak muszą się zdarzać w Anglii dość rzadko, skoro „caning“ kwitnie w dalszym ciągu po dawnemu, i o poważniejszej opozycyi przeciw trzcince nie słychać ani w prasie, ani w społeczeństwie.

[1]) Jeden z pierwszorzędnych współczesnych pedagogów angielskich, niedawno zmarły *Robert Herbert Quick*, pisze co następuje: „pain like knowledge must be considered *ad modum recipientis*, and a cut that one boy would laugh at, might cause anguish another“ (Zob. *F. Storr*, *Life of Quick*, 1895, str. 75).

[2]) *Dr. Clement Dukes*, *Health at School*, 1894, str. 178. Autor w przeciągu lat dwudziestu był lekarzem szkolnym w Rugby College, jednej z najbardziej znanych szkół publicznych, założonej w końcu XVI-go wieku.

Kara cielesna, jak wogóle żadna z kar szkolnych, nie uważa się za hańbiącą lub poniżającą w czemkolwiek godność osobistą, i chłopcy angielscy poddają się jej bez oporu, gdyż opór, chociażby najlżejszy, uważany byłby przez kolegów, jako „*ungentlemanlike*“ i pociągnąłby za sobą „zesłanie do Coventry,“ to jest zawieszenie na pewien czas wszelkich stosunków koleżeńskich z winowajcą. Natomiast do „dobrego tonu“ należy zachowanie pod rózgami absolutnego spokoju i zupełnego milczenia, a szczytem szyku (*„beastly“*), którym specyalnie odznacza się Eton, jest... wycięcie swoich inicyałów na stołku podczas samego wskórobrania.

W przekonaniu znakomitej większości opinii publicznej w Anglii kara cielesna jest najbardziej naturalnym objawem represyi szkolnej, [1]) co tłómaczy się najzupełniej przytoczonym powyżej poglądem na istotę kary wogóle, jako bezpośredniego skutku każdego wykroczenia. Z tego samego źródła wypływa ów głęboki duch etyczny, który przenika całe szkolnictwo angielskie. Od lat najmłodszych wdraża się chłopiec w Anglii do zrozumienia tej wielkiej prawdy, że „każdy działa na własne ryzyko“ (*a man acts at his peril*), to znaczy, ponosi wszelkie skutki swego postępowania, niezależnie od tego, czy szkoda, jaka stąd wynikła, była zamierzoną, czy też wyrządzoną przez nieostrożność lub zaniedbanie, byleby tylko czyn był aktem świadomej woli. Jak dzień następuje po nocy, a noc po dniu, tak za każdem wykroczeniem idzie kara, jako naturalny, konieczny i niezbędny skutek samego wykroczenia. Tym sposobem szkoła angielska, nieuznając w zasadzie przebaczenia, wyrabia w swoich wychowańcach nietylko głębokie poczucie sprawiedliwości, lecz i duch niezależności i godności osobistej. To samopoczucie własnej odpowiedzialności sprawia, że chłopiec angielski już na ławie szkolnej zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że to, co go w życiu szkolnem spotyka, zależy właściwie jedynie tylko od trybu jego własnego postępowania, nie zaś od łaski, dobrej woli lub fantazyi innych osób.

---

[1]) „Strokes are a natural form of repression.“ Por. *Taine'a Notes on England*, tłóm. W. F. Rae, str. 129. Cudzoziemscy badacze szkolnictwa angielskiego ograniczają się zazwyczaj do stwierdzenia tego faktu, nie starając się bynajmniej o odszukanie właściwych przyczyn; tak np. *Leclerc l. c.* str. 49. Argumenty *pro* i *contra* w tej kwestyi zob. u *Demogeot et Montucci. De l'enseignement secondaire en Angleterre et en Ecosse* (*Rapport au ministre de l'instruction publique*), 1868, str. 35 i nast.

Kto dopuścił się jakiegokolwiekbądź wykroczenia, zagrażającego prawidłowemu biegowi życia szkolnego, *musi* ponieść za nie odpowiednią karę i nie powinien usiłować uniknąć całkowitej odpowiedzialności za swój czyn przez wyjednywanie sobie bezkarności w drodze łaski. Uzyskanie przebaczenia sprzeciwia się godności osobistej gentleman'a, a więc uwłacza temu, ktoby je otrzymał lub też o nie prosił; co więcej, jest ono dowodem tchórzostwa, bo kto miał odwagę postąpić tak, jak postąpił, powinien mieć również odwagę ponieść karę, na jaką zasłużył. Dla tego też w angielskich szkołach publicznych kłamstwo—owa przyrodzona wada wieku dziecinnego—spotyka się bardzo rzadko i wyłącznie tylko w klasach niższych, albowiem kłamie tylko ten, kto boi się kary, a skoro kara jest naturalnym skutkiem wykroczenia, niema powodu bać się tego, co z konieczności samo przez się nastąpić musi. Uczeń klas wyższych, zapierający się popełnionego czynu dla uniknięcia odpowiedzialności, podlega zazwyczaj bezwzględnemu bojkotowi ze strony kolegów, którzy sami w ważniejszych wypadkach gotowi się zwrócić do władzy szkolnej z prośbą o usunięcie z ich grona osobnika, który nie potrafi zachowywać się tak, jak na prawdziwego gentleman'a przystało, a usunięcie ze szkoły publicznej stanowi jedyną represyę, której boi się przeciętny uczeń angielski.

W znakomitej powieści szkolnej, napisanej jeszcze przed 50 laty, lecz cieszącej się dotychczas powszechnem uznaniem wśród młodzieży angielskiej, jak się o tem z niezliczonej ilości wydań przekonać możemy, dawny wychowaniec szkoły w Rugby z tych czasów, gdy szkołą tą rządził niezapomniany dr. Arnold (1828—1842), przedstawił nam typ przeciętnego chłopca angielskiego, który powinien być „dzielnym, prawdomównym, liczącym tylko na własne siły Anglikiem i gentleman'em i chrześcijaninem," „umieć tyle, aby módz przejść przyzwoicie przez wyższe studya uniwersyteckie" i „pozostawić po sobie reputacyę człowieka, który w całem swem życiu nietylko nie skrzywdził nikogo, lecz też i nikomu nie pozwolił się skrzywdzić." [1]) Podniosły duch etyczny

[1]) Zob. *Th. Hughes Tom Brown's School-Days 1850.* Stary Brown, oddając syna do szkoły w Rugby, w następujący sposób określa cel i zadania szkoły: „*if he'll turn out a brave, helpful, truthtelling Englishman and a gentleman and a Christian, that's all I want.*" A sam bohater powieści na zapytanie, czego wymaga od szkoły, odpowiada: „*I want to carry away as much Latin and Greek as will take me through Oxford respectably. I want to leave behind me the name of*

łączy się w publicznej szkole angielskiej zarówno z duchem uczciwości umysłowej, jak i z gorącem i szczerem uczuciem narodowem. Ucząc się poznawania liter z elementarza, chłopiec angielski już w niemowlęcym wieku słyszy wierszowane objaśnienia liter, w których brzmi nuta potęgi i siły narodowej, a nie brak w nich nawet dumnego wyzwania, rzuconego całemu światu, w rodzaju czterowiersza, który słyszałem z ust dziewięcioletniego chłopca w jednej z większych szkół publicznych. „*O — is the Ocean, where none but a fool would ever dare question our title to rule*“ (O — oznacza ocean, na którym zaprzeczyć nam prawa do panowania ośmielić się może chyba tylko niepoczytalny waryat). Nic więc dziwnego, że chłopiec angielski już bardzo wcześnie zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że jest synem wielkiego, wolnego i potężnego narodu, dążącego do najwyższego rozwoju swoich przyrodzonych właściwości pod wzniosłem hasłem „swobody bez anarchii“ (*freedom without lawlessness*). A to poczucie, co z biegiem czasu wyrasta we właściwe jednemu tylko narodowi angielskiemu utożsamienie miłości kraju z miłością do matki (*mother country*), podczas gdy inne narody kraj swój rodzinny nazywają ojczyzną, bierze swój początek w tem, że szkoła jest pierwszą ojczyzną angielskiego dziecka, które w dalszem życiu swój patryotyzm szkolny przenosi na inne dziedziny życia społecznego.

Jak wielkość i potęga narodu zależy od harmonijnego współdziałania wszystkich obywateli, którym powinien przyświecać jeden i ten sam cel — dobro ojczyzny, tak i szkoła tylko wówczas potrafi wypełniać właściwe swe zadanie, jeżeli ożywiać ją będzie duch wspólności celu i dążeń zarówno władzy szkolnej, jak i samych uczniów. Dla przeciętnego angielskiego chłopca szkoła publiczna przedstawia się niejako w kształcie mikrokosmu, małego świata, małego organizmu społecznego, w którym uczy się poruszać swobodnie i samodzielnie, zanim po ukończeniu nauk wystąpi na szerszą widownię życia, a to przyzwyczajenie do samodzielności i swobody polega — nie jak się u nas wielu zdaje — na udziale w rządzeniu szkołą, ale na zrozumieniu właściwych zadań wychowawczych szkoły, na przejęciu się niemi i stosowaniu ich do wszelkich wypadków życia szkolnego. Wypływa stąd specyfi-

a fellow who never bullied a little boy or turned his back on a big one.“ Por. także inne wyborne powieści szkolne: *Aldrichs, Story of a bad boy 1874*, lub *T. B. Reed, The master of the shell 1888*, tudzież opowiadania *Rudyarda Kiplinga* p. t. „*Captain Courageous*“ i „*Stalky and C°*.

czna właściwość angielskiej szkoły publicznej—świadome współdziałanie uczniów z zarządzeniami władzy szkolnej, mającemi na celu umysłowe, fizyczne i moralne udoskonalenie młodzieży szkolnej, co jest możliwem tylko przy tem bezgranicznem i ślepem zaufaniu, jakiem władza szkolna cieszy się zazwyczaj u uczniów.

Cały kierunek naukowo-wychowawczy w szkole publicznej w Anglii, zarówno, jak cała władza w nieograniczonym zakresie, spoczywa n i e p o d z i e l n i e w rękach przełożonego, powoływanego z wyboru rad opiekuńczych (*trustees*), którym na mocy statutów królewskich przysługuje zarząd majątkiem i funduszami szkoły. Instytucya naszych rad pedagogicznych jest w Anglii zupełnie nieznaną—nauczyciele są tylko „pomocnikami“ (*assistant master*) przełożonego, który nosi urzędowy tytuł „głównego kierownika szkoły“ (*head master of the school*)—gdyż Anglik nie znosi odpowiedzialności zbiorowej, uważając ją słusznie za pojęcie, równoznaczne z brakiem wszelkiej odpowiedzialności, i pragnie zawsze w każdej dziedzinie widzieć „odpowiedniego człowieka na odpowiedniem miejscu“ (*the right man in the right place*). Tembardziej zaś nie zna szkoła angielska „wieców uczniowskich, z których postanowieniami liczyć się winno ciało nauczycielskie,“ a w których widziano u nas dwa lata temu „jeden z organizacyjnych składników szkoły społecznej“(?), pragnąc uszczęśliwić tym „składnikiem“ nasze świeżo powstające szkolnictwo polskie. [1]) W niższych klasach odbywają się wprawdzie od czasu do czasu t. zw. „wiece oburzenia“ (*indignation meetings*), zazwyczaj jako protest przeciwko złym stopniom, stawianym przez nauczycieli; jest to jednak tylko zwykły objaw nieuniknionej swawoli szkolnej, kończący się najczęściej zamknięciem winnych do kozy lub zapoznaniem ich ze smakiem brzeziny w gabinecie przełożonego. [2])

[1]) Zob. odpowiedni artykuł w „Kuryerze Warszawskim“ z dn. 30 lipca 1905 r. № 208.

[2]) W niższych klasach istnieją również dziecinne tajne związki, naśladujące dawne zakony rycerskie lub średniowieczne trybunały tajemne (*Vehmgerichte*), o których uczniowie czytali w podręcznikach historyi. Władza szkolna toleruje zazwyczaj ich istnienie, udając, że o nich nic nie wie, lecz rozciąga nad niemi baczną kontrolę. Każdy nowo-wstępujący uczeń obowiązany jest zapisać się do jednego ze związków, przyczem zapisanie się jest połączone z odpowiedniem poświęceniem (*initiation*) podług ściśle przepisanego ceremoniału, polegającego przeważnie na biciu nowicyusza w najrozmaitszy sposób płaską lub okrągłą stroną łopaty od cricketa (*bat*). Natomiast w starszych klasach istnieją z wiadomością władzy szkolnej uczniowskie kluby sportowo-atle-

Przełożeni szkół publicznych są wybierani z pomiędzy poważnych uczonych, znanych zaszczytnie ze swych prac naukowych, przeważnie z pośród profesorów z Oxford i Cambridge lub — a do niedawna nawet wyłącznie — z pomiędzy duchownych, należących do Wysokiego Kościoła, gdyż angielska szkoła średnia pomimo stale postępującej laicyzacyi całego szkolnictwa, zachowuje dotychczas jeszcze wybitny charakter konfesyjny. Uposażenie przełożonych większych szkół publicznych waha się pomiędzy trzydziestoma i sześćdziesięcioma tysiącami rubli rocznie, a ze stanowiska przełożonego takich szkół, jak Eton, Rugby lub Harrow, prowadzi prosta droga do najwyższych dostojeństw kościelnych, biskupstwa Londynu lub arcybiskupstwa Canterbury i prymasostwa Anglii. Nic więc dziwnego, że wybór kandydatów jest zawsze bardzo staranny, a przełożeni szkół średnich, zarówno publicznych, jak i korporacyjnych, stoją zazwyczaj najzupełniej na wysokości swego zadania i trudnych wymagań zawodu pedagogicznego.

Nauczyciele każdej szkoły publicznej rekrutują się przeważnie z dawnych jej wychowańców, którzy, wracając do swej *alma mater* po odbyciu studyów uniwersyteckich, nawiązują dawną nić tradycyi i ścisły związek ze szkołą, a znając dobrze zwyczaje miejscowe, ożywieni tym samym duchem korporacyjnym, co i uczniowie, zyskują łatwo w krótkim przeciągu czasu zupełne zaufanie młodzieży i stają się rzeczywistymi jej przewodnikami i kierownikami. Stąd też stosunek pomiędzy nauczycielami i uczniami nosi bardzo często charakter prawdziwej i szczerej przyjaźni wszelako bez poufałości, i charakteru tego nie nadwerężają w niczem bardzo surowo przestrzegane w obrębie szkoły wymagania rygoru i dyscypliny; [1]) wymagania te obowiązują nietylko w stosunku uczniów do nauczycieli, lecz i w stosunku uczniów pomiędzy sobą.

tyczne lub kółka naukowe i literackie; ostatnia klasa (*sixth form*) wydaje zazwyczaj gazetę, poświęconą sprawom szkolnym ze szczególnem uwzględnieniem działu sportowego; gazety takie stanowią nieoceniony materyał dla poznania wewnętrznego życia szkoły angielskiej. Młodzież szkolna interesuje się również bardzo żywo polityką, lecz trzyma się od niej daleko: dyskusya w kółkach literackich, o ile potrąca kwestye polityczne, nosi zazwyczaj charakter ściśle teoretyczny (np. „o konieczności utrzymania dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonemi.“ lub „czy korzystnem byłoby dla Anglii utworzenie się federacyi południowo-afrykańskiej“ i t. p.).

[1]) Wymagania te ustają jednak poza murami szkoły. W jednej ze szkół nauczyciel francuskiego skarżył się przełożonemu, że uczniowie nie kła-

Jak nauczyciele są pomocnikami przełożonego w kwestyach, dotyczących wewnętrznego porządku w szkole, tak pomocnikami nauczycieli w tym zakresie są t. zw. monitorowie lub praepostorowie, mianowani przez przełożonego z pośród uczniów ostatniej klasy i o ile możności z najlepiej grających w *cricket* lub *foot ball (the cricket eleven* lub *the foot ball fifteen)*, a więc z tego powodu cieszących się powszechnem uznaniem u wszystkich chłopców. Monitorowie wybierają z pomiędzy siebie „kapitana szkoły“ (*captain of the school*), a pomocnikami jego są t. zw. *captain of the foot ball* i *A 1. at cricket*, to jest najlepiej grający w piłkę nożną i w cricketa. Monitorowie wraz z kapitanem szkoły stanowią właściwą inspekcyę szkolną, obowiązaną nietylko do przestrzegania porządku w szkole, lecz i do czuwania nad moralną stroną uczniów, i przyznać należy, że z tego podwójnego i trudnego, a w wielu wypadkach bardzo delikatnego zadania, starsi uczniowie, obdarzeni zaufaniem zwierzchności szkolnej, wywiązują się naogół w sposób zadawalniający. O ile rozkaz lub upomnienie nie działają, monitor ma prawo wymierzyć winnemu karę cielesną za pomocą trzcinki, w wypadkach nadzwyczajnych lub jeżeli którykolwiek z chłopców dopuścił się czynu hańbiącego, obowiązany jest zameldować winnego u przełożonego szkoły (*to report the guilty to the Doctor*).

Skoro mowa o karności szkolnej, nie można pominąć milczeniem t. zw. *„fagging-system,“* istniejącego w publicznych szkołach angielskich od niepamiętnych czasów, dziś jednak znacznie złagodzonego a przypominającego poniekąd stosunek „fuchsów“ do „burschów“ w Corps'ach S. C. na uniwersytetach niemieckich. Na początku roku szkolnego kapitan szkoły wyznacza każdemu z uczniów klas wyższych po jednemu lub po dwóch *fag'ów* z pomiędzy młodszych chłopców: fag jest obowiązany do bezwzględnego posłuszeństwa względem swego opiekuna i podlega jego dyskrecyonalnej władzy dyscyplinarnej aż do kary cielesnej włącznie, za co jednak „właściciel“ faga powinien go bronić od wszelkiej napaści, roztaczać nad nim opiekę, dbać o dobre sprawowanie i postępy, tudzież pomagać mu w naukach. Chłopcy angielscy są, naogół biorąc, bezwzględni i brutalni, stąd też *fagging-system*

niają mu się na ulicy. „Niech pan postępuje z nimi tak, żeby się panu kłaniali i na ulicy“, brzmiała odpowiedź. Dodać należy, że stanowisko nauczycieli języków nowożytnych w szkołach angielskich pozostawia czasami dużo do życzenia.

w dawnych czasach pociągał za sobą liczne nadużycia, dochodzące nawet do przypiekania na wolnym ogniu za nieusłuchanie rozkazu (Tom Brown); dziś jednak fag może w każdej chwili odwołać się do monitora, który go z pewnością obroni od zbytniej surowości ze strony „właściciela," i stosunek ten w wielu wypadkach przybiera sympatyczny charakter starannej i *quasi* — rodzicielskiej opieki starszych chłopców nad dziećmi, powierzonymi ich opiece.

Pomijając już względy fizycznego rozwoju i zahartowania młodego organizmu, nieocenioną rolę przy wyrobieniu poczucia karności w młodzieży angielskiej, a co za tem idzie i utrzymaniu jej w szkole, odgrywa w Anglii system sportów, przedewszystkiem zaś system gier i zabaw na wolnem powietrzu, na których czele stoją dwie ulubione gry narodowe: jesienny *foot ball* i wiosenny *cricket*. Wszystkie gry angielskie, poczynając od tennisa, a kończąc na indyjskiem *polo*, czyli konnym crickecie, polegają na walce dwóch obozów, z których każdy stara się przerzucić piłkę we wskazane miejsce pomimo przeszkadzania mu w tem przeciwnika, i w tem właśnie podniesieniu zasady współdziałania do wysokości dogmatu, streszcza się całe ich pedagogiczne znaczenie dla rozwoju charakteru młodego pokolenia. Niezależnie od rozwijania sprawności i zręczności fizycznej, tudzież cierpliwości i wytrzymałości na ból i zmęczenie (sami Anglicy nazywają foot ball *a rough play*), sporty, tak namiętnie w szkołach angielskich uprawiane, przyzwyczajają młodzież do samodzielnego i szybkiego oryentowania się w każdej sytuacyi, tudzież do prędkiego decydowania się, do dobrowolnego zachowywania ustanowionych przepisów w najdrobniejszych ich szczegółach (*fair play*), do poświęcenia wszystkich swoich sił i środków dla dopięcia wspólnie zamierzonego celu, do pomagania kolegom i do szanowania swoich przeciwników, wreszcie do ślepego posłuszeństwa z jednej i do wydawania stanowczych rozkazów z drugiej strony.

Więc nie przez uznanie rządów młodzieży w szkole, [1]) lecz przez stworzenie silnego autorytetu władzy szkolnej, świadomej

[1]) Próby zaprowadzenia t. zw. „samorządu" w kilku szkołach amerykańskich zakończyły się zupełnem *fiasco*, i słuszną pod tym względem uwagę uczynił *Brown*: „it would seem however that only a principal who has the strength and skill to govern well, is capable of making a school into a truly self-governing body" (w *Butler's Education in the United States*. 1900, t. I, str. 188).

dobrze swych celów i zadań, a *umiejącej* nagiąć do nich powierzoną jej pieczy młodzież, wytwarza szkoła angielska to harmonijne współdziałanie młodzieży z władzą szkolną, którego zupełny brak stanowi charakterystyczną cechę naszego dzisiejszego szkolnictwa. Nic więc dziwnego, że jeden z pedagogów angielskich, zainterpelowany na zebraniu w Warszawie (nb. za pośrednictwem tłómacza) przez pewnego „znawcę szkoły angielskiej," jakie stanowisko zajmuje angielska młodzież szkolna wobec podniesionej w parlamencie kwestyi co do wykładu religii, nie potrafił ukryć swego zdziwienia, że tego rodzaju pytania mogą być wogóle stawiane. „Naszą rzeczą jest zdecydować to, co ma być zrobionem, a młodzież zrobi to, co my zdecydujemy."

W tych prostych słowach Cecila Reddie mieści się cała treść organizacyi wewnętrznej współczesnego szkolnictwa w Anglii.

V.

Budżet angielskiego szkolnictwa średniego — a mówimy tu wyłącznie o szkołach średnich dla chłopców w samej Anglii z wyłączeniem Walii, Szkocyi i Irlandyi — z trudnością da się określić nawet w przybliżeniu. Niektórzy badacze szkolnictwa angielskiego uważają to zadanie za wprost niewykonalne. [1])

Urzędowy budżet Zjednoczonego Królestwa na rok 1905—1906 (rok budżetowy w Anglii zaczyna się w dniu 1 kwietnia) w klasie IV działu III „Public Expenditure" przeznacza na „wychowanie, nauki i sztuki" sumę Ł. 16,328,947, to jest przeszło 150 milionów rubli, [2]) ale z jednej strony dział ten zawiera dużo pozycyj, nie mających nic wspólnego ze szkolnictwem (np. zakup nowych obrazów do Galeryi Narodowej) z drugiej zaś — wielu pozycyj na cele szkolnictwa średniego należy szukać w innych działach budżetu, inne zaś, jak np. uposażenia lub wpisy zupełnie w budżecie nie figurują.

Autor najlepszego dzieła, jakie o szkolnictwie angielskiem napisane zostało, [3]) oblicza cały budżet szkolny mniej więcej na 25 milionów funtów sterlingów, sam jednak zaznacza, że wielu

[1]) *Leclerc l. c.* str. 365.

[2]) *Hazell's Annual* 1906, str. 161.

[3]) *Balfour l. c.* str. 292.

pozycyj w rachunku swoim nie uwzględnił (np. milionowych zapisów Cecila Rhodesa i A. Carnegiego, od których procenty roczne wynoszą przeszło m i l i o n rubli). Inny, niemniej sumienny badacz angielskich stosunków szkolnych, bardziej pedagog aniżeli administrator, [1]) oblicza budżet szkół średnich na $2^1/_6$ milionów funtów sterlingów, lecz nie uwzględnia w swoim rachunku olbrzymiej cyfry wpisów szkolnych, niektóre zaś pozycye (np. t. zw. *endowments* i *Whiskey money*) oblicza zbyt nizko.

Z budżetu Zjednoczonego Królestwa wypada, że jeśli na oświatę ludową parlament angielski uchwala rocznie przeszło 10 milionów funtów sterlingów, a podatki, ściągane na ten cel przez organy samorządu miejscowego, wynoszą niemniej jak $6^1/_2$ milionów funtów rocznie, to udział państwa w wydatkach na cele szkolnictwa średniego wynosi obecnie przeszło dwa miliony funtów sterlingów, czyli około dwudziestu milionów rubli rocznie w postaci t. zw. *Whiskey Money*, przelewanych z kasy rządowej do kas organów samorządu miejscowego, oraz specyalnych dopłat z funduszów rządowych na utrzymanie szkół średnich typu 1904 r. tudzież szkół średnich realnych i technicznych, to jest szkół typu A i B. Po za tem na mocy przepisów, nadających prawo publiczności tym szkołom, które poddały się pod kontrolę i inspekcyę ministeryum oświaty, skarb angielski gotów jest współdziałać ze szkołą przy tworzeniu stypendyów szkolnych, [2]) a na mocy ustawy 1891 r. hrabstwa i miasta uzyskały możność asygnowania specyalnych funduszów na tworzenie stypendyów dla szkół średnich, co wynosi przeszło Ł. 28,000 rocznie. [3])

Sięgając tradycyą swoją drugiej połowy XIV stulecia, dzisiejsze publiczne szkoły angielskie zawdzięczają swoje powstanie bogatym fundacyom i zapisom, czynionym rozmaitemi czasy przez duchowieństwo, cechy, korporacye, królów, książąt kościoła i magnatów, a to obfite źródło ofiarności publicznej na cele oświaty nie przestało dotychczas bić w Anglii, jak to widać ze wspaniałych fundacyj niekoronowanego króla południowo-afrykańskiego

[1]) *Brend l. c.* str. 820.

[2]) Na mocy przepisów z d. 14 czerwca 1904 r. na każdych 15 uczniów uznanej przez państwo szkoły m o ż e b y ć utworzone jedno stypendyum, na które szkoła obowiązuje się płacić po 5 funtów rocznie, państwo zaś dodaje od siebie w pierwszym roku cztery, w drugim siedem, w trzecim zaś 10 funtów rocznie.

[3]) Zob. *C. R. Benson, Recent progress in England w Acland and Smith l. c.* str. 88—89.

Cecila Rhodes'a i amerykańskiego miliardera Andrew Carnegie'go. Uposażenia angielskich szkół średnich zostały ostatecznie spisane i uporządkowane w roku 1892 przez specyalną *Charity Commission*, powołaną w tym celu jeszcze w roku 1853, a zamienioną następnie na t. zw. *Endowed Schools Commission*. W raporcie, złożonym Izbie Gmin, ogólny dochód roczny średnich szkół angielskich z wyłączeniem niedającej się obliczyć wartości własności nieruchomej w postaci gruntów i budynków szkolnych (*exclusive of a property of an incalculable value in the form of sites and building for schools*) obliczony został na Ł. 697,132, to jest przeszło na sześć milionów rubli. [1])

Z ułożonego w roku 1897 urzędowego spisu „szkół, stojących pomiędzy szkołą elementarną i uniwersytetami," a więc mniej więcej odpowiadających naszemu pojęciu szkoły średniej, widać, że dochód powyższy przypadał na 502 szkoły dla chłopców i 86 szkół dla dziewcząt, ale uposażenia tych ostatnich wynosiły w większości wypadków zaledwie po kilka lub kilkanaście szylingów. Spis uposażeń szkolnych z r. 1892 nie jest wprawdzie zupełnie wyczerpujący, zdaje się jednak być niedalekim od prawdy, skoro już w roku 1876 dochód roczny wynosił Ł. 646,842, a Graham Balfour w drugiem wydaniu swego Systemu wychowania w Wielkiej Brytanii i Irlandyi podaje przypuszczalną sumę uposażenia wszystkich szkół średnich w Anglii na Ł. 700,000, co wynosi 5 % od 14 milionów funtów sterlingów, albo 130 milionów rubli, zapisanych różnemi czasy na różne szkoły angielskie, począwszy od roku 1387.

Ten sam autor obliczył, że angielskie szkoły średnie pobierają tytułem wpisowego od rodziców uczącej się młodzieży od miliona do półtora miliona funtów rocznie. Nie należy jednak zapominać, że mniej więcej połowa ogólnej liczby chłopców angielskich, uczących się w szkołach średnich, mieszka w internatach przy szkołach, [2]) i że lwią część wpisu pochłania nie opłata za naukę (*school fee*), ale opłata za utrzymanie (*boarding*). Zestawienie odnośnych pozycyj opłaty szkolnej w czterech większych szkołach publicznych wskazuje, że opłata za utrzymanie wynosi od 60 do 80% ogólnej opłaty szkolnej w zależności od rodzaju

[1]) *Balfour l. c.* str. 152.

[2]) Podług obliczenia *Findlay'a* l. c. str. 25 na ogólną sumę 78 tysięcy uczniów szkół ogólno-kształcących przypada 37 tysięcy internów a 41 tysięcy przychodzących (*oppidans, day boys*).

szkoły i klasy utrzymania.[1]) Przyjmując ogólną cyfrę wpisowego na półtora miliona funtów, i biorąc pod uwagę, że połowa tej sumy stanowi opłatę za naukę od przychodzących, od drugiej zaś połowy 75% odchodzi na koszta utrzymania chłopców w internatach, otrzymujemy mniej więcej sumę Ł. 900.000 to jest około dziewięciu milionów rubli rocznie, którą szkoły angielskie otrzymują od uczniów tytułem opłaty za naukę.

W r. 1890 przy zmianie systemu podatków konsumcyjnych i zaprowadzeniu akcyzy od piwa, wódki i cykoryi,[2]) skarb angielski znalazł się w posiadaniu dochodu rocznego w wysokości około Ł. 800.000, przeznaczonych poprzednio na wynagrodzenie dawnych dzierżawców tego źródła dochodów państwowych. Na wniosek zasłużonego na polu szkolnictwa sir T. D. Aclanda parlament przeznaczył większą część tej sumy do dyspozycyi organów samorządu miejscowego (*County Councils* i *County Boroughs*), upoważniając je jednocześnie do zakładania i utrzymywania technicznych szkół średnich. Pod nazwą technicznej szkoły średniej w angielskiem znaczeniu tego słowa należy rozumieć szkołę, w której specyalna uwaga zwrócona jest na wykład matematyki, nauk przyrodniczych i rysunków. Zresztą szeroka interpretacya tej uchwały parlamentu umożliwiła nawet przeznaczenie części tych t. zw. *Whiskey Money* na szkoły ogólno-kształcące. Ogólna suma tych „pieniędzy wódczanych“ wyniosła w roku 1900—1901 niecały milion funtów sterlingów, z czego Ł. 863.847 zostało przelane do kas organów samorządu miejscowego, a że ogólna suma t. zw. *Whiskey Money* wzrasta mniej więcej o 4% rocznie, a na mocy prawa z r. 1902 hrabstwa i miasta obowiązane są przeznaczać całkowitą otrzymaną z tego tytułu sumę na cele szkolnictwa średniego, przeto ta trzecia pozycya wynosi nie mniej jak 1.100.000 funtów, to jest *około dziesięciu milionów rubli* rocznie.

Czwartą pozycyę budżetu angielskiego szkolnictwa średniego stanowią subsydya, wypłacane przez rząd z funduszów skarbowych na utrzymanie t. zw. dziennych szkół średnich typu A i B (*Secondary Day Schools A and B*), pozostających pod zarządem ministeryum oświaty, a odpowiadających mniej więcej typowi

[1]) Tak np. w *Eton* na ogólną sumę wpisowego Ł. 172.10.0 na utrzymanie ucznia przypada Ł. 105.0.0, w *Harrow* na Ł. 183.9.0—Ł. 135.0.0, w *Clifton* na Ł. 126.5.0—Ł. 100.6.0, w *Sedbergh* na Ł. 78.10.0—Ł. 55.0.0.

[2]) *Local Taxation (Custom and Excise)* Act 1890 (53 i 54 Viet. c. 60).

[3]) *Education* Act 1902, 2 Edw. VII. c. 42.

szkół realnych[1]) z dodaniem obowiązkowej nauki rzemiosł (*manual training*). Niezależnie od subsydyów stałych (*payment by results*), których wysokość dla każdej szkoły określa co roku minister oświaty na podstawie sprawozdań inspektorów szkolnych, skarb dopłaca zazwyczaj każdej takiej szkole po 10 szylingów na każdego ucznia, który uczęszczał na lekcye w przeciągu 240 — 250 dni szkolnych i zdał egzamin przynajmniej z jednego przedmiotu specyalnego oprócz obowiązkowego zdania egzaminów z przedmiotów ogólno-kształcących, (*payment by attendance*).[2]) W roku 1894 skarb angielski dopłacił do tego typu szkół sumę Ł. 650.000,[3]) zdaje się więc, że nie będziemy dalecy od prawdy, podnosząc tę sumę do Ł. 800.000. Do sumy powyższej należy dodać jeszcze dopłaty z funduszów ministeryum oświaty na utrzymanie szkół średnich typu 1894 r.[4]) (w r. 1903 — 135 szkół) po 40, 60, 80 i 100 szylingów na każdego ucznia w zależności od liczby lat, jaką jest w szkole; z tego tytułu ministeryum oświaty w roku 1905—1906 wypłaciło sumę Ł. 242.500 (o Ł. 26.000 więcej niż w roku poprzednim.[5]) Tym sposobem i ta czwarta z kolei pozycya budżetu angielskiego szkolnictwa średniego wynosi sumę przeszło dziesięciu milionów rubli rocznie.

---

[1]) „An organized Science Day School must provide a thorough and progressive course of Education in Science, combined with litterary or commercial instruction, adapted to students, whose education is such, as to fit them to enter Standard VII of the English Code for a Public Elementary School„ (Por. *Balfour* l. c. str. 159).

[2]) Szkoły te pozostają pod kontrolą t. zw. departamentu nauk i sztuki (*Department of Art and Science*), położonego w londyńskiej dzielnicy południowego Kensingtonu, stąd też dopłaty takie noszą techniczną nazwę *South Kensington Grants*. Początek tego systemu datuje od roku 1872, lecz dopiero w końcu roku 1895 system subsydyów rządowych został ściślej zorganizowany, a w roku 1901 zreformowany ostatecznie. W ostatnich czasach *payment by attendance* wychodzi coraz bardziej z użycia na korzyść stałych subsydyów (*payment by results*).

[3]) *Breul* l. c. str. 776.

[4]) Szkoły tego typu powinny dawać „a general education, physical, mental and moral, given through a complete graded course of instruction of wider scope and more advanced degree than that given in elementary schools... such as gives a reasonable exercise and development to the whole of the faculties and does not confine this development to a particular channel" (Zob. *Regulations for Secondary Schools* 1905 (1906 str. 3).

[5]) Por. *Hazell's Annual* 1906 str. 121 i 161.

Wskutek sprawozdania, złożonego w r. 1884 Izbie Gmin przez komisyę królewską, powołaną do zbadania stanu wykształcenia „technicznego“ (w angielskiem znaczeniu tego słowa) parlament nadał utworzonym w roku 1888 radom hrabstw i radom miejskim prawo ustanawiania dodatku do podatków rządowych w stosunku 1 pensa na 1 funt sterling (0,4%) na cele szkolnictwa średniego, a w roku 1902 prawo to dla rad hrabstw zostało podniesione o drugie tyle (0,8%). Z prawa tego organy samorządu miejscowego korzystały z początku w szczupłym zakresie, lecz już w r. 1900—1901 dochód z tego tytułu wynosił Ł. 106.209, tak że obecnie sumę tę możemy śmiało podwoić. Dodać należy do niej fakultatywny dodatek do podatków w stosunku 1 *d* na 1 Ł., ustanowiony 50 lat temu na subwencyonowanie szkół średnich, zakładanych przy bibliotekach i muzeach miejskich;[1]) z tego tytułu wydano w Anglii w 1892 — 1893 r. sumę Ł. 19.439 na cele szkolnictwa średniego, a sumę powyższą dziś również co najmniej podwoić należy. Tym sposobem piąta i ostatnia pozycya budżetu angielskich szkół średnich wynosi mniej więcej 240.000 funtów, co stanowi znowu około dwóch milionów rubli rocznie.

Dla zobrazowania ogólnego budżetu szkolnictwa angielskiego służyć może następująca tabliczka:

Procenty od zapisów . . .	Ł. 700.000 =	rb. 6.550.000	—17,7%
Wpisy szkolne.	„ 900 00 =	„ 8.550.000	—22,8%
Dopłata ze strony rządu . .	„ 2.100.000 =	„ 19.950.000	—53,5%
Dopłata ze strony organów samorządnych	„ 240.000 =	„ 2.280.000	— 6,0%
razem	Ł. 3.940.000 =	rb. 37.430.000	— 100%

Widzimy więc, że sama Anglia, nie licząc Walii, Szkocyi i Irlandyi, wydaje na utrzymanie szkół średnich dla chłopców sumę 37½ milionów rubli, z czego przeszło połowę daje rząd, podczas gdy dopłata ze strony organów samorządu miejscowego wynosi zaledwie 6%. Procenty od olbrzymich, sięgających od XIV wieku zapisów na cele szkolnictwa, stanowią zaledwie 17,7% ogólnego budżetu.[2]) Tworząc fałszywą i zgubną w skutkach teoryę, jako-

[1]) *Public Libraries* Act 1855 (18 i 19 Vict. c. 70).

[2]) Dodać należy, że większość szkół angielskich posiada własne wspaniałe gmachy i urządzenia szkolne, których wartość nie została uwzględnioną w powyższem obliczeniu.

by t. zw. samopomoc społeczna mogła zastąpić w dziedzinie szkolnictwa celową i świadomą działalność władzy publicznej, nasi „znawcy szkoły angielskiej“ powoływali się niejednokrotnie na przykład Anglii jako kraju, w którym całe szkolnictwo średnie opiera się wyłącznie na inicyatywie i na ofiarności prywatnej. Przytoczone powyżej cyfry zadają stanowczy kłam temu twierdzeniu, opartemu na zupełnej nieznajomości rzeczywistych stosunków w kraju, który się swemu społeczeństwu podaje, jako przykład do naśladowania.

Do kosztów utrzymania szkół średnich dla chłopców w samej Anglii należy jeszcze dodać conajmniej przeszło milion funtów kosztów utrzymania takich szkół w Walii, Szkocyi i Irlandyi.[1]) Tym sposobem ogólny budżet szkolnictwa średniego w Zjednoczonem Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandyi wynosi conajmniej 5 milionów funtów, a więc około pięćdziesięciu milionów rubli rocznie, czyli conajmniej $^1/_{15}$ część ogólnego budżetu na cele oświaty. A że wychowanie publiczne, jak zresztą każdy dział kultury ludzkiej, zależy ostatecznie od ilości pieniędzy, poświęconych na wskazany cel, więc nietrudno zrozumieć, dla czego w dziedzinie szkolnictwa Anglia wyprzedziła inne narody, dla czego angielskie szkoły średnie stanowią, ogółem biorąc, przedmiot podziwu i zazdrości całego świata cywilizowanego.

Nawet w Stanach Zjednoczonych, których budżet szkolny wynosi 217 milionów dolarów, na szkoły średnie (zarówno dla chłopców jak i dla dziewcząt) przypada zaledwie suma dol. 17.160.982, to jest mniej więcej około 8% całego budżetu na cele oświaty,[2])

[1]) Zebranie cyfr szczegółowych dla Walii, Szkocyi i Irlandyi przedstawia zbyt dużo trudności. Jeżeli jednak w samej Anglii przy jej 30 milionowej ludności wypada na szkoły średnie po 2-sh 6-d na głowę, to wydatki takie w tym samym stosunku dla Walii wyniosą L. 225.000, dla Szkocyi zaś L. 562.500. Irlandya pod względem oświaty stoi znacznie niżej od Anglii, dla tego też należy dla niej przyjąć ten wydatek w stosunku 1-sh 3-d na głowę, co wobec 4 $^1/_2$ milionowej ludności tej wyspy wyniesie z górą L. 280.000.

[2]) Podług obliczeń *Draper'a* (Butler l. c. t. I, str. 30) Stany Zjednoczone wydają na oświatę ludową sumę 184.453.780 dolarów (z czego 163.023.294 ściąganych w postaci podatku). *Wheeler* (Baumeister l. c. str. 608) oblicza wydatki na utrzymanie uniwersytetów i kollegiów na sumę 15.365.612 rocznie, a podług obliczeń *Thurber'a* (Tamże str. 591) budżet amerykańskiego szkolnictwa średniego wynosi 17.160.982 dol. Dodać należy, że amerykańskie „colleges“ dają wykształcenie, zbliżone do naszych dwóch ostatnich klas gimnazyalnych, i z tego powodu w połowie przynajmniej do szkół średnich zaliczone być winny (Por. *Leobel* l. c. str. 49).

a z sumy tej dopłata ze strony skarbu i organów samorządu miejscowego wynosi niecałą połowę, jak się o tem z poniżej zamieszczonej tabliczki przekonać możemy. [1])

*

* *

Kiedy dwa lata temu przystępowano u nas do organizacyi szkolnictwa prywatnego, łudzono się powszechnie nadzieją, że jak inicyatywa prywatna jest w stanie powołać do życia potrzebną ilość odpowiednich średnich zakładów naukowych, tak samo pomoc społeczna potrafi znaleźć środki na ich utrzymanie. Ks. Jan Gralewski oświadczył wówczas, że „zwartym szeregiem musi stanąć do pracy całe społeczeństwo nietylko we wspólności myśli, lecz i w legalnej organizacyi, w której skład wejdą wszyscy dzielniejsi obywatele kraju i doświadczeni pedagogowie, a organizacya ta powinna ogarnąć kraj cały.“ [2]) Jednocześnie „Kuryer Warszawski,“ starający się być zawsze wiernem odbiciem przeważającej części opinii w kraju, ogłosił w artykule redakcyjnym, że „niepotrzebnie wojujemy liczbami ogromnemi ku pognębieniu inicyatywy społecznej,“ skoro „doświadczeni i świadomi rzeczy pedagogowie oświadczyli mu, że już przy wpisie 75 rb. szkoła średnia prywatna utrzyma się bez subsydyów z opłat szkolnych.“ Niestety, jak owym doświadczonym i świadomym rzeczy pedagogom zdarzyła się przy obliczaniu wysokości budżetów szkolnych fatalna pomyłka, oparta na nieznajomości sprawy, w której zabrali głos, [3]) tak i doświadczenie późniejsze rozwiało złudne przy-

[1]) Procenty od zapisów. . . dol. 3.961.817 = rb. 7.527.452,3 — 23,0%
Wpisy szkolne . . . . . „ 5.258.916 = „ 9.991.940,4 — 30,6%
Subsydya od skarbu i organów samorządu . . . „ 7.940.249 = „ 15.086.473,1 — 46,4%
Razem dol. 17.160.982 = rb. 32.605.865,8 — 100%

[2]) „Goniec Wieczorny“ 6 października 1905 № 442.

[3]) „Kuryer Warszawski“ 28 lipca 1905 № 206. Fatalna omyłka pedagogów „Kuryera Warszawskiego“ polega na tem, że podając na podstawie materyałów statystycznych sumy, asygnowane przez rząd na utrzymanie szkół, i sumy specyalne z wpisów, autorowie tego artykułu *zamiast dodać je*

puszczenie o możliwości oparcia prawidłowej organizacyi szkolnictwa średniego na inicyatywie prywatnej.

Okazało się niebawem, jak niepatrznie i lekkomyślnie czynionemi były owe tak świetnie przez Weyssenhoffa w „Narodzinach działacza“ przedstawione zapewnienia, że szkoła polska będzie jeśli nie bezpłatną, to w każdym razie bardzo tanią, i dziś musimy zgodzić się ze smutną, a nieubłaganą rzeczywistością, że polska szkoła prywatna jest dostępną tylko dla dzieci ze sfer zamożniejszych, że jest, naogół biorąc, trzy razy droższą od dawnej szkoły publicznej. Utworzone przy „Macierzy“ koło zapomóg szkolnych, które miało wziąć na siebie troskę dostarczenia środków materyalnych na potrzeby nowopowstającego polskiego szkolnictwa średniego, po półrocznem istnieniu rozwiązało się, przekazując świeżo powołanym do życia miejscowym kołom towarzystwa wpisów szkolnych obowiązek opłacenia wpisów za tych uczniów, których koło zapomóg nieco przedwcześnie samo uwolniło od wpisu, i nie można mu z tego tytułu uczynić żadnych zarzutów, oprócz jednego najważniejszego—mierzenia sił na zamiary, z oczywistą dla całego społeczeństwa krzywdą. Okazało się dalej, że bez t. zw. „praw rządowych“ (uznanych powszechnie przed dwoma laty za niepotrzebne i szkodliwe) młodzież nasza obejść się nie jest w stanie i że uczniowie, kończący szkoły prywatne bez praw, wobec grożącej im powinności wojskowej, znaleźli się w bardzo przykrem położeniu. Okazało się także, że szkoły prywatne pod względem naukowym stoją na niewysokim poziomie, skoro — jak to zostało stwierdzonem w obozie tych, którzy najgoręcej bronili bezrobocia szkolnego — „próby w kierunku zdobycia matur galicyjskich zawiodły zupełnie, młodzież niepotrzebnie traci rok czasu na przygotowanie się, wreszcie rezultaty prawie zawsze ujemne.“ [1]) Okazało się wreszcie, że kraj zaczyna już odczuwać brak wykwalifikowanych sił zawo-

do siebie, poodejmowali jedne od drugich(!) Nic więc dziwnego, że z takiego obliczenia wypadło im, że do sześciu gimnazyów w Warszawie rząd dopłaca tylko 26 tysięcy rubli, podczas gdy w rzeczywistości subsydyum rządowe wynosi dla nich 142 tysiące. Pomyłkę „Kuryera“ sprostowaliśmy w № 195 „Gazety Polskiej“ za rok 1905: w odpowiedzi na to „Kuryer“ (№ 210) dał nam delikatnie do zrozumienia, że jesteśmy zwolennikami dodatków do pensyj nauczycieli pochodzenia rosyjskiego, zapominając o tem, że dodatki te figurują w zupełnie innej pozycyi budżetu.

[1]) „Gazeta Codzienna“ 27 sierpnia 1907 r. № 25, por. także „Nowa Gazeta“ 16 listopada t. r. № 326.

dowych i że grozi nam zalew ze strony Żydów, którzy po krótkim okresie gorliwego popierania strajku szkolnego w celu usunięcia chrześcijan ze szkół rządowych, w bardzo krótkim czasie powrócili do dawnej szkoły rosyjskiej, skoro tylko celu zamierzonego dopięli.

Dzisiaj po bolesnem doświadczeniu dwóch lat ostatnich niema już chyba nikogo w całym kraju, ktoby wierzył, że społeczeństwo nasze jest w stanie na drodze inicyatywy i ofiarności prywatnej stworzyć odpowiadającą potrzebie sieć szkół średnich, tudzież przystąpić do organizacyi szkolnictwa wyższego w Królestwie Polskiem. Ale jak dwa lata temu popełniono u nas błąd zasadniczy, pragnąc oprzeć organizacyę szkolnictwa na zasadzie samopomocy społecznej, tak dziś znowu myśl nasza wkracza także na błędne manowce. Coraz częściej bowiem dają się słyszeć głosy, upatrujące rozwiązanie bolesnej kwestyi szkolnej w zamierzonym wprowadzeniu samorządu do naszego kraju; samorząd ten ma niby dostarczyć środków materyalnych na potrzeby naszego szkolnictwa średniego. Ale najpobieżniejsze bodaj zbadanie budżetów szkolnictwa średniego w jakimkolwiekbądź kraju, a w tej liczbie i w Anglii, nazwanej słusznie ojczyzną i kolebką *selfgovernement'u*, wskazuje, że udział organów samorządu miejscowego w popieraniu szkolnictwa średniego wobec ogromu zadań społecznych, jakie im przypadają w udziale, a które u nas wobec powszechnego zaniedbania wiekowego będą jeszcze znacznie większe—wyrazić się może tylko w cyfrach bardzo skromnych, stanowiących niewielką cząstkę budżetu szkolnego. W kraju, w którym więcej niż połowa mieszkańców nie umie czytać i pisać, organy samorządu miejscowego będą musiały przedewszystkiem zabrać się energicznie do walki z analfabetyzmem, zanim będą mogły pomyśleć o roztoczeniu opieki materyalnej nad szkolnictwem średniem w najskromniejszym bodaj zakresie.

Jeszcze niedawno—bo zaledwie przed laty czterdziestu, nie mówiąc już o świetnych tradycyach Komisyi Edukacyjnej, uniwersytetu wileńskiego lub liceum w Krzemieńcu—sami organizowaliśmy w naszym kraju szkoły i organizowaliśmy je — jak na owe czasy — znakomicie, dla tego, że przyświecały nam na tej drodze gruntowna wiedza, nauka, tudzież znajomość urządzeń kulturalnych na Zachodzie Europy. Doświadczenie lat ostatnich dowiodło, że w tak ważnej dla społeczeństwa naszego kwestyi nietylko nie umieliśmy obecnie sporządzić najelementarniejszego bodaj rachunku, lecz powołując się dla tradycyi na wzory zagrani-

czne, których poznać nie umieliśmy, płód własnej wyobraźni przyjęliśmy za rzeczywistość. Powierzchowność w traktowaniu rzeczy tak doniosłych zajęła miejsce niedawnej gruntowności. Gdy już nie czas na spóźnione żale i potępieńcze swary, gdy nic już nie wróci społeczeństwu strat, jakie stąd poniosło, poznajmy przynajmniej nasze błędy wczorajsze, abyśmy potrafili ustrzedz się ich powtórzenia w przyszłości.

Bronisław Bouffałł.

NAJNOWSZE PRĄDY

w polskiej twórczości muzycznej.

Od czasu epoki Romantyzmu, kiedy twórczość Chopina zajęła wyjątkowe stanowisko w międzynarodowej muzyce, kiedy stała się jednem ze źródeł, zasilających ją nowemi środkami expresyi — pełna świetności w czasach Jagiellonów i Wazów, a końcu wieku XVIII-go niemal zapomniana muzyka polska, zdobyła sobie prawo wszechświatowego obywatelstwa. Odrodzenie sztuki tonów, u nas będące wypadkową wysokiego ruchu kulturalnego z czasów Księstwa Warszawskiego oraz genialności Chopina, nie miało jednak bezpośredniego dla naszej sztuki znaczenia. Nieszczęścia polityczne, a przytem brak talentów wybitniejszych, któreby w samodzielny sposób idee wielkiego twórcy Polonezów i Mazurków rozwijać mogły — sprawiły, że charakter muzyki polskiej w okresie po-Chopinowskim zacieśnił się w pewnym zakresie lokalnym i twórczość nasza nie stworzyła nic takiego, coby po za granicami kraju interesować mogło.

Moniuszko — genialny piewca poezyi naszych dawnych szlacheckich dworów, melodysta nieporównany z łaski Bożej, nie wychowywał się już w tej atmosferze, jaką przed 1830 rokiem stworzył Elsner w „szkole głównej“ muzyki w Warszawie; sam zaś przytem nie posiadał zapewne daru korzystania z owoców obcej kultury, wyśpiewywał dumki dziewczęce, tworzył zamaszyste polonezy, wykrzesywał dziarskie mazury. Była to jednak „sztuka przeszłości,“ która, odzwierciadlając czasy dawne, była zarazem niejako zamknięciem pewnej epoki w rozwoju naszej muzyki; nie otwierała nowych horyzontów, ani pod względem formy, ani harmonii, ani tem mniej instrumentacyi. Chronologicznie powinna była mieć miejsce przed Chopinem. A jednak na twórcy Halki

oparła się nasza twórczość po-Moniuszkowskiej doby. Przy pomocy niemieckich, konserwatywnych wzorów, z hasłem „nuty polskiej,“ z niechęcią i niezrozumieniem, a przedewszystkiem nieznajomością Wagnera i Berlioza, zasklepiała się idea muzyki polskiej w wyzyskiwaniu mniej lub więcej udolnem rytmów i melodyj ludowych.

Stworzyła się szkoła „sui generis,“ pozornie, szowinistycznie polska, odcinająca się murem chińskim od wszelkiego międzynarodowego postępu, w gruncie rzeczy zaś operująca polskimi ludowymi rytmami i melodyami za pomocą pseudo-klasycznych niemieckich kanonów, czyli powrócił „mutatis mutandis“ stan muzyki naszej z końca XVIII wieku, reprezentowany wówczas przez M. Kamieńskiego i Elsnera; tylko że wtedy mimo tego embryonalnego stanu, atmosfera ogólna wytwarzała dążenie do zaznajamiania się z ruchem muzycznym międzynarodowym. Opera wystawiała w równej mierze najcelniejsze nowości Webera i Rossiniego (nie zapominając o Mozarcie), jak współcześnie powstające opery polskie. Księgarnia Brzeziny posiadała na składzie wszystkie najświeższe nowości klasycznego repertuaru, oraz nieśmiało podnoszących głowę romantyków; „spiritus movens“ zaś tego ruchu Józef Elsner pisał do Chopina, iż: „nie należy jednego narodu gustem się karmić,“ oraz pozwalając mu chodzić „własnemi drogami,“ jako zasadę pedagogiczną, głosił zdanie, że: „uczeń powinien się starać *przewyższyć* swojego nauczyciela, nietylko go naśladować.“

Były to oczywiście warunki, w których sztuka *mogła* kroczyć drogą postępu...

Niestety, atmosfera ta, przy zmianie warunków politycznych po 1830 roku i w całem następującem pięćdziesięcioleciu, ustąpiła miejsce takim pojęciom o sztuce, o jakich wyżej była mowa: płytko pojętej swojszczyźnie, technicznie wzorowanej na niemieckim pseudoklasycyzmie, oraz w przeciwieństwie do epoki Księstwa Warszawskiego, zamykaniu się nietylko przed wpływem nowemi drogami kroczącej kultury zachodu, ale przed jej poznaniem. Oczywiście jednostki, które miały sposobność zetknięcia się z atmosferą, po za chińskim murem krakowiaka i mazura leżącą, szły i rozwijały się w miarę sił i talentów własnemi drogami.

Znaczenie artystyczne w muzyce europejskiej zdobyli sobie nieżyjący już dzisiaj Henryk Wieniawski i Aleksander Zarzycki. Władysław Żeleński i Zygmunt Noskowski, obok nich Jan Gall i Stanisław Niewiadomski reprezentowali przez pewien przeciąg czasu najwyższy stopień muzycznej swojskiej kultury.

Dopiero w ostatnich zwłaszcza dziesięciu latach, jako indywidualność zupełnie odrębna, w zasadniczych ideach pojęcia narodowej muzyki, będąca dalszym ciągiem Chopina—zajaśniał utworami swemi Paderewski. Kształcący się od 19-go roku życia na francuskich wzorach Zygmunt Stojowski przejął cechujące współczesną francuską muzykę subtelności harmoniczne oraz lekkość i barwność instrumentacyi.

Z pod wpływów „szkoły“ potrafił się samoistnie wyemancypować Henryk Melcer. Obznajmiony dokładnie z rosyjską kulturą muzyczną ostatniej doby, w Rimskim-Korsakowie najświetniejszego swego przedstawiciela mającą, kroczył własnemi drogami twórczości Roman Statkowski. W liberalnej szkole Urbana wykształcony talent Mieczysława Karłowicza rozwijał się nadzwyczaj pięknie i płodnie. „Szkoła“ zaś (mam tu przedewszystkiem na myśli warszawską) była niezmienna.

Kiedy w malarstwie, w poezyi i literaturze zaczynały się u nas przejawiać coraz silniej nowe, ożywcze prądy, kiedy przed 20-tu blisko laty Witkiewicz zaczął „świętą wojnę“ z zacofaniem i ciasnotą formułek estetycznych w zakresie malarstwa i rzeźby, w dziedzinie muzyki jeszcze przed 15-tu laty ukazywały się u nas o Wagnerze tego rodzaju zacofane artykuły, jak D-ra F-ana (w „Tygodniku Illustrowanym), lub śmieszne w swej naiwnej próżności Z. Noskowskiego (w „Nowej Reformie“). Młodzież, kształcąca się w „kunszcie muzycznego tworzenia,“ w kilkanaście lat po śmierci Ryszarda Wagnera, a w kilkadziesiąt po powstaniu takiej „Biblii“ nowoczesnej muzyki, jaką jest „Trystan i Izolda,“ nie wiedziała o nich nic, chyba z dowcipno-satyrycznych uwag miejscowych wielkości; a nietylko nie wiedziała, ale jej wiedzieć nie było wolno. Posłuszeństwo zaś było tem łatwiejsze, że sposobności do poznania arcydzieł wielkiego Reformatora nie było zupełnie: nie znali ich też uczniowie, nie znali i mistrze. Ta opóźniona u nas o jakie lat 20 opozycya anti-Wagnerowska mogłaby jeszcze być usprawiedliwioną, gdyby wzięto za punkt wyjścia w programie studyów tego, który i Wagnerowi był wzorem, a muzykę polską na nowe powinien był pchnąć tory, gdyby starano się wszczepiać w uczniów reformatorskie idee Chopina; ale i to nie—bo prawdopodobnie ogólnem uznaniem cieszyło się zdanie jednego z krytyków i komentatorów Chopina, że: kwintesencyą jego twórczości są mazurki, a drugiego Preludyum (które jest jednem z najśmielszych problemów harmonicznych) nie powinno się grywać, „bo dziwaczne.“

I długie lata kształcili się przyszli kompozytorowie polscy na bakalarskich, przestarzałych regułach Niemców Dehna czy Busslera (oczywiście nie wprost, tylko z drugiej ręki podawanych), w których formy, należało jako motywa, wtłaczać rytmy urzędowo-polskiej muzyki: poloneza, mazura i krakowiaka.

Czynnika edukacyjnego, a przedewszystkiem dozwalającego na poznawanie i samodzielne zdawanie sobie sprawy z wysłuchanych dzieł: orkiestry symfonicznej — nie było.

Opera, po za Moniuszką i szablonowym repertuarem: Gounod-Verdi-Meyerbeer, dawała jedynie pojęcie o neowłoskiej szkole werystów: o Wagnerze — prawdziwym, wykonanym stylowo i z należytym pietyzmem, nie było mowy i niema jej do dziś dnia. Lohengrin i Tannhäuser w warszawskiem wykonaniu słabe mogły dać wyobrażenie o znaczeniu sztuki mistrza z Bayreuth'u.

Symfonii w oryginale, nietylko współczesnych, ale klasycznych dzieł Haydna, Mozarta, Beethovena, Schuberta i Brahmsa, nie miała sposobności poznać ucząca się młodzież, chyba na letnich w Dolinie Szwajcarskiej koncertach. Od czasu do czasu tylko w ostatnich latach XIX wieku otwierały się spragnionym artystycznych wrażeń duszom młodzieży jaśniejsze widnokręgi, kiedy na scenie Teatru Wielkiego rozpoczęły się koncerty Symfoniczne pod Młynarskim, kiedy unosiła, jako głębia i doskonałość artystyczna wykonania, w sferę nieznanych jeszcze wrażeń Symfonia patetyczna pod Nikischem. I w tym to czasie właśnie Czajkowski przemówił swą potężną siłą do skrępowanych w swym rozwoju umysłów młodych kompozytorów przyszłości, stał się ich marzeniem, ich bożyszczem.

Wreszcie z początkiem nowego wieku powstała orkiestra Filharmonii; i nagle zaczęły się przesuwać przed tęskniącymi za nowymi światami tonów: ustępy dramatów Wagnerowskich, symfonie i poematy symfoniczne Berlioza, Ryszarda Straussa, Cezara Francka, Dukasa, Charpentiera... Zaczęło się studyowanie nowych partytur, otworzyły się oczy na nabytki kultury nowych środków muzycznej ekspresyi, zaczęła się epoka wyłamywania się z pod jednostronnych lokalnych wpływów; nawet mistrze zaczęli się obznajmiać z ruchem twórczości muzycznej ostatnich lat trzydziestu.

Reakcya na szerszą skalę stała się „koniecznością historyczną.“ Jednostronny nieco wpływ i ubóstwianie Czajkowskiego zaczęło blednąć wobec poznawania najróżnorodniejszych objawów twórczości; rozpoczęła się wreszcie emigracya za mury Warszawy i szukanie dróg nowych, własnych. Ruch ten przybrał pewną zdecydowaną formę od czasu, kiedy poszukiwacze tych dróg no-

wych połączyli się w rodzaj stowarzyszenia, mającego na celu wydawnictwo swoich utworów, kiedy panowie: Fitelberg, Różycki, Szeluta i Szymanowski założyli w Berlinie spółkę wydawniczą młodych polskich kompozytorów.

Trzydzieści blisko „Opusów“ drukowanych oraz szereg dzieł orkiestrowych wykonanych na koncertach w Berlinie i Warszawie dają już dokładny obraz ogólnych intencyj i kierunków oraz poszczególnych indywidyualności członków spółki, do których w ciągu dwóch lat istnienia przyłączyło się jeszcze kilka nazwisk.

Aby dać obraz mniej więcej dokładny i pojęcie zrozumiałe głównej istoty tych nowych prądów, które tyle wznieciły głosów oburzenia nawet między fachowymi krytykami, należy stanąć na gruncie najzupełniej bezstronnym, objektywnym.

Powyżej już, chociaż bardzo pobieżnie, starałem się wykazać, że kierunek, w jakim kształciła się nasza młodzież muzyczna, nie stał zupełnie na wysokości tej kultury, jaką stworzyli w Niemczech: Liszt, Wagner, Ryszard Strauss i we Francyi Berlioz, Cezar Franck, Vincent d'Indy.

Wspomniałem również, że biorąc za punkt wyjścia jedynie Chopina, można było u nas, po za kwestyą nowoczesnej instrumentacyi, dojść do bardzo wysokich kulturalnych wyników.

Nie trzeba jednak bynajmniej sądzić, aby postawienie się na stopie muzycznej kultury zachodu miało polegać na naśladownictwie; bynajmniej. Najskrupulatniejsze naśladowanie Chopina takżeby nie podniosło, nie wyrobiło naszej kultury. Istota rzeczy polega na śledzeniu rozwoju i umiejętnem i krytycznem adoptowaniu, czyli przyswajaniu sobie nowych środków ekspresyi muzycznej. Tylko to wyłącznie należy brać od obcych, o ile brakuje swoich, którym było danem je stworzyć. Środki te są oczywiście różnorakie; obejmują więc tak dobrze formę muzyczną, kombinacye kolorystyki orkiestrowej, jak rozszerzenie pojęć funkcyj harmonicznych.

To ostatnie wyrażenie wymaga dla niefachowców jaśniejszego określenia. Postaram się to uczynić za pomocą porównania ze składnią gramatyczną, porównania, które ma jedynie na celu uprzystępnienie samego pojęcia, nie może zaś być uważanem, jako ściśle przeprowadzona paralela. Każde zdanie składa się z podmiotu, orzeczenia i przedmiotu. Od zdań najprostszych, z tych trzech jedynie funkcyj złożonych, rozpoczynają dzieci naukę składni. Najprostsze zdanie muzyczne (tak zwany okres) jest zbudowane najmniej na dwóch funkcyach harmonicznych, czyli, jakby się wyraziło językiem dyletantów, można do niego „dobrać“ dwie

harmonie: tonikę, nazwijmy ją podmiotem, i dominantę, odpowiadającą orzeczeniu [1]), a najczęściej jeszcze trzecią, którąby „przedmiotem“ nazwać wypadło—harmonię dolnej dominanty (niezrozumiale u nas poddominantą nazywanej). Takie proste zdania muzyczne, zwyczajnie z ośmiu taktów złożone, są właściwe wielu ludowym piosenkom i tańcom, oraz stanowią istotę prostoty muzyki klasycznej z epoki Haydna i Mozarta. Funkcye toniki, dominanty i dolnej dominanty odczuwa najmniej subtelnie pod względem muzycznym wyrobione ucho, przy pewnej oczywiście dozie tak zwanego słuchu. Tak jednak, jak z prostych zdań, za dodaniem najrozmaitszych przydawek, określeń, wtrąconych zdań, tworzą się okresy stylistyczne, w których uczące się dziecko dopiero po pewnej oryentacyi oznaczyć może podmiot, orzeczenie i przedmiot, tak samo w zdaniach muzycznych jasność tych trzech wymienionych funkcyj może być pozornie dla ucha zakrytą funkcyami wtrąconemi, czasem, jakby się zdawało, nie należącemi do harmonij podstawowych, które dopiero bardziej subtelnie wyrobione ucho odróżnić, a raczej do pewnej całości sprowadzić zdoła.

I w tem pojęciu tkwi przeważnie tak zwana „zrozumiałość“ i „niezrozumiałość“ (oczywiście akustyczna) muzyki, dodawszy, jako objaśnienie, że w samej istocie mniej lub więcej prostej melodyi tkwią już zasadnicze zarysy harmonii. Stąd powszechnie za *łatwo zrozumiałą* uchodzi melodya, która nie wychodzi w swej konstrukcyi po za zakres trzech harmonij: toniki, dominanty i dolnej dominanty. Trudną zaś tak do zrozumienia, jak do zapamiętania bywa taka, która potrąca o najrozmaitsze, od owych trzech podstawowych oddalone, funkcye harmoniczne.

Jedną z zasadniczych cech rozwoju muzyki w XIX wieku było rozszerzanie, urozmaicanie zdań muzycznych obcemi pozornie harmoniami. Postęp ten rozpoczął się od ostatniego okresu twórczości Beethovena, od Romantyków (Chopina przedewszystkiem), a w ostatniej ćwierci XIX wieku rozwinął się nadzwyczajnie rozszerzając, usubtelniając jedną z bardzo ważnych gałęzi środków wyrazu muzycznego. Rzecz prosta jednak, że za postępem, który się wytwarzał w pomysłach kompozytorów, nie koniecznie szła publiczność, przyzwyczajona od „dawnych, dobrych czasów,“ do słuchania zdań zbudowanych tylko z „podmiotu, orzeczenia i przed-

[1]) Powtarzam, że robiąc te porównania, bynajmniej nie staram się przeprowadzać jakichś analogij, nieistniejących zupełnie między pojęciami gramatycznej i muzycznej składni—chodzi mi tylko o uprzystępnienie obrazu.

miotu.“ Dzieci niechętnie sobie łamią głowę nad kombinacyami zawilszych stylistycznych okresów; publiczność nie lubiąca pracować słuchając, (co zresztą jest poniekąd usprawiedliwione, bo praca taka osłabia bezpośredniość wrażeń), z trudem i powoli mogła przywykać do fraz, do okresów mniej prostych, niż: Haydna, Mozarta, Belliniego, Rossiniego, etc. etc.

Jako broń najsilniejszą przeciw tym nowatorstwom, wytaczano zwykle kanony estetyki: nie proste, więc nie piękne, mówiono; nie proste, więc sztuczne, więc chorobliwe, a zatem brzydkie, wnioskowano dalej tak długo, dopóki samo pojęcie prostoty nie przeniosło się o stopień wyżej, to znaczy, kiedy ucho zbiorowego człowieka, jakim jest przeciętna publiczność, nie zaczęło z łatwością pojmować więcej skombinowane, niż oper Belliniego lub symfonij Haydna, muzyczne frazy.

Ta zdolność wyrabiania się ucha, a raczej słuchu, rozszerzania się jego zdolności recepcyjnych jest jednym z czynników rozwoju kultury muzycznej; ważną rolę gra oczywiście w całej sprawie przyzwyczajania słuchu do nowych kombinacyj dźwiękowych— wola słuchającego. Stanowisko zasadniczo odporne, nie przejmujące à priori nic, co po za szereg przyjętych raz i tradycyą uświęconych estetycznych reguł przechodzi, utrudnia niesłychanie rozwój słuchu, który odnosi się oczywiście nietylko już do wymienionych wyżej przemian harmonii, ale do wszystkich rozwijających się stopniowo z biegiem czasu środków wyrazu muzycznego, a więc formy i instrumentacyi, będącej tak charakterystycznym czynnikiem twórczości muzycznej w XIX wieku.

Po tych ogólnych wyjaśnieniach, sprobujemy teraz przypatrzeć się krytycznie nowym prądom, którym hołduje grupa młodych polskich kompozytorów.

Wszyscy uczniowie Z. Noskowskiego wychowani byli w atmosferze poprawnego, pseudo-klasycznego stylu, kulcie dla rytmów i pieśni ludowej, a przedewszystkiem w kulcie dla swego mistrza. Atmosfera, pozbawiona jakiegokolwiek entuzyastycznego dla prawdziwie wielkich mistrzów pierwiastku, niedopuszczająca, jak już wyżej była mowa, do zajmowania się i kształcenia na dziełach takich reformatorów twórczości muzycznej, jak Wagner i Berlioz, musiała w jednostkach o wybitnej indywidualności wywołać reakcyę. Potrzeba entuzyazmu znajdowała kolejno swój wyraz to w uwielbieniu dla Griega, to w zachwytach dla śmiałych (a oczywiście egzorcyzmowanych w szkole) pomysłów Pucciniego, wreszcie wybuchnęła płomieniem uwielbienia dla Czajkowskiego. W utworach, pełnych głębokiego smutku, rozlewnej śpiewności

i temperamentu, mimo brutalnego, a nawet często pospolitego frazesu posiadających piętno bezpośredniego, z duszy płynącego natchnienia, znajdowali młodzi uczniowie to, czego im nie dawała szkoła. Zajęła ich silna i przemawiająca do duszy indywidualność. Czajkowski—kompozytor narodowy rosyjski w każdym calu—nie uciekał się jednak, jak to uczyła szkoła warszawska, do ciągłego operowania rytmami ludowymi. Jak wybitnie Polakami z samego charakteru swych dzieł, byli niegdyś Chopin w Balladach i Fantazyi, a obecnie jest Paderewski w Waryacyach lub Sonacie fortepianowej, tak był Rosyaninem Czajkowski w swych Symfoniach i dziełach symfonicznych.

Wpływ jego nie mógł jednak być trwałym—rozszerał do pewnego tylko stopnia horyzonty twórczości; pod względem środków nie przynosił wiele nowego, a w każdym razie mniej, niż Wagner, z którego dziełami najznaczniejszemi (we fragmentach chociażby) zapoznawano się na koncertach Filharmonii.

Obok Wagnera, nowością i siłą oryginalnych pomysłów kontrapunktycznych i instrumentacyjnych zaimponował Ryszard Strauss. Z chwilą emigracyi „młodej Polski“ za mury Warszawy, chęć zdobywania coraz to nowych środków wyrazu zaczęła się zarysowywać dobitnie w powstających licznie dosyć utworach.

Nowe drogi, jakiemi kroczyć zaczęli członkowie „spółki młodych polskich kompozytorów,“ stały się wynikiem reakcyi przeciw dawnemu zastarzałemu kierunkowi ciasnych formułek estetycznych i płytko rozumianej polskości z jednej strony, z drugiej zaś, wpływów różnorakich, z których najsilniejszym, na razie przynajmniej, wydaje się być wpływ Ryszarda Straussa.

Niema w tem nic dziwnego, że ten genialny szafarz nowych środków ekspresyi muzycznej pociągnął urokiem swej siły i niezwykłości głodnych postępu w sztuce, a pełnych zapału, adeptów. Wychodząc zaś z usprawiedliwionej, o ile się zdaje, zasady, wygłoszonej na początku, że postęp w kulturze muzycznej polega na przyswajaniu sobie nowych środków ekspresyi, stanowisko młodych, jakie zajęli wobec Ryszarda Straussa, Hugo Wolffa, Maksa Regera, Debussyego i wogóle wszystkich współczesnych „nowatorów“ będzie najzupełniej wobec sztuki polskiej lojalne, o ile nie będą naśladowali, lecz z dzieł ich wyciągali korzyści, wzbogacając środki dla wyrażenia swojej własnej indywidualności.

Przecież nie może być dwóch zdań co do tego, że gdyby Moniuszko miał sposobność i umiał tyle wziąć pod względem kultury środków z Wagnerowskiego „Lohengrina“ i „Tannhäusera,“ ile Wagner, pozostając tak wybitnie sobą, wziął z dzieł Glucka,

Webera i Meyerbeera, to „Halka,“ napisana z tym zasobem genialnego natchnienia i gorącego uczucia, z jakiem tworzył Moniuszko, byłaby dziełem w wszechświatowej dramatycznej muzyce trwałem i pierwszorzędne zajmującem miejsce i pewno więcej wartem nawet od tych wymienionych znakomitych dzieł mistrza z Bayreuthu. Może być, że publiczność, dla której Moniuszko „Halkę“ pisał, nie byłaby w ówczesnym stanie kultury tak jej odczuła odrazu, jak to miało miejsce; dla bezwzględnej artystycznej wartości byłoby to jednak bez najmniejszego znaczenia.

Wracając do naszych „młodych,“ trzeba przedewszystkiem skontrolować istotę wpływów, jakim podlegają. Drogi, jakiemi idą, nie są jeszcze własne. Jest to objaw zupełnie naturalny, bo nie było przykładów w twórczości artystycznej, aby indywidualność powstawała odrazu, bez wzorowania się początkowego na jakiejkolwiek innej. Chodzi jedynie o to, czy największy wpływ na nich mającego Ryszarda Straussa *naśladują*, czy też biorą z dzieł jego to, co w nich istotnie nowego i pięknego pod względem środków. Gdyby byli naśladowcami tylko, nie wartoby tak szeroko o nich pisać i twórczość ich tak dla polskiej, jak dla ogólno-europejskiej kultury nie miałaby żadnego znaczenia. Mamy jednak wyraźne znamiona, że sztuka „obca,“ z którą się zapoznali dokładnie i którą się przejęli, pobudza ich tylko do szukania dróg własnych. Dzieje się to oczywiście u każdego z wymienionych kompozytorów w inny sposób i u każdego w różny sposób się objawia, chociaż są pewne wspólne cechy, dające obraz ogólnych znamion kierunku.

To, co w nim uderza, przedewszystkiem laików, jest owa tak zwana „niezrozumiałość,“ połączona z nowemi kombinacyami harmonicznemi, które dla ucha nieoswojonego wydają się dziwaczne czasami, na razie wprost niemiłe. I tutaj przypomnieć wypadnie to, co wyżej było powiedziane o kwestyi wyrabiania ucha, wprawiania go w przyjmowanie i analizowanie obcych kombinacyj dźwiękowych, po za przyzwyczajeniem do nowych barw w instrumentacyi, oraz do swobody w formie. Owe nowe „zdania,“ że powrócę do porównania ze składnią gramatyczną, stają się dzisiaj dla uszów osłuchanych już z Schumannem, Berliozem i Wagnerem (z ostatniego okresu twórczości), materyałem, nad którym znowu bardzo pracować potrzeba, aby rozwikłać i sprowadzić do zasadniczych harmonij słyszane dźwięki. Opóźnienia, apoggiatury, antycypacye, które w drugiej połowie XIX wieku przyczyniły się (przez ozdabianie niemi linii melodyjnej) do urozmaicenia harmonii, obecnie zaczynają być stosowane do akordów, do całych

grup harmonicznych; stąd owe pozornie niewytłómaczalne dyssonanse, stąd owe niespodzianki dźwiękowe, stąd i owa „niezrozumiałość," nazywana dziwacznością, chorobliwością, dekadencyą, etc. ect.

Jakaż jest granica, ma się jednak prawo zapytać każdy, do której wolno iść naprzód w rozwoju owych środków muzycznych? Jak długo będzie nasze ucho narażone na ciągłą pracę w kierunku „oswajania" się z nowymi pomysłami? Jak rozróżnić istotny rozwój, istotny postęp harmonii od dziwactwa, chorobliwości?

Określać granice rozwoju środków muzycznej ekspresyi z naszego, dzisiejszego punktu widzenia, byłoby zaprzeczaniem możliwości jakiegokolwiek postępu w sztuce. Gdyby na takie pojęcie zgodzili się twórcy i publiczność lat temu 150, to do dziś dnia żylibyśmy stylem Haydna i Mozarta. Reguł, któreby zabroniły tak zwanych „dziwactw," czy „chorobliwości," nie można również szukać w zasadach estetycznych pewnej epoki, dlatego, że reguły takie są zawsze tylko wynikiem, syntezą twórczości któregoś z ostatnich geniuszów; tego zaś, co się w dziełach geniuszów kryje wiecznego, co ma niezmienną wartość dla wszystkich epok i czasów, reguły zwykle nie zawierają.

Ostatnia epoka twórczości Beethovena, oraz Romantyzm stały w silnej sprzeczności z teoryami piękna w muzyce, wysnutemi z dzieł Haydna, Mozarta i im współczesnych kompozytorów z XVIII-go wieku, teoryami, które w pierwszych dziesiątkach XIX-go w. powszechne miały znaczenie. Więcej miarodajne są zatem nie estetyczne, a więc względne i zmienne, ale ściśle naukowe, a więc niezmienne, reguły na prawach fizyko-akustycznych oparte. I tu jednak często praktyka wyprzedza teoryę, a czasem się tylko z nią schodzi; [1]) w danym wypadku „dziwactwa" i „chorobliwości" harmonii z końca XIX-go wieku znalazły najzupełniejsze poparcie i usprawiedliwienie w badaniach naukowych nad pokrewieństwem odległych tonacyj, które rozpoczęte przez Helmholtza znalazły swój właściwy wyraz w teoryach von Oettingena i H. Riemanna.

Największe pozorne nieprawidłowości harmoniczne, największe grzechy przeciw panującym pojęciom o „pięknie w muzyce,"

[1]) W ten sposób zeszły się w ostatnich czasach teoryc v. Oettingena z wyłącznie praktyką twórczości się zajmującym Maksem Regerem, którego podręcznik modulacyi jest jak gdyby owych teoryj wyłożeniem; o tem zaś, że Reger teoryami Oettingena się nie zajmował, wiadomo dobrze.

znalazły swoje usprawiedliwienie w teoryi naukowej i o ile są dziełem sztuki prawdziwie odczutem, i ze szczerego płynącem natchnienia, zdobędą sobie prędzej czy później prawo obywatelskie, a z czasem same staną się pewno regułą; jedynie tylko sztuczne, wyrozumowane, lub, co gorsza, dla mody wymyślane dziwactwa, są płodem sztuki na zagładę skazanym. I historya uczy, że „granica reguł piękna“ sama się zawsze znajduje i odrzuca, oraz grzebie w niepamięci piasku wszystko, co nie z duszy natchnionej, a wyłącznie jako produkt suchej kombinacyi środków wyrazu powstało. I choćby taki bezduszny kombinator dźwięków wpadł na jakieś istotnie nowe pomysły, to dzieła jego i imię przejdą bez śladu i mogą tylko użyźnić tę glebę, z jakiej będzie plony wspaniałe zbierał kiedyś geniusz.

Kontrapunkciści niderlandzcy w końcu XV-go wieku doprowadzili muzykę do upadku — przez sprowadzenie twórczości do sztuczek kombinacyjnych; niemniej jednak praca ich stała się podłożem potężnych wzlotów natchnienia Palestryny — i J. S. Bacha.

Ostatecznego wyroku co do istoty ewolucyi środków jaka charakteryzuje grupę młodych, polskich kompozytorów wydać niepodobna; to co dotąd w przeciągu krótkiego czasu zrobili, wskazuje, że te „nowe“ środki, jakimi się posługują, nie są dla nich celem wyłącznie — lecz że z ich pomocą szukają sposobu wyrażania swej indywidualności. Ich zadaniem jest aby się na tym poziomie utrzymać — aby nie wpaść w snobizm wyszukiwania ciągle nowych środków „pour épater le bourgeois“ — a nie dla wzbogacania niemi swej twórczej fantazyi. Dotychczas zdaje się, że tego niebezpieczeństwa niema.

*

* *

Usprawiedliwiwszy i określiwszy o ile mi się zdaje w dostateczny sposób ogólny charakter dróg na jakie wstąpili młodzi nasi kompozytorowie, postaram się, o ile to w ramach niezbyt fachowych określić będzie możliwe, przedstawić indywidualność każdego z nich w stosunku do wymienionego wyżej kierunku.

Materyałem dla analizy będzie wydawnictwo spółki, które rozpoczęte przed dwoma i pół laty obejmuje 21 [1]) kompozycyj: Grzegorza Fitelberga dwie (Sonata skrzypcowa oraz Preludyum i pieśń), Ludomira Różyckiego dziewięć (Waryacye, 7 Preludyów, 2 Nokturny, Igraszka fal, 8 Pieśni, Melodya, Sonata wiolonczelowa), Apolinarego Szeluty cztery (5 Preludyów, Waryacye, Impromptu, Nokturn), Karola Szymanowskiego trzy (9 Preludyów, 4 Etiudy i Waryacye); prócz tego koniecznem będzie wzięcie pod uwagę utworów orkiestrowych, przeważnie jeszcze niedrukowanych, a wykonywanych na koncertach „Spółki“ w Berlinie i Warszawie; są to Uwertury, Symfonie i poemat symfoniczny „Pieśń o sokole“ (według Gorki'ego) Fitelberga — poemata symfoniczne: Stańczyk, Bolesław Śmiały i Pan Twardowski Różyckiego oraz Uwertura Szymanowskiego [2]).

Grzegorz Fitelberg, który w poszukiwaniu nowych dróg zaszedł najdalej, odznaczał się jeszcze w pierwszym okresie swej twórczości ogromną łatwością inwencyi i zupełną swobodą w władaniu formą, jaką mu przekazała szkoła; jeszcze jako uczeń (w r. 1896) zdobył nagrodę na konkursie Paderewskiego za Sonatę skrzypcową, nieco później w r. 1901 na konkursie hr. M. Zamoyskiego otrzymał znowu nagrodę za Trio f mol na fortepian, skrzypce i wiolonczelę (wydane u Gebethnera i Wolffa). Charakterystyczne etapy w przełomie, jaki przechodzi autor na drodze ku stworzeniu sobie własnych środków wyrażania się muzycznego, stanowią Sonata F-dur na skrzypce z fortepianem op. 12, poemat symfoniczny „Pieśń o sokole“ op. 18, Preludyum i Pieśń op. 19, (do słów Berenta „Łabędź“ z powieści: Próchno) oraz Symfonia op. 20 wykonana po raz pierwszy w Warszawie w sezonie ubiegłym (pod dyrekcyą kompozytora).

Sonata skrzypcowa F-dur jest jeszcze pokrewną pierwszym typom twórczości Fitelberga; odznacza ją swoboda w władaniu formą, utrzymaną zresztą w poprawnym szablonie, płynność i po-

[1]) Prócz wymienionych powyżej dzieł ukazały się w spółce „Waryacye fortepianowe“ Franciszka Brzezińskiego (o których krytyka niemiecka np. Signale wyraziła się z bardzo poważnem uznaniem) — autora tego nie zaliczam do omawianych członków spółki, ponieważ twórczość jego ma cechy odrębne i omawianym kierunkom nie hołduje. Oprócz p. Brzezińskiego drukowali ostatnio w spółce swoje pieśni M. Karłowicz i H. Opieński.

[2]) Już po napisaniu artykułu wyszły w druku: G. Fitelberga „Pieśń o sokole,“ oraz Różyckiego 9 pieśni i szereg utworów fortepianowych.

toczystość tematów przypominających czasem swym pełnym temperamentu rozmachem frazesy Rubinsteina; pod względem harmonii obraca się autor w sferze nie wkraczającej w dziedzinę nowatorstwa, jedynie pod względem rytmiki stara się w drugiej części (Andantino tranquillamente) wyjść po za zwyczajne formy, dając melodyę w takcie na $^5/_4$ wprawdzie o prostym, ludowym charakterze, nie tak jednak jak Chopin w (w sonacie C-mol) lub Czajkowski (w Symfonii patetycznej) jednolicie, lecz przeprowadzając ją, przy zachowaniu zresztą zupełnej naturalności, przez najbardziej fantastyczne zmiany taktu na: $^2/_4$, $^4/_4$, $^3/_4$, z dominującym taktem na $^5/_4$; ta część i pod względem śmiałości harmonii zdaje się być późniejszą od pierwszej i trzeciej. Pomiędzy op. 12, to jest wyżej omawianą Sonatą, a op. 18, powstały: koncert skrzypcowy op. 13, dwie uwertury (Uwertura koncertowa op. 14, Wiosną op. 17), Symfonia e-mol op. 16 (drukowana u Breitkopfa i Härtla); nie zatrzymuję się dłużej nad żadnem z tych dzieł, ponieważ na dokładną analizę znam je zbyt pobieżnie, dostatecznie jednak, aby módz zdać sobie sprawę, że dopiero poemat symfoniczny op. 18 „Pieśń o sokole," według Gorki'ego, stanowi pewien zwrot charakterystyczny w twórczości Fitelberga.

Pomijając fakt, że pod względem natchnienia i poezyi, zaczerpniętej z pięknej fantazyi Gorkiego, stanął tu Fitelberg tak wysoko, jak w żadnem z dotychczasowych dzieł, daje ono obraz przejściowego stadyum z pod wpływów Czajkowskiego pod sztandary Ryszarda Straussa; autor pokazuje się tu mimo to wybitnie sobą, posiada swoją własną indywidualność, przytem zakończenie np. jest ustępem pierwszorzędnej, muzycznej piękności; po za tem są jednak pewne dane, wskazujące wzorowanie się (tak pod względem faktury formy, kontrapunktowania melodyi, jak instrumentacyi) na Ryszardzie Straussie. Op. 19 Preludyum i Pieśń („Łabędź" Berenta z powieści „Próchno") stanowi najbardziej charakterystyczny wyraz nowatorskich dążeń Fitelberga i razem z jego drugą Symfonią (op. 20) wyrażać może najlepiej jego obecne credo artystyczne. Piszę „obecne" dlatego, że nie przypuszczam aby to stadyum, w jakiem się w tych dziełach znajduje, było już ostateczną granicą jego ewolucyi; ewolucya ta zaś tak dobrze może się zwrócić w kierunku uproszczenia, jak większego jeszcze niż dotąd kombinowania środków wyrazu.

Nawiasowo zaznaczyć mi wypada, że zestawiając Pieśń o sokole z ostatnią Symfonią i pieśnią o Łabędziu, z daleko większą sympatyą odnoszę się do pierwszego utworu, nie dla jego większej „zrozumiałości," ale ponieważ czuję, że autor komponował

swój poemat według Gorkiego, nie myśląc zupełnie o technicznych problematach kompozycyi; ostatnie zaś dzieła sprawiają do pewnego stopnia wrażenie, że energia twórcza autora przeważnie pracowała tu w kierunku zastosowywania nowych środków; tak przynajmniej wydawać się może słuchaczowi, co nie wyklucza, że dla autora samego mogą te ostatnie dzieła mieć większe znaczenie niż Pieśń o sokole.

Dla ucha nie obznajmionego z procederem harmonizacyi Fitelberga wyda się Preludyum i Pieśń o Łabędziu zbiorem najsprzeczniejszych i trudnych do zrozumienia kombinacyj; trudność ta polega znowu na nieprzyzwyczajeniu naszego ucha do prędkiego chwytania pokrewieństw odległych harmonii, do zwodniczych modulacyj oraz sprowadzania różnych skombinowanych przez opóźnienia i appogiatury figur harmonicznych do ich pierwotnego, źródłowego znaczenia. Z chwilą kiedy słuchacz przezwycięży te trudności, wtedy dopiero będzie mógł sobie zdać sprawę, że sama konstrukcya architektoniczna utworu (np. Preludyum op. 19) jest zupełnie prostą; polega ona bowiem na operowaniu trzema bardzo pokrewnemi i logicznie z siebie wypływającemi tonacyami; aby dojść do tonacyi D-dur, rozpoczyna Fitelberg Prelud. od tonacyi E-gis-h-d t. j. dominant-septymowego akordu dominanty a-dur; wszelkie pozornie obce harmonie, bemole i krzyżyki, najśmielej używane nuty przechodnie, służą tylko do ozdobienia, „ugarnirowania“ tych właściwych trzech zasadniczych tonacyj utworu. Musiałem z konieczności poruszyć czysto fachową, muzyczną stronę analizy, która, o ile mi się zdaje, dla osób obznajmionych choć trochę z zasadami muzyki, będzie zrozumiałą. Dla czytelników, którym pojęcia te techniczne są zupełnie obce, przypomnieć muszę ową paralellę z gramatyką, a raczej zdaniem, którego zasadnicze składowe fundamenta są ukryte pod girlandą przeróżnych określeń, dopowiedzeń, przydatków etc., etc.

Zdając sobie najjaśniej sprawę z budowy Preludyum i pieśni o Łabędziu, nie mogę jednak pozbyć się pewnego wrażenia *sztuczności* jaką wywołują te utwory, również jak symfonia op. 20,[1]) którą zresztą raz jedyny słysząc na koncercie Filharmonii, mogę sądzić tylko bardzo powierzchownie. Pragnąłbym aby dalsze dzieła Fitelberga przy niezwykłości środków jakimi włada, posiadały

[1]) Bliższe przestudyowanie partytury tej Symfonii, już po napisaniu artykułu, uczyniło mi intencye autora zupełnie jasnemi i zatarło wrażenie sztuczności, jakie miałem, słuchając dzieła po raz pierwszy.

również niezaprzeczoną żywiołowość „Pieśni o sokole;“ nie mogę się jej doszukać w „Łabędziu“ do słów Berenta.

Ludomir Różycki pod względem płodności nie ustępuje Fitelbergowi; o ile tamten jednak wyłącznie prawie obraca się w sferze wielkiej (t. j. sonatowej lub symfonicznej) formy, o tyle Różycki we wszystkich prawie formach muzycznych znajduje pole dla wyrażenia swoich natchnień; w szeregu utworów jego trudnoby jednak dopatrzeć się tej klasyfikacyi, dzielącej na okresy fazy jego rozwoju. Śmiałość harmonii i barwność instrumentacyi jego wcześniejszych i późniejszych utworów, nie podlegają wielkim zmianom; otrząsnąwszy się ze szkolarskiego wpływu i zdobywszy zasób nowych środków dzięki kolejnym studyom nad dziełami Czajkowskiego, Wagnera, Brucknera, R. Straussa i najmłodszych francuskich kompozytorów, całe swe siły koncentruje w kierunku wypowiadania się, nie dążąc ustawicznie do szukania nowych środków wyrazu.

Dorobek dotychczasowy twórczości Różyckiego przedstawia się bardzo pokaźnie; oprócz wydanych już w „Spółce:“ 5 Preludyów (op. 2), 2 Preludyów i 2 Nokturnów op. 3, „Igraszki fal“ (według Böcklina) op. 4, dwóch zeszytów Pieśni (do słów Micińskiego, Ibsena, Nietschego etc.) mają się w najbliższym czasie ukazać 4 Intermezza op. 6 i Fantazya op. 11 na fortepian, sonaty: skrzypcowa i wiolonczelowa oraz utwory orkiestrowe: „Stańczyk“ (Scherzo) op. 3, „Bolesław Śmiały“ (poemat symfoniczny według Wyspiańskiego) op. 7, „Pan Twardowski“ op. 8 oraz „Ballada“ op. 5 na fortepian z orkiestrą.

Scherzo symfoniczne op. 3 zatytułowane „Stańczyk,“ komponowane jeszcze za szkolnych warszawskich czasów, zwróciło po raz pierwszy baczniejszą uwagę krytyki i publiczności na niepospolity talent kolorysty, jakim się w tej kompozycyi młodziutki jeszcze wówczas autor objawił; ballada z orkiestrą (następnie gruntownie przerobiona) odegrana na popisie konserwatoryum, zjednała kończącemu Instytut muzyczny uczniowi złoty medal. Późniejsze studya w berlińskiej „meisterszuli,“ u Humperdincka, pogłębiły zdobytą już usilną pracą wiedzę, a nauczyły najwięcej samodzielne studya partytur. Wspominałem już, że kompozycye Różyckiego nie dają tak jasno zdefiniowanego pojęcia o ewolucyi, jaką przechodził; wszędzie mniej więcej spotykamy te same środki, już od op. 2 wyemancypowane z pod jednostronnych wpływów warszawskiej szkoły i zdradzające przejęcie się najnowszemi teoryami harmonii i instrumentacyi. W tym ostatnim względzie wykazywał Różycki wrodzony zmysł już od pierwszego swe-

go większego orkiestrowego dzieła; wpływ Ryszarda Straussa ujawnił się u niego głównie zrozumieniem istoty efektów kolorystycznych w orkiestrze, a własna zasobna fantazya pomaga do tworzenia na tem tle nowych i bardzo zajmujących oraz efektownych kombinacyj. Najcharakterystyczniejszym wyrazem tych kolorystycznych zdolności Różyckiego jest Scherzo symfoniczne: „Pan Twardowski“ (wzorowane nieco jako typ kompozycyi na Don Quichocie lub Till-Eulenspieglu R. Straussa), w którym najrozmaitsze epizody z życia tej półlegendowej postaci przedstawione są w barwach nadzwyczaj żywych, rzuconych z dużą brawurą i pewnością środków. „Bolesław Śmiały,“ poemat symfoniczny według Wyspiańskiego,[1]) jest stosownie do swej treści w efektach kolorystycznych mniej jaskrawy, więcej jako treść muzyczna wewnętrznie skoncentrowany i więcej może indywidualny w swym ponurym nastroju; chociaż nie można zaprzeczyć, że również indywidualny rys autora objawia się w satyrycznych półuśmieszkach zygzakowatych tematów „Stańczyka“ i „Pana Twardowskiego,“ jak żywiołowej swawoli Böcklinowskich wodników w „Igraszce fal.“ Aby dać przykład harmonicznych problemów, jakie w swoich utworach wcielał Różycki, przytoczę najłatwiej może dla ogółu czytelników wytłómaczalny przykład Preludyum nr. 1 z op. 3; jest to jak gdyby krótka, prosta w swej melodyi piosenka, której autor nadał bardzo subtelny i egzotyczny urok, budując ją *równocześnie* na dwóch harmoniach dur i mol; pozornie napisana w h-dur przechyla się przez konsekwentne użycie nuty gis w akordzie h-dis-fis ku tonacyi gis mol i to ciągłe oscylowanie pomiędzy temi dwoma tonacyami, nie dające według wczorajszych jeszcze teoryj zadowolenia „estetycznego,“ sprawia że ten drobny utwór przemawia do nas swoim specyalnym, a niemniej uroczym jak oryginalnym językiem.

Efektów harmonicznych wypływających z kontrapunktycznych zawikłań lub różnorodności rytmicznych, nie używa często Różycki w swoich fortepianowych utworach, w ostatnich nawet (np. Fantazyi op. 11), znać raczej przy rosnącem bogactwie efektów modulacyjnych zwrot w kierunku monodycznym; cały utwór jest w prostej i jasnej formie ujętą melodyą, powierzoną prawej ręce: lewa stanowi wyłącznie akompaniament. Jest to wobec skłonno-

[1]) Poemat ten jest zawiązkiem dramatu muzycznego pod tytułem: „Bolesław Śmiały“ (libretto Aleksandra Bandrowskiego), nad którym obecnie Różycki pracuje.

ści polifonicznych i kombinatorskich dzisiejszych kompozytorów utworów fortepianowych zjawisko, u tak nowoczesnego autora jak Różycki, zastanawiające; przyszłość wykaże czy jest to wypadek sporadyczny u niego, czy też oznaka pewnego, określonego kierunku.

Mniej niż o pp. Fitelbergu i Różyckim da się powiedzieć o Apolinarym Szelucie, wiekiem najmłodszym członku Spółki, a obecnie więcej wirtuozowskiej pracy[1]) niż komponowaniu oddanym. Jego utwory, wydane nakładem Spółki: 5 Preludyów (op. 1), Waryacye (op. 2), Impromptu i Nokturn op. 3 (a i b), wskazują na zupełne wyzwolenie się autora z więzów szkolarstwa, ujawniają temperament i bujną fantazyę (zwłaszcza Waryacye), ale są raczej zapowiedzią niż obrazem indywidualności, która dopiero w dalszej twórczej pracy objawić się może.

Wspólne „młodej Polsce“ cechy, ale odrębną indywidualność, posiada Karol Szymanowski. Łączy go z Fitelbergiem i Różyckim wspólna emancypacya z pod wpływu warszawskiej szkoły, i rozmiłowanie w nowych, przez Ryszarda Straussa zwłaszcza, usankcyonowanych środkach muzycznej ekspresyi. Cechą utworów jego, (mowa tu wyłącznie o kompozycyach fortepianowych, na polu kompozycyi orkiestrowej w „Uwerturze symfoniczej“ stawiał p. Szymanowski dopiero pierwsze kroki), rzucającą się przedewszystkiem w oczy, jest silnie rozwinięty zmysł polifoniczny oraz widoczniejszy niż u innych „młodych,“ wpływ Chopina. Świadczą o tem przedewszystkiem utwory fortepianowe: 9 preludyów (op. 1), 4 Etiudy (op. 4) i Waryacye na ludowy temat polski (op. 10). Mająca się ukazać w Spółce, a w zeszłym sezonie wykonana w Filharmonii przez pannę Talę Neuhausównę Sonata fortepianowa C-mol jest dziełem dawniejszem, które odznacza się wprawdzie jasnością formy i tematów, ale pierwiastku indywidualnego posiada niezbyt wiele.

Szczególniej ulubioną i właściwą twórczości Szymanowskiego jest kombinacya nierównych rytmów (bądź to za pomocą zestawiania równoczesnego dwójek i trójek, bądź używania różnego rodzaju akcentów), i wynikające z tego harmonie, które same z siebie już śmiałe i niespodziane przez te zawikłania rytmiczne, stają się czasem w pierwszej chwili wprost niepodobne do określenia, a mimo to posiadają dużo uroku i dają zupełne, artystyczne zadowolenie. Owo upodobanie w zestawieniu różnorodnych

[1]) P. Szeluta jest uczniem L. Godowskiego.

rytmów ma zresztą swoje prawdopodobne źródło w Chopinie, od którego przejął tę cechę również Brahms, a korzysta z niej często R. Strauss; w kompozycyach orkiestrowych, jak u tego ostatniego, posiada ona jednak charakter nieco odmienny, nie związany tak jak u Chopina z postulatami specyalnej, fortepianowej techniki. Drugą, również jak się zdaje duchowo po Chopinie odziedziczoną, właściwością twórczości Szymanowskiego jest dar melos'u; wszystkie kompozycye młodego autora posiadają nadzwyczajną płynność i bogactwo linii melodyjnej, zawsze w kilku równocześnie głosach płynącej.

Harmonizacyu, jak wspomniałem, toczy się szlakiem śmiałych, niespodzianych modulacyj, apogiatur, opóźnień, podobnie jak całej najmłodszej, francuskiej i niemieckiej szkoły. Że autor w niej się lubuje, czasami nawet bez koniecznej potrzeby, dowód w temacie waryacyi op. 10, który charakter prostej piosenki ludowej, pozbawionej akcesoryów, jak na temat przystało, utrzymał tylko w dwóch taktach, fantazyując już następne na swój własny, piękny, zajmujący, ale bynajmniej nie ludowy sposób. W szeregu znanych mi utworów, oprócz łatwo dającej się ocenić różnicy między Sonatą fortepianową C-mol, za szkolnych czasów pisaną a następnemi dziełami, nie mógłbym zaznaczyć jakichś wybitnych faz rozwoju Szymanowskiego, prócz stopniowego udoskonalania zdobytych już środków. Jako dzieła natchnienia najwyżej stoją z dotychczasowych Etiuda b-mol (op. 3 № 4), oraz pieśń do słów Berenta z „Próchna:“ „Łabędź.“

*

* *

Ten ogólny rzut oka na charakterystykę członków Spółki: „młodych polskich kompozytorów“ jaki w ramach niefachowego artykułu był możliwym, pozwoli może czytelnikom zdać sobie sprawę z wartości, jaką dla naszej sztuki ma ten ruch na polu twórczości muzycznej.

Przeważna część krytyki z jaką się u nas spotykamy, oskarżała ich o bezkrytyczne naśladownictwo Ryszarda Straussa i zatracanie charakteru polskiej muzyki przez najrozmaitsze nowatorstwa harmonijne; co do pierwszego faktu, to godząc się na istnie-

nie wpływu Straussa, niesłusznem jest czynić to w formie oskarżenia dlatego, że istotnie dziś absolutnie nie można wydać wyroku, czy takie poddanie się urokowi tego bajecznie efektownego w swych środkach i pomysłach mistrza, obróci się w naśladownictwo, czy też wzbogaci wiedzę i pobudzać będzie do samodzielności fantazyę młodych kompozytorów. Jak dotychczas przynajmniej cały charakter „naśladowania“ Straussa ma cechy zupełnie indywidualne, to jest ogranicza się tylko do używania jego środków; ducha kompozycyj Straussowskich, to jest ducha kompilacyj cerebralnych, cechujących w wysokim stopniu twórczość niemieckiego mistrza, nie można dostrzedz ani w „Pieśni o sokole“ Fitelberga, ani w „Bolesławie Śmiałym,“ ani w „Panu Twardowskim“ Różyckiego, tem mniej w fortepianowych utworach Szymanowskiego i Szeluty. Wszystkie te dzieła są bardzo mało „niemieckie“ mimo braku „narodowych“ rytmów i motywów, w przeciwieństwie np. do kompozycyj p. Feliksa Nowowiejskiego, który typowo niemieckiej faktury nie pozbędzie się nigdy, choćby na temata swych symfonij zużytkował wszystkie znane krakowiaki i mazurki.

Co do nowatorstwa harmonii wypowiedziałem moje zdanie już wyżej, więc tylko powtórzyć mogę, że na logicznym gruncie opartą pracę w kierunku rozwijania systemów harmonicznych uważam nie jako zarzut, lecz wysoce kulturalną dla naszej muzyki pracę.

Jako postulat przyszłości pragnąć i gorąco życzyć wypada, aby ten wpływ „niemiecki,“ któremu zresztą peryodycznie podlegała nasza muzyka w początku XIX-go wieku (pierwsze opery polskie—Maciej Kamieński, Elsner) i w drugiej jego połowie (czysto niemiecką fakturę, mimo polskich tematów, posiada np. „Morskie oko“ Noskowskiego), a któremu obecnie hołdują „najmłodsi“— przyczynił się tylko do użyźnienia gleby naszej muzycznej kultury, aby kompozytorów naszych doprowadził do tego rodzaju samodzielności, jaką dziś reprezentuje u nas jedynie Paderewski, najbardziej kulturalny, najbardziej samodzielny i najbardziej po europejsku polski z naszych żyjących kompozytorów.

Krytycyzm, jaki okazali nasi młodzi kompozytorowie wobec ciasnych pojęć szkoły warszawskiej, tamującej dostęp prawdziwej kultury, którego skutkiem było wyemancypowanie się z pod jej wpływów, daje do pewnego stopnia rękojmię, że równie krytycznie, to jest siebie i swej indywidualności szukając, przejdą poprzez wszystkie, bogacące ich wiedzę i doświadczenie, obce wpływy.

Dlatego usiłowania ich i walki witać należy z prawdziwą, szczerą radością i nadzieją, do krytyki zaś bezzasadnej zwrócić słowa, które na karcie tytułowej dawnej tabulatury na lutnią z 1615 r. umieścił jej autor:

Ad zoilum:

Mome quid insultas? quid rodis dente maligno?
Displicet hoc nostrum: da meliora probo...

Henryk Opieński.

Ruch umysłowy w Niemczech.

I.

W gwarnym, gorączkowym zamęcie wielkich europejskich miast stoją pałace dziwne o poważnych, milczących fasadach; — kilka kroków zaledwie od zgiełku ulicznego, a jednak już w ciszy prawie że pełnej zamyślenia. Cisza ta spływa z długiego szeregu okien zawsze ciemnych, na których powierzchni martwej jedynie refleksy latarni ulicznych lub blade promienie księżyca wywołują złudzenie życia, czepia się grubych ścian średniowieczno-klasztornych, obramowanych ciężkiemi ozdobami z kamienia ciosowego i rozpościera swe długie, szare ramiona po nad wielkiemi wrotami o lśniących metalowych okuciach. Jeżeli, otworzywszy małe drzwi, wtulone w jedną z potężnych tafli wrot, wejdziesz do przedsionka, ogarnie cię odrazu uczucie wielkiej samotności i pustki; po kamiennych flizach, wzdłuż ścian marmurowych, zdobnych w stare, wypłowiałe obrazy, po płaskich, szerokich schodach stąpać będziesz krokiem niepewnym, a sklepienia będą ci wtórowały dziwnie głuchym dźwiękiem, niby szmer słów bełkotanych sennemi usty. I przebiegnie cię dreszczem myśl, że w tych murach ludzie mieszkać nie mogą, mimo że fluidum magnetyczne jakiegoś zagadkowego życia drgać będzie wkoło ciebie w powietrzu, i czuć będziesz nerwami skóry jego bliskość, jak w ciemnym pokoju czuje się, nic nie widząc, obecność i bliskość innej istoty. Gmachy te są mieszkaniem myśli ludzkich! Zaklęte w znaczki czarne na żółknącym papierze, pod powłoką żrącą kurzu, w bliskiem sąsiedztwie z mólami i pajęczyną śpią tam my-

śli wieków: idee, które niepokoiły serca i mózgi oddawna już spróchniałe, wynalazki i odkrycia, które były niegdyś iskrami prometejskich zdobyczy, wierzenia i dogmaty, dla których krew i łzy się lały, nadzieje, sny i marzenia — kwiaty, leki, miraże dni minionych!... Dość wziąć jeden z tych tomów do ręki, przebiedz oczyma kilkadziesiąt stronic, aby się przenieść wyobraźnią w sferę myśli autora, aby ścieżkami jego rozumowań zbliżyć się do misteryum jego duszy. A tomów takich zawierają wielkie księgozbiory wielkich europejskich miast — setki tysięcy!...

Kto ciebie nie zna, królowo Wiedzo, tajemnicza, potężna czarnoksiężniczko i ciemna pani rzeczy przeszłych, mija z sercem lekkiem i swobodnem pałace twoje, które są świątyniami, mauzoleami i jaskiniami zarazem—pełnemi strasznych uroków.

Dziecię zmysłów, syn ziemi, pijący wino słońca i woń kwiatów, znający tylko rytm dnia i nocy i ów powolniejszy, bardziej majestatyczny rytm pór roku i jeszcze powolniejszy, jeszcze bardziej majestatyczny rytm pór roku życia ludzkiego, szamocący się śród walk, tragedyj i ironii bytu z wzrokiem utkwionym w rzekomą rzeczywistość dnia—nie zna was tęsknoty bolesne, jadowite i zawodne! Zapewne i jemu przemknie się w chwilach ciężkich pytanie: czemu? — ale ot tak tylko, jak westchnienie, które zaledwie wyrwawszy się z piersi uciśnionej, zagłuszone bywa łoskotem życia.

Życie, rozmyślające nad życiem, rozum badający granice rozumu, dusza pragnąca przejrzeć się w sobie, jak w zwierciadle — są dlań misteryami niepojętemi. Jednakże w pałacach, świątyniach, mauzoleach i jaskiniach wiedzy — pełnych uroków strasznych, *żyją* owe myśli z mgieł utkane, nieuchwytne, a silne i nieubłagane, jak węże Laokoona. A kogo one oplotą łańcuchem kolczastym, najeżonym cierniowemi pytaniami, kto w uścisku ich bolesnym zrozumie rozkosze łzawe poznania, w kim zbudzona zostanie żądza ogarnięcia, pojęcia *wszystkiego*, pragnienie dotarcia do ostatnich granic, temu ani wino słońca, ani sorbety kwiatów, ani kantaty życia ulgi nie przyniosą. Zapatrzony, zasłuchany w dale nie dające się określić słowami, pochylony po nad przepaścią bez dna, żyć on będzie pod urokiem czaru prawie że nieuleczalnego.

O, Prawdo! gdzież jesteś, czem jesteś i... czy jesteś rzeczywiście!? Gdzież ciebie szukać? Może w piętrzących się katalogach i grubych encyklopedyach, które, jak olbrzymie labirynty, okrążają niezliczone komory i komórki wiedzy, które o wszystkiem wiedzą, a na nic dać nie potrafią odpowiedzi; może w bibliograficznych podręcznikach, informujących o zawrotnej mnogo-

ści zjawiających się bez liku tomów, broszur, studyów, rozpraw i felietonów; może w księgach świętych, których słowo każde niemal zamglone jest rojem sprzecznych komentarzy — w księgach świętych, kryjących swe myśli pod wieloznaczną, mieniącą się tęczą mistyczną symbolu szatą; albo dzieł przyrodniczych, które w tak wymowny sposób dowodzą niepodobieństwa ogarnięcia bez hypotezy tajemnic natury? A może dzieła historyczne, wpatrzone w mrowia pokoleń w powikłanie dziejów, potrafią, opowiadając historyę fałszów, zaślepień, męczeństw, żądz i gwałtów ludzkich otworzyć nam oczy? Może tablice śpiżowe praw, owe dzieci gwałtu i obyczajów przestarzałych, owe skamieniałe zabytki życia, które się stało — literą?... Może w nocach gwiezdnych, pochyleni ponad kolumnami cyfr, obliczając przestrzeń, dzielącą nas od owych kilku najbliższych słońc (kilku śród miliardów niezliczonych), lubując się harmonią proporcyj, zdołamy, pogrążywszy się w nieskończoność, której żaden teleskop, żaden mikroskop ogarnąć nie potrafi, dotrzeć do tajemnic bytu?... Czyliż radzić się mamy filozofii, i którego z jej licznych systemów? Albo może sztuki, która jest dzieckiem fantazyi i zmysłów i nawet sama nie rości żadnych pretensyj do misyi tak zawiłej i niewdzięcznej?

I oto wielkie morze zwątpień nas ogarnęło! Dokąd spojrzeć, piętrzą się pytania bez końca, jak fale nie znające co to spokój. Wszystko płynie, drga, mieni się, rozpływa,.. i my płyniemy, rzucani w prawo i w lewo, podnoszeni na wyżyny i strącani w ziejące przepaści. Płyniemy bez końca! Napróżno wołamy, napróżno wyciągamy tęskne ramiona, napróżno szukamy punktu oparcia...

Królowo Wiedzo, potężna czarnoksiężniczko, wsparta czołem z ciemno-zielonego bronzu o gwiazdę zenitu; wpatrzona w dale bez dna, ty, która słuchasz chorałów mknących gwiazd, która znasz poszumy światów wirujących, i eksplozye słońc, i ryki wichrów, co po łusce tęczowej ziem się wiją! Patrz, ciemna Pani, oto wiecznie głodne fale systemów filozoficznych pożerają się wzajemnie; łódź myśli chwieje się rozpacznie na ich wzburzonych grzbietach; co było górą, staje się głębiną; przypływy i odpływy gonią się, wyrzucają, jakby dla igraszki; kamyczki i muszle na bezludne wybrzeża i znów je zabierają, aby je gdzieindziej na brzeg pusty cisnąć. Vanitas vanitatum!

Królowo Wiedzo, w wielkim ciemnym welonie, przetykanym lśnieniem światów, czyż niepodobna odsłonić rzeczywistości? Czemże jest dusza? Czyż wyczytasz odpowiedź z okrwawionych żył i nerwów i z garstki nikłych hypotez? Gdzież są normy myśle-

nia? czy w owym złudnym gmachu z kart, który się zowie logiką, a który opiera się na jednej jedynej nie dającej się zgłębić tautologii, że: „raz jest raz, że byt jest bytem“? Gdzież tak zwana realność? Czy w tem, że jesteśmy w stanie zanotować i opisać zewnętrzny przebieg eksperymentu, którego zrozumieć niepodobna? Dlaczegoż ciała, które nazywamy elementami (nie mogąc rozwiązać zagadki ich bytu), łączą się w takich a takich proporcyach? Co to jest siła, elektryczność, magnetyzm, ciepło?... A zmysły nasze? a światło, a dźwięk, a ruch, a ciężkość?... A piękno? a dobro?... Odpowiedz, wszechwiedząca! Kroplę prawdy daj, kroplę jedną chociażby, a wszechświat cały jej lśnieniem napełnię! A może ty nie wszechwiedząca?... może ty nic nie wiesz?... nic dać nie możesz?...

Kto na falach tych pytań wypłynął na wielkie morze niepewności — a wszyscy jakoś, wszyscy my argonauci stęsknieni, mimo tak różnych dróg, łodzi, wioseł i żagli, wszyscy podobnemi szlakami płyniemy w dal mglistą — kto tak daleko pozostawił po za sobą zatoki, wybrzeża i porty, temu pewnego dnia wykwitnąć musi z łona burzliwych fal, jak miraż niespodziany — *czar słowa!*

*

* *

Słowo, pierwszy okrzyk tryumfalny istoty ludzkiej, skarbnica nieprzebrana myśli, cement społeczeństw, przedziwne wirowanie tonów pełne znaczenia i piękna,—Słowo, herold wierzeń i uczuć, materyał niezrównany, który, mimo swej nieuchwytności, dozwala nam piętrzyć gmachy niebotyczne,—Słowo, bez którego nie byłoby postępu, bez którego każdy na nowo musiałby rozpoczynać drogę uciążliwą po przez lasy dziewicze praszczurów,—Słowo!... *Na początku wszystkiego było słowo!*... Dopiero dając nazwy rzeczom i tworom stał się człowiek panem ziemi. Wszystko, czegośmy dotychczas dopięli, wszystko, cośmy pomyśleć zdołali, zamknięte jest w Słowach!... Szmer babelski języków, niby modlitw cudotwórczych błaganie, uderza o uszy nasze. Pojąć ich wszystkich nie jesteśmy w stanie, życia by nam nie starczyło, gdybyśmy zechcieli je zrozumieć—zrozumieć, co bełkoce mieszkaniec Ziemi Ognistej, lub szepleni Chińczyk, ale wiary w słowo granice te

obalić nie potrafią. Od wieków już gra słowo w życiu narodów i jednostek rolę pierwszorzędną. Było ono i jest główną podstawą życia społecznego. W słowie zamykano wierzenia, traktaty, prawa; słowo było narzędziem poetów, proroków, mędrców, a nawet ci najśmielsi, którzy w imię prawdy wstrząsali posadami świata, posługiwać się musieli — słowem.

Wieki przeszły, zanim postawiono sobie na seryo pytanie:— „co to jest słowo?“—zanim pomyślano naprawdę o krytyce mowy. Kant jeszcze nawet pisze swoją „Krytykę Czystego Rozumu“ z niezachwianą wiarą w słowo. Dopiero w obszernem, trzytomowem dziele Fryderyka Mauthnera, znanego powieściopisarza i poety: „Kritik der Sprache“ (ostatni tom tego dzieła wyszedł w roku 1903), zagadnienie to tak ważne zostało nareszcie poruszone i uwzględnione należycie. Czyn ten stawia prawie że 60-cio letniego dziś Mauthnera w rzędzie najprzedniejszych współczesnych umysłów krytycznych Europy. Wziąwszy nawet pod uwagę pewne wady, niejasności i pogmatwania, które, wobec olbrzymiości zadania, są rzeczą zrozumiałą, będziemy musieli pracy Mauthnera przyznać niesłychaną doniosłość. Nawet jego skłonność do mefistofelesowych sarkazmów, które są wobec tak poważnych, głębokich zagadnień nieodpowiednim i dla niejednego może nawet odstraszającym tonem, musimy mu wybaczyć, jako drobną, w stosunku do wielkich zalet dzieła, słabostkę jego rasy. Mauthner jest bowiem Żydem, ale Żydem, jakiego rasa żydowska od czasów Spinozy nie wydała.

*

* *

Dnia 17 lutego 1829 r. wypowiedział Goethe w rozmowie z Eckermannem (patrz J. P. Eckermann, znakomite i niezmiernie pouczające „Gespräche mit Goethe“ znajdujące się również w taniej bibliotece Reclama, tom 2-gi, str. 49), owe pamiętne słowa: „W filozofii niemieckiej są jeszcze dwie ważne rzeczy do zrobienia. Kant napisał krytykę czystego rozumu, przez cośmy bardzo wiele osiągnęli. Pierścieniowi temu brak jednakże pewnej części. Teraz musiałby utalentowany i wybitny umysł wziąć się do na-

pisania krytyki zmysłów i krytyki zdolności sądzenia,[1]) a mielibyśmy, gdyby potrafiono wywiązać się z tego zadania również szczęśliwie, nie wiele więcej do życzenia.“ To, o czem tutaj Goethe wspomina, zostało znacznie później, bo po 70-ciu latach dopiero urzeczywistnione przez Mauthnera, trochę inaczej coprawda niż Goethe myślał, ale w zupełnej zgodności z jego życzeniem. Nie należy przytem zapominać, że w części przyczynił się do ułatwienia tej pracy Schopenhauer swą dokładną i ścisłą, ale zawsze jeszcze stojącą pod urokiem słowa, definicyą i analizą rozumu i rozsądku.

Napisanie krytyki mowy, która zawiera w sobie krytykę zmysłów i metakrytykę zdolności sądzenia, zależne było przedewszystkiem od zupełnego wyemancypowania się z pod potężnego wpływu Kanta. W tej mierze, co Mauthner, nikt tego dotychczas nie potrafił. Co prawda i Mauthner przyznaje, że bez pomocy krytyki mowy niepodobnaby było dowieść Kantowi ani jednej niekonsekwencyi. Pierwszym, który się ośmielił krytykować Kanta i który poruszył kwestyę krytyki mowy, jako metakrytyki teoryj Kanta, był jeden z jego dobrych znajomych i współrodaków—Hamann. Pod demonicznym wpływem Hamann'a, który zalet odpowiednich do wykonania tak doniosłej pracy nie posiadał, znajdował się też przyjaciel Goethego, znany filozof Fritz Jacobi. Niezmiernie ciekawy jest pod tym względem wyjątek z listu Jacobi'go, który Mauthner przytacza.

„Czyż będę mógł nareszcie wypowiedzieć, głośno wypowiedzieć, że historya filozofii przedstawia mi się, im dłużej się jej rozwojowi przyglądam, jak dramat, w którym *rozum* i *mowa* grają rolę owych dwóch braci z komedyi Plautusa, których podobieństwo jest łudzące.

„Czy dramat ten kończy się katastrofą, czy też tylko coraz to nowe epizody zostają dołączone do całości—nie wiem.

„Mąż (mowa tu o Kancie), którego wszyscy, mający nie napróżno oczy, nazywają wielkim, a który był wielkim już przed

[1]) Goethe używa tu słowa „Verstand.“ Co do „Verstand“ i „Vernunft“ trudno będzie znaleźć ścisłe tłómaczenie polskie, ponieważ granice tych dwóch słów są jeszcze ruchome. Nawet Kant używa słowa „Vernunft“ i „Verstand“ kilkakrotnie w bardzo różnem znaczeniu, a tłómaczyć wszędzie „Verstand“ przez „rozsądek,“ a „Vernunft“ przez „rozum,“ jak to np. Chmielowski w swoim przekładzie „Krytyki czystego rozumu“ Kanta (Kritik der reinen Vernunft) czyni, nie można uznać za szczęśliwe rozwiązanie kwestyi.

25 laty... zdaje się zbadał intrygę tego dramatu i przewidział jego koniec. Większość utrzymuje, że koniec ten już znaleziony i opublikowany. Może mają słuszność... Brak byłoby bądź co bądź *krytyki mowy*, którąby mogła zostać *metakrytyką* rozumu i dałaby nam wszystkim możność dojścia do zgodnego przekonania w kwestyi metafizyki...“

Jacobi powtarza tutaj mniej więcej dosłownie myśli Hamann'a, których sam dalej snuć również nie potrafił. Pierwsze, rzeczywiście udatne próby krytyki mowy, znajdujemy u Nietzschego, który, opierając się na poznaniu przypadkowości naszych pięciu zmysłów—przypadkowości, którą już Leibnitz, Lessing i Spinoza przeczuwali, dochodzi do ważnych spostrzeżeń psychologiczno-krytycznych, dotyczących krytyki mowy ludzkiej. Szczególnie w „Ludzkiem-Arcyludzkiem“ spotykamy się niejednokrotnie z aforyzmami, traktującemi o tem zagadnieniu. Później jednakże problematy etyczne skierowały uwagę Nietzschego na zupełnie inną dziedzinę. Krytyka mowy, która właściwie powinna się była stać głównym celem jego badań i byłaby go niezawodnie dalej zaprowadziła, niż mało owocne walki etyczne, pozostała nadal szematem mglistym, napróżno oczekującym wcielenia. Mauthner zarzuca Nietzschemu, że nie rozróżnia dość jasno pomiędzy słowem, jako środkiem intencyj artystycznych i słowem, jako narzędziem poznania. Dlatego to — powiada — nie dał nam Nietzsche krytyki mowy. Stał zbytnio pod urokiem własnej potęgi słowa.

Mauthner znajdował się mniej więcej w podobnem położeniu, bo i on jest zarazem sceptykiem i poetą. Jako sceptyk, śmieje się do rozpuku i szydzi niemiłosiernie, jako poeta, oddaje cześć owym nie dającym się zanalizować nastrojom i idzie za głosem tych tajemniczych potęg, których nawet Goethe nie potrafił inaczej ochrzcić, jak mglistem określeniem: „das Dämonenhafte.“ [1])

*

* *

[1]) Może w jednem z późniejszych sprawozdań będę miał sposobność rozpatrzyć krytycznie twórczość poetycką Mauthnera. Dziś ramy pracy niniejszej na to nie pozwalają.

Co to jest słowo? co to jest mowa? Pytanie to otwiera przed szukającym wzrokiem naszym nowe przepaści. Musimy uzbroić się w jeszcze bardziej subtelne lancety sceptycyzmu, musimy zstąpić jeszcze głębiej w ciemne czeluści niepewności, musimy się nauczyć wątpić o własnych słowach, o kategoryach gramatyki i logiki, musimy się nauczyć—milczeć! O potrzebie milczenia wiedzieli coprawda już pytagorejczycy, pisali o niem świetnie Cyprian Norwid, Maeterlinck,—cały Faust Goethego jest pełen oskarżeń przeciw powierzchowności mowy, przeciw słowu, szczególnie zaś owa pamiętna replika Mefistofelesa:

Denn eben wo Begriffe fehlen,
Da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein
Mit Worten lässt sich trefflich streiten,
Mit Worten ein System bereiten,
An Worte lässt sich trefflich glauben,
Von einem Wort lässt sich kein Jota rauben

A Byron powiada jeszcze wyraźniej w Sardanapalu:

How my soul hates
This language, which makes life itself a lie!

(O, jakżeż dusza moja nienawidzi mowę tę, która nawet życie przetwarza w kłamstwo!).

Ale od wątpliwości do obalenia zupełnego, od podejrzeń, sarkazmów i buntu do bezpardonowej, jasnej krytyki droga częstokroć jeszcze bardzo zawiła, uciążliwa i długotrwała.

Co to jest mowa? I ci nawet, którzy przeciw niej powstawali, te jasne i silne duchy, nie dały nam na pytanie to zadowalniającej odpowiedzi, nie odsłoniły jej właściwego oblicza. Oblicza?... Właściwie mowa oblicza niema. Po za welonem tej rzekomej, od wieków czczonej bogini, zieje pustka! Mowa jest jedynie czynnością porozumiewania się pomiędzy dwiema istotami, jest użytkiem, a nie przedmiotem użytku, dlatego też w miarę używania się nie zużywa, ale przeciwnie—rośnie. Stworzona dla użytku codziennego, dla potrzeb pierwotnych, rozwinęła się i wzrosła, jak wielkie miasta nasze, w których okna, dachy, domy, dzielnice tworzą coprawda całość, ale całość bez jedności, — zlepek niemożliwy, który należałoby raczej nazwać chaosem. A większość uważa mowę za niezwykle misterne narzędzie porozumiewania się i wypowiadania myśli.

O wzajemnem porozumiewaniu się za pomocą mowy właściwie „mowy być nie może.“ Już Maeterlinck poznał, że dwoje istot ludzkich nie jest w stanie porozumieć się w kwestyach większej doniosłości za pomocą mowy. Stąd styl jego dramatów. W życiu codziennem, w kwestyach potocznych oddaje nam mowa pewne posługi lokajskie: na tem kończy się jednakże jej użyteczność jako środka porozumiewawczego. W rzeczywistości rozdziela ona ludzi jeszcze bardziej, osamotnia jednostki w gwarze bezmyślnym tłumu, w szwargocie wielkim wielkich rzesz, które nazywamy społeczeństwami. Wypowiedzieć dają się bowiem tylko rzeczy odczute. Dlatego moglibyśmy mowę nazwać też „niedostatecznym komentarzem,“ który naturalnie, jak wszystkie komentarze, jest zawsze objawem a posteriori. Dlatego też niepodobna zrozumieć cudzych słów, jeżeli się podobnych uczuć, które słowa dane wyrazić się siłą, nie miało. Większość w takich razach ratuje się słowami, słowami które niczego nie są w stanie objaśnić, niczego uwidocznić i gmatwa z bezczelną bezmyślnością nici własnej głupoty i nizkości z przedziwną, drogocenną przędzą prawdziwie twórczego życia. Widowisko, które powtarza się z przerażającą prawidłowością zawsze i wszędzie, gdzie umysły wielkie starają się nowe objawienia wyrazić słowami. Ale i wobec objawień nowych, (umyślnie pomijam słowo „myśli nowych“ ponieważ myśli i słowa są, jak Mauthner trafnie udowadnia czemś najzupełniej identycznem, bo myśleć można *tylko słowami*) wobec objawień nowych słowo jest czemś śmiesznie nieudolnem. Jest ono ostatniem stadyum poznania, zacierającem zawsze przez swoją dwuznaczność i wieloznaczność wyrazistość wizyi. Każde słowo bowiem otoczone jest grubym, mglistym pierścieniem przeróżnych starych i nowych assocyacyj i zmienia swoją fizyognomię stosownie do naszego punktu widzenia lub stosownie do miejsca, które zajmuje w zdaniu. Na co jednakże przedewszystkiem należy zwrócić baczną uwagę wobec krytyki mowy, to na fakt, że wszystkie wrażenia, które odbieramy i staramy się następnie wysłowić, przejść muszą przedewszystkiem przez sito zmysłów naszych. „Krytyka mowy“ musi więc być zarazem „krytyką zmysłów.“ Tutaj to krytyka Mauthnera spełnia bolesną ale ważną i użyteczną operacyę, która powinnaby nam otworzyć oczy na całą beznadziejność dotychczasowej filozofii i metafizyki. Zmysły bowiem nasze są czemś przypadkowem, posiadają bardzo ciasne granice, a co najgorsza nie dają wiernego obrazu rzeczywistości.

W walce z nieudolnością naszych zmysłów powstała w głowach wielkich sceptyków potrzeba stworzenia świata idealnego

metafizyki, ale świat ten metafizyczny oparty został na *kategoryach gramatyki* — na mowie, wyrósł z niej jak kwiat z łodygi. A wszak mowa jest nieudolnem dzieckiem i służebnicą zmysłów. Na tym punkcie wszyscy najwięksi i najgenialniejsi metafizycy popełniali zawsze błąd zasadniczy, którego i Kant się nie ustrzegł. Dopiero krytyka mowy będzie w stanie wadliwość tych dróg uwidocznić.

„I oto, (możnaby zakończyć te wywody słowami Mauthnera) widzimy ludzkość, pełną nieugaszonej tęsknoty poznania, rzuconą w świat i uzbrojoną jedynie mową swoją. Słowa tej mowy nie nadają się do porozumiewania się wzajemnego, ponieważ są znakami pamięciowemi, a nigdy dwoje chociażby ludzi nie posiada jednakowych wspomnień. Słowa tej mowy nie nadają się do poznania świata, ponieważ każde słowo otaczają współdźwięki jego historycznych metamorfoz. Słowa tej mowy nie nadają się nawet do wniknięcia w treść rzeczywistości, ponieważ są znakami pamięciowemi naszych zmysłowych wrażeń i ponieważ zmysły nasze są przypadkowemi i wiedzą mniej więcej tyle o rzeczywistości, co o pałacu pająk, który w jednej z nisz gmachu uprządł sobie pajęczynę.

„Tak więc ludzkość musi zupełnie zrezygnować ze swych nadziei poznania rzeczywistości. Cała filozofia jej nie była niczem innem tylko nieustannem falowaniem pomiędzy dziką rozpaczą i szczęściem cichej iluzyi. Spokojna rozpacz jedynie jest w stanie — nie bez pewnego uśmiechu nad sobą samą — podjąć się ostatniej próby i w całej pokorze uświadomić sobie stosunek człowieka do świata, przez wyrzeczenie się wszelkich złudzeń, przez wyznanie, że słowo nic pomódz nie może, przez krytykę mowy i historyi mowy.

„Jedynym czynem zbawczym byłaby jużci krytyka, dokonana przez spokojnie-rozpaczliwe samobójstwo myśli i mowy, a nie przez pozornie żyjące słowa.“

*

* *

O streszczeniu chociażby pobieżnem całej „Krytyki“ Mauthnera, obejmującej około 2000 stronic druku, mowy być naturalnie nie może. Pominąć muszę zupełnie drugi tom treści filologicznej

i trzeci, poświęcony krytyce gramatyki i logiki. Byłaby to jednakże bardzo owocna i wdzięczna praca dla niejednego z naszych specyalistów, gdyby zechciał zająć się przekładem dzieła Mauthnera, przystosowując zarazem jego metodę krytyczną do języka i gramatyki polskiej. O doniosłości takiej pracy dla umysłowości i sztuki będzie jeszcze w dalszym ciągu mowa.

Będąc ze względu na ramy niniejszego szkicu zmuszony do znacznych ograniczeń, poprzestanę na uwzględnieniu zaledwie kilku tylko wybitnie-nowych i interesujących wyników krytyki Mauthnera. Niezmiernie ciekawe jest stanowisko jego względem psychologii t. j. wiedzy o duszy. Już samo słowo „dusza“ ze stanowiska krytyki mowy jest czemś bardzo mglistem. Nikt nie wie, co to jest dusza, czyż może więc być mowa o nauce ścisłej poświęconej czemuś, czego nikt określić nie potrafi? To też cała historya psychologii daje się w kilku słowach następująco określić: „Od czasu stworzenia specyalnej gałęzi wiedzy o duszy, t. j. mniej więcej od 300 lat coraz mniej uczeni o duszy wiedzą.“ Nowożytni psycholodzy zaczynają już nawet unikać nazwy psychologia (patrz np. „Physiologische Psychologie“ Wundt'a). A przecież słowo „ciało,“ jako przeciwstawienie duszy jest ze stanowiska krytyki mowy równie bezpodstawne jak słowo „dusza.“ Przypominają mi się słowa Goethego dotyczące tej kwestyi, które wartoby sobie zapamiętać, jako niezwykle trafne:

Natur hat weder Kern
Noch Schale,
Alles ist sie mit einemmale.

(Patrz tom drugi dzieł Goethego, rozdział „Gott und Welt:“ „Allerdings.“)

Ale nie dość na tem. Czyż rozumiemy stosunek pomiędzy zjawiskami ciężkości, a ich przypuszczalną przyczyną, choć o włos lepiej i jaśniej, niż stosunek pomiędzy duszą a ciałem, a słowa lewo, prawo, wysoko, nizko są dla nas równie względnemi, niepojętemi i nie dającemi się określić ściśle, jak elektryczność, magnetyzm, ciepło, światło, dźwięk, barwa i t. d. Wszystko hypotezy lub relacye!

Krytyka mowy daleka jest od wszelkich krótkowzroczności materyalistycznych, na co należałoby szczególną zwrócić uwagę. Nie pada czołem przed t. zw. „materyą,“ która w jej oczach jest równie mglistem określeniem, jak słowo: „dusza.“ Bo i cóż to jest właściwie materya? Materya jest materyą, jak byt jest by-

tem, powiedziałaby logika, ale kłamliwa, kuglarska logika nie jest dla nas autorytetem. Fizyka na pytanie takie nie daje odpowiedzi. „I nawet gdyby fizyologiczna Psychologia, powiada Mauthner, rzeczywiście doszła kiedykolwiek tak daleko, że potrafiłaby pod mikroskopem odnaleźć drogi assocyacyi w splotach nerwowych mózgu i w ten lub inny sposób na miejsce akcyi myślenia postawić widomą akcyę mózgu, czego nigdy nikt nie urzeczywistni, nawet wtedy zostałoby jedynie wykazane istnienie fizycznej korelacyi do życia duchowego, a zagadki podwoiłyby się, gdyż obok tajemnicy asocyacyj wrażeniowych otrzymalibyśmy jeszcze nierozwiązalną zagadkę psychofizycznych łączników.“ Dlatego też hypoteza paralelizmu psychofizycznego, która w pięknej i głębokiej filozofii Fechnera znalazła swe idealne wcielenie, pomimo swej niedającej się „logicznie“ obalić konstrukcyi, nie tłómaczy tajemnicy psychofizycznej i nie jest w stanie wykazać łączników psychofizycznych. Jest ona prawdopodobnie najlepiej zbudowanym systemem filozoficznym, jaki posiadamy, na ostatnie pytania jednakże, które stawia krytyka mowy, odpowiedzi dać nie potrafi.

Paralelizm psychofizyczny prowadzi w dalszym ciągu do zawiłego zagadnienia, dotyczącego siedliska duszy. Dawni filozofowie oznaczali to siedlisko z naiwną ścisłością; dzisiejsza psychologia natomiast stara się kwestyę zawiłą rozwiązać na drodze lokalizacyi *władz duszy*, z równem niepowodzeniem ma się rozumieć. Z tendencyj tych wyśmiewa się Mauthner bardzo dowcipnie w następującej przenośni:

„Towarzystwo murzynów australskich, nie mając pojęcia o właściwych stosunkach berlińskich, wybrało się do Europy, ażeby zbadać w jaki sposób berlińczycy rozmawiają przez telefon. Australczycy ci z niezwykłą pilnością biorą się do dzieła. Odkrywają też wszystko, co mogłoby mieć pozory łącznika lub przewodnika. Bardzo dokładny rysunek przedstawia rezultaty ich badań, a mianowicie wszystkie ulice, rynny wzdłuż dachów, szyny tramwajowe, druty telegraficzne i telefoniczne, rury kanalizacyjne, wodociągowe, gazowe i t. d. I poczciwi australczycy suszą sobie głowy, 1-o która z tych dróg jest przewodnikiem dającym możność rozmawiania przez telefon (należy pamiętać o tem, że nasze telefoniczne przewodniki ze względów bezpieczeństwa łączą się z systemem kanalizacyjnym, ten znów z systemem wodociągowym), 2-o w której części miasta znajduje się punkt centralny tych przewodników. Opierając się na wnioskowaniu apriorystycznem, mogliby owi australczycy dojść do przeświadczenia, że

owym punktem centralnym jest np. zamek królewski, lub ratusz albo uniwersytet, albo w końcu wielki gmach policyjny. Podobne powody skłaniają dzisiejszych badaczów do lokalizacyi najważniejszych władz duszy w mózgu lub móżdżku... Gdybyż ci panowie przynajmniej wiedzieli, *co* ma zostać zlokalizowane!"

W podobny sposób szydząc, to znów obalając niemiłosiernie, to walcząc zapamiętale ze schematami mglistemi, to śmiejąc się do rozpuku, albo szukając z nadludzkiemi niemal wysiłkami wyrazu lub przenośni dla rzeczy niewysłowionych, robi Mauthner przegląd całej terminologii psychologicznej, wszystkich bóstw mytologicznych psychologii: pamięci, samowiedzy, rozumu, rozsądku, uwagi i t. d. i t. d... Częstokroć w środku zdania, w trakcie wywodów zatrzymuje się, chwyta jedno ze słów najbliższych, jak Polifem jednego z towarzyszy Odysseusza i obdziera je ze skóry wykazując wieloznaczność i niejasność mowy, to znów stara się przebić mgłę przesądów gramatycznych i logicznych i drze w strzępy łatane i pstre szaty przewielebnych siostrzyc-upiorów gramatyki i logiki,—jedyną realność ich bytu.

Wycieczki takie w sfery humorystycznej krytyki działają niezmiernie ożywczo, jak np. w następującem zdaniu: „Od czasów Heryngа zgodzono się ogólnie nazywać pamięć *funkcyą organicznej materyi*. Nazwa bardzo dobra, tylko że nikt nie wie, co to jest materya i co to jest organizm, a słowo „funkcya" wyraża jedynie zależność jednej wielkości od drugiej..."

Melodya przewodnia całego dzieła jest mimo tych floresów i arabesków humoru i śmiechu prawie że ponurą. Zgrzyt i łoskot walących się światów, w których realność wierzyliśmy niezłomnie, przeświadczenie, że dotarliśmy do ostatnich granic poznania, przez poznanie, że niczego do końca poznać nie możemy, że prawda może być dla nas jedynie czemś à peu près; cała nasza nędza ludzka, cała bezradność wobec naszych wielkich tęsknot poznania, wszystko to razem wzięte łka przeraźliwe Miserere. Boć i sama nawet krytyka mowy, która jest jedyną możliwą psychologią przyszłości ma swoje granice. Nikt nie jest nawet w stanie zrozumieć i objąć całości swojej mowy ojczystej, zrozumieć całej jej historycznej treści, ponieważ ani życie ludzkie nie starczyłoby na zdobycie tej wiedzy, ani władze nasze umysłowe nie potrafiłyby podołać tak olbrzymiemu zadaniu. Ale nawet gdyby i to było możebnem, niepodobna byłoby ująć słowami rzeczywistości, ponieważ rzeczywistość nieustannym podlega przemianom, ewolucyom, poza któremi słowo goni i gonić musi nadaremnie.

Pozostaje więc rezygnacya? rozpaczliwa rezygnacya, lub kompletne zaprzeczenie bytu? Mauthner i tutaj potrafi uchronić się od złych czarów logiki. „Całej rzeczywistości poznać nie możemy, mimo to świat nasz widomy musi mieć swoją przyczynę. Gdyby nawet wszystkie hypotezy nas zawiodły, wiara w rzeczywistość pozostanie! Niby daleki odblask połyskuje w mrocznej przepaści naszego myślenia jakieś źdźbło jasności—że możemy się jednak na tę odrobinę naszego poznania oprzeć, że jednak istnieje jakowaś jedność w tym niedającym się zgłębić świecie, w przeciwnym razie bowiem każde dziecko musiałoby znów rozpocząć od początku dzieło doświadczalne poznania i musiałoby te doświadczenia swoje notować w języku indywidualnym, niemającym nic wspólnego z mową ludzką, aby módz je zapamiętać.“ „Jeżeli łaknący Arab błądzi przez gorące piaski pustyni, a fatamorgana łudzi go widokiem oazy i zielonych palm—to nawet to złudzenie jest faktem, tak samo jak radość Araba wywołana tem złudzeniem. I padając w kurczu śmiertelnym może zawoła w końcu z uśmiechem, jeżeli jest filozofem: — Wszak tylko moje „ja“ zostało oszukane. Cóż stąd? Gdzieś, gdzieś—daleko istnieje jednakowoż przyczyna mojej oazy i moich zielonych palm!“

*

* *

Stanowisko Mauthnera możnaby nazwać sceptycyzmem ewolucyonistycznym. Na drodze tej, jak już wspomniałem, znajdował się Nietzsche w swoim okresie sceptycznym, a krytyka jego norm moralności u tego źródła czerpie swoje soki. Gdyby Nietzsche był wykonał swoje wielkie dzieło „przeszacowywania wszystkich wartości,“ byłby w rozdziale, poświęconym filozofii, niezawodnie też poruszył zagadnienia krytyki mowy. Widzimy to z niejednego aforyzmu, poświęconego filozofii, przedewszystkiem zaś z tych, które dotyczą filozofii Sokratesa.

Filozofem Mauthnera nazwać nie możemy, tak samo jak Nietzschego nazwać filozofem w dotychczasowem tego słowa znaczeniu niepodobna. Słowo to uległo bowiem od czasów Pytagoresa, który pierwszy go użył w znaczeniu: „przyjaciel mądrości,“ wielkim zmianom. Dziś przez słowo filozof rozumiemy zazwyczaj „twórcę systemu.“ Dlatego właśnie ani poety-proroka Nietzsche-

go, ani poety-krytyka Mauthnera nie możemy nazwać filozofami. Czasy „filozofów“ zdaje się minęły bezpowrotnie. Plato, Spinoza, Kant, Schopenhauer nie przestaną mimo to być wielkimi, genialnymi umysłami, chociaż systemy ich się przeżyły. „Nigdy jeszcze system nie wywarł wpływu na życie i nigdy nie zdołał zdobyć sobie miejsca w dziejach ludzkości“ powiada Mauthner. Wiedział to już Cypryan Norwid (patrz „Milczenie“). To, co każdy z wielkich filozofów poznał, jest w gruncie rzeczy spostrzeżeniem—aperçu. Dorobione do tych spostrzeżeń systemy nazywają się filozofiami. Poznanie to daje nam gwarancyę, że okres filozoficzny umysłowości ludzkiej chyli się ku końcowi. Jedyna filozofia, na jaką sobie dziś jeszcze pozwolić możemy, będzie krytycznem badaniem mowy albo owym podziwem dla niezmierzonej mnogości fenomenów bytu, podziwem, które Goethe tak pięknie następującemi słowami określił:

„Najwyższym stopniem, który człowiek osiągnąć potrafi, jest podziw. Bądź zadowolony, jeżeli cię zjawisko wprawia w podziw; nic wyższego zaczerpnąć z niego nie zdołasz i nic pozatem nie powinieneś szukać i dalej iść nam nie podobna. Ale ludziom widok fenomenu nie wystarcza i zawsze jeszcze myślą, że można uzyskać więcej, zupełnie jak dzieci, które spojrzawszy w lustro, odwracają je natychmiast, ażeby zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie.“ Podziw i krytyka — oto dwie elementarne potęgi, które nam ponad przepaściami niewiedzy i milczenia stać się mogą przewodniczkami. Podziw, który w nas obudza ekstazy prorocze i wizye piękna i krytyka, która kontroluje naszą nieudolność ludzką, arcyludzką. W ten sposób „krytyka mowy“ dążyć będzie do oswobodzenia nas z pod jarzma mowy i w wyzwoleniu tem szukać będzie swoich najwyższych urzeczywistnień. Mowa stanie się samokrytyką filozofii, a owa samokrytyczna filozofia rezygnacyi — którą może przestaniemy nazywać mianem filozofii — zajmie miejsce systematyzujących filozofij.

II.

Przed tajemnicą milczenia stoi większość, niby przed kotarą czarną, dzielącą nas od mrocznych bezmiarów śmierci. Rzadko kto ma odwagę zbliżyć się do tej kotary, poza którą kryje się rzekoma nicość. A któż ośmieliłby się dotknąć jej, podnieść rękę, aby chwycić, szarpnąć i spojrzeć w puste oczodoły nicości?!...

Dlatego niańki i wychowawcy z takim przestrachem gromią dzieci, lubiące godzinami do zupełnej niemal bezprzytomności wpatrywać się w niebo usiane gwiazdami; dlatego krąży śród ludu podanie, że ten kto rozumem swoim ludzkim pomyśleć chciałby, co to jest wieczność, zwaryować musi. I pełni owczego przerażenia cofają się ludzie przed najgłębszem objawieniem bytu. Na łożu śmierci dopiero, gdy ból i przestrach wycisną z serca ostatnią kroplę rozpaczy ludzkiej, ośmielają się niektórzy spojrzeć w tę nicość — i oto rzecz dziwna, oblicze ich wygładza się, rozjaśniony wzrok napełnia się niepojętą dla otoczenia błogością i zaczynają mówić o śmierci swojej, jak o rzeczy bardzo naturalnej, nic ich już nie obchodzącej, bynajmniej nie strasznej, wydają rozporządzenia, dotyczące pogrzebu, puścizny bez najmniejszej słabości. Stan ten uważany jest powszechnie za pewny prognostyk śmierci. A jednak są ludzie, którzy znają go, jako swoją najgłębszą modlitwę. Stan ten jest jedną z owych niedostępnych dla laika tajemnic magii białej, niedostępnych, bo nie dających się wysłowić, jedynie przez uczucie zrozumiałych tajemnic. W stanie tym budzą się owe niezwykłe siły, które zowiemy magnetyzmem, wielkie dzieła geniuszów zeń powstają. Słowa opisać go nie potrafią, ponieważ jest poza granicami słów, ponieważ jest śmiercią słów — milczeniem. Milczenie to nie jest kotarą, dzielącą nas od mrocznych bezmiarów śmierci, ale połączeniem życia ze śmiercią, poznaniem, że śmierć jest także tylko granicą naszej możności poznania, że jest początkiem nowych metamorfoz życia. (Boć „śmierć“ i „życie“ to znów dwie kategorye tylko naszej nieudolnej mowy).

Jeżeli, mknąc w przepaść milczenia, pozostawimy wyspy myśli i kopcące światełka słów daleko poza sobą i tak pogrążymy się w ową niewysłowioną przepaść, że chwila stanie się dla nas wiecznością, otworzą się nam nowe zmysły poznania. Magowie, którzy niewysłowione te stany poznania starali się ująć w systematy ze słów, zaciemniają niejednokrotnie promienie objawień. Najlepiej jesteśmy w stanie pojąć je i odczuć w stanie pokory, wywołanej uświadomieniem naszej niewiedzy i konieczności tej niewiedzy.

A potem budzi nas z naszego pogrążenia, którego opisać niepodobna, a które jest jakby kąpielą w falach wieczności, lekkie drżenie, niby echo rytmu oddalonego: na skrzydłach motylich zbliża się do nas wizya bytu. Widzimy kwiaty, drzewa, góry, gwiazdy, morza, oblicza ludzkie, — ale to już nie kwiaty, nie drzewa, ani góry, ani gwiazdy, ani morza, ani oblicza ludzkie — to objawienia! A wszystko, na czem oczy nasze zdziwione i zamyślone

spoczną, przedstawia się w niezwykłych, niebywałych kształtach, barwach, tonach, ekspresyach. Czujemy pulsowanie soków i rozchylanie się kielichów, wirowanie żądz i rozkoszy bytu, który nas zewsząd otacza, tak blizko, tak blizko jak gdybyśmy je tuż przy sercu naszem mieli; czytamy z twarzy, z ręki ludzkiej historye tajemne i tragedye ukryte, rozumiemy mowę zwierząt i śpiew ptaków! Granice zmysłów naszych się zacierają, cośmy przywykli pojmować okiem, zamienia się w ton, smak, przybiera barwy i słyszymy fanfary światła, pijemy kaskady kolorów, widzimy drżenie i tętno melodyi!...

Gdzieś, daleko wytrysłe promienie płonącej gwiazdy odbiły się o ciemne oblicze jakiegoś satelity i leją się potokiem roztopionego srebra na jedwabiste, ciemnoszafirowe fale rzeki, albo migają śród gęstwiny leśnej, jak welony gazowe tancerek; tam padłszy na krzak pokryty białem, pachnącem kwieciem, przemieniły go w magnezyowy fajerwerk. Pola leżą sine pod ich urokiem trupim, a przez ulice i zaułki miast ciągną długie procesye cieniów o najprzeróżniejszych kształtach na tle pobladłych ścian: dachy domostw i kościołów lśnią pod wspaniałą łuską srebrzystą, a szyby okien migocą, niby tafle z blado-niebieskiego kryształu. A w cichej izdebce przędzie niewidzialna ręka świetlaną sieć, pełną uroków tajemniczych, dziwnie połyskują w półzmroku sprzęty, po podłodze wiją się arabeski drżące, na ścianie wykwita aureola mistyczna... A rozum ludzki chciałby całą tę mnogość niesłychaną zjaw zamknąć w marnem słowie: „światło księżyca!“ (nie wytrzymującem dziś nawet krytyki ze stanowiska nauki).

Otwórzmy na oścież wrota zmysłów i duszy, bądźmy echem świata, słuchajmy jak byt przez nas drga, a w rytmie tym największe znajdziemy objawienia. Czy to będzie świat harmonii Danta, Goethego, Norwida? czy też chaos Mauthnera? Ach, któż na to odpowiedzieć potrafi!... Śnijmy! „Nos songes valent mieulx que nos discours!“ Powiedział to już niegdyś Montaigne. Śnijmy w milczeniu! Może przyjdzie dzień, że fala siły w nas tak wzbierze, do takiej potęgi wzrośnie, tak zakipi, że jak fontanny gejzerów, strzelić będzie musiała ku niebiosom, a łkając i bełkocąc, poczniemy szukać wyrazu twórczego, starając się rytmem, gestem, barwą lub słowem wyrazić to, czego nikt z nas nigdy zupełnie wyrazić nie potrafi. A będziemy wówczas, jak owe drzewa śpiewające poszumem wichrów, o których nic nie wiedzą, jak owe morza łkające psalmy odpływów i przypływów, praw, których nigdy nie zgłębiły, jak owe góry jęczące hukiem lawin i grzmotami burz, szemrzące szeptem lasów jodłowych i srebrno-

szklaną muzyką wodospadów i ruczajów... Będziemy harfą świata!

Jeżeli z tem uczuciem staniemy u wielkiego morza sztuki, odsłonią się nam przedziwne jej głębie i fatalne mielizny. Rozpatrywanie całości sztuki z tego stanowiska byłoby bardzo owocnem i interesującem zadaniem, musiałbym jednakże zbytnio odbiedz od tematu. Nawet rozbiór krytyczny całości sztuki słowa: poezyi zawiódłby nas za daleko. Poprzestaniemy więc na liryce.

*

* *

Poezya liryczna, widziana ze stanowiska krytyki mowy, jest dwojakiego rodzaju.

Jedną możnaby nazwać „poezyą słowa.“ Adepci jej, jako zdolni ekwilibryści, posiadają zadziwiający talent żonglowania pięknemi a niejednokrotnie nawet rzadkiemi słowami, które zbierają z wielką skrzętnością. Umiejętność ich posługiwania się słowami wprawia częstokroć w podziw, a w oczach gawiedzi uchodzi za najwyższy objaw natchnienia, boć gawiedź nie zdaje sobie sprawy, że słowo ciągnie za sobą zupełnie machinalnie nowe słowa, asocyacya jedna — setki asocyacyj, że słowa te dadzą się łacno zlepić w obmyślany z góry utarty rytm, który taki „poeta“ palcami dla kontroli podczas „tworzenia“ na kolanie sobie wystukuje, że dadzą się upstrzyć tanią gipsaturą rymu, a treść najmarniejsza wyglądać może pod ową migotliwą powodzią fałszywych, wieloznacznych słów, kradzionych rytmów i tanich rymów na coś bardzo poważnego, głębokiego... Widzieliśmy nawet w ostatnich czasach spory zastęp specyalistów, umiejących zaciemniać nikłą treść swoich banalnych pomysłów do pseudo-symbolicznych głębi.

Poezya słowa posiada niezliczone zastępy przedstawicieli. Ale czyż można się dziwić temu? Kanony nasze twórczości poetyckiej zawierają detaliczne opisy budowy sonetów, ballad, rondów, możemy się z nich nauczyć klecić „majestatyczne“ oktawy, dumne tercyny, rozlewne heksametry, smętnie-naiwne trocheje — a u niejednego z niemieckich wierszokletów (nie wiem o ile na-

sza sztuka poetycka idzie pod tym względem za postępem) zdarzało mi się widzieć na biurku, jako niezbędny podręcznik i encyklopedyę natchnienia, że się tak wyrażę, dość grubą książeczkę, zawierającą w porządku alfabetycznym spisy najbardziej używanych rymów. Książeczka ta, jeżeli się nie mylę, wyszła w taniem wydaniu lipskiem Reclam'a. Dlaczegoż więc nie pisać wierszy, jeżeli się ma ambicye poetyckie? Wszystkie możliwe ułatwienia są pod ręką. Chodzi jedynie o źdźiebełko sensu, o byle jaką treść, którą od biedy pożyczyć albo ukraść można. Doprawdy; dziwić się jedynie trzeba, że wobec tylu ułatwień, tyle lichej, marnej, nieudolnej liryki wciąż się jeszcze pojawia!

Ze stanowiska krytyki mowy cały ten dział przedstawia się w innem jeszcze świetle. Słowo, o ile nie jest środkiem codziennego, koniecznego użytku, służebnikiem naszych niezbędnych potrzeb, jest martwą, niemal bezużyteczną lawą, świadczącą bardzo nieudolnie o istnieniu uczucia, które ją niegdyś zrodziło. W wierszach wielu poetów poznać to łatwo można po kompletnej martwocie, przy względnej nawet poprawności. Rytm ich nie drga życiem, rymy ich nie posiadają siły, słowa ich są dowolne, szare, jakby grubą warstwą kurzu pokryte. Czując własną bezbarwność i niemoc, sięgają ci szarlatani poezyi — w tem leży przedewszystkiem ich szkodliwość — po słowa jeszcze żywe, wibrujące jeszcze rytmem niedawnych narodzin, albo tak związane z życiem narodu, który je stworzył, że są jakby hasłami jego i talizmanami, — i obrzydzają nam te słowa.

Weźmy naprzykład takie słowa, jak: ugory, niwy, łany, ściernisko, skiby, chatynki, kruki, wrony, ruń, żniwo, smreki, turnie, modrzewie, wichry halne. Zamykają one w sobie coś z uroków krajobrazów naszych, dlatego każdy niemal Polak jest w stanie je odczuć, t. j. stworzyć na nowo. Nie brak ich prawie że w żadnym utworze dyletantyzmu polskiego. Nie śmieszne to już, ale wprost świętokradzkie, bo zabija w narodzie poczucie naturalnej piękności. A niechno jeden z wielkich, jeden z twórców stworzy jakie nowe słowo, natychmiast stanie się ono żerem bezmyślnych naśladowców, którzy w lat kilka, a częstokroć prędzej jeszcze, będą w stanie wyszargać i zbezcześcić je do tego stopnia, że człowieka uczciwego wstręt i obrzydzenie ogarną na samą myśl o użyciu takiego słowa.

Prawdziwy poeta potrafi i tym zbezczeszczonym słowom przywrócić dawną czystość. Weźmy dla przykładu wiersz następujący:

NOC.

Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała
W bezkształt senny, tu-ówdzie światłem zwypuklony.
Psów wycie rozpowiększa bezbrzeż wsi uśpionej,
I niby srebra stosy, płonie chmur nawała.

W tej i owej chat szybie lśni światełka gwiazda,
Czasem sylwetka głowy zamignie i zginie, —
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej głębinie
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.

Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów
Zlewa się w jakiś mocny i wystały trunek.
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, —
Skąd, od kogo? — sam nie wiem! Może z po za światów...

A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem
Księżyc pała, chmur srebrne zwisają odlewy,
Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)
Anioł błękitnooki i złocistobrewy,
Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciedle księżyca
Przegląda swe o Bogu zadumane lica

Mamy w tym pięknym nokturnie Bolesława Leśmiana, i to na pierwszym planie, wieś i psów wycie, i chaty ze światełkami w szybach, i wonne sady, i zapach ziemi wilgotnej — a jednak, jak każde z nich pod urokiem twórczej fantazyi prawdziwego poety znów odżywa, jak wszystkie łączą się w rytm i wizyę piękną i oryginalną, pełną przedziwnych treści.

I oto dotknęliśmy drugiej dziedziny poezyi lirycznej, którą ze stanowiska krytyki mowy należałoby nazwać „poezyą milczenia.“ Rodzi się ona bowiem w przepastnych głębiach milczenia śród wirowań sił i potęg niewysłowionych, pod naciskiem wulkanicznym konieczności niepojętych, jako dziecko najwyższej rozkoszy bytu. Poezya ta posługuje się jedynie słowami przez siebie stworzonemi, t. j. w twórczej ekstazie odczutemi, słowami, które są zamglonemi zwierciadłami czegoś poza niemi rzeczywiście istniejącego, ale niedającego się nigdy ująć całkowicie. Stąd wieczna tęsknota mistrzów, pomimo dzieł znakomicie nawet udanych.

*

* *

Jakaż szkoda niepowetowana dla naszej młodości, że nie dano nam pić zawczasu u źródeł tych przeczystych! Dlaczegoż nie wołano nas nigdy w wieczory sobotnie w rozmodloną ciszę gajów, na wzgórza, otoczone białą rzeszą brzóz, między festony kwitnących głogów? Na wzgórza, skąd można było objąć całą szkarłatno-złotą ekstazę zorzy wieczornej i szlaki obłoków przedziwnych i mnogich, i dalekie wołania dzwonów nieszpornych, i pieśni powracających z pól robotników, i kupiące się plamy stad, i falowanie srebrno-zielonych łanów, i pierwsze blade smugi mgieł na oddalonych łąkach... Dlaczego w szafirowe noce letnie, pełne zapachu lip, uroków księżyca i mrugań gwiezdnych, nie kazano nam zbierać się w parku starym u ocembrowania jakiejś omszałej studni, u wrót jakiejś zacisznej, bladej świątyni dumań lub nad brzegiem jakiegoś stawu lśniącego?

To były chwile, jakby do objawień stworzone. Gdyby ktoś był głosem przejętym, wibrującym szczerem uczuciem, czytał nam wówczas z ksiąg czarodziejskich poezyi, bylibyśmy go pojęli, bylibyśmy zawczasu odczuli urok uświęcającej życie ekstazy. Dlaczegoż nikt nam nigdy o tem nie mówił, kiedy serca nasze były pełne tęsknot niepojętych i ciemnych niepokojów? Dawaliście nam natomiast sporo mądrych rad i przestróg, suchych jak liście zeszłoroczne, wtajemniczaliście nas w małostkowość waszej codziennej nędzy życiowej, w kodeksa waszych konwenansów! Tęsknotom naszym, naszym tęsknotom niepojętym nakładano okowy obowiązkowości, a niepokoje nasze były tematem do żartów! Nikt nam nie dał pić u źródeł życia!

Ach, widziałem ci ja dość młodzieńców napół pijanych, z żarzącym się wzrokiem Korybantów, wsłuchanych w rytm jakiegoś szalonego walca, wspartych skroniami płonącemi o obnażone ramiona kobiet. Z oczu ich buchały płomienie dzikich pragnień, usta ich rozchylone zdawały się krzyczeć jakieś niebywałe: Evoe! a ciała ich wstrząsały dreszcze jakichś bezpamiętnych rozkoszy. Takie to „oswobodzenia“ święci młodzież, pijąc z kielichów, na których dnie czyha gorycz, rozczarowanie, przesyt lub kał. O ileż inaczej, lepiej byłaby przygotowana na drogę zawiłą życia, gdyby jej danem było poznać zawczasu rozkosze i ekstazy wszechpotężne sztuki, które się pije okiem, uchem, wszystkiemi porami, wszystkiemi zmysłowemi i nadzmysłowemi władzami ciała i duszy! Mamy towarzystwa literackie, artystyczne, mamy zastępy „miłośników sztuki;“ czyżby rzeczywiście nikt nie zechciał podjąć się tego wdzięcznego zadania, aby młodzieży dojrzewającej,

pełnej tęsknot niepojętych i ciemnych niepokojów, otworzyć czyste krynice piękna?

Grecy mieli swoich specyalnych lektorów, umiejących tłómaczyć i deklamować godnie wielkich poetów, kultura japońska uwzględnia w bardzo szerokiej mierze wpływ sztuki w połączeniu z wpływem natury na kształcenie dusz i charakterów. Czyż nie dałoby się czegoś podobnego u nas stworzyć? Czyż nie podobnaby uskutecznić, aby choć część naszej dorastającej młodzieży miała możność, choć raz w życiu, w otoczeniu i nastroju odpowiednim, słyszeć tych, którzy są chlubą narodu, kapłanami jego nabożeństw, piewcami jego snów, [magami jego tęsknot, heroldami jego nadziei? Z książek bowiem dopiero dojrzalsze umysły są wstanie czerpać ekstazy czyste. Młodzieży potrzeba żywego, wibrującego niekłamanym zachwytem słowa, młodzieży potrzeba zmysłowych wrażeń, świątecznego nastroju i czystych uroków natury! A może i nietylko młodzieży... O ileż życie byłoby piękniejsze, gdyby je można było już w okresie pierwszych rozkwitów do takich ekstaz, do takich wybuchów szczęścia bytu skondensować.

Najbardziej nadawałaby się do tego „poezya milczenia," odtworzona przez prawdziwych twórców w otoczeniu i nastroju godnym tak wielkiego zadania. Ale przedewszystkiem należałoby opasać się murem, niedostępnym dla szwargotu świata, który wszystkiemi szczelinami stara się wtargnąć w czyste krainy sztuki.

*

* *

Krytyce mowy zawdzięczamy nowy i skuteczny oręż w walce ze sztuką fałszywą. W rękach prawej krytyki oręż ten oddać może cenne usługi, chociaż łudzić się co do tego nie podobna, aby zdołał uwolnić nas zupełnie od owej powodzi miernoty, która, niestety, dopóki próżność żyć będzie w sercach ludzkich, nie da się wyplenić. Wszystko, co cenne, subtelne i wielkie, jest zawsze rzadkie. Niechaj więc krytyka mowy będzie przynajmniej jednym

kolczatym płotem więcej, strzegącym ogrody piękna od bezczelnych natrętów.

Ze stanowiska tej krytyki mowy liryka dzisiejsza w Niemczech naprzykład, pomimo, że jest jedną z najpłodniejszych na świecie, nie może być nazwana bogatą. Nigdzie nie pojawia się może więcej utworów lirycznych — utworów, które możnaby nazwać w najlepszym razie automatycznie tworzącemi się na powierzchni mowy mętnemi bańkami. Nie wzbogacają one skarbów piękna ani o włos, nie są też wynikiem jakiejś konieczności twórczej. Bóg wie poco i dlaczego powstają. Krytyka profesyonalna zadaje sobie trud segregowania ich wedle szkół, prądów, tematów, maniery pisania, miejsca urodzenia autora lub jego dyalektycznych osobliwości i rada jest (jak np. Hans Benzmann w swojej „Moderne deutsche Lyrik“ albo Hans Bethge w swojej „Deutsche Lyrik seit Liliencron“), nie mając większości zbyt wiele pod względem formalnym do zarzucenia, jeżeli się jako tako z tym olbrzymim materyałem upora. Bo i krytyka profesyonalna stoi pod urokiem słowa, bo i ona nie przestała jeszcze wątpić w doniosłość słowa. Dopiero, gdy przestaniemy utwory formalnie i językowo nawet poprawne, ale bez owej głębi, która sięga w przepaści milczenia i poza słowami istnieje, nazywać poezyą, będziemy na drodze do wyzwolenia. Wtedy i krytyka literacka, poznawszy nareszcie, że znajomość gramatyki i poetyki nie jest wystarczającym warunkiem zostania poetą, będzie musiała dokładnie i rzeczowo określić to, co umysły twórcze bardziej aforystycznie, ale z naciskiem znacznie wcześniej już nazwały „literaturą.“ „Literaturę“ tę będziemy musieli usunąć z naszych literatur, zdając ją w zupełności na łaskę bibliografii lub bibliomanii. Krytyka, którąby tę augiaszową robotę była w stanie wypełnić i stale nadal wypełniać, ułatwiłaby sobie znacznie swe zadanie główne, swą pracę pozytywną: poznawania, badania i rozpowszechniania rzeczywistych piękności, zawartych w prawdziwych dziełach sztuki!

* * *

Stworzenie krytyki literackiej, opierającej się na wynikach badań krytycznych mowy, będzie zadaniem—krytyka przyszłości. Krytyka ta dziś istnieje zaledwie w zaczątkach, dlatego każdy kto pragnąłby iść jej ścieżkami, musi sobie sam ścieżki te dopiero mozolnie torować.

Dotychczasowe systemy krytyki literackiej, badające literaturę głównie ze stanowiska historycznego, zwracały prawie wyłączną uwagę na tak zwane prądy, szkoły, kierunki literackie. Podział ten, dość zresztą dowolny, w znacznej mierze ułatwiał oryentowanie się śród mnogości faktów i postaci, wykazując jednakże zawsze swą kompletną bezradność, jeżeli chodziło o stosowanie go do charakterystyki genialnych umysłów twórczych. W rzeczywistości wszystkie długoletnie spory, dotyczące romantyzmów, dekadentyzmów, symbolizmów, naturalizmów i t. p. izmów są akademickimi sporami, mającymi jedynie doniosłość dla mózgów krytyków i komentatorów. Poezya nigdy o martwe szematy te nie dbała, a prawy poeta tworzył nie jako romantyk, klasyk, dekadent, symbolista, ale jako temperament rzucony w otchłań milczenia. W tem znaczeniu mówiliśmy i mówimy: „le style c'est l'homme!“ Stosowanie zaś owych izmów à posteriori przez krytykę nie jest odkryciem jakichś praw lub uświadomień (jakby może niejeden wielbiciel „porządku“ w literaturze zapewniał), ale powierzchowną systematyzacyą, stworzoną dowolnie dla lepszego zoryentowania się w chaosie faktów,—coś w rodzaju systematów filozoficznych, według których ani żyć, ani zagadki życia rozwiązać niepodobna.

W otchłani milczenia otrzymuje poeta ów dar nieznanych mocy, który zowiemy natchnieniem. Co to jest natchnienie, tego nikt nie potrafił i prawdopodobnie nie potrafi nigdy objaśnić. Czujemy je jakby jakiś kurcz lub spazm ekstatyczny, który jak kamień rzucony w wodę, budzi coraz to nowe, coraz szersze kręgi, obejmujące w końcu całą przestrzeń naszej skali odczuwania i pojmowania świata. Im większa ta skala, im silniej potrafimy czuć „za miliony,“ tem potężniejsza nasza wizya. W chwili jej powstawania budzi się rozkosz i rytm. Dzieckiem ich jest słowo. Ale wszystko—rytm, i plan, i harmonia dzieła było już w owym spazmie ekstatycznym, a cała akcya tworzenia jest jedynie przypominaniem sobie treści tego spazmu, który może był tylko momentem, a wieczność zawierał. Całe życie ludzkie niejednokrotnie ledwo wystarczy na uświadomienie treści jednego spazmu natchnienia (jak np. wieloletnia praca Goethego nad „Faustem“ nas

uczy). Od temperamentu poety zależyć będzie, w jaki sposób potrafi wcielić wizyę swoją. Wobec niezliczonej mnogości temperamentów i skal poznania niezliczone mogą być formy odpowiedzi, niezliczone falowania i wcielania.

Zadaniem przyszłej krytyki literackiej byłoby bardziej intuitywne rozpatrywanie tych wcielań i szkicowanie, na zasadzie badań krytycznych mowy, zarysów złotej drabiny hierarchii duchów.

Jan Kaczkowski.

ROZMAITOŚCI.

O polskich kalendarzykach politycznych.

Nie jest to grzechem lubić książki dla nich samych, nietylko dla ich treści. Obcując często z bibliotekami, chodząc po księgarniach i antykwaryatach, ma się to wrażenie ogarniające, którego się doznaje naprzykład w lesie. Nie zajmując się ani botaniką, ani wartością drzewa, czujesz, oprócz przyjemności fizycznej, zaciekawienie umysłowe do odmian liści, do układu odgałęzień i do użyteczności różnych płodów leśnych. Tak samo miłośnik książek przegląda gęsto zastawione półki. Wita książki znajome, przegląda nieznane, lubuje się w ozdobie druku, papieru i oprawy, a choć przy tem zajęciu nie zgłębia treści, dodaje do swych wiadomości dużo pożytecznych szczegółów formalnych. A tymczasem nie pracuje, lecz marzy trochę o idealnych spisach, o kompletach i o posiadaniu osobistem dzieł najpiękniejszych i najrzadszych. Ten jest urok bibliomanii.

Dziwna jednak, że w kraju tak niegdyś kulturalnym, jak Polska, miłośnictwo książek mało było rozpowszechnione. Nazwiska gorliwych zbieraczów bibliotek, jak Załuskich, Ossolińskich, Tadeusza Czackiego, Świdzińskiego, Emeryka Czapskiego, lub niezmordowanych bibliografów, jak Bandtke, Bentkowski, Jocher, Estreicher, Finkiel, nie obalają bynajmniej mego twierdzenia, że niezbyt u nas, w porównaniu z Zachodem, szanowano i lubiono książkę. Dość porównać jaką bibliotekę na wsi u nas i we Francyi, albo przejrzeć antykwaryaty polskie i zagraniczne, aby się przekonać o stanie stosunkowo opłakanym naszych starych i cennych druków. Karty pokryte często grubiej pyłem niż farbą drukarską, oprawy stare w strzępach, a nowe, które tylko nazwać

można obłożeniem książki czemś brudnem, co trzeba odrzucić. Nawet nasi zbieracze książek nie umieli do niedawna uczynić wyboru między dobrą oprawą, a złą, między welinem a bibułą, nie odróżniali jednem słowem fizyognomii książki uczciwej od haniebnej. Upadek gustu i znawstwa pod tym pozornie drobnym względem, nie jest bez znaczenia: przypada też na okres najgłębszego uśpienia kultury polskiej, na drugą połowę 19 wieku. A przecież w 16 wieku drukowaliśmy w Krakowie niegorzej niż w Niemczech. Za Stanisława Augusta mieliśmy w Warszawie równie dobrych introligatorów jak miano ich np. w Berlinie, chociaż naśladowaliśmy tylko słabo, jak cała zresztą Europa, arcydzieła tego kunsztu francuskie.

Ale nie dzieje drukarstwa i wydawnictwa polskiego piszę w tej rozprawce; porzucam więc utyskiwania, aby zaznaczyć owszem duże ożywienie, które od lat kilkunastu zauważyć można w naszem księgarstwie, równie jak w znawstwie i miłośnictwie książek. Urodziło się (bo tem urodzić się trzeba) kilkunastu gorliwych zbieraczów, dążących do skompletowania pewnego rodzaju piśmiennictwa lub pewnej epoki. Nie posiadając, przy miłośnictwie, Krezusowych środków, jest to jedyny sposób dojścia do biblioteki własnej, mającej szerszą użyteczność, a nie będącej ułamkową kopią zbiorów publicznych i dostępnych.

Jednym z działów piśmiennictwa, tak drobnym, że aż w przysłowiach wyszydzonym, są kalendarze. A jednak do zbierania tego działu rzuciło się ze skwapliwością wielu miłośników, nie mówiąc już o tem, że wielkie biblioteki z honorami traktują i skrzętnie dopełniają swe szeregi kalendarzowe.

I mają słuszność wielcy panowie bibliotekarze, zarówno jak mniejsi poszukiwacze tych drobnych książeczek. Kalendarz bowiem nie był dawniej tem, do czego doszedł dzisiaj: zbiorem kartek do zdzierania na każdy dzień roku. Niegdyś, gdy książek było mniej, a dzienniki, rzec można, nie istniały, kalendarz zastępował dziennik w dziale popularyzacyi nauki, literatury i pożytecznych wiadomości; mieścił w sobie materyał statystyczny, którego darmoby szukać w innych spółczesnych drukach; starał się być poradnikiem uniwersalnym dla wszystkich stanów, a zatem podawał i spisy imienne dla polityków i mody dla dam, i taryfę ceł dla kupców, i rozkład poczty dla wszystkich stanów i mnóstwo innych powiadomień. A chcąc zarazem być nabywcom swoim przyjemnym, stroił się w ryciny, wychodził często na welinie z pozłotą brzegów i w oprawach tak zwanych „oryginalnych,“ czyli obmyślanych i zamawianych w znacznej liczbie przez

wydawcę. Jednocześnie do treści swej statystyczno-informacyjnej dodawał dla ozdoby wiersze, powiastki i anegdoty. I nie były to zawsze osławione „koncepty z kalendarza.“ Trzeba przypomnieć, że Benjamin Franklin, chcąc popularyzować zasady etyczne, ucieka się do wydania kalendarza. Goethe brał udział w wydawnictwie paru kalendarzyków i niektóre jego utwory ukazały się w druku po raz pierwszy podporządkowane naprzykład pod skromny tytuł zbiorowy: „Taschenbuch für Damen,“ czyli w pospolitym Tubingeńskim kalendarzyku. Fryderyk Schiller sam wydawał kalendarz literacki (Musenalmanach, Tübingen 1796—1880), a inni, jak Wieland, Schlegel, Tieck, Jean Paul zdają się ubiegać o to, aby dawać swe utwory do najpopularniejszych almanachów.

Nasza literatura piękna, nasza poezya, nie tkwi tak głęboko w kalendarzach, jak niemiecka. Wprawdzie Krasicki, książę biskup Warmiński i „książę poetów,“ napisał raz „Kalendarz obywatelski,“ który w roku 1794 drukowany był w *trzech* odmiennych wydaniach,[1]) ale nie jest to właściwy Kalendarz, ani Almanach—raczej popularny zbiorek wspomnień historycznych, porządkiem rocznic ułożony. Również „Jutrzenka“ (w Warszawie 1824 i 1825) zawiera poezye Mickiewicza, Bohdana Zaleskiego, Odyńca i zarazem nuty do śpiewu, jak „Musenalmanachy“ niemieckie, a jeszcze bardziej zbliża się do tego typu „Jutrzenka“ wydana w Warszawie r. 1834 przez Kazimierza Brodzińskiego. Ale są to tylko wypadki sporadyczne w naszem piśmiennictwie. Nasz kalendarz ciekawy, później stale „kalendarzykiem“ nazywany, jest przeważnie *polityczny*. Równie ten tytuł zupełnie swojski i nie naśladowany, jak fizyognomia wydawnictwa ma swe rysy bardzo odrębne, o których dzisiaj chcę pomówić.

Pomijam prastarą seryę kalendarzy właściwych, oraz wielkich, przeważnie w czwórce drukowanych „Kalendarzy polskich i ruskich“ dokładnie na horyzont Krakowski, Lwowski, Poznański, Zamoyski, Berdyczowski, Supraślski i innych miast koronnych i litewskich wyrachowany przez sławnych profesorów i „jastrologów“ różnych „akademii,“ jak ów barbarzyńsko prostacki

1) a) Kalendarz obywatelski przez X. B. W., w Warszawie 1794, nakł. i drukiem Mich. Gröllа, mała 8-ka, str. 64. b) To samo we Lwowie, w drukarni C. K. G. Typografa, mała 8-ka, str. 64. c) Calendrier historique de la Cour de Pologne pour l'année 1794 Calendrier civique... par M-r l'Evêque de Varmie—Varsovie, P. Dufour 1794, 12-o.

i o całe wieki w kulturze zapóźniony, a widać bardzo wzięty swego czasu kalendarz wydawany przez Stanisława z Łazów Duńczewskiego, „w akademii Zamoyskiej obojga prawa doktora, matematyki professora i Jaśnie oświeconego Trybunału Koronnego geometrę przysięgłego.“ Zacytowałem najpodlejszą seryę, z najobskurniejszej też pochodzącą „akademii;“ ale nie chciałbym, aby czytelnik zrozumiał, że rodzaj kalendarzy właściwych, astronomicznych i gospodarskich, skazuję na spalenie. Bynajmniej. W bardzo licznym ich szeregu są i nader ciekawe, naprzykład najstarsze, przed rokiem 1500 drukowane w Krakowie, między którymi znajduje się zapewne pierwszy druk w Polsce po polsku wytłoczony. Wogóle rodzaj ten im starszy, tem typograficznie ciekawszy (znowu nie kalendarze Zamoyskie, które i pod tym względem pozostają na szarym końcu, na dystansie druków Częstochowskich). A także wydawnictwa te astronomiczno-gospodarskie, których tytuł od początku XVIII wieku rozpoczynają zwykle wyrazy: „Kalendarz polski i ruski“ w swej nieprzejrzanej powodzi są w inny sposób wymowne. Najprzód zawierają mnóstwo materyału dla badacza dziejów naszego rolnictwa i ekonomii; powtóre — czasem dodatki treści literacko-historycznej; wreszcie świadczą, przez swe ogromne rozpowszechnienie, o potrzebach, gustach i sposobie życia klasy ziemiańskiej, dla której głównie były drukowane. Niepodobna zresztą przeprowadzić ścisłej granicy między tym gatunkiem kalendarza, a innym, ciekawszym pod względem historycznym i literackim. Można zauważyć, że wszystkie gospodarskie są wielkie i mają pozór archaiczny nawet przy końcu XVIII i w początkach XIX wieku, a wszystkie „polityczne“ są małe i staranniej wydane. Ale i w tem bardzo powierzchownem rozgatunkowaniu naliczyć łatwo wiele wyjątków.

Pierwszy pomysł „kalendarza politycznego“ wyszedł od Jezuitów około r. 1735. Są wprawdzie dużo starsze kalendarze Gdańskie, bardzo ozdobnie drukowane i z wielu dodatkami treści historycznej i literackiej, ale te nie posłużyły za wzór polskiemu kalendarzykowi politycznemu, którego typ ustalił się w pierwszej połowie XVIII wieku. Dla pierwszych kalendarzy jezuickich raczej by można poszukiwać ojcowstwa w spisach imiennych osób składających zakon, z dodaniem historyi dawnych świątobliwych osób do zakonu należących oraz „benefaktorów“ to jest ludzi świeckich, którzy darami zakon wspomagali. Tak też ułożony jest „Kalendarz Jezuicki większy przez ks. Jana Poszakowskiego“ drukowany w Wilnie, u Jezuitów 1740. Zachowując format podówczas ordynaryjny, czwórkę, kalendarz ten, po dedykacyi jak

należy, Radziwiłłom, podaje najprzód na wszystkie dni roku pamiątki zasług różnych dawnych Jezuitów; drukuje następnie, już ciekawszy „Catalogus“ wszystkich obecnych członków zakonu, a następnie jeszcze ciekawszy spis dobrodziejów. Ale autor, ks. Jan Poszakowski czuje, że taki kalendarz przez szerszą publiczność, a tem bardziej przez zwolenników naprzykład... Benedyktynów, nie będzie z dostatecznym zapałem przyjęty, wydaje więc w tym samym roku 1740 „Kalendarz Jezuicki mniejszy“ w 12-ce, pełen także chwały zakonu S. J. ale zawierający już i „Seriem Senatu,“ dygnitarzy i urzędników koronnych i litewskich.

Ten ksiądz Jan Poszakowski, wielki skądinąd pogromca Dyssydentów, miał też powołanie do kalendarzy, bo wydaje ich znaczną ilość w Wilnie od roku 1737, jak „Kalendarz historyczny i polityczny,“ wspomniane wyżej „Kalendarze Jezuickie,“ „Kalendarz prześwietnych dam.“ W r. 1742 przenosi się do Warszawy i wydaje tam serye p. t. „Kalendarz Rzymski,“ „Kolenda Papieska.“ W r. 1746 rozpoczyna znowu w Wilnie wydawnictwo kalendarza i „Kolendy Cesarskiej.“ Małych tych tomików w części zwanej „historyczną“ nie warto prawie przeglądać, gdyż zawierają np. „komput lat od stworzenia świata,“ dopiero w dodatkach, w spisach senatorów, urzędników, kawalerów orderowych podają pożyteczny materyał historyczny.

Jednocześnie w innych miastach polskich, w Poznaniu (1738), w Lublinie (1740), w Kaliszu (1742), we Lwowie (1753) rozpoczynają Jezuici wydawanie kalendarzy politycznych, których program, coraz bardziej świecki i aktualny, ciągle czyni postępy w kierunku użyteczności publicznej. Kraków rozpoczyna (o ile wiem) swą seryę kalendarzową „polityczną“ nieco później, w r. 1754 w drukarni seminaryum biskupiego.

Upłynęło lat kilkanaście, zanim Pijarzy, a z górą ćwierć wieku zanim wydawcy świeccy spostrzegli, że wydawanie kalendarzyków jest zajęciem ze wszech miar pożytecznem. Pijarzy rozpoczynają swą seryę w r. 1753 w Warszawie p. t. „Kolenda Warszawska,“ która (następnie p. t. „Kalendarzyk polityczny“) przetrwała aż do r. 1821. Ale działają dalej i Jezuici w obu stolicach i po innych miastach na polu kalendarzowem, a od wstąpienia na tron Stanisława Augusta rzucają się do kalendarzy wszyscy naraz wydawcy stołeczni i prowincyonalni, świeccy i duchowni, z czego wypływa cały odłam literatury, którego niepodobna mi objąć w tej rozprawce. Chciałbym jednak czytelnika, który się błąka w tej dziedzinie, lub niedocenia wartości drobnych tych książeczek, nieco pokierować i do nich zachęcić.

Na Warszawę przypada najmniej połowa całości wydawnictw polskich z rodzaju, o którym mówię, jeżeli policzyć nie tytuły, ale roczniki. Jako współzawodnik z drukarnią Jezuicką i Pijarską występuje tu wydawca równie potężny, jak zabiegliwy i umiejętny — Michał Gröll. Rozpoczyna on, mniej więcej od r. 1765, najprzód po francusku i po niemiecku, następnie (od r. 1770) po polsku całą, rzec można, gamę kalendarzową, obliczoną na rozmaite potrzeby, gusta i kieszenie.

Gdybym zaczął wyliczać, nadużyłbym cierpliwości czytelników „Biblioteki Warszawskiej," nieprzyzwyczajonych, aby im prawiono o kalendarzach. Ale chciałbym pokazać, jak taka książeczka w najlepszym gatunku wyglądała i biorę dla przykładu rocznik doskonałego kalendarza z drukarni Gröllowskiej, zwanego „Kalendarzem politycznym dla Królestwa Polskiego i W. ks. Litewskiego." Wychodził on w formacie małej 16-ki od r. 1776 do 1794 i zawierał wszystko, czego się po kalendarzyku politycznym spodziewać można, oprócz niespodzianek. Więc kalendarz właściwy, z wiadomościami astronomicznemi potrzebnemi, bez „prognostyku," który wciąż jeszcze dodawano do kalendarzy gospodarskich. Następuje „Stan państw europejskich" czyli genealogia rodzin panujących, naśladowana z kalendarzy Gotajskich. Ale dalszy układ kalendarza jest już zupełnie krajowy i wybornie do miejscowych potrzeb zastosowany: spis senatu, urzędników, dygnitarzy i kawalerów orderowych—skład wszystkich kapituł—zupełna lista urzędników ziemskich i grodzkich całej Rpltej—Wojsko—Sądy—Dwór królewski — Urzędnicy i subalterni wszystkich komisyj i deputacyj—Magistrat m. Warszawy — Rozkład poczt i urzędy pocztowe. Nie dość na tem. Następuje Obraz historyczno-polityczny roku ubiegłego, wcale dobrze zredagowana kronika i różne artykuliki aktualne, jak np. „Uwagi nad błędami, z skutku których Francya ucierpiała" albo „o kuli aerostatycznej" (o balonach). „O handlu i rękodziełach m. Wiednia." Nadto w każdym prawie roczniku znaleźć można większy lub mniejszy katalog księgarski Gröllа, a że te cenne dzisiaj dodatki do różnych książek, widocznie odrzucano i gubiono, przezorny wydawca włącza je do tekstu kalendarzyka, i obejmuje paginacyą ogólną. Kończy zaś, schlebiając modzie, rubrykami na każdy miesiąc do zapisywania wyników gry hazardowej.

Szkielet tego wydawnictwa pozostaje ten sam przez lat prawie 20, ale materyał statystyczny zmienia się oczywiście w każdym roczniku i wydoskonala.

Dałem wyobrażenie o jednym tylko rodzaju kalendarzyków Gröllowskich. Ale ten sam Michał Gröll wydawał równolegle inne kalendarze, nie zapominając o potrzebach i gustach innych klientów znakomitej swej i uniwersalnej księgarni. Więc i wielki „Kalendarz gospodarski“ i maleńki „kieszonkowy dla dam“ i w obcych językach roczniki, jak np. ładnie wydane, a dzisiaj nadzwyczaj rzadkie „Etrennes mignonnes pour l'année 1765,“ z portretem Stanisława Augusta lub „Calendrier historique, géographique, civil et militaire ...pour l'année 1779 à l'usage des Nationaux et des Etrangers.“ Ten ostatni naprzykład nie jest bynajmniej francuskiem tłómaczeniem „Kalendarza politycznego.“ Zawiera dużo treści z tamtym wspólnej, ale dużo i odrzucono, a natomiast dodano opis Królestwa Polskiego i W. księstwa Litewskiego, widocznie przeznaczony dla cudzoziemców, i rzeczy wcale niespodziewane, a ciekawe, jak „Société des Curieux de la Nature, de Dantzig“ z listą imienną członków tego stowarzyszenia, albo krótki życiorys Daniela Chodowieckiego. Ten kalendarzyk, starannie drukowany na dobrym papierze, zapewne droższy od zwyczajnych, musiał się rozejść w niewielkiej liczbie. Znam tylko jeden egzemplarz, mój własny, oprawny w skórę ze złoconemi girlandami i herbami króla, zapewne niegdyś podręczny Stanisława Augusta. Oprawa sama, niewątpliwie warszawska, świadczy o nieznanej nam dzisiaj doskonałości kunsztu introligatorskiego w XVIII-ym wieku.

Gdy zobaczymy, że z wydawnictwami Michała Gröllа współzawodniczyli w samej Warszawie: Mitzler, Poser, Piotr Zawadzki, Dufour, drukarnia Jezuicka, Pijarska, Nadworna i inne; gdy dodamy, że jednocześnie drukowano kalendarzyki, przeznaczone, przez swój program, także dla całej Rzeczypospolitej: w Krakowie, w Wilnie, w Lublinie, we Lwowie, w Poznaniu, w Kaliszu, w Łowiczu, w Berdyczowie, w Grodnie, w Mohilewie, w Połocku, a w tychże i wielu innych miejscach jeszcze różne kalendarze gospodarskie, wkraczające niekiedy w dziedzinę historyi i literatury — będziemy mieli to wrażenie lasu, o którem mówiłem na wstępie.

Ta moc wielka ciekawych tomików nie jest dotychczas ani dostatecznie zebrana, ani spisana. Tytaniczne przedsięwzięcie profesora Estreichera spisania wszystkich druków polskich do r. 1900, spełnione już, rzec można, i należycie uwieńczone, musi jednak, jako dzieło, obejmujące ogrom i „editio princeps,“ zawierać różne luki i niedokładności. Monografie bibliograficzne powinny te luki zapełnić i specyalności opisać dokładniej. O taki spis bibliogra-

ficzny proszą się kalendarzyki polityczne i kalendarze polskie wogóle.

Pomimo dość długiego opisu paru kalendarzyków Gröllowskich, nie przekonałem może obojętnego czytelnika co do wartości dokumentarnej tych zabytków. Chciałbym więc tę wartość bliżej objaśnić, a w tym celu pozwolę sobie jeszcze na krótką wycieczkę w dziedzinę kalendarzową obcą.

Nie bez kozery wspomniał Gröll w swym francuskim kalendarzyku o Chodowieckim. Chciałby go mieć zapewne bliżej, ale i tak dziwne, że nie zamówił nigdy u owego kalendarzowego bożka rycin do swych wydawnictw warszawskich.

Daniel Chodowiecki mieszkał wprawdzie w Berlinie, ale dawał ryciny i do kalendarzy Gotajskich, Goettingeńskich, Lipskich, Lauenburskich, a nawet do wydawnictw w Królewcu i w Rydze. Można powiedzieć, że wydawca niemiecki dzieł obrazkowych, który się szanował, nie mógł się obejść bez Chodowieckiego w ostatniej ćwierci XVIII wieku. A niezmiernie płodny, pomysłowy i cierpliwy artysta, dawał na wszystkie strony swe ryciny oryginalne, pozwalał je odbijać aż prawie do wygładzenia blachy, ba, nawet kopiować przez różnych, jak Berger, Jury, Geyser, Endner, Henne i inni, którzy z niewolniczego naśladownictwa rysunków i sztychów Chodowieckiego uczynili sobie powołanie i rzemiosło. Artysta ten, zupełny Niemiec z usposobienia i tradycyi, chociaż się do polskiego pochodzenia przyznawał, odtwarzał rylcem życie niemieckie, historyę i literaturę niemiecką, kochał szczerze swych Fryderyków, którym nawet dodawał epitety pieszczotliwe, jak np. Fryderykowi II: „der Einzige“ — „Jedyny“! A jeżeli ilustrował i historyę polską w znanych kalendarzykach Unger'a 1796 i 1797 roku, albo narysował kilkanaście typów polskich, to tylko, rzec można, przez wzgląd na końcówkę swego nazwiska. Zresztą, w rok później (1798), ozdabia seryą rycin apoteozę Katarzyny II w roczniku berlińskim tegoż Unger'a...

Bądź co bądź Chodowiecki zapanował tak dalece w dziedzinie kalendarzy niemieckich, że nadał im charakter osobny, który przetrwał jeszcze kilkanaście lat po jego śmierci.

Modę ozdabiania kalendarza *dwunastu* rycinami, po jednej na każdy miesiąc („Monatskupfer“), zapożyczoną z Francyi, uprawiano już w Niemczech przed wystąpieniem Chodowieckiego. Naśladowano te rycinki romansowo-rozwiązłe, których wielkimi mistrzami we Francyi byli: Cochin, Eisen, Moreau i Mariller. Almanachy francuskie od najdawniejszych aż do późnych z XIX wieku zajmują się stale fraszką, skotopaską i miłostką (sujets galants)

z domieszką pamfletu i karykatury. Ten rodzaj zaczęto naśladować po miastach niemieckich, i to nawet z niejakiem powodzeniem (pt. najstarsze kalendarze Gotajskie i Lauenburskie), gdy zjawił się Daniel Chodowiecki, około r. 1770 i stanowczo przerysował swym misternym rylcem całe „kalendarstwo“ niemieckie aż do r. 1803 przynajmniej. Na miejsce, gdzie między drobnemi kartkami kalendarza szukano dotąd rozpiętych staników i pieprznych wierszy, wprowadza Chodowiecki swe miniaturowe ilustracye do arcydzieł, jak dramaty Szekspira, Don Kiszot, Gil Blas, Wesele Figara i do pół-arcydzieł lokalnych Lessinga, Gellerta, Gessnera, Ifflanda. Daje też serye, według mnie, najcenniejsze, ze swej własnej obserwacyi typów i zwyczajów współczesnych, jak: „Natura i obłuda,“ „Układanie małżeństw,“ „Centifolium stultorum,“ „Życie birbanta,“ „Occupations des dames,“ „Niedorzeczności mody,“ „Różne amatorstwa.“ Wreszcie, i głównie w późniejszym okresie swej twórczości, zajmuje się historyą, nie porzucając innych rodzajów, gdyż jednocześnie paru seryami rycin oddaje hołd wschodzącym gwiazdom Schillera i Goethego.

Kompozycye historyczne Chodowieckiego należą, mojem zdaniem, do najgorszych, chociaż poszukują ich skrzętnie niektórzy przez miłość własną narodową: Amerykanie rycin do wojny oswobodzenia Stanów Zjednoczonych, Polacy — historyi polskiej, Rosyanie — historyi Katarzyny II i Suworowa. Historyi brandenburgsko-pruskiej, w której długo grzązł i babrał się Chodowiecki, mdło poszukują nawet Prusacy; im samym może obrzydła? Te serye historyczne ciekawsze są jeszcze, gdy artysta zajmuje się historyą współczesną, przyczem, przez niesłychaną pewność ręki, umie utrzymać podobieństwo portretowe w drobnych, jak ziarnko prosa, główkach. Ale gdy się przerzuca do dziejów zamierzchłych, jak nasze Piastowskie, lub historya krucyat, bywa i dość nudny.

Gdy tak rozchwytywano arcydziełka Chodowieckiego do kalendarzy niemieckich, same te kalendarze musiały się dostroić swą treścią do ducha, który ożywiał sławnego ilustratora. Wypływało to stąd, że wydawca i rytownik i nabywca z publiczności byli synami jednej ziemi i ludźmi jednych upodobań. Do rycin Chodowieckiego dołączano najprzód długie objaśnienia albo streszczenia dzieł większych, przez daną seryę ilustrowanych. Wyrugowano następnie z kalendarzyków wszelkie koncepty w guście francuskim, dodano tylko rycinki, często śliczne, z modami ubiorów współczesnych (niektóre także roboty Chodowieckiego). Wreszcie napełniono tomik wierszami, nutami, widokami, portretami—

i kalendarz niemiecki stał się czemś zupełnie odrębnem od almanachu francuskiego, dziełkiem patryotyczno-artystyczno-sentymentalnem, „süss und erhaben," słodkiem i podniosłem.

Jeżeli w naszych kalendarzykach dopatrywać się pokrewieństw z obcymi, to nie u Francyi zapożyczyliśmy się na tem polu, raczej u Niemców, i to bardzo powierzchownie. Przy opisie Gröllowskiego kalendarza wspomniałem, że genealogię domów panujących i rubryki do gry naśladował nasz wydawca z almanachów Gotajskich. Ale reszta, treść właściwa i typowa dla polskiego kalendarzyka „politycznego," idzie zupełnie własnym szykiem w innym kierunku.

Dziwna jednak rzecz i trochę pożałowania godna, że nie posiadamy prawie wcale ilustrowanych kalendarzyków. Jedynie kalendarze gdańskie, astronomiczno-gospodarskie, z dodatkami historycznymi, posiadają dobre ryciny tytułowe i winiety na każdy miesiąc. I to tylko najstarsze, z XVII w. Późniejsze ograniczają swój wysiłek artystyczny do winiet szablonowych, przez lata powtarzanych i do pięknych opraw z herbami miasta. Drzeworytów i herbów na starszych kalendarzach krakowskich nie można poczytać za ilustracye.

Kalendarzyki polityczne polskie z XVIII wieku nie zawierają wcale rycin — bardzo rzadko portret Stanisława Augusta, marniejszy, niż inne współczesne.

Jest, podobno, w Ossolineum „Kalendarz nowy ekonomiczny na r. 1775 w Warszawie u Jana Aug. Posera," który Estreicher cytuje (XIX, 18) „z figurami malowanemi," ale czy nie poprostu z mapą kolorowaną? Prof. Estreicher wynalazł także w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1780 № 14 ogłoszenie o bajecznym „Kalendarzu gospodarskim z kopersztychami na 12 miesięcy i 28 kopersztychami nowych fryzur..." Ale gdzie ten kalendarz jest i czy nie pozostał w stanie projektu?

Dopiero wydawca warszawski J. L. Koch w roku 1808 zaczyna do swego „Kalendarzyka politycznego" dodawać trochę portretów współczesnych: Fryderyka Augusta, króla saskiego i księcia warszawskiego, żony jego i córki, Napoleona, ks. Józefa Poniatowskiego, gen. Dąbrowskiego i t. d. Ale po Chodowieckim, o czterdzieści lat wcześniejszym, oglądać ryciny Jana Ligbera — przykro. Współcześnie w Krakowie wydawca Matecki dodaje do kalendarzyka, w latach 1809—1814 dużo lepsze ryciny Stachowicza. Następcy Kocha w Warszawie: J. Netto (w latach 1819—1835) i Franc. Radziszewski (1833—1849) rzucą czasem publiczności po parę obrazków do rocznika swych, zresztą porządnie redagowa-

nych, wydawnictw kalendarzowych, lecz nic tu niema godnego wspomnienia, oprócz kilkunastu widoków Warszawy i zwalisk zamków, roboty Dietricha i Kasprzyckiego.

Do tych późniejszych odblasków świetnej epoki kalendarzy ilustrowanych w Europie ogranicza się współdziałanie polskich rytowników. Ale niema w tym fakcie nic tak bardzo żałosnego, gdyż polski kalendarzyk wytknął sobie inną drogę i inne zadanie. Jeżeli kalendarzyk francuski był zabawny, niemiecki — sentymentalny, polski chciał być przedewszystkiem—„politycznym.“

I pełnił swą służbę uczciwie przez lat wiele, za co mu się należy uznanie i przechowanie na dobrze oszklonych półkach, nietylko w rzędzie osobliwości, lecz jako niepośledniego jeszcze źródła historycznego. Zwracam bowiem uwagę szerszego grona czytelników na to, co dobrze wiedzą zbieracze kalendarzyków i pracownicy historyczni, że w tych drobnych naszych książeczkach znajdują się spisy osób, których bardzo trudno, a czasem zgoła niepodobna byłoby doszukać się w dokumentach pisanych, lub innych drukach. Mówię tu głównie o spisach imiennych drobniejszych urzędów, a zwłaszcza o urzędnikach ziemskich i grodzkich. Wyszukiwanie między nimi pradziadów stanowi prywatną, bardzo zresztą godziwą, przyjemność. Nie jedyna to jednak wartość tych spisów. Jak wiadomo każdemu badaczowi naszych dziejów, w listach, a nawet dokumentach urzędowych z ubiegłych wieków, wymieniano u nas bardzo często zamiast nazwiska—urząd osoby, a my, czytając dzisiaj najważniejsze takie papiery, nie mamy pojęcia, kto był np. podkomorzym lubelskim, albo chorążym wileńskim w roku X. Jedynem do tego źródłem *podręcznem* są kalendarzyki polityczne, gdyż do Metryki Koronnej, a tem bardziej litewskiej, dostęp nie łatwy, spisy zaś urzędów ziemskich nie są dotychczas drukiem ogłoszone.

Możnaby też myśleć, że posiadając w bibliotece po jednym kalendarzyku politycznym z każdego roku (co już zebrać nie łatwo), miałoby się kompletny podręcznik informacyjny pod wyżej wymienionym względem. Ale tak nie jest. Najprzód, że nie wszystkie rodzaje są tak w treść bogate i co do spisów kompletne, jak przytoczony wyżej kalendarzyk Grölla, powtóre, że każde niemal wydawnictwo ma swą specyalność, swój drobny monopolik.

Najważniejszym jednak, i najrzadszym niestety, rodzajem kalendarzyków politycznych są te, które wychodziły w częściach Rzeczypospolitej, oderwanych przez pierwszy i następne rozbiory. Są tam dane statystyczne i spisy osób, poprostu niemożliwe do znalezienia gdzieindziej. Jeszcze w Galicyi, wcielonej przez pierw-

szy rozbiór do Austryi, zachowano porządnie archiwa; wydawano zresztą liczne spisy urzędników w licznych też kalendarzach. Ale weźmy za przykład kalendarzyki „Białoruskie,“ wydawane w Mohilewie od r. 1783 (?) do 1796, lub nadzwyczaj rzadkie, a ważne, „Kalendarze Połockie,“ drukowane przez Jezuitów w ostatnich latach XVIII wieku. Cała plejada obywateli Polaków pełni funkcye urzędowe na tych krańcach dawnej Rzeczypospolitej i po jej upadku, a nazwisk ich nigdzie znaleźć nie można, oprócz w tych kalendarzykach, archiwa bowiem tych „namiestnictw Białoruskich,“ „prowincyi Dźwińskiej,“ okręgów sztucznie po r. 1773 zaokrąglonych, a następnie zniesionych, grzęzną gdzieś dotychczas, jeżeli wogóle w całości przechowane zostały. Taki jest np. los aktów „prowincyi Dźwińskiej,“ złożonej, po pierwszym rozbiorze Polski, z części dzisiejszej guberni Witebskiej i z Inflant Polskich.

Równie ważne, jako dokumenta, są kalendarzyki wileńskie, po roku 1795 wydawane w drukarni Uniwersytetu, u Józefa Zawadzkiego i u Bazylianów. Te, oprócz spisów urzędników litewskich, zajmują się wyczerpująco statystyką szkolnictwa. Niektóre z nich wydane są specyalnie „dla wydziału uniwersytetu Wileńskiego“.

Na tem poprzestanę w wyliczaniu zalet i zasług polskich kalendarzyków politycznych. Miłośnicy ich będą zdania, żem wymienił zamało, ale niecierpliwy czytelnik, mający wiele zajęć, notowanych w kalendarzu na rok bieżący, będzie miał dosyć tego retrospektywnego przeglądu. O jednem zdołam go może przekonać — o potrzebie dokładnego spisu bibliograficznego tych tomików. Gdy we Francyi p. John Grand-Carteret poświęcił temu przedmiotowi tak grube dzieło ilustrowane, że mu, w pochwalnych zresztą sprawozdaniach, wymawiają „stworzenie konkurencyi dla Biblii“[1]); kiedy w Berlinie akademia nauk przemyśla nad wydaniem bibliografii kalendarzy niemieckich, mam nadzieję, że nie z tych tylko względów wyścigowych z zagranicą, lecz dla rzeczywistej użyteczności przedmiotu, spis rozumowany polskich kalendarzy dobrze będzie przez publiczność naszą przyjęty.

Józef Weyssenhoff.

[1]) John Grand-Carteret: Les Almanachs Français — Bibliographie — Iconographie (1600—1895); ouvrage illustré de 5 planches coloriées et de 366 vignettes. Paris, J. Alisie 1896, in 8-o majori, str. CX i 846.

WAWEL.

(Przyczynek do znaczenia wyrazu).

Nieraz, przebywając czas dłuższy w Krakowie, zastanawiałem się nad temi dwoma nazwami: Kraków i Wawel. Kraków— Krakov nie był dla mnie nowy, gdyż i u nas w Słoweńszczyźnie nieraz się spotyka, a niedaleko szukając przedmieście stolicy słoweńskiej Lublany nosi nazwę Krakov — Kraków; co do Wawelu długi czas szukałem odpowiednika w swoim kraju, ale narazie nie znajdowałem. Dopiero teraz niedawno natrafiłem w języku słoweńskim na wyraz *Vouvel*, który, jeżeli uważać go za jednoznaczny z polskim W a w e l e m, ogromnie mógłby się przyczynić do wyjaśnienia pierwotnego znaczenia tego wyrazu.

O ile ja wiem, opowiadania o *Vouvelu* wśród Słoweńców są czysto lokalne, gdyż znalazłem je tylko wśród ludności na Pohorju w południowej, górzystej części Styryi, gdzie mieszkańcy i językiem i etnograficznie dość znacznie odróżniają się od reszty Słoweńców.

Nim przystąpię do snucia jakichś dalszych wniosków, przytoczę przedewszystkiem istniejące we wspomnianej okolicy opowiadanie o *Vouvelu*.

I.

Na Pohorju straszą dzieci: „Nie wychodźcie z domu póki nie wrócimy z planin od rąbania drzewa (albo póki nie wrócimy od koszenia trawy na porębach), bo przyjdzie dziki mąż *Vouvel* i zabierze do swojej jaskini.“

Staruszek Karmot z Peczewnika (wieś również na Pohorju) opowiadał, że *Vouvel* był to olbrzym, który mieszkał pod Turjakiem (góra w parafii St. Ilj, t. j. św. Idzi) i był taki żarłoczny, że na śniadanie zjadał całego wołu i wypijał wodę z rzeczki Mislinja.

Przy sposobności zauważyć należy dziwny zbieg okoliczności, iż jeden z najstarszych kościołów w Krakowie, będący pod wezwaniem św. Idziego, znajduje się w bliskości Wawelu.

Dodać też wypada, że w pojęciu ludu słoweńskiego św. Idzi ma związek z chmurami burzowemi i kiedy bardzo grzmi, to powiadają, iż św. Idzi swoimi końmi po niebie rozjeżdża.

Według folklorystów słoweńskich uosobienie pewnego symbolu pogańskiego przeniosło się na postać św. Idziego.

Co zaś do nazwy góry Turjak, to spotyka się ona jeszcze kilkakrotnie na ziemiach, zamieszkałych przez Słoweńców. Między innemi pod Lublaną znajduje się zamek Turjak, siedziba jednej z najpotężniejszych rodzin krajowych w wiekach średnich (wojewoda Auersperg po słoweńsku Turjaszki jest obecnie ministrem rolnictwa w Austryi). Zarówno ta góra, jak i inne tej nazwy znajdują się zawsze w związku z opowiadaniami o smoku.

II.

Pewien pasterz zasnął raz pod rozłożystym bukiem. Po obudzeniu się spostrzegł brak 9 krów. Idąc za śladami ich kopyt, doszedł do jaskini pod Turjakiem, gdzie spał *Vouvel*. Z nozdrzy śpiącego wychodził dym, jak z kuźni. A przy nim była biała kobieta i odpędzała muchy. Pasterzowi zdawało się, iż *Vouvel* ma ogon węża. Przestraszył się też bardzo, począł uciekać z całych sił i opowiedział o widzianem proboszczowi. Proboszcz poszedł na wskazane miejsce, pokropił wodą święconą. Wówczas *Vouvel* zamienił się w smoka i uleciał niby chmura nad planinami, a tam, gdzie przeleciał, łamały się najsilniejsze choćby jodły.

III.

Niegdyś żyli olbrzymi, nazywający się *Vouvelami*. Zamki swoje budowali oni na najwyższych górach, a byli tak silni, że w razie kłótni obrzucali się kamieniami młyńskimi.

Opowiadają też, iż Solczawskie planiny (odnogi Alp w Styryi) są to skamieniali olbrzymi.

X.

Vouvel ma bardzo dużo cennych rzeczy, ukrytych pod górą. Raz pewien kowal, wiedząc, że *Vouvela* niema w domu, poszedł i ogromnym młotem uderzył w skalne wrota. Na to odezwała

się od wewnątrz biała kobieta: „Kto bądź jesteś, nie otworzysz póki nie znajdiesz *Vouvelicy* i nie powiesz:—Idź precz krowo nazad do *Krsnika*, ziemi potrzeba deszczu.—Wtedy dopiero wejście się otworzy.“ Kowal długo szukał trawy *Vouvelicy*, lecz nie znalazł. Tymczasem ujrzał czarną chmurę, w której *Vouvel* wracał do domu, począł więc uciekać, aby go ten nie złapał.

Ciekawe jest, iż nie tak daleko od Krakowa w Lubelskiem pod Nałęczowem znajduje się miejscowość starożytna z nazwą *Wąwolnica*. O ile wiem, p. Henryk Wiercieński, mieszkający w Nałęczowie, od dłuższego czasu zbiera materyały dotyczące nazw *Wawel* i *Wąwolnica;* nie miałem możności skomunikowania się z nim, ale być może, iż w jego posiadaniu są może jeszcze inne jakie przyczynki, które się ze swej strony również przyczynią do rozjaśnienia poruszonej tu kwestyi.

V.

O *Vouvelu* opowiadają, że ma za żonę *grakę*, która mu gotuje strawę i przyrządza napój *farezyna*, z trawy wyrastającej w noc świętego Jana od 12-ej do 1-ej w nocy na najwyższych szczytach gór. Trawę tę mogą zrywać tylko *graki*, gdyż tylko te kobiety mają szpony, pozwalające im dostać się na szczyty gór.

Na Pohorju teraz są jeszcze rodziny włościańskie nazwiska *Grakus*, w pobliżu miejscowości Bożje jest pagórek *Gracziszcze*, a właściciela nazywają *„grączisznik.“* Również przy miejscowości *Mojstrana* w północnej Krainie jest góra *Gracziszcze* i słoweński uczony archeolog ks. Davorin Trstenjak zapisał opowiadanie pewnego starca, że na tej górze zbierają się *graki*.

VI.

Znalazłem jeszcze jedno dłuższe opowiadanie o *Vouvelu*, ale przenosząc się do innego miasta, zgubiłem gdzieś notatkę, w której miałem to zanotowane. Treść tego opowiadania była następująca: żył kiedyś olbrzymi smok Vouvel, który wyrządzał wielkie klęski, zabijał ludzi i bydło, nareszcie przyszedł Krsnik i zabił Vouvela. Spodziewam się, że przy sposobności odnajdę całe owo opowiadanie.

Jeżeli słoweński Vouvel jest w jakimś stosunku z polskim Wawelem, nazwa królewskiego zamku Wawel musi być pocho

dzenia mitologicznogo. Według zdania słoweńskiego folklorysty Davorina Trstenjaka, słoweński Vouvel jest uosobieniem chmur burzliwych, także jego żona Graka ma również przedstawiać chmury, Krsnik zaś jest według wszelkiego prawdopodobieństwa personifikacyą słońca letniego. Ogień świętojański (sobótka) nazywa się po słoweńsku Kres, ponieważ tego dnia palono ogień na cześć Krsnika, boga słońca, stojącego u szczytu swojej potęgi.

Zresztą ktoby chciał dokładnie przeprowadzić porównanie pomiędzy słoweńskim Vouvelem a polskim Wawelem, musiałby odszukać wszystkie, o ile możności, opowiadania o słoweńskich Vouvelach, które się jeszcze mogą znaleźć i objaśnić dokładnie naukowo, pod względem historycznym i etymologicznym słowa, które tu wchodzą, mianowicie „Graka“ i „Krsnik,“ na co mi teraz, podczas oddalenia od kraju, brak środków naukowych.

Ks. Leopold Lénard.

PIŚMIENNICTWO.

WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI. *Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej.* Kraków, 1908. 8-o, str. 160.

On revient toujours à ses premiers amours. Powrócił i p. Wł. Smoleński do umiłowanego w młodości przedmiotu i obdarza nas dojrzałą i wielce interesującą pracą pod powyższym tytułem. Z krwi i kości szlachcic mazowiecki, umie on z okruchów archiwalnych odbudować życie dawnej szlachty Mazowsza, a wady jej i zalety, jak nikt może, odczuwa i utalentowanym piórem świetnie oddać potrafi. Z tego powodu niniejsze dziełko cenimy nie tylko jako owoc długotrwałej pracy skrzętnego i przenikliwego historyka, ale także jako utwór, z którego tryskają prawdy psychologiczne czerpane z samego życia i ze zrozumienia środowiska społecznego, o którem traktuje.

Pierwszy rys charakterystyczny szlachty rozsiadłej na Mazowszu to jej rozrodzenie wprost niebywałe; daje się ono zauważyć szczególniej w kresowych powiatach. Ta osobliwość, będąca niejednokrotnie powodem uszczypliwych wzmianek u dawniejszych autorów, szczególniej heraldyków, niemogących dać sobie rady z tym tłumem szlacheckim, który liczniejszym od ordy mienili — jest objawem w wysokim stopniu interesującym pod względem historycznym. Co do tego faktu w naszem piśmiennictwie historycznem powstały dwie teorye. Jedni mnogość szlachty mazowieckiej objaśniają wprost rozrodzeniem się (Górnicki, Paprocki), drudzy chcą tu widzieć dowód planowej, długotrwałej kolonizacyi żołnierskiej, mającej na celu ochronę granic od Prus, Litwy i Rusi (Kołłątaj, Surowiecki, Gawarecki, Wojciechowski). Pawiński, zasłużony badacz dziejów wewnętrznych Mazowsza, skłaniał się także do tej drugiej teoryi, aczkol-

wiek wyraźnie co do niej się nie wypowiedział. Smoleński na podstawie swoich studyów inne wnioski wyprowadza. Dowodzi on, że głównym motywem skłaniającym książąt do nadawania łanów w kresowych powiatach były względy czysto ekonomiczne, mianowicie nadzieja czerpania obfitych dochodów dla kasy książęcej. Za dowód służy mu fakt, że osadnictwo w ziemiach kresowych rozpoczyna się w czasach po-uniowych, to jest w epoce, kiedy granice pomienione były już zabezpieczone od najazdów nieprzyjacielskich. Ażeby dojść do tego twierdzenia, musiał się autor zagłębić w całą sieć archiwalnych dociekań; po wątłych niciach zapisek archiwalnych szedł jaknajdalej w głąb czasów i z badań tych rzeczywiście piękny plon przyniósł. Zestawienie danych archiwalnych o osadnictwie daje treściwe i przejrzyste. Na paru kartach zestawia rezultat pracy może lat kilku. W samej ziemi wiskiej za czasów 1435—1454 t. j. w ciągu lat 20 rozdano według zebranych przez autora zapisek przeszło 1000 łanów, w łomżyńskiej od 1390 do 1428—łanów 1055. Oprócz tych danych o kolonizacyi kresów mazowieckich, poucza nas autor o stanie ekonomicznym tej szlachty i stosunkach domowych. Charakterystyczniejsze akty cytuje w wyjątkach, wprowadzając czytelnika *in medias res* stosunków mazowieckich.

Rozradzająca się szlachta Mazowsza, przywiązana do ojcowizny i z niej ruszyć się niedająca, z czasem dojść musiała do ubogiego stanu, z powodu ciągłego drobienia nadziałów ziemi. Własność ziemska szlachcica zagrodowego t. j. część z działów familijnych mu przypadająca nie znajdowała się w jednym kawałku, przeciwnie była rozrzucona w małych parcelach pomiędzy nadziałami braci szlacheckiej. Fakt ten bynajmniej nie przyczyniał się do podniesienia kultury rolnej i bytu ekonomicznego, stawał się on powodem ciągłych waśni, sporów, sądów i napaści. Te przy usposobieniu popędliwem Mazurów były częstym objawem i przeradzały się w stałą niemal wojnę domową.

Barwną, tryskającą życiem, ale smutną jest charakterystyka życia wewnętrznego szlachty mazowieckiej, dobitnie skreślona w rozdziale zatytułowanym: „Ubóstwo i dzikość obyczajów.“ Mamy tu cały szereg objawów krewkości szlacheckiej. Miejscem stałych jej wybuchów były: karczma, targ, sąd, sejmik, kościół, piwo, pochłaniane w wielkiej ilości, potęgowało popędliwość charakteru. Aż wrzało od ciągłych kłótni i bójek. Nie wychodził szlachcic ze swojej zagrody bez sękatego kija, a plebanie nie były bezpieczne od napaści. Podobnie zresztą się działo i w innych województwach, jak przekonywają nas ostatnie prace W. Łoziń-

skiego. Widocznie leżało to w charakterze czasu, ale na ziemi Mazowieckiej rozwój tych objawów był większy, co się tłómaczy wzmiankowaną wyżej mnogością i skupieniem szlachty butnej a niesfornej. Te wyuzdane i dzikie obyczaje nie przeszkadzały, że szlachta mazowiecka miała wysokie zalety wojskowe. Bitność i odwaga Mazurów stały się przysłowiowe, a przywiązanie do kościoła katolickiego było większe może niż gdziekolwiek na całym obszarze Rzeczypospolitej.

Ta prawowierność katolicka, dała możność szlachcie Mazowieckiej odegrania ważnej roli podczas elekcyi Henryka Walezego, kiedy walkę z sobą toczyły dwa stronnictwa: katolickie i inowiercze. Rozdział tej sprawie poświęcony czyta się z wielkiem zajęciem. Autor przedstawia w żywych obrazach agitacye sejmowe, rozdział stronnictw i ich walki. Województwa Mazowieckie odgrywają tu ważną rolę. Oderwani od sochy Mazurzy, przybyli w znacznej części pieszo, z kijem w ręku, rozejrzeli się prędko w sytuacyi, a porwani swoim nieokiełzanym temperamentem wpływ znaczny na elekcyę wywarli. Oni to pierwsi wyrażają się za kandydaturą Henryka, t. zw. przez nich „księcia Gawańskiego," żądają z wielką natarczywością przyspieszenia elekcyi, a gdy senatorowie nie chcą zrazu uledz, dokonują napadu na szopę senatorską i grożą, że króla okrzykną na własną rękę. W chwili decydującej, zebrani w ilości około 10000, przeważają losy i decydują o obiorze Henryka, co wszystko się dzieje „z wrzaskiem dziwnym." Niemniej energicznie sobie poczynali podczas następnych elekcyj, przybywając nieraz uzbrojeni w kije i kosy. W obiorze kierowali się więcej fantazyą niż rozumowaniem. Nie umieli bowiem nieraz wymówić nazwiska kandydata, a chętnie za niego krew by przeleli. Na oponentów napadali z największą zaciętością. O jednym z kardynałów wyrażali się: „Podaj nam tego scygła—choćbyśmy cierpiącki aż do samego Rzymu stawiać mieli—to go utłucemy" i t. p.

Ważnym, ale mniej opracowanym od „osadnictwa w ziemiach Mazowieckich" jest rozdział V-ty zatytułowany „Emigracye." Ogromne zastępy szlachty mazowieckiej szły w ciągu wieków XVI, XVII i XVIII na Podlasie, do województw małopolskich: sandomierskiego i lubelskiego oraz na Podole, Wołyń i Ukrainę. Ten potężny ruch emigracyjny Mazurów miał wielkie znaczenie dla całego państwa. Niósł on kulturę i język polski aż na kresy—a element emigracyjny mazurski był tak jednolity i narodowościowo zwarty, że pomimo klęsk najrozmaitszych i zaborów (tureckiego i rosyjskiego), pomimo odsunięcia tej drobnej szlachty od

siebie przez właścicieli wielkich latyfundiów kresowych i zbliżenia jej do miejscowego ludu ruskiego,—nie zatraciła ona do dzisiejszego dnia języka i cech narodowych. Stwierdzić to można przejeżdżając przez całe szeregi wsi na Podolu zupełnie odróżniające się strojem, mową i obyczajem od ludu małoruskiego. Jedno tylko czego się wyzbył ten drobiazg szlachecki, postawiony w tak trudnych warunkach to — poczucia swojej szlacheckości. Będąc zaliczony do t. zw. „odnodworców“ lub do „wołosti,“ postradał wszelką odrębność szlachecką i przywileje swego stanu. Nie wielu już wie, że są szlachtą, chociaż dokumenty i nazwiska Żółkiewskich, Sobieskich i t. p. posiadają. Szkoda, że autor pisząc o utrzymaniu się w odrębności narodowej tego elementu, użył rusycyzmu. Pisze o kluczu: *proskurowskim* na Podolu. Tymczasem miasto dziś powiatowe, o którem mowa nazywa się po polsku Płoskirów, co pochodzi od dwóch rzeczek Płoski i Rowu tu się zlewających. Nazwa Proskurow jest czysto rosyjską i jedynie na mapach wojskowych i rozkładach jazdy kolejowej się znajduje. Chętnie kładziemy to na karb omyłki zecerskiej lub przeoczenia.

Nie mogąc w krótkiej sprawozdawczej notatce wchodzić w szczegóły tej wysoce interesującej monografii, bo to już nie szkic, jak głosi tytuł, ale obraz dokładny i wypracowany, odmalowany śmiałą i wprawną ręką, — podzielić się tylko musimy wrażeniem jakie się odnosi doszedłszy do ostatniej karty. Jest to żal, że karta ta jest już ostatnią.

Miejmy nadzieję, że autor w dalszym ciągu snuć będzie wątek dziejów szlachty mazowieckiej, tego tyle żywotnego elementu w naszym narodzie, który się ostał i odrębność swoją zachował, postawiony nawet w najgorszych warunkach. O Mazurze mówi przypowieść ludowa, że gdy go wilk zjadł—to zdychał z niestrawności, a piosnka mówi, że:

W Mazurze taka dusza,
Choć nieżywy to się rusza.

Tak jest istotnie.

Fr. Pułaski.

MAKSYMILIAN GIERYMSKI. Napisał Antoni Sygietyński. Z 92 illustracyami. *Nauka i sztuka.* Wydawnictwo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. Warszawa E. Wende i S-ka.

Podczas, gdy w literaturach zagranicznych aż roi się od monografij z zakresu sztuki, u nas tego rodzaju wydawnictwa należą do bardzo rzadkich, a gdyby nie Witkiewicz, Sygietyński i Ant. Potocki (autor „Grottgera“) nie mielibyśmy chyba nic godniejszego uwagi do zanotowania w tym kierunku. Ci trzej pisarze bowiem stanęli dopiero na wysokości zadania. Sygietyński zajmuje wśród nich miejsce środkowe i może dla tego najciekawsze. Witkiewicz jest przedewszystkiem *malarzem*, Potocki przedewszystkiem *literatem*, z konieczności więc i jeden i drugi ulegają w swoich sądach pewnemu zabarwieniu, pozostającemu w zależności od ich upodobań zawodowych. Sygietyński tymczasem stoi na stanowisku najbardziej niezależnem — jest muzykiem, estetą i filozofem sztuki, wykształconym na wzorach najobjektywniejszej krytyki artystycznej, jaka istniała kiedykolwiek—na wzorach Taine'a.

Sprawia to, iż książkę, przez niego napisaną, bierze się do ręki z ogromnem zaufaniem. I zaufanie to nie zawodzi.

Monografia o Gierymskim należy do książek, które pozostawiają ślad trwały w umyśle czytelnika, kształcą go i rozwijają.

Daje nam ona doskonałe pojęcie o Gierymskim-człowieku i o Gierymskim-malarzu. Wybitna indywidualność tego artysty, który mimo krótkich dni swojego życia zdążył zapisać się trwałemi zgłoskami w dziejach sztuki wogóle, nietylko sztuki polskiej, znalazła w Sygietyńskim doskonałego swego wyraziciela. Dzięki stosunkom osobistym i dzięki studyom, poczynionym nad dziełami malarza, widział on go nawskroś i dla tego mógł nam powiedzieć o nim wszystko, co było do powiedzenia.

Kto był Maksymilian Gierymski?

Ludziom, obeznanym z historyą sztuki, nazwisko to mówi bardzo wiele, tym jednak, którzy stoją już choćby cokolwiek tylko na uboczu, nie mówi ono nic. Ci wiedzą jeszcze o jego bracie młodszym, Aleksandrze, ale o roli, jaką odegrał i o stanowisku, jakie zajmuje w malarstwie polskiem Maksymilian, nic zgoła nie mogliby powiedzieć. Dla nich więc książka Sygietyńskiego będzie prawdziwą kopalnią nowych i nieznanych zupełnie rzeczy.

Maksymilian Gierymski był dzieckiem Warszawy. Tu przyszedł na świat i tu spędził młodość. Urodził się w r. 1847. Po ukończeniu gimnazyum realnego w r. 1862 wstąpił do świeżo utworzonego instytutu politechnicznego w Puławach, skąd w kil-

ka miesięcy potem zaciągnął się do powstania. Po jego upadku zapisał się do warszawskiej Szkoły Głównej na wydział prawny, równocześnie jednak uczęszczał do szkoły rysunkowej, która powstała na gruzach b. Akademii Sztuk Pięknych. Malarz jednak, który był w nim od najwcześniejszych lat, nie mógł się pogodzić z jurisprudencyą. Jakoż niebawem pandekta poszły w kąt i młody akademik przeszedł całkowicie do szkoły rysunkowej, gdzie pod dyrekcyą Ksawerego Kaniewskiego, nauczali wówczas profesorowie: Hadziewicz, Kamiński, Zaleski, Breslauer, Podczaszyński i Hegiel.

Tam spędził dwa lata, w których ciągu wystawił kilka krajobrazów w *Zachęcie*. O losie jego zdecydował jednak dopiero obraz, namalowany na zamówienie hr. Berga, a przedstawiający Czerkiesów, pędzących do ataku. Obraz ten wywołał niezadowolenie wśród społeczeństwa, ale jednocześnie otworzył przed artystą przyszłość. Maksymilian Gierymski otrzymał fundusze na podróż zagranicę i na dwuletni tam pobyt. Jakoż w kwietniu 1867 r. wyjechał do Monachium.

Pracował tam u Auschütza i Wagnera, wkrótce jednak, bo już w r. 1868, oddaje się pod kierunek Franciszka Adama, zrywa z akademią i urządza sobie własną pracownię.

Odznaczywszy się chlubnie na pierwszej powszechnej wystawie sztuk pięknych w Monachium (pod koniec r. 1869) dwoma obrazami p. t. „Wieczornica“ i „Pojedynek Tarły z Poniatowskim“—postanawia oddać się samodzielnej pracy twórczej i szybko staje się mistrzem w swoim rodzaju.

Od tej pory pracuje gorączkowo z bardzo małemi przerwami przez lat pięć. W tych latach pięciu zawiera się całe jego życie *malarskie*, już bowiem we wrześniu 1874 r. z ręki jego wypada pędzel. Śmierć zabiera jednego z najzdolniejszych i największych artystów, tego, który, jak mówi Sygietyński, „pierwszy Polskę rzeczywistą a malowniczą odkrył i scharakteryzował,“ który, jako kompozytor, rysownik i kolorysta był „nieporównanym w zestawieniu ze wszystkimi malarzami naszymi.“

W kraju jego obrazy były i są prawie zupełnie nieznane, w Niemczech natomiast ceniono je bardzo. Kunsthändlerzy robili na nich dobre interesy, aczkolwiek sami płacili za nie drogo, a po kilku zaledwie latach twórczości nazwisko Gierymskiego nabrało rozgłosu i młody malarz szedł prostym gościńcem ku sławie wszechświatowej. Na krótko przed śmiercią akademia berlińska mianowała go swoim członkiem. Dla dwudziestosiedmioletniego artysty był to zaszczyt nie mały, przyszedł jednak w chwili, kie-

dy życie ulatywało już z jego wątłej piersi, a śmierć przychodziła po swój łup przedwczesny.

Znaczenie i stanowisko Maksymiliana Gierymskiego w sztuce określa najlepiej i dla profanów najwymowniej wpływ, jaki wywarł on na swoich współczesnych.

Wpływ ten, jak stwierdza Sygietyński, był tak wielki, że ulegali mu nawet malarze tak wyrobieni, tak zrutynowani, jak Brandt, który za jego przykładem zaczął „wyzbywać się sztuczek konwencyonalnych szkoły, starać się o większą prawdę, usprawiedliwiać się z efektów oświetlenia, dociągać się do pierwowzoru natury."

Nadto wpływ ten był tak dodatni, tak wielostronny, że kto wie nawet, czy malarstwo nasze, gdyby pozostawało dłużej pod jego zdrowem tchnieniem, nie byłoby weszło na inne, na nowe, na takie tory, na których mogłoby rozwijać się stale i normalnie.

Śmierć Gierymskiego przerwała jednak wszystko. Kolonia malarzy polskich w Monachium rozbiła się i ognisko sztuki w zarodku przygasło.

„Przyszli nowi ludzie — ze smutkiem kończy Sygietyński — którzy, naśladując bez sensu przypadkowość układu, wyzyskując motywy, przyswajając sobie nawet studya, nawet fotografie z modelów natury, jakie on porobił do swoich obrazów, a nie zdążył ich zużytkować, sprofanowali w celach handlarskich bogatą, piękną i czystą puściznę po wielkim artyście."

Zwykłe dzieje.

Niepodobna też, zamykając książkę Sygietyńskiego, nie powiedzieć sobie kilku słów gorzkich pod adresem stosunku, jaki zachodzi u nas pomiędzy społeczeństwem a sztuką.

Życie i działalność Maksa Gierymskiego rzucają na ten stosunek światło bardzo wymowne.

Oto w biednej, skołatanej Polsce zjawia się talent, pierwszorzędny talent malarski. Gdyby natrafił na podłoże kulturalne, sprzyjające jego rozwojowi, zabłysnąłby wspaniale. Nie natrafia jednak. Walczy z otoczeniem, walczy z kamienną obojętnością, z przesądami estetycznemi swoich rodaków. Jedzie więc do obcych i tam znajduje wszystko—atmosferę, ułatwiającą tworzenie, pieniądze, sławę. W chwili jednak, kiedy otwiera się przed nim jasna perspektywa — ginie w imię jakiegoś strasznego fatalizmu, ciążącego nad sztuką polską.

Sygietyński nie podkreśla tego wyraźnie w swojej pracy, nie oskarża społeczeństwa, zbyt jasno bowiem zdaje sobie sprawę z przyczyn, które wywołały taki, a nie inny stan rzeczy.

Niezależnie od tego, książka jego jest bardzo głośnym protestem przeciw upośledzeniu sztuki i woła o miejsce dla niej w narodzie, który jest tak podatny dla wszelkiej kultury, a więc i dla kultury artystycznej.

Z. D.

Chimera. Zeszyt podwójny 28—29.

Po dłuższej przerwie wyszedł z druku nowy zeszyt *Chimery.* Nie różni się on niczem od wydanych poprzednio 27 zeszytów. Rewolucya i anarchia, wstrząsające do głębi naszem życiem, ominęły snać zupełnie cichą kaplicę niezależnego piękna, w której Miriam-Przesmycki zbierał swoich wiernych i wzywał ich do rozpamiętywania rzeczy nieprzemijających.

I właśnie dobrze jest, że *Chimera* została literalnie taką, jaką była, bierze się ją bowiem do ręki z uczuciem, że oto burza cichnie, wszystko się uspokaja i muzy, które rzeczywiście „inter arma tacebant," zabierają głos z dawną swobodą.

Posłuchajmy, co mówią i zobaczmy, jak brzmi ten ich głos w „nowych" czasach, po przeszacowaniu rozmaitych wartości.

Zeszyt rozpoczyna „Ostatni wykład Leonarda da Vinci," rekonstruowany z ułamków przez Józefina Peladana.

Chimera pragnie, aby „wyniosły ten głos z poza grobu był egzorcyzmem skutecznym dla sztuki i smaku dni dzisiejszych."

Głos jest istotnie wyniosły i piękny i warto odczytać go w dzisiejszej chwili, kiedy uszy nasze pełne są jeszcze wrzawy i haseł bojowych, okrzyków walki i zgrzytów „potępieńczych..." Jakże dziwnie brzmią w takiej chwili spokojne słowa: „Kapłan, który się miesza do spraw świeckich, obniża swój urok i znaczenie; malarz winien nie znać innych białych i czarnych prócz barw na swojej palecie."

Przełożył ten pomnikowy wykład pierwszej akademii italskiej Zenon Przesmycki i przełożył z całem, właściwem sobie majsterstwem.

Następne miejsce w zeszycie zajmują „Ballady ludowe Europy zachodniej i południowej" w przekładzie prof. Edwarda Porębowicza, który doszedł do niezwykłej biegłości w tej trudnej robocie, wymagającej nietylko wysokiej skali artystycznej, ale i ogromnie subtelnego odczucia duszy ludowej.

Piękną w prostocie i naiwności swojej jest ballada bretońska *Marivonic,* albo francuska p. t. *Jan Renard,* albo katalońki „Paź

w więzieniu,“ lub wreszcie piemoncka „Donna Lombarda.“ Do jakiej doskonałości podnosi się forma tych ballad w przekładzie polskim, niech świadczy ta jedna choćby strofa z „Żony marynarza:“

Biedny majtek wraca z wojny
— Tak cicho —
W złem obuwiu, w lichej szacie:
— Biedny majtku, skąd wracacie? i t. d.

lub strofa o innej budowie z *Donny Lombardy*:

„—Kochaj mnie, proszę, donna Lombardo,
przyjmij życzliwie!
„—I jakże ciebie kochać ja mogę,
gdy mąż mój żywie?“

Przekłady te mają głębsze znaczenie dla naszej ogólnej, niestety, tak zaniedbanej kultury literackiej.

Z kolei Marya Komornicka dała utwór oryginalny p. t. *Intermezzo*, a Jan Rundbaken długi, mętny, aczkolwiek nie pozbawiony momentów szczerej poezyi poemat p. t. „Śladem Rossynanta.“ Autor, który szukał na swej drodze śladów kopyt słynnego rumaka Don Kichotowego, nie zawsze je odnalazł i często, widząc przed sobą co innego, ulegał złudzeniu, że widzi te właśnie ślady, a wskutek tego pomiędzy nim a czytelnikiem powstają pewne nieporozumienia, nie zawsze do usunięcia łatwe.

Chcąc jednak sumiennie załatwić się z tym poematem, niewątpliwie oryginalnie pomyślanym, należałoby mu poświęcić osobny, obszerny i motywowany rozbiór. Wówczas może moglibyśmy z jednej strony porozumieć się z autorem co do niektórych koncepcyj myślowych i artystycznych, z drugiej wypowiedzieć mu szczere swoje niezadowolenie.

Na razie jednak możemy zwrócić tylko uwagę na ten charakterystyczny bądź co bądź dla poezyi polskiej utwór nieznanego nam bliżej poety. Być może, doczeka się on właściwej oceny na łamach pisma, więcej niż nasze zajmującego się literaturą modernistyczną. Tymczasem idźmy dalej.

Po ciężkich dość przeprawach z *Rossynantem* czytelnik *Chimery* odetchnie niewątpliwie, obcując na dalszych stronicach zeszytu z Hugonem von Hoffmannsthalem, którego „Dyalog o wierszach“ z całym pietyzmem dla oryginału przetłómaczył Stanisław Wyrzykowski. Oto próba tego przekładu:

„Park, mówisz, zamarł? Patrz, obłoków cień
Jaśnią błękitnej prześwieca pogody,
Promienny uśmiech oddalonych lśnień
Ubarwia ścieżki i rozwidnia wody.

Z szarych bukszpanów, z złotych brzozy skrzeń
Wić będziem wieniec w ciepły dzisiaj dzień.
Niecałkiem zwiędłe kwiecie późnych róż
Zerwij, ucałuj i pospołu złóż.

Gasnące astry, czerwień, co się tli
Na winnej łozie, ostatek zieleni
Spleć lekko w wieniec, u końca jesieni
Bladawą wizyę razem stworzą ci...

Leopold Staff, najbardziej zajmujący z poetów „najmłodszej Polski“ (jeżeli mamy się trzymać tej klasyfikacyi) i stale zasilający *Chimerę* swoimi utworami, tym razem dał jej cykl najnowszych swoich poezyj pod ogólnym tytułem „Po drodze.“

Są to wszystko piękne wiersze, poczęte w dużem skupieniu duszy, posiadającej bogatą treść wewnętrzną i wrażliwej na piękno świata zewnętrznego.

Obok poezyj Staffa jest w ostatnim zeszycie *Chimery* drugi jeszcze utwór, zasługujący na bliższą uwagę—to *Archaniot* Artura Górskiego.

Górski odzywa się rzadko, ale wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, ma cechę niepowszednią. Posiada te zalety i *Archaniot*—owoc wewnętrznej walki, jaką duch Górskiego toczy z sobą nieustannie, wspinając się na coraz wyższe szczeble poznania.

Młody poeta, Kazimierz Wroczyński, dał *Chimerze* staranny przekład „Czuwania Wenery“ Katulla lub Galla, a Jan Kusprowicz przełożył z Algernona Karola Swinburne'a „Laus Veneris,“ pokonawszy na drodze niezliczone trudności tego przekładu. Ewa Łuskina opowiada ładną prozą jedną z legend polskich p. t. „Pokój ludziom dobrej woli,“ Bolesław Leśmian drukuje szereg wykwintnych poezyj, objętych wspólnym tytułem „Oddaleńcy,“ wreszcie Wacław Berent „na wiersz i prozę polską przełożył, najkonieczniejszemi objaśnieniami opatrzył i wstępem poprzedził“ *Upaniszady Kena, Isa oraz fragment z wielkiej Aranyaki.*

Przekład ten, który posiada podwójną wartość dla literatury—filologiczną i poetycką, zamyka treść zeszytu, tym razem mogącego pochlubić się licznym pocztem prac oryginalnych, które nie zawsze ukazywały się w *Chimerze* w odpowiedniej proporcyi do tłómaczeń z literatur obcych.

Nie potrzeba też dodawać, że ukazanie się *Chimery* w chwili, kiedy mniemano powszechnie, że rewolucya postawiła już krzyż nad tem wydawnictwem, jest objawem bardzo dla naszego życia pomyślnym, nie bacząc bowiem na to, co Chimerze słusznie rozmaitemi czasy zarzucano, przyznać należy, że dla naszej kultury estetycznej położyła ona niemałe zasługi.

Z. D.

STANISLAUS KRZYŻANOWSKI. *Album paleographicum.* Cracoviae, 1907.

Od czasów „Wzorów pism starodawnych“ K. Stronczyńskiego, wydanych w Warszawie w r. 1839, i paru drobniejszych również dawnych wydawnictw paleograficznych, nieodpowiadających dzisiejszym wymaganiom technikę wydawniczą, jak również tem, że publikowane w małej ilości egzemplarzy, nie łatwe są do nabycia—nie mieliśmy dzieła, któreby nam przedstawiało wiernie rozwój pisma w Polsce. Odczuwali to zarówno uczeni, pracujący w dziale nauk historycznych pomocniczych, jak i uczniowie seminaryów uniwersyteckich, pragnący zapoznać się gruntownie z nauką paleografii. Prawda, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat w pracach St. Krzyżanowskiego, W. Kętrzyńskiego, B. Ulanowskiego, M. Perlbacha i innych pojawiały się lepsze reprodukcye dokumentów polskich średniowiecznych, ale materyał ten, zawsze fragmentaryczny, służył wyłącznie celom naukowym wspomnianych badaczy—dla celów pedagogicznych był zupełnie nieprzydatnym.

Tym brakom zaradzi „*Album paleographicum*,“ wydane w Krakowie przez d-ra Stanisława Krzyżanowskiego, profesora nauk historycznych pomocniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim, dyrektora Archiwum akt dawnych miasta Krakowa, zaszczytnie znanego historyka. Prof. St. Krzyżanowski od lat kilkunastu zajmujący się dyplomatyką i paleografią polską, zebrał w Akademii Umiejętności w Krakowie i w Seminaryum historycznem na Uniwersytecie Jagiellońskim kollekcyę prawie 1000 fotografij i klisz dokumentów polskich od XI w. począwszy. Z wieku XI i XII komplet reprodukcyj naszych dokumentów, z XIII w. dyplomy, w znacznej części sfotografowane, późniejsze w odpowiedniej ilości, potrzebnej dla rozświetlenia rozwoju pisma w Polsce w ciągu wieków średnich, tworzą ten bogaty zbiór, który kosztował zarówno dużo pieniędzy, jak i pracy jego twórcy. Ze zbioru tego daje prof. Krzyżanowski wybór 31 dokumentów, rozmieszczonych

na tyluż tablicach, które mają służyć przedewszystkiem celom nauki paleografii, lecz i dla celów czysto naukowych mają doniosłe znaczenie, zwłaszcza, jako dopełnienie wspaniałego wydawnictwa Akademii Umiejętności, p. t. *Monumenta paleographica Polonicae*, których pierwszy zeszyt ma się w tych dniach ukazać. W „Albumie“ pomieścił prof. Krzyżanowski cały szereg dyplomów, dla zawodowych paleografów i dyplomatyków najwyższej wagi, wzbudzających zawsze niezwykły interes. Tu zaliczę Tablicę I, przedstawiającą list Władysława Hermana do kapituły bamberskiej, pisany koło r. 1085, a odkryty niedawno przez prof. Tadeusza Wojciechowskiego w Archiwum królewskiem w Monachium; tablicę II, przedstawiającą gnieźnieński egzemplarz przywileju Zbyluta dla Cystersów w Łeknie; tablicę III z dyplomem ks. Henryka dla Johannitów z Zagościa; tablicę XIV z dyplomem Bolesława Wstydliwego i Grzymisławy dla katedry krakowskiej, wreszcie tablicę XVIII, przedstawiającą słynny przywilej kardynała Idziego z r. 1105, spisany w tym stanie, w jakim go znamy w drugiej połowie XIII w., który to przywilej dopiero przed paru laty odkryty przez prof. Krzyżanowskiego, jest dziś ozdobą Archiwum akt dawnych miasta Krakowa, które go nabyło. Jednem słowem w wyborze 31 dokumentów najciekawszych pod względem historycznym mamy z XI w. 1 dokument; z XII w. 4 dokumenty z XIII w. 17 dokumentów; z XIV i XV w. 9 dokumentów. Wszystkie tablice odbito są w światłodrukach, wykonanie jest bez zarzutu, klisze sporządzono w praskiej Unii i u Jabłońskiego w Krakowie. Wraz z wymienionymi „Monumentami polskiej paleografii“ będzie „Album paleograficzne“ stanowić podstawę dla studyów dalszych na polu paleografii i dyplomatyki, a zarazem jest trwałym pomnikiem długoletniej pracy i wszechstronnej wiedzy wydawcy.

S. K.

Kronika miesięczna.

Na schyłku smutnego roku. — Zebranie ogólne i zamknięcie „Macierzy.“ — Stosunek młodego pokolenia do przeszłości. — Towarzystwo naukowe.

Rok dobiega kresu. Ostatnie jego godziny przesypują się wolno w tajemniczej klepsydrze czasu, a z po za nich wygląda już nieznane jutro. W takiej chwili myśl mimowoli ogląda się za siebie i szuka świateł na tej drodze, którą przebyła.

Nie znajduje ich. Rok, który mija, był rokiem ciężkim. Nie było w nim ani jednej głębokiej, szczerej radości, ani jednego momentu, któryby stanowił zwrot wyraźny ku lepszemu i ukazywał z po za chmur jasny promień słoneczny. Przeciwnie. Im dalej posuwaliśmy się w czasie, tem mniej było złudzeń, tem więcej goryczy i bolesnego zastanowienia nad przyszłością. Kraj, zamiast się dźwigać—upadał. Rozstrój ekonomiczny i rozstrój moralny panowały na całej linii, a kronika wypadków dnia zamieniła się w rzekę zbrodni, płynącą przez łamy dzienników, notujących z obowiązku wszystkie objawy życia, złe i dobre.

Pismo nasze nie było zwierciadłem tych zdarzeń, inne bowiem są jego zadania. Ale i tu, na tem miejscu, które poświęcone jest sprawom bieżącym, odbijał się niejednokrotnie zgrzytliwem echem głos, idący z miast, wydanych na łup barbarzyństwa, zdziczenia i zbrodni.

Jednocześnie z zewnątrz biła na nas fala wzmagającego się ucisku. Przedstawicielstwo polskie w Izbie rosyjskiej zostało ograniczone, a polityka rządu zwróciła się bardzo wyraźnie przeciw nam. To był atak z jednej strony.

Z drugiej — w państwie pruskiem nienawiść przeciw wszystkiemu, co polskie, wypowiedziała się dobitnie w nowym projekcie przeciwpolskim. Oto z trybuny kanclerskiej padły słowa, dotyczą-

ce projektu wywłaszczenia i usunięcia języka polskiego ze stowarzyszeń polskich.

Stała się rzecz, zdumiewająca swoją brutalnością i—brakiem podstaw prawnych. Imperyalizm pruski wypowiedział ostatnią walkę żywiołowi polskiemu. Wszystkie dotychczasowe ustawy wyjątkowe zawiodły, komisya kolonizacyjna nie dała wyników, jakich się po niej spodziewano, germanizacya, prowadzona przez szkołę, natrafiła na opór dzieci polskich. Naród gnębiony, prześladowany, wypierany ze swoich siedzib, niszczony materyalnie i zatruwany moralnie, żyć nie przestał. Przeciwnie, szeregi jego obywateli zwierały się do coraz wytrwalszej i z coraz większym wysiłkiem prowadzonej walki. Rząd zrozumiał, że przeciwnik, aczkolwiek słaby w porównaniu z siłą uprzywilejowanego żywiołu niemieckiego, jest jednak i będzie przeciwnikiem, z którym się trzeba liczyć, dopóki ma naturalne podłoże swego istnienia — ziemię ojczystą.

Wbrew więc najelementarniejszym pojęciom prawa i sprawiedliwości, pruscy mężowie stanu, ku hańbie cywilizacyi, ukuli w swojej kuźnicy krzyżackiej projekt wywłaszczenia i postanowili wyprzeć naród z jego dziedzin odwiecznych.

Projekt ten niema szans urzeczywistnienia i prawdopodobnie w życie nie wejdzie, jak to można już wnosić z ostatnich w tym przedmiocie relacyj dziennikarskich. Nie wejdzie jednak tylko w tej formie, jako w zbyt jaskrawej i w zbyt wielkiej stojącej sprzeczności z podstawowemi pojęciami o własności, na której opiera się cały ustrój społeczeństw dzisiejszych. Natomiast można i należy się spodziewać, że rząd pruski nie zaniecha niczego w dalszej swojej walce z Polakami, pozostającymi pod jego panowaniem. Komisya kolonizacyjna zyska niewątpliwie nowe fundusze. Misternie prowadzona od czasów Bismarcka jej sieć będzie się zacieśniała coraz bardziej, dążąc do stworzenia wysp polskich w morzu niemieckiem. Na to musimy być przygotowani i musimy zbierać wszystkie swoje siły do odparcia tej, przeciw nam skierowanej, krucyaty nowożytnej.

Nie bagatelizujemy swojego przeciwnika. Wiemy, że przewyższa nas on pod niejednym względem, że ma za sobą i kulturę wyższą i środki materyalne potężniejsze, gdy naszą siłą są tylko nasze prawa odwieczne do tej ziemi i konieczność dziejowa, która kiedyś musi położyć kres pysze i chciwości teutońskiej.

Walka nasza z żywiołem niemieckim ciągnie się od lat tysiąca i ma w swoich dziejach Psie pole, Grunwald i hołdy pruskie. Koleje losu są zmienne, a przyszłość rasy słowiańskiej jest

tak pewna, że potęga pruska może rosnąć tylko do pewnej granicy. Ku granicy tej zbliża się ona obecnie bardzo szybkiemi krokami. Państwo pruskie widomie przeżywa się i gmach jego, budowany na bezprawiu i gwałcie, musi runąć. Chwila taka przyjdzie i naówczas w narodzie niemieckim, który jest narodem wielkim i cywilizowanym, a którego wielkości i cywilizacyi rząd pruski nadużywa dla swoich celów imperyalistycznych, obudzi się sumienie. Zwycięży cywilizacya, idąca stale naprzód i usuwająca ze swej drogi wszystkie przeszkody. Taką przeszkodą jest dla niej państwo pruskie w obecnej swojej postaci, państwo niewątpliwie potężne, ale w rdzeniu swoim niezdrowe i dotknięte chorobą przesilenia.

Przeciw niemu zwraca się już dzisiaj opinia zbiorowa wszystkich narodów w Europie, a chociaż niema to jeszcze znaczenia pozytywnego, to jednak stanowi już symptom nie bez wagi.

Na razie jednak możemy polegać tylko na własnych siłach, tylko na własnej zdolności do walki z odwiecznym nieprzyjacielem naszego narodu. Walka to bezkrwawa, ale tem większej wymagająca uwagi, przezorności i skupienia sił.

Potrzeba nam do niej mocnych i spoistych organizacyj ekonomicznych, szerokiej i opartej na masach ludu polskiego samowiedzy, potrzeba nam wreszcie łącznego działania wszystkich warstw narodu. Ta łączność wytworzyła się już w poznańskiem, a jest nadzieja, że wytworzy się także rychło i w innych dzielnicach Polski, powołanych do pomagania tej najbardziej upośledzonej i najnieszczęśliwszej.

Sprawy poznańskie powinny być odtąd troską całego narodu i znajdować oddźwięk we wszystkich sercach i we wszystkich duszach.

I tak już jest niewątpliwie. Świadczy o tem ów odruchowy zwrot przeciw Prusom całej opinii polskiej.

W austryackiej Radzie państwa z ust posła Głąbińskiego, którego następnie poparli inni posłowie polscy i słowiańscy, padły słowa głośnego protestu przeciw polityce gwałtu i bezprawia. Jednocześnie na wszystkich ziemiach polskich zabrzmiało hasło bojkotu ekonomicznego Niemiec.

Hasło to nie jest nowe. Kilkakrotnie już, przy rozmaitych okolicznościach, było ono rzucane w naszym kraju przez obozy patryotyczne. Wyników jednak poważniejszych nie dało, a nie dało nie dla tego, żeby nam brakło woli w tym kierunku, ale że niewola nasza ekonomiczna tak się już zadawniła, iż trudno nam wyłamać się z pod niej.

Dla wszystkich, obeznanych chociaż cokolwiek z obecnym stanem naszego przemysłu i handlu, jest jasne, że trudności, jakie napotka na swojej drodze walka z przemysłem i handlem niemieckim, są bardzo poważne. Tam jest organizacya wyborna, oparta na długoletniem i zdobytem na szerokiej arenie świata doświadczeniu, u nas jeszcze organizacya jest słaba i w dodatku niemal rozbita przez ostatnie lata bezładu i anarchii. Nasz przemysł krajowy nigdy nie stał mocno, a dziś przebywa kryzys bardzo poważny. Nasz handel nigdy nie podniósł się do wysokości, na jakiej stoi handel niemiecki, a dziś robi bokami i schodzi do kategoryi nędznego „sklepikarstwa.“

W takiej chwili trudno jest marzyć o walce zwycięskiej, a jednak walki tej niepodobna zaniechać. Musimy ją wypowiedzieć i musimy obudzić w sobie cały zasób patryotyzmu do jej przeprowadzenia.

Wezwanie do bojkotu nie może pozostać w dziedzinie czczych frazesów, musi przybrać kształt realny w granicach tego, co jest możliwe do osiągnięcia.

Musimy stworzyć w kraju organizacyę ekonomiczną, która z jednej strony oddziaływałaby silnie na opinię publiczną i podtrzymywała jej usposobienie, nieprzychylne dla wyrobów niemieckich, z drugiej — nawiązywała stosunki handlowe z innemi państwami i dbała o rozwój przemysłu krajowego, o tworzenie takich jego gałęzi, których dotychczas niema, a które mogą liczyć na powodzenie.

Instytucya taka musi być dźwignięta zbiorowemi siłami narodu.

Jak to uczynić?

Tu mimowoli przychodzi na myśl głośny przed kilku laty na Węgrzech „Związek tulipanowy.“ Powstał on dla podtrzymania przemysłu krajowego i w krótkim czasie zdobył kapitały, potrzebne do rozpoczęcia czynnej i owocnej działalności. Stało się to przy pomocy tulipana — narodowego kwiatu węgierskiego. A stało w sposób następujący: Twórcy „Związku“ puścili w obieg kilka milionów sztuk znaczków majolikowych z wyobrażeniem tulipana i jednocześnie rozrzucili po kraju gorącą odezwę, wzywającą do popierania idei Związku. Po upływie kilku miesięcy nie było już na Węgrzech szanującego się obywatela, któryby w klapie od surduta nie nosił dżetonu majolikowego z tulipanem. Dżeton kosztował tylko koronę, był więc dostępny nawet dla warstw mniej zamożnych, a usposobionych patryotycznie. I oto tą drogą, bez wielkiego wysiłku zebrano kilka milionów koron, potrzebnych do walki z przemysłem obcym.

Kto wie, czy ten sposób, niewątpliwie dobry tam, gdzie idzie o poruszenie i wciągnięcie do akcyi patryotycznej szerokich mas ludności, nie okazałby się właściwym i dla nas.

Po za tem na polu naszego uświadomienia ekonomicznego pozostaje do zrobienia wiele. Trzeba to uświadomienie obudzić i w tym kierunku powinna być rozpoczęta i przeprowadzona w całym kraju jednolita akcya.

W Galicyi przed kilku laty akcyę taką z ramienia krajowego Związku przemysłowego prowadził poseł do parlamentu, br. Roger Bataglia i prowadził ją nie bezowocnie. Szereg odczytów, jakie wygłosił ten wyborny mówca we wszystkich niemal znaczniejszych miastach i miasteczkach galicyjskich, miał ten skutek, że szeroki ogół obywateli został poinformowany o tej zależności ekonomicznej od Austryii, Niemiec, w jakiej pozostaje Galicya, tudzież o tych motywach, jakie kierują polityką ekonomiczną państwa w stosunku do poszczególnych, w skład jego wchodzących, krajów. Były to rzeczy dla bardzo wielu zupełnie nowe, wiadomo bowiem, że myśl przeciętnego mieszkańca małego miasta nie daleko wybiega po za sferę interesów gminnych i trudno oryentuje się na arenie zagadnień szerszych.

Tak samo niewątpliwie jest i u nas. Ludzie w całym kraju powtarzają dziś bardzo chętnie hasło bojkotu, ale bardzo mało jest takich, którzy zdają sobie dokładnie sprawę z tego, w jakich granicach ten bojkot jest możliwy, oraz jak daleko sięga nasza zależność ekonomiczna od nieprzyjaznego sąsiada.

Sądzimy też, że o ile rozpoczynana obecnie akcya ma być owocna, to znaczy, o ile płomień, wybuchający dzisiaj, nie ma należeć do kategoryi ogni słomianych — niezbędną jest rzeczą pójść z wykładami nietyle agitacyjnymi, bo przy obecnym nastroju agitacya jest zbyteczna, ile *uświadamiającymi* po całym kraju i zorganizować seryę odczytów ekonomicznych, poświęconych zarówno przemysłowi krajowemu, jak i naszym stosunkom handlowym z Niemcami, we wszystkich miastach Królestwa.

Oto są najbliższe nasze zadania na rok przyszły, który może będzie lepszy, szczęśliwszy i mniej smutny od obecnego, kończącego się dla nas nietylko atakami nienawiści sąsiedzkiej, ale i pojękiem dzwonów żałobnych, rozkołysanych nad własną naszą ziemią.

*

* *

Jedyną jaśniejszą chwilą w naszem życiu zbiorowem było Zgromadzenie ogólne „Macierzy Szkolnej.“

Odbyło się ono uroczyście i przy udziale przedstawicieli innych dzielnic. Nie poświęcamy temu Zebraniu specyalnej uwagi, gdyż cały przebieg obrad, jako też i wyniki ich znane są dostatecznie ze sprawozdań dziennikarskich. Trudno jednak nie podkreślić tej chwili, w której stanął na mównicy w zastępstwie nieobecnego Henryka Sienkiewicza, niestrudzony działacz oświatowy, sędziwy mec. Osuchowski i w pięknem przemówieniu scharakteryzował działalność instytucyi, powołanej do kulturalnego odrodzenia narodu.

Mowę tę przytaczamy w całości:

„Czuję się w obowiązku przedewszystkiem oświadczyć, że nasz czcigodny prezes rady nadzorczej, Henryk Sienkiewicz, polecił mi wyrazić szczery żal z powodu niemożności wzięcia udziału w dzisiejszem ogólnem zgromadzeniu P. M. S.

W jego więc zastępstwie mnie znowu przypada zaszczyt otwarcia i zagajenia dzisiejszego zgromadzenia.

Zanim omówię wyniki naszej działalności, jej wytyczne drogi i kierunki oraz przeszkody, tamujące rozwój naszej instytucyi, spełniam na wstępie miły sercu i zaszczytny obowiązek powitania szanownego zgromadzenia, naszych szanownych a drogich gości— przedstawicieli prasy, przedstawicieli naszych towarzystw i instytucyj w Królestwie i innych ziemiach polskich, a w tej liczbie przedstawicieli bratniego Towarzystwa oświatowego, Towarzystwa szkoły ludowej w Krakowie, Towarzystwa „Straży“ w Poznaniu, Towarzystwa Macierzy szkolnej Ks. Cieszyńskiego.

Liczny zjazd delegatów Kół i okręgów, obecność przedstawicieli naszej prasy i naszych gości przekonywa o gorącem zainteresowaniu się ogółu polskiego naszą instytucyą i zarazem o wspólności wszystkich naszych pragnień, wszystkich naszych dążeń, mających na celu odrodzenie kulturalne naszego narodu.

Wyrażając serdeczne życzenia najowocniejszych obrad zjazdu, niech mi wolno będzie w tem miejscu powołać się na natchnione słowa ks. Skargi, wypowiedziane lat temu 310 na początku pierwszego kazania sejmowego:

„Zjachaliście się w imię Pańskie na opatrowanie niebezpieczności koronnych: abyście to, co się do upadku nachyliło, podparli; co się skaziło, naprawili; co się zraniło, zleczyli; co się rozwiązało, spoili; i, jako głowy ludu, braciej i członków waszych, jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumie-

jętnych i świece ciemnych i ojcowie dzieci prostych, o ich dobrym i spokojnym obmyślali.“

. . . . . .

W pierwszym okresie istnienia Macierzy, w owych burzliwych czasach przełomowych, od dnia 16-go czerwca 1905 roku do dnia 8-go lipca 1906 roku, pomimo ciężkich przejść, pomimo niezmiernie utrudnionych warunków bytu i rozwoju, poprzedni zarząd główny położył fundamenty naszej instytucyi: opracował ustawę, wskazał wytyczne drogi i kierunki, gromadził fundusze, przedsięwziął cały szereg prac, powołał do życia 100 Kół Macierzy, nareszcie zdołał uzyskać zarejestrowanie ustawy i tem samem zalegalizowanie naszej instytucyi, a w dniu 8 lipca roku 1906, te wszystkie wyniki swych prac i zabiegów, nader już poważne, przekazał nowemu zarządowi głównemu.

Tak więc w pierwszym okresie, pomimo najtwardszych warunków bytu, zrobiono już bardzo wiele i położono zdrowe podstawy pod wielkie ognisko oświaty polskiej.

. . . . . .

W drugim okresie, w roku sprawozdawczym, dzięki możności działania w świetle jawności i kontroli publicznej, dzięki wzmożonemu poparciu naszego ogółu, polska Macierz szkolna wstąpiła w okres niezwykłego rozwoju. Błogosławiona idea Macierzy pozyskała prawo obywatelstwa we wszystkich zakątkach naszego kraju, nietylko wśród inteligencyi miejskiej i wiejskiej, lecz i wśród naszego ludu.

Macierz zstąpiła również i do progów domu ubogiego robotnika, do chaty uznojonego pracą polskiego chłopa,—witana wszędzie radośnie, jako zapowiedź lepszej, jaśniejszej przyszłości...

Stanie się ona odtąd niezbędną potrzebą naszego ludu, jego chlebem powszednim i w tem przedewszystkiem jej wielkie znaczenie...

Ten żywiołowy rozwój naszej instytucyi, mający pierwszorzędne znaczenie w historyi naszej kultury, przypisać należy przedewszystkiem tak gorąco przez ogół polski odczuwanej potrzebie oświaty szerokich warstw ludowych.

Niszcząca działalność systemu przez cały szereg dziesiątków lat obniżyła ogólny poziom naszej kultury. Ujawniło się to na wszystkich polach naszego życia narodowego i społecznego, ale

na żadnem tak dotkliwie, jak w dziedzinie szkolnictwa wogóle, a szkolnictwa ludowego w szczególności.

Niesłychane zaniedbanie tego najważniejszego działu w ostatecznym rachunku uwydatniło się w znikomej liczbie szkół, ich ujemnej wartości, i w przerażającej statystyce analfabetów.

Kraj, który niegdyś, przed 130 laty, pierwszy wśród wszystkich państw cywilizowanych Europy, powołał do życia ministeryum oświaty, pod nazwą Komisyi edukacyjnej, dzisiaj jest krajem analfabetów.

Tych nieszczęśliwych kalek umysłowych, nieumiejących czytać i pisać, mamy przeszło 75%. W samej stolicy, w Warszawie, naliczono ich niedawno, bo w 1897 roku, przeszło 318,000!

W tych warunkach, działalność Macierzy w Królestwie znalazła ogromne pole pracy, rozległe obszary, leżące odłogiem od szeregu dziesiątków lat.

Zorać i uprawić te obszary, rzucić w nie plenne ziarno oświaty, stało się odtąd hasłem ludzi dobrej woli, którzy skupili się wokoło Macierzy we wszystkich jej organizacyach, we wszystkich jej kołach. Ich pracy, ich zabiegliwości, ich ofiarności, a przedewszystkiem ofiarności całego ogółu polskiego, zawdzięczamy rozwój naszej instytucyi i osiągnięte w tak krótkim stosunkowo czasie wyniki.

Te wyniki, omówione szczegółowo w drukowanem sprawozdaniu, przy względzie na ten tak krótki czas naszego istnienia, i w najwyższym stopniu nieprzyjazne warunki, nie waham się stwierdzić, przedstawiają się bardzo poważnie.

W ocenianiu naszej dotychczasowej działalności i osiągniętych rezultatów, należy zwrócić baczną uwagę na anormalny stosunek władz do naszej instytucyi.

Działalność Macierzy, stanowiąca przedmiot szczególnej troski polskiego społeczeństwa, gdzieindziej zyskałaby gorące poparcie i spółdziałanie, natomiast u nas spotyka na każdym kroku nietylko przeszkody, lecz wprost jawne przeciwdziałanie ze strony tych właśnie organów, których zadaniem i obowiązkiem jest spółdziałanie na polu oświaty. Trudno znaleźć w dziejach kultury wogóle mniej pomyślnych warunków dla instytucyi oświatowej, powstałej drogą własnej samopomocy społecznej.

Mnożące się z każdym dniem przeszkody, tamujące rozwój naszej instytucyi, omówione są bliżej w moim memoryale do Koła polskiego i w sprawozdaniu wydz. prawnego.

W tem miejscu pragnę jedynie z naciskiem zaznaczyć nasze stanowisko prawne, oparte na noweli o związkach i stowarzyszeniach z 17 marca 1906 roku.

Stosownie do art. 28 tegoż prawa, towarzystwa przy zakładaniu oddziałów i odnośnych instytucyj, mają odtąd obowiązek przestrzegania jedynie przepisów prawodawczych. Tem samem więc, rozporządzenia administracyjne, ruchome, nie na stałej podstawie oparte, częstokroć tajne, mocą tego prawa za uchylone uważać należy.

Gdyby ten przepis był szanowany i utrzymany, nowela, o której mowa, stanowiłaby epokę w dziedzinie stosunków cywilno-społecznych.

Mielibyśmy wówczas pełną swobodę, jedynie z zachowaniem przepisów prawodawczych, zakładania szkół na całym obszarze naszego kraju, wszędzie, gdzie to za właściwe uznajemy, gdzie jest ich nagląca potrzeba, a pomiędzy innymi również, czy to w Lubelskiem i Siedleckiem, czy to w tych wsiach, gdzie istnieją niedostateczne szkoły gminne lub wiejskie, nie bylibyśmy skrępowani procedurą prawomyślności nauczycieli, niestosującą się do nauczycieli szkół prywatnych, moglibyśmy z całym zasobem sił zwalczać analfabetyzm, tę największą klęskę naszego kraju, zakładać kursa dla dorosłych, kółka domowego nauczania dla dziatwy miejskiej i wiejskiej, uniwersytety ludowe i t. d.

Stało się wszakże wprost przeciwnie.

Nietylko, że nie uznawano naszego prawnego stanowiska, lecz starano się zastąpić obowiązujące przepisy prawodawcze rozporządzeniami administracyjnemi, a nadto usiłowano regulować całą naszą działalność wyjątkowemi prawami, wydanemi na czas stanu wojennego.

Zniewoleni byliśmy, niestety, znaczną część naszej pracy i energii zużywać na zwalczanie całego szeregu przeszkód ze szkodą istoty rzeczy, samej sprawy oświaty...

Bliżej wtajemniczeni zdają sobie niewątpliwie sprawę, jak wielkiej potrzeba nam roztropności, jak wielkiej potrzeba nam rozwagi, zarówno w stosunkach na zewnątrz, jak i na wewnątrz, ile trzeba znoju, ile trzeba troski, aby uchronić naszą instytucyę — ten największy nabytek od przeszło lat 40...

. . . . . .

We wszystkich pracach kierowały nami od samego początku naszego istnienia pewne wytyczne zasady.

A więc przedewszystkiem, jak to miałem zaszczyt zaznaczyć na wstępie, uważaliśmy za najpierwsze zadanie Macierzy — oświatę szerokich mas ludowych miejskich i wiejskich.

Nie obniżając bynajmniej znaczenia szkół średnich dla całokształtu wychowania publicznego, lecz pozostawiając je przeważnie inicyatywie prywatnej, czuliśmy się w obowiązku wytężyć siły głównie tam, gdzie potrzeba była najpilniejsza, najbardziej nagląca.

Lud przecież jest całą naszą przyszłością, naszą ostoją w złej czy dobrej doli, lecz lud oświecony i przejęty poczuciem zarówno obywatelskich praw, jak i obywatelskich obowiązków.

. . . . . .

Winienem tu dodać jeszcze pewną uwagę: Wychowanie młodzieży wogóle a szerokich mas ludowych w szczególności, opierać się musi o zasadę religijno-moralną.

Daliśmy wyraz temu głębokiemu przekonaniu w odezwie z czerwca roku bieżącego, rozesłanej naszym kołom i okręgom i drukowanej w naszych pismach.

Tymczasem, skutkiem chwilowego nieporozumienia, odezwały się głosy, wprawdzie nieliczne, pomawiające nas, że w stosunku do religii i naszego duchowieństwa, nie zawsze stoimy na wyżej omówionem stanowisku.

Wkrótce jednak ten stosunek został zupełnie wyjaśniony, i nasza instytucya doznaje w dalszym ciągu pełnego zaufania i nader życzliwego poparcia od szanownych przedstawicieli naszego duchowieństwa.

. . . . . .

Jako drugą naczelną zasadę, postawiliśmy również od samego początku sprawę narodowego wychowania młodzieży w duchu szlachetnych, zdrowych rodzimych tradycyj i spółczesnych potrzeb kulturalnych.

Ażeby jednak spełnić to wielkie zadanie narodowego wychowania młodego pokolenia—Macierz, zgodnie ze swym programem, musi być dostępna dla wszystkich ludzi dobrej woli, dla wszystkich, w których nie wygasła miłość ojczyzny, dla wszystkich, stojących na gruncie narodowym, bez różnicy wyznania i poglądów politycznych...

Zrozumiano też ogólnie, że Macierz ma być wyrazem powszechnej narodowej woli, powszechnej a rozumnej troski o własną przyszłość, że gdy idzie o cały naród, wszelkie drugorzędne interesy stronnicze, klasowe muszą być podporządkowane ogólnemu dobru.

Kończąc jutro swoją kadencyę i nie mając zamiaru, dla poważnych powodów, przyjąć nowego mandatu, gdybym nawet miał być zaszczycony wyborem szan. zgromadzenia, czuję się w obowiązku, jako naczelny od samego początku kierownik Macierzy, z naciskiem zaznaczyć, że to bezpartyjne stanowisko naszej instytucyi jest niezbędnym warunkiem jej dalszego rozwoju, jej całej przyszłości, powiem więcej: jak w naszych warunkach, jej samego istnienia...

Pouczające pod tym względem wskazania czerpać winniśmy zarówno od przyjaciół, jak i od największych wrogów naszych.

Na tegorocznem czerwcowem walnem zgromadzeniu niemieckiego *Schulverein*'u w Austryi minister austryacki, Prade, pomiędzy innemi, wypowiedział następujące słowa, które pozwalam sobie tu przytoczyć:

„Niemieckiemu *Schulverein*'owi udało się wspaniale dokonać zjednoczenia wszystkich synów narodu do wspólnej pracy narodowej. W Towarzystwie naszem niema partyj, niema różnicy przekonań politycznych. Walki polityczne i nienawiść partyjną pozostawiamy na zewnątrz.

„Jest to życzeniem nas wszystkich, aby niemiecki *Schulverein*, wolny od wszelkich niedomagań i waśni życia politycznego, ochraniał i coraz wyżej podnosił naszą dziatwę, to najwyższe dobro naszego narodu.

„Oby i dzisiejsze walne zgromadzenie—mówił minister Prade—było jednym z tych słupów przewodnich, według których nasze Towarzystwo kroczy wciąż naprzód i posuwa naród na coraz wyższy szczebel ludzkiej kultury.“

Temi słowami przeciwnika, zawierającemi i dla nas cenną na przyszłość wskazówkę, kończę swoje przemówienie.“

Wyjaśnienia te, niezbędne w chwili bieżącej, przyjęto huraganem oklasków i wyrazami głębokiego uznania. Drugą podniosłą chwilą podczas Zebrania ogólnego było odczytanie depesz z rozmaitych stron kraju, od rozmaitych instytucyj i od osób rozmaitych. Były więc depesze: od Akademii umiejętności w Krakowie, od Senatu akademickiego uniwersytetu krakowskiego, od politechniki lwowskiej, od Zarządu Macierzy Księstwa Cieszyńskiego, od Zarządu „Straży“ wielkopolskiej, od arcybiskupa Bilczewskiego, od biskupa Bandurskiego, od biskupa Zwierowicza, od Tow. literackiego im. Adama Mickiewicza we Lwowie, od Wydziału nauczycieli szkół wyższych, od „Oświaty“ wileńskiej i „Oświaty“ kijowskiej.

Trzeci wreszcie moment, którego niepodobna pominąć milczeniem, był ten, kiedy przemówił Ignacy Chrzanowski.

„Jeśli Macierz chce być prawdziwą matką dla synów polskich — brzmiały jego słowa — jeśli chce rzeczywiście ducha na miliony rozdawać, to musi uczcić tych poprzedników swoich, którzy w ciężkich niezwykle warunkach przed nią w trudzie wielkim niwę oświaty ojczystej orali. Ci to bowiem cisi pracownicy zdziałali, że choć zginęło państwo polskie, ale żyje i wiecznie żyć będzie naród polski. Nie ratowali się oni ucieczką w ciche ustronia, gdy burza sroga szalała na okół, lecz mężnie wytrwali na posterunku, niosąc światło w ciemnie."

Tych nieznanych, wytrwałych, pełnych poświęcenia pracowników uczczono w osobie Konrada Prószyńskiego, redaktora Gazety Świątecznej, mianując go członkiem honorowym Macierzy.

„*Promykiem* — mówił Chrzanowski — nazwał się ten wielki zasługą człowiek — nie *promyk* to jednak, ale *promień* prawdziwy tego wielkiego słońca, które się duszą polską nazywa."

Na Zebraniu panowała atmosfera podniosła i skupiona. Wszyscy, którzy brali udział w tym pierwszym zjeździe oświatowym polskim rozumieli doskonale, że nie idzie tu o dźwięczne frazesy, o rzucanie haseł popularnych, ale że oto wielka instytucya, dźwignięta przez naród, zdaje teraz przed tym narodem sprawę ze swoich czynności, a wobec obcych, którzy tak chętnie robią nam zarzut z tego, że patryotyzm nasz jest powierzchowny i rozmiłowany w pozorach, zdaje także egzamin ze swych zdolności do pracy. Egzamin ten wypadł pomyślnie i może napełnić nas otuchą na przyszłość. Społeczeństwo, które potrafi pracować, które nie mając warunków normalnego bytu umiało jednak skupić tyle sił i dokonać tylu prac, złożyło dowód żywotności.

I żywotność ta niewątpliwie jest w naszym narodzie mimo wszystkie klęski, jakie na nas spadają. Proces naszego odrodzenia kulturalnego już się zaczął i powinien postępować stale naprzód. Mamy wprawdzie jeszcze bardzo wiele do zrobienia, bo nietylko musimy uprawiać pola pod nowy zasiew, ale jednocześnie plenić te chwasty, które się bujnie rozrosły na już uprawnych zagonach, ale ufni w swoje siły i pełni nadziei pójdziemy naprzód z wiarą, że nadejść musi dzień jasnej i słonecznej pogody dla tej ziemi, spowitej dziś jeszcze w mgły i chmury, smaganej wiatrem i słotą posępnego grudnia.

W chwili, gdy zeszyt Grudniowy oddany już był pod prasę, otrzymujemy bolesną wiadomość o zawieszeniu działalności Ma-

cierzy Szkolnej. Ajencya telegraficzna petersburska podaje, co następuje:

„Na mocy postanowienia generał-gubernatora zawieszono działalność Towarzystwa Polskiej Macierzy Szkolnej. Zamknięte zostają nietylko szkoły Macierzy w Warszawie, ale i w całym kraju.“

*

* *

Jesteśmy w sezonie odczytów. Odbywa się w Warszawie cała ich serya. Na katedrach publicznych stają ludzie rozmaitej miary i ci, którzy noszą znane i uznane nazwiska i ci, którzy dopiero debiutują. I jedni i drudzy mówią o rzeczach, które powinnyby interesować szerszy ogół, rzeczy bowiem nieinteresujących nie wypowiada się w formie lekcyi publicznej, ale komunikuje się je szczupłemu gronu specyalistów, pracujących w tym samym zakresie i na tem samem polu. Zdawałoby się więc, że w chwili, kiedy potrzeba podniesienia ogólnego poziomu naszej oświaty jest tak silna w całem społeczeństwie, na odczytach publicznych powinno być tłumnie. Dzieje się to atoli niezawsze.

Piszący te słowa miał właśnie sposobność słyszeć niedawno dwa odczyty, wypowiedziane wobec bardzo szczupłego grona słuchaczów, pomimo, że tematy ich były ze wszech miar interesujące.

Temat jednego odczytu brzmiał: „Stosunek Mickiewicza do Lamennais'go w epoce Towianizmu.“ Temat drugiego: „Hoene-Wroński, jako filozof.“ W obu tych materyach inteligentny ogół polski poinformowany jest bardzo niedostatecznie. Tymczasem znalazło się w Warszawie zaledwie kilkadziesiąt osób, które chciały swoje informacye w tym zakresie rozszerzyć i pogłębić.

Ten drobny na pozór, ale charakterystyczny fakt, rzuca pewne światło na dość znamienny objaw naszego życia umysłowego, mianowicie na słaby jego związek z przeszłością.

Nie chodzi nam o te dwa odczyty, bo gdyby nawet odbyły się one przy pełnych salach, to jeszcze to ich powodzenie bynajmniej nie rozwiązałoby kwestyi. Chodzi o rzecz bardziej zasadniczą—o to, że czterdzieści lat kwarantanny w zakresie umysłowego życia *polskiego* zrobiły swoje.

Całe światy myśli, któremi żyły pokolenia poprzednie są dla pokoleń współczesnych niemal zupełnie obce. Zapewne, każdy

zna Mickiewicza i każdy słyszał o Hoene-Wrońskim, jako o geniuszu, któremu przypisują cechy obłąkańcze.

Jaki jednak zachodził stosunek pomiędzy ideą przewodnią Lamennais'go, towianizmem a poezyą i życiem Mickiewicza — na to już nie każdy potrafi odpowiedzieć, jak nie każdy zna zasadnicze podstawy filozofii Hoene-Wrońskiego i drogi, któremi chodziła jego myśl, szukająca prawdy.

I gdyby tak było tylko z Hoene-Wrońskim, ale, niestety, jest znacznie gorzej. Oczywiście nie mówimy tu o elicie naszej inteligencyi, o tych, którzy oddają się badaniom rzeczy ukochanych, ale o przeciętnie wykształconym Polaku, który powinien uważać za swój prosty obowiązek poznanie życia duchowego narodu we wszystkich jego fazach, przynajmniej w tem wszystkiem, co było w niem najwyższe i najlepsze.

Czy obowiązek ten jest spełniony?

Nie należymy bynajmniej do pesymistów, ale mimowoli ogarnia nas pesymizm, gdy rozejrzymy się dokoła siebie i sprobujemy chociażby określić tylko stosunek przeciętnego ogółu do literatury ojczystej.

To zwierciadło ducha narodowego, dostępne dla wszystkich, coraz bardziej zaczyna zachodzić mgłą.

Jest cała masa dzieł, które znamy zaledwie z tytułów, a których treść jest dla nas najzupełniej obca. Nie sięgamy po nie. Zostawiliśmy je całkowicie badaczom dziejów naszej literatury. I możnaby to jeszcze zrozumieć, a poniekąd nawet wybaczyć, gdyby te dzieła należały wyłącznie do epok oddalonych. Ale nie. Obok dzieł, należących do wieku złotego, nietknięte są także przez szerszy ogół dzieła, należące do epoki odrodzenia narodowego z końca wieku 18 i początku wieku 19. Po za tem zaś znajomość literatury polskiej jest tak powierzchowna, że często graniczy z zupełną ignorancyą.

Prawda, że każdy człowiek wykształcony ma pietyzm należny dla Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego i prawie każdy przeczytał przynajmniej raz w życiu ich pisma. Ale czy je także przemyślał? Tu—gdybyśmy mogli przeprowadzić ścisłe badanie, powychodziłyby na jaw rzeczy bardzo przykre, bo okazałoby się, że chociaż każdy umie na pamięć „Powrót Taty," to jednak na palcach można policzyć tych, którzy czytali „Kurs literatur słowiańskich," wzbijali się ze Słowackim na szczyty, gdzie przemieszkiwał jego duch, lub usiłowali zgłębić filozoficzną myśl Krasińskiego.

Cóż dopiero powiedzieć o innych przedstawicielach myśli polskiej, od Kołłątaja, Staszica i Jezierskiego aż do Supińskiego, Trentowskiego i Cieszkowskiego?

Nic z nich niema w pokoleniu współczesnem — tylko nazwiska, tylko suche w najlepszym razie tytuły dzieł. Za to mówi to pokolenie bardzo chętnie i bardzo dużo o ciemnych stronach życia polskiego w dawnych wiekach i potępia je bez zastrzeżeń.

Zdawałoby się, że może ma do tego prawo, zdobyte przez mozolne studya historyczne, przez pielęgnowanie tej nauki? Gdzie tam! I znajomość historyi jest bardzo niedostateczna, oparta nie na najwybitniejszych pracach naszych uczonych, ale na tendencyjnie pisanych broszurach lub jaskrawych artykulikach dziennikarskich.

Jest źle i złożyło się na to wiele przyczyn. Obok jednak przyczyn zewnętrznych, odgrywa tu także pewną rolę brak żywych tradycyj w bardzo wielu rodzinach.

Nić tej tradycyi, widomie, w naszych oczach zrywa się. To, czem jeszcze żyli nasi ojcowie, dla wielu z nas staje się *historyą*, niczem innem tylko historyą, na którą coraz szersze koła zaczynają patrzeć bez tego *uczucia*, jakie jest konieczne do *odczucia* przeszłości narodowej. Stąd ta przeszłość, mimo całego pietyzmu, jaki mamy dla niej, staje się dla nas coraz mniej zrozumiała, może nawet coraz bardziej obca.

„Przeradzamy się“ odpowiadają na to bezwzględni wielbiciele postępu. „Idziemy ku czasom nowym, budujemy przyszłość.“

I owszem budujmy ją, ale budujmy także i z tego materyału, który nam pozostał po pokoleniach poprzednich. Starajmy się utrzymać ciągłość naszego rozwoju duchowego. Nie zawieszajmy w powietrzu Polski demokratycznej, ale wyprowadźmy ją w prostej linii od tej idei potężnej i mocnej, jaka się zrodziła już na sejmie czteroletnim. Nie zapominajmy, że ta idea przewinęła się przez całe dzieje Polski porozbiorowej i kierowała jej sprawami tak samo podczas powstania listopadowego, jak później na emigracyi, w r. 1848 i w r. 1863 i że zawsze była ona *polską ideą demokratyczną*. Odnajdziemy jej ślady w naszej literaturze, w pismach wielkich naszych statystów wieku XVIII i w pismach wielkich naszych poetów doby romantycznej. Szukajmy tylko.

Niestety, pokolenie dzisiejsze z coraz mniejszą chęcią oddaje się tym poszukiwaniom i snadniej idzie po wskazówki do obcych pisarzy, niż do swoich własnych.

Duch narodu wskutek tego zatruwa się. Umysłowość polska pokrywa się coraz grubszą warstwą pokostu międzynarodo-

wego i przepaja się coraz mocniej sokami, zaczerpniętemi skądinąd. Ma jeszcze wprawdzie swój rdzeń własny, rodzimy, ale i temu rdzeniowi zaczyna już zagrażać niebezpieczeństwo. Tymczasem utrzymanie tego rdzenia w jego sile, w jego zdrowiu, w jego zdolności do samodzielnego bytowania, jest jedną z najważniejszych kwestyj w naszym pochodzie ku przyszłości.

U mety naszej ostatecznej, ku której wiodą nas wyroki dziejów i wysiłki całych pokoleń, możemy stanąć w innym *kształcie*, ale nie możemy stanąć o innej *treści*. Ta treść — to *Król-Duch* narodu, którego płaszcz królewski nie może stleć i rozpaść się w kawały.

Kto to rozumie, powinien dokładać wszystkich starań ku temu, ażeby ciągłość rozwojową myśli polskiej utrzymać, ażeby w pokoleniu, do którego sam należy i w pokoleniu, które po nim przyjdzie, prócz rzeczy nowych i aspiracyj nowych było także poczucie nierozerwalnego związku z przeszłością i znajomość tych źródeł, w których dusza narodu obmywa się do czysta i odnajduje swój własny, nieskażony obraz.

Źródła te są w tradycyach narodowych i w literaturze ojczystej. Pierwsze należy pielęgnować, drugą otaczać nietylko miłością i pietyzmem, ale badać i studyować.

Przez długie lata nie wolno nam było tego czynić. Dzisiaj o wiele nam już łatwiej spełnić ten swój obowiązek. Interesujmy się więcej dziełami naszych wielkich pisarzy i wyciągajmy po nie śmiało ręce, w przekonaniu, że znajdziemy tam zawsze nietylko pokrzepienie, ale i to światło pożyteczne, które nam może rozświetlić w niejednym kierunku mrok, zalegający naszą drogę obecną.

* * *

Od czasu, kiedy Towarzystwo przyjaciół nauk przestało istnieć, Warszawa nie miała ogniska naukowego na miarę potrzeb kraju. Rolę takiego ogniska odegrała tylko w pewnym stopniu Szkoła główna, aczkolwiek krótkie jej istnienie było zaledwie rzuceniem fundamentów pod budowę, jaka niewątpliwie stanęłaby w przyszłości, gdyby siły naukowe polskie, wytworzone przez tę wyborną uczelnię, znalazły się w warunkach odpowiednich. Nie-

stety, tych właśnie warunków zabrakło. Szkoła główna musiała ustąpić miejsca uniwersytetowi rosyjskiemu, który, jak to już stwierdziły niejednokrotnie pióra bardzo kompetentne, że przypomnimy artykuł prof. Askenazego w tej sprawie, z nauką polską nie miał nic wspólnego, a z nauką wogóle bardzo niewiele. To też wszyscy uczeni polscy, o ile nie wyemigrowali za granicę lub nie poświęcili swoich sił uniwersytetom galicyjskim, trzymali się zdala od tego przybytku wiedzy urzędowej.

Rzecz oczywista jednak, że musieli oni odczuwać, i to bardzo silnie, brak naturalnego łącznika pomiędzy sobą, brak instytucyi, gdzie skupiałyby się wszystkie cele pojedyńcze i wszystkie wysiłki rozproszonych jednostek.

Myślano też niejednokrotnie nad stworzeniem Towarzystwa naukowego, które zapełniłoby tę dotkliwą lukę, istniejącą w naszem życiu wbrew wymaganiom i potrzebom tego życia. Podejmowane próby nie dały jednak żadnych wyników. Władze zajmowały stale wobec tych projektów stanowisko tak nieprzychylne, że żadne argumenty nie zdołały ich usposobić bezstronnie dla nauki polskiej.

Ostatnia próba podjęta była przed kilku laty, po śmierci prof. Marcelego Nenckiego. Wówczas to dla uczczenia jego zasług niepospolitych projektowano założenie instytucyi naukowej prywatnej, opartej całkowicie na ofiarności społeczeństwa i na siłach wybitnych jego przedstawicieli w rozmaitych gałęziach wiedzy. Rezultatu jednak nie osiągnięto.

Dopiero ostatnie lata przyniosły pewną zmianę w nastroju władz i oto dzisiaj stoimy wobec faktu, który aczkolwiek zastaje nas w chwili bardzo ciężkiej i w dobie, kiedy uwaga publiczna w zupełnie inną skierowuje się stronę, nie mniej jest faktem dużego znaczenia.

W Warszawie powstaje *Towarzystwo naukowe*. Świeżo właśnie odbyło się zebranie organizacyjne tej nowej instytucyi. Na zebraniu tem powołano na prezesa Towarzystwa—zasłużonego badacza przeszłości ziem ruskich, Aleksandra Jabłonowskiego, na jego zaś zastępcę, prof. Samuela Dicksteina.

Towarzystwo, zgodnie z zatwierdzoną przez władze ustawą, dzielić się będzie na trzy wydziały: 1) wydział języka i literatury, na którego czele stają: prof. Adam Antoni Kryński, jako przewodniczący, zaś Ignacy Chrzanowski, jako sekretarz; 2) wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii pod przewodnictwem p. Witolda Załęskiego i z p. Aleksandrem Kraushar-em, jako sekretarzem i wreszcie 3) wydział matematyczny i przy-

rodniczy, któremu przewodniczyć będzie p. Józef Eismond, a sekretarzować p. Jan Tur.

Obowiązki generalnego Sekretarza Towarzystwa przyjął na siebie na razie mec. Adolf Suligowski, do niego też należy się zwracać we wszelkich kwestyach, dotyczących instytucyi.

Myśl zawiązania tej instytucyi powziął był jeszcze na krótko przed swoim zgonem ś. p. prof. Włodzimierz Spasowicz, który wespół z profesorami Ignacym Baranowskim i Władysławem Holewińskim poczynił pierwsze kroki prawne dla urzeczywistnienia tego projektu. Trzy lata jednak ubiegły, zanim nadeszła chwila istotnego urzeczywistnienia.

Przypadło ono, jak to już zaznaczyliśmy, na chwilę ciężką, nie mniej jednak na chwilę, kiedy po latach zamętu rewolucyjnego następuje w społeczeństwie pewien coraz wyraźniejszy zwrot w kierunku wytężonej pracy kulturalnej. Ta praca ma wprawdzie, na razie, przedewszystkiem na widoku szerokie masy i więcej musi dbać o sprawy nauki elementarnej, niż o koronę gmachu naszej oświaty narodowej, jaką niewątpliwie jest *Towarzystwo naukowe*, nie znaczy to wszakże, aby opinia zbiorowa zachowała się wskutek tego obojętnie wobec faktu powstania instytucyi, zdawna pożądanej. Przeciwnie, z całą pewnością można twierdzić, że w kołach, które interesują się sprawami nauki, wywoła to dużą i niekłamaną radość. Trzeba tylko dbać, aby się te koła rozszerzyły.

Ś. p. Stanisław Wyspiański.

Przestał cierpieć w dniu 27-go listopada o godzinie 5-ej po poł. w krakowskim zakładzie leczniczym d-ra Rutkowskiego; przeżył zaledwie lat 38, z których ostatni dziesiątek był najważniejszym okresem jego poetyckiej twórczości, jego rozgłośnej sławy i jego doczesnej męczarni.

Silny i odporny z natury organizm nurtowała oddawna choroba, znęcająca się nad nim okrutnie, szczególniej na dwa lata przed śmiercią; wyżerała z niego wszystkie soki żywotne i trzymała na łożu boleści, jak Łazarza—kazała mu zamierać powoli, cal po calu...

Aż wreszcie śmierć, choć tak przedwczesna dla człowieka w rozkwicie wieku, zlitowała się nad męczennikiem i przyniosła wyzwolenie od cierpień.

Umierał przytomny do ostatniej chwili, w otoczeniu najbliższych i najwierniejszych przyjaciół, o zmierzchu listopadowego dnia, wołając, jak konający Goethe: „Światła!... jak najwięcej światła!“ którem pragnął nasycić jeszcze gasnące oczy i odpędzić lęk, ogarniający go przed wieczną nocą.

Rodzinne jego miasto, Kraków, uczciło go wspaniałym pogrzebem i wyznaczyło mu miejsce spoczynku w grobie zasłużonych na Skałce.

Zostaje po nim puścizna talentu obfita, jak na twórczość stosunkowo niedługą, w dwóch dziedzinach: sztuki i literatury, malarstwa i poezyi, a ten dualizm uzdolnienia sprawia, że owe dwa rodzaje jego twórczości przenikają się wzajemnie i że w dziełach malarza wybitnie zaznacza się poeta, zaś w dziełach poety tak często przewagę bierze malarz.

I stąd może, wobec nierówno umiarkowanych warunków, jakimi ten niewątpliwy artysta rozporządza, odbiera się równie często wrażenie, iż lepiejby było, gdyby Wyspiański potrafił był wymalować to, co napisał, a napisał to, co wymalował.

Z tem wszystkiem, i poezya, i sztuka opłakiwać muszą stratę talentu, który posiadał na tle dzisiejszej doby najwięcej wybitnych cech indywidualnych, najśmielsze aspiracye górne, najlotniejszą fantazyę poetycką i szczerość gorących, głębokich uczuć posępnej jakiejś miłości a kapłańskiej czci dla jedynego bóstwa, któremu się poświęcił i służyć pragnął—dla Polski.

Kochał ją smutny i chmurny, bolejący nad jej upadkiem i poniżeniem, z goryczą żalu w sercu do tych wszystkich, którzy w jego pojęciu niemoc narodu powiększają i poza pustym frazesem na żaden „czyn“ zdobyć się nie umieją; a chociaż istoty tego czynu sam dokładnie określić nie zdołał, pragnął go i wołał o niego, jako o jedyny środek wyzwolenia i usunięcia klęski narodowej.

I to może jedna z najważniejszych przyczyn jego ogromnej, szybkiej, gwałtownie wzrastającej wziętości po ukazaniu się „Wesela“ na scenie krakowskiej i w książce przed sześciu laty.

Od tej chwili stał się dla młodszego pokolenia „poetą narodowym,“ którego cała rzesza zbyt gorących chwalców i wielbicielek chciała na własnych barkach ponieść do Panteonu naszej poezyi i postawić w jednym rzędzie z Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim.

Bezkrytyczne uwielbienie żadnemu nawet geniuszowi trwałej i zaszczytnej korzyści nie przyniosło, ani dziełom jego niepożytej wartości nie dodało.

Bez ubliżenia pamięci i rzetelnej wartości Wyspiańskiego, jako artysty i poety, powiedzieć już dzisiaj można, że ów przesadny kult dla jego talentu i utworów poprzestawał więcej na tem, czego poeta pragnął, zamierzał, do czego dążył, aniżeli na tem, czego w swoich dziełach rzeczywiście dokonał.

Nie umniejszy to jego znaczenia ani zasługi, jeżeli na sprawiedliwą oceniając go miarę, w dobie tak bezpłodnej na prawdziwie wielkie talenta, nie przyzna mu się miana geniuszu, nie wydźwignie koniecznie na piedestał pomnikowych, potężnych postaci, przed któremi wieki przechodzą z pochyloném czołem, chociaż współczesność nie zawsze przed niemi odrazu ugina kolano; wystarczy dla jego sławy pośmiertnej i tytułu do uznania trwalszego, kiedy się powie, że wśród chaosu naszych czasów, wśród tej szarej mgławicy nowych światów, które się tworzą dopiero dla przyszłości, zaświecił jedną z pierwszych gwiazd nowej konstella-

cyi na niebie sztuki i poezyi,—że obok odblasków wieczornej zorzy romantyzmu po wielkich słońcach, które dawno zaszły, świecił i własnemi promieniami o żywych, jaskrawych, często osobliwych barwach; że droga jego była krótką, ale szła wysoko i że szlachetnym znaczyła się blaskiem.

Czas zresztą, który jest probierzem wszelkiej żywotności, okaże niewątpliwie, ile nieśmiertelnych pierwiastków prawdziwej poezyi i sztuki zawarły dzieła Wyspiańskiego, co z wiecznego piękna i prawdy przetrwa w nich niezniszczalnie, jeżeli mają być zaliczone do szczerych klejnotów w skarbcu naszej literatury.

Ostatni ten wyrok sprawiedliwy i bezstronny o nich wyda dopiero przyszłość, ale i ona nie zdoła tego uczynić, jeżeli nie znajdzie wpierw klucza do tajnego alfabetu, jakim przeważnie jest pisana większość jego utworów pod względem ideowym; może i dla niej wizyonerstwo i symbolizm „Legendy,“ „Wyzwolenia,“ „Akropolisu“ i „Wesela“ pozostanie tajemniczą księgą Sybilli, zamkniętą na siedm pieczęci.

Bywa też prawdziwym tragizmem poetów i twórców w rodzaju Wyspiańskiego, że pozostają niezrozumiani właśnie wtedy, kiedy najgoręcej pragną swoje idee zmieścić i zaszczepić w duszę całych tłumów i przekonani są, że zdołali wypowiedzieć wszystko jasno i wyraźnie, nawet to, co mętnie i niewyraźnie zarysowało się w ich własnym umyśle.

Talent twórcy „Kazimierza Wielkiego,“ „Klątwy“ i „Bolesława Śmiałego“ miał w sobie pod jednym względem dużą wyższość nad wszystkimi innymi z tej samej plejady „młodych,“— znajdował natchnienie tylko w wielkich, śmiałych tematach i lubował się w ogromie bohaterów, których sobie wybierał — uczuć zbiorowych, które chciał wyśpiewać — zagadnień, które usiłował rozwiązywać.

W każdym razie był zjawiskiem niepospolitem i gdyby danem mu było rozwijać się w warunkach normalniejszych, gdyby tego silnego ducha nie krępował organizm trawiony chorobą i paraliżowany niemocą, twórczość jego byłaby niewątpliwie doskonalszą i pełniejszą, skrystalizowaną w wykształceńszych zarysach i wówczas pozostawiłby po sobie klejnoty niepożytej wartości nietylko na czas dzisiejszy, ale i dla wielu następnych pokoleń.

Pokój mu wieczny i światło, którego tak pragnął przed zgonem!

M. G.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Jeszcze przed kilku laty, za ministeryum Mirskiego, gdy zapowiadać się począł nowy liberalny kierunek w sferach rządzących, kilku ludzi, świadomych owego zwrotu, umyśliło skorzystać z chwili i zdobyć dla kraju naszego prawo założenia instytucyi popierającej rozwój nauki polskiej w Królestwie, a stojącej na fundamentach tradycyi umiłowanego niegdyś Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Inicyatorowie tego przedsięwzięcia — którego, mówiąc nawiasem, duszą był ś. p. Włodzimierz Spasowicz — chcieli stworzyć wówczas instytucyę popierającą wszystkie gałęzie nauki, nie kusili się jednak o założenie Akademii, na co środki materyalne i rozporządzalne w kraju siły naukowe narazie były niewystarczające. Chodziło o towarzystwo naukowo-literackie i o zgrupowanie dokoła niego wszystkich w kraju przyjaciół nauk i kierowników pracy społecznej. Ponieważ w tym czasie nie było u nas jeszcze możności zakładania żadnych ognisk naukowych, towarzystw, bibliotek, muzeów, (ba! nawet zabronionem było wydawanie czasopism historycznych), ponieważ od wielu lat utyskiwano na niemożność zogniskowania rozproszonych po kraju osób, pracujących w specyalnych zakresach, ponieważ wreszcie sytuacya finansowa owej chwili była wcale niemajgorsza — można więc było wówczas snuć jaknajbardziej różowe nadzieje, co do rozwoju projektowanej instytucyi. I nie ulega wątpliwości, że gdyby „Towarzystwo Naukowe Warszawskie“ było powstało w owym czasie, to wnet po jego zatwierdzeniu posypałby się szereg hojnych darów i kraj cały byłby użył największego wysiłku, właściwej sobie w takich wypadkach błyskawicznej energii, aby postawić na należytej stopie ową, jak mówczas, jedyną instytucyę polską. Za dowód, że takby rzeczywiście było niech posłuży fakt — że jeden z inicyatorów hojny dar stu tysięcy rubli na ten cel przeznaczał; a cały szereg osób byłby poszedł jego śladem i dałby możność postawienia in-

stytucyi odrazu na trwałych podstawach. Przypadek jednak, czy złe fatum zrządziło, że projekt został projektem, właściwie uwiązł pod suknem ministeryalnem, a ustąpienie Mirskiego kres ostateczny sprawie położyło.

Od tego czasu wiele się zmieniło i to nietylko na widnokręgu politycznym. Korzystając z prawa o stowarzyszeniach powstał w naszym kraju cały szereg instytucyj, poświęconych popieraniu różnych gałęzi nauk, cały szereg towarzystw specyalnych, i to nietylko w Warszawie, ale na całej przestrzeni kraju. Objaw to nie jest dziwny. Wszędzie tkwiąca chęć pracy, społecznej i naukowej, tamowana przez dziesiątki lat, znalazła w ten sposób swoje ujście. To jednak spowodowało znaczne rozproszenie sił materyalnych, mogących przyjść z pomocą rozwojowi nauk w kraju, oraz pewnego rodzaju rozlokowanie szczupłych u nas sił naukowych, pracujących w rozmaitych zakątkach kraju *pro domo sua* dla własnych potworzonych obecnie instytucyj.

Tak tedy sytuacya dzisiejsza jest zgoła inna, niż podczas zakładania pierwszych fundamentów pod dzisiejsze „Towarzystwo Naukowe Warszawskie“ — i dziś kiedy się dowiadujemy o urzędowem jego ukonstytuowaniu, mianowicie o wyborze urzędników Towarzystwa — przychodzi myśl, może w danym wypadku nie nazbyt sceptyczna — czy w chwili obecnej, w chwili tak znacznego zubożenia kraju, w chwili kiedy wszystkie grupki ludzi naukowo pracujących w kraju zogniskowały się w różne specyalne towarzystwa, potworzyły różne dla siebie projekty prac i zaprzęgły się już do takowych — czy w takiej chwili starczy naszemu społeczeństwu siły zarówno naukowej, jako też materyalnej, aby od fundamentów wybudować nową, wszechstronną, naukową, centralistyczną instytucyę, i to instytucyę wielce poważną, taką, któraby stać się miała w przyszłości koroną nauki polskiej w kraju tutejszym. I na myśl przychodzi, czy w danej chwili, owi nieliczni naukowi pracownicy, zobowiązawszy się już co do pracy dla instytucyj, do których weszli, znajdą czas i możność pracowania po za tem dla tego wielkiego naukowego centrum, które stojąc na czele naukowych instytucyj całego Królestwa, będąc jakgdyby Akademią w Warszawie, powinno przecie odpowiedzieć swojemu wielkiemu zadaniu, chociażby w imię zasady *noblesse oblige*. Nie może stać przecie taka stołeczna instytucya na poziomie prowincyonalnego towarzystwa naukowego, względem którego ma się małe wymagania.

To pierwsza obawa jaka się nastręcza; druga niemniej ważna, to, czy zbierze się grosz odpowiedni, bo w danym razie potrzebny jest grosz nielada. Gdyby na początek działalność T-wa ograniczyć się miała tylko do wydawania po jednym tomie rocznie w każdym wydziale, to i w takim wypadku doliczając konieczne wydatki na utrzymanie biura, redaktora, lokalu i t. p. potrzebaby rocznie od 15 do 20 tysięcy rubli. Czy społeczeństwo nasze, wyczerpane do głębi różnemi składkami, powołaniem do życia całego szkolnictwa krajowego, a w niedalekiej przyszłości i innych zapewne instytucyj, czy może ono ten budżet T-wa pokrywać. Ustawa T-wa orzeka, że członkowie rzeczywiści opłacać będą po 10 rubli (§ 12) pod rygorem usunięcia z T-wa (§ 13), ale jednocześnie taż ustawa powiada, że członkiem może być tylko osoba posiadająca stopnie naukowe, lub też znana z prac w dziedzinie nauki i literatury (§ 8). W ten sposób już zupełnie niemożebnem się okazuje pokrycie najskromniej-

szego nawet budżetu 15000 rubli, bo żadną miarą nie można liczyć na zgrupowanie się w naszym kraju 1500 osób mających powyższe kwalifikacye. Pozostaje więc jeden tylko sposób na zaradzenie złemu, mianowicie zebranie bardzo wielkich jednorazowych darów na rzecz T-wa, od których procent mógłby pokrywać znaczną część budżetu; inaczej niemożebnym jest rozwój T-wa, któremu szczerze powodzenia życzymy.

Przyjrzyjmy się teraz samej instytucyi według ustawy zaregestrowanej blizko rok temu, bo 16 lutego 1907 roku. Towarzystwo ma na celu rozwijanie i popieranie badań we wszystkich gałęziach wiedzy, oraz ogłaszanie dzieł naukowych w języku polskim; ma dostarczać członkom swym *środków do prowadzenia badań naukowych* (§ 2), urządzać wycieczki naukowe, ogłaszać konkursy, urządzać posiedzenia, wykłady, odczyty, *utrzymywać biblioteki*. Dzieli się (§ 3) na trzy wydziały a) językoznawstwa i literatury, b) nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii, c) nauk matematycznych i przyrodniczych. Każdy wydział tworzy komisye (§ 4). Członkowie dzielą się na rzeczywistych (z osób posiadających stopnie naukowe lub też znanych z prac w dziedzinie nauk i literatury) opłacających pod rygorem usunięcia z członkostwa 10 rb. rocznej składki (§ 7, 8, 12), oraz honorowych (z osób zaszczytnie znanych z prac naukowych lub literackich oraz szczególnie zasłużonych dla T-wa § 15). Po za tem ustawa omawia porządek i kategorye zebrań, urzędy T-wa, wybory do Zarządu i w końcu środki majątkowe T-wa. Ustawa uwzględnia dwie kategorye kapitałów: obrotowy i zasobowy. § 40 powiada, że kapitał zasobowy przeznaczony jest głównie *na założenie, uzupełnienie i utrzymanie bibliotek* i innych pomocy naukowych.

Po rozpatrzeniu się w ustawie przekonywamy się, że nie odbiega ona wielce od całego szeregu podobnych ustaw towarzystw naukowych specyalnych, które na terytoryum Królestwa powstały w ostatniem dwulecie, ma ona tylko tę właściwość, że będąc Towarzystwem ogólno naukowem, obejmuje w jedno wszystkie zamierzenia owych wyspecyalizowanych towarzystw.

Nie będziemy tu cytowali całego szeregu powstałych obecnie towarzystw naukowych, (więc historycznego, prawniczego, psychologicznego i t. p.), aby wykazać jakie placówki pracy naukowej są przez nie zajęte, wskażemy tylko dla przykładu na dwa punkty ustawy Tow. Naukowego, podkreślone w powyższym ustępie, mianowicie a) udzielania zapomóg dla prowadzenia badań naukowych, b) utrzymywania bibliotek, któreto drugie zadanie jest szczególnie uwzględnione, gdyż § 40 przeznacza nań fundusze z kapitału zasobowego. Oba te przedsięwzięcia dla naszej nauki są pierwszorzędnego znaczenia i bardzo żywotne. Ale co do zapomóg na cele naukowe, istnieje chlubnie zapisana w dziejach naszego piśmiennictwa naukowego kasa im. dr. Mianowskiego, która zyskała tak poważne uznanie w kraju, że życzyć należy aby nadal w dotychczasowem tępie się rozwijała. Co zaś do bibliotek, to istnieje od roku w Warszawie specyalne towarzystwo biblioteki publicznej, w której — o ile uznajemy gwałtowną potrzebę utworzenia wielkiej biblioteki polskiej w Warszawie — powinny się skupić usiłowania wszystkich towarzystw naukowych i prywatnych zbieraczy około gromadzenia materyałów bibliotecznych, gdy tymczasem widzimy, że niezliczony szereg nowych towarzystw, każde na własną

rękę, dąży do zakładania biblioteki lub nawet bibliotek. Zrozumiałem jest, że każda naukowa instytucya musi mieć swoją specyalną bibliotekę podręczną, ale T-wo Naukowe jest ogólno naukową instytucyą, a biblioteka tego T-wa miećby powinna charakter ogólnej publicznej biblioteki. Zapewne, u narodów zasobnych, zagospodarowanych, a co najważniejsza, mających rządowe poparcie dla instytucyj naukowych, równorzędnie prowadzone być mogą podobne instytucye, ale u nas, w chwili dzisiejszej, pożądanemby się zdawało skupianie jednakowych przedsięwzięć, a nie ich rozstrzeliwanie.

Reasumując to wszystko przyznać musimy, że nowopowstające T-wo Naukowe stoi wobec bardzo poważnych trudności. Ma ono przed sobą jak gdyby dwie drogi. Jedną jest wysunięcie T-wa do rzędu pierwszorzędnych instytucyj naukowych o charakterze Akademii. Ale w takim razie ogromnych trzeba środków materyalnych — w dzisiejszej chwili prawie niemożebnych do zebrania. Zapewne, idea utworzenia w Warszawie Akademii jest wielka, czuć w niej tętno szerokich aspiracyj, liczenia zamiarów, a nie środków, ale czy jest ona wogóle wykonalną? Każdy naród i państwo ma swoją jedną akademię. Czy mybyśmy mogli się zdobyć na drugą, gdy Krakowska jest podobno najuboższą w świecie, podobno nawet uboższą od Zagrzebskiej? I czy tworząc takową, nie uszczuplilibyśmy dochodów i zapisów Krakowskiej Akademii, którą tak stale kraj tutejszy zasila, że tylko wspomnimy o ostatnim stutysięcznym darze ś. p. Spasowicza.

Druga droga, jaką obrać może instytucya, to zespolenie wszystkich naukowych towarzystw, które w ostatnim czasie powstały, w jedno Towarzystwo Naukowe, którego wydziałami byłyby istniejące już specyalne T-wa. Jest to przedsięwzięcie niełatwe, ale wobec konieczności zgrupowania nielicznych dotąd u nas sił naukowych—może jedynie odpowiednie.

Wierzmy, że ludzie, którzy stanęli na czele Towarzystwa Naukowego, trudności, o których tu nadmieniliśmy, zbadali, rozważyli należycie i na pokonanie ich mają odpowiednie sposoby. W takim razie miejmy wiarę, że stoimy wobec poważnego faktu w życiu naukowem nietylko Warszawy, ale całego Królestwa i miejmy nadzieję, że instytucya nowa obrawszy tę czynną drogę potrafi zespolić i złączyć w sobie wszystkie warsztaty naukowe w jedną wielką kuźnicę ku rzetelnemu pożytkowi nauki polskiej.

Do Zarządu T-wa weszli, jako prezes Aleksander Jabłonowski, jako wiceprezes Samuel Dickstein, na czele pierwszego wydziału językoznawstwa i literatury stoją jako przewodniczący A. A. Kryński, jako sekretarz I. Chrzanowski, w II wydziale historyi i filozofii, jako przewodniczący W. Załęski, jako sekretarz A. Kraushar, w III wydziale matematyczno-przyrodniczym jako przewodniczący Ejsmond i jako sekretarz p. Tur.

F. P.

— Biblioteka Ordynacyi hr. Krasińskich w bieżącym miesiącu zyskała znowu kilka bardzo rzadkich druków. Między innemi nieznany dotąd w wykazach bibliograficznych druk rzymski, dotyczący klasztoru Nieświeskiego benedyktynek z XVII w. Tytuł jego brzmi:

Officium[1]) In Festo *S. Euphemiae Virginis*, Et Martyris *Pro Templo Nesuisiensi.* Sacrarum Virginum Ordinis S. Benedicti | U dołu: *ROMAE* Apud Aloysium Zannettum *MDCV Superiorum Permissu* | Na karcie tytułowej miedzioryt, przedstawiający dwie postacie świętych: z lewej strony św. Benedykta, trzymającego w prawej ręce pastorał, w lewej model kościoła (za nim kruk na ziemi); z prawej św. Eufemię, trzymającą w prawej ręce palmę, w lewej miecz. W głębi, między obu postaciami, widoczek z pagórkami i klasztorem, u dołu podpis: S. BENEDICTVS ABBAS i S. EVPHEMIA V. et M. Jest to podobno wizerunek obrazu znajdującego się w klasztorze benedyktyńskim w Nieświeżu.

Na str. 43 nieliczbowanej w końcu:

Officium supradictum duplex cum octa | ua pro festo Sanctae Euphemiae Virgi- | nis, & Martyris, ex ordine sacrae Ri- | tuũ Congregationis reuisum, emenda- | tum, & ab Illustriss. & Reuerendissimo D. Cardinali Baronio subscriptum ea- | dem sacra Rituũ Congregatio appro- | bauit, & ut á Monialibus monasterij Sanctae Euphemiae ordinis S. Benedicti | Nesuisij libere & licite recitari, & etiá imprimi possit licentiam concessit, Ad | lustantiam, & supplicationem Illustris- | simi *D. Nicolai Christophori Radzivil* Olicae & | Nesuisij Ducis, & c. dicti Monasterij fundatoris. die 11. Decembris. 1604. PT. EPISC. OSTIEN. | CARD. COMEN. Locus sigilli † I. P. Mucantius Secret. Congregat.

Na str. 44 nieliczbowanej.

Rycina przedstawiająca ozdobny herb Radziwiłłów, nad nim litery NC—R pod herbem *ANGELLVS ODVCTIVS ABBAS Sancti Valentii procurauit.*

Drugiem, równie rzadkiem, dziełem jest *Eutropiusza Kronika Państwa Rzymskiego.* Dziełko to znane jest tylko ze wzmianek Lelewela (Bibl. ksiąg dwoje, I, 187), Jochera (498) i Raczyńskiego (XC), skąd notowane przez Estreichera w T. XVI, 111. Niema jednak pewności, aby dziełko to w jakiejkolwiek bibliotece się dziś znajdowało.

Wydanie, notowane przez Estreichera, wyszło z drukarni Melchiora Neringk'a w Grodzisku w r. 1581. Egzemplarz zaś, obecnie nabyty przez bibliotekę Ord. Krasińskich, jest wydany w Toruniu, w 1582 r. Jestto egzemplarz co prawda nie kompletny (zawiera 12 kart początkowych), podajemy jednak jego tytuł, bo nie wiadomo, czy kiedykolwiek całkowity egzemplarz się odnajdzie. Brzmi on: KRONIKA | Eutropiusza zacnego Historyka, | Państwa ze wszech wielkiego, á | Monarchicy zacney y podziwney La- | du Rzymskiego: do czythánia bárzo | potrzebna á véieszná wszem w | obeć ludziom. | Teraz nowo z Łácińskiego ná | Polskie, z wielką pilnością przełożoną —. Dokoła obwódka i wstawka u dołu. Po tytule niema dedykacyi do Jana Zborowskiego, notowanej w wydaniu 1581. Na karcie pierwszej z kustoszem A poczynają się księgi pierwsze, na karcie 7-ej kustosz B „Eutropiuszowey Historiey ksie- | gi wthore.“ Jestto więc, sądząc z tytułu, drugie wydanie Kroniki Eutropiusza w języku polskim. Utwierdza nas w tem przekonaniu oko-

[1]) Wyrazy, złożone kursywą, drukowane są czerwonym drukiem.

liczność, że egzemplarz niniejszy jest oprawny z kroniką mistrzów pruskich Musiniusa drukowaną w roku 1582 przez tegoż Melchiora Neringk'a w Toruniu. Z porównania druku i papieru okazuje się, że wyszedł z tejże tłoczni. Stąd przypuszczenie, że wydanie nasze jest przedrukiem wykonanym w r. 1582 w Toruniu.

Nieznaną jest także broszurka *Grzegorza Szepskiego* p. t. Joannis Gregorii Macri Szepsii De Vera Gloria Libellus In promotione Baccalaureorum publicè ab ipso Autore in Illustrissima Academia Cracouiensi, Anno Domini, Millesimo Quingentesimo Sexagesimo secundo, recitatus. Ode Sapphica.

Gloriam virtus parit, & gubernat:
Gloria at Pulchrum sequitur, Bonumque
Est Deus Pulchrumque, Bonumque summum, & Gloria solus.
Gloria in coelis Deus est perennis:
Gloria in Mente est Patris ast imago.
Gloria in terris Sophia est bonorum, & Inclyta virtus.

Cracovia Lazarus Andreę imprimebat. Dedykacya zatytułowana: „Preclaro et nobili domino Andreae Schadkovio, salinarum Cracoviensium notario studiosorum fautori optimo..." obejmuje stron pięć i jest datowana w Krakowie 1542 r. pridie Calend. Junias. Następuje potem 25 stron tekstu wierszowanego.

Pozatem z działu druków XVI w. nabyto następujące znane, ale rzadkie druki: *Modrzewskiego: Ad populum plebemque polonam oratio*, Kraków, 1546; *Ad senatum equites populumque polonam oratio secunda*, Kraków, 1545; *Narratio simplex rei novae*, drukowane w Pińczowie w r. 1561; Żydowskiego: *Amica et succita ad Stanislai Rescii Ministromachiam responsio Gulielmi Philalethae Oxoniensis* b. m. dr. i *Possevina Moscovia*, wydanie wileńskie 1584 r.

Z druków XVII wieku, przybyłych w ostatnich czasach do biblioteki, zasługują na wzmiankę: Historya Dymitra Samozwańca, wydana w 1608 roku w Kolonii pod tytułem: *Tragoedia Moscovitica*, obejmuje całą historyę dojścia do władzy, panowania i śmierci Dymitra, według współczesnych relacyj. Druk dotąd prawie nie uwzględniony, bo jedyny jego egzemplarz znajduje się w Suchej. Panegiryk *Bartłomieja Cieszyńskiego* o św. Kazimierzu, znany tylko z dwu egzemplarzy, oprócz niniejszego, pisany pięknym wierszem polskim, wydany w Wilnie w 1631 roku. Wreszcie dawniej nieco biblioteka dostała wielką dla Warszawy osobliwość, mianowicie wierszowany jej opis z 1643 r., napisany przez muzyka J. Król. Mości, *Adama Jarzemskiego*, p. t. „*Gościniec abo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej.*" Dziełko to znane było dotąd tylko z jednego defektownego egzemplarza, znajdującego się w Suchej. Nabyty egzemplarz jest zupełny i dobrze dochowany.

Odkładając na czas inny wiadomość o nabytych świeżo do biblioteki rękopisach, nadmienimy tu tylko, że złożono także bibliotece kopię pamiętnika o towarzystwach studenckich w Wilnie. Pamiętnik ten napisany w 1844 r. przez *Michała Czarnockiego* p. t. „*Krótka wiadomość o towarzystwach uczniów Uniwersytetu Wileńskiego,*" ofiarowany był swego czasu do biblioteki Łohojskiej. Obejmuje on rys dziejów tworzenia się związków tajnych w Uniwersytecie Wileń-

skim, przyczem uwzględnia w szczególnej mierze towarzystwo *promienistych*. Pamiętnik zawiera między innemi wiersze, przeważnie toastowe, Mickiewicza, Czeczota, z których niektóre są nieznane.

F. P.

NOWE KSIĄŻKI.

— Maryan Gumowski. Medale Jagiellonów. Kraków, 1906. 8-o, str. 112. Tabl. 29.

Medalierstwo w Polsce za złotego wieku Zygmuntów stanęło u szczytu i nietylko dorównywa najpierwszym tego rodzaju zabytkom zachodnim, ale niekiedy takowe przewyższa. Dotąd jednak specyalnej monografii w tym względzie nie posiadamy, ogólne zaś prace uczonych i katalogi większych zbiorów uwzględniają tylko medale bite na cześć linii polskiej Jagiellonów, a pomijają w zupełności linię czesko-węgierską, przyczem podają reprodukcye niewielkiej ich ilości, wykonane sposobem, wcale nie odpowiadającym dzisiejszym wymaganiom. Te wszystkie przyczyny skłoniły autora do opublikowania, (z podaniem wiernych podobizn fotograficznych), wszystkich znanych mu medalów, bitych na cześć Jagiellonów, zarówno polskich, jakoteż czesko-węgierskich. Myśl wysoce chwalebna, dzieło bowiem, w ten sposób pomyślane, stanowi nie tylko ważną podstawę do badań nad medalierstwem XVI w., ale grupuje także w jedną seryę portrety Jagiellonów, wykonane przez współczesnych mistrzów, i daje piękny obraz mecenasostwa Jagiellonów dla tej gałęzi sztuki.

Wrażenie pierwsze, jakie się odnosi, wziąwszy książkę p. Gumowskiego do ręki, to zdziwienie, że w objętym zakresie tyle materyału zebrać się dało. Zdziwienie to tłómaczy się po pierwsze tem, że o medalach linii czesko-węgierskiej, których tu autor zebrał 55 (str. 15—50), mało u nas wiedziano, powtóre tą okolicznością, że medale Jagiellonów polskich, biorąc ogólnie, są wielce rzadkimi zabytkami, posiadanymi tylko albo przez krajowe, mało dostępne dla ogółu zbiory prywatne, albo też przez wielkie europejskie muzea (Petersburg, Paryż, Wiedeń, Monachium), gdzie pojedyńcze ich okazy tonią w ogromie zebranego materyału numizmatycznego, i są bardzo często niedostrzegane nawet przez polskich zwiedzających. Zebranie tego tak cennego dla nas, a tyle rozproszonego, materyału w jedną całość i opublikowanie go w pięknych reprodukcyach, stanowi wielką zasługę autora, która jest tem większą, że autor materyał ten potrafił umiejętnie ułożyć i opracować.

Na początek idą medale linii czesko-węgierskiej, jako dawniejsze. Mają one swój odrębny charakter, nie dorównywają artyzmem medalom, bitym dla uczczenia Jagiellonów polskich, są prędzej dziełami wytwornego mincarstwa, aniżeli wykwintnej rzeźby o pięknych reliefach, jakie w Polsce spostrzegamy. Stanowią one ciekawy i specyalny typ, który autor nazywa czeskim, dla odróżnienia od pokrewnych, lecz wyższych pod względem artystycznym dzieł medalierów norymberskich i augsburskich. Typ ten powstał w mennicach: praskiej, joachimsthalskiej i kuthnohorskiej pod wpływem mincmistrzów: Michała

Hohenauera, Dawida Enderleina i Ludwika Neufarera. Oprócz tych czeskich artystów, którzy wykonali większość medalów dla linii czesko-węgierskiej, Bernarda Bechema, minemeistra z Hall i J. Deschlera, rzeźbiarza nadwornego wiedeńskiego, spotykamy tylko jednego artystę włoskiego Leone Leoni, medyolańczyka, którego medal № 39, dla królowej Maryi, stanowi prawdziwą ozdobę tego działu.

Znacznie więcej budzi zainteresowania dział drugi, poświęcony medalom bitym dla Jagiellonów polskich. Zapoznanie się z tym działem stanowi prawdziwą ucztę artystyczną. Sztuka włoska wkracza w całym swym majestacie do medalierstwa polskiego i rywalizuje z utworami holenderskimi; przed oczami czytelnika przesuwa się cały szereg wspaniałych kreacyj takich mistrzów, jak: Jana Maria Padovana, Jakóba Caraglio z Werony, Dominika z Wenecyi, Pastorina ze Sienny, oraz mistrza holenderskiego, Stefana van Hollanda. Sztuka medalierska w całym swoim rozkwicie staje przed oczyma widza, który przyznać musi Jagiellonom zasłużone mecenasostwo w tej gałęzi sztuki. Mamy tu cały szereg bardzo mało lub wcale dotąd nieznanych medalów, nigdy dotąd nie opublikowanych, jak np. najstarszy w medalierstwie polskiem medal ku uczczeniu urodzin Zygmunta Augusta w 1520 r., wykonany przez nieznanego artystę włoskiego. Autor przy opisie każdego medalu podaje wykaz bibliograficzny, historyę medalu, oraz hipotezy co do autorstwa medalu tam, gdzie rzecz nie jest dotąd wyjaśniona. Pod tym względem możnaby co do paru okazów podyskutować, jak zwykle w tych wypadkach. Czas może i następne studya wyświetlą nasuwające się kwestye i rozjaśnią niepewności. W każdym jednak razie praca p. Gumowskiego przyniosła świetny, niespodziewany rezultat.

Fr. Pułaski.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Homiletyka i Przewodnik Społeczny. Październik. Reforma w duchu katolickim; — Koryfeusze modernizmu; — Gdzie szukać wzorów wymowy kościelnej?; — Dział kaznodziejski; — Kazania na uroczystości; — Kazania przygodne; — Ascetyka; — Wiadomości teologiczno-pastoralne.

— Krytyka. Październik. Zesz. X. (f). O wolną myśl; — Tadeusz Nalepiński: Odprawy; — Dr. Z. Daszyńska-Golińska: Z podręcznikowej literatury ekonomicznej; — Cyprian Norwid: Noc tysiączna druga; — Wacław Sieroszewski: Małżeństwo, powieść; — Jan Topass: Trzy dziwne dusze; — Jerzy Kurnatowski: Materyalizm dziejowy, a solidaryzm; — Wanda Krzyżanowska: Poezye; — Dr. W. Miklaszewski: Zagadnienia seksualne; — Przegląd prasy polskiej i obcej; — Sprawozdania naukowe i literackie.

— Krytyka Lekarska. Październik. Z. Kramsztyk: Kasa chorych lekarzy; — H. Goldszmit: Wrażenie z Berlina; — Dr. W. Dobrzyński: Ustępy z dzieła Lelio Montela; — Lekarze.

— Miesięcznik pedagogiczny. Wrzesień. Lud przemawia; — Precz z utrakwizacyą!; — O pamięci, skreślił K. Słomka; — Zjazdy wakacyjne nauczycielstwa czeskiego i słowiańskiego; — Reorganizacya Kasy Wzajemnej Pomocy „Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego“ w Cieszynie; — Statut Wzajemnej Pomocy; — Z polskiego Towarzystwa Pedagogicznego; — Odpowiedź na korespondencyę w Schulblacie.

— Muzeum. Październik. Potworne stosunki; — Schorr dr. M.: Ważniejsze kwestye z historyi semickiego Wschodu; — Karbowiak Dr. A.: Rusyfikacya i bojkot szkół w Królestwie Polskiem; — Bykowski dr. L.: Wrażenia z liceów francuskich (dok.);—Demiańczuk dr. J.: Najnowsze projekty reformy nauki języków klasycznych; — Omikron: Z Królestwa; — Oceny i sprawozdania, przez d-ra K. Wojciechowskiego, d-ra K. Nitscha, W. Żłobickiego, A. Jaworskiego, d-ra A. Korczyńskiego, d-ra J. Flacha, M. Brandstättera, d-ra W. Hahna, S. Pawłowskiego;—Kronika szkolna i pedagogiczna; — Wiadomości bibliograficzne; — Bibliografia Kom. ed. nar.;—Sprawy Tow. nauczycieli szkół wyższych.

— Nowe Tory. Październik. A. Szycówna: Z postępów psychologii dziecka (dok.); — R. Centnerszwerowa: O szkolnictwie żydowskim w Polsce; — I. Moszczeńska: Wykład i książka; — S. Wertensteinowa: O notatkach z wykładów w szkole średniej; — J. Dąbrowski: W sprawie programu wykładu historyi w szkole średniej; — Z literatury; — Kronika.

— Poradnik językowy. I. A. P.: Gdzie źródło złego?; — II. Profan: Przyczynek do sprawy nazwisk żeńskich; — III. Pokłosie, przez d-ra B. Trojanowskiego; — IV. Zapytania i odpowiedzi;—V. Roztrząsania, przez W. Wittmana; — VI. Rozmaitości, przez ks. Kanieckiego; — VII. Sprostowanie; — VIII. Korespondencya Redakcyi; — Ogłoszenie.

— Przegląd kościelny. Wrzesień. X. dr. Jan Ciemniewski: O akcie wiary ze stanowiska nowożytnej psychologii (dok.); — X. Ignacy Adamski: Nowa rzecz o Windthorst'cie (dok.); — X. S. W.: Dzisiejsze pojęcia o prawie; — X. dr. Hozakowski: Nowe przykazanie miłości; — Miscellanea; — Ruch katolicki; — Ruch literacki.

— Przegląd Polski. Październik. Stanisław Tarnowski: Sprawy i ludzie w jaśniejszem świetle; — X. dr. Franciszek Gabryl: O duszy zwierzęcej; — Konrad Ostrowski: Listy z Francyi; — Ignotus: Synteza rewolucyi w państwie rosyjskiem; — Rosya współczesna a Polacy (dok.); — Kronika literacka: Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego; — Przegląd polityczny, przez „ „; — Pani Adamowa Potocka, wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego.

— Przewodnik naukowy i literacki. Dr. Stanisław Turowski: Wespazyan Kochowski na tle współczesnem, jako poeta; — Tad. Stan. Grabowski: Z współczesnej poezyi chorwackiej; — Do dziejów Kamieńca Podolskiego (Z papierów pozostałych po ś. p. d-rze A. J. Rolle); — Antoni Karbowiak: Pedagogika Komisyi edukacyi narodowej w świetle systemów pedagogicznych XVIII wieku. A. Prochaska: Rady Kallimacha; — Maryan Szyjkowski: Génie du Christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej.

— Wszechświat i człowiek, zeszyt 71. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcyą H. Kremera. Przekład Stanisława Kramsztyka. 2000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wyd. Tow. Akc. S. Orgelbranda i Synów. Skł. gł. w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 257—280.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA. — TEOLOGIA.

Lubecki Kazimierz, Dr. szambelan: Ksiądz Stanisław Puszet, kanonik honorowy i radca szkolny. Wspomnienie pośmiertne. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 7.

— Marya, królowa pieśni. Kraków, 1907. Nakład autora. 8-o, str. 16.

Makarewicz J.: Einführung in die Philosophie des Strafrechts auf entwicklungsgeschichtlicher Grundlage. Stuttgart, 1906. Enke. 8-o, str. XII + 452.

Pelczar Sebastyan Józef, Dr. Ks.: Rozmyślania o życiu kapłańskiem czyli ascetyka kapłańska. Wyd. III, przejrzane i poprawione. Kraków, 1907. Sp. Wyd. Polsk. 8-o, cz. I str. 399, cz. II str. 482.

HISTORYA.—NAUKI POMOCNICZE.

Boniecki Adam: Herbarz Polski. Tom X, zeszyt IX. Od Kolczek do Komarowic. Warszawa, 1907. 4-o, str. od 321—360.

Dąbrowski Józef: Dzieje Polski w streszczeniu. Z tablicą chronologiczną, wykazem urzędów, sądownictwa, podziału administracyjnego, kościelnego, politycznego, urządzeń skarbu i wojskowości Rzeczypospolitej, oraz 12 mapkami. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o. str. 468.

Dubiecki Maryan: Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—1864. Wydanie drugie, powiększone, z 3-ma rycinami. Kraków, 1907. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 216.

Dyaryusz Sejmu z r. 1830—1831. P. I. Od 18 grudnia 1830 do 8 lutego 1831 r. Wyd. Michał Rostworowski. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. i Tow. popierania wydawnictw Akad. Um. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. XXVI+584.

Kodeks Olszewski Chomińskich Wielkiego Ks. Litewskiego i Żmudzkiego Kronika. Podług rękopisu z r. 1550. Wydał Stanisław Płaszycki. Wilno, 1907. Nakł. Aleksandra Chomińskiego. Skł. głów. w księg. Józefa Zawadzkiego. 8-o, str. 18.

Kożmian Kajetan: Pamiętniki obejmujące wspomnienia od r. 1780 do do r. 1815. Część VI. Warszawa, 1907. Bibliot. Dzieł Wyborowych № 501. 8-o, str. 149.

Kramarczyk Karol: O wykopaliskach korynckich. (Z 3 ilustracyami). Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 22.

Krawczyński M. S.: W Rosyi w ósmem dziesięcioleciu XIX wieku (Andrzej Kożuchow). Z rosyjskiego przełożył K. S. Kraków, 1907. Spółk. Wyd. Pol. 8-o, str. 336.

Leszczyński: Correspondance inédite de Stanislas Leszczynski, duc de Lorraine et de Bar, avec le roi de Prusse Frédéric-Guillaume I-ê et Frédéric II, (1736—1766) publiée avec une étude et des notes par Pierre Royé. Paris, 1907. Berger—Levrault et C-ie. 8-o, str. 89.

Loziński Władysław: Życie polskie w dawnych czasach (wiek XVI—XVIII). Lwów, 1907. Nakł. księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 2 nlb + 232.

Marcinkowski Kazimierz: Rodziny zaszczycone szlachectwem w Królestwie Polskiem 1815—1836. Z podaniem ich herbów na podstawie dziennika praw. Warszawa, 1907. 8-o, str. 63.

Prądzyński Ignacy, generał: Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi, przez ... Ze wstępem historycznym Ignacego Moszczeńskiego. Tom I. Warszawa, 1907. Tania Biblioteka № 24. 8-o, str. 64.

— Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi, przez ... Ze wstępem historycznym Ignacego Moszczeńskiego. Tom II. Warszawa, 1907. Tania Biblioteka № 25. 8-o, str. 63.

Smoleński Tadeusz: Wykopaliska egipskie 1901—1906. Lwów, 1907. 8-o, str. 34.

Smoleński Władysław: Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej. Kraków, 1908. Nakł. autora, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 160.

HISTORYA LITERATURY.

Belza Stanisław: Ojczyzna w pierwszych poezyach Mickiewicza. Warszawa, 1907. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 59.

Bruchnalski Wilhelm: Mickiewicz Niemcewicz. Studyum historyczno-literackie. I. Twórczość Mickiewicza do r. 1824. Lwów, 1907. H. Altenberg. 8-o, str. 132.

Chmuroniewicz Józef: Śpiewak Wiesława Kazimierz Brodziński. Lwów, 1907. Nakł. Macierzy Polskiej. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 72.

G. B.: Irydyon Zygmunta Krasińskiego. Objaśnił ... Tarnopol, 1907. Nakł. księg. A. Bruggera. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 32.

G. B.: „Wesele“ Stanisława Wyspiańskiego. Objaśnił ... Tarnopol, 1907. Nakł. księg. A. Bruggera. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 37.

Mazanowski A.: Stanisław Wyspiański. (Charakterystyki literackie pisarzów polskich, XVI). Złoczów, 1907. Nakładem Wilhelma Zuberkandla. 16-o str. 96.

Mickiewicz Adam: Nadeszły inne czasy. Z pism prozą, przemów, listów ułożył Artur Górski. Lwów, 1908. Nakł. księg. Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. VI + 191.

Oettmański Mieczysław: Dzieje warszawskie-go Towarzystwo Przyjaciół nauk (1800 — 1832). Z dzieła Aleksandra Kraushara. Z upoważnienia autora skreślił ... Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. Biblioteka kultury polskiej. 8-o, str. 122.

Zakrzewski Jan: Czasopiśmiennictwo polskie na emigracyi. Wydawnictwo Awinionskie (1832—1833 r.). Warszawa, 1907. Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“ T. IV, zeszyt 1, 2 i 3. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 43.

BIBLIOGRAFIA.

Bulletin international de l'Académie des sciences de Cracovie. Classe de philologie. Classe d'histoire et de philosophie. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Philologische Klasse. Historisch-philosophische Klasse 1907. (Roczna prenumerata w Krakowie k. 6, zeszyty po h 80). № 5. 8-o, str. 53—66.

— Classe des sciences mathématiques et naturelles. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Mathematisch naturwissenschaftliche Klasse. 1907. (Roczna prenumerata w Krakowie koron 6, zeszyty po h. 80). № 5, str. 355—527; № 6, str. 529—632; № 7, str. 633—776.

Katalog literatury naukowej polskiej wydawany przez Komisyę bibliograficzną Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. T. VII. Zesz. I i II. Kraków, 1907. (Prenumerata rocznie kor. 3). 8-o, str. 32.

FILOLOGIA.

Babiaczyk Adam, Dr.: Lexicon zur Altpolnischen Bibel 1455 (Sophienbibel, Ausgabe von Małecki), bearbeitet, sowie mit einer Text-kritischen Einleitung versehen von ... Wrocław, 1906. 8-o, str. 354.

Konarski Fr. und A. Inlender's poln. Handwörterbuch. Wien, Perles. Str. 78 — 81.

Koziarowski K.: Unterricht der polnischen Sprache 15 u. 16 Brief. Wien, Perles.

Łoś Jan: Jakóba, syna Parkoszowego, traktat o ortografii polskiej. Kraków, 1907. Nakł. Akad. Um., Spół. Wyd. Pol. 8-o, str. 49.

Materyały i prace komisyi językowej Akad. Umiejętności w Krakowie. T. II, zesz. 3. Kraków, 1907. Nakł. Akad. Um., księg. Spół. Wyd. Pol. 8-o, str. 311—478.

Stankiewicz Zygmunt: Pisownia polska według prof. Ad. Ant. Kryńskiego w zestawieniu z pisownią przyjętą przez Akademię Umiejęt. w Krakowie i zjazd Rejowski. Opracował ... Warszawa, 1908. Nakład Tow. „Wydawn. Podr. Szkol.“ 8-o, str. 31.

P R A W O.

Cybichowski Sigm., Dr.: Das antike Völkerrecht. Zugleich ein Beitrag zur Konstruktion des modernen Völkerrechts. Breslau, 1907. M. & H. 8-o, str. 103.

Kościński Konstanty: Imiona i nazwiska wobec prawa, sądów i urzędów, jako też informacya o urzędach stanu cywilnego. Podręcznik dla ludu polskiego. Poznań, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 47.

— Prawo procesowe cywilne w Prusach. Podręcznik dla ludu polskiego z nauką o sądach polubownych, zwyczajnych, procederowych i kupieckich i wzorami do podań w niemieckim i polskim języku. Grudziądz, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 79.

Loziński Karl Ritter v. Sekt.-R.: Die Gesammte Rechtsprechung der Verwaltungsgerichtshofes betr. Stempel- u. unmittelbare Gebühren sowie verwandte Gefällszweige seit dem Bestande dieses Gerichtshofes. Im Auftrage des k. k. Finanzministeriums verf. Wien, 1907. M. Perles. 8-o, str. V + 22 + V + 976.

Rundsztein Szymon: O skutkach karnych zerwania umowy pracy. Warszawa, 1907. Księgarnia Naukowa. 8-o, str. 57.

NAUKI SPOŁECZNE I EKONOMIA POLITYCZNA.

Bąkowski Klemens, Dr.: Dzierżawa gruntów pod budynki. Domy urzędnicze. Lwów, 1907. 8-o, str. 52.

Koskowski Bolesław: Polityka gminna. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 232.

Rocznik walnego zebrania centralnego Towarzystwa gospodarczego w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, odbytego w dniach 26, 27 i 28 lutego 1906 w Poznaniu, na starej sali w Bazarze. R. XII. Poznań, 1907. Nakł. centr. Tow. gosp. w W. K. Pozn. 8-o, str. 160.

Władysław Grabski: Wywłaszczenie folwarków i program reform rolnych w Królestwie Polskiem. Przedmowa do włościan. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebetnera i Wolffa. 8-o, str. 35.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Anheli Konrad: Elegie. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 78.

Dygasiński Adolf: Wilk, psy i ludzie. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 71.

— W puszczy. (Pół fantazyi na tle wspomnień). Tamże, 1907. 8-o, str. 97.

Fredro Akeksander, Hr.: Pan Jowialski. Komedya w 4 aktach prozą. Opracował prof. Bolesław Kielski. Brody, 1907. Nakł. F. Westa. 8-o, str. 123.

Gawalewiczówna Gustawa (Toporczanka): Listki, urywki korespondencyi, z przedmową Bol. Prusa. Warszawa, 1907. Gebethner i Wolff. 8-o, str. XI i 100.

Gliński Kazimierz: Co mówią lasy litewskie. Opowieść z poszumów drzew nadniemeńskich spisana. Warszawa, 1907. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 502. 8-o, str. 135.

Grabowski Ignacy: Król Stanisław August. Tragedya w 10-ciu obrazach. Rzecz osnuta na tle kroniki historycznej 1764—1768 r. Warszawa, 1908. Księgarnia Naukowa. 8-o, str. 158.

Grot-Bęczkowska Wanda: Komedya w komedyi. Komedya w jednym akcie. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Teatr amatorski № 27. 8-o, str. 67.

Gruszecki Artur: Na wulkanie. Powieść na tle rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem. Kraków, 1908. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 517.

Jaczewski Cezary: Hispaniola. Powieść historyczna. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, t. I str. 349, t. II str. 367.

Jeleńska E.: Bociany. Pantofelki. Modlitwa Jadwigi. Bajka. Tryumfator. Przy lampie. Znak zapytania. Przed świtem. W dzień patrona. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 193.

Jokaj Maurycy: Moje, Twoje, Jego. Powieść współczesna w 2 tomach. Gródek Jagielloński, 1907. Nakł. J. Czajńskiego, Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 212.

Key Ellen: III. Z cyklu „Szkice." Potrzeby życia. Uszlachetnianie kultury. Spokój. Przekład Ady Silbi. Warszawa, 1907. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 48.

Korotyński L. S.: Pocci-legioniści. Wybór ich poezyi. Objaśnił . . . Kraków, 1907. Tania Biblioteka № 26. 8-o, str. 84.

Kraszewski J. I.: Profesor Milczek. Rejent Wątróbka. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 26. 8-o, str. 28.

— W oknie. Nauczyciele sieroty. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 27. 8-o, str. 46.

— Z dziennika starego dziada. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Biblioteka Uniwersytetów ludowych № 25. 8-o, str. 61.

Mickiewicz Adam: Dziady. Część II i IV. Tudzież fragmenty pośmiertne ze wstępem i objaśnieniami Bronisława Chlebowskiego. Warszawa, 1907. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Wybór pisarzów polskich dla domu i szkoły № 7. 8-o, str. 124.

Ochorowicz Julian: Pierwiastki charakteru narodowego. Szkic z psychologii i kultury pierwotnej słowian centralnych. Warszawa, 1907. Nakładem M. Arcta. Biblioteka Kultury polskiej. 8-o, str. 87.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Antek. Opowiadanie ... Wilno, 1907. Wydawnictwo ludowe Zygmunta Nagrodzkiego. Skł. główny w księg. J. Zawadzkiego. 8-o, str. 47.

— Kamizelka. Michałko. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka Uniw. ludowych № 35. 8-o, str. 47.

Rzewuski Henryk: Sawa. Pan Borowski (Z pamiątek J. Pana Seweryna Soplicy). Warszawa, 1907. Biblioteczka uniwersytetów ludowych № 30. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 51.

Sclavus Wiesław: Nihiliści. Lwów, 1908. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 410.

Sienkiewicz Henryk: Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży). Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 33.

— Na polu chwały. Powieść historyczna z czasów króla Jana Sobieskiego. Lwów, 1908. Nakład H. Altenberga. Warszawa, Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. 8-o, str. 424.

— Z puszczy amerykańskiej. Listy z podróży. Warszawa, 1907. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 34. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 44.

Skarbek Fryderyk: Dwie siostry. Przewoźnik. Warszawa, 1907. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 44. 8-o, str. 30.

— Łukasz Stempel. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 42. 8-o, str. 28.

Słowacki J.: Jan Bielecki. Lwów, 1907. Nakł. księg. G. Seyfartha. 8-o, str. 24.

— Ojciec zadżumionych. Lwów, 1907. Nakł. księg. G. Seyfartha. 8-o, str. 18.

Słoński Edward: Bezimieńce. Opowiadania dzisiejsze. Warszawa, 1907. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 175.

Tetmajer Kazimierz: Ksiądz Piotr. Nowela odznaczona I-szą nagrodą na konkursie „Czasu.“ Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 25.

— Wybór poezyi (nowy). Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 379.

Szaniawski Klemens Junosza: Wilki (z notatek komornika sądowego). Wesołego! (Obrazek). Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, 32.

Wilde Oskar: Wachlarz lady Windermere. Dramat dobrej kobiety. Przekład T. T. Brody, 1907. Nakł. F. Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 65.

Witkiewicz Stanisław: Z Tatr. Lwów, 1907. Nakł. Tow. wydawn. H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 285.

Żeromski Stefan: Zmierzch. Cokolwiek się zdarzy. Warszawa, 1907. Biblioteczka Uniwersytetów ludowych № 41. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 16.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Dziewulski W.: Säkulare Marsstörungen in der Bewegung der Planeten: Brucia, Ingeborg, Taurinensis, Ocllo. Cracovie, 1907. Imprimérie de l'université. 8-o, str. 651—670.

Gorczyński Ladislaus: On the depression in the valne of the total intensity of the solar radiation in 1903. According to measurements. Made at the central station of the polish meteorological serwice at Warsaw. Repr. from. the Monthly Weather Reviev for April 1907. 4-o, str. 5.

Friedberg Wilhelm, Dr.: Drobny przyczynek do fauny warstw inoceramowych (z tablicą). Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 8.

Noll, Dr. Prof.: Historya naturalna człowieka. (Antropologia). Przystępnie wyłożona i objaśniona 118 rysunkami oraz dwoma tablicami kolorowemi i uwagami o pielęgnowaniu zdrowia. Wydanie drugie. Przełożył z 5 wydania niemieckiego Dr. Aleksander Fabian. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o, str. 169.

SZTUKI PIĘKNE.

Górdzyński Władysław, Ks.: Ornat Długosza. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. 4-o, str. 14.

Poliński Aleksander: Dzieje muzyki polskiej w zarysie. Napisał ... prof. Konserwatoryum Warszawskiego. Z 147 ilustracyami i z nutami w tekście. Lwów, 1907. H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 280

Skarb architektury w Polsce. Wyd. Dr. J. S. Zubrzycki. Zesz. III. Kraków, 1907. Spółka Wyd. Pol. Tabl. IX—XII.

Sprawozdanie Muzeum Narodowego w Krakowie za rok 1906. Kraków, 1907. 8-o, str. 24.

Sygietyński A.: Maksymilian Gierymski. Z 92 ilustracyami. Lwów, 1907. Skł. gł. w księg. Altenberga. 8-o, str. 104.

Wawrzeniecki M.: Böcklin o sztuce. Warszawa, 1906. Wydawnictwo M. Arcta. Książki dla wszystkich № 353. 16-o, str. 37.

PEDAGOGIA. — SZKOLNICTWO. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Samolewicz Zygmunt, dr.: Zwięzła gramatyka języka łacińskiego dla klasy pierwszej i drugiej. Wyd. szóste, niezmienione. Lwów, 1907. Nakład Tow. naucz. szkół wyższych. 8-o, str. 84.

Stein Ignacy i Zawiliński Roman: Gramatyka języka polskiego dla szkół średnich. Opracowali ... Warszawa, 1907. Nakład księgarni M. Arcta. 8-o, str. 337.

Szczawiński Z. i Kamiński S.: Teorya arytmetyki, oraz zadań w zakresie szkoły średniej. Opracowali ... Część III. Stosunki, Proporcye i Reguła trzech. Warszawa, 197. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 200.

Thomas Stanisław: Zbiór zadań arytmetycznych. Ułożył Stanisław Thomas. Część IV. Kurs trzeciej klasy gimnazyum i szkół realnych. Stosunki, proporcye i reguła trzech. Warszawa, 1907 Systematyczny kurs nauk. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 139.

Ustawy, tyczące się szkół początkowych wiejskich i miejskich w Królestwie Polskiem. Cz. I. Wydanie Komisyi szkolnej w Łodzi. Łódź, 1907. 8-o, str. 38.

Wildt J. prof. i Schilescka J. inż.: Geometrya i nauka o rzutach. Podręcznik do użytku nauczyciela w szkołach przemysłowych uzupełniających, wydany w języku niemieckiem z polecenia i poparciem c. k. Ministeryum Wyznań i Oświaty. Przekład polski, wydany staraniem Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie, 155 rysunków w tekście. Lwów, 1906. Nakł. Towarzystwa Pedagogicznego. 8-o, str. 90.

Wróblewski K.: Gramatyka języka niemieckiego dla użytku średnich zakładów naukowych. Cz. I. Etymologia. Łódź-Warszawa, Nakł. księgarni L. Fiszera. 8-o, str. 137.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASINSKI.

№ 10.

PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Ubezpieczenia wzajemne w Królestwie Polskiem (Ich przeszłość i stan obecny), przez Bolesława Chomicza. — Od redakcyi „Pracy.“

UBEZPIECZENIA WZAJEMNE

w Królestwie Polskiem.

(ICH PRZESZŁOŚĆ I STAN OBECNY).

W roku bieżącym ubiegło 100 lat od chwili, kiedy „Instytucya Ubezpieczeń Wzajemnych“ przybrała cechy instytucyi krajowej. Jubileusz ten, jednej z najstarszych instytucyj, przeszedł niepostrzeżenie: nie było komu ani zająć się upamiętnieniem tej rzadkiej a osobliwej chwili, ani też skreślić choć parę słów o wiekowej egzystencyi tej instytucyi.

Natomiast ironia dziejów kraju naszego zaznaczyła sto pierwszy rok istnienia tej instytucyi faktami, choć mającymi związek z jej działalnością, ale nie stanowiącymi jej chluby.

Z jednej bowiem strony nie zdołały jeszcze ostygnąć zgliszcza m.: Nowego Dworu, Zwolenia, Radziwiłłowa, zniszczonych w $^3/_4$ przez straszny żywioł, urągający niejako instytucyi, powołanej do utrzymania w całości mienia ludzkiego, a z drugiej—dzisiejsi spadkobiercy najstarszej instytucyi krajowej składają wieniec i wyrazy szczerego ubolewania z powodu śmierci „wybitnego działacza“ Gryngmuta.

Fakty te, godne zanotowania, zamykają stuletnią działalność instytucyi, mającej jednak świetną i szczytną przeszłość w okresie lat 1842—1866, gdy stała na poziomie, nie mającym sobie równego w Europie całej.

Niech te wyrazy i szczegóły, jakie podam niżej, przypomną społeczeństwu o rozwoju, przeszłości i stanie obecnym instytucyi, która w postaci Dyrekcyi Ubezpieczeń przez ćwierć wieku była piastunką dobrobytu ludu i stała na straży jego interesów.

*

* *

Istniejąca obecnie w kraju naszym „Instytucya Ubezpieczeń Wzajemnych“ posiada wszelkie cechy instytucyi rządowej i służyć może za nowy dowód, że państwo nowożytne nie łatwo wyzbywa się interwencyi swojej w sferę praw osobistych jednostki.

Ubezpieczenia posiadają u nas dwie cechy zasadnicze: przymus i powszechność, co nadaje im w zupełności charakter państwowy.

W tym względzie ścierały się ze sobą najwybitniejsze powagi naukowe, bądź to broniąc przywilejów państwa w tym zakresie, bądź też pozbawiając je tych przywilejów.

Gorącym zwolennikiem ubezpieczeń państwowych był w swoim czasie profesor berliński Wagner — zwalczało zaś tę zasadę wielu innych, z których liczby wymienimy Pawła Leroy-Beaulieu i M. Déroulède.

Leroy-Beaulieu w pracy: „L'état moderne et ses fonctions,“ zwalcza przymusowość, stosowaną przez państwo w zakresie ubezpieczeń i powiada: „Biurokratyczny i posługujący się przymusem organizm państwa, nie posiadający nawet pod rządem demokratycznym ścisłości i konsekwencyi w działaniu, poza sferą naturalną swych czynności może wprowadzić tylko jednostajność zamiast rozmaitości i usypiać to, co żyje i porusza się...“

Nie przyznając państwu praw do monopolu w zakresie ubezpieczeń, podnoszą ci uczeni inicyatywę ogółu i zalecają powstawanie towarzystw na podstawach wzajemności.

Nie da się zaprzeczyć, że zdanie powyższe posiada wszelkie cechy słuszności w stosunku do ogółu, który dotarł do pewnego stopnia samopoczucia i uspołecznienia.

Nasze masy ludowe nie znają dotychczas samopomocy w szerszym zakresie i zupełnie nie są w stanie zająć się zaspokojeniem potrzeb własnych, tembardziej zaś organizowaniem na podstawach trwałych stowarzyszeń, mających prowadzić walkę ekonomiczną z klęską ogniową.

Z braku elementarnych podstaw bezpieczeństwa od ognia po wsiach i miasteczkach i wobec nieracyonalnego systemu budowania się, klęski ogniowe stały się w kraju naszym zjawiskiem pospolitem.

Straty, o jakie przyprawiają kraj nasz pożary zbiorowe, sięgają corocznie dziesiątków milionów rubli i nietylko nie zmniejszają się, lecz przeciwnie z roku na rok rosną.

Czy można mieć nadzieję, że włościanin nasz bodaj z pobudek korzyści własnej zapobiegnie tej klęsce, że usunie ze swych budowli materyały palne (słomę i drzewo) i zabezpieczy swoje mienie od ognia??

Sądzimy, że dopókąd skala kultury ogólnej po wsiach naszych nie podniesie się znacznie, dopóki włościanin nie zaniecha obecnego systemu budowania się, dopóty ubezpieczenia muszą zachować charakter przymusowości. [1])

Tą jedynie drogą możemy ustrzedz kraj od strat materyalnych, jakie są połączone z klęską ogniową, która rok rocznie powtarza się stale na całym obszarze kraju naszego.

Zapewne temi względami rządził się sejm galicyjski, gdy przed kilku tygodniami zajął się opracowaniem projektu ustawy ubezpieczenia przymusowego dla wszystkich właścicieli nieruchomości.

Prawdopodobnie też same względy, a poniekąd i powody czysto fiskalne, miały na myśli Prusy przy organizacyi Towarzystw Ogniowych w roku 1803 (21 kwietnia) dla miast i w 1804 (1 czerwca) dla wsi ziem polskich, które po ostatnim podziale Polski stały się łupem Prusaków.

Administracya Towarzystwa Ogniowego miast i wsi zostawała pod zarządem dwóch odrębnych Dyrekcyj Głównych: Warszawskiej i Poznańskiej. Pierwsza zarządzała powiatami: Warszawskim, Gostyńskim, Łęczyckim, Rawskim i Sochaczewskim, a druga: Kaliskim, Konińskim, Piotrkowskim, Sieradzkim, Wieluńskim i Kujawskim (powiaty były wtedy znacznie większe, niż obecnie).

---

1) Sprawa ta bliżej jest rozpatrywana w broszurze mojej: „*Pożary a samorząd*“ 1907 r., str. 14—16 i 56—58.

Każdy powiat posiadał Dyrekcyę Szczegółową Towarzystwa Ogniowego, zostającą pod zarządem landrata.

Co się zaś tyczy składek ogniowych, to nie były one ustalone w formie norm stałych niezmiennych, natomiast wyznaczano je w miarę potrzeby na wynagrodzenie strat ogniowych i na pokrycie kosztów administracyi.

Jeśli pogorzele przybierały znaczne rozmiary, to składka była wyznaczaną po upływie każdego kwartału, a w razie przeciwnym tylko po upływie każdego półrocza.

Odpowiednia ustawa zastrzegała, że fundusze, wypłacane przez Towarzystwo Ogniowe za pogorzele, mają być użyte wyłącznie na postawienie nowych budynków na miejsce zniszczonych przez ogień, ale Towarzystwa Ogniowe wolne były od wypłacania strat, wynikłych z powodu działań wojennych.

Traktat Tylżycki (1807 r.), nadając samodzielność polityczną Księstwu Warszawskiemu, dotknął także i organizacyi omawianych przez nas Towarzystw Ogniowych.

Komisya Rządowa w dniu 4 czerwca tegoż roku zlała Dyrekcye Główne: Warszawską i Poznańską w jedną Administracyę Generalną Towarzystwa Ogniowego, która początkowo obejmowała tylko departamenty: Warszawski, Kaliski i Poznański.

Jednocześnie z przekształceniem zewnętrznem zreformowano i zakres czynności wewnętrznych instytucyi, a zmiana główna polegała przedewszystkiem na tem, że wysokość opłat zamiast zmiennej, co miało miejsce dotychczas, została ustalona raz na zawsze i nie mogła być pobierana w normie wyższej.

W miastach wszystkie budynki podzielono na dwie kategorye. Do pierwszej zaliczono budynki murowane całkowicie, a do drugiej—wszelkie inne z drzewa lub t. zw. muru pruskiego. Z końcem roku 1809 zakres czynności Generalnego Towarzystwa Ogniowego był powiększony z powodu poddania jego kompetencyi departamentów Płockiego i Łomżyńskiego, a w 1817 r. jeszcze departamentów poaustryackich.

Ponieważ wysokości składki ogniowej nie stosowano do większej lub mniejszej ilości pogorzeli i strat stąd wynikających, zaś kapitał zapasowy nie był przewidziany, przeto smutne rezultaty takiej gospodarki ujawniły się bardzo szybko i już w okresie lat 1807—1816 Towarzystwo Ogniowe znalazło się w położeniu krytycznem, nie mogło bowiem zaspokoić zobowiązań, które dosięgły pokaźnej sumy 2½ milionów złp.

Nieodzownem stawało się przeprowadzenie nowej reformy, a dla zażegnania katastrofy trzeba było wynaleźć nowe źródło dla pokrycia deficytu.

Z dniem 1 stycznia r. 1817 poprzednie Towarzystwo Ogniowe zostaje przekształcone na Dyrekcyę Generalną Towarzystwa Ogniowego przy Komisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policyi.

Polecono niezwłocznie sporządzić taksy i kadastry tych miast i wsi, które dotąd nie należały do Towarzystwa Ogniowego, a uwzględniwszy fakt, że palność budynków różnego stopnia bezpieczeństwa od ognia nie jest równomierną i że niejednakową jest palność miast i wsi, postanowiono oddzielić fundusze ubezpieczeniowe miast od funduszów wsi i prowadzić osobne rachunki każdego z tych funduszów.

Budynki klasy drugiej w miastach podzielono pod względem wysokości opłat na dwie grupy odpowiednio do stopnia niebezpieczeństwa od ognia.

Wobec smutnego doświadczenia z działalności poprzedniej instytucyi, zarządzono, że oprócz składki stałej normalnej, będzie pobierana dodatkowa w miarę potrzeby i braku funduszów na wypłaty bieżące.

Stopa opłat była następująca: od budynków murowanych, krytych materyałami ogniotrwałymi—8 groszy od każdych 100 złp. sumy ubezpieczonej; od zabudowań murowanych miękko krytych—12 groszy, a wszelkich innych—16 groszy.

Pozatem żadne długi dawnego Towarzystwa Ogniowego nie dotyczyły Nowej Dyrekcyi, aczkolwiek na Komisyę Rządową Spraw Wewnętrznych włożono obowiązek wyszukania środków na zaspokojenie długów poprzedniego Towarzystwa.

W tym celu Ukaz Najwyższy, wydany w roku 1840, polecił, żeby na pokrycie deficytu pobierano przez szereg lat składkę nadzwyczajną od wszystkich budynków, ale żeby wysokość jej nie przenosiła 25% najniższej rocznej opłaty ogniowej.

Powstanie 1831 roku smutnie się odbiło na stanie funduszów Towarzystwa Ogniowego. Straty, spowodowane przez pożary, wynikłe z działań wojennych, według udowodnionych rachunków wyniosły prawie 800 tysięcy rb., które przez Ukaz Najwyższy polecono wypłacić z funduszów Towarzystwa.

Udoskonalając coraz dalej mechanizm ubezpieczeń i ich zakres, Dyrekcya Generalna Towarzystwa Ogniowego przybiera od r. 1833 nowy dział ubezpieczania ruchomości od ognia.

Kiedy niebawem zaszła potrzeba znacznego rozszerzenia zakresu ubezpieczeń, dotychczasowe przepisy okazały się niewystar-

czającymi i rok 1843 w sprawie rozwoju ubezpieczeń stanowi punkt wytyczny i przełomowy.

Przez Ukaz, wydany 10 stycznia r. 1843 zamiast Generalnej Dyrekcyi Ubezpieczeń Towarzystwa Ogniowego, utworzono nową Dyrekcyę Ubezpieczeń, obejmującą kilka działów ubezpieczenia.

Przy szerszym zakresie czynności, ubezpieczenia wzajemne roztoczyły opiekę nad wieloma działami życia ekonomicznego kraju naszego i na tem polu, coraz bardziej doskonaląc system działania, dosięgły bardzo poważnych rezultatów, zaś rozmiarami i wszechstronnością operacyi przewyższyły w swoim czasie pokrewne sobie Instytucye na Zachodzie Europy.

Rozważmy bliżej ustawę wydaną 10 stycznia 1843, a powołującą do życia Dyrekcyę Ubezpieczeń.

Dyrekcyę tę składały cztery wydziały: 1) zabezpieczenia budowli od pożarów w miastach, 2) zabezpieczenia budowli od pożarów we wsiach, 3) zabezpieczenia ruchomości od pożarów i 4) służby ogólnej wewnętrznej i zewnętrznej, wszystkim wydziałom wspólnej (artykuł 3).

Do obowiązków najbliższych Dyrekcyi należało przyjmowanie wszelkich rodzajów ubezpieczenia, przyznanie i wypłata należności za straty. W tym celu Dyrekcya układa taryfę składek, sporządza zapisy i wyznacza pobór, pilnuje wpływu opłat należnych.

Wszelkie decyzye Dyrekcyi Ubezpieczeń w zakresie spraw, powierzonych jej pieczy są ostateczne, jednakże każdemu służy prawo odwołania się do Komisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych.

Co zaś do porządku działań Dyrekcyi, to wszelkie jej czynności załatwiane są na posiedzeniach—kolegialnie (art. 20).

Sprawy decydują się większością głosów, wszakże, gdyby przewodniczący uznał, że decyzya większością głosów zapadła, przeciwna jest przepisom obowiązującym lub szkodliwa dla Instytucyi, to przysługuje mu prawo wstrzymania wykonania takiej decyzyi i winien całą rzecz przedstawić do uznania Komisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych.

Art. 38 ustawy dotyczy wydatków na Administracyę Ubezpieczeń i głosi, że wydatki te oznaczone są przez etat, corocznie przez Radę Administracyjną Królestwa Polskiego potwierdzany. Wydatki te ponoszone były co do służby wydziałów, przez fundusze właściwych rodzajów zabezpieczenia.

Do ponoszenia zaś kosztów na służbę ogólną wszystkie rodzaje zabezpieczenia przykładać się musiały w stosunku, jaki Ko-

misya Rządowa Spraw Wewnętrznych na przedstawienie Dyrekcyi oznaczyła.

Tym sposobem w dniu 19 sierpnia 1843 na mocy ustawy powyższej nastąpiła organizacya Dyrekcyi, jako ciała kierującego całym mechanizmem ubezpieczeń w kraju.

Ogólne zasady ubezpieczenia nieruchomości podane są w ustawie zatwierdzonej 15 kwietnia r. 1844, która zaznacza obowiązkowość i przymus dla wszystkich właścicieli zabudowań tak dobrze w miastach, jak i po wsiach (art. 2), ale wyłącza odpowiedzialność za straty, wynikłe z działań wojennych (art. 5).

W razie pożarów powstałych z działań wojennych, rząd podług brzmienia tego artykułu—winien obmyśleć środki wynagrodzenia poszkodowanych bądź to z funduszów, pozostałych po upływie roku ostatniego, bądź też przez odwołanie się do uczestników o złożenie składki nadzwyczajnej.

Art. 9 omawia bardzo ważną dla ubezpieczonych sprawę, gwarantującą nietykalność wynagrodzeń przyznanych na pokrycie strat wynikłych od pożaru: „fundusze, poszkodowanym za pogorzele przyznane, nie ulegają w żadnym razie zajęciu sądowemu, ani aresztowi.“ Dla zapobieżenia zaś spekulacyi i nadużyciom artykuł 10 zastrzega, że równoległe zabezpieczenie budowli w Tow. Zagranicznem jest wzbronione pod karą pieniężną i utratą wynagrodzenia, należnego na wypadek pożaru.

Nie będziemy tu rozważali szczegółowo zasad przyjmowania budowli do ubezpieczeń, jakiemi rządziła się Dyrekcya. Zaznaczymy tylko, że klasyfikacya budynków pod względem materyałów, z jakiego są wzniesione i ze względu na stopień niebezpieczeństwa od ognia, była ułożona oględnie i celowo.

Szacowanie wszystkich budynków odbywało się podług dwóch głównych działów. Szacunki budynków, nieprzewyższające 450 rb. mogły być sporządzane przez prezydentów, burmistrzów i wójtów właściwych podług oszacowania ogólnego bez wyszczególniania cen drobnych składowych części budynku, zaś właścicielowi dóbr wiejskich wolno było samemu podawać szacunki budowli swoich, których wartość nie przenosiła 450 rb.

Natomiast szacunek budowli, przewyższający 450 rb., powinien był polegać na taksie szczegółowej, sporządzanej przez budowniczych.

Obowiązkowość ubezpieczenia była przestrzeganą tak ściśle, że właściciel, który po upływie sześciu miesięcy od postawienia budynku nie podał go do zabezpieczenia, był karany grzywną, wynoszącą 4 rb. 50 kop. za każdy rok opóźnienia.

Ponieważ wartość każdego budynku ulega z biegiem czasu, przez samo zniszczenie, obniżaniu się, przeto sprawdzanie ubezpieczenia wszystkich budynków miało następować peryodycznie co lat 12 (art. 42).

Roczne składki ogniowe były opłacane w dwu ratach: w czerwcu i grudniu.

W razie pożaru w miastach (oprócz Warszawy) likwidowaniem strat, jeżeli nie przenosiły 450 rb., zajmował się burmistrz lub prezydent w obecności przybranych dwóch właścicieli. Jeżeli zaś straty przewyższały 450 rb., to likwidacyi pożaru winien był dopełnić budowniczy lub też delegowany w tym celu urzędnik Dyrekcyi, w obecności dwóch miejscowych obywateli.

Tenże system likwidowania strat pogorzelowych był stosowany przez Dyrekcyę i dla wsi z tą jedynie różnicą, że do tej czynności był delegowany wójt miejscowy.

By zapobiedz zamiarom spekulacyjnym, mogącym być powodem pożarów rozmyślnych, odpowiednie artykuły Ustawy zastrzegały, że wynagrodzenie, przyznane poszkodowanym za szkody przez pożar wyrządzone, wydaje się jedynie na odbudowanie spalonych budynków w trzech ratach: pierwsza część — równolegle z przyznaniem wynagrodzenia; druga — po złożeniu świadectwa, że pierwsza część została użytą na odbudowanie a trzecia — po złożeniu świadectwa o zupełnem odbudowaniu budynku równego wartością z poprzednio ubezpieczonym.

Pragnąc podnieść stan bezpieczeństwa od ognia po wsiach, Ustawa zaznacza, że zabudowania mieszkalne po pogorzeli muszą być wystawione z kominami całkowicie murowanymi (art. 77).

W roku 1844 powołano także do życia „Ustawę Ubezpieczania ruchomości od ognia“ z zastrzeżeniem, że Dyrekcya nie wynagradza za pogorzele z działań wojennych wynikłe i że ubezpieczanie ruchomości pozostawia się do woli każdego, czyli że przymus, będący *conditio sine qua non* przy ubezpieczeniach nieruchomości, w tym dziale ubezpieczeń nie obowiązywał.

Ubezpieczenia ruchomości miały różne działy stosownie do samej formy w jakiej były żądane. Były więc ogółowe, kiedy ubezpieczała się ogólna wartość przedmiotów zadeklarowanych i szczegółowe, kiedy ubezpieczeniu podlegały przedmioty ściśle określone pod względem ich rodzaju, liczby lub wartości.

W stosunku do miejsca, ubezpieczenia były bądź oddzielne, t. j. ubezpieczenia przedmiotów w jednem miejscu np. w pewnej budowli, bądź też łączne, to jest obejmujące sobą kilka miejsc lub budynków.

Co do czasu ubezpieczenia ruchomości były ciągłe—czyli na czas nieograniczony, lecz dłuższy od roku, lub też czasowe, czyli na termin nie mniejszy od miesiąca i nie dłuższy od roku.

Maximum sumy ubezpieczeniowej ustalone było w wysokości 75,000 rb., zaś stopa składek miała być oznaczana corocznie przez Dyrekcyę i zatwierdzana przez Komisyę Rządową Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Uczyniono zarazem zastrzeżenie, że do czasu uzbierania kapitału zapasowego, przynajmniej w sumie 75,000 rb. taryfy składek zmniejszać nie wolno.

Klasyfikacya ryzyka stanowiącego przedmiot ubezpieczenia w dziale ruchomości, musi być zawsze nader oględna, a to z uwagi na liczne cechy i czynniki, napozór niewidoczne, mogące jednak przy wadliwem rozklasyfikowaniu zgubnie oddziałać na operacye ubezpieczeniowe.

To też odpowiednie artykuły Ustawy zajmują się ścisłą klasyfikacyą ryzyk, której tu z braku miejsca nie będziemy szczegółowo przytaczali. Zaznaczymy tylko, że klasyfikacya, o której mowa, była dokonana z przezornością i znajomością rzeczy.

Składkę od ubezpieczeń ciągłych ustalono o 10% niżej od ubezpieczeń czasowych.

Każdy budynek, posiadający w sobie własność ruchomą ubezpieczoną, musiał mieć na miejscu widocznem blachę z herbem Królestwa i napisem, objaśniającym, że schowane w nim przedmioty ruchome są ubezpieczone.

Cała Ustawa, zawierająca w sobie 166 artykułów, których nie podobna na tem miejscu roztrząsać, była opracowana gruntownie i wszechstronnie i przyczyniła się w znacznej mierze do tego, że ten dział ubezpieczeń stał się chlubą Dyrekcyi.

W roku 1844 zakres ubezpieczeń wzajemnych rozszerzono przez dołączenie zabezpieczenia spławu towarów na rzekach według Ustawy wydanej 19 marca tegoż roku.

Artykuł 1 Ustawy wzmiankowanej powiada, że „Dyrekcya Ubezpieczeń zapewnia wynagrodzenie strat przy spławie: ziemiopłodów, towarów i wszelkiego rodzaju ruchomości na rzekach Nidzie, Wieprzu, Bugu, Narwi, Pilicy, Prośnie, Warcie i Wiśle, oraz przez Biebrzę i kanał Augustowski, Niemnem aż do Memla transportowanych.“

Termin trwania ubezpieczenia rozpoczynał się z dniem 1 kwietnia każdego roku, a kończył się w dniu 1 listopada. Najwyższa suma, którą na jednym statku żaglowym można było ubezpieczyć, nie powinna była przewyższać 9,000 rb., na galarze zaś lub niežaglowym statku—3,000 rb.

Atoli Ustawa, o której tu mówimy, została niebawem uznana za niewystarczającą i ustąpiła miejsca nowej, wydanej 13 maja r. 1845 na tych samych zasadach, z ogólnem tylko rozszerzeniem zakresu czynności, dodaniem rzeki Sanu i z podwyższeniem sumy (maximum) ubezpieczeniowej dla statków żaglowych do 24,000 rb., i dla galarów lub wozów do 6,000 rb.

Krocząc wciąż po drodze rozwoju i doskonalenia ubezpieczeń, Dyrekcya na mocy ustawy, wydanej 30 lipca r. 1844, pozyskuje prawie zgoła dotąd w kraju nieznany dział ubezpieczeń na życie. W pierwszym roku ten dział ubezpieczeń liczy zaledwie 7 uczestników. Dział ten obejmował z czasem:

1) Ubezpieczenia kapitałów na dożycie
2) „ dochodów dożywotnich
3) „ na wypadek śmierci
4) „ kapitałów na przeżycie
5) „ dochodów na przeżycie.

Aby ten dział ubezpieczeń uprzystępnić szerszemu ogółowi i zachęcić go do tej formy zabezpieczenia zasobów na starość, ustawa wykluczała wszelkie areszty na sumy asekuracyjne tego rodzaju, a jednocześnie pozwalała ubezpieczonym wycofać się w każdej chwili i otrzymać zwrot składek, z których potrącano jedynie 10% na rzecz funduszów w dziale ubezpieczeń życiowych.

Wreszcie przez reskrypt Komisyi Rządowej Sp. W. i D., wydany 13 października 1856 r., wprowadzono obowiązkowe ubezpieczanie bydła od księgosuszu i tytułem próby wyznaczono 15 gr. składki od każdej sztuki bydła rogatego.

Na tak szeroko pomyślanych podstawach Dyrekcya Ubezpieczeń pracowała przez szereg lat, a stojąc na straży interesów materyalnych narodu, kierowała umiejętnie mechanizmem nader skomplikowanym, który z natury rzeczy potrzebuje ciągłej naprawy.

Zdając sprawę ze swych czynności w r. 1843, Dyrekcya śmiało mogła zaznaczyć:

„Nowa ta instytucya rządowa pod względem rozciągłości i wyłącznie dobroczynnej dążności niema równej sobie w żadnym kraju, a z czasem może stać się wzorem dla postronnych z tego mianowicie względu, że różnego rodzaju ubezpieczenia w innych krajach, jako spekulacye zyskowne, przez prywatne towarzystwa zawiadywane,—u nas nie mają na celu żadnych korzyści pieniężnych, lecz jedynie zabezpieczenie majątków prywatnych zasiłkami, z wzajemnego ubezpieczenia wypływającymi.“

Widzimy więc, że kraj nasz już przed 60 laty posiadał Instytucyę nader przezornie zorganizowaną i opartą na tak trwałych

oraz humanitarnych podstawach, że wątpliwem jest, czy się prędko zdobędzie znowu na podobną.

W d. 27 grudnia r. 1843 zostali mianowani funkcyonaryusze powiatowi Dyrekcyi Ubezpieczeń, tak zwani rachmistrze przy naczelnikach powiatowych i z początkiem r. 1844 rozpoczęli swe czynności.

Równolegle z tem zamianowano pewną liczbę inspektorów objazdowych, tak, że z d. 1 stycznia 1844 r. na każdą gubernię wyznaczony był osobny inspektor.

Już w pierwszym roku istnienia swego Dyrekcya opracowuje projekt ustawy Głównej Kasy Oszczędności, na którą uzyskuje zatwierdzenie Komisyi Rządowej pod dniem 30 grudnia 1843 r.

> „Dobroczynne zamiary Rządu w dopomaganiu mieszkańcom kraju w ich usiłowaniach o zbieraniu majątków na drodze rządnej oszczędności, objawiły się najskuteczniej w zaprowadzeniu Kas Oszczędności, będących już dzisiaj konieczną potrzebą i zasadą moralności i dobrego bytu społeczności."

Takie zdanie o doniosłości Kasy znajdujemy w sprawozdaniu Dyrekcyi za r. 1844, zaś hr. Skarbek, prezes Dyrekcyi Ubezpieczeń, w mowie, wygłoszonej z powodu otwarcia czynności Głównej Kasy Oszczędności, powiedział:

> „Nie dla siebie, a wszystko dla tych któremi się opiekuje: oto jest godło tej dobroczynnej Instytucyi. Dlatego też słusznie utrzymywać można, że cel jej równie jest czysty i moralny, jak dążność najszlachetniejszego rodzicielskiego serca. Jeżeli od względów osobistego dobra uczestników Kasy Oszczędności przejdziemy do wyższych względów bogactwa kraju, znajdziemy w wieloletniem doświadczeniu obcych krajów liczebne dowody na to, że ta Instytucya jest jednym z najważniejszych utworów nowoczesnej cywilizacyi."

Chociaż Główna Kasa Oszczędności, aczkolwiek włączona w ogólny mechanizm administracyjny Dyrekcyi Ubezpieczeń, nie miała co do charakteru swych czynności nic wspólnego z ubezpieczeniami, — jednakże uważaliśmy za konieczne przytoczyć kilka słów o tej Kasie, ku zapoznaniu czytelnika ze szczerością i obywatelskością zasad, jakiemi rządziła się Instytucya Ubezpieczeń, powołana do zaspakajania ekonomicznych potrzeb kraju.

Zdając sobie jasno sprawę z tego, że pożary masowe uwarunkowane są przedewszystkiem złym stanem budownictwa po wsiach i brakiem środków ratunkowych, Dyrekcya wydaje surowe przepisy, zabraniające stawiania nadal kominów sztangowych,

a jednocześnie popiera zakładanie straży ogniowych po dworach, motywując w pierwszym wypadku potrzebę zaradzenia złemu temi słowy: „Zły stan kominów, który ogromnych szkód staje się przyczyną, jest z drugiej strony dowodem opóźnionej cywilizacyi i braku wyrachowanej przezorności, rękojmią wzrostu i zachowania majątków będącej.“

W myśl powyższego zjawia się postanowienie Rady Administracyjnej z d. 17 września 1844, głoszące, że „każdy, kto w przeciągu lat dwóch, licząc od 1845 r., zniesie komin sztangowy w domu swoim i zastąpi go kominem z palonej lub surowej cegły murowanym, albo, kto w budowli, zwanej kurną chatą, urządzi w tymże dwuletnim terminie podobnyż komin murowany, — uwolniony będzie przez następne dwa lata, licząc od dnia wymurowania komina, od opłaty składki ogniowej, z takowego zabudowania przypadającej.“

W sprawie zaś rozpowszechnienia sikawek po wsiach, Dyrekcya Ubezpieczeń okólnikiem, wydanym w r. 1844, ułatwiła ich nabywanie, dając pragnącym kupić sikawkę zaliczki pieniężne do wysokości 666 złp. 20 gr. (100 rb.), zwrotnych w ciągu lat 5 w 10 ratach półrocznych z doliczeniem 4%. Zarazem Dyrekcya wyznaczyła nagrodę w wysokości 60 złp., czyli 9 rb., za każdorazowe dostarczenie sikawki na miejsce pożaru.

Dobroczynne skutki tych zarządzeń nie dały na siebie długo czekać, bowiem już w r. 1845 siedmnastu właścicieli skorzystało z zaliczek i nabyło 19 sikawek wężowych.

Ponieważ dość znaczny odsetek pożarów powstawał z rozmyślnego podpalania budowli przez samych właścicieli lub też innych osobników powodowanych zemstą, przeto Dyrekcya wprowadziła nagrody pieniężne dla tych, którzyby podpalaczy schwytali na uczynku. Nagrody wynosiły od 75 — 100 rb. za poszczególne wykrycie podpalacza.

W powyżej streszczonych granicach funkcyonowała Instytucya Ubezpieczeń Wzajemnych aż do r. 1866, w którym, jako skutek ogólnej zmiany polityki rządu rosyjskiego w kraju naszym, nastąpiła — nie powiem — gruntowna lecz bezzasadna reorganizacya, cofająca wstecz sprawę ubezpieczenia.

Co prawda, sama Dyrekcya widziała pewne braki i niedokładności w niektórych częściach swego mechanizmu, zwłaszcza zaś dawał się odczuwać brak kontroli ściślejszej nad funkcyonaryuszami Dyrekcyi w dalszych zakątkach kraju.

Ze względu na to, sama Dyrekcya już w r. 1862 zamierzała przeprowadzić reformę i powołać samych właścicieli-stowarzyszo-

nych na zasadach wzajemności—do bliższego i większego udziału w zakresie administrowania sprawami tak rozległej Instytucyi.

Wszakże tej zbawiennej reformie, rokującej jeszcze świetniejszy rozwój czynności Dyrekcyi, nie dano urzeczywistnić się, a miast tego przez ukaz wydany 31 grudnia 1866 r. zniesiono Dyrekcyę Ubezpieczeń, decentralizując jej czynności i oddając je w zupełności władzom administracyjnym.

Dogorywanie potężnej Instytucyi trwało niespełna lat 3 i zostało ostatecznie zamknięte przez ukaz wydany 25 września r. 1869, który ze wszystkich działów, uprawianych dotychczas przez Dyrekcyę, pozostawił jedynie dział ubezpieczeń nieruchomości od ognia i ustalił podstawy niemal całkiem odmienne, bo szczuplejsze i martwe, niż te, o których mówiliśmy na miejscu właściwem.

Reforma powyższa w tak bezlitośny sposób — niemający nic wspólnego z troską o dobro i rozwój kraju—dotknęła znakomicie zorganizowaną i ze świadomością potrzeb kraju prowadzoną Instytucyę, że, możemy śmiało powiedzieć, iż z szaty, utkanej mozolną pracą ludzi gorliwie krajowi oddanych, zostały jedynie strzępy.

Aby zapoznać czytelnika ze stanem i rozwojem ubezpieczeń w kraju naszym w okresie działalności Dyrekcyi Głównej, przytaczamy szereg cyfr, które wymowniej od słów zaświadczą, ile pracy organizacyjnej musiała włożyć Dyrekcya nad zaspokojeniem potrzeb kraju i jakiego zakresu sięgały jej czynności:

Suma ubezpieczeniowa:

Rok	Nieruchomości	Ruchomości	Transportów	Na życie	Bydła
		R u b l e			
1842	95,282,000	5,823,298	—	—	—
1843	98,380,211	5,790,390	—	—	—
1844	101,287,711	6,082,432	1,308,590	30,300	—
1848	134,120,411	32,986,535	2,966,403	232,425	—
1851	149,925,030	35,391,873	3,169,685	347,325	—
1855	160,556,290	50,859,697	6,768,420	589,581	—
1866	240,974,490	79,774,919	2,983,100	1,068,982	63,612,100

Składka roczna:

W tych samych latach z wyjątkiem roku 1842.	472,309	50,262	—	—	—
	487,474	40,768	11,522	—	—
	572,556	224,137	21,869	9,246	—
	678,100	210,849	20,105	15,056	—
	869,695	318,775	45,394	21,584	—
	1,241,597	748,759	11,629	37,606	176.108

Dla uzupełnienia obrazu czynności Dyrekcyi Ubezpieczeń nadmienimy, że składka ogniowa za przeciąg lat 24 wynosiła od budynku przeciętnie biorąc 45 kop. od 100 rb., zaś sumy ubezpieczonej od ruchomości 74 kop.

Kapitał zapasowy z 159,383 rb. (rok 1843) wzrósł w r. 1866 do 1,788,084, czyli że powiększył się kilkakrotnie.

Z chwilą zwinięcia Dyrekcyi nastaje nader smutny okres w rozwoju ubezpieczeń wzajemnych, które, jak wzmiankowaliśmy, były sprowadzone jedynie do działu ubezpieczania nieruchomości.

Z dniem 20 lipca 1870 zostaje powołaną do życia Ustawa: „Wzajemnego gubernialnego ubezpieczenia budowli od pożarów." Na mocy tej ustawy czynności ubezpieczeniowe przeszły pod wyłączny zarząd władz administracyjnych, a sama Instytucya, jako ciało niezależne i odrębne, przestała—*eo ipso* istnieć.

Z poprzedniej organizacyi zostali jedynie radcowie powiatowi, lecz już wybierani przez władzę powiatową i zatwierdzani przez rząd gubernialny.

Pełniąc czynności bierne, zostając w zależności zupełnej od władzy powiatowej, urząd radców stał się fikcyą. Nic więc dziwnego, że nie mieli oni żadnego wpływu na stan i kierownictwo sprawami ubezpieczenia w powiatach, główna zaś czynność radców polegała na sprawdzaniu, z mocy poszczególnych poleceń, szacunków ubezpieczeniowych, a rzadko tylko strat pogorzelowych.

Sprawy, związane z ubezpieczaniem i tak zblizka obchodzące ogół, usunięto z pod ich wpływu i czujności, i tem się tłómaczy opłakany stan ubezpieczeń wzajemnych za przeciąg czasu od r. 1870 do 1900, gdy pozostawały pod zarządem władz powiatowych.

Cały ten okres 30-toletni nacechowany jest szeregiem nadużyć i kompletnym brakiem zrozumienia podstawowych zadań w sprawie walki ekonomicznej z klęską ogniową. Nadużycia miały miejsce przy każdej czynności: przy szacowaniu budynków, przy ich ubezpieczaniu, przy likwidowaniu strat pogorzelowych i przy wypłacie wynagrodzeń ubezpieczeniowych.

To była wprost trwająca przez lat 30 Panama, która nareszcie zwróciła na siebie uwagę sfer miarodajnych i zmusiła je do zajęcia się sprawą reorganizacyi ubezpieczeń wzajemnych.

Przedstawiony w tej sprawie Radzie Państwa memoryał Ministeryum Spraw Wewnętrznych, noszący datę 28 marca r. 1900, choć w skromnych barwach, to jednak dostatecznie wyświetla fatalny stan ubezpieczeń wzajemnych w Królestwie.

Ponieważ motywy, użyte w tym memoryale urzędowym zasługują na zaznaczenie, przeto przytaczamy je:

„Czynności przy szacowaniu budowli nie mogą być uznane za zadawalające; ubezpieczeni są w zależności od techników i osób, dopełniających szacowania budynków; skład tych osób nie gwarantuje ani prawidłowości szacunków, ani też ich sumienności. Pozatem ci, co sporządzają szacunki, otrzymują wynagrodzenie bezpośrednio od ubezpieczanych, szacują więc zgodnie z żądaniami i rachubą samych właścicieli. Z powodu zupełnego braku prawidłowej kontroli oznaczanie wielkości budynku odbywa się niedbale, ceny zaś są ustalane dowolnie, a zatwierdzanie dowodów prawie w zupełności zależy od widzi mi się referenta zarządu powiatowego.

Najbardziej rozpowszechnioną pobudką do podpalania bywa, rozumie się, pragnienie otrzymania korzyści z pożaru. Rozpowszechnienie się podpaleń w celach spekulacyjnych jest oczywiście spowodowane przedewszystkiem niedbałemi, a często i świadomie nieprawidłowemi szacunkami budynków ubezpieczanych oraz wydawaniem wynagrodzenia bez uważnego i sumiennego sprawdzania strat rzeczywistych, w skutek czego wynagrodzenie za pożary częstokroć staje się źródłem dochodów nieuczciwych.“

Czynniki te wystawione przez sam rząd a malujące w barwach wyraźnych, acz ponurych, stan ubezpieczeń wzajemnych w kraju naszym, sprowadziły ten skutek, że ubezpieczenia podległy w r. 1900 dość głęboko sięgającej reorganizacyi, którą urzeczywistniono przez wydanie nowej Ustawy noszącej datę 10/23 czerwca 1900 r. i obowiązującej do dnia dzisiejszego.

(D. c. n.).

Bolesław Chomicz.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KA[illegible]SKIEJ
we Lwowie

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa Druk A. Glücksberga

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1907.

HISTORYA.

Str.

MAURYCY MOCHNACKI,—przez *Stanisława Szpotańskiego* 201
KONTROLA KONSULACKA, — przez *Szymona Askenazego* 33
WYPRAWA GENERAŁA DWERNICKIEGO NA WOŁYŃ, — przez *Bronisława Pawłowskiego* 430

SZKICE POLITYCZNE.

ANGLIA I ROSYA,—przez *Kazimierza Puffkego* 92
DRUGA KONFERENCYA POKOJOWA — przez *Kazimierza Puffkego* . . 454

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES SOCYALISTYCZNY W STUTGARCIE,—przez *Bolesława Koskowskiego* 222
SZKOLNICTWO ŚREDNIE W ANGLII,—przez *Bronisława Bouffałła* 240 i 468

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

O WINCENTYM POLU, — przez *prof. Józefa Kallenbacha* 67
OSKAR WILDE, JAKO LIRYK, — przez *Andrzeja Tretiaka* 108
CHRONICZNY PRZEŁOM W TEATRZE,—przez *W. Bogusławskiego.* . . 124
RUCH LITERACKI WE FRANCYI, — przez *Antoniego Potockiego* 144

Str.

SZTUKA WE FRANCYI,—przez *Konrada Ostrowskiego* 277
NAPOLEON W POEZYI,—przez *D-ra Józefa Flacha* 300
EDWARD WITTIG,—przez *Cz. Znańskiego* 334
NAJNOWSZE PRĄDY W POLSKIEJ TWÓRCZOŚCI MUZYCZNEJ, — przez *H. Opieńskiego* 494
RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH, — przez *Jana Kaczkowskiego* . . . 514

LITERATURA.

ŁUNA (powieść), — przez *Kazimierza Zdziechowskiego* . . . . . 1 i 409

ROZMAITOŚCI.

Przyczynki do życiorysu poety, Karola Balińskiego, — przez *Roberta Przegalińskiego* 339
Działalność naukowa D-ra Augusta Bielensteina, — przez *Gustawa Manteuffla* 349
O polskich kalendarzykach politycznych, — przez *Józefa Weyssenhoffa* . . 539
Wawel (przyczynek do znaczenia wyrazu), — przez *ks. Leopolda Lénarda* . 551

KRYTYKA.

Henryk Struve: Filozofia polska w ostatniem dziesięcioleciu 1894—1904 r., — przez *F. P.* 158
Dr. Emmanuel Świeykowski: Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa, — przez *F. P.* 162
Bolesław Koskowski: Polityka gminna, — przez *Z. D.* 165
Siedem lat katorgi. Pamiętniki Szymona Tokarzewskiego 1846—1857 r., — przez *Z. D.* 167
Ptaszycki Stanisław: Wielkiego Księstwa Litewskiego i Żmudzkiego kronika. Kodeks Olszewski Chomińskich, — przez *Józefa Jodkowskiego* 170
Joseph Alexander Freiherr von Helfert: Geschichte der oesterreichischen Revolution im Zusammenhange mit der mitteleuropäischen Bewegung der Jahre 1848—1849, — przez *D-ra Bronisława Łozińskiego* 357
Władysław Smoleński: Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej, — przez *Fr. Pułaskiego* 555
Maksymilian Gierymski. Napisał Antoni Sygietyński. Z 92 illustracyami. Nauka i sztuka. Wydawnictwo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie, — przez *Z. D.* 559
Chimera. Zeszyt podwójny 28—29, — przez *Z. D.* 562
Stanislaus Krzyżanowski: Album paleographicum, — przez *S. K.* . 565

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Str.

PAŹDZIERNIK:

Przed III Izbą.—Ze stosunków łódzkich.—Odezwa Towarzystwa wpisów szkolnych.—Okólnik generał-gubernatora warszawskiego do biskupów rz.-katol. w Król. Polskiem . . . 173

LISTOPAD:

Z chwili obecnej. — Sprawa opieki nad wychodźtwem polskiem za ocean. — Z powodu rozwiązania milicyi Polskiej Partyi Socyalistycznej. — Pierwsze sprawozdanie roczne „Macierzy“ 376

GRUDZIEŃ:

Na schyłku smutnego roku. — Zebranie ogólne i zamknięcie „Macierzy.“ — Stosunek młodego pokolenia do przeszłości. — Towarzystwo naukowe 567

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Ś. P. STANISŁAW WYSPIAŃSKI,—przez *M. G.* 585

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

PAŹDZIERNIK 188
LISTOPAD 391
GRUDZIEŃ 588

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE LISTOPADOWYM (№ 10): Ubezpieczenia wzajemne w Królestwie Polskiem,—przez *Bolesława Chomicza* . . 1

Biblioteka Śląska

Katowice